

*Rita Monaldi*  
*Francesco Sorti*

# Secretum

*A całe życie ludzkie czymże jest innym jak nie jakąś komedią, w której każdy występuje w innej masce i każdy gra swoją rolę, dopóki reżyser nie sprowadzi go ze sceny?*

Erazm z Rotterdamu, *Pochwała głupoty*,  
przeł. Edwin Jędrkiewicz

Konstanca, 14 lutego 2041

Jego Eminencja  
Alessio Tanari  
Sekretarz Kongregacji do Spraw Świątych  
Watykan

Drogi Alessio!

Ostatnio pisałem do Ciebie rok temu, ale do tej pory nie odpowiedziałeś na mój list.

Kilka miesięcy temu przeniesiono mnie niespodziewanie do Rumunii (może już o tym słyszałeś?). Jestem jednym z nielicznych kapłanów, których gości Konstanca, niewielka miejscowość nad Morzem Czarnym. Tutaj słowo „bieda” nabiera owego ostatecznego, nieludzkiego znaczenia, jakie miało niegdyś dla nas. Odrapane, rozpadające się domy, obdarte dzieci, które bawią się na brudnych ulicach pozbawionych tabliczek z nazwą, kobiety o zmęczonych twarzach, wyglądające podejrzliwie przez okna ohydnych zniszczonych bloków - pozostałości socrealizmu. Wszędzie szarość i nędza. Tak właśnie wygląda miasto i kraj, do którego zostałem wysłany. Przybyłem tu, aby sumiennie wypełnić moją kapłańską misję. Nie przeszkodzi mi w tym ani bieda tych ludzi, ani wszechobecny smutek.

Jak zapewne pamiętasz, tam skąd pochodzę, jest zupełnie inaczej. Jeszcze kilka miesięcy temu byłem biskupem Como, pogodnego miasteczka nad jeziorem, które zainspirowało wielkiego Manzonię do napisania słynnej powieści. Moją rodzinną miejscowość - perłę bogatej Lombardii, pełną historycznych zabytków - zamieszkują ludzie interesu, projektanci mody, piłkarze, zamożni wytwórcy jedwabiu.

Jestem kapłanem i tę nagłą, nieoczekiwaną zmianę w moim życiu

przyjąłem z pokorą. Powiedziano mi bowiem, że tamtejsza ludność potrzebuje mojego duchowego wsparcia, a przeniesienia do Rumunii (o czym powiadomiono mnie zaledwie dwa tygodnie przed wyjazdem) nie powinienem traktować jako deklasacji. Zaledwie przekazano mi tę nowinę, ogarnęły mnie wątpliwości (a także, nie ukrywam, poczułem pewne zakłopotanie). Dotychczas nigdy nie opuszczałem granic Włoch, z wyjątkiem krótkiego pobytu we Francji w latach odległej już młodości. Uważam, że stanowisko biskupa jest wspaniałym ukoronowaniem mojej kariery, i mimo podeszłego wieku nie miałbym nic przeciwko pełnieniu pasterskich obowiązków za granicą, na przykład we Francji albo w Hiszpanii (choć język tych krajów jest mi, niestety, obcy), a nawet w Ameryce Łacińskiej. Nieczęsto się zdarza, by kapłana z moją pozycją przenosić z dnia na dzień tak daleko, o ile nie dopuścił się on jakiegoś niegodnego czynu. W moim przypadku, jak z pewnością wiesz, nie miało to miejsca. Decyzję o wysłaniu mnie z misją przyjąłbym jako wolę bożą, bez zastrzeżeń czy żalu, nawet do najdzikszego zakątka, ale nie do Rumunii - kraju, o którym nic nie wiem, nie znam tutejszego języka, tradycji, historii ani współczesnych problemów. Czasem w świetlicy parafialnej próbuję grać w piłkę z miejscowymi dziećmi, daremnie starając się zrozumieć ich mowę.

Wybacz mi to wyznanie, ale ostatnio duszę przepelnia mi bezustanny niepokój. Jego przyczyn nie upatruję jednak w moim losie (za który winien jestem Panu głęboką wdzięczność), ale raczej w splocie tajemniczych wydarzeń. Bezwzględnie Ci wszystko wyjaśnię.

W liście sprzed roku pisałem Ci o pewnej delikatnej sprawie. Jak sobie zapewne przypominasz, trwał wówczas proces kanonizacyjny błogosławionego Innocentego XI Odescalchiego, sprawującego godność papieża w latach 1676-1689, inicjatora i zwolennika bitwy chrześcijan z Turkami pod Wiedniem w 1683 roku, w wyniku której wyznawcy Mahometa zostali na zawsze przepędzeni z Europy. Ponieważ papież ten, podobnie jak ja, pochodził z Como, przypadł mi w udziale zaszczyt czuwania nad procesem, szczególnie leżącym na sercu Ojcu Świętemu. Do słynnego historycznego zwycięstwa nad islamem doszło 12 września 1683 roku o świcie. Wziąwszy pod uwagę różnicę czasu, w Nowym Jorku był jeszcze 11 września... Dzisiaj, czterdzieści lat po tragicznym ataku na nowojorskie Twin Towers z 11 września 2001 roku, zbieżność tych dwu dat nie uszła uwadze naszego umiłowanego papieża, który pragnął ogłosić świętego Innocentego XI papieżem antyislamskim, a tym samym podkreślić

znaczenie wartości chrześcijańskich i przepaść, jaka dzieli Europę i cały Zachód od ideałów Koranu. Właśnie wtedy, po zakończeniu dochodzenia, wysłałem Ci pewien maszynopis. Pamiętasz? Jego autorami byli moi przyjaciele, Rita i Francesco, których dawno temu straciłem z oczu. Tekst ten zawierał wiele faktów zniesławiających błogosławionego Innocentego. Okazało się bowiem, że podczas pontyfikatu Odescalchim kierowały niskie osobiste pobudki. Był boskim narzędziem w walce z Turkami, lecz jego niezaspokojona żądza bogactwa stanowiła obrazę moralności chrześcijańskiej, przynosząc niepowetowaną szkodę religii katolickiej w Europie. Poprosiłem Cię więc, drogi Alessio, abys przedstawił sprawę Jego Świętobliwości, który miał zdecydować, czy odesłać maszynopis do archiwum i skazać na zapomnienie, czy - czego szczerze pragnąłem - opatrzyć słowem *imprimatur* i zezwolić na jego publikację.

Przyznaję, że niecierpliwie oczekiwałem odpowiedzi na mój list. Myślałem, że bez względu na poruszony w nim niezwykle istotny temat zechcesz dowiedzieć się, co słyhać u Twojego byłego nauczyciela z seminarium. Liczyłem się z tym, że zważywszy na wagę mojej prośby, odpowiedź wymaga czasu. Sądziłem jednak, że jak każe dobry obyczaj, przyslesz mi przynajmniej krótki bilecik. Ty jednak milczałeś. Mijały miesiące, a ja daremnie wyglądałem jakiegoś znaku od Ciebie. Nie zatelefonowałeś ani nie odpowiedziałeś na mój list, mimo że od tego zależał wynik procesu. Rozumiałem jednak, że Ojciec Święty potrzebuje czasu, aby wszystko dokładnie przemyśleć i ocenić. Być może zwrócił się do ekspertów o wydanie opinii na temat przesłanego przeze mnie tekstu. Pogodziłem się więc ze zwłoką i cierpliwie czekałem. Zobowiązany do zachowania tajemnicy i ochrony dobrego imienia błogosławionego Innocentego, nikomu innemu poza Tobą i Jego Świętobliwością nie mogłem wyjawiać, co odkryłem.

Aż tu pewnego dnia w jednej z mediolańskich księgarni wśród tysiąca publikacji dostrzegłem książkę z nazwiskiem moich przyjaciół na okładce. Wziąłem ją do ręki, a kiedy otworzyłem, miałem pewność, że to właśnie ta książka. Jak to możliwe? Kto dopuścił tekst do druku? Doshedłem do wniosku, że mógł to uczynić jedynie papież. W końcu opatrzył maszynopis Rity i Francesca klauzulą *imprimatur* i zezwolił na publikację. Oznaczało to, że proces kanonizacyjny Innocentego XI został definitywnie wstrzymany. Dlaczego nikt mnie o tym nie poinformował? Dlaczego nie otrzymałem od Ciebie, Alessio, żadnego sygnału, zwłaszcza po publikacji książki?

Już miałem pisać do Ciebie list w tej sprawie, kiedy wczesnym rankiem zelektryzowała mnie pewna wiadomość. Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj. Przed drzwiami do gabinetu podszedł do mnie mój sekretarz i podał mi kopertę z herbem papieskim przedstawiającym klucze. Gdy ją otworzyłem, ze środka wysunął się bilecik. Było to zaproszenie. Zdziwiłem się, że to już za dwa dni, w niedzielę, w dodatku o szóstej rano. Nadawcą bileciku był monsinior Jaime Rubellas, sekretarz stanu w Watykanie.

Spotkanie z kardynałem Rubellasem upłynęło w bardzo miłej atmosferze. Na wstępie zapytał mnie o zdrowie, o potrzeby mojej diecezji, o liczbę powołań kapłańskich. Następnie delikatnie potrącił temat procesu kanonizacyjnego Innocentego XI. Zapytałem kardynała, czy wie coś o księżce Rity i Francesca. Nie odpowiedział, tylko spojrzał na mnie dziwnie, jakbym rzucił mu wyzwanie. Poinformował mnie chłodno o przeniesieniu do Konstancy, o nowych granicach dzisiejszego Kościoła i o braku duszpasterskiej opieki w Rumunii. Uprzejmość, z jaką sekretarz Watykanu przedstawił mi tę decyzję o przeniesieniu, sprawiła, że przestałem się dziwić, dlaczego to właśnie on mnie o tym powiadomił, dlaczego wezwał mnie na rozmowę w tak niecodzienny sposób, niemal po kryjomu. Nie zastanawiałem się też nad tym, jak długo pozostanę poza granicami Włoch. Pod koniec spotkania monsinior Rubellas nieoczekiwanie poprosił mnie o dyskrecję. Zapewniłem, że nikomu nie powiem o naszej rozmowie.

Pytania, których wówczas nie odważyłem się zadać, powracają dzisiaj, drogi Alessio, zwłaszcza wieczorami, kiedy uczę się cierpliwie rumuńskiego, dziwnego języka, w którym rodzajniki występują po rzeczownikach. Zaraz po przyjeździe dowiedziałem się, że w starożytności Konstanca podlegała cesarstwu rzymskiemu. Nazywała się wtedy Tomi. Rzuciwszy okiem na mapę regionu, zorientowałem się, że niedaleko znajduje się miejscowość Ovidiu. Poczulem w głowie zamęt, zająłem więc do podręcznika literatury łacińskiej. Pamięć mnie nie zawiodła: w czasach kiedy Konstanca nazywała się Tomi, August Oktawian zesłał tu na wygnanie słynnego pisarza Owidiusza, rzekomo za zbyt frywolne poematy, w rzeczywistości zaś dlatego, że znał wiele tajemnic z życia cesarskiej rodziny. Przeżył tam dziesięć lat i na próżno prosił cesarza o okazanie łaski. Zmarł na wygnaniu, nie zobaczywszy już nigdy Rzymu.

Teraz wiem, drogi Alessio, jak drogo kosztowało mnie zaufanie, jakim

obdarzyłem Cię rok temu. Stało się dla mnie jasne, dlaczego zesłano mnie do Tomi za „literackie przewinienia”. Książka moich przyjaciół nie ukazała się za zgodą Stolicy Apostolskiej, a wieść o jej wydaniu spadła na nas wszystkich jak grom z jasnego nieba. A Ty, Alessio, uwierzyłeś, że maczałem w tym palce, że to ja podałem ją do druku, i dlatego zesłałeś mnie do Konstancy. Mylisz się jednak. Podobnie jak Ty nie wiem, kto wydał książkę. Nasz Pan, *quem nullum latet secretum*, „który zna wszystkie sekrety” - jak mówi się w prawosławnych kościołach w tych stronach - posługuje się tymi, którzy występują przeciw Niemu.

Jeśli rzuciłeś okiem na plik kartek dołączonych do listu, z pewnością domyśliłeś się, że jest to kolejny maszynopis Rity i Francesca - może opracowanie historyczne, a może powieść. Przekonaj się sam, porównując ten tekst z załączonymi przeze mnie dokumentami. Ciekaw jesteś zapewne, kiedy i od kogo otrzymałem maszynopis i czy odnalazłem przyjaciół. Nie mogę tego zdradzić i mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Zastanawiasz się, po co Ci go przysłałem i czy kierowała mną naiwność, szaleństwo czy jakieś inne powody. Wiedz, że tylko jedna z tych trzech możliwości jest prawdziwa.

Oby Bóg ponownie prowadził Cię podczas lektury i uczynił narzędziem Swojej woli.

Lorenzo Dell' Agio, *pulvis et cinis*

Prawdziwy  
opis wydarzeń  
w Rzymie  
roku pańskiego 1700  
za pontyfikatu

**INNOCENTEGO XII,**

dedykowany  
znakomitemu, dostojnemu opatowi  
Attowi Melanitemu

*Za zgodą przełożonych  
wydał w Rzymie  
Michel'Ercole  
MDCCII*



*Wielce szanowny i czcigodny Panie*

*Jestem głęboko przekonany, że spodoba się Waszej Wielmożności ta kronika. Streściłem w niej niezwykle wydarzenia, do jakich doszło w Rzymie w lipcu roku 1700. Jej znakomitym bohaterem jest wierny poddany Jego Wysokości Arcychrześcijańskiego Króla Ludwika, którego wspaniałe czyny zasługują na słowa najwyższego uznania.*

*Niniejszy tekst jest owocem pracy prostego człowieka, żywiącego nadzieję, że Wasza Wielmożność znajdzie upodobanie w dziele napisanym ręką, którą prowadziła nieśmiała muza. Choć dar mój jest skromny, przekazuję go z jak najlepszymi intencjami.*

*Tuszę, że Wasza Wielmożność wybaczy mi, jeśli na tych stronicach nie zamieściłem wystarczającej liczby pochwał. Bez względu na wszystko Słońce zawsze pozostanie Słońcem. Nie oczekuję niczego więcej ponad to, co Wasza Wielmożność kiedyś mi obiecał. Wierzę, że Pańska szlachetna dusza pozostała niezmienną.*

*Życzę Panu długiego życia, a sobie nadziei.  
Załączam wyrazy najgłębszego poważania.*

# Dzień pierwszy

*7 lipca 1700 roku*

Pałace południowe słońce świeciło wysoko na niebie owego 7 lipca roku 1700. Tego dnia z łaski Najwyższego (i za niewielką zapłatą) pracowałem w ogrodach willi\* Spada. W pewnej chwili oderwałem wzrok od ziemi i spojrzałem przed siebie. Za starą żelazną bramą otwartą na oścież dostrzegłem na horyzoncie, wcześniej niż stojący na straży paziowie, obłok białego kurzu, wzbijany kołami jadących jeden za drugim powozów wiozących gości.

Ferwor przygotowań stał się jeszcze bardziej gorączkowy. Majordomowie, od kilku dni wykrzykujący służbie polecenia, popędzali na tyłach pałacu lokajów, którzy zanosili do piwnicy przywiezione ze wsi skrzynki z owocami i warzywami. Wieśniacy, siedząc na rozładowanych już wozach przed bramą dla dostawców, nawoływali swoje żony. Te jednak zwlekały z powrotem, szukały bowiem pokojówek, którym ze spokojnym sumieniem mogłyby powierzyć wspaniałe wiązanki kwiatów, aksamitnych i czerwonych jak ich policzki. Tymczasem do rezydencji przybyły bladolicce hafciarki z adamaszkowymi obrusami koloru kości słoniowej, błyszczącymi oślepiająco w gorącym lipcowym słońcu. Przy wtórce chaotycznych ćwiczeń muzyków, sprawdzających akustykę teatru na wolnym powietrzu, stolarze kończyli zbijać gwoździami i wygładzać łoże i krzesła na widowni. Architekci, z perukami w dłoniach, posapując od upału, oceniali spod przymkniętych powiek końcowy efekt swojej pracy.

Całe to zamieszanie miało istotny powód. Za dwa dni kardynał Fabrizio Spada wyprawiał wesele swemu dwudziestoletniemu siostrzeńcowi. Clement Spada, dziedzic olbrzymiej fortuny, żenił się z Marią Pulcherią Rocci, siostrzenicą wysokiego przedstawiciela Świętego Kolegium Kar-

\* Willa - dwór; letniskowy dom na wsi, którego ważnym elementem był wspaniałe urządzony ogród (przyp. red.).

dynańskiego. Aby godnie uczcić to wydarzenie, kardynał Spada zaprosił do rezydencji znakomitych gości w osobach prałatów, przedstawicieli szlachty i kawalerów orderu. Przyjęcie weselne w ogrodach rodowej posiadłości, położonej na wzgórzu Janikulum, u źródła Aqua Paola, skąd roztacza się przepiękny widok na Rzym, przewidziane było na kilka dni. Do urządzenia wesela w letniej rezydencji, zamiast w okazałym pałacu w mieście, przy placu Capo di Ferro, gdzie goście nie mogliby cieszyć się urokami wsi, skłonił kardynała lipcowy upał. Właściwie uroczystości miały się rozpocząć już w południe 7 lipca, wraz z pojawieniem się pierwszych gości. Oczekiwano dużej liczby arystokratów i duchownych: dyplomatów, członków Świętego Kolegium, potomków i starszych przedstawicieli znanych rodów. Pierwsze oficjalne rozrywki zaplanowano na dzień wesela. Wtedy też miały być ukończone wszystkie naturalne i iluzjonistyczne\* dekoracje z włoskich roślin, egzotycznych kwiatów i masy papierowej. Ozdoby te były wspanialsze od złota Salomona i bardziej ulotne niż rtęć z greckiej hydrii\*\*.

Obłok kurzu wzniecony kołami karet zbliżał się coraz bardziej. Na zakręcie przy bramie można już było dostrzec wspaniałe ornamenty zdobiące pojazdy. Jak nam powiedziano, najpierw mieli przybyć goście spoza Rzymu, którzy po długiej podróży z pewnością zechcą odpocząć, a wieczorem rozkoszować się wiejską ciszą. W dzień wesela będą wypoczęci i chętni do zabawy, przyczyniając się do poprawy ogólnego nastroju i powodzenia całego przedsięwzięcia. Goście z Rzymu natomiast mogli wybrać jedną z dwóch możliwości: zatrzymać się w rezydencji Spada na czas uroczystości albo, jeśli będą zbyt zajęci pracą w urzędach czy sklepach, przyjeżdżać każdego dnia w południe i na noc wracać do swych domów.

Po weselu zaplanowano wyszukane rozrywki: śniadania na trawie, polowania, koncerty, teatr, zabawy towarzyskie, a nawet uroczystą akademię. Na zakończenie uroczystości szykowano pokaz fajerwerków. Zabawa miała trwać cały tydzień - od dnia wesela do czwartku 15 lipca. Przed ostatecznym pożegnaniem goście zwiedzą wspaniały pałac Spada przy

Iluzjonistyczne dekoracje odzwierciedlały dążenie do wiernego oddania złudzenia rzeczywistości w dziele plastycznym (przyj. red.).

Hydria - pękate naczynie na wodę z wąską, długą szyjką, z dwoma uchwytami poziomymi i jednym pionowym, używane w starożytnej Grecji (przyj. tłum.).

placu Capo di Ferro. Przodkowie kardynała Fabrizia w osobach kardynała Bernardina i jego brata Virgilia zgromadzili w nim wspaniałą bibliotekę, kolekcję obrazów i antyków, rodowe klejnoty, do podziwiania na równi z iluzjonistycznymi freskami i malowidłami na ścianach. Nie miałem okazji ich oglądać, ale słyszałem, że są zachwycające.

Usłyszawszy stukot kół na wybrukowanym podjeździe, spojrzałem uważniej. Zauważyłem, że przez bramę wjechał tylko jeden pojazd. No tak - pomyślałem - panowie przywiązują dużą wagę do zachowania odpowiedniej odległości między karetami, tak aby każdy z nich został godnie przyjęty. Nieporozumienia na tym tle nierzadko prowadziły do wieloletnich zatargów, jawnie okazywanej wrogości, a nawet krwawych pojedynków. Tym razem dzięki przezorności mistrza ceremonii i zarządcy domu, niezastąpionego don Paschatia Melchiorriego, witających gości w zastępstwie zajętego wypełnianiem obowiązków sekretarza stanu kardynała Fabrizia, nie doszło do tego rodzaju incydentów.

Kiedy starałem się odgadnąć, do kogo należy herb widoczny na nadjeżdżającej karecie, w dali dostrzegłem kurz unoszący się nad następnymi powozami. Byłem pełen uznania dla kardynała, że postanowił urządzić wesele siostrzeńca w ogrodach za miastem. Po zachodzie słońca na wzgórzu Janikulum panował bowiem przyjemny chłód, o czym mogłem sam się przekonać, gdyż przychodziłem tu dość często. Moje skromne gospodarstwo znajdowało się w pobliżu, za bramą San Pancrazio. Razem z żoną Cloridią hodowaliśmy na potrzeby kuchni w rezydencji warzywa i owoce w naszym ogrodzie. Czasami majordom zlecał mi drobne naprawy, zwłaszcza wówczas, gdy wiązało się to z wejściem na dach lub strych, co przychodziło mi z łatwością ze względu na niski wzrost. Wzywał mnie też, gdy brakowało rąk do pracy, tak jak z okazji wesela, kiedy w przygotowaniach uczestniczyli także służący z pałacu Spada. Nawiasem mówiąc, kardynał skorzystał z tego, że pałac w mieście opustoszał, i zarządził odmalowanie ścian, między innymi w alkowie młodej pary.

Od dwóch miesięcy pomagałem ogrodnikowi spulchniać ziemię, sadzić kwiaty, przycinać je i pielęgnować. Miałem dużo pracy, posiadłość musiała bowiem sprawić jak najlepsze wrażenie na weselnikach. Pojazd, otoczony niewielką kolumnadą, zdobiły rośliny, wijące się dekoracyjnie wokół kolumnienek oraz kapiteli i oplatające delikatne zwieńczenia arkad. Pospolite szpalery winorośli wzdłuż alei wjazdowej zostały zastąpione przepięknymi kwietnikami. Mur wokół ogrodu pomalowano na

zielono, zaznaczając na nim nieistniejące okna. Zgodnie ze wskazówkami ogrodnika starannie skoszono trawę wokół zabudowań. Trawnik wyglądał teraz tak pięknie, że miało się ochotę stąpać po nim boso. Z pergoli zwieńczonej sklepieniem z gęsto splecionych pnączy unosiła się cudowna woń glicynii.

Obok pałacyku mieścił się niedawno odnowiony ogród włoski, ukryty za murem, na którym widniały malowidła z przedstawieniem pejzaży i scen mitologicznych z postaciami bóstw, puttów\* i satyrów. W ogrodzie panował przyjemny chłód, którym mógł rozkoszować się każdy, kto zapragnął chwili samotności i spokoju, z dala od niedyskretnych spojrzeń. Tu mógł podziwiać wspaniałe wiązy, topole, wiśnie, śliwy, pigwy, rzędy winorośli, platany, kasztany, granatowce, morwy, a także niewielkie fontanny, sztuki wodne, żarty perspektywiczne, tarasy i tysiące innych atrakcji.

Nieco dalej znajdował się ogród ziół leczniczych, gdzie niedawno posadzono mnóstwo przeróżnych roślin służących do sporządzania naparów, okładów, plastrów i innych medykamentów. Teren ogrodu wyznaczał starannie przycięty żywopłot z szaławii i rozmarynu o silnym, odurzającym zapachu. Na tyłach pałacyku, wzdłuż lasku, ciągnęła się aleja prowadząca do prywatnej kaplicy rodu Spada, gdzie miała się odbyć ceremonia zaślubin. Odchodziły od niej trzy wąskie alejki opadające w dół w stronę miasta. Jedna wiodła do teatru na wolnym powietrzu (wzniesionego specjalnie na tę okazję), druga do domu wiejskiego (w którym spali strażnicy, aktorzy i robotnicy), trzecia do tylnego wyjścia z ogrodu.

Od frontu biegła przez winnicę długa aleja (równoległa do alei wjazdowej) prowadząca do placu z nimfeum i dalej, do rozległego, starannie utrzymanego trawnika, na którym pod zadaszeniem z lnu stały ozdobnie intarsjowane stoły i ławki. Widok zapierał dech w piersiach. Z tego miejsca można było podziwiać nie tylko całą winnicę, ale także rzymskie mury blankowe, ciągnące się po prawej stronie aż po horyzont, wsparte na tysiącletnich masywnych, acz niewidocznych fundamentach. Nieoczekiwany, imponujący obraz niemal porażał i przyprawiał o szybsze bicie serca. Wszystkie te czarowne wspaniałości, przepełnione cudownym zapachem, były źródłem prawdziwej rozkoszy, podobnie jak poezja.

Putto - naga postać dziecięca występująca jako motyw dekoracyjny w malarstwie i rzeźbie okresu renesansu i baroku (przyj. red.).

Majątek ziemski rodu Spada przybrał więc odświętny wygląd i w niczym nie przypominał dawnej wiejskiej posiadłości, niepozbawionej uroku, ale zdecydowanie skromniejszej od okazałego pałacu przy placu Capo di Ferro. Obecnie budowla na wzgórzu Janikulum dorównywała swym wyglądem słynnym willom wzniesionym dwieście lat temu, kiedy w Rzymie działali wielcy artyści, tacy jak Giuliano da Sangallo i Baldassarre Peruzzi. Pierwszy z nich zatrudniony był przy budowie willi Chigi, drugi natomiast zaprojektował dla kardynała Alidosiego willę Magliana. W tym samym czasie Giulio Romano rozpoczął wznoszenie willi Datario Turini na Janikulum, Bramante budował watykański Belweder, a Rafael willę Madama.

Od niepamiętnych czasów w Wiecznym Mieście wielcy panowie wznosili przepyszne rezydencje wśród zieleni, dokąd udawali się, aby zapomnieć o codziennych troskach i kłopotach. Pomijając okazałe wiejskie domy starożytnych Rzymian (opiewane przez Horacego i Katullusa), z lektur i rozmów z księgarzami (a także ze starymi wieśniakami, którzy świetnie znają winnice i ogrody w mieście) dowiedziałem się, że już w połowie XVII wieku, a więc pięćdziesiąt lat przed opisanymi przeze mnie wydarzeniami, rzymscy książęta wprowadzili modę na willowe rezydencje za miastem, gdzie mogli odpocząć od trudów dnia powszedniego. W obrębie Murów Aureliańskich, albo niedaleko nich, na podmokłych polach z wolna pojawiały się letnie pałacyki otoczone winnicami i ogrodami. Te najstarsze wznoszone były za murami blankowymi z wieżyczkami (jak willa Capponich), stanowiącymi architektoniczną spuściznę po burzliwych czasach średniowiecza, kiedy książęce domy pełniły również funkcję obronną. Po kilkudziesięciu latach styl budowlany stał się bardziej subtelny, lekki. Największym marzeniem szlachcica była willa wśród winnic, ogrodów, sadów i lasków sosnowych, którymi cieszyłby oczy, nie ruszając się z fotela.

Przygotowania do ceremonii zaślubin przebiegały w radosnej atmosferze panującej w tych dniach w całym Rzymie. Rok 1700 był bowiem jubileuszowy. Ze wszystkich stron nadciągały rzesze pielgrzymów modlących się o wybaczenie grzechów i dostąpienie odpustu. Tłumy wiernych docierające drogą Romea do wzgórz wokół Rzymu, skąd widoczna

już była kopuła Bazyliki Świętego Piotra, intonowały pieśń na cześć Wiecznego Miasta, czerwonego od krwi męczenników i białego od lili świętych dziewic. Gospody, zajazdy, przytułki i prywatne domy były przepelnione gośćmi. Dniem i nocą zaułki i place przemierzali pobożni ludzie śpiewający litanie. Nocne ciemności rozświetlały pochodnie bractw zakonnych. W zamieszaniu nikogo nie przerażały głośne krzyki biczowników, raniących swe wychudłe ciała przy wtórze cichych śpiewów nowicjuszek w zamkniętych klasztorach. Pielgrzymi, dotarłszy do Stolicy Apostolskiej, nie bacząc na zmęczenie, zmierzali prosto do bazyliki, aby pomodlić się przy grobie świętego Piotra. Następnego dnia przed wyjściem z domu padali na kolana, zwracali wzrok ku niebu i żegnając się znakiem krzyża świętego, medytowali nad tajemnicą Chrystusa i Najświętszej Panny. Odmówiwszy różaniec, udawali się kolejno do czterech bazylik. Z modlitwą Czterdziestu Godzin na ustach wchodzili na kłęczkach na Święte Schody, aby dostąpić całkowitego odpuszczenia grzechów.

W czasie święta, które od czasów Bonifacego VIII ścierało do Rzymu dziesiątki tysięcy pątników, wszystko wydawało się przebiegać bez zarzutu. W rzeczywistości jednak pogodny nastrój pielgrzymów i rzymian mąciła myśl o poważnej chorobie Ojca Świętego.

Od dwóch lat papież Innocenty XII, w życiu świeckim Antonio Pignatelli, cierpiał na podagrę, która stopniowo przybierała coraz ostrzejszą formę, utrudniając wypełnianie obowiązków. W styczniu tego roku nastąpiła nieznaczna poprawa, w lutym papież mógł więc przewodniczyć konsystorzowi. Z powodu starości i ogólnego osłabienia Innocenty XII nie czuł się na siłach otworzyć Święte Drzwi. Nie mógł też odprawiać mszy dla rzeszy wiernych, napływających do Rzymu w początkach Roku Świętego. Zastąpili go w tym kardynałowie i biskupi. Zamiast papieża spowiedź w rzymskiej bazylice przeprowadził kardynał penitencjariusz. W ostatnim tygodniu lutego stan zdrowia Ojca Świętego uległ pogorszeniu, ale w kwietniu znalazł dość sił, by pozdrowić tłumy wiernych z balkonu pałacu na Monte Cavallo, w maju osobiście odwiedził cztery bazyliki, a pod koniec miesiąca przyjął wielkiego księcia Toskanii. W połowie czerwca niemal zupełnie wrócił do zdrowia. Złożył wtedy wizytę w kilku kościołach, między innymi San Pietro in Montorio, o dwa kroki od pałacu Spada.

Wiadomo było jednak, że siły Ojca Świętego nikną jak płatki śniegu w wiosennym słońcu, a letni upał nie wróżył nic dobrego. Osoby z naj-

bliższego otoczenia papieża po cichu rozpowiadały wieści o częstych atakach astenii, bezsennych nocach, nagłych, silnych bólach. Nie należało się temu dziwić, mówili kardynałowie, Ojciec Święty miał bowiem osiemdziesiąt pięć lat. Istniało zatem ryzyko, że Jubileusz roku 1700, zainaugurowany przez Innocentego XII, zakończy jego następcą. Jak twierdzili mieszkańcy Rzymu, było to wielce prawdopodobne. Niektórzy sądzili nawet, że konklawe odbędzie się w listopadzie, zdaniem innych - jeszcze w sierpniu, gdyż jak mówili najwięksi pesymiści, letnia kanikuła mogła zupełnie wycieńczyć organizm papieża.

W kurii (podobnie jak we wszystkich rzymskich domach) panowała pogodna atmosfera związana z jubileuszem. Mąciły ją jedynie złe wieści o stanie zdrowia papieża. Osobiście byłem bardzo zainteresowany tym, by Ojciec Święty miał się dobrze, ponieważ dopóki żył, miałem okazję pracować, wprawdzie sporadycznie, dla znanej, wpływowej osobistości, którą był przewielebny kardynał Fabrizio Spada, mianowany przez Ojca Świętego sekretarzem stanu. Nie mogę powiedzieć, żebym dobrze znał czcigodnego kardynała, słyszałem jednak, że był człowiekiem uczciwym, inteligentnym i przezornym. Nie bez powodu papież Innocenty XII pragnął go mieć u swego boku. Dlatego też domyśliłem się, że uroczystości w willi Spada nie będą zwykłym przyjęciem dla ważnych osób, lecz podniosłym spotkaniem kardynałów, ambasadorów, biskupów, książąt i innych wspaniałych gości. Wszystkich zaproszonych wprawia w zdumienie występy muzyków i aktorów, recytacje wierszy, przemówienia i sympozja na tle zielonej scenerii i wspaniałych dekoracji z masy papierowej, jakich nie widziano w Rzymie od czasów Barberinich.

W końcu przypomniałem sobie, że herb na pierwszej karcie należy do rodu Rospigliosich. Pod nim zwieszał się ozdobny frędzel w rodowych barwach, co oznaczało, że karetą podróżuje nie członek rodu, ale wybitny gość, protegowany Rospigliosich. Powóz właśnie mijał główną bramę. Nie ciekawiły mnie już wjeżdżające za nim karety, otwieranie drzwiczek i ceremoniał powitania. Dawniej lubiłem przyglądać się, jak lokaje przystawiają schodki dla wysiadających, służącym z koszami owoców - pierwszymi darami od gospodarza - i przysłuchiwać się mowie powitalnej mistrza ceremonii, przerywanej w połowie, gdyż zmęczeni podróżni



pragnęli jak najszybciej udać się na spoczynek. Powróciłem do pracy, nie bacząc na przybywanie kolejnych gości.

Przekopywałem grządki, wrywałem chwasty, przycinałem krzewy i żywopłoty, od czasu do czasu spoglądając na sylwetę Miasta Siedmiu Wzgórz. Z daleka, od strony podium dla orkiestry, dochodziły niesione letnim wietrzykiem dźwięki muzyki. Oslaniając dłonią oczy przed oślepiającym blaskiem słońca, w oddali dostrzegłem po lewej stronie wspaniałą kopułę Bazyliki Świętego Piotra, po prawej równie piękną kopułę kościoła SanfAndrea della Valle, pośrodku wieże Sant'Ivo alla Sapienza, Panteon, a za nimi majestatyczny pałac papieski na Kwirynale. Właśnie przycinałem krzewy, gdy na ziemi pojawił się jakiś cień. Długo mu się przyglądałem, ale nie poruszył się. Obrysowałem nożycami ogrodniczymi kształt na piasku: sutanna, peruka, kaptur... W tej samej chwili cień, jakby poddając się ruchowi mojej ręki, odwrócił się z wolna w stronę słońca, ukazując profil z haczykowatym nosem, cofniętym podbródkiem, mięsistymi wargami... Ręka mi zadrżała... Nie miałem wątpliwości.

To był Atto Melani. Nie mogłem oderwać wzroku od rysunku na piasku. W głowie czułem zamęt. Pan opat Melani... Pan Atto. Cień cierpliwie czekał. Ile to już lat minęło? Szesnaście? Nie, siedemnaście. Od niemal siedemnastu lat opat Melani nie dawał znaku życia, a teraz stał za mną, przysłaniając swoim cieniem mój cień. Czas jakby stanął w miejscu. Przez głowę przebiegały mi tysiące wspomnień i myśli. Wyprostowałem się i powoli odwróciłem do tyłu. Moje źrenice stopniowo przyzwyczajały się do ostrego słonecznego światła. Miałem przed sobą opata. Podpierał się laską, nieco bardziej zgarbiony niż wtedy, kiedy widzieliśmy się ostatnio. W kapturze i sutannie, dokładnie takiej, jaką miał na sobie, kiedy się poznaliśmy, przypominał ducha minionej epoki. Widząc moje zaskoczenie, oznajmił w najbardziej naturalny sposób:

- Muszę trochę odpocząć, dopiero przyjechałem. Zobaczymy się później. Przyślę po ciebie. - To powiedziawszy, oddalił się w kierunku pałacyku, rozplywając się w blasku słońca jak duch.

Oniemiałem ze zdumienia. Nie wiem, jak długo stałem tak bez ruchu, niczym marmurowy posąg pośrodku ogrodu, obojętny na ożywcze po-

wiewy wiatru. Po chwili serce przeszył mi ból, jak zawsze, gdy wspominałem o opacie Melanim.

Listy, które słałem do niego do Paryża, pozostawały bez odpowiedzi. Regularnie odwiedzałem oddział poczty francuskiej, w nadziei, że nadeszły wieści od opata. W końcu pogodziłem się z jego milczeniem. Lada dzień spodziewałem się informacji następującej treści: „Z wielkim żalem donosimy o śmierci opata Atta Melaniego...” Tymczasem cisza, żadnych wiadomości, aż do dziś. Jego nagłe pojawienie się odebrało mi mowę. Trudno w to uwierzyć, ale Melani, znamienity gość Rospigliosich, przyjmowany z honorami w willi Spada, przyszedł najpierw do mnie, zwykłego wieśniaka. Przyjaźń, jaką mnie darzył, przetrwała mimo dzielącej nas odległości i upływu czasu. Skończywszy pracę, dosiadłem muła i pośpieszyłem do domu. Nie mogłem się doczekać, żeby o wszystkim opowiedzieć Cloridii. W drodze powtarzałem sobie, że nie ma nic dziwnego w nieoczekiwanym pojawieniu się opata. Uczynił to w typowy dla siebie sposób. Ogarnęło mnie wzruszenie, gdy jak przez mgłę przypomniałem sobie zwierzenia Melaniego i nasze niebezpieczne wyprawy przed laty...

Wspominając tamte chwile, zastanawiałem się, jak Atto mnie tu odnalazł. Powinien był raczej szukać przy via dell'Orso, w domu, w którym dawniej mieściła się gospoda „Donzello”. Tam wtedy pracowałem i tam się poznaliśmy. Ale on, najwidoczniej zaproszony przez kardynała Spadę na ślub siostrzeńca, przyszedł prosto do mnie, tak jakby doskonale wiedział, gdzie mnie znaleźć. Kto mu o tym powiedział? Nikt z mojego otoczenia nie wiedział o naszej znajomości, nie mówiąc o tym, że moja skromna osoba nie była przedmiotem niczyjej uwagi. Poza tym nie mieliśmy wspólnych znajomych. Łączyła nas jedynie przygoda, jaką przeżyliśmy siedemnaście lat temu w „Donzello”. Utrwaliłem ją najpierw w krótkim pamiętniku, a następnie dokładnie opisałem w dzienniku, z którego jestem bardzo dumny. Kilka miesięcy temu, podejmując kolejną próbę odnowienia naszej znajomości, wspominałem o nim w liście do Atta.

Jadąc na grzbiecie muła, powróciłem w myślach do tamtych odległych wydarzeń: epidemii dżumy, zatrutej krwi szczurów, wędrówek podziemia, bitwy pod Wiedniem, knozań władców Europy... Podczas bezsen-

nych nocy często zaglądałem do dziennika, w którym wszystko dokładnie opisałem. Nie robiły już na mnie wrażenia podłe czyny i oszustwa Melaniego, a końcowe strony tekstu wręcz podnosiły na duchu i wprawiały w pogodny nastrój. Pisałem bowiem o miłości mojej Cloridii, która, dzięki Bogu, przez cały ten czas była ze mną, o pracy w polu, o zajęciach w willi Spada, gdzie nikt mnie nie znał i nie miał pojęcia o moich przeżyciach. No, tak, willa Spada...

Nagle zaświtała mi pewna myśl. Ponagliłem muła, aby czym prędzej dotrzeć do domu.

Wszystko zrozumiałem.

Cloridii nie było. Pobiegłem do kufru z książkami, opróżniłem go, przesunąłem ręką po dnie. Dziennik zniknął.

- Złodziej, drań, oszust! - wycodziłem przez zęby. - Jestem skończonym idiotą!

Popeliłem błąd, pisząc Melaniewi o dzienniku. Na jego stronach uwieczniłem wiele sekretów i dowodów zdrady opata. Gdy dowiedział się o istnieniu moich wspomnień - niestety, pojąłem to zbyt późno - nasłał na mnie zbója. Dokonanie kradzieży w domu, którego nikt nie pilnował, było dziecinną igraszką. Przeklinałem Arta, siebie samego i złodzieja dziennika. Czegóż jednak mogłem się spodziewać po kimś takim jak Atto? Śpiewak kastrat, szpieg Francuzów - te słowa mówiły o nim wszystko.

Śpiewacza kariera Melaniego dawno przeminęła, ale za młodu był słynnym sopranem. Koncertując na europejskich dworach, z łatwością prowadził swoją szpiegowską działalność. Podstęp, kłamstwo i zdrada były dla niego chlebem powszednim, a spisek, zabójstwo i zasadzka - nieodłącznymi towarzyszami. Potrafił każdemu wmówić, że fajka, którą trzyma w dłoni, jest pistoletem, ukrywać prawdę, nie posuwając się do kłamstwa, wzruszyć się (i innych) z czystego wyrachowania. Znał z praktyki sztukę śledzenia i kradzieży. Trzeba przyznać, że był obdarzony niezwykłą bystrością umysłu. Doskonale znał się na polityce i, co dobrze pamiętam, docierał do najskrytszych tajemnic koronowanych głów i rodów królewskich. Co więcej, potrafił zajrzeć w głąb ludzkiej duszy i przeniknąć człowieka na wskroś. Swoimi błyszczącymi oczami zjednywał sympatię rozmówców, a wymownością - ich szacunek. Jednak wszystkie

te wspaniałe zalety służyły mu do niecnych celów. Wyjawiając komuś sekret, czynił to tylko po to, żeby przeciągnąć go na swoją stronę. Wypełniając misję, na uwadze miał jedynie własny interes. Obiecywał mi przyjaźń - myślałem ze złością- a pragnął wyciągnąć z niej korzyść dla siebie. Czy miałem na to dowód? Tak, był nim obojętny stosunek Melaniego do dawnych przyjaciół. Nie odzywał się do mnie przez siedemnaście lat, a teraz, jak gdyby nigdy nic, ponownie prosił o przysługę. Nie, panie Atto, nie jestem tym niedojrzałym chłopcem sprzed siedemnastu lat - miałem ochotę powiedzieć, patrząc mu prosto w oczy. Dorosłem, nabrałem doświadczenia. Nie peszą mnie już wielcy panowie. Odnoszę się do nich z szacunkiem, ale nie pozwalam się wykorzystywać. Choć z powodu niskiego wzrostu nadal wyglądam jak chłopiec, czuję się silnym człowiekiem. Nie jestem już tym zahukanym posługaczem, którego Atto poznał wiele lat temu. Nie, nie pochwalałem postępowania Melaniego, a przede wszystkim nie mogłem tolerować kradzieży mojego dziennika.

Położyłem się na łóżku, żeby odpocząć i uwolnić od przykrych myśli. Próbowalem zasnąć, ale bezskutecznie. Przypomniałem sobie, że Cloridia nie wróci na obiad. Jak każda dobra akuszerka (którą została po kilkuletniej praktyce), odwiedzała ciężarne kobiety. Towarzyszyły jej moje ukochane dziewczątka, nasze córeczki. Nie były już takie małe: jedna miała dziesięć lat, a druga sześć. Zawsze chodziły z matką (którą uwielbiały). Uczyły się od niej trudnej sztuki odbierania porodu i w razie potrzeby służyły pomocą: podawały olejki, ręczniki, nożyczki i nici podczas przecinania pępowiny lub wyciągania łożyska. Moje dziewczątka, nieodstępujące matki na krok, wypełniały radością nasz dom, który bez nich byłby pusty i smutny jak moje dzieciństwo znajdy.

Myśli nie dawały mi zasnąć. Nie znalazłszy pociechy w pustym małżeńskim łóżku, poczułem się samotny. Po godzinie wstałem, ale nie zjadłem obiadu, nie byłem głodny. Postanowiłem wrócić do pracy. Odpoczynek, choć krótki, dał pożądany efekt, przestałem bowiem myśleć o opacie Melanim. Jego pojawienie się wywołało we mnie mieszane uczucia. Nie wiedziałem, czy mam się z tego powodu cieszyć, czy martwić. Przybywając tak niespodziewanie, zburzył mój spokój, ale postanowiłem teraz o tym nie myśleć. Powiedział, że mnie wezwie. Zanim to nastąpi, mogę zająć się czymś innym. Majordom polecił mi wyczyścić wolierę, choć nigdy przedtem tego nie robiłem. Służący, który zazwyczaj się tym zajmował, coraz częściej leżał w łóżku z powodu brzydkiej, niegojącej się

rany na stopie. Wszystko wskazywało na to, że jeszcze nieraz będę musiał go zastąpić. Wziąłem jedzenie dla ptaków i udałem się do woliery.

Czytelnik nie powinien się dziwić, że w posiadłości kardynała Spady znajdowało się coś tak egzotycznego jak woliery. Zamożni rzymianie prześcigali się w tego typu atrakcjach. Kardynał z rodu Medyceuszy sprowadził do willi na Pincio niedźwiedzie, lwy i strusie. U Borghesów i Pamphilich żyły na wolności jelenie i daniela. W czasach Leona X po ogrodach watykańskich spacerował słoń o imieniu Annone. Aby zadziwić gości, Pamphilowie urządzali palio - wyścigi konne w historycznych strojach, kawalerowie maltańscy i Costagutiowie grę w bilard na stole wygładzonym mydłem lub obitym suknem, a Matteiowie - bilard na wolnym powietrzu. Rozrywki pozwalały przezwyciężyć melancholię letnich wieczorów.

Woliera znajdowała się w ustronnym miejscu, między kaplicą a ogrodem, za rzędem drzew i wysokim, gęstym żywopłotem. Zimą docierało tu słońce, latem natomiast panował przyjemny chłód, dzięki czemu ptaki nie odczuwały skutków kanikuly. Woliera miała kształt niewielkiej budowli na planie kwadratu, z czterema narożnymi wieżami. Przykrywała ją kopuła z metalowej siatki, zwieńczona pięknymi pinaklami\* z chorągiewkami z metalu. Wrażenie przestrzenności nadawały wnętrzu freski na suficie, przedstawiające niebo, i egzotyczne pejzaże na ścianach. W wiecznie zielonych dębach, wawrzynach i krzakach rosnących w donicach ptaki mogły wic gniazda, w czterech dużych poidłach gasić pragnienie. Wolierę zamieszkiwało mnóstwo ptaków (niektóre z nich znajdowały się w oddzielnych klatkach). Słowiki, czajki, kuropatwy, frankoliny, bażanty, dzwońce, kosy, kalandry, zięby, turkawki, grubodzioby cieszyły zarówno wzrok, jak i słuch zwiedzających.

Kiedy wchodziłem ostrożnie do woliery, usłyszałem głośny trzepot skrzydeł. Ptaki, jak mi powiedziano, powinna karmić i doglądać zawsze ta sama osoba, do której z czasem przywiązują się i nabierają zaufania. Moja obecność, w miejsce znanej im osoby, wywołała ich niepokój. Gdy zapuszczałem się z wolna w głąb woliery, biegły za mną nerwowo czajki, a nad głową unosiło się niewielkie, najwyraźniej wrogo nastawione stadko ptaków. Przeszedł mnie dreszcz strachu, kiedy nagle usiadł mi na

Pinakiel - wysmukła, ozdobna wieżyczka, zakończona najczęściej kwiatonem, wieńcząca filary, portale itp. (przyp. red.).

ramieniu kos, rozkładając skrzydła, które dotykały mojej szyi. Cudem uniknąłem zderzenia z ptaszyskiem biegnącym prosto na mnie.

- Jeśli natychmiast się nie uspokoiacie, pójdę sobie i nie dam wam obiadu! - zawołałem.

W odpowiedzi usłyszałem jeszcze głośniejsze gwizdy, świsty, trzepot skrzydłami. Na pięćdziesiąt od mojej głowy szykował się kolejny niebezpieczny nalot. Schroniłem się w rogu woliery, przeczekując burzę. Troska o ptaki i woliere - pomyślałem - to zajęcie nie dla mnie. Kiedy skrzydlate bractwo wreszcie się uspokoiło, także te najbardziej zuchwałe osobniki, przystąpiłem do pracy. Umyłem poidła i napełniłem je świeżą wodą. Do wyczyszczonych karmników włożyłem liście cykorii i sałaty, wsypałem nasiona babki, ziarna pszenicy, prosa i siemienia. Potem przyniosłem trochę trawy, która dobrze nadawała się na gniazda. Kiedy rozrzuciłem to tu, to tam kawałki suchego chleba, usiadł mi na rękę młody wygłodniały ptaszek, próbując ubiec swoich towarzyszy i wykraść najlepsze kąski. Wyczyściłem żerdkę, wymiotłem ptasie odchody i skierowałem się do wyjścia, ciesząc się na myśl, że za chwilę opuszczę to pełne hałasu i przykrych woni miejsce. Właśnie zamykałem za sobą drzwi, gdy nagle usłyszałem strzał z bliskiej odległości. Serce podeszło mi do gardła. Ktoś do mnie strzelał! Instynktownie pochyliłem się, zasłaniając głowę rękami.

- Aresztować go! To złodziej! - dobiegł mnie czyjś donośny głos.

Odruchowo podniosłem rękę do góry, na znak, że się poddaję. Odwróciłem się, ale nikogo nie dostrzegłem. Pokiwałem głową i uśmiechnąłem się z politowaniem, mając na myśli moją słabą pamięć. Po chwili ostrożnie spojrzałem w górę: siedziała na swoim zwykłym miejscu.

- Dobry dowcip - skomentowałem, zamykając drzwi woliery i starając się zapanować nad drżeniem rąk.

- Powiedziałem! Aresztować! To złodziej! *Buuuum!*

Drugi wystrzał brzmiał jeszcze prawdziwiej niż pierwszy. W ten sposób dało o sobie znać najdziwniejsze stworzenie, jakie znałem: Cezar August, papuga.

W tym miejscu wypada, abym nieco więcej powiedział o naturze i zachowaniu tego oryginalnego ptaka, który odegrał dość istotną rolę w późniejszych wydarzeniach. Ze względu na swoje przymioty papuga nazywana bywa przez niektórych pisarzy „światłem ptaków”, „władcą Indii Wschodnich” i temu podobne. Pierwsze okazy przywieziono Aleksan-

drowi Wielkiemu z wyspy Taprobana, nieco później odkryto wiele innych gatunków (których jest podobno ponad sto) w Indiach Zachodnich i na Kubie. Jak wiadomo, papuga słynie z umiejętności naśladowania ludzkiego głosu i innych dźwięków. Przed laty w Rzymie szczególne zdolności w tym kierunku wykazywały papugi Jego Ekscelencji kardynała Madruzzo oraz kawalera Cassiana Dal Pozzo, którego pupilka niezbyt dobrze potrafiła naśladować głos człowieka, ale za to umiała miauczeć jak kot i szczekać jak pies. Niektóre papugi doskonale imitowały głosy innych ptaków, i to wielu gatunków. Za granicami Państwa Kościelnego do dziś wspomina się papugę Jego Wysokości księcia Sabaudii, która mówiła bardzo płynnie. Papuga kardynała Colonna potrafiła ponoć wyrecytować całe *Wyznanie wiary*. W posiadłości Barberinich, obok willi Spada, niedawno pojawiła się biało-żółta papuga tego samego gatunku co Cezar August i podobno była tak samo gadatliwa jak on.

Cezar August zdecydowanie przewyższał zdolnościami swoich współpracowników. Doskonale naśladował ludzki głos, nawet tych osób, które znał od niedawna i rzadko słyszał ich mowę. Perfekcyjnie imitował ton ich głosu, intonację, akcent, a nawet drobne wady wymowy. Potrafił odtworzyć odgłosy natury, takie jak grzmot, szmer strumyka, szelest liści, wycie wichru, szum morskich fal. Dobrze naśladował też szczekanie psa, miauczenie kota, muczenie krowy, rżenie osła i konia, a także, ma się rozumieć, głosy innych gatunków ptaków i zwierząt. Wiernie oddawał skrzywienie zawiasów, zbliżające się kroki, wystrzały z pistoletu i rusznicy, stukot końskich kopyt, trzaśnięcie drzwiami, krzyki wędrownych sprzedawców, płacz dziecka, szcęk szpad skrzyżowanych w pojedynku, wszelkie odcienie śmiechu i płaczu, podzwanianie sztućców, talerzy i kieliszków i tak dalej. Zdawać by się mogło, że dla Cezara Augusta cały świat był jednym wielkim polem ćwiczeń, na którym codziennie szkolił swój talent imitatora. Miał też bardzo dobrą pamięć, prześcigając pod tym względem wielu ludzi, potrafił bowiem odtworzyć głosy i szmery zasłyszane kilka tygodni wcześniej. Nikt nie znał jego wieku. Niektórzy twierdzili, że ma lat pięćdziesiąt, zdaniem innych - siedemdziesiąt. Wszystko było możliwe, zważywszy, że papugi są długowieczne i niezrędko żyją ponad sto lat, a więc dłużej niż ich właściciele. Cezar August, który dzięki swemu niezwykłemu talentowi mógł się stać najsłynniejszą papugą wszech czasów, miał jednak pewną wadę. Od wielu już lat (nikt nie pamięta, od ilu) ptak z willi Spada nie wydał żadnego głosu, krótko mówiąc, udawał, że jest niemy.

Na nic zdały się prośby i groźby, nawet okrutna głódówka, której podano papugę na osobiste polecenie kardynała Spady, nie nakłoniła jej do mówienia. Cezar August uparcie milczał. Nikt oczywiście nie znał powodu takiego zachowania. Podobno Cezar August należał wcześniej do zmarłego przed czterdziestu laty Virgilia Spady, wuja kardynała Fabrizia. To właśnie Virgilio, miłośnik antyków i kultury klasycznej, nazwał papugę imieniem słynnego rzymskiego cesarza. Bardzo kochał swojego pierzastego przyjaciela, a służący szeptali, że po jego śmierci Cezara Augusta ogarnął bezbrzeżny smutek. Czyżby to żal po stracie pana sprawił, że przestał mówić? Istotnie, można było odnieść wrażenie, że ptak ślubował milczenie do czasu, aż jego pan wróci.

Wiedziałem jednak, że to nieprawda. Cezar August mówił, i to jak! Byłem tego świadkiem, tyle że jedynym. W mojej obecności gadał. Może dlatego, że darzył mnie sympatią, ponieważ tylko ja dobrze go traktowałem. Nie kłujęm patykami, nie rzucałem w niego kamykami, aby zmusić do mówienia, jak to czyniła służba. Zachęcałem ptaka do wydania jakiegos odgłosu, jak umiałem, przysięgałem, że kilka minut wcześniej, kiedy byliśmy sami, Cezar August mówił. W obecności osób trzecich milczał, patrząc na wszystkich z lekceważeniem. Naraził mnie na wstyd. Po kolejnych nieudanych próbach nikt mi już nie wierzył. Papuga jest niema - mówili służący, klepiąc mnie po ramieniu - i nigdy nie mówiła. W miarę jak umierali starzy służący rodu Spada, przemijała pamięć o wyczynach papugi. Byłem zatem jedyną osobą, która wiedziała, do czego jest zdolny ten duży biały ptak z żółtym czubem.

Właśnie tego dnia Cezar August dał dowód swoich umiejętności. Słyszając strzały z pistoletu i głos żandarma (jednego z wielu, których papuga miała okazję słyszeć w Rzymie), przestraszyłem się nie na żarty. Zastanawiające, gdzie słyszał odgłosy wystrzałów. Od samego początku cieszył się pewnym przywilejem: nie był zamknięty z innymi ptakami i miał oddzielną małą wolierę, wyposażoną w drążek i pojemnik na ziarno. Stąd fruwał sobie, gdzie chciał, często w ogrodzie, czasem gdzieś dalej, skąd nie wracał całymi tygodniami. Krążąc po mieście, wzbogacał swój repertuar o nowe dźwięki, których później wysłuchiwałem tylko ja.

- *Dona nobis hodie panem cotidianum* - wyrecytował kilka razy Cezar August, naśladując księdza odmawiającego modlitwę.

- Mówiłem ci setki razy, żebyś nie bluźnił - upomniałem ptaka. -W przeciwnym razie... Aha! Wiem już, o co ci chodzi. Masz rację.



Dałem bowiem jeść i pić najpierw innym ptakom, a dopiero na końcu papudze. Cezar August poczuł się urażony. Chodziło mu jednak o coś innego. Zawsze miał apetyt i jadał wszystko: chleb, twarożek, zupy (zwłaszcza z dodatkiem wina), kasztany, orzechy, jabłka, gruszki, czereśnie, ale wprost przepadał za czekoladą. Po uczcie w willi Spada zostawało kilka łyków tego napoju, pozwalano więc Cezarowi Augustowi zanurzyć w nim dziób i kosztować drogiego egzotycznego smakołyku. Do tego stopnia lubił czekoladę, że potrafił przymilać się o nią (co było czymś wyjątkowym, zważywszy na jego charakterek), aż w końcu dostawał to, o co prosił.

Właśnie zmieniałem mu wodę i dosypywałem owoców i ziaren, kiedy nagle usłyszałem odgłos zbliżających się kroków.

- Chłopcze, ty jeszcze tutaj? - zdziwił się jeden z majordomów. -Ktoś o ciebie pytał. Czeka przy schodach na tyłach domu.

- No już, już, nie płacz! Wróciłem! Atto Melani to twardy zawodnik! - zawołał opat, chwytając mnie za ręce i potrząsając nimi.

- Wcale nie płaczę...

- Nic nie mów! Wszystkiego się o tobie dowiedziałem: masz dwie piękne córeczki. Jak mają na imię? Naprawdę bardzo się cieszę... - wyszeptał mi do ucha, czule obejmując.

Dwie młode wieśniaczki przyglądały się nam podejrzliwie.

- To niebywałe! Jesteś ojcem! - ciągnął Melani. - Nadzwyczajne! Nie wyglądasz na ojca, nic się nie zmieniłeś...

Nie bardzo wiedziałem, czy opat prawi mi komplementy, czy obraża. W końcu udało mi się uwolnić z uścisku i cofnąć o krok. Opadłem z sił, jakbym przed chwilą stoczył walkę. Nie wierzyłem własnym oczom: Atto był tak podniecony, jakby ugryzła go tarantula. Kiedy nadchodziłem, na pewno przyjrzał mi się uważnie i dostrzegł, że na jego widok zmarszczyłem brwi. Dlatego zachowywał się tak przymilnie, obejmując mnie i głaszcząc po głowie.

Bagatelizując moje chłodne powitanie, wziął mnie pod rękę i poprowadził alejką spacerową w głąb ogrodu.

- Opowiedz mi, chłopcze, co się z tobą działo przez te wszystkie lata -

powiedział cicho, kiedy skręciliśmy w aleję akacjową, przy której krzatali się ogrodnicy.

- Z pewnością wszystko pan już o mnie wie... - odparłem, myśląc o kradzieży dziennika, w którym opisałem także ostatnie wydarzenia z mojego życia.

- Wiem, wiem - przerwał mi, przyjmując ojcowski ton. Zatrzymał się przed fontanną, która z okazji mających się odbyć uroczystości została wyposażona w podwyższenie i zmieniona w fantastyczną konstrukcję. Zamiast misy z dużą kamienną szyszką, z której zwykle biła woda, widniał teraz imponujący tryton, przymocowany ogonem do skały. Bóstwo dęło w dużą konchę, z której wylewała się promieniście woda, opadając w dół z melodyjnym szmerem. Całe nimfeum zdobiły rośliny wodne o białych kwiatach, unoszące się leniwie na powierzchni wody.

Atto przyglądał się z zainteresowaniem trytonowi i grom wodnym.

- Piękna fontanna - stwierdził. - W willi rodu Este w Tivoli były kielichy wodne organy. Później takie same powstały w ogrodach Kwirynału i w willi Aldobrandinich we Frascati, a także we Francji z polecenia Franciszka I. Naśladowały dźwięk trąb i śpiew ptaków. Wystarczyło dmuchnąć w metalowe piszczałki, umocowane w glinianych dzbanach wypełnionych wodą i częściowo zakrytych.

Melani obszedł fontannę dookoła. Postać chwilę po drugiej stronie nimfeum, obserwując tryskające w górę strumienie wody, i wrócił do mnie.

- Widok starego znajomego, którego uważałeś za zmarłego, z pewnością cię poruszył - rzekł. - Zapewniam cię jednak, że z czasem oswoisz się z moją obecnością i pozwolisz odświeżyć dawną przyjaźń.

- Z czasem? Jak długo zatrzyma się pan w Rzymie? - zapytałem. Obawiałem się, że znowu wciągnie mnie w jakieś podejrzone intrygi.

Atto spojrział na mnie spod półprzymkniętych powiek, po czym przeniósł wzrok na fontannę i dalej, na horyzont, jakby obmyślał odpowiedź. Skorzystałem z okazji, aby przyjrzeć mu się dokładniej. Miał obwisłe policzki, zmarszczki na czole i wokół ust, błękitne żyłki na skroniach, zapadnięte, małe oczy o nieco pożółkłych białkach, ale nadal bystrym spojrzeniem. Najbardziej bezlitośnie czas obszedł się z jego szyją. Gruba warstwa maści cynkowej nadawała jego twarzy wygląd zjawy. Dłonie, częściowo zasłonięte koronkami rękawów, były pomarszczone, pokryte brunatnymi plamami.

Siedemnaście lat temu Melani był człowiekiem w podeszłym wieku, ale pełnym werwy. Teraz miałem przed sobą staruszkę. Atto milczał, jakby nie

dostrzegając mojego badawczego spojrzenia. Wsparłszy dłoń na moim ramieniu, patrzył na bezchmurne niebo. Wydawał się bardzo zmęczony.

- Jak długo tu pozostanę? - powtórzył moje pytanie. - No tak, słusznie, muszę się nad tym zastanowić...

Sprawiał wrażenie zdzienniałego. Dotarliśmy do pergoli z glicynii. Jej chłodny cień nieco nas orzeźwił. Lipiec był bardzo ciepły i nawet noce nie dawały wytchnienia od upału.

- Nareszcie trochę cienia. Bogu dzięki! - westchnął Atto, siadając na ławce i wycierając spocone czoło chusteczką z białego jedwabiu, obszytą koronką. Podniósł się, zerwał kwiat glicynii, zbliżył do nozdrzy i usiadł ponownie, rozkoszując się jego przepiękną wonią. Nagle klepnął mnie w policzek i roześmiał się. - To cudowne! Jak dawniej zadajesz mi te swoje głupie pytania! Wcale się nie zmieniłeś. Jak długo pozostanę w Rzymie? Odpowiedź jest prosta, mój chłopcze: zatrzymam się w willi Spada przez tydzień, na czas uroczystości, a z Rzymu nie wyjadę aż do konklawe. Przejdźmy się jeszcze i już o nic mnie nie pytaj. - Zerwał się z ławki i wziął mnie energicznie pod ramię.

Diabeł wcielony z tego Melaniego - pomyślałem poirytowany i rozba-  
wiony zarazem. Przed minutą wydawał się zdzienniałym starszkiem,  
a teraz proszę - porusza się jak młodzieniec. Nigdy nie zdołałem od-  
gadnąć, jaki jest naprawdę.

- Panie Atto! - powiedziałem głośno. - Nie ośmieliłbym się panu uchy-  
bić, ale wczoraj spotkał mnie jeden z najgorszych afrontów w życiu i...

- Przykro mi to słyszeć. Co ci się przytrafiło? - zapytał jakby od-  
niechcenia, wachając glicynie i palcami drugiej dłoni pukając w rączkę  
laski.

- Zostałem okradziony. Rozumie pan? O-kra-dzio-ny - wycedziłem  
ze złością przez zęby.

- Powiem ci na pociechę - oznajmił wyniośle - że mnie także to spo-  
tkało. Jakieś trzy lata temu w klasztorze sióstr kapucynek na Monte  
Cavallo skradziono mi trzy złote pierścienie wysadzone szlachetnymi ka-  
mieniami, diament w kształcie serca, księgę w ozdobnej oprawie ze złota,  
lazurytu, rubinów i turkusów, płaszcz z wielbłądziej wełny, rękawiczki,  
wachlarze, pastylki odświeżające oddech, lak...

- Niech pan przestanie! - przerwałem mu niecierpliwie. - Proszę nie  
udawać, że nie wie pan, o co chodzi. To pan ukradł mi dziennik z opisem  
wydarzeń sprzed siedemnastu lat. Tylko pan wiedział o jego istnieniu.  
Zaufałem panu i oto jak mi się pan odwdzieczył!

Atto zachował spokój. Położył glicynie na żywopłocie, nie przestając pukać palcami w srebrną gałkę laski. Pozwolił, bym mówił dalej.

- Nawet przez chwilę nie pomyślał pan o mnie! O człowieku, który pana oplakiwał, wielokrotnie do pana pisał i błagał o odpowiedź! Pan martwił się tylko tym, iż ktoś mógłby przeczytać mój dziennik i odkryć, że jest pan intrygantem, że wykrada pan sekrety uczciwych ludzi, zdradza przyjaciół, że jest pan zdolny do wszystkiego i że... że... nic nie jest w stanie pana powstrzymać.

Wierzchem dłoni wytarłem pot z czoła, dysząc ze wzburzenia. Atto podał mi swoją jedwabną chusteczkę, trzymając ją delikatnie dwoma palcami. Wzięłam ją i przyłożyłem do czoła. Byłem wyczerpany.

- Skończyłeś? - zapytał chłodno.

- Jestem oburzony pańskim postępkami. Żądam zwrotu dziennika! - wybąkałem, przeklinając samego siebie za to, że znowu zachowuję się jak posługacz, którym byłem siedemnaście lat temu.

- Zapewniam cię, że dziennik znajduje się w bezpiecznym miejscu w Paryżu, dobrze ukryty, tak aby nikt nie umieścił na nim formuły *impri-matur*.

- Zatem przyznaje pan, że jest złodziejem.

- Złodziejem, złodziejem... - powtórzył opat z ironią w głosie. - Lubisz mocne słowa, ale styl masz całkiem niezły. Dobrze się bawiłem, czytając twoją opowieść. Trochę jednak przesadziłeś i napisałeś coś, co mogło mi zaszkodzić. Poza tym zachowałeś się naiwnie, informując mnie o istnieniu dziennika.

- To prawda, teraz tego żałuję.

- Jak już mówiłem, przeczytałem twoją pracę z dużym zainteresowaniem. Niektóre fragmenty są naprawdę bardzo dobre. Nieźle piszesz, trochę naiwnie, ale nie nudnie. Szkoda, że nie wspomniałeś o swoich dzieciach, ale rozumiem cię. Jasne chwile twojego obecnego życia nie mają żadnego związku z przeszłością. Słusznie postępujesz, trzymając swoje córki z daleka od tej ponurej historii.

Uparcie milczałem, pragnąc dać Melaniemu do zrozumienia, że nie chcę rozmawiać z nim o moich córeczkach.

- W ostatnich latach czytałeś zapewne dużo książek, gazet, wierszy... - powiedział, zmieniając temat.

- Tak, panie Atto - odparłem. - Kupuję i chętnie czytuję książki z zakresu historii, polityki, teologii, żywoty świętych. Spośród poetów najbardziej lubię Chiabrerę, Achilliniego, Filicaję... Gazet nie czytam.

- Doskonale! Będziesz mi potrzebny.
- Do czego?
- Czy pokazywałeś komuś swój dziennik?
- Nie.
- Czy istnieją jego kopie?
- Nie, nie miałem czasu, żeby go przepisać. Dlaczego pan o to pyta?
- Wystarczy tysiąc? - zapytał znienacka.
- Nie rozumiem.
- W porządku, niech będzie tysiąc dwieście rzymskich skudów, ale ani jednego skuda więcej! A pamiętniki mają być dwa!

W ten oto sposób opat Melani kupił mój dziennik, w którym opisałem nasze pierwsze spotkanie i wszystkie późniejsze wydarzenia. Za tę sumę nabył też drugi dziennik, a właściwie kronikę jego pobytu w willi Spada, która miała dopiero powstać.

- Tu? W tej willi? - zapytałem z niedowierzaniem.
- Właśnie. Twój pan jest sekretarzem stanu, zbliża się konklawe. Sądzisz, że kwiat rzymskiej arystokracji i dostojnicy kościelni, nie mówią o ambasadorach, zbierają się tu wyłącznie dla rozrywki? Partia szachów, jaką jest konklawe, już się rozpoczęła, a w willi Spada przestawione zostaną bardzo ważne pionki, zapewniam cię.
- Domyślam się, że nie zechce pan stracić żadnego ruchu.
- To mój zawód - odparł bez cienia skromności. - Nie zapominaj, że dzięki mnie słynny ród Rospigliosich z Pistoii, którego mam zaszczyt być gościem, ma w poczcie swoich członków papieża.

Przypomniałem sobie, jak przed siedemnastu laty Atto chwalił się, że to on przyczynił się do wyboru papieża Klemensa IX Rospigliosiego.

- Tak więc, chłopcze - oznajmił Atto - napiszesz dla mnie kronikę, w której uczciwie zrelacjonujesz wszystko, co zobaczysz i usłyszysz, do dając to, co uznam za stosowne. Następnie przekażesz mi manuskrypt, nie sporządzisz przedtem jego kopii. Nie napiszesz też kroniki ponownie. Oto moje warunki. Na razie to wszystko.

Zawahałem się.

- Nie jesteś zadowolony z mojej propozycji? Gdyby nie istnieli pisarze, sławni ludzie umarliby dla potomnych, a pamięć o ich cnotach zostałaby pogrzebana na wieki wieków. Zapisana w księgach, nie zginie - powiedział opat uroczystym, a zarazem łagodnym tonem.

Racja - pomyślałem.

- Jak mawiał wybitny filozof Anasacro - kontynuował Melani swoją przemowę - jedną z najważniejszych rzeczy w życiu jest dobre wykonywanie swojego zawodu. Nawet jeśli wiele osób specjalizuje się w tej samej materii, tylko ci, którzy wykonują swoją pracę najlepiej, godni są po chwały, a sława o nich trwać będzie po wsze czasy.

Opat Melani pragnął mieć, o ile dobrze zrozumiałem, swego rodzaju biografa, który opíše jego czyny. A to oznaczało, że zamierza wykonać ich wiele - pomyślałem z niepokojem, pamiętając o wyjątkowej zaradności Atta.

- ...Z tej właśnie przyczyny - ciągnął Atto z patosem - w młodości dużo się uczyłem, a w dojrzałym życiu wcielałem nabytą wiedzę w życie. Teraz zrobię wszystko, aby świat o mnie nie zapomniał. Służyłem ksiądzom i innym wielkim ludziom słowem, radą i czynem. Jako doświadczony dyplomata pisałem dla nich relacje. Wielu z nich korzystało i do dziś korzysta z moich usług.

Nie wszystkim to się opłaciło - powiedziałem do siebie w duchu, na myśl o łatwości, z jaką Melani porzucił służbę u jednego pana na rzecz drugiego.

- A na dowód mojej prawdomówności - oświadczył z emfazą opat, jakby odgadując moje myśli - podyktuję ci kilka pięknych fragmentów, które z pewnością zainteresują czytelników kroniki.

Zważywszy, że mieliśmy na utrzymaniu dwie córki, pieniądze obiecane przez opata były dla mnie i Cloridii prawdziwym błogosławieństwem. Zgodziłem się więc, żeby Melani zapłacił mi za skradziony dziennik. Doskonale wiedziałem, że i tak nigdy bym go nie odzyskał.

- Mam tylko jedną uwagę, panie Atto - powiedziałem. - Obawiam się, że jako kronikarz nie stanę na wysokości zadania.

W rzeczywistości drzałem na myśl, że pewnego dnia tłumy arystokratów i wybitnych osobistości będą czytać moją pracę. Atto rozumiał moje obawy.

- Boisz się czytelników. Ze strachu wolałbyś nadal pracować w polu, prawda? - rzekł, zatrzymując się, żeby zerwać śliwkę.

Odpowiedź wyczytał w moim spojrzeniu.

- A zatem w przedmowie zamiast „Łaskawy Czytelniku” napiszesz „Złośliwy Czytelniku”.

- Dlaczego?

Melani wziął głęboki oddech, przybrał mądrą minę i, wycierając śliwkę koronkową chusteczką, rozpoczął przemowę:

- Trzeba ci wiedzieć, że przed wielu laty dałem do druku kilka prac. Zgodnie z przyjętym zwyczajem przeproszałem „łaskawych czytelników” za błędy, które z mojej winy mogły znaleźć się w tekście. Teraz jednak, nauczony doświadczeniem, wiem, że kiedy „łaskawi czytelnicy” uważnie czytają czyjś tekst, potrafią dostrzec jego zalety. A jeśli tekst jest ich pozbawiony, zadowolają się dobrą wolą autora. Lepiej zatem dedykować książkę „złośliwym czytelnikom”, wyczulonym na najmniejsze nawet błędy.

To powiedziawszy, nadgryzł śliwkę i przyjrzał mi się z uwagą.

- Tym malkontentom (żeby użyć francuskiego słowa), złośliwcom i oszczercom, według których każda książka jest zbyt długa, każde dzieło niedoskonałe, każde pojęcie błędne, a trud zbyteczny, mówię, żeby nie czytali moich dzieł, żeby nawet nie brali ich do ręki. Im bardziej bowiem będą krytykować moje książki, tym życzliwsi okażą się pozostali czytelnicy. Wiesz, co odpowiadam, kiedy któryś z tych złowieszczych kruków wygłasza pod moim adresem złośliwe uwagi?

Spojrzałem na opata pytająco.

- Odpowiadam: Jeśli czcigodnemu panu moje dzieło wydaje się za długie, niech przeczyta tylko połowę; jeśli za krótkie, niech dopisze aneks; jeśli zbyt jasne, niech się cieszy, że wszystko bez trudu zrozumiał; jeśli za trudne, niech doda własny komentarz; jeśli zbyt miłątkie pod względem treści i stylu, tym lepiej - niech się zbytnio nie wynosi nad innych.

Opat przypieczętował koniec przemowy, wypluwając pestkę. Byłem pełen podziwu dla jego przenikliwości. Od Melaniego - pomyślałem - zawsze można się czegoś nauczyć.

- Nie czytałem pańskich prac, panie Atto - wyznałem - ale jestem przekonany, że są bardzo mądre.

- Bądź spokojny, złośliwcy nigdy ich za takie nie uznają, nawet przez pomyłkę - odparł opat z pełnymi ustami. - Wygłaszanie pochwał nie leży w naturze kruków. Co najwyżej stwierdzą: „Posłużył się dziełami innych autorów”. I będą mieli rację. Korzystałem ze źródeł, ale w sposób uczciwy. Wymieniałem tytuły dzieł, nazwiska twórców. Nawiasem mówiąc, nie mogę wybaczyć Arystotelesowi, że posłużywszy się pracami Hipokratesa, ani razu o tym nie wspomniał.

- Ośmielał się zauważyć - wtrąciłem, pragnąc udowodnić Melanie-

mu, że nie jestem już taki ciemny jak przed laty, przeciwnie, wiele się nauczyłem - że oszczercom tym należałoby odpowiedzieć słowami świętego Hieronima, zaczerpniętymi z *Prologu* do dzieła o świętym Mateuszu i z czwartego tomu pracy o Jeremiaszu. Otóż święty Hieronim stwierdził, że wykorzystanie dzieł Orygenesza nie przynosi mu ujmę, ale zaszczyt, gdyż pisarze starożytni postępowali podobnie. A jeśli korzystanie z prac innych autorów uznaje się za kradzież, co w takim razie powiedzieć o Enniuszu, Cecyliuszu, Plaucie, Cyceronie i Wergiliuszu? Co powiedzieć o Hilarym z Poitiers, który włączył do swoich utworów osiem tysięcy wierszy poznanych na Wschodzie?

Opat uśmiechnął się, zaskoczony i nieco rozbawiony moim oratorskim popisem, po czym pochylił się nad fontanną, żeby napić się wody.

- Jeśli się dobrze zastanowić - ciągnąłem pewnym głosem - pański wywód o złośliwych czytelnikach przywodzi na myśl stare powiedzenie, które głosi, że największym nieszczęściem porządnego człowieka jest być kochanym i chwalonym przez złych ludzi, a największym szczęściem - być przez nich znienawidzonym i krytykowanym.

- Uwielbiam, kiedy ktoś mnie poprawia - wtrącił opat, wypatrując dojrzałych czereśni - ale nienawidzę oszczerstw. Kiedy ktoś zwraca mi uwagę na popełnione przeze mnie błędy, jako filozof traktuję jego słowa jak upomnienie mistrza, jako chrześcijanin uznaję taką osobę za brata, który okazał mi serce. Ale pamiętaj, mój chłopcze! Nie zaprzataj sobie głowy ludźmi nieodpowiedzialnymi, którzy - choć nie rozumieją czytanych książek i nie zadają sobie nawet trudu, by zapamiętać ich tytuł czy obejrzeć zawarte w nich rysunki - kręcą nosem i obrzucają autora wyzwiskami, dając tym samym dowód swojej ignorancji. A jeśli jest to pisarz, jego utwory zawierają jedynie krytykę i zarzuty pod adresem innych. Aż czasem przychodzi ochota - podsumował Melani - zapytać taką osobę, który to książkę upoważnił ją do cenzurowania wszystkiego, co wpadnie jej w rękę. Przepraszam, mógłbyś zerwać tamte czereśnie?

- Ma pan rację - stwierdziłem, pełen podziwu dla bystrości opata, i wspiąłem się na drzewo. - Należy zastanowić się nad błędami i szukać właściwego rozwiązania, ale trzeba czynić to z pokorą, której uczy nas filozofia i nauka chrześcijańska.

- Dyskretne, umiarkowane poprawki są jak najbardziej pożądane - oznajmił Melani. - Żaden pisarz, nawet wybitny, nie powinien ich lekceważyć, ponieważ nikt nie jest nieomylny. Ewangelści, apostołowie, prorocy i ojcowie kościoła pisali z bożej inspiracji i dlatego każde ich słowo



jest prawdziwe. Ci natomiast, którzy tworzyli po nich, popełniali błędy, jedni mniejszej uwagi, drudzy większej. W każdym razie medyk, który pobiłby chorego zamiast go leczyć, stałby się jego katem.

Zszedłem czym prędzej z drzewa, aby włączyć się ponownie do reto-rycznego sporu, ale opat powstrzymał mnie.

- Dość już, mój chłopcze! Przestańmy popisywać się mądrością i zachowajmy pokorę! Dzieła człowieka są niedoskonałe, albowiem niedoskonały jest nasz umysł, a oszczerców w naszych nieszczęsnych czasach nie brakuje. Moja dzisiejsza nauka pomoże ci obronić dzieła, które kiedyś napiszesz, przed złośliwcami. Z woli Boga potrafimy dostrzec i naprawiać własne błędy, a inni nie powinni potępiać tego, co służy dobrem celom, gdyż obraziliby Naszego Pana.

To powiedziawszy, zaprosił mnie gestem do posmakowania czereśni. Jedząc owoce, czułem skruczę, a jednocześnie wdzięczny byłem opatowi za to, że przywołał mnie do porządku i nie pozwolił, bym uniósł się czczą pychą. Czyż nie napisano w Ewangelii: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie”?

Melani spojrział na mnie zadowolony i bez słowa wręczył mi weksel, który mogłem zrealizować u jednego z bankierów w getcie. Stało się, sprzedałem się Melanemu, oddając się do jego całkowitej dyspozycji (narzędziem zysku było dla mnie pióro). Wiedziony podziwem, odrzą i ciekawością, czując w ustach słodki smak czereśni, rozpocząłem służbę u opata.

Zawróciliśmy w stronę pałacu, przed którym stał długi rząd karet. Spełniło się to, czego się obawiano: również goście z Rzymu przybyli z dwudniowym wyprzedzeniem. Ponieważ jeszcze tego wieczoru miało się rozpocząć przyjęcie, nikt (włącznie z Artem) nie miał cierpliwości czekać na oficjalne rozpoczęcie uroczystości. Melani uważnie przyjrzał się herbom na pojazdach, aby sprawdzić, kogo jeszcze zaprosił kardynał Spada.

- Słyszałem, że mają przybyć don Livio Odescałchi i markiza Serlupi. Zaczekaj... - powiedział, dając mi znak, żebym się zatrzymał. Staliśmy w pewnej odległości od karet, starając się, żeby nikt nas nie zauważył. - Chyba poznaję tę twarz... Tak, to monsinior D'Aste - oświadczył Atto, kiedy z karety wysiadł siwy, chudy staruszek, który niemal ginął

w szatach kardynała. - Jest taki mały, wąty i mizerny, że Jego Świątobliwość nazywa go monsiuniorem Chudziłą - zaśmiał się Melani ostentacyjnie, by mi udowodnić, że zna bieżące plotki z Rzymu. - O, tam, widać całą gromadę lokajów - ciągnął. - Najwidoczniej zaraz przybędzie ktoś z rodu Barberinich lub Colonnów. Zadzierają nosa i uważają się za pępek świata. Na następnej karecie widnieje chyba godło Durazzów. To kardynał Marcello. Przyjechał z dalekiej Faenzy, gdzie jest biskupem. Powinien dobrze wypocząć przed zabawą. Jest też kardynał Bichi - oznajmił, wyrażając wzrok. - Nie sądziłem, że przyjaźni się z kardynałem Fabriziem.

- A ja nie wiedziałem, że zna pan kardynała Spadę - wtrąciłem, z rozmysłem przerywając Melanemu wyliczanie znanych mu osób.

- Nie wiedziałeś, że przez wiele lat był on nuncjuszem papieskim we Francji? Często widywaliśmy się w Paryżu. Kardynał Spada jest człowiekiem, jak by to powiedzieć, bardzo ugodowym, nie chce mieć wrogów. I ma rację, bo w Rzymie to jedyny sposób, żeby wysoko zajść. Jestem pewien, że świetnie pamięta pobyt w Paryżu, bo wtedy właśnie otrzymał kapelusz kardynalski. Jeśli się nie mylę, było to w 1676 roku. Wcześniej był nuncjuszem w Sabaudii, zdobył więc pewne doświadczenie. Wziął udział w trzech konklawe: w roku 1676, kiedy wybrano Innocentego XI, w 1689, kiedy wybrano Aleksandra VIII, i w 1691, gdy został wybrany obecny papież. Następne wybory będą dla niego czwartym konklawe. Całkiem niezłe jak na kardynała w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, nie sądzisz?

Mimo upływu lat Atto nadal uważnie śledził kariery papieży i kardynałów. Jego Wysokość Arcychrześcijański Król mógł liczyć na swojego agenta, niezbyt co prawda młodego, ale o doskonałej pamięci.

- Czy pańskim zdaniem kardynał Spada zostanie wybrany na papieża? - zapytałem w nadziei, że pewnego dnia zostanę jednym ze służących Jego Świątobliwości.

- To wykluczone, jest za młody. Mógłby panować dwadzieścia, a nawet trzydzieści lat. Na samą myśl o tym purpuraci dostaliby gorączki - zażartował Melani. - Kiedy kardynał będzie się ze mną witał, potraktuje mnie raczej chłodno. W przeciwnym razie uznano by go za sługę króla Francji. Biedni kardynałowie! Trzeba ich zrozumieć - zaśmiał się szyderczo.

W pobliżu bramy wjazdowej, gdzie spacerowaliśmy z Attem, pojawił się przygarbiony, niemal całkiem łysy staruszek z dużym koszem na plecach, wypełnionym papierami. Z kapeluszem w ręku stanął pokornie przed lokajami i o coś ich zapytał. Nie uzyskawszy odpowiedzi, został natychmiast przepędzony do wejścia dla służby, aby nie narażać znamienitych gości willi na przykry widok.

Opat podszedł do starego człowieka, dając mi znak, bym do niego dołączył. W zarękwkach i poczeriałym na brzuchu fartuchu staruszek wyglądał na rzemieślnika.

- Pan Haver, introligator z ulicy Coronari, prawda? - zwrócił się do niego Melani, wychodząc z bramy i zatrzymując się pośrodku drogi. - To ja pana wezwałem. Mam dla pana zajęcie - rzekł i wręczył staruszkowi plik kartek.

- Jaką okładkę pan zamawia?
- Z pergaminu.
- Jakież napisy na grzbiecie?
- Nie, żadnych.

Po omówieniu dalszych szczegółów Atto dał staruszkowi garść monet jako zaliczkę.

Od strony ogrodu dał się słyszeć nieopisany zgiełk.

- Łapać go! Łapać! - krzyczał ktoś wielkim głosem.

Nie wiadomo skąd pojawił się nagle jakiś człowiek. Przebiegając między nami, potracił introligatora i opata Melaniego, który przewrócił się na ziemię. Kartki, które trzymał w dłoni, rozsypały się i fruwały w powietrzu, podobnie jak papiery z kosza introligatora. Sprawca całego zamieszania przekoziółkował kilka metrów po żwirowanej alejce i usiadł oszołomiony. Naszym oczom ukazał się brudny, wymizerowany młodzieniec w podartej koszuli, z kilkudniowym zarostem i rozbieganymi, przerażonymi oczami. Przez ramię miał przewieszoną zniszczoną płócienną torbę, z której wysypało się kilka przedmiotów: skórzany portfelik, para starych skarpet i kilka zatłuszczonych kartek, znalezionych prawdopodobnie na śmietniku, gdy szukał czegoś do jedzenia lub sprzedania. Nie miałem jednak czasu, żeby się im dokładniej przyjrzeć ani udzielić Melanieniu i nieznanemu młodzieńcowi pomocy, harmider bowiem, który słyszeliśmy wcześniej, stawał się coraz głośniejszy.

- Łapać go! Trzymać! - krzyczał jakiś mężczyzna na całe gardło.

Po chwili dały się słyszeć krzyki i przekleństwa, dobiegające z domu,

w którym mieszkali żandarmi pilnujący willi. Młodzieniec podniósł się szybko z ziemi i uciekł, znikając między krzewami.

Tymczasem Atto bezskutecznie próbował podnieść się z ziemi. Podbiegłem i usiłowałem pomóc mu wstać. Introligator pozbierał rozsypane kartki i włożył je do koszyka. Przed nami przemknęli dwaj żandarmi. Chcieli dogonić mężczyznę - tego samego, który zderzył się z nieszczęsnym Melanim, powalając go na ziemię. Biegł jednak dalej i tylko cudem ominął psy, grupkę lokajów i dwie zakonnice. Widywałem je w willi, kiedy przynosiły drobne upominki dla kardynała. Na drodze panował straszliwy zamęt, spotęgowany krzykami siostrzyczek i szczekaniem psów.

Próbowałem podnieść cicho pojękującego opata Melaniego.

- Najpierw jeden szaleniec, później drugi... Moja ręka!...

Prawy rękaw kaftana Atta był przecięty, prawdopodobnie nożem, a na tkaninie dostrzec można było czerwoną plamę. Kiedy pomogłem opatowi zdjąć okrycie, ukazała się brzydka rana, z której sączyła się krew.

Świadcami zajścia były dwie pobożne służące, pomocnice garderobianego. Przyniosły gazę i trochę maści, która - jak nas zapewniły - miała uśmierzyć ból i przyspieszyć gojenie się rany.

- Och, moja biedna ręka! To chyba przeznaczenie! - jęczał Atto, kiedy opatrywałem mu ramię. - Jedenaście lat temu wpadłem do rowu. O mało nie umarłem. Z powodu wypadku nie mogłem towarzyszyć księciu Chaulnes'owi na konklawe po śmierci Innocentego XI.

- Konklawe mają zatem zgubny wpływ na pańskie zdrowie - zauważyłem żartobliwie, ale opat spojrzał na mnie groźnie.

Tymczasem zebrała się wokół nas grupka gapiów.

- Niech ich szlag trafi! - wykrzyknął Melani. - Pierwszy był szybki, a drugi ciężki.

- Na tysiąc kartaczy! - dał się słyszeć donośny głos. - Jak to, ciężki? Już prawie miałem tego łachmaniarza!

Krąg gapiów rozstał się. Jak się okazało, głos należał do potężnego mężczyzny, trzy razy wyższego ode mnie i ze cztery razy grubszego. Odwróciłem się w jego stronę, żeby mu się dokładniej przyjrzeć. „Pański był w ruchach, piękny, z płowym włosom, lecz miał brew jedną przeciętą na dwoje”\* - przypomniały mi się słowa Dantego. Jego prostackie, nieokrzesane maniere kontrastowały z nieco melancholijnym wyrazem twarzy.

\* Dante Alighieri, *Czyszczenie*, pieśń III, tłum. E. Porębowicz (przyp. tłum.).

- Przysięgam na wszystkie halabardy Śląska, że nie chciałem pana obrazić - powiedział olbrzym, podchodząc do opata.

Zanim Melani zdołał się odezwać, podniósł go i bez wysiłku postawił na nogi. Ciekawscy ponownie obścapiłi nas zwartym kołem. Po chwili rozproszyli ich lokaje i służący kardynała, którzy nadbiegli od strony wili. Tymczasem introligator zaczął zbierać kartki Atta rozsypane przed bramą.

- Jesteś żandarmem, o ile dobrze rozumiem - rzekł Melani, doprowadzając się do porządku i otrzepując ubranie z kurzu. - Kim był człowiek, którego goniliś?

- Mówiłem już: łachmaniarz, oberwaniec, czy jak go tam zwał. Chyba chciał pana okraść, na sto moździerzy!

- Aha, czyli żebrak - przetłumaczyłem.

- Jak się nazywasz? - zapytał Atto, zwracając się do olbrzyma.

- Sfasciamonti, dla przyjaciół Waligóra.

Pomimo bólu opat uważnie mu się przyjrzał.

- Piękne imię, w sam raz dla ciebie.

- Zazwyczaj pracuję przy via Panico, a od wczoraj tam - wyjaśnił Waligóra, wskazując wille, i dodał, że podobnie jak inni żandarmi został zatrudniony przez kardynała do ochrony gości.

- Ekscelencjo, znalazłem broń, którą został pan zraniony! - zawołał, nadbiegając, przejęty introligator i wręczył opatowi błyszczący sztylet z płaską rękojeścią.

Waligóra uprzedził Atto. Złapał sztylet i wsadził go do kieszeni.

- Chwileczkę! - zaprotestował Atto. - To sztylet, którym zostałem zraniony!

- Właśnie! Stanowi zatem dowód przestępstwa i jako taki pozostanie do dyspozycji gubernatora i straży miejskiej. Jestem tu po to, by pilnować porządku.

- Byłeś świadkiem całego zajścia. Dzięki Bogu ten nieszczęśnik zranił mnie w rękę, a nie w plecy. Jeśli uda się wam go złapać, zapłaci za to, co uczynił.

- Obiecuję to panu. Przysięgam na ładownicę Volensteina! - ryknął służbiście Waligóra.

Rana była dość głęboka. Opatrunek nie zatamował krwi. Służące przyniosły czystą gazę i ponownie zabandażowały opatowi ramię. Melani cierpliwie znosił ból. Nie znałem go od tej strony. Atto zatrzymał się

jeszcze chwilę, aby uzgodnić cenę z intrologiatorem, który tymczasem pozbiierał wszystkie rozsypane kartki. Wyznaczyli sobie spotkanie na następny dzień.

Poszliśmy w stronę pałacu. Atto miał zamiar wezwać medyka, żeby obejrzał ranę.

- Na razie tak bardzo nie boli. Mam nadzieję, że mój stan się nie pogorszy. Zły jestem na siebie, że wyznaczyłem spotkanie z intrologiatorem właśnie na dziś, ale bardzo mi zależało na tej książeczce.

- Właśnie! Co to za praca?

- Och, nic ważnego! - odparł opat, marszcząc brwi i ściągając usta.

W milczeniu weszliśmy do pałacu. Lekceważenie, z jakim Melani zbył moje pytanie, nie udzielając mi konkretnej odpowiedzi, wzbudziło moje podejrzenia. Zapłacił tysiąc dwieście skudów za relację z jego kilkudniowego pobytu w willi Spada. Podjąłem się tego zadania, choć, Bóg mi świadkiem, nie wiedziałem, w jaki sposób mam to uczynić.

Pod pretekstem pilnych spraw do załatwienia poprosiłem opata, żeby pozwolił mi odejść. Prawdę mówiąc, wypełniłem już wszystkie obowiązki przewidziane na ten dzień. Nie należałem do służby domowej, a poza tym przygotowania do uroczystości zbliżały się do końca. Pragnąłem zostać sam i spokojnie przemyśleć ostatnie wydarzenia. Atto zatrzymał mnie jednak, chcąc, bym razem z nim poczekał na przybycie medyka.

- Popraw mi bandaż, bardzo proszę, bo jest trochę za luźny i rana cały czas krwawi - powiedział lekko zniecierpliwionym głosem.

Zacisnąłem bandaż i owinąłem ramię opata jeszcze jedną warstwą gazy, którą przyniósł nam służący.

- Czy ta książeczka jest po francusku, panie Atto? - zapytałem, zebrawszy się na odwagę.

- I tak, i nie - odparł.

- Krąży po Francji, ale wydrukowana została zapewne w Amsterdamie, jak to często bywa... - stwierdziłem w nadziei, że zachęcę opata do rozmowy.

- Ależ skąd! - przerwał poirytowany. - Prawdę mówiąc, nie jest to nawet książka.

- Chodzi zatem o jakiś anonimowy utwór... - ciągnąłem z rosnącym zaciekawieniem.

Naszą rozmowę przerwało nadejście doktora. Podczas gdy opatrywał on ranę Melaniego, wydając polecenia służącemu, miałem czas na zastanowienie.

Atto Melani nieprzypadkowo stanął przede mną po siedemnastu latach milczenia, proponując mi, jak gdyby nigdy nic, pracę osobistego kronikarza. Nieprzypadkowo też został zaproszony na wesele siostrzeńca kardynała Fabrizia Spady - sekretarza stanu za pontyfikatu Innocentego XII, urodzonego w Królestwie Neapolu, a zatem zwolennika Hiszpanów. Papież Innocenty umierał i od kilku miesięcy Rzym przygotowywał się do konklawe. Melani był francuskim agentem i, co więcej, sporządzał dla króla tajne raporty z wyborów poprzednich papieży. Można powiedzieć, że opat był wilkiem w stadzie owiec.

Znałem Melaniego i wiedziałem, co o nim myśleć. A można było o nim myśleć tylko źle. Dowiedziawszy się z mojego dziennika, że pracuję w willi Spada, wystarał się o zaproszenie na uroczystości, powołując się na starą znajomość z kardynałem. Chciał się mną posłużyć, zadowolony z korzystnego zbiegu okoliczności. Niewykluczone, że oprócz kroniki miał dla mnie także inne zadania. Jakie? Nie potrafiłem tego odgadnąć. Jednego byłem pewien: nie dopuszczę do tego, by machinacje Melaniego zaszkodziły mojemu panu, kardynałowi Spadzie. Pod tym względem dobrze się złożyło, że opat zatrudnił mnie jako kronikarza -będę mógł go kontrolować.

Medyk opatrywał Melaniami ranę. Nie obeszło się bez krzyków pacjenta, który w dodatku musiał zapłacić za swoje cierpienia.

- Ładna mi gościna! - rzekł opat ze złością. - Nie dość, że zostałem zraniony, to jeszcze każą mi płacić za opatrunek z własnej kieszeni.

Na szczęście pojawił się sekretarz kardynała Spady i załagodził nieprzyjemny incydent. W zastępstwie chwilowo nieobecnego zarządcy, don Paschatia, wydał polecenie, aby podać opatowi obiad. Dwóm służącym nakazał spełniać każde życzenie rannego gościa. Sekretarz poprosił opata o wybaczenie, ponarzekał trochę na przestępców i żebraków, którzy podczas każdego jubileuszu zmieniają Wieczne Miasto w lazaret. Zapewnił, że poniesione koszty wkrótce zostaną zwrócone, a doznany afront - wynagrodzony. Dodał, że na czas uroczystości wzmocniono strażę, i zapewnił, że zarządca domu poprosi opata o wystawienie rachunku. Sekretarz

przemawiał tak dobry kwadrans, nie zauważywszy, że Atto Melani zasnął. Skorzystałem z okazji i oddaliłem się.

Dziwna napaść na Atta wzbudziła we mnie strach i zarazem ciekawość. Pod pretekstem przycięcia żywopłotów wziąłem nożyce i udałem się w stronę bramy wjazdowej.

- Jeszcze ci mało, chłopcze?

Odwrociłem się zaskoczony.

- W okolicy pełno jest cerretan. Chcesz mieć kłopoty? - zapytał Wali-góra.

- Jest pan na służbie?

- Zgadza się, pilnuję willi. Ci cerretanie to prawdziwe przekleństwo, niech Bóg ma nas w swojej opiece! Na wszystkie gwiazdy poranka! - zawołał, rozglądając się z niepokojem wokół.

Strażnik użył słowa „cerretanie”. Nie znałem jego znaczenia, więc zapytałem:

- Kim są ci ludzie?

- Pst! Cicho! Chcesz, żeby wszyscy cię usłyszeli? - wyszeptał Wali-góra, chwytając mnie gwałtownie za ramię i odciągając od żywopłotów, jakby ktoś się za nimi czaił. Popchnął mnie w stronę muru, popatrzył w prawo, potem w lewo, jakby w obawie przed napaścią. - To są... jak by to powiedzieć... łachmaniarze, łajzy, obdartusy. Krótko mówiąc, włóczędzy.

W oddali w parku rozlegały się dźwięki muzyki, przemieszane ze stukotem młotków, którymi stolarze zbijali ławki i podest dla orkiestry.

- Coś w rodzaju żebraków albo cyganów?

- Tak! A właściwie nie! - zaprotestował zniecierpliwiony. - Nic podobnego! Cerretanie to coś więcej, a właściwie mniej. Oni zawarli pakt z diabłem... - wyszeptał, czyniąc znak krzyża.

- Z diabłem?! - wykrzyknąłem z niedowierzaniem. - Poszukuje ich Święte Oficjum?

Waligóra pokiwał głową i wznosił oczy do nieba dla podkreślenia powagi tematu.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, chłopcze, nawet sobie nie wyobrażasz!

- Co oni takiego robią?

- Proszą o jałmużnę.

- I to wszystko? - zapytałem rozczarowany. - Żebranie nie jest grzechem. To nie ich wina, że są biedni.



- Kto ci powiedział, że są biedni?
- Przecież sam pan powiedział, że żebrzą.
- Słusznie, ale można to robić z wyboru, nie tylko z konieczności.
- Z wyboru? - spytałem rozbawiony, podejrzewając, że ta góra mięśni, jaką był mój rozmówca, nie ma za grosz rozumu.
- No, może raczej dla zysku. Żebracy uprawiają jeden z najbardziej dochodowych zawodów, czy w to wierzysz, czy nie. W jeden dzień zarabiają więcej niż ty przez cały miesiąc.

Milczałem, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Jest ich wielu?
- Oczywiście! Są wszędzie.

Zaskoczyła mnie pewność, z jaką Waligóra odpowiedział na moje pytanie. Rozejrzał się wokoło, zatrzymując wzrok na alei zatłoczonej karetami i tłumem lokajów, jakby się przestraszył, że za dużo powiedział.

- Mówiłem o tym nawet gubernatorowi Rzymu, monsiniorowi Pallaviciniemu - ciągnął - ale nikt nie chce mnie słuchać. Wszyscy powtarzają: Daj temu pokój, Waligóra! Napij się! Ale ja wiem swoje: w Rzymie jest pełno cerretan, tylko nikt ich nie widzi. Kiedy zdarzy się coś złego, zawsze oni za tym stoją.

- Chce pan powiedzieć, że ten młodzieniec, który zranił opata Melaniego...

- ...jest cerretaninem.

- Co na to wskazuje?

- Byłem przy bramie San Pancrazio, kiedy go dostrzegłem. Już od jakiegoś czasu żandarmi depczą mu po piętach. Cerretan trudno schwytać. Od razu się domyśliłem, że miał do wykonania jakieś zadanie. Był zbyt blisko willi Spada, dlatego go śledziłem.

- Zadanie? Dlaczego jest pan tego taki pewien? - zapytałem z wątpiewaniem.

- Cerretanin nigdy nie idzie tak po prostu ulicą. Zawsze rozgląda się wokół i szuka okazji. Te gagatki i cwaniaki zawsze kradną. Dobrze znam te ich sprytne, rozbiegane oczka. Kiedy taki jeden z drugim idzie przed siebie jak normalny człowiek, to z pewnością ma do spełnienia ważną misję. Krzyczałem na całe gardło, żeby usłyszeli mnie strażnicy pilnujący domu. Szkoda, że uciekł, dowiedzielibyśmy się czegoś więcej.

Zastanawiałem się, co na moim miejscu powiedziałby Melani.

- Jestem pewien, że wkrótce wszystko się wyjaśni - oznajmiłem. -

Założę, się, że znajdzie pan tego człowieka. Opat Melani, który gości w willi kardynała, z pewnością się panu odwdzięczy - powiedziałem, chcąc podsycić chciwość żandarma.

- Wszystkiego się dowiem. Waligóra zawsze wie, kogo pytać - odparł z dumą w głosie.

Waligóra wrócił do patrolowania terenu. Patrzyłem, jak jego olbrzymia sylwetka oddala się w kierunku murów obronnych. Jak spod ziemi wyrósł obok mnie dziwny młodzieniec, przygarbiony i chudy jak szczapa.

- Przepraszam - powiedział uprzejmie - jestem sekretarzem opata Melaniego, przybyłem razem z nim dzisiaj rano. Musiałem pojechać w pewnej sprawie do miasta, a teraz nie wiem, którądy wchodzi się do pałacu. Dałbym głowę, że były tu przeszklone drzwi.

Wyjaśniłem, że przeszklone drzwi znajdują się na tyłach pałacu.

- Powiedział pan, że jest sekretarzem opata Melaniego? Czy dobrze zrozumiałem? - zapytałem zdziwiony. Atto nie powiedział mi, że nie przyjechał sam.

- Tak. Zna go pan?

- Nareszcie! Gdzie się pan podziewał?! - zawołał Atto na widok sekretarza.

Kiedy prowadziłem chudzielca do opata, uważnie mu się przyjrzałem. Miał długi orli nos, niebieskie oczy, krzaczaste jasne brwi i okulary z wyjątkowo mocnymi, zabrudzonymi szklami. Na czoło opadał mu niesforny kosmyk włosów, na szyi natomiast widniało wystające jabłko Adama.

- Byłem... złożyć uszanowanie kardynałowi Casanatemu - tłumaczył się sekretarz - i trochę się spóźniłem.

- Niech zgadnę - odparł Atto ironicznie - zatrzymali pana w przedpokoju, pytając tysiąc razy, kim pan jest i kto pana przysłał. Następnie kazali czekać kolejne pół godziny, po czym powiedzieli, że Casanate niestety nie żyje.

- Nnno, tak właśnie było... - wybełkotał sekretarz.

- Ile razy mam panu powtarzać, żeby mówił mi pan, dokąd pragnie się udać? Kardynał Casanate zmarł sześć miesięcy temu. Wiedziałem o tym i mogłem oszczędzić panu wstydu. Chłopcze - powiedział Melani, zwracając się do mnie - to jest pan Buvat, Jean Buvat. Pracuje jako kopi-

sta w Bibliotece Królewskiej w Paryżu. Porządny człowiek, choć nieco roztargniony, i przesadnie lubi wino. Czasami ma zaszczyt towarzyszyć mi w podróży, jak tym razem.

Przypomniałem sobie, że podczas naszego pierwszego spotkania opat mówił mi o swoim współpracowniku, utalentowanym kopiście. Przywitaliśmy się z lekkim zażenowaniem. Koszula wciśnięta niedbale w spodnie i niestarannie zawiązane tasiemki rękawów dobitnie świadczyły o roztargnieniu młodzieńca.

- Świetnie pan mówi po włosku - pochwaliłem go, starając się złagodzić grubiańskość opata.

- Znajomość obcych języków nie jest jedynym przymiotem Buvata - rzekł opat. - Najlepiej jednak radzi sobie z pisaniem. Nie w tym sensie jak ty, ty bowiem tworzysz, a on tylko kopiuje. I to wyśmienicie. Pod tym względem nie ma sobie równych. Porozmawiamy o tym innym razem. Niech pan idzie się przebrać, Buvat. Wygląda pan żałośnie.

Buvat, nie mówiąc słowa, poszedł do pokoiku obok, gdzie stały podróżne kufry i jego łóżko. Korzystając z okazji, opowiedziałem Melaniem o spotkaniu z Waligórą.

- Cerretanie, mówisz, tajemna sekta. A zatem według strażnika ten łapserdak zjawił się tam przypadkiem, żeby wypróbować na mojej skórze sztylet? Ciekawa teoria.

- Ma pan jakieś inne wytłumaczenie? - zapytałem, widząc jego sceptycyzm.

- Nie, tak tylko mówię - odparł zamyślony opat. - We Francji istnieje podobne zjawisko. Wszyscy o nim słyszeli, ale nikt nie zna szczegółów.

Melani przyjął mnie w pokoju, którego okna wychodziły na ogród, teraz szeroko otwarte. Miał na sobie szlafrok i siedział w fotelu obitym czerwonym aksamitem, obok niewielkiego stolika, na którym stał talerz z resztkami obiadu: ości ryby pachnące jeszcze koprem włoskim. Przypomniałem sobie, że od rana nic nie miałem w ustach, i poczułem lekkie ssanie w żołądku.

- To było dawniej - ciągnął Atto, masując sobie obolałe ramię - dziś tradycje zanikają. Kiedyś w Paryżu mieszkał wielki Cezar, władca nę-

dzarzy i wagabundów. Poruszał się po mieście na mizernym wózku zaprzęgniętym w psy, udając wielkiego pana. Miał podobno własny dwór, paziów i wasali we wszystkich prowincjach. Zwoływał nawet stany generalne.

- Czyli zgromadzenie powszechne?

- Otóż to! Ale zamiast szlachty, kapłanów i dam dworu brali w nich udział złodzieje, żebracy, oszuści, dziwki, kaleki i karły... chciałem powiedzieć: ludzie tego pokroju - poprawił się szybko opat. - Zdejmij ten fartuch. Narzędzia w kieszeni chyba ci bardzo ciężą - powiedział, próbując zmienić temat.

Nie przejąłem się słowami opata, gdyż doskonale wiedziałem, ilu podobnych mi nieszczęśników należało do świata przestępczego. Wiedziałem też, że mogę się uważać za wybrańca losu. Kiedy, korzystając z rady Melaniego, zdejmowałem fartuch ogrodnika, nadszedł paż z listem do opata.

- O ile wiem - powiedział Atto po odejściu pazia - w Niemczech istnieje podobna organizacja. Nosi nazwę Bractwa Fałszywych Żebraków czy jakoś podobnie. Słyszałem, że kilka takich grup powstało również w Hiszpanii. Wszystkie działają w ukryciu, trudno więc dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

- Nie rozumiem, dlaczego się ukrywają. Więcej powodów ku temu mają niektóre ważne osobistości.

- Mylisz się - odparł Atto z uśmiechem, zrywając lakową pieczęć i otwierając list. - Wszyscy lubią sekrety. Połowa ludzkości posługuje się nimi dla własnych celów, druga połowa stara się je odkryć, również dla korzyści.

- A żebracy?

- Często są to fałszywi żebracy, oszuści. I jest to właśnie jedna z tych tajemnic.

- Ale w jakim celu zwykli oszuści zakładają sekty? Po co zawierają pakt z diabłem, jak mówi Waligóra? W Rzymie jest bardzo wielu żebraków, pełno ich zwłaszcza teraz, w dniach jubileuszu. Jeśli dobrze im się przyjrzeć, wyglądają raczej na bandytów niż na nędzarzy. A poza tym zakładanie sekt jest zabronione.

- A buty? - zapytał nagle Melani, patrząc w stronę drzwi. - Chyba nie zaprezentuje się pan u mojego boku w takich butach?

Właśnie wrócił Buvat, umyty, uczesany, w czystym ubraniu, ale w zniszczonych butach. Jeden obcas był pęknięty, sprzączki odprute.

- Nowe buty zostawiłem w Palazzo Rospigliosi - oznajmił, zebrawszy się na odwagę. - Obiecuję, że przed wieczorem po nie pojedę.

- Niech pan uważa, żeby tym razem nie zostawić głowy - odparł zrezygnowany opat z nutą pogardy. - I niech pan nie traci czasu na bezcelowe łażenie, jak to ma pan w zwyczaju.

- Jak ręka? - zapytałem.

- Cudownie! Uwielbiam rany cięte - rzekł sarkastycznie, przystępując do lektury listu.

Kiedy przebiegał po nim wzrokiem, jego twarz zdradzała sprzeczne uczucia. Najpierw zmarszczył brwi, po chwili uśmiechnął się wzruszony. Na koniec pobladł i spojrzał przed siebie, w stronę nieba widocznego za oknem.

- Złe wieści? - zapytałem nieśmiało, wymieniając spojrzenie z sekretarzem.

Z zamyślnego wzroku Melaniego wywnioskowaliśmy, że mnie nie słyszał.

- Maria... - usłyszałem, zanim opat niedbale złożył list i schował go do kieszeni szlafroka. Siedział w fotelu, wsparty na lasce, jakby przygięty ciężarem otrzymanej wiadomości. W jednej chwili ponownie wydał się starym zmęczonym człowiekiem. - Idź już! Pan również, Buvat. Chcę zostać sam.

- Czy... czy... naprawdę niczego pan nie potrzebuje? - zapytałem z wahaniem.

- Nie. Wróćcie wieczorem, po zachodzie słońca!

Opuściliśmy pokój opata i zeszlismy po kręconych schodach dla służby. Po kilku minutach na nasze twarze ponownie zaczęły padać gorące promienie słońca. Zastanawiałem się, dlaczego Atto nagle posmutniał. Kim była owa tajemnicza Maria, której imię tak czule wymówił? Chodziło mu o kobietę z krwi i kości czy Najświętszą Panienkę? W każdym razie - rozmyślałem, idąc szybkim krokiem u boku Buvata - było to dla mnie niezrozumiałe. Atto nie był człowiekiem głęboko wierzącym. O ile dobrze pamiętam, nawet w chwili największego zagrożenia nie wzywał pomocy niebios. Zdziwiłbym się jeszcze bardziej, gdyby okazało się, że owa Maria była kobietą z tego świata. Westchnienie, z jakim wypowiedział to imię, wskazywało na to, że chodzi o coś w rodzaju niedotrzy-

manej obietnicy, niespełnionego uczucia, udręki serca, innymi słowy -o miłość. Miłość do kobiety - tylko z nią kastrat Atto Melani nie mógł się zmierzyć.

- Bardzo się pan zmęczy, jadąc w ten upał do?Palazzo Rospigliosi - powiedziałem, patrząc w kierunku stajni.

- Niestety! - odparł Buvat. - W dodatku nie jadłem obiadu.

- Jeśli pan sobie życzy, przygotuję coś do jedzenia - zaproponowałem.

Sekretarz Melaniego nie kazał powtarzać sobie dwa razy, zawróciliśmy więc i skierowali do kuchni znajdującej się na tyłach pałacu. Tam, przeciskając się wśród służących zajętych sprząaniem i pomocników kucharza, którzy szykowali wieczorny posiłek, zdobyłem trochę żywności: trzy dzwonka ryby przybrane plasterkami cytryny i kawałkami masła, dwa faszerowane placki, oliwki z cebulą w pięknej biało-niebieskiej czarce z porcelany oraz trochę muszkatelu. Ja także, podobnie jak Buvat, umierałem z głodu, ukroiłem więc sobie dwa spore kawałki sera z ziołami, a z zieleniny przeznaczonej do ozdabiania potraw wybrałem kilka liści sałaty. To oczywiście nie wystarczyło do zaspokojenia głodu, ale pozwoliło wzmocnić się i przetrwać do kolacji.

Wśród gorączkowej krzątaniny kucharzy i służby niełatwo było znaleźć jakiś ką, gdzie moglibyśmy zjeść w spokoju posiłek i porozmawiać. Chciałem lepiej poznać tego dziwnego człowieka, chudego i milkliwego, który pracował jako sekretarz Melaniego. Być może odkryłbym coś na temat Marii i dziwnego zachowania opata, jak również rozszyfrował jego plany na przyszłość, także względem mnie.

Zaproponowałem Buvatowi (nie dał się długo prosić), abyśmy posilili się w ogrodzie, na trawie, w cieniu śliwy lub brzoskwini, gdzie mogliśmy w dodatku zjeść na deser owoce prosto z drzewa. Włożyliśmy jedzenie do koszyka, wzięli kawał jutowego płótna do podścielenia i udali się w kierunku kaplicy przy willi Spada. Gęsty sad na tyłach kaplicy był idealnym miejscem na posiłek. Chłodna trawa pod drzewami przyniosła ulgę naszym zmęczonym stopom. Właśnie zamierzaliśmy usiąść, kiedy usłyszeliśmy w pobliżu ciche, regularne chrapanie. Jak się okazało, ze zbawienego cienia skorzystał także kapelan don Tibaldutio Lucidi, który odpoczywał po trudach bożej posługi. Odeszliśmy trochę dalej, w cień dorodnej śliwy, z krzaczkami poziomek wokół pnia.

- A zatem jest pan kopistą w Bibliotece Królewskiej w Paryżu - powiedziałem, aby zagaić rozmowę, podczas gdy rozkładaliśmy na trawie płótno.

- Kopistą Jego Królewskiej Mości, a prywatnie pisarzem - odparł Buvat pół żartem, pół serio, przeszukując niecierpliwie koszyk z jedzeniem. - Opat Melani niezbyt dokładnie mnie przedstawił. Zajmuję się nie tylko przepisywaniem, ale też tworzeniem.

Buvat poczuł się urażony słowami Atta, mimo to jednak w jego głosie dostrzegłem nutę autoironii, typowej dla ludzi stworzonych do wyższych celów, którzy muszą zadowolić się zwykłą egzystencją i sami siebie nie traktują zbyt poważnie.

- O czym pan pisze?

- Zwykle na tematy filologiczne, ale anonimowo. Z okazji pielgrzymki do sanktuarium Matki Bożej w Loreto, w Marchii Ankońskiej, dałem do druku kilka starych tekstów łacińskich, które odkryłem przed wielu laty.

- Powiedział pan: w Marchii Ankońskiej?

- Tak - odparł, siadając na rozścielonym płótnie i sięgając do kosza po oliwki. - *Nemo propheta in patria*, jak mówi Ewangelista. W Paryżu nigdy niczego nie opublikowałem, a poza tym mało płacą. Na szczęście opat Melani zleca mi czasem drobne prace, w przeciwnym razie ten stary sknera bibliotekarz... Ale pomówmy o tobie. O ile dobrze zrozumiałem, ty również piszesz?

- Prawdę mówiąc, jak do tej pory nie ukazała się żadna moja praca. Bardzo bym tego chciał, ale nie nadarzyła się okazja... - sprostowałem zakłopotany. Ze spuszczonego wzrokiem podałem Buvatowi kawałki ryby z masłem i placki.

Nie powiedziałem mu, że jedyną moją pracę - obszerny dziennik z opisem wydarzeń, które przed laty miały miejsce w gospodzie „Donzello” - ukradł mi Atto.

- Rozumiem. Ale teraz, jeśli się nie mylę, opat zlecił ci kronikę uroczystości w willi Spada - powiedział i zaczął łapczywie jeść placki, rozrywając je palcami, aby prędzej dotrzeć do farszu.

- No tak, choć dokładnie nie wiem, co miałbym...

- Wspominał mi o swoim pomysle. Mówił, że całkiem dobrze piszesz. Masz szczęście, Melani dobrze płaci - ciągnął, jedząc rybę.

- Wiem - przytaknąłem, zadowolony, że rozmowa skierowała się

wreszcie na osobę Atta. - Jakiego rodzaju prace wykonuje pan dla opata?

Buvat milczał, jakby nie usłyszał mojego pytania. Wziął do ręki drugi placek i pokropił go sokiem z cytryny.

- Może pokażesz mi swoje prace? Pomógłbym ci znaleźć jakiegoś drukarza i...

- Szkoda zachodu, panie Buvat. To tylko dziennik, napisany potocznym językiem - wyjaśniłem, sięgając po kawałek sera. Ubolewałem nad słabością przedstawionego argumentu.

- I co z tego?! - wykrzyknął Buvat. - Przecież nie żyjemy w szesnastym wieku! A poza tym czyż nie urodziłeś się wolnym człowiekiem? Możesz postępować po swojemu. Nie musisz się przed nikim tłumaczyć, że napisałeś dziennik potocznym językiem, podobnie jak nie musiałbyś tego czynić, gdybyś napisał go po niemiecku czy hebrajsku.

Przerwał, kontynuując posiłek, a drugą ręką dał mi znak, bym podał mu wino.

- Czyż język potoczny nie jest wystarczająco bogaty, by opisać nim każdy temat? - powiedział uroczyście, z pełnymi ustami. - Wielebny monsinior Panigarola posłużył się nim, przedstawiając największe tajemnice teologii, a przed nim uczynili to monsinior Cornelio Muso i Galvano Fiamma. Przewielebny Alessandro Piccolomini pisał prostym językiem o filozofii, Mattiolo o medycynie, a Valve o anatomii. Czy nie mogłeś zatem posłużyć się nim, pisząc skromny dziennik? Tam, gdzie przebywa królowa, czyli teologia, znajdzie się też miejsce dla damy dworu, którą jest filozofia, oraz dla gospodyni, którą jest medycyna, nie mówiąc już o służącym, czyli dzienniku.

- Tyle że mój potoczny język nie jest dialektem tokańskim, ale rzymskim - odparłem, przeżuwać jedzenie.

- „Nie użyłeś tokańskiego!”, jak powiedziałby mistrz Arystarch. A ja powiadam ci, że nie użyłeś tokańskiego ani niemieckiego, ponieważ jesteś rzymianinem. Ten, komu podoba się tokański, niech czyta do woli Boccaccia i Bemba - oświadczył krótko mój rozmówca, przyjąwszy śmieszny pozę, po czym wypił duży haust muszkatelu.

Mądry człowiek z tego Buvata - pomyślałem, sięgając po liść sałaty. Zazdrościłem sekretarzowi opata bystrości umysłu. A poza tym, mimo że był Francuzem, biegle mówił po włosku. Ale z niego szczęściarz!

- Muszę jednak przyznać - ciągnął, chrupiąc cebulę - że wy, Włosi, macie jedną brzydką cechę: jesteście narodem zawistników. Cóż to za



barbarzyński zwyczaj! Dlaczego zazdrościcie innym pochwał? Kiedy tylko pojawi się wśród was geniusz i rośnie w sławę, natychmiast znajdują się oszczercy, którzy go nękają, niszczą, obrażają takimi inwektywami, że często jego fama zamienia się w biedę.

Ma rację - pomyślałem. Nie byłem jednak pewien, czy to wada wyłączenie włoska. Czyż Buvat nie mówił wcześniej o swoim przełożonym bibliotekarzu, który z czystej zawiści nie płacił mu ani grosza? Czyż nie wspomniał o tym, że w Paryżu nie udało mu się niczego opublikować, podczas gdy we Włoszech znalazł życzliwego wydawcę? Zachowałem jednak swoje przemyślenia dla siebie. Jedną ze słabości wszystkich nacji, z wyjątkiem Włochów, jest duma narodowa, a ja nie miałem najmniejszego zamiaru zranić godności Jeana Buvata.

Nasz wspólny posiłek dobiegał końca. Nie udało mi się, niestety, niczego dowiedzieć o opacie Melanim, co więcej, rozmowa zesłała na niebezpieczne dla mnie tory. Sekretarz Atta zasługiwał na to, bym opowiedział mu o kradzieży, ale obawiałem się, że gdybym wyjawiał prawdę, zacząłby dopytywać się o Atta, a ja nie chciałem zdradzać mrocznej przeszłości jego pana. Zmieniłem zatem temat, informując Buvata - który znów sięgnął do koszyka - że zjedliśmy już wszystko i nie pozostaje nam nic innego, jak przejść do deseru. Buvat wprowadził w czyn moją propozycję. Zrywał śliwki, a ja w milczeniu wkładałem je do koszyka. Zajadaliśmy owoce, wypluwając głośno pestki. Po śliwkach przyszła kolej na poziomki. Leżąc na podścielonym na wilgotnej ziemi płótnie, ukolysani szumem liści poruszanych letnim wiatrem, poczuliśmy się senni. Usłyszawszy chrapanie Buvata, już miałem go obudzić, pamiętając, że wybierał się do miasta po buty, gdy do moich uszu zaczęło z wolna dochodzić silniejsze chrapanie, które wydało mi się dziwnie znajome, gdyż... to ja sam je wydawałem. Obaj z Buvatem twardo zasnęliśmy.

# Wieczór pierwszy

7 lipca 1700 roku

Obudziliśmy się o zachodzie słońca. Park wokół willi Spada zappełnił się spacerującymi gośćmi. Wiodąc rozmowy, podziwiali dekoracje, które dwa dni później miały stanowić oprawę dla uroczystych zaślubin młodej pary. Głosy spacerowiczów docierały aż do sadu.

- Kłaniam się Waszej Eminencji!  
- Drogi monsiniorze, jakie miłe spotkanie! - brzmiała odpowiedź.  
- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, eminencjo! - powiedział trzeci głos.

- Pan także tutaj? - zapytał drugi głos. - Drogi markizie, jakże się cieszę! Pozwoli pan, że przywitam się z panią markizą!

- Wasza Eminencjo... - dał się słyszeć kobiecy głos.

Jak miałem okazję później się przekonać (widząc i słysząc te osoby przez kilka kolejnych dni), słowa powitania wygłosili wówczas: biskup Faenzy kardynał Durazzo, przewodniczący urzędu żywności monsinior Grimaldi oraz markiz i markiza Serlupi.

- Jak minęła podróż, Wasza Eminencjo?

- Trochę męcząca. To zrozumiałe, wszystko przez ten upał... Przyjechałem tu wyłącznie przez wzgląd na sekretarza stanu, ma się rozumieć, którego darzę dużym szacunkiem. Jestem już za stary na tego rodzaju rozrywki. Za gorąco jak dla mnie.

- Istotnie, jest bardzo gorąco... - przytaknął monsinior Grimaldi.

- Zupełnie jak w Hiszpanii, gdzie podobno żar leje się z nieba - powiedział markiz Serlupi.

- Ależ skąd! W Hiszpanii jest cudownie. Bardzo dobrze wspominam pobyt tam, zapewniam pana. Och, przepraszam, dostrzegłem starego przyjaciela. Muszę się z państwem pożegnać. Do zobaczenia.

Słowa te wypowiedział kardynał Durazzo, porzucając swoich roz-

mówców i kierując się w stronę innego gościa. Był nim, jak się później dowiedziałem, kardynał Carlo Barberini.

- Mogłeś sobie darować tę aluzję... - skarciła męża markiza Serlupi.  
- Jaką aluzję? Nie powiedziałem nic, co...  
- Markizie - wtrącił monsinior Grimaldi - pozwoli pan, że wyjaśnię: zanim wielbny Durazzo został kardynałem, był nuncjuszem w Hiszpanii.

- A zatem?  
- Krążą pogłoski, że Jego Eminencja nie był mile widziany przez króla Hiszpanii. Krewni, których zabrał ze sobą, zostali napadnięci. Jedna osoba zmarła na skutek odniesionych ran. Rozumie pan zatem...

- Co Wasza Wielbność chce przez to powiedzieć?

Monsinior Grimaldi spojrzał pobłażliwie na markiza.

- To, mój drogi mężu - wtrąciła zniecierpliwiona markiza - że ponieważ Jego Eminencja jest jednym z kandydatów na papieża, niechętnie wspomina Hiszpanów, którzy mogliby uniemożliwić jego elekcję. Mówiliśmy o tym zaledwie dwa dni temu w domu, jeśli sobie przypominasz.

- Trudno o wszystkim pamiętać - wymruczał zmieszany markiz Serlupi, zdając sobie sprawę z gafy, jaką popełnił wobec osoby ewentualnego papieża. Tymczasem jego żona zęgnęła się z uśmiechem z monsinio-rem Grimaldim, który już witał się z kolejnym gościem.

Przysłuchując się tej rozmowie, zrozumiałem, na czym tak naprawdę miało polegać przyjęcie w willi Spada. Opat Melani miał rację. Choć czyniono starania, aby zabawić gości i oderwać ich od codziennych trosk, ich serca i myśli zajmowało przede wszystkim zbliżające się konklawe. Każda rozmowa, zdanie, ba - nawet sylaba mogły wywołać poruszenie wśród eminencji i książąt przybyłych do willi sekretarza stanu pod pretekstem rozrywki, a w rzeczywistości po to, by w sprzyjających okolicznościach załatwić awans dla siebie lub dla tych, którym służyli.

Snując te rozważania, zauważyłem, że gościem, do którego podszedł monsinior Grimaldi, był sam Fabrizio Spada. Mimo że miał na sobie purpurowy płaszcz kardynalski, był tak zdenerwowany i zagniewany, że z trudem go poznałem. Przywitawszy się z Grimaldim, kontynuował obchód w towarzystwie zarządcy domu, don Paschatia Melchiorriego.

- A teatr? Dlaczego jeszcze nie gotowy? - zapytał, zmierzając w kierunku pałacu.

- Niedługo skończymy, Wasza Eminencjo, jak tylko uporamy się z...

- Nie chcę o niczym słyszeć! Jutro ma być gotowy. Chyba pan widzi, że już przybywają pierwsi goście?

- Oczywiście, Wasza Eminencjo, ale...

- Nie mogę zajmować się wszystkim, don Paschatio! Mam ważniejsze sprawy na głowie! - wykrzyknął poirytowany kardynał.

Roztrzęsiony zarządca potakiwał i klaniał się kardynałowi, nie mogąc wymówić słowa.

- A poduszki? Uszyto już poduszki?

- Są prawie gotowe, Wasza Eminencjo, brakuje tylko kilku...

- Rozumiem, nie są gotowe, a więc starsi członkowie Świętego Kolegium będą siedzieć na gołej ziemi?

To powiedziawszy, kardynał Spada odwrócił się i odszedł w asyście gromadki służących, zostawiając don Paschatia samego pośrodku alejki. Zarządca schylił się, aby oczyścić zakurzone buty, nie widząc, że go obserwuję.

- A niech to! Moje buty! - wykrzyknął Buvat, zrywając się na równe nogi. - Muszę po nie jechać!

Było już jednak za późno na wyprawę do Palazzo Rospigliosi. Zaproponowałem Buvatowi, by przemknął ze mną dyskretnie pustymi alejkami do pałacowej mansardy, gdzie z pewnością uda nam się pożyczyć od jakiegoś służącego parę porządných butów.

- Buty lokaja! - wymruczał sekretarz opata z nutą pogardy w głosie. - No, cóż, na pewno będą lepiej wyglądać niż moje.

Zwinąłem jutowe płótno, na którym siedzieliśmy, i szybkim krokiem udaliśmy się w kierunku przeciwnym do tego, skąd dochodziły rozmowy. Staraliśmy się iść skrajem parku, z dala od świateł przyjęcia, w stronę położonych w dole winnic. Przez nikogo niezauważeni dotarliśmy do pałacu, gdzie za drobną opłatą Buvat zdobył parę czarnych, lśniących butów z kokardkami. Włożył je na nogi i poszliśmy do Atta Melaniego. Nie musieliśmy pukać, opat bowiem czekał na nas w otwartych drzwiach pokoju. Ubrany był w galowy strój z wyszywanej satyny, na głowie miał perukę, na twarzy puder, a na jego ubarwionych różem policzkach widniało, zgodnie z francuską modą, kilka pieprzyków (nie drobnych, lecz dużych i bardzo zabawnych). Zauważyłem też, że zamiast czerwonych pończoch założył białe.

- Gdzie, do diabła, pan się podziewał, Buvat? Czekam na pana od go dziny! Chyba nie chce pan, żebym stawił się na przyjęciu sam jak plebe-

już? Wszyscy goście są już w ogrodzie. Zapomniał pan, po co tu przyjechaliśmy? Chyba nie po to, żebym wyglądał przez okno i patrzył, jak markiz Serlupi gawędzi z kardynałem Durazzo?

Wzrok opata padł na lśniące buty, które jego sekretarz miał na nogach.

- Niech pan nic nie mówi! O niczym nie chcę wiedzieć! - uprzedził Melani, wznosząc oczy ku niebu. Sekretarz milczał, zadowolony, że nie musi udzielać wyjaśnień.

Po chwili obaj odeszli. Melani wydawał się mnie nie dostrzegać. Kiedy Buvat skinął mi głową na pożegnanie, opat odwrócił się i dał mi znak, bym do nich dołączył.

- Miej oczy szeroko otwarte, chłopcze! Kardynał Spada jest sekretarzem stanu, jeśli więc zanosi się na jakieś ważne wydarzenie, jestem pewien, że to wyczujesz. Nie interesują nas oczywiście jego kłótnie z zarządcą domu.

- Prawdę mówiąc, nigdy panu nie obiecywałem, że będę dla pana szpiegował.

- Kto mówi o szpiegowaniu? Nawet nie potrafisz tego robić. Patrz tylko uważnie, słuchaj i myśl. To zupełnie wystarczy. Zobaczymy się jutro o świcie, tu, w moim pokoju.

Zauważyłem, że opatowi bardzo było spieszo, by przyłączyć się do rozmów ze znakomitymi gośćmi kardynała Spady, z pewnością nie dla rozrywki... Było jasne, że on również słyszał, jak kardynał Fabrizio czynił wymówki don Paschatiowi. Widział zatem, że sekretarz stanu był podminowany, i chyba dlatego kazał mi go uważnie obserwować.

Tej nocy - pomyślałem - zostanę w pałacu, skoro następnego dnia rano muszę stawić się u opata. Poza tym Cloridii nie było w domu, a myśl o pustym łóżku była dla mnie nie do zniesienia. Postanowiłem zatem przespać się na posłaniu w pokoju dla służby na poddaszu.

Kiedy schodziłem na dół, żeby wykonać ostatnie polecenia zarządcy domu, przypomniałem sobie, że w pokoju Atta zostawiłem swój fartuch z narzędziami. Opat nie będzie miał mi za złe - miałem taką nadzieję - jeśli pod jego nieobecność wejdę tam i zabiorę fartuch. Majordom pozwolił mi wziąć klucze do pokoju opata, wiedział bowiem, że od dawna pracuję dla kardynała i cieszę się zaufaniem służby.

Wszedłem do środka, wziąłem fartuch i już miałem wychodzić, kiedy mój wzrok padł na biurko. Dostrzegłem na nim proszek do suszenia atramentu i dwa złamane gęsie pióra. Widocznie opat pisał tego popołudnia

w stanie dużego wzburzenia, skoro złamał aż dwa pióra. Czy jego stan miał coś wspólnego z listem, który otrzymał i który tak bardzo go poruszył?

Wyrzałem przez okno. Opat Melani i Buvat szli aleją, oddalając się od pałacu. Już traciłem ich z oczu, kiedy nagle przypomniałem sobie, że kilka minut wcześniej dostrzegłem w pokoju Atta pewien przyrząd, którego przeznaczenia chyba się domyślałem. Rozejrzałem się wokół. Gdzie on był? Właśnie, na fotelu. Nie myliłem się: to była luneta. Wprawdzie nigdy nie miałem czegoś podobnego w ręku, ale wiedziałem, do czego służy i że słynny Gaspard van Wittel używał lunety w pracy nad swoimi cudownymi panoramicznymi wedutami\* Rzymu.

Uniosłem lunetę na wysokość oczu, aby spojrzeć na sylwetki Atta i jego sekretarza. Zadziwiające urządzenie przybliżało odległe przedmioty i powiększało rzeczy małe, podobnie jak, by zacytować ojca Tesaura, bystry umysł potrafi przemienić rzeczy nudne w ciekawe, a smutne w wesołe. Rozgorączkowany z emocji, przysunąłem oko do zimnego metalu. Najpierw ujrzałem niebo, później korony drzew. Czułem się jak ptak unoszący się wysoko w górze. Dopiero po chwili udało mi się nakierować lunetę na interesujący mnie obiekt.

Dostrzegłem Atta składającego wyrazy szacunku dwóm kardynałom, a następnie arystokratce spacerującej w towarzystwie dwóch młodych dam. Buvat, trzymając w dłoni kieliszek ze swoim ulubionym winem, potknął się i o mało nie przewrócił arystokratki. Melani, przeprosiwszy damy, dyskretnie skarcił sekretarza, który odstawił kieliszek i otrzepał z kurzu czarne pończochy. Trudno było poruszać się po alejkach ogrodu. Wciąż biegali po nich zaferowani lokaje, służący i robotnicy. Dotąd nie zostały uprzątnięte materiały pozostałe po budowie teatru, iluzjonisty cznych dekoracji, stołów i ławek, a także po pracach ogrodniczych i irygacyjnych.

Kiedy zobaczyłem, że Atto i Buvat wdali się w pogawędkę z kolejnymi arystokratami, podjąłem ostateczną decyzję. Nadeszła odpowiednia chwila. Podczas gdy francuski lis węszył wśród hiszpańskich owiec, ja postanowiłem powęszyć w jego norze. Odczuwałem lekkie zażenowanie,

Weduta - obraz, rysunek, sztych przedstawiający ogólny widok miasta lub jego fragment (przyp. red.).

opat zatrudnił mnie bowiem za hojnym wynagrodzeniem, po chwili wahania uznałem jednak, że lepiej będzie, jeśli poznam prawdziwe zamiary mojego pracodawcy, włącznie z tymi, których mi nie wyjawiał.

Przystąpiłem do przeszukiwania pokoju, zastanawiając się, gdzie opat mógł położyć list, który napisał tego popołudnia. Byłem pewien, że jeszcze go nie wysłał. Buvat, który przepisywał wszystkie listy Melaniego, wrócił zbyt późno, by sporządzić kopię do jego prywatnego archiwum. Dowodem wysłania listu byłyby ślady laku na biurku. Moje przypuszczenie potwierdzała także nienaruszona świeca, nad którą Atto musiałby roztopić lak do pieczęci.

Szukałem na próżno. Nie znalazłem listu ani w kufrze, ani w szafach. Obok mapy i rękopisów z kantatami dostrzegłem plik kartek. Były to ogłoszenia i ulotki z dopiskami opata, dotyczącymi Świętego Kolegium Kardynałów i wydarzeń sprzed wielu lat. Opat utrwalił w swych notatkach plotki na temat relacji pomiędzy eminentami, ich rywalizacji i intryg z okresu konklawe. Przejrzawszy pobieżnie kartki, kontynuowałem poszukiwania. Otworzyłem szufladkę z lekarstwami, ale były w niej tylko kremy, maści, perfumy do peruki i buteleczka wody rozmarynowej. W drugiej szufladce znajdowało się lustro, spinka, tasiemki, pasek i dwa zegarki. Nie znalazłem nic ciekawego prócz pistoletu owiniętego w kawałek wełnianej tkaniny. W jakim celu Atto przyjechał do willi? Na wesele nie jeździ się z bronią - pomyślałem. Siedemnaście lat temu, kiedy chciał zmylić swoich przeciwników, udawał, że ma w kieszeni pistolet, a była to zwykła fajka. Teraz jednak naprawdę się boi - pomyślałem - skoro wybrał się w podróż z bronią.

Obejrzałem buty i sakiewki, przeszukałem ubrania. Jak zwykle opat zabrał ich tyle, że wystarczyłoby na dziesięć lat. Przejrzałem dokładnie wszelkiego rodzaju surduty, kaftany, kołnierze, krezy, koszule, spodnie, peleryny, mankiety i pończochy. Pieściłem szorstkimi dłońmi miękkie jedwabie, lśniąca satynę, aksamity, adamaszki, atłasy, wełny, koronki, gładkie płótna. Moje oczy rozkoszowały się przeróżnymi barwami - od jasnych i ciemnych szarości przez perłowe, ogniste, różowe, szkarłatne, karminowe po różne odcienie czerni, bieli, zieleni, brązu, srebra i złota.

Od tych przepysznych strojów wyraźnie odróżniała się jasnofioletowa sutanna, którą miał na sobie opat Melani w dniu naszego spotkania po siedemnastu latach niewidzenia. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że w gar-

derobie opata nie było innych niemodnych ubrań. Domyśliłem się więc, że Atto założył tę starą sutannę ze względu na mnie, aby jego obecny wygląd, choć zmieniony upływem czasu, jak najbardziej przypominał postać sprzed lat. Doskonale wiedział, jak bardzo pragnąłem go ponownie zobaczyć, i chciał zrobić na mnie wrażenie.

Zajęty oglądaniem sutanny, która wywołała we mnie, przyznaję, odległe wspomnienia, nie bardzo wiedziałem, czy mam czuć do opata wdzięczność, czy żal (zależało to od punktu widzenia). Na wysokości piersi wyczułem coś, co w pierwszej chwili wziąłem za klejnot. To „coś” przypięte było od wewnątrz. Kiedy wywróciłem sutannę na drugą stronę, nie bez zdziwienia ujrzałem szkaplerz karmelitów, który zgodnie z obietnicą Najświętszej Pani przynosi spełnienie łask i uwolnienie od mąk czyścowych w pierwszą sobotę po śmierci. Palcami wyczułem trzy niewielkie wypukłości. W kieszonce przyszytej do szkaplerza, dokładnie na wysokości serca, znajdowały się trzy perły.

Od razu je rozpoznałem: były to trzy margerytki, weneckie perły, które odegrały tak istotną rolę podczas mojej ostatniej burzliwej rozmowy z Attem w „Donzelli” przed siedemnastu laty, zanim straciliśmy się z oczu. W przyływie złości cisnąłem je wtedy na podłogę. Widocznie opat pozbiierał perły i zachował do dziś. Przez cały ten czas nosił je na sercu, zapewne modląc się w milczeniu do Najświętszej Pani... Opat nie miał zwyczaju codziennie nosić szkaplerza, skoro zostawił go razem z sutanną w szafie. Odnalazł jednak mnie i być może uznał, że wypełnił swój ślub. A to nicpoń z tego opata - pomyślałem, kiedy uświadomiłem sobie, że byłem mu tak drogi. Ja też, mimo dawnych uraz, kochałem go z całego serca, nie mogłem temu zaprzeczyć. Jeśli zatem moje uczucie przetrwało niemal dwadzieścia lat i nie wygasło nawet wskutek jego obecnych przewinień, musiałem je zaakceptować.

Wyrzucałem sobie, że śledziłem Atta. Zawstydzony, już wychodziłem z pokoju, gdy zatrzymała mnie w progu pewna myśl. Nie byłem już dzieckiem, porywy serca nie przyćmiewały mi umysłu. A umysł mówił, że nie należy ufać Melaniemu. Kolejny raz mój nastrój uległ zmianie. Doszedłem do wniosku, że gdyby chodziło tylko o mnie, nie ośmieliłbym się wtrącać w prywatne życie opata. Ale mimo głębokiego uczucia, jakim się nawzajem darzyliśmy, musiałem brać po uwagę, że zadanie, które Melani mi powierzył, czyli sporządzenie kroniki, wiąże się (byłem tego prawie pewien) z ryzykiem i różnego rodzaju pułapkami. A gdyby tak ktoś oskarżył opata o to, że przyjechał do Rzymu, by zakłócić prze-



bieg konklawe? Było to całkiem możliwe. Melani nie ukrywał, iż podczas wyboru papieża pragnie bronić interesów Arcychrześcijańskiego Króla. W sprawę zamieszany mógł być też mój pan, kardynał Spada. Miałem zatem nie tylko prawo, ale i obowiązek - również przez wzgląd na moją ukochaną rodzinę - poznać zagrożenia i liczyć się z nimi.

Uspokoiwszy w ten sposób wyrzuty sumienia, powróciłem do poszukiwań. Sprawdziłem pod łóżkiem, na szafach, pod poduszkami foteli i na małej sofie ozdobionej złotymi frędzlami - bez rezultatu. Niczego nie znalazłem też za obrazami i nic nie wskazywało na to, żeby opat wsunął kartkę między płótno a obramowanie. Bezowocne okazały się poszukiwania w zakamarkach pokoju. Wśród osobistych rzeczy Buvata w pokoiku obok także nic nie znalazłem.

Wiedziałem, że Atto zawsze zabierał w podróż plik kartek. Zmieniły się czasy, ja także, ale Atto nie zmienił ani siebie, ani swoich nawyków, wynikających z jego wścibskiej natury. Aby działać, musiał dużo wiedzieć. Dla pamięci sporządzał zapiski, rodzaj przenośnego archiwum szpiega, które woził ze sobą.

W pewnej chwili, zniechęcony daremnym poszukiwaniem listu, doznałem olśnienia. Przypomniałem sobie scenę sprzed siedemnastu lat, kiedy Atto i ja znaleźliśmy klucz do zagadki ukryty w miejscu, na które ani instynkt, ani logika (ani przyzwoitość) nie mogły nas naprowadzić: brudne kałesony.

Nie doceniasz mnie, opacie Melani - pomyślałem. Po raz drugi tego dnia otworzyłem kosz z bielizną do prania, ale tym razem nie szukałem między brudnymi rzeczami.

- Doprawdy, jesteś bardzo nieostrożny, drogi Atto - powiedziałem z uśmiechem, kiedy przeszukując parę kałesonów, wyczułem coś pod palcami.

Podszywka nie była przyszyta, lecz przymocowana do głównej części bielizny małutkimi zapinkami. Odpiąłem je i wsunąłem dłoń między dwie warstwy tkaniny. Natrafiłem na płaski, szeroki przedmiot. Kiedy go wyciągnąłem, moim oczom ukazało się pergaminowe opakowanie przewiązane wstążką. Wewnątrz znajdowało się kilka starannie złożonych kartek. Z niemym triumfem obracałem moją zdobycz w dłoniach.

Czasu miałem niewiele. Atto spragniony był zarówno spaceru po parku, jak i spotkań z gośćmi, którzy, podobnie jak on, przybyli na wesele nieco wcześniej. W każdej chwili mógł jednak wrócić do pokoju i przy-

łapać mnie na gorącym uczynku. Śledziłem szpiega, musiałem mieć się na baczności.

Rozwiązałem wstążkę. Na opakowaniu u dołu widniał napis skreślony tak niewyraźnie, że z trudem go odczytałem:

*Sukcesja hiszpańska - Maria*

Przejrzałem kartki. Były to listy, wszystkie adresowane do Melaniego, ale bez podpisu. Charakter pisma nieregularny, nerwowy, zdradzający emocje. Litery wykraczały poza margines, a dopiski dodane do niektórych zdań wchodziły na sąsiednie linijki. Pismo to należało niewątpliwie do kobiety. Była nią zapewne owa tajemnicza Maria, której imię wyszeptał Melani.

Czym była natomiast sukcesja hiszpańska? O tym miałem się wkrótce dowiedzieć ze znalezionych listów. Pierwszy z nich, w którym celowo zatajone zostało imię autorki, jak również informacje zbyt pociągające dla nieprzychylnie nastawionych osób, zaczął się następująco:

*Drogi Przyjacielu!*

*Dotarłam szczęśliwie w okolice Rzymu. Sytuacja rozwija się w dużym tempie. Podczas postoju dowiedziałam się, o czym Pan już zapewne wie, że kilka dni temu ambasador Hiszpanii, hrabia d'Uzeda, był dwukrotnie na audiencji u papieża. Nazajutrz po pierwszej wizycie u Ojca Świętego, podczas której złożył podziękowanie za przyznanie kapelusza kardynalskiego swojemu krajanowi, monsiniorowi Borgii, d'Uzeda otrzymał przez kuriera pilne pismo z Madrytu. Skłoniło ono hrabiego, aby ponownie udać się do Ojca Świętego. Podczas drugiej wizyty d'Uzeda przekazał papieżowi list od króla Hiszpanii, zawierający pewną prośbę. Otóż el Rey prosi Innocentego XII o pośrednictwo w sprawie sukcesji!*

*Tego samego dnia widziano sekretarza stanu, naszego wspólnego przyjaciela kardynała Fabrizia Spadę, jak zmierzał do ambasady przy placu Hiszpańskim. W sprawie nastąpił punkt zwrotny.*

Nie czytywałem gazet i nie interesowałem się polityką. Tajemnicza autorka listu natomiast wydawała się doskonale zorientowana w tej materii.

*Domyślałam się, że cały Rzym o tym plotkuje. Nasz miody Katolicki Król Hiszpanii Karol II umiera bezpotomnie. El Rey, mój przyjacielu, odcho-*

*dzi! Jego krótka i bolesna bytność na ziemi dobiega końca. Nikt nie wie, komu przypadnie w udziale jego olbrzymie królestwo.*

Wiedziałem, że do Hiszpanii należy Kastylia, Aragonia, zamorskie kolonie, a także Neapol i Sycylia, krótko mówiąc - rozległe terytorium.

*Czy wszyscy staniemy na wysokości czekającego nas zadania? Och, Sylwiuszu, Sylwiuszu! Znalazłeś swoje przeznaczenie, lecz uważaj! Kto za wcześnie zdobywa mądrość, w dojrzałym wieku ma w pogardzie jej owoce.*

Bardzo się zdziwiłem, dlaczego Atto został w liście nazwany Sylwiuszem. I dlaczego znalazły się w nim słowa zarzucające opatowi Melaniewemu nieroztropność i niedojrzałość?

Na końcu znajdował się zagadkowy dopisek:

*, Proszę powiedzieć Lidiuszowi, że teraz nie odpowiem na jego pytanie. On wie, dlaczego.*

Do listu dołączony był rodzaj suplementu czy raczej wyszczególnienia:

#### *Streszczenie aktualnego stanu rzeczy*

Poniżej widniały przeróżne informacje i syntetyczny wykaz dotyczący sukcesji hiszpańskiej w ostatnich latach.

*Hiszpania chyli się ku upadkowi i nikt nie myśli dziś o Katolickim Królu z takim przerażeniem, jakie wywołuje postać Arcychrześcijańskiego Króla Francji Ludwika XIV, nieodrodnego syna Kościoła. Z łaski Boga władca Hiszpanii jest królem Kastylii, Aragonii, Toledo, Galicji, Sewilli, Grenady, Kordoby, Nursii, Jaenu, Algeciras, Gibraltaru, Wysp Kanaryjskich, Indii, jak również wysp i lądów na morzach północnych i południowych, Filipin i wielu innych wysp i ziem odkrytych lub tych, które zostaną odkryte. Za pośrednictwem Korony Aragońskiej następcą obejmie tron Walencji, Katalonii, Neapolu, Sycylii, Majorki, Minorki i Sardynii. Nie licząc księstwa Mediolanu i Brabancji, Limburga, Luksemburga, Gueldrii, Flandrii i pozostałych ziem w Niderlandach, które należą lub mogłyby należeć do króla Hiszpanii. Kto zasiądzie na tronie Hiszpanii, zostanie władcą świata.*

Król Hiszpanii, el Rey, jak nazywała go tajemnicza autorka listu, umierał bezpotomnie. Kto po nim odziedziczy te rozległe ziemie, które czyniły z Korony hiszpańskiej największe królestwo na świecie? Jak się dowiedziałem z dalszego ciągu listu, do niedawna istniał kandydat do sukcesji tronu hiszpańskiego w osobie młodego księcia, elektora Bawarii, Józefa Ferdynanda, który z punktu widzenia pokrewieństwa miał pełne prawo odziedziczyć władzę w Hiszpanii. Ponad rok temu Józef Ferdynand niespodziewanie zmarł. Jego śmierć była zaskakująca i brzemienna w skutkach. Na dworach niemal całej Europy mówiło się o otruciu.

Teraz były dwie możliwości: umierający władca Hiszpanii Karol II mianuje swoim następcą albo jednego z wnuków króla Francji Ludwika XIV, albo jednego z poddanych cesarza Austrii Leopolda I. Obie kandydatury niosły ze sobą pewne ryzyko. W pierwszym wypadku Francja - największa potęga militarna Europy - po połączeniu terytoriów zamorskich z posiadłościami Korony hiszpańskiej stałaby się jedną z największych monarchii świata. W drugim wypadku, gdyby Karol II wyznaczył na swojego sukcesora poddanego Wiednia, odrodziłoby się cesarstwo zjednoczone przez Karola V, sięgające od Wiednia po Madryt, od Mediolanu po Sycylię, od Neapolu po obie Ameryki. Ta druga hipoteza była bardziej prawdopodobna, ponieważ Karol II Hiszpański był Habsburgiem, tak jak Leopold Austriacki.

Jak do tej pory - czytałem w liście - Francja żyła w pokoju ze swoimi wrogami (czyli z niemal wszystkimi państwami Europy). Pokój z Hiszpanią trwał od dłuższego już czasu. Z Anglią i Holandią łączył Francję pakt o przyszłym podziale olbrzymich posiadłości hiszpańskich, ponieważ od dawna było wiadomo, iż Karol II nie może mieć dzieci. Kiedy ów pakt został ujawniony, mniej więcej miesiąc temu, Hiszpanie wpadli w złość. Król Hiszpanii nie mógł zgodzić się na to, by inne państwa podzieliły między siebie jego królestwo, tak jak uczynili to centurionowie z szatami Ukrzyżowanego Chrystusa.

*Streszczenie* kończyło się następująco:

*Wraz ze śmiercią el Reya sytuacja bardzo się skomplikuje. Pakt o podziale terytoriów hiszpańskich okazał się niezbyt fortunny i może być trudny do przeprowadzenia. Francja nie dopuści do tego, by otoczyło ją cesarstwo wiedeńskie, a z kolei Leopold I i król Anglii, holenderski hereetyk Wilhelm Orański, nie pozwolą, by Francja zagarnęła całą Hiszpanię.*

Potem następował taki oto dopisek:

*Wiem, że Pan mnie dzisiaj oczekiwał, ale nieprzewidziane okoliczności zmuszają mnie do przełożenia naszego spotkania. Przybędę jutro, tuż po zmierzchu, i proszę się na mnie nie gniewać.*

Następna kartka napisana była inną ręką. Była to odpowiedź Atta, której tak długo szukałem. Jak przewidywałem, opat nie zalakował listu, czekając, aż Buvat sporządzi kopię.

*Łaskawa Pani!*

*Jak Pani wiadomo, od kilku miesięcy ambasadorowie wszystkich mocarstw i ich władcy dosłownie szaleją w związku ze sprawą sukcesji hiszpańskiej. Wszyscy z niecierpliwością wyczekują najnowszych wieści i wykradają sobie wzajemnie sekrety. Nie mówi się o niczym innym, tylko o ambasadorach Hiszpanii, Francji i cesarstwa, czyli Penelopie i jej dwóch zalotnikach. Trzy wspomniane królestwa oczekują opinii papieża w kwestii sukcesji: Francja czy cesarstwo? Jakiej rady udzieli Jego Świątobliwość Katolickiemu Królowi? Powinien wybrać księcia Andegawskiego czy arcyksięcia Karola?*

Teraz wszystko stało się jasne: w Rzymie miał się rozstrzygnąć los cesarstwa hiszpańskiego. Trzy mocarstwa gotowe były podporządkować się decyzji Ojca Świętego. W swoim liście Maria nie pisała wprawdzie o opinii papieża, ale o jego pośrednictwie.

*Tu, w Rzymie, panuje duże zamieszanie. Sprawę dodatkowo komplikuje to, że trzech ambasadorów największych mocarstw, czyli Hiszpanii, Francji i cesarstwa, mianowani zostali stosunkowo niedawno. Sześć miesięcy temu przybył hrabia Leopold Józef von Lamberg, ambasador Jego Cesarskiej Wysokości Leopolda I Habsburga, cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego.*

*Hrabia d'Uzeda natomiast, Hiszpan obdarzony niezwykle inteligencją, jest tu prawie od roku.*

*Podobnie rzecz się ma w wypadku dyplomaty francuskiego Louisa Grimaldiego z Valentinois, księcia Monachium, wielkiego awanturnika, który pokłócił się już z połową rzymian o błahe kwestie etykiety. Jego Wyso-*

*kość musiał przywołać go do porządku i przypomnieć, że powinien dbać o zachowanie dobrych stosunków z narodem, który go gości. Chyba niewiele zdziałał on dla Francji, ale na szczęście Arcychrześcijański Król nie musi liczyć tylko na niego.*

*Przejdźmy jednak do nas. Mam nadzieję, że pozostaje Pani w dobrym zdrowiu. Niestety, nie mogę powiedzieć tego o sobie. Dzisiaj, tuż po przybyciu do willi Spada, przytrafił mi się dziwny wypadek: nieznany człowiek zranił mnie nożem w ramię.*

W tym miejscu opat, mijając się nieco z prawdą, zaczął się rozwodzić o białej koszuli zbroczonej krwią, o bolesnych zabiegach medyka, które heroicznie zniósł, i innych temu podobnych szczegółach.

*Och, przeszło mnie okrutne ostrze! O, ja nieszczęsny! Ledwo stoję, silny ból wprost rozsadza mi zraniony bok.*

Czyżby Atto chciał zrobić wrażenie na Marii? Ton listu wydawał się lekko uwodzicielski.

Dalej opat Melani pisał, że choć strażnik pilnujący willi twierdził, iż napastnik był zwykłym żebrakiem, on, Atto, obawia się, że nie padł ofiarą przypadku, lecz zamachu zorganizowanego przez obóz wroga. Z tej przyczyny zastanawiał się, czy nie odbyć poufnej rozmowy z ambasadorem Lambergiem, gdy tylko przybędzie on na wesele siostrzeńca kardynała Fabrizia.

*Ale, droga Przyjaciółko, lepiej leczyć ranę niż żywić urazę, gdyż zemsta na nic się nie zda.*

Słowa te zaskoczyły mnie. Zauważyłem wprawdzie, że Atto odniósł się sceptycznie do mojej relacji z rozmowy z Waligórą, ale teraz okazało się, że nabrał pewnych podejrzeń. Dlaczego mi o nich nie powiedział? Buvatowi z pewnością ufał, najlepszy dowód, że zlecał mu przepisywanie wszystkich swoich listów. Może nie miał zaufania do mnie? Było to jednak mało prawdopodobne, zatrudnił mnie przecież jako prywatnego kronikarza. Z drugiej strony - rozmyślałem - po Melanim można się wszystkiego spodziewać...

List kończył się podniosło, co zupełnie nie pasowało do usposobienia Atta Melaniego:

*Nie domyśla się Pani nawet, z jakim smutkiem przeczytałem, że nie przybędzie dziś Pani do Rzymu.*

*Och, okrutna! Pani list, wzorem Pani przepięknych oczu, zadał ranę jej najuniżeńszemu słudze. Moje ramię ponownie zaczęło krwawić i będzie krwawić aż do chwili, gdy dostąpi szczęścia i zaszczytu, kiedy oprzesz na nim swoją dłoń. Przybывaj czym prędzej do willi Spada, moja najdroższa Przyjaciółko, w przeciwnym razie będziesz mnie miała na sumieniu.*

Ponizej tych przesłodzonych wersów przeczytałem następujący dopisek:

*Czy nadal sądzi Pani, że szczęście Lidiusza nic nie znaczy?*

Ponownie pojawiło się to imię. Nie zastanawiałem się, kim on jest, bo i tak bym do niczego nie doszedł. W pierwszej kolejności musiałem odkryć, kim jest tajemnicza korespondentka opata Melaniego. A więc - podsumowałem w myśli - Maria została zaproszona na wesele, ale opóźniła przyjazd. Oto czym należało tłumaczyć smutek na twarzy opata podczas lektury listu. Domyślałem się, że była to arystokratka w pewnym wieku, gdyż Atto zwracał się do niej jak do dobrej przyjaciółki, wspominając wspólnych znajomych sprzed trzydziestu lat. W listach nie było wzmianki o jej rodzinie, należało zatem przypuszczać, że podróżowała sama. Jest ważną i znaną osobistością - pomyślałem - skoro ośmielono się zaprosić ją samą na uroczystości w willi. Arystokratki w podeszłym wieku, samotne lub wdowy, unikały zazwyczaj kontaktów towarzyskich, oddając się modlitwom, a niekiedy zamykając w klasztorach. Usuwały się z życia i nikt nie miał odwagi im w tym przeszkadzać, chyba że w zbożnym celu. Przyjmując zaproszenie, dama wykazała się dużym temperamentem.

Zapragnąłem poznać ją lub choćby dowiedzieć się, kim jest. Rzuciłem okiem na inne listy. Napisane były przez Marię i mówiły o wydarzeniach w Hiszpanii. Chyba była Hiszpanką lub Włoszką (skoro tak dobrze знаła mój język) zamieszkałą w Hiszpanii, gdzie miała zapewne wysoką pozycję. Niestety, we wszystkich listach tożsamość autorki była zatajona. Musiałem czekać na jej przybycie, nie znając daty, albo wypytać Buvata.

Pozostałe listy postanowiłem przeczytać kiedy indziej, ponieważ już i tak nadużyłem gościnności opata i jego sekretarza. Nie mogłem dopuścić do tego, żeby mnie tu zastali.

Zgodnie z tym, co planowałem uczynić przed wizytą w pokojach Melanigo, skierowałem się do kuchni, żeby coś przekąsić. Później miałem stawić się u zarządcy domu. Odłożyłem na miejsce klucze od apartamentu opata, a kiedy wchodziłem do kuchni, minąłem się w drzwiach z woźnicą pozostającym w służbie kardynała Fabrizia w Pałacu Apostolskim. Zauważyłem, że był zdyszany i purpurowy na twarzy. Ponieważ natknąłem się na znaną mi mleczarkę, zapytałem, co się stało.

- I tam, nic takiego! Kardynał Spada coś ostatnio straszliwie się śpiesy. Chiba ma dużo roboty w tym Pałacu Apostolskim. Najwyraźniej cymś się frasuje. Jego Eminencja jezd w złym humoze. A woźnica o mało nie zwariował, bo woził dziś pana wte i wewte - od kardynała do ambasado ra i z powrotem - z powodu jakiegoś papieskiego brefe, cy jakoś tak, ja tam nie wim. Musiał znosić jego humory.

Stałem jak wryty. Oto na czym polega potęga kobiet! Tej prostej mleczarce wystarczyło kilka minut pobytu w kuchni, aby dowiedzieć się tego, na co ja potrzebowałbym całego dnia i dużo szczęścia. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy moja Clordia stała się jedną z najbardziej szanowanych akuszerek w Rzymie. Z jej usług korzystały wszystkie arystokratki (i ich służące): informacjami, które każdego dnia przynosiła do domu, można by zapełnić całe szpalty gazet.

- Aha! Pozdrowienia dla zony i dziewczynek! - dodała mleczarka, jak by czytała w moich myślach. - A wie pan? Moja siostra, ta co to jezd w ciąży, ma sie bardzo dobrze, odkąd Clordia psemówiła do rozsądku temu osłu, mojemu śwagrowi. Pana zona to prawdziwa dama!

Tak, Clordia była nie tylko akuszerką, ale także powiernicą swoich podopiecznych. Służyła radą kobietom z ludu, szukającym u niej pomocy w trudnych chwilach. Z takim samym uśmiechem i życzliwością traktowała zarówno mężów przyszłych matek, jak i dzieci karmione piersią. Tak dobrze wypełniała swoje obowiązki, że nawet słynny medyk Baiocco posyłał po nią, kiedy potrzebował pomocy przy porodach w szpitalu Fatebenefratelli na Isola Tiberina. Clordia była uprzejma, wesoła, dowcipna, a przy tym obdarzona wdziękiem i odwagą. Podtrzymywała na duszy ciężarne kobiety, zapewniając je, że nie będą cierpiały podczas porodu. I choć było to kłamstwo, nie należy zapominać, że nawet Platon w *Republice* twierdził, iż niekiedy należy szukać chorego, aby go pocieszyć. Krótko mówiąc, po piętnastu latach praktyki Clordia uważana była



przez swoje podopieczne i ich mężów za kogoś w rodzaju rodzinnego rozjemcy.

Pożegnawszy się z mleczarką, usiadłem przy stole, przy którym jedli kolację służący. Pożywiając się, przypomniałem sobie słowa Atta: aby poznać świat, wystarczy patrzeć, słuchać i myśleć. Czyż nie tak postępowała moja Clordia? Ja tego nigdy nie potrafiłem. Pod tym względem nie zmieniłem się od czasu, kiedy byłem nieśmiałym posługaczem w „Donzello”. Wówczas w grę wchodził brak doświadczenia, teraz - na odwrót - przygniatał mnie jego nadmiar. W rezultacie wycofałem się z niesmakami na margines życia. Moja żona ma rację, nazywając mnie nowym Cyncynatem\*. To prawda: w powszedni dzień pochylony nad motyką, a w niedzielę nad książkami, nic nie widziałem, nic nie słyszałem i nie zadawałem żadnych pytań, zajęty swoimi sprawami. Nawet z sąsiadami nie zawarłem znajomości, nie czułem takiej potrzeby. Ludzie nie interesowali mnie do tego stopnia, że kiedy w domu dzieliłem się z Clordia jakąś zasłyszaną wieścią, ona odpowiadała niezmiennie: „To żadna nowość, wszyscy już o tym wiedzą”.

Gardziłem światem, ale też - przyznaję - bałem się go, zwłaszcza zła, które widziałem wokół. Teraz to się zmieniło. Nagłe pojawienie się opata Melaniego wstrząsnęło moim życiem. Clordia na pewno będzie się ze mnie śmiała, że ponownie dałem się usidlić Melaniewi. Ale czy to ważne? Bardzo ją kochałem, nawet wtedy, gdy żartobliwie karciała mnie jak uczniaka. Przystanie ze mnie żartować, kiedy przyniosę do domu tysiąc dwieście skudów zapłaty za kronikę...

Tak, coś się zmieniło. Nadal byłem karłem i tak się czułem, także pod względem ducha, ale może przyszła pora, abym rozwinął te nieliczne zdolności, którymi obdarował mnie Bóg. Co do Atta, to wiadomo było, skąd wyrusza, ale nie można było przewidzieć, dokąd dotrze. Z drugiej strony jednak - jak miałem okazję przekonać się, odkrywszy jego szkaplerz - na starość przejawiał więcej bojaźni bożej.

Czy zawdzięczałem coś Melaniewi? Z pewnością rozczarowanie, które zrodziło we mnie nieufność, ale także dobre rzeczy, nade wszystko Clordię. Gdyby przed siedemnastu laty Atto Melani nie pojawił się w gospodzie „Donzello”, nie ożeniłbym się z moją ukochaną Clordia,

Cyncynat, Lucius Quinctius Cincinnatus - patrycjusz rzymski. Wg tradycji, gdy orał pole, otrzymał nominację na dyktatora (458 p.n.e.). Odniosłszy zwycięstwo nad Ekwami (460), powrócił do pracy na roli. Symbol prostoty, cnoty i odwagi (przyp. red.).

a ona przez resztę życia uprawiała by nierząd. Nie zdobyłbym też całej tej wiedzy, która dziś pomaga mi zrozumieć świat. I choć bywa niekiedy gorzka, dzięki niej zmieniłem się z bojaźliwego posługacza w mężczyznę.

Po kolacji porzuciłem te poważne rozważania, a kiedy wstawałem od stołu, przypomniała mi się rozmowa z mleczarką. Biorąc pod uwagę informacje, które od niej usłyszałem, musiałem przyznać, że Atto miał rację: na wyższych piętrach Pałacu Apostolskiego na Monte Cavallo szykowano jakąś intrygę.

Właśnie wychodziłem z kuchni, kiedy usłyszałem głos przypominający mi o moich obowiązkach:

- Szanowny Mistrz Ptasznik!

Określenie, na które zresztą nie zasługiwałem, padło z ust osoby, której poszukiwałem - don Paschatia Melchiorriego, zarządcy domu. Don Paschatio odnosił się do swoich podwładnych z najwyższym respektem i uprzejmością. Jako człowiek niezwykle wrażliwy na tytuły, każdego z nas obdarzył przydomkiem godnym rodu Spada. Ja, ponieważ coraz częściej nosiłem wodę i jedzenie do woliery, zostałem Mistrzem Ptasznikiem. Do Giuseppe, wieśniaka wzywano do przycinania krzewów, podlewania i użyźniania trawników, don Paschatio nie zwracał się jego prawdziwym imieniem, lecz Mistrzowi Ogrodniku. Lorenzo, trudniący się sprzedażą winogron i wina, nosił tytuł Mistrza Winnicy. Z czasem don Paschatio wymyślił przydomki dla wszystkich służących w willi Spada, nawet tak skromnych jak ja. Kiedy dokonywał obchodu, słyhać było głośne powitania i wymyślne tytuły, w rodzaju: „Mistrzu Masztalerzu, dzień dobry!”, „Mistrzu Wicedostawco, dobry wieczór!”, „Czcigodny Kuchmistrzu, proszę mi pokazać stół nakryty do obiadu”. Tymczasem chodziło o zwykłego koniuszego, sprzedawcę, który przywoził produkty do kuchni, i pomocnika kucharza. Zarządca nie czynił tego z zamiłowania do retoryki, lecz z szacunku do pana domu. Gdyby ktoś usiłował namówić don Paschatia do obcięcia sobie palca, na pewno by tego nie uczynił. Nie odmówiłby sobie jednak przyjemności i honoru służenia znakomitej rodzinie Spada.

Tego wieczoru, żegnając się z szefem kuchni, zawołałem:

- Do jutra, szefie!

Don Paschatio, usłyszawszy to pożegnanie, jego zdaniem zbyt potoczne i swobodne, zwrócił mi uwagę uprzejmym, poważnym tonem:

- Mistrzu Ptaszniku, stolnik wydaje polecenia kucharzowi, kuchmistrzowi, pomywaczom i kuchennym, jak również dostawcom.

- Don Paschatio, ja wiem, ja...

- Niech mi pan pozwoli skończyć, Mistrzu Ptaszniku. Stolnik sporządza listę sprawunków dla dostawcy, a później sprawdza, czy zakupy odpowiadają zamówieniu. Nadzoruje, by produkty ze spiżarni trafiły bezpośrednio w ręce kucharza. Rozmieszczenie potraw...

- Proszę mi wierzyć, chciałem tylko...

- ...na stole, jak już mówiłem, który musi się pięknie prezentować zarówno w dzień powszedni, jak i podczas przyjęć, zależy od umiejętności i talentu stolnika. On zaś, znając swój fach, sprawia, że skromny posiłek wydaje się wystawny, za niewielką sumę potrafi kupić tyle żywności, za ile ktoś mniej doświadczony zapłaciłby dwa razy więcej. Stolnicy, którzy nie potrafią umiejętnie zamawiać produktów i zarządzać spiżarnią, drwią sobie ze wszystkiego, przynosząc ujmę sobie i swoim panom. Czy pan mnie rozumie, Mistrzu Ptaszniku?

- Tak - odparłem zrezygowany.

- Stolnik musi też zadbać o to, by potrawy były odpowiednio przyrządzone, podane na czas i gorące, tak żeby smakowały panu. Do spiżarni i kuchni nie wpuszcza nie tylko obcych, ale także domowników. Stara się, by potrawy przeznaczone dla pana były najlepszej jakości i przechodziły przez jak najmniej rąk. Dzięki temu nie tracą smaku i nie zostaną zatrute. Krótko mówiąc, Mistrzu Ptaszniku, od stolnika zależy życie jego pana.

- Wszystko rozumiem, chciałem tylko pożegnać...

- W świetle tego, co powiedziałem, proszę, by dostosował się pan do reguł panujących w domu Spada i z szacunkiem odnosił się do stolnika - oznajmił takim tonem, jakbym obraził szefa kuchni, w tej chwili zajętego zresztą już zupełnie czym innym.

- Obiecuję, Mistrzu Zarządco Domu - odparłem, zarażony manierą don Paschatia, choć zwykle zwracałem się do niego po imieniu.

W ostatnich dniach nawyk don Paschatia wyraźnie się nasilił.

- Mistrzu Ptaszniku! - powiedział mi na koniec. - O ile mi wiadomo, pewien znamienity kawaler, którego mamy honor gościć w willi Spada, prosił, byś mu w tych dniach służył. Wiem, że jest to osoba godna sza-

cunku, i nie zamierzam się wtrącać. Żywię nadzieję, że Mistrz doskonale wywiąże się ze swoich obowiązków.

- Przepraszam, skąd pan o tym wie? - spytałem zdziwiony.

- Doniesiono mi o tym... ot, tak po prostu i... sędzę, że spotkam się z pańską aprobatą i zrozumieniem - odparł don Paschatio.

Było jasne, że Atto, chcąc bez przeszkód korzystać z moich usług w tych dniach w willi Spada, wręczył suty napiwek zarządcy domu, zyskując opinię pana, który, o ile zechce, potrafi być bardzo hojny.

Oznajmiłem zatem don Paschatiewi, że, jak na razie, byłem do jego dyspozycji.

- To wspaniale, Mistrzu Ptaszniku - odparł, nie kryjąc zadowolenia. - Miałbym dla pana pewne zadanie, jako że kilka osób, jak by to powie dzieć, zawiodło.

Wyjaśnił, że tego popołudnia kilku służących z niewiadomych przyczyn zbiegło do lasu, nie przybiwszy przedtem desek na schodach w teatrze. Zanosilo się na to, że konstrukcja nie zostanie ukończona na czas, czego stanowczo domagał się kardynał Spada kilka tygodni temu. Znałem powód (dość błahy, prawdę mówiąc) tej dezercji. Otóż służący umówili się z wiejskimi dziewczynami, by flirtować z nimi w winnicach za bramą San Pancrazio, na tyłach pałacu Corsinich. Przemilczałem to jednak, nie dlatego, żeby nie uchodzić za donosiciela, ale żeby nie rozgniewać i tak już zdenerwowanego don Paschatia. Zarządca domu poczerwieniał ze złości: kolejny raz opuścili go pracownicy, a kardynał Spada zmył mu za to głowę.

- Przedstawiłem Jego Eminencji listę służących, którzy powinni zostać ukarani - skłamał, nie wiedząc, że słyszałem jego rozmowę z kardynałem. - Pilnie potrzebna jest dodatkowa para rąk. Zadanie w sam raz dla pana, Mistrzu Ptaszniku. Proszę się przebrać w liberię, będzie pan bo wiem podawał do stołu, na łące obok fontanny. Wszyscy już tam są, właśnie zaczynają kolację. W razie potrzeby będę w pobliżu. Niech pan już idzie, proszę!

Kiedy poszedłem zmienić ubranie, osłupiałem ze zdziwienia. Dostarczono mi bowiem biały turban, bułat, parę ciżem, spodnie z bufiastymi nogawkami, tunikę i ozdobny pas, a cały strój był o trzy rozmiary za duży. Przypomniałem sobie, że oprawa kolacji, włącznie z liberiami służących, miała mieć charakter orientalny. Długi pióropusz przy turbanie

świadczył niezbitcie o tym, że otrzymałem strój janczara, żołnierza armii Wielkiego Sułtana. Ale było to nic w porównaniu z tym, co zobaczyłem później.

Kiedy założyłem turkusowy uniform, wręczono mi dwie duże srebrne tace z zimnymi przystawkami: jedna ze świeżymi figami ozdobionymi liśćmi, kwiatami i bitą pianą, druga z garniowanym tuńczykiem. Inni służący nieśli na tacach kawior, torty po genueńsku, placki pistacjowe, pieczone kapłony, ozorki, sałatki z warzyw i owoców.

Minąwszy pergolę, skręciłem w aleję prowadzącą z pałacu do fontanny i zmierzałem w kierunku stołów. Po drodze rozkoszowałem się zapachem narcyzów, wilczych jagód i zimno wito w, dochodzącym od strony alei wjazdowej, oraz rześkim chłodem pobliskiej winnicy. Wraz z zapadnięciem zmierzchu z wolna ustępował dokuczliwy skwar dnia.

Kiedy dotarłem na miejsce, oniemiałem na widok przepychu sprzętów i dekoracji. Pod rozgwieżdżonym niebem na miękkim dywanie z trawy stały turkusowe pawilony w kształcie wschodnich pałaców, wykonane ze zwiewnego jedwabiu armeńskiego, rozpiętego na drewnianych konstrukcjach, zwieńczone pozłacanym półksiężycem. Z rozstawionych wokół mis dobywała się przyjemna, kojąca woń kadzideł. Opodal, za sztucznym żywopłotem, stał skromniejszy stół dla sekretarzy (dostrzegłem przy nim Buvata, do woli raczącego się winem), ordynansów i pomocników eminenncji i ksiąząt. Wielu z tych znakomitych gości było w podeszłym wieku lub cierpiało na podagrę, dlatego też musieli mieć pod ręką swoich opiekunów.

Kiedy my, kelnerzy, podawaliśmy do głównego stołu, ustawionego na wschodnich kobiercach w kolorze jasnego brązu, pozostali janczarzy stali nieruchomo, dzierżąc w dłoniach zapalone pochodnie oświetlające biesiadników.

Pośród tego przepychu rozpoczynała się kolacja. Oszołomiony niezwykłym widokiem owego teatru rozkoszy, obsługiwałem gości zgodnie ze wskazówkami Mistrza Stolnika, który - niczym dyrygent - dowodził orkiestrą złożoną z kelnerów. Kiedy podano wino, podszedłem do stołu. Gość, którego miałem obsłużyć, był zapewne ważną osobistością, bo zarówno don Paschatio, jak i stolnik przyglądali mi się z najwyższą uwagą i niepokojem.

- ...no więc zapytałem ponownie: „Jak Wasza Świątobliwość zamie-

rza rozwikłać ten problem?" Ojciec Święty dopiero co skończył jeść i właśnie mył ręce. Odpowiedział: „Czy nie widzisz, monsiniorze? Jak Poncjusz Piłat!”

Biesiadnicy parsknęli śmiechem. Byłem tak przejęty swoim nieoczekiwanym zadaniem, że ten gwałtowny wybuch wesołości, którego nigdy bym się nie spodziewał po wysokich dostojnikach Kościoła i przedstawicielach arystokracji, omal mnie nie sparaliżował. W dobry humor wprawił towarzystwo kardynał Durazzo, w dowcipny sposób przytaczając słowa jednego z wielu papieży, których poznał w ciągu swojej długiej kariery. Zauważyłem ze zdziwieniem, że tylko jeden człowiek, siedzący przy drugim końcu stołu, zachował poważny wyraz twarzy. Nieco później dowiedziałem się, z jakiego powodu.

- Był to jeden z najwspanialszych papieży wszech czasów - dodał Durazzo, gdy goście już się uspokoiili i wycierali chusteczkami łzy radości.

- W istocie - dodał inny kardynał, osuszając serwetką krople wina na podbródku.

- Cała Europa pragnie, żeby został błogosławiony - dodali biesiadnicy z drugiego krańca stołu.

Kiedy podniosłem wzrok, spostrzegłem, że stolnik i don Paschatio starają się przywołać moją uwagę. Rozpaczliwie machając rękami, wskazywali na coś tuż przed moim nosem. Spojrzałem w tym kierunku: kardynał Durazzo patrzył na mnie wyczekująco. Oszołomiony ogólną wesołością, zapomniałem go obsłużyć.

- No jak, chłopcze? Chcesz, żebym cierpiał głód jak Nasz Pan na pu styni? - zapytał, ponownie wywołując salwy śmiechu.

Czując w głowie zamęt, czym prędzej podałem figi kardynałowi i jego sąsiadom. Wiedziałem, że popełniłem duży nietakt i przyniosłem hańbę domowi Spada. Poza tym stałem się pośmiewiskiem gości, na szczęście tylko przez kilka minut. Poczzerwieniałem jak burak, przeklinając chwilę, w której ofiarowałem swą pomoc don Paschatiovi. Bałem się podnieść wzrok, gdyż wiedziałem, że zobaczę utkwione we mnie pełne złości oczy zarządcy domu i stolnika. Dzięki Bogu tego wieczoru nie odbywała się uczta weselna, kardynał Spada był nieobecny. Miał pojawić się za dwa dni, na oficjalne rozpoczęcie uroczystości.

- ...Wierzmy, że prędko wyzdrowieje - rzekł któryś z gości, gdy podawałem kolejne danie.

- Miejmy nadzieję - powiedział monsinior Aldrovandi, którego na-

zwiska jeszcze wtedy nie znałem. - W Bolonii, skąd przybywam, codziennie pytają mnie o jego zdrowie. Wszyscy bardzo się martwią. Domyśliłem się, że mowa o chorym papieżu.

- Bądźmy dobrej myśli i módlmy się. Modlitwa przezwycięży wszystkie trudności - oświadczył inny prałat smutnym głosem, czyniąc znak krzyża.

- Ileż dobrego przyniósł Rzymowi!

- Przytułek San Michele przy Ripa Grandę i sto czterdzieści tysięcy skudów rocznie dla biedoty...

- Szkoda, że nie zdołał osuszyć Bagien Pontyjskich... - stwierdziła księżna Farnese.

- Wasza Wielmożność pozwoli, że przypomnę, iż oplakany stan Bagien Pontyjskich i niezdrowe wyziewy, które zatruwają Rzym, nie są dziełem natury, lecz skutkiem nieprzemyślanego karczowania lasów w czasach Juliusza II i Leona X - odparł monsinior Aldrovandi, nie godząc się na najmniejszą nawet krytykę pod adresem obecnego papieża - a także, o ile się nie myłę, Pawła III.

Ostatnie stwierdzenie stanowiło aluzję do tego, że księżna wywodziła się z rodu Alessandra Farnese, późniejszego Pawła III.

- Las w Baccano został wycięty - upierała się księżna - bo ukrywali się w nim mordercy i złodzieje.

- Lasy Sermonety i Cisterny - zawołał jeden z gości, jak się później dowiedziałem, księżę Caetani - należy wyciąć i już! Z nakazu publicznego, ma się rozumieć - uściślił wobec chłodnej reakcji gości.

Księżęta Caetani każdego kolejnego papieża prosili o zgodę na wycięcie tych lasów, będących ich własnością. Dla zysku oczywiście.

- Błagajmy Boga, aby pozwolił jak najdłużej zachować te lasy, po dobnie jak las w pobliżu Albano Laziale - rzekł monsinior Aldrovandi z uśmiechem - ponieważ w dniu, kiedy zostaną wycięte, będziemy się musieli pożegnać z osłoną przed szkodliwymi wiatrami z południa - sirocco i wiatrem libijskim. Rzym i zdrowie obywateli pozbawione zostaną ochrony.

Caetani słuchał z powagą.

- W starożytności w okolicach Rzymu nie było żadnych bagien - ciągnął spokojnie Aldrovandi. - Nadmorski las, osłaniający przed wiatra mi południowymi, został wykarczowany na polecenie Grzegorza XIII, który pragnął zapęłnić magazyny żywnością. Wpłynęło to jednak nieco rzystnie na powietrze wokół Rzymu.

- Nie należy jednak zapominać, że Paweł V - wtrąciła księżna Rossano, żona księcia Borghese, należała więc do tego samego rodu co wspomniany przez nią papież - uczynił wszystko, aby przeszkodzić Orsinim w wycięciu krzewów w Pało i Cerveteri.

- Jego Świątobliwość Innocenty XII od lat wydaje zarządzenia zakazujące wycinania roślinności w pobliżu Nettuno, Terracyny i Conchi - odparł niewzruszony monsinior Aldrovandi. - Udałoby mu się też uregulować rzeki w Romanii, gdyby mieszkańcy Bolonii i Ferrary nie zaczęli się ze sobą kłócić. Nowego portu w Anzio nie ukończył dlatego, że zabrakło mu środków, a nie chciał zdobywać pieniędzy kosztem ludu. Pomimo trudności potrafił podejmować ważne decyzje. Czyż to nie on postanowił, żeby rok zaczynał się pierwszego stycznia, a nie dwudziestego piątego marca?

Przy stole dał się słyszeć szmer aprobaty, z wyjątkiem miejsc, gdzie biesiadnicy zajęci byli wymienianiem ostatnich plotek.

- Szkoda, że kazał wyburzyć teatr Tor di Nona - wtrącił ten sam kawaler, który nie śmiał się z dowcipu kardynała Durazza.

Monsinior Aldrovandi, nie dostrzegając, że wszystkie pochwały pod adresem papieża przypominają nekrolog, zdołał uciszyć pierwszą falę krytyki, co do drugiej natomiast (dotyczącej niepopularnej decyzji zlikwidowania jednego z najwspanialszych rzymskich teatrów), udał, że nie słyszy. Odwrócił się plecami do swojego rozmówcy i podjął rozmowę z sąsiadem.

Serwując kolację dwóm damom, usłyszałem, jak szepczą:

- Widziałaś, pani, kardynała Spinolę z Santa Cecilia?

- Czy go widziałam? - zaśmiała się druga dama. - Im bliżej konklawne, tym bardziej stara się wszystkich przekonać, że wyleczył się z podagry. Żeby nie wypaść z gry, bywa wszędzie i udaje młodzieniaszka. A dziś wieczorem zjawił się tutaj, je, pije i zaśmiewa się do rozpuku. W jego wieku...

- To wielki przyjaciel Spady, choć obaj próbują to ukryć.

- Wiem, wiem.

- Kardynał Albani jeszcze się nie pokazał?

- Przyjedzie za dwa dni, na wesele. Podobno zajęty jest jakimś pilnym papieskim brewe\*.

Stół biesiadny miał kształt podkowy. Dotarłem z tacą do końca drugie-

\* Brewe - dekret papieski dotyczący spraw mniejszej wagi (przyp. red.).



go ramienia. Siedział przy nim gość, który wydał mi *się* znajomy. Zastanawiałem się, kim jest ten człowiek, gdy nagle poczułem silne uderzenie w rękę. Taca poszybowała w górę. Nastąpiła prawdziwa katastrofa. Figi, liście, kwiaty i bita piana wystrzeliły jak z katapulty i spadały kolejno na twarz i ubranie starszego arystokraty. Taca runęła na ziemię z głośnym hukiem spadającego dzwonu. Rozległy się śmiechy i głosy niezadowolonia. Poszkodowany z godnością strzepywał z siebie owoce. Byłem przerażony. Jak wytłumaczę don Paschatiowi, stolnikowi i wszystkim biesiadnikom, że to nie była moja wina? Spojrzałem na starszego jegościa z niemym wyrzutem. To on wytrącił mi z ręki tacę. Wiedziałem, że nie mogę mu tego dowieść - służący nigdy nie mają racji. Rozpoznałem go. To był Atto.

Karę wymierzono mi bardzo szybko. Po pięciu zaledwie minutach dzierżyłem w dłoni nie tacę, lecz olbrzymią, ciężką pochodnię. Odtąd, stojąc nieruchomo, przez cały wieczór pełniłem funkcję żywego kandelabru. Byłem wściekły na opata Melaniego. Zastanawiałem się, dlaczego tak okrutnie ze mnie zadzwilił, sprowadzając na mnie karę i stawiając pod znakiem zapytania moją przyszłość w willi Spada. Przyjęcie toczyło się dalej, a ja na próżno szukałem wzroku opata. Stałem za nim i widziałem tylko jego kark.

Zmieniony w nowego Piera delie Vigne, musiałem wziąć się w garść. Kolacja dopiero się rozpoczęła. Postanowiłem uzbroić się w cierpliwość. Podano pierwsze ciepłe dania: świeże jaja w mleku, z masłem, cynamonem i cukrem, gotowanego jesiotra z ziołami, sokiem z cytryny, białym pieprzem i migdałami (po dzwonku dla każdego gościa).

Żar pochodni był nie do zniesienia. Pod turkusowym turbanem pociełem się jak mysz. Dobrze zrobili ci dezernerzy - pomyślałem - że uciekli z willi Spada, żeby poplirtować z wiejskimi dziewczynami. Ja nie miałbym serca zdradzić don Paschatia i opuścić go w tych trudnych dniach.

Jedyną ulgą w moich torturach była myśl, że dzieliłem je z siedmioma innymi służącymi, którzy podobnie jak ja trzymali pochodnie. Jedyne, co mogłem uczynić, to przyglądać się eminencjom i arystokratom. Jak się później okazało, stałem w miejscu dość szczególnym.

Pogodziłem się już z wymierzoną mi karą, kiedy nagle Atto odwrócił się do mnie.

- Do licha, chłopcze, tu, gdzie siedzę, jest ciemno jak w jaskini. Zbliź

się z tą pochodnią! - rozkazał głośno, jakby zwracał się do nieznanego sobie służącego.

Nie pozostało mi nic innego, jak go posłuchać. Stałem za plecami opata, oświetlając część stołu, przy której siedział i gdzie było wystarczająco dużo światła. Co Atto knuł? Dlaczego najpierw ze mnie zakpił, a teraz skazywał na męczarnie?

Konwersacja przy stole zeszała na błahe tematy. Niestety, nie zawsze mogłem odgadnąć, kto zabiera głos, ponieważ musiałem stać nieruchomo, a z miejsca, gdzie się znajdowałem, widziałem wprawdzie dużo, ale nie wszystko. Poza tym wielu twarzy i głosów jeszcze wtedy nie znałem (z czasem nauczyłem się rozpoznawać wszystkich gości, i to całkiem nieźle).

- ...za pozwoleniem, monsiniorze, rusznicę wolno nosić jedynie goń-  
czemu.

- Oczywiście, ekscelencjo, ale on może kazać ją nieść stajennemu.

- Zgoda. A zatem?

- Jeśli dzik jest bojaźliwy i nie chce walczyć na otwartym polu, zabija się go z rusznicy. Tak się niegdyś praktykowało na ziemiach Caetanich, które najlepiej nadają się do polowań.

- Ależ nie! Znacznie lepsze są ziemie księcia Perettiego.

- Wybaczcie mi wszyscy i pozwólcie, że się nie zgodzę. Żadne z nich nie mogą się równać z ziemiami księcia Bracciano - stwierdziła księżna Orsini, wdowa po wspomnianym księciu.

- Łaskawa pani chciała powiedzieć: ziemie księcia Odescalchiego - sprostował ktoś cichym, stanowczym głosem. Kiedy przyjrzałem się tej osobie, rozpoznałem szlachcica, który nie śmiał się z anegdoty kardynała Durazza o papieżu i Poncjuszu Piłacie.

Po tych słowach nastąpiła grobowa cisza. Księżna Orsini, pragnąc bronić dobrego imienia swojego rodu, zbyt łatwo zapomniała o tym, że Orsini, którym groziło bankructwo, sprzedali swoje ziemie księciu Liviowi Odescalchiemu. Ziemie te oprócz właściciela zmieniły też nazwę.

- Masz rację, drogi kuzynie - zgodziła się księżna, nazywając swoje go rozmówcę przydomkiem używanym przez zaprzyjaźnionych ze sobą lub spokrewnionych arystokratów. - To wielkie szczęście, że noszą dziś nazwisko twojego rodu.

Mężczyzną, który sprostował wypowiedź księżnej Orsini, był don Livio Odescalchi, bratanek zmarłego papieża. Anegdota kardynała Durazza odnosiła się zatem do Innocentego XI, gdyż to jemu książę Odescalchi zawdzięczał olbrzymią fortunę. Wreszcie mogłem się przekonać, jak

wygląda bratanek papieża, o którym siedemnaście lat wcześniej dowiedziałem się w gospodzie „Donzello” rzeczy przyprawiających o zawrót głowy. Odpędziłem te ponure wspomnienia, zbyt bolesne dla mnie, mojej żony i świętej pamięci teścia.

Tego wieczoru podsłuchiłem, że don Livio miał kiedyś łożę w teatrze Tor di Nona, ale nie cieszył się nią długo, gdyż gmach został wyburzony na polecenie obecnego papieża. Stąd ta uszczypliwa uwaga w rozmowie z monsiniosem Aldrovandim.

- Na kuźnię Hefajstosa, chłopcze, przypiekasz mi szyję! Odsuń się trochę dalej!

Atto, odwróciwszy się do mnie, głośno mnie zgał i wskazał miejsce, gdzie powinienem stać. Mruczając jeszcze coś pod nosem, kazał mi się przesunąć o kilka metrów.

Kolacja przebiegała w dość swobodnej atmosferze, co nawet obce osoby, takie jak ja, mogły z łatwością zauważyć. Tylko chwilami dawała o sobie znać wojownicza duma wielkich rodów i drażliwość dostojników kościelnych. Sztynny protokół, którego musiały przestrzegać te wszystkie wysokie osobistości w oficjalnych rozmowach, odszedł w zapomnienie, zapewne pod wpływem uroku miejsca wybranego na przyjęcie.

- Proszę o ciszę! Chciałbym wznieść toast za zdrowie kardynała Spady, którego zatrzymały w mieście pilne sprawy państwowe - oznajmił monsinior Pallavicini, gubernator Rzymu. - Kardynał prosił mnie, żebym zaopiekował się jego gośćmi, no, może nie jak ojciec, ale przynajmniej jak wuj.

Przy stole dały się słyszeć ciche śmiechy i głosy aprobaty.

- Gdy tylko spotkam się z kardynałem - ciągnął monsinior Pallavicini - wyrażę mu swoją wdzięczność za wspaniałe przyjęcie, a przede wszystkim za to, że urządził je nie w stylu hiszpańskim czy francuskim, lecz tureckim.

Ponownie dały się słyszeć śmiechy gości.

- Przypomina nam to bowiem, że wszyscy jesteśmy chrześcijanami - dodał Pallavicini, spoglądając na kardynała d'Estrees, ambasadora nadzwyczajnego Arcychrześcijańskiego Króla, wielkiego przyjaciela Osmanów.

- I wrogami heretyków - dodał d'Estrees, czyniąc aluzję do tego, że sprzymierzeńcami wiedeńskiego cesarza, katolika, byli holenderscy i angielscy heretycy.

- Nie mówmy za dużo o Osmanach, bo d'Estrees się obrazi - powiedział ktoś głośnym szeptem.

- Dajmy pokój tym kłótniom - rzekł pojednawczo kardynał Durazzo, którego uwadze nic nie umykało - bo kiedy janczar, który nie chciał po dać mi fig, usłyszy, że mówimy o heretykach, rzuci we mnie pochodnię.

Pojąwszy aluzję do mojej gafy w stosunku do kardynała Durazza, biesiadnicy wybuchnęli gromkim śmiechem. Ja musiałem stać nieruchomo i trzymać w ręku pochodnię.

Jak się dowiedziałem od don Paschatia, kardynał Spada, człowiek niezwykle przezorny, chcąc uniknąć sprzeczek o podłożu politycznym, podjął pewne środki ostrożności. Aby nie dopuścić do tego, że jedni goście będą obierali owoce na sposób francuski, a inni hiszpański, kazał podać owoce już obrane. Od wielu lat w Rzymie nie widywało się arystokratów w strojach hiszpańskich czy francuskich, ponieważ wszyscy ubierali się na wzór Arcychrześcijańskiego Króla. Zapanował też zwyczaj, by swe preferencje polityczne okazywać za pomocą drobiazgów, począwszy od chusteczki w kieszonce kaftana (zwolennicy Hiszpanów nosili ją w prawej, a zwolennicy Francuzów w lewej), a skończywszy na pończochach (białe u zwolenników Francuzów, czerwone u zwolenników Hiszpanów). Nie bez powodu zatem opat Melani założył tego wieczoru białe pończochy, a nie czerwone, jak miał w zwyczaju. Damy przypinały ozdobne bukietki do sukni z prawej strony, jeśli były gwelfkami (czyli popierały Hiszpanów), a z lewej, jeśli były gibelinkami (czyli zwolenniczkami Francuzów). Nakrycie stołu również mogło być rozmaicie odebrane, zwłaszcza rozmieszczenie sztućców miało polityczny wydźwięk. Odstąpiono więc od reguły i dokonano rzeczy wyjątkowej: noże, widelce i łyżki zostały włożone do kielichów. Rozwiązanie to zaskoczyło gości, ale uniknięto zbędnych polemik.

- Ogary to co innego - zapewnił kardynał w okazałej francuskiej peruce.

- Tak pan sądzi?

- O ile wiem, księżę Peretti miał kiedyś sześćdziesiąt ogarów. Po zakończeniu sezonu łowieckiego przenosił je w chłodniejsze rejony, bo ogary źle znoszą upały. A poza tym w ten sposób oszczędzał.

Kardynał Santa Croce, z twarzą ukrytą w cieniu dużej peruki, wychwalał zalety polowania z ogarami.

- Niepotrzebnie wspominał pan o kłopotach finansowych księcia - szepnął młody kanonik, siedzący niedaleko mnie, na ucho swojemu sąsiadowi, choć nikt go nie słuchał. Biesiadnicy podzielili się na małe grupki i gawędzili swobodnie.

- Santa Croce budzi litość - odparł rozmówca kanonika. - Na widok tych wszystkich potraw aż się oblizuje. Wypowiada słowa, które nie po winny paść z jego ust.

Tego kardynała jeszcze nie znałem. Wyglądał na cierpiącego. Jadł i pił w pośpiechu, co świadczyło o nerwowej naturze. W tej samej chwili los (a raczej coś innego, o czym opowiem później) uśmiechnął się do mnie, gdyż do kardynała podszedł służący z kartką.

- Wasza Eminencjo, mam list dla Jego Eminencji Spinoli...

- Spinoli z Santa Cecilia czy mojego krewnego Spinoli z San Cesareo? A może dla Spinoli z Ripetty? Jesteśmy tu dziś wszyscy.

Służący zmieszał się.

- Zarządca powiedział mi tylko, że list jest do kardynała Spinoli - po wiedział nieśmiało i tak cichym głosem, że wśród zgiełku prawie nie było go słyhać.

- Więc chodzi zapewne o mnie. Daj mi ten list.

Otworzył list i natychmiast zamknął.

- Zanieś go zaraz kardynałowi Spinoli z San Cesareo. Siedzi po drugiej stronie. Widzisz? Tam!

Sąsiad kardynała dyskretnie odwrócił głowę i pochylił się nad talerzem, kontynuując posiłek. Spinola z Santa Cecilia (wiedziałem już, że to on) powrócił do rozmowy z sąsiadem.

- Ten idiota zarządca kazał mi przynieść list przeznaczony dla mojego krewnego, Spinoli z San Cesareo.

- Doprawdy? - zdziwił się młody kanonik.

- List zawierał następujące zdanie: „Jutro o świcie wszyscy trzej na pokładzie. Sam powiadomię A”.

- „A”? Kto to taki?

- Skąd mam wiedzieć? Wiadomo tylko tyle, że lubi pływać łodzią. Miejmy nadzieję, że nie utonie - zaśmiał się Spinola.

Przyjęcie skończyło się późno w nocy. Byłem wyczerpany. Od płomienia pochodni, którą trzymałem przez kilka godzin, paliła mnie twarz i byłem zlany potem. Służący z pochodniami muszą czekać cierpliwie, aż ostatni gość odejdzie od stołu. Z tego właśnie powodu, mimo że bardzo byłem ciekaw, nie miałem możliwości, by podejść do Melaniego i z nim porozmawiać. Widziałem, jak odchodzi w towarzystwie Buvata, podczas gdy służący gasili świece w lichtarzach. Nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem.

Gdy znalazłem się w pokoju dla służby na poddaszu, ogarnęło mnie takie zmęczenie, że prawie nie mogłem myśleć. Moi towarzysze już smacznie spali, chrapiąc rozgłośnie. Ogarnął mnie smutek. Opat potraktował mnie okropnie, gorzej niż kiedykolwiek. Zupełnie nie rozumiałem, dlaczego. Byłem zdezorientowany i zrozpaczony. Zastanawiałem się, czy nie popełniłem błędu, przyjmując jego propozycję. Zbyt szybko podjąłem decyzję, powinienem był najpierw dokładnie wszystko przemyśleć. Wystarczył jeden dzień, żeby Atto ponownie wkroczył w moje życie. Pokusa dobrego zarobku okazała się silniejsza... Zdjąłem ubranie i położyłem się na posłaniu na podłodze. W jednej chwili twardo zasnąłem.

- Załatwili go.
- Gdzie?
- Przy via Coronari. Zaatakowali go w czterech czy pięciu i wszystko mu ukradli.

Obudził mnie głośny szept dwóch służących. Opowiadali o jakimś napadzie.

- Kim był z zawodu?
- Introligatorem.

Biegłem co tchu, choć, jak się później okazało, zupełnie niepotrzebnie. Kiedy dotarłem do pokoju, Atto Melani był już na nogach. Siedział przy biurku i trzymając pióro w palcach pobrudzonych atramentem, właśnie skończył pisać list. Przywitał się ze mną z roztargnieniem.

- Przychodzę, żeby pana poinformować...
- Wiem - przerwał mi. - Introligator Haver nie żyje.
- Skąd pan wie? - zapytałem zdziwiony.
- A ty?
- Od służących.
- Mam lepsze źródło informacji. Przed sekundą był tu ten żandarm, Waligóra. On mi powiedział.
- O tej porze? - zdziwiłem się.
- Właśnie zamierzałem posłać po ciebie Buvata - rzekł Melani, nie odpowiedziawszy na moje pytanie. - Żandarm czeka na nas w wozowni.

- Czy ta sprawa ma coś wspólnego z napadem na pana?
- A więc ty też tak myślisz. W przeciwnym razie nie zjawilibyś się tutaj w środku nocy - powiedział Atto.

Nie tracąc czasu, zeszliśmy do wozowni. Waligóra siedział w starym powozie zaprzężonym w parę koni, z woźnicą gotowym do drogi.

- Na tysiąc kartaczy! - zawołał podniecony. Woźnica wyprowadził powóz i zamknął za nami bramę. - Prawdopodobnie było tak: nieszczęsny Haver spał na piętrze pracowni. Weszli nocą. Było ich trzech czy czterech, a może więcej. Nie wiadomo, w jaki sposób dostali się do środka, drzwi nie były wyważone. Związali biedaka, zakneblowali i spokojnie przeszukali pracownię. Zabrali pieniądze i uciekli. Introligator zdołał wypłuć knebel i zaczął głośno krzyczeć. Kiedy go znaleziono, był w szoku. Opowiadając o całym wydarzeniu, nagle zasłabł. Kiedy przybył lekarz, już nie żył.

- Był ranny? - zapytałem.
- Nie widziałem ciała. Na miejsce pojechali moi koledzy żandarmi. Teraz badają całą sprawę.
- My też tam jedziemy?-zapytałem.
- Niezupelnie - odparł opat - ale blisko.

Zatrzymaliśmy się przy Piazza Fiammetta, niedaleko via Coronari. Na niebie świecił księżyc, powietrze było rześkie. Waligóra wysiadł z powozu i kazał nam zaczekać. Rozglądaliśmy się wokół, lecz nie dostrzegliśmy nawet cienia człowieka. Po chwili na placu pojawił się sprzedawca warzyw z wózkiem. Nagle usłyszeliśmy ciche gwizdnięcie. To Waligóra, do połowy ukryty w bramie, dał nam znak, żebyśmy się zbliżyli.

- Spokojnie! - zaprotestowaliśmy, kiedy wciągnął nas siłą w ciemną, zimną sień.
- Pssst! - uciszył nas żandarm, przywierając do ściany za zamkniętym skrzydłem bramy. - Obserwowali was dwaj cerretanie. Kiedy mnie zobaczyli, ukryli się albo uciekli. Muszę to sprawdzić.
- Śledzili nas? - zapytał zaniepokojony Atto.
- Cicho! Widzę ich - szepnął Waligóra.

Wstrzymaliśmy oddech i spojrzeli przez szparę w bramie. Wyciągając szyje, dostrzegliśmy dwóch starych, ubranych w łachmany nędzarzy, którzy przechodzili przez ulicę.

- Głupiec z ciebie, Waligóra - oznajmił Atto i odetchnął z ulgą. - Sądziś, że ci dwaj obszarpańcy mogliby kogoś śledzić?

- Cerretanie zawsze obserwują z ukrycia - odparł żandarm pewnym tonem.

- W porządku - uciał opat Melani. - Rozmawiałeś już z osobą, o której ci mówiłem?

- Tak jest, na setki moździerzy! - zapewnił żandarm, używając jednego ze swoich oryginalnych przekleństw.

Miejsce, do którego zmierzaliśmy, znajdowało się przy ulicy poprzecznej do via Coronari, niedaleko pracowni introligatora. Dotarliśmy tam dość krętą drogą, ponieważ Waligóra i Atto nie chcieli natknąć się na żandarmów badających sprawę napadu. Sprzyjały nam ciemności.

- Dlaczego się ukrywamy, panie Atto? Przecież nie mamy nic wspólnego ze śmiercią introligatora - powiedziałem.

Melani milczał.

- Sędzia śledczy zaangażował dwóch nowych żandarmów. Nie znam ich - poinformował Waligóra, kiedy zostawiliśmy za sobą Piazza Fiammetta i szliśmy w kierunku Piazza San SaWatore in Lauro. Mijaliśmy zaułki w dzielnicy Ponte. Nagle Buvat potknął się o śpiącego na ziemi żebraka i mało brakowało, a przewróciłby stos skrzynek i koszyków na leżących do ulicznych sprzedawców, którzy drzemali w oczekiwaniu na świt i pierwszych klientów. Sądząc po zapachu, w skrzynkach znajdowały się świeże warzywa i sery.

Spotkanie miało się odbyć z dala od niedyskretnych spojrzeń, w pracowni wytwórcy różańców. Drzwi otworzył nam starszy człowiek, o twarzy pokrytej zmarszczkami. Przywitał się z Melanim, jakby go znał od lat, i zaprosił nas do środka. Znaleźliśmy się w niewielkim pokoju, wypełnionym drewnianymi i kościanymi różańcami, różnej wielkości i koloru, zawieszonymi na ścianach lub leżącymi na małych stolikach. Rzemieślnik otworzył szufladę.

- Proszę - powiedział. Wręczył opatowi prostokątny pakunek owinięty niebieskim aksamitem i zniknął z Waligórą na tyłach pracowni. Atto dał Buvatowi znak, żeby poszedł za nimi.

Zastanawiałem się, dlaczego w takim pośpiechu przybyliśmy do pracowni dewocjonaliów. Po prostokątny pakunek? W niebieski aksamit był zapewne owinięty obraz przedstawiający jakiegoś świętego. Jaki to miało związek ze śmiercią introligatora? Atto odgadł moje myśli i, wzięwszy mnie pod rękę, wyjaśnił:

- Umówiłem się z introligatorem, że zostawi mi książkę tutaj, u tego zacnego człowieka.



Nie był to zatem obraz, lecz tajemnicza książka, o której opat Melani tak niechętnie mówił.

- Dobrze znam tego rzemieślnika, zawsze mi pomaga i mogę mu za ufać - dodał, nie wyjaśniając, na czym polega jego pomoc. Nie dowiedziałem się też, co to za książka. - Ponieważ introligatora często nie było w pracowni, pomyślałem, że lepiej będzie odebrać książkę tutaj - ciągnął opat. - Za usługę zapłaciłem z góry. Okazało się, że dobrze postąpiłem. W przeciwnym razie musiałbym pójść do warsztatu introligatora, gdzie natknąłbym się na żandarmów, którzy zaczęliby się dopytywać, czy znałem zmarłego, od kiedy, co nas łączyło... Musiałbym im powiedzieć, że kiedy rozmawiałem z Haverem, ktoś mnie napadł i zranił w ramię. Nie uwierzyliby mi. Już słyszę te pytania: Dlaczego właśnie wtedy? Czy to ma jakiś związek? Co pan robi w Rzymie? I tak dalej. Krótko mówiąc, mój chłopcze, dajmy temu pokój!

Następnie Atto dał mi znak, żebym z nim poszedł. Nie skierował się jednak do wyjścia, ale na zaplecze pracowni, gdzie zniknęli Waligóra, rzemieślnik i Buvat. Przy zniszczonym stole siedziała skromnie ubrana kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat. Rozmawiała z rzemieślnikiem i Waligórą. Przysłuchiwał im się znudzony Buvat. Kobieta na znak szacunku wstała, domyślając się w osobie Atta szlachcica.

- Skończyliście? - zapytał Melani.

Żandarm i Buvat przytaknęli.

- To sąsiadka nieszczęsnego Havera - wyjaśnił Waligóra, kiedy oddaliliśmy się od pracowni, idąc przez Piazza San Salvatore in Lauro. - Wszystko widziała z okna. Słyszała, jak ktoś głośno dobijał się do drzwi introligatora. Haver, który był człowiekiem litościwym, otworzył i wtedy do środka wtargnęły te dwa typy... Po półgodzinie wyszli, niosąc stertę kartek i zszyte już książki.

- Biedny Haver! Biedny głupiec! - podsumował Atto.

- Ciekawe, po co im te kartki - zastanawiałem się, patrząc na Atta.

- Z cerretanami nigdy nic nie wiadomo - oświadczył Waligóra, czerwony na twarzy.

- Skąd pewność, że w sprawę zamieszani są żebracy? - zapytał Atto nieco zniecierpliwiony.

- Z doświadczenia. Kiedy pojawia się jeden z nich, na przykład ten, który uciekał i pana zranił, zaraz zjawiają się następni - wyjaśnił żandarm poważnym tonem.

Atto nagle zatrzymał się, a w ślad za nim *my* wszyscy.

- Dość tego! O czym ty właściwie mówisz, Waligóra? Mam już dość tych twoich niedopowiedzeń. Wytłumacz mi raz na zawsze, co robią ci żebracy czy... cerrisanie, jak ich nazywasz.

- ...Cerrretanie - poprawił nieśmiało Waligóra.

Byłem pewien, że Atto Melani, choć nigdy by się do tego nie przyznał, boi się. Doskonale wiedział, że został zaatakowany przez jednego z osobników, o których mówił Waligóra, a introligator, świadek zdarzenia, został napadnięty we własnej pracowni i w wyniku doznanego szoku zmarł. W dodatku zlecił temu nieszczęśliwemu zszycie książki. Trochę za dużo tych zbiegów okoliczności.

- Przede wszystkim chcę wiedzieć - rzucił zniecierpliwiony Atto - czy działają na własną rękę, czy na czyjeś polecenie. Jeśli tak, to czyje?

- Trudno powiedzieć. Kiedy się pojawiają, dzieją się różne dziwne rzeczy, a właściwie wyłącznie dziwne rzeczy.

Żandarm umilkł, jakby zbierał myśli i zastanawiał się, jak najkrócej przedstawić pochodzenie cerrretan i prawdziwą naturę ich tajemniczej kongregacji.

- Cerrretanie to podejrzane typy. Pochodzą z Cerreto w Umbrii, dokąd schronili się po ucieczce z Rzymu. Dawniej byli kapłanami, ale zostali przepędzeni przez swych zwierzchników.

W Cerreto - ciągnął Waligóra - cerrretanie wybrali przywódcę, który podzielił ich na grupy, rodzaje i sekty, takie jak: Wagabundzi, Waganci, Włóczykije, Fałszywi Pielgrzymi, Braciszkwowie, Goliardzi, Łaziki, Łążęgi, Przybłądy, Jałmużnicy, Chudeusze, Cherlaki, Chudziaki, Mizeraki, Mizeroty, Miernoty, Powsinogi, Drapichrusty, Fałszywcy, Szubrawcy, Bezwstydnicy, Lamentnicy, Obszarpańcy, Oberwańcy i tak dalej.

- Jak zapamiętałeś te wszystkie nazwy? - zdziwił się opat.

- To mój zawód...

Waligóra twierdził, że Wagabundzi, którzy nazywają się też Dusigroszami, podrabiają bulle papieży lub pałatów, a potem chwalą się, że otrzymali zgodę na udzielanie odpustu, rozgrzeszenia i ratowanie przed czyśćcem i piekłem, za co każą sobie słono płacić.

- Fałszywcy, jak sama nazwa wskazuje, to fałszywi wróżbici. Oszukują prostych ludzi. Wyłudniają od nich pieniądze za przepowiadanie przyszłości. Twierdzą, że przepelnia ich duch boży. Podają się za zakonników lub księży, mimo że nigdy nie przyjęli ślubów. Chodzą po wsiach, odprawiają msze, zbierają jałmużnę, a za pokutę wyznaczają kolejne

jałmużny, które trafiają do ich kieszeni. Fałszywi Pielgrzymi proszą o datki na pielgrzymkę do Ziemi Świętej albo do Rzymu, do Świętego Jakuba w Galicji czy Madonny w Loreto, choć wcale się tam nie wybierają. Obszarpańcy opowiadają, że ich krewni lub bracia dostali się do tureckiej niewoli i potrzebują pieniędzy na ich wykupienie. To oczywiście nieprawda. Szubrawcy...

- Chwileczkę, jeśli cerretanie robią te wszystkie rzeczy, dlaczego nikt ich nie powstrzyma? - spytał Atto.

- Ponieważ ukrywają się. Podzieleni są na sekty, ale nikt nie wie, ilu ich jest i gdzie mają swoje siedziby.

- Sekty czy zwykli oszuści?

- Jedno i drugie. Są oszustami, ale mają też tajemne obrządki, podczas których przysięgają sobie wierność i braterstwo. Jeśli jeden z nich zostanie schwytyany, pozostali mogą być spokojni, że ich nie zdradzi. W przeciwnym razie zostałyby wyklęty.

- Co to za obrządki?

- Sam chciałbym wiedzieć. Prawdopodobnie czarne msze, przymierz krwi i tego tyjju rzeczy. Nikt jednak tego nie widział. Odbywają je w ustronnych miejscach, w opuszczonych kościółkach, walących się domach... i

- Ilu ich jest w Ilzymie?

- Większość.

- Z jakiego porodu?

- Bo tu jest papież. A tam, gdzie jest papież, są też pieniądze. I pielgrzymi, których rjiożna oskubać. Teraz, podczas jubileuszu, pieniędzy i pielgrzymów jestj jeszcze więcej.

- Żaden z papieży nie wydał nigdy dekretu skierowanego przeciw tego rodzaju sektain?

- Aby rozwiązać sektę lub grupę przestępczą, najpierw należy ją rozpracować - odparij Waligóra. - Jeśli jej działalność jest zabroniona, przestępstwo trzeba udowodnić, znać nazwiska członków. Bractwo, do którego należą bezimienni włóczędzy bez dachu nad głową, jest nieformalne. Ściągać ich to jak gonić wiatr.

Zafrasowany Atto drapał się w milczeniu w podbródek.

Kiedy wróciliśmy do powozu, świtało. Waligóra pożegnał się z nami.

- Przyjdę później do willi Spada. Matka czeka na mnie w domu. Jeśli nie wrócę na czas, będzie się martwić.

- Musicie coś dla mnie zrobić.
- Obaj? - zdziwiłem się, patrząc na Buvata.

Przed chwilą pożegnaliśmy się z Waligórą. Opat Melani siedział już w powozie, szykując się do drogi powrotnej, ale, zamiast zrobić dla nas miejsce, zamknął za sobą drzwiczki.

- Zostaniecie tutaj - powiedział krótko i podał mi zalakowany list. Od razu go rozpoznałem: była to odpowiedź dla tajemniczej Marii.

- Ależ panie Atto - próbowałem protestować. Buvat i ja marzyliśmy o odpoczynku.

- Później. Idźcie już! List dostarczy Buvat. Ty - powiedział, zwracając się do mnie - nie jesteś odpowiednio ubrany. Prędzej czy później będę ci musiał podarować nowe rzeczy. Zaraz ci wyjaśnię, dokąd macie pójść. Buvat by nie zrozumiał.

- Tak, panie opacie - odparłem.

Spojrzałem na list i przeczytałem nazwisko adresata:

### *Pani Konstablowa Colonna*

W głowie kłębiły mi się różne myśli, nie wiedziałem, którą z nich wybrać. Nie mogłem się doczekać powrotu do domu, gdyż chciałem trochę odpocząć (i przemyśleć ostatnie wydarzenia). Jednocześnie pragnąłem poznać ową Marię, która po kryjomu korespondowała z Melanim i której oczekiwano w willi Spada.

Konstablowa Colonna, znałem to nazwisko. Któż w Rzymie nie słyszał o wielkim konstablu! Książę Lorenzo Onofrio Colonna wywodził się z jednego z najznakomitszych rodów europejskich. Zmarł przed dziesięcioma laty, Maria była wdową po nim.

- Słucham - powiedział zniecierpliwiony Atto, wrywając mnie z za myślenia. - Czego chcesz?

Nagle ożywił się, na jego twarzy pojawiło się zdumienie, jakby sobie o czymś przypomniał.

- Ależ ze mnie głupiec! Chodź, siadaj tu, chłopcze! - zawołał, otwierając drzwiczki powozu. - Musimy porozmawiać. Opowiadaj! Mam nadzieję, że znalazłeś trochę czasu, aby sporządzić szczegółową relację o wszystkim, co usłyszałeś - powiedział jak najbardziej naturalnym tonem, zupełnie jakby nie pamiętał o tym, że całą noc spędziliśmy na wędrówkach po Rzymie.

- Co usłyszałem? Gdzie?
- Na wczorajszym przyjęciu, kiedy przy mojej dyskretnej pomocy stanąłeś z pochodnią za kardynałem Spinolą. Powiedz, o czym mówili.  
Zatkało mnie. A więc Atto celowo kazał mi do siebie podejść, tłumacząc, że potrzebuje więcej światła. Później wysłał mnie na drugi kraniec stołu pod pretekstem, że ogniem pochodni przypiekłem mu kark. A wszystko to uczynił po to, żebym podsłuchiwał rozmowy biesiadników!
- Nie wiem doprawdy, która z tych *rozmów* mogłaby pana zainteresować. Rozmawiano o rzeczach błahych, bez znaczenia...
- Bez znaczenia? Każde słowo kardynała Świętego Kościoła Rzymskiego ma wagę. Pomyślałeś zapewne, że wszyscy oni są głupcami, i nie mogę się z tobą nie zgodzić, zapewniam cię jednak, że to, co mówią, jest bardzo interesujące.
- Być może, aleja... Chociaż... tak, wydarzyło się coś ciekawego.  
Opowiedziałem Melanemu o zamieszaniu, jakie wywołał list kardynała Spady, adresowany do jednego z trzech kardynałów o nazwisku Spinola.
- List zawierał zdanie: „Jutro o świcie wszyscy trzej na pokładzie. Sam powiadomię A”.
- Melani milczał przez chwilę, zamyślony.
- Ciekawe, naprawdę bardzo ciekawe - powiedział sam do siebie, wpatrując się w Buvata.
- Co pan chce przez to powiedzieć?
- Opat milczał. Choć patrzył mi prosto w oczy, myślą był gdzie indziej.
- Że jestem geniuszem! - wykrzyknął, klepiąc mnie mocno po ramieniu. - Genialny jest ten opat Melani: wysłałem cię z pochodnią tam, gdzie śmieją się nie w porę i za dużo mówią.
- Patrzyłem na niego zdumiony. Widocznie powiązał ze sobą nieznaną mi fakty z przeszłości z wydarzeniami, których się spodziewał. Zrozumiał coś, o czym ja nie miałem pojęcia.
- Wkrótce my także wejdziemy na pokład - oznajmił, zacierając ręce, jakby szykował się do decydującej rozgrywki.
- Na pokład łodzi? - zapytałem.
- Tymczasem idźcie dostarczyć list! - nakazał nam obu zniecierpliwiony Melani. Otworzył drzwiczki powozu, dając mi do zrozumienia, że bym wysiadł. - Na wszystko przyjdzie czas.

# Dzień drugi

8 lipca 1700 roku

Szliśmy z Buvatem ulicą, patrząc za znikającym w rzymskim zaułku powozem. A zatem Maria, konstablowa Colonna (czyli owa tajemnicza osoba, z którą Melani utrzymywał po kryjomu listowny kontakt), była w Rzymie? Opat polecił mi dostarczyć list do klasztoru Santa Maria przy Campo Marzio, gdzie w młodości Maria spędziła kilka lat, zaproszona przez przeoryszą, która była jej ciotką. Ciekawe: czy w swoim ostatnim liście Maria nie napisała, że zatrzymała się w okolicach Rzymu i że przybędzie do willi dopiero nazajutrz?

Na pogodnym niebie słońce grzało coraz mocniej. Marsz utrudniał jednak nie upał, lecz Buvat. Szedł nierównym krokiem, rozglądał się i co chwila zatrzymywał, podziwiając kopułę, dzwonicę czy zwykły ceglany mur.

W końcu postanowiłem przerwać milczenie.

- Czy wie pan, komu mamy doręczyć list?

- Nie księżnej, ma się rozumieć, ale zakonnicy, która jest jej bardzo oddana.

- Księżna zna opata Melaniego?

- Czy go zna? - odparł Buvat ze śmiechem, jakbym powiedział dobry dowcip.

Zamilkłem.

- Mam przez to rozumieć, że dobrze się znają? - zapytałem po chwili.

- Wiesz, kim jest księżna Colonna?

- O ile dobrze pamiętam, była żoną konstabla Colonna, który zmarł jakieś dziesięć lat temu.

- Ale przede wszystkim jest siostrzenicą kardynała Mazzariniego - poprawił mnie Buvat. - Wybitnego męża stanu i polityka, chluby Francji i Włoch.

- No tak, rzeczywiście - powiedziałem. Jak mogłem o tym zapomnieć! - Idziemy więc do niej - dodałem, pokonując zmieszanie - na polecenie opata Melaniego, aby przekazać jej ten poufny list.

- Otóż to! - potwierdził Buvat. - Maria Mancini przebywa w Rzymie incognito.

- Maria Mancini?

- To jej panięskie nazwisko. Nie lubi go, bo przypomina o jej niskim pochodzeniu. Nie widzieli się z opatem od wielu lat.

- Od ilu?

- Trzydziestu.

Teraz sobie przypomniałem, kim była tajemnicza kobieta, której imię wyszeptał Atto. Przed laty poślubiła księcia Lorenza Onofria Colonę. Ze względu na dość swobodny styl życia zyskała opinię kobiety upartej i kapryśnej. Wiedziałem o tym ze słyszenia, wydarzenia te miały bowiem miejsce, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

Dlaczego Atto nie powiedział mi wprost, do kogo był adresowany list? Co ich łączyło? Z listów, które przejrzałem, niczego się nie dowiedziałem na ten temat. Zawierały natomiast informacje o sukcesji hiszpańskiej, najwidoczniej ważnej dla obojga. Musiałem przerwać rozważania, gdyż dotarliśmy na miejsce.

Staliśmy przed bramą klasztoru Santa Maria przy Campo Marzio. Zapukaliśmy. Po chwili pojawiła się zakonnica. Buvat wyjaśnił, że mamy list dla siostry Katarzyny. Ja, posłuszny poleceniom opata, stałem na ubożu. Po kilku minutach z bramy wyjrzała inna zakonnica.

- Siostra Maria jeszcze nie przybyła - powiedziała. Wzięła list z rąk Buvata i zatrzasnęła bramę.

Buvat i ja wymieniliśmy spojrzenia. Zrozumieliśmy, na czym polegała tajemnica: listy opata i konstablowej przechodziły przez klasztor, w którym teraz Marii nie było (miała bowiem przyjechać prosto do willi Spada). Wymianą korespondencji zajmowały się zakonnice, słynące z dyskrecji.

Przy Palazzo Rospigliosi na Monte Cavallo Buvat poprosił mnie, bym na niego poczekał, a sam poszedł na górę po buty, które zapomniał zabrać poprzedniego dnia. Miałem zatem okazję zobaczyć wspaniałą ogromną budowlę, wznoszącą się na wzgórzu Kwirynału. Czytałem, że Palazzo Rospigliosi ma niezwykle bogaty wystrój i otaczają go cudowne ogrody z tarasami i przepięknymi zabudowaniami.

W drodze powrotnej sekretarz Melaniego od czasu do czasu zatrzymywał się, by podziwiać okolicę. Co chwila skręcaliśmy w boczne uliczki, a kiedy wracaliśmy do punktu wyjścia, Buvat zawsze mylił kierunek.

- Chyba musimy pójść tędy - mówił za każdym razem z roztargnieniem, a ja cierpliwie wyjaśniałem, że kolejny raz pomylił drogę.

Przypomniałem sobie, że Atto, przedstawiając mi swojego sekretarza, wspomniął o tej jego wadzie. Nadeszła chwila, by ją wykorzystać. Stwierdziłem, że nietrudno będzie poprowadzić Buvata w złym kierunku, skoro zdradza ku temu wrodzoną skłonność.

Właśnie mijaliśmy zaułek, gdzie handlowali biedacy przybyli do Wiecznego Miasta z okazji jubileuszu. W jednej chwili znaleźliśmy się pośród ludzi, jakich codziennie spotyka się na ulicach Rzymu: sprzedawców proszku na wiatry, środka przedłużającego palenie się knotu, oleju z dziewanny na rozgrzanie ciała, trutek na szczury, okularów umożliwiających widzenie w ciemnościach. Byli też tacy, którzy mieli na sprzedaż tarantule, krokodyle, indyjskie jaszczurki i bazyliszki. Linoskoczkowie chodzili po linie, jedni cyrkowcy chodzili na rękach, drudzy wykonywali salto mortale, inni podnosili ciężary włosami, myli twarz roztopionym ołowiem, cięli sobie nosy nożem lub wyciągali z ust sznurki długości dziesięciu sążni\*.

W zaułku pojawiła się trupa elegancko ubranych komediantów. Aktorów otoczył tłum dzieci, kobiet, ciekawskich, próżniaków, rozbawionych przechodniów i starców, którzy gderali coś pod nosem, ale nie spuszczały z nich oczu. Nie wiadomo skąd komedianci wyciągnęli kilka desek i błyskawicznie zmontowali podest. Stała na nim ponętna kobieta i zaczęła śpiewać przy akompaniamencie gitary, na której grał jeden z aktorów. Na początek zaprezentowali kilka popularnych piosenek. Przyciągnęły one jeszcze więcej publiczności, która cieszyła się z darmowego spektaklu. Po zaprezentowaniu pierwszych piosenek, kiedy oglądający czekali na rozpoczęcie przedstawienia, na podest wszedł mężczyzna, najstarszy z trupy, i wyjął z kieszeni flakonik z ciemnym proszkiem, mówiąc, że to cudowny medykament. Część publiczności zaczęła hałasować, ponieważ stało się jasne, że komedianci byli w rzeczywistości szarlatanami, a przemawiający mężczyzna - ich przywódcą. Większość widzów jednak uważnie słuchała wyjaśnień: ciemny proszek miał ma-

\* Sążeń - dawna jednostka długości, używana do początków XX w., równa mniej więcej rozpiętości rozstawionych ramion; w Polsce 1,7 m (przyp. red.).



gicznąmoc i sprawiał, że ten, kto wejdzie w jego posiadanie, od razu stanie się bogaty. Wymieszany z olejem stanowi cudowną maść na świerzb, a z kocimi odchodami - jest doskonały na kompresy i kataplazmy.

Podczas gdy główny szarlatan sprzedawał pierwsze buteleczki z proszkiem przejezdny wieśniakom, którzy w uniesieniu słuchali jego przemowy, oddaliśmy się od cuchnącego, zbitego tłumu, wypełniającego niemal cały zaułek, i wróciliśmy do głównej ulicy.

Przechodziliśmy właśnie obok karczmy, zaproponowałem więc, żebyśmy weszli na chwilę do środka.

- Zasłużyliśmy sobie chyba na krótki odpoczynek - powiedziałem, zatrzymując się.

- Myślę, że tak - odparł Buvat, z twarzą zwróconą w stronę jakiejś dzwonnicy.

Po chwili odwrócił głowę, a gdy dostrzegł szyld karczmy, a przede wszystkim usłyszał pobrząkiwanie kieliszków i wesołe głosy dochodzące z wnętrza, zawołał z entuzjazmem:

- Do licha! Ma się rozumieć, że tak!

Kiedy zanurzałem precelek w kieliszku z czerwonym winem, Buvat zgodził się w końcu zaspokoić moją ciekawość i opowiedzieć o losach wdowy po konstablu.

- Na dziesięć lat przed śmiercią, w ostatnim okresie swego panowania, kardynał Mazzarini sprowadził do Paryża swoich krewnych: dwie siostry i siedem siostrzenic, wszystkie na wydaniu.

Córki starszej siostry kardynała, Anna Maria i Laura Martinozzi, poślubiły księcia Contiego i księcia Modeny. Nie można było sobie wymarzyć lepszych partii. Ale przed Mazzaranim stało drugie, o wiele trudniejsze zadanie wydania za mąż pięciu siostr Mancini: Hortensji, Marianny, Laury, Olimpji i Marii.

Wszystkie były kapryśne, przebiegłe, złośliwe i... bardzo ładne. Ich przybycie na dwór wywołało krańcowo różne uczucia: nienawiść kobiet i miłość mężczyzn. Niektórzy nazywali je pogardliwie Mazzarinkami.

Wszystkie Mazzarinki były kokietkami, łączącymi niewinność z wyrachowaniem, czystość z bezwstydem, młodość z doświadczeniem, przeczorność z zuchwałością. Kto im ulegał, wpadał w sidła starannie kontrolowanej namiętności.

Mimo to (a właściwie dzięki ich wysokim ambicjom) Jego Eminencja zdołał w końcu znaleźć im odpowiednich mężów. Laura została żoną księcia Mercoeura, Marianna - księcia Bouillona. Hortensji przypadł

w udziale księżę de la Meilleraye, a Olimpię hrabia Soissons. Ciąg zaślubin, jakich nikt nie potrafił sobie nawet wyobrazić. Przed przybyciem do Paryża te dziewczęta były nikim. Teraz były hrabinami i księżnymi, małżonkami książąt krwi, wielkich mistrzów artylerii, potomków Richelieu i Henryka IV, a w dodatku stały się bardzo bogate. Ich matki, siostry Mazzariniego, należały wprawdzie do rzymskiej arystokracji, ale tej drobniejszej.

- Mancini to stary szlachecki ród - uściślił Buvat - sięgający korzeniami roku tysięcznego, ale zamożnością nigdy nie dorównywał arystokracji. Świadczą o tym nazwiska: Martinozzi, Mancini... - wymienił sekretarz, akcentując końcówkę *-ozzi* i *-ini*. - Nie brzmią zbyt okazale.

Mimo usposobienia dziewcząt kolejne śluby Mazzariniek odbyły się bez większych trudności. Tylko jedna siostrzenica, Maria, przysporzyła kardynałowi kłopotów.

Przybyła do Paryża w wieku czternastu lat, Ludwik był od niej o rok starszy. Zamieszkała w pałacu wuja, gdzie oszołomił ją zbytek i pompa z lat Frondy, która rozpałała nienawiść ludu do kardynała. Początkowo królowa matka, Anna Austriaczka, odnosiła się do niej z życzliwością, podobnie jak do pozostałych siostrzenic Mazzariniego, jakby były tej samej krwi co ona.

- Pewnego dnia pani Mancini, matka sióstr, poważnie zachorowała. Odwiedzając ją, Jego Wysokość za każdym razem spotykał Marię. Na początku ich stosunki były jak najbardziej poprawne. „Bardzo mi przykro z powodu choroby pani matki”, *et cetera, et cetera*. „Och, Wasza Wysokość, mimo tej smutnej okoliczności jestem zaszczycona”, i tak dalej - mówił Buvat, naśladując królewską wyniosłość i panięskie zawstyżenie.

Matka Marii wkrótce zmarła. W dniu pogrzebu zauważono, że swoboda, z jaką dziewczyna odnosiła się do monarchy, jest znacznie większa niż za życia pani Mancini.

Wieczorem po pogrzebie na dworze wystawiono balet o proroczym tytule *UAmour malade*. Młody Ludwik, jak to miał wówczas w zwyczaju, wziął w nim udział. W wielkiej sali Luwru, w obecności całego dworu, królewskie piruety Ludwika poprzedziły pierwsze z dziesięciu *entrees*, w których przedstawiono sposoby uleczenia boga cierpiącego z miłości.

Dworzanie zauważyli, że kroki Ludwika były bardziej udane niż zwykle, oddech swobodniejszy, skoki wyższe, a spojrzenie bardziej wyraziste,

jakby kierowała nim jakaś nieznana siła i szeptała do ucha tajemniczą receptę, dzięki której chora miłość mogła być uleczone i na koniec zatriumfować.

Żaden z wysoko urodzonych rówieśników króla przebywających na dworze nie darzył Ludwika szczerą przyjaźnią. Monarcha był bowiem zbyt wyniosły, zbyt poważny, kiedy się uśmiechał, zbyt zadowolony, kiedy rozkazywał. Podczas rozmowy z królem panienki, skrępowane i oniesmielone, chroniły się pod skrzydła etykiety i uprzejmości. Jedynie Maria nie bała się Ludwika. Podczas gdy każda inna dziewczyna drżała ze strachu przed królem (i z pragnienia, by zostać jego wybranką), młodzianka Włoszka flirtowała z nim z taką samą swobodą, z jaką traktowała innych adoratorów. Ludwik odnosił się do wszystkich chłodno, z dystansem. Jedynie w obecności Marii zrzucał maskę obojętności, choć często nie zdawał sobie z tego sprawy. Umierał z pragnienia, by wyjawic jej swe uczucia, ale zakazywała mu tego etykieta. Jąkał się więc, czerwienił i robił komiczne miny.

- Ktoś opowiadał - mówił Buvat - że wieczorami, przed zaśnięciem, na myśl o swoim śmiesznym zachowaniu ze złości gryzł róg poduszki. Przypominał sobie, jak najpierw śmiał się z dowcipnych słów Marii, a później coś bełkotał, tracąc królewską powagę. Mijał odpowiedni moment, by powiedzieć: „Kocham panią”.

Pod koniec 1658 roku w Calais, po długiej podróży i męczących inspekcjach, być może także na skutek złego powietrza, Ludwik poważnie zachorował. Przez kilkanaście dni nie opuszczała go wysoka gorączka i cały Paryż drżał o jego zdrowie. Wyzdrowiał dzięki opiece prowincjonalnego lekarza. Kiedy wrócił do Paryża, doszła plotka, o której mówił cały dwór: osobą, która wylała najwięcej łez, najczęściej wymawiała jego imię i najgoręcej modliła się o jego zdrowie, była Maria. Zamiast szczerego wyznania (którego nikt nie śmie złożyć królowi) Maria powiadomiła go o swych uczuciach w inny sposób. Teraz cały dwór szeptał Ludwikowi: ona cię kocha i ty o tym wiesz.

Dwór przeniósł się na kilka miesięcy do Fontainebleau, gdzie Mazzarini, który nadal stał u steru władzy, wypełniał Ludwikowi czas coraz to nowymi rozrywkami, takimi jak: przejażdżki kareta, komedie w teatrze, koncerty, wycieczki statkiem po rzece. Na swojej drodze Ludwik ciągle spotykał Marię.

- Proszę mi wybaczyć - przerwałem Buvatowi. - Mam jedno pyta-

nie: skąd pan zna te wszystkie szczegóły? Przecież chodzi o wydarzenia sprzed czterdziestu lat.

- Od opata Melaniego - odparł krótko.

- Mnie również opowiadał o tamtym okresie - oznajmiłem. - O poufnych interesach z kardynałem Mazzarinim, o Fouquecie...

Celowo wspomniałem nazwiska tych dwóch osób, z którymi przyjaźń Atto zawsze starannie ukrywał: o nadintendencie Fouquecie (powiedział mi o nim siedemnaście lat temu), ministrze finansów, prześladowanym przez Arcychrześcijańskiego Króla, oraz o tajnej działalności w służbie Mazzariniego (o czym powiedziały mi inne osoby).

Buvat wyglądał na zaskoczonego. Pomyślał zapewne, że skoro opat powierzył mi tak ważne tajemnice, byłem człowiekiem godnym zaufania.

- Mówił ci też chyba - dodał ściszym głosem - że był zakochany w Marii, ale z oczywistych względów do niczego między nimi nie do szło. Gdy król, kierując się racją stanu, poślubił infantkę Hiszpanii, Maria wyjechała z Paryża. W Rzymie poślubiła konstabla Colonnę. Po pewnym czasie opat przyjechał za nią i ponownie zaczęli się spotykać. Do dziś do siebie pisują. Melani nigdy o niej nie zapomniał.

Podniosłem kieliszek do ust i wypilem duży łyk wina, starając się ukryć zaskoczenie. Zdołałem przekonać Buvata, że znam kulisy życia Atta, dlatego tak swobodnie o tym ze mną rozmawiał. Nie powinienem więc okazać, że słyszę te rewelacje po raz pierwszy.

Atto był więc zakochany w Marii już wtedy, gdy flirtowała z młodym królem Francji. Teraz rozumiałem, dlaczego westchnął, gdy doręczono mu list od wdowy po konstablu! Kiedy zamawiałem kolejny obwarzanek, przypomniałem sobie rozmowę sprzed siedemnastu lat. Goście gospody „Donzello” mówili, że Atto był powiernikiem siostrzenicy Mazzariniego, którą król Ludwik tak mocno kochał, że pragnął ją poślubić. Wiedziałem już, kim była owa siostrzenica.

Naszą pogawędkę przerwał incydent, dość częsty w takich miejscach jak karczma, w której siedzieliśmy. Do środka weszło czterech żebraków, wywołując złość gospodarza i milczące niezadowolenie gości. Jeden z nich zaczął się wyklócać z dwójką młodych ludzi siedzących obok nas. W parę sekund wywiązała się taka awantura, że musieliśmy wstać od stołu i usunąć się w kąt karczmy, żeby się nam nie dostało. Pośrodku kotłowało się około dziesięciu osób, wliczając w to żebraków, gospodarza z posługaczem i klientów. W zamieszaniu przewrócili się na nasz stół. O mały włos nie wywróciła się karafka z winem. Na szczęście do

tego nie doszło. Zebracy w końcu sobie poszli, mogliśmy więc wrócić na swoje miejsca. Właściciel lokalu długo mruczał pod nosem przekleństwa pod adresem nędzarzy krążących po Rzymie w okresie jubileuszu.

- Tak, tak, wiedziałem, że opat był bardzo zakochany w Marii Mancini - skłamałem w nadziei, że wyciągnę od Buvata więcej informacji.

- Do tego stopnia, że po wyjeździe Marii codziennie składał wizyty jej siostrze Hortensji - oznajmił Buvat, nalewając wina do kieliszków. - W końcu mąż Hortensji, książę de la Meilleraye, gwałtownik i świętoszek, stracił cierpliwość i tak się rozzłościł, że kazał pobić opata i przepędzić go z Francji.

- No tak, książę de la Meilleraye - powtórzyłem, popijając wino. Przypominałem sobie, co przed laty mówili goście „Donzella”.

- Opat nie potrafił żyć z dala od Mazzarinek, skorzystał więc z okazji i udał się do Rzymu, aby zobaczyć się z Marią. Przed wyjazdem otrzymał od króla okrągłą sumkę. No ale musimy już chyba iść - powiedział Buvat na widok pustej karafki. - Siedzimy tu od kilku godzin, opat będzie się zastanawiał, co się ze mną stało - oświadczył i poprosił karczmarza o rachunek.

Wynajęliśmy dwa konie i pojechaliśmy do willi Spada. Chciało mi się spać. Buvatowi kręciło się w głowie. Twierdził, że opat bardzo wcześniej zerwał go z łóżka. Byłem bardzo zmęczony. Wydarzenia ostatnich dwóch dni przerastały moje siły. Pożegnałem się z Buvatem i wsiałem na muła, który zawiózł mnie do domu. Wiedziałem, że nie zastanę Cloridii, bo poród jej podopiecznej opóźnił się. Kiedy kładłem się spać, przypomniałem sobie, że zobaczę się z żoną tego wieczoru, do willi Spada miała bowiem przyjechać księżna Forano w zaawansowanej ciąży. Na wszelki wypadek posłano już po Cloridię. Po kilku minutach twardo zasnąłem.

Zostałem obudzony w sposób nieoczekiwany i dość nieprzyjemny. Potrząsały mną jakieś wrogie siły, którym towarzyszył stanowczy głos. Na próżno próbowałem powrócić w krainę snów i na nic nie zważać.

- Proszę się obudzić! Proszę się obudzić! - nalegał ktoś natarczywie.

Otworzyłem oczy i natychmiast je zamknąłem. Światło dnia było zbyt

ostre. W głowie czułem ból nie do opisania. Przy moim łóżku stał posłaniec z willi. Patrząc spod półprzymkniętych powiek, z trudem go rozpoznałem.

- Co tu robicie i... jak się tu dostaliście? - zapytałem słabym głosem.  
- Przyszedłem z listem od opata Melaniego. Drzwi były otwarte. Dobrze się pan czuje?

- Tak sobie... Drzwi były otwarte?

- Chciałem zapukać, proszę mi wierzyć - tłumaczył się posłaniec, sądząc zapewne, że jestem jakąś ważną osobą, skoro tak znakomity gość jak opat Melani napisał do mnie list. - Ośmieliłem się wejść, żeby sprawdzić, czy nic panu nie jest. Zdaje się, że byli tu złodzieje.

Rozejrzałem się dookoła. W pokoju panował straszliwy rozgardiasz. Ubrania, pościel, meble, buty, nocnik, narzędzia Cloridii, nawet krucyfiks, który zwykle wisiał nad łóżkiem - wszystko rozrzucone bezładnie po podłodze. Przed progiem leżał stłuczony kieliszek.

- Czy tak wyglądał pokój, kiedy wrócił pan do domu?

- Nie... wszystko... było chyba w porządku...

- A więc weszli, kiedy pan spał. Widocznie spał pan bardzo twardo. Może pomogę trochę tu uporządkować?

- Nie, dziękuję. Gdzie ten list?

Gdy posłaniec wyszedł, zabrałem się do sprzątnięcia. Moje przerażenie wzrosło, gdy zobaczyłem, że również w pozostałych pokojach, w kuchni, spiżarni, nawet w piwnicy wszystko było wywrócone do góry nogami. Ktoś zakradł się do domu, kiedy spałem, i przetrząsnął wszystkie kąty. Chyba się rozczarował - pomyślałem, nic nie znalazłszy. Cenne przedmioty dawno zakopałem pod drzewem, w miejscu znanym tylko Cloridii i mnie. Poukładałem wszystkie rzeczy na swoim miejscu i stwierdziłem, że niczego nie brakowało. Usiadłem na łóżku. Bolała mnie głowa i czułem ogromne zmęczenie.

Ktoś dostał się niepostrzeżenie do mojego domu w biały dzień - pomyślałem. Czy coś było nie w porządku, kiedy wróciłem? Nie mogłem sobie przypomnieć. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętałem, co robiłem po powrocie. Wiedziałem tylko, że strasznie chciało mi się spać. Uświadomiłem sobie, że nie czytałem jeszcze listu od Atta. Sięgnąłem więc po kartkę i przeczytałem:

*Buvatowi podano narkotyki, został okradziony. Przyjdź jak najszybciej!*

- To jasne jak słońce: zostaliście odurzeni narkotykami - oznajmił opat Melani, nerwowo chodząc tam i z powrotem po pokoju w willi Spada.

Przerażony Buvat siedział w kącie. Miał podkrążone oczy.

- Niemożliwe, żebyś nie słyszał, jak złodziej wywraca do góry nogami cały dom - ciągnął opat, zwracając się do mnie. - Niemożliwe też, aby Buvat nie zorientował się, że ktoś zrzuca go z łóżka, przeszukuje pościel, a potem okrada go z pieniędzy i ubrania, pozostawiając pół nagiego. Nie, to niemożliwe... Musieli podać wam jakiś silny środek na senny.

Buvat przytaknął nieśmiało, nie kryjąc zawstydzenia z powodu tego, co się stało. A zatem także Buvat po powrocie z miasta zasnął kamienym snem. Opat miał rację: podano nam narkotyk.

- Ale w jaki sposób?! - zawołał Melani, patrząc na nas.

Wymieniliśmy spojrzenia. Nie mieliśmy pojęcia, jak to się stało.

- Czy próbowali dostać się też do pańskiego pokoju? - zapytałem Atta.

- Nie, ponieważ ja, zamiast włóczyć się po knajpach - powiedział z naciskiem - pracowałem.

- Nic pan nie słyszał?

- Nic a nic. To naprawdę bardzo dziwne. Wprawdzie zaryglowałem drzwi dzielące nasze pokoje, ale powinienem był coś słyszeć.

- Waligóry wtedy nie było, ale pozostali żandarmi chyba coś widzieli... - powiedziałem.

- Żandarmi, żandarmi... Nic nie robią, tylko piją i uganiają się za prostytutkami. Wpuścili pewnie jakąś dziwkę, która ich obsłużyła, a później pomogła złodziejom. Wiadomo, czego się po takiej spodziewać.

- Od napaści na introligatora - wtrąciłem - upłynęło zaledwie kilka godzin. Zastanawiam się, czy te dwie sprawy mają ze sobą jakiś związek.

- Na niebios! Miejmy nadzieję, że nie! - wykrzyknął Buvat, przerażony, że jego skromna osoba mogłaby stać się przyczyną czyjejś śmierci.

- Szukali czegoś, co należy do któregoś z was - wywnioskował Atto. - Dowodzi tego fakt, że spośród wszystkich apartamentów w willi wybrali właśnie ten. Wypytałem dyskretnie służbę, ale nikt nic nie wie. Nikogo nie widzieli.

- Trzeba natychmiast powiadomić don Paschatia Melchiorriego! - zawołałem.

- Broń Boże! - zaprotestował Atto. - Przynajmniej do chwili, gdy dowiemy się czegoś więcej.

- Ale przecież ktoś wkradł się do pałacu! Może nam wszystkim grozić niebezpieczeństwo! Naszym obowiązkiem jest donieść o wszystkim kardynałowi Spadzie...

- ...światny pomysł! Wywołamy ogólną panikę. Goście zaczną narzekać na złą ochronę i wyjadą, a kardynał będzie musiał odwołać uroczystości weselne. Tego właśnie chcesz?

Opat tak często miał nieczyste sumienie, że w niejasnych sytuacjach, takich jak ta, nie zważał na to, że to on sam stał się ofiarą. Zawsze miał coś do ukrycia, wołał więc działać potajemnie. Musiałem mu jednak przyznać rację. Nie wyobrażałem sobie, że z mojej winy mogłoby nie dojść do wesela siostrzeńca kardynała Spady.

- Czego szukali? - zapytałem, zmieniając temat rozmowy.

- Nie mam zielonego pojęcia. Ma to zapewne jakiś związek ze mną, bo tylko ja znam was obu. Ale teraz...

- Tak?

- Muszę się zastanowić. Zaczniemy od wyjaśnienia kilka innych zagadek, może to coś da. Chłopcze, pójdiesz ze mną!

- Dokąd?

- Na pokład.

Wstąpiliśmy do kuchni, wzięliśmy trochę jedzenia na drogę i dyskretnie wymknęliśmy się z willi. Przeszliśmy przez winnicę, omijając aleję główną, i przez nikogo niewidziani dotarliśmy do bramy wjazdowej. Idąc jeden za drugim między rzędami winorośli, wszczęliśmy rozmowę.

- Chodzi o to - powiedział opat - że twój pan ma wsiąść na pokład w towarzystwie Spinoli z San Cesareo i niejakiego A.

- Tak, pamiętam.

- Moim zdaniem najpierw należy ustalić nie miejsce spotkania, ale tożsamość uczestników.

- Czyli kim jest A.

- Otóż to! Gdy poznamy osoby i cel spotkania, odgadniemy też miejsce. Jeśli w grę wchodzi książę i dwaj zwykli mieszczanie, można przy-



puszczać, że spotkają się w pałacu. Książę nie będzie się fatygował do osób niżej urodzonych. Jeśli natomiast dwaj złodzieje i człowiek uczciwy, na pewno zobaczą się w miejscu wyznaczonym przez złodziei.

- Rozumiem - odparłem z lekkim zniecierpliwieniem.

- W naszym wypadku chodzi o dwóch kardynałów. Jeden pisze do drugiego, informując go, że rozmawiał już z tajemniczą trzecią osobą. Na pewno chodzi o kogoś równego im stanem, bo w przeciwnym razie twój pan wyraziłby się inaczej, pisząc na przykład: „Zobaczymy się jutro na pokładzie. Będzie też A.", żeby podkreślić, iż chodzi o kogoś spoza ich sfery. Tymczasem napisał: „Sam powiadomię A.", czyż nie tak?

- Zgadza się - potwierdziłem. Właśnie mijaliśmy bramę willi.

- Jakby chciał powiedzieć: sam się tym zajmę, nie musisz się trudzić. Krótko mówiąc, moim zdaniem wszystko wskazuje na to, że osoby te dobrze się znają.

- A zatem?

- Chodzi o jakiegoś trzeciego kardynała.

- Jest pan tego pewien?

- Nie, ale to dobry trop. Spójrz na to!

Byliśmy już na tyle daleko od bramy, że nie mógł nas dostrzec żaden z gości. Atto szybkim ruchem wyjął z kieszeni wygniecioną kartkę złożoną na pół i podał mi ją.

*!Acciaioli*

*M>ani*

*Mieri*

*!Arcfilnto*

*Astatti*

*(Barbarigo*

*(Barberini*

*•BkM*

*Boncompagni*

*<Bolfia*

*Cantdm*

*Carpegna*

*Cenci*

*CoUredo*

*Comaro*

*Costaguti*

- Moje pytanie brzmi: ile nazwisk kardynałów zaczyna się na literę A?

- Co to jest? - zapytałem zaniepokojony tym dziwnym dokumentem. Czyżby opat wciągał mnie w jakąś szpiegowską aferę?

- Przeczytaj. To nazwiska kardynałów, którzy wezmą udział w wyborach przyszłego papieża. Nazwisko ilu z nich zaczyna się na literę A?

- Acciaiooli, Albani, Altieri, Archinto i Astalli - przeczytałem.

Melani złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Ruszyliśmy dalej. Zbliżaliśmy się do bramy San Pancrazio, przez którą wychodzi się z miasta w kierunku wschodnim, na via Aurelia. Atto uważnie rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy ktoś nas nie śledzi. Z tym dokumentem w rękę mogliśmy zostać oskarżeni o szpiegostwo, co wiązało się z poważnymi konsekwencjami.

- A zatem do dzieła! - powiedział Atto z beztroskim uśmiechem, jakby chodziło o błahostkę. Domyśliłem się, że przybrał odpowiednią minę przed spotkaniem ze strażą przy bramie San Pancrazio, przez którą mieliśmy za chwilę przejść, zmierzając do nieznanego mi jeszcze miejsca.

- Astalli pełni funkcję legata papieskiego w Ferrarze, a zatem w tych dniach nie ma go w Rzymie. Przyjedzie dopiero na konklawe. Archinto jest w Mediolanie, zbyt daleko, żeby przyjechać na wesele. Acciaiooli, pierwszy na liście, o ile wiem, nie jest w zbyt dobrych stosunkach ze Spada.

- Pozostają zatem Altieri i Albani.

- Otóż to! Altieri odpowiada naszemu założeniu, ponieważ podobnie jak Spada należy do grupy kardynałów nominowanych przez Klemensa X. Jeszcze lepiej pasuje Albani. Zapewnia równowagę polityczną.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To proste: tajne spotkanie trzech kardynałów ma sens wtedy, gdy spotykają się przedstawiciele trzech różnych frakcji. Spinola uważany jest za zwolennika cesarstwa. Spada, jako sekretarz papieża z Neapolu, a więc z ziem podległych Hiszpanii, może być uznany za sprzymierzeńca Hiszpanów. Albani natomiast jest przyjacielem Francuzów. Tym sposobem mamy mały synod, który przygotowuje konklawe. Oto dlaczego twój pan jest ostatnio taki nerwowy, czyni wymówki zarządcy domu i tak dalej.

- Pewna mleczarka mówiła mi, że w związku z papieskim brewe kardynał Spada bez przerwy biega do ambasadorów i kardynałów - powiedziałem, zadowolony, że ja też mam ciekawe informacje.

- Wspaniale! O ile się nie mylę, sekretarzem do spraw brewe jest Al bani.

Opat nie mylił się, słyszałem o tym od dwóch dam podczas wczorajszej kolacji. Przerwaliśmy rozmowę, stanęliśmy bowiem przed strażnikami przy bramie San Pancrazio. Dobrze mnie znali, ponieważ codziennie tędy przechodziłem. Widząc, że jestem w towarzystwie szlachcica, przepuścili nas bez słowa.

- Nie powiedział mi pan, dokąd idziemy - zauważyłem, mimo że zaczynałem się już domyślać.

- Nasi kardynałowie mają się spotkać na pokładzie jakiejś łodzi czy statku. Może na Tybrze?

- To mało prawdopodobne.

- Ale możliwe, skoro chcą uniknąć niedyskretnych spojrzeń. Istnieje jednak znacznie lepsze miejsce na łodzi, o dwa kroki od willi Spada. Za chwilę je zobaczysz. Z pewnością o nim słyszałeś. Nazywa się „Okręt”.

Po wywodzie Atta spodziewałem się tej nazwy.

- Pewnie, że słyszałem - odparłem. - Codziennie tędy przechodzę, wracając do domu. Ale domyśliłem się, że jest to miejsce spotkania kardynałów, dopiero dzięki pańskim spostrzeżeniom - przyznałem. - Zrozumiałem też, że wyrażenie „na pokładzie” to zwykła gra słów.

Atto przyspieszył kroku, z uśmiechem przyjmując moje dyplomatyczne przyznanie się do mniejszej przenikliwości.

- Zaraz się przekonasz - powiedział opat. - To naprawdę bardzo szczególne miejsce, mocno związane z Francją, toteż spotkanie Spinoli z twoim panem zyskuje dodatkowy smaczek: oto zwolennik Hiszpanii spotyka się potajemnie ze zwolennikiem cesarza w domu francuskim.

- Krótko mówiąc, spotykają się, żeby wybrać przyszłego papieża, a ponieważ trzeci kardynał, Albani, jest zwolennikiem Francji, można powiedzieć, że właśnie to państwo ma zdecydowaną przewagę.

- Rzucimy tylko okiem - ciągnął Melani, przemilczawszy moje słowa. - Spotkanie rozpoczęło się zapewne o świcie, jak zwykle, gdy chodzi o ciemne sprawy. O tej porze z pewnością już skończyli... Ale może uda nam się wyłowić jakąś ciekawą informację. Poza tym...

- Co takiego?

- Zbieg okoliczności. Bardzo dziwny. W „Okręcie” przechowywane są... pewne przedmioty. Ale to stara historia, kiedyś ci opowiem. Dotarliśmy do celu, nie miałem więc okazji dokładnie wypytać Atta.

Budowla, do której właśnie wchodziliśmy, położona była niedaleko mojego domu i miała odegrać ważną rolę w późniejszych wydarzeniach. Wszyscy wiedzieli, gdzie się znajduje, ale nikt nie był w środku. Jej oficjalna nazwa brzmiała: willa Benedetta, od nazwiska niejakiego Benedettiego, o którym wiedziałem tylko tyle, że wiele lat temu kazał wznieść tę dziwaczną rezydencję. Z powodu szczególnego kształtu, przypominającego okręt, przez lokalną ludność nazywana była „Willą Okrętem” lub po prostu „Okrętem”.

Jak już mówiłem, cieszyła się dość osobliwą sławą, i to nie tylko wśród okolicznych mieszkańców. Powszechnie było wiadomo, że po śmierci jej budowniczego przed dziesięciu laty pałac wraz z ogrodem przeszedł na własność jednego z krewnych kardynała Mazzariniego. Krewniak kardynała nigdy tu jednak nie zamieszkał, skazując to miejsce na zapomnienie, choć niecałkowicie. Po zmierzchu w oknach pałacu można było dostrzec światła, a za dnia - ludzkie cienie. Ze środka dochodziła muzyka, tupot nóg, ciche śmiechy. Słychać też było szmer ogrodowej fontanny i kroki lokajów na wysypanym żwirem dziedzińcu.

Do willi nikt nigdy nie wchodził ani z niej nie wychodził. Przed frontonem nie zatrzymywały się karety, co najwyżej przemknął służący ze skrzynką żywności, a zimową porą - z drewnem na opał. Wszyscy wiedzieli, że ktoś mieszka w pałacu, nikt jednak nie wiedział, kto.

W „Okręcie” toczyło się życie, ale mieszkańcy nie kontaktowali się ze światem zewnętrznym, ukryci w willi na wzgórzu, niczym bogowie na Olimpie. Otaczająca to miejsce aura tajemniczości wzbudzała ciekawość przechodniów takich jak ja.

„Okręt” został wzniesiony w przepięknym miejscu, na szczycie łagodnie opadającego wzgórza Janikulum, z widokiem na via Aurelia, dokładnie na granicy między miastem a wsią. Okolica słynęła z czystego powietrza i malowniczego krajobrazu. W tym miłym dla oczu otoczeniu surowa budowla przypominająca zamczysko stanowiła przykry dysonans. Dziób „Okrętu” (jak miałem się wkrótce przekonać) stanowiły schody od strony fasady, wkomponowane w zieleń ogrodu. Dwa symetryczne zbiegające się u dołu rzędy schodów prowadziły na niewielki taras-pokład. Rufę tworzyła półokrągła elewacja tylna, w formie loggii z wysokimi

łukami okien, wychodząca na bramą San Pancrazio. Kadłubem „Okręt” były cztery kondygnacje mieszkalne, jasne i przestronne, zwieńczone czterema wieżyczkami, z wiatrowskazami na szczytach, niczym chorągiewki na maszcie żaglowca.

„Okręt” górował dumnie nad okolicą i koronami drzew, widoczny nawet z dużej odległości. Ogród wokół pałacu był raczej niewielki, o czym informował łaciński napis wyryty przy bramie wejściowej, który tyle razy czytałem, że znałem go na pamięć:

*Agri tantum quofruamur  
non quo oneremur*

Autor inskrypcji twierdzi, że lepszy niewielki kawałek ziemi niż wielka fortuna. Dewiza ta, przypominająca stare ludowe przysłowie, była jedynie zapowiedzią tego, co kryło się we wnętrzu pałacu.

Było późne popołudnie, zaczynało zmierzchać, Atto zatrzymał się, spoglądając w stronę rozwidlenia dróg przy bramie San Pancrazio, skąd widać było pałac Corsini.

- Słyszałem, że „Okręt” wzniosł niejaki Benedetti, ale kim on właściwie był? - zapytałem, kiedy szliśmy ostrożnie ulicą.

- Jednym z zaufanych ludzi Mazzariniego. Był jego agentem tu, w Rzymie. Kupował dla niego obrazy, książki, wartościowe przedmioty. Z czasem stał się znawcą sztuki. Utrzymywał kontakt z Berninim, Algardim, Poussinem... Mówią ci coś te nazwiska?

- Oczywiście, panie Atto. To wielcy artyści.

Benedetti miał talent do projektowania, mimo że nie był architektem - ciągnął Atto. - Niekiedy wymyślał rzeczy, które go przerastały. Zaproponował na przykład, aby pomiędzy placem Hiszpańskim a kościołem Trinita dei Monti wznieść schody. Ten projekt nikogo nie zainteresował, ale niektóre jego pomysły doczekały się realizacji.

- To Benedetti zaprojektował katafalk, na którym ustawiono trumnę z ciałem kardynała. Katafalk był według mnie zbyt monumentalny i okazały, ale niebrzydki. Benedetti to utalentowany samouk.

- Zaprojektował też „Okręt”?

- W istocie. Powszechnie uważa się, że pałac jest głównie jego dziełem, a w mniejszym stopniu architektów, których zatrudnił.

- Znał go pan?

- Pomogłem mu, kiedy przed trzydziestu laty przyjechał do Francji, właśnie z powodu „Okreću”. Tuż przed śmiercią odwdzieczył się, zapi sując mi dwa całkiem ładne obrazki.

Właśnie dotarliśmy do murów otaczających pałac. Melani spojrział na zachód, mrużąc oczy od blasku popołudniowego słońca.

- Przyjechał, żeby zwiedzić Vaux-le-Vicomte, pałac mojego przyjaciela Nicolasa Fouqueta. Kiedy go tam zawiozłem, Benedetti zdradził, że szuka inspiracji dla swojego projektu. Jesteśmy na miejscu. Zobaczysz „Okreću” na własne oczy.

I rzeczywiście, przed sobą ujrzeliśmy ruinę „Okreću” - dużą, przekrytą loggię o zaokrąglonej formie, z jasnymi arkadami, wychodzącą na ulicę, na której staliśmy. Loggia dotykała muru z dużych kamieni, a okna i drzwi przypominały nadmorskie grotty. Zdawało się, że „Okreću” jest zakotwiczony w zatoczce przy stromym skalistym zboczu. Fantazyjny, nie-realny żaglowiec, który przybił do wzgórza Janikulum porośniętego sosnami, oleandrami, koniczyną i margerytkami.

Wszystko wskazywało na to, że wejścia do willi nikt nie pilnuje. Tak też było w istocie - brama była jedynie przymknięta. Przez nią wchodziło się do przedsiönka prowadzącego do ogrodu.

Posuwaliśmy się ostrożnie, pewni, że zaraz ktoś do nas wyjdzie. Ze środka dochodziły jakieś niewyraźne głosy, kobiece śmiech, nikt się jednak nie pojawił.

Znaleźliśmy się na rozległym dziedzińcu, ze strzelistą bryłą „Okreću” po prawej stronie. Pośrodku stała urocza fontanna, ożywiana pięknymi gramami wodnymi. Rzęsiste krople spadały z wdzięcznym pluskiem. Zatrzymaliśmy się i rozejrzeli dookoła. Na wprost po lewej stronie rozciągał się park. Podążaliśmy alejką wzdłuż długiego szpaleru krzewów z ustawionymi pomiędzy nimi donicami z drzewkami cytrusowymi i innymi egzotycznymi roślinami. Minęliśmy szpalery róż, rzędy drzew, pergole, krzewy owocowe i niewielki lasek. Na tarasie, na pierwszym piętrze budowli, dostrzeżliśmy drugą fontannę, której szmer tworzył wdzięczny melodyjny kontrapunkt.

- Nie zaanonsujemy się?

- Na razie nie. Weszliśmy na teren prywatny, wiem, ale nie było straży. Jeśli ktoś zapyta, wytłumaczymy naszą obecność chęcią złożenia uszanowania właścicielowi tej pięknej willi. Krótko mówiąc, udamy głupich.

- Jak długo tu zostaniemy? - zapytałem, zaniepokojony myślą, że

mogą nas spotkać przykrości w miejscu położonym blisko zarówno mojego domu, jak i willi Spada.

- Aż znajdziemy coś ciekawego na temat spotkania naszych trzech kardynałów. Skończ już z tymi pytaniami!

Weszliśmy w długą aleję, nad którą rozpięte były pędy winorośli z wybornymi winogronami.

- Winne grona, chrześcijański symbol odrodzenia. W ten sposób Benedetto przyjmował swoich gości - zauważył Melani.

Na końcu pergoli znajdował się fresk z przedstawieniem triumfującego Rzymu. Gdybyśmy podeszli do pałacu, z pewnością ktoś by nas zauważył i delikatnie wyprosił. Idąc zacienionymi alejkami parku, czuliśmy się na tyle bezpieczni, że mogliśmy rozkoszować się spokojnym popołudniem, miłą wonią cytrusów, łagodnym szmerem fontann. Znaleźliśmy się na placyku z dwiema niewielkimi piramidami. Z boku każdej z nich znajdowała się inskrypcja. Pierwszy napis głosił:

GENU AMOENITATI  
Qui procul a curis ille laetus;  
Si vis esse talis,  
Esto ruralis.

- Nie wiesz, chłopcze, co to może znaczyć? - zapytał Atto.

- Według mnie: O Zaletach Geniuszu. Szczęśliwy ten, kto nie ma zmartwień; jeśli chcesz być szczęśliwy, zamieszkaż na wsi.

Na drugiej piramidzie wyryty był podobny napis:

AMICITIAE FELICITATI  
In secunda, et in adversa fortuna,  
Nil solidius amico:  
Hunc facilius in rurę  
Quam in aula hwenies.

- O Radościach Przyjaźni. I w złej, i w dobrej godzinie najbardziej godny zaufania jest przyjaciel; ale łatwiej znajdziesz go na wsi niż na dworze - przetłumaczyłem.

Patrzyliśmy w milczeniu na piramidy, podczas gdy jeden z nas próbował odgadnąć - tak przynajmniej sądziłem - myśli drugiego. Co też myślał Atto? Geniusz i przyjaźń... Gdybym miał powiedzieć, jaki geniusz miał władzę nad opatem, pomyślałbym o jego dwóch pasjach: polityce

i intrygach. A co z przyjaźnią? Lubiłem Melaniego, byłem tego pewien od chwili, gdy znalazłem moje perły ukryte, niczym wotum, w szkaple-rzu Najświętszej Panienci od karmelitów. Ale czy Atto był moim przyja-cielem, prawdziwym, bezinteresownym, za jakiego się czasem podawał? W oddali dała się słyszeć melodia, dziwny dźwięk, chyba fletu albo wioli, przypominający kobiecy śpiew.

- W willi muzykują - zauważyłem.

Atto nastawił uszu.

- Nie, nie w willi, gdzieś z innej strony, tu, w pobliżu. Spojrzeliśmy w stronę parku. Nagły powiew wiatru wzbił w górę przedwcześnie opadłe liście, ofiary letniego upału. Znowu odniosłem wrażenie, że melodia dochodzi z willi.

- Tak, masz rację, to stamtąd - przyznał Atto, wskazując okno w za chodniej elewacji, wychodzące na dziedziniec. Dostrzegliśmy je wśród koron drzew. Podeszliśmy bliżej.

Znaleźliśmy się kilka kroków od pałacu, pod oknami, przez które ktoś mógł nas nie tylko zobaczyć, ale również usłyszeć. Mimo to nadal bada-liśmy teren i choć obawiałem się, że w końcu zostaniemy zauważeni, po- szukiwania zaczęły sprawiać mi przyjemność.

Spojrzeliśmy w górę w stronę okna (jedyne, które było otwarte), skąd dochodziły dźwięki muzyki. Po chwili zapanowała cisza.

- Chyba się przed nami ukrywają - zażartował opat Melani.

Przyjrzelśmy się uważnie pałacowi. Elewacja, przy której staliśmy, była utrzymana w trzech różnych stylach. Jej powierzchnia była lekko wklęsła, na parterze znajdował się portyk ujęty w łuki i kolumny, nad którym, na poziomie pierwszego piętra, rozciągał się taras. Podeszliśmy do portyku.

- Panie Atto, proszę spojrzeć!

Nad łukami portyku widniały cztery łacińskie inskrypcje:

AERIS SALUBRITAS  
LOCI SUBLIMITAS  
URBIS VICINITAS  
DOMUS COMMODITAS

- O zdrowym powietrzu. O wspaniałości miejsca. O bliskości miasta. O wygodach domu - przetłumaczył Atto. - Prawdziwy hymn Elpidia Be-nedettiego na cześć własnej willi.



Dwa kolejne napisy podobnej treści znajdowały się nad drzwiami fasady:

*Agricola semper in proximum annum dives est.  
Laudato ingentia Rura, exiguum colito.*

- Rolnik jest zawsze bogaty... w przyszłym roku. Chwał ogromne pola, uprawiaj te niewielkie. Zabawne! Patrz! Tutaj też jest pełno in skrypcji.

Atto dał mi znak, żebym szedł za nim. Przyglądając się uważnie ścianom portyku, dostrzegłem nad kolumnami pełno nieco wyblakłych napisów. Nad pierwszą kolumną widniały inskrypcje następującej treści:

Roztropność jest matką wszystkich cnót.  
Nie wszyscy literaci są mędrkami.  
Lepszy jest jeden dobry przyjaciel niż stu krewnych.

Jeden wróg to za wiele, a stu przyjaciół to za mało.  
Więcej wiedzą mędrzec i szaleniec niż sam mędrzec.  
Ważniejsze jest umieć żyć niż umieć mówić.

Z jednej rzeczy rodzi się druga, a rządzi nimi świat.  
Kto ma mało rozumu, może rządzić światem.  
Światem rządzi opinia.

Kolejne napisy widniały nad półkolumnami po bokach loggii:

Na dworach najlepiej bawią się błazny.  
W willi mędrzec lepiej myśli i cieszy się życiem.

- Słyszałem o napisach na murach „Okreću” - powiedział Atto - ale nie przypuszczałem, że jest ich tak dużo. To godne pochwały. Benedetti zadał sobie sporo trudu, mimo że niektóre z tych złotych myśli nie są jego autorstwa - zakończył ze złośliwym uśmiechem.

- Na przykład?
- Światem rządzi opinia - wyrecytował głośno i z poważną miną przyłożył sobie pod nosem dwa złożone palce, imitując wąsy.
- Jego Eminencja kardynał Mazzarini? - próbowałem zgadnąć.

- To jedno z jego ulubionych powiedzeń. Nigdzie go nie zapisał, w przeciwieństwie do innych dewiz.

- Które z nich nie są autorstwa Benedettiego?

- Zastanówmy się... Roztropność jest matką wszystkich cnót: to powiedział papież Klemens IX, mój świętej pamięci przyjaciel. Dalej: Lepszy jest jeden dobry przyjaciel niż stu krewnych. Powtarzała mi to często Jej Wysokość Anna Austriaczka, nieżyjąca już matka Arcychrześcijańskiego Króla... Coś mówiłeś?

- Nie, panie Atto.

- Na pewno? Przysięgnęłbym, że słyszałem szept.

Rozejrzeliśmy się dookoła, nieco zaniepokojeni. Nie zauważyliśmy niczego podejrzanego, kontynuowaliśmy więc naszą wizytę w willi. W pewnej chwili usłyszeliśmy cichą melodię, tę samą co wcześniej.

- To wariacja... - zauważył Atto.

- Zgadza się, w tym domu wszystko wydaje się jakieś dziwaczne - stwierdziłem.

- Źle mnie zrozumiałeś. Ta melodia to wariacja na temat tańca zwanego follia. Przynajmniej tak mi się wydaje na podstawie tego, co zdołałem usłyszeć.

Zamilkłem, ponieważ pierwszy raz usłyszałem ten termin.

- Follia to popularny portugalski motyw muzyczny, początkowo rodzaj tańca - powiedział Atto w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. - Jest dość znany. To wariacja, czyli utwór muzyczny, w którym temat główny poddawany jest przeobrażeniom melodycznym lub harmonicznym.

Słuchaliśmy w milczeniu melodii, która raz brzmiała poważnie, to znów pieszczotliwie i smutno, za każdym razem inaczej.

- Piękna melodia - wyszeptalem, czując, że delikatne dźwięki muzyki przyprawiają mnie o lekkie zawrót głowy.

- *Basso continuo* podoba się na ogół takim marzycielom jak ty - zartował Atto. - Doskonale rozumiem twoje wzruszenie. Do tej pory sądziłem, że najlepsze wariacje na ten temat tworzył mistrz Marais w Wersalu, ale te, które teraz słyszymy, są doprawdy czarujące. Bardzo zdolny muzyk, kimkolwiek jest.

- Kto skomponował pierwszą follię? - zapytałem zaciekawiony, kiedy muzyka ucichła.

- Wszyscy i nikt. Jak już mówiłem, to melodia ludowa, bardzo stary taniec, a jego nazwa jest dość tajemnicza. Spójrz, jest tu coś Lorenza Me-

dyceusza - oznajmił Atto, wracając do napisów. Nagle przerwał. - Słyszałeś? - wyszeptał.

Tak, słyszałem dwa głosy: jeden męski, drugi kobiecy, niedaleko, a także odgłos kroków na żwirze. Rozejrzeliśmy się wokół, ale nikogo nie dostrzeżliśmy.

- Nie musimy się niczego obawiać - powiedział Atto, odetchnąwszy głęboko - jesteście tu przecież z wizytą.

Powróciliśmy do czytania napisów. Bardzo podobały mi się te złote myśli, zachęcające do porzucenia zbytków świata i poszukiwania Prawdy, Mądrości i Przyjaźni. To ciekawe - pomyślałem - że będąc na tropie trzech kardynałów, odnaleźliśmy myśli i słowa krytykujące politykę i wszelkiego rodzaju układy. Ja porzuciłem dawne życie, zrezygnowałem z kariery kronikarza i postanowiłem usunąć się razem z Clorią w wiejskie zacisze. Tymczasem Atto, po siedemnastu latach, nadal był przywiązany do wielkiego świata, i to bardzo. Dopiero teraz, kiedy czytał wersy o nietrwałości wszelkich rzeczy, na jego twarzy pojawił się cień wątpliwości i żalu (takie odniosłem wrażenie).

- Wspaniałe słowa! Za każdym razem, kiedy je czytam, mówią coś nowego - powiedział sam do siebie.

Między łukami portyku odnajdywaliśmy przepiękne strofy Marina, Tassa, Alemanniego, dystychy Owidiusza. Naszą uwagę zwróciła zwłaszcza lista mądrości na bocznej ścianie budynku, we wnęce okiennej:

Kto traci wiarę, nie ma nic więcej do stracenia.  
Kto nie ma przyjaciół, do niczego nie dojdzie.  
Kto zbyt szybko obiecuje, wkrótce pożałuje.  
Kto zawsze się śmieje, często zwodzi.  
Kto oddaje się grze, na koniec biednieje.  
Kto oszukuje, często sam bywa oszukiwany.  
Kto o kimś źle mówi, niech najpierw pomyśli o sobie.  
Kto się domyśla, wkrótce odgadnie.  
Kto zdobywa dobrą opinię, zdobywa wszystko.  
Kto bardzo pragnie mieć przyjaciół, znajduje ich niewielu.  
Kto nie ryzykuje, nie zdobędzie szczęścia.  
Kto uważa, że wie wszystko, nie wie nic.

- Do licha! - syknął Atto.
- Co się stało?

Opat chwilę nasłuchiwał.

- Słyszałeś? Suchy trzask, gdzieś tu, z przodu.

- Tak, słyszałem, jakby trzask łamanej gałęzi.

- Gałąź nie łamie się sama. Ciekawe, kto tu jest - zastanawiał się opat Melani, rozglądając się z niepokojem.

Nasze poszukiwania toczyły się dwoma równoległymi torami - jednym była lektura inskrypcji, drugim nasłuchiwanie tajemniczych dźwięków, jakby te dwie odmienne rzeczywistości, czyli zapisane słowa i nieznane odgłosy, wzajemnie się przyzywały.

W następnej niszy okiennej widniały sentencje:

Kto pragnie mieć wszystko, umiera ze złości.

Kto nie ma zwyczaju kłamać, sądzi, że wszyscy mówią prawdę.

Kto przywykł do czynienia zła, nie myśli o niczym innym.

Kto spłaca dług, gromadzi kapitał.

Kto wiele pragnie, wiele żąda.

Kto przygląda się każdemu źdźbłu siana, nie zrobi siennika.

Kto postępuje nieroztropnie, nie zasługuje na szacunek.

Kto nie szanuje, nie jest szanowany.

Kto kupuje w odpowiednim czasie, kupuje z zyskiem.

Kto się nie boi, naraża się na niebezpieczeństwo.

W trzeciej wnęce przeczytaliśmy:

#### WYSTRZEGAJ SIĘ

biednego alchemika chorego  
lekarza nagłej złości  
rozniewanego szaleńca  
nienawiści panów towarzystwa  
zdrajców psa, który szczeka  
człowieka, który nie mówi  
zadawania się ze złodziejami  
nowej karczmy starej dziwki  
nocnej kłótni

opinii sędziów  
powątpiewania Medyceuszy  
recepty aptekarzy chorych  
kobiet leż prostytutek  
kłamstw kupców złodziei w  
domu służącej, która wróciła  
gniewu ludu

- Należy unikać starych prostytutek i opinii sędziów, to pewne - zgodził się Atto z uśmiechem.

W czwartej wnęce okiennej widniały kolejne mądrości:

TRZY NAJGORSZE TYPY LUDZI TO:

dumny biedak  
skąpy bogacz  
głupi starzec

TRZY RODZAJE LUDZI, KTÓRYCH NALEŻY UNIKAĆ:

śpiewacy  
starcy  
zakochani

TRZY RZECZY, KTÓRE ZANIECZYSZCZAJĄ DOM:

kury  
psy  
kobiety

TRZY RZECZY, KTÓRE CZYNIAJĄ CZŁOWIEKA OSTROŻNYM:

zakochanie się  
sprzeczką  
kłótnia

TRZY RZECZY, KTÓRYCH WSZYSCY PRAGNĄ:

zdrowie  
dobra forma  
bogactwo

### TRZY NAJPEWNIJSZE RZECZY:

podejrzenie, które z chwilą gdy się pojawi, nie znika  
wiatr, który nie wieje tam, gdzie nie ma wyjścia  
lojalność, która z chwilą gdy zawiedzie, nie powróci

### TRZY RZECZY, OD KTÓRYCH MOŻNA UMRZEĆ:

czekać i nie doczekać się  
leżeć w łóżku i nie spać  
służyć i nie być zadowolonym

### TRZY ISTOTY, KTÓRE SĄ ZAWSZE ZADOWOLONE:

kogut młynarza  
kot rzeźnika  
posługacz karczmarza

- Te są na gorszym poziomie - wymruczał Atto. Chyba nie spodobało mu się stwierdzenie, że należy unikać śpiewaków i starców.

- Czemu miały służyć te wszystkie napisy? - zapytał, oszołomiony mnogością sentencji.

Nie odpowiedział. Zapewne sam stawiał sobie to pytanie, ale nie chciał dzielić się refleksjami z człowiekiem tak mało doświadczonym jak ja.

Wiatr, który wiał już od jakiegoś czasu, stawał się coraz silniejszy. Po kilku minutach wiał już bardzo mocno, unosząc w górę zeschnięte liście i kurz. Na skutek silniejszego podmuchu do oczu wpadło mi kilka ziarenek piasku. Oślepiony, oparłem się o pień drzewa, przecierając oczy. Dopiero po kilku chwilach odzyskałem wzrok. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że Atto wyciera chusteczką powieki. Najwidoczniej jego również oślepił kurz wzbity podmuchem wiatru. Kręciło mi się w głowie, odnosiłem wrażenie, że cały świat wiruje, a z nim willa. Spojrzałem w górę. Chmury, przedtem leniwie przesuwane się po niebie zaczerwienionym od zachodzącego słońca, teraz pędziły, gnane wichrem. Nad spowitym lekką mgłą horyzontem pojawiła się dziwna poświata. Ponownie usłyszeliśmy dźwięki muzyki, tym razem od strony wejścia do parku. Po chwili wszystko ucichło, powietrze stało się jasne i przejrzyste. Słońce wyjrzało zza chmur, rzucając złociste promienie na fasadę „Okrętu”. Wsłuchiwaliśmy się w melodię niesioną lekką bryzą.

- Ciekawe - rzekł Atto, wycierając buty z kurzu. - Muzyka przycho-

dzi i odchodzi, jakby była wszędzie i nigdzie. W pałacach arystokratów istnieją sale zbudowane w odpowiedni sposób, tak aby muzyka docierała z różnych miejsc, a goście mieli wrażenie, że muzycy znajdują się w innym pomieszczeniu. Nigdy jednak nie słyszałem, żeby podobny efekt uzyskano w ogrodzie.

- Ma pan rację - zgodziłem się. - Muzyka wydaje się jakby... unosić w powietrzu.

Znów usłyszeliśmy dwa głosy i srebrzysty kobiecy śmiech. Zapewne te same co wcześniej, choć nadal nikogo nie widzieliśmy. Widok zasłaniał nam wysoki żywopłot. Atto poprawił na sobie kaftan, spodziewając się, że za chwilę kogoś ujrzymy i będziemy się witać. W jednym miejscu żywopłot nieco rzedniał. W prześwicie między gałęziami krzewów dostrzeżliśmy dwie postacie.

Jedną z nich był energiczny, choć niemłody już szlachcic. Uderzyło mnie jego otwarte spojrzenie, łagodne rysy twarzy i eleganckie maniery. Mężczyzna rozmawiał uprzejmie z dziewczyną, najwyraźniej o czymś ją zapewniając. Czy to jej śmiech słyszeliśmy, wchodząc do ogrodu?

- Będę panu wdzięczna do końca życia. Jest pan moim najlepszym przyjacielem - oświadczyła dziewczyna.

Ubrani byli na modłę francuską, ale mieli w sobie coś szczególnego (czego nie potrafiłem odgadnąć). Nie zauważyli nas, ukrytych za żywopłotem.

Przyjrzałem się dziewczynie. Miała delikatną jasną karnację, lekko opaloną, niczym nowa Wenus, piękną twarz - nie owalną, lecz nieco zaokrągloną, wysokie czoło, czarne włosy, ciemne rzęsy i brwi, dumne spojrzenie.

Niewidoczny zza żywopłotu, podziwiałem jej duże, okrągłe oczy, kryjące w sobie tyle wdzięku i niewinności, że mogłaby nimi oczarować każdego. Zachwyciałem się jej koralowymi ustami, zgrabnym noskiem, pięknym kształtem głowy, smukłością szyi i dwoma uroczymi wzniesieniami poniżej, podobnymi do jabłek Parysa, który z pewnością uznałby ją za najpiękniejszą z bogiń. Miała niezwykle zgrabne ramiona, a dłoń (którą nieoczekiwanie dotknęła podbródka) o delikatnych mlecznobiałych palcach była prawdziwym cudem natury. Gesty i ruchy dziewczyny były tak powabne, a śmiech i głos tak miłe dla ucha, że nie sposób było nie ulec jej urokowi.

Na dźwięk słów, które nie były niczym innym jak podziękowaniem: „Będę panu wdzięczna do końca życia. Jest pan moim najlepszym przy-

jacielem", Atto szturchnął mnie w ramię. Spojrzałem na niego. Był śmiertelnie blady. Dał mi znak, żebyśmy okrążyli żywopłot i pokazali się parze nieznajomych. Zaczął iść szybko wzdłuż alejki. Nagle zatrzymał się. Omal na niego nie wpadłem.

- Wyjrzyj i powiedz mi, czy jeszcze tam są!

Uczynilem, co kazał.

- Nie, panie Atto. Nie widzę ich.

- To poszukaj!

Przysiadł na murku. Wydał mi się stary i zmęczony.

Z ochotą wypełniłem polecenie opata, bo dawało mi ono okazję do ponownego ujżenia tej pięknej dziewczyny. Gdybym kogoś spotkał, powiedziałbym, że jestem na służbie u poddanego Arcychrześcijańskiego Króla Francji Ludwika XIV, szlachcica, który ośmielił się wejść na teren ogrodu, by złożyć uszanowanie jej właścicielowi. A poza tym czyż „Okręt”, zgodnie ze słowami Atta, nie był kolebką Francji w Rzymie?

Nie znalazłszy mężczyzny i dziewczyny tam, gdzie ich dostrzeżliśmy, poszedłem dalej, skręciłem w boczną alejkę, później następną i następną, aż w końcu wyszedłem na duży dziedziniec przy wejściu. Bez rezultatu: rozplynęli się w powietrzu. Zapewne weszli do pałacu - pomyślałem.

Kiedy wróciłem do opata Melaniego, wyglądał już lepiej.

- Jak się pan czuje?

- Dobrze... Wszystko w porządku. To nic takiego.

Sprawa miała wrazenie głęboko poruszonego, jakby otrzymał jakąś złą wiadomość. Choć siedział wygodnie na murku, podpierał się laską.

- Jeśli czuje się pan lepiej, może pójdziemy dalej? - zapytałem.

- Posiedźmy jeszcze chwilę, tu jest tak przyjemnie! A poza tym nie ma pośpiechu. Chce mi się pić. I to bardzo.

Podeszliśmy do jednej z wielu fontann. Gdy Atto pił wodę, podtrzymałem go, żeby nie stracił równowagi. Podjęliśmy spacer alejkami, od czasu do czasu spoglądając na „Okręt”, teraz cichy i jakby wymarły. Atto wziął mnie pod ramię, lekko się na nim opierając.

- Jak już mówiłem, willa należała do Elpidia Benedettiego, który zo stał ją w spadku jednemu z krewnych Mazzariniego - przypomniał. - Był nim Filippo Giuliano Mancini, książę Nevers, brat jednej z najbogatszych kobiet Francji, Marii Mancini, konstablowej Colony.

Spojrzałem na Melaniego. Nie musiałem już wypytywać Buvata - opat



sam wyjawiał tajemnicę Marii. Wydawało mi się, że w tej samej chwili od strony willi dały się słyszeć dźwięki muzyki. Nie była to jednak ta sama follia co wcześniej. Tym razem rozpoczynała się fragmentem granym na wioli, przypominającym ludzki głos, smutny i cichy.

Atto wydawał się nie słyszeć muzyki. Zamyślony i milczący, starał się zapanować nad uczuciami, a może zastanawiał się, od czego zacząć opowiadanie.

- Pamiętaj, chłopcze, serce zdolne jest pokochać tylko raz w życiu.

Wiedziałem, co miał na myśli. Buvat mi o tym napomknął: pierwsza miłość Arcychrześcijańskiego Króla była zarazem największa, a jego wybranką- Maria Mancini, siostrzenica kardynała Mazzariniego. Racja stanu położyła jednak kres temu uczuciu.

- Ludwik starał się o Marię, ale przegrał - ciągnął Melani, nie zwróciwszy uwagi, że wyraził się o królu z taką poufałością. - Była to wielka miłość, ale została poniżona, zdeptana, na przekór prawom natury. I choć wszystko zdarzyło się w określonym miejscu i czasie, pomiędzy dwiema samotnymi duszami, reakcja nienaturalnie stłumionych sił była niezwykle silna. Ta niespełniona miłość, mój chłopcze, ściągnęła na ziemię anioły zemsty: wojnę, głód, niedostatek i śmierć. Mściwość rozszalałych erynii, powstałych z popiołów tej namiętności, dotknęła poszczególnych ludzi i całe narody, Francję i Europę.

Historia zemściła się za niesprawiedliwość losu i krzywdę, niewielką, jeśli mierzyć ją miarą rozumu, a olbrzymią, jeśli przyłożyć do niej miarę serca. Młody król z nikim nie rozumiał się tak dobrze jak z Marią, nawet z królową matką Anną.

- Na ogół darem wzajemnego, trwałego *zrozumienia obdarzeni są* ludzie łagodni - ciągnął opat Melani - tacy, którzy pielęgnują własne namiętności w skromnych, uporządkowanych ogródkach. Mężczyźni i kobiety o wybujałych temperamentach ulegają uczuciom nagłym i nietrwałym, słomianemu zapałowi, który jedynie przez chwilę rozświetla bezksięży cową noc.

W wypadku Ludwika i Marii - mówił Melani - było inaczej. Namiętność zapłonęła nagle, ale była trwała, towarzyszyło jej bowiem tajemne porozumienie serc, które złączyło zakochanych na całe życie. Z tego właśnie powodu świat zaczął ich nienawidzić. Oboje byli bardzo młodzi, nie znaleźli w sobie dość siły, by przeciwstawić się intrygom, złośliwościom i przebiegłości dworu. Nie dlatego, że król był niedojrzały: kiedy

się zakochał, miał dwadzieścia lat. W tym wieku mógł być już żonaty, a przynajmniej zaręczony.

- To dość rzadki przypadek, wbrew wszelkim zwyczajom! - zawołał opat Melani. - Na ogół nie czeka się tak długo, by ożenić młodego króla. Tym bardziej że francuska rodzina królewska nie miała zbyt wielu kan dydatów do tronu. Po Filipie, bracie króla, i wuju Gastonie Orleańskim, starym i schorowanym, pierwszym księciem krwi był Wielki Kondeusz, nikczemna żmija, buntownik Frondy, który przeszedł na stronę Hisz panów...

Anna i Mazzarini trzymali Ludwika pod kloszem, dzięki czemu mogli swobodnie rządzić. Młody władca niczego nie dostrzegał, oddawał się rozrywkom, tańcom i muzyce, pozwalając, by władzę sprawował Mazza rini. Ludwik nie zaprzętał sobie głowy przyszłymi królewskimi obowiąz kami. Sprawiał wrażenie bezwolnego, apatycznego, podobnie jak jego oj ciec Ludwik XIII, którego prawie nie znał. W wieku dziesięciu lat, kiedy ojciec już nie żył, w wyniku Frondy musiał udać się na wygnanie. Trzy lata spędzone z dala od Paryża wywołały w młodym Ludwiku poczucie wyobcowania.

- Jak to możliwe - wtrąciłem - że osoba tak łagodna i nieśmiała stała się Arcychrześcijańskim Królem?

- Nikt nie potrafi tego wytłumaczyć. W pewnym stopniu wyjaśniają to fakty, o których zaraz opowiem. Zwykło się uważać, że Ludwik zmienił się pod wpływem Frondy, że bunt ludu i szlachty wzbudził w nim pragnienie odwetu. Bzdura! Od wybuchu Frondy minęło dziesięć lat. Przez ten czas Jego Wysokość nadal był nieśmiałym marzycielem. Dwanaście miesięcy po ślubie, który odbył się w 1600 roku, był już nieugiętym władcą, o którym słyszałeś. Wiesz, co się wydarzyło w ciągu tego roku?

- Przymusowa rozłąka z Marią Mancini?

Atto skinął głową.

- Ileż nienawiści ściągnęli na siebie nieszczęśni młodzi! Nienawiść królowej matki, Mazzariniego...

- Czy to możliwe? Kardynał, wuj Marii, powinien być zadowolony!

- Dużo by mówić... Powiem ci tylko tyle: mimo że kardynał zdołał wszystkich przekonać, iż był przeciwny tej miłości, ponoć z powodów honorowych i poczucia obowiązku wobec monarchii, i tak dalej, i tak dalej, ja, nie będąc Francuzem, nie dałem się na to nabrać. Dobrze znałem Mazzariniego, w jego żyłach płynęła sycylijska krew. Dla niego liczyły się wyłącznie korzyści osobiste i status rodziny.

Atto zrobił minę osoby doskonale we wszystkim zorientowanej.

- Jak już mówiłem - ciągnął - wszyscy byli przeciwni tej miłości. Nie mogli okazać niezadowolenia królowi, znenawidzili więc biedną Marię, która, nawiasem mówiąc, nie cieszyła się sympatią ani na dworze, ani w rodzinie.

- Z jakiego powodu?

- Na dworze nie była lubiana dlatego, że pochodziła z Włoch. Mazzarini sprowadził do Paryża tylu Włochów, że nikt nie mógł już na nich patrzeć - rzekł Melani, jeden z tych sprowadzonych do Francji Włochów. - Rodzina nienawidziła Marii, odkąd przyszła na świat. Zaraz po urodzeniu ojciec kazał ułożyć jej horoskop, z którego wynikało, że stanie się ona powodem wielu nieszczęść, a nawet wojny. Stary Mancini ślepo wierzył w astrologię, podobnie jak jego córka Maria. Jeszcze na łożu śmierci przestrzegał przed nią żonę.

Matka Marii łatwo dała się przekonać. Znęcała się nad córką przez całe dzieciństwo. Stale wypominała jej wady, także fizyczne (- niewidoczne drobiazgi! - dodał Atto). Nie chciała zabrać jej do Paryża, ustąpiła dopiero pod wpływem usilnych prośb piętnastoletniej wówczas Marii. Na francuskim dworze matka zamykała ją w pokoju, podczas gdy młodsze siostry były dopuszczane przed oblicze królowej. Na łożu śmierci cztery córki powierzyła opiece kardynała, swojego brata. Marię, piątą córkę, kazała zamknąć w klasztorze. Ostrzegła Mazzariniego, że jeśli nie wypełni ostatniej woli swojej siostry, astrologiczna przepowiednia spełni się.

Wrogość własnej matki głęboko zraniła Marię - stwierdził poważnym tonem Melani. Jej chłopiące ruchy, głośny śmiech, ciężki chód, złośliwe dowcipy, bardziej stosowne dla żołnierza niż dla delikatnej dziewczyny, świadczyły o braku wiary we własną kobiecość.

- Zapewniam cię jednak, że była niezwykle kobieca - oświadczył Atto.

Rozejrzał się wokół, jakby szukał magicznego potwierdzenia dla swoich słów. Spojrzał na mnie.

- Powiem więcej: była przepiękna, doskonała niczym istota z innego świata. Nie jest to tylko moja opinia. Gdybyś jednak powiedział to osobom, które znały Marię, z wyjątkiem jej męża, Lorenza Onofria - Panie świeć nad jego duszą! - bardzo by się zdziwiły. Wiesz, dlaczego? Dlatego, że jej gesty i ruchy zupełnie nie pasowały do niej jako kobiety. Innymi słowy, Maria nie zachowywała się jak dama świadoma swych powabów.

Nie dlatego, że była pozbawiona wdzięku. Gdy czuła na sobie spojrze-

nie mężczyzny, traciła pewność siebie. Jeśli akurat szła, potykała się; jeśli siedziała przy stole, zaczynała się garbić; jeśli z kimś rozmawiała, nie milkła, jak przystało na dziewczynę w jej wieku, ponieważ była zbyt żywa i bystra, tylko wstrzymywała oddech, aby po chwili rzucić jakiś niezbyt udany dowcip, głośno się przy tym śmiejąc. Takie zachowanie paraliżowało francuskich rozmówców, nie rozumieli, że wynikało ono z zakłopotania i nieśmiałości. Przeciwnie, wszyscy nią gardzili, jakby była zwykłą wieśniaczką.

Maria stała się obiektem złośliwej krytyki. Jej piękna łabędzia szyja uważana była za zbyt chudą, płomiennie spojrzenie za złośliwe, gęste ciemne loki za suche i skołtunione, bladą (spowodowana wrogimi spojrzeniami dworu) alabastrową cerę tłumaczono zbyt jasną karnacją.

- W rzeczywistości policzki Marii wcale nie były blade. Ileż to razy widziałem, jak rumienia się od entuzjazmu i młodzieńczej energii! Maria miała piękne czerwone usta. W uśmiechu odsłaniała białe, równiutkie zęby, godne pędzla artysty. Niestety, żaden malarz nie ośmielił się sportretować Marii, gdyż jej uroda odbiegała od kanonu mody. Artyści uwieczniali damy, których twarze przypominały kaczy kuper...

- Szkoda, że nie była świadoma swojej urody - zauważyłem, komentując słowa Melaniego.

- Z czasem bardzo się zmieniła, zwłaszcza po urodzeniu dziecka. Kiedy odwiedziłem Marię w Rzymie, już jako żonę konstabla Colonna (mimo że jej serce pozostało w Paryżu) i młodą matkę, miałem okazję się przekonać, że osiągnęła pełnię kobiecości. Z chwilą gdy sama została matką, uwolniła się od przykrych wspomnień z dzieciństwa.

- Pan od razu zrozumiał prawdziwą naturę Marii - powiedziałem przypoehlebnie.

- Nie tylko ja, także Jego Wysokość, dlatego się w niej zakochał. Mimo że nie miał zbyt wielkiego doświadczenia w tym względzie, potrafił odróżnić piękną twarz od brzydkiej. Maria jednak, jak już mówiłem, z powodu ostrych słów krytyki matki uważała się za niezgrabną i mało kobiecą. Krótko mówiąc: brzydką. Naprawdę, bardzo żałuję, że żaden mistrz pędzla jej wówczas nie namalował! Zapłaciłbym za ten obraz najwyższą cenę. Maria, gdy mogła być sobą i zachowywać się swobodnie, była cudowna! Należało uwiecznić ją właśnie w takiej chwili! Nie chodzi mi o portret dworski, na którym namalowana postać jest sztywna i nienaturalna, ale o obraz oddający prawdziwą osobowość modela.

W latach miłości do Ludwika Maria nie czuła się jeszcze słowikiem,

którym była w istocie, lecz pozbawioną uroku wroną. Miało to swoje dobre strony. Przybywszy do Francji, zaczęła się pilnie uczyć, przekonana, że brak urody powinna nadrobić wiedzą. Podczas trwającej półtora roku nauki w klasztorze Wizytek skorzystała więcej niż jej siostry i kuzynki. Doskonale opanowała język francuski, choć nie zdołała się wyzbyć lekkiego włoskiego akcentu. Orientowała się w bieżących wydarzeniach kulturalnych, przejawiała zamiłowanie szczególnie do literatury rycerskiej i poezji - nierzadko recytowała ulubione wiersze - jak również do historii starożytnej. Stała na znacznie wyższym poziomie niż nastawione do niej nieżyczliwie bezmyślne damy dworu.

Kiedy zatem Maria pojawiła się na dworze, udowodniła, że pod względem intelektualnym i duchowym jest nad wiek rozwinięta. Obdarzona niezwykle temperamentem, miłość pojmowała jako wyzwanie. W królu, swoim rówieśniku, szybko dostrzegła pokrewną duszę.

- Ludwik niczym się wówczas nie różnił od młodych mężczyzn. Był bystry, a jednocześnie bardzo dziecinny, spragniony towarzystwa kobiety mądrej i silnej, która pomogłaby mu wykształcić własną osobowość - rzekł Atto, dla podkreślenia wagi słów podnosząc w górę palec wskaźny, jakby udzielał upomnienia. - Kowal i dzieło sztuki, Hefajstos i tarcza Achillesa - oto do czego można porównać związek łączący wów czas Marię z Ludwikiem. On przypominał tarczę achajską z materiału najlepszej jakości, ona zaś miała tchnąć w niego iskrę bożą, dać siłę, nauczyć dobroci i wpoić poczucie sprawiedliwości.

Wspomnienia zasmuciły Atta, ale nie dlatego, że w przeszłości on także kochał Marię, a teraz opowiadał o jej miłości do swego niewyciężonego rywala. Opat zasmucało co innego. Będąc eunuchem, nie mógł liczyć na odwzajemnienie swoich uczuć.

- Postawiłem sobie za cel przemienić tę bezkształtną młodzieńczą materię w mądrość - ciągnął opat Melani. - Wycwiczyć umysł, nauczyć przezorności i wiary w bliźniego. Zgodnie ze słowami Ewangelisty - uczynić z niego człowieka czystego jak gołębica i ostrożnego jak wąż. Uważałem, że Arcychrześcijański Król bardziej niż ktokolwiek powinien odznaczać się tymi przymiotami intelektu i ducha - oświadczył Atto uroczyście.

Tak zatem wyglądała droga ku doskonałości, którą Maria wskazała młodemu, porywczemu królowi. On zaś pragnął Marii z całego serca, ale

nie potrafił sprzeciwić się ustalonemu porządkowi. Nieświadomy swojej władzy, pogrążony jakby w letargu, żył w nierealnym świecie, w którym rzekomo dla jego dobra zamknęli go matka i kardynał.

- Pańskim zdaniem król do dzisiaj cierpi z tego powodu?

- Gorzej. Aby cierpieć, trzeba mieć serce, a Ludwik jest go pozbawiony. Zrezygnował z własnego, ja", jeśli tak można powiedzieć, gdyż tylko tak mógł przezwyciężyć rozpacz po niespełnionej miłości. Nie można jednak bezkarnie odrzucić własne serce, bo, jak mówi święty Augustyn, zło rodzi się z braku dobra.

Młody król stał się zimny i okrutny. Zakazana, stłumiona namiętność obudziła w nim najgorsze cechy.

- Królestwo Ludwika stało się państwem tyranii, podejrzliwości, zdrady, nadużyć, przywar podniesionych do rangi cnót - powiedział ci cho Atto, zdając sobie sprawę, że gdyby słowa te dotarły do niepowołanych uszu, mógłby mieć kłopoty. - Gardził kobietami, z którymi związał się w późniejszych latach, nie wyłączając małżonki, Marii Terezy. Matkę początkowo cenił, a następnie o niej zapomniał. Kochanki były dla niego jedynie przedmiotem cielesnego pożądania.

Razem z Marią stracił także serce, nie pragnął już miłości, nawet ze strony tak pięknej kobiety jak pani La Valliere. Nie zdając sobie z tego sprawy, nie pozwalał żadnej kobiecie zająć miejsca Marii. Z czasem stał się mizoginem. Marii Teresie zakazał udziału w Radzie Królestwa, mimo że zgodnie z tradycją była do tego uprawniona. Po ślubie wykluczył z Rady także swoją matkę, Annę Austriaczkę. Po jej śmierci powiedział, że była „dobrym królem”, forma żeńska wydała mu się obraźliwa. Wszystkie swoje kochanki traktował wyjątkowo okrutnie.

- W 1664 roku Ludwik powiedział do swoich ministrów: „Rozkazuję, byście ostrzegli mnie, gdy zauważycie, że jakaś kobieta zdobywa nade mną władzę. Pozbędę się jej w ciągu jednej doby”. Był już wtedy od trzech lat żonaty.

- Przepraszam, chciałbym o coś zapytać - wtrąciłem. - Czy Ludwik sądził, że może poślubić Marię? Przecież w jej żyłach nie płynęła królewska krew.

- Słuszna uwaga. Muszę ci coś wyznać: czy wiesz, że Arcychrześcijański Król nie jest już wdowcem? Ożenił się po raz drugi.

- Przyznaję, nie czytam gazet, ale o nowej królowej Francji chyba bym słyszał! - zawołałem zdziwiony.

- Oficjalnie nie ma nowej królowej. Pobrali się potajemnie, ale i tak

wszyscy o tym wiedzą. Ślub odbył się pewnej nocy przed siedemnastu laty, niedługo po naszym rozstaniu. Wróciłem wtedy do Paryża. Zapewniam cię, że dostojna małżonka jest bardzo niskiego pochodzenia, o czym świadczy to, że jako dziecko żebrała na ulicy.

Poślubiając panią Maintenon (tak nazywała się wybranka), król uczynił to, czego zabroniono mu dwadzieścia cztery lata wcześniej, kiedy pragnął ożenić się z Marią, a raczej kiedy zabrakło mu odwagi, żeby pojąć Marię za żonę. Było to zatem małżeństwo z jego wyboru, na przekór wszystkim.

- Gest bez znaczenia - powiedział Atto smutnym głosem. - Maintenon to nie Mancini, jej włosy nie „pachniały wrzosem”, jak mawiał młody król, zachwycony bujnymi lokami Marii.

To późne wesele - podsumował Atto z naciskiem - było cichym hołdem złożonym pierwszej i jedynej miłości jego życia. Tymczasem „potajemna” małżonka (wszyscy o tym wiedzą, ale nikt nie ma odwagi pisać słówka) musiała znosić humory i kaprysy króla, który stale dawał jej do zrozumienia, że w każdej chwili gotów jest się z nią rozstać.

- Maintenon, w przeciwieństwie do Marii, nie mogła udzielić Ludwikowi żadnej rady, gdyż bardzo go to złościło. Nie pozostało jej nic innego, jak pogodzić się z tym stanem rzeczy i milczeć - dodał opat z nutą pogardy w głosie.

Arcychrześcijański Król ożenił się po kryjomu! W dodatku z kobietą niskiego stanu! Jak to możliwe? Pytania cisnęły mi się na usta, ale Melani nie dopuścił mnie do głosu.

- Jak widzisz, król Francji mógł poślubić Marię - oznajmił z przekonaniem. - Musisz wiedzieć, że w tamtych latach Ludwik był królem je dynie z nazwy. W rzeczywistości rządy sprawowali królowa matka i kardynał Mazzarini. Nic nie zapowiadało zmiany tej sytuacji. Przeciwnie, zanosilo się na to, że przez całe życie Ludwika, podobnie jak za panowania Ludwika XIII, sprawami państwa będzie się zajmował pierwszy minister.

Nawet sam Ludwik był przekonany, że taki stan rzeczy utrzyma się do jego śmierci - zapewnił Atto. Mając dwadzieścia jeden lat, trzymał się spódnicy matki i żył w cieniu kardynała, jak młodziak. Tymczasem już od pięciu lat był „pełnoletnim królem”! Regencja matki dobiegła końca.

Ludwik nie sprzeciwiał się projektowi matrymonialnemu Mazzariniego. Było mu obojętne, czy poślubi Małgorzatę Sabaudzką, czy infantkę hisz-

pańską. Wiedział, jak złudne bywają plany polityczne. Nigdy się nie buntował i nie zamierzał niczego zmieniać, powolny postanowieniom swoich opiekunów. Nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, bez protestu przyjmując ich decyzje. Nic go nie obchodziły - ciągnął opat - kwestie polityczne i kombinacje Mazzariniego. Żył z dala od dworskich intryg i codzienności, zbyt jak dla niego pospolitej (tak uważał).

Zaprzyjaźniwszy się z królem, Maria czytała mu *Żywoty sławnych mężów* Plutarcha. Obdarzona temperamentem kondotiera, sama pragnęła stać się „sławnym mężem”. Ludwik, znudzony polityką, o której stale mówił Mazzarini, słuchając opowiadań, dał się ponieść fantazji i poczuł się jak bohater. Pod wpływem lektury zaczął lepiej rozumieć odległe wydarzenia, takie jak Fronda, upokorzenia, które musiała znosić jego rodzina, zbrukana rękami zbuntowanego ludu, wygnanie, smutne dzieciństwo.

Maria bardzo lubiła poezję. Recytowała wiersze z uczuciem. Poradziła Ludwikowi, żeby dużo czytał: powieści, dzieła Herodota, poematy rycerskie, sielanki. Idąc za jej radą, król wprost pochłaniał książki, rozkoszując się lekturą. Potrafił wypowiedzieć się o każdym przeczytanym dziele, czym wprawiał w zdumienie cały dwór, który nie posądział go o takie umiejętności.

Zmienił się, poweselał, stał się rozmowny. Przewyciężył dotychczasową apatię, z werwą dyskutował na każdy temat. Maria i Ludwik utożsamiali się z bohaterami powieści, które razem czytali.

W pewien piękny słoneczny dzień Ludwik zażyczył sobie, by zorganizowano śniadanie na trawie we Franchard, miejscowości położonej z dala od uczęszczanych szlaków. Zabrał ze sobą orkiestrę. Po przyjeździe na miejsce wysiadł z karety, nabrał w płuca powietrza i bez namysłu zaczął wdrapywać się na szczyt wzgórza. Był niezwykle podekscytowany. Wszyscy przyglądali mu się z niepokojem i dezaprobatą. Towarzyszyła mu Maria, której po rycersku służył ramieniem w miejscach bardziej stromych i niebezpiecznych. Dotarłszy na szczyt, rozkazał muzykom i dworzanom, by do niego dołączyli. Kalecząc się o skały, spełnili życzenia Ludwika. Żaden król francuski nie chodził nigdy po górach, do tego z orkiestrą i całym dworem. Ludwik także by tego nie uczynił - myśleli - gdyby nie ta kobieta, ta Włoszka.

Innym razem, działo się to w Bois-le-Vicomte, Maria i Ludwik wybrali się na spacer aleją wysadzaną drzewami. Gdy podał jej ramię, ona - wyciągając w jego stronę rękę, uderzyła się boleśnie o głowicę kró-



lewskiej szpady. Ludwik wyciągnął szpadę z pochwy i odrzucił daleko od siebie, jakby chciał ją ukarać. Na dworze długo jeszcze mówiło się o dziecinnyim geście króla, w jego mniemaniu dowodzącym rycerskości. Takim zachowaniem Ludwik ośmieszał się, ale nikt nie miał odwagi mu o tym powiedzieć. Poza tym dworzanie byli przekonani, że niepoważne popisy króla nie są podyktowane prawdziwym, dojrzałym uczuciem.

- Nie mieli racji! - zawołałem.

- Mieli rację i jednocześnie mylili się - sprostował Atto. - Uczucie, którego król i Maria nie śmieli nazwać miłością, przyjmowało czasami infantylne, patetyczne formy. Ludwik, zbyt długo kontrolowany przez matkę i kardynała, z opóźnieniem doświadczał młodzieńczego zadurzenia typowego dla szesnastoletków.

Gdy był szesnastoletnim chłopcem, Ludwik XIV doznał jedynie nieśmiałej inicjacji. Królowa i kardynał dobrze go pilnowali. Dostęp do niego miały jedynie stara pokojówka, kilka posusznych służących, dworka i jedna z sióstr Marii. Mazzarini czuwał, by nic nie zakłócało mu spokoju. Dopiero poznanie Marii otworzyło przed Ludwikiem drogę do miłości, z której nie chciał rezygnować.

Niepokoje, zgryzoty, rumieńce, teatralne gesty stały się udziałem Ludwika w wieku, w którym każdy monarcha ma już to za sobą i poznał trudy rządzenia.

- Nie bez powodu - tłumaczył opat Melani - serce młodzieńców jest z natury niestałe. Motyl, porzuciwszy formę poczwarki, swobodnie fruwa z kwiatka na kwiatek. Ptaki, dopiero gdy się opierzą, zakładają gniazdo.

Podobnie - ciągnął Atto - postępuje niedoświadczony młodzieniec. Z łatwością zakochuje się w dworce lub królowie z bajki i dla obydwu gotów jest zawojować cały świat. Uczucie jak szybko przychodzi, tak szybko wygasa i wszystko zaczyna się od początku. Pojawiają się nowe marzenia, nowe namiętności. Składa się obietnice bez pokrycia, pochopnie. Jeszcze nie myśli się poważnie o przyszłości. Wczorajszy dzień odchodzi w niepamięć, liczy się tylko dziś. Po dwudziestu latach pozostają jedynie wspomnienia, niewyraźne wrażenie rozkoszy, a jednocześnie zagrożenia. Z wiekiem człowiek staje się mądrzejszy i trzyma się z dala od gwałtownego nurtu. Zwracając wzrok ku przyszłości, trzyma serce na wodzy i kieruje się rozumem. Długo zastanawia się, zanim wybierze matkę dla swoich dzieci, z którą wiązać go będzie miłość małżeńska.

- Serce nie sługa, panie Atto - zauważyłem sentencjonalnie.

- Ale nie serce króla.

Ludwik dzięki Marii otrząsnął się z długiego letargu, ale jego nie-szczęście polegało na tym, że kobietę swojego życia spotkał za wcześnie, a zarazem za późno. Był za młody, żeby ją przy sobie zatrzymać, i zbyt dorosły, żeby o niej zapomnieć. Jego serce płonęło, w głowie czuł zamęt. Myśl o racji stanu była jeszcze bardzo odległa.

Doskonale wiedziałem, dlaczego Atto tak wiele mówił o młodości Arcychrześcijańskiego Króla. Myślał zapewne także o swoich młodych latach, kiedy jako śpiewak kastrat jeździł po Europie, zajmując się muzyką i szpiegowaniem w służbie wielkich panów. Narzązał się na niebezpieczeństwo, ale też głęboko przeżywał skrywane namiętności.

W pewnej chwili zanucił:

*Jeśli ostra strzala  
błyszczącego spojrzenia  
zraniła moją pierś,  
jeśli w miłości udręce  
cierpi moje serce  
nocą i dniem...*

Do kogo należało owo błyszczące spojrzenie, które zraniło pierś Atta, rozumiałem aż nadto dobrze. Odniosłem wrażenie, że opowiadając o Ludwiku, opat Melani utożsamiał się z nim, aby posmakować radości i cierpień, jakie niosła ze sobą nieosiągalna dla niego namiętność.

Głos Atta był słaby i płaczący. Minęło siedemnaście lat, odkąd słyszałem go ostatni raz. Słynny niegdyś sopran stracił połowę, o ile nie więcej, swojej siły. Mimo to arie mistrza Luigiego Rossiego (*seigneur* Luigiego, jak go nazywał), które wówczas śpiewał, nic nie straciły ze swego uroku.

Teraz, po tylu latach, Atto, którego słuchano na dworach i w teatrach całej Europy, śpiewał słabo i bez wyrazu. Jego głos, pozbawiony dawnego pięknego brzmienia, przypominał suchy szelest, a raczej sugestywny szepot. To, co teraz słyszałem, było jedynie wspomnieniem głosu wielkiego Atta Melaniego. Nic nie pozostało z jego dźwięcznych treli, na zawsze utraconych. Mimo to cichy głos Atta nadal głęboko mnie poruszał i słuchałem go z przyjemnością, jak dawniej. Opat kilkakrotnie powtórzył te same słowa, jakby miały dla niego jakieś ukryte, istotne znaczenie:

*Jeśli boskie oblicze  
skradło tę duszę,  
jeśli przeznaczeniem jest kochać -  
to niech wytrwa, kto potrafi!*

Wspomnienie o Marii nadal przynosiło opatowi cierpienie. Patrzył na nią oczami Ludwika, całował jego ustami i razem z Arcychrześcijańskim Królem doświadczał bólu rozstania. Z każdym rokiem odczucia te stawały się prawdziwsze, jakby Atto przeżył je naprawdę. Jako eunuch, nie mógł zdobyć Marii, czynił to w wyobraźni, za pośrednictwem króla. Tym sposobem spełniała się miłość tego dziwnego trójkąta, pomiędzy dwójgim ludzi, rozdzielonych na zawsze, i Attem, który zazdrośnie strzegł ich przeszłości. Miałem zaszczyt być jej jedynym świadkiem.

Nagle Melani przestał śpiewać i podniósł się z murku.

- Wejdziemy do pałacu. Ktoś tam musi być, do licha! Ktoś, kto każe nas w końcu aresztować - powiedział ze śmiechem.

Niechętnie rozstałem się z obrazem Marii pod powiekami, wywołanym opowieścią i śpiewem opata.

- Czy to była aria mistrza Luigiego?

- Nie zapomniałeś - ucieszył się. - Nie, z *Jazona* Francesca Cavallego. Była to najczęściej wystawiana opera w ostatnich pięćdziesięciu latach.

To powiedziawszy, Atto ruszył w milczeniu w drogę.

Jazon, czyli rzecz o zazdrości. Nigdy nie słyszałem tej słynnej opery, ale znałem grecki mit o zazdrosnej Medei, władczyni Kolchidy zakochałej w Jazonie, przywódcy Argonautów, który z kolei kochał Hypsipile, królową Lemnos. Jeszcze jeden miłosny trójkąt.

Szliśmy w kierunku północnej elewacji pałacu, przeciwnej do tej, która wychodziła na ulicę. Nad drzwiami wejściowymi widniał napis następującej treści:

*Si te, ut saepe solet, species haec decipit alta; Nec  
me, nec Caros decipit arcta Domus*

Ponownie odniosłem dziwne, niewytłumaczalne wrażenie, że słowa wypisane na murach pałacu przywodzą na myśl czy raczej odzwierciedlają jakąś nieznaną rzeczywistość.

Nacisnęliśmy klamkę. Drzwi ustąpiły. Wydawało mi się, że wewnątrz dał się słyszeć odgłos pospiesznych kroków i szurania, jakby ktoś przesuwał krzesło. Spojrzałem na Atta. Byłem ciekaw, czy usłyszał to samo, co ja, ale nie dał niczego po sobie poznać.

Weszliśmy do środka.

- Ani śladu trzech eminentów - powiedziałem rozczarowany.

- Nie liczyłem na to. Może jednak znajdziemy jakiś dowód, bilecik, notatkę... Bo ja wiem?... Dobrze byłoby wiedzieć, czy tu się spotkali. Takie detale mogą się okazać bardzo użyteczne. Pałac jest olbrzymi i, jak się wydaje, nikt go nie pilnuje. Tym lepiej dla nas.

Znajdowaliśmy się w podłużnym salonie, rozjaśnionym światłem z okien znajdujących się po obu jego stronach. Naprzeciw nas zobaczyliśmy drzwi. Były zamknięte. Wyobraziłem sobie, jak smakuje kolacja spożywana w tym pomieszczeniu latem, gdy przez otwarte okna wpada rześkie popołudniowe powietrze. W niewielkiej sali obok dostrzeżliśmy stół do gry w bilard.

Przeszliśmy kilka kroków dzielących nas od zamkniętych drzwi, zastanawiając się, czy za chwilę ktoś się w nich nie pojawi. Pośrodku salonu stał duży okrągły stół, na którym znajdowała się duża taca z intarsjowanego drewna. Kiedy podeszliśmy bliżej, Atto delikatnie wprawił tacę w ruch obrotowy.

- Świetny wynalazek! - zawołał. - Półmiski z daniami stawia się na ruchomej tacy i biesiadnicy sami się obsługują. Benedetti lubił wygodę.

Rozdzieliliśmy się: ja badałem część salonu po stronie drzwi wejściowych, Atto resztę pomieszczenia. W dwóch wnękach stały identyczne kredensy, pomalowane na ten sam kolor co ściana, dzięki czemu nie rzucały się w oczy. Otworzyłem kilka szuflad ze srebrnymi sztuczkami o różnych kształtach i różnej wielkości, służącymi do rozmaitych celów, między innymi do czyszczenia ryb i krojenia mięsa. Wyżej na półkach stały kielichy, szklanki, kubki, karafki do wina, dzbanki do wody z rżniętego, pozlacanego i malowanego szkła, porcelanowe filiżanki do bulionu i gorących napojów, ozdobione motywami zwierząt, kwiatów i puttów. Właściciel domu, oprócz rozkoszy podniebienia, cenił również ładne przedmioty, delektując się ich pięknem w zdrowym powietrzu Janikulum, wśród zieleni ogrodów. Mimo że „Okręt” znajdował się na uboczu, jego mieszkańcy doświadczali światowych przyjemności.

Obok kredensu, na wysokości człowieka przeciętnego wzrostu, zauważyłem przymocowaną do ściany mosiężną rurę z szerokim otworem jak

w trąbce. Rura biegła w górę i ginęła w suficie. Spojrzałem na Atta pytająco.

- To kolejny niezwykle praktyczny wynalazek - wyjaśnił. - Ułatwia porozumiewanie się ze służbą, która znajduje się na innych piętrach. Nie trzeba biegać po schodach, żeby wydać polecenie. Można wezwać słujących przez rurę, prowadzącą przez wszystkie kondygnacje.

Poszedłem dalej, by uważniej przyjrzeć się oknom. Na ramach namalowane były medaliony z podobiznami słynnych Rzymianek: Pompei, trzeciej żony Cezara; Serwili, pierwszej żony Oktawiana; Druzylli, siostry Kaliguli; Messaliny, piątej żony Klaudiusza, i wielu, wielu innych, między innymi Kossucji, Kornelii, Marcji, Aurelii i Kalpurnii (było ich w sumie trzydzieści pięć). Każdy wizerunek opatrzony był łacińskim napisem, zawierającym imię kobiety, ród i imię małżonka. Nad wnękami okiennymi widniały inskrypcje z dewizami na temat kobiet. Było ich tak wiele, że nie wystarczyłoby tych stron, by przytoczyć ich dziesiątą część:

Naturalną cechą każdej dziewczyny jest gadanie po próżnicy.

Łatwiej o słodycz piółunu niż o milczenie pośród kobiet tłumu.

Wszystkie panie śmieją się i płaczą na zawołanie.

Kobiet paplanie jest równie przykre jak kur gdakanie.

Gdy mężczyzna i niewiasta są zbyt blisko, są jak ogień i ściernisko.

Sercu kobiety bliższe jest liczenie niż miłosne uniesienie.

- Wszystkie te napisy mówią o kobietach i rozkoszach stołu. Jest to zatem salon dam i radości podniebienia. Przed chwilą ktoś tu był - oznajmił Atto, przyglądając się medalionowi z podobizną Plaucji Herkulanilli.

- Jest pan pewien?

- Tak. Na podłodze są świeże ślady po butach pobrudzonych ziemią.

Byliśmy tak zajęci poszukiwaniem dowodów obecności trzech kardynałów (oprócz śladów butów znaleźliśmy okruszki, plamy po winie i oliwie), że zupełnie nie zwróciliśmy uwagi na cykl obrazów zdobiących ściany. Kiedy stojąc u boku Atta, przyglądałem się malowidłom, stwierdziłem, że przedstawiają one wyłącznie (co było do przewidzenia) wdzięczne twarze kobiece. Opat Melani przechodził szybko od jednego obrazu do drugiego. Nie musiał czytać podpisów na obramieniach, gdyż doskonale wiedział, o czyj wizerunek chodzi. Przedstawiał mi więc twarze znane z innych portretów.

- Jego Wysokość Anna Austriaczka, świętej pamięci matka Arcy-

chrześcijańskiego Króla - oznajmił, jakby przedstawiał żywą królową, wskazując na dumne oblicze zmarłej władczyni o przenikliwym spojrzeniu i wysokim czole. Sportretowana postać miała na sobie przepyszną suknię z czarnej tafty, z organdy i kryzą i kamizelką z plisowanego brokatu, na której łagodnie spoczywały białe dłonie. - Jak już mówiłem, królowej matce bardzo, a nawet nadzwyczaj podobał się mój śpiew - stwierdził z kokieteryą, poprawiając dyskretnie perukę - zwłaszcza smutne arie, śpiewane wieczorami.

Następnie wskazał portrety księżnej palatyńskiej, hrabiny Marescotti, świętej pamięci pani Henrietty, szwagierki Arcychrześcijańskiego Króla. Wszystkie postacie były tak realistycznie odtworzone, że odnosiło się wrażenie, iż przed chwilą skończyły posiłek i wstały od stołu, pozostawiając na nim okruszki. Na koniec dotarliśmy do ostatniego obrazu, umieszczonego nieco w cieniu, ale dobrze widocznego. Ponieważ spojrzeniem kieruje pożądanie, a słowem intelekt, mój wzrok padł na twarz postaci, zanim opat Melani wyjaśnił, kim ona jest.

- Oto Maria Mancini - powiedział.

Była to bez wątpienia dziewczyna, którą widzieliśmy w ogrodzie za żywopłotem.

- Zdawało ci się - podsumował Atto, wysłuchawszy moich wyjaśnień. - Zasugerowałeś się tym nieoczekiwanym spotkaniem. To się zdarza. Kiedy byłem w twoim wieku, często miałem podobne przywidzenia.

Mówiąc te słowa, odwrócił twarz w drugą stronę.

- Nie rozumiem, gdzie się podziała dziewczyna i jej towarzyszy - za uważyłem.

Atto milczał. W sali obok wisiały na ścianach iluzjonistyczne ryciny, imitujące antyczne płaskorzeźby, niezwykle delikatne i pełne wdzięku. Oprócz nich dostrzeżliśmy kilka portretów, tym razem męskich. We wnękach znajdowały się napisy dotyczące życia dworskiego:

#### DOBRY DWORZANIN

*Aby nim zostać, należy:*

Być punktualnym i skromnym.

Zawsze mówić dobrze o panu domu.

Chwalić bez przesady.

Uczyć się od najlepszych.  
Raczej słuchać niż mówić.  
Kochać ludzi dobrych.  
Zjednywać sobie ludzi złych.  
Dyskutować ze swobodą.  
Działać energicznie.

Nie ufać każdemu, ale też nie podejrzewać wszystkich o złe zamiary. Nie wyjawiać własnych sekretów, ale też nie słuchać cudzych tajemnic. Nie przerywać innym, kiedy mówią, ale też samemu nie mówić zbyt wiele.

Wierzyć ludziom mądrzejszym. Nie przeceniać swoich możliwości. Nie dowierzać zbyt łatwo. Nie odpowiadać bez zastanowienia. Nie okazywać cierpienia.

## DWÓR

Na dworze zawsze czai się jakiś wilk w owczej skórze.

Najlepszy sposób na dworskie intrygi to trzymać się od nich z daleka.

Dwór często jaśniej światłem jego gości.

Na dworze unosi się w powietrzu zapach ambicji.

Interesy dworu nie zawsze idą w parze z pragnieniami jego najwierniejszych poddanych.

Na dworze nawet najszczerze przyjaźnie zatrutowane są fałszywymi podejrzeniami.

Większość dworzan to potwory z dwoma językami i parą serc.

- Moim zdaniem to ta sama dziewczyna! - upierałem się, podczas gdy Atto z zadartą głową czytał inskrypcje. - Jest pan pewien, że dzisiaj Maria Mancini ma blisko sześćdziesiąt lat? Dziewczyna, którą widzieliśmy... jest identyczna... taka sama jak postać z obrazu, tyle że o wiele młodsza.

Melani przerwał czytanie i popatrzył mi prosto w oczy.

- Sądysz, że mógłbym się mylić?

Odwrócił wzrok i spoglądał na portrety, dokładnie im się przyglądając. Przedstawiały podobizny słynnych Francuzów i Włochów: papieży, poetów, artystów, uczonych, władców i ich krewnych, ministrów stanu.

- Jego Świątobliwość nieżyjący już papież Aleksander VII, Jego Świątobliwość zmarły papież Klemens IX, kawaler Bernini, kawaler Cassiano del Pozzo, kawaler Marino, Jego Wysokość zmarły Ludwik XIII, Jego Wysokość panujący Ludwik XIV, szacowny brat Jego Wysokości Ludwika XIV...

Kiedy Atto rzucał nazwiska, przechodząc pospiesznie od jednego portretu do drugiego, odniosłem wrażenie, że pytanie o wiek Marii Mancini wytrąciło go z równowagi. Opat miał z całą pewnością rację: nie mogłem widzieć Marii w ogrodzie nie tylko dlatego, że jeszcze nie przybyła do Rzymu, ale też dlatego, że będąc rówieśniczką Arcychrześcijańskiego Króla, miała tyle samo lat co on, a więc około sześćdziesiątki.

- ...Jego Wielebność nieżyjący kardynał Richelieu, Jego Wielebność zmarły kardynał Mazzarini, nieżyjący pierwszy minister Colbert, nadintendent Fouquet...

Opat nagle się zatrzymał.

- ...nie okazywać cierpienia... - powiedział do siebie, powtarzając jedną z dewiz uwiecznionych na ścianie.

- Słucham?

- Większość dworzan to potwory z dwoma językami i parą serc! - zacytował z uśmiechem kolejną złotą myśl, jakby chciał pokryć żartem jakąś przykrą myśl.

- Zrobiło się późno - oświadczył opat Melani, kiedy wyszliśmy z „Okreću” i przyglądali fioletowi nieba.

Wizja lokalna zakończyła się niepowodzeniem. Nie znaleźliśmy śladów trzech kardynałów, mieliśmy też za mało czasu, żeby przeszukać całą rezydencję.

- Wracaj do pracy w ogrodzie i trzymaj język za zębami.

- Najpierw muszę naprawić szkody po włamaniu, zanim wróci Clotidia...

- Pokryję wszystkie koszty. Zapłacę nawet dwa razy więcej, byle twoja żonka była zadowolona. Przyjdź tu dziś wieczorem, po zmierzchu. A teraz idź już! - ponaglił mnie Atto.

Był zdenerwowany, i to bardzo.



# Wieczór drugi

8 lipca 1700 roku

Kiedy szedłem do szopy po narzędzia, uświadomiłem sobie, że Atto ani razu nie zapytał mnie o Cloridię - jak się miewa, kiedy będzie mógł ją zobaczyć, co porabia i tak dalej. Nie powiedział ani słowa na jej temat, nie zadał żadnego pytania. Przeczytał wszak skradziony mi dziennik i poznał niewiarygodną historię Cloridii - historię, o której w czasach „Donzella” nie miał nawet wyobrażenia. Opat i Clordia traktowali się jak powietrze. O ile pamiętam, nie zamienili ze sobą ani jednego słowa, ignorując się wzajemnie. Z ust Atta nigdy nie padło jej imię, chyba że żartem. Kastrat i kurtyzana nie mogli się zaprzyjaźnić...

- Zwalniam cię! Jesteś skończonym leniem!

O mało nie umarłem ze strachu, usłyszawszy nieoczekiwanie ten skrzeczący głos. Odwróciłem się i ujrzałem go o dwa kroki od siebie: siedział na gałęzi i głaskał się po dziobie zakrzywioną łapką.

- Zwalniam cię! Zwaaalniał! - powtórzył rozbawiony Cezar August.

Zawsze tak gadał, gdy robiłem sobie przerwę w pracy. Zapewne nauczył się tego nieprzyjemnego zwrotu w jakimś warsztacie podczas swoich wędrówek po mieście.

- Co tam robisz na górze? - zapytałem poirytowany. - Dlaczego nie siedzisz w klatce?

Papuga milczała, uznawszy, że nie musi mi odpowiadać, i na znak niezadolenia kręciła głową. O tej porze roku Cezar August czuł się zwykle smutny i rozdrażniony. Zły nastrój rozładowywał, straszliwie rozrabiając.

Cezar August ruszył do dzieła. Sfrunął z gałęzi, przeleciał tuż obok mojego nosa, zawrócił, przeleciał niżej i wylądował tuż obok mnie, chwytając dziobem nóż, który położyłem na ziemi.

- O, nie! Co to, to nie! Natychmiast mi to oddaj! - rozkazałem.

- Zwolnić go! Wyrzucić! - powtórzył ze złośliwym błyskiem w małych okrągłych oczkach.

Nóż, który trzymał w dziobie, zupełnie nie przeszkadzał mu w perfekcyjnym naśladowaniu ludzkiego głosu. Dobywał się on jednak nie z gardła, jak u nas, ludzi, ale jakby z głębokiej studni. Po chwili rozłożył duże białe skrzydła, potrząsnął nimi niezgrabnie w nieruchomym letnim powietrzu i odfrunął. Wkrótce straciłem go z oczu. Śledząc jego lot, kątem oka dostrzegłem (tak mi się przynajmniej wydawało) jakiś ruch za żywoptotem. Ktoś mnie obserwował!

- Odsuń się, chłopcze! - usłyszałem i w jednej chwili porzuciłem moje rozważania.

Alejką szło dwóch paziów, a za nimi trzecia osoba, którą był Jego Eminencja kardynał Fabrizio Spada w stroju świeckim, z jeszcze bardziej zachmurzonym czołem niż wczoraj.

Kiedy mnie mijali, idąc w kierunku bramy wyjściowej, złożyłem głęboki ukłon. Gdy się prostowałem z ukłonu i otrzepywałem z kurzu spodnie, usłyszałem jakiś szelest. Ponownie odniosłem wrażenie, że ktoś mi się uważnie przygląda. Rozejrzałem się dookoła, ale niczego nie dostrzegłem, choć mógłbym przysiąc, że za jednym z krzewów tworzących żywoptot coś się poruszyło. Nad głowami kardynała Spady i paziów znikających w głębi alejki przeleciał Cezar August.

Przystrzygłem krzewy i uprzątnąłem woliery. Do zmierzchu i spotkania z opatem pozostało dużo czasu. Postanowiłem wpaść na chwilę do domu. Ku mojemu zdumieniu zastałem tam taki sam nieporządek jak kilka godzin wcześniej. Zdenerwowałem się na myśl, że jacyś nieznanymi ludźmi w przypiływie furii wywrócili do góry nogami nasze małżeńskie łóżko.

Kolejny raz wszystko uporządkowałem i wróciłem do willi Spada. Panował straszliwy upał. Zdjąłem koszulę i usiadłem w cieniu dużego buka obok murów okalających willę. Spotykaliśmy się tu z Cloridią, podczas przerw w pracy, z dala od niedyskretnych spojrzeń. Miejsce na wzniesieniu doskonale nadawało się na schadzki. Niewidoczni za gęstymi koronami drzew, mogliśmy obserwować aleję biegnącą w dół. Zateśkniłem za moją kochaną żoną. Westchnąłem z rozrzewnieniem. Moje myśli w naturalny sposób skierowały się ku miłości Króla Słońce i Marii Mancini, a także dziwnego uczucia łączącego Marię i Atta. Nie widzieli się trzydzieści lat, a mimo to regularnie do siebie pisywali.

Prawdę powiedziawszy, wszystko, co łączyło się z opatem Melanim, było niezwykle i tajemnicze. Dziwny przebieg naszej wizyty w „Okręcie”, śmierć introligatora poprzedzona napadem na Atta i zranieniem go, włamania do mojego domu i pokoju Buvata, podanie nam środków odurzających.

Miałem w głowie zamęt, czułem się bliski rozpacz. Tęsknotę za Cloridią zastąpił strach. Co tu się działo? Czy byliśmy, jak napisał Melani do pani konstablowej, ofiarami procesarskiego spisku? A może mieli z tym związek cerretanie, jak utrzymywał Waligóra? A może jedno i drugie?

Wyrzucałem sobie, że znowu dałem się wciągnąć w machinacje opata, choć tym razem także on wydawał się poruszać po omacku. Co więcej, podczas naszej wizyty w „Okręcie” sprawiał wrażenie zagubionego i zaniepokojonego. Pomyślałem o Marii i przypomniałem sobie, że mieszka w Madrycie, w Hiszpanii, dokładnie tam, gdzie - jak dowiedziałem się z ich listów - ważyły się losy świata...

Niepostrzeżenie zapadłem w drzemkę. Ocknąłem się, gdy poczułem na karku jakby muśnięcie jedwabiu. Usłyszałem łagodny, kojący szept:

- Znajdzie się dla mnie miejsce obok ciebie?

Otworzyłem oczy i ujrzałem moją Cloridię.

Obsypaliśmy się pocałunkami, a kiedy nacieszyliśmy się sobą w świetle zachodzącego słońca, Clordia powiedziała:

- Nie pytasz, jak mi poszło? Szkoda, że cię przy tym nie było!

Od kilku dni moja żona, która, jak już mówiłem, jest akuszerką, przebywała poza domem, opiekując się położnicą. Właśnie wróciła, a ja nie mogłem się doczekać, żeby jej o wszystkim opowiedzieć i wysłuchać jej opinii i rady. Clordia jednak, podobnie jak ja, pragnęła jak najszybciej podzielić się ze mną ostatnimi nowinami. Ustąpiłem więc i pozwoliłem jej mówić. Kiedy dawała upust swojej naturalnej kobiecej gadatliwości, postanowiłem na razie nie wspominać o nieoczekiwanym powrocie opata Melaniego ani o swoich obawach.

- Jak się mają dziewczynki? - zapytałem.

Nasze córki przez cały ten czas były z matką.

- Bardzo dobrze. Teraz śpią sobie smacznie w pokoju dla służby.

- Opowiadaj zatem! - powiedziałem z udawanym entuzjazmem.

- Rządcy majątku Barberinich urodził się synek, tłuściutki i pyzaty.

Jest zdrowy i wszystko ma na swoim miejscu, jak Pan Bóg przykazał - wyszeptła z dumą. - Tylko że...

- Tak? - spytałem, mając nadzieję, że nie będzie się zbyt długo na ten temat rozwodzić.

- Urodził się po pięciu miesiącach.

- Jak to? Przecież to niemożliwe! - zawołałem, udając zdziwienie, gdyż dobrze wiedziałem, do czego zmierza.

- To samo mówił rządcą, kiedy jego nieszczęsną żonę chwyciły bóle porodowe. Tymczasem, mój miły, to jest możliwe. Męczyłam się kilka godzin, żeby uspokoić tego ignoranta i wytłumaczyć mu, że choć poród następuje na ogół w dziewiątym miesiącu ciąży, to jednak zdarzają się wyjątki i czasami dzieci rodzą się po pięciu miesiącach albo dopiero po dwunastu...

Uwolniłem się z objęć żony i spojrzałem jej w oczy.

- ...Pliniusz zeznawał kiedyś w obronie pewnej kobiety - ciągnęła spokojnie Clordia - której mąż wrócił po pięciu miesiącach z wojny. Za pewniał sędziów, że poród nastąpił o czasie. Z kolei zdaniem Masuriusa w czasach pretury Lucjusza Papirusza wydano wyrok w sprawie jednego ze spadkobierców, którego matka twierdziła, że urodziła syna w trzynastym miesiącu. Wielki Awicenna natomiast uratował matkę przed ukamienowaniem, zeznając przed sędzią, że ciąża może trwać nawet czternaście miesięcy.

Zaprzagnąłem nagle jak najszybciej podzielić się z Clordia moimi ostatnimi przeżyciami.

- Posłuchaj! Muszę ci o czymś...

Clordia nie słuchała. Powietrze było bardzo gorące, podobnie jak moja małżonka, która po wielu dniach rozłąki aż paliła się do tego, by mi o wszystkim opowiedzieć.

- Udało mi się, wiesz? - przerwała mi bezceremonialnie i przysunęła się jeszcze bliżej. - Wyjaśniłam temu szaleńcowi, że jak samice w świecie zwierząt, tak kobieta nosi dziecko pod sercem krócej lub dłużej. Nie ma reguł. Słonica rodzi w drugim roku ciąży, krowa w pierwszym, kacz i oślica po jedenastu miesiącach, szczeniaki i prosięta rodzą się po czterech miesiącach, kocięta po trzech, kurczęta wykluwają się po dwudziestu dniach, a kozy i owce wydają potomstwo po pięciu miesiącach...

A ich małżonkowie - pomyślałem - czyli kozy i barany, są rogaczami.

Moja Clordia była niepoprawna. Miała niezwykły talent do rozstrzygania trudnych przypadków wątpliwego ojcostwa. Nie sposób zliczyć, ilu podejrzliwych mężów przekonała, że dziecię (bez względu na to, kim był jego ojciec), które matka (bez względu na to, czy była wierną, czy niewierną żoną) właśnie wydała na świat, jest jego owocem. Zaklinała się na wszystko i nie cofała przed niczym. Z uśmiechem na ustach i niewinnym wyrazem twarzy udzielała wyjaśnień i dawała przykłady wszystkim mężom: żołnierzom, pasterzom, wędrownym sprzedawcom, także surowym teściowym i wścibskim szwagierkom. Na ogół dawali się przekonać, wbrew mądrej zasadzie, że osobie gadatliwej nie można zbyt ufać, gdyż w potoku wypowiedzianych przez nią słów zawsze kryje się jakieś kłamstwo.

Ale to nie wszystko. W obawie, że niemowlę, gdy podrośnie, może wykazywać podobieństwo do sąsiada albo jakiegoś innego mężczyzny, będącego poza wszelkim podejrzeniem, Clordia tłumaczyła młodemu ojcom i ich nieufnym krewnym, że dzieci, rosnąc, czasami upodabniają się do osoby, o której żona myślała podczas stosunku. Wracając do domu po odebraniu porodu, Clordia lubiła opowiadać, przed jakim audytorium wygłaszała tę historyjkę. Przez wszystkie te lata słyszałem ją tysiąc razy, wzbogacaną o nowe szczegóły, prawdziwe lub zmyślane. Clordia uwielbiała, kiedy ją podziwiałem, a ja byłem z niej dumny. Śmiałem się z jej dowcipów lub udawałem zdziwienie, kiedy tego oczekiwała. Brałem udział w tej grze, gdyż pragnąłem, żeby była wesoła i zadowolona.

Tamtego popołudnia jednak nie udawało mi się to, miałem jej zbyt wiele do powiedzenia i potrzebowałem rady Clordii.

- Powiedziała mi rządcy: „Czyżby nie znał pan historii Heliadora, która uczy, że mocą wyobraźni stworzenia mogą stać się podobne do rzeczy wyobrażonych? Niech pan zatem posłucha! *Historia etiopska* Heliadora opowiada o pięknej białej dziewczynie, córce czarnoskórych rodziców - króla Etiopii i królowej Persji. Księżniczka została spłodzona w komnacie, której ściany zdobiły malowidła przedstawiające sceny mitologiczne, między innymi miłość Andromedy i Perseusza. Królowej tak się spodobała Andromeda w miłosnym uścisku z...

Dalszy ciąg tej historii znałem na pamięć. Clordia przytuliła się do mnie, ciągnąc swoją opowieść, którą powtarzałem w myśli za nią: królowej tak się spodobała Andromeda w miłosnym uścisku z Perseuszem, że

poczęła dziewczynkę podobną do niej. Takie wyjaśnienie podają gimnosofisci - najmądrzejsi ludzie tego kraju. Podobną historię przytacza Arystoteles...

- Podobną historię przytacza Arystoteles: czarnoskóra kobieta z Pelo ponezu zaszła w ciążę z Etiopczykiem i urodziła białą córkę. Ta z kolei, poślubiwszy białego mężczyznę, urodziła czarnoskórego syna. Święty Hieronim natomiast pisze, że słynny Hipokrates przyczynił się do uwolnienia kobiety oskarżonej o cudzołóstwo, gdy urodziła córkę zupełnie niepodobną do ojca. Uczony zeznał pod przysięgą, że niemowlę przybrało rysy sportretowanej dziewczyny z obrazu wiszącego na ścianie po koju, w którym kobieta zaszła w ciążę.

To duża pociecha - myślałem, nie mogąc się doczekać końca opowieści. Skoro krzywoprzysięstwa dopuścili się tak wielcy uczeni, jak Hipokrates, Pliniusz i Awicenna, wymyślając podobne bzdury dla ratowania honoru położnicy i dziecka, to moja Clordia znajdowała się w dobrym towarzystwie.

- Alcjatus, a przed nim Kwintylian - ciągnęła Clordia, tuląc się do mnie coraz mocniej i pieszcząc mnie - uwolnili od tego samego oskarżenia inną białą kobietę, która poślubiwszy białego mężczyznę, urodziła czarnoskórą dziewczynkę podobną do Etiopczyka z malowidła znajdującego się w sypialni małżonków.

- Opowiedziałas mu też historię o owcach Jakuba? - zapytałem, chcąc sprawić Clordii przyjemność.

- Oczywiście - odparła, zsuwając dłoń niżej.

- Czy to ty wymyśliłaś teorię, w myśl której również potrawy mogą mieć wpływ na wygląd mającego się narodzić dziecka? - zapytałem, przytrzymując jej dłoń, a następnie unosząc do ust i okrywając pocałunkami.

- Nie - zaprzeczyła z zakłopotaniem. - Pamiętasz, jak odbierałam poród żony tego Szwajcara, właściciela kawiarni? Kiedy starałam się uspić jego podejrzliwość, tłumacząc, że u wielu gatunków zwierząt można dostrzec więcej podobieństw niż u ludzi, ponieważ zwierzęta, w przeciwieństwie do ludzi, jedzą cały czas to samo, odparł, że w jego stronach, w Alpach, mężczyźni i kobiety jedzą wyłącznie kasztany i piją kozie mleko rozcieńczone wodą, a mimo to różnią się wyglądem.

- Co na to powiedziałaś?

- Przeczytałam historię o kobiecej wyobraźni. Zapewniłam, że na całym świecie panuje przekonanie, iż wyobraźnia i myśl kobiety pozosta-

wia ślad na ciele płodu, świadczący o tym, że matka spożywała w ciąży wieprzowinę, wino, jabłka albo winogrona. Z pomocą wyobraźni w łonie kobiety może uformować się ciało o takim kształcie, jakiego ona pragnie. Na koniec powiedziałam: „Wykorzystujesz tę nieszczęsną kobietę, każąc jej całymi dniami pracować i podawać kawę. Masz za swoje: urodziła ci dziecko kawowego koloru!”

Jak pisze Cesare Baronio, słynny Tertulian uwierzył prostej kobiecie, która twierdziła, że dusze ludzi sprawiedliwych są kolorowe. Moja Cloridia natomiast za żadne skarby nie dałaby się zapędzić w kozi róg tępemu Szwajcarowi rogowi. Z tą myślą poddałem się pieścizom żony.

- Wyobraźnia mężczyzny nie ma zatem żadnego znaczenia? - zapytałem, udając zaskoczenie.

- Według Arystotelesa ma, zdaniem Empedoklesa i Hipokratesa natomiast przytłacza ją niezwykle żywa wyobraźnia kobiety - odparła, poczynając sobie coraz śmieiej. - Z wyjątkiem jednego przypadku, to znaczy kiedy ojciec jest mądry, a syn głupi. Jak to się dzieje, że z mądrego ojca rodzi się niemądry syn? Wydaje się mało prawdopodobne, żeby takiego dziecka pragnęła matka. Ja natomiast twierdzę, że to możliwe. Uczeni mężowie są na ogół melancholikami, a melancholia jest rodzoną siostrą obłądu. Obydwu kobiety nienawidzą, zwłaszcza podczas cielesnego zbliżenia. Możliwe zatem, że są spragnione miłości z postrzelonym wesołkiem, a nie, jak dotąd, ze smutnym mędrcom. Nie mówiąc o tym, że roztargnieni, zamyśleni mężowie źle wypełniają ten obowiązek...

Zawstydziłem się. Cloridia miała rację. Nie odpowiadałem na jej pieścizoty, myślami będąc gdzie indziej. Nawet kiedy wprowadziła w czyn wszystkie swoje kobiece sztuczki, od najprostszych do najbardziej wyszukanych, nie zdołała zachęcić mojego udęczonego przyrodzenia do spełnienia słodkiej małżeńskiej powinności. Pomyśleć, że jeszcze przed chwilą tak bardzo jej pragnąłem! Niech diabli wezmą opata, introligatora, złodziei i wszystko, co doprowadziło mnie do tego żalosego stanu!

- Wolałabyś zatem mieć za męża głupca i wesołka? - zapytałem.

- Wesoły postrzeleniec może mieć duży wpływ na przyszłe potomstwo. Rozweselając żonę w alkwie, sprawia, że pragnie ona począć dziecko pogodne i mądre.

Uśmiechnąłem się zakłopotany. Cloridia usiadła i zaczęła zawiązywać sobie gorset.

- No, powiedz! Czym się martwisz? - zapytała.

Miałem w końcu sposobność o wszystkim jej opowiedzieć: o przyjeździe Melaniego, o kradzieży dziennika, o podjętej w tych dniach pracy biografą i wszystkich podejrzaniach i obawach. Wspomniałem też o zranieniu Arta, dziwnej śmierci introligatora, dwukrotnym włamaniu do naszego domu, dokonanym przez nieznanych sprawców, i o Buvacie. Przede wszystkim jednak opowiedziałem Cloridii o tajemniczej Marii, pani konstablowej Colonne, z którą potajemnie korespondował opat, oraz o naszej wyprawie do willi zwanej „Okrętem”. Słyszając o włamaniu, podczas którego nasze gniazdko zostało wywrócone do góry nogami, Clordia wpadła w złość.

- Dopiero teraz mi o tym mówisz?! - zawołała, otwierając szeroko oczy i patrząc na mnie tak, jakby nagle uświadomiła sobie, że poślubiła idiotę. Moja porywczą małżonka zapomniała już, że nie dopuściła mnie do głosu. Uspokoiła się na wieść o ładnej sumce, którą obiecał mi opat, i natychmiast odzyskała dobry humor.

- Tak więc opat Melani przyjechał, żeby znowu wszystkim szkodzić... - stwierdziła.

Moja żona nigdy nie darzyła opata sympatią. Dzięki moim relacjom wiedziała, do jakich nikczemności był zdolny. Nigdy nie zachwycała się elokwencją kastrata, nie doświadczyła też osobiście tysiąca przygód, które ja przeżyłem u jego boku.

- Masz od niego pozdrowienia - skłamałem.

- Wzajemnie - odparła sceptycznie. - Od trzydziestu lat opat kastrat wzdycha do kobiety - dodała z lekką drwiną. -1 to jakiej!

Clordia słyszała o Marii Mancini, wiedziała też, że jako żona konstabla Colonne mieszkała przez jakiś czas w Rzymie. Nic jednak nie powiedziała na temat wizyty w „Okręcie” i tajemniczej dziewczynie, która pojawiła się w ogrodach willi. Bardzo zależało mi na opinii Cloridii w tej sprawie, znała się bowiem na sztukach magicznych, takich jak czytanie z dłoni, numerologia, różdżkarstwo. Żona obiecała mi, że popyta wśród znajomych, może się czegoś dowie, co mogłoby nam pomóc. Uruchomi wszystkie swoje źródła informacji. Tysiące połoźnic i młodych żon miały dla nas patrzeć z ukrycia, obserwować, śledzić i zapamiętywać.

Długo jeszcze rozmawialiśmy, a Clordia, jak zwykle, udzieliła mi wielu dobrych rad, przestróg, nie zapominając przy tym o komplementach. Dobrze mnie znała i wiedziała, że potrzebuję słów otuchy.



Nabrałem pewności siebie. Z chwilą gdy opowiedziałem o wszystkim żonie, zniknęły obawy, wątpliwości i przygniatający smutek.

Spleceni w miłosnym uścisku, kochaliśmy się w cieniu wysokiego buka, a ja, niczym nowy Tityrus, dostroilem swój flet, by oddać cześć leśnej muzie.

Zmierzczało. Uwolniwszy się z objęć śpiącej Cloridii, poprawiłem na niej suknię i udałem się do pałacu na spotkanie z opatem Melanim. Pod wpływem niedawnego miłosnego uniesienia spojrzałem na ogrody willi innym okiem, dostrzegając całe ich piękno.

Kardynał Spada nie zważał na wydatki, starając się nadać uroczystościom jak najwspanialszą oprawę. Willa Spada była skromniejsza od innych szlacheckich posiadłości, ale zgodnie z wolą właściciela miała przewyższać je bogactwem dekoracji. Kardynał pragnął podkreślić to, co odróżniało rzymskie wille od bogatych wiejskich siedzib w innych krajach, to znaczy malownicze położenie i zabytkowe ruiny starożytnego Rzymu. Z rozkazu kardynała z piwnic i skupisk paproci wyciągnięto na światło dzienne i ocalono od zapomnienia posągi, marmury i inskrypcje na nich, przenosząc je następnie do ogrodów, gdzie prezentowały się w całej okazałości.

Piękne koncentryczne trawniki z drzewkami po bokach, przecięte promienistymi alejkami i urządzone na tę okazję przez Mistrza Ogrodnika Tranquilla Romaulego, zarzucono kolumnami, sarkofagami i stelami, a przy murze biegnącym wokół willi, pomiędzy szpalerami cytrusów, ustawiono fragmenty kapiteli. Nad szczątkami jednej z antycznych budowli ustawiono pergolę, niczym zielony sztandar Natury, pokonującej nietrwałe rzeczy tego świata.

Willa Spada była tylko jednym z wielu przykładów. W wiejskich rezydencjach rzymskich arystokratów znajdowały się niekiedy dobrze zachowane świątynie lub duże fragmenty akweduktów. W willi Colonna na Monte Cavallo przez długi czas można było podziwiać część gigantycznego Templum Solis (które później, niestety, nierozważnie wyburzono), w willi Medyceuszy na Pincio znajdowało się Templum Fortunae, a granicę willi Giustinianich na Lateranie wyznaczał akwedukt Klaudiusza, obok którego leżały fragmenty nieznanych budowli. Mauzoleum Augu-

sta, pamiątka po wielkim cesarzu, kiedy stało się własnością monsiniora Soderiniego, zostało przekształcone w ogród. Na Palatynie i Celiusie, obok willi i zabytkowych ruin, wznosiły się nowe budowle. Pałacyk Gentilego zbudowano przy wiekowych murach Aureliana, wykorzystując jedną z wież, podczas gdy ogrody przy willi Famese (zaprojektowane przez Vignolę, Rainaldiego i Del Duca) połączono harmonijnie z ruinami pałaców cesarskich na Palatynie. Kardynał Sacchetti, właściciel willi w Pigneto (wzniesionej przez genialnego Pietra da Cortonę), zapragnąwszy sprawić godny pochówek swojemu ulubionemu osłu o imieniu Grillo, użył szczątków rzymskich budowli, które z łatwością można było znaleźć na tym terenie - wystarczyło wbić w ziemię łopatę, by natrafić na marmury z czasów Cycerona i Seneki.

W willach Ludovisi i Pamphili urządzono w pałacach galerie rzeźb, a większą część willi kardynała Scipione Borghesego wypełniała kolekcja antycznych popiersi i posągów.

Fragmety starożytnych budowli nie były jedynym motywem dekoracyjnym w willi Spada. Alejki wiodące do fontann, nimfeów i lasku ozdobiono obeliskami, podobnie jak w ogrodzie Del Bufalo, w willi Ludovisich i ogrodach Medyceuszy, znanych z ilustracji w książkach mojego świętej pamięci teścia. Z tą różnicą, że obeliski w ogrodach kardynała Spady wykonane były z masy papierowej, na wzór cudownych dzieł kavalera Berniniego, które umieszczano na placach Navona i Hiszpańskim dla uczczenia narodzin potomków królewskich i innych ważnych wydarzeń. Imponujące papierowe obeliski miały stać zaledwie kilka dni.

Każda rzymska willa pełniła funkcję wypoczynkową, podobnie jak w czasach Horacego (i, myślę, *in secula seculorum*). Urządzano w niej także różnego rodzaju rozrywki, gry i zabawy. Willa Spada, przystrojona z okazji wesela, łączyła wszystkie te cechy.

Miałem ochotę zatrzymać się na chwilę i obejrzeć wszystkie te wspaniałości, ale zrobiło się późno. Przyspieszyłem kroku, żeby stawić się na czas u opata Melaniego. Przypomniałem sobie, że tego wieczoru, po zmierzchu, miała przyjechać pani konstablowa.

- Wielkie nieba! Chłopcze! Jak ty wyglądasz? Przypominasz pasterza z Arkadii.

Słyszając słowa opata, spojrzałem na swoje ubranie, pogniecione i poplamione od trawy, gdy kochałem się z Cloridią.

- Buvat! Zrób tu trochę porządku! - rozkazał swojemu sekretarzowi, przechodząc z „pan” na „ty”. - Zetrzyj podłogę szmatą, a jeśli jej nie znajdziesz, użyj swojego kaftana, bo tylko do tego się nadaje. Poukładaj moje papiery i poproś o coś do jedzenia! Pospiesz się, do licha! Oczekuję gości.

Nieprzyzwyczajony do obowiązków służącego, Buvat zastanawiał się, dlaczego Atto nie wezwie pokojowego. Widząc jednak, że Melani jest mocno podenerwowany, nie ośmielił się mu sprzeciwić. Zabrał się więc do porządkowania dokumentów, bibelotów, usunął z kanapy resztki jedzenia i ustawił na półce książki, które były porozrzucane po podłodze. Czynił to jednak tak nieporadnie, że zamiast zmniejszać, zwiększał bałagan w pokoju.

Zauważyłem, że opat masuje sobie zranione ramię.

- Jak ręka, panie Atto? - zapytałem.

- Trochę lepiej, ale nie zaznam spokoju, dopóki nie dowiem się, kto to zrobił. Od paru dni dzieją się tu bardzo dziwne rzeczy: najpierw ktoś na mnie napadł, potem zmarł introligator, na koniec włamanie do ciebie i Buvata...

W tej samej chwili usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Buvat poszedł otworzyć. Dostrzegłem, że wręczono mu list, który następnie pospiesznie przekazał opatowi Melanemu. Atto złamał pieczęć i przebiegł pismo wzrokiem. Następnie wsunął je do kieszeni i cichym, smutnym głosem powiedział:

- Nie przyjedzie. Przerwała podróż z powodu lekkiej gorączki. Przeprasza, że nie powiadomiła wcześniej, *et cetera, et cetera*.

Po kilku minutach Melani kazał nam odejść. Powodem, podobnie jak kilka dni wcześniej, był list pani konstablowej, który Atto pragnął przeczytać w skupieniu, z dala od niedyskretnych spojrzeń.

Pożegnawszy się z Buvatem, zdążającym do pałacowej biblioteki, zacząłem zastanawiać się nad zachowaniem Melanego. Po co mnie wezwał, skoro teraz kazał mi wyjść, nie wydając żadnych poleceń? Wprawdzie otrzymał złą wiadomość od Marii, ale ja, jak do tej pory, sumiennie wypełniałem swoje zadanie, które, nawiasem mówiąc, bardziej polegało na roli informatora (patrz: wczorajsza kolacja) niż biografą. To nie wszystko: opat nie powiedział mi nic na temat książeczki powierzonej in-

troligatorowi. Dziwnym trafem znalazła się ona w centrum nieszczęśliwych wydarzeń, a Atto, ledwo dowiedział się o śmierci introligatora, czym prędzej pobiegł odzyskać swoją własność.

Godzinę później Melani w towarzystwie Buvata przechadzał się po ogrodzie razem z innymi gośćmi, ja tymczasem udałem się na poszukiwanie tajemniczej książki, od czasu do czasu zerkając przez lunetę. Kiedy odebraliśmy tomik od wytwórcy różańców, zawinięty był w niebieski aksamit, nie widziałem więc okładki ani napisów.

Przeczesałem apartament opata, oglądając po kolei wszystkie książki, niestety nie znalazłem świeżo zszytego tomu. Atto zabrał do willi tylko te dzieła, do których najczęściej zaglądał, o czym świadczyły zniszczone okładki. Na pewno zauważyłbym nowy nabytek. Podczas poszukiwań natrafiłem na dzieło z wiadomościami na temat kardynałów, które mnie bardzo zaciekało. Zacząłem je przeglądać w nadziei, że pomoże mi zrozumieć aluzje i dowcipy Jego Eminencji. Następnie kolejny raz rozejrzałem się wokół, ale nie znalazłem nawet śladu owej książeczki. Może opat komuś ją pożyczył? Jeśli tak, to jej treść nie mogła być poufna.

Wiedziałem, że Atto obawiał się, iż padł ofiarą antyfrancuskiego spisku, zapewne z ręki zwolennika cesarza. Nie był tego jednak całkowicie pewien. Opowieść Waligóry o cerretanach, o których dotąd nie słyszał, wzbudziła wątpliwości opata. W liście do wdowy po konstablu napisał, że pragnie porozmawiać z ambasadorem cesarskim, hrabią von Lambergiem. Ambasador nie dotarł jeszcze do willi Spada, miał przyjechać dopiero następnego dnia, na wesele. Opatowi i mnie nie pozostało nic innego jak czekać.

Zastanawiałem się, czego właściwie dowiedziałem się od opata Melaniego. Przygotowywano się do konklawe, o tym mi wyraźnie powiedział, pokazując własnoręcznie sporządzoną listę kardynałów. Ale poza tym? Gdzie podziały się długie wywody doświadczonego agenta, wygłaszane w czasach, kiedy pracowałem jako posługacz w gospodzie „Donzel-lo”? Atto z pewnością wiedział wszystko o konklawe, kiedyś chwalił się nawet, że przyczynił się do wyboru jednego z papieży. Opat Melani po prostu się postarzał - stwierdziłem ze smutkiem. Więcej niż on sam mówiły przedmioty będące jego własnością, które obejrzałem po kryjo-

mu: ubrania (pośród których odnalazłem moje perły), przede wszystkim zaś listy.

Pani konstablowa, księżna Maria Mancini Colonna - o niej to Atto opowiedział mi podczas naszej wizyty w „Okręcie”. Była to jednak historia sprzed lat, bez związku z konklawe. O obecnych stosunkach łączących go z Marią nie powiedział ani słowa. Nie mówił mi, na przykład, o ich wspólnym zainteresowaniu kwestią sukcesji hiszpańskiej ani o tym, co konstablowa - urodzona w Rzymie i wychowana w Paryżu - miała wspólnego z Królestwem Hiszpanii.

Zaniechawszy dalszych poszukiwań książeczki oprawionej przez świętej pamięci Havera, włożyłem rękę do kosza z brudną bielizną i wyjąłem plik listów. Odszukałem list Marii Mancini i niezapieczonej jeszcze odpowiedź opata. Przebiegłem wzrokiem obydwie pisma, po czym przystąpiłem do szczegółowej lektury kolejnych listów.

Początek jednego z nich nawiązywał do napadu na opata:

*Bardzo mnie Pan zasmucił, mój Przyjacielu! Jak się Pan miewa? Jak ręka? Czy na pewno kryje się za tym jakiś zwolennik cesarza? Modłę się żarliwie, aby przynajmniej Pana oszczędzili cesarscy siepacze, ponieważ za sztandarem z dwugłowym orłem domu Habsburgów kryje się wiele, zbyte wiele zabójstw.*

*Niech Pan na siebie uważa. Drzę na myśl, że chce Pan prosić o audiencję u hrabiego von Lamberga. Niech Pan nie siada z nim przy stole, nie pije z kielicha, który Panu poda. Proszę niczego od niego nie przyjmować, nawet szczypty tabaki, tam bowiem, gdzie zawiódł nóż, może zadziałać trucizna, ulubiona broń cesarzy.*

Przypomniało mi się, że wśród rzeczy Atta znalazłem pistolet. Oznaczało to, że opat był świadomy grożącego mu niebezpieczeństwa. W dalszej części listu przeczytałem, co następuje:

*Proszę nie zapominać o okrutnej śmierci księcia Osuny który jako nowo nominowany generał zabiegał o rozejm z Francuzami. Niestety, po zażyciu tabaki uległ paraliżowi i dusznościom. Zmarł o trzeciej w nocy. A co powiedzieć o nagiej tajemniczej śmierci sekretarza stanu Manuela de Liry, który dążył do zawarcia pokoju z Francją? Pozwoli Pan, że mu przypomnę (choć z przyczyn dobrze Panu znanych wspomnienie to prze-*

*pełnia mnie głębokim smutkiem) najstraszliwszą ze zbrodni - zabójstwo królowej Hiszpanii, naszej ukochanej Marii Luizy Orleańskiej, pierwszej żony Karola II, która ze wszystkich sił starała się przekonać męża, żeby nie przystępował do ligi przeciw Arcychrześcijańskiemu Królowi, swojemu wujowi, i była za to znenawidzona w Hiszpanii, między innymi przez hrabiego Mansfelda, ambasadora cesarstwa.*

*Pamięta Pan? Nieszczęsna królowa obawiała się o swoje życie. Napisała nawet do króla Francji, żeby przysłał jej odtrutkę. Ale kiedy antidotum dotarło do Madrytu, Maria Luiza już nie żyła.*

Poprzedniego wieczoru - czytałem w liście wdowy po konstablu - monarchini zapragnęła napić się mleka, ale w stolicy było o nie trudno. W końcu niewielką ilość przysłała królowej hrabina S., przyjaciółka i protegowana cesarskiego ambasadora, wygnana z Francji z powodu afery trucicielskiej, której pierwszą ofiarą była - trzydzieści lat wcześniej - matka Marii Luizy. Królowa Hiszpanii umierała w straszliwych męczarniach. Kilka osób zeznało, że mleko, które wypija, przygotowano w domu ambasadora Mansfelda. Nieprzypadkowo też, nazajutrz po zabójstwie, hrabina S. wyjechała w nieznanym kierunku.

Maria Mancini nie wyjawiała nazwiska domniemanej trucicielki, z pochodzenia Francuzki, z przekonania zaś zwolenniczki cesarza. Ciekawy byłem, jakie to „przyczyny” były „dobrze znane” Melanieniu, a jednocześnie napawały smutkiem panią konstablową. Dalsza część listu miała charakter przemowy do mężczyzny imieniem Sylwiusz, pod którym krył się zapewne sam opat Melani:

*Och, Sylwiuszu, Sylwiuszu, czyżbyś wierzył, że te nieszczęścia przydarzyły Ci się przypadkiem? Jesteś w błędzie, bez woli bogów takie straszliwe rzeczy nikomu się nie przytrafiają. Czyż nie widzisz, że niebo zachmurzyło się, zagniewane Twą pogardą dla miłości, świata i ludzkich uczuć? Bogowie nie lubią, gdy ziemskie istoty starają się ich naśladować i wbi-  
jają się w pychę.*

Byłem zaskoczony zapalczywością, z jaką wdowa po konstablu oskarżała opata Melaniego. Jakby tego było mało, po kilku linijkach, w których przeproszała za spóźnienie (spowodowane gorączką), pojawiła się wzmianka o Lidiuszu:

*Zarzuca mi Pan, że nie doceniam szczęścia Lidiusza. Ale ja powiadam Panu, że należy dostrzegać koniec każdej rzeczy. Bóg dał szczęście wielu ludziom, a później pognął ich i zniszczył. Powtarzam więc: nie odpowiem, Lidyjczyku, na Twoje pytanie, dopóki się nie dowiem, czyś życie swoje dobrze zakończył.*

Kim był ów tajemniczy Lidiusz czy Lidyjczyk, do którego pani konstablowa zwracała się za pośrednictwem Atta? Z jakiego powodu zwracała się do Melaniego imieniem Sylwiusz?

Odpowiedź Arta nie rozwiała moich wątpliwości. Zawierała jedynie pretensjonalne, przesłodzone komplementy.

*Och, przepiękna i niewzruszona, nieczuła na strumienie łez, które dla Pani wylałem, i na moje daremne westchnienia! Czy Ty, Pani, również czasem do mnie wdychasz i masz dla mnie litość? A może się ludzę?*

*Pani dobroć, droga Przyjaciółko, głęboko mnie porusza i zły jestem na siebie, że Panią rozgniewałem. Może ta gorączka jest z mojej winy?*

*Moje pióro, z ostrzem zanurzonym w atramencie, to strzała, która zraniła moją ukochaną, zamiast okazać jej dobroć. Niech zatem ulegnie zniszczeniu i zmieni się w bezużyteczną, na próżno zbrojoną trzcinę, w pręt pozbawiony piór i grotu!*

W tym miejscu widniała duża plama atramentu, co wskazywało na to, że Atto naprawdę złamał gęsie pióro. Czuł się winny napisania rzeczy, które zmartwiły Marię, a nawet przyprawiły ją o gorączkę. Po chwili zamyslenia powróciłem do lektury listu (Melani najwidoczniej sporządził sobie kolejne pióro).

*Niech teraz Pani zrani mnie w podobny sposób swoim piórem! Domagam się tego!*

*Lecz proszę nie ranić mnie w oczy lub w dłonie, sprawców niewinnego uczucia. Proszę zranić mnie w pierś, zranić tego potwora, nieprzejednanego wroga współczucia i miłości, zranić to serce, które było dla Pani tak okrutne. Oto odsłaniam przed Panią mój nagi tors!*

W dalszej części listu autor odstąpił od przesadnie patetycznych zwrotów i utrzymywał się w granicach rozsądku. Pragnął udowodnić Marii, że nie obawia się hrabiego Lamberga, choć tak naprawdę musiał być nieco zaniepokojony.

*Co do mnie i mojego życia, droga Przyjaciółko, to nie ma powodu do obaw. W młodości dobrze znałem ojca hrabiego Lamberga. Był ambasadorem cesarskim w Madrycie, kiedy z kardynałem Mazzarinim przebywałem na Wyspie Bażanciej, gdzie odbywały się negocjacje pokojowe między Francją a Hiszpanią. Sprzątnęliśmy ambasadorowi sprzed nosa infantkę Marię Teresę, którą pragnął poślubić cesarz Leopold. Król Filip IV obiecał jej rękę, acz niechętnie, Ludwikowi XIV, chcąc uzyskać w ten sposób mniej poniżające warunki pokoju. Była to bardzo trafna decyzja, albowiem gdyby nie doszło do tego małżeństwa, dziś Arcychrześcijański Król nie mógłby zapewnić swojemu wnukowi, księciu Andegawenskiemu, praw do Korony hiszpańskiej. Filip IV kazał podpisać Marii Teresie dokument, w którym rezygnowała z wszelkich roszczeń do tronu hiszpańskiego (podobnie jak uczyniła Anna Austriaczka przed poślubieniem króla Francji Ludwika XIII), choć wielu prawników kwestionuje dziś ten akt.*

*Tak więc, moja droga, Lamberg senior nie przysłużył się Austrii, za to my przysłużyliśmy się Francji. Jeśli syn dorównuje zdolnościami ojcu, nic nie grozi ani mnie, ani interesom Francji w kwestii praw do tronu hiszpańskiego. W każdym razie o wszystkim się wkrótce przekonamy. Ambasador cesarski ma niedługo przybyć. A Pani? Kiedy mogę Pani oczekiwać?*

*Sylwiusz był wyniosły, to prawda, ale czcił bogów i pewnego dnia pokonał go Kupidyn. Od tej pory kłania się Pani i nazywa „swoją”, mimo że Pani nigdy nie była jego.*

Oderwałem wzrok od kartki, wzruszony tym ostatnim zdaniem. Biedny opat Melani: przypominał Marii o miłości, którą żywił do niej od czterdziestu lat, i poniżał się, czyniąc aluzję do tego, że był kastratem. Maria nigdy nie była i nie będzie jego.

List kończył się krótką wzmianką o nieznanym Lidiuszu:

*Przejdźmy teraz do Lidiusza. Wygrała Pani, dość już! Nie mówmy o nim! Przynajmniej na razie. Ale to, co Pani dostanie, kiedy się zobaczymy, przekona Panią. Wówczas zmieni Pani zdanie, on zaś bardzo się ucieszy.*

Złożyłem listy i zacząłem się zastanawiać. Sądząc po tej korespondencji, polityczne zainteresowania Atta ograniczały się do sprawy sukcesji



hiszpańskiej i związanych z nią zagrożeń (również fizycznych). Nie znalazłem żadnej wzmianki o przyszłym konklawe, z okazji którego, jak sam mówił, przyjechał do Rzymu. Z listów jasno wynikało też, że Atto obawiał się, iż padnie ofiarą cesarskich siepaczy (a dokładniej ich sztyletu lub truczyny). Nie wspominał o konklawe, podczas którego miał bronić interesów Francji na niekorzyść Austriaków. Odniosłem wrażenie, że konklawe nie miało dla niego najmniejszego znaczenia.

Nie, chyba jednak się myliłem, a moje wrażenie było irracjonalne, bezzasadne: zbliżające się konklawe z pewnością Atta zajmowało. To jakiś absurd - myślałem, ale przypomniałem sobie, jak przed laty opat osobiście tłumaczył mi, że należy zawierzyć przypuszczeniom i nie cofać się nawet wtedy, gdy staniemy wobec najbardziej nieprawdopodobnych okoliczności. Konklawe i sukcesja... a może sukcesja i konklawe? Jakby od sukcesji zależał wynik konklawe.

Przystąpiłem do lektury następnych listów, w nadziei, że dowiem się czegoś o tajemniczej hrabinie S. Kolejne pliki zawierały poufne sprawozdania i szczegółowe raporty na temat Królestwa Hiszpanii i króla Karola II. Były ponumerowane, w rogach kartek znajdowały się słabo widoczne cyfry. Otworzyłem pierwszy plik, zawierający listy sprzed wielu lat, pani konstablowa pisała je bowiem z Madrytu.

## UWAGI NA TEMAT SYTUACJI W HISZPANII

*Tu w Madrycie wszyscy zastanawiają się, co stanie się z królestwem po śmierci króla. Od dawna już nie ma żadnej nadziei na potomka: el Rey jest chory, jego ród wymiera. Wraz z nieszczęsnym monarchą, wyniszczonym chorobą, chyli się ku upadkowi całe królestwo, w którym słońce nigdy nie zachodzi. Na wielkość Hiszpanii, przepych dworu, nawet na chlubną przeszłość rzucają cień niepowodzenia teraźniejszości...*

Byłem zaskoczony tymi smutnymi, gorzkimi stwierdzeniami. Kim był Karol II, *el Rey*, jak nazywała go wdowa po konstablu w listach do Melaniego? Właściwie nic nie wiedziałem o umierającym władcy bezkresnego królestwa. Z najwyższą uwagą chłonałem treść tej relacji, ulegając jej przygnębiającemu nastrojowi.

*Spuście zastony, zakryjcie okna, nie wpuszczajcie słonecznych promieni do sali tronowej! Bezksiężycowa nocy! Przykryj Eskurial swym li-*

*tościwym calunem! Ciało króla gnije, mój Przyjacielu, a z nim cały królewski ród. Oby zerwała się burza i zabrała ze sobą straszliwy fetor śmierci! Napijmy się wody z rzeki Lete, aby dumna Hiszpania zapomniała o tej odrażającej zniewadze.*

Cierpienie pani konstablowej głęboko mnie poruszyło. Czytałem dalej. Sformułowania zawarte w liście nie były pustymi metaforami, życie w pałacu rzeczywiście toczyło się w ciemnościach, przy świetle kilku zaledwie świec. W ten sposób ukrywano przed dworzanami i ambasadarami przybyłymi z wizytą ten straszliwy spektakl, jakim była choroba króla.

*Opuchnięty nos, szerokie czoło pokryte brzydkimi plamami, sine policzki, usta, z których dobywa się fetor gnijących wnętrzności. Podkrążone oczy zakryte zaczerwienionymi powiekami są zapadnięte, matowe, na wpół ślepe i obracają się z trudem. Język również nie wypełnia poleceń, niepewna mowa przypomina belkot, niezrozumiały dla większości.*

Wyczerpany, słaby, oddychający z trudem - pisała konstablowa - *el Rey* często zapadał w omdlenie, przepelniając strachem cały dwór. Kiedy odzyskiwał przytomność, zrywał się nagle na nogi, po czym opadał na tron niczym marionetka. Ogarniała go senność, to znów ulegał nagłym atakom epilepsji. Chodził z dużym wysiłkiem, a w pozycji stojącej utrzymywał się tylko wtedy, gdy mógł oprzeć się o ścianę, stół lub czyjeś ramię. Z trudem unosił dłoń do ust. Organy wewnętrzne przestawały funkcjonować, kończyny były niewładne. Coraz silniej puchły mu stopy i kolana. Wywiązała się puchlina wodna. Lekarze zalecili królowi specjalną dietę, miał jadać koguty i kapłony żywione mięsem węża. Do picia podawano świeżą krowią urynę. Od kilku miesięcy *el Rey* z trudem przenosił się z łóżka na fotel i odwrotnie. Jego ciało ulegało rozkładowi, mimo że miał zaledwie trzydzieści dziewięć lat.

Przerwałem lekturę: król Hiszpanii był o dwa lata starszy ode mnie! Jakaż to straszliwa choroba doprowadziła go do tego stanu? Czytałem dalej, szukając odpowiedzi na to pytanie.

*Ataki epilepsji, mój Przyjacielu, występowały coraz częściej. Wszyscy nauczyliśmy się rozpoznawać ich pierwsze oznaki: górna warga Jego Wy-*

*sokości stawała się blada jak u nieboszczyka, następnie zmieniała kolor na czerwony, niebieski i zielony. Po chwili zaczynały mu drżeć nogi, aż w końcu całe ciało chwytaly gwałtowne konwulsje.*

Karol II Hiszpański wymiotował kilka razy dziennie. Duża, wysunięta szczęka katolickiego króla, charakterystyczna cecha Habsburgów, była wyjątkowo brzydka. Kiedy król zamykał usta, górne zęby nie trafiały na zęby dolne i tworzyła się między nimi szczelina. Król Karol nie mógł przeżuwać, a na swoje nieszczęście odziedziczył po przodkach (zwłaszcza po Karolu V) olbrzymi apetyt. Przełykał zatem w całości duże kęsy jedzenia. Cały dwór patrzył na króla zde gustowany, gdy dosłownie pochłaniał gęsie wątróbki. Za ledwie Karol wstał od stołu, zwracał cały posiłek. Torsjom towarzyszyła gorączka i silny ból głowy, który zatrzymywał go na całe dni w łóżku. Z coraz większym trudem wysłuchiwał swoich doradców, przestał się uśmiechać. Nie bawiły go, jak dawniej, nawet nadworne błazny, karły czy marionetki.

I choć nie stracił całkowicie zdolności myślenia, zachował pamięć i mowę, przeważnie był milczący, apatyczny i o tępały, dożywając swych ostatnich dni wśród napadów astmy.

Poddani Karola z czasem oswoili się z myślą, że ich władca jest ciężko chory. Natomiast ambasadorowie obcych państw nie wierzyli własnym oczom, stając przed umierającym człowiekiem o niewidzącym spojrzeniu i belkotliwej mowie. Jedyne, co mogli wtedy uczynić, to odwrócić wzrok i... zatkać nos.

Kiedy skończyłem czytać listy, moje serce przepełniał smutek. To, o czym się przed chwilą dowiedziałem, rzucało światło na list Marii Mancini i odpowiedź Atta, które przeczytałem poprzedniego dnia. Wielki ruch, jaki wywołała sprawa sukcesji w Hiszpanii, nie oznaczał jedynie gorączkowych przygotowań wielkich mocarstw, ale toczoną już przez nie wojnę. Było jasne, że monarcha w każdej chwili mógł umrzeć. Nie natrafiłem na żadną wzmiankę o tajemniczej hrabinie S. Musiałem więc szukać dalej, tym bardziej że korespondencja była bardzo obfita.

Spojrzałem przez okno, ale Atto i Buvat zniknęli za horyzontem. W alejce dostrzegłem spacerującą damę w zaawansowanej ciąży. Była to

zapewne księżna Forano, owa Teresa Strozzi, którą od tego wieczoru miała opiekować się Cloridia.

Popełniłbym błąd, gdybym pozostał dłużej w pokoju Atta. W każdej chwili mógł wrócić, a poza tym prędzej czy później ktoś zauważyłby, że zrobiłem sobie dłuższą przerwę w pracy. Postanowiłem pokazać się don Paschatiowi, który również tego wieczoru polecił mi, niestety, trzymać pochodnię podczas kolacji. Ale dzięki temu nie musiałem, na szczęście, podawać do stołu.

Kiedy odkładałem kartki na miejsce, do mojej nieszczęsnej, zmęczonej głowy (którą zawsze uważałem za zbyt małą, abym mógł nią ogarnąć skomplikowane kwestie państwa i dyplomatyczne zawilości) cisnęły się różne myśli.

Z listów, które przeczytałem, wynikało, że Maria Mancini mieszkała na dworze hiszpańskim. Zrozumiałem więc, skąd wzięło się jej zainteresowanie sprawami Hiszpanii. Ale co ją tam zawiodło?

Sprawozdanie pani konstablowej (która najwyraźniej dysponowała tajnymi źródłami na hiszpańskim dworze) stanowiło okrutną, apokaliptyczną wizję, kontrastującą z czułym tonem listów Atta, prawdę powiedziawszy, nieco nazbyt śmiałych. Ich korespondencja była rodzajem dziwnej hybrydy, łączącej miłość, politykę, dobre maniere i dyplomację. Znając opata Melaniego, doszedłem do wniosku, że przynajmniej jedna z dwóch obranych przez niego dróg, jakimi były uczucie i spisek, musiała prowadzić do jakiegoś praktycznego celu. Serce dążyło do spotkania z Marią po trzydziestu latach rozłąki. Polityka natomiast wiodła do celu, którego jeszcze nie znałem.

Z tego, co powiedział mi Melani, wywnioskowałem, że jego uwagę całkowicie pochłaniało konklawe, z listów natomiast wynikało, że najważniejszą sprawą była sukcesja hiszpańska. Atto miał jakiś tajny plan - stwierdziłem - na tyle tajny, że nie chciał mi go wyjawić.

Ale ja też miałem oczy i uszy, ja też potrafiłem wyłowić z rozmów eminencji i książąt przybyłych do willi istotne szczegóły, plotki, szeptu i donosy. Z tą różnicą, że Atto tysiąc razy lepiej ode mnie umiał je interpretować. Przyzwyczajony do największych dworskich nikczemności i intryg, był prawdziwym zakulisowym aktorem i wystarczyła mu garść kamyków, by ułożyć z nich całą barwną mozaikę. Z kolei na moją korzyść przemawiał młody wiek. Czyż nie wyczytałem z ruchu warg kardynała Spinoli z Santa Cecilia słów, które naprowadziły nas na ślad spotkania Spady, Albaniego i drugiego Spinoli?

Przede wszystkim pragnąłem oddać przysługę mojemu panu, kardynałowi Spadzie, mimo że wiązało się to ze współpracą z tak nierozważną osobą, jaką był Atto Melani, działający w imieniu króla Francji. Ja, będąc na służbie u wspaniałomyślnego kardynała Świętego Kościoła Rzymskiego, miałem szpiegować w imię wierności i wdzięczności. Czy opat otrzymał od swego pana pełnomocnictwo? Co do mnie, to go nie miałem.

Snując podobne rozważania, stanąłem przed służącym, który rozdawał tureckie liberie. Nadeszła pora, abym zmienił się w żywy kandelabr i oświetlał stół, przy którym siedzieli wielcy panowie i eminencje, czerpiąc wiedzę o wielkim świecie z najlepszego źródła - dworu rzymskiego, czyli szkoły obłudy i podstępu. Miałem nadzieję, że do tych wyszukanych wytworów intelektu nie dołączą, jak poprzedniego wieczoru, dziwaczne pomysły Melaniego, które mogły mnie drogo kosztować. Jak zapowiedział stolnik, kolacja miała być, na szczęście, skromniejsza niż poprzednio. Nazajutrz przewidziane były zaślubiny, należało więc ustrecz żołądki przed niestrawnością, która mogłaby uniemożliwić gościom udział we wspaniałej uczcie weselnej.

Kiedy przebierałem się w liberię, dostrzegłem Cloridię idącą szybkim krokiem w kierunku pergoli. Miała na sobie piękną odświętną suknię, którą kazano jej założyć, by dobrze prezentowała się u boku księżnej Forano. Świadomość, że Clordia jest blisko mnie, dodawała mi otuchy. Ona również mnie zauważyła. Podeszła do mnie, żeby mi powiedzieć, iż księżna nie czuje się na siłach, by wziąć udział w kolacji, i odpoczywa pod pergolą.

- Gdzie są dziewczynki? - zapytałem, wiedząc, że w razie czego Clordia może potrzebować ich pomocy.

- W domu. Nie chcę, żeby się tu kręciły podczas trwania uroczystości. W razie konieczności poślę po nie.

Wspomniałem jej, że pani konstablowa jeszcze nie przyjechała, a także o treści listów, które przed chwilą przeczytałem.

- Zdobyłam dla ciebie kilka informacji - oznajmiła - ale teraz nie mam czasu. Zobaczmy się później.

Pocałowała mnie w czoło i odeszła w pośpiechu. Byłem niezwykle ciekaw, czego dowiedziała się od swoich znajomych, a jednocześnie podziwiałem żonę za niezawodność i skuteczność działania.

- ...Najciekawsze jest jednak to, że po raz pierwszy obchody jubileuszu rozpocznie jeden papież, a zakończy, nie daj Boże, drugi - powiedział niewyraźnie kardynał Moriggia, przeżuając duży kęs szczupaka w sosie jabłkowym. - Nastąpiłoby to wtedy, gdyby Ojciec Święty przeniósł się na tamten świat i przed końcem roku wybrano by jego następcę.

- Co byłoby doprawdy bardzo smutne, Wasza Eminencjo - zauważył monsinior D'Aste, komisarz apostolski do spraw wojskowych, z ustami wypełnionymi indykiem po szwajcarsku. - Smaczny ten indyk. Jak go przyrządzono?

- Został naszpikowany boczkiem, Wasza Ekszelencjo, goździkami i cynamonem, następnie ugotowany w wodzie z winem, doprawiony brzoskwiniami w syropie, ozdobiony plasterkami cytryny i podany z gotowanymi jajkami i cukrem - wyjaśnił stolnik, szepcząc mu do ucha przepis.

- Tego wieczoru nasz łakomczuch Chudzina ośmiela się krytykować wyższych od siebie - zażartował książę Borghese, nazywając D'Aste'ego przydomkiem, który wymyślił sam papież, nawiązując do drobnej sylwetki kardynała.

- Tak, tak, smutne... Zdaje się, że właśnie tak się wyraziłem - bronił się Moriggia, czerwieniąc się, po czym wychylił duży kielich wina, które wybawiło go z kłopotliwego położenia.

- Tępy gbur - skomentował ktoś, kto zapewne za dużo wypił.

Moriggia odwrócił się gwałtownie, ale nie zdołał zorientować się, kto sobie z niego kpił.

- Jakże dobre te smażone kraby! - zachwalał D'Aste, próbując zmienić temat.

- Doskonale - potwierdził Moriggia.

- Tępy gbur - dało się słyszeć ponownie, ale nikt nie zauważył, z czyich ust padły te słowa.

- Jak się udała wizyta Ojca Świętego w sierocińcu San Michele? - zapytał kardynał Moriggia, udając zainteresowanie.

- Wspaniale! Przyszło bardzo dużo ludzi, wielu wiernych całowało stopy papieża - odparł Durazzo.

- Spedytorzy datarii otrzymali zezwolenie na odpuszczenie grzechów, o ile podczas jubileuszu odwiedzą cztery bazyliki tego samego dnia.

- Słusznie! Więźniowie i kaleki również mają specjalne przywileje - przypomniał ktoś z drugiego końca stołu.

- Bardzo mądra decyzja! Biedni spedytorzy! Nie zapominajmy o ich trudnej sytuacji - zgodził się Moriggia.

- Tępy gbur.

Tym razem odwróciły się trzy czy cztery osoby, chcąc się przekonać, kto ośmielił się nazywać tym obraźliwym epitetem jednego z członków Świętego Kolegium. Konwersacja toczyła się dalej.

- To wyjątkowy jubileusz. Nigdy dotąd nie było w Rzymie takiej atmosfery, takiego prawdziwie chrześcijańskiego uniesienia. Nie było też tylu pielgrzymów, nawet podczas jubileuszu w czasach Klemensa X. Prawda, Wasza Eminencjo? - zwrócił się Durazzo do kardynała Carpegny, który przed ćwierć wiekiem brał udział w uroczystych obchodach Roku Świętego. Ród Carpegna był spokrewniony z rodem Spada, co przysparzało kardynałowi większej uwagi ze strony współbiesiadników.

- Tak, tak, oczywiście, to był wyjątkowy jubileusz - wybełkotał czcigodny, lekko niedosłyszający Carpegna, pochylając się nad talerzem.

- Proszę nam o tym opowiedzieć! O tym, co Eminencja najlepiej pamięta - zachęcano kardynała.

- Przypominam sobie, na przykład... Tak, przypominam sobie, że w kościele II Gesu Mariani wznosił wielką machinę do adoracji Najświętszego Sakramentu, przy której pracowało bardzo wiele osób. Ta przepiękna zaiste konstrukcja przedstawiała triumf Baranka Eucharystycznego wśród symboli Testamentu i Apokalipsy oraz widzenie Jana Ewangelisty na wyspie Patos. Pod postacią Boga Ojca, pośród skłębionych obłoków, niebiańskich istot i innych cudowności, widniało siedem aniołów z trąbami oraz Baranek Boży z księgą, symbolizującą wizję Apokalipsy, która została przekazana Janowi, a potem nam wszystkim, z miłości Boga do ludzi.

- To prawda! - przyznał Durazzo.

- Niech będzie pochwalony Nasz Pan Jezus Chrystus - powiedzieli prawie wszyscy (z wyjątkiem gości z pełnymi ustami, którzy właśnie przeżuwali smażone pstrągi), czyniąc znak krzyża (z wyjątkiem osób trzymających w dłoniach kielichy z winem, noże i widelce do ryb).

- Można tam było zobaczyć anielskie chóry - ciągnął Carpegna w zamysleniu - symbole czterech Ewangelistów, czyli lwa, orła, wołu i człowieka. Pamiętam też, że pierś Baranka pomalowana była na czerwono, a w jego sercu, otoczonym srebrno-złotymi promieniami, widniała Święta Eucharystia, która wywodzi się z miłości Boga do ludzi.

- Wspaniale! Cudowne! - zachwycali się współbiesiadnicy.

- Tegoroczny jubileusz także przejdzie do historii - oświadczył Negrom z emfazą.

- Z pewnością! Do Rzymu ściągają pielgrzymi z całej Europy, na dowód, że czyste, bezinteresowne dzieło Świętego Kościoła jest największą siłą na ziemi.

- A propos, jak wygląda ten jubileusz? - zapytał ledwie słyszalnym głosem baron Scarlatti.

- Niedobrze - wyszeptał książę Borghese. - Pielgrzymów jest mniej, niż się spodziewano. Papież bardzo się martwi. Nie zarobi ani grosza.

Kolacja dobiegała końca. Eminencje, księża, baronowie i monsiorzy zegnali się, ziewając. Powoli szli w kierunku alei wjazdowej, do swoich karet. Opoдал, przy skromniejszych stołach, siedzieli ich sekretarze, ordynansi, pomocnicy i służący. Teraz podnieśli się, aby towarzyszyć swym znakomitym panom. Wokół stołów zrobiło się pusto. My, żywe kandelabry, mogliśmy wreszcie opuścić pochodnie i rozluźnić mięśnie, napięte przez cały wieczór.

Kiedy zdejmowałem z głowy śmieszny turecki turban i kładłem na ziemi dymiącą pochodnię, bardzo głośno dyszałem, ale nie z wysiłku, tylko ze strachu.

Gdy go zobaczyłem, od razu wiedziałem, że narozrabia. I rzeczywiście, trzykrotnie nazwał kardynała Moriggię tępym gburem. Dałby głowę, gdyby go złapali, albo zostałby srogo ukarany. Ponieważ jednak miał więcej szczęścia niż rozumu, w słabym świetle pochodni nikt go nie dostrzegł. Pożegnałem się ze służącymi i udałem w stronę muru okalającego willę. Po chwili usłyszałem, jak nazywa mnie tym samym „uprzemym” epitetem:

- Tępy gbur!

- To ty jesteś tępym gburem - odpowiedziałem, patrząc w stronę, skąd dochodził głos.

- *Dona nobis hodie panem cotidianum* - dodał z ciemności Cezar August.

Podczas kolacji przez cały czas fruwał nad baldachimem rozpiętym nad stołami. Zapewne liczył na to, że uda mu się przechwycić jakiś smaczny kąsek z tacy, ale nie zdołał tego uczynić niepostrzeżenie. Po ciłem się ze strachu za każdym razem, kiedy Cezar August z lubością znieważał kardynała Moriggię. Żaden z gości nie podejrzewał, że tym



kpiarzem i szydercą jest papuga. Jak już wspominałem, Cezar August gadał tylko w mojej obecności. Wszyscy byli przekonani, że jest niemy.

Poszedłem na łąkę, mając nadzieję, że nikt mnie nie zawróci i nie zleci jakiegoś pilnego zadania.

- Bardzo brzydko postąpiłeś! - zawołałem w ciemność. - Następnym razem utną ci głowę i upieką cię na ruszcie. Widziałeś danie z przepiórek? Tak właśnie będziesz wyglądał.

Usłyszałem, jak przefruwa bardzo blisko mnie, muskając skrzydłami moje uszy. Usiadł na krzewie. Nareszcie ujrzałem tę upierzoną zjawę, z żółtym, dumnie wzniesionym czubem na głowie, przypominającą papięski sztandar, łopoczący na wietrze.

Zgrzany, zmęczony trzymaniem pochodni, usiadłem na wilgotnej, zimnej trawie. Cezar August wpatrywał się we mnie uporczywie, jak zawsze, kiedy domagał się jedzenia.

- *Et remitte nobis debita nostra* - powiedział, a następnie dodał cierpięciznym tonem: - *Pater Noster*. - Słowa te zwykł mawiać, gdy był głodny.

- Na dzisiaj już dosyć jedzenia! Nie bądź taki łakomy!

- Klik, klak, dzyń, dzyń - wyrzuciło z siebie diabelskie ptaszysko, naśladując odgłosy sztucców uderzających o talerze i wesołe dzwonienie kieliszków. Cezar August prowokował mnie.

- Mam tego dość! Idę spać. Radzę ci zrobić to sa...

- Z kim rozmawiasz, chłopcze?

Obok mnie stał opat Melani.

Musiałem się nieźle natrudzić, żeby opisać opatowi dziwaczną naturę ptaka, z którym rozmawiałem. Tym bardziej że Cezar August, gdy dostrzegł Melaniego, schował się w cieniu i nie chciał się pokazać. Dość długo trwało, zanim wyjaśniłem opatowi, że nie zwariowałem i nie rozmawiałem sam ze sobą, ale z papugą ukrytą w ciemnościach i że mimo jej dość kapryśnego, skomplikowanego charakteru można czasem zamienić z nią kilka słów. Kiedy skończyłem mówić, Cezar August, który cały czas siedział nieruchomo, obserwując Atta z uwagą i podejrzliwością, milczał jak grób.

- Nie mam powodu ci nie wierzyć, chłopcze, ale zdaje się, że to coś tam w ogóle nie otwiera dzioba. Hej! Cezarze Auguste! Jesteś tam? Cóż za dumne imię! Kra, kra, kra! Chodź tu! Pokaż się! Naprawdę nazwałeś Morigię tępym gburem?

Cisza.

- Przebrzydłe ptaszysko! Mówię do ciebie! No, pokaż się! A więc nie mówisz?

Dziób papugi pozostał zamknięty, nie dostąpiliśmy też zaszczytu ujżenia jej samej.

- Gdy się w końcu ujawni i zacznie dowodzić swych cudownych umiejętności, gwizdnij! Czym prędzej przybiegnę - śmiał się Atto. - Przejdźmy jednak do poważniejszych spraw. Chciałbym powiedzieć ci kilka słów na temat naszego jutrzejszego spotkania...

- Puella.

Atto popatrzył na mnie zdziwiony.

- Mówiłeś coś?

Ruchem głowy wskazałem ciemności, w których ukrył się Cezar August. Nie ośmieliłem się otwarcie powiedzieć, że to on nazwał Atta najbardziej obraźliwym przydomkiem, jakim można określić kastrata: *puella* po łacinie znaczy „dziewczyna”. Ja również byłem zaskoczony, ponieważ papuga po raz pierwszy przemówiła w obecności obcej osoby. Mimo że chodziło o zniewagę, Melani mógł, moim zdaniem, poczytywać ją sobie za zaszczyt.

- To czysty absurd! Widziałem wiele zdolnych papug, ale ta zdaje się...

- ...mówić jak człowiek z krwi i kości. Tym razem miała głos starszego mężczyzny, ale potrafi też naśladować głos kobiecy, a także płacz dziecka! Nie mówiąc o kichnięciach i atakach kaszlu.

- Panie opacie!

Tym razem był to prawdziwy, ludzki głos.

- Panie opacie! Jest pan tu? Szukam pana od pół godziny!

To był Buvat, który w ciemnościach ogrodu szukał swego pana. Zaspapany i zmęczony, nie zwracając uwagi na naszego dziwnego rozmówcę, nie zaszczycił papugi nawet jednym spojrzeniem.

- Panie opacie! Musi pan natychmiast udać się do pałacu! Pana apartament... Myślę, że ktoś w nim był, kiedy jadł pan kolację i... Krótko mówiąc, było u pana włamanie.

- Czy ktoś o tym wie? - zapytał Atto, otwierając drzwi do pokoju.

- Nie, zgodnie z pańskim poleceniem nikomu nic nie powiedziałem.

- To dobrze. - Atto bowiem nakazał Buvatowi, żeby w razie nagłego wypadku z nikim o tym nie rozmawiał i najpierw poinformował jego. Wkrótce miałem się dowiedzieć, dlaczego tak mu na tym zależało.

Atto otworzył szerzej drzwi i wszedł do środka, przyświecając sobie świecą.

- Drzwi nie zostały wyważone - zauważył ze zdziwieniem.

- Nie. Chciałem powiedzieć, ale nie miałem sposobności - oznajmił Buvat. Istotnie, gdy nam powiedział, co się stało, natychmiast pobiegliśmy do pałacu.

Ja również wszedłem do pokoju i rozejrzałem się uważnie dookoła. Kiedy zapaliliśmy dodatkowe dwie świece, naszym oczom ukazały się oczywiste ślady włamania. W pomieszczeniu panował nieopisany bałagan. Jedno krzesło było przewrócone, a książki, gazety i papiery leżały w nieładzie na podłodze, podobnie jak ubrania Atta, które najwyraźniej zostały starannie przeszukane. Okno było otwarte.

- To bardzo dziwne - zauważyłem. - Tylu strażników pilnuje willi, a mimo to złodzieje bez żadnych trudności weszli do pałacu...

- Masz rację. Byli tu jednak bardzo krótko - zauważył Atto, rzuciwszy okiem dookoła. - Ukradli tylko lunetę, o ile się nie mylę. To dość kosztowny przedmiot. Poza tym niczego chyba nie brakuje.

- Jest pan pewien? - zapytałem, dziwiąc się, że Atto wysnuł ten wniosek tak szybko.

- Tak. Po włamaniu do was oddałem wszystkie cenne rzeczy na przechowanie służącemu. A ważnych dokumentów... No, cóż, tu ich nie ma - oświadczył z chytrą miną. Udałem obojętność, choć wiedziałem, gdzie Melani ukrył papiery: z pewnością w brudnej bieliźnie, tam gdzie listy Marii.

Opat zaczął porządkować ubrania.

- Wszystko pogniecione! - narzekał. - Chwileczkę...

Atto trzymał w dłoniach jasnofioletową sutannę, pod którą ukrył szkaplerz Madonny karmelitów, wotum z moimi trzema perłami.

- Nie ma go! - wykrzyknął. - Niech to diabli! Zupełnie o nim zapomniałem!

- O czym? - zapytałem, udając zdziwienie.

- O takiej... jednej relikwii, cennej relikwii, którą przechowywałem pod sutanną. Szkaplerz Madonny karmelitów. Ukradli go.

Moje nieszczęsne perły - pomyślałem - widocznie ciąży na nich jakieś

fatum. Dowodziło to jednak, że złodzieje niezwykle starannie przeszukali apartament Melaniego. Zapaliłem świece w dwóch dużych lichtarzach i w pokoju zrobiło się jaśniej. Opat ukląkł, przesunął otomanę i wyjął kilka klepek z podłogi pod oknem.

- Nieee! Nie wierzę! Niech będą przekłęci! - zaklął pod nosem.

Buvat i ja milczeliśmy zdziwieni, spoglądając po sobie. Atto wstał, otrzepał rękawy na łokciach, opadł na fotel i utkwiał spojrzenie w jakimś punkcie.

- Och, ja nieszczęsny! Jak to możliwe? Nie rozumiem - bełkotał pod nosem, kiwając głową. - Wydarzyło się coś strasznego - oznajmił, kiedy się trochę uspokoił. - Skradziono mi bardzo ważne papiery. Byłem pewien, że dobrze je ukryłem. Tak starannie ułożyłem kleпки! Nie wiem, jak je znaleźli, ale cóż? Stało się!

- Były w skrytce pod parkietem? - spytałem.

- Tak. Nawet Buvat nie wiedział, że je tam schowałem - powiedział Melani, jakby na dowód, że nie podejrzewa swojego sekretarza o zdradę.

Żaden z nas nie odezwał się słowem, ale Atto musiał się domyślić, co nam chodziło po głowie. Nie wiedząc, jak wyglądają skradzione dokumenty, nie mogliśmy pomóc w ich odnalezieniu. Opat musiał zatem wyjawić nam ich treść, chociażby pobieżnie.

- Chodzi o poufne sprawozdanie, które sporządziłem dla Jego Arcychrześcijańskiej Wysokości - oznajmił na koniec.

- Na jaki temat? - odważyłem się zapytać.

- Zbliżającego się konklawe. I przyszłego papieża.

Tak naprawdę - wyjaśnił Atto - chodziło o dwie sprawy. Przede wszystkim opat obiecał Jego Wysokości królowi Francji, że przekaże mu relację najszybciej, jak to będzie możliwe. Miał jednak tylko jeden egzemplarz. Aby sporządzić dokument na nowo, potrzebował kilku miesięcy (i niezawodnej pamięci). Zanosił się więc na to, że Atto skompromituje się w oczach króla, ale nie to było najgorsze.

Sprawozdanie ujawniało tajemnicze okoliczności wyborów poprzednich papieży, jak również prognozyki dotyczące przyszłego konklawe, i nosiło podpis Atta. Nawet gdyby go nie podpisał, to z przytoczonych w tekście faktów jasno wynikało, że to właśnie on był autorem relacji. W tej chwili dokument znajdował się w niepowołanych rękach. Melanie-

mu groziło oskarżenie o szpiegostwo na rzecz króla Francji. Niewykluczone, że zarzucono by mu, iż zamierzał opublikować relację, a co za tym idzie, zostałby oskarżony również o zniesławienie.

- ...a w Rzymie, jak wiesz, to przestępstwo jest bardzo surowo karane - podsumował Atto.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Buvat, przejęty nie mniej niż jego pan.

- Ponieważ nie możemy donieść o przestępstwie straży miejskiej, będziemy musieli poprosić o pomoc Waligórę. Buvat, niech pan tu trochę ogarnie i pójdzie po niego. Albo nie, niech pan od razu po niego pójdzie.

Kiedy zostaliśmy sami, zaczęliśmy zbierać porzucane po podłodze kartki. Atto milczał, mnie tymczasem nasunęły się wątpliwości co do przedmiotu kradzieży. Postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o całej sprawie.

- Panie Atto - zagailem - schowek był doskonale zamaskowany. Jak to się stało, że złodzieje go odkryli? Drzwi nie były wyważone. Ktoś musiał mieć drugi klucz. Jak to możliwe?

- Sam nie wiem, to bardzo podejrzane. Najgorsze, że musimy zdać się na tego żandarma, który znowu będzie nas zamęczał opowieściami o ceteranach, czy jak się tam zwą. Ciekawe, czy oni w ogóle istnieją.

- Będzie pan musiał powiedzieć Waligórze, jak wygląda rękopis, nie wtajemniczając go jednak w jego treść. Nikomu nie można ufać.

Opat milczał, patrząc mi w oczy. Zrozumiał, że się wszystkiego domyśliłem i że nie może dłużej zwlekać z wyjaśnieniami. Zrobił niezadowoloną minę i westchnął, szykując się, by powiedzieć mi, acz niechętnie, coś ważnego. W korytarzu dały się słyszeć kroki Buvata i Waligóry. Nie wiem, czy było to dziełem przypadku, czy zostało zaplanowane, ale Atto przemówił dokładnie w chwili, gdy Waligóra otwierał drzwi. W sekundę potem nie mógłbym już z nim swobodnie rozmawiać i zadać mu pytania, na które unikał odpowiedzi.

- Mój rękopis to ta książeczka oprawiona niedawno przez Havera.

Waligóra, choć wyglądał na zasnętego, uważnie wysłuchał relacji o zdarzeniu. Obejrzał skrytkę pod parkietem, rzucił okiem na pokój Atta, po czym zapytał, jak wyglądał skradziony dokument, zadowolając się pobieżnym opisem Melaniego.

- To niezwykle ważne pismo o treści politycznej.

- Rozumiem. Zapewne to, które niedawno oprawił Haver.

Opat nie mógł zaprzeczyć.

- To zwykły zbieg okoliczności - stwierdził.

- Oczywiście - zgodził się Waligóra.

Na koniec żandarm zapytał, czy opat zamierza zgłosić kradzież straży miejskiej lub gubernatorowi Rzymu. Skoro bowiem pokrzywdzony jest osobą powszechnie szanowaną, może liczyć na to, że w całym mieście zostanie rozwieszona ogłoszenie o nagrodzie za pomoc w ujęciu złodziei.

- Na litość boską, nie! - bronił się Atto. - Tego typu ogłoszenia nie dają. Kiedy w klasztorze Sióstr Kapucynek na Monte Cavallo skradziono mi złote pierścionki i diament w kształcie serca, gubernator wyznaczył wysoką nagrodę za pomoc w ujęciu sprawców, ale na nic się to nie zdało.

- Muszę panu przyznać rację, panie opacie - zgodził się Waligóra. - Jeśli dobrze zrozumiałem, oprócz dokumentów skradziono panu także lunetę i szkaplerz Madonny karmelitów.

- Zgadza się.

- Nie powiedział mi pan jeszcze, jakiego rodzaju relikwię krył szkaplerz. Czy był to może cieriń z korony Naszego Pana Jezusa Chrystusa? Drzazga ze Świętego Krzyża? Ostatnio z okazji jubileuszu po Rzymie krąży bardzo wiele relikwii...

- Nie, nic z tych rzeczy - odparł krótko Melani, nie chcąc, żebym się dowiedział, iż przez tyle lat nosił na piersi moje perły.

- Może więc kawałek szaty albo ząb...

- Trzy perły - powiedział w końcu Melani, patrząc na mnie spod oka. - Weneckie margerytki.

- Osobliwa relikwia - zauważył Waligóra.

- Pochodzą ze świetlistej sukni, którą miała na sobie Matka Boska, kiedy ukazała się na Górze Karmelitów - wyjaśnił Atto obojętnym tonem. Zaskoczony żandarm nie dostrzegł ironii w jego głosie. - Czy to wystarczy?

- Oczywiście - odparł Waligóra. - Zaczniemy od poszukiwań lunety.

- Lunety? Luneta zupełnie mnie nie interesuje! - zaprotestował Atto.

- Pana nie, ale kogoś innego może bardzo zainteresować. Będzie chciał ją drogo sprzedać. Nie mówiąc o tym, że niełatwo ją ukryć. O wiele trudniej będzie odnaleźć relikwię i dokument. Dla osoby niezorientowanej ten traktacik to tylko plik zwykłych kartek. Może dostać się w ręce kogoś, kto... kto nie jest taki jak pan.

- W jakim sensie? - zapytał Buvat.
- W jakim języku napisał pan ten dokument?
- Po francusku - odparł Atto po chwili wahania.
- Może ukradł go człowiek, który nie potrafi czytać ani po włosku, ani tym bardziej po francusku, nie ma więc pojęcia, co mu wpadło w ręce.
- Nie zaglądałby do schowka pod podłogą - zauważył Atto, wskazując miejsce, w którym klepki były rozsunięte.
- Nie jest powiedziane. Może znalazł tę skrytkę przypadkiem, a potem zaciękała go staranna oprawa dokumentu. Nie ma sensu snuć przypuszczeń, najpierw trzeba odnaleźć skradzione rzeczy.
- Co zatem uczynimy?
- Wie pan, co robi dobry adwokat, kiedy zostaje zaarrestowana bandycka szajka? - zapytał Waligóra.
- Co?
- Pozostawia swojemu asystentowi obronę przywódcy, a sam broni szeregowego bandytę. Sędzia o tym nie wie i łagodniejszy wyrok wydaje na herszta. Postąpimy podobnie - udamy, że poszukujemy lunety, a w rzeczywistości będziemy szukać pańskiego dokumentu.
- Jak zamierzasz to zrobić?
- Najpierw udamy się do paserów. Być może wśród skradzionych rzeczy znajduje się pańska książeczka. Znam paru handlarzy trefnym towarem. Jeśli ją mają, trzeba będzie im zapłacić za zwrot.
- Zapłacić? W porządku, mogę zapłacić, ale na Boga! Nie mogę się zadawać z takimi ludźmi! Obracam się wśród kardynałów, znanych osobistości...
- Jeśli pan sobie życzy - przerwał Waligóra zdecydowanym, ale uprzejmym tonem - zajmę się tym. Ty, chłopcze, mi pomożesz. Złodzieje szybko pozbywają się skradzionych rzeczy, zwłaszcza tych cennych. Powinniśmy jak najszybciej wszcząć poszukiwania.
- Czyli kiedy?
- Natychmiast.

Od tej pory zacząłem lepiej poznawać osobliwą naturę Waligóry. Gdy przeklinał, używając słów odnoszących się do wszelkiego typu broni, sprawiał wrażenie nadętego pyszałka, fanfarona, co zresztą sugerował jego przydomek. Gdy miał do czynienia z cerretanami, jego buta zmieniła się w lek i potężnej postury żandarm dawał się zastraszyć pierwsze-

mu napotkanemu starszemu, tak jak zdarzyło się na placu Fiammetta. Stawić czoło cerretanom to zajęcie nie dla niego. Co innego przestępca. Przeobrażał się wówczas w doskonałego żandarma, zdecydowanego i opanowanego. Tak właśnie zachowywał się podczas śledztwa w sprawie napaści na Havera i lustracji w apartamencie opata Melanigo. Nie zadawał zbędnych pytań na temat skradzionego dokumentu, tylko od razu przeszedł do rzeczy. Zgodził się z Attem co do tego, że nie ma związku między śmiercią Havera a włamaniem do apartamentu. I choć związek ten był zupełnie oczywisty, Waligóra (który na polecenie kardynała Spady został prywatnym ochroniarzem Melanigo) dał nam do zrozumienia, że nie interesuje go, jak naprawdę mają się sprawy, ale w jaki sposób może obrócić je na korzyść zleceniodawcy.

Jak na razie trudno mi było ocenić, która z jego trzech cech (próżność, tchórzliwość czy dociekliwość) weźmie górę. Spodziewałem się jednak, że prędzej czy później będę miał okazję przekonać się o tym. Waligóra obiecał Melanigowi dyskrecję i pomoc, zwłaszcza w godzinach nocnych. Atto z kolei wiedział, że wszystko ma swoją cenę, dlatego zapłacił mi za milczenie.

Wyruszyłem z Waligórą, nie pożegnawszy się ani z Attem, ani z jego sekretarzem. Poprosiłem Buvata, żeby powiedział o tym Cloridii. W przeciwnym razie martwiłaby się o mnie. Musiałem pogodzić się z myślą, że nie tak szybko dowiem się, jakie informacje moja żona uzyskiwała od swoich znajomych.

Wymknęliśmy się z willi pod osłoną nocy. Byłem przygnębiony ostatnimi tajemniczymi wydarzeniami (zabójstwami, włamaniami), a rozgwieżdżone niebo nad naszymi głowami wydawało mi się dziwnie nieprzyjazne.

Waligóra kazał strażnikowi osiodłać konie i pomógł mi dosiąść mniejszego z nich (nigdy nie byłem dobrym jeźdźcem). Natychmiast ruszyliśmy w drogę, w kierunku miasta. Jechałem, nie wiedząc dokąd, za Waligórą, który ze względu na swoją posturę podążał w tym samym tempie co ja. Minęliśmy bramę San Pancrazio. Droga wiodła w dół. Po lewej stronie roztaczał się widok na Wieczne Miasto. W słabym świetle księżyca z trudem dostrzegaliśmy zarysy dachów, dzwonnicy, kopuły, od dołu



rozjaśnianych światłami z okien na poddaszu. Domyślaliśmy się jedynie, gdzie jest bazylika, a gdzie znany nam pałac.

Skręciliśmy w lewo, w stronę placu delie Fornaci. Po prawej zostawiliśmy bramę Settignano i zmierzaliśmy w kierunku mostu Sykstusa. Minąwszy mury i domy, ujrzał Tyber. Przy brzegu woda była mętna i błotnista, pośrodku nurt biegł wartko. Zwolniliśmy, przecięliśmy plac delia Trinita dei Pellegrini i znaleźliśmy się w pobliżu placu San Carlo. Było ciemno choć oko wykol. Ciszę zakłócał jedynie odgłos końskich kopyt na bruku. Pojedyncze okna rozjaśniał blask dopalających się ogarków, na znak, że czas kończyć codzienną krzątanie (szycie, cerowanie, usypianie dzieci). Za jednym z okien wychodzących na ulicę znajdował się cel naszej wyprawy.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył Waligóra, zsiadając z konia. - Pamiętaj: nigdy tu nie byłeś! Nasz człowiek pragnie zachować incognito. Nikt nie wie, że zatrzymał się w tym domu. Również proboszcz, kiedy przychodzi z wielkanocną wizytą, udaje, że o niczym nie wie. Za dwa skudy parafialny rejestr pozostaje czysty.

- Komu więc złożymy wizytę? - zapytałem, zsiadając z konia.

- Wizyta to nieodpowiednie słowo. Wizytę się zapowiada albo się jej oczekuje. My natomiast zrobimy komuś niespodziankę, na azjatyckie kartacze! Cha, cha, cha! - zaśmiał się Waligóra.

Stanął przed bramą, wsunął kciuki za pas, wypiął śmiesznie brzuch i wypuścił z płuc powietrze, jakby szykował się do wyważenia drzwi własnym ciałem. Zastukał kołatką. Minęło kilka chwil, nim dał się słyszeć odgłos otwieranej zasuw. Skrzypnęły zawiasy.

- Kto tam? - odezwał się ktoś zaniepokojonym głosem, ale nie potrafiłem powiedzieć, czy należał do mężczyzny, czy do kobiety.

- Otwórz! To ja, Waligóra.

Zamiast troskliwej matki dzieciom, którą miałem nadzieję ujrzeć, stanęła przed nami stara, szpetna garbuska. To ona udzieliła gościny naszemu człowiekowi. Nawet nie próbowała protestować przeciwko późnej porze naszej wizyty. Najwidoczniej dobrze знаła mojego towarzysza i wiedziała, że na nic zdałyby się narzekania.

- On już śpi... - powiedziała nieśmiało.

- Nie szkodzi - odparł Waligóra, wyjmując jej z dłoni świecę i zostawiając biedaczkę w ciemnościach.

Weszliśmy po schodach na piętro. W głębi ujrzelśmy zamknięte

drzwi. W świetle świecy, którą żandarm przekazał mnie, wyglądaliśmy jak dwie senne mary.

Zapukał do drzwi. Żadnego odzewu.

- Ma bardzo czujny sen - wyszeptał mój współnik. - To ja, Waligóra, otwórz!

Po chwili usłyszeliśmy odgłos klucza obracanego w zamku i drzwi się uchyliły.

- O co chodzi?

Nasz człowiek jeszcze nie spał, bo był w ubraniu. Wystawił głowę przez szparę w drzwiach. W słabym świetle świecy zdołałem dostrzec, że miał olbrzymi obrzmiały nos, małe czarne oczka i gęste ciemne brwi. Po między niedomkniętymi skrzywionymi i zaślinionymi wargami widać było żółte zęby, duże jak u królika.

- Wpuść nas, Maltese.

Człowieczek o tym nazwisku (pochodzącym od wyspy Malty) usadowił się na krześle, nie zapraszając nas do środka. Mimo to weszliśmy i usiedli - z braku lepszego miejsca - na łóżku. Maltese zapalił trzecią świecę. Pokój stał się nieco mniej ponury. Rozejrzałem się dookoła. Wnętrze przypominało norę. Na umeblowanie składało się łóżko, krzesło, zajęte przez naszego gospodarza, stolik, szafa, ława, w kącie kilka drewnianych skrzynek wypełnionych papierzyskami.

Maltese wyglądał na zdenerwowanego. Siedział zgarbiony, bawiąc się guzikiem u koszuli. Był wyraźnie przestraszony naszą wizytą i niecierpliwie czekał na wyjaśnienie jej powodu. Z rozmowy Waligóry z Maltesem wywnioskowałem, że znali się od lat i stale obowiązywał ten sam układ: jeden dawał cięgi, drugi je zbierał.

- Pomagamy pewnej szanowanej osobie, francuskiemu opatowi. Skradziono mu kilka rzeczy, które mają dla niego dużą wartość. Gości w willi Spada. Wiesz coś o tym?

- Willa Spada przy bramie San Pancrazio, ma się rozumieć, własność rodu Spada.

- Nie udawaj głupiego! Pytałem, czy wiesz coś o kradzieży.

Maltese rzucił krótkie spojrzenie na mnie, a następnie na mojego towarzysza.

- To przyjaciel - zapewnił Waligóra. - Zachowuj się tak, jakby go tu nie było.

Maltese pokiwał przecząco głową.

- Nic nie wiem.

- Skradziona luneta miała dla opata szczególną wartość.
- Nic nie wiem. Z nikim się nie widziałem. Przez cały dzień nie wychodziłem z pokoju.
- Bardzo pragnie ją odzyskać. Zapłaci więcej, niż się należy. Powtarzam: jest do niej bardzo przywiązany.
- Przykro mi, gdybym coś wiedział, powiedziałbym ci. Naprawdę nic nie słyszałem.

Byliśmy rozczarowani, ale nie nalegaliśmy. Na przerażonej mysiej twarzy Maltese malowała się szczerłość. Wstaliśmy.

- Porozmawiam z monsiniozem Pallavicinim - rzucił od niechcenia Waligóra. - Poproszę go o audiencję. Poznaliśmy się podczas kolacji w willi Spada.

Nazwisko gubernatora Rzymu wywołało pożądany efekt. Już mieliśmy wychodzić, gdy usłyszeliśmy:

- Waligóra! Jak wygląda luneta? - zapytał Maltese.

On po prostu nie wiedział, co to jest luneta. Wyjaśniliśmy mu więc, że jest to przyrząd optyczny w kształcie rury, wyposażony w szkła, służący do oglądania rzeczy oddalonych, które wydają się być blisko, i tak dalej. Opis Waligóra był dość nieporadny, musiałem mu trochę pomóc. Na koniec Maltese oznajmił, że zna kogoś, kto mógł coś na ten temat wiedzieć.

- Zawsze kupuje dziwne przedmioty, trudne do sprzedania: starocie, różne urządzenia. Zdaje się, że pasjonuje się relikwiami. Teraz, podczas jubileuszu, bardzo się wzbogacił. Słyszałem, że robi świetne interesy. Ma wspólników, którzy działają w jego imieniu, on natomiast nigdy się nie pokazuje. Nie wiadomo dlaczego, może mieszka poza miastem? Osobiście nigdy nie miałem z nim do czynienia. Nazywają go Niemcem.

Na dźwięk tego słowa Waligóra wyraźnie się zaniepokoił.

- O ile wiem, ostatnio kupił coś, co przypomina lunetę, której szuka cie - ciągnął Maltese. - Urządzenie ze szklami, które można przekręcić, żeby coś powiększyć albo zmniejszyć, dokładnie nie wiem.

Waligóra skinął głową: znaleźliśmy trop.

- Nie pamiętam, kto mi o tym mówił - powiedział na koniec Maltese - ale zdaje się, że lunetę kupił w jego imieniu niejaki Ślusarz.
- Znam go.

Pięć minut później szliśmy ulicą w poszukiwaniu tajemniczych postaci, o których wspominał paser. Waligóra był zły.

- Nic nie wiem, nic nie wiem... - przedrzeźniał naszego informatora.  
- Ale kiedy wymieniłem nazwisko gubernatora, przeraził się i spytał, co to jest luneta.

- Naprawdę nie wiedział?

- Ludzie tacy jak Maltese to zwykła hołota. Kupują za dwa liry łupy z kradzieży, a potem je odsprzedają. Nic innego nie potrafią. To dzikusy! Myślą tylko o tym, żeby z pierwszej ręki odkupić skradziony towar. Z tego powodu często uznawani są za zleceniodawców kradzieży, ale tak nie jest. Ci, którzy od nich kupują, potrafią lepiej wycenić towar. Ślusarz należy do innej kategorii. Jest dobrze znany wśród złodziei. To zabójca i recydywista.

Przypomniałem sobie wyraz twarzy Waligóry, kiedy Maltese wspominał o zleceniodawcy Ślusarza.

- A ten Niemiec? Słyszał pan o nim?

- Czy słyszałem? Ciągłe się o nim mówi - odparł Waligóra. - Zwłaszcza teraz, z okazji jubileuszu...

- A co konkretnie?

- Nie wiadomo, czy on naprawdę istnieje. Jedni mówią, że jest związany z cerretanami. Inni twierdzą, że Niemiec to wymysł stróżów porządku. Rzekomo zrzucamy winę na niego, kiedy nie udaje się nam schwycić człowieka, który dopuścił się kradzieży lub oszustwa na pielgrzymach.

- Czy tak jest?

- Ależ skąd! - zaprzeczył Waligóra. - Moim zdaniem Niemiec istnieje, podobnie jak istnieją cerretanie. Tylko że nikomu nie zależy na tym, żeby go znaleźć.

- Dlaczego?

- Pewnie dlatego, że przysłużył się jakimś wysoko postawionym osobom. Rzym taki jest. Nie może być zbyt czysty ani zbyt brudny. Żandarmi i gubernator muszą się pochwalić, że zaprowadzają porządek. Ważne jest więc, żeby było trochę brudu, bo inaczej nie mieliby co robić - powiedział ze śmiechem. - Widziałeś, jak postępuje Maltese. Kiedy zostaje okradzona wpływowa osoba, on zaraz jest gotów do pomocy. W zamian za to gubernator daje mu spokój, mimo że doskonale wie, gdzie mieszka, i mógłby go w każdej chwili aresztować.

Moje obserwacje na temat Waligóry wzbogaciły się o kolejne spostrzeżenie: mówiąc o nieodpowiednim postępowaniu swoich kolegów

czy nawet samego gubernatora, nie owijał niczego w bawełnę (o tym jego zwyczaju miałem się przekonać jeszcze wiele razy). Niektórzy mogliby go uznać za złego stróża prawa, niezdolnego do lojalności i oddania wobec odwiecznych instytucji Świętego Kościoła Rzymskiego. Ja byłem innego zdania. Skoro dostrzegał zło i otwarcie o tym mówił (wprawdzie tylko w rozmowie z niżej podpisanym), to znaczyło, że był człowiekiem szczerym i uczciwym, nieco szorstkim w obejściu, zwłaszcza w akcji podczas takich działań jak prowadzone przez nas poszukiwania. Już na początku naszej znajomości wyznał, że pragnie wszcząć dochodzenie w sprawie cerretan, mimo że nie poparł go ani gubernator, ani koledzy. To, że potrafił dogadać się z takimi przestępcami jak Maltese czy Ślusarz, z którym mieliśmy się spotkać, moim zdaniem dobrze o nim świadczyło. Najważniejsze było to - powtarzałem w myśli - że w głębi serca Waligóra jest uczciwy. Na ile moje spostrzeżenia były słuszne, miałem się dopiero przekonać.

Podczas marszu zauważyłem, że Waligóra, który tak odważnie stawiał czoło paserowi, rozgląda się wokół wyraźnie zaniepokojony. Z placu Montanara skręciliśmy w prawo, w niewielki zaułek.

- To tutaj.

Przed nami wznosił się dwupiętrowy dom, którego mieszkańcy zdawali się pogrążeni we śnie. Podeszliśmy do drzwi i, zgodnie z instrukcją Maltesego, zapukaliśmy trzy razy głośno, trzy razy cicho. Oczekaliśmy chwilę i ponownie głośno zapukaliśmy.

Wydawało się, że nikt nas nie usłyszał, gdy zza drzwi dał się słyszeć przytłumiony głos:

- Kto tam?

- Szukamy Ślusarza.

Czekaliśmy, nie wiedząc, czy osoba, której szukamy, pojawi się, czy też nie. Wewnątrz panowała cisza.

- Kto o niego pyta o tak późnej porze? - rozległ się jakiś inny głos.

- Przyjaciele.

- Mówcie zatem.

Nasz człowiek stał za drzwiami, ale chyba nie miał ochoty ich otworzyć.

- Dziś wieczór w willi Spada na Janikulum skradziono lunetę. Jej właściciel jest naszym dobrym znajomym. Gotów jest zapłacić za jej odzyskanie.

- Co to jest luneta?

Powtórzyliśmy mniej więcej to samo, co powiedzieliśmy Maltesemu: szkła, które zmniejszają lub powiększają, metalowe urządzenie, *et cetera*. Nastąpiła chwila ciszy.

- Ile zapłaci właściciel? - zapytał głos.

- Tyle, ile trzeba.

- Muszę zapytać przyjaciela. Przyjdźcie jutro po zmierzchu.

- Dobrze - odparł żandarm po chwili wahania. - Przyjdziemy jutro. Oddaliliśmy się od domu, skręciliśmy w pierwszą przecznicę i przy czailiśmy się za rogiem.

- Nie chciał rozmawiać. Kazał wrócić jutro. Myśli, że jestem głupcem? Jutro o tej porze towar będzie tysiące kilometrów stąd.

- Zaczekamy, aż wyjdzie? - zapytałem drżącym głosem, myśląc o zabójstwach, które Ślusarz miał na swym koncie.

- Tak. Zobaczmy, dokąd się uda. Przestraszył się i będzie chciał jak najszybciej pozbyć się towaru. Na jego miejscu nie ruszałbym się z domu. Ukrywa się, podobnie jak Maltese, ale jest bardzo zdenerwowany.

Przewidywania Waligóry potwierdziły się. Po dziesięciu minutach drzwi się ostrożnie uchyliły i wychynęła z nich ciemna postać. Rozpoznaliśmy Ślusarza. Rozejrzał się na boki i wyszedł na ulicę. W słabym świetle księżyca nie mogliśmy dokładnie zobaczyć, ale wydawało się, że pod pachą niesie paczkę.

Szliśmy za nim w bezpiecznej odległości, uważając, żeby nie hałasować. Obaj wiedzieliśmy, że ma nóż. Lepiej stracić go z oczu niż pożegnać się z życiem - pomyślałem.

Szedł w stronę Campo di Fiore, pomyśleliśmy więc, że zmierza do Maltesego, którego kryjówka znajdowała się w okolicy. Przeszedł jednak przez plac dei Pollaioli, a następnie przez plac Pasquino. Nie natrafiwszy na nocne straże, dotarł spokojnie do placu Navona. W tej samej chwili duża chmura zakryła księżyc. Mimo że nastąpiły zupełne ciemności, przezornie ukryliśmy się za rogiem pałacu Pamphilich, tuż przy placu. Wpatrywaliśmy się w rozległy, płaski teren, z jedną dużą fontanną kawalera Berniniego i dwiema mniejszymi fontannami po bokach. Wydawało się, że na placu nikogo nie ma. Rozglądaliśmy się na wszystkie strony, ale nikogo nie dostrzeżliśmy.

- Niech będą przeklęte wszystkie zbroje i pancerze! - zaklął Waligóra.

W tej samej chwili dał się słyszeć odgłos szybkich kroków. Ktoś biegł na złamanie karku. Najwidoczniej Ślusarz zauważył nas i zaczął uciekać.

- Za fontanną! Jest za fontanną! - wykrzyknął Waligóra.

Nawet dziś nie potrafiłbym powiedzieć, jaka ukryta zaleta ducha (sła-  
bość czy śmiałość) pchnęła mnie do tego, by pobiec za żandarmem.

Biegłem za moim olbrzymim towarzyszem, który, choć bardzo się starał, zostawał coraz bardziej w tyle za uciekającym. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. W zlokalizowaniu uciekiniera pomagał nam wyraźny odgłos jego kroków na bruku. W oddali dostrzegłem fasadę ambasady Francji, doskonale widoczną w świetle pochodni umieszczonych przy oknach. Oznaczało to, że zbliżamy się do Campo di Fiore.

- Pobiegł w lewo! - zawołał Waligóra głosem zachrypniętym od wysiłku.

Skręciwszy w lewo, ze zdziwieniem stwierdziłem, że pościg dobiegł końca. Uciekinier, który przez cały czas miał nad nami znaczną przewagę, przewrócił się. Waligóra był tuż nad nim, kiedy leżący nagle skulił się i zwinnym ruchem przeturlał w bok, tak że Waligóra natrafił na próżnię, stracił równowagę i upadł. Gdy dotarłem na miejsce, uciekinier, choć wyczerpany, zerwał się i popędził w stronę teatru Pompejusza. Zauważyłem, że uciekając, upuścił pakunek, który znajdował się teraz w pewnej odległości ode mnie. Kątem oka dostrzegłem Waligórę gramolącego się z ziemi.

- Goń go! - zawołał, po czym i on ruszył, lekko kulejąc.

Nierozwagą byłoby sumiennie wykonać to polecenie, wydane w po-  
śpiechu i w warunkach, w których trudno przewidzieć konsekwencje  
własnych czynów. Biegłem zatem dalej, nie zatrzymując się nawet wtedy,  
gdy uciekający człowiek zawahał się, czy pobiec w prawo, czy w lewo,  
a w końcu, zupełnie nieoczekiwanie, wpadł w bramę, wiedząc zapewne,  
że nie jest zamknięta na klucz. Uczyniłem znak krzyża i wbiegłem do tej  
samej bramy. Usłyszawszy odgłos kroków, czym prędzej ruszyłem za  
nimi. Wbiegałem po schodach pogrążonych w ciemnościach, potykając  
się o stopnie i sunąc dłonią po zimnej ścianie, by nie stracić równowagi.  
Dziś ta szalona wspinaczka wydaje mi się dowodem bezdennej głupoty,  
mogła się bowiem skończyć o wiele gorzej, niż się skończyła. Niżej  
słyszałem zbliżające się kroki Waligóry.

Nie wiem, i zapewne nigdy się nie dowiem, czy ścigany przez nas  
człowiek miał świadomość, dokąd te schody prowadziły. Byłem bardzo  
zaskoczony, kiedy spostrzegłem, że ściana, wzdłuż której wspinałem się  
w górę, najpierw była błękitna, później szara, na koniec biała. Nieoczeki-

wanie, kiedy niemal zupełnie zapomniałem, po co przybyłem do tego domu, dłonie różanopalcej Jutrzenki przetarły mi oczy i stałem się świadkiem przepięknego widowiska, jakim był wschód słońca. Nie potrzebowałem już świec ani pochodni. Otworzyłem drzwi znajdujące się na końcu schodów i znalazłem się na zewnątrz. Wszystko lśniło w blasku poranka. Zaczęło świtać już wtedy, kiedy dogoniłem Waligórę na Campo di Fiori, ale byłem tak przejęty naszą akcją, że tego nie zauważyłem.

Dalej sprawy potoczyły się bardzo szybko. Brakowało mi tchu, z wyczerpania o mało nie upadłem. Pochyliłem się, wspierając się dłońmi o kolana. Usłyszałem głos Waligóry, dochodzący z niższego piętra:

- Daj spokój, chłopcze! To nie luneta...

Odwróciłem się i zobaczyłem go. Schował się za moimi plecami, teraz miałem go przed sobą. Schwycił mnie za kołnierz i przycisnął do ściany. Dostrzegłem nóż, którym mierzył w mój brzuch. Gdybym się poruszył, z pewnością by go uzył.

Był obdarty, cuchnął, miał podkrążone oczy i ospowatą twarz. Mógł mieć około trzydziestu lat, ale był bardzo zniszczony. Trzydzieści lat wypełnionych więzieniem, głodem, nocami przespanymi pod gołym niebem. Miał tylko jedno oko, jak bezpański kot. Być może dzięki intuicji, wyostrejzonej grożącą mi śmiercią, wyczytałem w jego spojrzeniu wahanie: zabić i zaatakować tego drugiego czy uciekać? Ale dokąd? Galeria, na której się znajdowaliśmy, obiegała dom dookoła. Poczułem się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że ścigając tego człowieka tak bezwzględnie, zmusiliśmy go do sięgnięcia po nóż.

- To jest... ten... jak się nazywa... - dał się słyszeć głos Waligóry, do chodzący ze szczytu schodów.

Przestępca kątem oka szukał drogi ucieczki, zrozumiał jednak, że jej nie znajdzie. Za dwie-trzy sekundy przekonam się, co się czuje, gdy zimna stal przeszywa wątrobę. Przyszła mi do głowy pewna myśl.

- Niemiec cię zabije - wycharczałem przez zaciśnięte gardło.

Zawahał się. Poczułem, że ręka trzymająca mnie za szyję zdrząła. W tej samej chwili drzwi pchnięte muskularnym ramieniem Waligóry ustąpiły, niczym drzwi latarni morskiej pod naporem fal podczas burzy, uderzając w ramię mojego przeciwnika, tak że zachwiały się na nogach. Nóż, wytrącony z jego ręki, przeleciał nam nad głowami i upadł z brzękiem na ziemię.

- ...muskietoskop! - wykrzyknął triumfalnie Waligóra, stając w drzwiach z połamanym mikroskopem w dłoni.



Waligóra, ujrawszy uciekiniera, zawołał:

- To nie Ślusarz!

Rzuciliśmy się obaj na nieznanego. Nie wiem, co się dalej działo, bo potknąłem się, potoczyłem na brzeg galerii, która nie miała poręczy, i choć z całych sił starałem się zatrzymać, spadłem w dół, na dziedziniec. Tym samym spotkała mnie zasłużona kara za idiotyczne zachowanie.

Spadałem z twarzą zwróconą ku górze, ale zanim z łoskotem runąłem na ziemię, o kilkanaście metrów niżej, zdołałem dostrzec nieme zdziwienie malujące się na twarzy Waligóry. W tej jednej chwili, która wydawała się trwać nieskończenie długo, przyszła mi do głowy absurdalna myśl, że być może to właśnie odczucie (a nie ból czy rozpacz) towarzyszy nam, gdy stajemy oko w oko ze śmiercią. Nieszczęsny Waligóra - pomyślałem - uratował mnie od ciosu nożem, a ja i tak umrę.

Mimo wyjątkowości sytuacji zachowałem w pamięci pewien szczegół, który uszedł uwadze żandarma. Zanim pogrążyłem się w śmiertelnej otchłani, ścigany przez nas człowiek powiedział:

- Treklatremiesz.

Później był już tylko szybko oddalający się prostokąt nieba, modlitwa do Wszechmogącego, w której błagałem Go o odpuszczenie grzechów, i oczekiwanie końca, z sercem i duszą zwróconymi do mojej Cloridii.

# Dzień trzeci

*9 lipca 1700 roku*

Skąd dochodził ten czysty, cichy śpiew? Raz wydawało mi się, że z jednego miejsca, to znów, że jest wszędzie wokół mnie. Brzmiał niewinnie, przywodząc na myśl nieśmiałe nowicjuszki o zaczerwienionych policzkach i dalekie, osłonecznione pustelnie. Słodka psalmodia pieściła moje uszy, gdy tymczasem ja starałem się ocenić swoje położenie.

W końcu zrozumiałem, że był to śpiew bractwa, które z okazji jubileuszu przybyło z pielgrzymką do Rzymu. Słyszałem głosy kobiece i męskie, słodkie i mocne, srebrzyste i stentorowe. Zbudziwszy się o wschodzie słońca, pątnicy, wznosząc dziękczynną pieśń do Pana, szli kolejno do czterech bazylik, aby uzyskać odpuszczenie grzechów.

Prostokąt nieba, które było teraz niebieskie i przejrzyste, wisiał nade mną nieruchomo. Umarłem, a jednocześnie żyłem. Nic nie widziałem, gdyż moje źrenice wypełniał błękit nieba, który spływał z góry niczym łzy aniołów. Moją uwagę przyciągał jedynie chór wiernych, zupełnie jakby pragnął przytrzymać mnie przy życiu. Ostatnie odczucia (pęd powietrza i upadek) ustąpiły pod wpływem świętej melodii.

Po chwili dołączyły do niej inne głosy, tworzące zagadkowy kontrpunkt. Dopiero wtedy, kiedy uświadomiłem sobie obecność innych istot wokół mnie, zdołałem przełamać stan sennego odrętwienia. Niczym nowy Lucyfer, upadły z niebios, czułem, że moje członki ogarnia ciepły dym i z wolna zapadam się w otchłań piekielną.

- Wyciągnijmy go! - usłyszałem.

Spróbowałem poruszyć ręką, potem nogą, choć nie wiedziałem, czy jeszcze je mam. Udało się: podniosłem nogę. Wstąpiła we mnie nadzieja, ale jednocześnie poczułem coś zupełnie nieoczekiwanego.

- Ale smród!

- Pomóż mi!
- Uratowało go gówno! Cha, cha, cha!

Nie zginąłem, nie roztrzaskałem się o twardą posadzkę dziedzińca, nie pochłonęło mnie też piekło: dwaj ludzie podnosili mnie z wozu wypełnionego ciepłym, dymiącym gnojem.

Jak wyjaśnił mi później Waligóra, usuwając mi z pleców żdźbła słomy, wylądowałem na wozie z obornikiem, który jakiś wieśniak zamierzał sprzedać następnego dnia rano nadzorcy willi Peretti do nawożenia ziemi. Cudem nie skrzyłem sobie karku. Kiedy upadłem na stertę krowich odchodów, zemdlałem i nie dawałem oznak życia. Przypadkowi przechodnie, którzy zgromadzili się wokół wozu, byli zaniepokojeni, ktoś nawet przeżegnał się. Właśnie nadeszła grupa pątników, gdy niespodziewanie poruszyłem głową i zamrugałem powiekami. „Taka była wola Boga - oznajmił jakiś staruszek - wskrzesiła go modlitwa bractwa”.

Waligóra, który widział z góry mój upadek i martwił się, czy żyję, stracił z oczu naszego uciekiniera. Przestępca, zamiast zaatakować potężnego żandarma, odważnie skoczył na dach poniżej i kontynuował ucieczkę po tarasach pobliskich domów. Mój towarzysz musiał zrezygnować z posciugu w obawie, że dach mógłby się pod nim zawalić. Zszedł więc na dół i ściągnął mnie z wozu z pomocą sprzedawcy warzyw, który właśnie zmierzał na targ na Campo di Fiore.

- Zaszła pomyłka - oświadczył Waligóra, prowadząc mnie do handlarza starzyzną, żebym wyszukał sobie czyste ubranie. - Zamiast lunety Ślusarz miał w rękę to.

Odwinął z szarego płótna przyrząd, którym zwycięsko wymachiwał przed półgodziną, kiedy pojawił się na galerii, a ja stałem z nożem przystawionym do brzucha.

Przyrząd, mocno sfatygowany na skutek wydarzeń ubiegłej nocy, przypominał kawałek żelastwa, w którym z trudem można było rozpoznać mikroskop. Zachowała się tylko podstawa, walec i sworzeń łączący go z resztą (utraconą) urządzenia. W małym zawiniątku znajdowały się kawałki szkła (zapewne powiększającego), kilka śrubek, jedno kółko zębate i powyginana metalowa opaska.

- Wszystko wskazuje na to - wyjaśnił Waligóra, kiedy wchodziliśmy do sklepu ze starzyzną - że przyrząd ukradziono całkiem niedawno. Postaram się czegoś dowiedzieć od kolegów. Ślusarz dokonał kradzieży osobiś-

cie albo odkupił towar od innego złodzieja. Kiedy przyszedliśmy do niego, nie zrozumiał naszych wyjaśnień i pomylił lunetą z muszkietoskopem.

- Mikroskopem - poprawiłem go.

- No tak, wszystko jedno. Potem wyszedł z domu i udał się na plac Navona. Szukał któregoś z cerretan - powiedział żandarm, kiedy, po przywitaniu się ze sprzedawcą, prowadził mnie na podwórze z fontanną, żebym się trochę odświeżył.

- W jakim celu?

- Słyszałeś, co mówił Maltese? Ślusarz pracuje dla Niemca, który z kolei współpracuje z cerretanami - oznajmił, wskazując głową w kierunku tarasu przy Campo di Fiore. Muszkietoskop miał być przekazany Niemcowi. W nocy na placu Navona sypiąją prawdziwi żebracy i wielu cerretan. Ślusarz spotkał się z jednym z nich.

- Z tym, który o mało mnie nie zabił! - zawołałem, przypominając sobie zdziwienie Waligóry, kiedy zorientował się, że niedoszły morderca to nie Ślusarz.

- Spotkali się za fontanną. Cerretanin usłyszał nas i rzucił się do ucieczki. Pobiegliśmy za nim, sądząc, że to Ślusarz, ale znam go i wiem, jak wygląda. Jest wysoki, ma jasne włosy i złamany nos. I nie jest ślepy na jedno oko, jak to monstrum, które ścigaliśmy.

A zatem narażałem życie na darmo - pomyślałem, zdejmując zniszczone ubranie, żeby umyć się w wodzie z fontanny. Ciekawe, co się stało z lunetą Atta, nie mówiąc o jego dokumentach. Byłem obolały po upadku, mimo że lądowanie na wozie z gnojem wymieszonym ze słomą było miękkie.

Męczyło mnie pewne podejrzenie. Maltese nie miał pojęcia, jak wygląda luneta ani tym bardziej mikroskop, przyrząd jeszcze rzadziej spotykany. Ślusarz też nie wiedział, co to za przyrządy, i mylił ich nazwy.

- Skąd pan wiedział, że chodzi o mikroskop? - zapytałem Waligórę, wskazując zawiniątko z resztkami przyrządu.

- To proste! Jest napisane.

Odwinął płótno i pokazał mi podstawę urządzenia, na której widniała metalowa plakietka w pięknym obramowaniu.

MACROSCOPIUM HOC  
JOHANNES VANDEHARIUS  
FECIT  
AMSTELODAMII MDCLXXXIII

- Mikroskop ten wykonał w Amsterdamie w roku 1683 Jan Vandear - przetłumaczyłem.

Mówił prawdę - tak było napisane. A tych kilka łatwych słów po łacinie mógł zrozumieć nawet Waligóra.

- Nie rozumiem tylko, jak się strzela z tego muszkietoskopu, z lufą pełną szkła - mruczał pod nosem, nie pojmując działania dziwnej broni.

Wszedł do sklepu ze starzyzną, po chwili wyszedł z przerzuconym przez ramię kawałkiem płótna, koszulą i parą starych, ale czystych spodni.

Byłem jeszcze oszołomiony ostatnimi wydarzeniami, jak również bolesnymi doświadczeniami, które stały się moim udziałem. Kiedy wycierałem się kawałkiem płótna i przebierałem w czyste rzeczy, opowiedziałem żandarmowi, że postraszyłem cerretanina śmiercią z ręki Niemca, a on wymówił jakieś dziwne słowo, które cudem usłyszałem na chwilę przedtem, nim zacząłem spadać w dół. Waligóra wytrzeszczył oczy.

- Powiedziałeś mi, że Niemiec go zabije? Zwariowałeś?

- Dlaczego? Próbowałem się ratować.

- W porządku, ale powiedziałaś wspólnikowi Niemca, że tamten go wykończy... Niemiec jest niebezpieczny! No, ale skoro chodziło o ratowanie skóry...

- Ciekaw jestem, co znaczyło to słowo. Może groził mi, że mnie znajdzie?

- Co dokładnie ci powiedział?

- Nie rozumiałem, jakiś bezsensowny wyraz.

- A widzisz? Tacy właśnie są cerretanie. Używają żargonu.

- Czego?

- Żargonu.

- Jakiego żargonu?

- Języka złodziei. Znają go tylko cerretanie, sami go wymyślili. Posługują się nim w obecności obcych, ale używają go też złodzieje i wszelkiego pokroju żebracy.

- Już rozumiem, o co chodzi. Przestępcy, chcąc powiedzieć, że nadchodzi żandarm, mówią: „Nadchodzi jaśnie pani” lub „pada deszcz”.

- Tak, to rzecz powszechnie znana, podobnie jak to, że kosa znaczy nóż, a sałata - pieniądze. Często spotyka się też słowa używane przez Żydów. Jeśli powiem, że dwie osoby są *agazim*, zrozumiesz, że mówię o parze przyjaciół. Dłuższe zdania są jednak trudniejsze, na przykład: garbus nie ma majowej cykorii. Wiesz, co to znaczy?

- Nie mam pojęcia.
- Otóż to! Bo nie wiesz, że w ich języku garbus znaczy: ja, cykorcia - strach, a maj to Bóg.
- Zatem: „Nie lękam się Boga” - powiedziałem zaskoczony sensem tego krótkiego zdania, w sam raz dla cerretanina.
- To jeden z wielu przykładów. Znam go tylko dlatego, że my, stróże porządku, coś tam rozumiemy. Niestety, stanowczo za mało. Czy choć w przybliżeniu pamiętasz, co powiedział ci cerretanin?
- Coś jak ... treklaki... tremieszce... Coś w tym rodzaju.
- Chodź zapewne o inny rodzaj języka złodziejskiego. Nie wiem dokładnie, na czym on polega, nigdy się też z nim nie zetknąłem. Wiem tylko, że przekręcają słowa, przetwarzają je i zniekształcają w sposób zrozumiały dla całej bandy - powiedział Waligóra, splatając, zaciskając i wykręcając palce, żeby lepiej wyjaśnić, co ma na myśli. - Normalny człowiek nic z tego nie zrozumie.
- Jak, do licha, dowiemy się, co powiedział cerretanin? Nie mówiąc o tym, że jak do tej pory niczego się nie dowiedzieliśmy i nie mamy pojęcia, jak odnaleźć papiery opata Melaniego - stwierdziłem rozczarowany, kiedy wracaliśmy do willi Spada.
- Musimy uzbroić się w cierpliwość, a poza tym jestem innego zdania. Wiemy już, że ktoś kolekcjonuje te dziwne przedmioty, które pomniejszają i powiększają, te lunety, muszkietoskopy, czy jak je zwał, a także pasjonuje się relikwiami. Moglibyśmy wrócić do Ślusarza, ale z pewnością zmienił już adres. To niebezpieczny człowiek, lepiej trzymać się od niego z daleka. Musimy pójść tropem cerretan.
- Co wydaje się równie niebezpieczne.
- Istotnie, ale zaprowadzi nas prosto do Niemca.
- Myśli pan, że to on wykradł dokumenty Melaniego?
- Liczą się fakty, a to nasz jedyny ślad.
- Ma pan pomysł, co dalej robić?
- Oczywiście! Musimy jednak zaczekać do nocy. Pewnych spraw nie należy załatwiać w dzień.

Wróciliśmy do naszych koni, po czym rozdzieliliśmy się, gdyż Waligóra musiał jeszcze zrobić zakupy dla matki. Ponieważ nie doszedłem jeszcze do siebie po upadku, żandarm uznał, że lepiej będzie, jak wrócę

do willi pieszo, on zaś odprowadzi konie. I choć jeszcze czułem się nieświeżo, przynajmniej miałem na sobie czyste ubranie, ruszyłem w stronę bramy San Pancrazio.

O tej porze w mieście roiło się od pątników, wędrownych sprzedawców, posługaczy, służących, pasożytów, obiboków, próżniaków i handlarzy. W zaułkach słychać było śpiew praczek, krzyki dzieci, szczekanie psów, nawoływania sprzedawców, przekleństwa woźniców, kiedy drogę zatarasował rozchybotany wózek z nabiałem. Targowiska, którymi Wieczne Miasto rozpoczynało każdy nowy dzień, przypominały widowiska teatralne. Czarne habity protonotariuszy pełniły funkcję kurtyny, zza której wyglądały główki zielonej sałaty, ciemne płaszcze kleryków stawały w zawody z pomarańczowymi marchewkami, odwieczną ludzką komedię obserwowały zdumione oczy ryb leżących na ladach.

Znajdowałem się w okolicy willi Giulia, pośród mrowia ludzi, towarów i pojazdów, kiedy natknąłem się na jeszcze gęściejsze skupisko osób. Zacząłem się przepychać, raczej po to, by utorować sobie drogę niż zobaczyć, co się dzieje. Utknąwszy w tłumie, wyciągnąłem szyję i zobaczyłem, że pośrodku zbiegowiska stoi jakiś podejrzany typ z nagim torssem i długimi włosami zebranymi w koński ogon. Na piersi miał siny znak w kształcie węża, jego szyję natomiast oplatał prawdziwy gad. Ludzie przyglądali się jego ewolucjom z podziwem i lękiem. Młodzieniec zaczął śpiewać cichą, monotonną pieśń, przypominającą lament, a wąż skręcał się w rytm melodii, wzbudzając zachwyt audytorium. Nagle mężczyzna schwycił głowę zwierzęcia, wsadził mu do paszczy palec, a kiedy gad zacisnął szczęki, odczekał kilka sekund, po czym wyciągnął palec. Następnie zaczął zachwalać słoiczki z czerwonawą maścią jako doskonałe antidotum na ukąszenie węża, zapobiegające cierpieniom, a ludzie wrzucali monety do słomkowego kapelusza, który leżał u stóp młodzieńca.

Spojrzałem pytająco na chłopca, który stał obok mnie i trzymał duży bochen chleba.

- To paollianin - wyjaśnił.
- A kto to taki?
- Święty Paweł udzielił łaski pewnej rodzinie, sprawiając, że jej członkowie i potomkowie nie muszą obawiać się jadu węża. Od tej pory potomkowie tego rodu przychodzą na świat ze znakiem węża na ciele i nazywają się paollianie.

Stojący za nami starzec wtrącił się do rozmowy:

- Wierutne brednie! Łapią węże w zimie, kiedy są słabe i pozbawione jadu. Czyszczą je, głodzą, aż gady stają się łagodne i posłuszne.

Słyszając słowa starca, kilka osób stojących blisko paoliana odwróciło głowy.

- Znam te ich sztuczki - ciągnął starzec. - Znak węża na piersiach wykluwają cienką igłą i wcierają w to miejsce mieszankę sadzy i soku z ziół.

Kolejne osoby odwróciły głowy w stronę starca. W tej samej chwili dał się słyszeć krzyk:

- Moja sakwa! Ktoś mi ją ukradł!

Jakaś kobieta, która jak zahipnotyzowana oglądała pokaz paoliana, pomstowała zrozpaczona. Ktoś obciął sznurek, do którego przymocowana była skórzana sakwa, i zabrał jej wszystkie pieniądze. Ludzie zaczęli poruszać się nerwowo i sprawdzać, czy nic im nie zginęło (sakwy, naszyjniki, broszki).

- To było do przewidzenia - powiedział starzec. - Przyjaciół naszego młodzieńca dostał to, czego chciał.

Spojrzałem w stronę człowieka, który zwrócił naszą uwagę. Korzystając z ogólnego zamieszania, paolianin (o ile zasługiwał na to miano) zniknął.

- W towarzystwie współnika, ma się rozumieć - dodał starzec.

Ruszyłem dalej. Byłem zły na siebie. Nie zorientowałem się, że popisy z wężem były jedynie pretekstem do wykorzystania naiwnych ludzi, których współnik paoliana ograbił z pieniędzy. Prawdziwi mistrzowie kradzieży - pomyślałem. Gdy poczuli, że robi się gorąco, ulotnili się jak kamfora. A może to byli cerretanie? Waligóra mówił, że każdy cerretanin jest żebrakiem, ponieważ żebractwo jest najbardziej opłacalnym zawodem świata. Czy to znaczy, że każdy żebrak był cerretaninem? Skóra cierpła mi na myśl, że tak może być. Przez całe lata dawałem więc jałmużnę kryminalistom.

Porzuciłem te rozważania, uznając je za zbyt abstrakcyjne, i zacząłem rozmyślać o upadku z galerii, który o mały włos nie skończył się tragicznie. Co uratowało mi życie? Modlitwa pątników czy wóz z obornikiem? Gnój był niewątpliwie bezpośrednim sprawcą mojego ocalenia. Czyżbym zawdzięczał życie zwykłemu przypadkowi? Ale przecież otworzyłem oczy, kiedy obok mnie przechodziła procesja pobożnych pielgrzymów, których śpiew w cudowny sposób mnie ocucił! Mogłem też umrzeć, ale



tak się nie stało. Czyżbym więc dostał łaski dzięki niewinnym, przepełnionym miłością śpiewom pątników?

Czy ich modlitwy naprawdę były skuteczne? Na pewno zgodne z intencjami wiernych, szczerze i żarliwie - myślałem. Ale - zastanawiałem się, przechodząc obok ponurego i bardzo drogiego zajazdu dla pielgrzymów, własności jednego z kardynałów - istniało coś, co udaremniało te modlitwy, choć było równie czyste i szczerze, czyli sama organizacja jubileuszu.

Doskonale wiedziałem (podobnie jak wszyscy), że papież Bonifacy VIII, w najlepszej intencji, w roku pańskim 1300 zapoczątkował uroczyste obchody Roku Świętego, nawiązując do zwyczaju dawnych papieży, którzy co sto lat udzielali wiernym całkowitego odpustu, pod warunkiem że odwiedzą Bazylikę Świętego Piotra w Watykanie. Od siebie dodał obowiązek pielgrzymki do Bazyliki Świętego Pawła, którą należało odbywać w określonym terminie.

Wiść rozeszła się lotem błyskawicy po wszystkich krajach chrześcijańskich, docierając do wiernych jakby za sprawą anielskich trębaczy. Odezwy były natychmiastowe. Już w 1300 roku do Wiecznego Miasta ściągnęły tłumy pątników. Zeszli z pastwisk w Apeninach, przemierzając doliny, wąwozy, urwiska, szczyty, płaskowyże, miasta, miasteczka, rzeki, morza, wybrzeża. Wydatki związane z podróżą - noclegi oraz jedzenie - opłacali z własnych pieniędzy, ku zadowoleniu papieży i mieszkańców Rzymu.

Szykując się do podróży, nierzadko poświęcali swe najcenniejsze dobra: wieśniacy porzucali pola, kupcy sklepy, pasterze sprzedawali stada, a rybacy łodzie. Nie po to jednak, by opłacić podróż (na ogół szli pieszo, jak każdy szanujący się pielgrzym), ale by zapewnić sobie miejsce do spania, które w Rzymie było na wagę złota. O spaniu pod gołym niebem nie mogło być mowy. Jeśli bowiem pechowy pielgrzym nie padł ofiarą złodziei i rzezimieszków, przeganiały go papieskie straże. Po co zresztą spać na ulicy, skoro sami papieże zadbali o to, by każdy pielgrzym znalazł gościnę. Bractwa i zakony dokładały wszelkich starań, mimo to łożek zawsze brakowało. Opowiadano, że podczas jubileuszu w 1650 roku szwagierka papieża, słynna i wpływowa donna Olimpia, chcąc zarobić na pielgrzymach, kupiła kilka zajazdów. Prawdę powiedziawszy, wszyscy rzymianie odnosili korzyści z napływu wiernych. Świadomi swoich obowiązków wobec gości, przeobrażali się w hotelarzy, doskonale wiedząc,

że zajazdy i klasztory nie pomieszczą tak dużej liczby pielgrzymów. Kiedy nieszczęśni pątnicy, wyczerpani trudami wędrówki, stawali u bram Wiecznego Miasta (jak opowiada Buccio di Ranallo), witani byli z uśmiechem, troskliwością i niezwykłą uprzejmością. Z chwilą gdy przyjmowali gościnę, wszystko ulegało zmianie i anioły okazywały się zwykłymi naciągaczami. Goście byli upychani po dziesięciu w jednym pokoju (który mógł pomieścić co najwyżej trzy-cztery osoby), pościel była brudna, poduszki cuchnęły, posiłki (bardzo drogie) niejadalne, a maniery gospodarza pozostawiały wiele do życzenia. Nagły wzrost cen żywności spowodowany był sprytnymi oszustwami i przetrzymywaniem produktów z dala od miasta. Potrawy były niesmaczne, ponieważ przygotowywano je z nieświeżego mięsa i serów.

Pątnicy sędzili, że spanie na wolnym powietrzu, na gołej ziemi, dodatkowo przysłuży się do odpuszczenia grzechów. Układali się pokornie do snu na ulicach Rzymu. Byli jednak brutalnie budzeni przez żandarmów, którzy najpierw okładali ich kijami za zakłócanie porządku publicznego, a dopiero później pytali: „Jesteście pielgrzymami? Dlaczego śpicie jak żebracy? Dwa kroki stąd jest zajazd”. Nieszczęśnicy zmuszani byli do wynajmowania drogich pokoi w zajazdach należących do krewnych papieża lub prałatów.

Dochodziło też do znacznie gorszych sytuacji - pielgrzymi, stanąwszy u bram miasta, byli porywani przez handlarzy niewolników, którzy bili ich, zmuszali do pracy w polu, a wypuszczali po kilku miesiącach poniżej i nadludzkich trudów.

Mimo to wiara od stuleci przyciągała do Wiecznego Miasta tłumy pobożnych ludzi, a wraz z nimi pieniądze. Na przykład w Roku Świętym 1350 podczas wielkiego postu i Wielkanocy do Rzymu przybyło milion dwieście tysięcy pątników, a w Zielone Świątki - osiemset tysięcy. W 1450 roku Kamera Apostolska zarobiła sto tysięcy florenów (jednocześnie nawróciło się czterdziestu żydów i jeden rabin). W roku 1650, na pięćdziesiąt lat przed obecnym jubileuszem, liczba pielgrzymów wyniosła siedemset tysięcy. Świętowali i zarobili niemal wszyscy: szewcy, którzy żelowali zdarte buty, właściciele zajazdów, a także sprzedawcy wody do picia, różańców, świętych obrazków, taboretów, ziół leczniczych, wina, modlitewników, chleba, ubrań, kapeluszy, relikwii, piór i papieru do pisania, gazet, przewodników po Rzymie i wielu innych towarów.

Zgodnie z wolą Bonifacego VIII, by nie nadużywać cierpliwości i do-

broci Najwyższego, jubileusz obchodzono co sto lat. Wziąwszy pod uwagę popularność przedsięwzięcia i znaczne korzyści ekonomiczne, papież Klemens VI zmniejszył stuletnią przerwę o połowę, wyznaczając kolejny jubileusz na rok 1350 (którego zresztą osobiście nie świętował, jako że przebywał w Awinionie, wówczas siedzibie papieżstwa, podczas gdy Rzym spływał krwią zwaśnionych rodów, był dręczony epidemią dżumy i zamieszkami wznieconymi przez zbuntowanego plebejusza Colę di Rienza).

Bonifacy IX skrócił przerwę do lat czterdziestu, a później postanowił, że kolejne jubileusze będą obchodzone w latach 1390 i 1400. Marcin V ogłosił Rokiem Świętym rok 1423, a Mikołaj V dwa kolejne lata: 1450 i 1451. Następni papieże ogłosili, że jubileusz będzie świętowany co dwadzieścia pięć lat. I tak za Sykstusa IV przypadł on w roku 1475, za Aleksandra VI w roku 1500, za Klemensa VII w roku 1525. Później doszło do tego, że Paweł III i Juliusz III wyznaczyli trzy jubileusze w ciągu czterech lat. Za pontyfikatu Piusa IV Rok Święty ogłaszany był cztery razy (przy czym jednego roku dwukrotnie), za Klemensa VIII - trzy. Paweł V wyznaczył ich aż sześć, w latach 1605, 1608, 1609, 1610, 1617 i 1619. Ale to jeszcze nic w porównaniu z Urbanem VIII. W ciągu dwudziestu lat jego pontyfikatu uzbierało się aż dwanaście jubileuszy. Widząc olbrzymi sukces przedsięwzięcia, kolejni papieże kontynuowali wyznaczony kurs. Innocenty X zaliczył pięć jubileuszy w ciągu dziesięciu lat, Aleksander VII również pięć, ale w dziewięć lat, a Klemens IX cztery jubileusze w dwa lata.

Wypada wspomnieć, że Aleksander VIII ogłosił Rok Święty raz, Innocenty XI dwukrotnie, a Klemens X trzy razy (w roku 1670, 1672 i 1675). Także panujący dziś Innocenty XII nie mógł powstrzymać się od świętowania i wyznaczył cztery jubileusze w ciągu ośmiu lat.

Nie zawsze jedynie uroczyste obchody ściągały do Rzymu rzesze wiernych. Święto, początkowo obchodzone co sto lat, z czasem wiązało się z innymi, zupełnie przypadkowymi okazjami, które wprawiały w zakłopotanie potomnych, a niekiedy też współczesnych.

Udział w specjalnych jubileuszach, które nie zawsze cieszyły się sympatią Włochów i innych Europejczyków, mogli brać wyłącznie mieszkańcy wyznaczonych krajów lub przedstawiciele innych kościołów (z Peru, Armenii, Indii, libańscy maronici, chrześcijanie z Etiopii). Okazją (złożliwcy nazywają ją pretekstem) do jubileuszy były na przykład: sobór trydencki, walka z herezją, wykupienie więźniów z rąk muzułmanów, pokój

między Francją a Hiszpanią czy, co zdarzało się dość często, wybór nowego papieża. Nie zawsze chodziło więc o wydarzenia wielkiej wagi.

Aż dziewięć razy Rok Święty ogłoszono z powodów finansowych, czyli ze względu na skarbiec Kościoła. Podobnymi pobudkami kierował się Urban VIII (oskarżony później o roztrwonienie pieniędzy Kamery Apostolskiej), który wyznaczył jubileusz czterokrotnie - w latach 1628, 1629, 1631 i 1634.

O ile ogłoszenie niektórych jubileuszy było usprawiedliwione zagrożeniem ze strony muzułmanów, o tyle trudno pojąć, dlaczego papież Pius IV, inaugurując specjalne obchody Roku Świętego 1560, uzasadniał je napadami pirata Draguta.

Przez cztery stulecia, jakie dzieliły pierwszy jubileusz z 1300 roku od jubileuszu wyznaczonego przez Jego Świątobliwość Innocentego XII w roku 1700, zgodnie z projektem Bonifacego VIII, Rok Święty powinien być ogłoszony pięciokrotnie. W rzeczywistości nastąpiło to aż trzydzieści dziewięć razy.

Zastanawiałem się, czy podobna rozrzutność nie osłabiła mocy modlitw wiernych albo wręcz ich nie udaremniła. Tym bardziej że jubileusz przyciągał do miasta ludzi nieuczciwych i stwarzał okazję do kradzieży, napadów i oszustw, jak to smutne wydarzenie, którego byłem świadkiem.

Snując podobne refleksje, odczuwałem coraz większą sennność. Gdy dotarłem do domu, postanowiłem porozmawiać o jubileuszach z don Tibaldutiem Lucidim, kapłanem w willi Spada.

Jak przewidywałem, Clordia jeszcze nie wróciła. Widocznie została w willi, żeby opiekować się księżną Forano. Całe szczęście - pomyślałem. Wolałbym umrzeć niż pokazać się żonie w takim stanie - brudny i cuchnący. Czym prędzej napełniłem wodą wannę i cały się w niej zanurzyłem, żeby pozbyć się smrodliwej woni. Lejąc na głowę całe wiadra lodowatej wody, sztywniałem nie z zimna, ale na myśl o niebezpieczeństwach, których uniknąłem. Kiedy wycierałem się po kąpieli, na zewnątrz było już zupełnie jasno. Gorące słońce świeciło wysoko na niebie, budząc zmysły i zachęcając do działania.

Obojętny na to promienne zaproszenie, wyczerpany, położyłem się do łóżka. Zapadając w sen, podziękowałem Najświętszej Paniency za uratowanie mi życia. Miałem jeszcze dłonie złożone do modlitwy, kiedy zauważyłem jakiś bilecik. Z charakteru pisma, nieco chwiejnego, ale wyraźnego, odgadłem, kto napisał te słowa:

*Nie zmrużyłem oka całą noc.  
Czekam na Twoją relacją.*

Pomyślałem o opacie Melanim i o tym, że z jego powodu o mało nie straciłem życia. Czekał na wiadomość? Otrzyma ją we właściwym czasie, nie wcześniej.

Spałem ponad dwie godziny, co oczywiście nie wystarczyło, aby odzyskać utracone siły, ale przynajmniej trochę odpocząłem. Zamierzałem pozostać w domu i czekać na wezwanie, choć liczyłem się z tym, że zły będzie na mnie zarówno don Paschatio, jak i opat Melani. Skoczyłem na równe nogi, gdy uzmysłowiłem sobie, że tego dnia miał się odbyć ślub siostrzeńca kardynała Spady!

W willi panował nastrój najwyższego podniecenia. Po ogrodowych alejkach i komnatach pałacu biegali zaaferowani robotnicy, służący, lokaje, tragarze i pomywacze. Przybyła też barwna, wesola gromada artystów muzyków, którzy mieli umilać swoją grą weselne przyjęcie.

Skrzyłem do lasku, a następnie zaszedłem do kaplicy, w której tego popołudnia Clemente Spada, siostrzeniec Jego Eminencji kardynała Fabrizia, miał poślubić Marię Pulcherię, siostrzenicę kardynała Bernardina Rocciego. Służba niecierpliwie wyglądała panny młodej, podobno niezbyt urodziwej. Przygotowano odpowiednią oprawę dla ceremonii zaślubin. Zakrystia i mur okalający kościółek pięknie przybrano świeżymi kwiatami, stojącymi w terakotowych wazonach i wiklinowych rogach obfitości, przedzielonych girlandami i koszami pełnymi cytryn, jabłek i pomidorów z Nowego Świata (którym natura nadała ładny kształt, ale niedobry smak), kłosami zbóż i wieloma innymi owocami. Rzędy wygodnych foteli i krzeseł z rzeźbionego, pozłacanego drewna ustawiono półkolem, tak aby żadnemu widzowi nie zasłaniała widoku osoba siedząca przed nim.

Oparte o mur, przykryte lekkim adamaszkiem, stały wiązki lasek ozdobione kolorowymi wstążkami i kwiatami. Po ceremonii odświętnie ubrani służący będą wymachiwać nimi radośnie. Niewielka arena z krzesłami i fotelami przekryta została cudownym sklepieniem z drewna i masy papierowej, wspartym na czworokątnych kolumnach z pięknie przystrojonymi głowicami, między którymi wznosiły się lekkie łuki, ozdobione kwiatami, bluszczem i bukiecikami z dzikich ziół.

Wykonano też inne weselne sprzęty i dekoracje (nakrycia z czerwonego aksamitu i złotego jedwabiu, zasłony z herbami państwa młodych), które rozmieszczono ze smakiem. Dwie służące kończyły układać na krzesłach poduszki z miękkiego pluszu. W kaplicy pobrzmiwał ojcowski głos don Tibaldutia, wydającego ostatnie polecenia ministrantom. Pomyślałem z zadowoleniem, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik.

Zaprzagnąłem uklęknąć przed ołtarzem i odmówić modlitwę dziękczynną za uratowanie życia. W kaplicy stała figura Madonny karmelitańskiej - tej samej, której opat Melani złożył wotum z moich trzech pereł. Tym silniej odczuwałem potrzebę, by zwrócić się właśnie do tego wizerunku Najświętszej Pani i powierzyć Jej los nas wszystkich. Wszedłem do środka, poszukałem ustronnego miejsca i ukląknęłem.

Nie minęło wiele czasu, kiedy don Tibaldutio, wychodząc z zakrystii, zauważył mnie. Przecierał serwetą naczynia liturgiczne, ale ciągle zerkał w moim kierunku. Domyślałem się, dlaczego mi się tak przygląda. Don Tibaldutio - tęgi, rumiany karmelita - mieszkał w małym pokoiku za zakrystią, pełniącym funkcję plebanii. Odizolowany od reszty willi, czuł się samotny. Wykorzystywał więc każdą okazję (kiedy przychodziłem się pomodlić lub byłem w pobliżu, zajęty porządkowaniem ogrodu czy woliery), żeby zamienić ze mną kilka słów. Funkcja kapelana, którą pełnił w willi sekretarza stanu, była dużym wyróżnieniem i marzyło o niej wielu jego współpracowników. Tymczasem don Tibaldutio, przez wszystkich zapomniany, pobyt w willi traktował jako przejściowy. Był tu już od pięciu lat, pochodził z Corridonii, małej miejscowości w Marchii Ankońskiej, niedaleko Maceraty, i wszystko wskazywało na to, że wbrew swojej woli zapuści tu korzenie.

Don Tibaldutio, zamiast wykorzystać swoją pozycję, wstawiając się za innymi u swego pana, zadowalał się rolą pasterza. Jego owieczkami, w większym stopniu niż członkowie rodu Spada (którzy stale podróżowali w interesach), była służba, ta sama od lat.

Choć udzielenie ślubu siostrzeńcowi i spadkobiercy kardynała Fabrizia było dla don Tibaldutia dużym zaszczytem, najchętniej by z niego zrezygnował.

Kiedy zakończyłem modlitwę u stóp Madonny karmelitańskiej i wstałem, don Tibaldutio podszedł do mnie, jak zwykle z uśmiechem na twarzy. Ojcowskim gestem położył mi dłoń na głowie, jak miał w zwyczaju, i zapytał o Cloridię.

- To dobrze, że modlisz się do Naszej Pani. Czy masz jakieś modlit-

wy na czas jubileuszu? Mogę ci pożyczyć specjalną broszurkę. Zaraz po nią pójde. Właśnie skończyłem tu porządkować i mam trochę wolnego czasu.

- Don Tibaldutio - powiedziałem czym prędzej, chcąc wykorzystać okazję i porozmawiać o odpuscie w czasie jubileuszu - chciałem ojca o coś zapytać...

Opowiedziałem don Tibaldutiowi o dręczących mnie ostatnio wątpliwościach. Wypowiadałem się ostrożnie. Gdybym otwarcie powiedział, jak bardzo razi mnie rozrzutność przy organizowaniu obchodów jubileuszu, powiedziałbym prawdę, ale mógłbym sprawić przykrość temu prawemu, skromnemu słudze Kościoła. Ograniczyłem się więc do powiedzenia półprawdy. Użyłem sformułowań, które nie do końca oddawały mój sąd, ani razu nie używając takich słów, jak „chciwość”, „zepsucie”.

- Rozumiem - przerwał mi don Tibaldutio, pocierając znużonym gestem powieki, po czym z uśmiechem zaprosił mnie, bym usiadł z nim na ławce w bocznej części kaplicy.

- Chcesz zatem, żebym ci wyjaśnił, czym różni się odpust zupełny od odpustu uzyskanego podczas jubileuszu i czy odpust jubileuszowy nie jest tylko pozorny, jak sądzi wiele osób.

- Prawdę mówiąc, nie chodziło mi dokładnie o to...

- Odpust zupełny, chłopcze - ciągnął, jakby mnie nie słuchał - można uzyskać wszędzie, a odpust jubileuszowy tylko w Rzymie i tylko w Roku Świętym. W żadnym innym miejscu nie można go zdobyć, w przeciwnym razie nikt nie odbywałby pielgrzymki do Rzymu. Odpust zupełny można uzyskać, modląc się przed wszystkimi siedmioma ołtarzami, podczas gdy do odpustu jubileuszowego wystarczy modlitwa przed ołtarzem głównym. Poza tym podczas jubileuszu można uzyskać wiele łask, których nie dają odpusty zupełne.

Miałem ochotę przerwać kapelanowi, ale było to trudne, gdyż mówił stanowczym tonem, nie patrząc na mnie, tylko w dół, na swoje dłonie, splecione jak do modlitwy.

- Chodziło mi raczej o to... zastanawiałem się nad, powiedzmy... skutkami jubileuszu - wyjąkałem z trudem - bo...

Don Tibaldutio znowu nie dał mi dokończyć.

- Skutki jubileuszu są niezwykle istotne. Biorąc pod uwagę, że jubileusz organizowany jest z myślą o osobach zdrowych na umyśle, ochrzczonych i wiernych Kościołowi, ten, kto uzyska odpust w Roku

Świętym, otrzyma *plenissimam omnium peccatorum suorum indulgentiam, remissionem, et veniam*, czyli całkowite przebaczenie i odpuszczenie wszystkich grzechów.

Po tych słowach kapelan wstał i podszedł do konfesjonału.

- Ale uwaga! Odpust zdejmuje karę, nie winę - oznajmił, bębniąc palcami po drzwiczkach konfesjonału. - Grzech może zostać zmazany jedynie w drodze łaski, którą z kolei uzyskuje się przez sakrament spowiedzi albo przynajmniej przez spowiedź *in voto*, czyli akt skruchy i obietnicę spowiedzi w Wielkanoc.

- Proszę mi wybaczyć, źle się wyraziłem - wyjaśniłem, pragnąc położyć kres temu potokowi słów i tracąc nadzieję, że kapelan zdoła rozproszyć moje wątpliwości - nie jestem przekonany co do skuteczności...

- Skuteczność, skuteczność... Ona zależy tylko od nas, wierzących - oświadczył pewnym głosem. - Aby uzyskać odpust, należy dokładnie wypełnić wszystkie zalecenia, takie jak: dawanie jałmużny, wizyta i modlitwa w czterech bazylikach w ciągu jednego dnia, modlitwa w trzydziestu kościołach dla rzymian lub piętnastu kościołach dla osób spoza Rzymu, którzy muszą znosić trudy podróży. Ale uwaga! Niech nikt nie waży się oszukać Jezusa! Innocenty XII zarządził, że podczas tego jubileuszu dzień kościelny liczy się od zmierzchu do zmierzchu, a zatem wizyty w czterech bazylikach muszą się odbyć w tym czasie. W wyjątkowych wypadkach można uczynić to w ciągu doby, licząc od północy, jak dawniej. Nie od południa, co często czynią rzymianie, bo tak im wygodniej. Nie można przychodzić do kościoła zbyt wcześnie ani zbyt późno. Nieważna jest modlitwa odmawiana przed zamkniętymi drzwiami świątyni, by zaoszczędzić na jałmużnie dla księdza.

Kapelan przerwał i spojrzał na mnie. Spuściłem wzrok i czekałem na odpowiednią chwilę, żeby się pożegnać i wrócić do pracy, niepokieszony i wciąż dreczony wątpliwościami.

- Z tej przyczyny, mój chłopcze - dodał nieoczekiwanie, ścisząc głos - Kamera Apostolska bogaci się na jubileuszach, a biedni proboszczowie nie otrzymują ani grosza.

Popatrzyłem na don Tibaldua, pytając go wzrokiem o to, czego nie zdołałem powiedzieć: ile były warte prośby, które wierni wnosili do nieba podczas jubileuszy ustanowionych z niskich, materialnych pobudek?

- Dobrze - odparł na moje milczące pytanie.

Zrozumiałem, że odpowiedział mi w taki sam sposób, w jaki ja sta-



wiałem pytania, czyli niejasno. Dał mi znak, żebym poszedł za nim do zakrystii.

- Bóg jest miłosierny, chłopcze - rzekł, gdyśmy weszli do środka. - Na pewno nie jest tak surowy i mściwy, jak opisuje Stary Testament i ja kiemu pozostali wierni żydzi. Świadczy o tym taki drobny szczegół: jeśli nie popełniło się śmiertelnego grzechu, jedynie powszedni, uzyska się odpust jubileuszowy bez spowiedzi. Wystarczy akt skruchy dokonany we własnym sercu, czyli tak zwana spowiedź *in voto*, o której wspominałem. Ale to nie wszystko. Również w wypadku śmiertelnego przewinienia wystarczy wykonać zalecenia obowiązujące dla uzyskania odpustu w Roku Świętym, pod warunkiem że uczyni się to w stanie łaski, czyli po spowiedzi i okazaniu skruchy. Czy to wszystko miałoby sens, gdyby Nasz Pan nie był Nieskończonym Miłosierdziem?

Słusznie - pomyślałem, przypominając sobie przypowieść o pracownikach winnicy: ci, którzy przyszli najpóźniej, otrzymali pełne wynagrodzenie, jakby pracowali cały dzień. Czy nie oznacza to, że kiedy czynimy niewiele, Bóg daje nam dużo, a kiedy nie czynimy nic, daje nam wszystko?

- Z moralnego punktu widzenia odwiedzanie kościołów jest rzeczą dobrą, bo nawet ten, kto śmiertelnie zgrzeszył, zmierza w ten sposób do pojednania z Bogiem. A to jest najważniejsze - ciągnął kapelan. - Dam ci przykład. Kto w czasie jubileuszu popełni grzech powszedni, grzech ten nie zostanie mu odpuszczony, a wszystkie poprzednie - tak. W szczególności zaś kto podczas obchodzenia kościołów rozgniewa się, bo ktoś nadepnął mu na nogę, albo pomstuje na kogoś, kto go szturchnął, ale później opamięta się i żarliwie modli, to jego modlitwa i wizyta w kościele nadal zachowują moc. Podobnie jeśli modlący się mężczyzna zgrzeszy myślą na widok ładnej kobiety, ale zaraz opamięta się i porzuci brzydkie myśli - jego modlitwa nadal się liczy.

W zakrystii don Tibaldutio zaprosił mnie, bym usiadł, i zamknął za mną drzwi. Domyśliłem się, że chce wyjawić mi jakiś ważny sekret.

- Bóg chrześcijan, chłopcze, poświęcił swojego jedyne Syna dla naszego zbawienia - oświadczył - a Matka Boska podarowała świętemu Dominikowi różaniec, który odmawiamy dla odkupienia duszy. Swoimi świętymi rękami wykonała szkaplerz karmelitański, na który sam ślubowałem. Kiedy mamy go przy sobie, możemy być pewni, że Nasza Pani, Regina Mundi w świetlistej koronie, w pierwszą sobotę po naszej śmierci zabierze nas do czyśćca. Czy sądzisz, że my, zwykli śmiertelnicy, zasłu-

gujemy na to wszystko? Otóż nie, chłopcze, dzieje się tak z łaski miłosiernego Boga. To, że odmawiamy Ave Maria, nie ma znaczenia wobec życia wiecznego. Pan Bóg zna naszą małość i lenistwo, dlatego ofiarowuje nam raj na złotym talerzu w zamian za lichą monetę. W swojej nieskończonej miłości zadowala się najmniejszym dowodem naszej wiary i dobrej woli. Kiedy stawiamy chwiejne kroki w Jego kierunku, Ojciec Miłosierny wychodzi nam naprzeciw i podtrzymuje, obejmując ramionami.

Czekałem, aż don Tibaldutio przejdzie do meritum sprawy, ale nie dodał nic więcej. Otworzył drzwi od zakrystii i zaprowadził mnie pod posąg Madonny karmelitańskiej, gdzie wcześniej rozmawialiśmy. Udzielił mi błogosławieństwa, czyniąc znak krzyża na moim czole, po czym odszedł bez słowa.

Zastanowiwszy się nad sensem słów kapelana, zrozumiałem, że miłosierny Bóg udzielał jubileuszowego odpustu nawet tym, którzy popełnili grzech śmiertelny. Tym bardziej więc skłonny był wysłuchać niewinnych pątników, mimo że zwabili ich do Wiecznego Miasta ludzie żądni zysku.

Prawda, którą objawił mi don Tibaldutio, była wprawdzie wielka, ale znana i na tyle prosta, że mogła obrazić czyjeś dostojne uszy. Rozsądniej było zatem wypowiedzieć ją cichym głosem, przy zamkniętych drzwiach.

Podbudowany opuściłem kaplicę. Właśnie zmierzałem do teatru, kiedy usłyszałem odgłos energicznych, szybkich kroków, zdążających w moim kierunku.

- Maestro, proszę tędy.

Don Paschatio, zdyszany, wskazywał drogę wysokiemu, chudemu mężczyźnie, ubranemu na czarno, z szarym kosmykiem włosów opadającym artystycznie na czoło, błyszczącymi oczami i poważnym, zamyślnym wyrazem twarzy. Za nimi szedł muzyk (rozpoznałem go, ponieważ ubrany był podobnie jak pozostali członkowie orkiestry). Niósł dwa futerały ze skrzypcami, pod pachą trzymał dużą teczkę, zapewne z partyturami.

Szedłem za nimi aż do teatru, gdzie już czekali muzycy, zajęci strojeniem instrumentów. Ku mojemu zaskoczeniu orkiestra liczyła ponad sto

osób. Na widok don Paschatia w towarzystwie dwóch nieznanymi im osobników natychmiast ucichli. Mężczyzna w czerni wzbudzał szacunek, może nawet onieśmienie.

Z radością stwierdziłem, że miejsce dla orkiestry i ławki dla widzów z ciemnego wypolerowanego drewna zostały ukończone na czas. Jeszcze tylko dwaj stolarze przybijali obłuzowaną deskę. Na znak don Paschatia odeszli. Wysoki mężczyzna stanął na podwyższeniu pośrodku orkiestry.

Domyśliłem się, że to słynny Arcangelo Corelli, kompozytor i skrzypek. Słyszałem, że będzie dyrygował orkiestrą podczas uroczystości weselnych. Odcięty od świata, zajęty rodziną, pracą w willi i w polu, niewiele o nim wiedziałem. O „wielkim Corellim” opowiadał mi kiedyś chórzysta z Kaplicy Sykstyńskiej, który przyszedł do mnie któregoś dnia kupić winogrona. Jak twierdził don Paschatio, był to nie tylko wielki muzyk, ale nowy Orfeusz, znany w całej niemal Europie, którego sława miała trwać wiecznie.

Kiedy snułem wspomnienia, Corelli kazał sobie podać skrzypce i dwukrotnie uderzył smyczkiem o pulpit dyrygencki. Muzycy, posłuszni jak żołnierze, schwycili smyczki. Wszyscy trzymali je w takiej samej pozycji, tworząc jakby wielokrotne odbicie w lustrze. Trwali w identycznej pozycji, dzierżąc instrumenty: skrzypce, wiolonczele i wiolonczele. Panowała kompletna cisza.

- Corelli wymaga, by nie tylko grali jak jeden człowiek, ale także tak wyglądali. Nawet teraz, podczas próby - wyszeptał don Paschatio, sia dając obok mnie.

W głosie zarządcy wyczułem zaniepokojenie występem mistrza Corellego, zadowolenie, że był jego amfitrionem, ale też zmęczenie pełnionym obowiązkiem.

- Ma trudny charakter - ciągnął don Paschatio. - Nic nie mówi, tylko patrzy przed siebie. Myśli wyłącznie o muzyce, nie interesuje go nic innego. Dogaduje się ze zlecniodawcami za pośrednictwem muzyka, którego widziałeś razem z nim. To jego ulubiony uczeń i... no, wiesz, mistrz Corelli wszędzie z nim chodzi, nigdy nie był widziany w towarzystwie kobiety.

Rozbrzmiała muzyka, zamykając nam usta. Jakby porwani jakąś niewidzialną, niebiańską siłą, a nie gestem Corellego, muzycy zaczęli grać unisono koncert skomponowany przez maestra. Jakież było moje zdziwienie, kiedy rozpoznałem w nim folię.

Kolejny raz ten prosty, niemal elementarny motyw zaskakiwał mnie, ukazując swoją drugą naturę, delikatną i przymilną. Był jak piękna, dorodna wieśniaczka, która nie zna świata, ale zna się na ludziach, wzbudzając pożądanie bogatego pana bardziej niż jego własna małżonka, zamożna i wymagająca. Follia była właśnie taka: prosta i zdolna do wszystkiego. Osiem wyraźnych dźwięków, od *re* moll do *fa* dur (ale o tym dowiedziałem się później) i z powrotem do *re* moll. Na pierwszy rzut oka motyw bardzo niewinny, a zarazem pobudzający wyobraźnię.

Na początku follia, melodia ludowa, wydaje się aż nazbyt prosta, od *re* do *fa* i od *fa* do *re*. Taki też był utwór Corellego - zaczynał się prostymi akordami, ośmioma podwójnie modulowanymi dźwiękami, po czym następowały wariacje. Akordy najpierw podwajały się, w drugiej wariacji przechodziły w tercyny utrzymane w rytmie francuskim, w trzeciej przyjmowały formę arpeggio, w czwartej rozkładały się na skale, w piątej zmieniały się w tremola i komplikowały coraz bardziej, tworząc zabawne ozdobniki, dostojne kontrapunkty, dumne staccato, płaczliwe legato i tyśiące innych dźwięków, które przyprawiały słuchaczy o zawrót głowy. Chwilami tempo utworu stawało się wolniejsze, a tęskny, spokojny motyw pozwalał odpocząć publiczności i muzykom.

Z natłoku dźwięków wyłonił się temat początkowy, jakby odkrywając sens follii, która przez zmianę tonacji i wędrówkę od *re* do *fa* i z powrotem przypominała podróż między dwoma światami - zdrowia i szaleństwa. Odbyć tę podróż znaczyło zrozumieć ich sens. Od *re do fa, oófa do re*: żadna melodia nie podbije serc i umysłów bez ciągłej zmiany tonacji. Nie zdobędzie się mądrości - sugerowała - bez otarcia się o szaleństwo.

Mistrz Corelli wykonywał partię pierwszych skrzypiec. Dyrygował orkiestrą nieznacznymi ruchami głową, tak jak doświadczony jeździec prowadzi konia delikatnymi uderzeniami ostrogi. Odnosi się wrażenie, że mówi: „Zaufaj mi! Wiem, dokąd jechać!”

Słuchając muzyki, zupełnie jakby nuty były komentarzem do moich myśli (choć zwykle bywa odwrotnie), poczułem słodko-kwaśny smak przeszłości, wydarzeń ostatnich siedemnastu lat dzielących mnie od poprzedniego spotkania z Attem, jego nauk na temat dyplomacji i rządu. Tak jak za sprawą malarza została uwieczniona na portrecie w „Okręcie” twarz młodej Marii Mancini, tak nauki Atta na zawsze wryły mi się w pamięć.

Corelli dał się ponieść dźwiękom. Już nie dyrygował. Grał w skupieniu, głaszcząc smyczkiem trzecią strunę, potem pierwszą, z lekkością, nonszalaną niemal, jakby grał tylko dla siebie. Nie była to jednak mi-

łość własna. Orkiestra podążała za nim posłusznie, rzucając w kierunku dyrygenta szybkie spojrzenia, przypominające uderzenia wiosł, które tak jak łódkę utrzymywały utwór w równowadze, pozwalając mu to spokojnie płynąć, to znów przyspieszać i ponownie zwalniać. Dźwięki wydobywane z tyłu instrumentów - pomyślałem - brzmiały tak, jakby grał jeden skrzypek.

Przypomniałem sobie pierwszą przygodę, którą przeżyłem z Attem, jego lekcje moralności, wspaniałą, acz zapomnianą dziś muzykę mistrza Luigiego Rossiego...

Słodkie dźwięki obudziły wspomnienia, roztaczając nade mną srebrzyste cienie przeszłości, miałem wrażenie, że z litościwych dłoni Euterpe spływa na mnie zrozumienie prawdziwego sensu istnienia, a nozdrza pieści woń nasturcji z pobliskiego kwietnika. Dostrzegłem cel, do którego zmierzał ten wspaniały żaglowiec dźwięków - po siedemnastu latach los wzywał mnie, dorosłego mężczyznę, już nie chłopca, bym stanął u boku opata Melaniego, dał dowód odwagi, przymiotów serca oraz intelektu i odbył kolejną niebezpieczną podróż, wiodącą do cnoty i poznania. Później miałem się przekonać, że w taki nastrój wprowadziła mnie i do takich wniosków doprowadziła muzyka - zjawisko, które nie potrzebuje słów ani myśli, przemawia za pośrednictwem fletów i klawesynów i kpi sobie z nas wszystkich.

Kiedy brzmiał jeszcze ostatni cichy akord, złudne cienie moich rozmyślań przegonił czyjś głos.

- Na niebiosa! Gdzieś ty się podziewał?

To była Cloridia. Wyczytała z mojej twarzy, że spędziłem noc pełną przygód, i patrzyła na mnie z niemym wyrzutem. Dałem jej znak, byśmy oddalili się od amfiteatru. Pociągnąłem ją w stronę zarośli w północnej części ogrodu, tuż przy murze okalającym willę. Było to jedyne miejsce, gdzie mogliśmy się ukryć. W willi Spada panował bowiem olbrzymi ruch, tak że pod naszym bukiem narażeni byłibyśmy na niedyskretne spojrzenia. Opowiedziałem żonie o wydarzeniach ubiegłej nocy.

- Wszyscy trzej oszaleliście: ty, Waligóra i Melani - powiedziała głosem, w którym pobrzmiwał wyrzut, a zarazem ulga, że byłem cały i zdrow. Objęła mnie mocno i przez kilka chwil staliśmy tak, przytuleni do siebie. Zapach jej skóry mieszał się z wonią trzciny. Miałem nadzieję, że nie było już ode mnie czuć gnojem. - Mam mało czasu. Księżna Forano chce, bym stale przy niej była. Niedomaga, cierpi na częste omdle-

nia i gorączkę. Krótko mówiąc, boi się porodu, mimo że będzie to jej czwarte dziecko.

- Dlaczego mąż księżnej zgodził się, by towarzyszyła mu do willi Spada, wiedząc, że w każdej chwili może zacząć rodzić?

- On o tym nie wie, myśli, że to dopiero szósty miesiąc... - powiedziała Cloridia z porozumiewawczym uśmiechem. - Księżna bardzo chce wziąć udział w weselu, bo panna młoda jest jej przyjaciółką. Nie udało mi się namówić księżnej, żeby wróciła do domu. Posłuchaj, co ci mam do powiedzenia.

Usiedliśmy za rzędem trzcin, płosząc wróble. Cloridia zdobyła, tak jak obiecała, kilka ciekawych informacji. Kilka tygodni temu odbierała bliźniaczy poród pokojówki ambasadora Hiszpanii. Młoda matka była wdzięczna Cloridii, że zdołała uratować dzieci (o imionach Natalia i Jose), które podczas porodu zaplątały się w pępowinę. Moja żona włożyła rękę do przewodu macicy i zastosowała słynny chwyt siegemundin, ratując bliźniaki przed uduszeniem się. Młoda matka, która już dwukrotnie poroniła, z wdzięczności zaprzyjaźniła się z Cloridia.

- Powiedziałam jej, co spotkało opata Melaniego i introligatora. Pragnąc zachęcić ją do mówienia, napomknęłam, że w sprawę zamieszani są Hiszpanie, i poprosiłam, żeby opowiedziała mi, co ciekawego ostatnio słyszała. A ona na to: „Jezu, Cloridio, niech się pani modli za męża i za waszego pana, kardynała Spadę!”

- A dlaczego to?

Pokojówka wyznała Cloridii, że któregoś dnia niechcący (a trochę też specjalnie) podsłuchiwała pod drzwiami ambasadora, księcia Uzedy, że w Rzymie prowadzone są jakieś polityczne machinacje, w wyniku których miała się rozstrzygnąć przyszłość Hiszpanii i świata.

- O tym samym czytałem w listach wdowy po konstablu Colonnii - wtrąciłem.

- Dobrze zrobiłeś, zaglądając do tych listów. Jestem z ciebie dumna. Opat zasłużył sobie na to - roześmiała się Cloridia. Miała na myśli dziennik, który ukradł mi Melani.

Cloridia zawsze uszczypliwie wyrażała się o opacie. Nie ufała mu (jak nie przyznać jej racji?) i miała o nim jak najgorszą opinię. Złościło ją to, że opat w ogóle nie zwraca na nią uwagi. Choć wiedział, że jest w willi Spada, nie chciał się z nią zobaczyć, włączyć do naszych poszukiwań czy zapytać o radę lub zdanie. Ona zaś nie pojmowała, że można obejść się bez jej cennych wskazówek, narażając się tym samym na niebezpie-

czeństwo. Nie poszła jednak do opata, by zaproponować mu swoją pomoc. Byłem też pewien, że gdy dostrzegą jego postać w ogrodach willi Spada, unikała spotkania z nim. Tak samo postępował Melani. Krótko mówiąc, moja żona i opat odplacali sobie tą samą monetą.

- Czego jeszcze się dowiedziałaś?

- Pokojówka ambasadora powiedziała, że Katolicki Król jest ciężko chory i wkrótce umrze. Być może Hiszpania zwróci się o pomoc do papieża. W ambasadzie boją się, że mogą zostać posądzeni o szpiegostwo. Dowiedziała się od swoich koleżanek, że wśród Hiszpanów w Rzymie krąży pewna pogłoska.

- Jaka?

- Że do Hiszpanii przybędzie Tetrachion.

- Tetrachion? A kto to taki?

- Pokojówka nie wie. Podobno chodzi o prawowitego następcę tronu hiszpańskiego.

- Prawowitego następcę tronu?

- Tak się wyraziła. Pytała mnie, czy wiem coś na ten temat, ale ja usłyszałam o tym właśnie od niej. A ty?

- Ja też nigdy o nim nie słyszałem. Wdowa po konstablu również o nikim takim nie pisała. Ale jaki związek ma Tetrachion z napaścią na opata Melaniego i śmiercią introligatora?

- Nie mam pojęcia. Jak już wspomniałam, żeby sprowokować pokojówkę do mówienia, powiedziałam jej, że w sprawę zamieszani są Hiszpanie. A ona na to, że przybycie Tetrachiona przyniesie same nieszczęścia i że napad na Melaniego i introligatora to dopiero początek.

- Jak sądzisz, powie coś jeszcze?

- Nie, bardzo się boi. Ale wiesz, jak to jest: plotki szybko się rozchodzą. Przypuszczam, że za jakiś czas dotrą do mnie nowe wieści na temat Tetrachiona. Tymczasem, proszę, uważaj na siebie! Nie zawsze będziesz miał tyle szczęścia co minionej nocy.

- Wiesz, że robię to dla nas - powiedziałem poważnym tonem, czyniąc aluzję do wysokiego zarobku. Atto sporo mi zapłacił za napisanie relacji z jego pobytu w Rzymie.

- Postaraj się więc wyjść z tego cało. Nie chciałabym zostać wdową. Nie daj się wykorzystywać. Zapłacił ci za kronikę, a nie za poszukiwanie skradzionych dokumentów.

- Nie zapominaj, że ktoś podał mi narkotyk i włamał się do naszego domu. Nie pozwolę, by to się powtórzyło - próbowałem się bronić.

- Powtórz się, jeśli nadal będziesz się zadawał z Melanim. Nie zapominaj o zasadzie, która mówi, że kto ma pieniądze, ten wygrywa.

Clordia miała rację. Przytaczając to ironiczne przysłowie, powiedziała właściwie wszystko. Nie było potrzeby, bym brał udział we wszystkich machinacjach opata. Zapłacił mi za jedną usługę - pisanie kroniki - za następne należy mi się gratyfikacja. Ubiegłej nocy sam się wyrwałem i poszedłem z Waligórą, narażając życie. Co stałoby się z moją rodziną, gdybym zginął? Clordia nie poradziłaby sobie sama z wychowaniem dziewczynki. Nie, nawet śledzenie Melaniego, którego podjąłem się ze względu na mojego pana, kardynała Spadę, nie było warte takiego ryzyka.

- Niepokoilem się o ciebie, mój chłopcze.

Opatowi Melanemu źle wychodziła rola dobrego ojca. Siedział w fotelu, masując sobie ramię. Ledwo skończyłem rozmawiać z Clordią, już przysłał po mnie Buvata. W apartamencie znów panował porządek.

- Widziałem się z Waligórą - ciągnął. - O wszystkim mi opowiedział. Byłeś bardzo dzielny.

Przez chwilę milczałem, po czym powiedziałem podniesionym głosem:

- I to wszystko?

- Słucham?

- Pytam, czy to wszystko! Narażałem życie, a pan mówi: „Byłeś dzielny”. Tylko tyle? - dodałem, niemal krzycząc.

Opat poderwał się z fotela i położył mi dłoń na ustach.

- Do licha! Ktoś może usłyszeć...

- To niech mnie pan nie traktuje jak głupca! Jestem ojcem rodziny, nie mam najmniejszego zamiaru narażać życia dla marnej zapłaty.

Atto chodził nerwowo wokół mnie. Mówiłem bardzo głośno, na zewnątrz na pewno wszystko było słyhać.

- Marnej zapłaty? To niewdzięczność. Sądziłem, że jesteś zadowolony z naszej umowy.

- Ale w naszej umowie nie było mowy o narażaniu życia! - krzyknąłem.

- Dobrze już, dobrze, mów trochę ciszej! - powiedział tonem kapitulacji. - Na wszystko jest jakiś sposób.

Melani usiadł, zapraszając mnie gestem, bym zajął miejsce w fotelu



stojącym naprzeciw niego, dając do zrozumienia, że traktuje mnie jak godnego siebie partnera.

Tak więc przyszedłem tu, żeby zerwać umowę, a osiągnąłem coś wręcz przeciwnego. Jak zwykle, gdy w grę wchodziły sprawy finansowe (czytaj : płacić miał Melani), opat wyrażał się krótko i węzłowato, z nutą rozgoryczenia w głosie. Zgodnie z nową umową, wykonując polecenia Arta, pomagając mu i podejmując działania niezbędne do napisania kroniki, za co zapłacił mi z góry, miałem uczynić wszystko, by nie narażać się na niebezpieczeństwo życia ani zdrowia. Umowa przestawała obowiązywać z chwilą wyjazdu Melaniego z willi Spada lub w wyznaczonym przez niego i niepodlegającym dyskusji terminie.

Te dość skomplikowane sformułowania oznaczały tylko tyle, że miałem służyć opatowi z jeszcze większym zaangażowaniem, narażając się i, o ile to możliwe, nie stracić przy tym życia. Wyrażenie „o ile to możliwe” ciążyło mi jak kamień.

W zamian Atto obiecał mi wcale niemało:

- Nie tylko pieniądze, ale też domy, grunty, gospodarstwa. Dam wyprawę twoim córkom. Bogatą wyprawę. A kiedy mówię „bogata”, nie kłamię. Za kilka lat będą panienkami na wydaniu. Nie chcę, żeby znalazły się w trudnym położeniu - oznajmił, udając hojność, którą na nim wymusiłem. - Mam kilka majątków w Wielkim Księstwie Toskanii. Są dużo warte, bardzo rentowne. Po uroczystościach weselnych pójdziemy do notariusza i przepisujemy na ciebie kilka posiadłości albo dochód z nich, zobaczymy, co się bardziej opłaci. Nic nie będziesz musiał robić, a twoje córki otrzymają wiano. Mam nadzieję, że to im wystarczy, by znaleźć męża, choć do tego potrzebna jest też pomoc Najwyższego.

Poprosił mnie, żebym wstał, po czym objął mnie mocno, jakby tym gestem pragnął przypieczętować naszą przyjaźń. Nie protestowałem. Byłem zbyt zajęty rozmyślaniami o skutkach naszej umowy. Mogłem zapewnić moim dziewczynkom - córkom człowieka pracy i akuszerki - godną przyszłość, a nawet zamożność. Czym prędzej przystałem na propozycję Melaniego, na którą nie byłem przygotowany, ale bałem się stracić tak wyjątkową okazję. Dręczyły mnie setki pytań i wątpliwości, zastanawiałem się, czy nie przypłacę tego życiem. Czy coś (choroba, śmierć, nagły wyjazd) mogło przeszkodzić Melaniewi w dotrzymaniu obietnicy? A może mnie po prostu oszukiwał? W tę ostatnią możliwość zbytnio nie wierzyłem: jeśli chciałby mnie oszukać, nie zapłaciłby z góry za kronikę. A tymczasem zapłacił, i to dużo. Na wszelki wypadek zapytałem:

- Panie Atto... Czy nie byłoby lepiej wyrazić to na piśmie?
- Opuścił ręce poza poręcze fotela, jakby nagle poczuł się wyczerpany.
- Biedny chłopcze! Jakiś ty naiwny! Myślisz, że pisemny kontrakt pomógłby ci dochodzić praw w sądzie i otrzymać to, co ci obiecałem?
- Ja... - wybełkotałem zawstydzony, bo zupełnie nie znałem się na kwestiach prawnych.
- Mój chłopcze! Naucz się w końcu żyć i myśleć jak człowiek światowy! - zganiał mnie. - Naucz się patrzeć w oczy ludziom, z którymi się układasz, ponieważ musisz zdać się na intuicję. To od niej zależy twój sukces albo porażka. W przeciwnym razie każdy interes będzie dla ciebie zagadką, każdy kontrakt - tajemnicą.
- To powiedziałwszy, zamilkł, nie wiedząc, czy oburzyć się, że zaproponowałem mu sporządzenie kontraktu, czy współczuć mi za brak światowej oglądy.
- Rozumiem twoje obawy - przyznał opat Melani.
- Chwycił papier i pióro, zapisał złożoną przed chwilą obietnicę i wręczył mi kartkę. Melani zobowiązywał się do zapewnienia posagu moim córkom w postaci pieniędzy lub posiadłości, które zostaną przepisane na mnie w obecności notariusza. Zapewnił, że przedstawiają dużą wartość.
- Może być? - zapytał oschle.
- Tak, sądzę, że tak, panie Atto, dziękuję...
- Nie ma za co - odparł i zmienił temat rozmowy. - O czym to ja mówiłem? Aha, już wiem! Waligóra dokładnie mi opisał wczorajsze wydarzenia. Mam pytanie: pamiętasz, co powiedział ci cerretanin na tarasie?
- Treklamiesz czy coś w tym rodzaju. Nie, teraz sobie przypominam: treklatremiesz - powiedziałem po chwili.
- Dobrze się spisałeś.
- Dziękuję. Szkoda tylko, że to się na nic nie zdało.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nie udało się nam odzyskać ani lunety, ani relikwii, ani dokumentów, zdobyliśmy jedynie połamany mikroskop, czyli właściwie nic.
- Nic, mówisz? Ale dowiedzieliśmy się o Niemcu.
- Tak naprawdę nic o nim nie wiemy, nawet tego, czy istnieje - zauważyłem.
- Zapewniam cię, że wasze wysiłki nie poszły na marne. Zgadzam się z Waligórą, trafiliśmy na ważny ślad. W Rzymie jest ktoś taki jak Niemiec, który kolekcjonuje przyrządy optyczne i relikwie, co więcej, jest związany z cerretanami. Wiemy już, kogo szukać. Natomiast zupełnie

bym się nie przejmował ich tajemnym językiem. Jeśli nie zdołamy go rozszyfrować, nauczymy cerretan mówić po naszymu, cha, cha, cha!

Atto rzadko bywał takim optymistą. Przypuszczałem, iż po prostu chciał mnie udobruchać, żebym mu nadal służył.

- Waligóra powiedział, że nikt nie wie, gdzie szukać Niemca - zauważyłem.

- Zawsze można wytropić takiego podejrzanego typu, trzeba tylko znać jego prawdziwe nazwisko. Niemiec to tylko przydomek - odparł.

Na te słowa przypomniałem sobie dziwne imię, o którym wspomniała Clordia i które jej zdaniem mogło zainteresować Melaniego.

- Panie Atto, czy słyszał pan kiedyś o Tetrachionie?

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Jak się okazało, był to Waligóra. Wszedł, nie czekając na zaproszenie. Jego twarz również nosiła ślady nieprzespanej, burzliwej nocy.

- Zdobyłem pewne informacje. Byłem w pałacu gubernatora - oświadczył. - Nikt nic nie wie o lunecie. Mam natomiast wieści o muszkietoskopie.

Waligóra pokazał resztki przyrządu optycznego swoim kolegom, którzy od razu skojarzyli go z kradzieżą sprzed kilku dni. Mikroskop był własnością pewnego uczonego Holendra, okradzionego ze wszystkiego, co miał w swoim pokoju w gospodzie przy placu Hiszpańskim.

- Złodzieje otworzyli drzwi kluczem. Nie było śladów włamania ani niczego, co mogłoby wskazać sprawców.

- Ciekawe - zauważył Atto. - To ulubiona metoda naszego złodzieja.

- Dzisiaj jest ślub - ciągnął żandarm. - Nie będę się mógł stąd ruszyć. Musimy poczekać do wieczora. Chciałbym zadać kilka pytań pewnym osobom. Zobaczymy się po uczcie weselnej. Ty, chłopcze, pójdziesz ze mną!

Spojrzałem na Atta z wahaniem.

- Nie - powiedział, wyczuwając mój lęk. - To dotyczy mnie, zatem... pójdę z wami.

Atto sprytnie mnie podszedł. Clordia wolałaby zapewne, żebym przestał włóczyć się po nocach w sprawach Melaniego. Tymczasem on zaproponował Waligórze, że pójdzie z nim, ale też ze mną! No bo skoro zadania podejmował się starszek taki jak on - pomyślałem z zawstydzeniem - mogę to uczynić i ja.

Żandarm wyjaśnił nam cel wyprawy.

- Interesujące - skomentował Atto.

- Kto ci o tym powiedział? Od kogo się dowiedziałeś? - zaatakował mnie Melani, gdy zostaliśmy sami.

Schwycił mnie za kołnierz i przycisnął do ściany. Atto nie był zbyt silny, ale niespodziewany atak, połączony z szacunkiem, jakim go darzyłem, i zmęczeniem po nieprzespanej nocy, uniemożliwił mi jakąkolwiek obronę.

- No, mów! - krzyknął, patrząc mi w oczy.

Spojrzał kątem oka za siebie, w kierunku drzwi, obawiając się, że ktoś mógł go usłyszeć. Zwolnił uścisk, a ja, przytrzymując go za chude nadgarstki, żeby mnie nie udusił, zdołałem się oswobodzić.

- Co w pana wstąpiło? - zapytałem wzburzony.

- Musisz mi powiedzieć, od kogo słyszałeś o Tetrachionie - powiedział stanowczym, lodowatym tonem, jakby pragnął odzyskać utraconą własność.

Powiedziałem, że pokojówka ambasadora, z niejasnych dla mnie przyczyn, połączyła napaść na Atta i śmierć introligatora z nadejściem tajemniczego Tetrachiona, prawowitego spadkobiercy tronu hiszpańskiego. Wspominając o chorobie Katolickiego Króla, umierającego bezpotomnie, musiałem bardzo uważać, żeby nie zdradzić się, iż o wszystkim dowiedziałem się z listów Marii.

- Widzę, że orientujesz się w sprawie sukcesji hiszpańskiej. Najwyraźniej znowu czytujesz gazety - skomentował.

- Hm, tak, panie Atto. Moja żona ma nadzieję, że w najbliższych dniach dowie się czegoś więcej - oznajmiłem, tuszając, że to go uspokoi.

- Nie wątpię. Nie sądzę, że mi się wywiniesz - rzekł zimno.

Czułem się zawiedziony: wyświadczyłem mu tyle przysług, a on traktował mnie jak zdrajcę.

- No więc kim lub czym, do licha, jest ten Tetrachion? - zapytałem.

- Nie w tym rzecz.

- A w czym?

- W tym, że nie wiadomo, gdzie on teraz jest.

To powiedziałwszy, otworzył drzwi i wyszedł, dając mi znak, bym mu towarzyszył.

- Nic nie trwa wiecznie - oświadczył.

Zmierzałem do wyjścia z willi Spada, przeciskając się przez rozbiegany, chaotyczny tłum robotników, krawcowych, tragarzy i lokajów. Opat postanowił odpowiedzieć na moje pytanie za pomocą faktów. Prowadząc mnie w nieznanym kierunku, powrócił do przerwanej poprzedniego dnia opowieści.

W miarę jak król Ludwik dorastał - opowiadał Atto - słabła pozycja Mazzariniego. Wiedział, że nie może w nieskończoność utrzymywać władcy w stanie błogiej nieświadomości co do spraw państwowych. Do tej pory miał nieograniczoną władzę, ale jaką rolę będzie odgrywał teraz, u boku młodego, pełnego energii króla? Mazzarini zastanawiał się nad tym podczas długiej jazdy kareta, przyjmując postulantów, w chwilach wolnych od pracy lub kiedy leżał już w łóżku, czekając na sen. Mimo skarg królowej matki nie ruszył palcem, by rozdzielić króla i swoją siostrzenicę Marię...

- Król był uważnym obserwatorem. Milczenie kardynała uznał za znak przyzwolenia. Gdyby Ludwik postanowił się ożenić, Mazzarini nie życzyłby sobie widzieć Marii w roli kochanki.

- Krótko mówiąc, Ludwik łudził się, że Mazzarini pozwoli mu poślubić Marię - wywnioskowałem.

- Był tego prawie pewien. Któregoś dnia nazwał Marię „swoją królową”, co oburzyło cały dwór, z królową matką na czele. Ludwik w ogóle się tym nie przejął. Odkupił od królowej Anglii wspaniałą naszyjnik z pereł, który pragnął podarować Marii w prezencie zaręczynowym. Rok później król Anglii Karol II Stuart poprosił Mazzariniego o rękę młodszej siostry Marii, Hortensji. Negocjacje ślubne zakończyły się wprawdzie fiaskiem - ponieważ brytyjski władca oprócz pieniędzy zażądał w posagu Dunkierki, a na ten warunek Mazzarini nie mógł przystać - ale w Ludwika wstąpiła nadzieja.

Na dworze śledzono zakochaną parę i donoszono o każdym westchnieniu Annie Austriaczce. Ciężka uwaga Marii, jedno zdanie za dużo lub jej spontaniczny śmiech w relacjach dworzan zmieniały się w impertynencję, obelgę, którą należało głośno napiętnować. Kiedy z kolei młody król rzucił przelotne spojrzenie na którąś z dworek, wszyscy bardzo się cieszyli, patrząc z pogardą na Marię.

Pewnego dnia nakłoniono króla do podróży do Lyonu, gdzie miał

poznać kandydatką na żonę, Małgorzatę Sabaudzką. Ludwik wyruszył w drogę, zabierając ze sobą Marię. Spotkań z królową matką unikał, jak mógł.

Podczas postojów brał udział w występach baletu, które odbywały się w porze kolacji. Ludwik spożywał zwykle obfity posiłek po południu, aby nie jadać wieczerzy z matką. Później grywał w karty z Marią.

Tymczasem wyszliśmy z willi Spada, kierując się w stronę bramy San Pancrazio.

Podczas spotkania z Małgorzatą Sabaudzką - ciągnął Atto - Ludwik pozostał niewzruszony jak głaz. Patrzył tylko na Marię. Byli nierozłączni. Podczas podróży najpierw jechał konno za jej karetą, później na koźle obok woźnicy, na koniec obok Marii jako pasażer. W księżycowe noce przechadzał się pod oknami siostrzenicy Mazzariniego. Występy komediantów zawsze oglądał z siedzącą obok niego Marią, na specjalnie przygotowanej trybunie. Osoby towarzyszące zwykle zakochanym w spacerach zostawały z tyłu, by im nie przeszkadzać. Na dworze o niczym innym się nie mówiło. Tymczasem kardynał i królowa matka milczeli. Nie protestowali. Cały dwór był oburzony nieuprzejmością młodego króla. Negocjacje w sprawie zaślubin zakończyły się niepowodzeniem, nieszczęsna Małgorzata płakała z upokorzenia. Niespodziewanie przybył tajny wysłannik z Madrytu. Hiszpański król zaproponował Ludwikowi rękę swojej córki, infantki Marii Teresy.

- Jestem pewien, że prowadził pan dziennik tych wydarzeń - powiedziałem, nie kryjąc ciekawości, wiedziałem bowiem, że Atto miał zwyczaj zbierać informacje, by czynić z nich później użytek.

- Jaki znowu dziennik! - fuknął zniecierpliwiony. - Odbywałem oficjalną misję dyplomatyczną ze świtą kardynała Mazzariniego, który miał doprowadzić do pokoju pirenejskiego z Hiszpanią. Wszystkiemu uważnie się przyglądałem, nic więcej. To należało do moich obowiązków.

Po powrocie dworu do Paryża, w lutym 1659 roku, Ludwik postanowił uczcić niepowodzenie misji wyswatania go z Małgorzatą Sabaudzką.

- Szkoda, że nie mogłeś widzieć tego przyjęcia, modnych strojów *echancres*, na modłę wieśniaków z Bressannes - orszak królewski przejeżdżał tamtędy w drodze do Lyonu - tych *manchettes* i *collerettes en toile ecru*, a la verite un peu plus fine - opowiadał Atto ze złośliwym uśmiechem, wtrącając francuskie słowa. - Żałuj, że nie widziałeś

*mademoiselle* i *monsieur* ubranych *en toile d'argent* z różowymi *passerols, tabliers* i *pieces de corsage* z czarnego aksamitu ze złotymi i srebrnymi *dentelle*, różowymi, białymi i rudymi piórami na kapeluszach! *Mademoiselle* była obwieszona perłowymi naszyjnikami i diamentami.

Były tam też *mademoiselle* Villeroy *paree* diamentami i *mademoiselle* Gourdon pokryta szmaragdami. Towarzyszyli im księżę Roquelaure, hrabia Guisa, markiz Villeroy, pełen życia Puyguilhem (późniejszy słynny hrabia Lauzun), także ubrani w stylu wieśniaków z Bressannes. W ten oto sposób bożek miłości zakpił sobie z niedoszłych zaślubin Ludwika z Małgorzatą Sabaudzką.

- A co z propozycją ślubu z infantką hiszpańską?

- Pertrakcje jeszcze się nie zaczęły. Hiszpanie i Mazzarini utrzymywali potajemne kontakty, które dopiero po pewnym czasie wyszły na jaw. Nic nie było jeszcze ustalone - mówił Atto w zamyśleniu, kiedy pod czujnym okiem strażników mijaliśmy bramę San Pancrazio. - Odnosiłem wrażenie, że kardynał pragnie zawrzeć pokój z Hiszpanią na warunkach korzystnych dla siebie, ale nie w drodze małżeństwa Ludwika z infantką. Tak sądziłem do czasu, gdy...

- Gdy?

W marcu 1659 roku zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Do Paryża przybył don Juan Austriacki, nieślubny syn króla Hiszpanii.

- Przyjechał z Flandrii, której był gubernatorem, a zmierzał do Hiszpanii. Bardzo dobrze pamiętam tamte dni. Don Juan przybył incognito, o zmierzchu. Na dworze zapanowało duże zamieszanie. Królowa Anna przyjęła go w swojej komnacie. Byłem przy ich rozmowie.

Don Juan był drobnym, nieco zaokrąglonym mężczyzną, z piękną głową i czarnymi włosami. Miał szlachetne rysy twarzy. Ubrany był w szary francuski *justaucorps*. Królowa traktowała go konfidencjonalnie, w jego obecności rozmawiała wyłącznie po hiszpańsku. Przedstawiła mu młodego króla Ludwika. Don Juan, syn króla Filipa Hiszpańskiego i aktorki, był niezwykle dumny ze swojego pochodzenia. Zachowywał się z przesadną wyniosłością, wprawiając w zakłopotanie i zrażając do siebie wszystkich członków dworu.

- Podobnie zachowywał się też następnego dnia - opowiadał Atto - spędziwszy noc w apartamencie Mazzariniego, co było niewątpliwym zaśczytem. Don Juan udał się do Luwru, gdzie został uprzejmie przyjęty przez Annę i kardynała. *Monsieur*, brat króla, użył mu własnej straży, nie otrzymując w zamian słowa podziękowania. Wszyscy byli zaskoczeni

arogancją Bękarta. Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co stało się później.

- Doszło do jakiegoś incydentu dyplomatycznego?

Atto westchnął głęboko i spojrzał w górę, jakby próbował sobie przypomnieć.

- Niezupełnie... Chodziło raczej o coś innego, o czym wie tylko garstka osób.

- Proszę się nie martwić, nikomu nie pisnę słowa - zapewniłem.

- Milcz także dla własnego dobra.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Wszystkie tajne informacje mogą się okazać niebezpieczne.

Tymczasem pokonaliśmy duży odcinek ulicy San Pancrazio. Domyślałem się, dokąd idziemy, a pewność zdobyłem w chwili, gdy Atto zatrzymał się przed bramą.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Atto, zapraszając mnie, bym razem z nim wszedł na teren willi „Okręt”.

Ponownie znaleźliśmy się na pięknym dziedzińcu. Do naszych uszu dochodził przyjemny szmer fontanny. Wszystko wskazywało na to, że w pałacu nadal nikogo nie ma. Nie słyszeliśmy muzyki ani żadnego innego odgłosu, zdolnego pobudzić wyobraźnię.

Szliśmy przed siebie w stronę zadrzewionych alei, które już raz przemierzaliśmy, idąc wzdłuż szpaleru drzewek cytrusowych. Po hałasie, jaki panował w willi Spada, cisza „Okrętu” usposobiła Melaniego do wynurzeń. Delikatne podmuchy wiatru pieściły korony drzew - jedynych świadków naszej rozmowy. Kiedy przechodziliśmy przez ogród, opat Melani podjął opowieść.

Don Juan - Bękart, jak go nazywano - miał w swojej świecie dziwną istotę, kobietę o przydomku Capitor.

- Było to przeinaczenie, w rzeczywistości bowiem nazywała się *la pitora*, czy coś w tym rodzaju, co po hiszpańsku znaczy bodajże „idiotka”.

Capitor była obłąkana. Nie była jednak zwykłą wariatką. Opowiadano, że należała do rodu jasnowidzów, którzy w niedorzecznych przywidzeniach dostrzegają przebliski tajemnych prawd. Bękart uczynił z Capitor



rodzaj oswojonego zwierzęcia, zabawkę dla prymitywnych żołnierzy, niekiedy też dla panów.

- Sława jasnowidzącej dotarła do Paryża - ciągnął Atto. - Kiedy więc Bękart przyjechał do stolicy, pytano, czy ją ze sobą przywiózł.

Capitor przybyła do Luwru ubrana w męski strój. Miała krótkie włosy, nosiła kapelusz z piórem i szpadę. Była zezowata. Żółta, ospowata twarz, zakrzywiony nos i szczyrby między zębami czyniły z niej okaz wyjątkowej brzydoty, którą dodatkowo podkreślała gruszkowata budowa ciała - drobne, wąskie ramiona i szerokie biodra. Zawsze pojawiała się w otoczeniu ptaków - szczygłów, papug, kanarków i tym podobnych - które siadały jej na plecach i na szerokim rondzie kapelusza.

- Na czym polegała jej wyjątkowość? - zapytałem z zaciekawionym.

- Całe dni spędzała w Luwrze - odparł Atto - gdzie królowa matka, król i jego brat zabawiali się, żartując sobie z niej. Często mówiła do rymu, wygłaszała bezsensowne zagadki, śmieszne wierszyki. Śmiała się bez powodu w samym środku uczty czy przemówienia członka dworu, tak jak to czynią szaleńcy. Jeśli ktoś jednak czynił jej wyrzuty, natychmiast posepniiała, pokazywała na niego palcem i rzucała niezrozumiałe, groźnie brzmiące przekleństwa. Po chwili wybuchała śmiechem, drwiąc sobie (ku ogólnej wesołości) z tego, który odważył się ją zganić. Niekiedy grywała na kastanietach i tańczyła jak hiszpańscy Cyganie. Tańczyła bez akompaniamentu, z zapalem, jakby odbywała jakiś tajemny obrządek. Po ostatnim piruecie, spocona i zdyszana, padała na ziemię z ochryplym krzykiem. Wszyscy bili jej brawo, ulegając urokowi niezwykłego spektaklu.

Z chwilą przybycia tej dziwnej istoty na dworze zapanowała niecodzienna atmosfera. I choć początkowo wszyscy sądzili, że będą mogli zabawić się kosztem Capitor, z czasem poddawali się jej dziwnemu urokowi i fantazji. Z dwoma wyjątkami.

- Wariatka nie była dobrym kompanem do rozmowy. Co więcej, w ogóle nie dawało się z nią porozumieć. Kiedy było jej smutno, sie działa cicho w kącie i nie było sposobu, żeby zamienić z nią choćby jed no słowo. Zdarzało się też, że tylko czekała na pytanie w rodzaju: „Ładna dziś pogoda, nieprawdaż?” Jeśli miała akurat dobry humor lub spodobał się jej rozmówca, odpowiadała, ale w zupełnie bezsensowny sposób, mówiąc na przykład: „Pogoda nie ma związku z czasem, w przeciwnym razie musiałyby dostosować się do tych, którzy go już nie mają, lub pozwolić im umrzeć w ich nieczasie. Ja nie umrę, ponieważ już

tkwią w swoim nieczasie. Ty natomiast żyjesz w dzisiejszym czasie, który wydaje ci się piękny, ponieważ sądzisz, że go widzisz, a tak naprawdę widzisz nicosć nieczasu. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym?"

- To jakiś bełkot!

- Otóż to! Ale uwierz mi, że kiedy Capitor wypowiadała te dziwne zdania, jej rozmówca był tak zdezorientowany, że dopatrywał się w nich ukrytego sensu, znanego tylko jej. I słusznie.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Szalona Capitor miała pewne... jak by to powiedzieć? Pewne nadzwyczajne zdolności. Zaraz ci to wyjaśnię. Kiedy pytano ją, gdzie się podział przedmiot, który ktoś zgubił, Capitor w mgnieniu oka go znajdowała.

- Wjaki sposób?

- Myślała o nim intensywnie, po czym pewnym krokiem szła w stronę szafy czy biurka i odnajdywała zgubę.

- Święte nieba! Ale jak...

- Na tym nie koniec. Capitor potrafiła odgadnąć treść zapieczętowanego listu lub nazwiska osób, które widziała pierwszy raz w życiu. Miewała prorocze, niezwykle szczegółowe sny, które się później sprawdzały. Kiedy grała w karty, zawsze wygrywała, ponieważ, jak twierdziła, umiała odgadywać z twarzy graczy, jakie karty trzymają w ręku.

- To przypomina czary.

- Masz rację. Nikt jednak nie wymówił tego słowa, żeby nie wywołać skandalu. Wszyscy traktowali Capitor jak dziwaczną zabawkę ku rozrywce żołnierzy Bękarta i rodziny królewskiej. Podczas pobytu don Juana Austriackiego w Luwrze umiała czas wielu osobom. Przed wyjazdem Capitor królowa, brat króla i pani de Montpensier podarowali jej swoje portrety ozdobione diamentami. Pani La Baziniere, która często gościła Capitor na kolacji, sprezentowała jej srebrne naczynia i skrzynie pełne wstążek, wachlarzy i rękawiczek. Tylko dwie osoby, jak już mówiłem, nie bawiły się w obecności Capitor.

- Kto?

Capitor - odparł Atto - stała się pupilką króla i królowej matki. Choć zawsze zachowywała się dziwnie, nigdy nie pozwoliła sobie na zuchwałość. Z wyjątkiem jednej osoby. Kiedy spotykała Marię Mancini, za każdym razem wspominała o infantce Hiszpanii, której rękę zaproponowano Ludwikowi.

- Powtarzała bezustannie: infantka jest bardzo piękna, pewnego dnia zostanie królową - ciągnął Atto.

Nikt nie wiedział, dlaczego wariatka zdręczała siostrzenicę Mazzarinię, która i tak nie miała łatwego życia. Niektórzy twierdzili, że namówili ją do tego Hiszpanie, w obawie, że młodzianka Włoszka może udaremnić ślub Ludwika z infantką. Inni byli zdania, że Capitor po prostu nie lubiła Marii, obdarzonej podobnym temperamentem, co -jak wiadomo - bywa przyczyną sprzeczek i nieporozumień.

Maria nie pozostawała obojętna. Miała już dość kłopotów na dworze, a brakowało jej zimnej krwi, żeby lekceważyć te prowokacje. Reagowała złością, nazywała Capitor kretynką, znieważała ją i darzyła pogardą. W odpowiedzi wariatka żartowała sobie z Marii, drwiła z niej, recytując głupie wierszyki.

- Kto był tą drugą osobą, niezadowoloną z pobytu Capitor w Paryżu?

- Zanim odpowiem na to pytanie, muszę opowiedzieć o pewnym zdarzeniu. Właściwie jest ono najważniejszym punktem mojej opowieści, a to, co do tej pory powiedziałem, stanowi tylko wstęp.

Pewnego popołudnia zerwała się gwałtowna burza, jedna z tych, które paraliżują życie w mieście i na wsi, przypominają także o nieokiełznanej sile natury. Wskutek obfitego deszczu woda z przepelnionych studzienek ściekowych zalała ulice Paryża. Przy akompaniamencie grzmotów w jednej z sal Luwru odbywało się dziwne zebranie.

Bękart raczył w końcu podziękować za gościnę, wydając przyjęcie na cześć rodziny królewskiej. Capitor miała wręczyć podarki kardynałowi Mazzariniemu. W programie były też występy śpiewaków.

- Kto miał śpiewać? - spytałem zaciekawiony, mając na uwadze śpiewaczą przeszłość Atta.

- Jak zapewne pamiętasz, siedemnaście lat temu, kiedy się poznaliśmy, opowiadałem ci o swoich sukcesach. Cenili mnie władcy i książęta krwi, przede wszystkim zaś królowa Anna, która przepadała za moim śpiewem - powiedział opat Melani, przypominając mi, że w tym czasie był jednym z najsłynniejszych śpiewaków kastratów, występującym w teatrach i na dworach całej Europy.

- Oczywiście, panie Atto - odparłem krótko. Nie rozwijałem tematu, bo wiedziałem, że opat nie lubi mówić o swojej śpiewaczej przeszłości, niepasującej do roli doradcy politycznego i tajnego wysłannika króla Francji, jaką obecnie odgrywał.

- Miałem zatem śpiewać podczas przyjęcia, choć nie było to łatwe. Ściślej mówiąc, był to jeden z najosobliwszych występów w całej mojej karierze.

Goście sądzili, że chodzi o inscenizację przygotowaną przez wariatkę - wyjaśnił Atto. Będzie trochę śmiechu i na tym koniec. Publiczność była doborowa: królowa Anna, Mazzarini, młody król, jego brat i Maria, która obawiała się jakiegoś niesmacznego żartu ze strony Capitor, dlatego też Ludwik kazał jej zająć miejsce obok siebie. Na fotelach, nieco z boku, siedzieli don Juan i jego sługa.

- Na znak dany przez Bękartą weszło trzech hiszpańskich paziów, dzierżących duże przedmioty przykryte czerwonym aksamitem. Następnie wszedłem ja i Capitor w otoczeniu ptaków. Wariatka uśmiechała się, zadowolona z udziału w przedstawieniu.

Przykryte podarunki ustawiono na trzech stolikach, stojących półkoliście, naprzeciw Anny, Mazzariniego i pozostałych widzów. Pośrodku powstałego kręgu stanęła Capitor z gitarą w ręku.

- Pokaż kardynałowi, jak bardzo jesteśmy mu wdzięczni za gościnę - powiedział łagodnym tonem Bękart.

Capitor, ukłoniwszy się, zwróciła się do kardynała:

- Oto prezenty dla Waszej Eminencji - powiedziała uprzejmie. - Mają one pewien ukryty, a zarazem pouczający sens.

Capitor odsłoniła pierwszy podarunek, którym był duży drewniany globus, przedstawiający wszystkie znane ziemie, rzeki i morza, wsparty na złotym postumencie. Bękart wyjaśnił z dumą, że kula ziemiska stanowi dopełnienie modelu sfery niebieskiej. Obydwa te przedmioty zamówił w Antwerpii, dla siebie zatrzymał obraz nieba, model Ziemi natomiast postanowił podarować Mazzariniemu.

Capitor zakręciła globusem. Dotykając go lekko palcem, patrzyła w oczy kardynałowi i recytowała następujący sonet:

Przyjacielu, popatrz na tę figurę, *Et in arcano mentis reponatur, Ut magnus indefructus extrahatur*, I podziwiaj jej naturę.

Przyjacielu, na tym szczęścia kole, *Quae in eodem statu nonfirmatur, Sed in casibus diversis variatur*, Raz jest się w górze, raz na dole.

Patrz, ktoś został wielkim panem, *Et alter est expositus minae*; Trzeci stracił bogactwa niesłychane.

*Quartus ascendet iam, nec quisquam sine*  
Powodu innego jak rzeczy wykonane,  
*Secundum legis ordinem divinae.*

- Święci pańscy! Jak to możliwe, że pamięta pan ten sonet? Po tylu latach!

- A widzisz? Pamiętam też całego *Orfeusza* Luigiego Rossiego. Śpiewałem go w Paryżu w 1647 roku, ponad pół wieku temu, kiedy król miał zaledwie dziewięć lat. Capitor puściła w obieg kopię sonetu, żeby każdy mógł dokładnie zrozumieć jego treść. Gdybyś przeczytał go tyle razy co ja, także byś go zapamiętał...

- Bez trudu można odgadnąć, że „koło szczęścia” oznacza obracający się globus.

- Rozumiesz więc, że kardynał poczuł się trochę nieswojo, słysząc tę rymowaną, nieco bezczelną dedykację.

- Dlaczego bezczelna?

- Jeśli uważnie słuchałeś, zorientowałeś się, że sonet jest dość osobliwy.

- Głównie dlatego, że zawiera łacińskie wtręty.

- Nie tylko.

- Nawiązuje do powiedzenia: „Raz na wozie, raz pod wozem”. Jednego dnia spotyka nas pomyślność, drugiego sytuacja ulega całkowitej zmianie.

- Otóż to! Kardynał Mazzarini, wówczas u szczytu władzy, nie lubił, kiedy mu przypomniano, że *secundum legis ordinem divinae*, czyli zgodnie z boskim porządkiem prędzej czy później powinien zrzec się swojej funkcji.

Któryś z członków dworu szepnął kardynałowi do ucha, że kula imitująca świat (który można objąć spojrzeniem i chwycić w rękę) stanowi delikatną aluzję do władzy nad ziemiami, miastami, narodami, będącej wyłącznym przywilejem monarchów. Innymi słowy, Capitor, don Juan i cała Hiszpania uważali Mazzariniego za rzeczywistego władcę Francji. Na dowód Bękart podarował kardynałowi kulę ziemską, dla siebie zachowując sferę niebieską. Interpretacja ta bardzo spodobała się Mazzarinemu i przywróciła mu dobry humor.

Capitor odsłoniła drugi podarunek. Była to wielka złota taca w stylu flamandzkim, ozdobiona srebrnymi reliefami, przedstawiającymi króla mórz Posejdona, z trójzębem zamiast berła oraz jego małżonkę, nereidę Amfitrytę. Postacie siedziały na wspaniałym wozie zaprzężonym w parę galopujących trytonów, które pruły morskie fale, oddalając się od lądu.

- Jedno z najpiękniejszych dzieł flamandzkich, jakie widziałem! Taca była chyba warta fortunę - zauważył Atto. - Capitor nazwała ją słowem w nieznanym języku. Zapamiętałem je właśnie dlatego, że nie było fran cuskie ani hiszpańskie. Powiem ci później.

Na tacy leżało kilka kadzidełek, które Capitor zapaliła. Do naszych nozdrzy dotarł przyjemny, silny zapach. Kiedy dym zaczął rzednąć, wariatka spojrzała groźnie na kardynała, uśmiechnęła się i zawołała: „Dwoje w jednym!”, wskazując parę morskich bóstw, a potem trójżab.

Mazzarini - ciągnął opat Melani - był bardzo zadowolony. Podobnie jak inni potraktował to jako aluzję do siebie i królowej Anny, trójżab natomiast jako symbol Korony Francji. Niektórzy widzowie uznali, że wóz, który pędzi przez morze, zostawiając za sobą ląd, przede wszystkim zaś trójżab w dłoni Posejdona, należy odczytywać jako symbol Korony Hiszpanii, władczyni oceanu i dwóch kontynentów, wyczerpanej wojną i podległej Mazzariniemu. Kardynał był w siódmym niebie.

„Kto pozbawi Koronę hiszpańską jej dzieci, temu Korona hiszpańska odplaci tym samym” - dodała tajemniczo Capitor.

- Słowa te interpretowano na różne sposoby. Przeważała opinia, że odnoszą się one do króla Hiszpanii Filipa IV, którego wszyscy synowie umarli, jakby za karę za to, że jego siostra, Anna Austriaczka, musiała zrzec się prawa do tronu hiszpańskiego, pozbawiając Koronę potomstwa w linii żeńskiej. Zdaniem innych osób stało się tak dlatego, że Filip IV nie chciał uznać za swojego spadkobiercę don Juana Bękartą.

Capitor podeszła do trzeciego podarunku, zsunęła czerwoną aksamitną zasłonę i odrzuciła ją daleko od siebie. Tym razem był to przepiękny puchar ze złota i srebra, z wysoką nóżką w kształcie centaury.

- Koronkowa robota - zauważył Melani. - Przede wszystkim prezent miał znaczenie symboliczne, podobnie jak dwa pozostałe podarunki.

Puchar wypełniony był gęstą, oleistą substancją. Capitor wyjaśniła, że to mirra.

- Następnie wariatka zaprosiła na scenę mnie i zaczęła grać na gitarze. Dobrze znałem partię, którą miałem zaśpiewać, nie musiałem jej ani

razu ćwiczyć. Najważniejsze znaczenie miał dla mnie akompaniament gitary, więc zupełnie wystarczały mi skromne zdolności wokalne Capitor.

- Co pan zaśpiewał?

- Pieśń anonimowego kompozytora, która była wówczas dość popularna: *Passacaglia della vita*.

- Podobała się słuchaczom?

Atto skrzywił się i powiedział obojętnym tonem:

- Niestety nie. Co więcej, od tego momentu zaczęły się problemy.

- Jakie problemy?

Zamiast odpowiedzi Atto zanucił *passacaglię*, zaprezentowaną ponad czterdzieści lat temu rodzinie królewskiej i nieślubnemu synowi króla Hiszpanii, z akompaniamentem gitary, na której grała obląkana wizjonerka:

*Och, bardzo się pomyliłeś,  
Jeśli sądziłeś, że życie  
wiecznie płynie. Śmierć nas  
nie minie.*

*Życie jest jak sen, Radości  
pełen. Krótki jest szczęścia  
czas. Śmierć nie minie nas.*

*Lekarstwa na nic się zdają,  
Nic nie pomagają. W  
zdrowiu czy w ruinie,  
Śmierć nas nie minie.*

*Umieramy, śpiewając,  
Umieramy, grając Na wioli  
czy klawesynie. Śmierć nas  
nie minie.*

*Umieramy, tańcząc,  
Umieramy, jedząc.  
Nawet w podły czas  
Śmierć nie minie nas.*

*Szczęśliwcy i niebożęta,  
Każdy z nich pamięta,*

*Że nadejdzie kresu czas,  
Śmierć nie minie nas.*

*Czyś zdrów, czyś kaleka,  
To samo cię czeka.  
Nadejdzie kresu czas,  
Śmierć nie minie nas.*

*Jeśli o tym nie myślisz, To  
straciłeś zmysły, Jesteś w  
innej krainie, Śmierć nas  
nie minie.*

Atto umilkł i otarł pot z czoła. Sprawiał wrażenie człowieka, który powraca z przeszłości i już rozumie, że jego pieśń była przestrożą dla Mazzariniego.

Po zakończeniu występu Melani rzucił przelotne spojrzenie na Jego Wielebność. Kardynał był błądy jak ściana. Nie stracił panowania nad sobą, nie okazywał zakłopotania, ale kastrat, który doskonale znał Mazzariniego, wyczytał w jego twarzy strach.

- Bo widzisz - powiedział opat Melani - aby dobrze poznać mężów stanu, trzeba być blisko nich, i to bardzo długo. Sprawowanie władzy rozwija w nich umiejętność udawania, skutkiem czego trudno odkryć ich prawdziwą naturę. Dzięki funkcji, jaką wówczas pełniłem, mogłem z bliska obserwować Jego Eminencję. Kardynał, z natury odważny i stanowczy, bał się tylko jednego - śmierci.

- Jak to? - zdziwiłem się. - Myślałem, że kardynałowie, książęta i ministrowie, którzy znają niemal wszystkie tajemnice państwowe i ciemne machinacje, są, jak by to powiedzieć...

- Pozbawieni tego rodzaju lęku, ponieważ zajmują się poważnymi sprawami? Nieprawda. To, że pełnią władzę, nie uwalnia ich od demonów, które trapią zwykłych ludzi. Przeciwnie, wszyscy jesteśmy do siebie podobni, choć wysokie osobistości mają skłonność do wynoszenia się ponad innych. Ponieważ uważają się za równych bogom, nie potrafią pogodzić się z myślą, że któregoś dnia i po nich przyjdzie Pani Śmierć, tak jak po każdego nędznika.

Kardynał Mazzarini zmagał się więc na próżno z tym ponurym widmem, wobec którego wszelka walka okazuje się daremna. Makabryczna pieśń, którą na prośbę Capitor wykonał Atto, została wybrana po to, by zmać spokój kardynała.



- Mirra była jednym z darów Trzech Króli - zauważyłem.
- Otóż to! Jest symbolem śmiertelności, ponieważ służy do namaszczania ciał zmarłych - oświadczył Melani.

Również drugi podarunek, czyli taca, miał symboliczną wymowę. Kadzidło, które zapaliła Capitor, stosowane jest w świątyniach, a Trzej Królowie ofiarowali je Dzieciątku na dowód wiary w jego boską naturę. Prezenty don Juana odnosiły się więc do różnych funkcji Mazzariniego. Kadzidło stanowiło aluzję do roli kardynała, mirra natomiast - do roli zwykłego śmiertelnika.

- Postument globusa, wykonany ze złota, symbolizował władzę królewską. Był hołdem złożonym Mazzarinemu, kochankowi monarchini i absolutnemu władcy Francji, najbogatszego i najpotężniejszego królestwa Europy i świata - powiedział poważnym tonem Melani. - Przypominał hołd złożony Naszemu Panu, największemu z władców.

Trzy podarunki nawiązywały zatem do darów, które Nasz Pan otrzymał w dniu narodzin od Trzech Króli: złoto, kadzidło, mirra, symbolizujące władzę, boskość i śmiertelność.

- Capitor, Jego Eminencja bardzo ci dziękuje - oświadczyła królowa Anna łagodnym tonem, zmieniając temat i kryjąc zmieszanie. - A teraz zapraszamy orkiestrę - dodała, wskazując na drzwi.

W korytarzu stała grupka muzyków, którzy na polecenie don Juana mieli gramem umilać spożywanie poczęstunku. Drzwi zostały otwarte i muzycy przeszli do sali, wypełniając ją coraz głośniejszym szmerem. W tym samym czasie lokaje wnosili, posapując z wysiłku, nakryte już stoły. Na zewnątrz cisnęli się dworzanie, czekając na znak królowej, zezwalający na wejście do sali i przyłączenie się do biesiady.

Ludwik, Mazzarini, królowa matka i don Juan, korzystając z ogólnego zamieszania, prowadzili swobodną rozmowę. W pewnej chwili Capitor, która szykowała się do opuszczenia sali, czyniąc miejsce orkiestrze, spojrzała na kardynała.

- Panna, która poślubi Koronę, przyniesie śmierć - powiedziała głośno i wyraźnie, z uśmiechem - która nastąpi, gdy Księżyc zbliży się do Słońca weselnych.

Ukloniła się i razem ze swoimi ptakami wmieszała się w tłum muzyków i służących, krzątających się po sali.

- Dopiero wtedy don Juan przestał zachowywać się wyniośle - po wiedział Atto. - Przepraszył kardynała i królową za zachowanie Capitor. Przyznał, że jej występy były zabawne, ale chwilami niezrozumiałe. Nie kiedy przesadzała, ale nie czyniła tego przez nieuprzejmość, ulegała po prostu swojej dziwacznej, zmiennej naturze.

Osobie obłąkanej można wybaczyć pewne szaleństwa - tłumaczył opat Melani - ale dziwaczne słowa, które Capitor wypowiedziała tamtego wieczoru, brzmiały jak groźba. Don Juan nie chciał, by ktoś zarzucił mu, że to on kazał je wygłosić.

Szalona wizjonerka poprosiła Atta, by zaśpiewał pieśń o śmierci i jej nieuchronności. Przedtem ofiarowała kardynałowi trzy kosztowne przedmioty, które przypomniały Mazzariniemu o jego roli kardynała, co było prawdą, o roli króla, co było nieestosowne, zważywszy, że Mazzarini był potajmnym kochankiem królowej, wreszcie o roli zwykłego śmiertelnika, co było najprawdziwsze, choć nikt nie lubi, kiedy mu się o tym przypomina.

Także sonet zawierał liczne aluzje (do ulotności szczęścia, nieuchronności porażek...), o których nikt nie ośmieliłby się wspomnieć w obecności pierwszego ministra najpotężniejszego królestwa Europy. Na koniec, korzystając z zamieszania wywołanego przybyciem orkiestry i lokajów, Capitor wypowiedziała ostatnie groźnie brzmiące słowa, pożegnała się i wyszła.

Nikt nie miał wątpliwości co do znaczenia tych słów. Koroną był z całą pewnością młody Ludwik, panną mogła być tylko Maria Mancini.

- Słowo „panna” stanowiło wyraźną aluzję do Marii, której król nigdy nie poznał... cieleśnie, ma się rozumieć.

- Naprawdę? - zdziwiłem się.

- Nikt w to nie wierzył, oczywiście z wyjątkiem mnie (dobrze wiedziałem, że ich miłość była czysta i niewinna) i kardynała, którego dokładnie informowano o poczynaniach Ludwika. Kiedy Maria przyjechała do Rzymu i poślubiła konstabla Colonnę, on sam powiedział mi po weselu, że była dziewicą, co bardzo go zdziwiło, gdyż wiedział o jej związku z królem Francji.

Gdyby doszło do zaślubin między „panną” a „Koroną” - ostrzegala Capitor - ktoś straciłby życie. Zważywszy, że przepowiednia skierowana była do kardynała Mazzariniemu, opiekuna Marii i chrzestnego ojca Ludwika, a więc osoby odpowiedzialnej za ich losy, nietrudno było zgadnąć, że śmierć groziła właśnie jemu. W ustach kogoś innego słowa te

brzmiałyby jak niewinne brednie. Z chwilą gdy wypowiedziała je istota obdarzona zdolnością jasnowidzenia, wydawały się pochodzić od Białej Pani z kosą.

- Nielatwo wytłumaczyć mi to teraz, po czterdziestu latach - powie dział opat. - Kiedy ta szkarada otwierała usta, wszystkich przechodziły ciarki. Śmiali się tylko głupcy, bo dobrze się bawili, pozostali - ze zde nerwowania.

Słyszając słowa, które powiedziała szalona Capitor, również Melani spocił się ze strachu. Brał przecież udział w tej ponurej inscenizacji dedykowanej Mazzariniemu.

Zerwał się wiatr, a pogodne dotąd niebo zachmurzyło się.

- Wspominał pan o tym, że Capitor działała prawdopodobnie z poduszczenia Hiszpanów, którzy chcieli ożenić Ludwika z infantką i usunąć w cień Marię Mancini. Słowa Capitor stanowiły zatem, jak by to powiedzieć...

- Pogróżkę o znaczeniu politycznym? To prawda. Wiele osób tak myślało. Sądzę jednak, że Jego Eminencja nie był tego całkiem pewien. W każdym razie od tej chwili Mazzarini zmienił swój stosunek do Marii i króla. Po wyjeździe don Juana Bękartą i wariatki kardynał stał się zaciekłym wrogiem ich miłości. Było jednak coś jeszcze. Capitor nazwała tacę pewnym greckim słowem, słowem, które znasz i ty.

- Chce pan powiedzieć...

- Tetrachion.

Byłem tak pochłonięty opowieścią, że omal uszło mojej uwadze pewne dziwne zjawisko, które zaczęło się przed kilkoma minutami - nagle zmiana pogody. Podobnie było poprzedniego dnia. Wiatr, z początku słaby, przybierał na sile. Na niebie zupełnie nieoczekiwanie pojawiły się cirrusy, najpierw pojedyncze, później coraz liczniejsze, które w końcu zakryły słońce. Silne podmuchy wiatru wzbijały suche liście i tumany kurzu, zmuszając nas do zakrycia dłońmi oczu. Tak jak poprzednim razem musiałem przytrzymać się drzewa, żeby nie stracić równowagi.

Wszystko trwało zaledwie kilka sekund. Kiedy skończyła się krótka, osobliwa zawierucha, ponownie zaświeciło słońce. Otrzepaliśmy się z kurzu. Popatrzyłem prosto w słońce, które oślepiło mnie bardziej, niż się spodziewałem. Światło było tak samo ostre jak w chwili, gdy opuszczaliśmy willę Spada.

- Jaka dziwna pogoda - zauważył Atto.

- Już rozumiem - powiedziałem. - Kiedy po raz pierwszy wspomniał pan o „Okręcie”, dodał pan, że są tu pewne przedmioty.
  - Widzę, że zapamiętałeś.
  - Czyli podarunki Capitor - dodałem. Opat milczał. Stał przed bramą wejściową.
  - Otwarte - oznajmił.
- Ktoś wszedł do „Okrętu” albo - pomyślałem - z niego wyszedł.

Kiedy przemierzaliśmy salę na parterze pałacu, doszły nas dźwięki follii, którą słyszeliśmy poprzednim razem. Wiedziony ciekawością, zapytałem Melaniego:

- Skąd pan wie, że są tu podarunki Capitor?
- Częściowo wskazują na to fakty, po części zaś doszedłem do tego drogą dedukcji.

Ponure proroctwo Capitor - wyjaśnił Atto - w mgnieniu oka obiegło cały dwór. Nikt nie miał odwagi go zapisać, ponieważ, jak mówiono, kardynał był nim przerażony. Nawet naj skrupulatniej si kronikarze woleli to przemilczeć. Pisali dzienniki po to, by dworzanie je czytali, a nie po to, by je ukrywać. Ale cisza nie wystarczała. Mazzarini zastanawiał się, jak utrzymać się przy władzy kosztem młodego króla Ludwika, który prędzej czy później - dobrze o tym wiedział - zacznie mu mieszać szyki. Po przepowiedni Capitor co noc nawiedzały kardynała złe przeczucia i koszmary.

- Jak już mówiłem - powiedział Atto z ironią w głosie - Mazzarini wierzył, że będzie żyć bardzo długo.

Z całych sił uczeplił się zaszczytów i dóbr tego świata, czerpiąc z nich pewność siebie i siły do życia.

- Zapamiętaj, mój chłopcze! Wielcy mężowie stanu są jak małże przy czeponie do skały. Patrzą na przepływające obok ryby i myślą: biedni nieszczęśnicy, zagubieni, bez celu, bez skały, na której mogliby osiąść. Przeraża ich myśl, że któregoś dnia będą musieli tę skałę porzucić. Nie zdają sobie sprawy, że stali się jej więźniami.

Słowa te nie były oczywiście wyrazem przekonań wiernego sługi Mazzariniego, jakim Atto był czterdzieści lat temu. Nie pasowały też do człowieka żądnego sławy, jakim był w młodości. Stanowiły raczej reflek-

sje kogoś, kto u schyłku życia stanął wobec tego samego problemu, którym do ostatniej chwili zadreślał się Mazzarini: wszystkim w końcu przyjdzie odczepić się od skały.

- Czy to ty?

- Nie rozumiem.

- Nie, to na zewnątrz - stwierdził, kierując się do okna wychodzącego na dziedziniec.

Podszedłem do opata i wyjrzałem przez okno, ale nikogo nie zauważyłem.

- Usłyszałem czyjeś szybkie kroki... jakby ktoś biegł po żwirze - wyjaśnił Atto.

I choć w uszach dźwięczała mi jeszcze follia, ja także usłyszałem odgłos czyichś kroków w alei. Zbliżały się i oddalały, po czym wszystko ucichło.

- Może wyjdziemy? - zaproponowałem.

- Lepiej nie. Nie wiem, ile czasu zajmą nam poszukiwania. Najpierw muszę się upewnić co do jednej rzeczy.

Odnaleźliśmy kręte schody prowadzące na pierwsze piętro.

Tam Atto podjął swoją opowieść. Mazzarini nie mógł dłużej znieść tej udreki. Stracił pewność, której nabrał po zwalczeniu frondystów. Panicznie bał się przyszłości. Miał przedmioty otrzymane w darze od Capitor, wszyscy o tym wiedzieli. Niełatwo było się ich pozbyć, zupełnie jak łupów z kradzieży. Zamknął je więc w skrzyni, żeby nie rzucały się w oczy.

Kardynał z nikim nie rozmawiał o przepowiedni Capitor. Chciał zapomnieć, tymczasem myślał o niej bez przerwy. Choć pochodził z Sycylii, nie był przesądny. Jeśli jednak naprawdę w grę wchodzi zły urok - myślał - to te trzy rzeczy z pewnością przyniosą mu pecha. W końcu podjął decyzję. Skoro podarunki Capitor nie mogły zmienić właściciela, powinny zniknąć.

- Mazzarini dał je Benedettiemu na przechowanie. Miały pozostać tu, w Rzymie, dokąd nigdy nie przyjeżdżał. Jego Eminencja nie chciał widzieć tych przedmiotów w żadnej ze swoich posiadłości.

- Czy nie prościej było je zniszczyć?

- Oczywiście, ale należało działać ostrożnie. Może któregoś dnia jakiś czarodziej zdjąłby z tych podarunków czar? Gdyby kardynał je zniszczył, pozbawiłby się tej możliwości. Cała ta historia była absurdalna, ale Maz-

zarini nie lubił ryzyka, nawet najmniejszego. Prezenty musiały pozostać do jego dyspozycji.

- Zatem Benedetti umieścił je tutaj - podsumowałem.

- Jak już mówiłem, kiedy kardynał poprosił Benedettiego o tę przysługę, „Okręt” jeszcze nie istniał. Ale przejdźmy do rzeczy.

Kardynał był tak przejęty przepowiednią Capitor i historią trzech podarunków, że długo zastanawiał się, czyje zatrzymać, czy się ich pozbyć. Z chwilą gdy postanowił dać je na przechowanie Benedettiemu, jego obawy nasiliły się. Mazzarini podjął więc drugą decyzję, która w innych warunkach, w przypadku człowieka równie praktycznego jak on, kogoś, kto przywiązuje wagę do konkretów i śmieje się z przesądów i czarów, byłaby nie do pomyślenia.

- Niepewny, czy podjął właściwą decyzję, przed wysłaniem przedmiotów do Rzymu kazał je namalować.

- Jak to? Na obrazie?

- Tak. Chciał utrwalić ich wizerunek... Może się to wydać głupie, ale tak właśnie uczynił.

- Kto namalował trzy podarunki?

- W tym czasie przebywał w Paryżu pewien malarz flamandzki, twórca wielu wspaniałych obrazów. Jak zapewne wiesz, mistrzowie flamandzcy słyną z tego, że pięknie przedstawiają martwą naturę - nakryte stoły, kompozycje kwiatowe i temu podobne rzeczy. Kardynał zatrudnił więc jednego z nich. Niestety, nie widziałem obrazu, ale wiem, jak wyglądały prezenty, włącznie z Tetrachionem - podsumował Melani, potwierdzając tym samym, że w „Okręcie” szukamy trzech podarunków.

- Nie rozumiem. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby zamówić obraz z przedstawieniem rzeczy, które, jak by to powiedzieć...

- Przynoszą pecha? Ja też bym tego nie uczynił, ale Bękart powiedział kardynałowi, że przed wyjazdem do Paryża kazał w Antwerpii namalować dary. Z tą różnicą, że na obrazie widniała sfera niebieska zamiast ziemskiej, którą akurat zostawił u złotnika, żeby wykonał do niej postument.

Idąc zatem śladem trzech kardynałów, nie tylko odkryłem willę, w której spotykali się potajemnie, by omówić zbliżające się konklawe, ale dowiedziałem się też, że zostały w niej ukryte podarunki od Capitor.

Słuchając opowieści Arta, zwróciłem uwagę na pewien szczegół. Otóż Melani powiedział, że przyjechał do Rzymu w związku z konklawe, aby

mieć pieczę nad interesami króla Francji. Jednocześnie przemilczał - co było zaiste zastanawiające - drugi ważny fakt, jakim była walka o dziedziczenie prawa do tronu Hiszpanii. Sprawa ta bardzo zajmowała Melaniego, co potwierdzała jego korespondencja z wdową po konstablu, a także nasze ostatnie rozmowy. Kiedy tylko wspomniałem o Tetrachionie w kontekście sukcesji hiszpańskiej, skoczył jak oparzony i od razu przeprowadził mnie tutaj, do „Okreću”, aby odszukać tajemniczy przedmiot. O ile rzeczywiście chodziło o przedmiot.

- Proszę mi wybaczyć, panie Atto, ale czegoś nie rozumiem. Pokojówka ambasadora Hiszpanii mówiła o Tetrachionie jako o następcy tronu, czyli o osobie. Pańskim zdaniem natomiast chodzi o przedmiot.

- Wiem tyle samo, co ty - uciął opat.

Odpowiedź mnie nie zadowoliła i już miałem zadać kolejne pytanie, kiedy nagle usłyszałem hałas, zupełnie niepodobny do dźwięków muzyki.

- Słyszysz pan?

- Słyszę to samo, co ty.

Z okna salonu dobrze było ich widać. Spacerowali po ogrodzie. Mężczyzna był bardzo młody, niezbyt wysoki i raczej niezgrabny. Kiedy mu się uważnie przyjrzałem, stwierdziłem, że nie był brzydki, ale miał małe oczy, nos gruby, jakby nabrzmiały. Był w tym wieku, kiedy ciało, rozpięte wewnętrzną energią, wydaje się rozrywać zbyt ciasną powłokę młodości. Miał szybki, nerwowy chód. Najwyraźniej starał się zachować wytworne maniere, a zarazem pragnął, podobnie jak wszyscy młodzieńcy, cieszyć się wolnością i swobodą.

Obok niego szła dziewczyna. Z miejsca, gdzie staliśmy (nieco po lewej stronie), widziałem ją trochę niewyraźnie, z ukosa. Dobrze wiedziałem jednak, jak wygląda, bo przyjrzałem się jej dokładnie poprzednim razem.

Młodzieniec trzymał dziewczynę za ramię, od czasu do czasu je puszczając, wyprzedzał ją i szedł tyłem, żywo gestykulując. Udawał, że chwytając za szpadę, walczy jak bohater, toczy pojedynek. Dziewczyna śmiała się, idąc lekkim krokiem, niczym baletnica. Jednocześnie obracała parasolką z różowej koronki - magicznym kielichem, w który zdawała się chwytac jego słowa. Włosy miała w lekkim nieładzie, jakby zburzone nagłymi pocałunkami.

Docierały do nas jedynie fragmenty ich rozmowy:

- Bardzo bym chciał... gdyby pani wiedziała... - mówił młodzieniec. Dalszy ciąg zagłuszył szum drzew.

- Wasza Wysokość, możliwe... - Tylko tyle usłyszałem z jej odpowiedzi.

Spojrzałem na Atta. Odsunął się od okna i stał jak porażony. Patrzył na parę młodych ludzi szklistymi oczami, z kamienną twarzą. Kiedy ponownie spojrzałem w kierunku ogrodu, młodzi właśnie znikali za żywopłotem. Staliśmy tak kilka chwil, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknęli nam z oczu.

- Ta dziewczyna jest bardzo podobna do młodzieńczego portretu pani konstablowej - zauważyłem. - Młodzieniec także mi kogoś przypomina.

Atto milczał. Tymczasem ponownie doszły nas dźwięki folii.

- Podobną twarz ma chyba... jeden z posągów. Czy to możliwe? - Nie śmiałem powiedzieć głośno tego, co pomyślałem.

- Istotnie, przypomina popiersie w jednej z nisz na fasadzie „Okreću”. Przede wszystkim jednak podobny jest do postaci z portretu.

- Którego portretu?

Melani milczał. Po chwili westchnął głęboko, jakby w przypiływie ulgi, i powiedział:

- W tym przeklętym miejscu zdarzają się rzeczy, których nie rozumiem. Być może dochodzą tu jakieś trujące wyziewy z ziemi. W pewnych miejscach tak bywa.

- Chce pan powiedzieć, że ulegamy przywidzeniom?

- Możliwe. W każdym razie przybyliśmy tu w określonym celu i nie pozwolimy, by nam ktoś przeszkodził. Czy to jasne?! - wykrzyknął, podnosząc głos, jakby chciał, żeby ktoś, kto nas podsłuchiwał, to usłyszał.

Odpowiedziała mu cisza. Melani oparł się o ścianę, mrużąc pod nosem jakieś przekleństwo. Zaczekałem, aż się uspokoi, i zapytałem:

- To był on, prawda?

- Chodźmy na górę - odparł, dając do zrozumienia, że się nie mylę.

Choć w dzieciństwie nasłuchiwałem się opowieści o duchach, zjawach i dziwnych zjawiskach, będących jedynie skutkiem sugestii, nigdy nie zdarzyło mi się przeżyć czegoś podobnego.

Kiedy wchodziliśmy krętymi schodami na pierwsze piętro, rozmyślałem o absurdalności tych wizji. Za pierwszym razem ukazała się nam Maria Mancini, czyli młoda pani konstablowa, w towarzystwie starszego szlachcica. Teraz zobaczyliśmy ją w chwili (i to było naprawdę dziwne



i niewytłumaczalne), gdy rozmawiała z tym samym królewskim kochankiem, o którym wspominał Atto Melani. Najpierw widziałem jego marmurowy posąg, później portret w „Okręcie”, w końcu młodzieńca z krwi i kości, spacerującego w ogrodzie.

Bardzo bym chciał uwierzyć, że to tylko przywidzenie spowodowane niezdrowymi wyziewami. Pod stopami czułem twarde marmur schodów, a jednocześnie wyczuwałem nieuchwytną, groźną aurę otaczającą to miejsce. Wolalbym, żeby to był sen. Przeszłość mieszała się z teraźniejszością, tworząc niezrozumiałą grę cieni i światła. Nie miałem czasu, by szukać odpowiedzi na pytania. Teraz bowiem zajmowało nas coś zgoła innego - odkrycie przyczyny obaw Mazzariniego.

Schody prowadzące na pierwsze piętro usytuowane były we wschodnim skrzydle pałacu. Weszliśmy na górę i ku naszemu zdumieniu znaleźliśmy się w olbrzymiej galerii, długiej na mniej więcej sto trzydzieści piędzi\*, szerokiej na dwadzieścia. Posadzka wyłożona była niewielkimi płytkami z trójkolorowej majoliki, ściany zdobiły połączone sztukaterie i iluzjonistyczne malowidła, które w naturalny sposób kierowały wzrok w górę. Na olbrzymim sklepieniu widniał fresk z przedstawieniem Jutrzenki.

- *Jutrzenka* Pietra da Cortony... - powiedział Atto z zadartą głową, przez chwilę zapominając o celu naszych poszukiwań i postaciach z ogrodu.

- Zna pan to malowidło?

- Ponad trzydzieści lat temu, kiedy zostało wykonane, mówiło się, że powstał prawdziwy cud - rzekł wzruszony.

Za *Jutrzenką* widniały kolejne freski: *Południe* i *Noc*. Trzy malowidła tworzyły cykl ukazujący części dnia - od jasnego świtu po ciemny zachód słońca. Nisze i mniejsze fragmenty sklepienia ozdobione były marnami i przepięknymi pejzażami.

Pomiędzy oknami, wzdłuż dłuższych ścian galerii, stało dwanaście wspaniałych zbroi, dawnych i współczesnych, wykonanych ze stiuku, metalu i złota. Każda z nich opatrzona była dewizą, która miała chronić ciało i ducha. Zgromadzono tu więc hełmy, przyłbice, napierśniki, naramienniki, nagolenice, kolczugi, juszmany, karaceny, bułaty, włócznie,

\* Piędź - dawna miara długości równa odległości między rozpostartymi palcami: kciukiem i środkowym (przyp. red.).

maczugi, buzdycany, czekany, młoty rycerskie, cepy bojowe i wiele innych rodzajów broni.

- Całe to żelastwo spodobałoby się Waligórze - zauważył opat, po czym zaczął czytać łacińskie motto. - *Abrumpitur si nimis tendas*, „Jeśli zbyt mocno go naciągniesz, pęknie” - powiedział Atto z uśmiechem, tłumacząc zdanie wyryte na łuku.

- *Validiori omnia cedunt*, „Silniejszy zawsze zwycięża” - przetłumaczyłem, przeczytawszy zdanie widniejące na włóczni.

- Nie do wiary! - wykrzyknął Atto. - We wszystkich kątach „Okreću” wypisano powiedzenia i przysłowia.

Szedł dalej, nie czekając na mnie. W zamyśleniu kiwał głową. Dogoniłem go.

- Najbardziej absurdalne jest to, że wśród ścian pokrytych mądrymi sentencjami rozbrzmiewa, ni mniej, ni więcej, tylko follia, czyli wariacja.

Miał rację. Motyw follii, wykonywany, jak sądziłem, na instrumencie smyczkowym, brzmiał coraz bliżej, zupełnie jakby towarzyszył nam przy lekturze napisów. Uświadomiwszy sobie ten paradoks, poczułem zamęt w głowie. Przestałem cokolwiek rozumieć.

- Czy sądzi pan, że muzyka, którą słyszymy, jest dziełem naszej wyobraźni?

- Ależ skąd! - zaprzeczył pospiesznie Atto. - Prawdopodobnie dochodzi z pobliskiej willi. Ktoś ćwiczy się w graniu wariacji.

Melani ruszył dalej. Po obydwu stronach galerii znajdowało się po siedem okien. Środkowe otwierały się na dwa tarasy z widokiem na wschodnią i zachodnią część ogrodu. Odwróciliśmy się i poszliśmy w kierunku tej części galerii, której okna wychodziły na południe, czyli na ulicę. Galeria zakończona była półkolistą loggią z dużymi, łukowatymi oknami. Poniżej, na występie muru okalającego willę, usytuowana była fontanna. Z kuli, którą trzymały dwie syreny, tryskała woda. Sklepienie loggii zdobił fresk z przedstawieniem alegorii Szczęścia w otoczeniu różnych dóbr. Łagodny szmer fontanny wypełniał całe pierwsze piętro. Na tarasach po obu stronach pałacu znajdowały się dwie mniejsze fontanny (jedną z nich słyszeliśmy z dziedzińca poniżej), które wraz z większą fontanną pod loggią tworzyły urzekający szemrzący trójkąt.

- Proszę spojrzeć! - zawołałem.

Na skrzydłach drzwi, które wychodziły na jeden z tarasów z fontanną, wypisany był sonet Capitor o szczęściu:

Przyjacielu, popatrz na tę figurę,  
*Et in arcano mentis reponatur,*  
*Ut magnus indefructus extrahatur,*  
I podziwiaj jej naturę.

- Mamy pierwszy ślad! - wykrzyknął uradowany opat.
- Być może trzy podarunki Capitor są gdzieś tutaj - zauważyłem.

Rozejrzeliśmy się wokół. Zarówno półkolista loggia, jak i wnęki oraz skrzydła okien pokryte były przysłowiami i sentencjami.

- „Przyczyną niedoli ludów jest nienawiść rządzących” - przeczytałem na głos.

Atto spojrzał na mnie nieco zaskoczony. Czyż nie tego właśnie mnie uczył, opowiadając o nieszczęśliwej miłości Króla Słońce, która przekształciła się w niszczycielską siłę?

- Spójrz! - powiedział nieswoim głosem, nie kryjąc zaskoczenia.

Zajęci oglądaniem fresków, sentencji, zbroi, broni i fontann, zapomnieliśmy o drugim końcu galerii, od strony północnej. Mimo że od tamtej chwili upłynęło dużo czasu, doskonale pamiętam zawrót głowy, jakiego wówczas doznałem. Okazało się bowiem, że galeria nie miała końca. Jej boczne ściany, których nie można było ogarnąć wzrokiem, ciągnęły się w nieskończoność. Nagle poraziło mnie ostre światło i odniosłem wrażenie, że ściany zlewają się ze zbrojami, freskami i dalekim wzgórzem Watykanu, widocznym w kwadracie okna niczym w celowniku działa.

- Wyrazy uznania, Benedetti! - powiedział Atto.

Nareszcie zrozumieliśmy, o co w tym wszystkim chodziło. Środkowa część galerii była przeszkłona i wychodziła na prostokątną loggię wyposażoną lustrami. Odbijające się w nich wnętrza wydawało się nie mieć końca. Wrażenie to odnosiło się tylko wtedy, gdy stało się w określonym miejscu, w równej odległości od dłuższych ścian galerii. Pośrodku ściany, w punkcie zbiegu linii perspektywicznych, można było zobaczyć pałac Watykanu. Kiedy podeszło się bliżej szyby, w polu widzenia znajdowała się też kopuła Bazyliki Świętego Piotra.

„Okręt” zwracał zatem dziób w kierunku siedziby papieża. Nie wiedziałem, czy to dobry, czy zły znak.

- Nie rozumiem. Odnosi się wrażenie, że można stąd celować jak z działa w sam środek Watykanu - zauważyłem. - Pan znał Benedettiego. Czy pańskim zdaniem to przypadek, że „Okręt” usytuowany jest w ten właśnie sposób?

- Według mnie...

Melani zamilkł. Usłyszeliśmy odgłos kroków. Ktoś był w ogrodzie. Atto zapomniał, o czym chciał mówić, i zaczął nerwowo chodzić po sali.

Obeszliśmy pomieszczenia, które znajdowały się po bokach galerii. W sumie było ich cztery. Najpierw obejrzelśmy niewielką kaplicę, później łazienkę. Nad wejściem do kaplicy widniał napis: *Hic anima*, nad wejściem do łazienki: *Hic corpus*.

- „Tu dla duszy”, „Tu dla ciała” - przetłumaczył Melani. - Dowcipniś!

Łazienka była bogato urządzona, ozdobiona stiukami i majolikami, miała dwie umywalki. Każda z nich wyposażona była w dwa krany z napisami *calida ifrigida*.

- Woda ciepła i zimna, do wyboru - oznajmił Atto. - Nie do wiary! Nawet królowie nie mają takich wygod.

Ponownie usłyszeliśmy czyjeś kroki na zewnątrz, tym razem bardzo szybkie.

- Nie chce pan wyjść i przekonać się, czy ta para... kto jest w ogrodzie?

- Oczywiście, że chcę. Ale najpierw wolałbym obejrzeć wszystkie pomieszczenia na pierwszym piętrze. Jeśli nie znajdziemy nic ciekawego, wejdziemy wyżej.

Nietrudno było przewidzieć, że również kaplica ozdobiona była setkami napisów, widniejących zarówno na ścianach, jak i na okiennicach. Atto przeczytał jeden z nich.

- *Ieiunium arma contra diabolum*, „Post jest bronią przeciw diabłu”. Warto przypomnieć to eminencjom objadającym się w domu kardynała Spady.

Dwa pozostałe pomieszczenia poświęcone były papieżowi i Francji. W jednym z nich znajdowały się portrety wszystkich papieży, w drugim - podobizny królów Francji i królowej Szwecji Krystyny. Na drzwiach widniały tabliczki: *Litera* do sali papieży, *Et Arma* do sali królów.

- Papież dba o ducha, król o państwo - wyjaśnił Atto. - Jak widać, Benedetti nie był zwolennikiem świeckiej władzy Kościoła - zasztartował.

Na ścianach sali dedykowanej Francji wisały dwa przepiękne arrasze ze scenami sielankowymi. Pierwszy z nich przedstawiał pastereczkę, w tle zaś satyra, który usiłuje porwać drugą dziewczynę, ciągnąc ją za włosy. Próba porwania kończy się niepowodzeniem - satyrowi zostaje w ręku peruka, którą dziewczyna miała na głowie. Na drugim arrasie młodzieniec z łukiem i strzałami pochyła się nad ranną nimfą ubraną w skórę z wilka. Wzdłuż boków arrasu ciągnął się pas z motywami kwiatów, zwojów papirusowych i reliefowych medalionów.

- Tam widać Koryskę i Amaryllis, tu ranną Doryndę. Są to sceny z *Pastora Fido*, słynnej tragikomedii pasterskiej kawalera Guariniego, która od ponad stu lat cieszy się popularnością na chrześcijańskich dworach - oświadczył Atto z zadowoleniem. - Przyjrzyj się uważnie, mój chłopcze. Te tapiserie należą do najpiękniejszych w całej Francji. Powstały w dzielnicy Saint-Germain, w manufakturze rodziny van der Plancken lub, jeśli wolisz, de la Planche - sprecyzował tonem znawcy. - Kupiliśmy je z Elpidiem Benedettim, gdy trzydzieści lat temu odwiedził Francję.

- Są bardzo piękne.

- Początkowo były cztery, ale poradziłem Benedettiemu, żeby dwa z nich zawiózł do Palazzo Colonna w darze dla Marii Mancini, która przebywała wtedy w Rzymie. Wiedziałem, że się jej spodobają. Po powrocie do Rzymu miałem okazję się przekonać, że powiesiła arrasze w swoim pokoju, na wprost biurka. Zawsze lubiła ryzyko. Całymi latami trzymała je niemal pod nosem męża, który niczego nie zauważył - powiedział ze śmiechem.

- Nie widział arrasów? - zapytałem zdziwiony.

- Ależ nie! Nigdy nie odkrył, że... Och, dajmy temu spokój! To bez znaczenia - powiedział Melani, unikając odpowiedzi.

- Domyślam się, że sztuka *Pastora Fido* była ulubioną lekturą Marii i króla w czasach, kiedy się widywali - oznajmiłem, próbując odgadnąć, co Atto miał na myśli.

- Mniej więcej - mruknął. Oddalił się od tapiserii i stanął przed obrazem przedstawiającym sceny w lesie. - W tamtych latach ten dramat był bardzo popularny i wszyscy go czytali.

Melani najwyraźniej zorientował się, że nie udzielił mi zadowalającej odpowiedzi.

- Nie cierpię plotkować o tajemnicach związku Marii i Jego Wysokości - oświadczył, ścisząc głos. - Zwłaszcza o chwilach, kiedy byli sami.

- Sami? Jak to więc możliwe, że pan o wszystkim wie? - zapytałem z powątpiewaniem.

- Ale tylko ja, nikt inny.

Skrupuły Melaniego bardzo mnie zastanowiły. Nie miał ich, kiedy wyjawiał sekrety Arcychrześcijańskiego Króla, nawet te najbardziej intymne. Przeciwnie...

Już miałem coś powiedzieć, gdy usłyszałem odgłos kroków. Ktoś biegł w naszym kierunku. Po chwili kroki słychać było na schodach, po których weszliśmy na górę, po przeciwnej stronie salonu.

Zdrętwiliśmy z przerażenia. W milczeniu czekaliśmy na tajemniczego przybysza. Echo kroków na marmurowych stopniach rozchodziło się po całym salonie. Gdybyśmy nie wiedzieli, gdzie są schody, nie potrafilibyśmy przewidzieć, skąd nadejdzie nieoczekiwany gość. Kroki stawały się coraz bliższe. Ktoś był już w galerii. Wpatrywaliśmy się w jej przeciwległy kraniec, ale nikogo nie dostrzegliśmy.

Nagle pojawił się olbrzymi cień. Ktoś sobie z nas zakpił. Stał za nami, na progu loggii, z której było widać Watykan.

Próbowałem zrozumieć, jakim cudem nieznana istota zmaterializowała się i stanęła za naszymi plecami, gdy poczułem szpony wbijające się w moje ramię.

Śmiertelnie przestraszony, odwróciłem głowę. Ujrzałem zjawę. Była chuda, blada, z zapadniętymi oczami i ściągniętą twarzą. Miała na sobie zakrwawioną koszulę.

- Buvat! - zawołał Atto. - Co się stało?

Sekretarz opata milczał.

- Twoja... żona - powiedział blady Buvat niewyraźnie, zwracając się do mnie. - Idź do niej! Szybko...

Oparł się o ścianę, osunął na ziemię i stracił przytomność.

# Wieczór trzeci

9 lipca 1700 roku

Biegłem co tchu, owiewany podmuchami popołudniowego wiatru. Całkiem sporą odległość między „Okretem” a willą Spada przebyłem z taką prędkością, jakbym uciekał przed samą Śmiercią. „Cloridia, Cloridia” - powtarzałem przerażony. „A dziewczynki? Co z nimi?” Dręczony niepokojem, wyobrażałem sobie trasę, którą muszę pokonać: minę główną bramę willi, pobiegnę aleją, wejdę do palacu, dotrę na skróty na pierwsze piętro, i do pokoju księżnej Forano...

Gdy znalazłem się pod murami willi, zrozumiałem, że nie pójdzie mi tak łatwo. Przed willą Spada panował nieopisany zamęt. Przez dziedzińiec honorowy, który od wielu już godzin zablokowany był karetami i tłumem służących, przechodził właśnie orszak najważniejszego gościa weselnego - Louisa Grimaldiego, księcia Monaco i ambasadora Arcychrześcijańskiego Króla Francji.

Na próżno próbowałem się przecisnąć przez tłum wieśniaków, którzy z zaciekawieniem przyglądali się osobistościom. Każdy chciał przynajmniej rzucić okiem na wysokie eminencje, książąt i ambasadorów zaproszonych na ślub. W bramie, przy której stało dwóch uzbrojonych strażników, ścisk był największy, gdyż wiele osób wchodziło przez nią i wychodziło na zewnątrz. Panował straszliwy tłok i hałas. W powietrzu unosiły się tumany kurzu, wzbite końskimi kopytami. Przez lekko falujący tłum gapiów z trudem przepychali się woźnice, stajenni i strażę.

- Przepraszam! Przepraszam! Jestem służącym z willi Spada, chcę przejść! - krzyczałem jak szalony, ale nikt mnie nie słuchał.

Jeden z powozów, cofając, o mało nie przejechał dwóch kobiet, które w ostatniej chwili odskoczyły na bok. Jedna z nich wpadła na mnie. Zachwiałem się; by nie stracić równowagi, uczepiłem się osoby stojącej obok, która z kolei przytrzymała się następnej. Runęliśmy wszyscy na

ziemię, tworząc dziwną płataninę rąk i nóg. Kiedy zdołałem się podnieść, zauważyłem, że ten niewinny wypadek wywołał prawdziwą awanturę. Dwaj stajenni zaczęli okładać się kijami, a jeden z woźniców chwycił za nóż. Ktoś wołał na pomoc żandarmów. Orszak księcia Monaco zatrzymał się, chwiejąc się i skrzypiąc niczym jedna wielka karetą.

Nie bacząc na bójkę, z duszą na ramieniu pobiegłem dalej. Drogę do pałacu tarasowały karety, nie mogłem znaleźć przejścia. Rzuciłem się na oślep w tłum, przeciskając się przez gąszcz ramion, nóg i końskich kopyt. Poczulem, że ktoś uderzył mnie łokciem w pierś, a jakiś chłopczyk mocno mnie szturchnął. Spuściłem głowę i niczym taran szykowałem się do uderzenia. W dużych niebieskich oczach malca wyczytałem przerażenie. Ruszyłem.

Celowałem w brzuch chłopca. Nie spodziewałem się twardej powierchni. Uderzyłem głową w wielką jak bochen chleba dłoń, palce zacisnęły się na moich włosach. Poczulem bolesne szarpnięcie.

- Na wszystkie kolubryny! Chłopcze, co ty tutaj robisz? Twoja żona pilnie cię potrzebuje!

Trzymając mnie za włosy, Waligóra przyglądał mi się z rozbawieniem i zaciekawieniem.

- Czy Cloridii coś się stało?! - zawołałem.

- Nie, nic. Księżnej Forano coś się przydarzyło. Chodźmy!

Podniósł mnie, posadził sobie na ramionach i tak szliśmy w stronę pałacu. Siedząc niczym Hannibal na słoniu, rozglądałem się dookoła. Podniecony tłum gapiów rozstępował się przed kareta księcia Monaco, który rzucał przez okno miedziaki. Szerokim, teatralnym gestem sięgał do sakiewki i sypał na głowy gapiów błyszczące monety. Na twarzy księcia można było dostrzec rozkosz, jaką dawał mu widok pospółstwa, które biło się o to, co dla niego było błahostką.

- Książę Monaco to prawdziwy pyszałek - wyszeptał Waligóra, kiedy mijaliśmy strażę i wchodziliśmy do willi. - Pieniądze rzuca się ludowi z balkonu własnego pałacu, a nie przed czyjąś willą.

- Może powie mi pan w końcu, jak się czuje Cloridia? - spytałem zniecierpliwiony, zsuwając się z pleców Waligóry. - Co z dziewczynkami?

- Wszystkie trzy mają się dobrze. Buvat ci nie powiedział? Księżna Forano urodziła chłopczyka. Kiedy twoja żona odbierała poród, potrzebowała pomocy. Nie mogąc się doczekać na wasze córki, pytała o ciebie. Nikt nie wiedział, gdzie jesteś, kazała więc odszukać opata Melaniego, ale jego też nie można było znaleźć. W końcu Buvat się zlitował i zaofia-



rował swoją pomoc. Zanim wyszedł, Clordia wręczyła mu poplamione krwią prześcieradła. Niosąc je, pobrudził sobie koszulę. Zbladł i oznajmił, że nie znosi widoku krwi. Tak jak stał, poszedł po was. A propos, gdzie wyście się, do diabła, podziewali?

Na dziedzińcu wjechał orszak panny młodej, Marii Pulcherii Rocci. Składał się z jedenastu karet i niezliczonych powozów kardynałów, ambasadorów, książąt i pierwszych kawalerów dworu rzymskiego.

Orszak otwierała kareta zaprzężona w sześć koni, zwana strażą honorową. Za nią podążały trzy zaprzęgi i ozdobne wozy, zasługujące na szczegółowy opis (niestety ja, z powodu niewielkiego wzrostu, nie widziałem ich dokładnie).

W pierwszym zaprzęgu jechała panna młoda. Jeden bok karety barwy złota zdobiły alegorie Jesieni i Zimy, drugi - Lata i Wiosny. Pośrodku widniała alegoria Słońca, które decyduje o zmianie pór roku, a pod nim dwie rzeki płynące do jednego ujścia. Wokół dekoracji tańczyły wesole putta. Jak zwykle podczas zaślubin arystokratów dwa pierwsze zaprzęgi przedzierał zwykły czarny powóz, wewnątrz pusty.

Drugi zaprzęg wioził rodzinę panny młodej. Kareta pokryta była zielonym aksamitem, w środku wyłożona zielonym brokatem ze złotymi haftami. Zdobiły ją dwie skrzydlate postacie z trąbami w dłoniach, wyobrażające Sławę, oraz alegorie Malarstwa i Rzeźby.

W trzeciej, skromniejszej karecie, z wnętrzem w karmazynowym kolorze, siedział bohater uroczystości - sekretarz stanu kardynał Fabrizio Spada.

Bogate stroje i krzepki wygląd woźniców świadczyły o wspaniałości kardynała, który urządził ten wspaniały orszak. Dowodem jego hojności była też olbrzymia suma, jaką-jak mówili ludzie tego wieczoru - kosztował kardynała ten gest.

- Podobno dwadzieścia sześć tysięcy skudów - szepnął mi do ucha młody lokaj, stojący obok mnie w tłumie gapiów.

Orszak skręcił w aleję wjazdową, witany oklaskami tłumu zgromadzonego wzdłuż trasy przejazdu. Dojechawszy do placyku przed pałacem, skręcił w prawo, przejechał obok ogrodu z drzewkami pomarańczy i zniknął mi z oczu, przesłonięty krzewami od strony kaplicy.

Przyspieszyłem kroku. Chciałem jak najszybciej uściskać żonę. Spojrzałem w okna apartamentu na pierwszym piętrze, który zajmowała księżna Forano, ale nikogo nie zobaczyłem. Postanowiłem wejść na górę. Nie ośmieliłbym się oczywiście zapukać do drzwi, ale może udałoby mi się wywołać Cloridię. Z pewnością była teraz bardzo zajęta: noworodkiem, położnicą i wieloma innymi obowiązkami. W korytarzu nikogo nie było. Wszyscy zeszli na dół, aby popatrzeć na przejazd panny młodej. Po chwili usłyszałem srebrzysty głos mojej żony, dochodzący zza półotwartych drzwi:

- Kleofan, wyrodny syn wspaniałego Temistoklesa, nie chciał pić matczyne mleko, podobnie jak zdegenerowani Ksantyppos syn Peryklesa, Kaligula syn Germanika, Kommodus syn Marka Aureliusza, Domicjan syn Wespazjana i Absalom syn Dawida, którego powinnością była wymieścić na początku. Nic dziwnego, że karmiony kozim mlekiem Egidiusz dopuścił się cudzołóstwa! Romulus wraz z mlekiem wilczyca wysłał nie nawiść do brata Remusa, a gdy dorósł, zabił brata i podstępnie porwał Sabinki.

Od razu wszystko zrozumiałem. Repertuar mojej Cloridii znałem na pamięć. Po odebraniu porodu lubiła rozprawiać o zaletach karmienia piersią.

- Zgodzi się pani ze mną, droga księżno, że miłość do dziecka pojawia się w chwili narodzin, ale umacnia podczas karmienia piersią - mówiła Clordia spokojnym, przekonującym tonem.

Księżna Forano milczała.

- Najlepszym przykładem jest Grakchus, odważny Rzymianin - ciągnęła Clordia - który po odniesieniu wielu zwycięstw w Azji witany był u bram Rzymu przez matkę i mamkę. Dzielny Grakchus przywiózł z wojny dwa dary: srebrny pierścień dla matki i złoty pasek dla mamki. Matce, która miała za złe synowi, że najpierw wręczył podarunek mamce, a dopiero potem jej, odpowiedział: „Matko! Przez dziewięć miesięcy nosiłaś mnie pod sercem, ale zaraz po urodzeniu oddałaś mamce, ona zajmowała się mną nie dziewięć miesięcy, ale trzy lata”.

Księżna nadal milczała.

- Słowa te, wypowiedziane przez poganina, powinny nas zawstydić - ciągnęła Clordia. - Urodziliśmy się jako chrześcijanie, jesteśmy wyznawcami wiary opartej na miłosierdziu, która każe miłować wrogów i kochać dzieci.

- Moja droga - odparła księżna zmęczonym głosem - dość już się na-

cierpiałam, wydając to dziecko na świat, a przedtem trójkę jego rodzeństwa. Nie mam zamiaru dalej się męczyć i karmić piersią.

- Proszę mnie wysłuchać! - błagała moja nieugięta małżonka. - Nawet księżna nie przypuszcza, jak wiele odmawia dziecku, nie dopuszczając go do piersi. Nie ma dla niego słodszej rozrywki i większej radości niż ta, gdy po chwili niecierpliwego czekania może w końcu przytulić się do matki, przyłgnąć noskiem do jej ciepłej piersi i ssać.

Pełne czułości wizje, które z takim zapalem przedstawiała moja piękna żona, były księżnej zupełnie obojętne.

- W imię czego miałabym się tak poświęcać? - spytała z wyraźną nutą zniecierpliwienia w głosie. - Kiedy tylko nauczy się chodzić, zacznij mnie kopać, a kiedy dorośnie, odplaci mi niewdzięcznością i zarozumiałstwem.

- Takie właśnie podejście sprawia, że w dzisiejszych czasach dzieci niewystarczająco kochają rodziców - stwierdziła Cloridia. - Zgodnie z wolą Boga ludzie, którym w dzieciństwie zabrakło miłości, w dorosłym życiu odplacają tym samym.

- Mój mąż najął już mamkę. Posłał po nią, powinna zjawić się lada chwila. Ale dosyć już tej rozmowy, bo w końcu obudzimy dziecko. Zostaw mnie samą! Chcę odpocząć - ucieła księżna.

Cloridia wyszła na korytarz z twarzą zachmurzoną od gniewu, z zaciśniętymi pięściami. Nie zauważyła mnie. Zeszła szybko po schodach dla służby. Podążyłem za nią do kuchni, gdzie dała upust swojej złości.

- Te nowoczesne metody wychowawcze! - zagrzmiała od progu, aż jedna z pomywaczek odwróciła się i popatrzyła na nią z przestrachem.

- Co się stało? - zapytała.

- Och, nic takiego. Rozpowszechniły się okrutne, trudne do wyplenienia zwyczaje - oświadczyła Cloridia, naśladując gesty i miny arystokratek. - Matki, oczywiście te, które nie należą do pospólstwa, z czystego kaprysu nie dopuszczają do piersi potomstwa noszonego we własnym łonie.

Na te słowa pomywaczki zaczęły się śmiać. Jedna z nich, matka dwuletniej dziewczynki, odsłoniła pierś nabrzmiałą od pokarmu, na dowód, że dziecko nadal ją ssie.

- Czyż to nie prostackie? - szydziła kobieta.

- Żegnajcie, dzieci! Żegnajcie! - wołała Cloridia proroczym głosem, krążąc po kuchni z uniesionymi ramionami. W ten sposób wyładowywała gniew po rozmowie z księżną Forano. - Wasze rodzicielki nie mogą was

dłużej znieść, czują do was wstręt po uciążliwym okresie brzemienności i bólach, które zadałyście im podczas porodu! Europejskie niemowlę musi zatem ssać obcą pierś, zdane na nieznaną pokarm. Z obawy, że karmiąc piersią, przytyją i zbrzydną, matki zadają sobie gwałt. Wraz z pokarmem tracą więź z dzieckiem. Szlachetne uczucie miłości zamiera już w kołysce. Od mamki otrzymuje ono prostacki, pospolity pokarm. Słabnie wrażliwość ducha na rzecz nieokrzesań. Z mlekiem wysysa się różne skłonności. Gdy dziecko dostaje grubiański pokarm, staje się gburem!

Nie pierwszy raz byłem świadkiem podobnego wystąpienia mojej małżonki. Historia powtarzała się: Cloridia odebrała poród arystokratki, cieszyła się z narodzin dziecka i na wszystkie sposoby starała się przekonać położnicę, żeby karmiła niemowlę piersią, bez uciekania się do pomocy mamek, albo, co gorsza, zastępując naturalny pokarm mlekiem krowim lub kozim. Jej wysiłki były daremne. O ile wieśniaczki dawały dziecku pierś w sposób zupełnie naturalny (również ze względów ekonomicznych), o tyle dla arystokratki stawało się to najgorszą męką i zniewagą. Moja żona, która każdą z naszych córeczek karmiła piersią przez trzy lata, nie mogła się pogodzić z takim podejściem szlachcianek.

Cloridia, wyładowawszy złość, odwróciła się, zamierzając wyjść z kuchni. Gdy mnie zobaczyła, cała się rozpromieniła.

- Gdzie ty się podziewałeś? Gdy księżna zaczęła rodzić, posłałam po dziewczynki. Nie przychodziły, a ja pilnie potrzebowałam pomocy. Ten nieszczęśnik Buvat omal nie zemdleł na widok krwi.

- Wiem, wybac mi! Ale wiesz co? Mam wspaniałą wiadomość... - oznajmiłem, mając na myśli umowę zawartą z Attem w sprawie posagu dla naszych córek.

- Powiesz mi później. Teraz chodźmy się przebrać. Chcę zobaczyć pannę młodą!

Zarządca willi, don Paschatio Melchiorri, wymyślił, że służba będzie uczestniczyć w weselu w strojach wieśniaków, uszytych specjalnie na tę okazję, tworząc tło uroczystości, odbywającej się w sielskim krajobrazie willi Spada.

Do kaplicy dotarłem przed Cloridia, która czekała na nasze córeczki, obiecała im bowiem, że zabierzemy je na ślub. Kiedy przybyłem na miejsce, uroczystość zaślubin już się rozpoczęła. Don Tibaldutio szykował się do wygłoszenia kazania. Wszyscy byli w zakrystii, gdzie tradycyjnie

udzielano ślubów. Mężczyźni stali za panem młodym, kobiety - za panną młodą. Don Tibaldutio przemówił:

- Zebraliśmy się tutaj, Wasze Wielmożności, aby uczcić związek tych dwojga osób. Związek ten, czyli jedność, jest dla każdego człowieka wielkim skarbem. Zaraz wam to udowodnię. We wszystkich republikach na świecie liczą się cztery rzeczy. Pierwszą z nich jest religia. Doskonale wiemy, że tam, gdzie nie ma religii, nie ma bojaźni bożej. A tam, gdzie nie ma bojaźni bożej, nie ma sprawiedliwości. Tam, gdzie nie ma sprawiedliwości, nie ma pokoju. A tam, gdzie nie ma pokoju, nie ma jedności. A gdzie nie ma jedności, nie może istnieć republika. Widzicie więc, jak duże znaczenie mają religia i bojaźń boża dla naszego życia. Dzięki boskiej dobroci istniejemy i otrzymujemy wszystkie dobra tego świata, a także wieczny odpoczynek. Drugą ważną rzeczą jest sprawiedliwość, która karze złych, a nagradza dobrych. Sprawiedliwe rządy zapewniają pokój, niezbędny do istnienia republik. Trzecią zatem rzeczą jest właśnie pokój, bez którego republiki nie mogłyby trwać, ponieważ bez pokoju nie ma jedności. Czwartą i ostatnią rzeczą, najważniejszą ze wszystkich, jest zatem jedność, od której zależy silna wiara, sprawiedliwość i pokój. A zatem, gdy w republice brakuje jedności, ginie wiara, sprawiedliwość śpi, pokój rozpada się.

Podczas kazania przyglądałem się młodej parze. Z miejsca, gdzie stałem, niezbyt dobrze widziałem bogatą suknię i kunsztowną fryzurę panny młodej. Rozglądałem się za Cloridią i wreszcie dostrzegłem ją. Stała w grupie służących razem z naszymi córeczkami. Pięknie wyglądała w czerwono-biało-złotym stroju wieśniaczki. Nasze córki prezentowały się równie wspaniale. Miały na sobie sukienki, które Cloridią uszyła im specjalnie na wesele. Starsza była w żółtej sukience z rękawami z różowego adamaszku, obszytej złotą nitką, młodsza - w beżowej sukieneczce przyozdobionej ciemnoniebieskimi wstążkami. Dziewczynki trzymały gałązki przybrane śnieżnobiałymi kwiatami, którymi miały machać, idąc za panną młodą razem z innymi służącymi z willi Spada.

- Tam, gdzie nie ma jedności - ciągnął kapelan - panuje wrogość, przyczyna wszystkich nieszczęść, co za chwilę udowodnię, przywołując przykłady z przeszłości. Pierwszym przykładem jest wrogość między Nieskończeniem Dobrym Bogiem a Lucyferem, drugim - między Adamem a wężem, trzecim - między Kainem a Ablem, czwartym - między Józefem a jego braćmi, piątym - między Pompejuszem a Cezarem,

szóstym - między Aleksandrem a Dariuszem, siódmym - między Markiem Antoniuszem a Cezarem Augustem. Wzajemna wrogość przyczyniła się do wielu nieszczęść. Jedność jest zatem największą siłą i skarbem ludzkości, nieodzownym do istnienia wszystkich państw świata. Jak ją można osiągnąć? Jak mówi filozof, mąż i żona powinni być zjednoczeni w ciele, czyli odczuwać do siebie pociąg fizyczny, ale też w duchu, co zawsze przynosi wspaniałe efekty.

Zauważyłem, że Cloridia i kobiety stojące obok niej zaczęły z ożywieniem szeptać, zasłaniając dłońmi usta i ledwie powstrzymując się od śmiechu. Dopiero po chwili pojąłem powód tego rozbawienia. Kiedy panna młoda odwróciła się, zdołałem dostrzec rysy jej twarzy. Okazało się, że Maria Pulcheria Rocci, mimo swego imienia, wcale nie była *pulchra*, a wręcz przeciwnie, bardzo brzydka.

- Nie bez powodu starożytni mieli zwyczaj zapalać pięć lamp podczas uroczystości zaślubin - mówił kapelan. - Wierzyli, że nieparzysta cyfra trzy symbolizuje formę duchową, a parzysta cyfra dwa - materię. Małżeństwo jest zatem umiejętnym połączeniem formy i materii, z czym może się identyfikować zarówno mężczyzna, istota duchowa i aktywna, jak i kobieta, istota materialna i pasywna. W starożytności panował też zwyczaj, aby podczas zaślubin mężczyzna dotknął ognia, a kobieta wody, albowiem ogień daje światło, a woda je odbija. A ponieważ wierzono, że ogień i woda mają moc oczyszczającą, zawierane małżeństwo stawało się czyste i niewinne.

Oliwkowa, ospowata twarz, wąskie, niemal niewidoczne usta, blade policzki, niskie czoło, małe oczy i zgaszony wzrok upodabniały Marię Pulcherię do śniętej ryby.

Pomyślałem, że aluzja don Tibaldua do pociągu fizycznego jest nie na miejscu. Szybko jednak skarciłem się za to, ponieważ ja sam, obdarzony niskim wzrostem, nie mogłem uważać się za adonisa...

Patrzyłem na Cloridię z zachwytem. Taka piękna kobieta wybrała sobie na męża właśnie mnie. W przypadku pana młodego, Clemente Spady, powód, dla którego zdecydował się ożenić z mało pociągającą Rocci, nie był tak prozaiczny jak uroda panny czy uczucie.

- Fundamentem małżeństwa jest miłość - zakończył don Tibalduo, widząc, że wierni zaczynają ziewać, i dodał: - Niech nikt nie waży się sprzeciwić prawom i zasadom Świętego Kościoła Katolickiego. Przysięga złożona przed obliczem kapłana obowiązuje na wieki wieków. Celem małżeństwa jest wydanie na świat potomstwa, a nie oddawanie się roz-

wiązłości. Kto inaczej rozumie związek kobiety i mężczyzny, nie zasługuje na miano chrześcijanina.

Kapelan zakończył przydługie kazanie i przystąpił do udzielenia ślubu.

- Pierścień na palec, naszyjnik na pierś, korona na głowę - wyrecytował uroczyste. Druhny położyły wymienione przedmioty na ławce obok pary młodej, aby kapelan je poświęcił. - Pierścień symbolizuje czystość związku, wyciągnięta dłoń oznacza wiarę w czystość intencji małżonka, naszyjnik - szczerłość serca, korona - jasność myślenia.

Zauważyłem go w chwili, gdy kapelan udzielał małżonkom błogosławieństwa. Siedział pomiędzy sztandarami cesarstwa z wizerunkami dwugłowych orłów, ubrany w hiszpański strój na znak wierności Habsburgom. Hrabia von Lamberg, cesarski ambasador na dworze papieskim, przyglądał się ceremonii z poważnym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Odnalazłem wzrokiem Atta. Z czołem zroszonym potem, pobieloną twarzą i policzkami pokrytymi różem, nieprawdopodobnie wystrojony, cały w żółto-czerwonych (swoich ulubionych kolorach) pomponach i kokardkach, nie odrywał oczu od Lamburga. Ambasador, ubrany w surowy strój z szarego brokatu ze sztywnymi srebrzystymi koronkami, najwyraźniej nie orientował się, że stał się przedmiotem bacznej uwagi opata Melaniego. Pomyślałem o tajemniczych przypadkach śmierci na dworze hiszpańskim, o podejrzeniach o otrucie, które ciążyły na jego partii, o Marii Mancini, lękającej się o życie Atta. Opat pisał, że chciał porozmawiać z nim sam na sam. Czy Lamberg udzieli mu audiencji?

Kiedy po ceremonii zaślubin wychodziłem z kaplicy, dostrzegłem Cloridę. Szła w moją stronę z rozbrykanymi dziewczynkami u boku, niczym Diana z nimfami. Nasze córki były dlatego takie podniecone, że dostały zaszczytu uczestniczenia w orszaku, który symbolicznie odprowadzał młodą parę wstępującą na nową drogę życia. Na pożegnanie orkiestra zagrała wolną melodię mistrza Corellego - przepiękny muzyczny komentarz do kazania don Tibaldutia.

Clordia musiała zajrzeć do dziecka księżnej Forano, poprosiła mnie więc, bym zaprowadził córki do pałacowej kuchni, dał im coś do zjedzenia, a potem odprowadził je do domu i położył spać. Pokazałem jej kartkę od Melaniego. Moja żona otworzyła szeroko oczy.

- Gdybym nie zobaczyła tego czarno na białym, nigdy bym nie uwierzyła! - zawołała. Skacząc z radości, objęła mnie z całych sił.

Zanim się pożegnaliśmy, Clordia przekazała mi ważną informację, którą zdobyła od swoich sprytnych koleżanek w trakcie uroczystości zaślubin Clemente Spady z Marią Pulcherią Rocci.

- Na dzisiejszej kolacji będzie kardynał Albani - oświadczyła, puszczając do mnie oko, i pobiegła do pałacu.

Albani - na próżno szukaliśmy go z Attem w „Okręcie”. Sam do nas przybył.

- Podobno kardynał Buonvisi jest w nie najlepszej formie - powie dział smutnym głosem, pociągając łyk muszkatelu, stary kardynał Colloredo, najwyższy penitencjariusz. Jako spowiednik kardynałów, zawsze był dobrze poinformowany.

Uczta weselna trwała już od jakiegoś czasu, kiedy, po zapadnięciu zmierzchu, wezwał mnie do siebie zarządca don Paschatio. Poprosił, bym zastąpił lokaja - tego, który źle się poczuł - i jeszcze raz potrzywał pochodnię. Założyłem więc strój janczara, wziąłem pochodnię i stanąłem za jednym z gości. Państwo młodzi z rodzinami i kardynałem Spada siedzieli przy osobnym stole. Pan domu pragnął w ten sposób oddać cześć rodzinie panny młodej, jak również uniknąć rozmów o polityce, które mogły się przerodzić w kłótnię, nie do uniknięcia podczas uczyty z udziałem osiemnastu kardynałów.

Wszędzie wokół na podręcznych stolikach, oświetlonych dodatkowymi kilkuramiennymi kandelabrami, błyszcząły srebrne kielichy do napojów, kryształowe karafki, miski, solniczki, dzbanki, kieliszki, spodki. Na dużych tacach stały talerzyki z truskawkami i śliwkową galaretką. Na jednym stole ustawiono półmiski z potrawami z ryb, na drugim z dziczyzną, na trzecim z warzywami, na czwartym misy z owocami - świeżymi i kandyzowanymi. Barwne kompozycje cieszyły wzrok i właściwie w tym celu zostały przygotowane, ponieważ dania główne prezentowały się (dobrze o tym wiedziałem) jeszcze wspanialej.

Na wieść o złym stanie zdrowia kardynała Buonvisiego biesiadnicy ze smutkiem pokiwali głowami.

- Tak, to prawda, ma się nie najlepiej. Pisał mi o tym w zeszłym tygodniu - potwierdził opat Melani, przyznając się tym samym do przyjaźni



z Buomdsim, który, jak z tego wynikało, zwierzał mu się ze spraw osobistych.

- Jestem pewien, że szybko odzyska siły i weźmie... Jego zdrowie bardzo leży mi na sercu - oświadczył Colloredo. Miał nadzieję, że Buonvisi wyzdrowieje i weźmie udział w konklawe.

Colloredo nie mógł wówczas przewidzieć, że Buonvisi umrze kilka tygodni później, 25 sierpnia, a on przeżyje go tylko dwa lata. Jakby w przypływie jasnowidzenia oznajmił w zamyśleniu:

- Trzynastego czerwca zmarł kardynał Maidalchini, a trzeciego marca Casanate.

Na te słowa ciarki przeszły po plecach biesiadujących kardynałów, z których większość była w podeszłym wieku.

Tymczasem podano kolejne dania. Aby odświeżyć podniebienie i przygotować je na przyjęcie nowych smakołyków, podano sorbet z czarnych porzeczek z dodatkiem soku z cytryny. Następnie zaserwowano smażone pstrągi nadziewane wiśniami i owalne paszteciki z jesiotra. W naczyniach z dziurkowaną pokrywką wniesiono szparagi gotowane z dodatkiem masła i kaparów, zaciągnięte surowymi żółtkami, doprawione sokiem z cytryny i cukrem. Do nich podano śliwki i kwaśne winogrona. Następnie podana została potrawka z żółwi pieczonych na ruszcie (z dodatkiem przypraw), prażone migdały, gęsie wątróbki pachnące ziołami, muszkatel, maślane ciasteczka.

- Wasza Eminencja nie powinien myśleć o takich smutnych sprawach w dzień wesela - rzekł kardynał Moriggia, którego poprzedniego wieczoru Cezar August nazwał tępym gburem. - Wazniejsza od daty śmierci jest pamięć o cnotach zmarłych.

- Nie myślałbym o tym - odparł Colloredo - ale od tej historii z liczbą dziewiętnaście...

Zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, co kardynał miał na myśli. Czytałem o tym w korespondencji Atta. Rok temu trzech kardynałów zmarli równo w odstępie jednego miesiąca: patriarcha Akwilei Giovanni Delfino - 19 lipca, kardynał de Aguirre - 19 sierpnia, Wielki Inkwizytor Hiszpanii, kardynał Fernandez de Cordoba - 19 września. Gdy zbliżał się 19 października, wszyscy kardynałowie Europy lękali się, że umrze kolejny wysoki dostojnik. Tak się na szczęście nie stało. Czarną serię przebrał kardynał Pallavicino, który rozstał się z życiem doczesnym 11 lutego. Członkowie Świętego Kolegium odetchnęli z ulgą.

- Dobrze znałem drogiego Delfina, byłby doskonałym papieżem -

oznajmił Atto, przytaczając znane wszystkim nazwisko i dowodząc tym samym, że przyjaźnił się z jeszcze jednym dostojnikiem Kościoła. - Szkoda, że przez czyjąś nadgorliwość sprawy potoczyły się inaczej. Przy stole zapanował ponury nastrój.

- Niektóre osoby są zbyt gor-li-we. Nieproszone udzielają rad, obrzucają błotem szanowanych ludzi - dodał Atto jakby od niechcenia.

Atmosfera wokół stołu zgęstniała. Słowo „gorliwe”, które Melani silnie zaakcentował, odnosiło się do partii Gorliwych, kardynałów głoszących niezależność Świętego Kolegium od wpływów obcych mocarstw. Ich reprezentantami byli zarówno Colloredo, jak i Negroni.

Jak dowiedziałem się z listów opata Melanigo, podczas ostatniego konklawe przed dziewięcioma laty kardynał Delfino, przyjaciel Atta i kandydat popierany przez wszystkie Korony, miał być wybrany na papieża. Gorliwi Kardynałowie, nie mogąc pogodzić się z tym, że obce mocarstwa miały własnego kandydata na papieża, czynili wszystko, by mu zaszkodzić. Aluzja Atta odnosiła się do listu Colloredy, w którym prosił spowiednika Króla Słońce, ojca La Chaise (z którym kardynał nigdy dotąd nie kontaktował się), o poparcie kandydatury kardynała Barbariga, jednego z Gorliwych.

Negroni puścił plotkę, jakoby Delfino w młodości zabił pogrzebaczem człowieka. Delfino rzeczywiście to uczynił, ale w obronie własnej przed złodziejem, który włamał się do jego domu i groził kardynałowi sztyletem.

Kampania złośliwości przeciwko Delfinowi odniosła skutek i na papieża został wybrany kardynał Pignatello - ten, którego śmierci spodziewano się lada dzień.

- Fakt faktem, że nasz obecny Ojciec Święty, Innocenty XII, jest papieżem dobrym i mądrym - wtrącił kardynał Negroni, dając do zrozumienia, że działania na szkodę Delfina przyniosły korzystny efekt.

Atto milczał.

- Dowodem jest *Romanum decet Pontificem* - dodał Negroni, mając na myśli konstytucję, w której Innocenty XII, tuż po objęciu urzędu papieża, zabronił krewnym papieży bogacić się kosztem Kościoła. - Wątpię, czy ktoś inny na jego miejscu miałby odwagę to uczynić.

Była to kolejna aluzja do Delfina. Aby nie dopuścić do wybrania go na papieża, Gorliwi rozpowiadali, że kardynał ma dużą rodzinę i pragnie o nią zadbać z kasy Watykanu.

Przy stole zapanowało milczenie. Słyszał tylko tylko odgłosy przeżuwania. Kardynałowie zapomnieli o sporach i oddali się rozkoszom

podniebienia, zając się wybornym pasztetem po angielsku, smażonymi rybami, potrawką żółtawą i na deser galaretką ze śliwek.

Napięcie wywołane dyskusją kardynałów udzieliło się także nam, służącym z pochodniami. Pociłem się jeszcze bardziej niż dotąd. Nikt nie śmiał przerwać wymiany zdań między Attem a Negronim.

- Słowa Waszej Eminencji są krzywdzące dla poprzedniego papieża - oświadczył Atto ze złośliwym uśmiechem. - Nie wiem, co powiedziałby na to książę Odescalchi. Bratanek Innocentego XI, który panował przed obecnym papieżem i Aleksandrem VIII, dlatego nie został kardynałem, że wuj nie chciał być oskarżony o nepotyzm.

- Jaki stąd wniosek? - spytał Negroni.

- Jak by to powiedzieć... Słyszy się różne rzeczy, czyste złośliwości, ma się rozumieć. Niektórzy twierdzą, że książę Odescalchi pożyczka pieniądze cesarzowi. Zarzucają mu, że uprawia hazard i przegrywa astronomiczne sumy, nic sobie z tego nie robiąc. Podobno podarował Polsce osiem milionów florenów, żeby zostać królem, jakby tron był do kupienia. Za czterysta czterdzieści tysięcy rzymskich skudów chciał przejąć posiadłości Orsinich... On, bratanek papieża, który zwalczał nepotyzm...

- Powtarzam: jaki stąd wniosek?

- Taki, że krewni papieża zbijają fortunę.

Wokół stołu dał się słyszeć szmer niezadowolenia. Atto oczerniał księcia Odescalchiego, który został w domu z powodu choroby (mówiono, że jest hipochondrykiem), ale z pewnością dowie się o wystąpieniu Melaniego. Obrażał też żyjącego papieża. Innocenty XII, ku niezadowoleniu jego krewnych i powinowatych, oficjalnie zlikwidował nepotyzm (rodzina miała nadzieję, że skorzysta z hojności papieża). Głośno wszyscy popierali jego decyzję.

- Nie zamierzam obrażać Ojca Świętego, niech mnie Bóg broni! - ciągnął opat Melani. - Pragnę jedynie zabawić czcigodne osoby, obok których mam zaszczyt siedzieć tego wieczoru. Tak więc kardynał Aldobrandini, krewny Klemensa VIII, czy kardynał Francesco Barberini z rodziny Urbana VIII, i wielu, wielu innych, z chęcią godzili się na opuszczenie Rzymu i obronę interesów Kościoła na obcych ziemiach, nierzadko dowodząc wojskami. Pytam więc: czy możemy powiedzieć to samo o...

- Dość już, opacie Melani. To naprawdę przesada.

Kardynał Albani stanowczym tonem przerwał opatowi, wprawiając gości w osłupienie. Jak wyczytałem w dokumentach Melaniego, to Albani napisał bullę przeciw nepotyzmowi *Romanum decet Pontificem*, o której wspomniał kardynał Negroni, i tak jak pan domu Fabrizio Spada był jednym z kardynałów odpowiedzialnych za kontakty Stolicy Apostolskiej z Francją. Poza tym, jako członek Świętego Kolegium, cieszył się wielkimi wpływami. W rzymskim Kolegium Jezuitów, gdzie studiował, słynny hellenista i hebraista Pietro Poussines odkrył jego talent do nauki języków: łaciny i greki. Jeszcze jako student Albani wzbudził powszechny podziw dla swoich zdolności, kiedy przetłumaczył na łacinę kazanie patriarchy Jerozolimy, świętego Sofroniusza. W jednym z klasztorów znalazł rękopis drugiej części bizantyńsko-greckiego dzieła Bazylego Porfirogenety, uznanej za zaginioną. Dowodem niezwyklej erudycji Albaniego był przekład mowy diakona Prokopiusza na temat świętego Marka Ewangelisty, który ojcowie bollandyści włączyli później do *Acta Sanctorum*. Krótko mówiąc, już w młodości Albani dał dowód swojej błyskotliwości i chłonności umysłu, zapowiadającego przyszłe sukcesy.

Zdobywszy tytuł magistra prawa w Urbino, kardynał rozpoczął błyskotliwą karierę. Najpierw został gubernatorem Rieti i Viterbo, później, za panowania dwóch ostatnich papieży, sekretarzem do spraw brewe. Była to niezwykle trudna funkcja, wymagająca wyjątkowo bystrego umysłu. Jeśli chodzi o sprawy większej wagi, Albani zajmował się stosunkami z Francją, wkrótce też uznano go za zwolennika Francuzów. Jak się okazało, opinia ta nie była bezpodstawna. Otóż w 1699 roku, na skutek licznych żądań, wydano bullę potępiającą francuskiego opata Fenelona, podejrzewanego o herezję. W odpowiedzi Albani wydał brewe *Cum Alias*, w którym skrytykował wprawdzie dwadzieścia trzy twierdzenia z dzieła Fenelona, lecz ani razu nie wymienił słowa „herezja”. Na tym nie koniec. Albani napisał list do francuskiego opata, w którym doradzał mu sposób, w jaki powinien ukorzyć się przed papieżem. Fenelon przygotował się tak dobrze, że papież wysłał mu później pisemną pochwałę.

Stosunkowo młody wiek (pięćdziesiąt jeden lat) nie pozwalał Albanie-  
mu kandydować wówczas do najwyższego urzędu Kościoła. Stał się za to jednym z najbardziej zaufanych doradców ostatnich trzech papieży, mediatorem w stosunkach z Francją i autorem wielu istotnych postanowień w sprawach doktryny i polityki. Nie należy zapominać o pewnym szczególe. Otóż Albani, mimo że nosił tytuł kardynała, nie był kapłanem. Nigdy nie otrzymał święceń wyższych. Nie był to przypadek odosobniony

wśród dostojników Kościoła, którzy przyjmowali święcenia tuż przed konklawe, żeby kandydować na papieża (nigdy nie wiadomo!). Atto wytrącił zatem z równowagi grubą rybę, a w dodatku dobrego znajomego pana domu, kardynała Spady.

- Eminencjo! Chyłę czoło przed wszystkim, co powie Wasza Eminencja - powiedział Melani uprzejmie.

- Nie musi pan tego czynić. Zastanawiam się tylko, czy pan wie, co mówi.

- Nie odezwę się już ani słowem, Eminencjo.

- Wymienił pan pewne nazwiska i fakty, ale czy pamięta pan, że jest gościem kardynała sekretarza stanu?

- To dla mnie wielki zaszczyt.

- A czy wie pan, że papież przed Innocentym XI mieli kardynała nepota pełniącego funkcję sekretarza stanu, którego wybierali wedle własnej woli, tylko dlatego, że był ich krewnym?

- Czynili tak również późniejsi papieże, na przykład Aleksander VIII.

- Zgoda, chciałem tylko powiedzieć - odparł Albani przez zaciśnięte zęby, zdając sobie sprawę z popełnionej pomyłki - że za panowania Innocentego XI, który zaszczyił mnie nominacją na referendarza sygnatur, rozpoczęto tę słuszną reformę, dzięki której nie ma już dziś kardynała nepota i żaden krewny obecnego papieża nie został kardynałem.

Moriggia, Durazzo, Negroni i inni kardynałowie zaczęli się podśmiewać, solidaryzując się z Albanim przeciw Melanemu. Istotnie, aktualny papież Innocenty XII nie mianował kardynałem nikogo z członków swojej rodziny.

- Widocznie los tak chciał... a raczej predestynacja - odparł Atto, biorąc do ust kawałek ciasta z kwaśnymi winogronami, posypanego cukrem pudrem i kandyzowanymi owocami.

Przez chwilę panowało milczenie, które przerwał Albani:

- Wie pan, czego nie mogę znieść, opacie Melani? Że tacy ludzie jak pan, zwolennicy Francuzów, psują nastrój tego wieczoru, który pragnęli byśmy spędzić w spokoju, rozkoszując się smakiem wybornych dań. Oskarżać Kościół o to, że nic nie widzi i nie rozumie, jest tak samo absurdalne jak wiara w to, że król Francji wszystko wie i może.

Albani także uważany był za sprzymierzeńca Francuzów - pomyślałem - choć sposób, w jaki zamknął usta Melanemu, wydawał się przeczyć tej opinii.

Atto słuchał Albaniego z całkowitym spokojem, nabijając na widelczyk kawałki ciasta. Ja natomiast czyniłem wszystko, żeby stać nieruchomo i utrzymać pochodnię w odpowiedniej pozycji. Stolnik czuł się zawiedziony. Nie przypuszczał, że eminencje, zamiast zabrać się z zapalem do jedzenia smakołyków, które przed nimi postawił, zaczną się kłócić. Don Paschatio, ukryty za kolumnką podtrzymującą zadaszenie, był zdruzgotany. Pierwszy raz w życiu miał okazję widzieć przy jednym stole tylu kardynałów, ale radość psuło nieoczekiwane rozdrażnienie Albaniego. Wysoki dostojnik był dosłownie wyprowadzony z równowagi i niewiele brakowało, żeby wstał i wyszedł, przeklinając gości willi Spada.

- Spokojnie, Wasza Eminencjo... - uspokajał Albaniego hrabia Vidaschi.

- Ci przekłęci Francuzi... - powiedział szeptem książę Borghese.

- Przyzwyczaili się wybierać papieży z Paryża - wtrącił baron Scarlatti.

Dowcip Atta był niezwykle cięty. Słowo „predestynacja” było bowiem aluzją do dzieła *Nodus praedestinationis*, opublikowanego przed czterema laty przez nieżyjącego już kardynała Sfondratiego. Autorem wstępu był Albani, który mimo swojej erudycji nie zorientował się, że Sfondrati poruszył delikatne kwestie teologiczne w nieortodoksyjny sposób. Augustianie i jansenści natychmiast zażądali interwencji Świętego Oficjum. Potem sprawa powróciła, ale papież Innocenty XII i Albani zdołali się jakoś wybronić. Była to jedyna nieudana rzecz w karierze Albaniego.

Uderzyło mnie dziwne zachowanie Melaniego. Podczas wczorajszej kolacji milczał, dlaczego więc dzisiaj wdał się w dyskusję, docinając kardynałom? Jak śmiało prowokować w tak zuchwały sposób przyjaciela i współpracownika pana domu? Dlaczego tak silnie podkreślał swoje profrancuskie sympatie? Wszyscy wiedzieli, że Atto był agentem Arcychrześcijańskiego Króla, ale otwarte przyznawanie się do politycznych preferencji (które potwierdził Albani) nie było, moim zdaniem, rozważne. Od tej chwili każdy, kto zbliży się do Melaniego, będzie posądzony o sprzyjanie interesom Francji.

Po pewnym czasie Albani uspokoił się. Atto, niezadowolony z reakcji, jaką wywołały jego słowa, powiedział:

- Wasza Ekscelencja z pewnością mi wybaczy, jeśli przypomnę, że dwaj krewni papieża Aleksandra VIII, o którym wcześniej wspomniałem, byli sekretarzami stanu: kardynał Rubini i kardynał Ottoboni. Ten właś-

nie papież powiedział słynne zdanie: „Uwaga! Wybiła godzina dwudziesta trzecia!” Oznaczało to, że wszystko miało się zmienić. Aleksander VIII panował tuż przed aktualnym papieżem. Stąd wniosek, że...

- A pan znowu swoje! - przerwał opatowi don Giovanni Battista Pamphili, w którego rodzinie było wiele przypadków nepotyzmu. Obdarzony inteligencją i dowcipem, bez trudu zdołał zmienić ton i temat rozmowy. - To prawda, że podczas jubileuszu należy wyznać grzechy, ale własne, nie cudze!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, który złagodził surowy wyraz twarzy Gorliwych kardynałów i zagłuszył niestosowne uwagi Atta.

- Księżę Monaco, nowy ambasador Arcychrześcijańskiego Króla Francji, kilka dni temu przybył z orszakiem do Kwirynału złożyć uszanowanie Ojcu Świętemu. Towarzyszyli mu niezliczeni dostojnicy kościelni i arystokraci - oznajmił monsinior D'Aste, zmieniając temat.

Sąsiad monsiniora kopnął go dyskretnie pod stołem, dając do zrozumienia, że należy unikać słowa „Francja”. D'Aste natychmiast zamilkł. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

- Monsiniorowi Chudzinie brakuje wyczucia - szepnął księżę Borghese baronowi Scarlattiemu do ucha.

Zdenerwowany, mokry od potu stolnik, chcąc ożywić atmosferę, kazał podać wina.

- We wtorek wielbny ojciec dominikanów udał się z procesją do nowego przełożonego ojców franciszkanów - wtrącił Durazzo.

- Słyszałem o tym - powiedział Negroni. - Wszedł na schody Ara Coeli, dźwigając na plecach krzyż. Bardzo się zmęczył. A propos nowości, mówiono mi, że tajny szambelan papieża wyjechał z Rzymu, żeby zawieźć kardynalski kapelusz wielbnemu Noailles'owi. Pojechał do...

- ...właśnie, ale nie wiadomo jeszcze, kto zawiezie kapelusze dwóm innym kardynałom, Lambergowi i Borgii - wtrącił Durazzo, aby nie dopuścić do tego, by Negroni wymienił słowo „Paryż”, gdzie przebywał Noailles.

Uczta weselna dobiegała końca. Oczy gości zwróciły się w stronę stołu nowożeńców. Kardynał Spada wstał z kieliszkiem w dłoni, by powitać księżnę Forano, która przybyła w lektyce, niczym opatrnościowy *deus ex machina*, nieoczekiwany wybawiciel z kłopotliwej sytuacji.

Księżna pozostała w lektyce. Choć była bardzo zmęczona porodem, pragnęła uściskać pannę młodą, z którą, jak dowiedziałem się od Cloridii,

od dawna się przyjaźniła. Nie zabrała ze sobą dziecka, oddała je zapewne pod opiekę mamce. Wkrótce miał je przynieść ojciec. Kardynał Fabrizio powitał księżnę toastem:

- Mylił się Arystoteles, twierdząc, że kobieta jest słaba - rzekł żartobliwym tonem. - Samice zwierząt, takich jak lamparty, pantery, niedźwiedzie i lwy, są silniejsze od samców, a ród kobiecy, tak uroczy i wytrwały, z łatwością pokona Herkulesa czy Atlasa.

Wszyscy zareagowali śmiechem na dowcipne, a zarazem pikantne słowa sekretarza stanu.

- Nie zgadzam się z Arystotelesem - ciągnął Spada - kiedy nazywa kobietę „potworem” czy „zwierzęciem”. Być może użył tych określeń, bo zeżłocił się na swoją gospodynię.

Kolejne salwy śmiechu zdecydowanie poprawiły atmosferę. Nikt już nie pamiętał o niestosownym zachowaniu Melaniego.

- Obecna tu księżna - mówił Spada - siłą dorównuje Lastenii, Mantinei, Aksjotei i Filialii, uczennicom Platona. Choć Pantazyleja i Kamila są postaciami z bajek, ale Zenobia czy Fulwia, żona Antoniusza, o których wspomina Dion w *Życiu Augusta*, są prawdziwe. Prawdziwa była też od waga Amazonek, które walczyły i wychowywały dzieci. Któż nie słyszał o słynnych Sybillach? Wspomniane przeze mnie kobiety, z Najświętszą Panią na czele, swą mądrością i odwagą niech posłużą za wzór obecnej tu pannie młodej.

Tu nastąpiły brawa. W drugiej kolejności kardynał wznosił toast na cześć Marii Pulcherii Rocci. Jako młoda żona, ale jeszcze nie matka, była mniej ważna od położnicy. Poza tym rybia twarz biedaczki nie inspirowała do wzniosłych epitalamiów.

- Nie zapominajmy o Aspazji, nauczycielce Peryklesa i Sokratesa - ciągnął kardynał Fabrizio - czy mądrej Arecie, o której pisał Boccaccio. Czyż nie była ona matką i jednocześnie kobietą filozofem? Na podstawie własnych doświadczeń napisała pracę na temat wychowania dzieci oraz książkę dla młodzieży o przemijaniu pięknych lat młodości. Przez trzydzieści pięć lat wykładała filozofię. Jej uczniami było stu filozofów. Jest autorką wielu wybitnych dzieł: o wojnach ateńskich, o tyranii, o republice Sokratesa, o nieszczęśliwych kobietach, o pogrzebach, pszczołach i mrówkach.

Podano kolejne dania, wszystkie z dodatkiem owoców. Choć nie byłem głodny, nie mogłem pozostać obojętny na grzanki z truflami i ka-



walkami cytryny, pierożki i kalafiory z masłem, sery, jajka i wiele innych potraw doprawionych sokiem z cytryny i cynamonem. Patrząc na te smakołyki, służący z pochodniami musieli znosić prawdziwe męki Tantala. Przelykając ślinkę, przyglądali się, jak znakomici goście zajadają ze smakiem. Następnie przyniesiono smażone oliwki z Ascoli i z Hiszpanii oraz kolejne sery.

- To mają być dania z owocami? - zdziwił się baron Scarlatti.

- Przecież są - odparł Borghese. - Trufle na grzankach, kawałki cytrusów, oliwki.

- Aha, rozumiem - powiedział Scarlatti, nie do końca przekonany, czy trufle można zaliczyć do owoców.

Następnie przyniesiono miseczki z pistacjami - oczyszczonymi lub w łupinkach - placki z orzechami i brzoskwiniami po sienensku, zieloną sałatę, a także - na cześć kardynała Durazza, który pochodził ze znakomitego genueńskiego rodu - miseczki z kandyzowanymi gruszkami, śliwkami i jabłkami pochodzącymi z Genui.

W tej samej chwili nadszedł mąż księżnej Forano z noworodkiem na rękach.

- *Minor mundus!* - powitał go kardynał Spada, nawiązując do powieści „Świat w miniaturze” - tak starożytni postrzegali człowieka ze względu na jego doskonałe proporcje.

Spada pobłogosławił dziecko, życząc mu szczęścia.

- Obyś był dobrym znakiem dla naszej młodej pary! - powiedział na koniec.

Członkowie rodzin państwa młodych wznosili kolejne toasty, składali życzenia, podziękowania, głosili pochwały, snuli wspomnienia - jak zwykle na tego rodzaju uroczystościach.

Po wystawnej kolacji goście udali się na spoczynek. Gdy przybył Waligóra, prowadząc trzy osiodłane konie, już od dwóch godzin panowały nieprzeniknione ciemności.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami czekaliśmy z Attem na niego w ustronnym miejscu w pobliżu willi Spada. Buvat, który tego wieczoru trochę za dużo wypił, spoczywał w objęciach morfeusza i smacznie chrapał w swoim pokoju.

- Gdzie jedziemy? - zapytałem, kiedy żandarm pomagał wsiąść na konia najpierw mnie, potem Melanitemu.

- Niedaleko placu Rotundy - odparł.

Poprzedniego ranka Waligóra dowiedział się, gdzie zwykle przebywają dwaj cerretanie. Wprawdzie chodziło o zwykłe płotki, ale liczyło się to, że zdobył ich nazwiska, a właściwie przezwiska: Zgniłek i Rudzielec. Takie właśnie barwne przydomki nosili dwaj przedstawiciele rzymskiego marginesu.

Niezwłocznie ruszyliśmy w kierunku Tybru, później do centrum miasta. Podobnie jak poprzedniej nocy, na drugi brzeg przedostaliśmy się przez wyspę San Bartolomeo. Niedaleko placu Rotundy czekał już kolega Waligóry, który pomógł nam zsiąść z koni, przytrzymując je za uzdy, i pod naszą nieobecność zajął się nimi.

Dotarliśmy do ciemnego rogu placu, gdzie stały wózki do przewożenia towarów, powiązane ze sobą grubym żelaznym łańcuchem. Należały zapewne do ubogich wędrownych sprzedawców, którzy za dnia handlowali na placu Rotundy. W ślepych zaułku panował całkowity mrok, czuć było fetor szczurów i stęchlizny. Wymieniliśmy z Attem zaniepokojone spojrzenia: miejsce doskonale nadawało się na zasadzkę.

Waligóra przystąpił do dzieła. Podał mi lampę, którą wzięliśmy ze sobą, żebym mu przyświecił. Zaglądał pod wózki, kręcąc z rozczarowaniem głową. Przy ostatnim wózku zatrzymał się, oparł się o niego obiema rękami, wziął zamach i wymierzył kopniaka w ciemną przestrzeń pod wózkiem. Dał się słyszeć chrapliwy krzyk, wyrażający złość i zarazem zdziwienie.

- No, nareszcie - powiedział żandarm z ulgą, jak ktoś, kto znalazł w szufladzie dawno poszukiwane pióro. - W imieniu gubernatora Rzymu, monsiora Ranuzia Pallaviciniego, rozkazuję ci: wyjdź, nędzniku!

Nie było odzewu. Waligóra schylił się, sięgnął pod wózek i mocno pociągnął. Usłyszeliśmy chrapliwe mruknięcie wyrażające protest. Wyciągnięty spod wózka człowiek był wychudłym, obszarpanym staruszkiem, z długą rudawą brodą i rzadkimi potarganymi włosami. Z powodu ciemności nie dostrzegłem innych szczegółów, choć jeden z nich nie mógł ująć mojej uwadze, mianowicie odór brudnego ciała, bijący od żebraka.

- Ja nic nie zrobiłem! - zawołał nieszczęśnik, ciągnąc za sobą stary koc, na którym prawdopodobnie spał.

- Ale smród! - stwierdził Waligóra.

Schwycił prawą dłoń żebraka, który drżał ze strachu i niewyspania, przysunął do światła i przyjrzał się jej wnętrzu. Zakończywszy dziwną kontrolę, oznajmił:

- W porządku, jesteś czysty.

Posadził starca na wózku, tym razem obszedł się z nim nieco delikatniej, cały czas przytrzymując go za ramię.

- Widzisz tych dżentelmenów? - zapytał, wskazując na nas. - Nie mają czasu do stracenia. Czasami śpią tu dwaj cerretanie. Jestem pewien, że coś o nich wiesz.

Staruszek milczał.

- Panowie chcą porozmawiać z jednym z nich.

Żebrek spuścił głowę i nadal milczał.

- Jestem żandarmem. Jeśli zechcę, złamię ci rękę, wsadzę do celi i wyrzucę klucz - przestrzegł Waligóra.

Starzec podrapał się po głowie, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Rudzielec i Zgniłek? - upewnił się.

- Właśnie.

- Czasami tu przychodzą, ale teraz nie wiem, gdzie się podziewają.

- Powiedz mi, gdzie śpią- nalegał Waligóra, mocniej ściskając ramię starca.

- Nie wiem. Stale zmieniają miejsce.

- Złamię ci rękę.

- Szukajcie w pobliżu Termine.

Waligóra puścił ramię nieszczęśnika, który czym prędzej wsunął się na posłanie pod wózkiem.

Dosiedliśmy koni i ruszyli w kierunku Termine.

- Latem w zaułku śpią sporo ludzi - wyjaśnił żandarm. - Jeśli mają na dłoniach odciski, oznacza to, że kiedyś pracowali, ale popadli w nędzę i stali się żebrakami. Jeśli nie mają odcisków, są cerretanami i nigdy nie zhańbili się pracą.

- To dlatego oglądał pan dłoń starca - wywnioskowałem.

- Otóż to! Cerretanie nie lubią pracować, przez całe życie oszukują i kradną. Może znajdziemy ich przy Termine. Od dawna mam oko na tego Rudzielca i Zgniłka i nie mogę się doczekać, żeby ich dopaść.

Zauważyłem, że kiedy Waligóra mówił te słowa, z emocji zakasał rękawy. Przygotowywał się do spotkania z przestępcami, choć w głębi duszy odczuwał strach.

Znalezienie Zgniłka i Rudzielca nie było łatwe. Wskazówka, jakiej udzielił nam żebrak, była dość ogólnikowa. Termine, rozległy teren obok term Dioklecjana, gdzie magazynowano zboże pochodzące z okolic Rzymu, nocą był zupełnie pusty. Przecieliśmy plac Rotundy i za placem Colonna skręciliśmy w kierunku Fontana di Trevi, a następnie Monte Cavallo. Dojechaliśmy do Quattro Fontane, miniliśmy ulicę Felice i bramę Pia. Na koniec dotarliśmy do Termine. Droga przebiegła spokojnie. Tylko dwa razy, w pobliżu pałacu papieskiego na Monte Cavallo, zatrzymały nas strażę. Waligóra okazał stosowne dokumenty, więc puszczono nas wolno.

Kiedy przejeżdżaliśmy w pobliżu kościoła San Carlino, Melani przerwał ciszę i zapytał:

- Treklatremiesz? Czy tak powiedział cerretanin?
- Tak, panie Atto. Dlaczego pan pyta?
- Nieważne.

Okolica Termine nie napawała optymizmem. Skręciwszy w prawo, znaleźliśmy się na wprost olbrzymiego spichlerza Kamery Apostolskiej, wysokiej, wielopiętrowej budowli. Magazyny miały kształt litery S, jednym wybrzuszeniem przylegającej do term Dioklecjana. Ruiny term, zniszczonych zębem czasu i zaborczą działalnością człowieka, górowały nad drugą połową rozległego placu Termine. Wewnątrz starożytnych łaźni, w miejscu dawnych pogańskich pomieszczeń do odświeżających kąpieli, wznosił się kościół Santa Maria degli Angeli. Jego nieregularna fasada została wykuta w murach term. Za nim widniały zwaliste ruiny Rzymu. Po prawej stronie można było dostrzec mur okalający willę Peretti Montalto - niekończący się ciąg winnic, ogrodów i przepięknych pałaców, zbudowanych na polecenie świętej pamięci papieża Sykstusa V. Przed kilkoma laty, po wygaśnięciu jego rodu, posiadłość przeszła zapisem testamentowym na własność książąt Savellich. Naprzeciw spichlerza biegł mur, za którym znajdował się klasztor i ogród zakonu bernardynów.

Rozejrzeliśmy się na wszystkie strony, ale wokół nie było żywego ducha. Nocną ciszę zakłócało jedynie cykanie świerszczy. W powietrzu unosił się ostry, słodki zapach pszenicy.

- I co teraz? - zapytałem na widok bezmiernej pustki.

Atto milczał, pogrążony w myślach.

- Znam pewne miejsce - oznajmił Waligóra. - Sądzę, że tam ich znajdziemy.

Podjechaliśmy do spichlerza, od którego ścian odbijał się echem stukot końskich kopyt. Minęliśmy duży kamienny blok i znaleźliśmy się na wprost wysokiego muru o nieregularnej powierzchni, w którym widniało szerokie przejście, przez nikogo niestrzeżone.

- Kiedy nie pada, gromadzą się tutaj - poinformował Waligóra, znizując głos.

Uwiązaliśmy konie do drzewka, po czym pospiesznie zbliżyliśmy się do ruin.

- Przypominam - powiedział żandarm, gdy zsiadaliśmy z koni - że ci ludzie mogą być niebezpieczni. Jeśli ich spotkamy, tylko ja będę z nimi rozmawiał.

Mimo gęstych ciemności skrywających to złowieszcze miejsce wydawało mi się, że na twarzy Melaniego, ledwie rozjaśnionej światłem księżyca, pojawił się złośliwy uśmiezek.

Podeszliśmy do wejścia (pozbawionego drzwi) prowadzącego na teren ruin. Kiedy wchodziliśmy do środka, wyobraziłem sobie ludzi kąpiących się w tych łaźniach przed wiekami - spoconych rzymskich patrycjuszów, ale też pospólstwo zażywające kąpiele gorących, zimnych, parowych i suchych. Wszystko odbywało się w tym wilgotnym miejscu, pod dachem...

Teraz dachu nie było. Gdy przekroczyłem próg, odruchowo spojrzałem w górę. Moim oczom ukazało się rozgwieżdżone niebo.

Znajdowaliśmy się jakby na wielkiej arenie na otwartym powietrzu, otoczonej wysokimi murami antycznych term. Czas i zaniedbanie pozbawiły je przekrycia, które przed siedemnastu wiekami wzniesli utalentowani architekci i murarze. Światło księżyca pozwalało nam poruszać się po nieznanym terenie bez potykania się o kamienie. Tu i ówdzie rozrzucone kamienne bloki w księżycowej poświacie wydawały się perłowszary.

Między przewróconymi kolumnami, połamanymi kapitelami i lizenami, jak również w zagłębieniach terenu, na szmatach i zniszczonych kołdrach spali ludzie.

- Ilu ich tu jest! - wyszeptał Waligóra.  
- Jak odnajdziemy tych dwóch? - zapytałem szeptem. - Jak oni się nazywają?... Rudzielec i Zgniłek?

Nie udzielwszy odpowiedzi, żandarm oddalił się od nas. Zatrzymał się przy połamanym architrawie, częściowo zakopanym w ziemi. Marmurowy blok sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie, jakby czekał na powrót czasów świetności.

Waligóra rozejrzał się dookoła, wyraźnie czegoś szukając. Wreszcie dostrzegł swoją ofiarę - nędznego włóczęgę, który spał, nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa. Przewrócił się we śnie na wznak. Gdy Waligóra na nim usiadł, byłem tak zaskoczony, że wstrzymałem oddech. Podeszliśmy z Attem bliżej, oglądając się do tyłu, w obawie przed atakiem żebraków. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Zachowywaliśmy się tak cicho, że żaden z nędzarzy śpiących pod gołym niebem nie obudził się.

Siedząc na brzuchu żebraka, żandarm przycisnął mu kolanami ramiona i zasłonił dłońmi usta i oczy. Nieszczęśnik nie mógł nawet pisnąć, nie mówiąc o tym, że niczego nie widział. Zręczność, z jaką Waligóra go unieruchomił, świadczyła o tym, że dość często stosował ten chwyt.

- Gdzie są Rudzielec i Zgniłek? - szepnął biedakowi do ucha, po czym powoli uniośł rękę, odsłaniając mu usta.

- Zapytaj tego, który śpi pod kocem w paski.

Waligóra szybko poszedł we wskazanym kierunku i zastosował taką samą technikę przesłuchania jak przed chwilą.

- Nie widziałem ich od kilku dni - wyszeptał ten drugi, kiedy Waligóra uniośł łapsko, odsłaniając młodą twarz żebraka. - Nie wiem, gdzie są. Poszukaj za rowem!

Wskazał rów, z którego dochodził silny odór uryny. Włóczędzy oddawali tam zapewne mocz. Waligóra uwolnił młodzieńca, rzucając mu na pożegnanie groźne spojrzenie. Kiedy się oddalił, dał się słyszeć krzyk:

- Rudzielec! Krokusy! Idź kupić fiołki!

Młodzieniec, którego przed sekundą wypytywał Waligóra, ostrzegł cerretanina i szybko pobiegł tam, skąd przyszliśmy - w stronę rozległego placu Termine.

- Łap go! - nakazał mi Waligóra.

Zostałem nieco z tyłu, byłem bliżej młodzieńca. Nasze krzyki zbudziły żebraków, którzy powoli otwierali oczy. Czułem, jak w żyłach pulsuje mi krew i tracę oddech. Pogrążoną w mroku

przestrzeń zapełniali nie tylko nędzarze, ale także nożownicy. Myśliwy w jednej chwili mógł stać się ofiarą. Ruszyłem za młodzieńcem, bardziej kierując się chęcią ucieczki niż ścigania.

Biegliśmy z Waligórą za młodym cerretaninem. Atto podążył za innym cieniem, który nagle wyłonił się z mroku. Opat biegł, z trudem pokonując nierówności terenu, w kierunku term Dioklecjana.

Działając przez zaskoczenie, obaj uciekinierzy szybko zostawili nas w tyle. Wróciliśmy na plac Termine. Zamierzałem pójść po konie, ale powstrzymał mnie głos Waligóry:

- Zostaw! Na piechotę będzie szybciej!

Miał rację. Młodzieniec skręcił w lewo, w stronę muru okalającego willę Peretti Monalto. Po chwili znalazł się po drugiej stronie placu Termine, u wylotu ulicy Felice. Wdrapał się na mur i zanim dotarliśmy z Waligórą na miejsce, był już po drugiej stronie.

- O, tu są dziury! To sprawka cerretan - wysapał żandarm.

Wykruszone miejscami cegły, z pozoru bezładnie, w rzeczywistości pełniły funkcję stopni, po których łatwiej było się wspinać po murze. Wzięliśmy przykład ze zbiega i po kilku sekundach siedzieliśmy na nim okrakiem. Spojrzeliśmy w dół. Żeby znaleźć się po drugiej stronie, musielibyśmy skoczyć z dość dużej wysokości, ponad dwukrotnie przewyższającej wzrost Waligóry. Tymczasem uciekający włóczęga szybko się oddalał. Czuliśmy się jak dwaj rybacy, którzy czekają, aż naciągnie się żyłka wędki, ale ryba ominęła przynętę. Przegraliśmy.

- Przekłety łachmaniarz! - syknął przez zęby Waligóra. - Wiedział, gdzie są dziury w murze, po których można zejść na drugą stronę. Nie musiał skakać.

Zawróciliśmy na rozległy teren, gdzie spali żebracy. Panowała tam teraz całkowita cisza. Miejsce opustoszało.

- Przez kilka miesięcy nikt się tu nie pojawi - rzekł Waligóra.

- Gdzie się podział opat Melani? - zapytałem.

- Pobiegł za tym drugim. Ale skoro nam nie dopisało szczęście, to co dopiero jemu!

- Tretotreja! - usłyszeliśmy zadowolony głos Atta.

Jechał na koniu, w jednej ręce trzymał pistolet, w drugiej cugle i sznur, na którym prowadził wychudzonego osobnika - tego samego, który rzucił się do ucieczki po ostrzeżeniu młodzieńca. Waligóra oniemiał z wrażenia. On wrócił z niczym, a Melani zdołał dogonić zbiega.

- To Rudzielec! - wykrzyknął z niedowierzaniem żandarm, wskazując więźnia.

- Panowie, pozwólcie, że przedstawię wam Pompea z Trevi zwanego Rudzielcem. Jest cerretaninem i od tej pory pozostaje do naszej dyspozycji.

- Na wszystkie przyłbice świata! Moje gratulacje! - zawołał Waligóra. - Doprowadzimy go do więzienia przy moście Sisto i zmusimy do mówienia. Mam jedno pytanie: co, do diabła, powiedział pan w chwili, gdy nas zobaczył?

- To dziwne słowo? Musiałbym długo opowiadać. Zwiążmy mocniej tego nieszczęśnika i chodźmy!

Tak jak miał w zwyczaju, Atto postąpił wbrew zdrowemu rozsądkowi. Zamiast ścigać cerretanina na piechotę, jak radził Waligóra, wsiadł na konia, co przyszło mu z dużym trudem, bo musiał się wdrapać na koński grzbiet bez niczyjej pomocy. Zanim ruszył, upewnił się, że uciekinier, przeciwnie niż jego kolega, pobiegł w lewo, na północ, w kierunku czystych, pachnących pól Castro Pretorio. Spiąwszy ostrogami wierzchowca, popędził za cerretaninem. Widział, jak zmęczony biegiem, zaczął wdrapać się na mur okalający sad cytrusowy i winnicę.

- Mało brakowało, a straciłbym go z oczu. Mógłbym dać ostrzegawczy strzał, ale przyszło mi coś do głowy.

- Co takiego?

- To, czego się najmniej spodziewał. Zawołałem do niego w jego języku.

- W jego języku? W złodziejskim? - spytaliśmy jednocześnie Waligóra i ja.

- Jaki tam złodziejski! Wierutne bzdury, a raczej trewiereruttrene trebzdutrerery - powiedział ze śmiechem opat.

Patrzyliśmy na niego, nie rozumiejąc.

Po drodze z willi Spada do placu Rotundy i Termine Melani cały czas zastanawiał się nad tajemniczymi słowami, które usłyszałem od cerretanina wczoraj na Campo di Fiore. W pewnej chwili, zupełnie nieoczekiwanie, doznał olśnienia: słowo było pozbawione sensu, należało szukać czego innego.

- Język, którym posługują się włóczędzy, jest tak prosty jak oni sami. Zasada jest taka, że między sylaby wstawia się pewien element, jak przy szyfrowaniu listów.



Tymczasem nasza dziwna karawana przecięła plac dei Pollaioli i zbliżała się do mostu Sisto. Na czele jechał powoli Waligóra, ciągnąc za sobą cerretanina na sznurze, z rękami związanymi do tyłu i spętanymi nogami, co uniemożliwiało mu stawianie dużych kroków. Za nim jechał Atto, na końcu ja.

- Jak to? - zapytałem.
- To takie proste, że aż wstyd, iż na to wcześniej nie wpadłem. Cerretanie wstawiają między sylaby „tre”.
- Trekłatremiesz... A więc cerretanin powiedział: kłamiesz!
- A co ty mu wcześniej powiedziałeś?
- Jezus Maria! Zapomniałem! Już wiem! Powiedziałem, że Niemiec go zabije.
- A zatem skłamałeś, bo chciałeś zyskać na czasie. Podobnie ja, kiedy spotkaliśmy się przed chwilą, powiedziałem...
- Tre-to-tre-ja, czyli „to ja”.
- Otóż to! Wołając Rudzielca, również użyłem języka treckiego, jak nazwałem to idiotyczne narzecze.

Rudzielec był kompletnie zaskoczony. Usłyszawszy przez stukot końskich kopyt głos Arta, tak się przestraszył, że spadł z muru.

- Proszę wybaczyć, że o to pytam, ale co pan powiedział cerretaninowi?
- Uczyniłem tak jak ty i powiedziałem mu pierwsze, co przyszło mi do głowy.
- Czyli?
- Trepatreter trenostrer. Pierwsze słowa modlitwy.
- To nie ma żadnego sensu!
- Wiem, ale zaskoczony cerretanin pomyślał, że jestem jednym z nich. Zupełnie go zatkało. Spadł na ziemię jak worek ziemniaków. Trochę się poturbował i oszołomiony nie podnosił się, zdołałem więc go związać. Na szczęście stajenni znają się na rzeczy i dali mi długi sznur. Koniec sznura przywiązałem do siodła. Żeby cerretanin nie zrobił jakiegoś głupstwa, przez całą drogę groziłem mu pistoletem.

Melani stwierdził, że włóczęga, którego Waligóra dopadł w termach Dioklecjana, oszukał nas.

- Ten nieszczęśnik - powiedział, uśmiechając się ironicznie - wystawił Zgniłka, a sam się nie przyznał, że jest tym drugim cerretaninem, którego poszukujemy. Dałeś się nabrać!

Waligóra milczał.

- A więc Zgniłek ostrzegł Rudzielca? - upewniłem się.
- Tak. Zawołał: „krokusy”, a to moim zdaniem oznacza „żandarmi”.
- Powiedział też: „idź kupić fiołki”, czyli „uciekaj” albo „szykuj broń” - dodałem.
- Raczej „uciekaj”, wzięwszy pod uwagę dalszy bieg wydarzeń. To nie był język trecki, ale jakieś trudniejsze narzecze, którego zasady są dość skomplikowane. Trzeba je znać, żeby rozszyfrować ten język.

Jechaliśmy dalej. Ciszę mącił jedynie stukot końskich kopyt po bruku. Waligóra milczał, ale mogłem sobie wyobrazić, co czuł. Dumny żandarm stracił kontrolę nad sytuacją. Zawiodła metoda polegająca na sile i zastraszeniu, sprawdziła się pomysłowość Atta, wsparta odrobiną szczęścia. Obrońca prawa, dla którego cerretanie stali się prawdziwą obsesją, musiał pogodzić się z tym, że ktoś lepiej sobie radził ze ściganiem budzących strach przestępców. Słowa *Pater noster*, brzmiące w tych okolicznościach niedorzecznie, sprawiły, że w nasze ręce trafił przedstawiciel tajemniczej sekty.

Najbardziej zaskakujące było to, że w tak krótkim czasie schwytaliśmy jednego z cerretan, w których istnienie wątpili nie tylko żandarmi, ale także gubernator Rzymu monsinior Pallavicini. Już chciałem podzielić się tą myślą z Waligórą, kiedy nagle opat kazał mi wracać do willi Spada, obudzić Buvata (który, miał nadzieję, do tej pory wytrzeźwiał) i sprowadzić go. Wszyscy trzej zgodziliśmy się co do tego, że sekretarz Melaniego może nam się przydać.

Ustaliliśmy, że spotkamy się w więzieniu przy moście Sisto nad Tybrem, pod wzgórzem Janikulum, niedaleko willi Spada, gdzie miało się odbyć przesłuchanie cerretanina.

Ciemny, wilgotny karcer mieścił się w suterenie bez okien. Przez niewielki zakratowany otwór w suficie wpadało trochę powietrza i światła. Na twarzy związanego cerretanina malował się strach przed katowskim toporem. Nie wiedział, że wpakowaliśmy go do tej cuchnącej piwnicy nielegalnie. Waligóra umówił się z jednym ze swoich kolegów, że na teren więzienia wejdziemy po kryjomu, bocznym wejściem. Aresztowanie Rudzielca było bezprawne, ponieważ nie popełnił on żadnego przestępstwa, nie był nawet o nic podejrzany. Ale to było bez znaczenia, żandar-

mi często stosowali nieczyste zagrania (o czym opowiem w dalszej części dziennika).

Waligóra zdobył długi, obszerny płaszcz i perukę dla Buvata, który miał odegrać rolę notariusza i sporządzić protokół przesłuchania prowadzonego przez żandarma. Atto i ja mieliśmy się wszystkiemu przyglądać jako pomocnicy czy raczej zastępcy Waligóry. Czuliśmy się bezpiecznie, gdyż działaliśmy potajemnie, a ponadto więzień nie miał zielonego pojęcia o zasadach prawa.

Przy stole pośrodku karceru, na którym stała zapalona świeca, pióro i kałamarz, siedział z poważną miną Buvat. Przed nim leżały kartki papieru. Aby uprawdopodobnić inscenizację, Waligóra zadbał o szczegóły. Płomyk świecy oświetlał tytuły dzieł prawniczych: *Commentaria tertiae partis in secundum librum Decretalium Abbasa Panormitanusa*, *Praxis rerum criminalium* Damaudera oraz *De maleficiis* Alberta da Gandino. Zakładając, że aresztant umiał czytać, tytuły wytłoczone na grzbietach tomów miały go utwierdzić w przekonaniu, że znalazł się przed obliczem nieugiętych przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. Po drugiej stronie stołu stał Waligóra, trzymając koniec sznura, którym związany był przestępca: gruby, krępy młodzieniec o ciemnej karnacji, małych niebieskich oczkach, z czołem pokrytym zmarszczkami (świadeństwo rozwiązłego, bezkarnego życia) i pyzатыmi rumianymi policzkami, nadającymi jego twarzy wyraz prostoduszności i nieokrzesańia. Przyjrząwszy się uważniej cerretaninowi, zrozumiałem, że jego przydomek wziął się od gęstych włosów koloru marchewki.

Buvat poprawił na głowie zbyt obszerną perukę, po czym, lekko jeszcze odurzony winem, kilkakrotnie odchrząknął. Następnie zaczął pisać, powtarzając na głos:

- *Die et cetera, et cetera anno et cetera, et cetera. Roma. Examinatus fuit in carceribus Pontis Sixtis...* O co chodzi?

Waligóra szepnął Buvatowi coś do ucha.

- Ależ oczywiście, tak, tak - odparł.

Jak się później dowiedziałem, żandarm poradził Buvatowi, żeby nie wpisywał na razie daty, którą wstawimy później, w zależności od sytuacji.

- A zatem - powiedział Buvat, przybierając poważną minę - *examinatus in carceribus Pontis Sixtis, coram et per me Notarium infrascriptum...* Jak się nazywasz, młodzieńcze?

- Pompeo z Tj-eyi.

- Gdzie dokładnie znajduje się Trevi? - spytał obojętnie Buvat, zdra-

dzając tym samym słabą znajomość geografii Państwa Kościelnego, co powinno było wzbudzić podejrzenia Rudzielca, gdyby strach nie odjął mu zdolności myślenia.

- Niedaleko Spoleto - odparł cichym głosem.

- Zapiszmy więc: *Pompeius de Trivio, Spoletanae diocesis, aetatis annorum...* Ile masz lat?

- Około szesnastu.

- *Sexdecim incirca* - przetłumaczył Buvat - *et cui delato iuramento de veritate dicenda et interrogatus de nomine, patria, exercitio et causa suae carcerationis, respondit.*

Waligóra szturchnął młodzieńca i przełożył słowa notariusza:

- Przysięgnij, że mówisz prawdę, powtórz swoje nazwisko, wiek i miejsce urodzenia.

- Przysięgam, że mówię prawdę. Przecież podałem już swoje nazwisko!

- Powtórz! Trzeba zaprotokołować. Tego wymaga procedura, wszystko musimy dokładnie zapisać - oświadczył żandarm, aby nadać większą wiarygodność całej scenie.

Młodzieniec spojrział na niego zdziwiony.

- Nazywam się Pompeo, urodziłem się w Trevi koło Spoleto, mam około szesnastu lat, dokładnie nie wiem, nie mam żadnego zawodu...

- Wystarczy - przerwał mu Waligóra. Szepnął coś Buvatowi do ucha.

- Dobrze - odparł Buvat.

W tym miejscu w protokole przesłuchania należało podać powód aresztowania, który przecież nie istniał. Waligóra poradził więc Buvatowi, żeby napisał, iż cerretanin został aresztowany, ponieważ prosił o jałmużnę w kościele podczas mszy.

- Idźmy dalej! - powiedział fałszywy notariusz, poprawiając okulary na nosie. - *Interrogatus an sciat et cognoscat alios pauperes mendicantes in Urbe, et an omnes sint sub una tantum secta an vero sub diversis sectis, et recenseat omnes precise, respondit...*

- Idę po bicz - powiedział Waligóra.

- Bicz? - powtórzył cerretanin drżącym głosem.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie.

- Bo nie zrozumiałem, nie znam łaciny.

- Pan notariusz zapytał, czy znasz w Rzymie inne sekty oprócz tej, do której należysz - wyjaśnił Atto. - Chcemy się dowiedzieć, ile jest sekt i kto nimi dowodzi. Podaj ich nazwy.

- Nie chcesz mówić - rzekł żandarm, wyjmując z kieszeni klucze, prawdopodobnie od pomieszczenia, w którym przechowywano narzędzia do rozwiązywania języków małomównym przestępcom - więc trzeba cię do tego zachęcić.

Ku naszemu zaskoczeniu chłopiec nagle ukląkł, pociągając za sznur, skutkiem czego Waligóra o mało nie stracił równowagi.

- Posłuchajcie mnie, panowie! - powiedział błagalnym tonem, zwracając się to do Buvata, to do Waligóry. - Wśród nas, żebraków, istnieje wiele ugrupowań, które różnią się od siebie, bo każde zajmuje się czym innym. Różnimy się też ubraniami. Powiem wam wszystko, co wiem.

Nastąpiła cisza. Chłopak rozpłakał się. Obaj z Melanim zaniemówili. Oto bowiem przedstawił tajemniczych i nieuchwytnych cerretan nie tylko znalazł się przed obliczem notariusza, ale gotów był wszystko powiedzieć.

Waligóra kazał chłopcu wstać, spoglądając na niego z rozczarowaniem, że nie dał mu okazji do zastosowania rękoczynów.

- Dajcie mu krzesło! - powiedział, niezgrabnie obejmując muskularnym ramieniem przerażonego, zapłakanego młodzieńca.

Podstawił mu stółek. Cerretanin zaczął zeznawać.

- Pierwszym ugrupowaniem jest Towarzystwo Kieszonkowców. Wmieszani w tłum, okradają ludzi.

Przypomniał mi się paolianin i kobieta, której skradł skórzaną sakwę. Czy był jednym z Kieszonkowców?

Rudzielec zamilkł i popatrzył na nas, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie zrobiły na nas jego słowa, które dla niego oznaczały profanację świętości.

- Drugie to Towarzystwo Chorych - ciągnął. - Udadają, że są chorzy, umierający, leżą na ziemi, wołając o jałmużnę, ale tak naprawdę nic im nie jest. Istnieje też Towarzystwo Baronów. Oni też są zdrowi, ale leniwi. Nie chce im się pracować, więc atakują.

- Rozumiem, że są leniwi, ale kogo atakują? - spytałem.

- Atakują, czyli żebrzą - wyjaśnił Rudzielec i poprosił o szklanekę wody.

- Mów dalej! - powiedział Waligóra, podając mu wodę.

Żebracy i lenie - pomyślałem. Tacy właśnie ludzie wylęgają każdego ranka na ulice Rzymu. Być może jest wśród nich więcej cerretan, niż sądziłem.

- Towarzystwo Nędzarzy - wymienił kolejną nazwę nasz jeniec. - Skuleni na ziemi, jakby im było zimno, proszą o jałmużnę. Piąte to Towarzystwo Naiwniaków - udają głupków, mówią od rzeczy i żebrzą. Szóste to Towarzystwo Golców - żebrzą nago lub półnago, w zależności od tego, na co przyjdzie im ochota. Następnie Towarzystwo Jąkałów...

- Chwileczkę, chwileczkę! - przerwał mu Buvat, nie nadążając z zapisywaniem nazw podawanych przez chłopca.

Był przekonany, że przyjdzie mu pisać fałszywy protokół, a tymczasem sporządzał właśnie prawdziwy i zarazem niezwykle cenny dokument. Waligóra cały czas dawał mu znaki, by nie uronił ani słowa z zeznań Rudzielca. Domyśliłem się, dlaczego tak mu na tym zależy: chciał mieć w końcu dowód istnienia cerretan, który mógłby pokazać kolegom i samemu gubernatorowi.

- Zróbmy tak - zaproponował Atto. - Podaj nazwy wszystkich towarzystw, a później wyjaśnisz, w jaki sposób żebrzą.

Młodzieniec zgodził się i podyktował listę ugrupowań, uwzględniając podane przed chwilą nazwy: Kieszonkowcy Chorzy Baronowie Nędzarze Naiwniaki Golce Jąkały Epileptycy Eksjeńcy Parzyści Mrówki Obszarpańcy Goliardzi Koniokrady Niebożęta Mamuśki Tancerki

- Dość już! Wystarczy! Do której grupy należysz? - zapytał Atto.

- Do Chorych.

Następnie Rudzielec opowiedział, jakich niegodziwości dopuszczają się towarzystwa cerretan, o których jeszcze nie mówił. Jąkały przebijają

się za pustelników, Epileptycy, aby wyprosić datki, udają szaleńców, opętanych - tarzają się po ziemi z pianą na ustach, powstała po zażyciu mydlanej mikstury. Ujawnił sztuczki Eksjeńców, którzy noszą na szyjach grube łańcuchy i udają, że mówią po turecku, powtarzając w kółko „bran, bran, bran” lub „bre, bre, bre”. Parzyści chodzą zawsze dwójkami, udają żołnierzy, a kiedy w nocy natrafią na jakiegoś nieszczęśnika, okradają go. Mrówki to zubożali bandyci, a Obszarpańcy - żandarmi, którzy popadli w biedę. Goliardzi udają, że wstrząsają nimi drgawki, bo (jak twierdzą) są potomkami grzeszników, którzy nie chcieli uklęknąć przed Najświętszym Sakramentem i zostali za to ukarani. Koniokrady okradają gospodarzy rozwożących chleb. Niebożęta to dzieci żyjące na ulicy, śpiewają nabożne pieśni w rodzaju „Maryja, gwiazda niebiańska”, usilnie domagając się jałmużny. Na koniec Rudzielec wspomniał o Mamuśkach i Tancerkach, które żebrały z zasłoniętą twarzą, trzymając dziecko na rękach. Mamuśki były zamężne, Tancerki - wolne.

- Do licha, ale chaos! - zauważył Atto Melani.
- Wniosek z tego, że wszyscy cerretanie są żebrakami - stwierdziłem.
- Przecież mówiłem! - zawołał Waligóra. - Oprócz żebraniny dopuszczają się gwałtów, kradzieży, napadów...
- Przepraszam, musimy kontynuować przesłuchanie - przywołał nas do porządku Buvat. Przybierając namaszczone ton prawdziwego notariusza, przytoczył klauzulę protokołu: - *Interrogatus an pecuniae acquisite sint ipsius quaerentis an vero quilibet teneatur Mas consignare suo superiori secundum cuiusque sectam illorum, respondit...* A zatem, młodzieńcze, powiedz mi, czy pieniądze, które zdobywacie żebraniną lub innymi zbrodniczymi metodami, zatrzymujecie dla siebie, czy przekazujecie swoim przełożonym?
- W Towarzystwie Chorych, do którego należę, każdy zachowuje pieniądze dla siebie, ale nasz przywódca, Giuseppe z Camerino, wszystko rozdaje. Słyszałem, że Jąkały i Goliardzi współpracują ze sobą. Spotykają się w gospodach lub innych miejscach i wybierają przywódcę. Mój kolega, który uciekł przed strażnikami, powiedział mi, że w zeszłym tygodniu widział się z czterema Nędzaczami, dwoma Jąkałami i dwoma Goliardami. Natknął się na nich w gospodzie w dzielnicy Ponte, do której wstąpił trochę się rozerwać. Zamówili dużo jedzenia i dobrego wina, jak bogaci panowie. Właściciel gospody wystawił im rachunek na dwanaście skudów. Najstarszy z Jąkałów bez zmrżenia powiek wyciągnął żadaną

kwotę. Bawili się więc razem. Im nigdy nie brakuje pieniędzy, zwłaszcza tym najstarszym członkom ugrupowań.

- Gdzie zbiera się twoje towarzystwo?

- Na placu Navona, w Ponte, na Campo di Fiore i na placu Rotundy.

- Powiedz mi, czy spowiadasz się, przyjmujesz komunię i uczestniczysz w mszy świętej?

- Niewielu z nas to czyni, ponieważ większość jest gorsza od luteran.

Nic więcej nie wiem, przysięgam.

- Czy panowie mają jakieś pytania? - zapytał Buvat, zwracając się do nas.

Waligóra szepnął do ucha Buvatowi, żeby nie protokołował następnego pytania.

- Dobrze, dobrze - zapewnił fałszywy notariusz.

- Czy słyszałeś o kradzieży dokumentów, relikwii i lunety w willi Spada?

- Tak, panie.

Spojrzeliliśmy po sobie zdumieni. Tym razem nawet Buvat nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Mów dalej, do licha! - ponaglał Atto, otwierając szeroko oczy.

- Wiem tylko tyle, że zrobił to Niemiec. Od początku Roku Świętego robi duże interesy, zdobywa pieniądze w całym Rzymie.

- Gdzie moglibyśmy znaleźć tego Niemca? - dopytywał się Atto.

Cerretanin udzielił dokładnych wskazówek.

- Sądzę, że to nam wystarczy - powiedział Waligóra.

To, co powiedział Rudzielec na temat Niemca, dotyczyło osobistych rzeczy opata, dlatego też nie zostało zaprotokołowane, podobnie jak wiele innych informacji, których udzielił tam tego wieczoru cerretanin.

- Jeśli ktoś znajdzie przy mnie ten protokół, będę miał kłopoty - rzekł Waligóra, zniżając głos, żeby więzień nie usłyszał. - Opatrzę go jakąś odległą datą, na przykład 4 lutego 1595 roku, i zaniosę do archiwum gubernatora. Tylko ja będę wiedział, gdzie się ten dokument znajduje. Do archiwów z poprzedniego stulecia nikt nie zagląda. Fikcyjna data stanowi dowód na to, że cerretanie istnieją od dawna. W każdej chwili będę mógł wydobyć protokół z archiwum i pokazać niedowiarkom, którzy się ze mnie wyśmiewali.



Pozostała nam jeszcze jedna, dość trudna sprawa. Nikogo nie wolno przetrzymywać w więzieniu bez nakazu sądu lub przynajmniej komendanta straży miejskiej. Waligóra rozmawiał z dozorcą więziennym, swoim dobrym kolegą, ale nie chciał nawet słyszeć o zatrzymaniu cerretanina w karczerze. Powiedział, że więzienie pełne jest niewinnych ludzi, a przestępcy cieszą się wolnością. Sprawy tego rodzaju trzeba załatwiać jak należy - powiedział dozorca i dodał, że zajmują się nimi sędziowie albo ludzie wpływowi, których polecenia sędziowie posłusznie wykonują. Nie mogliśmy przetrzymywać przestępcy (o ile w ogóle zasługiwał na to miano) w żadnym innym miejscu. W willi Spada były wprawdzie piwnice, ale z oczywistych powodów nie wchodziły one w grę, podobnie jak nasze domy.

Kazaliśmy Rudzielcowi zaczekać w pomieszczeniu obok, a sami gorączkowo naradzaliśmy się. Po chwili wezwaliśmy go.

- Jego Ekscelencja gubernator - skłamał Waligóra z poważną miną - postanowił nagrodzić cię za gotowość współpracy.

Chłopak patrzył na nas nierozumiejącym wzrokiem.

- Jesteś wolny.

# Dzień czwarty

*10 lipca 1700 roku*

- Daj co łaska, chłopcze!

Starzec był nagi. Przerzucony przez ramię gruby żelazny łańcuch wrzynał się w jego pomarszczone ciało. Wychudzony nędzarz, kornie pochylony, błagalnie wyciągał do mnie brudną dłoń. Był taki chudy, że bez trudu można mu było policzyć wszystkie żebra. Brakowało w jego ręku bata, a byłby doskonałym wizerunkiem biczownika. Stał oparty o mur i potwornie cuchnął. Przyrodzenie zakrywała mu długa szara broda, sięgająca stóp.

Patrzyłem na niego bez słowa, sparaliżowany okrutnym widokiem nędzy, nieszczęścia i osamotnienia.

- Proszę o wsparcie, chłopcze - powtórzył nieszczęśnik, po czym zgiął się wpół i, wyczerpany, usiadł na ziemi.

- Niestety, nic nie mam... - wybełkotałem.

- Trekłatremiesz - syknął i przewrócił się na bok. W jego głosie po-brzmiewał smutek i odrobina wyrzutu.

Przewracał się w konwulsjach z boku na bok, coraz szybciej. Schyliłem się, żeby go podnieść. Żebrak gwałtownie zadrżał, zeszywniał i dostał drgawek. Miał zaciśnięte usta, napięte mięśnie szyi, wyglądał, jakby miał zaraz się udusić. Nagle usiadł. Z otwartych ust wypłynęła pienista, żółtawa ślina i kapłała mu na piersi i brzuch. Cofnąłem się ze strachu i obrzydzenia. Oczy nędzarza zapadły się w głąb czaszki, jakby usiłował spojrzeć do wewnątrz - w świat desperacji i samotności, jedynej, jaki rozumiał. Wyciągnął do mnie drżącą, pomarszczoną dłoń. Przeszukałem kieszenie, ale znalazłem tylko jednego skuda, za mało jak na jałmużnę. Już miałem powiedzieć żebrakowi, że nic dla niego nie mam, kiedy ponownie wymamrotał, jakby czytał w moich myślach:

- Trekłatremiesz.

Wtedy wydarzyło się coś niepojętego. Na murze, za plecami starca, pojawił się złowrogi cień. Nad naszymi głowami przeleciała jakaś istota (wampir, a może diabeł, który przybył, by ukarać mnie za skąpstwo?) i przystąpiła do ataku. Poczułem, jak dotyka skrzydłami moich uszu i wbija boleśnie szpony w moje plecy. Oganiałem się, ale na nic się to nie zdało. Istota uczepiła się mojego ramienia i nie mogłem się od niej uwolnić. Machnąłem ręką, a wtedy zatopiła pazury w mojej twarzy. Zapomniałem o starcu, jego wychudzonym ciele i pianistej ślinie wyciekającej mu z ust. Nie mogłem krzyknąć, gdyż ostre pazury skrzydlatego stworza zaciskały mi wargi.

- Aresztować go! Aresztooooować! - usłyszałem chrapliwy skrzek.

W jednej chwili zrozumiałem, że to tylko koszmarny sen. Przesunąłem dłonią po twarzy. Pomyślałem, że to nie był dobry pomysł - spać przy otwartym oknie. Usłyszałem, jak pierzasta istota, ni to kurczak, ni to sowa, bije szybko skrzydłami, by przenieść się w inne miejsce. Otworzyłem oczy i usiadłem na łóżku.

Wstawał nowy dzień. Pokój skąpany był w promieniach słońca. Cezar August przysiadł na oparciu krzesła. Rzuciłem mu wrogie spojrzenie. Nie dość, że przybył bez zaproszenia, to jeszcze usiadł mi, kiedy spałem, na ramieniu, a później na twarzy. Wślizgnął się ukradkiem nie tylko do mojej sypialni, ale także do snu i sprawił, że był on dość nieprzyjemny. Patrzył na mnie z ukosa, jak zwykle bezczelnie i ironicznie.

- Przyśniłeś mi się jako potwór, którym jesteś w istocie. Jak mogłeś obudzić mnie w ten sposób?

Cezar August nie odezwał się.

Atto, żandarm i ja wróciliśmy z więzienia przy moście Sisto nad ranem. Przez całą drogę milczeliśmy, zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. Nasz zapał osłabł, ponieważ wiedzieliśmy, że będziemy mogli rozpocząć akcję na nowo dopiero następnego wieczoru.

Kiedy dotarłem do domu, czułem się tak wyczerpany, że od razu zasnąłem. Krótki odpoczynek zakłóciła senna wizja starego żebraka, powstała pod wpływem zeznań Rudzielca. Nędzarz z mojego snu przypominał Epileptyków, którzy, chcąc otrzymać jałmużnę, udają chorych i opętanych i tarzają się po ziemi z pianą na ustach, powstałą po zażyciu mydlanej mikstury. Z kolei Eksjeńcy noszą na szyjach grube żelazne łańcuchy...

- *De minimis non curat Papa* - zaskrzeczała papuga, przerywając moje reminiscencje z poprzedniego wieczoru.

- Wiem, że papież nie zajmuje się drobiazgami, dziękuję, że porównałeś mnie z Ojcem Świętym. Tak, tak, mam zanieść pokarm do woliery, ale nie uważam tego za błahostkę - powiedziałem, wstając z łóżka. - Muszę się najpierw ubrać.

Cezar August poszybował leniwie w stronę otwartego okna. Zauważyłem, że w prawej łapce trzymał kilka gałązek, co ostatnio czynił dość często. Nie dane mi było jednak dowiedzieć się, po co mu były potrzebne.

Papuga posiedziała na parapecie i pofrunęła w stronę winnic. Kiedy zamykałem okiennice, dostrzegłem kolejne świadectwo dziwnego zachowania Cezara: półpłynną plamę koloru ochry, z rozłupanymi kawałkami ziaren i pestek jabłka. To do niego niepodobne, żeby wypróżniać się w tak widocznym miejscu, jakim był parapet okienny. Cezar August musiał być naprawdę bardzo zdenerwowany.

Po uprzątnięciu woliery postanowiłem poświęcić czas wolny od obowiązków sprawom opata Melaniego. Atto i Buvat do tej pory po mnie nie przysłali, a Waligóra zajęty był pilnowaniem porządku na terenie willi. Postanowiłem odszukać Cloridię. Dowiedziałem się, że jest u księżnej Forano i pomaga jej się ubrać. Nie mogłem się z nią zobaczyć, co mnie trochę rozżłościło. Poszedłem do kuchni, wykradłem jabłko i chrupiąc je, cichaczem wymknąłem się z willi.

Kiedy szedłem główną aleją, usłyszałem w oddali znajomy głos.

- Sprowadźcie Mistrza Ptasznika! Czy dzisiaj nikt tu nie pracuje?

Don Paschatio, którego najprawdopodobniej opuścił kolejny pracownik, szukał mnie, żeby zlecić mi jakieś zajęcie. Ja jednak nie nadałem się tego dnia do pracy. W głowie huczało mi jeszcze od dźwięków i obrazów z ubiegłej nocy - napad Waligóry na starego żebraka na placu Rotundy, nierozważne poszukiwania wśród żebraków i nędzarzy w dzielnicy Termine, pościg za cerretaninem, przesłuchanie jego kolegi, Rudzielca, w karczerze. Wydarzenia te przeżywałem na nowo w sennym koszmarze. Po przebudzeniu czułem się wytrącony z równowagi. Aby o nich zapomnieć, postanowiłem pospacerować po mieście.

Nie zamierzałem za bardzo oddalać się od willi. Zszedłem w dół, w kierunku ulicy delia Scala, następnie skręciłem w prawo, potem w lewo, krążąc pomiędzy placem de' Rienzi i kościołem Santa Maria in Trastevere.

Napotkałem grupę pątników ze sztandarem swojego miasteczka, ubra-

nych w długie, czarne szaty. Szli do Bazyliki Świętego Pawła, śpiewając hymn na cześć Najświętszej Pani. Niewielki pochód mijał zaułki i uliczki, sklepiki wypełnione wszelkimi towarami i karczmy pachnące winem i pieczywem. Fasady domów chowały wstydliwie swoją nędzę za długimi rzędami bielizny, suszącej się w słońcu na sznurkach rozpiętych między oknami. Na uliczkach Zatybrza słychać było odgłos przejeżdżających wózków, porykiwanie zaprzężonych do nich osłów, śmiechy bawiących się dzieci.

Kiedy dotarłem na plac San Callisto, usłyszałem dźwięki muzyki, które powoli się zbliżały. Po chwili ujrzałem tłum ludzi idących w moim kierunku. Na czele szli, opierając się na szczudłach, dwaj mężczyźni w średnim wieku, brudni i obszarpani. Zaniepokoiło mnie, że obaj mieli białe gałki oczne, podobnie jak starzec z mojego snu. Prowadził ich pod ręce, wyraźnie utykając, człowiek o równie niechlujnym wyglądzie. Za nimi podążali kolejni nędzarze, niemal wszyscy ślepi lub chromi. Przez tyle lat mieszkalem w Rzymie obok tych żebraków, ale nie zwracałem na nich uwagi. Od powrotu Atta Melaniego stali się nagle ważni, i to bardzo! Dołączyłem do procesji, aby dokładniej im się przyjrzeć. Jeden ze ślepców na czele grupy dzierżył w dłoni puszkę, drugi - tabakierkę. Obydwa przedmioty były ze srebra. Ślepcy zanosili płaczące prośby przy akompaniamencie skrzypiec:

- Prosimy o jałmużnę dla Świętej Elżbiety! Co łaska!

Do żebraków podchodzili przechodnie i wrzucali monetę do srebrnego pojemnika. W podzięce drugi ślepiec częstował dobroczyńcę tabaką, którą nabierał czymś w rodzaju malutkiego kieliszka.

Pozostała część pochodu - jak miałem okazję się przekonać, kiedy skręcaliśmy w prawo, w zaułek Pazzich - stanowili nędzarze, z których każdy wydawał się pozbawiony wzroku, nogi lub ręki. Za żebrakami podążały biedne dzieci, proszące o jałmużnę. Przypominały morskie ptaki, które lecą za statkiem w oczekiwaniu, aż majtkowie wyrzucą z niego kuchenne odpadki.

W pewnej chwili do czoła pochodu zbliżył się młody kleryk. Wrzucił do puszek srebrną monetę, zażył tabaki i kichnął. Gdy się nieco oddalił, podszedłem do niego i spytałem:

- Przepraszam, ojcze, co to za procesja?

- Członków Towarzystwa Świętej Elżbiety. Zwykle przechodzą w niedzielę, a nie w sobotę tak jak dziś, ale podczas jubileuszu odstępują od tej zasady.

- Towarzystwo Świętej Elżbiety? - powtórzyłem. Przypomniałem sobie, kto mi o nim mówił. - Należą do niego ślepi i kulawi?

- Tak. Biedacy! Na szczęście papież Paweł V wydał im pozwolenie na zebranie. Gdyby nie żandarmi...

- Co ojciec ma na myśli?

- Och, nie takiego. Towarzystwo płaci wysokie podatki za obrzędy religijne, więc niewiele im zostaje. Wybacz mi, chłopcze, zmierzam do kościoła San Pietro in Montorio i nie chcę się spóźnić.

Nie miałem sposobności dłużej porozmawiać z klerikiem i wypytać go o Towarzystwo Świętej Elżbiety. Po rozstaniu z duchownym wydałem trochę pieniędzy, którymi opat Melani zapłacił mi za literackie usługi, kupując od wędrownego sprzedawcy porcję smażonych, chrupiących rybek.

Zawróciłem na plac przy kościele Santa Maria in Trastevere. Usiadłem na stopniach fontanny pośrodku placu. Jedząc rybki, podziwiałem fasadę wiekowej budowli i jednocześnie oddawałem się rozmyślaniom. Słyszałem już o Towarzystwie Świętej Elżbiety. W rocznicę urodzin świętej zorganizowana jest procesja z wojskową eskortą, połączona z wizytą w czterech bazylikach. Nie wiedziałem, że członkowie Towarzystwa mieli papieską zgodę na zebranie. Zaciekawili mnie słowa kleryka na temat żandarmów. Jaki związek mieli koledzy Waligóry z udziałem Towarzystwa w świętach religijnych? Kiedy się odwróciłem, zauważyłem, jak sznur nędzarzy znika w przecznicy, pozostawiając za sobą odór niemytych ciał, brudnych ubrań i piwnicznej stęchlizny.

- Za co właściwie płacę podatek w wysokości czterech Juliuszy? - za gadnął mnie właściciel pobliskiej gospody, z której cztery stoliki wystawione były na zewnątrz.

Był to mężczyzna w średnim wieku, mówił z akcentem typowym dla Abruzji. Miał wystający brzuch, małe, sprytnie oczka i wygląd człowieka, który stale narzeka, ale w końcu godzi się z losem. Po przejściu procesji zaczął ze złością zamiatać chodnik przed wejściem do gospody.

- Przecież Towarzystwo Świętej Elżbiety nie weszło na pański teren - powiedziałem, zdziwiony irytacją właściciela gospody.

- Nie wiem, chłopcze, jak długo przebywałeś w tym mieście, ale mogę cię zapewnić, że jestem od ciebie o wiele starszy - oświadczył, opierając miotłę o ścianę. - Nie masz pojęcia, jak ciężko tu żyć. Każdy, kto ma sklep, bank, magazyn, hotel, gospodę, karczmą, szynk, piekarnię lub inny lokal, w którym sprzedaje jakiś towar, na przykład żywność, lub warsztat czy pracownię, co trzy miesiące płaci dziesięć baiocchów, i to z góry, za

zamiatanie ulicy. Podatki ściągane są od wynajmowanych karet, kamieniołomów, portów na Tybrze, a nawet zwykłych miejskich powozów. A kto uchyla się od płacenia podatków za wywóz śmieci, dwoi się i troi, żeby Urząd Zdrowia nie wlepił mu mandatu. Hodowcy bydła, rzeźnicy i woźnice muszą dbać o czystość zagród, obór i wozowni. Rolnicy i plantatorzy pilnują, żeby podczas przewożenia obornik nie zabrudził ulic. Sprzedawcy owoców, ziół, ryb i siana wieczorem muszą posprzątać wokół straganu. Za pozostawione źdźbło trawy, listek czy łuskę płacą karę w wysokości pięciu skudów. Co jeszcze? Aha, farbiarzom i garbarzom nie wolno wylewać brudnej wody na ulicę, tylko do specjalnych ścieków. Zastanawiam się więc, dlaczego nic nie płacą członkowie Towarzystwa Świętej Elżbiety, którzy brudzą bardziej niż Nubijczycy w starożytnym Rzymie, blokują ulicę i straszą mi klientów?

- Przed chwilą dowiedziałem się, że oni też płacą podatek żandarmom - odparłem, wykorzystując informację, którą przekazał mi młody kleryk.

- Żandarmom? Cha, cha, cha! - zaśmiał się właściciel gospody, powracając do zamiatania. - Nazywasz to podatkiem? To cena za spokój.

- Cena za spokój?

Karczmarz przerwał pracę, rozejrzał się dookoła, żeby się upewnić, że nikt nie słyszy.

- Na litość boską, chłopcze! Na jakim świecie ty żyjesz? Wszyscy wiedzą, że żandarmi za łapówkę pozwalają ludziom z Towarzystwa Świętej Elżbiety żebrać wszędzie, nawet tam, gdzie zabraniają tego przepisy. Oficjalnie są to opłaty za uroczystości religijne. Wszyscy jednak wiedzą, że to łapówka.

Mężczyzna energicznie machał miotłą, dając upust złości.

- Przepraszam - powiedziałem - ale skoro pan mówi, że...

- On ma rację.

Do naszej rozmowy wtrącił się sprzedawca obuwia z kijem na ramieniu. Zwieszały się z niego buty różnych fasonów i rozmiarów (z cholewką, drewniaki, trzewiki i sandały), owiązane długimi skórzanymi rze-mykami. Był to wąty, chudy staruszek, z twarzą pooraną zmarszczkami, w szarej koszuli przepasanej na brzuchu, za krótkich spodniach i dziurawym słomkowym kapeluszu na głowie.

- Jeśli będzie się pomagać tym oberwańcom, ich liczba wzrośnie. Po patrz na mnie, chłopcze! Zarabiam na chleb własną pracą, a ci z Towarzystwa Świętej Elżbiety nic nie robią i obrastają w tłuszcz.

- Przecież są ślepi i kulawi! - zawołałem.
- Ach tak? Jak zatem wytłumaczyć, że wciąż przybywa żebraków, włóczęgów i pątników? Dlaczego połowa rzymian prosi o jałmużnę? I w dodatku ją dostaje!
- Pewnie dlatego, że wszystkim brakuje chleba...
- Tere-fere, brakuje chleba! - szydził sprzedawca butów. - Ale z ciebie naiwniak!
- Prawda jest taka - powiedział właściciel gospody - że biedni wcale nie są biedni. Żebrak, który stoi w dobrym miejscu, na przykład pod kościołem San Sisto, zarabia znacznie więcej ode mnie.
- Jak to możliwe?
- Tylko głupi dają dziś jałmużnę - oświadczył wędrowny sprzedawca.
- Być biednym w Rzymie to najlepsza szkoła kradzieży, nieuczciwości, bluźnierstwa i wszelkiej ohydy - dodał karczmarz, nie dając mi czasu na zastanowienie.

Rozmowa, którą powyżej streściłem, w rzeczywistości trwała o wiele dłużej. Nieco później miałem okazję się przekonać, że opinię karczmarza i sprzedawcy butów podziela wiele osób.

Od wieków Rzym był bezpiecznym portem dla biedoty. Ostatnio nastawienie do żebraków i bezdomnych bardzo się zmieniło, odnoszono się do nich nieufnie, a nawet wrogo. Do niedawna wśród biedaków były tysiące prawdziwie pobożnych osób. Nie bez powodu Roberto Bellarmino w dziele *De arte bene moriendi* (później dowiedziałem się o tym także z innych źródeł), powołując się na słynnych filozofów i doktorów kościoła, takich jak Arystoteles, Bazyli, Chryzostom, a przede wszystkim na słynną pracę *De amore pauperum* Grzegorza z Nazjanzu, głosił, że w Rzymie współistnieją dwa miasta - miasto biedoty i miasto bogaczy, złączone więzią współczucia i wspańałości. Bóg mógł stworzyć wyłącznie ludzi silnych i świątłych, ale nie chciał tego uczynić. W swej cudownej przezorności stworzył bogacza i nędzarza, uczzonego i ignorantę, ludzi silnych i słabych, zdrowych i chorych. Biednych należy jednak wspierać (także dlatego, że - jak twierdził ojciec Daniello Bartoli - kto daje jałmużnę, nie traci, lecz zyskuje). Zdaniem laksystów wystarczy dawać im nadwyżkę. Według innych możni tego świata powinni dzielić się swoim bogactwem. Sęk w tym, iż niewielu wiernych, nawet spośród królów, skłonnych było przyznać, że ma więcej, niż potrzebuje.

Z czasem temat dyskusji uległ zmianie. Nie mówiono już o tym, ile



dawać, ale czy biedni są naprawdę biedni. Na ulicach Świętego Miasta (jak pisał ojciec Guevarre, ale moi dwaj rozmówcy tego nie wiedzieli) nie brakowało oszustów. Chodzili w łachmanach, udawali kalectwo czy epilepsję, żeby wyłudzić datki od naiwnych ludzi i zapewnić sobie darmowe łóżko w noclegowni. Pomoc instytucji publicznych i osób prywatnych, przytułki zakładane przez papieży (na przykład przytułek San Michele otwarty przez papieża Innocentego XII) oraz dary pieniężne arystokratów (kardynał Farnese ofiarował aż jedną piątą swoich wysokich dochodów) trafiały nie do prawdziwych nędzarzy, ale do kieszeni ludzi leniwych, nieuczciwych i złych. Niebieskie ptaki wolą żyć i umierać na ulicy niż uczciwie pracować. Lubią takie pieskie życie i spędzać czas na nieróbstwie. Żebracy dobrze czuli się w Rzymie, odpowiadała im atmosfera miasta, którego mieszkańcy twierdzili, że wszystko jest nic niewarte, nie opłaca się więc pracować.

Fałszywi biedacy napływali do Rzymu ze wszystkich stron: ze wsi, z Państwa Kościelnego, z innych części Włoch i Europy. Ściągały tu tłumy, gotowe uczynić wszystko, byle nie pracować w polu. Z czasem stali się siłą liczoną w tysiące, a żebractwo stało się ich profesją, sztuką. Kiedy nie żebrali, dokonywali kradzieży i oszustw. Jak pisał prałat Piaza, pod pozorem zbierania jałmużny tworzyli sztuczny tłok przed wejściem do kościołów i okradali wiernych. Fałszywi nędzarze, utrapienie sklepikarzy, natrętni, wzbudzający nieufność zarówno osób świeckich, jak i duchownych, zrazili do Świętego Miasta wielu prawdziwych biedaków (a także turystów, którzy przyjeżdżali zwiedzić Rzym). Z tego właśnie powodu przed ośmiu laty kardynał Carpegna domagał się zamknięcia żebraków w getcie, by w ten sposób sprawować nad nimi kontrolę.

- Ale chyba nie wszyscy są cerretanami, Epileptykami czy Eksjeńcami - rzuciłem obojętnie, w nadziei, że moi rozmówcy dostarczą ciekawych informacji.
- Cerretanie? - powtórzył zdziwiony właściciel gospody.
- Ci, co kradną - wyjaśnił sprzedawca butów.
- Wszyscy są tacy sami: cerretanie, żebracy, pątnicy, pielgrzymi i włóczędzy! Kto chce pracować, z pewnością znajdzie uczciwe zajęcie, a jeśli nie - lepiej, żeby zdechł!

Miałem nadzieję, że z tej rozmowy czegoś się dowiem, poznam jakieś istotne szczegóły czy pogłoski krążące po mieście. Okazało się jednak,

że karczmarz niewiele wie o cerretanach, podobnie jak domokrażca z butami na kiju. Dowiedziałem się jedynie, że większość rzymian zamiast współczucia czuje do nędzarzy niechęć. Do tej pory sądziłem, że wszyscy biedni są dobrzy, ale odkąd poznałem tajemniczych cerretan, zacząłem dzielić biedaków na dobrych i złych. Teraz mądrość ludu nakazywała mi wątpić także w tych pierwszych i podejrzewać, że głównym powodem ich trudnego położenia nie było ubóstwo, lecz indolencja.

Któż może oczekiwać zbawienia - zastanawiałem się - w świecie, w którym nawet ludzie biedni i odrzuceni są grzesznikami?

Snując podobne refleksje, pożegnałem się z moimi rozmówcami, gdyż musiałem wracać do zajęć w willi Spada. Po obiedzie miały się rozpocząć uroczystości weselne. Wyrzuciłem zatłuszczonej torebkę po rybkach i ruszyłem w drogę powrotną.

W willi trwały przygotowania do wesela. Gości oczekiwano wczesnym popołudniem. Osoby, które zatrzymały się w pałacu, mogły się posilić w każdej chwili. Na trawnikach, w cieniu drzew, na płachtach płótna przykrytego adamaszkowymi obrusami, stały kosze pełne owoców, koszyczki ze świeżym chlebem, talerze z serami, półmiski z szynką, mięsem jelenim, zajęczym i niedźwiedzim, salaterki oliwek nadziejących migdałami, tace z suszonymi, dekoracyjnie ułożonymi owocami, ciastami prosto z pieca i tysiącami innych smakołyków. Mimo skwaru wiele osób miało ochotę spróbować tych specjalów, usiąść na miękkiej trawie i poddać się rozkoszynom powiewom wiatru na wzgórzu Janikulum, skąd roztaczał się przepiękny widok na Wieczne Miasto.

Powoli plac przed bramą wjazdową do willi wypełniał się karetami. Wydawało mi się, że widzę wśród nich powóz księcia Federica Sforzy Cesariniego, markiza Bongiovanniego i księcia don Camilla Cyba. Nie myliłem się, gdyż po chwili miałem ujrzeć te znakomite osobistości, a także wiele innych osób, o równie znanych nazwiskach, które przybyły na wesele Marii Pulcherii Rocci i młodego Clemente Spady, zajmując się jedną z najbardziej szlachetnych, intelektualnych rozrywek, jaką była dyskusja akademicka.

W Rzymie już od piętnastego wieku istniały akademie - zrzeszenia wybitnych umysłów zajmujących się dyskusjami i kontemplacją. Uczone dysputy toczono pod gołym niebem, w miejskich ogrodach, w cieniu per-

goli, wśród woni frezji i glicynii. Z tego powodu nosiły nazwę Akademii Hodowców Winorośli lub Ogrodów Farnezyjskich. W połowie stulecia założono znakomitą Akademię Nocy Watykańskich oraz Akademię Prawa Cywilno-Kanonicznego, w których dyskutowano na temat teologii, logiki, filozofii i gnozeologii.

Prawdziwy rozkwit akademii nastąpił u schyłku siedemnastego wieku. Nie było w mieście pałacu, salonu, dziedzińca, ogrodu czy tarasu, gdzie nie gromadziłyby się grupy uczonych pojedynkujących się na słowa. Całymi dniami odbywały się przemowy, dysputy, spory i dyskusje, nieraz do późnej nocy.

Zrzeszenia te nie były oczywiście dostępne dla każdego. Kandydat musiał przystąpić do trudnego egzaminu. Jeśli go zdał, otrzymywał przydomek, jak na przykład Nieugięty, Gwiazdzisty, Lśniący Akademik Nocy, albo imię wzorowane na nazwiskach starożytnych, w rodzaju Honoriusz Amaltejski, Elpomenides Marullus, Anastazjusz Epistenes czy Tenoriusz Autorifikus.

Wzniosłe tematy, o których dyskutowali uczeni, często wiązały się z nazwą ich stowarzyszenia. W akademiach: Kościelnej, Miłości Bożej, Teologicznej, Soborowej czy Dogmatów rozmawiano oczywiście o kwestiach wiary. Matematycy i astronomowie z Akademii Filozofii Naturalnej zajmowali się nauką, podobnie jak członkowie Akademii dei Lincei, czyli Rysiej (nazwanej tak dlatego, że ich zdaniem każdej rzeczy należało się przyglądać bystrym okiem rysia). Akademicy Nowej Poezji spotykali się, by wspólnie analizować wiersze. Nazwa słynnej Arkadii wywodziła się od arkadyjskich pasterzy występujących w bukolikach wielu wybitnych poetów. W Akademii Świętej Cecylii, patronki kompozytorów i śpiewaków, dyskutowano o muzyce.

Nieco mniej wiedziano o działalności akademii, które nosiły tajemnicze nazwy i urządziły dość dziwne spotkania. Jedną z nich była Akademia Wyroczeni, której członkowie gromadzili się na wsi pod Rzymem. Jeden z nich, mężczyzna o krępej budowie ciała, siadał na kamieniu, zakrywając się płaszczem, udawał natchnionego wróżbitę. Po bokach stali dwaj mężczyźni, którzy interpretowali jego przepowiednie. Kolejny członek akademii podchodził do wróżbiarza, grając rolę przybysza, i pytał go, na przykład, czy czyjeś małżeństwo dojdzie do skutku. Wówczas wyroczenia wypowiadała jakieś bezsensowne słowo, na przykład „piramida!” lub „guzik!”, a tłumacze wyjaśniali jego znaczenie na podstawie wyglądu i przeznaczenia wymienionej rzeczy, w tym wypadku piramidy lub guzi-

ka. Wyjaśnieniom przysłuchiwali się dwaj surowi cenzorzy. Wychwytywali każdy, nawet najdrobniejszy błąd językowy czy wymowy i karali tłumaczy mandatem. Za zebrane w ten sposób pieniądze akademicy kupowali żywność dla całego towarzystwa.

Podczas gdy działalność jednych stowarzyszeń budziła zastrzeżenia, o innych nie było żadnych konkretnych informacji. Domyślano się, że Akademia Hodowców Winorośli zajmuje się sprawami ducha i sztuką, najchętniej w cieniu winnicy. Podejrzewano, że członkowie Sympozjonu (w starożytnej Grecji dysputy filozoficzne prowadzone przy biesiadnym stole) zbierają się po to, żeby napić się wina, a Humoryści - pożartować. Ale co, do diabła, robią członkowie Akademii Narwańców, Zaśnieżonych albo Wtajemniczonych? Jakie jest prawdziwe powołanie Abrewiarzy czy Zaniedbanych? Jak porozumiewają się ze sobą Dwuznacznicy? Czy Zduszeni nie mogą mówić, dlatego piszą do siebie karteczki?

Zastanawiające było również to, że akademie nie powstawały pojedynczo, ale seriami, jakby w wyniku infekcji albo epidemii. W ciągu kilku lat powstały stowarzyszenia Niedoskonałych, Niedoświadczonych, Porwanych, Nieostrożnych, Pobudzonych, Niekulturalnych, Bezpłodnych, Osłabionych i Bezkształtnych.

Na przestrzeni wieków moda się zmieniała. Zakładano akademie, których nazwy nawiązywały do smutku (Melancholicy, Niepocieszeni, Przygnębieni, Załamani, Wzgardzeni, Zwaśnieni), bierności (Nieudacznicy, Ulegli, Umiarkowani), siły (Ambitni, Śmiali, Niezlomni, Nieulekli, Mężni), ciemnej strony duszy (Tajemniczy, Podejrzliwi, Skryci, Gnuśni).

Zupełnie niezrozumiała była natura niektórych akademii działających częściowo w ukryciu. Ich członkowie spotykali się prawdopodobnie w wodzie, jak w przypadku Stowarzyszenia Unoszonych przez Fale, a kto należał do Akademii Płazów?

Działalność akademii wiązała się z wydatkami. Siedziba w miejskim pałacu oraz pieniądze na poczęstunek czy druk najlepszych (a zarazem rzadkich) prac akademików były na ogół darem zamożnego mecenasa, któremu członkowie akademii dedykowali utwory poetyckie, naukowe i dydaktyczne. Najczęściej był nim kardynał lub potomek szlacheckiego rodu, a nawet papież, który ze względów państwowych lub uczuciowych interesował się tematami zajmującymi daną grupę uczonych. Kiedy hojny opiekun umierał, akademia ulegała rozwiązaniu. Po śmierci królowej Szwecji Krystyny w 1689 roku na bruku znalazły się setki artystów, muzyków, poetów i filozofów, zmuszonych do opuszczenia pałacu i poszu-

kania sobie innego źródła utrzymania. Kiedy umierali mecenasi, w zapomnienie odchodzili Bezpłodni, Zbłąkani, Ocieężali. Ponieważ jednak należeli jednocześnie do kilku akademii i stale zakładali nowe stowarzyszenia, nie ponosili uszczerbku.

Zarówno tam, gdzie w grę wchodziły zwykłe rozrywki, jak i tam, gdzie prowadzono poważne, uczone dysputy, jedno było pewne: na skutek działalności akademii Rzym zmienił się w olbrzymie rozgadane forum, gdzie nieustannie mówiono, mówiono, mówiono... Na wzniosłe tematy, ma się rozumieć.

Takiej właśnie dyskusji spodziewałem się wysłuchać tego wieczoru. Miały w niej wziąć udział najbardziej światłe umysły. Z myślą o ożywieniu rozmowy do willi Spada zaproszono akademików, tymczasem ja obawiałem się, że z nudów będę ziewał. Sprawy jednak potoczyły się zgoła inaczej.

Właśnie przebierałem się w liberię, gdy usłyszałem znajomy głos:

- Goście czekają! Ma być gorąca i płynna, a nie gęsta i lepka! Doda liście migdały, orzechy i wodę pomarańczową? I pół uncji goździków?

Don Paschatio czynił wymówki pomocnikom stolnika za niezbyt udaną, jego zdaniem, pitną czekoladę. Pomocnicy patrzyli na zarządcę pałacu ze zdziwieniem.

- Mmm... - wymamrotał don Paschatio, oblizując palec umoczony w czekoladzie. - Według mnie brakuje anyżku. Gdzie jest stolnik? Sprowadźcie go tu natychmiast!

- Prawdę mówiąc... wziął sobie wolne popołudnie - oznajmił pomocnik.

- Wolne? Teraz, kiedy przybywają goście?! - zawołał don Paschatio, błędąc ze złości.

- Powiedział, że poczuł się obrażony pańską ostatnią reprimendą.

Zarządca domu o mało nie zemdłał.

- Obrażony, mówisz?... Czy on myśli, że ma prawo się obrażać? - Don Paschatio był niepokieszony. - W ogóle się ze mną nie liczy. *O tempom!*...

Gdy mnie zobaczył, twarz mu się rozjaśniła.

- Mistrz Ptasznik! - wykrzyknął. - Jakże się cieszę, że pana widzę! W przeciwieństwie do służby zatrudnionej przez znakomity ród Spada nie wymiguje się pan od obowiązków.

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, a już wcisnęła mi do rąk ciężką srebrną tacę.

- Weźcie się do roboty i zapełnijcie tę tacę! - rozkazał.

Dwaj pomocnicy postawili na tacy porcelanowy różowo-żółcisty dzbanek z gorącą czekoladą, dwanaście filiżanek oraz miseczki z wanilią do osłodzenia gorzkawego napoju. Niosłem ostrożnie tacę, mając przed oczami zgrabne pośladki Diany namalowanej na dzbanku, która z kołczanem na plecach ścigała w lesie jelenia. Filiżanki uderzały jedna o drugą, podzwaniając. Zaniósłem tacę do dużego salonu na parterze, gdzie panował przyjemny chłód, zachęcający gości do spróbowania egzotycznego napoju.

Kiedy wszedłem do salonu, moim oczom ukazała się zupełnie inna scena, niż spodziewałem się zobaczyć. Nie było tam żadnych akademików ani mówcy, ani publiczności zasłuchanej w jego słowa. Salon wypełniały liczne grupki osób - stojących to tu, to tam, siedzących na krzesłach ustawionych w półokrąg lub spacerujących. Nowo przybyli witali się kolejno ze wszystkimi, wymieniając grzecznościowe słówka. Gromadki gości przypominały chmary muszek, które latem unoszą się w powietrzu i z daleka wyglądają jak jednolity obłok owadów, ale gdy przyjrzeć mu się z bliska, można dostrzec poszczególne egzemplarze.

Dało się jednak słyszeć pokrzykiwania bardziej zapalonych mówców, którzy pośród tego rozkołysanego, chaotycznego morza głów i ciał rozprawiali o nieśmiertelności duszy, ruchu planet, roślinach sprowadzonych ostatnio z Nowego Świata lub o starożytnych zabytkach Rzymu.

Wszystkie te naukowo-filozoficzne wywody, wzmożone echem olbrzymiego salonu, tworzyły jeden głośny szmer, z którego mogłem wychwycić zaledwie jedno czy dwa zdania.

- Jak pisze Gawiusz w czwartym tomie swojej pracy... - mówił erudyta po mojej lewej stronie.

- ...Jak czytamy u Dionizjosa z Halikarnasu... - tłumaczył ktoś inny.

- Wasza Ekscelencja nie powinien zapominać, że doktryna Tomasza z Akwinu... - wywodził trzeci rozmówca.

Jak zwykle nikt nikogo nie słuchał. Celem każdego zebrania w Rzymie jest bowiem próżne gadanie, jedzenie i picie. Rzymianie mają zwyczaj oceniania wszystkiego z punktu widzenia starożytnych lub Kościoła katolickiego. Tkwią w błędzie, sądząc, że biorą udział w zmaganiach wielkich mocy, ziemskich i duchowych, a w rzeczywistości są im podporządkowani. Rzeczy banalne, codzienne uważają za nic niewarte i patrzą na wszystko z góry.

W pewnej chwili podszedł do mnie Atto, który czuł się w tym hałaśliwym miejscu jak ryba w wodzie.

- Zawsze tak jest: wszyscy jedzą i piją, nikt nie słucha - powiedział. - Jest tu jednak pewien jezuita - oznajmił, wskazując grupkę osób niedaleko nas - który bardzo ciekawie mówi o posłuszeństwie wobec księcia, ale nie słuchają go, tylko rozmawiają o własnych sprawach. To prawda, że paryżanie, kiedy spotykają prostytutkę, biorą ją za świętą, klękają i modlą się. Rzymianie natomiast, kiedy spotykają świętą, biorą ją za prostytutkę i pytają o cenę.

Zaledwie postawiłem tacę na stoliku i przystąpiłem do napełniania filiżanek, wokół mnie zaczęli tłoczyć się goście.

- Proszę spojrzeć, markizie, czekolada!

- Wasza Wielbność, proszę tu podejść!

- A dekady Liwiusza? - rzekł prałat, który właśnie brał udział w akademickiej dyskusji.

- Jeśli nie ostudzicie swojego zapału do rozmowy, ostygnie czekolada - zażartował ktoś, wywołując śmiech stojących obok osób.

Ledwie zdążyłem rozlać czekoladę do filiżanek, a już zniknęły one w rękach gości. Na szczęście nadchodzili służący z kolejnymi dzbankami czekolady. Zaatakowali ich pozostali goście - księżęta, prałaci, sekretarze i szambelani. W powstałym ścisisku doszły mnie z tyłu słowa ciekawej rozmowy:

- Słyszał Wasza Wielbność? Zdaje się, że chcą wyciągnąć z szuflady projekt monsiniora Rettiego.

- Tego, który w czasach papieża Odescalchiego pragnął zreformować policję?

- Właśnie tego. W pełni się z nim zgadzam! Najwyższy czas zrobić porządek z tymi skorumpowanymi żandarmami!

Kątem oka dostrzegłem, że rozmowę prowadzili dwaj prałaci w średnim wieku. Jej temat bardzo mnie zainteresował, ponieważ tam, gdzie są żandarmi, są też złodzieje, wszystko zatem, co dotyczyło tej kwestii, mogło okazać się pomocne mnie i Melanieniu. Niestety, straciłem obydwu prałatów z oczu. Postanowiłem odnaleźć opata i opowiedzieć mu o wszystkim.

W salonie umilkły głośne rozmowy i dało się słyszeć siorbanie i mlaskanie. Nikt z obecnych nie odmówił spróbowania czekolady, którą stolnik - wbrew temu, co mówił don Paschatio - przygotował z prawdziwym mistrzostwem.

Nagle tłum gości rozstał się, robiąc przejście kardynałowi Spadzie i młodej parze. Gospodarz domu, nie chcąc przeszkadzać w uczonych dyskusjach, pojawił się dopiero w chwili podania podwieczorku.

- Niech żyją państwo młodzi! - zawołali goście na powitanie przy byłych.

Wśród głośniego aplauzu składali gratulacje kardynałowi i całowali jego pierścień.

- Wasza Eminencjo! Prosimy o wygłoszenie mowy!

- Zgoda, przyjaciele - odparł z uśmiechem kardynał Spada, dając znak, by wszyscy ucichli. - Ale wobec tak wielu znakomitych umysłów powiem tylko kilka słów. Mam nadzieję, że wybaczycie mi, iż skromny utwór, który zaraz usłyszycie i którego temat jest wam znany, nie dorównuje waszej mądrości, ale, jak mówi poeta, *non datur omnibus adire Corinthum*.

Kardynał poprosił o ciszę i z pogodnym wyrazem twarzy wyrecytował sonet:

Przybyliśmy tu jej smaku spragnieni,  
Choć wiemy, że jej zalety  
Stanowią tak duże podniety, Że  
teologowie czują się zagubieni.

Wdychając jej cudowny aromat,  
Myślimy, czyjej spróbować, Czy  
wstrzemięźliwość zachować, Jak  
radzi nasz jezuicki brat.

Ajak mówi inny jezuita,  
Nie popelnimy grzechu,  
Gdy bez wanilii będzie pita,

Powoli i bez pośpiechu. Droga  
to zaiste wyśmienita Do  
oszczędności i śmiechu.

Kardynał Spada w dowcipny sposób rozstrzygnął problem, nad którym zastanawiali się przedstawiciele doktryny jezuitów: czy wypicie jednej filiżanki czekolady powoduje przerwanie postu. Propozycja kardynała stanowiła mądry kompromis: można wypić filiżankę czekolady, ale gorz-



kiej, bez wanilii, godząc w ten sposób łakomstwo, wstrzemięźliwość i oszczędność.

Tymczasem rozdyktowani akademicy, odstawivszy puste filiżanki po czekoladzie, ponownie formowali się w grupki. Wokół poszczególnych mówców i par toczących słowne pojedynki gromadzili się rozleniwieni słuchacze. Jedni popijali jeszcze gorący napój, inni rozmawiali, jeszcze inni machali do kogoś znajomego stojącego opodal. Wśród barwnego tłumu dam, prałatów i arystokratów z łatwością można było dostrzec zwolenników różnych opcji politycznych. Aby zorientować się, kto sprzyjał Francji, Hiszpanii czy cesarstwu, wystarczyło przyjrzeć się, w jaki sposób włożył chusteczkę do kieszonki, jakiego koloru nosił ponczochoy, po której stronie dekoltu damy przypięły bukiet.

Pod pretekstem zebrania ze stołów tac i dzbanków opuściłem swoje miejsce i udałem się w kierunku opata Melaniego, który, nieco znudzony, rozmawiał z dwiema starszymi damami, a jednocześnie zerkał dookoła, uważnie obserwując, co dzieje się w salonie. Gdy zobaczył, że się zbliżam, pożegnał się z damami i dał mi dyskretnie znak, bym wyszedł na balkon od strony ogrodu.

Słońce jeszcze mocno grzało. Kiedy znaleźliśmy się sam na sam, streściłem opatowi zasłyszaną przed kilkoma minutami rozmowę dwóch duchownych o reformie porządku publicznego.

- Mają rację - rzekł opat. - Rzymscy żandarmi są skorumpowani.

Na balkon wyszło kilku prałatów zażyć tabaki. Twarze niektórych z nich były mi znajome, ale nazwisk nie pamiętałem. Rozpoznałem tylko Jego Eminencję kardynała Albaniego i aż mi serce podskoczyło do gardła.

Atto spojrzął w ich stronę.

- Nikt nie jest bardziej skorumpowany od żandarmów, chłopcze - oznajmił, zwracając się także do przybyłych kardynałów. W jego oczach pojawił się błysk, który zdradzał jakiś zamysł, widoczny tylko dla kogoś, kto dobrze znał opata. - I sędziów - dodał po namyśle. - W dzisiejszych czasach, szalonych i z pozoru nowoczesnych, żyjemy ciągle przeszłością. W czasach, które nazywam Powszechną Republiką Słów, liczą się tylko nazwy. Honorowymi obywatelami tej Republiki są sędziowie, wybrani po to, by zaspokoić żądzę zemsty ludzi słabych, ofiar niesprawiedliwości. Tłumnie przybywają do gabinetów, ale wychodzą z niczym. Oni właśnie tworzą Republikę, co zaraz udowodnię.

Tyrada Atta wprawiła wszystkich w zakłopotanie. Melani zwracał się

jednocześnie do wysokich purpuratów i do mnie, nędznego plebejusza. Ale ta niezwykła bezczelność była niczym w porównaniu z treścią jego wystąpienia, które brzmiało niczym hymn na cześć wicherzycieli.

- Sędziowie decydują o losach świata - perorował opat. - W czasach takich jak nasze człowiek niewiele znaczy. Triumfuje prawo, samo w sobie puste, niczym szaleństwo, które można dopasować do każdej sytuacji. Kiedy czytam w gazecie, że sędziowie kazali aresztować człowieka podejrzanego o oszustwo, myślę, że dobro zatriumfowało nad złem. Tymczasem oni wydali na niego wyrok jeszcze przed procesem. Wieść rozchodzi się szybko, niczym strzała wystrzelona z łuku. Nie ma czasu sprawdzić, czy nie została zatruta. Nikt nie podejrzewa, że sędziowie mogą kłamać lub dopuścić się nadużyć, że są marionetkami w rękach tych, którzy posługują się nimi, by zwalczać przeciwników, oszukiwać, mieszać, zwodzić opinię publiczną.

Rozejrzałem się dookoła. Na twarzach kardynałów przysłuchujących się zuchwałemu wystąpieniu Atta malowało się zmieszanie. Popołudnie miało być poświęcone akademiom, a nie apologii buntu.

- Powszechną Republikę Słów - ciągnął Melani - wypełniają wprawdzie marionetki, ale zbudowana jest ona z kamieni trwałych jak mury Ilionu. Nazywają się one Sprawiedliwość, Prawda, Prawość, Bezpieczeństwo... Każdy z nich jest kolosem, którego nie sposób podważyć ani usunąć, ponieważ w naszych czasach niepodzielnie panuje siła słowa. Kto występuje przeciw pozornej prawdzie czy pozornej sprawiedliwości, uznawany jest za oszusta i człowieka nieuczciwego. Kto podważa prawość, zostaje nazwany wicherzycielem, a kto kwestionuje bezpieczeństwo - wywrotowcem. Przekonywanie, że słowa te często (bardzo często!) kryją swoje przeciwieństwo, z góry skazane jest na niepowodzenie. Lepiej zakryć oczy i robić swoje, tak jak czynią ludzie, od których zależą losy narodów, czyli monarchowie i ich potajemni doradcy. Dobrze znają przewrotne koło fortuny, a nawet wprawiają je w ruch, ponieważ pragną uczynić sędziów, żandarmów i inne marionetki tej smutnej, groteskowej Republiki Słów swoimi niewolnikami, a naszymi prześladowcami, aż w końcu sami zostaną powieszani z rozkazu sędziego.

- Opacie Melani, pan nas prowokuje! - powiedział Albani, sekretarz kolegium abrewiatorów.

Jak przed dwoma dniami, z groźną miną upomniał Atta.

- Nikogo nie prowokuję - odparł łagodnym tonem Atto. - Snuję jedyne refleksje...

- Prowokuje pan, mąci, jątrzy, nakłania do buntu przeciw sędziom i żandarmom. Słyszałem na własne uszy.

- Mąć? Przeciwnie, Eminencjo, jako poddany króla Francji...

- Wszyscy to wiedzą - przerwał mu Albani. - Tym razem jednak przebrał pan miarę. Państwo papieskie nie jest terytorium tego czy innego mocarstwa. Rzym to stolica wiary katolickiej, dostępna wszystkim ludziom dobrej woli - oświadczył kategorycznie kardynał.

- Składam hołd Waszej Eminencji - powiedział Melani i pochylił się, zamierzając ucałować kardynalski pierścień.

Albani, dotknięty do żywego, udał, że nie zauważył gestu Melaniego, i odwrócił się do niego tyłem.

- Nie do wiary! Mieć czelność przychodzić tu, do domu sekretarza stanu, i szerzyć propagandę na rzecz Francji! - powiedział oburzony, zwracając się do purpuratów.

Atto stał, kłaniając się plecami kardynała. Świadkowie tego zdarzenia szyderczo się uśmiechali. Scena upokorzenia Atta wypadła nader komicznie.

Melani jak niepyszny wrócił do salonu. Szedłem za nim, starając się nie rzucić mu w oczy. Słyszałem jego zuchwałe słowa, wypowiedziane w stanie najwyższego podniecenia. Zachowałem ostrożność we własnym interesie. Nikt nie może się zorientować, że jestem na usługach opata. W przeciwnym razie przestano by mi ufać. Gdyby kardynał Spada dowiedział się, że zadaję się z podżegaczem, wyrzuciłby mnie na bruk.

Przeszliśmy przez salon wypełniony gośćmi, zachowując między sobą pewną odległość. Melani dał mi znak, żebym poszedł za nim do jego apartamentu na piętrze.

- Wiesz już, jak działa Republika Słów - rzekł, nawiązując do swojego wystąpienia.

- Ale...

- Masz wątpliwości, wiem. Zapewne chciałbyś mnie zapytać, skąd wiem, że nie można ufać żandarmom i że sędziowie są skorumpowani.

- Właściwie...

- Te tajne prawdy, chłopcze, usunięte z Republiki Słów, są bez znaczenia. Ale pamiętaj! - powiedział tonem upomnienia. - Aby utrzymać porządek w państwach i w królestwach, naród nie może wiedzieć dwóch rzeczy: z czego robi się kielbasę i co dzieje się w sądach.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć opatowi, stanęliśmy przed drzwiami

jego pokoju. Otworzył je, kazał mi czekać, wszedł do środka i wrócił z koszem brudnej bielizny.

- Za chwilę mam ważne spotkanie, muszę zmienić koszulę i doprowadzić się do porządku. Niedługo przyjedzie hrabia Lamberg, ambasador cesarstwa, chcę się z nim zobaczyć. Trochę się spóźnia. Poproszę go, żeby mnie przyjął. Weź te rzeczy i zanieś je do pralni, w przeciwnym razie zostanę bez czystej odzieży. Idź już!

Idąc do pralni z brudnymi rzeczami Atta, zastanawiałem się nad jego wystąpieniem. Oskarżał królów i krąg znakomitych osobistości (doradców, ministrów...), do którego sam należał. Odniosłem wrażenie, że swoim przemówieniem rzeczywiście prowokował, namawiał do buntu, jak twierdził Albani. Dwukrotnie zganiony przez kardynała, Atto zyskał opinię zuchwalca i agitatora, co mogło mu przeszkodzić w planowanych działaniach. Był szpiegiem, a szpieg potrzebuje dyskrecji. Dlaczego opat starał się zwrócić na siebie uwagę? Dlaczego ujawnił swoją przynależność do partii francuskiej? Z pewnością ci, którzy słyszeli jego drugą kłótnię z kardynałem Albanim, opowiedzieli o niej pozostałym gościom. Melani mógł mieć kłopoty.

Wbrew moim obawom nie wydawał się tym zmartwiony. Gdy zostaliśmy sami, zamiast skomentować upokorzenie, jakiego doznał, składając ukłon Albaniemu, który odwrócił się do niego w tym momencie plecami, podjął dziwaczne rozważania na temat Powszechnej Republiki Słów.

Być może popełniłem błąd - pomyślałem. Nie powinienem był spodziewać się po Melanim trzeźwości umysłu takiej jak siedemnaście lat temu. Zestarzał się, to wszystko. Utraciwszy zdolność racjonalnego myślenia, stał się nieostrożny, nierozsądny, nie potrafił nad sobą zapanować. Dawną złośliwość i ostrożność zastąpiła kłótniowość i zuchwałość. To zrozumiałe, że z wiekiem charakter człowieka się zmienia. Nie zaskoczyło mnie więc, że współżycie z Melanim nie było łatwe.

Zauważyłem, że do pałacu wchodzi grupa osób w towarzystwie licznej straży. Jak powiedzieli mi służący, kardynał Spada oczekiwał ważnego gościa. Wiedziałem, o kogo chodzi.

Po chwili gość wszedł do salonu. Na spotkanie wyszedł mu Fabrizio Spada, państwo młodzi i wiele innych osób, pragnących złożyć uszanowanie hrabiemu von Lambergowi, ambasadorowi cesarza Austrii. Kardyna-

nał Spada (jak się później dowiedziałem) posłał po niego jedną ze swoich najlepszych karet, przed którą jechał powóz kardynała de' Medici.

Aby uniknąć poważnych problemów formalnych, przedstawiciele dwóch innych mocarstw: Hiszpan hrabia d'Uzeda i Francuz księżę Monaco, po cichu uzgodnili, że razem pojawią się tylko na weselu, natomiast w późniejszych dniach złożą kurtuazyjne wizyty oddzielnie. W ten sposób uniknie się problemu pierwszeństwa, jak również sprzeczek i bójek (które niemal codziennie zdarzały się w Rzymie) pomiędzy lokajami, gdy walczyli o lepsze miejsce dla karety pana.

Tego dnia nie oczekiwano więc przedstawiciele dwóch wielkich mocarstw (Francji i Hiszpanii), a uwaga wszystkich skupiona była na Lambergu.

Z powodu mojego niskiego wzrostu nie widziałem wejścia Lamberga do salonu, gdyż widok przesłaniał mi las pleców i głów. Zobaczyłem go, gdy zgromadzeni goście utworzyli szpaler, czyniąc przejście. Za cesarskim ambasadorem kroczyli lokaje w żółtych liberiach i straż w galowych mundurach. Kardynał Spada poprowadził Lamberga na środek salonu. Damy i kawalerowie kłaniali się na znak szacunku, starając się zwrócić na siebie uwagę znakomitego gościa. Składali mu przy tym życzenia i błogosławili go.

- Ekscelencjo...
- Niech Bóg ma Ekscelencję w opiece!
- Życzę zdrowia Waszej Ekscelencji!

Wśród słów uszanowania towarzyszących ukłonom usłyszałem nagle dziwne zdanie po łacinie.

- *Si Deus et Caesar pro me, quis contra?*

Bez trudu rozpoznałem głos Arta. Najwidoczniej on także złożył ukłon austriackiemu dyplomacie. „Skoro Bóg i cesarz są za mną, kto jest przeciw mnie?” - tak powiedział. Wyciągnąłem szyję. Stojący przede mną zakonnik pochylił głowę, dzięki czemu mogłem zobaczyć całą scenę.

Atto kłęczał przed Lambergiem w pozie wyrażającej uprzejmość, a zarazem poczucie własnej godności. Mogłem się teraz dobrze przyjrzeć ambasadrowi cesarza. Oczy miał czarne jak węgiel, zimne i odpychające, spojrzenie skryte, niespokojne, typowe dla człowieka kłamliwego i obłudnego. Dość niskie czoło, regularny owal twarzy, cerę ziemistą. Starannie przycięte wąsiki nadawały ponuremu obliczu elegancję, podkreślały wyniosły stosunek do podwładnych. Człowiek ten budził szacunek, ale przede wszystkim nieufność.

- Mądre słowa - odparł Lamberg. - Kim pan jest?
  - Osobą, która podziwia Waszą Ekszelencję i składa najszczerze wyrazy głębokiej czci - powiedział Atto, wręczając ambasadorowi bilecik.
- Przez tłum gości przeszedł szmer zaskoczenia i ciekawości. Ambasador przeczytał bilecik i uśmiechnął się.
- Dobrze, dobrze - powiedział, zwracając opatowi bilecik i ruszając dalej.

Melani wstał, uśmiechając się z zadowoleniem.

Wróciłem na swoje miejsce obok kominka. Na fotelach, które przedtem zajmowali prałaci, teraz siedzieli dwaj inni duchowni. Czytałem z ruchu warg, o czym rozmawiają.

- Podawać czekoladę? Bez przesady... - powiedział przez zaciśnięte zęby młody zakonnik.

- Należy pamiętać, że obecny papież jest prohiszpański. Urodził się w Królestwie Neapolu należącym do Hiszpanii, a kardynał Spada jest jego sekretarzem stanu - odparł drugi młodzieniec o arystokratycznym wyglądzie.

- Zgoda, Ekszelencjo, ale tak bezwstydnie dawać do picia czekoladę, ten hiszpański napój... ulubiony króla Karola II, i to na krótko przed konklawe...

- To ma znaczenie polityczne, wiem, wiem. W najbliższych dniach będzie o tym głośno.

Nie wiedziałem, że podanie czekolady miało wymowę prohiszpańską. Wiedziałem natomiast, że pomysł podania napoju z kakao podsunął don Paschatio, a kardynał Spada chętnie się na to zgodził, wymyślając nawet wdzięczny sonecik, który zadeklamował gościom. Niemniej - pomyślałem, śmiejąc się w duchu - kiedy podobne opinie i podejrzenia dotarły do uszu kardynała, z pewnością przeraził się i kolejny raz skarcił niezszczonego zarządcę domu.

Moją uwagę przyciągnął incydent w lewym rogu salonu. W kierunku kardynała Spinoli, stojącego pośród niewielkiej grupy gości, zmierzał lokaj kardynała Spady. Zauważyłem to tylko dlatego, że przechodząc, potrącił pierwszą damę królowej Polski, markizę Bentivoglio, która oblała sobie dekolt gorącą czekoladą. Księżę Carbognano zrugął służącego, ten zaś po tysiącu przeprosin poszedł dalej i wręczył bilecik Spinoli. Kardynał przeczytał bilecik z ostentacyjną swobodą, jakby chciał pokazać, że nie przywiązuje do niego żadnej wagi, po czym zwrócił go lokajowi.

Byłem zbyt daleko, żeby usłyszeć, co Spinola powiedział służącemu. Natężywszy wszystkie zmysły, mimo nieopisanego zgiełku panującego w salonie, zdołałem odgadnąć z ruchu warg kardynała kilka znaczących słów:

- ...na zewnątrz, na balkonie.

Zrozumiawszy, o co chodzi, postanowiłem działać. Pośpiech był jak najbardziej wskazany, ponieważ wiadomość, zapewne od Spady, miała zostać przekazana trzeciej osobie. Domyśliłem się, że był nią kardynał Albani, znajdujący się w tej chwili na tarasie. Trzej członkowie Świętego Kolegium, którzy spotkali się wcześniej w „Okręcie”, dzielili się jakąś tajną informacją.

Gdyby udało się nam nie tyle przechwycić (co było mało prawdopodobne), ile raczej pojąć sens tej informacji, być może zdołalibyśmy zrozumieć polityczne posunięcia związane z konklawe. Zorientowalibyśmy się, na jakim etapie były (a także gdzie i w jaki sposób przebiegały) tajne rokowania w sprawie wyboru nowego papieża, dlaczego trzej kardynałowie spotykali się w „Okręcie”, miejscu okrytym tajemnicą. Musielibyśmy działać skutecznie.

Starając się, by lokaj mnie nie dostrzegł, poszedłem za nim. Słońce było wysoko na niebie. Przechodząc obok dużego okna wychodzącego na taras, zobaczyłem ciemne sylwetki. Przypominały cienie postaci z przedstawień jezuitów, widoczne na teatralnym horyzoncie. Intuicja - niezastąpiony sojusznik w każdej trudnej sytuacji - odpowiedziała mi, że jedną z nich jest kardynał Albani. Nadal stał w miejscu, w którym upokorzył Atta. Wokół kardynała zgromadzili się pochlebcy, przypominający natrętne muchy. Służący kardynała Spady właśnie podawał im gorącą czekoladę.

Gdy zbliżałem się do wyjścia z salonu, modląc się do Najwyższego, żeby nie zauważył mnie don Paschatio, zorientowałem się, że Melani także ruszył do akcji, gdy Buvat szepnął mu coś do ucha (jeśli Atto zajęty był rozmową, jego sekretarz miał zwyczaj pilnie wszystko obserwować, rezygnując nawet ze swojego ulubionego kieliszka wina). Opat bez zbędnych ceregieli pożegnał się z trójką uprzejmych rozmówców i odwrócił się na pięcie. Z pośpiechu wpadł na sekretarza Lamberga i o mało go nie przewrócił.

Mimo że działaliśmy szybko, nie zdołaliśmy dogonić lokaja. Ujrzelismy przez szybę, jak przekazuje bilecik Albaniemu. Niestety, osoby

stojące wokół zasłaniały nam widok, nie widzieliśmy więc, jak kardynał otwiera i czyta karteczkę. W chwili gdy zdyszani (choć staraliśmy się to ukryć) stanęliśmy na progu tarasu, poczułem, że wszyscy patrzą na mnie z rozbawieniem i ciekawością. Niektórzy pokazywali mnie palcem, trącając łokciem sąsiada. Słońce świeciło mi prosto w oczy, nie rozróżniałem twarzy osób, które mi się przyglądały. Spojrzałem na Atta. On również miał zaskoczoną minę. Zaczerwieniłem się ze wstydu. Nie śmiałem pytać, co go tak zainteresowało. Stałem jak słup soli.

- Jaki ładny! - powiedział Albani, zwracając się w moją stronę. - Kardynał Spada ma dobry gust.

Po tych słowach Albani, najwidoczniej nie mogąc utrzymać filiżanki ze zbyt gorącym napojem, odstawił ją na murek. Ponieważ w tej samej dłoni trzymał bilecik, kropla czekolady spadła na papier. Kardynał szybko cofnął delikatną dłoń, ale bilecik wysunął mu się z ręki i upadł na murek obok filiżanki. W tej samej sekundzie usłyszałem nad głową znajomy szelest i poczułem lekkie muśnięcie. Ptak, przelatując, zasłonił mi słońce i usiadł na murku, tuż przy filiżance.

- Cezar August! - wyrwał mi się okrzyk.

Zdarzenia, które potem nastąpiły, były z pewnością najdziwniejsze w całej tej historii. Kardynał Albani i jego przyjaciele, jak również goście znajdujący się na tarasie, wpatrywali się z podziwem nie na niżej podpisanego, lecz na Cezara Augusta, siedzącego na murku, tuż nad moją głową.

Jak już wspominałem, papuga wprost przepadała za czekoladą. Od czasu do czasu zanosłem jej trochę ulubionego napoju, wykradając go z kuchni. Po raz pierwszy jednak willa Spada była wprost przesycona tą upajającą wonią. Nie bez powodu zatem tego dnia ptak przełamał swoją introwersję, dołączając do uczty, w nadziei, że uda mu się wypić choć łyk czekolady.

W chwili gdy Albani odstawił filiżankę, Cezarowi Augustowi przyszło do głowy - zgodnie z jego wyniosłą, pogardliwą naturą - rozwiązanie najprostsze z możliwych, czyli kradzież. Jeszcze nie wylądował, a już zanurzył dziób w filiżance kardynała. Albani i pozostali goście uśmiechali się z zakłopotaniem.

- Jaka sympatyczna... i zabawna papuga! - mówili.

Na oczach tłoczącego się przy wejściu na taras tłumu Cezar August chwycił łapką bilecik. Gdy Albani wyciągnął rękę, by odzyskać kar-



teczkę, papuga dziobnęła go boleśnie. Kardynał gwałtownie cofnął dłoń z okrzykiem zdziwienia. Goście zadrżeli.

- Pomogę Waszej Eminencji - zaproponowałem, przeciskając się przez tłum.

Miałem nadzieję, że Cezar August nie ośmieli się zaatakować starego przyjaciela. Wyjąłem mu z łapki bilecik. Nagle ktoś mnie silnie popchnął. Upadłem, przygnieciony czyimś ciałem. Z głosów protestu, które słyszałem, wywnioskowałem, że razem ze mną upadły dwie czy trzy osoby. Ktoś odebrał mi karteczkę, ktoś inny ugniatał mi boleśnie żebra kolanami.

- Och, Wasza Eminencjo, proszę mi wybaczyć, potknąłem się - rozpoznałem głos Buvata.

- Ty idioto! Już ja ci pokażę! - powiedział ktoś inny.

- Trzymajcie go!

W okamgnieniu pojąłem plan Atta: stworzyć zamieszanie, doprowadzić nawet do bójki, tak żeby dryblas Buvat przewrócił się na leżących i przechwycił bilecik.

- Och nie! Tylko tego brakowało! - wykrzyknął Melani.

Wyplątałem się spod czyichś nóg i wstałem. Podniosły się również pozostałe osoby, włącznie z Buvatem, który doprowadzał się do porządku na oczach zdziwionych i rozbawionych gości. Cezar August nadal siedział na murku, lecz w jego wyglądzie zaszła istotna zmiana: trzymał bilecik w dziobie, wyrwawszy go z rąk Melaniego. Opat stał przed ptakiem z błagalną miną, nie mając odwagi odebrać karteczki. Albani patrzył szklanym wzrokiem na papugę i swój bilecik w jej dziobie.

- Cezarze Augustie! - powiedziałem cicho, pragnąc przyciągnąć jego uwagę.

Nie zareagował, upajając się wonią czekolady z poplamionej nią karteczki. Patrząc na mnie z ukosa, poderwał się do lotu i machając białymi skrzydłami, zniknął między drzewami.

Kardynał Albani nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Dziwny ptak - stwierdził lekko załamującym się głosem, starając się pokonać zmieszanie. Wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła.

Obserwowałem lot papugi. Nie miałem wątpliwości. Tak jak przewidywałem, Cezar August pofrunął w kierunku bramy San Pancrazio.

Nadal miałem na sobie liberię. Jako służący, nie mogłem bez zezwolenia opuścić wyznaczonego stanowiska. Przemknęliśmy z Attem do salo-

nu i mieszał się z tłumem. Oczy wszystkich gości zwrócone były w stronę dziwnej sceny, jaka rozgrywała się na zewnątrz. Wyczekawszy na odpowiedni moment, wyszliśmy z willi, niezauważeni przez don Paschatia i służących. W apartamencie Atta przebrałem się w swoje ubranie.

- Pospiesz się, do licha! Musimy złapać to przeklęte ptaszysko! - nie cierpiał się opat, kiedy zakładałem spodnie.

Aby wymknąć się niepostrzeżenie, musieliśmy przedrzeć się przez gęste krzewy rosnące wzdłuż alei wjazdowej i dojść do tylnej części ogrodu. Na szczęście słońce nie prażyło już tak mocno i pościg za papugą był mniej uciążliwy. Minąwszy kaplicę, przecięliśmy aleję wiodącą do teatru i dotarliśmy do bocznej bramy. Zabrudziliśmy trochę ubrania, ale przynajmniej nikt nas nie zauważył, zwłaszcza strażę stojącą przy głównym wejściu do willi. Nie chcieliśmy, by Albani, Spinola i Spada wiedzieli o naszych poszukiwaniach.

Atto polecił Buvatowi, żeby został na przyjęciu i dyskretnie obserwował kardynałów. Nie spodziewał się jednak, że czegoś się dowie.

Obaj zdawali sobie sprawę, że gdyby udało nam się odebrać bilecik Cezarowi Augustowi, poznalibyśmy szczegóły dotyczące kolejnego spotkania eminencji, a może nawet ich plany. Mogłem być pewien, że papuga nie pozbędzie się karteczki poplamionej jej ukochaną czekoladą.

Właśnie minęliśmy bramę San Pancrazio, gdy Atto schwycił mnie za ramię.

- Spójrz!

Cezar August przefrunął dokładnie nad naszymi głowami. Z pewnością nas widział. Skręcił w prawo i uniósł się wyżej. Tego się właśnie obawiałem. Kiedy papuga odbywała swoje wypad, pozostając z dala od willi przez kilka dni, czasem tygodni, zawsze frunęła w stronę najwyższych drzew. Tak było i tym razem. Chcąc opuścić Rzym, nie miała wyboru. Najwspanialsze sosny, cyprysy i platany rosły dokładnie w miejscu, gdzie zniknął ptak, podobny do biało-żółtej komety widniejącej nad ogrodami „Okrętu”.

# Wieczór czwarty

*10 lipca 1700 roku*

Kiedy wślizgiwaliśmy się niepostrzeżenie do parku przy „Okręcie”, przez cały czas patrzyliśmy w górę. Cezar August z pewnością siedział gdzieś wysoko, przycupnięty na gałęzi, i być może nas obserwował.

Późnym popołudniem letnia kanikuła nieco zelżała. Podobnie jak podczas naszych poprzednich wizyt cienie wieczoru, który zapadał, gdy opuszczaliśmy willę Spada, zniknęły, zaledwie przekroczyliśmy bramę „Okrętu”, przegnane kapryśnym wiatkiem. W willi Elpidia Benedettiego, zalanej złocistym światłem, zmierzch był najwidoczniej niemiłe widziany.

Przemierzywszy główny dziedziniec, podeszliśmy do szpalerów drzew cytrusowych i rozpoczęliśmy poszukiwania. Żywe kolory pomarańczy i cytryn, barwne plamy róż, cienie pobliskiego lasku i pergoli, tworzące szachownicę, mąciły wzrok. Delikatne podmuchy wiatru poruszały każdym listkiem, kwiatem, krzewem. Po kilku minutach miałem wrażenie, że wszędzie widzę Cezara Augusta. Przeszliśmy aleją przykrytą pergolą z freskiem przedstawiającym triumfujący Rzym - papugi ani śladu. Atto wyraźnie się zniechęcił. Skręciliśmy w stronę pałacu.

- Przekłête ptaszysko - mruknął opat.
- Obawiam się, że go nie znajdziemy. Kiedy Cezar August chce być sam, nic się nie da zrobić.
- Nic się nie da zrobić? Jeszcze zobaczymy! - powiedział opat, unosząc wojowniczo laskę ze srebrną gałką i wymachując nią, jakby groził jakiemuś bóstwu.
- Mówię panu, że kiedy chce być sam, dobrze się ukrywa, nie znajdziemy go, nawet jeśli...
- Już ja wiem, czy go znajdziemy, czy nie, chłopcze. Jestem dyplomatą w służbie Jego Wysokości Arcychrześcijańskiego Króla! - oświadczył.

Milczałem przez chwilę, po czym powiedziałem:

- W porządku, panie Atto. Proszę zatem powiedzieć, dlaczego wy rwał mi pan z dłoni bilecik. Gdyby Buvat nie narozrabiał, gdyby się na mnie nie rzucił, mielibyśmy teraz tę karteczkę. Tymczasem pan pozwolił, by wykradła ją papuga!

Czekałem na odpowiedź, drżąc z emocji. Jak zwykle podczas sprzeczek z Artem poniosły mnie nerwy.

- Nic nie rozumiesz! - syknął przez zęby. - Nigdy nic nie rozumiałeś! Nie zdołałbyś zatrzymać bileciku! Wszyscy cię widzieli! Musiałbyś zwrócić karteczkę Albaniemu. Tylko ja i Buvat mogliśmy ją wykraść, gdyby ta twoja głupia papuga wszystkiego nie popsowała.

- Po pierwsze, papuga nie należy do mnie. Zostawił ją w spadku świętej pamięci monsinior Virgilio Spada, wuj kardynała Fabrizia, oby Bóg miał go w opiece! Po drugie, to właśnie dzięki papudze mogłem odebrać bilecik Albaniemu.

- Chciałem odwrócić uwagę Albaniego, a Buvat miał to wykorzystać.

- Odwrócić uwagę Albaniego? Dwukrotnie zraził go pan do siebie swoimi przemówieniami! I to publicznie!

- Bądź cicho!

Wpadłem we wściekłość. To była przysłowiowa kropla, która przepełniła czarę. Wiedziałem, że mam rację. Melanieniu nie uda się tak łatwo mnie uciszyć. Okazało się jednak, że chodziło o coś innego.

W napięciu patrzył za mnie, jakby obserwował jakieś dzikie zwierzę.

- Jest tam? - spytałem, mając na myśli Cezara Augusta.

- Właśnie odchodzi. Ubrany jak poprzednim razem.

- Ubrany?

Odwrociłem się.

Był około dwudziestu metrów od nas. Z grubym rulonem związanym czerwoną wstążką pod pachą, szedł szybkim krokiem, ze zmarszczonymi brwiami, w kierunku dziewczyny o cerze białej jak mleko, z gęstymi, czarnymi włosami. Złożywszy głęboki ukłon, na który odpowiedziała uśmiechem, wręczył jej sakiewkę z pieniędzmi i rulon.

Ledwie zdążyłem ich rozpoznać, oboje zniknęli za dużą donicą z drzewkiem cytryny. Nie myliłem się. To byli oni: szlachcic i dziewczyna, których widziałem podczas naszej pierwszej wyprawy do „Okreću”. Ona była Marią Mancini (identyczna). On mi kogoś przypominał, ale kogo?

Zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Nauczeni poprzednim doświadczeniem, nie staraliśmy się ich dogonić ani zrozumieć, w jaki sposób się rozplynęli. Spojrzałem na Atta.

- Ach, więc to prawda? - wyszeptał.

Wiedziałem już, kogo zobaczyliśmy.

Zbyt dużo miejsca zajęłoby przypominanie faktów, do których nawiązywało to zdanie. Wspomnę jedynie, że siedemnaście lat temu wypowiedział je w chwili śmierci jeden z gości „Donzella”, gospody, w której pracowałem jako posługacz i gdzie poznałem Melaniego.

Umierającym człowiekiem był Nicolas Fouquet, były nadintendent finansów w służbie Arcy chrześcijańskiego Króla, skazany na dożywotnie więzienie w wyniku pałacowego spisku; po wielu perypetiach schronił się w Rzymie, właśnie w „Donzelli”. Atto doskonale wiedział, że pamiętam te wydarzenia, opisałem je bowiem w dzienniku, który mi ukradł, a później dobrze za niego zapłacił.

- To ten sam mężczyzna, którego widzieliśmy z Marią poprzednim razem... - wyszeptałem, będąc pod wrażeniem zagadkowej wizji.

Atto nie odezwał się, ale jego milczenie było wymowne. Puszczając w niepamięć sprzeczkę sprzed kilku minut, rozglądaliśmy się dookoła, obserwowali gałęzie i korony drzew. Nie przyznawaliśmy się, że bardziej niż Cezar August zajmowały nas teraz wspomnienia, przywołane jakąś niepojętą siłą. Myślałem o dniu, w którym poznałem opata Melaniego. On zapewne powracał pamięcią do swojej przyjaźni z Fouquetem, do jego tragicznego losu i śmierci w gospodzie. Oto dlaczego - rozmyślałem - pierwsza wizja, jaką zobaczyliśmy w „Okręcie”, wstrząsnęła opatem bardziej niż dzisiejsza, gdy ujrzał Marię, którą darzył głębokim uczuciem, i Fouqueta, do którego śmierci się przyczynił.

Wystarczyło spojrzeć na Atta, by zrozumieć, co czuł. Zobaczył dawnego przyjaciela, ale nie starego, zniszczonego długim pobytem w więzieniu, jakim go pamiętałem, lecz w sile wieku. Zwinięte kartki, które trzymał pod pachą, to dokumenty dotyczące królestwa. Niósł je zapewne do domu, zanim - jak powiedział Atto - na skutek dworskich intryg utracił fotel ministra, honor, wolność i życie.

Wyprostowana sylwetka, pewny krok, spokojna twarz, zachmurzone spojrzenie, świadczące o poważnym stosunku do obowiązków państwo-

wych - taki był Fouquet, kiedy poznał go Atto. Na widok przyjaciela przed oczami opata przewinęło się tysiące odległych zdarzeń, na nowo przeżywał wzloty ducha i meandry historii, cierpienia i, być może, wyrzuty sumienia. W „Okręcie” przeszłość przeglądała się jak w czystej, spokojnej tafli jeziora i, mrugając porozumiewawczo okiem, zdawała się mówić: oto jestem.

Zauważyłem, że Melani posmutniał. Nie szedł już energicznym krokiem żwawego staruszka, czy raczej - zważywszy na podróż w czasie - przedwcześnie postarzałego młodzieńca. Ja nie byłbym zdolny godnie znieść takiej próby. Na miejscu opata - pomyślałem - rozplakałbym się. On natomiast trzymał się dzielnie, udając, że szuka papugi. W głębi duszy wybaczyłem mu. Pomyślałem, że jeśli rzeczywiście chce uchodzić za przyjaciela, powinienem zapomnieć, przynajmniej na razie, o jego wadach (zuchwałość, obłuda, arogancja...). Nie miałem złudzeń co do tego, że Melani jest zdolny do szczerej przyjaźni. Nigdy nie powiedziałbym mu tego, co usłyszałem, kiedy na ścieżce w ogrodzie pierwszy raz pojawili się Maria Mancini i Fouquet: „Jest pan moim najlepszym przyjacielem”. Czyż jednak przyjaźń nie jest nierozzerwalnie związana z iluzją, którą się żywi, konieczną do tego, żeby mogła trwać i przynosić ludziom radość, nawet pozorną?

- Chyba masz rację. Cezar August zniknął, nie znajdziemy go - powiedział Atto bezbarwnym głosem.

- Jeśli nie chce, żeby go znaleźć, to wybrał, niestety, idealne miejsce - dodałem równie obojętnie.

- Ciekawe, że przyfrunął właśnie tutaj - zauważył Melani. - Robi się tu tłoczno: trzech kardynałowie, Tetrachion, twoja papuga.

- Myślę, że Cezar August trafił tu przez czysty przypadek. Lubi wysokie drzewa, z gęstą koroną, a tu są one najpiękniejsze na całym Janikulum.

- Musimy ustalić, czy te osoby także znalazły się tu przypadkiem.

- Jakie osoby? - spytałem, mimo woli myśląc o zjawach.

- Zacznijmy od Tetrachiona - rzekł Melani, kierując się do pałacu.

Po chwili zatrzymał się. Wokół dały się słyszeć dźwięki przepięknej melodii granej na skrzypcach. Nie potrafiliśmy odgadnąć, skąd pochodziła ani do kogo była skierowana.

- Znowu ta sama muzyka... follia - rzekł Atto.

- Obejdźmy pałac, może dowiemy się, kto ją gra?

- Nie, zostaniemy tutaj. Cały czas biegamy, muszą trochę odpocząć. Melani usiadł na marmurowej ławce. Sądziłem, że zaraz powie coś w rodzaju „latka lecą” albo „nogi już nie te”, ale milczał.
  - Wariacja, podobnie jak Capitor - stwierdziłem.
  - Ty też o niej pomyślałeś?
  - Powiedział pan, że tak nazywała się wariatka z Hiszpanii. Capitor to przekręcone słowo *lapitora*, po hiszpańsku „szalona”.
  - *Toul se tient*. Melodia, którą słyszymy, za każdym razem brzmi inaczej i wydaje się nie mieć końca. Tymczasem szaleństwo Capitor miało swój epilog.
  - Chce pan przez to powiedzieć, że Capitor w końcu opuściła Francję?
  - Tak, któregoś dnia ona i Bękart wyjechali i nic już nie było takie jak przedtem.
  - Jak to?
  - Nastąpiła seria nieszczęśliwych zdarzeń, które doprowadziły do oglądanej przez nas sceny - wyszeptał Atto.
- Wreszcie zdecydował się opowiedzieć mi o Marii i Fouquecie.

Po występie Capitor - mówił opat Melani - Mazzarini bardzo się zmienił. Nieustannie rozmyślał o zagadkowej przepowiedni obłąkanej kobiety („Panna, która poślubi Koronę, przyniesie śmierć”). Strach szeptał mu do ucha, że należy wykorzenić, zniszczyć, zwalczyć wszelkimi dostępnymi środkami związek Ludwika i Marii. „Tu chodzi o moją głowę” - mówił do siebie przerażony kardynał, kryjąc lęk pod swoją zwykłą bladością.

Przez dwa kolejne miesiące, wiosną 1659 roku, para zakochanych narażała na coraz to nowe przeszkody. W czerwcu kardynał oficjalnie oznajmił Marii, że musi opuścić dwór. Mazzarini zamierzał wyjechać w Pireneje, aby przedyskutować traktat pokojowy z Hiszpanią, i postanowił zabrać siostrzenicę ze sobą, a następnie wysłać ją do La Rochelle, gdzie przebywały jej dwie młodsze siostry, Hortensja i Marianna. Termin wyjazdu przewidziany był na 22 czerwca.

Królowa, obawiając się reakcji Ludwika, nie śmiała mu o niczym powiedzieć. Mazzarini polecił zatem Marii, żeby osobiście powiadomiła go o swoim wyjeździe. Ludwik wpadł w złość, zagroził kardynałowi, że popadnie w nielaskę. Rozpacz Marii zwiększała jego gniew i żądzę zemsty.

Przez trzy dni nie odzywał się do matki, po czym, w przypływie rozpaczy, padł do nóg Mazzariniemu i królowej, błagając, by pozwolili mu poślubić Marię. Kardynał uprzejmym, obojętnym tonem oświadczył, że to niemożliwe. Nie naraziłby na szwank chwały Francji i Korony, a jako opiekun swojej siostrzenicy Marii prędzej by ją zasztyletował, niż pozwolił, by dopuściła się zdrady.

Kiedy Mazzarini został sam na sam z królową, powiedział: „No, cóż, na jego miejscu postąpiłbym tak samo”.

Ludwik zapewniał Marię, że nie poślubi hiszpańskiej infantki. Miał nadzieję, że złamie opór kardynała i matki i pewnego dnia Maria zasiądzie na tronie Francji. Na dowód swojej szczerości podarował ukochanej drogocenny naszyjnik, który kupił od królowej Anglii z myślą o swoich zaręczynach.

Nadal jednak obowiązywał rozkaz Mazzariniego: Maria musiała opuścić Paryż. Obawiała się, że kardynał zamierza wysłać ją gdzieś daleko, a potem jeszcze dalej. Ludwik próbował ją pocieszyć, przysięgał, że myśli tylko o niej i z pewnością znajdzie jakieś rozwiązanie. Oboje jednak wiedzieli, że są to obietnice bez pokrycia.

Następne dni Maria przepłakała. Ludwik bezustannie powtarzał, że bardzo cierpi na myśl o rozstaniu. Ale były to tylko słowa.

- Zaledwie kilka osób widziało to, co ja, chłopcze. Zapewniam cię, że nikt nigdy nawet o tym nie piśnie - oświadczył Atto.

Aby uspokoić drżenie nóg wywołane wspomnieniami, odbyliśmy z Attem krótki spacer pod parkową pergolą. W ogrodzie wypełnionym duchami przeszłości każda aleja, żywopłot, klomb zdawały się przypominać opatowi jakiś epizod, zdanie czy szczegół.

W przeddzień wyjazdu Marii, 21 czerwca, król daleki był od pogodzenia się z myślą o rozstaniu. Królowa matka odbyła z synem długą rozmowę w cztery oczy. Opowiadano, że po jej zakończeniu Ludwik miał oczy opuchnięte od łez. Maria musiała wyjechać, Ludwik przegrał bitwę, ale żywił jeszcze nadzieję na zwycięstwo w wojnie, choć nie wiedział, jak tego dokonać.

Następnego dnia chory z miłości król cierpiał tak bardzo, że dwukrotnie przystawiono mu pijawki, do nogi i do ramienia (przez kolejne dni powtórzono zabieg jeszcze sześć razy). Głośno szlochając, Ludwik odprowadził Marię do karety i ponownie obiecał, że ją poślubi.



- Maria dziwiła się: był królem i mógł uczynić, co chciał, tymczasem ustąpił matce i kardynałowi.

- Co powiedziała?

- „Wasza Wysokość płacze? Przecież to ja wyjeżdżam!” - powtórzył jej słowa z łagodnym uśmiechem.

- Rzeczywiście, dlaczego król nie narzucił swojej woli?

- Miłość potrafimy docenić dopiero wtedy, gdy ją stracimy. Ludwik był naprawdę zakochany, pierwszy raz w życiu, ale nie wiedział jeszcze, że będzie to jego jedyna miłość. Królowa Anna przekonała syna, że z czasem zapomni o Marii i będzie wdzięczny matce za ból, który mu wówczas zadała. Ludwik uwierzył, ale doznał niepowetowanej straty.

Usiedliśmy na marmurowej ławce.

Po wyjeździe Marii zakochani prowadzili ożywioną korespondencję. Ona postanowiła opuścić La Rochelle i zamieszkać samotnie w zamku Brouage. Był sierpień. Ludwik z królową Anną i dworem wyruszył w Pi-reneje, gdzie miało się odbyć podpisanie traktatu pokojowego między Francją a Hiszpanią oraz ślub młodego króla z hiszpańską infantką.

- Chyba już ci mówiłem, że brałem udział w tej niezwykle ważnej wyprawie - oznajmił Atto z nieskrywaną dumą.

Trzynastego i czternastego sierpnia Mazzarini, będąc przejazdem w tych stronach, odwiedził króla wraz z matką. Marii i Ludwikowi zabroniono ze sobą rozmawiać. Król usłuchał.

- Pomyślałem wówczas, że Ludwik jest taki sam jak jego ojciec Ludwik XIII. Kardynał mógł spać spokojnie - stwierdził Atto, uśmiechając się złośliwie.

Mazzarini namawiał Marię, by przyjęła propozycję małżeństwa złożoną przez konstabla Lorenza Onofria Colonnę, przedstawiciela starego rzymskiego rodu, któremu służył ojciec kardynała. Mazzarini natomiast służył Filippowi Colonnii, dziadkowi Lorenza Onofria. To właśnie Filippo Colonna wyperswadował dwudziestoletniemu Mazzariniemu małżeństwo z córką nieznanego notariusza, w której był zakochany, i namówił go na przywdzianie sutanny i obranie kariery duchownego. Życie młodego Ludwika przypominało więc los kardynała, który w młodości także musiał zrezygnować z miłości do kobiety.

Pragnąc przekonać Marię do poślubienia Lorenza Onofria, Mazzarini gotów był na pewne ustępstwa. Maria poprosiła zatem, by pozwolił jej wrócić do Paryża. Z końcem 1659 roku znalazła się w stolicy, gdzie wuj

zamknął ją w swoim domu. Zrzędzeniem losu Mazzarini musiał wyjechać z Paryża, a Maria i jej siostry - opuścić pałac kardynała z powodu prac remontowych. Gdzie zamieszkały? W Luwrze, w apartamentach kardynała, który dowiedział się o wszystkim dopiero z listu informatorów.

W Luwrze Marię adorował, prosząc ją następnie o rękę, spadkobierca księstwa Lotaryngii Karol, przyszły bohater w bitwie pod Wiedniem. Był to osiemnastoletni chłopiec, piękny, przedsiębiorczy, pełen miłostnego zapału. Maria skłonna była go poślubić, wołała go od Colonny, którego nigdy nie widziała i który wywiózłby ją do Włoch, gdzie władza mężów nad żonami była absolutna. Mazzarini, podając różne powody, zdecydowanie przeciwstawił się planom Marii, gdyż obawiał się, że nawet jako mężatka, pozostając w Paryżu, mogłaby okazać się niebezpieczna.

Tymczasem rozpoczęły się przygotowania do ślubu Ludwika z infantką Hiszpanii. Negocjacje związane z ceremonią ślubną trwały siedem miesięcy. Postanowiono, że - zgodnie ze zwyczajem - rozłoży się ją na dwa etapy, które miały się odbyć po obu stronach granicy (władcy nie mają prawa postawić stopy w sąsiednim królestwie, gdyż byłoby to jednoznaczne z wypowiedzeniem wojny).

Na początek zobowiązano infantkę Marię Teresę, by oficjalnie zrezygnowała z roszczeń do tronu Hiszpanii. Następnego dnia na terenie Hiszpanii odbył się ślub per procura z Arcychrześcijańskim Królem. Pełnomocnikiem Ludwika był don Luis de Haro, hiszpański negocjator. Do uroczystości nie został dopuszczony żaden Francuz, z wyjątkiem świadka Ludwika, którym był Zong Ondedei - biskup Frejus i człowiek Mazzarini.

Anna Austriaczka i kardynał nie mogli się doczekać, by ujrzeć pannę młodą. Zapewniali Ludwika, że jego hiszpańska narzeczona jest bardzo piękna, piękniejsza od Marii Mancini. Musiała zatem być piękna. Wysłali do Hiszpanii panią de Motteville, damę do towarzystwa Anny, oraz pannę Montpensier, kuzynkę króla, by oceniły zalety Marii Teresy. Panie podróżowały incognito. Wróciwszy do Francji, miały odpowiedzieć na jedno pytanie: „Jaka ona jest?”

- Bardzo starały się wyglądać na zadowolone - śmiał się Melani - ale wystarczyło spojrzeć na ich miny, by znać prawdę.

- Nie jest zbyt wysoka, przeciwnie, raczej niewielkiego wzrostu... Krótko mówiąc, jest niska - wyznały zgodnie. - Ale jest dość zgrabna, ma nie za małe oczy, nie za gruby nos - mówiły, wpadając sobie w sło-

wo. - Czoło trochę za wysokie... - W ten elegancki sposób dawały do zrozumienia, że panna młoda nie ma bujnych włosów.

Na koniec pani de Motteville stwierdziła: „Gdyby miała równiejsze zęby, byłaby jedną z najpiękniejszych kobiet w Europie”. Panna Montpensier natomiast, zdając sobie sprawę, że niedługo wszyscy ujrzą infantkę na własne oczy, rzuciła: „Żal na nią patrzeć!”, ale natychmiast się poprawiła, tłumacząc, że miała na myśli okropną fryzurę i „tę potworną konstrukcję”, czyli krynolinę, która zgodnie z hiszpańską modą więziła ciało nieszczęsnej Marii Teresy.

- Po wysłuchaniu relacji obu pań baliśmy się, jak Ludwik zareaguje na widok infantki.

- Jak się zachował?

- Wbrew naszym obawom przywitał się z przyszłą żoną nader przyzwoicie. Na oczach uradowanej matki, która wielokrotnie upominała go, by był uprzejmy, Ludwik odegrał rolę zakochanego, jak chce tradycja królewskich ślubów. Ubrany niezwykle wytwornie, z kapeluszem w dłoni, pogalopował nawet wzdłuż rzeki, ścigając statek z narzeczoną. Był wspaniały, kiedy tak pędził na grzbiecie wierzchowca, wprawiając Marię Teresę w zachwyt.

Opat Melani poprawił kokardki przy butach.

- Nieszczęsna infantka - wyszeptał, wznosząc oczy do nieba. - I on nieszczęsny!

Nienagannymi manierami Ludwik starał się zadowolić królową matkę, która nakazywała mu, by trzymał serce i rozum na wodzy. Uwielbiał matkę, wierzył, że ona i kardynał chcą dla niego jak najlepiej. Do takiego wniosku doprowadził go brak doświadczenia w życiu i miłości - zadbali o to prawni opiekunowie: Anna Austriaczka i Mazzarini. Od dnia, w którym Ludwik zobaczył swoją przyszłą żonę, zaczęły go ogarniać wątpliwości, podejrzenia, obawa, że został oszukany. Starannie skrywał jednak swoje uczucia. Nic nie można było wyczytać z jego twarzy, gestów, słów, których wszyscy słuchali z uwagą. Niczego nie dawał po sobie poznać. W czasach Frondy, kiedy miał dwanaście lat i razem z matką szykował się do ucieczki z królewskiego pałacu, położył się do łóżka w ubraniu i udawał, że śpi. Rozwścieczony tłum na zewnątrz przez całą noc trwał w ciszy z szacunku dla snu niewinnego dziecka. Co by się stało, gdyby ktoś podniósł koldrę i odkrył oszustwo?

Po wizycie złożonej Marii Teresie do Ludwika przyszli przyjaciele.

Chcąc namówić go do zwierzeń, spytali, jakie wrażenie wywarła na nim infantka. Król odparł krótko: „Jest brzydka”. Nic więcej nie zdołali z niego wyciągnąć.

- Chyba bardzo cierpiał - wywnioskowałem.
- Dlatego, że jego przyszła żona nie była tak piękna, jak się spodziewał? Nie, nie sądzę, to było bez znaczenia. Ludwik zorientował się, że popełnił błąd, słuchając potulnie matki. Nieustannie wspominał piękne czarne oczy, ciemne włosy pachnące wrzosem, dowcipne słowa i srebrzysty śmiech Marii.

Podczas ceremonii ślubnej i wesela nie zdradził, co naprawdę czuje. Z wyjątkiem jednego drobnego szczegółu: zażyczył sobie, żeby podczas przyjęcia służący mieli na sobie liberie w barwach rodowych Marii.

Spełnił swój pierwszy małżeński obowiązek, ale nazajutrz, kiedy dwór zmierzał do stolicy, opuścił małżonkę na dwa dni. Dokąd pojechał? Nikt nie chciał tego głośno powiedzieć, choć wszyscy wiedzieli, że nieoczekiwanie zmienił trasę i pogalopował do Brouage na ziemiach Charente - tam gdzie jakiś czas temu przebywała Maria. Długo stał nad brzegiem morza i płakał. W zamku położył się na łóżku, na którym spała Maria, ale przez całą noc nie zmrudył oka.

- Skąd pan zna te wszystkie szczegóły? - zapytałem zdziwiony.
- Bo widziałem Ludwika w pokoju Marii. Pojechałem do Charente z rozkazu Jego Eminencji. Znalazłem go w zamkowej komnacie. Był w okropnym stanie. Scena, jaką ujrzałem, przypominała zdjęcie z krzyża: pościel w nieładzie, on mokry od potu, cierpiący.

Skręciliśmy w stronę dziedzińca. Wsłuchany w plusk fontanny, Atto przemierzał aleję krokiem ciężkim i powolnym.

W Brouage Ludwik dał upust swojemu cierpieniu, wypłakał wszystkie łzy. Tam też pożegnał się na zawsze z miłością, nie wiedząc, że żegna się jednocześnie z samym sobą - spokojnym i zadowolonym, jakim był do tej pory.

- Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy zastygłej w cierpieniu. W świetle poranka w Brouage patrzył na mnie martwym wzrokiem. Tam rozegrał się ostatni akt osobistego dramatu króla. Reszta to... grzęzawisko.

- Grzęzawisko?

- Tak. W którym powoli tonęła miłość Ludwika i Marii.

Po powrocie do Paryża z hiszpańską małżonką, niczego nieświadomą Marią Teresą, Ludwik dowiedział się od perfidnej hrabiny Soissons, że do Marii zaleca się młody, namiętny Karol Lotaryński, a ona nie odrzuca jego awansów. Król rozżościł się nie na żarty. Zaczął lekceważyć Marię, traktować nieuprzejmie. Odpowiedziała chłodną rezerwą i obojętnością. Wtedy Ludwik opamiętał się, zaczął odwiedzać Marię w pałacu Mazzariego przy rue des Petits Champs.

- Dokładnie naprzeciw mojego domu - powiedział Atto z udawaną swobodą. - Dworzanie, z zawistnymi plotkarkami panią La Fayette i panią Motteville na czele, które nienawidziły Marii, opowiadali, że królowi nie chodzi o Marię, lecz o piękną Hortensję, najmłodszą z sióstr Mancini.

- Naprawdę tak było?

- Czy to ważne? Ludwik XIV był już żonaty. Obietnice i marzenia nie spełniły się. Zaledwie przed rokiem zakochani prześcigali się w układaniu wierszy, teraz prawili sobie złośliwości. Stali się cieniami samych siebie. Życie wymknęło im się z rąk, na zawsze.

- Przepraszam, panie Atto, powiedział pan „hrabina Soissons”? - upewniłem się.

- Tak. A co? Znasz ją? - rzekł Atto ironicznym tonem. - Słuchaj dalej i nie przerywaj!

Milczałem więc, ale moje myśli krążyły wokół listu Marii, z którego dowiedziałem się o istnieniu niebezpiecznej trucicielki, tajemniczej hrabiny S. Czyżby Soissons? Tymczasem opat powrócił do swojej opowieści.

Poślubiwszy Marię Teresę - ciągnął Melani - Ludwik zrozumiał, że popełnił błąd, którego nie da się naprawić. Przepowiednie matki nie sprawdziły się - szczęście nie nadeszło, ale klamka zapadła. Nie można cofnąć wskazówek zegara.

- Wszystko albo nic, taką zasadą kierował się król Francji i kieruje do dziś. Maria była dla niego wszystkim. Gdy ją stracił, nie pozostało mu nic.

- To znaczy?

- Rozpad, destrukcja, systematyczne, wyrachowane niszczenie monarchii i siebie.

Trudno było mi się z tym zgodzić. Czyż Ludwik XIV, Arcychrześcijański Król Francji, nie był najpotężniejszym władcą Europy?



Nie podjąłem tego wątku, gdyż moją uwagą zwróciło co innego.

- Panie Atto, czy to ma coś wspólnego ze zjawami nadintendenta Fouqueta i Marii Mancini?

- Oczywiście! W 1660 roku, kiedy poślubił Marię Teresę, Ludwik miał prawie dwadzieścia dwa lata. Był niedoświadczonym młodzieńcem, niezdolnym przeciwstawić się Mazzariniemu i matce. Rok później, 5 września, w dniu swoich dwudziestych trzecich urodzin, kazał aresztować nieszczęsnego Nicolasa. Później zamknął go w odległej twierdzy Pinerolo, skazując na cierpienia. Moje pytanie brzmi: jak to możliwe, że nieśmiały, rozmarzony młodzieniec, jakim był przed dwunastoma miesiącami, nagle stał się okrutny?

- Pańskim zdaniem przyczyną tej odmiany była utrata Marii Mancini - uprzedziłem wyjaśnienie opata. - Mimo to nadal nie rozumiem sensu tych dwóch scen w ogrodzie.

- Co widzieliśmy przed chwilą? Nicolasa, który wręcza Marii sakiewkę z pieniędzmi. Poprzednim razem Maria powiedziała: „Będę panu dozgonnie wdzięczna. Jest pan moim prawdziwym przyjacielem”. Dzisiejsza wizja tłumaczy jej słowa.

- Jak to?

- Zaraz ci wyjaśnię. Po śmierci kardynała Mazzariniego główny spadkobierca - groźny szaleniec książę de La Meilleraye, mąż Hortensji -nie przekazał Marii należnego jej posagu. Znalazłszy się w kłopotliwej sytuacji, bez grosza przy duszy, zwróciła się o pomoc do Fouqueta, który bardzo ją cenił i polubił od pierwszego dnia jej pobytu na dworze. Dzięki zręcznemu wstawiennictwu nadintendenta szwagier wypłacił posag.

- Zatem sakiewka z pieniędzmi i te zrolowane kartki to wiano Marii.

- Tak. Przekazał jej zapewne weksle, czy coś w tym rodzaju.

- I właśnie dlatego Maria, kiedy widzieliśmy ją podczas naszej pierwszej wizyty tutaj, oznajmiła Fouquetowi: „Będę panu dozgonnie wdzięczna. Jest pan moim prawdziwym przyjacielem!” - podsumowałem z przejęciem.

Uświadomiłem sobie, że rozmawiamy o przywidzeniach jak o rzeczywistych wydarzeniach.

- Odnoszę wrażenie, że to, o czym mi pan opowiada, działa się do kładnie w tym miejscu i... stanowi projekcję przeszłości.

- Przeszłość, przeszłość! To nie takie proste - westchnął Atto. - Te sceny nigdy nie miały miejsca.

Nie potrafiłem ukryć zdziwienia.

- Nigdy nie doszło do spotkania Fouqueta z Marią, nigdy też Maria nie wypowiedziała tych słów. Przekazanie posagu nastąpiło w zupełnie inny sposób.

- Skąd pan o tym wie?

- Maria napisała do nadintendenta list z wyrazami szacunku i słowami podziękowania, ale Fouquet nigdy go nie otrzymał. Pismo przechwycił Colbert i przekazał królowi, co przesądziło o losie nadintendenta. Jak już mówiłem, kiedy aresztowano Fouqueta, Maria i ja byliśmy w Rzymie. Dowiedziałem się o tym z bileciku mojego przyjaciela de Lionne'a, ministra Jego Wysokości.

- A posag?

- Z woli kardynała, już po jego śmierci, Maria opuściła Paryż i wróciła do Włoch, gdzie poślubiła konstabla Colonnę. Królowej matce i całemu dworowi było tak spieszo, żeby pozbyć się Marii, że posag czym prędzej wysłano do Rzymu.

- Nadintendent nigdy więc nie wręczył Marii pieniędzy ani nie przeczytał, a tym bardziej nie usłyszał słów: „Będę panu dozgonnie wdzięczna. Jest pan moim prawdziwym przyjacielem”.

- Otóż to!

- Byliśmy więc świadkami scen, które nigdy się nie wydarzyły.

- Ale mogłyby. Gdyby nie kazano Marii wyjechać z Paryża, a Fouquet nie został aresztowany, nie jest wykluczone, że spotkałyby się. Wówczas wręczyłby jej posag pozostawiony przez wuja, za co Maria osobiście by mu podziękowała. Nawiasem mówiąc, wyjazd Marii bardzo zmartwił Nicolasa, który zdawał sobie sprawę z jego tragicznych skutków, choć, jak sądzę, nie domyślał się, że on pierwszy padnie ofiarą króla, odmienionego przez niespełnioną miłość.

- Widzieliśmy zatem to, co wydarzyłoby się pomiędzy Marią a Fouquetem, gdyby ich losów nie odmienił podły spisek - stwierdziłem w przypływie olśnienia, wstrzymując oddech.

- Widzieliśmy... - powtórzył opat szorstko, nieco poirytowany. - Trochę przesadziłeś! Po prostu wyobraziliśmy sobie tę scenę. Nie zapominaj, że na skutek wyziewów z ogrodu lub pod wpływem moich wspomnień mogliśmy ulec halucynacjom.

- Być może tak było w przypadku drugiego z trzech epizodów, kiedy

Maria Mancini spacerowała w towarzystwie młodego króla. Co do pierwszego i trzeciego natomiast, zastanawiam się, jak mogłem wyobrazić sobie coś, czego nigdy nie widziałem. Może mam dar jasnowidzenia?

- Udzieliło ci się moje przywidzenie.

- Jak to?

- Być może doszło do przesłania myśli. We Francji i w Anglii ukazują się ostatnio rozmaite traktaty na ten temat, między innymi opata de Vallemonta. Ich autorzy twierdzą, że jest to zjawisko, które można racjonalnie i naukowo wyjaśnić. Chodzi o to, że nasze myśli wytwarzają drobnitkie, niewidzialne cząsteczki. Niekiedy zderzają się one z cząsteczkami wysyłanymi przez inne osoby, zapładniając ich wyobraźnię.

- Otaczają nas zatem niewidzialne cząsteczki myśli innych ludzi?

- Właśnie! Podobnie jak opary rtęci.

- Nic na ten temat nie wiem.

- Rtęć najlepiej obrazuje kwestię oparów i wycieków. Ten płynny metal wydziela przenikliwe opary. Jeśli go dotkniesz, kawałek złota, który zaciskasz w drugiej dłoni, cały pokryje się rtęcią. Nastąpi to także wówczas, gdy trzymasz złoto w ustach. Rtęć połączona ze złotem, srebrem lub cyną tworzy masę zwaną amalgamatem, a umieszczona w rurce i podgrzana, przenika przez skórę jak przez sito.

- Naprawdę?! - wykrzyknąłem zdumiony. Nigdy o tym nie słyszałem.

- Czytałem, że podobnie zachowuje się nasza wyobraźnia.

- Stąd wniosek, że udzieliła mi się pańska fantazja.

Atto potwierdził skinieniem głowy.

Szliśmy dalej w milczeniu, jeden obok drugiego. Co jakiś czas zerkałem na opata. Z posępną miną rozmyślał o czymś, czym nie chciał się ze mną dzielić.

Zastanawiałem się nad tym, co przed chwilą usłyszałem. Nie widzieliśmy więc tego, co rzeczywiście miało miejsce między Marią Mancini a Fouquetem, ale to, co wydarzyłyby się, gdyby ich losy potoczyły się inaczej.

Gdybym miał czas i sposobność, zadałbym sobie następujące pytania: Czy w jakimś utopijnym miejscu czyjeś niewinne ręce zdolne są połączyć zerwane nici historii? Czy wydarzenia, do których nigdy nie doszło, są przechowywane jak w skarbcu?



Pytania te, niczym piki żołnierzy, wskazywały na ogród, w którym się znajdowaliśmy.

- Popatrz! - powiedział opat, zatrzymując się przed pięknym dużym klombem. - Przyjrzyj się tym kwiatom! Przed każdym z nich umieszczono tabliczkę z nazwą.

- Hiacynt, fiołek, róża, lotos... - przeczytałem machinalnie. - Co w tym dziwnego?

- Czytaj dalej: ambrozja, nepenthes, panacea, moly - wyliczył Atto, błędnie.

Spoglądałem pytająco to na klomb, to na Melaniego.

- Nic ci te nazwy nie mówią? - zapytał. - To kwiaty z mitycznego ogrodu Adonisa.

Milczałem zmieszany.

- One nie istnieją! - zawołał Atto zdławionym głosem. - Ambrozja to pokarm bogów z Olimpu, zapewniający nieśmiertelność. Nepenthes to legendarna roślina egipska, która według wierzeń starożytnych Greków uśmierzała ból i poprawiała nastrój. Panacea...

- Panie Atto...

- Bądź cicho i słuchaj! - nakazał. Na jego twarzy pojawił się strach. - Panacea, jak już mówiłem, choć pewnie o tym wiesz, to fantastyczna roślina, od wieków poszukiwana przez alchemików, zdolna wyleczyć każdą chorobę i zapobiec starości. Moly - magiczna roślina, którą Hermes podarował Odyseuszowi, żeby ustrzec go przed czarami Kirke. Rozumiesz? Rośliny te nie istnieją! Potrafisz mi wyjaśnić, jak to możliwe, że rosną sobie tutaj, w dodatku opatrzone w tabliczki z nazwami?

Odwrócił się i szybkim krokiem podążył w stronę pałacu. Poszedłem za nim. Kiedy go dogoniłem, naszym oczom ukazała się scena, która sprawiła, że włosy stanęły nam dęba.

Nad arkadami wieńczącymi mur wokół willi unosiło się w powietrzu widmo grające na skrzypcach, okryte przezroczystym płaszczem z czarnej gazy, fantazyjnie powiewającym w podmuchach wiatru. Dźwięki dobywające się spod smyczka układały się w tajemniczą folię - muzykę, która towarzyszyła nam w wędrówkach po „Okręcie”.

Cofnęliśmy się odruchowo. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Po chwili opat, błądzący na twarzy, przypominającej tragiczną maskę, postąpił kilka

kroków naprzód, zatrzymał się i z otwartymi ze zdziwienia ustami przyglądał się zjawie.

- Hej, ty! - zawołał, unosząc łaskę w kierunku apokaliptycznej wizji. - Dokąd zmierzasz? Z jakiego wywodzisz się rodu? Co cię trapi? Błagam cię na wszystkich bogów i na to, co jest ci najdroższe, wyjaw mi prawdę, nie ukrywaj jej! Chcę wiedzieć!

- Jestem oficerem armii holenderskiej! - zagrzmiało widmo, nie przestając grać na skrzypcach, zupełnie niez mieszone naszą obecnością ani podniosłą mową opata.

Wyglądało na to, że Melani za chwilę zemdleje.

- Latający Holendrze! - wykrzyknął ostatkiem sił. - Skąd przybywasz na „Okręt Widmo“?

Skrzypek przestał grać i przyglądał się nam uważnie. Nagle zniknął za arkadami, by po chwili pojawić się ze sznurową drabinką, którą przerzucił przez mur.

Atto i ja milczeliśmy, wstrzymując oddech.

Istota, która ukazała się naszym oczom jako unosząca się w powietrzu zjawa, najspokojniej w świecie schodziła po sznurowej drabince, ze skrzypcami i smyczkiem pod pachą, jak zwykły śmiertelnik.

- Giovanni Henrico Albicastro, żołnierz i muzyk, do waszych usług! - przedstawił się i pokłonił Melanieniu, jakby nie dostrzegając naszego przerażenia.

Atto, wyczerpany nadmiarem przeżyć, nie miał siły mówić ani wykonać jakiegokolwiek gestu. Stał w milczeniu, wspierając się na lasce.

- Ma pan rację - powiedział nasz niezwykle rozmówca, zwracając się do opata. - Ta willa jest tak spokojna i pozbawiona życia, że przypomina okręt widmo. Właśnie dlatego ją lubię. Kiedy przybywam do Rzymu, ukrywam się tutaj, za tym gzymsem. Niezbyt wygodnie mi tu grać na skrzypcach, ale widok, jaki się stąd rozpościera, działa na mnie inspirowująco.

- Za gzymsem? - zdziwił się opat.

- Tak, po tamtej stronie - wyjaśnił skrzypek, wskazując mur, z którego przed chwilą zszedł.

Opat spuścił wzrok, na jego twarzy malował się smutek.

- Czy to pan skomponował folię, którą właśnie słyszeliśmy? - za pytał.

Zamiast odpowiedzi Albicastro spojrzał pytająco na Atta.

- Ma pan zaszczyt rozmawiać z opatem Attem Melanim - oznajmiłem, przełamując onieśmielenie.

Poznawszy nazwisko swojego rozmówcy, Albicastro odparł:

- Tak, to ja skomponowałem ten utwór. Mam nadzieję, że swoją grą nie uraziłem waszych uszu. Wyglądaliście na wzburzonych.

- Ależ skąd! Przeciwnie! - powiedział słabym głosem Melani. Na jego pobladłą twarz z wolna wypływały rumieńce.

- Nie śmiem pana zatrzymywać - oświadczył Albicastro. - Wygląda pan na zmęczonego. Za pozwoleniem, chciałbym się teraz pożegnać. Zobaczymy się później. Domyślam się, że pan również zwiedza willę. Tu zawsze można odkryć coś nowego.

To powiedziawszy, uklonił się i zniknął.

Zostaliśmy sami. Postanowiłem zobaczyć miejsce, w którym Albicastro grał na skrzypcach. Wszedłem po sznurowej drabince zwieszającej się z muru, podszedłem do arkady i wychyliłem się.

- Jest? - zapytał Atto nieco zdenerwowany.

- Tak - odparłem.

Gzymis istotnie był, i to wcale nie wąski. Nie był to zatem Latający Holender.

Opat milczał. Chyba wstydził się swojej reakcji na widok zjawy.

- Trzeba przyznać, że to trochę dziwne - zauważyłem. - Nie znam skrzypka, który by grał, stojąc na gzymisie.

- I te tajemnicze kwiaty... - wtrącił opat.

- Panie Atto - przerwałem mu. - Przy całym szacunku, jakim pana darzę, ośmielam się twierdzić, że te kwiaty wcale nie są takie tajemnicze.

Opat drgnął, jakby poczuł ugryzienie.

- Co ty o tym wiesz? - spytał urażony.

- To prawda - powiedziałem z całą skromnością, na jaką było mnie stać - że ambrozja, nepenthes, panacea i moly rosły w mitycznym ogrodzie Adonisa, nie kwestionuję tego. Być może Elpidio Benedetti wybrał je właśnie z tego powodu. Nie znaczy to jednak, że nie istnieją. Jestem tylko zwykłym pomocnikiem ogrodnika, a cała moja wiedza pochodzi z doświadczenia nabytego w ostatnich latach w ogrodach willi Spada i z książek o kwiatkach, które czasem czytuję. Tak więc ambrozja, niegdyś pokarm bogów z Olimpu, zapewniająca nieśmiertelność, dziś znana jest

jako grzyb - przysmak mrówek. *Nepenthes* natomiast to nic innego jak dzbanecznik, opisywany w podręcznikach jako roślina owadożerna, którą jezuici sprowadzili z Chin. Nie pochodzi więc z Egiptu i nie mogła być znana starożytnym Grekom jako lek przynoszący ulgę w cierpieniach. Co do panacei, której rzekomo od wieków poszukują alchemicy, ja, skromny ogrodnik, znam ją jako roślinę leczącą odciski. Moły to gatunek czosnku, co nie znaczy oczywiście, że roślina ta nie pomogła Odyseuszowi w zwalczeniu czarów Kirke. Czosnek znany jest ze swoich licznych właściwości...

Urwałem, widząc upokorzenie malujące się na twarzy Atta.

Biedny opat Melani! Wobec tajemniczych scen, których byliśmy świadkami w „Okręcie”, przyjął postawę sceptyczną, uparcie tłumacząc niewyjaśnione zjawiska oparami, cząsteczkami, wybujałą wyobraźnią. Teraz jednak miałem niezbity dowód na to, że boi się tak samo jak ja.

Strach ogarniał go w najmniej odpowiednich momentach. Dzisiaj na widok roślin, w których rozpoznał legendarne kwiaty z ogrodu Adonisa, i osobliwego muzyka i żołnierza Albicastra, sprawiającego wrażenie zawieszzonego w powietrzu. Krótko mówiąc, Atto obawiał się nieznanego, mimo że niczego nieznanego w tym nie było. Wyglupił się i teraz było mu wstyd.

- A zatem prawdą jest - powiedział, jakby odgadując moje myśli - to, co powtarzam od naszej pierwszej wizyty w willi: matką przesądów jest ciemnota. Wszystko można naukowo wyjaśnić. Gdybym znał się na ogrodnictwie, z pewnością nie popełniłbym tej przykrej pomyłki.

- Bez wątpienia, panie Atto, ale pozwolę sobie zauważyć, że jak dotąd, moim skromnym zdaniem, nie znaleźliśmy wyjaśnienia scen, które widzieliśmy.

- Nie znaleźliśmy z powodu naszej ignorancji. Z tej samej przyczyny wydawało nam się, że widzimy zjawę, gdy tymczasem był to człowiek z krwi i kości, który chodził sobie po prostu po gzymsie, chwiejąc się pod wpływem wiatru.

- Myśli pan, że ktoś zakpił sobie z nas?

- To prawdopodobne. Ludzka wyobraźnia nie zna granic.

Weszliśmy do pałacu.

- Zastanawiasz się zapewne, jak Buvat się tutaj znalazł - powiedział Atto.

- Zgadł pan. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego go nie zauważyliśmy. Pojawił się tak nieoczekiwanie, jakby zstąpił z nieba.

- Ja też nie wierzyłem własnym oczom. Ale później wszystko zrozumiałem - oznajmił Melani, prowadząc mnie do drzwi wejściowych.

- No jasne!-zawołałem.

Buvat dostał się do pałacu nie głównym wejściem, ale schodami dla służby. Oto dlaczego pojawił się tak niespodziewanie. Mimo że słyszeliśmy jego kroki, nie potrafiliśmy określić, skąd dochodzą, nie tylko z powodu echa odbijającego się od sklepienia, ale również dlatego, że nie wiedzieliśmy o istnieniu drugich schodów.

Weszliśmy na piętro kręconymi schodami dla służby. Kiedy pokonywaliśmy ostatnie stopnie, usłyszeliśmy przeraźliwie głośne dźwięki. Od ruchowo zasłoniłem uszy.

- Do licha! - złorzeczył Melani. - Znowu ta przekłeta muzyka!

Kiedy weszliśmy na górę, ujrzeliśmy Albicestra grającego na skrzypcach. W wąskim przejściu z kręconymi schodami dźwięki skrzypiec odbijały się od ścian jak w pudle rezonansowym. Po chwili muzyka umilkła.

- Zdaje się, że najbardziej upodobał sobie pan temat follii - rzekł zgrzyźliwie Melani.

- Jak mówił wielki Sofokles: życie jest piękniejsze, kiedy się nie myśli. A poza tym ta muzyka pasuje do „Okrętu” - *stultifera navis*, statku głupców - odparł Albicastro z werwą. Przetarł instrument i zaczął go stroić. Brzmiało to komicznie i było uciążliwe jak miauczenie kotki w rui.

W odpowiedzi Atto wyrecytował:

Na ulicach i placach roi się od obłąkanych,  
Którzy sprawiają wrażenie pijanych. Twierdzą,  
że nie są szaleńcami, Ale przeciwnie -  
mędrkami. Zastanawiam się, jak wyglądać by  
mogła Szalonych statków flota: Barki,  
łódzie, szkunery, Statki wielorybnicze i  
galery...

Wybór wiersza nie był przypadkowy. Melani sugerował Albicastrowi, że jest szalony.

- Widzę, że zna pan twórczość mojego ulubionego poety Sebastiana Branta - stwierdził zdziwiony Holender, nie żywiąc urazy.

- Dawniej często odwiedzałem dwór w Innsbrucku, gościłem też u księcia elektora Bawarii, dlatego zrozumiałem pańską aluzję do *Stultifera navis* Branta, zbioru poezji od dwustu lat cieszącej się dużą popularnością w Niemczech. Kto nie czytał tych wierszy, nie może powiedzieć, że zna naród niemiecki.

Kolejny raz Atto zaimponował mi swoją wiedzą. Wprawdzie siedemnaście lat temu miałem okazję się przekonać, że niezbyt dobrze zna Biblię, ale za to doskonale orientuje się w zagadnieniach polityki i dyplomacji.

- Zgodzi się więc pan ze mną, że *Stultifera navis* pasuje do willi, w której się znajdujemy - odparł muzyk i wyrecytował:

Szaleństwo tkwi w każdym człowieku,  
Niezależnie od płci i wieku. A ten, kto za  
szalonego się uznaje, Jest mądrzejszy, niż  
się zdaje.

Melani odpowiedział:

W naturze szaleńca leży,  
Że w swe szaleństwo nie wierzy.

Albicastro, zerkając na kokardki i hafty zdobiące strój Atta, przytoczył rozbawiony:

Przemilczę o tych, którzy się stroją I  
brzydko wyglądać się boją, Fiokują się  
przesadnie, Bo chcą wyglądać ładnie.  
Noszą kokardek i koronek bez liku,  
Chcąc sobie dodać szyku. Kroczą  
dumnie, z nonszalancją, Obnosząc się ze  
swą elegancją. Jeśli im powiesz, że  
przesadzają Natychmiast się obrażają.

- Trzeba przyznać, że w tej willi dzieją się dziwne rzeczy - wtrąciłem w obawie, że opat i muzyk za chwilę zaczną się kłócić i jeden drugiego

uzna za wariata. - Chciałem powiedzieć - sprostowałem, widząc zniecierpliwienie Atta - że unoszą się tu szkodliwe opary, a raczej wyziewy... Jak by to powiedzieć... halucynogenne.

- Wyziewy? Być może. Na tym polega piękno tego miejsca. Natura wyposażyla dzieci w odrobinę szaleństwa, dzięki której stają się miłsze i mniej uciążliwe dla wychowawców. W podobny sposób ta willa przy nosi ulgę wędrowcom, którzy się w niej zatrzymują.

Albicastro włożył skrzypce do futerału i wyjął z niego plik kartek z zapisem nutowym.

- Chce pan powiedzieć, że „Okręt” ma nadprzyrodzone właściwości? - spytałem.

- Nie większe niż miłość.

- To znaczy?

- Czyż Kupidyn, bożek miłości, nie jest przedstawiany jako beztrojskie, psotne putto z kręconymi włosami? A przecież miłość, jak mówi poeta, porusza słońce i inne gwiazdy.

- Mówi pan zagadkami.

- Ależ nie! To proste! Aby poruszyć świat, trzeba mieć w sobie niewinność dziecka. Ma ona nieograniczoną moc.

Opat Melani uniósł brwi, zerkając na mnie ukradkiem, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że Albicastro jest stuknięty. Tymczasem muzyk recytował:

Aleksander zdobył świat szeroki i długi,  
Zabił go napój własnego sługi. Dariusz  
uniknął śmierci wielokrotnie, Aż Bessos  
zabił go sromotnie. Pycha i władza tak  
właśnie gasną: Cyrus musiał wypić  
krew własną. Przyjacielu! Uwierz  
mi! Nikt nie przewidzi przyszłych dni,  
A śmierć, która nikomu nie daruje,  
Każdą potęgę z ziemią zrównuje.  
Zgodnie z prawem tym Padła Asyria,  
Persja i antyczny Rzym.

Wersy, które przytoczył Albicastro, wywarły na mnie duże wrażenie. Przypomniała mi się opowieść Melaniego o wpływowym kardynale Mazzarinim i jego strachu przed śmiercią.

- Znowu ten Brant! Stale mówi pan o szaleństwie i lubi pan grać wariacje - skomentował Melani z nieskrywanym sceptycyzmem.

- Proszę nie lekceważyć szaleństwa, gdyż nie jest ono wadą. Czyż nie zgadza się pan z moim krajanem z Rotterdamu, którego zdaniem pokrewne szaleństwu jest wybaczenie błędów przyjaciółom, ukrywanie ich, lekceważenie, a na koniec uznawanie przywar za cnoty? Czyż nie jest to największą mądrością?

Atto spuścił wzrok. Albicastro uderzył w czuły punkt, zupełnie jakby słyszał naszą rozmowę i moje uwagi o trudnej przyjaźni z Melanim.

Holender zajął się partyturami, recytując pod nosem:

Nie ma dziś przyjaźni prawdziwych, Wzorem  
Dawida i Jonatana szczęśliwych, Jak Achilles i  
Patrokles nierozdzielni Czy Orestes i Pylades  
stale wierni, Czy Damon i Fintiasz,  
pitagorejczycy, Wreszcie Saul, który poddał  
się goryczy, Kiedy zmarł jego władca  
ukochany, Na koniec Scypion i Leliusz,  
Mądrym zwany.

Dzisiaj nikt nie potrafi kochać bliźniego  
Jak siebie samego, Wzorem Mojżesza  
i Nehemiasza Czy wspaniałomyślnego  
Tobiasza.

Opat zrozumiał aluzję, ale milczał.

- Skoro szaleństwo jest najwyższą mądrością - ciągnął Albicastro, zwracając się do nas - czyż istnieje dla niej lepsze miejsce niż ta willa, której ściany, jak sam pan wczoraj zauważył, pokryte są maksymami?

- Śledził nas pan?! - wykrzyknął wzburzony, a zarazem zaskoczony Atto, podejrzewając, że aluzje muzyka do przyjaźni nie były zwykłym zbiegiem okoliczności.

- Słyszałem pana, kiedy podniósł pan głos. Pańskie słowa słyhać było aż w wieży - odparł Albicastro spokojnie. - Ale z pewnością musicie teraz wrócić do swoich zajęć, pozwólcie więc, że was pożegniam.



To powiedziawszy, Holender zszedł po kręconych schodach i po chwili nie słyszeliśmy nawet echa jego kroków. Opat Melani był purpurowy z gniewu.

- Ten muzyk jest doprawdy irytujący - burknął.

- Holandia to kraj nie dla pana, panie Atto - zauważyłem. - O ile dobrze pamiętam, był pan kiedyś uczulony na holenderskie tkaniny.

- Dzięki Bogu już mi przeszło, odkąd ci skąpi heretycy udoskonaliли technikę farbowania materiałów, dostosowując się do poziomu królewskich manufaktur we Francji. Wolałbym jednak trzysta razy kichnąć niż wysłuchiwać bzdur Albicastra.

Weszliśmy głównymi schodami na wyższe piętro, gdzie jeszcze nie byliśmy i gdzie czekało niemało niespodzianek.

Pierwsza z nich spotkała nas już na schodach. Stopnie pokryte były napisami następującej treści:

Mieć wielu przyjaciół to nie mieć żadnego.

Oby twój przyjaciel miał podobny charakter.

Pomóż przyjacielowi, który pobłądził, ale porzuć tego, który nie chce się poprawić.

Ufaj tylko temu przyjacielowi, którego znasz od dawna. Nie

przedkładaj nowych przyjaciół nad starych.

Schlebienie przyjaciołom przynosi więcej szkody niż krytykowanie wrogów.

Oby przyjaźń trwała wiecznie, a wrogość umarła. Troszcz się o swoich wrogów, ale obawiaj się ich. Bądź wymagający w stosunku do nowych przyjaciół, a później troskliwie

ich strzeż.

Kiedy tak pokonywałem stopnie, czytając napisy, kolejny raz odniosłem dziwne wrażenie, że coś w „Okręcie”, niczym jakiś tajemniczy, osobliwy zmysł, każe mi myśleć o przyjaźni, udzielając odpowiedzi na moje wątpliwości. Przypomniałem sobie, że złote myśli na temat przyjaźni czytałem na piramidach w ogrodzie podczas naszej pierwszej wyprawy. Rozmyślałem o minionych zdarzeniach, które przebiegały w określonej kolejności: na początek kłótnia z Attem, później słowa i wiersze Albicastra o przyjaźni (nie był to przypadek - muzyk podsłuchał naszą rozmowę), na koniec maksymy raniące moją duszę.

Wspinając się po schodach, czułem się jak kardynał Mazzarini przesładowany przez Capitor. Im bardziej odpędzałem od siebie znaczenie tych maksym, tym natrętniej powracały. *Mieć wielu przyjaciół to nie*

*mieć żadnego.* Tyle osób w willi Spada poklepywało mnie po ramieniu, ale żadna z nich nie była moim prawdziwym przyjacielem, tym bardziej opat Melani. *Oby twój przyjaciel miał podobny charakter.* Atto i ja jesteśmy do siebie bardzo podobni, nieprawdaż? - ironizowałem w duchu. Ja - księżę naiwnych i on - król intrygantów... *Pomóż przyjacielowi, który pobłądził, ale porzuć tego, który nie chce się poprawić.* Łatwo powiedzieć! Atto Melani był klasycznym przykładem przyjaciela zarówno niepoprawnego, jak i nieustępliwego, a mimo to pomagałem mu. Szedł przede mną po schodach i zapewne przeczytał te motta, jednak w żaden sposób ich nie skomentował.

Kiedy dotarliśmy na drugie piętro, dostrześliśmy pewien godny uwagi szczegół. Nad łukiem znajdował się niezwykle intrygujący napis:

Dla trzech przyjaciół to uczyniłem,  
Ale później z oczu ich straciłem.

- Na szczęście nie przegapiliśmy tej inskrypcji - wyszeptał Atto.
- Co Benedetti chciał przez to powiedzieć?
- *Uczyniłem to* - odnosi się zapewne do wybudowania „Okrętu”.
- Kim są trzej przyjaciele?
- Nie chodzi o ludzi, ale o...
- Trzy przedmioty?

W odpowiedzi Atto uśmiechnął się zadowolony.

- Prezenty od Capitor! - zawołałem. - Zatem ma pan rację, szukając ich tutaj.
- Oczywiście nie należy rozumieć tego dosłownie i zakładać, że „Okręt” został wzniesiony specjalnie po to, by pomieścić te trzy przedmioty. Oznacza to jedynie, że jest lub był ich naturalnym schronieniem.
- Należałoby się jednak zastanowić nad sensem słów: *później z oczu ich straciłem* - powiedziałem.
- Dojdziemy i do tego, chłopcze, na wszystko przyjdzie pora - odparł Atto.

Drugie piętro było urządzone zupełnie inaczej niż pierwsze i parter. Ze schodów wchodziło się do korytarza. Po jego lewej stronie znajdował się taras wychodzący na południe, w kierunku ulicy. Pod nim mieściła się kryta loggia pierwszego piętra, z głośno szmerzącą fontanną. Zatrzyma-

liśmy się na chwilę, rozkoszując się przepięknym widokiem okolicy i winnic. W oddali srebrzyła się wstęga morza.

- Wspaniale! - oświadczył Atto. - W całym Rzymie nie widziałem piękniejszej panoramy. „Okręt” jest pod tym względem wyjątkowy, ukryty za murami, a przy tym przestronny.

Wróciliśmy na korytarz i przeszliśmy na jego drugi kraniec, od strony północnej. Pośrodku drugiego piętra mieścił się owalny salon z oknami na dłuższych ścianach. Za salonem korytarz ciągnął się dalej i prowadził do niewielkiego pokoju z balkonem, z którego widać było Bazylikę Świętego Piotra i Watykan. W rogu znajdowały się schody dla służby. Zawróciliśmy do salonu.

- Zimą jadano tu chyba posiłki. Są aż cztery piece - zauważył Atto.

- Nie rozumiem, dlaczego salon jest mniejszy od galerii na pierwszym piętrze, dokładnie pod spodem. Chyba coś przeoczyliśmy.

- Spójrz!

Intuicja mnie nie zawiodła. W pierwszym i drugim korytarzu widniały niewielkie drzwi, których wcześniej nie zauważyliśmy. Jak się okazało, prowadziły do czterech apartamentów, po dwa w każdym korytarzu, złożonych z pokoju, łazienki i gabinetu.

- Cztery niezależne mieszkania. Benedetti gościł tu zapewne swoich przyjaciół, podobnie jak czyni to kardynał Spada - powiedziałem.

- Możliwe. W każdym razie teraz już wiadomo, dlaczego ten salon jest mniejszy od położonych pod nim pokoi na pierwszym piętrze i na parterze. Cztery apartamenty mają wspólny salon.

Na ścianach, kolumnach i futrynach w pokojach Benedetti dla kaprysu kazał wypisać dewizy i przysłowia. Przeczytałem kilka z nich:

Nie należy tracić wewnętrznego spokoju z powodu krążących plotek.

Szlachectwo na niewiele się zda, jeśli brakuje bogactwa.

Dziwna wydaje się choroba lekarza, klótnia z adwokatem czy pragnienie przy pełnym dzbanie.

Nad drzwiami apartamentów widniały napisy następującej treści:

Wolność jest wszystkim.

Lepiej mało a dobrze niż dużo a źle.

Człowiek mądry potrafi dostrzec to, czego inni nie widzą.

Szukałem wzrokiem Atta, ale zniknął. Jak się okazało, był w jednym z czterech apartamentów. Wszedłem do środka.

Opat stał oparty o framugę drzwi. Kiedy mnie zobaczył, nie powiedział słowa.

- Panie Atto...
- Bądź cicho!
- Ale...
- Zastanawiam się, jak to, do licha, możliwe.
- Ale co?
- Twoja papuga. Znalazłem ją.
- Znalazł pan papugę? - wyszeptałem zdziwiony.
- Tak, w tym apartamencie - oznajmił, wskazując przyległą do pokoju komórkę. - Razem z prezentami od Capitor.

To prawda, były tam. Pokrywała je cienka warstwa kurzu, ale były tam. Był też Cezar August. Czas go nie oszczędził. Pokryty niematerialnym całunem, od długiego czasu czekał, aż go ktoś odnajdzie i będzie podziwiał.

- Chłopcze, spotkał cię ogromny zaszczyt - powiedział Atto, kiedy wchodziłem do komórki.

- Oto możesz dotknąć jednej z największych zagadek w dziejach Francji: podarunków Capitor.

Obraz. Znaleźliśmy obraz, olbrzymich rozmiarów - miał mniej więcej trzy metry wysokości i cztery długości. Stał oparty o ścianę schowka, ukryty przed wzrokiem ciekawskich, w przeciwieństwie do wyeksponowanych napisów.

Płótno przedstawiało kilka pięknych, harmonijnie rozmieszczonych przedmiotów. U dołu obrazu, pośrodku, na pierwszym planie widniała złota taca w stylu flamandzkim. Zdobiły ją dwa srebrne posążki, wyobrażające boga mórz Neptuna z trójzębem oraz jego małżonkę, nereidę Amfitrytę. Siedzieli obok siebie na wozie zaprzężonym w parę trytonów. Wiedziałem, że był to jeden z podarunków Capitor, ten, w którym umieściła płonące kadzidółka.

Po prawej stronie kompozycji, nad stopniem, widniał złoty puchar z nóżką w kształcie centaury. Pół zwierzę, pół człowiek wykonany był ze złota i srebra. Taki sam puchar z mirrą Capitor wręczyła kardynałowi.

Za tymi dwoma przedmiotami znajdował się duży drewniany globus na postumencie ze złota - trzeci prezent. Stojąc przed nim, szalona Hiszpanka recytowała sonet o fortunie, czym rozdrażniła Jego Eminencję.

Na obrazie dostrzec można było też inne wytworne, starannie wykonane przedmioty. Na drugim planie znajdował się stół, lutnia, wiolonczela, cymbały i zbiór muzycznych tabulatur, otwarty zapewne na ponurej *Pas-sacaglii delia vita*, którą Melani zaśpiewał na polecenie Capitor, wywołując przerażenie kardynała. Po lewej stronie malowidła widniał pies szlachetnej rasy, z uniesioną łapą, wachający czerwony dywan.

W kompozycji uwagę zwracało jednak inne zwierzę. Środek obrazu dumnie zajmowała duża biała papuga z żółtym czubem, siedząca na drewnianym globusie. Ptak miał podniesioną łapkę i głowę zwróconą w stronę psa, zupełnie jakby go przedrzeźniał i pragnął podkreślić swoją wyższość. Był to wierny portret Cezara Augusta, doskonale odtwarzający jego nieco wyniosłe i zarazem kpiarskie usposobienie.

- Mazarini zlecił pewnemu holenderskiemu artyście namalować ten obraz, zanim pozbył się prezentów od Capitor... - powiedziałem, przy pomniawszy sobie opowieść Atta.

Opat milczał przez dłuższą chwilę, będąc pod wrażeniem tego szczególnego momentu.

- Boel. Nazywał się Pieter Boel. Później został malarzem nadwornym. Mówiłem, że to utalentowany artysta. Jak widzisz, nie myliłem się.

- Dzieło jest doprawdy... wspaniałe, panie Atto.

- Też tak uważam. Słyszałem o nim, ale nigdy go nie widziałem. Pamięć mnie nie zawiodła: zgadzają się wszystkie szczegóły, o których ci opowiadałem - stwierdził opat z wyraźnym zadowoleniem.

- Myślałem, że obraz pozostał w Paryżu. Czy nie mówił pan, że Mazarini woził go wszędzie ze sobą?

- Mnie również się zdawało, że dzieło było przechowywane we Francji. W miarę jak poznajemy „Okręt”, jestem coraz bardziej przekonany, że...

- Tak...?

- Że prezentów Capitor tutaj nie ma.

- Jak to?

- Ja też sądziłem, że Mazarini dał je Benedettiemu na przechowanie w „Okręcie”, a dla siebie zatrzymał obraz. Tymczasem znaleźliśmy obraz i ani śladu podarunków. Spodziewaliśmy się czegoś innego, a stało się na

odwrót. Jak głosi sentencja, którą przed chwilą przeczytaliśmy: *Człowiek mądry potrafi dostrzec to, czego inni nie widzą.*

Ponownie odniosłem wrażenie, że „Określ” ma dziwną zdolność przewidywania (lub zadowalania) potrzeb ludzi, którzy w nim przebywają.

- Prezenty zostały odesłane gdzie indziej - rozmyślał głośno Melani. - Ale dokąd? Kardynał zawsze postępował w sposób przemyślany.

Wpatrywaliśmy się w obraz - subtelny, a zarazem zagadkowy i niepokojący.

- Niebywałe! Ta papuga wygląda zupełnie jak Cezar August - zauważyłem.

Atto spojrział na mnie jak na osobę niespełna rozumu.

- Nie *wygląda*, ale *jest* Cezarem Augustem.

- Jak to możliwe?

- Nie sądziłem, że jesteś tak mało pojętny. Sądzisz, że mogą istnieć dwie identyczne papugi - jedna na obrazie, a druga prawdziwa, i to w dwóch niemal graniczących ze sobą willach?

- Przecież ten obraz został namalowany w Paryżu - zauważyłem, dotknięty sarkazmem opata.

- To nie może być zbieg okoliczności. Jeśli sobie przypominasz, opowiadałem ci, że Capitor bardzo lubiła ptaki. Zawsze towarzyszyło jej...

- ...stadko. Tak, mówił pan. Może dawno temu widział pan Cezara Augusta! Wprawdzie minęło dużo czasu, ale papugi są długowieczne.

- Kto wie, może go widziałem. Ta wariatka miała kilka papug, ale nie zwracałem na nie uwagi. Szczerze mówiąc, nigdy ich nie lubiłem i zawsze dziwiłem się, jak można trzymać papugi w domu. Tylko brudzą i skrzeczą. Możliwe, że widziałem Cezara Augusta, ale nie pamiętam.

- To niesłychane, że Cezar August trafił do woliery w willi Spada! - zawołałem z przejęciem.

- Widocznie Capitor zostawiła Cezara Augusta w Paryżu. Dała go komuś w prezencie albo zapomniała o nim. Można sobie wyobrazić, jak zareagował Mazzarini na wieść o tym, że Capitor wyjechała bez papugi.

- Postanowił... wysłać ptaka jak najdalej.

- Razem z trzema podarunkami, ale przedtem kazał go namalować. Powiedz mi, co wiesz o tej papudze.

- Tylko tyle, że przed laty należała do świętej pamięci Virgilia Spady, wuja kardynała Fabrizia. Był to dziwny człowiek, lubił starocie i różnego rodzaju ciekawostki. Podobno miał kolekcję osobliwości przyrodniczych.

- Tak, słyszałem o tym. Byłem w Rzymie na rok przed jego śmiercią.

Bardzo lubił śpiew kastratów. Kształcił się u jezuitów, chcieli, żeby wstąpił do ich zakonu, ale Virgilio wybrał kongregację filipinów, ponieważ pokochał głos wielkiego Girolama Rosiniego, słynnego śpiewaka z tego zgromadzenia. Przyjaźnił się też z kastratem Loretem Vittorim, nauczycielem królowej Szwecji Krystyny. Przyjął na służbę innego młodego śpiewaka, Domenica Tassinariego, który jednak porzucił śpiew i został filipinem, jak jego pan.

Kiedy Atto wychwalał zalety kastratów zaprzyjaźnionych z Virgiliem Spada, zastanawiałem się nad czymś innym.

- Nie rozumiem, w jaki sposób Cezar August zmienił właściciela, przechodząc od Benedettiego do Spadów?

- Elpidio Benedetti i Virgilio Spada dobrze się znali. Słyszałem, że wystrój willi w dużym stopniu nawiązywał do poglądów Virgilia. Różnego rodzaju ciekawostki przedkłada się w niej nad zbytek, a większość napisów, które czytaliśmy, stanowi aluzję do wiary i poznania, zmuszając zwiedzających do refleksji.

- Krótko mówiąc, „Okręt” jako arka i źródło wiedzy - podsumowałem, nieco zaskoczony dziwną analogią. - Zatem w zamian za sugestie monsiniora Virgilia Benedetti podarował mu papugę.

- Albo też ten twój pierzasty przyjaciel, zamiast uciekać z willi Spada do „Okreću”, wówczas postępował odwrotnie i w końcu, za zgodą Benedettiego, stał się własnością Spadów. Trudno będzie nam to stwierdzić, nie pomoże nam też Cezar August, tym bardziej że jeszcze go nie schwytaliśmy. Ale jego godziny są policzone.

- W jaki sposób chce go pan złapać? - spytałem zaniepokojony słowami opata.

- Cóż za pytanie! Na przykład za pomocą przynęty dla papug, o ile taka istnieje, albo jego ulubionego smakołyku, czyli czekolady. Albo też używając przepięknej słomianej samiczki, dlaczego by nie?

Zamilkłem wobec całkowitej niekompetencji opata w kwestii ptaków.

Tymczasem zapadł zmierzch, „Okręt” pogrążył się w ciemnościach, musieliśmy wracać do willi Spada. Kiedy opuszczaliśmy pałac, w oddali usłyszeliśmy głos Albicastra:

Głupi jest ten, kto za mędrca się uznaje,  
Choć na niczym się nie wyznaje, I  
kukułkę zamiast sokoła zabiera, Gdy na  
polowanie się wybiera.

Melani odwrócił się nagle w stronę, skąd dochodziły słowa, i uśmiechnął się, jakby w przypiływie olśnienia.

- Jak schwytamy Cezara Augusta? Wiem już, jak to uczynimy i z czyją pomocą.

Do willi Spada wróciliśmy bardzo zmęczeni. Nie mieliśmy najmniejszej ochoty brać udziału w przyjęciu i trywialnych dyskusjach. Niemal przez całą drogę powrotną Atto milczał. Wyglądało na to, że miał dość węszenia i pragnął czym prędzej wrócić do swego pokoju, aby przemyśleć zaskakujące wydarzenia tego dnia, których ukoronowaniem było odkrycie obrazu Pietera Boela.

Pożegnaliśmy się niemal w pośpiechu, wyznaczając sobie spotkanie następnego dnia o nieokreślonej porze. Tak będzie lepiej - pomyślałem. Być może przyjdzie mi ochota na samotny spacer, jak tego ranka. A może uda mi się zobaczyć w końcu Cloridię i córeczki. Albo też, wiedząc, że są bezpieczne, a Clordia ma wiele zajęć, przemyślełbym ostatnie wydarzenia (nie miałem odwagi przyznać, że sprawiłoby mi to dużą przyjemność). Dzień, który dobiegał końca, dostarczył mi wielu przeżyć. Pragnąłem je uporządkować i zrozumieć zaistniałe fakty.

Rano obudził mnie koszmarny sen o starym żebraku. Potem odbyła się procesja Towarzystwa Świętej Elżbiety, krótka rozmowa z księdzem i nieco dłuższa z właścicielem gospody i sprzedawcą butów na temat prawdziwych i fałszywych żebraków. Następnie Atto opowiedział mi o Arcychrześcijańskim Królu i Marii Mancini, dwukrotnie spotkaliśmy Albicastra, znaleźliśmy nowe napisy, będące doskonałym komentarzem do moich przemyśleń, jak również obraz z przedstawieniem trzech podarunków i wizerunku Cezara Augusta... Właśnie, papuga! Zniknęła z bilecikiem Albaniego, a my wróciliśmy do willi Spada z pustymi rękami.

Zbyt wiele przeżyć jak na jeden dzień - powtarzałem, zasypiając w pokoju dla służby. Poranek z pewnością rzuci nowe światło na całą sprawę - myślałem - i pomoże wszystko zrozumieć.

Jak się później okazało, myliłem się.



# Dzień piąty

*11 lipca 1700 roku*

- Wstawaj! No wstawaj, mówię!

Nie mogło być gorszego przebudzenia. Ktoś mną potrząsał, głośno przy tym krzycząc. Znajdowałem się na granicy jawy i snu. Piskliwe dźwięki rozłupywały mi czaszkę.

Kiedy próbowałem otworzyć oczy, usłyszałem słowa zdradzające tożsamość potrząsającej mną osoby.

- Całe wieki czekam, aż się obudzisz! Jeden z gości ma niezwykle ważne informacje. Musisz zacząć działać. To rozk... To znaczy taka jest moja wola i nie tylko moja.

Słowa opata Melaniego (bo to on mnie obudził) nawiązywały do groźnej postaci Arcychrześcijańskiego Króla, którego Atto raz przedstawiał jako niewinnego, nieszczęśliwego wielbiciela Marii Mancini, to znów, jak w tym wypadku, nieugiętego tyrana, którego woli wszyscy muszą się podporządkować.

- Chwileczkę, jeszcze się nie obudzi... - bąknąłem niewyraźnie, okrywając się kołdrą, żeby obronić się przed szturchańcami.

- Nie ma czasu do stracenia - oznajmił opat. Zdjął z krzesła moje ubranie i rzucił mi je.

Usiadłem na łóżku i zwróciłem pierwsze tego dnia spojrzenie na Atta, który wpatrywał się we mnie gniewnym wzrokiem. Ze zdziwieniem zauważyłem, że nie przyszedł z pustymi rękami. Przyniósł ze sobą kilka dziwnych przyrządów - drewnianych i żelaznych. Wydały mi się znajome i zupełnie niepasujące do sypialni. Ubierając się, zdołałem w końcu otworzyć szeroko oczy i rozpoznać przyniesione przez opata przedmioty. Były wśród nich grabie, łopata, rydel i miotła. W skrzynce z rączką znajdowały się szufelka, czerpak, wiaderko, noże, nożyce, sekator, doniczki i szczotki.

- To narzędzia ogrodnicze z willi Spada! - wykrzyknąłem zdumiony. - Po co one panu?

- Nie mnie, tylko tobie - sprecyzował Melani, wręczając mi narzędzia.

Zaskoczony, omal ich nie upuściłem. Dał mi znak, żebym poszedł za nim.

- Musimy się pospieszyć. Dzisiaj jest niedziela, więc najpierw pójdziemy do kaplicy. W przeciwnym razie wszyscy zorientują się, że ciągle znikamy. Rusz się! Don Tibaldutio zaraz zacznie mszę.

W willi Spada trwały gorączkowe przygotowania do piątego dnia uroczystości. Poprzedniego wieczoru kolacja przeciągnęła się do późna. Gdy kładłem się spać, nie słyszałem odgłosu karet odwożących gości. Mimo to służący od samego rana wypełniali swoje obowiązki: zamiatali, sprząтали, gotowali, nakrywali do stołów, przystrajali je kwiatami. Kiedy opuszczaliśmy z Attem mój pokój, obok nas przebiegli lokaje. Niektórzy patrzyli na mnie z zazdrością, gdyż od wielu dni ów tajemniczy francuski szlachcic odciągał mnie od większości zajęć. Atto popędzał mnie, dżgając mnie laską między łopatkami. O mały włos nie wpadliśmy na don Paschatia (głośno narzekał na cerowaczkę, która nie stawiała się do pracy). Gdyby mnie zobaczył, z pewnością zleciłby mi jakieś pilne prace. Obładowany narzędziami, szedłem chwiejnym krokiem, narażając się na upadek, potknięcie o łopatę lub przewrócenie przez biegnącego lokaja.

Zostawiliśmy skrzynkę w szopie i udali się do kaplicy, wypełnionej po brzegi wiernymi. Na mszę przybyli goście w willi eminencji i prości służący. Don Tibaldutio właśnie rozpoczął celebrowanie nabożeństwa. Modliłem się żarliwie, prosząc Najwyższego, by wybaczył opatowi, który brał udział w mszy z wyrachowania.

Kiedy wyszliśmy z kaplicy, Atto przywitał się z kilkoma osobami, po czym zaczął mnie popędzać, kłując laską w plecy.

- Szybciej, do licha! - szeptał, uśmiechając się jak gdyby nigdy nic do kardynała Durazza.

- Dość tego! - zaprotestowałem z oburzeniem, kiedy wzięwszy narzędzia, kierowaliśmy się w stronę głównej bramy. - Może w końcu wyjaśni mi pan powód tego pośpiechu?

- Pssst! Jest tam! Na szczęście jeszcze sobie nie poszedł - wyszeptał Atto, uciszając mnie i wskazując postać pochyloną nad trawnikiem przy alei wejściowej.

- To Mistrz Kwiciarz - powiedziałem.

- Jak się nazywa?

- Tranquillo Romauli. Jest wnukiem słynnego ogrodnika i pracuje w willi Spada. Dobrze go znam. Jego świętej pamięci żona była akuszerką i nauczycielką Cloridii. Odebrała nasze obie córeczki. Na polecenie don Paschatia często pomagałem Tranquillowi.

- Tak, wiem, że ty też znasz się na kwiatach... - powiedział opat, przypominawszy sobie zapewne, że poprzedniego dnia skompromitował się, wymyślając historię o mitycznym ogrodzie Adonisa. - Pragnę ci zakomunikować, że Tranquillo Romauli wie coś na temat Tetrachionu.

Melani mówił z ożywieniem. Tego ranka wstał bardzo wcześnie. Przez całą noc dręczyły go myśli związane z ostatnimi wydarzeniami. Willa pogrążona była jeszcze we śnie i tylko w kilku oknach paliło się światło. Zapewne ktoś także nie mógł spać i niecierpliwie oczekiwał nadejścia dnia. Atto udał się do ogrodu, pooddychać świeżym powietrzem. Tylko ludzie leniwi mają w pogardzie przechadzki dla zdrowia.

- Przemierzyłem cały ogród, ale nie dostrzegłem niczego podejrzanego - powiedział, zdradzając jednocześnie, że prawdziwym celem spaceru było, jak zwykle, myszkowanie. - Dostrzegłem go przy zagajniku. Przycinał kwiaty.

- To jego zawód. Co było potem?

- Rozmawialiśmy o pogodzie i kwiatach, o niczym istotnym. W końcu wymówił to słowo.

- Tetrachion?

- Pssst! Chcesz, żeby ktoś nas usłyszał? - wyszeptał Atto, rozglądając się niespokojnie.

Pogawędziwszy z Tranquillem, opat Melani poszedł dalej. Kiedy był już w pewnej odległości, usłyszał, że ogrodnik mruczy pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa, sądząc, że nikt go nie słyszy. Siedział na ziemi. W pewnej chwili spojrzął w niebo i powiedział wyraźnie jedno zdanie, a właściwie fragment zdania, który zaalarmował Melaniego.

- „...i Tetrachion”. Tak powiedział, rozumiesz?

- To niemożliwe! Co Mistrz Kwiaciarz może o nim wiedzieć? Wygląda na człowieka, którego polityka zupełnie nie interesuje. Nie mówiąc o sprawach tak nietypowych jak Tetrachion.

- Nietypowe czy typowe, coś się za tym kryje - uciął Atto. - Może się mylę, ale on z pewnością coś wie. Chyba chciał, żebym go usłyszał. Nieprzypadkowo wymówił to słowo, kiedy byłem niedaleko, i w dodatku właśnie dzisiaj.

- Jest pan pewien, że się nie przesłyszał?
- Oczywiście! Wiesz, o czym pomyślałem? O czymś, o czym wspomniała twoja żona.
- Cloridia powiedziała, że wkrótce otrzyma nowe informacje.
- Właśnie, tyle tylko że zamiast do niej dotarły one bezpośrednio do nas, czyli do najbardziej zainteresowanych, poprzez Mistrza Kwiciarza.
- Z pominięciem Cloridii? To niemożliwe, cieszy się ogólnym szacunkiem. Odbiera porody w całym Rzymie i położnice nie mają przed nią tajemnic.
- Zgoda, ale dopóki chodzi o ploteczki. Jeśli natomiast w grę wchodzi sprawa dużej wagi, nikt nie powiadomiłby zwykłej akuszerki wcześniej niż agenta Jego Wysokości Arcychrześcijańskiego Króla - odparł zniecierpliwiony Atto.
- Może porozmawiam z Tranquillum, żeby zbadać, czy...
- „Może”? Musisz z nim pomówić, żeby dowiedzieć się, co wie o Tetrachionie. Pójdę już. Dobrze się składa, że już z nim pracowałeś - stwierdził, dając mi do zrozumienia, żebym jak najszybciej zajął się tą sprawą.
- Potrzebuję trochę czasu...
- Nie, zaczniesz od razu. Podejź do niego z narzędziami i powiedz, że przyszedłeś mu pomóc. Spotkamy się w porze obiadu. Pilnie musisz napisać kilka listów. Mam nadzieję, że dobrze wywiążesz się z tego zadania.

To powiedziawszy, oddalił się szybkim krokiem. Nie pozostawił mi wyboru.

Prawdę mówiąc, wolałbym najpierw pójść do kuchni coś zjeść, lecz mistrz Tranquillo już mnie dostrzegł. Ponieważ nie chciałem sprawiać wrażenia, że coś ukrywam, podszedłem do niego z uśmiechem, mam nadzieję, że nie fałszywym.

Tranquillo Romauli odziedziczył imię po dziadku, niezwykle doświadczonym ogrodniku. Jego sylwetka kontrastowała z cichym, skromnym zajęciem specjalisty od kwiatów. Był wysokim, potężnym mężczyzną z gęstym, szczeciniastym zarostem, czarnymi włosami i małymi oczami, nad którymi widniały krzaczaste brwi. Miał wydatne szczęki i duży brzuch, świadczący o dużym apetycie. Choć wyglądał na niezdarę, wielkimi dłońmi potrafił delikatnie obchodzić się z roślinami. Choroba, którą przeszedł w dzieciństwie, osłabiła mu słuch. Z tego powodu mówił bar-

dzo głośno, a właściwie krzyczał. Wydobyć z niego wszystko, co wiedział o Tetrachionie (zakładając, że zechce o tym mówić), nie było łatwym zadaniem. Rozmowa z Romaulim nigdy nie kończyła się po kilku zdaniach. Ten z gruntu dobry człowiek był bardzo gadatliwy i wszystkich zamęczał opowieściami o swoich ukochanych kwiatach. O ogrodnictwie wiedział wszystko i w tej dziedzinie miał opinię chodzącej encyklopedii. Podobno znał na pamięć całe *Deflorum coltura* ojca Ferrariego i żaden ogród w Rzymie nie miał przed nim tajemnic.

Po krótkiej wymianie grzeczności spytał mnie, czy tego ranka miałem dużo pracy.

- Właściwie to nie.

- Naprawdę? Jesteś zatem jedyną osobą w willi, która może o sobie powiedzieć, że nie jest zmęczona. Dobrze się składa, bo te wszystkie narzędzia będą ci potrzebne - powiedział, wskazując na przedmioty powierzone mi przez Atta.

- Prawdę mówiąc... chciałem jakoś pomóc - oznajmiłem nieco zakłopotany.

- Twoje pragnienie zostanie spełnione - odparł Tranquillo z zadowoleniem, przewieszając przez ramię skrzynkę z narzędziami i dając mi znak, bym za nim poszedł.

Szliśmy, jak mi wyjaśnił, w kierunku kwietników przy kaplicy. Był pogodny dzień. Chłodny poranny wiaterek zdawał się prowadzić miły dialog ze szczebiotem ptaków i wielokształtnymi obłokami, które z góry spokojnie patrzyły na odwieczne marność ziemskiego świata. Stłumiony odgłos naszych kroków pobrzmiwał na końcu alejek, podczas gdy słońce, widniejące nisko nad horyzontem, oświetlało nas pierwszymi nieśmiałyymi promieniami.

Wszystkie te ulotne zjawiska umykały uwadze Tranquilla Romaulego, który, jak zwykle przejęty swoją sztuką, podzielił się ze mną wątpliwościami.

- Don Paschatio kazał mi zasadzić jaśminy - powiedział tonem skargi. - Mówiłem mu, że w prawdziwym eleganckim ogrodzie nie powinno być jaśminów, ani tych rodzimych, żółtych, ani zwykłych białych. W ostateczności można posadzić lilię złotogłów, szkarłatną lub pomarańczową. Dzisiaj nikt już nie ma pojęcia, co powinno rosnąć w ogrodzie, to naprawdę skandal!

- Ma pan rację, to nie do przyjęcia. Pańskim zdaniem jaśmin nie po-

winiem rosnąć w eleganckich ogrodach? - spytałem, udając zainteresowanie.

- Powiedzmy, że pierwszeństwo ma biały narcyz - odparł, podnosząc głos - albo podwójny narcyz konstantynopolitański, narcyz z Ragusy, narcyz żółty albo zaalpejski, przypominający podwójną żółtą różę, a tak że żonkil o delikatnym, lekko jaśminowym zapachu, przypominającym nieco zapach kwiatu pomarańczy.

- Rozumiem - przytaknąłem machinalnie, powstrzymując ziewnięcie.

Zastanawiałem się, w jaki sposób sprowokować rozmowę o Tetrachionie bez wzbudzania podejrzeń ogrodnika.

Tymczasem minęliśmy pałac i zbliżyliśmy się do kaplicy. Uginając się pod ciężarem narzędzi, przeklinałem w duchu Atta.

- Wiem, że mówię same oczywistości - oznajmił Mistrz Kwiaciarz - ale twierdzę, że błędem współczesnych ogrodników jest zaniechanie uprawy narcyza trąbkowego, nazwanego tak ze względu na kwiatostan w kształcie trąbki. Powinno się też uprawiać narcyzy indyjskie *donnabella*, występujące w książęcych ogrodach Caserty, lub narcyzy liliowate kuliste, które nie przyjęły się we Francji, ale gdy trafiły do Rzymu, do cudownych ogrodów mojego dziadka, rozwinęły swoje kwiaty niczym słodki uśmiech. Należy sadzić też krokusy, zimowity, irysy, cyklameny, zawilce, jaskry, peonie, konwalie, goździki i tulipany.

- Holenderskie? - zapytałem, żeby przerwać monolog ogrodnika i podtrzymać dialog.

- Ależ oczywiście! Tylko ten kwiat natura wyposażyła w niespotykaną mnogość barw! W ubiegłych latach naliczono ponad dwieście kolorów tulipanów. Pamiętaj! - powiedział, zatrzymując się i spoglądając mi z powagą w oczy.

- Tak, Mistrzu Kwiaciarzu? - zapytałem zaniepokojony, że może zrobiłem lub powiedziałem coś niestosownego. Z przejścia upuściłem z łasem narzędzia.

- Chłopcze! - oznajmił Tranquillo, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, skupiony na swojej przemowie. - Pamiętaj, że obok kwiatów, które wymieniałem, należy posadzić passiflorę sprowadzoną z Peru (wymaga podparcia palikami), jukę indyjską, jaśminy katalońskie i arabskie, a także amerykańskie, nazywane też, o ile dobrze pamiętam, *quamoclit*.

- Tak, tak, *quamoclit*, przypominam sobie - skłamałem. Na szczęście Mistrz Kwiaciarz nie usłyszał, co powiedziałem, i mówił dalej jeszcze głośniej.

- Spośród róż najpiękniejsze są białe, dzikie, damasceńskie, bladorożowe, nakrapiane (wszystkie podwójne), włoskie jasnoczerwone, kwitnące przez cały rok, holenderskie stulistne, pozbawione zapachu, oraz czerwone aksamitne.

Postawiliśmy na ziemi skrzynki z narzędziami. Moja była ciężka, jego - lekka.

- Co do drzew i krzewów, najlepsze są brzoskwinie i czereśnie o podwójnych kwiatach - ciągnął Tranquillo tenorowym głosem - żarnowce o białych kwiatach, mirty, granatowce, czarne bzy, wawrzyny indyjskie, które po raz pierwszy pojawiły się w ogrodach Farnese, dzikie oliwki, ze względu na zapach nazywane drzewami raj, sumaki o czerwonych liściach, sprowadzone do Rzymu sześćdziesiąt lat temu, akacje indyjskie, odkryte w ogrodach Farnese, oraz roślina zwana miękkim drzewem, pochodząca z Peru. Spośród innych szlachetnych roślin egzotycznych nie można zapomnieć o tamaryndowcu, malwie indyjskiej i *Arbuscula coralli*.

Tranquillo spojrzął mi w oczy, jakby oczekiwał odpowiedzi.

- Tak, słusznie... - zgodziłem się.

- Na koniec w fontannach i stawach ogrodowych należy posadzić nenufary białe i żółte, kaczeńce o żółtych podwójnych kwiatach i białą koniczynę.

Wywnioskowałem, że Tranquillo Romauli, nawet wówczas, gdy patrzy komuś w oczy, myśli o swojej jedynej prawdziwej pasji, jaką była hodowla kwiatów i drzew.

- A teraz weźmy się do pracy - rzekł, podając mi skrzynkę, a następnie odgarnął rękami ziemię na kwietniku. - Będziesz mi podawał narzędzia, o które cię poproszę. Na początek linijka.

Zajrzałem do skrzynki i niemal od razu znalazłem długą pałeczkę służącą do wyrównywania grządek i kwietników. Podałem mu ją.

- Teraz pojemnik z nasionami.

- Oto on.

- Łopatka.

- Proszę.

- Nóż.

- Proszę.

- Łopatka.

- Tak.

- Rynienka.

- Oto ona.

Obrócił narzędzie w dłoniach i rozgniewany podniósł się z klęczek.

- Nie do wiary! To nie do zniesienia! - powiedział, zaciskając pięści.

Widocznie popełniłem błąd.

- Ależ, chłopcze! - zawołał, rozkładając szeroko ramiona, niczym ksiądz czyniący wymówki grzesznikowi. - Ile razy mam ci mówić, że to jest wyciągacz, a nie rynienka, która jest cztery razy większa!

Nie śmiałem się odezwać, świadomy wagi przewinienia. Pomyliłem rynienkę (czyliłem to za każdym razem) z łopatką w kształcie litery U i podałem ją Tranquillovi. Też służyła do wykopywania roślin, lecz narzędzie o podobnym zastosowaniu było znacznie większe. Przypominało metalowy walec zamykany na klamerki i znajdowało się na dnie skrzynki.

- Proszę mi wybaczyć, myślałem, że... - plątałem się, czerwony ze wstydu.

Zamknąłem klamerki, żeby rynienka się nie otworzyła. Nie czekając na polecenie, posmarowałem ją smarem ze słoiczka, który Mistrz Kwiatciarz zawsze nosił w skrzynce. Natłuszczona łatwiej wchodziła w ziemię.

- Nie tłumacz się! Wracajmy do pracy! Widzę, że przyniosłeś doniczki - powiedział, odzyskując spokój.

Kiedy wrywał przekwitłe kwiaty, wzruszał delikatnie ziemię, zraszał i z czułością umieszczał w niej cebulki, ja rozpaczliwie szukałem sposobu, żeby zmienić temat i podjąć rozmowę o sprawach, które leżały mi na sercu.

- Opat Melani mówił mi, że spotkał pana dziś rano.

- Opat? Aha! Ten szlachcic z Pistoii czy z Francji. Nieważne. Bardzo mu się spodobały moje kwietniki - odparł, omiatając ziemię z kamiennych płytek wokół klombu, zabrudzonych podczas sadzenia kwiatów.

- Tak, właśnie on.

- Nie dziwię się, że mu się spodobały. Dobieram kolory tak, aby zachować równowagę barw. W ogrodzie księcia Caetaniego w Cisternie na rabatach rosną co najmniej dwie lub trzy odmiany kwiatów, różniące się kształtem i barwami. Umiejętnie rozmieszczone, tworzą przepiękne kompozycje.

- No, właśnie, opat mówił mi, że...

- Ale, uwaga! - rzekł Tranquillo, wymachując miedzianą polewaczką. - Nigdy, przenigdy nie należy sadzić na jednej rabacie jaskrów, żonkili i tulipanów, ponieważ wprowadzają dysharmonię. Taką zasadę wyznawał mój świętej pamięci dziadek, Tranquillo Romauli, twórca jednego z najpiękniejszych ogrodów w Rzymie, urządzonego zgodnie z regułami



sztuki ogrodniczej. Dziś już takich ogrodów nie ma - oznajmił z ciężkim westchnieniem.

- Ma pan rację - przyznałem, tłumiąc kolejne ziewnięcie. Powoli traciłem nadzieję na przerwanie potoku słów wypływających z ust mojego rozmówcy.

Przechodzący mimo służący z koszami wypełnionymi oskubanym drobiem trącili się łokciami i rzucili mi porozumiewawcze spojrzenie. W Willi Spada służba unikała Mistrza Kwiciarza, który potrafił zagadać każdego na śmierć.

Nie pozostawało mi nic innego jak przystąpić do rzeczy.

- Opat Melani powiedział, że rozmowa z panem tak bardzo przypadła mu do gustu - wpadłem mu w słowo - że chętnie spotka się z panem ponownie.

- Ach tak?

Tranquillo nareszcie zareagował na to, co powiedziałem. Dobry znak.

- Opat bardzo się martwi. Nad Eskuriałem unosi się widmo śmierci... Romauli spojrział na mnie poważnie, nie mówiąc słowa. Zapewne zrozumiał aluzję: chory król Hiszpanii, sukcesja, Tetrachion...

- Jesteś dobrze poinformowany - stwierdził. - Eskuriał usycha, chłopcze, podczas gdy Wersal... a ostatnio także Schönbrunn... - Urwał.

On wiedział. Nie bez powodu wspomniał o najsłynniejszych ogrodach Francji i cesarstwa - państw rywalizujących o hiszpańską sukcesję.

- Spoczywa na nas duży ciężar - oświadczył enigmatycznie.

Powiedział „na nas”. Być może miał na myśli osoby wykorzystujące pocztę pantoflową do rozpowszechniania tajnych informacji, tak jak podejrzewał opat Melani. Za chwilę podzielił się ze mną swoją tajemnicą.

- To prawda - odparłem, drżąc z podniecenia.

Przytaknął z uśmiechem, na znak porozumienia.

- Jeśli twojemu opatowi tak bardzo leżą na sercu losy Eskuriału, z pewnością będziemy mieli o czym porozmawiać.

- Byłoby wskazane - powiedziałem, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

- Pod warunkiem, że jest poinformowany - zauważył Romauli. - W przeciwnym razie szkoda czasu.

- Może pan być spokojny - zapewniłem Tranquilla, mimo że nie rozumiałem sensu jego słów.

Idąc do pałacu, rozmyślałem o rozmowie z Mistrzem Kwiciarzem. Nagle usłyszałem za sobą głosy dwóch osób. Jedna z nich powiedziała:

- To niesłychane, na co sobie pozwolił opat Melani! Ja też jestem tego zdania. Ale reakcja Albaniego zupełnie mnie zaskoczyła.

Ktoś mówił o Atcie. Głos należał do starszego mężczyzny wysokiej rangi. Nie mogłem przegapić takiej okazji. Ukryłem się za żywoplotem z zamiarem podsłuchania rozmowy.

- Podobno sprzyja Francuzom - podjął głos - tymczasem zmył głowę Melaniemu. Odkąd tak samo traktuje Hiszpanów i Francuzów, uchodzi za umiarkowanego.

- Niewiarygodne, jak szybko może się zmienić opinia o człowieku - odparł drugi głos.

- To prawda. Na razie na nic mu się to nie zda. Jest za młody na papieża. Ważne jest, by utrzymać się na powierzchni, a pod tym względem Albani jest mistrzem.

Szedłem pochyłony, niemal na czworakach, śledząc rozmawiających, nie będąc przez nich widziany. Byli to z pewnością goście, którzy zatrzymali się w pałacu, prawdopodobnie kardynałowie. Ich głosy brzmiały dla mnie obco, nie potrafiłem odgadnąć, do kogo należą. Rozpoznanie utrudniał szelest pobliskich krzewów.

- Co stało się ze skierowanym do niego bilecikiem? Czy to prawda, co wczoraj opowiadano Waszej Eminencji?

- Dowiadywałem się i powiedziano mi, że to prawda. Wiadomość porwała papuga, żeby przeczytać ją w swoim gnieździe, cha, cha, cha! Albani nie dał tego po sobie poznać, ale był zrozpaczony. Polecił służącym, żeby dyskretnie odszukali ptaka. Sprawa musi być naprawdę ważna. Zarządca pałacu widział, jak jeden z nich wdrapywał się na drzewo w ogrodzie. Zapytany, co tam robi, odparł szczerze, że szuka papugi. Nikt nie wie, gdzie ona się podziała.

To było wszystko, co usłyszałem, ponieważ żywoplot, za którym się kryłem, biegł w prawo, a kardynałowie skręcili w lewo. Poczekalem, aż się oddalą. Cieszyłem się na myśl, że będę miał o czym opowiadać opatowi: o Tranquillu, który obiecał, wprawdzie enigmatycznie, że wyjawি, co wie o Tetrachionie, o Albanim, załamany po utracie bileciku z poufną informacją, wreszcie o kłótni Atta z Albanim, który w wyniku politycznych spekulacji uwolnił się od łatki wasala Francuzów.

Nie mogłem przewidzieć, że w najbliższym czasie nie opowiem o tym opatowi.

- ...przeczytać w gnieździe, cha, cha, cha!

Na dźwięk tych słów aż przykucnąłem. Obawiałem się, że ktoś przy-

łapie mnie na podsłuchiwaniu. Był to głos jednego z kardynałów. Jak to się stało, że nie zauważyłem jego powrotu?

- Ważne jest, by utrzymać się na powierzchni, cha, cha, cha!

Zbladłem ze strachu. Słuch mnie nie mylił. Kardynał był tuż za mną.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, jak Cezar August rozpościera skrzydła i unosi się w górę z bilecikiem w szponach.

Udałem się do Atta, który czekał w swoim pokoju na mój raport z rozmowy z Mistrzem Kwaciarem. Gdy przekazałem mu nowinę o Cezarze Auguście, wybiegliśmy do ogrodu. Na próżno przeszukaliśmy krzaki przy szopie z narzędziami, gdzie przed kilkoma minutami go widziałem. Zniknął bez śladu.

- Woliera! - zawołałem.

Dotarliśmy tam z bijącym sercem, zarówno z pośpiechu, jak i z obawy, by nie zauważył nas któryś ze służących czy spacerujący kardynał. W wolierze również go nie było. Spojrzałem zrozpaczony na stada słowików, czajek, kuropatw, frankolinów, bażantów, dzwońców, kosów, kalandr, zięb i turkawek, które spokojnie dziobały ziarno i liście sałaty, nieświadome naszego zmartwienia. Nawet jeśli wiedziały, gdzie ukryła się papuga, nie mogły uczynić nic innego, jak tylko wpatrywać się w nas swoimi małymi oczkami. Żałowałem, że jedynie nieszczęsny Cezar August miał dar mowy. W pewnej chwili zauważyłem, że młody frankolin patrzy uparcie w górę, jakby czymś poirytowany. Dobrze znałem tego energicznego, zuchwałego ptaka. Kiedy przynosiłem do woliery jedzenie, pierwszy siadał mi na dłoni i dziobał okruchy chleba, za którym przepadał. Nie lubił, gdy sypałem je także innym mieszkańcom woliery. Teraz też okazywał podenerwowanie - popiskiwał i unosił dziób do góry. Wszystko stało się dla mnie jasne, więc popatrzyłem w tym samym kierunku.

- Ważne jest, by utrzymać się na powierzchni, cha, cha, cha! - powtórzył Cezar August, kiedy zorientował się, że go dostrzegłem.

Siedział na zewnątrz, na szczycie kopuły z metalowej siatki. Odkąd uciekł, nie zostawiałem jedzenia przed jego klatką. Zdobył gdzieś kawałek chleba i dziobał go spokojnie, na złość frankolinowi, który przypatrywał mu się z zawiścią.

- Chodź tu i oddaj mi kartkę! - rozkazałem cicho, żeby nie usłyszeli mnie służący.

W odpowiedzi papuga przefrunęła na pobliskie drzewo, choć nie tak swobodnie jak zwykle. Najwyraźniej nas sprowokowała.

- Mam nadzieję, że nie zgubiła bileciku - powiedziałem.

- Ja też mam nadzieję, że go nie zgubi - westchnął Atto - zanim nadejdzie pomoc.

- Pomoc?

- Posłałem Buvata po specjalistę. Pojechał konno ze służącym, który wie, gdzie go szukać. Ufam, że się niczego nie domyśli. W przeciwnym razie będziemy mieć wszystkich na karku, nie wyłączając zarządcy.

Już miałem zapytać Atta, o jakiego specjalistę chodzi, gdy zza żywopłotu wychynął Buvat, oznajmiając swoje przybycie.

- Bogu niech będą dzięki! - zawołał Melani.

W tej samej chwili Cezar August, obdarzony najwidoczniej zdolnością jasnowidzenia, wzbił się w górę i poleciał w stronę ogrodu Barberinich, graniczącego z willą Spada.

- Czy Barberini mają uzbrojonych strażników w ogrodzie?

- O ile wiem, to nie.

- W porządku - powiedział Atto. - Nasz przyjaciel nie ucieknie daleko.

W tym samym momencie na niebie pojawił się spiczasty kształt. Choć był jeszcze daleko, zdawał się mieć za cel Cezara Augusta, który spostrzegłszy zagrożenie, obniżył lot i skrył się w krzakach. Spojrzałem w górę - błękitne niebo było puste.

- Chodź, poznam cię ze specjalistą - oznajmił Atto. - Lubi być nazywany sokolnikiem.

Sokolnik czekał na nas przed willą. Był to doprawdy szczególny człowiek: wysoki, szczupły, z kruczoczarnymi włosami, ciemnymi oczami i orlim nosem. Przez ramię miał przewieszoną dużą płócienną torbę, w której trzymał wszystkie potrzebne rzeczy. Przy jego nodze stał piękny ogar, gotowy do akcji.

Kiedy prowadziliśmy sokolnika w stronę woliery, gdzie w krzakach zniknął Cezar August, spojrzałem pytająco na Atta.

- / *kukulkę zamiast sokoła zabiera, gdy na polowanie się wybiera* - zażartował opat, przyjmując pozę wieszczą. - Recytując kolejne wersety o szaleńcach, Albicastro podsunął mi pomysł.

Sokolnik popatrzył w niebo i dwukrotnie zagwizdał. Nie wiadomo skąd przyfrunął w akrobatycznym piruecie sokół i zakończył lot na wyciągniętym przedramieniu swojego pana, osłoniętym skórzaną rękawicą.

Obserwowałem z zachwytem, jak zgrabnie usiadł, wyraźnie zadowolono-

ny z solidnego podparcia. Był tak dobrze wyszkolony, że wystarczyło gwizdnięcie, by szybując wysoko w obłokach, natychmiast wrócił do pana. Sokolnik włożył mu na głowę skórzany kaptur.

- Musimy schwytać tę papugę - oznajmił Atto. - Zapolujemy na nią z sokołem.

Wróciliśmy do willi, żywiąc nadzieję, że nikt nie będzie nas o nic pytał. Los nam sprzyjał. Natknęliśmy się tylko na jednego strażnika, który pozwolił nam przejść. Wprawdzie przyglądał się nam z ciekawością, ale o nic nie pytał.

- To straszne - stwierdziłem, kiedy pokonywaliśmy mur dzielący willę Spada od posiadłości Barberinich, kierując się do miejsca, gdzie pofrunął Cezar August. - Rozszarpie go.

- Rozszarpie, rozszarpie... - przedrzeźniał mnie Atto z poważną miną, przystawiając do muru stołek, po którym zamierzał się wspinać. - Raczej przywoła go do porządku. Karteczka należy do nas, papuga dobrze o tym wie. Już dawno chciałem użyć sokoła, ale wiedziałem, że się nie zgodzisz.

- Co pozwala panu przypuszczać, że teraz się zgodzę?

- Konieczność. Papuga nikogo nie słucha, sytuacja wymknęła się nam spod kontroli. Zapamiętaj, chłopcze: ostateczne decyzje należy podejmować w nagłych wypadkach. Jeśli nie ma takiej konieczności, należy ją stworzyć. Wszyscy rządzący stosują tę taktykę. W karierze doradcy stykałem się z nią bardzo często - powiedział z rozbijającym uśmiechem.

Odniosłem wrażenie, że nieposłuszeństwo Cezara Augusta cieszyło Melaniego, bo usprawiedliwiała decyzję o użyciu drastycznych środków.

Przeszliśmy na drugą stronę muru, będącego przedłużeniem rzymskiego umocnienia z wieżami, które zaczynało się po lewej stronie i ciągnęło dalej, w kierunku placu San Cosimato. Ogar wskoczył za nami na stołek i dał susa przez mur. | ;

- Niech pan mówi, co chce, nie zmienia to faktu, że sokół jest groźnym drapieżnikiem - zauważyłem. - Dobrze wiem, do czego jest zdolny. Kiedyś przyglądałem się tresurze. Widziałem, jak chwycił kurę, rozszarpał ją i wyciągnął z jej piersi bijące jeszcze serce. ]

j

Ptak, gdy tylko sokolnik zdjął mu z głowy kaptur, natychmiast wzbił j

się w górę i po chwili był już niewyraźnym punktem na niebie. Wykonał jedno okrążenie i wylądował na ramieniu pana.

- Może nie będzie tak źle - zaśmiał się Melani. - Prawdę mówiąc, interesuje nas tylko bilecik. Jeśli papuga go odda, nikt nie wyrzuci jej krzywdy.

- Mówi pan tak, jakby sokół wiedział, co robi. Ptaki, jak wszystkie zwierzęta, nie mają rozumu. Nie znają litości i potrafią być okrutne - stwierdziłem.

- Muszę zaprotestować - powiedział sokolnik, głaszcząc swojego podopiecznego.

Mówił z północnym akcentem, typowym dla okolic Bolonii i Vicenzy, gdzie zawsze było wielu sokolników.

- Twoja niewiedza dorównuje odwadze mojego sokoła - stwierdził oschle. - Powiedziałeś, że ptaki nie znają litości. Wiedz zatem, że słynny Palamedes, obserwując klucze żurawi, stworzył znaki alfabetu greckiego. Stały się one podstawą gramatyki, czyli, jak się wyraził święty Hieronim, *grues viam sequuntur ordine literato* (*grus* to po łacinie żuraw). Do sposobu życia tych ptaków nawiązuje łaciński czasownik *congruere* - być jednej myśli, odpowiadać sobie wzajemnie.

- Nie wiedziałem, ale...

Kiedy sokolnik udzielał mi lekcji, jego podopieczny unosił się nad naszymi głowami i wykonywał w powietrzu akrobacje w poszukiwaniu ofiary. Szliśmy ostrożnie wśród krzewów, wypatrując Cezara Augusta. Atto i sokolnik byli pewni, że go znajdziemy. Ja nie byłem o tym przekonany, ale myślałem, że jeśli rzeczywiście odszukamy papugę, postaram się ją przekonać, by zwróciła nam bilecik Albaniego, gdyż inaczej grozi jej walka z sokołem. Rozglądaliśmy się dookoła, w nadziei, że coś się wydarzy, co zdradzi obecność Cezara Augusta. Ogar obwąchiwał krzaki, czujny na każdy szmer.

- Zapewne nie wiesz także o tym, że w starożytności ptaki nauczyły człowieka wielu umiejętności, począwszy od podróżowania i odkrywania nowych ziem. Pierwsze statki kształtem przypominały łabędzie, które są doskonałymi pływakami. Słynny Kolumb odkrył wyspy Zatoki Meksykańskiej, śledząc migracje ptaków. Dziś ich piórami przyozdabia się kapelusze i hełmy, wytwarza z nich wachlarze, którymi damy chłodzą się podczas upałów.

- Tak, ale...

- Prototypem piszczałki była kość żurawia, pierwszym kurierem był

gołąb. Pierwsi architekci naśladowali sztukę budowania gniazd, muzycy - śpiew ptaków, w szczególności kuropatw. Ptaki inspirowały także malarzy oraz poetów, którzy pisali swoje utwory ptasim piórem.

Mówiąc te słowa, sokolnik obserwował lot ptaka i ruchy ogara. I choć prowadził mądry wykład, najwyraźniej nie mógł się doczekać, podobnie jak sokół i pies, wytropienia papugi.

- Jeśli chodzi o rolnictwo - ciągnął sokolnik - to najlepszym nawozem są ptasie odchody. Nie tylko użyźniają glebę, ale także zwalczają świerszcze, pasikoniki, szarańczę i inne szkodniki.

Jednocześnie - mówił dalej - obserwując podniebne wędrowki ptaków przylatujących do nas na wiosnę, rolnik rozpoczyna orkę i siew, przycinanie gałęzi i pędów winorośli. Z zachowania ptaków potrafi przewidzieć opady deszczu i inne zmiany pogody. Żurawie, gęsi i kaczki żyją w stadach podporządkowanych przewodzącemu samcowi. Nocą wystawiają strażę strzegące spokoju i bezpieczeństwa całej gromady. Ptaki bywają bardzo waleczne. Mały mysikrólik potrafi zaatakować orła, a myszołów - walczyć do ostatniej kropli krwi. Nie należy zapominać, że gęsi uratowały starożytnych Rzymian, budząc ich gęganiami, kiedy Galowie podkradli się nocą pod broniący się jeszcze Kapitol.

Błędem jest też twierdzić, że ptaki nie mają serca. Zdolne są bowiem do współczucia, wierności i sprawiedliwości w większym stopniu niż ludzie. Krogulec, aby lepiej trawić, chwytą małego ptaka i przez całą noc trzyma go na brzuchu, a rankiem, zamiast go zjeść, z wdzięczności puszcza wolno. Gęsi są bardziej wstydlive niż młode dziewczyny. Kopulują tylko wtedy, gdy mają pewność, że nikt ich nie widzi, i zaraz potem starannie się myją. Wrony uprawiają wyłącznie miłość małżeńską. Turkawka, kiedy owdowieje, przestaje spółkować. Jaskółka obdziela owadami sprawiedliwie całe swoje potomstwo. Czy ludzie to potrafią? Poza tym samce ptaków są rozmowne, samice natomiast małomówne, inaczej niż u ludzi i, jeśli się nad tym zastanowić, tak jest o wiele lepiej. Gęsi, z natury bardzo gadatliwe, kiedy zauważą, że zbliża się orzeł, biorą do dziobów kamień, aby poskromić chęć gęganiami i tym samym nie zdradzić swojej obecności.

- Ptaki mogą pomóc nam w czasie choroby - podjął wykład sokolnik. - Aby pozbyć się bólu brzucha, wystarczy położyć na nim żywą kaczkę. W razie bólu żeber należy zjeść papugę. Ten, kto ma wrażliwy żołądek, powinien zjeść skórę z łabędzia, orła lub tracza. Puchlinę wodną leczy się proszkiem ze spalonych nietoperzy, do leczenia innych chorób

używa się jaskółczych gniazd rozpuszczonych w wodzie. Lista medykamentów, których dostarczają nam ptaki, jest długa. Nie sposób je tu wszystkie wymienić. Chwileczkę...

Sokolnik wreszcie zamilkł. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Ogar zaczął głośno szczekać i stanął słupka - najwyraźniej coś znalazł. Zza pobliskiego krzaka dał się słyszeć głośny szelest, a później łopotanie skrzydeł. Śnieżnobiały Cezar August z złotym czubem na głowie wydostał się z płataniny gałęzi i wzleciał w górę. Pies zaszczekał jeszcze głośniejsze, ale sokolnik powstrzymał go od pościgu zawołaniem:

- Patrz! Patrz!

Usłyszawszy okrzyk, sokół pojął, że nadeszła jego pora. W jednej chwili rzucił się głową w dół na Cezara Augusta, który na szczęście, mimo że był trzy razy wolniejszy od napastnika, zdążył już nabrać rozpędu. Frunął w kierunku rzymskiego muru. W miarę zbliżania się do papugi, sokół zmieniał kąt nachylenia lotu. Podobny do pocisku, szykował się wbić dziób w ciało ofiary albo w ostatniej chwili wyhamować, zrobić zwrot i zaatakować ostrymi szponami. A kiedy ranna, bezbronna papuga spadałaby na ziemię, poleciałby za nią i rozszarpał na strzępy.

Cezar August zbliżał się do muru, za którym zamierzał się schronić, przynajmniej przed pierwszym atakiem.

- Cezarze Augustcie! - zawołałem w nadziei, że mnie usłyszysz, ale zdałem sobie sprawę, że wszystko dzieje się zbyt szybko.

Sokół był tuż-tuż, dzieliło go od papugi czterdzieści metrów, potem trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć... Z zapartym tchem obserwowaliśmy tę scenę. Mur był jeszcze daleko. Papuga chyba nie zdąży dolecieć. Brakowało tak niewiele. Sokół szykował się do ataku.

- Nie! - syknął ze złością sokolnik.

Udało się. W ostatniej chwili Cezar August schronił się wśród drzew. Były na tyle gęste, że sokół musiał wyhamować, po czym wzbił się w górę.

- Cezarze Augustcie! - zawołałem ponownie, biegnąc w jego kierunku. - Oddaj nam karteczkę, a wszystko dobrze się skończy!

Wypatrywaliśmy papugi wśród gałęzi, ale na próżno. Dobrze się ukryła, co przyznał też sokolnik.

- Obiecał pan, że będzie miała czas na zastanowienie - zaprotestowaliśmy obaj z Attem.

- Przykro mi! Nie sądziłem, że wszystko potoczy się tak szybko. W każdym razie miała czas, żeby pomyśleć.



- Pomyśleć? Była sparaliżowana strachem!  
 To, co nastąpiło później, przeczyło moim słowom.  
 Kiedy chodziliśmy wokół drzew, ciszę przerwały nagle dwa głośne gwizdnięcia. Spojrzeliśmy po sobie. To był gwizd sokolnika, który był równie zdziwiony jak my.

- Ja nie... nie gwizdałem - wyszeptał.  
 Odruchowo popatrzył w górę.  
 - Do licha, rękawica! - zaklął, widząc, że nadlatuje jego wierny pod opiekny.

Ptak, usłyszawszy gwizdnięcie, zbliżał się do jego przedramienia.  
 Sokolnik w pośpiechu założył skórzaną rękawicę i w ostatniej chwili wysunął ramię. W tej samej chwili kątem oka dostrzegłem białą-zółtą plamę. Papuga cicho poszybowała w lewo, w stronę rzymskiego muru. Zauważył ją także Atto, ale kilka sekund później.

Zmyliła sokoła, naśladując gwizdnięcie jego pana. Dzięki temu miała czas przemieścić się, zanim drapieżnik wzbije się na odpowiednią wysokość, z której mógłby ponownie zaatakować.

- Jest tam! - wykrzyknął Melani.  
 Cezar August był coraz bliżej muru. Uwolniony sokół wzniósł się w powietrze. Ogar szczekał jak szalony.

- Pański ptak nie potrafi od razu zaatakować? - zapytał opat Melani, podbiegając do miejsca, gdzie zniknął Cezar August.  
 - Najpierw musi wzbic się w górę - odparł urażony sokolnik, jakby opat mu zaproponował, by poszedł na ślub w łachmanach.

Wszyscy trzej pobieглиśmy w dół, wzdłuż muru, drogą, która przecina {  
 posiadłość Barberinich i dochodzi do placu San Cosimato. Co pewien j  
 czas za wiekowymi wieżami dostrzegaliśmy żółty czub Cezara Augu- j  
 sta. Nie potrafił wznieść się wyżej od sokoła, jak to czynią czaple, aby j  
 umknąć przed atakiem drapieżnika. Papuga wyczuła jednak słaby punkt j  
 wroga i grała na zwłokę. Leciła nisko i co pewien czas przysiadła to na ;  
 drzewie, to na występie muru. Jednocześnie wydawała krótkie, głośne j  
 gwizdnięcia, których błyskawicznie nauczyła się od sokolnika. Wyszko- j  
 lony sokół reagował na każdy gwizd i zawracał w stronę pana, który, ma J  
 się rozumieć, był wściekły. Dwukrotnie Cezar August dobył z siebie j  
 myśliwskie zawołanie „Patrz, patrz!”, co tak zdezorientowało sokoła, że J  
 gdyby pan krzykiem nie przywołał go do porządku, zaatakowałby nie  
 winnego wróbla.

Końcowy odcinek drogi biegł między murami. Odwróciłem się, szukając wzrokiem Atta. Straciliśmy się nawzajem z oczu, podobnie jak Cezara Augusta. Miałem nadzieję, że papuga nie zmieniła kierunku lotu i wkrótce ją odnajdziemy.

Dotarliśmy do klasztoru Sióstr Świętego Franciszka przy placu San Cosimato. Tam dogonił nas zasapany opat. Zupełnie opadł z sił (mimo że nie szedł szybko). Przysiadł na skraju drogi i wyrecytował:

Dużo czasu i trudu trzeba,  
By gonić dzikiego zwierza.  
Przez góry i doliny, konno i na piechotę,  
Wędrując w słońcu i w słotę,  
Przeszukując zarośla i drzewa,  
Gdzie ukryty zwierz się z nas wyśmiewa.

- W ten sposób zażartowałby sobie Albicastro, gdyby zobaczył mnie w tak oplakany stan - stwierdził filozoficznie, ciężko dysząc.

Zauważyłem, że opat lubił recytować wiersze w różnych sytuacjach, głównie w chwilach dużego napięcia, nie miał jednak dość sił, by śpiewać twory swojego dawnego mistrza Luigiego, jak przed laty.

Spojrzałem na plac San Cosimato. Ku mojemu zdziwieniu, mimo że była niedziela i dość wczesna pora, pełno było na nim ludzi. Ojciec Święty (dowiedziałem się o tym nieco później) w drodze indultu postanowił, że rzymskie dzieci dostąpią odpustu, jeśli odwiedzą bazylikę watykańską. Z tego powodu dziewczynki i chłopcy z różnych dzielnic Rzymu przemierzali właśnie plac, niosąc sztandary i krucyfiksy, dostosowane do ich wzrostu i wieku. Dziewczynki miały na sobie białe sukienki, a na głowach wianki z religijnymi ozdobami. Tej wzruszającej dziecięcej procesji towarzyszyli rodzice i siostry zakonne z klasztoru Świętego Franciszka. Oni to właśnie zapełniali plac i spoglądali na nas zdziwieni, gdy dotarliśmy tam zmęczeni i zakurzeni.

Sokolnik był zrozpaczony.

- Przepadł! Nigdzie go nie widzę! - skarżył się.

Stracił z oczu sokoła. Obawiał się, że ptak go opuścił, jak to czasem bywa z drapieżnikami, które przywiązują się do pana tylko pozornie, a w głębi serca pozostają dzikie i niezależne.

- Tam jest! - zawołał Atto.

- Sokół? - spytał sokolnik.
- Nie, papuga.

Ja także go dostrzegłem. Cezar August wyglądał na zmęczonego. Sfrunął z gzymsu kamienicy i poleciał w kierunku placu San Callisto. Atto był u kresu sił, sokolnik myślał wyłącznie o swoim pupilu. Tylko ja i ogar byliśmy zdolni do pościgu, ale kierowały nami zupełnie inne pobudki: ja pragnąłem uratować papugę, ogar chciał ją rozszarpać.

Pies głośno zaszczekał i ruszył do ataku. Przerazone dzieci przerwały szereg i zaczęły uciekać. Tymczasem ja w pościgu za papugą wpadłem w sam środek procesji, wzbudzając dodatkowy zamęt i narażając się na wymówki zakonnic.

Cezar August leciał powoli, coraz częściej przysiadając na frontonach, parapetach i balkonach domów. Podrywał się do lotu jedynie z obawy przed psem, który groźnie szczerząc zęby, zmuszał go do szukania nowego schronienia. Byłem za daleko. Nie usłyszałyby moich próśb, by usiadł na ziemi i dał się schwytać. Ogar biegł przede mną z głośnym ujadaniem, chcąc dosięgnąć go zębami. Zdumieni przechodnie patrzyli na naszą hałaśliwą trójkę - przedziwną chimerę złożoną ze skrzydeł, kłów gotowych do ataku i biegnących nóg.

Wyteżając wzrok, zauważyłem, że papuga cały czas trzyma w szponach przekłęty bilecik. Nasze dziwaczne trio przebiegło dłuższy odcinek ulicy Santa Maria in Trastevere. W pewnej chwili skręciliśmy w lewo i dotarliśmy do mostu prowadzącego na wyspę San Bartolomeo.

Za mostem Cezar August usiadł na parapecie okna czyjś mieszkania. Był dość wysoko, a pies (który chyba w końcu zorientował się, że zgubił swojego pana) najwyraźniej miał już dość tej bezsensownej gonitwy. Przyjrzałem się papudze. Odniosłem wrażenie, że nic nie ruszy jej z tego bezpiecznego miejsca. Po mojej lewej stronie wznosił się most San Bartolomeo, dalej widać było wyspę - skrawek ziemi opływany rwącym nurtem Tybru. Ogar w końcu zawrócił, szcękając na pożegnanie ze złości i rozczarowania.

- Może wreszcie zejdziesz? Zostaliśmy sami - powiedziałem.

W oczach Cezara Augusta dostrzegłem pragnienie, by oddać się wreszcie w ręce przyjaciela. Już miał się poddać, kiedy nastąpiło coś nieoczekiwanego.

Do okna podeszła stara kobieta, mieszkanka domu. Zauważyła papugę. Widok osobliwego, a zarazem pięknego ptaka wprawił ją w zdumienie. Staruszka, nie wiedząc, jak się zachować, zamachnęła się, aby prze-

pędzić pierzastego intruza. Papuga salwowała się ucieczką i poszybowała w górę, niesiona wiatrem, silnie wiejącym od rzeki.

Patrzyłem, jak Cezar August wznosi się coraz wyżej, niczym sokół, następnie obniża lot i ponownie się wzbija w podmuchach wiatru. Na koniec zniknął mi z oczu.

Kiedy wróciłem do willi Spada, byłem spocony, zmęczony i zawiedziony. Czym prędzej udałem się do opata Melaniego, żeby przekazać mu złą wiadomość. Nie zastałem go jednak w pokoju. Zapewne zatrzymał się gdzieś w drodze powrotnej, żeby nieco odpocząć. W jego wieku pościg za papugą był bardzo męczący, tym bardziej że stale dokuczał mu ból ramienia. Chcąc uniknąć rozmowy z opatem i wysłuchiwania jego skarg, postanowiłem wsunąć pod jego drzwi bilecik, w którym zamierzałem poinformować Atta o niepomyślnym wyniku polowania. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek napisać, powiadomiono mnie, że tego popołudnia będę miał dużo zajęć.

Program uroczystości weselnych przewidywał zabawę w ciuciubabkę, która miała się odbyć w ogrodach willi. W szranki stawali eminencje, książęta, szlachcice i damy. Prześcigając się w pomysłowości, sprycie i szybkiej orientacji, będą się chować, ścigać, szukać i znajdować wśród żywopłotów i parkowych alejek. Ciuciubabka musiała się zatem rozegrać w miejscu, gdzie wzrok, słuch i ruchy napotykały przeszkody, gdzie łatwo się ukryć i uciec, a trudno odnaleźć i ścigać. Wymarzonym miejscem do tej zabawy były okazałe ogrody willi Spada, które wraz z ustawieniem dekoracji z kartonu i kwiatów zmieniły się w prawdziwy labirynt.

Przekazano mi polecenie, bym stawił się u don Paschatia, gdyż chwilowo brakuje personelu. Służący pod różnymi pretekstami (jeden cierpiał na melancholię, drugiemu umarła ciotka) zostawili zarządcę na lodzie.

Niebo przesłoniły chmury i zrobiło się trochę chłodniej. Zabawa miała się niebawem rozpocząć. Poszedłem do kuchni coś przekąsić. Była już pora obiadu, a po pościgu za Cezarem Augustem byłem głodny jak wilk. Znalazłem resztki indyczki i jajka na twardo. Wprawdzie były zimne, ale bardzo mi smakowały.

Właśnie ogryzałem ostatnią kostką, kiedy pomocnik don Paschatia kazał mi założyć liberię i udać się do ogrodu - tam gdzie aleja główna krzyżuje się z aleją przecinającą winnice i wiodącą do fontanny. Na skrzyżowaniu rozstawiono stoły z orzeźwiającymi napojami (zimna woda, sok pomarańczowy, lemoniada), owocami, świeżym chlebem, konfiturami. Tace z poczęstunkiem umieszczono na stołach w cieniu pawilonu w biało-niebieskie pasy, wspartego na pilastrach, które zdobiły ogromne drewniane tarcze z herbami rodów pary młodej: Spada i Rocci. Wszystko to przygotowano z myślą o uczestnikach zabawy w ciuciubabkę, przewidując, że po harcach będą spragnieni i zmęczeni, i o gościach, którzy zechcą przysiąść w wygodnych fotelach z białego płótna i rozkoszować się chłodem w cieniu.

Idąc na wyznaczone miejsce, kolejny raz spoglądałem z podziwem na niezwykle dzieła doskonałego architekta, jakim jest natura, które teraz, po ukończeniu prac ogrodniczych, wzbogacone zostały o nowe szczegóły. Ponieważ ogród powinien pobudzać zmysł piękna, również w willi Spada każdy element, począwszy od rozmieszczenia drzew i krzewów, był tak pomyślany, by cieszyć oczy. Sztuka budowania nie ogranicza się bowiem do architektury obronnej i mieszkalnej, dotyczy także żywopłotów, alejek, łąk, trawników, pergoli, eksedr i kwietników. W największych rzymskich willach przeważały szerokie aleje wysadzone drzewami. W willi Spada było inaczej. Trasę spacerów wyznaczały szlachetne bukszpany, ligustry i akanty.

Mroczone pergole, o cienione sklepieniami z gałęzi drzew, prowadziły oniemiałych z podziwu gości do miejsca krzyżowania się alejek. Rzędy starannie przyciętych wawrzynów, wysokości siedmiu, a nawet piętnastu piędzi, szły w zawody z dębami, krzewami mirtu w kształcie parasoli i głów cukru, z efemerycznymi drewnianymi konstrukcjami pokrytymi płaszczem zieleni i rzędami kolumn oplecionych girlandami kwiatów, stanowiących oprawę dla zespołu muzyków. Nieliczna orkiestra smyczkowa słała w eter dźwięki melodyjnego kontrapunktu, radosne tremola i pizzicata, które zdawały się zapowiadać zabawę w ciuciubabkę, zaplanowaną na popołudnie.

Udałem się do miejsca położonego kilka metrów od podium dla orkiestry, gdzie miałem podawać gościom soki z owoców cytrusowych, kroić chleb, ustawiać fotele i być do dyspozycji ich ekscelencji i eminencji.

Zaledwie tam dotarłem, zabrałem się energicznie do szykowania i po-

dawania gościom napojów, uwijając się jak pracowita pszczołka fruująca z kwiatka na kwiatek.

Wypełniwszy swój obowiązek, zająłem miejsce obok drewnianej kolumny. Przy pozostałych stali jak słupy soli, niczym żona Lota, inni służący. Pod zadaszeniem z lnu w biało-niebieskie pasy goście kardynała Spady głośno rozmawiali, sprzeczekali się i śmiali, na stojąco lub siedząc w fotelach. Nieopodal kilku monsiniorów w średnim wieku, którym zaschło w gardle od mówienia, gasiło pragnienie lemoniadą.

Uświadomiłem sobie, że dopisało mi szczęście, byli to bowiem ci sami panowie, którzy podczas spotkania akademików dyskutowali o projekcie reformowania straży miejskiej. Wszystko wskazywało na to, że kontynuują podjętą wcześniej rozmowę.

- ...Teraz wszystko się zmieni.

- To pomysł sprzed dwudziestu lat! Niemożliwe, żeby chcieli wprowadzić go w życie!

- Wydaje się, że to uczynią. Mówił mi o tym mój brat, który jest audytorem Roty i przyjacielem kardynała Cenciego.

- Przecież Cenci nic nie wie.

- Wie, wie. Pewne osoby wszystko wiedzą. Najwyraźniej nadeszła już pora. Jeśli papież będzie żył jeszcze kilka miesięcy, reforma zostanie przeprowadzona.

Zacząłem uważniej przysłuchiwać się rozmowie, wyęzając słuch jak Diana tropiąca jelenia.

- I słusznie - powiedział pierwszy dostojnik. - Żaden z nas nigdy nie miał okazji zobaczyć, jak nocą żandarmi wchodzą do karczmy albo do knajpy, bo wtedy śpimy. Wszystkim jednak wiadomo, że żandarmi upijają się, awanturują, a później wychodzą, nie mówiąc nawet „dobranoc”. A jeśli karczmarz poprosi ich, by zapłacili, plują mu w twarz, jakby popełnił zbrodnię obrazy majestatu, traktują go gorzej niż mordercę, a następnego wieczoru wracają, żeby się zemścić. Sprowadzają do karczmy nierządnicę albo szulerów, którym każą grać znaczonymi kartami. Później zjawiają się jak gdyby nigdy nic, przeprowadzają kontrolę, znajdują karty i wszystkich wsadzają do więzienia: karczmarza, oszustów, nierządnicę i niewinne osoby obecne w gospodzie. Dla karczmarza i jego rodziny oznacza to ruinę.

- Wiem, wiem - odparł drugi rozmówca. - Chwyty stare jak świat.

- To nie wszystko - ciągnął pierwszy monsinior. - Żandarmi wy-

Właśnie gryzałem ostatnią kostkę, kiedy pomocnik don Paschatia kazał mi założyć liberię i udać się do ogrodu - tam gdzie aleja główna krzyżuje się z aleją przecinającą winnice i wiodącą do fontanny. Na skrzyżowaniu rozstawiono stoły z orzeźwiającymi napojami (zimna woda, sok pomarańczowy, lemoniada), owocami, świeżym chlebem, konfiturami. Tace z poczęstunkiem umieszczono na stołach w cieniu pawilonu w biało-niebieskie pasy, wspartego na pilastrach, które zdobiły ogromne drewniane tarcze z herbami rodów pary młodej: Spada i Rocci. Wszystko to przygotowano z myślą o uczestnikach zabawy w ciuciubabkę, przewidując, że po harcach będą spragnieni i zmęczeni, i o gościach, którzy zechcą przysiąść w wygodnych fotelach z białego płótna i rozkoszować się chłodem w cieniu.

Idąc na wyznaczone miejsce, kolejny raz spoglądałem z podziwem na niezwykle dzieła doskonałego architekta, jakim jest natura, które teraz, po ukończeniu prac ogrodniczych, wzbogacone zostały o nowe szczegóły. Ponieważ ogród powinien pobudzać zmysł piękna, również w willi Spada każdy element, począwszy od rozmieszczenia drzew i krzewów, był tak pomyślany, by cieszyć oczy. Sztuka budowania nie ogranicza się bowiem do architektury obronnej i mieszkalnej, dotyczy także żywopłotów, alejek, łąk, trawników, pergoli, eksedr i kwietników. W największych rzymskich willach przeważały szerokie aleje wysadzone drzewami. W willi Spada było inaczej. Trasę spacerów wyznaczały szlachetne bukszpany, ligustry i akanty.

Mroczone pergole, o cienione sklepieniami z gałęzi drzew, prowadziły oniemiałych z podziwu gości do miejsca krzyżowania się alejek. Rzędy starannie przyciętych wawrzynów, wysokości siedmiu, a nawet piętnastu piędzi, szły w zawody z dębami, krzewami mirtu w kształcie parasoli i głów cukru, z efemerycznymi drewnianymi konstrukcjami pokrytymi płaszczem zieleni i rzędami kolumn oplecionych girlandami kwiatów, stanowiących oprawę dla zespołu muzyków. Nieliczna orkiestra smyczkowa słała w eter dźwięki melodyjnego kontrapunktu, radosne tremola i pizzicata, które zdawały się zapowiadać zabawę w ciuciubabkę, zaplanowaną na popołudnie.

Udałem się do miejsca położonego kilka metrów od podium dla orkiestry, gdzie miałem podawać gościom soki z owoców cytrusowych, kroić chleb, ustawiać fotele i być do dyspozycji ich ekscelencji i eminencji.

Zaledwie tam dotarłem, zabrałem się energicznie do szykowania i po-

dawania gościom napojów, uwijając się jak pracowita pszczołka fruująca z kwiatka na kwiatek.

Wypełniwszy swój obowiązek, zająłem miejsce obok drewnianej kolumny. Przy pozostałych stali jak słupy soli, niczym żona Lota, inni służący. Pod zadaszeniem z lnu w biało-niebieskie pasy goście kardynała Spady głośno rozmawiali, sprzeczekali się i śmiali, na stojąco lub siedząc w fotelach. Nieopodal kilku monsiniorów w średnim wieku, którym zaschło w gardle od mówienia, gasiło pragnienie lemoniadą.

Uświadomiłem sobie, że dopisało mi szczęście, byli to bowiem ci sami panowie, którzy podczas spotkania akademików dyskutowali o projekcie reformowania straży miejskiej. Wszystko wskazywało na to, że kontynuują podjętą wcześniej rozmowę.

- ...Teraz wszystko się zmieni.

- To pomysł sprzed dwudziestu lat! Niemożliwe, żeby chcieli wprowadzić go w życie!

- Wydaje się, że to uczynią. Mówił mi o tym mój brat, który jest audytorem Roty i przyjacielem kardynała Cenciego.

- Przecież Cenci nic nie wie.

- Wie, wie. Pewne osoby wszystko wiedzą. Najwyraźniej nadeszła już pora. Jeśli papież będzie żył jeszcze kilka miesięcy, reforma zostanie przeprowadzona.

Zacząłem uważniej przysłuchiwać się rozmowie, wyęzając słuch jak Diana tropiąca jelenia.

- I słusznie - powiedział pierwszy dostojnik. - Żaden z nas nigdy nie miał okazji zobaczyć, jak nocą żandarmi wchodzą do karczmy albo do knajpy, bo wtedy śpimy. Wszystkim jednak wiadomo, że żandarmi upijają się, awanturują, a później wychodzą, nie mówiąc nawet „dobranoc”. A jeśli karczmarz poprosi ich, by zapłacili, plują mu w twarz, jakby popełnił zbrodnię obrazy majestatu, traktują go gorzej niż mordercę, a następnego wieczoru wracają, żeby się zemścić. Sprowadzają do karczmy nierządnicę albo szulerów, którym każą grać znaczonymi kartami. Później zjawiają się jak gdyby nigdy nic, przeprowadzają kontrolę, znajdują karty i wszystkich wsadzają do więzienia: karczmarza, oszustów, nierządnicę i niewinne osoby obecne w gospodzie. Dla karczmarza i jego rodziny oznacza to ruinę.

- Wiem, wiem - odparł drugi rozmówca. - Chwyty stare jak świat.

- To nie wszystko - ciągnął pierwszy monsinior. - Żandarmi wy-



łudzącą dziesięcinę, „napiwek”, jak go nazywają, nie tylko od kupców i wędrownych sprzedawców, ale też od artystów, nawet od prostytutek. Wynajmują pokoje w gospodach, aby później odnając je za wyższą cenę nierządnicom, i w ten sposób zarabiają dwukrotnie. Jeśli nie chcą się zgodzić, tracą przywileje.

- Przywileje? - powtórzył drugi dostojnik nieco zdziwiony.

- Protegowane żandarmów mogą pracować, proszę mi wybaczyć nieodpowiednie słowo, także podczas świąt. Pozostałe nierządnice podlegają kontroli i zobowiązane są do odpoczynku podczas świąt, jak każde prawo. Tracą więc możliwość zarobku.

- Niebyle! - skomentował rozmówca, wycierając czoło chusteczką obszytą białą koronką. W jego głosie pobrzmiwała ciekawość, zaskoczenie i odrobina podniecenia.

- Chodźmy! - powiedział pierwszy dostojnik. - Przyjrzymy się zabawie w ciuciubabkę.

Podnieśli się z foteli, w geście uprzejmej zażyłości wzięli się pod rękę i udali w stronę murów graniczących z posiadłością Barberinich. Następnie skręcili w lewo, zapewne do lasku, gdzie odbywała się zabawa.

Rozejrzałem się wokół. Nie mogłem się ruszyć i mimowolnie opuścić miejsca, gdzie stałem, bo don Paschatio na pewno by się o tym dowiedział. Zarządca zwolnił mnie od obowiązków pod warunkiem, że w nagłych sytuacjach, kiedy brakuje personelu, będę do jego dyspozycji. Gdybym zasilił szeregi dezertarów, mógłbym mieć kłopoty. A gdyby dowiedział się o tym kardynał Spada, straciłbym pracę albo, w najlepszym razie, cofnąłby mi zgodę na służbę u Arta.

Prowadząc te pesymistyczne rozważania, znalazłem rozwiązanie problemu. Pewna dama z francuskim dekoltem u sukni i białym woalem na ramionach odbierała z rąk służącego szklany kielich z sokiem z czerwonych pomarańczy. Obok niej stał markiz Della Penna, czekając na swoją kolej. Szybko sięgnąłem po karafkę z lemoniadą, aby obsłużyć markiza.

- Ależ chłopcze... Co robisz!

W pośpiechu specjalnie potrąciłem mojego kolegę, który wylał czerwony sok na śnieżnobiały woal damy.

- Och, cóż ze mnie za niezdara! Proszę o wybaczenie! Trzeba to na tychmiast wyprać! Już biegnę! - zawołałem, zrywając z ramion damy woal i kierując się do pałacu. Uczyniłem to tak szybko, że nie zdążyła za reagować. Nauki Atta, mistrza w aranżowaniu wypadków, dały swój pierwszy wynik.

Przekazałem woal pokojówce, prosząc, by go wyprała i oddała mnie osobiście. Dzięki temu zyskałem pretekst, by oddalić się od pawilonu.

Kilka minut później idąc śladem dwóch monsiniorów, znalazłem się niedaleko lasku. Zastanawiałem się, jak to zrobić, żeby podsłuchiwać, nie będąc widzianym. Dostrzegłem ich spacerujących alejką wysadzaną bukszpanowym i wawrzynowym żywopłotem, rozmawiających z ożywieniem. Ucieszyłem się na myśl o rozwiązaniu, które podsunęły mi stare, sprawdzone metody mistrza Tranquilla Romaulego. Otóż miał on zwyczaj strzyc żywopłoty obok posągów nisko, a im dalej od nich, tym wyżej. Postanowiłem ukryć się za nimi. Mogłem stamtąd widzieć głowy osób stojących po drugiej stronie.

Zatrzymałem się za gęstym żywopłotem, gotowy do podsłuchiwania, gdy nagle przestraszył mnie czyjś głos.

- A kuku! Wiem, że tu jesteś, psotnico!

- Hi, hi, hi! - zaśmiała się kobieta.

Wyższy penitencjariusz, kardynał Colloredo, szedł po omacku, niezgrabnie, z oczami przewiązаныmi szeroką czerwoną opaską, z wysuniętymi przed siebie rękami. Palce kardynała - środkowy i serdeczny - zdobyły pierścienie wysadzone topazami i rubinami.

Opodał młoda dziewczyna wysokiego urodzenia, w pięknej kremowej sukni i szmaragdowym naszyjniku, ukrywała się przed Colloredem za pniem drzewa.

- Nie liczy się! Wasza Eminencja nie przestrzega reguł gry! - za wołała, kiedy kardynał, udając, że wyciera pot z czoła, podglądał spod opaski.

W tej samej chwili zza krzaków wyskoczył szlachcic w okazałej francuskiej peruce, w którym bez cienia wątpliwości rozpoznałem markiza Andree Santacroce. Opasał dziewczynę ramionami, mocno przyciskając tors do jej pleców, i namiętnie pocałował w kark, jak gąsior, który podczas kopulacji zmysłowo gryzie swoją partnerkę.

- Jest pan szalony! - zaprotestowała dziewczyna, próbując uwolnić się z objęć markiza. - Ktoś może nas zobaczyć.

W tej samej chwili w pobliżu pojawił się drugi mężczyzna z przewiązаныmi oczami i inni uczestnicy zabawy, których usiłował złapać.

Markiz Santacroce zniknął tak szybko, jakby się rozwiął w powietrzu. Młoda dama posłała mu tęskne spojrzenie.

Przykucnąłem za żywopłotem, drżąc na myśl, że ktoś mógłby mnie zauważyć i oskarżyć o podglądanie potajemnych kochanków.

- Wiem, że tu jesteście! - zawołał radośnie przewodniczący urzędu żywności, monsinior Grimaldi, z żółtą opaską na oczach.

Miał przed sobą grupkę osób, które prowokowały go, trzymając się w bliskiej odległości, ale nie dając się złapać. Damy muskały go wachlarzami, mężczyźni łaskotali po brzuchu, aby w jednej chwili umknąć, chowając się za drzewem nieszpułki lub czereśni, to znów za tymi dziwnymi egzotycznymi drzewami. Mam na myśli palmy, które Pius IV kazał posadzić w ogrodzie naprzeciw willi Pia, a potem rozprzestrzeniły się w całym Rzymie. Grimaldi skoczył szybko do przodu, pewien, że schwycił osobę stojącą najbliżej, czyli kardynała wikariusza Gaspare Carpegnę, a tymczasem trafił nosem w pień palmy, budząc głośny śmiech całej grupy.

Kardynał wikariusz, który o mały włos nie został złapany, oparł się zadowolony o murek. W tym samym momencie trysnęła nań woda, mocząc mu twarz, szyję i fioletową pelerynę. Na ten widok wszyscy zgromadzeni wybuchnęli gromkim śmiechem.

Pragnąc urozmaicić zabawę, kardynał Spada polecił ukryć w ogrodzie urządzenia wodne, uruchamiane niechący przez niczego nieświadomych gości. Za lada dotknięciem tryskały z nich strumyczki lub strumienie wody, ku uciechu rozweselonych gości. Murek, o który oparł się kardynał Carpegna, naciskając niechący dźwignię, w rzeczywistości był drewnianą ścianą z namalowanymi ceglami. Za nią ukryty był mechanizm hydrauliczny, zakończony dyszą wycelowaną w przypadkowego gościa.

- Carpegna sądził, że wyszedł z opresji cało, a tymczasem... go obsikało! Cha, cha, cha! - śmiał się kardynał Negroni.

W tej samej chwili zawadził nogą o sznurek i wylał na siebie wiadro wody, umieszczone na gałęzi nad jego głową.

Spowodowało to kolejny wybuch śmiechu. Korzystając z zamieszania, już miałem zrezygnować z podsłuchiwania i wrócić do pałacu, kiedy usłyszałem rozmowę dwóch interesujących mnie dostojników, którzy przyglądali się wesołej zabawie. Na szczęście mnie nie zauważyli.

- Żandarmi chronią zbiegów i dezertów - stwierdził pierwszy z nich, podchodząc do fontanny - a wsadzają do więzienia za zwykle długie. Nie mówiąc o tym, że niektórzy aresztowani trafiają do więzienia półżywi. Zgodnie z doktryną tortury można stosować na końcu, a nie na początku postępowania sądowego.

- A nielegalne aresztowania? Nikt o nich nie mówi, ale zdarzają się bardzo często. Ludzie bywają aresztowani w środku nocy, przesłuchiwa-

ni, bici i zamykani w celach bez żadnego powodu. Dopóki tak się rzeczy mają, pielgrzymi i cudzoziemcy będą opuszczać Rzym zgorzeleni, w przekonaniu, że za przestępstwa żandarmów odpowiedzialne są osoby stojące na czele urzędów publicznych.

- Tak, papież, sekretarz stanu, gubernator... - dodał drugi kardynał, zatrzymując się przy fontannie i podziwiając kwiaty u stóp Trytona: nenufary, żółte kaczęce i białą koniczynę.

- Właśnie! I będą o tym opowiadać w innych krajach, okrywając niestawą Stolicę Apostolską.

Dłuższe ukrywanie się za bukszpanowym żywoplotem, mimo że dość gęstym i wysokim, było ryzykowne. Obląłem się zimnym potem na myśl, że natknie się na mnie któryś z uczestników zabawy w ciuciubabkę, kiedy przypadkowo skręci w moją alejkę. Starając się nie robić hałasu, odbiegłem na palcach, napinając tak mocno mięśnie, że złapały mnie kurcze w łydkach.

Nagle zamarłem z przerażenia: żywoplot skręcał w lewo, a ja znalazłem się na otwartej przestrzeni. Przez czysty przypadek dwaj dostojnicy kościelni byli w tym momencie odwróceny do mnie plecami. Poczulem się bezbronny jak wieprz na progu rzeźni. Pospiesznie schowałem się za rzędem jaśminów. Kardynałowie przerwali rozmowę i zdumieni spojrzeli w moją stronę. Pochyliłem głowę i udałem, że się modłę.

Podniosłem wzrok. Nie patrzyli na mnie, lecz na krzak, który w niepojęty sposób truchtał w kierunku kardynała Nerlego - osobnika powszechnie znieawidzonego. Z daleka przyglądaliśmy się scenie. Nerli z przewiązanymi oczami podążał za jakąś damą.

W pewnej chwili z ruchomego krzaka wysunęła się rurka, z której trysnęła woda prosto na Nerlego. Kardynał krzyknął ze strachu i wśród wybuchów śmiechu zerwał opaskę z oczu. Był błądy jak ściana.

- Świetny żart, Wasza Eminencjo - powiedział członek Świętego Kolegium, szczerze ubawiony.

- Och, doprawdy, wspaniały dowcip - stwierdziła jedna z dam. - Naprawdę przezabawne urządzenie, doskonale pomyślane.

Zawstydzony i poirytowany kardynał nie wydawał się podzielać tej opinii.

- Wasza Eminencjo, proszę się nie złościć - powiedziała inna dama. - Proszę założyć opaskę na oczy i bawić się dalej.

Zatopiwszy spojrzenie najpierw w morzu zieleni, a następnie w słodko uśmiechniętym obliczu damy, kardynał Nerli rozchmurzył się. Piękno

ogrodu ukoilo jego ducha, a zapach kwiatów - umysł i serce. Dostojnik pozwolił przewiązać sobie oczy i beztroska zabawa toczyła się dalej.

Dwaj kardynałowie z niemym wyrzutem spoglądali na te igraszki i swawole. Upewniłem się, że jaśmin, za którym się schroniłem, jest prawdziwy i nie ma nóg. Po chwili monsiniorzy podjęli przerwany spacer i oddalili się od rozbawionych gości. Przeszli w milczeniu pod pergolami skonstruowanymi z belek i kolumn. Porośnięte pnączami przypominały zielone niebo. Idąc dalej, podziwiali drzewa brzoskwiń i gruszy, karczochy, drzewka cytrynowe, migdałowce, cyprysy i dęby, które swą urodą zaskakiwały zwiedzających. Jak nauczał Leon Battista Alberti, nie ma piękna bez tajemnicy. Ja zaś, przeskakując od bukszpanu do drzewka cytryny, szedłem za kardynałami, słuchając, o czym mówią.

- Wróćmy do naszej rozmowy - powiedział jeden z kardynałów, zebrawszy się na odwagę po wysłuchaniu argumentów swojego rozmówcy. - To wszystko prawda, Wasza Eminencja ma rację, powiem więcej: z powodu brutalności żandarmów, a także ich nieudolności sądy i rejestry cywilnych notariuszy pełne są nierozwiązanych spraw. Kiedy w końcu złapią kogoś, kto powinien znaleźć się za kratkami, obchodzą się z nim bardzo brutalnie, zapominając o zgromadzeniu dowodów. Dzięki temu obrońcy bez trudu otrzymują dla swego klienta wyrok w zawieszeniu albo wręcz umorzenie postępowania. Co do reformy, nie wiązałbym z nią zbyt wielkich nadziei. Eminencja wie lepiej ode mnie, że z żandarmami trudno się porozumieć.

- To prawda, nie mówimy jednak o żandarmach, ale o najzwyczajniejszych złodziejach, opłacanych przez Kamerę Apostolską! Każdy z nich przed wstąpieniem na służbę jest bardzo biedny. Pensje mają bardzo niskie: kapral zarabia sześć skudów, a zwykły żandarm cztery i pół. Przyjmijmy, że za dodatkową uczciwą pracę kapral dostanie jeszcze trzy skudły miesięcznie, a żandarm dwa.

- Założmy.

- Jak w takim razie wytłumaczyć to, że niedługo po podjęciu pracy zapełniają swoje domy luksusowymi sprzętami, a ich żony stroją się w suknie od najlepszych krawców i obwieszają klejnotami? Pod tym względem mogłyby konkurować z wielkimi damami. Nieżonaci otaczają się nierządnicami, nie gardzą hazardem, popełniają grzech obżarstwa i opilstwa - można bez obawy o popełnienie ryzyka powiedzieć, że mają na sumieniu wszelkiego rodzaju rozpustę. I czterdzieści skudów mie-

siecznie nie wystarczyłoby, żeby za to wszystko zapłacić. To oczywiste, że te dodatkowe pieniądze pochodzą z kradzieży.

- Też tak sędzę.

Z oddali dobiegały wołania dam, które chciały skończyć zabawę, nieco ochłonać i odpocząć przed kolacją. W poszukiwaniu spokoju dwaj kardynałowie weszli na teren sekretnego ogrodu. Zaczekałem, aż znikną wśród wiązów i topól, po czym podążyłem za nimi i przyczałem się za szpalerem winorośli.

- Na czym dokładnie polega ta reforma?

- To proste. Po pierwsze, chodzi o to, by za pomocą specjalnej bulli znieść wszelkie stopnie nadawane żandarmom zatrudnionym w straży miejskiej i w sądach, zarówno w Rzymie, jak i na prowincji, takie jak porucznicy, kaprale, lansjerzy, kanclerze i tym podobne.

- Wasza Eminencja jest zbytnim optymistą, jeśli sądzi, że Ojciec Święty zatwierdzi podobną reformę, zważywszy na obecny stan jego zdrowia.

- Przekonamy się. Ale jeszcze nie skończyłem. Po drugie, zmniejszyć liczbę żandarmów o około dwustu. Po trzecie, do dyspozycji przewodniczącego urzędu sprawiedliwości przydzielić żandarmów sądowych, co do tej pory nie było stosowane. Co się tyczy patroli i aresztowań, żandarmom pomagać będą żołnierze, jak się to praktykuje w wielu królestwach i republikach.

- Kto zastąpi zwolnionych żandarmów?

- Wojsko.

Wracając do pałacu po uprany woal damy, rozmyślałem o podsłuchanej rozmowie.

Wiedziałem, że żandarmi są nieuczciwi i godni pożałowania. Nie sądziłem jednak, że obrońcy prawa dopuszczają się tylu niegodziwości. Niewątpliwie byli skorumpowani, ale na tym nie koniec. Przewinienia były na tyle poważne, że wypaczały literę prawa i doprowadzały do nadużyć.

Przypomniał mi się Waligóra, który namawiał kolegów do śledzenia cerretan. Zastanawiające było to, że usiłowali rozpracować tajemnice sekt żebraczych, a sami zadawali sobie tyle trudu, by ukryć własne, jeszcze gorsze przewinienia.

Waligóra dowiódł, że stosuje nielegalne metody: fałszowanie protokołów, bezpodstawne aresztowania, oszustwa, groźby wobec przesłuchi-

wanych osób. Bez zmruczenia powieki bezprawnie wsadził do więzienia Rudzielca. Wszystko to służyło szczytnemu celowi, jakim było zwalczanie cerretan i odnalezienie rękopisu opata Melaniego, lunety i relikwii. W myśl zasady: każda metoda jest do zaakceptowania, jeśli pozwala dojść prawdy.

Udałem się do apartamentu Atta. Oczekiwał mnie,

- Nareszcie! Gdzie ty się podziewałeś?! - zawołał.

W pokoju obecny był również Buvat - smarował opatowi ramię maścią.

Zrelacjonowałem Melaniewi wszystko, czego byłem świadkiem, włącznie z wydarzeniami poprzedzającymi pościg za Cezarem Augustem, oraz to, o czym nie miałem mu jeszcze okazji opowiedzieć, czyli o rozmowie z Mistrzem Kwaciarem i rozpacz Albaniego po utracie bileciku. Wspomniałem też o zamieszaniu wywołanym kłótnią Atta z Albanim, w wyniku której sekretarz papieskich brewe pozbył się niewygodnej opinii zwolennika *Francuzów*.

Na twarzy Melaniego, słuchającego mojej relacji, odmalowało się najpierw zaciekawienie, później rozbawienie, na koniec głęboka zaduma.

- Tranquillo Romauli jest więc gotów spotkać się ze mną. Bardzo dobrze, świetnie. Powiedział, że przed rozmową z nim powinienem zdobyć wszystkie potrzebne informacje. O co mu chodzi? Chyba nie jest zwolennikiem cesarza?

- Panie opacie - wtrącił Buvat - proszę o wybaczenie, ale przyszła mi do głowy pewna myśl.

- Co takiego?

- Że Tetrachion, o którym wspomniał Romauli, jest herbowym kwiatem jakiegoś rodu. W szlacheckich herbach figurują dziwne stworzenia: smoki, gryfy, syreny, jednorożce. Możliwe więc, że w podobnym celu wykorzystywane są rośliny.

- Masz rację! Że też sam na to nie wpadłem! - wykrzyknął Melani, ocierając się posmarowanym maścią ramieniem o surdut nieszczęsnego sekretarza. - Tym bardziej to prawdopodobne, że Romauli zna się na kwiatach. Jest pan geniuszem, Buvat! Może Romauli chce, żebym stawił się na spotkanie, wiedząc, herbem którego rodu jest Tetrachion, ponieważ nie chce wymieniać nazwisk.

- Z niego wywodzi się następca tronu Hiszpanii, jak mówiła poko-

jówka ambasadora Uzedy - podpowiedziałem. - Ale dlaczego Capitor nazwała tacę imieniem herbowego kwiatu?

- Nie mam pojęcia, chłopcze - odparł Melani z ożywieniem. - Być może wyjaśni się to po rozmowie z Romaulim.

Opat polecił sekretarzowi przejrzeć wszystkie dostępne herbarze i odszukać herb, który ma w swym godle kwiat o nazwie Tetrachion.

- Niech pan zacznie od biblioteki kardynała Spady. Z pewnością znajdzie pan tam pracę Pasquala Alidosiego na temat drewnianych tarcz herbowych, jak również bardziej aktualne dzieło Dolfiego. Potem popracuje pan nad tą drugą sprawą.

- Kazał mi pan przepisać pańską odpowiedź na list pani konstablowej Colonny.

- To może poczekać.

Po wyjściu Buvata, niezadowolonego, że musi wziąć się do pracy (o tej porze miał zwyczaj odpoczywać przy butelce wina), opat uprzedził moje pytanie, czym jeszcze zajmował się w tych dniach jego sekretarz.

- Przejdźmy od *vegetabilia* do *animalia*. Zatem Albani martwi się z powodu papugi - powiedział, nawiązując do mojej relacji. - Tym go rzej dla niego.

- Co pan myśli o komentarzach dotyczących jego osoby?

Atto popatrzył na mnie w milczeniu.

- Musimy mieć baczenie na wszystko, niczego nie wolno pominąć - stwierdził po chwili.

Przytaknąłem, nie wiedząc, co miał na myśli. Zdanie było tak ogólne, że mogło oznaczać wszystko i nic, jak większość stwierdzeń o charakterze politycznym. Melani nie wypowiedział się na temat nowego wizerunku politycznego Albaniego. Być może - pomyślałem - po prostu nie wiedział, do czego miałyby to doprowadzić, ale nie chciał się przyznać.

Okazało się jednak, że, jako człowiek słabo zorientowany w sprawach państwa, myliłem się.



# Wieczór piąty

11 lipca 1700 roku

Opat był mi winien wyjaśnienie: czy hrabina S., tajemnicza trucicielka, o której wspomniała wdowa po konstablu w liście do niego, to hrabina de Soissons, siejąca niezgodę między Marią a młodym królem? Kim była? Gdy o to zapytałem, Melani udał, że nie słyszy, i ciągnął swoją opowieść, nie udzielając mi odpowiedzi.

Gdy Atto jadł kolację w ogrodach willi w towarzystwie znakomitych gości, znowu przeszukałem jego brudną bieliznę i znalazłem tajną korespondencję z panią konstablową. Pakiecik przewiązany był wstążką. Ku mojemu zdziwieniu brakowało listu Marii Mancini oraz odpowiedzi opata, która, jak przed chwilą słyszałem, nie została jeszcze wysłana. Gdzie podziały się obydwie listy?

Przystąpiłem do przeglądania sprawozdań. Poprzednim razem czytałem o nieszczęsnym królu Hiszpanii Karolu II. Być może mógłbym znaleźć inne informacje o hrabinie S., a także dowiedzieć się, czy miała jakiś związek z opatem Melanim. Zacząłem od relacji wdowy po konstablu, opatrzonej przez Atta cyfrą dwa.

## UWAGI NA TEMAT SYTUACJI W HISZPANII

*Zważywszy na stan zdrowia Katolickiego Króla oraz brak potomka, w Madrycie pomyślano o czarach. Mówi się o nich od dawna. Dwa lata temu el Rey we własnej osobie zwrócił się do wpływowego inkwizytora generalnego Tomasa Rocabertiego.*

*Inkwizytor skontaktował się ze spowiednikiem Jego Wysokości, dominikaninem Froilanem Diazem, a następnie z drugim dominikaninem, Antoniem Ahdrezem de Argüellesem, skromnym przewodnikiem duchowym klasztoru w dalekiej Asturii i wybitnym egzorcystą.*

*Wiść niesie, że kiedy Arguelles otrzymał Ust od Rocabertiego, o mało nie zemdał. W swoim liście inkwizytor generalny szczegółowo opisał sytuację i poprosił egzorzystę, żeby dowiedział się od diabła, jaki czar został rzucony na króla.*

*Arguelles nie dał się dwa razy prosić. Wezwał do kaplicy mniszkę, którą uwolnił kiedyś od mocy szatana. Polecił jej położyć rękę na ołtarzu i wypowiedział stosowne zaklęcia.*

*Przez usta zakonnicy przemówił zły. Powiedział, że w wieku 14 lat król Karol padł ofiarą czarów. Napój, który mu podano, spowodował destruendam materiam generationis in Regę et ad eum incapacem ponendum ad regnum administrandum, czyli uczynił go bezpłodnym i niezdolnym do rządzenia.*

*Argüelles spytał następnie, kto rzucił urok na króla. Ustami mniszki diabeł odparł, że napój sporządziła kobieta o imieniu Casilda, która pobrała szkodliwy płyn z kości zabitego skazańca i wymieszała go z czekoladą podaną królowi.*

*Istniał jednak sposób, by zwalczyć zły urok: el Rey powinien pić raz dziennie, na czczo, pół kwarty święconego oleju.*

*Natychmiast przystąpiono do działania. Ledwo jednak Karol przelknął odrobinę oleju, dostał takich mdłości, że cały oddział zakonników, egzorzystów i lekarzy obawiał się najgorszego. Ograniczono się więc do stosowania oleju zewnątrz i odtąd smarowano nim głowę władcy, klatkę piersiową, plecy i nogi. Następnie wypowiadano wymagane zaklęcia i modlitwy.*

*Rok temu Rocaberti niespodziewanie zmarł. Wszyscy byli przeświadczeni, że to zemsta szatana. Froildn Diaz, spowiednik króla, został sam. Nieoczekiwanie nadeszła pomoc z Wiednia, gdyż cesarz Leopold osobiście zainteresował się sprawą. W stolicy cesarstwa miało miejsce niezwykle zdarzenie: w kościele Świętej Zofii pewien chłopiec, opętany przez złe duchy i poddany egzorcyzmom, oznajmił, że Katolicki Król Hiszpanii padł ofiarą czarów. Chłopiec (albo duchy przemawiające jego ustami) powiedział też, że narzędzia magii zostały ukryte w pałacu królewskim w Madrycie.*

*W stolicy Hiszpanii podjęto gorączkowe poszukiwania. W komnatach królewskich odbijano deski, futryny, rozbierano przepierzenia, zrywano marmurowe płyty. Znalaziono kilka lalek i papierowe zwoje.*

*Nikt nie miał wątpliwości, że lalki były fetyszami, służącymi do rzucaenia złego uroku. Nie wiedziano natomiast, co było napisane na zwojach papieru.*

*Cesarz wysłał do Madrytu kapucyna, słynnego egzorcystą, którego zadaniem było uwolnienie komnat el Reya od złego uroku. Sprawy się jednak skomplikowały. Dzień w dzień donoszono o kolejnych czarach i zatrudnianiu kolejnych egzorcystów. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, zapanowała atmosfera grozy i napięcia. Doszło nawet do tego, że pewna szalona kobieta stawiała się w palacu, głośno krzycząc, i nikt nie odważył się jej aresztować, z obawy, że była wystanniczką szatana.*

*Obląkana zdołała przedostać się przez kordon straży i dotrzeć do apartamentów królewskich, wołając, że el Rey padł ofiarą czarnej magii, że rzucono na niego zły urok za pomocą tabakierki, a sprawczynią była jego żona.*

*Wiele osób uwierzyło w te rewelacje, ponieważ druga żona króla, Marianna de Neuburg, miała podły charakter i niekiedy zachowywała się jak obląkana.*

*Jeśli Karol odmawiał jej jakiegoś podarku, twierdziła, że tak naprawdę był on przeznaczony dla kogoś, kto potrafi się zemścić i rzucić zły urok (którego el Rey bardzo się bał), skazując króla nie na śmierć czy chorobę, ale na rozplynięcie się w nicości. Katolicki Król, drżąc ze strachu, zawsze ustępował.*

*Kiedy rozeszła się wieść o czarach i egzorcyzmach, królowa postanowiła rozprawić się z osobą odpowiedzialną za całe zamieszanie, którą jej zdaniem był nieszczęsny Froildn Diaz. Spowiednik króla został aresztowany, zdołał jednak uciec. Zatrzymano go w Rzymie i odesłano do Hiszpanii.*

*Teraz, w roku jubileuszu, w Madrycie niemal codziennie spotyka się ludzi opętanych, szalonych i czarownice. Krzyczą, wrywają sobie włosy z głowy, tarzają się na oczach przerażonych przechodniów po ziemi. Wydaje się, że nic nie uratuje króla i jego małżonki, a przede wszystkim honoru królestwa przed hańbiącymi atakami opętanych.*

*El Rey, zmęczony tym straszliwym chaosem, odczuwa wyrzuty sumienia, wstyd i głęboki smutek. Coraz częściej odwiedza kryptę w Eskuria-lu, każe otwierać trumny z ciałami swoich przodków, żeby przyjrzeć się ich twarzom, ale czyniąc to, skazuje nieboszczyków na rozsypanie się w proch. Kiedy otworzono trumnę z ciałem pierwszej żony, Marii Luizy Orleańskiej, król w akcie rozpaczycy objął nieboszczkę i chciał wyjąć ją z trumny, nie bacząc, że jej ciało rozsypuje mu się w rękach. Wyprowadzony siłą z krypty, wołał imię Marii Luizy i lkając, powtarzał, że wkrótce połączy się z nią w niebie.*

*Pod tym względem król jest prawdziwym Habsburgiem. Joanna Obląkana, matka Karola V, po śmierci męża, Filipa I Pięknego, dostała pomieszania zmysłów i do końca życia przebywała w zamknięciu. Okrywała całunem swoje nagie ciało, zamykała się w trumnie i słuchała mszy żalobnej. Filip II spał obok swojej trumny, w koronie na głowie. Filip IV, podobnie jak jego syn, odwiedzał kryptę w Eskurialu i każdej nocy spał w innym miejscu.*

*Królowa Marianna też jest zrozpaczona. Uważa, że gdyby zaszła w ciążę i urodziła męskiego potomka, zaświeciłby dla niej promyk nadziei. Od dwóch lat królowa odbywa specjalną kurację, zaordynowaną przez zakonnika z Jeruzolimy, który ma swobodny dostęp do jej komnat.*

*Dokładnie nie wiadomo, na czym ta kuracja polega. Wieść niesie, że pewnego dnia zakonnik w modlitewnym uniesieniu podskoczył, a królowa (która leżała w pościeli) tak się przestraszyła, że spadła z łóżka. To dziwne zdarzenie tak bardzo zaniepokoiło dwór, że zakonnik musiał natychmiast opuścić pałac. Przypuszcza się, że królowa, pragnąc za wszelką cenę zająć w ciążę, uległa cielesnej pokusie.*

*Niestety, jest to możliwe. Królowa, rozgoryczona, rozczarowana małżeńskim pożyciem, przybita ponurym nastrojem panującym na dworze, mogła się dopuścić wiarołomstwa. Szuka zrozumienia u swoich niemieckich przyjaciół. Pisze list za listem i tonem usprawiedliwienia wyjaśnia przyczyny szaleństwa panującego w królestwie — niegdyś największego na świecie, obecnie budzącego powszechny śmiech i współczucie.*

*Pisze jednak na próżno. Pod wpływem cierpienia nie potrafi przelać swoich myśli na papier. Podobno najczęściej pisze do landgrafa Hessen, ale on jej nie odpisuje. Mówi, że listy Marianny są wytworem chorego umysłu, bezsensownym zlepkiem słów, jakby je pisał szaleniec bląkający się nocą po ulicach Madrytu.*

Tymi słowami kończyło się sprawozdanie pani konstablowej, dopełniające wizerunek nieszczęsnego Katolickiego Króla.

Nie odnalazłem dwóch ostatnich listów. Widocznie opat odłożył je w inne miejsce. Zastanawiałem się, dlaczego to uczynił. Czyżby domyślał się, że szperam w jego rzeczach?

Przejrzałem papiery Buvata - bez rezultatu. Przeszukałem więc jego ubrania. W kieszeniach spodni znalazłem dziwny plik niestarannie złożonych kartek, z których każda wypełniona była inną literą alfabetu. Jedna kartka zapisana była samogłoską e, druga - o, na następnej widniała

litera y, na dwóch kolejnych / i R. Zdziwiony, przewracałem stronicę przypominające wprawki w pisaniu. Pismo było niestaranne, koślawe i niepewne. Roześmiałem się w duchu na myśl, że przed przystąpieniem do wypełniania obowiązków sekretarza Buvat, trzeźwiejąc po pijaństwie, ćwiczę drżącą rękę w sztuce pisania. Było to bardzo prawdopodobne, gdyż podczas uroczystości weselnych w willi Spada pijaństwu oddawali się nie tylko znakomici goście, ale także towarzyszące im osoby.

W kieszeni surduta znalazłem listy, których szukałem. Uspokoilem się. Opat Melani przekazał je zapewne Buvatowi z poleceniem sporządzenia kopii odpowiedzi do pani konstablowej. Przystąpiłem do lektury. Wbrew oczekiwaniom list Marii Mancini zamiast rozwiać moje wątpliwości jeszcze bardziej je pogłębił.

*Drogi Przyjacielu!*

*Gorączka nie ustępuje i jest mi naprawdę przykro, że muszę opóźnić przyjazd do willi Spada. Lekarz zapewnił mnie, że za dwa dni będę mogła wyruszyć w podróż.*

*Tu cały czas napływają wiadomości. Karol II zwrócił się do papieża z prośbą o mediację. Nieszczęsny Katolicki Król znalazł się w potrzasku. Jak już wspominałam, poprosił kuzyna Leopolda I, aby przysłał do Madrytu swojego młodszego syna, piętnastoletniego arcyksięcia Karola. El Rey pragnął widzieć go w swoim pałacu. Z rozkazu króla w porcie w Kadyksie na arcyksięcia miała czekać eskadra okrętów. El Rey mianuje go z pewnością swoim następcą. Gdy Arcychrześcijański Król się o tym dowiedział, za pośrednictwem ambasadora Harcourta poinformował el Reya, że jego decyzję traktuje jako formalne zerwanie pokoju. Na dowód, że nie żartuje, kazał wyszykować flotę w Tulonie, znacznie większą od hiszpańskiej. Okręty w każdej chwili mogły podnieść kotwicę i zaatakować statek z arcyksięciem na pokładzie. Leopold nie chciał narażać syna na niebezpieczeństwo. El Rey zaproponował więc, żeby wysłał młodego Karola na hiszpańskie tereny we Włoszech. Leopold waha się: po wieloletnich walkach z Turkami cesarstwo nie chce kolejnej wojny. Król Francji wie o tym.*

*Arcy chrześcijański Król zrozumiał, że nadszedł czas, by zadać decydujący cios. Chcąc wystraszyć Hiszpanów, miesiąc temu ujawnił tajemny pakt o podziale Hiszpanii, zawarty przed dwoma laty z Holandią i Anglią. Na wieść o tym przerażona para królewska czym prędzej powróciła do Eskurialu. Królowa wpadła w szal i porozbijala wszystko w swojej*

komnacie. Nawet ja nie zdołałam jej uspokoić. Cały dwór jest w pogotowiu. Rada Grandów boi się Francji i gotowa jest przyjąć wnuka Arcychrześcijańskiego Króla jako następcą tronu, aby uspokoić Francuzów.

El Rey napisał do swojego kuzyna Leopolda do Wiednia, dziękując mu, że nie przystąpił do paktu o rozbiórce, i prosząc, żeby tego nie czynił w przyszłości.

Proszę mi wybaczyć, Przyjacielu, że wspomniałam o faktach, które są Panu znane, ale sytuacja jest bardzo poważna. Jeśli Jego Świątobliwość Innocenty XII nie zdoła przywołać do porządku Arcychrześcijańskiego Króla, wszyscy marnie skończymy.

Czy Ojciec Święty będzie się czuł na siłach, by spełnić tę delikatną i niewdzięczną misję? Wszystkim wiadomo, że jest ciężko chory i w każdej chwili może umrzeć. Słyszałam, że papież nie ma ochoty zajmować się tą sprawą. Czy wie Pan coś na ten temat? Podobno Ojciec Święty zobojętniał na wszystko i na każde pytanie odpowiada: „Cóż możemy na to poradzić?” Kiedy czuje się trochę lepiej, powtarza: „Pozbawia się nas godności należnej Wikariuszowi Chrystusa i zaniedbuje nas”.

Byłoby wielką niegodziwością, gdyby ktoś ośmielił się wykorzystać chorobę Jego Świątobliwości.

Pochwalam, Sylwiuszu, oddawanie czci bogom, ale nie pochwalam nadprzykrzania się ich kapłanom.

Na koniec, drogi Sylwiuszu, pochylony przed tą, której jesteś panem, jeśli pragniesz być sługą Dorindy, wyprostuj się na dany przez nią znak.

Gubiłem się w domysłach. Postanowiłem przeanalizować wszystko po kolei. Wdowa po konstablu ponownie wspomniała o mediacji. Pisała, że król Hiszpanii zwrócił się do papieża o pomoc w mianowaniu swoim następcą arcyksięcia Karola i sprowadzeniu go z Wiednia do Madrytu bez wzniecania wojny. Arcychrześcijański Król zagroził jednak, że zatopi statek z arcyksięciem na pokładzie.

Przypomniałem sobie, że w swoim pierwszym liście opat Melani napisał wyraźnie, iż papież miał powiedzieć królowi Hiszpanii, kogo powinien wybrać na swojego następcę: księcia Anjou, wnuka Arcychrześcijańskiego Króla, czy arcyksięcia Karola, syna cesarza Austrii. Nie chodziło więc o mediację, o której wspomniała pani konstablowa. Nawiasem mówiąc, autorka listu, nazywając opata Sylwiuszem, skarciła go za presję wywieraną na papieżu.

Z jakiego powodu konstablowa złościła się na opata? Czyżby kastrat nadal miał wpływ na papieskim dworze?

Trzymałem w ręku odpowiedź Marii na poprzedni list Atta, w którym opat, wśród ukłonów, wyznawał jej swą nieustającą platoniczną miłość. Tu następowała kolejna zagadka. Maria odpowiedziała Melanieniu, przyjmując imię Dorindy.

Dorinda - już gdzieś słyszałem to imię. W przeciwieństwie do imienia Sylwiusz było ono niezwykle rzadkie. Mimo to miałem wrażenie, że kiedyś je słyszałem albo czytałem. Ale kiedy?

Pytań, na które nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, było wiele. Wiedziony ciekawością, przystąpiłem do odczytania odpowiedzi opata Melaniego.

List rozpoczynał się długą pompatyczną wymówką pod adresem Marii za spóźnienie, które mogło zagrozić życiu opata. Po niej następowały afektowane zwroty oraz szczegółowy opis ślubu Marii Pulcherii Rocci z Clemente Spada, przy czym opat nie szczędził uwag na temat brzydoty panny młodej, zwłaszcza rybich rysów jej twarzy.

W końcu natrafiłem na fragment, którego szukałem:

*Proszę jak najszybciej wyzdrowieć! Niech się Pani niepotrzebnie nie martwi. Jego Wysokość król Hiszpanii Karol II Habsburg bardzo mądrze postąpił, zwracając się do Ojca Świętego. Decyzja o tym, w czyje ręce złożyć przyszłość królestwa, z pewnością wymaga boskiej rady.*

*Proszę się nie obawiać, Innocenty XII wywodzi się z rodu Pignatellich, wiernych poddanych Królestwa Neapolu i Hiszpanii. Na pewno udzieli odpowiedzi Katolickiemu Królowi i będzie to odpowiedź starannie przemyślana, podyktowana miłością do Korony hiszpańskiej.*

*Tutaj wszyscy jesteśmy pewni, że decyzja Jego Świątobliwości będzie święta dla Katolickiego Króla. Nikt w Europie nie ośmieli się sprzeciwić woli papieża. Moźni tego świata są bezsilni wobec gromów z nieba. Ręka Wszechmogącego, która strzeże następców świętego Piotra, zgodnie ze słowami qui vos spernit, me spernit, sprawi, że decyzja Jego Świątobliwości zatriumfuje.*

Nic z tego nie rozumiałem, jakby opat Melani i wdowa po konstablu porozumiewali się w dwóch różnych językach. Koniec końców, Katolicki Król wybrał arcyksięcia, jak pisała konstablowa, i prosił o pomoc papie-

ża? Czy też nie wiedział, kogo wybrać na następcę, i zdawał się na decyzję papieża?

List Melaniego kończył się następująco:

*Droga Przyjaciółko, proszę się nie martwić o zdrowie papieża. Otaczają go wspaniali ludzie. Mają pieczę nad nim i nad jego powinnościami, ale nie ośmielają się tknąć pastorału, który Jego Świątobliwość dzierży w dłoni z nakazu boskiego prawa. Przede wszystkim muszę tu wymienić sekretarza stanu, kardynała Fabrizia Spadę, cieszącego się również Pani szacunkiem. Kardynał niecierpliwie Pani oczekuje w swojej cudownej posiadłości na Janikulum.*

*Droga Przyjaciółko! Z tego wzgórza widać cały Rzym! Niech Pani nie zwleka z przyjazdem!*

*Do zobaczenia za dwa dni!*

Na osobnej kartce widniały następujące słowa:

*Sylwiuszu, czego jeszcze oczekujesz od Dorindy? Co jeszcze może Ci ona dać? Ty zaś, Dorindo, bogini na wysokim niebie, okaż Sylwiuszowi litość zamiast złości.*

Atto odpowiadał Marii, która prosiła go, żeby nie składał jej (wprawdzie tylko symbolicznie) pokłonów. Zapytywał, czego może od niej oczekiwać, skoro jego miłość pozostaje niespełniona. Odpowiadał na wymówki, które konstablowa regularnie mu czyniła, nazywając go Sylwiuszem. Na koniec prosił, by okazała mu litość.

Musiałem przyznać, że opat Melani potrafi pięknie mówić o miłości.

Usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie słyszałem lub widziałem napisane imię Dorinda. Po chwili powróciłem do poważniejszych rozważań. W rozmowach ze mną Atto ani słowem nie wspomniał o hiszpańskiej sukcesji, podczas gdy w listach do konstablowej nie mówił o niczym innym (pominąwszy miłość). Zwróciłem na to uwagę w dniu przybycia opata do willi Spada. Od tamtej pory nie odkryłem niczego istotnego. Nadal nic nie wiedziałem o hrabinie de Soissons, zwłaszcza czy ona i tajemnicza trucicielka, hrabina S., to ta sama osoba.

Pokręciłem głową niepokieszony. Nic nie zapowiadało rozwiązania zagadki. Tylko jedno było pewne: w całą tę sprawę zamieszany był mój pan, kardynał Spada. Zarówno pani konstablowa, jak i Melani wspo-



mnieli, że sekretarz stanu odwiedził ambasadora Hiszpanii w związku z prośbą, z jaką król Hiszpanii zwrócił się do Innocentego XII. Poza tym, zważywszy na zły stan zdrowia papieża, kardynał Spada zastępował go w wypełnianiu obowiązków. Musiałem wyjaśnić te wszystkie tajemnice. Postanowiłem, że na początek wypytam Atta o hrabinę de Soissons.

Wskazówki Rudzielca były wystarczająco dokładne. Miejsce znajdowało się w niezbyt przyjemnej okolicy. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami mieliśmy się tam udać niezauważeni, pod osłoną nocy. Było to bardzo istotne, skoro chcieliśmy zaskoczyć nieuchwytnego Niemca, który służył Lambergowi.

Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że wskazane miejsce znajdować się będzie poza miastem, wśród sadów i lasów, z dala od uczęszczanych szlaków.

Z willi Spada na plac Monte Cavallo nie szliśmy długo. Na wprost Pałacu Apostolskiego skręciliśmy w prawo, w ulicę San Vitale. Po lewej stronie za wysokim murem wznosiła się dzwonnica klasztoru jezuitów San Vitale alla Valle Quirinale. Jej smukła sylwetka przywodziła na myśl odległy kościółek, który w pogodne dni widać z naszego pola. Prosiłem Boga, by zachował w zdrowiu nie tylko mnie, ale także moją słodką Cloridę. W myślach błagałem ją o modlitwę w mojej intencji. Ostatnio popełniłem wiele nieostrożności i nic nie wskazywało na to, że ich nie popełnię w następnym dniach.

W końcu dotarliśmy do surowej bryły budowli Santa Maria Maggiore przy ulicy Felice, która biegnie to w dół, to w górę aż do łagodnych stoków wzgórza Pincio. Skręciliśmy w prawo, zostawiając za sobą Quattro Fontane. W pobliżu kościołów Paolo I Eremita i San Norberto dei Padri Premonstratensi, kilka kroków od Santa Maria delia Sanita de' Benfratelli, skręciliśmy w prawo w zaułek bez nazwy, mając po prawej stronie zwarty ciąg kamienic, po lewej - pojedynczy dom. Za domami uliczka skręcała w lewo i zamieniała w ścieżkę wśród łąk.

Idąc za wskazówkami Rudzielca, w tym właśnie miejscu udaliśmy się w prawo. Teren podnosił się, tworząc wzgórze przypominające grzbiet zakopanego w ziemi giganta. Kiedy tak szliśmy szczytem wzniesienia, zauważyliśmy w dole, po prawej stronie, grotę, później następną, nie-

co większą, a za nią dwie jeszcze większe. Był to ciąg sztucznych jaskiń, wymurowanych dawno temu, obecnie przykrytych ziemią porośniętą mchem.

Jaskinie rozmieszczone były na trzech poziomach. Szliśmy wzdłuż jaskiń położonych najniżej. Nad nimi biegł rząd większych jaskiń, nieco cofniętych w głąb, tak że tworzył się przed nimi korytarz szerokości kilku metrów. Na prawym krańcu tego ciągu jaskiń na trzecim poziomie znajdowało się kilka grot, nad którymi wznosił się wiejski dom z wieżyczką, a za nim żeński klasztor San Francesco alle Terme. Jego nazwa nie była przypadkowa.

- Kto by się spodziewał! - zawołał Atto, rozpoznawszy starożytną budowlę. - Termy Agrypiny! Nigdy bym nie przypuszczał, że będę szukał tak nierzemnych ludzi jak cerretanie w takim miejscu - dodał z nutą melancholii w głosie.

Krażył wśród antycznych ruin niemal na palcach, jakby w obawie, że potknie się o wiekową cegłę i ją uszkodzi. Rozglądał się ostrożnie, z zaciekawieniem.

Przed siedemnastu laty byłem świadkiem, z jakim podziwem oglądał podziemne mitreum. Przypomniałem sobie też, że napisał przewodnik po Rzymie dla miłośników antycznych zabytków. Mimo że od naszego pierwszego spotkania upłynęło sporo czasu, nie porzucił swoich upodobań.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Waligóra.

Za rzędami jaskiń, przed murami klasztoru, wznosiła się mroczna, niewzruszona wieża - jedna z niezliczonych, dzięki którym Rzym zyskał miano *urbs turrata*, miasta wież, iglic i pinakli. Średniowieczne konstrukcje pełniły funkcję obserwacyjną i obronną. Nadawały miastu groźny, a zarazem szlachetny wygląd. Wieża nie była wysoka, zapewne została zmniejszona w epoce najazdów barbarzyńców albo jej górną część strawił pożar.

„Nikt nie będzie was zatrzymywać” - powiedział enigmatycznie Rudzielec, tłumacząc nam, jak dotrzeć do kryjówki Niemca.

Obeszliśmy budowlę dookoła, dokładnie się jej przyglądając. Wszystkie otwory były zakratowane. Znaleźliśmy drewniane, zniszczone drzwi wejściowe. Ustąpiły ze skrzypieniem.

Znaleźliśmy się w ciemnym pomieszczeniu, cuchnącym odchodami myszy i bezdomnych włóczęgów. W słabym świetle lampy dostrzeżliśmy

pajęczyny zwieszające się z sufitu. Podłoga pokryta była gnijącymi odpadkami, których fetor wywoływał mdłości, kawałkami złomu i gruzem. W pewnej chwili potknąłem się o jakiś twardy przedmiot. Poczulem ból w dużym palcu u nogi. Kiedy go masowałem, zauważyłem stopień.

- Panie Atto, tu są schody - powiedziałem.

Oświetliłem je lampą. Biegły przy ścianie po lewej stronie i prowadziły do drzwi.

Te drzwi także nie miały zamka ani łańcucha, utrudniających wejście.

- Rudzielec miał rację - zauważył Waligóra. - Brak jakichkolwiek przeszkód czy środków ostrożności, które mogłyby nas zatrzymać. Ktokolwiek kryje się za tymi drzwiami, z pewnością nikogo się nie boi. Bardzo ciekawe.

Za drzwiami znowu były schody, tyle że bardziej strome. Melani kilkakrotnie się zatrzymywał, żeby złapać oddech.

- Kiedy wreszcie dotrzemy na miejsce? - pytał niepocieszony, odwracając się i spoglądając na przebytą drogę.

- Wchodzimy na szczyt wieży - odparłem.

- Zauważyłem - powiedział Atto oschłym tonem. - Chciałbym wiedzieć, gdzie, do licha, zaszył się Niemiec. Na kominie?

- Jeśli jest bocianem, to dlaczego nie? - zaśmiał się cicho Waligóra.

Cofnąłem się pamięcią do czasów, kiedy razem z Attem całymi nocami przemierzaliśmy podziemne korytarze i tunele Rzymu, narażając się na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa i zasadzki. Tym razem, dla odmiany, znajdowaliśmy się nad ziemią, w ciemnej wieży, która wiodła do nieba.

Wspinaliśmy się, przyświecając sobie słabym światłem lampy, aż w końcu znaleźliśmy się w niewielkim, czworokątnym pomieszczeniu z drewnianym podestem na podłodze. Na wprost dostrzegliśmy schodki i kolejne drzwi. Spojrzeliśmy po sobie.

- Nie podoba mi się to, na tysiąc mózdzierzy! - stwierdził Waligóra.

- Mnie też - zawtórował Melani. - Jeśli tam wejdziemy, nie uda się nam szybko zawrócić i wydostać na zewnątrz.

- Szkoda, że nie ma tu okna czy szpary. Moglibyśmy się przekonać, jak wysoko weszliśmy - powiedziałem.

- To niemożliwe! Na dworze jest zupełnie ciemno - zauważył opat.

- Co robimy?

- Idziemy dalej - oznajmił Atto, posuwając się do przodu. - Dziwne! Czuć tu dziwny zapach, jakby...

Nie dokończył. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że sytuacja wymknęła się nam spod kontroli. Podest pod naszymi stopami zatrzeszczał i obniżył się.

Zadrżeliśmy ze strachu, świadomi nagłego zagrożenia.

- Uciekajmy! To zasadź...! - krzyknął Waligóra.

Było jednak za późno. Masywna żelazna krata opadła z hukiem, odcinając nas od schodów, po których weszliśmy, i wbiła się mocno w podłogę, niczym łopata w ziemię. Szczęśliwym trafem lampa nie zgasła, ale to, co ukazało się naszym oczom, sprawiło, że zatęskniliśmy za nieprzejrzanymi ciemnościami.

Wokół nas tańczyły płomienie piekielnego ognia. W świetle nikczemnego blasku nasze sylwetki przypominały dusze potępieńców. Ogień był prawdziwy.

- Boże przenaświęty, pomóż nam! Znaleźliśmy się w piekle! - wykrzyknąłem przerażony.

Atto milczał. Próbował desperacko odgonić od siebie iskry - szatańskie świetliki - opędzając się od nich jak od much.

- Moje stopy! A niech to diabli! - zawołał Waligóra.

Ja także poczułem nieznośne gorąco pod stopami. Przebierałem nogami, gdyż nie mogłem ustać na podłodze. Atto i żandarm także podskakiwali jak szaleni i strzepywali z siebie iskry.

- Uciekajmy stąd! - krzyknął Atto.

Pobiegł za Waligórą w stronę drzwi, przez które początkowo nie chcieliśmy przechodzić, a teraz stały się naszą jedyną drogą ucieczki.

Na szczęście drzwi, podobnie jak poprzednio, były otwarte. Tym razem naszym oczom ukazał się rząd żelaznych zardzewiałych szczebli. Waligóra wszedł pierwszy. Przejście było wąskie jak komin. Wspinaliśmy się, ograniczeni ciasnotą przestrzeni, zginając nogi w kolanach wykręcone bokiem. Posuwaliśmy się z trudem, jeden za drugim, z poparzonymi stopami, ścigani ognistymi płomykami, które przedostały się za nami do komina. Szedłem za potężnym Waligórą, za sobą mając sapiącego z wysiłku Melaniego. Drżałem ze strachu i błagałem w duchu Naszego Pana o litość.

- Neeee!

Waligóra wrzasnął desperacko i runął w ciemną otchłań. Spadając, uczeplił się mojego ramienia i pociągnął mnie w przepaść. Skutkiem natu-

ralnego mechanizmu obronnego, kierującego ludzkim postępowaniem w zaskakujących sytuacjach, ja z kolei, zupełnie nieświadomie, ucze- piłem się Atta. Splątani ze sobą, spadaliśmy z zawrotną szybkością.

...*Et libera nos a malo* - powiedziałem w myśli, gdyż nie byłem zdol- ny wymówić słów modlitwy na głos.

Wydawało mi się, że lot trwa całą wieczność. Spadaliśmy ucze- pieni jeden drugiego. Czyżby Lucyfer wymiółł nas spośród potępieńców z za- miarem postawienia przed obliczem piekielnych sędziów?

Waligóra leżał nieruchomo, zeszywniały ze strachu, przygnieciony podwójnym ciężarem - ciałem Atta i moim. Melani, obolały i ogłuszony, ledwie się poruszał, cicho jęcząc. Z trudem wydostałem się z tej płąta- ni, dziękując Bogu, że mogę usiąść na podłodze, która nie parzy. Ubranie i skóra przesiąkły mi ostrym, znajomym zapachem, przypominającym o tragicznym zdarzeniu. Uświadomiwszy sobie, gdzie się znajdujemy, za- niepokoiłem się nie na żarty.

Lampa była stłuczona. Wokół panowała jednak dziwna jasność, mie- szanina mgły i jasnyniebieskiego blasku, delikatnie rozjaśniającego wną- trze, jak robaczki świętojańskie ogrody po zachodzie słońca.

Byłem cały i zdrow? Spojrzałem na dłonie i zadrzałem. Świeciły się, a właściwie były światłem. Przestałem być człowiekiem. Nogi i brzuch też promieniowały opalizującym blaskiem. Moje ciało było gdzie indziej. Jego miejsce zajęła nieszczęsna stracona dusza, niematerialna, świetlista substancja błakająca się po zaświatach.

Waligóra podniósł się i spojrzał na mnie.

- Ty... umarłeś! - wyszeptał zdjęty grozą, zwracając się do tego, co po mnie zostało.

Rozejrzał się wokół nieprzytomnym wzrokiem, przyjrzał się własnym dłoniom i ramionom. On także promieniował wszechobecnym błękitnym światłem.

- O Boże! - zawołał.

Wtem pojawiła się zjawa - mroczna istota w czarnym habicie, z twa- rzą zakrytą wielkim kapturem. Wpatrywała się w nas, stojąc nieruchomo w niszy przegrodzonej kratą.

Atto także dostrzegł zjawę. Wszyscy trzej milczeliśmy przez kilka długich chwil, wstrzymując oddech, jakby zawieszeni między rozpaczą

i nadzieją, życiem i śmiercią. Za tajemniczą istotą w niszy, która, jak się domyślałem, była początkiem wąskiego tunelu, pojawiły się inne zakapturzone postacie. Mieliśmy do czynienia z wysłannikami piekieł. Było oczywiste, że za chwilę wezmą nas na widły i usmażą w kotle ze smołą.

Krata podniosła się. Nic już nie oddzielało nas od demonów. Ich przywódca, ten, który pojawił się pierwszy, posunął się krok do przodu. Instynktownie cofnęliśmy się. Nawet Waligóra, a raczej olbrzymia świetlista zjawa, którą teraz był, drżał jak liść na wietrze.

Wszystko trwało zaledwie kilka sekund. Diabelska istota wyciągnęła z fałdów habitu jaskrawopomarańczowy podłużny przedmiot. Była to lśniaca daga\*, hartowana w płomieniach Hadesu. Zjawa skierowała ją na nas, jakby szykowała się do rzucenia klątwy. Niebawem, domyśliłem się, na końcu sztyletu pojawi się ognisty język i zniszczy wszelkie oznaki życia. Zmieni nas (o ile nasze świetliste powłoki były materią) w płynną ektoplazmę.

Zakapturzona postać skierowała sztylet najpierw na mnie, skazującym gestem. Cóż złego uczyniłem - zastanawiałem się, popłakując w duchu - że zasłużyłem sobie na straszliwe piekło zamiast czyścica? Podbiegły do mnie cztery diabły, obezwładniły i przewróciły, przyciskając szponiastymi rękami do ziemi. Nawet nie krzyknąłem, bo ze strachu nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Zresztą - powiedziałem sobie w duchu, w przypływie rozpacz - kto by usłyszał skargę potępieńca?

Zbliżył się główny diabeł. Nie mogłem dostrzec jego twarzy, jedynie makabryczną zakrzywioną dłoń (która również była jasnoniebieska i fosforująca), dzierżącą ognistą dagę. Nie wiedziałem, co w tym samym czasie działo się z Attem i Waligórą. Dochodziły mnie odgłosy szamotania, prawdopodobnie również zostali zaatakowani.

Anioł zła pochylił się nade mną. Mierzył dagą w sam środek mojego czoła, tuż nad oczami. Za chwilę ognistym sztyletem przebije mi kość (lub jej niematerialny odpowiednik). Później, świdrując otwór rozpalonym ostrzem dagi, przebije czaszkę, dostanie się do mózgu i usmaży go.

- Nie! - wrzasnąłem, sam nie wiem, czy w myśli, czy na głos.

Żegnałem się z życiem.

W mrocznej otchłani, jaką był kaptur mojego oprawcy, wydawało mi się, że dostrzegam (mocą zła i jego herodów) złośliwy uśmiech. Diabel-

Daga - średniowieczna broń sieczna, krótki sztylet z szeroką głownią używany do walki wręcz (przyp. red.).

ska istota najwyraźniej rozkoszowała się widokiem mojego przerażenia i wizją bliskiego końca. Zar dobywający się ze sztyletu palił mi oczy (o ile jeszcze je miałem), które otwierałem w ostatnim tchnieniu życia.

Rozżarzone ostrze sztyletu było o włos od mojego czoła. Już miało się w nim zatopić, za ułamek sekundy! Cloridio, moja najdroższa! Moje słodkie córeczki!...

W tej samej chwili, na krótko przed zadaniem mi śmiertelnego ciosu, straciłem przytomność. Zanim zemdlałem, zjednoczone serce i dusza przez moment zapulsowały wspólnym życiem. Zdażyłem jeszcze usłyszeć:

- Chwileczkę! O mało nie popełniwszy pomyłki.

- Co takiego? Ty przekłety idioto! Rozszarpię was wszystkich na kawałki!

Po czym dały się słyszeć odgłosy walki i strzał z pistoletu.

- Odwagi, bohaterze! Wstawaj!

Ktoś wymierzył mi policzek, szybki, mocny. Podział jak kubek zimnej wody. Obudziłem się, odzyskałem przytomność. Głos, który słyszałem, należał do Atta.

- Ja ... nie... - bąkałem, leżąc na ziemi.

Miałem wrażenie, że ból za chwilę rozsadzi mi głowę. Zakasiałem. Wokół unosił się swąd spalenizny i dym.

- Witaj wśród żywych! - zażartował Melani. - Musimy stąd uciekać, zanim się udusimy. Najpierw jednak przedstawię ci Belzebuba. Zdziwisz się, gdy go poznasz.

Drżąc na całym ciele, usiadłem. Jasnoniebieskie światło zniknęło. Teraz wszystko było żółte, czerwone i pomarańczowe od ognia pochodni. Popatrzyłem na dłonie. Nie promieniowały już tajemniczym świetlistym blaskiem.

- Naładowałem - oznajmił Waligóra.

- W porządku - odparł Atto.

Otworzyłem szeroko oczy. Scena, w której żegnałem się z życiem, uległa całkowitej zmianie. Teraz Waligóra trzymał dagę, którą miałem być zabity. Mierzył nią w grupę zakapturzonych diabłów stojących potulnie pod ścianą, bez oznak buntu. Zrozumiałem powód ich posłuszeństwa - żandarm celował w nich również pistoletem gotowym do strzału. Atto oświetlał tę scenę sporządzoną naprędce pochodnią ze zwiniętych

kartek, którą podпалиł zapewne rozżarzoną dągą. Pochodnia słabo rozjaśniała wnętrze, w dodatku dobywający się z niej gęsty dym utrudniał oddychanie.

- Wyprowadź nas stąd, nędzniku! - rozkazał Atto przywódcy demonów, zasłaniając nos chusteczką, żeby nie wdychać dymu.

Gdy patrzyłem na wodza piekielnej bandy, zaczęło mi coś świtać. Poznałem zniszczony, zbyt obszerny habit, odrażającą woń brudu, szponiaste dłonie... Kaptur nieco się przesunął do tyłu. Dostrzegłem poźółkłą twarz pokrytą zmarszczkami, duży, spuchnięty nos, podobny do spleśniałej marchwi, przekrwione oczy o nieufnym spojrzeniu, żółte, połamane zęby, kościstą czaszkę z kępkami rzadkich rudych włosów. Nie miałem wątpliwości.

- Ugonio!-zawołałem.

W tym miejscu muszę wyjaśnić, kim była wspomniana postać i jej towarzysze, których zrządzeniem losu poznałem wiele lat temu.

Ugonio - jeden z wielu łowców relikwii - całe życie spędził w podziemnych tunelach Rzymu w poszukiwaniu szczątków świętych i męczenników wiary chrześcijańskiej. Łowcy relikwii - mieszkańcy ciemności - przekopywali tony ziemi, oddzielając błoto od skorup, glinę od kamieni, odłamki od pleśni. Nie posiadali się z radości, gdy w wyniku wytrwałych, skrupulatnych poszukiwań znajdowali kawałek rzymskiej amfory, monetę z epoki cesarstwa lub fragment kości.

Znalezione relikwie (czyli święte szczątki) sprzedawali, wykorzystując łatwowierność albo raczej niewybaczalną naiwność nabywców. Fragment amfory sprzedawali jako fragment dzbana, z którego gasił pragnienie Nasz Pan podczas Ostatniej Wieczerzy. Moneta stawała się jednym z trzydziestu srebrników, za które Judasz Iskariota sprzedał Syna Bożego. Kość - obojczykiem świętego Jana. Łowcy relikwii potrafili prehandlować każde znalezisko. Na wpół przegniłą drzazgę sprzedawali jako autentyczny fragment krzyża, pióro ptaka jako pióro ze skrzydła anioła. Gromadzili i prowadzili ewidencję wszystkich tych ohydnych przedmiotów. Cieszyli się sławą nieustraszonych poszukiwaczy świętych relikwii i nie narzekali na brak naiwnych klientów. Z czasem, dopuszczając się przekupstwa, zdobyli klucze do większości piwnic i magazynów. W ten sposób zapewnili sobie dostęp do wszystkich sekretnych zakamarków w podziemiach Rzymu.

Poza tym łowcy relikwii łączyli swoje obmierzłe praktyki ze szczerą,



głębką, wręcz fanatyczną pobożnością, którą okazywali w najmniej odpowiednich momentach. O ile dobrze pamiętam, zwracali się do kilku papieży z prośbą o zgodę na założenie bractwa. Pozostała ona jednak bez odpowiedzi.

Ugonio był jednym z nich. Ponieważ urodził się w Wiedniu, mówił po włosku z obcym akcentem i nierzadko miał trudności z poprawnym wyrażeniem swoich myśli. Ze względu na pochodzenie nosił pseudonim Niemiec.

- Niemiec! - wykrzyknąłem zdumiony. - A więc to ty!

- Nie przyznawszy się do tego haniebnego imienia, od którego stanowczo się odciąwszy - zaprotestował. - Pochodzący z Windobony, ale znawszy włoskie narzecze jak własne.

- Milcz, głupcze! - uciszył go Atto, pamiętając, jak bardzo Ugonio lubił przechwalać się swoją dziwną mową. - Mdl mi, kiedy cię słucham. A więc wzbogaciłeś się przy okazji jubileuszu. Okradasz pątników albo nabierasz ich na te swoje fałszywe relikwie, sprzedając świńską kość jako piszczał świętego Kaliksta. Słyszałem, że zostałeś grubą rybą, odkąd sprzedałeś się Lambergowi. Prawdziwy patriota z ciebie, pochodzisz przecież z Wiednia, jesteś wiernym poddanym Jego Cesarskiej Wysokości Leopolda I, podobnie jak ambasador. Któż mógł przewidzieć, że ponownie natknę się na twoją odrażającą osobę - podsumował Melani, spluwając ze złości na ziemię.

Przyglądałem się Ugoniowi. W głowie wirowało mi tysiące wspomnień. Podejrzenia opata w pełni się potwierdzały. Skoro sławetny Niemiec działał ręką w rękę z łowcami relikwii, z pochodzenia był wiedeńczykiem, to cały ten podziemny świat był na usługach cesarstwa i konspirował przeciwko nam. Mimo wszystko ucieszyłem się na widok starego znajomego, towarzysza wielu przygód. Odniosłem wrażenie, że opat udaje oburzenie i w głębi duszy też cieszy się ze spotkania.

- Porozmawiajmy o twoim kumplu, łowcy relikwii, który zranił mnie w ramię. Czy rzeczywiście to ja byłem celem napaści? Mów! - zażądał.

- Zaprzeczam, protestuję, to są insynuacje! Nie wiedziałem, że ktoś pana zaatakował i zranił.

- Rozumiem, nie chcesz współpracować. Pożałujesz tego! A teraz ruszaj! - wykrzyknął Atto. - Wskaż nam drogę do wyjścia. Waligóra! Daj mi pistolet, a ty weź sztylet i idź za Ugoniem. Pierwszy, który zrobi podejrzany ruch, skończy z dziurą w brzuchu.

Grupa zakapturzonych poszukiwaczy relikwii, których początkowo wziąłem za diabły, skierowała się do niszy. Szliśmy za nimi - opat z pistoletem, jaz daęą.

Waligóra nie musiał niczym grozić - samą swoją posturą budził respekt. Weszliśmy w wąski, śmierdzący korytarz, wiodący z domniemanego piekła ku nieznanemu.

- Ależ... jesteśmy pod ziemią! - wykrzyknąłem, gdy poczułem zapach wilgoci i dostrzegłem *opus reticulatum*, antyczny mur z cegieł.

- W istocie - przytaknął Waligóra. - A gdzie podziła się wieża?

- Jesteśmy w jednym z korytarzy w Termach Agrypiny - wyjaśnił Melani. - W przeszłości był to zapewne korytarz zewnętrzny na drugim piętrze, z oknami i balkonami, gdzie oddychało się świeżym powietrzem.

Jak się słusznie domyślałem, podejrzone zajęcie łowców relikwii wiązało się *de facto* z działalnością podobnie obmierźłych osobników, jakimi byli cerretanie. Nieprzypadkowo natknęliśmy się na nich, szukając Niemca.

Kiedy szliśmy korytarzem słabo oświetlonym pochodnią (Atto okręcił kij kawałkiem znalezionej szmaty i podpalił), Waligóra zapytał Ugonia:

- Dlaczego nazywają cię Niemcem? Dlaczego zleciłeś kradzież rękopisu i relikwii należących do opata Melaniego?

- To oszczerstwo, niczego takiego nie uczyniwszy, oznajmiwszy raz na zawsze, zrozumiałeś?

Waligóra milczał, zdumiony dziwaczną mową łowcy relikwii.

- Powiedział, że to nieprawda. Nazywają go Niemcem, bo urodził się w Wiedniu i jego ojczystym językiem jest niemiecki - wyjaśniłem.

Z korytarza przedostaliśmy się na schody. Byłem jeszcze pod wrażeniem wydarzeń sprzed chwili, wstrząśnięty tym, że umarłem (tak mi się przynajmniej wydawało), a następnie powróciłem do życia. Czuję się wyczerpany i obolały po licznych uderzeniach i kopnięciach. Moje ubranie przesiąknęło dziwną wonią, w dodatku wydawało mi się, że mam zatłuszczone spodnie z tyłu. Paliłem się ze wstydu na myśl, że jako jedyny z całej grupy zemdlałem ze strachu, na dodatek w decydującej chwili, kiedy Atto i Waligóra odzyskali kontrolę nad sytuacją.

Pochodnia zakończyła swe krótkie życie. Dalej szliśmy pogrążeni w całkowitych ciemnościach, wycacując grunt pod nogami i sunąc rękami po ścianach. Zadrzałem na myśl, że na tych wąskich schodach

mogłaby wywiązać się bójka, której skutki trudno przewidzieć, ale z pewnością byłyby krwawe. Tymczasem zakapturzeni osobnicy wchodzili spokojnie po schodach, Atto i Waligóra nie musieli więc uciekać się do drastycznych środków. Łowcy relikwii byli wprawdzie chytry i podstępni, gotowi stosować różnego rodzaju nieuczciwe chwyt, ale niezdołni do przemocy. O ile, ma się rozumieć, nie chodziło o pomoc wysokiemu dostojnikowi Kościoła (jak przed siedemnastu laty) - wtedy dawali dowód najwyższego oddania i odwagi godnej obróńców wiary.

- Przekłęci łachmaniarze! - złorzeczył Atto. - Najpierw ten głupi żart z piekłem, a teraz ta wspinaczka!

- Panie Atto - podjąłem nieśmiało - promieniowaliśmy dziwnym niebieskim światłem. Jak oni to zrobili, że upodobniliśmy się do duchów?

- Stara sztuczka! A właściwie dwie, o ile dobrze pamiętam. W pierwszym pomieszczeniu, gdzie spadały na nas iskry, podest przykrywał żelazny ruszt, pod którym żarzyły się węgle. Podest był gorący, dlatego piekły nas stopy. Na węglach umieścili naczynie, zapewne terakotowe, wypełnione spirytusem winnym z kilkoma kroplami kamfory, który pod wpływem ciepła mocno parował.

- Teraz rozumiem, dlaczego moje ubranie tak dziwnie pachnie, jakby...

- ...kamforą, masz rację - tą samą, której używa się jako środka na mole. Pozwól jednak, że skończę. Drewniany podest, na który nastąpiliśmy, obniżając się, uruchomił mechanizm spuszcający kratę. Płomień lampy spowodował wybuch mieszanki spirytusu i kamfory. Zaskoczenie, żar parzący w stopy, tańczące płomienie - to wszystko dało piorunujący efekt: odnieśliśmy wrażenie, że znaleźliśmy się w piekle. Zdołaliśmy uciec przez niewielkie drzwiczki, a potem wspięliśmy się w górę po żelaznych szczeblach. Znaleźliśmy się niejako między Scyllą i Charybdą, gdyż obie drogi ucieczki prowadziły donikąd.

- Jak to się stało?

- Doszliśmy do tego razem z Waligórą, kiedy ty uciąłeś sobie drzemkę. U szczytu żelaznej drabiny znajdowała się rynna posmarowana smalcem.

Dotknąłem własnego siedzenia. Tak, spodnie były poplamione smalcem, którego używałem do smażenia kurczaków w sosie winnym z orzechami lub do przyrządzania drobiu w potrawce.

Smalec - ciągnął Atto - spowodował, że z dużą prędkością zsunęliśmy się po rynnie w dół, przez całą wysokość wieży.

- Przez całą wysokość? Nie rozumiem - wtrącił Waligóra, który słuchał wyjaśnień opata z ustami otwartymi ze zdziwienia.

- Wieża nie jest taka niska, jak sądziliśmy, przeciwnie, jest bardzo wysoka, ale w ciągu stuleci częściowo się zapadła. Obecnie wejście znajduje się nie na poziomie gruntu, jak kiedyś, ale w połowie pierwotnej wysokości wieży. Po rynnę zsunęliśmy się do dawnego parteru, dziś głęboko pod ziemią.

- Gdzie łączy się z siecią tuneli - odgadłem, wspominając znane mi rzymskie podziemia.

- Otóż to! Tutaj czekała nas kolejna sztuczka. Gdy łowcy relikwii spostrzegli, że dotarliśmy do Term Agrypiny i za chwilę znajdziemy się w podziemnym korytarzu, podpalili wódkę czy spirytus. W wódce, o ile dobrze pamiętam, powinna być rozpuszczona odrobina zwykłej soli.

- Chwileczkę! - wtrąciłem. - Skąd pan zna te wszystkie szczegóły?

- To bardzo proste sztuczki. We Francji wszyscy je znają. Są opisane w literaturze. Wystarczy kupić odpowiednią książkę, na przykład opata Vallemonta, o którym chyba ci wspominałem.

- Podczas wizyty w „Okręcie”?

- Właśnie.

Kolejny chwyt - wyjaśnił opat Melani - działał nie w obecności ognia, ale po zgaszeniu go. Nasza lampa, jak słusznie założyła osoba organizująca podstęp, przez cały czas, kiedy zsuwaliśmy się po rynnę, będzie się paliła, zgaśnie dopiero w chwili, gdy rozbije się o ziemię. W pomieszczeniu na dole unosiły się opary wódki i soli. Widziane przez nie twarze przybierają bladą barwę jak u nieboszczyków i zbłąkanych dusz. Tak też się stało w naszym wypadku.

- Przepraszam - powiedziałem. Wyczułem, że już się nie wspinamy i idziemy po płaskim terenie. - Dlaczego od razu nie zorientował się pan, że było to z góry ukartowane?

- Zaskoczenie. Doskonale wszystko zorganizowali: tańczące płomienie, nasze zmienione twarze, oddział diabłów, płonący sztylet, w rzeczywistości rozgrzany w ogniu do czerwoności... Na początku ja też się przeraziłem, dopiero później zorientowałem się, że to sztuczki, gdy poczułem zapach kamfory. W przeciwnym razie uprzedziłbym was.

- Kiedy zrozumiał pan, że to podstęp?

- Gdy usłyszałem głos tego idioty Ugonia *alias* Niemca. Rozpoznałem go bez trudu, mimo że od naszego ostatniego spotkania upłynęło sporo czasu. On ciebie też rozpoznał. Powiedział, że o mały włos nie

popęnił pomyłki. Masz szczęście, że nie zawiodła go pamięć - zażartował Atto.

- Dlatego mnie nie zaatakował?  
- Nigdy nie stasowawszy przemocy - z końca szeregu dał się słyszeć ostry głos Ugonia.

- Nigdy? - powtórzyłem ze złością, pomny przerażenia, jakie ogarnęło mnie na widok rozżarzonego sztyletu.

- A po co? Na mój widok niektórzy ze strachu mają mokre spodnie - wybełkotał Ugonio, tłumiąc śmiech.

Miał rację. Zanim straciłem przytomność, posiusiałem się.

Cel całej tej piekielnej inscenizacji był oczywisty. W podziemnych tunelach prowadzących do Term Agrypiny Niemiec miał swoją kryjówkę. Nikt nie miał prawa do niej wejść bez zaproszenia. Ten, kto postanowił zaryzykować, natrafiał na karuzelę przerażających sztuczek i salwował się ucieczką niczym zbity pies.

Pierwszy raz od siedemnastu lat znalazłem się w podziemiach Rzymu, gdzie odnalazłem Ugonia. Co mnie tu sprowadzało? Śledztwo w sprawie przedmiotów skradzionych opatowi Melanieniu: pliku kartek, lunety, wreszcie relikwii Madonny karmelitów z moimi trzema weneckimi perełkami. Otóż to, relikwia. Prawie o niej zapomniałem. Powinienem być wcześniej na to wpaść - pomyślałem z uśmiechem: relikwie, podziemia... chleb powszedni łowców relikwii. Nie pozostawało nam nic innego jak odzyskać skradzione rzeczy.

Tymczasem doszliśmy do końca schodów, którymi wyszliśmy z drugiego piekielnego pomieszczenia. Tu nastąpiła niespodzianka.

Znajdowaliśmy się w obszernym magazynie długości około sześćdziesięciu metrów. Drzwi w ceglanych ścianach prowadziły zapewne do kolejnych tuneli. Do wjazdu w suficie przystawiona była drabina. W pomieszczeniu panował nieopisany bałagan. Na podłodze walały się sterty rupieci, pochodzących z kradzieży w najnędrniejszych zakątkach Rzymu, jakieś starocie, świecidełka, połamane sprzęty i zabawki, skorupy.

Ujrzałem góry monet dawno wycofanych z obiegu, nieprzebrane stopy makulatury przewiązanej sznurkiem, kosze z brudnymi, poplamionymi ubraniami, piramidy mebli nadjeżdżonych przez korniki, dziesiątki, setki par butów - od buciorów po lekkie pantofelki kurtyzan - paski, wstążki, książki, zeszyty, pióra, kałamarze, garnki, patelnie, retorty, szklane rurki,

wypchane orły i lisy, łapki na myszy, niedźwiedzie skóry, krucyfiksy, mszały, szaty liturgiczne, stoły, stoliki, młotki, piły, dłuta, kolekcje różnej długości gwoździ, deski, kawałki żelaza, miotły, szczotki, szmaty, kości, czaszki, obojczyki, wiadra oleju, balsamy, maści i wiele innych obrzydliwości.

Zobaczyłem naczynia wypełnione pierścieniami, bransoletami i złotymi wisiorami, skrzynie z rzymskimi medalami i monetami, ramy i wyroby ze szlachetnego drewna, srebra, porcelanowe serwisy obiadowe i do kawy, kryształowe szkatułki, czeskie karafki, puchary i szklanki, flamandzkie obrusy, bele aksamitu, wyroby pasmanteryjne, rusznice, szpady, sztylety oraz złożone jeden na drugim, pokryte kurzem, obrazy: pejzaże, portrety dam i papieży, przedstawienie Bożego Narodzenia i Zwiastowania.

- Święty Boże! - zawołał Waligóra. - To są chyba łupy...  
- Zgadł pan - rzekł Atto. - Pochodzą z ostatnich trzystu tysięcy kradzieży dokonanych w Rzymie podczas jubileuszów.  
- Zbiera mi się na mdłości - dodał żandarm.  
- To prawda, co o tobie słyszeliśmy - powiedział Melani pogardliwie, zwracając się do Ugonia. - Podczas Roku Świętego twoje interesy idą lepiej niż zwykle. Domyślałam się, że złożyłeś specjalny ślub Najświętszej Panience.

Poszukiwacz relikwii nic nie odpowiedział.

Krążyłem pośród tego chaosu, uważając, by niczego nie potrącić. Między stertami utworzyły się korytarze. Wędrowałem nimi z największą ostrożnością, żeby nie stłuc filizanki lub wazy, nie zwalić na siebie stosu książek czy amfor, ustawionych niedbale na chwiejącej się szafie. Moją uwagę przyciągnął przedmiot leżący w ciemnym kącie pomiędzy stertą starej pościeli a cennym złotym cyborium\*. Był to dziwnie splątany kawałek metalu, jakby kępka z blachy i żelaza. Wziąłem go do ręki i pokazałem Melanemu. Podszedł bliżej, chwycił metalowy kłębek i otworzył szeroko oczy.

- To są sfery armilarne. Ci kretyni zupełnie je zniszczyli.

Był to przyrząd w formie kuli, złożony z kilku koncentrycznych kół obracających się wokół osi, zamocowanych na podstawce. Służy on uczynnym do wyliczania ruchu gwiazd.

\* Cyborium - pierwotnie: metalowy kubek w kształcie strąka bobu (przyp. red.).

- Przywłaszczenie utrudniwszy nieprzewidziana okoliczność - uspra-  
wiedliwiał się Ugonio. - Niestety, koła się zaklinowawszy.

- Akurat, zaklinowawszy! - powtórzył Atto z niesmakiem.

Odrzucił zepsuty przyrząd i zaczął przeglądać stertę innych przed-  
miotów.

- Dobrze wiem, jak to wyglądało. Po kradzieży poszliście się upić.  
Domyślam się, że są tu też... Oto i one!

Podszedł do przedmiotów w kształcie tuby, stojących rzędem pod ścia-  
ną. Sięgnął po jeden z nich, najmniej zakurzony i zniszczony.

- Bardzo dobrze - oznajmił, przecierając rękawem tubę. - Jak widać,  
nie należy tracić nadziei.

To powiedziawszy, z triumfalną miną wręczył mi przedmiot.

- Pańska luneta! - zawołałem. - A zatem to prawda, że ukradł ją Nie-  
mieć.

- Oczywiście, że to on ją ukradł. Podobnie jak wiele innych lunet.

Na podłodze stał gęsty las lunet różnych kształtów i rozmiarów, nowe  
i stare, w dobrym stanie i nienadające się do użytku.

Przyłączył się do nas Waligóra. Wypatrzył wyglądający znajomo przy-  
rząd i uniósł go w górę.

MACROSCOPIUM HOC  
JOHANNES VANDEHARIUS  
FECIT  
AMSTELODAMII MDCLXXXIII

- To makroskop skradziony holenderskiemu uczonemu, o którym opo-  
wiadali moi koledzy, pamiętasz? - powiedział. - Identyczny odebraliśmy  
kilka dni temu cerretaninowi.

Zakapturzeni osobnicy przysłuchiwali się, zawstydzeni i bezradni, jak  
żandarm demaskuje ich nielegalne interesy. Spojrzeliśmy na Ugonia.

- Ukradłeś też mój rękopis - syknął przez zęby Melani.

Łowca relikwii jeszcze bardziej się zgarbił, gdy jego przestępcza dzia-  
łalność wyszła na jaw. Najchętniej dałby drapaka.

Waligóra schwycił Ugonia za kołnierz i przyłożył mu sztylet do gardła.

- Aj! - krzyknął i pospiesznie zwolnił uchwyt.

Żandarm ukłął się w palec szpilką, którą była spięta tasiemka z wi-  
szącym na niej woreczkiem. Od razu go rozpoznałem: szkaplerz Ma-

donny karmelitów - wotum skradzione opatowi Melanitemu, z przyszytymi moimi weneckimi perłami, które przechowywał przez te wszystkie lata.

Waligóra zerwał relikwię z piersi Ugonia i podał Melanitemu. Opat chwycił ją dwoma palcami.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli ty ją zatrzymasz - powiedział nieco za wstydzony i podał mi relikwię, unikając mojego wzroku.

Ucieszyłem się. Postanowiłem, że tym razem będę dobrze strzegł pereł i zapamiętam, że opat Melani jest niekiedy zdolny do głębszych uczuć. Wziąłem od niego relikwię. Nie potrafiłem ukryć grymasu obrzydzenia z powodu przykrej woni, którą przesiąkła pod płaszczem Ugonia.

Waligóra przybliżył sztylet do policzka Ugonia.

- Teraz oddaj rękopis.

Atto ścisnął w dłoni pistolet. Poszukiwacz relikwii nie kazał się długo prosić.

- Ja niczego nie zabrawszy, wykonawszy tylko zlecenie - wyszeptał.

- A więc to była kradzież na zlecenie - domyślił się Atto. - Spodziewałem się tego. Kto ci ją zlecił? Ambasador cesarza, ten twój przeklęty krajan hrabia von Lamberg? Ciekaw jestem, czy na zlecenie wykonujesz też mokrą robotę? - zapytał, podtykając Ugoniowi pod oczy ramię zrąbane przez uciekającego cerretanina.

Łowca relikwii zawahał się. Rozejrzał się wokół, oceniając skutki swojego ewentualnego milczenia: pistolet Atta, daga w dłoni Waligóry i jego sylwetka, a z drugiej strony przyjaciele, liczni, ale kalecy...

- Na zlecenie elektorów Majora - oznajmił po chwili.

- Kto to jest, do licha? - zapytaliśmy jednocześnie.

Wyjaśnienie Ugonia było długie i chaotyczne, ale dzięki odrobinie cierpliwości i nawiązaniom do faktów z przeszłości udało nam się zrozumieć najważniejsze. Sprawa była prosta.

W regularnych odstępach czasu cerretanie wybierali swojego przedstawiciela, czyli króla żebraków, nazywanego Majorem. Koronacja odbywała się podczas zgromadzenia ogólnego wszystkich sekt cerretan. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że poprzedni Major niedawno przeniósł się na tamten świat.

- Ale jaki to ma związek z kradzieżą, którą ci zlecono?

- Nie wiem, wasze wielmożności! Nie mówiwszy, jak i po co. To tajemnica.



- Nie chcesz mówić, bo to jest wasza wspólna tajemnica, twoja i twojego klienta? I myślisz, że zadowolili nas to wyjaśnienie?

Zakurzony, duszny magazyn, w którym się znajdowaliśmy, rozjaśniało kilka pochodni przymocowanych do ściany, a wydzielany przez nie dym uchodził przez przewody kominowe w suficie. Atto chwycił jedną z nich i zbliżył do sterty aktów prawnych i notarialnych, skradzionych przez łowców relikwii.

- Jeśli nie powiesz mi, komu przekazałeś mój traktat, Bóg mi świadkiem, że podpale te papiery.

Atto mówił poważnie. Ugonio przestraszył się. Kiedy wyobraził sobie, że przepadną wszystkie łupy, zbladł (o ile to możliwe przy jego pergaminowej cerze). Próbował ułagodzić gniew Atta, tłumaczył, że osobiście narażał się na niebezpieczeństwo, bo nikt nie chciał mu pomóc. Cerretanie byli ostatnio bardzo nerwowi, gdyż sami padli ofiarą kradzieży.

- Kradzieży? Przecież nie okrada się złodziei! - zadrwił Atto. - Cóż takiego skradziono cerretanom?

- Nowy język.

- Język? Języka się nie kradnie, językiem się mówi. Wymyślisz jakieś inne narzecze i po sprawie, bałwanie!

W końcu Ugonio ustąpił i przedstawił opatowi swoją ofertę.

- Zgoda - rzekł Atto. - Jeśli dotrzymasz obietnicy, nie podpale magazynu. Dobrze wiesz, że jestem gotów to uczynić - powiedział, zanim skierowaliśmy się do wyjścia. - Waligóra, chcesz coś jeszcze od tych głupców?

- Na razie nie. Poczekam do jutra. Ciekaw jestem, czy wywiążą się z danego słowa. Chodźmy już! Nie chciałbym pozostawać zbyt długo poza willą.

Oddalając się od Term Agrypiny, rozmawialiśmy o ostatnich wydarzeniach.

- Ugonio rozpoznał mnie. Czy to możliwe, że nie wiedział, komu kradnie traktat i lunetę? - zapytał Melani.

- Oczywiście, że wiedział. Ludzie tak wścibscy jak on zawsze wiedzą, w co się pakują.

- Od razu przyjął zlecenie.

- Widocznie zleceniodawca wywarł na niego presję. Być może obiecał mu dużo pieniędzy i Ugonio bez skrupułów podjął się zadania.

- Teraz rozumiem, dlaczego odnosiłem wrażenie, że w willi Spada ktoś mnie obserwuje! - wyrwało mi się.

- Co takiego?

- Nie mówiłem, bo nie byłem pewien. Widzieliśmy już tyle dziwnych rzeczy! - powiedziałem, czyniąc aluzję do dziwnych zjawisk w „Okręcie”. - Kilka razy wydawało mi się, że jestem śledzony. Jakby ktoś... jakby ktoś nieustannie patrzył na mnie zza żywopłotu.

- Nawet dziecko zrozumiałoby, że to Ugonio i łowcy relikwii - podsumował Atto, poirytowany.

- Być może - ciągnąłem - śledzili nas także tamtego wieczoru, kiedy podano nam narkotyki. Do karczmy, w której się zatrzymaliśmy, weszło kilku podejrzanych, dość wojowniczo nastawionych żebraków. Wywiązała się bójka i żeby nie oberwać, musieliśmy wstać od stołu. O mały włos nie przewrócili naszego dzbana z winem.

- Dzbana z winem - rzekł Atto, otwierając szeroko oczy.

Opowiedziałem o bijatyce w karczmie, kiedy to obaj z Buvatem, w obawie o własne bezpieczeństwo, zmuszeni byliśmy odejść na chwilę od stołu. Atto wybuchnął gniewem.

- Dopiero teraz mi o tym mówisz? Boże święty! Nie domyśliłeś się, że wszczęli awanturę po to, żeby wsypać wam do wina środek usypiający?

Milczałem zawstydzony. To prawda, tak właśnie było. Żebracy (a w rzeczywistości cerretanie) specjalnie wznieśli bójkę, żeby wywołać zamieszanie w karczmie. W ten sposób zmusili nas do opuszczenia miejsca przy stole i niezauważenie dodali nam narkotyków do wina. Później wyszli jak gdyby nigdy nic.

- Ugonio i jego przyjaciele wiedzieli, że tej nocy będziecie spać jak susły - podsumował Atto, uspokoiwszy się nieco. - Wślizgnęli się do twojego domu, a następnie do pokoju Buvata i narobili bałaganu. Poczekali na sprzyjającą okazję i wkradli się do mnie.

- To naprawdę cud, że weszli do pałacu i wyszli z niego przez nikogo niewidziani - zauważyłem.

- Istotnie - powiedział Atto, patrząc z ukosa na Waligórę. - To prawdziwy cud.

Zawstydzony żandarm spuścił wzrok. Ja okazałem się naiwny jak dziecko, Waligóra nie dopełnił swoich obowiązków służbowych. Tylko Atto stanął na wysokości zadania. Nie dość, że odnalazł Ugonia, to jeszcze domyślił się, kto uspił Buvata oraz mnie i ukradł traktat o tajemni-

cach konklawe, relikwię i lunetę, którą teraz trzymał w ręku. Na jego twarzy malował się gniew pomieszany z satysfakcją.

Na drugim brzegu Tybru Waligóra oznajmił, że musi jak najszybciej wrócić do willi. Ja i opat nie bylibyśmy w stanie dotrzymać mu kroku, więc pożegnał się z nami.

- Zrobiło się późno. Nie powinienem tak długo przebywać poza willą. Nie chciałem, żeby kardynał Spada pomyślał, iż uchylam się od pracy - wyjaśnił.

- Tym lepiej - rzekł Atto, gdy zostaliśmy sami.
- Dlaczego?
- Bo po powrocie czeka nas dużo zajęć.
- O tej porze? - zdziwiłem się.
- Buvat zrobił już zapewne to, o co prosiłem.
- Chodzi o kwiat herbowy?
- Nie tylko - odparł lakonicznie opat.

No tak, Buvat zniknął mi z oczu. Zorientowałem się, że zobaczyłem go dopiero wczoraj wieczorem. Na polecenie Melaniego szukał herbów szlacheckich z Tetrachionem i zajmował się niejasną dla mnie „inną sprawą”. Co opat kombinował? Początkowo widywałem Buvata codziennie, później coraz rzadziej, a ostatnio zniknął gdzieś na dłużej. Teraz się dowiedziałem, że zadanie, które powierzył mu Melani, wykonywał poza willą. Opat nie wyjawiał, o co chodzi. Domyśliłem się, że to tajemnica.

Kiedy dotarliśmy do willi Spada, okazało się, że sekretarz Atta jeszcze nie wrócił.

- To dobrze! Najwidoczniej wskazałem mu właściwy trop. Potrzebuje czasu, żeby zdobyć więcej szczegółów.
- Szczegółów? W jakiej sprawie?
- Zamierzam postawić Lambergowi zarzuty.

# Dzień szósty

*12 lipca 1700 roku*

- Nie masz zwyczaju zamykać drzwi na klucz?

Otworzyłem oczy. Byłem u siebie w domu. Oślepiało mnie światło dnia wpadające przez otwarte drzwi. Ponad wszelką wątpliwość rozpoznałem głos osoby, która mnie tak gwałtownie obudziła: niespodziewaną wizytę złożył mi opat Melani.

- Ładny domek! Widać w nim kobiecą rękę - zauważył.

Minionej nocy dotarłem do domu śmiertelnie zmęczony. Upewniłem się jedynie, że córki spokojnie śpią w łóżeczkach (Clordia nocowała u księżnej Forano), i zaraz udałem się na spoczynek.

- Wstawaj! Musimy się pospieszyć! Mamy wiele spraw do załatwienia. Buvat nic nie znalazł na temat tego przekłętego Tetrachionu. Trzeba porozmawiać z Romaulim.

- Nie, dość tego! Proszę mi wybaczyć, chce mi się spać - oznajmiłem bez większych ceregieli.

- Oszalałeś?! - zawołał Atto wysokim głosem kastrata.

Zanim zdążyłem poprosić opata, by ściszył głos, bo obudzi moje córeczki śpiące w pokoju na piętrze, one już stały w drzwiach i przyglądały się zaintrygowane szlachcicowi w czerwonych pończochach, w peruce na głowie, upudrowanemu, w koronkach i wstążkach na modłę francuską i butach ze sprzączkami. Młodsza córka, bardziej śmiała, podbiegła do opata i bez skrzępowania przyglądała się nieznanemu w cudacznym stroju.

- Ojcowie! - zawołał zadowolony Atto, obejmując ją. - Kiedy wraca cie do domów zmęczeni po pracy, czy istnieje coś miłszego niż powitanie przez ukochaną córkę? Podbiega i przytula się, a jej słodki szczebiot od gania smutne myśli i rozwesela duszę.

Czym prędzej podniosłem się z łóżka i podszedłem do dziewczynek,

upominając je, by nie narzucały się opatowi. Melani powstrzymał mnie ruchem ręki.

- Stój! Nie myśl, że poważny człowiek nie może bawić się z dziećmi - powiedział z nutą wymówki w głosie, zapominając o powodzie swojej wizyty. - Wiedz, że Herakles, jak czytamy w dziele Heliana, po trudach bitew lubił otaczać się dziatwą. Alcybiades zaskoczył Sokratesa na zabawie z dziećmi, a Agesilaos dla rozrywki woził na koniu swoich synów. Ubierz się, ja tymczasem poniańczę te dwa aniołki. Wiesz, co nas czeka.

To powiedziawszy, pozwolił, by małe rączki zaciekawionych dziewczynek zanurzyły się w splotach kokardek i koronek przy jego ubraniu. Wykazywał przy tym anielską cierpliwość, o którą nigdy bym go nie posądzał.

Tak, wiedziałem, co nas czeka: poszukiwanie Tetrachionu, czyli tacy, którą Capitor, obłąkana wieszczka, podarowała Mazzariniemu. Zdaniem pokojówki hiszpańskiego ambasadora, przyjaciółki Cloridii, Tetrachion był imieniem bliżej nieokreślonego następcy Katolickiego Króla Hiszpanii. To samo słowo usłyszał Atto z ust Tranquilla Romaulego, co było tym bardziej zaskakujące, że Mistrz Kwiaciarz z willi Spada rozmawiał wyłącznie o kwiatach. Zważywszy, że jego zmarła żona była akuszerką, należało się spodziewać, że tajemnicze słowo hasło rzucone przez Cloridię wróci do nas za jego pośrednictwem. Powiedział, że Esku-rial wyjaławia się. Wspomniał też enigmatycznie o Wersalu, rezydencji Arcychrześcijańskiego Króla, oraz o wiedeńskim pałacu Schönbrunn. Wszystko dokładnie zreferowałem opatowi Melanieniu. Buvat wysunął przypuszczenie, że Tetrachion to nazwa kwiatu występującego w szlacheckim herbie. Gdy poszukiwania w herbarzach nie przyniosły rezultatu, opat postanowił porozmawiać z Romaulim.

Taca, następca tronu, Mistrz Kwiaciarz: trzy ślady i każdy prowadził w innym kierunku.

- Wszystko wskazuje na to, że Romauli jest jedyną osobą, która wie, kim lub czym jest Tetrachion - powiedział Atto, jakby czytając w moich myślach. - Zaczniemy więc od niego.

Kiedy znaleźliśmy się na terenie willi, namówiłem opata, żebyśmy przed spotkaniem z Tranquillem, w tej chwili zajęтым porządkowaniem ogrodu, wpadli na chwilę do pałacu. Musiałem bowiem zaprowadzić córeczki do Cloridii, żeby znalazły się pod okiem matki, a przy okazji pomogły jej w opiece nad położnicą i noworodkiem.

Mistrz Romauli stał pochylony nad kwietnikiem, uzbrojony w sekator i konewkę. Na nasz widok rozpozgodził się. Przywitaliśmy się i Atto od razu przystąpił do rzeczy.

- Mój młody przyjaciel powiadomił mnie, że chce pan ze mną porozmawiać o pewnej sprawie - oświadczył pozornie swobodnym tonem. - Ale może woli pan rozmawiać w cztery oczy?... - dodał, sugerując, że każe mi odejść.

- Ależ skąd! - zaprotestował Mistrz Kwiciarz. - Traktuję go jak syna. Niech zostanie.

Zatem Romauli nie obawiał się mówić o delikatnych sprawach w mojej obecności. Tym lepiej - pomyślałem. Będę świadkiem wyjawienia tajemnicy Tetrachionu.

Ponieważ Tranquillo klęczał na trawie i nie miał zamiaru zmieniać pozycji, Atto dla ułatwienia konwersacji usiadł na niskiej kamiennej ławeczce, która szczęśliwym trafem znajdowała się w pobliżu. Rozejrzałem się - nikt nas nie obserwował. Warunki były wyjątkowo korzystne, by wyciągnąć z Romaulego wszystko, co wiedział.

- Szanowny Mistrzu Kwiciarzu! - zaczął Atto. - Po pierwsze, trzeba panu wiedzieć, że ostatnimi czasy los Eskurialu bardziej leży mi na sercu niż los Wersalu, którego mam zaszczyt być wiernym sługą. Właśnie dlatego...

- Tak, tak, ma pan rację, drogi opacie - przerwał mu Tranquillo, przycinając różany krzew. - Czy może pan potrzymać przez chwilę sekator?

Zaskoczony Atto wziął od niego sekator i milcząco przyglądał się czynnościom Romaulego przy roślinie. Po chwili podjął przemowę:

- ...Właśnie dlatego, jak już mówiłem - ciągnął - jestem pewien, że pan również jest świadom powagi sytuacji i że sprawą najwyższej wagi na wszystkich... powiedzmy, polach... jest zapobieżenie poważnemu kryzysowi, który mógłby...

- Proszę! - Romauli przerwał Melanieniu nieskładny wywód i wręczył mu różę, którą przed sekundą ściał. - Wiem, do czego pan zmierza: do Tetrachionu.

Opat otworzył usta ze zdumienia.

- Widzę, że Mistrz Kwiciarz jest człowiekiem małomównym i obdarzonym wielką intuicją - powiedział przymilnie, rozglądając się nerwowo wokół, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje.

- To było do przewidzenia - stwierdził Mistrz Kwiciarz. - Nasz wspólny przyjaciel, obecny tutaj, powiedział mi, że pragnie pan powró-

cić do naszej pierwszej rozmowy. Napomknąłem wówczas o tetrachionie oraz o hiszpańskim żonkilu i jaśminie z Katalonii. Wspomniał pan o Eskurialu. Wystarczy trochę pomyśleć, żeby zrozumieć, dokąd pan zmierza.

- Właśnie, tak - jękał się Atto, zmylony dedukcyjnym zmysłem ogrodnika. - Właśnie, ten Tetrachion...

- Wszystko po kolei, panie opacie - rzekł Tranquillo, wskazując różę, którą przed chwilą podał Melanieniu. - Proszę ją powąchać!

Atto, nieco zaskoczony, obracał różę w palcach, niezbyt rozumiejąc, dlaczego Romauli mu ją podarował. Zbliżył główkę kwiatu do nosa i głęboko wciągnął powietrze.

- Pachnie czosnkiem! - wykrzyknął.

Tranquillo Romauli roześmiał się.

- Tym samym udowodnił pan, że kwiat, choć piękny, gdy brzydsko pachnie, umiera. Ogrodnik, nadając ładną woń kwiatom, które są go pozbawione albo nieładnie pachną, daje im życie.

- Być może, ale ta róża - powiedział Melani, przykładając do nosa koronkową chusteczkę i wzdrygając się z obrzydzenia - nie otrzymała życia, lecz śmierć.

- Przesadza pan - stwierdził łagodnym tonem Mistrz Kwiaciarz. - Po prostu przejęła zapach innej rośliny.

- Ach tak?

- Do nawożenia stosuje się owcze odchody, które najpierw zalewa się octem, a następnie miesza ze sproszkowanym piżmem, cybetem oraz bursztynem, i w tej mieszance moczy się dwa-trzy dni nasiona. Wyrosną z nich kwiaty pięknie pachnące świeżym aromatem piżma i cybetu - rozkosz dla zmysłu powonienia.

- Ale ta róża śmierdzi czosnkiem!

- To prawda, ponieważ sąsiedztwo czosnku odgania pasożyty. Jak uczą Dydym i Teofrast, kwiaty posadzone obok czosnku lub cebuli, w szczególności różę, przesiakają ich zapachem.

- Obrzydliwe - mruknął pod nosem Atto. - Ale jaki to ma związek z Tetrachionem?

- Cierpliwości! Dzięki odpowiedniemu nawożeniu - ciągnął niewzruszenie Romauli - można pozbawić przykrej woni afrykańską kniec błotną czy goździk indyjski. Wystarczy namoczyć nasiona w wodzie różanej i przed wysianiem wysuszyć na słońcu. Z kwiatu, który wyrośnie, należy pobrać nasiona i powtórzyć zabieg, i tak dalej.

- Jak długo trzeba czekać na rezultat? - zapytał Atto, zaciekawiony.
- Drobnostka, około trzech lat.
- Rzeczywiście drobnostka - stwierdził Melani, ale Romauli nie wy-czuł ironii w jego głosie.
- Mniej czasu wymagają tamte szelmy - oznajmił Mistrz Kwiciarz.
- Staął na czubkach palców i zaprosił gestem Melaniego, by odwrócił się i spojrział w kierunku wilgotnego, zacienionego zakątka za ławką, między palmą a murkiem.
- One są... czarne! - wykrzyknął Atto.
- Nie mylił się. Płatki goździków ukrytych za ławką (gdzie ostatnio czę-sto widywałem Tranquilla) były czarne jak węgiel.
- Wyhodowałem je tam, żeby nie rzucały się w oczy - wyjaśnił Ro-mauli.
- Jak pan tego dokonał? - zapytałem. - W przyrodzie czarne kwiaty nie istnieją.
- To fraszka dla kogoś, kto zna się na ogrodnictwie. Potrzebny jest do tego owoc olchy wysuszony na drzewie. Rozdrabnia się go na proszek, miesza z owczymi bobkami i cierpkim winem. Dodaje się soli, aby zła-godzić ściągające właściwości octu. W tak przygotowanym preparacie zanurza się korzenie młodego goździka i sprawa załatwiona.
- Słuchając wyjaśnień Mistrza Kwiciarza, nie mogliśmy się nadziwić jego pomysłowości w wytwarzaniu cudów natury. Nawet mnie, swojemu wiernemu pomocnikowi, nie zdradził, że wyhodował czarne goździki. Ciekawe - zastanawiałem się - jakie jeszcze osobliwości wyrosły pod jego okiem na trawnikach willi Spada.
- Tranquillo Romauli powiedział nam w zaufaniu, że niedawno ukoń-czył kwietnik z płatków lili układających się w złote i srebrne litery naz-wisk młodej pary (SPADA i ROCCI). Poza tym wykonał kilka innych kwietników z róż nawożonych rzadkimi wschodnimi esencjami: w kolo-rach tęczy z tulipanów, których cebulki barwił w celestynie, szafranie i karminie; roślin, wyhodowanych z różnych nasion, wetkniętych do jed-nego owczego bobka; z natki pietruszki o karbowanych liściach, które uzyskał z nasion rozartych w moździerz.
- Nie mogę się doczekać - podsumował Mistrz Kwiciarz - kiedy kardynał Spada oprowadzi gości po ogrodzie i pokaże im moje dzieło.
- Nie rozumiem, dlaczego nie chce pan nic powiedzieć o Tetrachio-nie. Obawiam się, że niepotrzebnie zajmują panu czas - powiedział Atto i wstał z ławki, dając do zrozumienia, że to on traci czas.



Spojrzałem na Mistrza Kwiaciarza z niepokojem. Czyżby się rozmyślił?

- Już mówię - oświadczył po chwili. - Jak już wspomniałem, ogrody Eskurialu usychają.

- Powiedział pan: ogrody Eskurialu? - ożywił się Atto.

- Osoby źle poinformowane twierdzą, że hiszpańskie ogrody, niegdyś przepiękne, wkrótce przestaną istnieć z powodu zmiany klimatu. Zimy są coraz ostrzejsze, a w lecie panuje susza. Ale, jak już mówiłem pańskiemu obecnemu tu protegowanemu, mam nadzieję, że zgodzi się pan ze mną, że dobry ogrodnik mógłby je uratować. Nigdy nie byłem w Hiszpanii, bo z zasady nie opuszczam Rzymu. Dużo czytałem o tych ogrodach i wiem, że w Wersalu, mimo wilgotnego, niezdrowego powietrza w tym regionie, wszystkie rośliny bujnie rosną i kwitną, a w Schönbrunn, gdzie panuje ostry klimat, łąki są ukwiecone.

Opat Melani spojrział na mnie krzywo. Mistrz Kwiaciarz, nie ustając w pracy, kontynuował swój wywód.

- Kiedy powiedziałem mu - szepnąłem do opata, chcąc się usprawiedliwić - że pan się martwi, bo nad Eskuriałem unosi się śmierć, nie sądziłem, że tak to zrozumie...

- Tak mu powiedziałeś? Cóż za wyszukana metafora! - syknął Atto.

- Mam receptę na uratowanie tych ogrodów - ciągnął Romauli, nie zauważając naszej szeptanej wymiany zdań. - Cieszę się, że pan tu jest, ponieważ, jak słyszałem od pańskiego protegowanego, ta sprawa leży panu na sercu.

- Ale co z Tetrachionem? - wtrąciłem, w nadziei, że sprowadzę wywód Mistrza Kwiaciarza na właściwe tory.

- Cierpliwości, zaraz do tego dojdziemy. To delikatna kwestia - oświadczył Tranquillo Romauli. - Weźmy na przykład anemony. Aby uzyskać podwójne płatki, należy wybrać nasiona z kwiatów przed nocnymi przymrozkami, ani za wcześnie, ani za późno.

- Powiedział pan: podwójne kwiaty? - spytałem, domyślając się, do czego zmierza.

- Tak. Ze zwykłego goździka powstanie goździk podwójny, gdy przed upływem trzydziestu dni po piętnastym sierpnia, czyli po święcie Wniebowzięcia Matki Boskiej, umieści się jego pęd w doniczce z jak najlepszą ziemią. Doniczkę należy przechowywać w ciepłym miejscu, chroniąc pęd przed chłodem. Z goździka podwójnego można wyhodować goździk poczwórny, jeśli dwa lub trzy nasiona z odmiany podwójnej umieści się

w rurce z wosku lub w ptasim piórze zwężającym się ku górze, a następnie zakopie w ziemi. Tak właśnie zrobiłem, widzicie?

To powiedziawszy, Mistrz Kwiciarz wskazał nam z czułością kępkę kwiatów o przedziwnej formie. Były to białe goździki z czterema kwiatami na jednej łodydze, która ugięła się pod ich wonnym ciężarem.

- A oto moja recepta na uratowanie Eskurialu. Te kwiaty są bardzo odporne na skoki temperatury i zmiany klimatyczne. Sam je wyhodowałem. To moje goździki *Tetrachion*.

- Chce pan powiedzieć... - wyjąkał Atto, blednąc i cofając się o krok - że *Tetrachion* to... ta roślina?

- Tak, opacie Melani - odparł Romauli, nieco zaskoczony rozczarowaniem Atta. - Te poczwórne kwiatostany są tak szlachetne, że nazwałem je *Tetrachion*, z greckiego *tetra*, „cztery”. Ale może nie podziela pan mojej opinii i nadziei związanej z Eskuriałem? Jeśli tak, proszę mi to powiedzieć. Nie chciałbym pana dłużej zanudzać. Może miałby pan ochotę zwiedzić moje laboratorium z nasionami kwiatów? Mogę tam pana zaprowadzić, gdzie przeprowadzam eksperymenty, dziś lub jutro, jak pan woli.

Rozmowa z Tranquillem Romaulim wprawiła nas w zły humor.

- Do diabła z tobą i twoją żoną! - napadł na mnie opat Melani, ledwo wyszliśmy z ogrodu. - Obiecała nam Bóg wie jakie informacje uzyskane od zaufanych kobiet, a tymczasem niczego się nie dowiedzieliśmy.

W milczeniu pochyliłem głowę. Atto miał rację. Prawdę mówiąc, podejrzewałem, że Clordia, lękając się o moje życie (o mało nie zginąłem w służbie Melaniego), zmieniła zdanie i postanowiła nie dostarczać mi żadnych informacji, których skutkiem mogło być narażenie mnie na niebezpieczeństwo. Nie powiedziałem jednak opatowi o moich podejrzeniach.

- Mistrz Kwiciarz - wyjaśniłem - nie ma żadnego związku z pocztą pantoflową kobiet. Dowiedzieliśmy się jednak od niego jednej istotnej rzeczy, a mianowicie, że *Tetrachion* znaczy „poczwórny”.

- Jaki to ma, do licha, związek z tacą Capitor? - rozżościł się Melani.

- Myślę, że nie ma żadnego, panie Atto, ale powtarzam, wiemy przynajmniej, co oznacza to słowo.

- Nie potrzebowałem tego twojego Mistrza Kwiciarza, żeby się dowiedzieć, że *tetra* to po grecku „cztery” - odparł opat.

- Ale nie wiedział pan, że Tetrachion znaczy „poczwórny” - zauważyłem.

- Po prostu zapomniałem, to rozumiałe w moim wieku. Nie jestem bibliotekarzem jak Buvat - sprostował Atto.

- Może na tacy Capitor było coś poczwórnego.

- Już mówiłem, zdobyły ją posążki Neptuna i Amfitryty na wozie wśród morskich fal.

- Jest pan pewien, że nie było niczego więcej?

- Tak, chyba nie uważasz mnie za zdzieciniałego staruszka - oburzył się Atto. - Pozbędziemy się wątpliwości, kiedy odnajdziemy podarunki Capitor. Jestem pewien, że wiesz, gdzie ich szukać.

Kiedy zmęczonym, wolnym krokiem kolejny raz szliśmy do „Okrętu” Elpidia Benedettiego, przypomniałem sobie, że miałem zapytać opata o hrabinę de Soissons, która skłóciła Marię z królem. Podejrzywałem, że to ona była tajemniczą trucicielką, o której bardzo powściągliwie wyповідаła się wdowa po konstablu.

Czułem żal do opata, że ani słowem nie wspomniał mi o sukcesji hiszpańskiej, podczas gdy w listach do pani konstablowej rozpisywał się na ten temat. Atto opowiadał mi o innej Hiszpanii, młodszej o pięćdziesiąt lat, o Hiszpanii Juana Bękartu i Capitor, z jej zagadkowymi prezentami dla Mazzariniego. Czy coś łączyło te dwie Hiszpanie ze sobą? Być może istniał między nimi jakiś związek, może był nim Tetrachion?

- Widzę, że się zamyśliłeś, chłopcze - zauważył Atto, na ogół bardziej zamyślony ode mnie.

Opat z pewnym niepokojem obserwował moją posępną twarz. Jak wszyscy zawodowi kłamcy, obawiał się, że jego rozmówcy prędzej czy później złożą w całość głoszone przez nich półprawdy.

- Myślałem o Tetrachionie i Marii Mancini - oznajmiłem z głębokim westchnieniem.

To było oczywiście kłamstwo. Myślałem tylko o Marii. W jej korespondencji z Attem, którą kilkakrotnie przejrzałem, było coś, czego nie rozumiałem.

- Jeśli chodzi o ścisłość, zastanawiałem się nad złośliwością dworu wobec Marii, a w szczególności nad hrabiną de Soissons... A propos, kim ona właściwie była? - zapytałem z niewinną miną.

- Jak widzę, mimo nadmiaru zdarzeń sprzed kilku godzin i braku snu pamiętasz, o czym ci opowiadałem - odparł uradowany opat.

Sądził zapewne, że tak bardzo spodobała mi się jego opowieść o losach miłości młodego króla Ludwika, iż pragnąłem poznać jej szczegóły. Tylko na to czekał.

Hrabina de Soissons - wyjaśnił opat Melani - była starszą siostrą Marii. Nazywała się Olimpia Mancini i zdaniem niektórych osób była jedną z kobiet, które wprowadziły młodego króla w tajniki miłości. Wiosną 1654 roku, kiedy często tańczyli razem podczas uroczystych przyjęć, ona miała siedemnaście lat, a Ludwik piętnaście. Olimpia wiązała z królem pewne nadzieje... Ale wuj Mazzarini obiecał jej rękę hrabiemu de Soissons z dynastii sabaudzkiej, spokrewnionemu z rodziną królewską. Pobrali się w 1657 roku.

- Olimpia była osobą zawistną - ciągnął opat, krzywiąc się na to nieprzyjemne wspomnienie. - Miała pociągłą twarz ze spiczastym podbródkiem, małe, bystre oczy. Ładne były jedynie dołeczki w jej policzkach. Dworzanie zastanawiali się, czy była kochanką króla.

- Była? - podchwyciłem w nadziei, że Melani zdradzi mi jakiś istotny szczegół.

- To złe pytanie. Nie można mówić o kochankach w przypadku piętnastoletniego chłopca. Można co najwyżej zapytać: czy mieli na siebie chrapkę? Odpowiedź brzmi: to bez znaczenia.

Zdaniem Atta wszyscy wiedzieli, że igraszki z Olimpią, platoniczne czy nie, nie są dla młodego króla niczym poważnym, niczym, co poruszyłoby jego serce. A kiedy Maria i Ludwik zakochali się w sobie, Olimpia była już w ciąży z pierwszym dzieckiem.

- Cięża nie wyleczyła, niestety, Olimpii z zawiści w stosunku do siostry, która w naturalny sposób zdobyła to, o co ona na próżno zabiegała: miłość króla.

Między pierwszą a drugą ciążą zazdrość ponownie przywiodła Olimpię do flirtu z Ludwikiem. I tym razem jej starania okazały się daremne. Mając milczące poparcie królowej matki, która obawiała się miłości Ludwika i Marii, celowo wytrąciła z równowagi Marię, donosząc w liście o niechęci do niej matki Ludwika.

- A więc to ona oczerniła Marię przed królem, kiedy wrócił do Paryża po ślubie z hiszpańską infantką! - zawołałem zaskoczony.

Jako zwykły znajda, pozbawiony rodzeństwa, zawsze marzyłem o tym, żeby mieć dużo braci i sióstr, którzy byliby zarazem moimi najlepszymi, najbardziej zaufanymi przyjaciółmi.

- Dziwisz się? Od czasów Kaina i Abla nic się nie zmieniło - stwierdził Melani z dumną miną i wyrecytował:

Kiedy krewni w złość wpadają, Bardziej  
zawzięci od obcych się stają. Zazdrość i  
zawiść są jak trucizny, Czego dowodem  
zwaśnionych braci bliźny. Kain, Ezaw,  
Eteokles, Jakuba synowie, O tym każdy  
wam powie, Kiedy od zawiści płonęli,  
O więzach krwi zapomnieli.

- Jak więc słyszałeś - wyjaśnił Atto - nie bez powodu Sebastian Brant, tak drogi Albicastrowi, pisał w swoim *Statku głupców* o nienawiści braterskiej. Ale na szczęście nie jest to reguła - uściślił. - Maria była bardzo przywiązana do swojej drugiej siostry, Hortensji.

No tak - pomyślałem - ale czyż sam Atto nie był żywym przykładem miłości braterskiej, przez całe życie związany ze swoimi braćmi nierozrwalnym *foedus* wzajemnej pomocy? Wiele lat temu w gospodzie „Donzello” słyszałem, jak jeden z gości mówił z dezaprobatą o tym, że bracia Melani trzymają się „zawsze razem, jak wilki”.

- Jak już wspominałem, Olimpia szepnęła królowi do ucha, że kiedy on wyjechał w Pireneje poślubić hiszpańską infantkę, Maria przyjmowała zaloty młodego Karola Lotaryńskiego i była nawet gotowa przyjąć jego oświadczenia.

- Co miała począć, biedaczka? - zauważyłem. - Król był już żonaty.

- Otóż to! Maria szukała okazji do pozostania we Francji, nie chciała wracać do Włoch, gdzie kobiety szlacheckiego stanu były zmuszane przez mężów do pozostawania w domu i traktowane jak rzecz.

Olimpia z satysfakcją obserwowała skutki swoich podłych poczynań wobec siostry. Pewnego dnia Maria, przedstawiona żonie Ludwika, po długim okresie niewidzenia miała ujrzeć króla. Przedtem była rozłąka, despotyzm Mazzariniego, łzy Ludwika w zamku w Brouages. Miłość nie wygasła, została jedynie stłumiona. Tak więc Maria stanęła przed obliczem króla, składając mu pokłon, a wtedy on, trawiony zazdrością, rzucił jej zimne i pogardliwe spojrzenie. Olimpia triumfowała.

Na łożu śmierci Mazzarini hojnie wynagrodził Olimpiii gorliwość, z jaką rozdzieliła Ludwika i Marię. Mianował ją nadintendentem królowej, z czego Maria Teresa była bardzo niezadowolona, ponieważ Olimpia, nie tracąc nadziei, stale kręciła się wokół jej męża.

- Biedna Maria Teresa! Olimpia wykorzystała swoją pozycję, by z okrutną satysfakcją donosić królowej o zdradach króla.

Tak było z pierwszą oficjalną faworytą Ludwika XIV, Luizą de la Valliere. Olimpia, która zawsze do wszystkiego się wtrącała, zaproponowała ją królowi jako przyzwoitkę podczas nocnych schadzek ze szwagierką Henriettą. W głębi duszy cieszyła się, że ten, którego nie udało jej się zdobyć, zdradza własną żonę.

Gdy Luiza została kolejną kochanką króla, Olimpia zwalczała ją z nie-spotykaną zaciekłością. Wprowadziwszy do alkowy namiętnego króla dworę królowej Annę Lucię de la Motte, nie omieszczała poinformować o tym Luizy w anonimowym liście. Nie rozdzieliło to kochanków. Poprosiła więc o tajną audiencję u królowej Marii Teresy i o wszystkim jej doniosła - zarówno o przelotnych romansach króla, jak i stałym związku z panią La Valliere. Później rozkoszowała się sceną, której była sprawczynią: faworyta łała strumienie łez, król pokłócił się z matką, damy dworu wywołały w pałacu burzę.

Zamieszaniu położył kres sam król - skorzystał z okazji, by wyzwolić się spod władzy matki, i wobec całego dworu uznał panią La Valliere za swoją oficjalną kochankę.

- Olimpia nieświadomie sama sobie zaszkodziła - zaśmiał się opat. - Od tej pory popadła w niełaskę, jej koniec był bliski.

- Proszę spojrzeć! - wykrzyknąłem, przerywając Melanieniu.

Minęliśmy bramę San Pancrazio i zbliżyliśmy się do „Okrętu”. Przed wejściem do willi stały trzy okazałe karety.

- Poznają karety kardynała Spady - powiedziałem.

Pojazdy ruszyły. Gdy skręciły w prawo, zauważyliśmy, że były puste. Wróć po swych pasażerów (Spadę, Spinolę i Albaniego) za jakiś czas.

- Odwagi, chłopcze! Może tym razem dopisze nam szczęście. Wszyscy trzej są „na pokładzie” - stwierdził Atto.

Trzej kardynałowie przybyli zatem do willi Benedettiego. Szukaliśmy ich w czasie naszej poprzedniej wizyty, ale bez skutku. Tym razem natknęliśmy się na nich przez przypadek.

Z uwagi na to, że dotarliśmy prawie na miejsce, Melani szybko zakończył swoją opowieść:

- Olimpia szalała z zazdrości. Zamawiała klątwy i trucizny w celu usunięcia kochanek Arcychrześcijańskiego Króla, a dla niego napoje miłosne. Jej intrygi wyszły na jaw, kiedy wybuchła afera trucicielska, za-

kończona aresztowaniem Olimpji, a następnie deportacją do Brukseli. Do dziś błąka się po Europie, pałając nienawiścią do Francji i starając się na wszystkie sposoby zaszkodzić Arcychrześcijańskiemu Królowi. Podejrzewano ją o otrucie męża, a nawet pani Henrietty i jej córki.

- Pani Henrietty i jej córki? - powtórzyłem zdziwiony.

- O niebios! Znów to samo! Muszę ci wszystko powtarzać po kilka razy! Mówiłem przed chwilą, Henrietta była szwagierką króla. Widzieliśmy jej portret, tutaj, na parterze. Była matką Marii Luizy Orleańskiej, pierwszej żony króla Hiszpanii Karola II. Ale to zupełnie inna historia. - Melani jak zwykle uciął rozmowę, gdy schodziła na aktualną sytuację w Hiszpanii.

Dowiedziałem się w końcu, że tajemnicza hrabina S., czyli de Soissons, była siostrą Marii Mancini. Wdowa po konstablu wspomniała w swoim liście o podejrzeniach o otrucie, ciężących nad hrabiną po śmierci królowej Hiszpanii Marii Luizy Orleańskiej. Dyskrecja, z jaką wypowiadała się pani konstablowa, nie wynikała zapewne z tego, że Olimpia mogła być w tę sprawę zamieszana, ale z tego, że była jej rodzoną siostrą. Właśnie dlatego Maria mówiła o niej z takim żalem. Krótko mówiąc, popełniłem kolejną pomyłkę (pierwsza wiązała się z Mistrzem Kwaciarem i Tetrachionem): tajemnicza hrabina S. wcale nie była tajemnicza i nie miała żadnego związku z niebezpieczeństwem wiszącym nad głową opata Melaniego.

Kiedy Atto skończył swoją opowieść, posmutniałem, ale starałem się tego nie okazywać. Od kilku dni przeglądałem korespondencję Atta i pani konstablowej, czytając ich uwagi na temat hiszpańskiej sukcesji, i właściwie niczego nie odkryłem. Co więcej, Melani w rozmowach ze mną nadal nie wspominał o Hiszpanii i najwyraźniej nie miał zamiaru tego uczynić. Z okazji zbliżającego się konklawe był całkowicie pochłonięty spotkaniami mojego pana, kardynała Spady, z kardynałami Albanim i Spinolą z San Cesareo. Spotkania te odbywały się w „Okręcie”, a przynajmniej tak przypuszczaliśmy. Pomimo naszych ciągłych wizyt w tej dziwnej willi, do której właśnie zmierzaliśmy, jak do tej pory nie znaleźliśmy potwierdzenia naszych przypuszczeń. „Okręt” natomiast, wraz ze swoimi niepokojącymi zjawiskami, pobudzał opata do wspomnień. Przewijały się w nich postacie Marii Mancini, młodego Arcychrześcijańskiego Króla, nadintendenta Fouqueta, don Juana Bękartą (wraz z nim powracał temat Hiszpanii), obłąkanej Capitor, która przed

czterdziestoma laty wręczyła Mazzariniemu trzy podarunki, między innymi tacę, nazwaną przez nią Tetrachionem.

Właśnie, Tetrachion - z uporem powracałem do niego w myślach, jakbym znalazł się w labiryncie. Tego tajemniczego słowa użyła nieoczekiwanie pokojówka ambasadora Hiszpanii podczas rozmowy z Cloridią. Moja kochana żona bardzo chciała pomóc odkryć związek między napaścią na opata Melaniego, śmiercią introligatora Havera i ożywioną korespondencją między Attem i Marią Mancini w sprawie hiszpańskiej sukcesji. Wtedy też padło imię mojego pana, kardynała Fabrizia. Autorzy listów pisali, że sekretarz stanu kardynał Fabrizio Spada udał się do hiszpańskiego ambasadora w związku z prośbą o pomoc, z jaką król Hiszpanii zwrócił się do Innocentego XII. Ze względu na zły stan zdrowia papieża kardynał Spada przejął jego obowiązki. W tym momencie wróciłem do punktu wyjścia, czyli do hiszpańskiej sukcesji i Tetrachionu, nieznaney istoty bez twarzy, prawowitego następcy tronu.

Odkąd razem z opatem ruszyliśmy w drogę, stale rozmyślałem o tych wszystkich sprawach, nie znajdując odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Wszystko wydawało się ze sobą łączyć, ale w jaki sposób? Być może rozwiązanie było blisko, na wyciągnięcie ręki, a ja nie potrafiłem go dostrzec. Gmatwanina poszlak przypominała muzyczną wariację, follię, powracający motyw, który rozbrzmiewa wszędzie, a jednak umyka. Była niczym morski wąż, to wrogi, to znów przymilny, który chwyta przypadkowego słuchacza i unieruchamia swoimi splotami.

Gdy wchodziliśmy na teren willi, powitała nas follia, a my zanurzyliśmy się w niej niczym w ciepłych, spokojnych wodach Lete.

Dostrzegliśmy Albicastro stojącego na gzymsie. To on dobywał ze swoich magicznych skrzypiec skoczne dźwięki follii.

- Stale się tu kręci - mruknął Atto. - Chyba nie wie, że jest po prostu śmieszny!

Albicastro przestał grać i spojrzał na nas. Przestraszyłem się, że słyszał niezbyt pochlebną opinię opata Melaniego, mimo że wypowiedziana została szeptem.

- Rzeczy ludzkie, podobnie jak sylenowie Alcybiadesa, mają zawsze dwa aspekty, z których jeden jest przeciwieństwem drugiego. Wiedział pan o tym, opacie Melani? - powiedział enigmatycznie Holender. - Tak



jak te śmieszne, groteskowe posążki sylenów z wizerunkami bóstw wewnątrz. To, co z pozoru wydaje się martwe, wewnątrz jest żywe. I na odwrót - to, co wydaje się żywe, jest martwe.

Muzyk najwidoczniej usłyszał złośliwe słowa opata.

- Jeśli chodzi o rzeczy ludzkie - ciągnął - to, co wydaje się piękne, okazuje się szpetne, bogacz staje się biedakiem, łajdak - człowiekiem honoru, uczony - głupcem, siłacz - słabeuszem, człowiek szlachetny - nikkzemnikiem, wesołek - osobą smutną, pomyślność - przeciwnością losu, przyjaźń - wrogością, rzecz korzystna - rzeczą szkodliwą. Krótko mówiąc, otwórz posążek sylena, a przekonasz się, że każda rzecz nieoczekiwanie zmieniała się w swoje przeciwieństwo.

- Chce pan powiedzieć, że to, co uważam za śmieszne, może okazać się boskie? - drwił sobie Melani.

- Dziwię się, opacie Melani, że jako Francuz nie rozumie pan sensu moich słów. A przecież ma pan przykład pod nosem. Któż z was, Francuzów, nie uważa waszego króla za bogacza i pana wszechrzeczy? A czyż nie ulega on słabościom niczym najędzniejszy sługa? Przede wszystkim jednak, czy, jako człowiek pozbawiony serca i pożądlivy, nie powinien zostać uznany za nieszczęśnika? Wie pan zapewne, co powiedział Solon do króla Lidii Krezusa: „Nie wiem, czy jesteś szczęśliwy, zanim się nie dowiem, czyś życie swoje dobrze zakończył. Do tego czasu mogę powiedzieć tylko, że dobrze ci się wiedzie”\*

Na dźwięk tych słów Melani odwrócił się i oddalił, nie pożegnawszy się z Albicastrem. Poszedłem za nim w zamyśleniu. Krezus, król Lidii - imię słynnego władcy starożytności coś mi przypominało. Zrównawszy się z Melanim, który szedł przed siebie w milczeniu, spojrzałem ukradkiem na niego. Miał pobladłą twarz, jakby holenderski skrzypek poruszył w jego duszy jakąś czułą strunę. Uświadomiłem sobie, że słyszałem już legendę o mądrym Solonie i królu Krezusie, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kto mi ją opowiadał. Tam, gdzie zawodzi pamięć - powiedziałem do siebie - należy odwołać się do rozsądku: Albicastro, mówiąc o Krezusie, miał na myśli Arcychrześcijańskiego Króla...

Po chwili przypomniałem sobie imię pojawiające się w listach Atta i pani konstablowej: Lidiusz. Krezus, król Lidii, Lidyjczyk... Ten tajemniczy człowiek wysyłał do Marii wiadomości za pośrednictwem Atta,

\* Herodot, wg W. Kopalińskiego (przyp. tłum.).

a ona tą samą drogą mu odpowiadała. Co pisała pani konstablowa? „Trzeba dostrzegać koniec każdej rzeczy. Bóg dał ludziom szczęście, a później ich pognął i zniszczył”. Albo: „Nie udzielę ci, Lidyjczyku, odpowiedzi, dopóki się nie dowiem, czyś życie swoje dobrze zakończył”. Jeśli się dobrze zastanowić, zdania te przypominały cytaty zaczerpnięte ze starożytnego dzieła. Brzmiały podobnie jak słowa wypowiedziane przez Solona do Krezusa, które przytoczył Albicastro. Postanowiłem jak najszybciej udać się do biblioteki w willi Spada i odszukać legendę o Krezusie i Solonie, aby potwierdzić swoje przypuszczenia.

Weszliśmy do pałacu i rozejrzeliśmy się. Kardynałów ani śladu.

- Nie ma ich tutaj. W przeciwnym razie dałby się słyszeć jakiś hałas albo natknęlibyśmy się na kogoś z sekretarzy.

W pałacu nie było żywej duszy, jakby kardynałowie rozplynęli się w powietrzu.

- Coś tu nie gra - stwierdził Atto, w zamyśleniu pocierając brodę. - Ruszmy się! Nie stójmy tak beczynnie, mamy dużo roboty.

Naszym celem była taca. Zgodnie z obrazem przedstawiającym podarunki Capitor, który znaleźliśmy kilka dni wcześniej w „Okręcie”, oraz ze wspomnieniami Atta, była duża, ze złota, piękna i po mistrzowsku wykonana. Benedetti z pewnością umieścił ją w widocznym miejscu w którejś z komnat. Biorąc jednak pod uwagę oplakany stan opuszczonej willi, nie można wykluczyć, że ktoś zadbał o to, by ukryć tacę przed rabusiami.

- Obraz znaleźliśmy na drugim piętrze - przypomniał Atto. - Tam za czniemy szukać.

Na drugim piętrze mieściły się cztery apartamenty ze wspólną łazienką i salonem. Drobiazgowo przeszukaliśmy wszystkie łóżka, szafy, kredensy i garderoby - bez rezultatu. Zajrzeliśmy do wszystkich zakamarków. We wszystkich czterech apartamentach wszedłem na krzesło i zajrzałem za rzędy książek w bibliotekach, wdychając wieloletni kurz, którym były pokryte. Również ten etap poszukiwań zakończył się niepowodzeniem, z wyjątkiem pewnego szczegółu.

Kiedy przeglądałem czwartą i ostatnią biblioteczkę, moją uwagę przykuł trzeci rząd książek od góry. Wszystkie tomy miały na grzbiecie złoty napis:

HERODOT  
DZIEJE

Na okładce pierwszego tomu przeczytałem:

Księga I LIDIA I  
PERSJA

Znane mi było oczywiście nazwisko słynnego greckiego historyka i tytuł jego dzieła. Zainterесowała mnie jednak nazwa Lidia, kraina Krezusa.

- Schodzę piętro niżej, tu nic nie ma! - krzyknął Atto.

- Mam tu jeszcze coś do zrobienia, zejść do pana później - odparłem.

O tak, miałem co robić. Zszedłem z krzesła, na którym stałem, i usiadłem w fotelu. Otworzyłem książkę, żeby poszukać fragmentów dotyczących legendy Krezusa. Kiedy przerzucałem kartki, w myślach podziękowałem otaczającym mnie murom. Kolejny raz „Określ” jakby przeczuł, w jakiś tajemniczy, niewytłumaczalny sposób, moją potrzebę szukania wyjaśnień, żądę poznania. Tym razem jednak nie odpowiedział mi napisami. Aby zadowolić moje życzenie, podsunął mi pod oczy książkę. Miałem więcej szczęścia niż podczas poszukiwań tacy. Passus, który wszystko tłumaczył, znajdował się w dwudziestym siódmym rozdziale.

Bogatego Krezusa, króla Lidii, odwiedził pewnego dnia Solon, ateński mędrzec. Krezus powiedział do niego: „Ateński gościu, wiele słyszałem o tobie, o twojej mądrości i podróżach. Jako miłośnik wiedzy i człowiek opanowany żądzą poznania przemierzyłeś wiele ziem. Pragnę spytać cię, czy widziałeś najszcześniejszego z ludzi”.

Krezus, który miał ogromne bogactwa, szacunek i wpływy, sądził oczywiście, że Solon powie mu, iż to on, władca Lidii, jest najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Tymczasem Solon wymienił niejakiego Tellosa z Aten, który miał piękne życie, dużo dzieci i wnuków, a zmarł, walcząc w obronie swojej ojczyzny. Na drugim miejscu Solon umieścił braci Argiwów, Kleobisa i Bitona, dwóch siłaczy, którzy przez czterdzieści pięć stadiów\* ciągnęli wóz ze swoją matką, aby zawieźć ją do sanktuarium na uroczyste obchody święta Hery. Kiedy dotarli do świątyni, matka młodzieńców poprosiła boginię, aby zapewniła synom los najlepszy z możliwych. Po uczcie i świętym obrządku w świątyni Hera spuściła na Kleobisa i Bitona sen, z którego się nie obudzili. Lud wzniosł braciom posągi i czcił ich.

Krezus rozgniewał się: „Ateński gościu, zatem tak nisko cenisz moje

45 stadiów - ok. 8 km (przyp. red.).

szczęście, że nie stawiasz mnie nawet na równi ze zwykłymi ludźmi?"  
Na to Solon odparł:

*Sądzę, że jesteś bardzo bogaty i że jesteś potężnym królem. Nie powiem ci jednak, czy jesteś szczęśliwy, dopóki się nie dowiem, czyś życie swoje dobrze przeżył. Do tego czasu mogę powiedzieć tylko, że dobrze ci się wiedzie.*

*Oto jest to, czego szukasz: człowiek godny tego, by nazwać go szczęśliwym. Trzeba zaczekać, aż umrze, i nie nazywać go szczęśliwym, ale szczęściarzem.*

*Człowiek, który, niczym król, posiada największe bogactwa, a później umiera piękną śmiercią, zasługuje na miano szczęśliwego. Trzeba dostrzegać koniec każdej rzeczy. Bóg dal wielu ludziom szczęście, a później ich pognębił i zniszczył.*

- Chłopcze, idziesz czy nie? Mamy dużo pracy!

Głos Atta przywołał mnie do rzeczywistości, a dłoń, w której trzymałem tom Herodota, zdrząła. Dość już przeczytałem - pomyślałem. Zaczynałem wszystko rozumieć.

Zakładając, że się nie myliłem, pod imieniem Lidiusza krył się, ni mniej, ni więcej, sam Król Słońce. Do niego nawiązywała też metafora Krezusa, której użył Albicastro. Poza tym Atto mówił mi kiedyś, że wśród ulubionych lektur Ludwika i Marii znajdowały się dzieła Herodota.

Zatem sekret, który usilnie starałem się odgadnąć, polegał na tym, że wdowa po konstablu i Arcychrześcijański Król pisywali do siebie potajemnie, Atto zaś pośredniczył w wymianie listów.

Oczywiście nie była to już ta sama Maria i ten sam Ludwik - niewinna dziewczyna i nieśmiały młodzieniec z wizji w „Okręcie” - a w listach nie wyznawali sobie miłości. Król Francji nadal bardzo sobie cenił rady Marii Mancini, do tego stopnia, że prowadził z nią tajną korespondencję. Przypomniałem sobie, że w dopisku do jednego z listów Atto stwierdził:

*Zapewniam, że bardzo ceni Pani zdanie i cieszy go Pani aprobatą.*

W tym samym liście Melani napisał, że ma coś dla pani konstablowej i że po otrzymaniu tej „rzeczy” z pewnością zmieni zdanie o Lidiuszu. Co to mogło być?

Po pierwszych chwilach entuzjazmu ogarnęły mnie wątpliwości. Nawiązanie do Herodota było oczywiste, mniej oczywiste było natomiast to, że pod pseudonimem Lidiusza krył się Arcychrześcijański Król. Nie był to chyba przypadek, że Ludwik ze swoją ukochaną wspólnie czytali Herodota. Z drugiej jednak strony Albicastro zbyt łatwo porównał Krezusa do króla Francji. Nie mogłem też wykluczyć, że pod postacią króla Lidii z listów Atta i Marii kryje się ktoś zupełnie inny. Za mało wiedziałem o życiu Marii Mancini po jej wyjeździe z Paryża, żeby odgadnąć, kim była tajemnicza postać. Krótko mówiąc, potrzebowałem potwierdzenia moich przypuszczeń, czyli... Sylwiusza.

Maria Mancini pisywała do Atta, nazywając go niekiedy Sylwiuszem. Upominała go, udzielała rad i czyniła wymówki, których sens nie był dla mnie jasny.

A może - zastanawiałem się - to także były literackie cytaty, podobnie jak w wypadku Lidyjczyka z dzieł Herodota? Wyobraziłem sobie, że Sylwiusz był postacią z jakiejś książki, zwiastunem miłości, zaczerpniętym z mitologii. Gdybym dowiedział się, skąd pochodzi imię Sylwiusz, może łatwiej by mi było odgadnąć, kim był Lidyjczyk, a nawet zdobyłbym dowód na to, że Arcychrześcijański Król i pani konstablowa nadal wiedli miłosne rozmowy.

Stwierdziłem, że w moich domysłach poszedłem za daleko. Jedno imię - Sylwiusz - to za mało. Przypominało to szukanie igły w stogu siana. Od czego zacząć?

Wtem czyjaś dłoń chwyciła mnie za ramię, budząc z zamyślenia.

- Skończ wreszcie medytować z tą książką w ręku jak święty Ignacy i pomóż mi!

Opat, spocony i brudny od kurzu, przyszedł przywołać mnie do porządku.

- Nic jeszcze nie znalazłem, ale chcę przeczesać całe pierwsze piętro. Chodź mi pomóc!

- Już idę, panie Atto - odparłem.

Wdrapałem się na krzesło i odstawiłem na miejsce dzieło Herodota. Musiałem odłożyć na później moje rozważania.

Zeszliśmy na pierwsze piętro, gdzie znajdowała się lustrzana galeria z iluzjonistyczną perspektywą, sąsiadująca z kaplicą, łazienką i dwiema niewielkimi salami, z których jedna poświęcona była papieżom, a druga Francji.

Zatrzymałem się przed arrasem przedstawiającym piękną nimfę w wilczej skórze, trafioną strzałą przez młodego myśliwego. Z rany w jej boku wypływała krew. Powabna postać o jasnej karnacji, z czarnymi lokami na głowie, kontrastowała z młodzieńcem o zropaczonej twarzy. Arras oprawiony był w ozdobną ramę z motywami kwiatów i reliefami w kształcie medalionów i papierowych zwojów.

Rozpoznałem go: był to jeden z flamandzkich arrasów, które wywołały ekstatyczny podziw opata podczas naszej poprzedniej wizyty w „Okręcie”. Atto powiedział wtedy, że trzydzieści lat temu podczas pobytu Elpidia Benedettiego we Francji sam doradził mu zakup tych pięknych tapiserii.

O czym jeszcze dowiedziałem się od opata? - zastanawiałem się. Różne myśli snuły mi się po głowie, zdążając, niczym roztańczone bachantki, do jakiegoś nieznanego, podniecającego celu. Początkowo arrasy były cztery - powiedział wówczas Melani - dwa z nich, za jego namową, Benedetti подарował Marii Mancini, ponieważ ukazane tam sceny zainspirowane były dramatem pasterskim *Pastor Fido*, jednym z ulubionych utworów Marii i młodego króla (szczegół ten musiałem niemal siłą wydobyc z opata, bardzo powściągliwego w tej materii). Dramat pasterski...

Uśmiechnąłem się niewinnie do Melaniego i udałem atak kaszlu wywołany drapaniem w gardle. Zapytałem opata, czy mogę opuścić to zakurzone pomieszczenie, po czym, nie czekając na pozwolenie, wbiegłem szybko po schodach na drugie piętro, jak Merkury w uskrzydłonych sandałach. Po kilku sekundach ponownie znalazłem się przed czterema biblioteczkami, gdzie w jednej z nich znalazłem stojące w równym rzędzie opasłe tomy *Dziejów* Herodota.

Wszedłem na krzesło i czytając tytuły poszczególnych woluminów, przesuwałem dłonią po ich grzbietach, jakby źrenice potrzebowały pomocy narządu dotyku na potwierdzenie tego, co widziały.

W końcu ją znalazłem, cienką broszurkę wysokości pół piędzi, grubości jednego palca. Miała okładkę z czarnej skóry w złotą kratkę, z grzbieciem ozdobionym florenckimi liliami. Otworzyłem ją:



1 L  
**PASTOR FIDO,**  
Tragicomedia Paftorale,  
DEL  
Signor Cavalier  
**BATTISTA GUARINIJ**  
Con una nuova aggiunta

*Is amfiertam nella stamperia del*9D.E.L.SEVIERS  
Es in P A R I C I F I VENDE Apoceffo  
THOMASO JOLLY Nel Palazzo  
M.DC.LX

Otworzyłem broszurkę w miejscu zaznaczonym od niepamiętnych czasów zakładką z ciemnoczerwonej, nieco wyblakłej satyny. Mój wzrok padł na następujące słowa:

Och, Dorindo szczęśliwa! Niebiosa obdarowały cię  
dobrem, którego szukasz.

Ucieszyłem się. Dorinda to imię zranionej nimfy z arrasu, na którą przed chwilą patrzyłem. Powiedział mi o tym opat Melani, gdy ujrzeliśmy ją po raz pierwszy. Dorinda to także imię, które wybrała dla siebie pani konstablowa w pierwszym liście, podczas gdy Atta nazywała Syl-wiuszem. Znalazłem to, czego szukałem. Teraz nie pozostawało mi nic innego jak odnaleźć imię Sylwiusz. Jeśli był on, jak się domyślałem, jed-

nym z bohaterów *Pastora Fido*, wygrałem. Pochyliłem się nad książką z bijącym sercem, w poszukiwaniu Sylwiusza, który był zapewne posłańcem miłości między Dorindą a jej ukochanym, podobnie jak Melani między panią konstablową a Arcychrześcijańskim Królem. Po chwili znalazłem:

Nie znasz Sylwiusza, jedyne go syna  
Montana, kapłana Diany, Sławnego  
dziś i bogatego pasterza?

Sylwiusz nie był zatem wysłannikiem, jak sądziłem, lecz bogatym, pięknym młodzieńcem. Pominąwszy bogactwo, nie odpowiadał on wizerunkowi opata Melaniego...

To, co przeczytałem dalej, przeszło moje oczekiwania:

Och, Sylwiuszu, Sylwiuszu, w kwiecie wieku  
•Obdarowany zostałeś przez naturę Delikatną i  
powabną urodą. Zamierzasz zaprzepaścić ten  
dar?

Był to dialog pomiędzy Sylwiuszem a jego starym sługą Lynkeusem, który wyrzucał młodzieńcowi jego nieczułe serce. Przerzuciłem kilka stron.

LYNKEUS:  
Szalony chłopcze! Na co daleko szukać  
Groźnego, dzikiego zwierza,  
Skoro masz pod dostatkiem  
Łagodnej, oswojonej zwierzyny?

SYLWIUSZ:  
W jakim lesie się ukrywa?

LYNKEUS:  
Ty nim jesteś, Sylwiuszu,  
A zwierz, który się w nim ukrywa,  
To twoje okrucieństwo.

Czyż twoje serce nie jest nieczułe I  
zimne jak głaz?



Nie, to nie Atto krył się pod imieniem Sylwiusza. Ktoś inny przypominał mi, i to nawet bardzo, bogatego, wyniosłego pasterza:

Spójrz wokół, Sylwiuszu, Ile świat  
ma w sobie piękna i uroku, Jest  
dziełem Miłości. Miłuje niebo,  
Miłuje ziemia, miłuje morze.

Każda rzecz jest zdolna do miłości,  
Z wyjątkiem ciebie, Sylwiuszu.  
Czyż nie jesteś jedynym sercem bez miłości  
Na niebie, na ziemi i na morzu?

Przyszły mi na myśl opowieści Melaniego. Czyż te wymówki nie pasowały niemal idealnie do osoby Jego Wysokości Arcychrześcijańskiego Króla Francji? Czyż serce władcy nie stało się zimne jak lód po rozstaniu z Marią Mancini?

Jesteś oschły dla tych, którzy cię kochają.  
Czy to możliwe, aby tak wdzięczna  
Postać była tak okrutna?

I dalej:

Och, bezlitosny Sylwiuszu!  
Och, dumny młodzieńcze!

Odwrociłem stronę tytułową. Pragnąłem przeczytać *argumentum*, streszczenie dzieła, aby dowiedzieć się, jaką rolę odgrywała w nim nimfa Dorinda, której imię przyjęła pani konstablowa. Jak się okazało, Sylwiusz był narzeczonym Amarilli, ale jej nie kochał. Nie kochał nikogo. Myślał tylko o polowaniach. Pewnego dnia przez pomyłkę trafił strzałą zakochaną w nim nimfę. Nimfa miała na imię Dorinda. Sylwiusz wziął ją za zwierzę, ponieważ miała na sobie wilczą skórę. Młodzieniec zakochał się w nimfie, wyleczył jej ranę, połamał łuk i strzały. Na koniec ożenił się z Dorinda.

Czy ta historia nie przypominała losów młodego króla Francji, narzeczonego hiszpańskiej infantki, zakochanego w Marii Mancini? Jedyne koniec ich miłości był zupełnie inny niż w *Pastorze Fido*, choć z pewnością Ludwik i Maria marzyli o pomyślnym zakończeniu.

Czas naglił. Obawiałem się, że Atto zacznie mnie szukać. Podszedłem do schodów. Usłyszałem dziwny odgłos. Ostrożnie zszedłem po kilku stopniach i wychyliłem się, żeby zobaczyć, co robi opat. Atto, najwidoczniej zmęczony, usiadł w fotelu i czekając na mnie, zasnął.

Przysiadłem na schodku i rozmyślałem. Arcychrześcijański Król krył się zarówno pod imieniem Lidiusza, jak i Sylwiusza. Maria Mancini natomiast była dla króla nie tylko tym, kim dla Krezusa był Solon, ale też Dorindą, ukochaną Sylwiusza...

W końcu zrozumiałem sens listów Atta i Marii. Nie dotyczyły szpiegostwa, politycznych intryg ani sekretów międzynarodowej dyplomacji, jak początkowo podejrzewałem, przeglądając korespondencję. Listy dotyczyły zupełnie niewinnego sekretu: Ludwik i Maria pisywali do siebie, by po czterdziestu latach od rozstania mówić o miłości.

Wreszcie pojąłem, dlaczego opat z taką pewnością opowiadał o uczuciu francuskiego władcy do wdowy po konstablu i o tym, że cierpienie po stracie ukochanej odmieniło serce Ludwika. Zrozumiałem też, dlaczego Melani mówił o tym wszystkim jak o sprawach teraźniejszych, żywych, aktualnych. Miał stały dostęp do najbardziej poufnych szczegółów, dotyczących romansu dwojga ludzi, którzy nadal się kochali!

Zatem Atto przyjechał do Rzymu, by po trzydziestu latach spotkać się z Marią Mancini i przekazać wiadomość od Arcy chrześcijańskiego Króla. Oddałbym wszystko, żeby poznać jej treść. Co wymagało spotkania z Marią w cztery oczy? List napisany ręką króla? Dowód miłości?

Zrozumiałem też, dlaczego opat unikał odpowiedzi na moje pytania, kiedy oglądaliśmy arrasy w „Okręcie”. *Pastor Fido* nadal był ulubioną lekturą dawnych kochanków. To był ich tajny kod, a Atto - pośrednikiem, teraz i w przeszłości.

Czy dwoje starszych ludzi, którzy nie widzieli się od czterdziestu lat, nadal darzyło się miłością? Odpowiedzią na to pytanie były słowa z listu Atta do Marii:

*Sylwiusz był wyniosły, to prawda, ale pewnego dnia pokonał go Kupidyn. Od tej pory kłania się Pani i nazywa „swoją”, mimo że Pani nigdy jego nie była.*

Miłość króla do Marii składała się zatem ze wspomnień i niespełnionych nadziei. A ja sądziłem, że Atto miał na myśli swój nieszczęsny los

kastrata! Tymczasem chodziło o czystość tej miłości i o uczucia starego króla.

Przypomniałem sobie fragment listu, w którym Maria zwracała się do Sylwiusza, i wreszcie zrozumiałem sens upomnień i wymówek zapożyczonych z *Pastora Fido*:

Och, Sylwiuszu, Sylwiuszu! Znalazłeś swoje  
przeznaczenie nazbyt wczesną porą.

Lecz, uważaj! Kto za wcześnie zdobywa mądrość,  
będąc dojrzałym, ma w pogardzie jej owoce.

Przedtem sądziłem, że słowa te były skierowane do opata Melaniego. Teraz wszystko stało się dla mnie jasne. Arcychrześcijański Król zasiadł na tronie w bardzo młodym wieku, znalazł więc swoje przeznaczenie „nazbyt wczesną porą”. Ten, kto zbyt wcześnie dostaje władzę, „będąc dojrzałym, ma w pogardzie jej owoce” i przez całe życie zachowuje się arogancko. Obecnie w grę wchodziła sprawa hiszpańskiej sukcesji, Maria napominała więc Ludwika XIV, żeby mądrze postępował. Jednocześnie oskarżała króla, że przez swoje aroganckie zachowanie i metody rządzenia przyczynił się do wielu nieszczęść, które w Hiszpanii mogli wykorzystać przyjaciele Francji:

Próżny młodzieńcze, czyżbyś wierzył,  
że te nieszczęścia przydarzyły ci się  
przypadkiem? Jesteś w błędzie,  
bowiem bez woli bogów takie straszliwe  
rzeczy nie przytrafiają się ludziom.  
Czyż nie widzisz, że niebo  
zachmurzyło się, zagniewane  
twą pogardą dla miłości, świata i ludzkich uczuć?  
Najwyżsi bogowie nie lubią,  
gdy ziemskie istoty ich naśladowują  
i wbijają się w pychę.

Wreszcie złamałem szyfr. W listach pani konstablowa rozmawiała z Attem o Lidiuszu w trzeciej osobie, wysyłając mu wiadomości i odpowiedzi za pośrednictwem opata. A gdy zwracała się do Atta, nazywając go Sylwiuszem, w rzeczywistości zwracała się do króla. Miało to zmylić niepowołane osoby i ewentualnych szpiegów, w których ręce dostałyby

się listy. Co do mnie, sztuczka zadziałała doskonale. Nie odkryłbym prawdy, gdyby Albicastro i „Okręt” nie wskazali mi drogi do Lidiusza - Latający Holender i „Okręt widmo”, jak się wyraził Melani.

Przeglądając *Pastora Fido*, wszystko zrozumiałem. Najpierw słowa Albicastro, ekscentrycznego mieszkańca pałacu, który z zaskakującą przenikliwością połączył Krezusa z królem Francji. Oto dlaczego Atto uciekł, nie udzielwszy odpowiedzi holenderskiemu muzykowi: bo sam był pod wrażeniem tajemniczej przepowiedni. Następnie dzieło Herodota i tragikomedia kawalera Guariniego, dzięki któremu wyzbyłem się resztek wątpliwości. Tajemnicza willa Benedettiego kolejny raz dała dowód swoich zaskakujących właściwości. Uśmiechnąłem się w duchu: a może po prostu zmarły właściciel willi, opat Elpidio Benedetti, agent kardynała Mazzariniego w Rzymie, zgromadził w pałacu książki, obrazy, dzieła sztuki i inne przedmioty, które powinien posiadać każdy modny zwolennik Francji?

Jedno było pewne - nie konklawe, nie sukcesja hiszpańska były tematem i celem spotkania, które planowali Atto i Maria, ale miłość. Polityczne rozgrywki stanowiły jedynie pretekst ich korespondencji i mogły zainteresować wyłącznie osoby przywykłe do intryg.

Podczas naszych wizyt w „Okręcie” Atto ozywiał się za każdym razem, kiedy opowiadał mi o nieszczęśliwej miłości króla. Dla opata była ona ciągle żywa. Można by nawet pomyśleć, że wizje i zjawy, które widzieliśmy w ogrodach „Okrętu”, były duchowymi emanacjami owej namiętności (niezwykle silnej).

Zapewne jedynym powodem wizyty Melaniego w willi Spada było spotkanie z wdową po konstablu, które stało się możliwe dzięki zaproszeniu obydwójga na wesele siostrzeńca kardynała. Konklawe i hiszpańska sukcesja nie miały znaczenia - pomyślałem.

Maria opóźniała przyjazd. Nie przyjechała na ślub. Co ją zatrzymało? Może rzeczywiście uporczywa gorączka, jak pisała w listach. A może - zastanawiałem się, puszczając wodze fantazji - zwykła przekora, pragnienie, by stać się przedmiotem pożądania „per procura”, jakby Atto ucieleśniał jej dawnego kochanka, a nie był jedynie jego ambasadorem.

Usłyszałem kroki Melaniego. Obudził się i wchodził na górę, żeby sprawdzić, co robię. Ponownie spojrzałem na *Pastora Fido*. Niewielka książeczka - pomyślałem. Wydawało się dziecinną igraszką wsunąć ją do

kieszeni tak, żeby opat niczego nie zauważył. Później odniósłbym ją na miejsce. Była mi potrzebna, gdyż zamierzałem przeczytać listy Marii w nawiązaniu do tych wersów.

- Nareszcie! Można wiedzieć, dlaczego tak długo tu zabawiłeś?! - zawołał opat, ujrzawszy mnie u szczytu schodów.

- Zasnął pan, nie chciałem przeszkadzać.

- I źle uczyniłeś, bo bez twojej pomocy niewiele mogłem zdziałać - odparł Atto, ukrywając zakłopotanie.

W ten elegancki sposób przyznał się, że gdy został sam, uciał sobie drzemkę.

- Wystarczy tego chodzenia po omacku - ciągnął. - Przetrząśniemy starannie cały pałac. Taca musi gdzieś tu być. Drugie piętro już przeszukaliśmy. Teraz zejdziemy na parter, później poszukamy na pierwszym piętrze, na koniec na trzecim, gdzie są pokoje dla służby.

Kiedy Atto schodził przede mną po kręconych schodach, przyglądałem się jego przygarbionej sylwetce. Choć czas go nie oszczędził, nadal był energiczny i skory do działania. Wzruszyłem się na myśl o pełnionej przez niego misji. Melani po raz pierwszy mnie zaskoczył, okazało się bowiem, że jest zdolny do szlachetnych uczuć, o które go wcześniej nie podejrzewałem.

Tak oto, do głębi poruszony, zapuściłem się w głąb pałacu, by pomóc opatowi w poszukiwaniach trzech podarunków Capitor, a przede wszystkim tacy.

Przeszukaliśmy duży salon na parterze, regały, kredensy, szuflady. Wszystkie przedmioty (sztuce, kieliszki, bibeloty) znajdowały się dokładnie tam, gdzie widzieliśmy je podczas pierwszej wizyty. Ktoś (Albicastro?) sprzątnął ze stołu resztki obiadu. Ani śladu tacy. Na ścianach salonu wisały portrety pięknych, powabnych dam (między innymi portret Marii, który wywarł na mnie duże wrażenie).

Kiedy po daremnych poszukiwaniach pod kanapą podniosłem się z klęczek, ujrzałem portret, na który poprzednio nie zwróciłem uwagi.

- To pani de Montespan - oznajmił Melani, podchodząc do podobizny damy niezwykłej urody. - Faworyta króla Francji. Ze związku trwającego dziesięć lat urodziło się siedmioro dzieci. Była jakby drugą królową.

Ledwie zdążyłem przyjrzeć się bujnym kształtom kobiety, jej modrym oczom, zdradzającym pragnienie rozbudzenia pożądania, ustom gotowym do pocałunku, toczonym ramionom, kiedy Atto stanął przed kolejnym obrazem.

- Luiza de La Valliere - przedstawił. - Pierwsza oficjalna nałożnica Jego Wysokości - dodał.

Dama z portretu miała niezwykle czyste rysy twarzy, gęste blond włosy o srebrzystym połysku. Łączyła w sobie subtelność, elegancję i łagodność, jakby Stwórca chciał w jej postaci wyrazić triadę: wdzięk, skromność i delikatność. Jej oczy koloru morza w jakiś niepojęty sposób zdobywały serce i zaufanie.

- One są zupełnie inne! - wykrzyknąłem. - Ta jest czysta, niewinna, tamta zaś... jak by to powiedzieć...

- Niepokojąca i grzeszna? Istotnie, na pierwszy rzut oka widać, że Montespan nie była święta. A poza tym obu daleko było do bezpośredniej, porywczej Marii. To Francuzki, mimo że jedna była całkowitym przeciwieństwem drugiej, Maria natomiast jest Włoszką - podsumował Atto, akcentując ostatnie słowa.

Na wspomnienie Marii Mancini w spojrzeniu opata pojawił się błysk dawnej namiętności.

W okamgnieniu zrozumiałem, że opowieść o tragedii, która wstrząsnęła sercem Arcychrześcijańskiego Króla, miałem szczęście usłyszeć z ust wytrawnego, uważnego obserwatora. Drżałem z pragnienia, by poznać dalszy ciąg tej nieszczęśliwej, odległej, a przecież nadal żywej historii. Przede wszystkim jednak nabrałem pewności, że Atto miał spotkać się z Marią, aby przekazać jej jakąś istotną wiadomość od króla. Zamierałem dowiedzieć się, o co chodzi.

- O ile dobrze pamiętam, po wyjeździe Marii Mancini król Francji miał bardzo wiele romansów - zauważyłem, podczas gdy opat prowadził mnie do niewielkiej sali z portretami królów i książąt.

- Miał liczne faworyty - uściślił Atto - i nigdy mniej niż dwie naraz.

- Dwie? Władcy Francji mają taki zwyczaj?

- Ależ nie! - zaprzeczył Melani z uśmiechem. Otworzył kredens pełen weneckich kryształów i sabaudzkiej porcelany i zajrzał do środka. - Wprost przeciwnie! We Francji była to nowość: jedna królowa i dwie oficjalne kochanki, wszystkie trzy zmuszone żyć obok siebie. Nie mówiąc o tym, że Montespan była mężatką. Henryk IV, dziadek Ludwika,

miał kochanką, ale nigdy nie odważył się narzucić jej towarzystwa królowej.

- Zachowanie Ludwika było zatem odpowiedzią na zmuszenie go do rozstania z Marią - zauważyłem prowokacyjnie, nie mogąc się doczekać, by opat opowiedział mi o aktualnym związku Arcychrześcijańskiego Króla z panią konstablową.

- Ból w sercu młodego króla był tak ogromny, że mógł ogarnąć całe pokolenia - oznajmił Atto. - Maria nie mogła zostać królową? Zapłacą za to inne królowe! Nie mógł mieć Marii u swego boku? W takim razie będzie miał wiele kobiet naraz.

Król - wyjaśnił Atto - miał zwykle dwie kochanki jednocześnie. Zdradzał je z innymi kobietami i porzucał. Nigdy nie były pewne jego uczuć i same nie znały dnia ani godziny. „Trzy królowe” - tak nazywano trzy kobiety, stale obecne u boku króla.

- Kto doznał krzywdy, w odwecie krzywdzi innych - podsumował Melani. - Ponieważ nie mógł należeć do Marii, Ludwik wiązał się z innymi kobietami, ale z żadną na stałe. Z wyrachowaniem i bezsilną wściekłością obdzielił swoim zainteresowaniem wiele kobiet: żonę, faworyty i kochanki - jednym poświęcił miesiąc, innym - jedną noc. Wszystkim przysporzył cierpień. Pomóż mi, proszę, podnieść ten dywan.

Trzymał kochanki w niepewności. Nawet dwór nigdy nie wiedział, czy damy, z którymi się pokazywał, były jego aktualnymi faworytami, czy też zaszła już ich dobra gwiazda i służyły królowi tylko do tego, by ukryć nową kochanką. Wszystkie bały się władcy i nie ośmiały się buntować.

- Już na drugi dzień po ślubie króla dwór dostrzegł radykalną zmianę w jego usposobieniu - mówił opat. - Ludwik odesłał do Madrytu całą hiszpańską świtę Marii Teresy.

Królowa - ciągnął Melani, poddając się wspomnieniom - nie śmiała się sprzeciwić, ale poprosiła męża, by wyświadczył jej łaskę i pozwolił pozostać przy nim na zawsze. Na zawsze... Ludwik wyraził zgodę. Natychmiast rozkazał marszałkowi dworu, by nigdy nie rozdzielał pary królewskiej. Dotrzymał obietnicy do dnia śmierci żony. W Luwrze, w Fontainebleau, w Saint-Germain, na koniec w Wersalu spał zawsze u jej boku. Pośrodku nocy opuszczał łóżko kochanki, wracał do komnaty prawowitej małżonki i zostawał przy niej do świtu. Bez słowa wyjaśnienia. Chłodny i obojętny nawet wtedy, gdy przez komnatę Marii Teresy przebiegały zadyszane akuszerki z zawiniątkiem na rękach, czyli kolejnym

bękartem, którego urodziła jedna z kochanek króla w pokoju obok. Przyzwolenie, które nieszczęsnej Marii Teresie wydało się łaską (przebywania u boku króla), Ludwik zmienił w bezlitosny odwet.

- Jak to możliwe, żeby kochanki króla rodziły w pokojach sąsiadujących z komnatą królowej?

- To nie wszystko - odparł opat Melani smutnym głosem. - Ulubionym obiektem polowań Jego Wysokości były dworki królowej. Gdy konkubina mu się znudziła, rozstawał się z nią, a jako odprawę zapewniał jej miejsce w świecie małżonki. Maria Teresa powtarzała z ciężkim westchnieniem: „Usługuj mi kochanki mojego męża”.

Opat zajął do wielkiej jasnożółtej wazy na zupeł, z ozdobami w kształcie owoców granatu, z lśniącej zielono-czerwonej porcelany.

- Przez dwadzieścia lat, król co rok płodził dzieci, przy czym mówię tylko o tych, które oficjalnie uznał za swoje. Z Marią Teresą miał sześcioro dzieci. Siedmioro z panią Montespan, a pozostałe z innymi kochankami - wyliczał Atto, z uniesionymi brwiami. - Colbert, pierwszy minister - wierny sługa króla i jego zaufany pośrednik - sprowadzał akuszerki i chirurgów do przyjmowania porodów jego kochanek. Królewskie bękart, dzieci konkubin, umieszczał w rodzinach swoich dawnych służących.

Król nie tylko zmusił królową do mieszkania pod jednym dachem z kochankami i ich potomstwem. Zabierał je razem w podróże i sadzał przy jednym stole. Posunął się do tego, że uznał najmłodsze bękart i nadał im tytuły książąt burbońskich. Zaplanował nawet ich śluby, mieszając ich z Burbonami z prawowitego łoża. Jedną ze swoich nieślubnych córek, którą miał z panią de Montespan, wydał za „bratanka Francji”, syna swojego brata Filipa. Na dworze zawrzało, rodzice chłopca rozpaczali i urządzali sceny z krzykiem i łzami. Król triumfował.

- Do czego to doprowadzi? - zapytał Atto zapalczywie.

- Sądzi pan, że przyszłość tronu jest zagrożona?

Opat nie od razu odpowiedział. Zmęczył się, zdejmując ze ściany duży obraz, którego rama wydała się nam zbyt masywna, i musiał chwilę odпочąć. Podejrzewaliśmy (niesłusznie), że coś się za tym kryje.

- Obawiam się, że pewnego dnia król uzna swoje bękart za prawo witych następców tronu. Wtedy nastąpi koniec. Będzie to oznaczać, że nie tylko syn królowej, ale każdy jego męski potomek, dosłownie każdy będzie mógł zostać królem. Zwykły człowiek z ludu będzie się zastanawiał: dlaczego nie ja?



- Usiądźmy na chwilą - zaproponował Atto, z westchnieniem ulgi osuwając się na kanapę. - Odpocznijmy nieco. Zaraz wznowimy poszu kiwania.

Usiadłem w fotelu i szeroko ziewnąłem.

- Arcychrześcijański Król szybko się pocieszył po wyjeździe Marii - zauważyłem, nawiązując do wspomnień Atta.

Pragnąłem sprowokować opata, by powiedział coś na temat aktualnych kontaktów między królem Ludwikiem a Marią Mancini.

- Co ty mówisz? - oburzył się Melani. - Nie słuchasz mnie. Pierwsza faworyta, Luiza de La Valliere, posłużyła mu wyłącznie do tego, by ze mścić się na królowej matce, która kazała mu rozstać się z Marią i zapo mnieć o niej. Był to jednak spóźniony triumf, daremny odwet na starej matce, zbędny dowód odwagi, szalona ofiara złożona na grobie jego serca - wyrecytował opat ze smutkiem i emfazą.

Dlaczego z taką perfidią - ciągnął opat - król zmuszał swoją małżonkę i królową matkę do spożywania kolacji przy jednym stole z jego kochanką? Albo po kryjomu wprowadzał kochankę do komnat matki i siadał razem z nią, swoim bratem i szwagierką przy stole do gry, aby później donieść o wszystkim matce, jak przekorne dziecko? Z drugiej jednak strony Ludwikowi XIV bardzo zależało na własnej reputacji, skoro zmusił Luizę, by rodziła z maską na twarzy, pod opieką chirurga, którego przyprowadzono do komnaty z opaską na oczach.

Nieszczęsna Luiza, skromna i nieśmiała, stała się narzędziem w rękach króla, w którego piersi, zamiast serca, pozostała tylko duma. Ludwik stale drażnił matkę osobą kochanki, ale prawdziwym przedmiotem jego nienawiści był wielki nieobecny - Mazzarini, podobnie jak niegdyś Fouquet. Kiedy znudzony król nie musiał już toczyć bojów, rozstał się z Luizą, mimo że urodziła mu troje dzieci.

- Luiza nie była stworzona do światowego życia, zabaw, plotek, intryg i machinacji dworzan - westchnął Melani, wyciągając się na kanapie. - Nie była głupia, lubiła czytać, ale brakowało jej polotu, gotowych odpowiedzi, dowcipu. Krótko mówiąc, nie była podobna do Marii - podsumował z chytrym uśmieszkiem.

Podjęliśmy poszukiwania tacy Capitor. Zaczęliśmy od pokoju, w którym stał stół do gry w bilard. Ściany zdobiły ryciny przedstawiające sta-

rożne płaskorzeźby oraz portrety sławnych ludzi, utrzymane w stylu Annibale Carracciego. Zdjęliśmy je ze ściany, żeby sprawdzić, czy pod spodem nie ma skrytki, ale rozczarowaliśmy się. Z upływem czasu suknostół bilardowy spłowiał i wyblakł. Pośrodku stołu leżała samotna biała kula jak metafora losu pani La Valliere - zakładniczki na pustyni obojętności Ludwika. Atto trącił lekko kulę i patrząc, jak toczy się po wyłożonym sukniem stole, podjął swoją opowieść.

- Król odwiedzał La Valliere, aby prowokować panią Montespan, zwaną Atenaidą. Gdy wyruszał na wojnę z Flandrią, zostawił Luizę w Wersalu samą w czwartym miesiącu ciąży i zabrał ze sobą, w świcie królowej, panią Montespan.

- Damy dworu na wojnie? Nawet królowa?

- Tyle czytałaś, studiowałaś i nie wiesz? - rzekł opat.

Wyszliśmy z pokoju bilardowego i przez jadalnię udaliśmy się do pokoju wychodzącego na ogród od strony wschodniej. Wyszliśmy na zewnątrz. Jak odkryliśmy nieco później, jedna z alei wiodła do niewielkiej ślicznej groty.

- Czytałem książki, a nie gazety pełne fałszu i obłudy - odparłem zniecierpliwiony, starając się ukryć zakłopotanie.

- Król lubił zabierać ze sobą na wojnę, na sposób turecki, wszystkie przedmioty zbytku, którymi otaczał się w pałacu: najpiękniejsze meble, porcelanę, złote sztucce, sprzęt do pokazów sztucznych ogni i oczywiście kobiety.

Jakie to musiało być ekscytujące dla mieszkańców wsi i miasteczek - pomyślałem - widzieć z bliska tę dziwną mieszaninę: królewski orszak wyrusza na wojnę, rycerze w pióropuszkach eskortują pozłocane karety, podobne do fantastycznych szkatuł, z najpiękniejszymi damami w środku!

- Jedynie wychudła, spalona słońcem twarz króla - ciągnął Atto - i ochlapane błotem karety wiozące zmęczone podróżą i brakiem snu kobiety świadczyły o tym, że nie był to uroczysty przemarsz w Wersalu podczas odgrywania komedii Moliera. Zapamiętałem zwłaszcza jedną taką podróż. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Auxerre, słysząc z kobiet nie zwykłej urody, mieszkańcy ustawili się wzdłuż drogi, żeby zobaczyć króla i damy jadące w karecie z królową. Damy, które chciały przyjrzeć się okolicy, wychylały głowy przez okna powozów. Lud Auxerre chichotał: „Ah, qu'elles sont laides!”, „Jakie brzydkie!”. Króla tak to rozbawiło, że opowiadał o tym zdarzeniu przez resztę dnia - roześmiał się opat.

Arcychrześcijański Król zabrał ze sobą cały dwór również podczas wojny, którą rozpoczął po śmierci swojego teścia Filipa IV, o hiszpańską część Flandrii, dziedzictwo Marii Teresy.

- Mówił pan, że król wziął ze sobą wszystkich oprócz Luizy. A co z królową?

- Maria Teresa musiała jechać, ponieważ to z jej powodu toczyła się wojna. Za każdym razem, kiedy jakieś miasto przechodziło w ręce Francuzów, musiała oficjalnie brać je w posiadanie.

Luiza w porywie serca postanowiła pojechać do Flandrii, mimo że narażała się na poronienie i gniew króla. Dotarła na miejsce zupełnie wyczerpana. Król z całkowitą obojętnością przyjął wiadomość o przybyciu nieszczęsnej ciężarnej dziewczyny, która śmiertelnie zmęczona czekała z towarzyszkami podróży w przedpokoju Marii Teresy. Królowa płakała ze wstydu i złości.

Dotarliśmy do grotty, gdzie z pewnością nie było tacy Capitor. Mimo to obaj czuliśmy potrzebę, by pooddychać świeżym powietrzem po poszukiwaniach w miejscach pełnych kurzu. Poddając się delikatnym podmuchom wiatru w ogrodzie, wyobraziłem sobie Luizę de La Valliere: niewinną, zakochaną dziewczynę, podobną do łagodnego zefiru, który nagle ustał.

- Król nie rozgniewał się na kochankę za nieposłuszeństwo? - zapytałem, kiedy opuściliśmy grotę i szliśmy wąską ścieżką.

- Wyglądało na to, że nie. Nie wsiadł do karety królowej, choć go o to poprosiła, i jechał konno obok powozu Luizy. Co więcej, gdy następnego dnia Maria Teresa udawała się na mszę, do jej karety wsiadła Luiza, a przy kolacji siedziały przy jednym stole. Nazajutrz król, lekceważąc zarówno żonę, jak i kochankę, spędził cały dzień w swoim pokoju. Drzwi zamknął na klucz. Montespan uczyniła to samo. Dziwnym trafem ich pokoje sąsiadowały ze sobą.

Królowa nie wiedziała, że wraz z przybyciem Atenaidy będzie musiała godzić się na uciążliwe towarzystwo dwóch faworyt małżonka, jak również na podróżowanie wspólnie z nimi w karecie.

Życie kochanek nie było wcale łatwiejsze od życia królowej. Ludwik - opowiadał opat - trzymał je pod kluczem, a one musiały być mu we wszystkim posłuszne. Choć jedna z kochanek była bardziej uprzywilejowana od drugiej, obydwie w równym stopniu niepokoiły się na widok licznych bezimiennych konkubin, przewijających się przez komnaty kró-

la. Każdego dnia oficjalne faworyty Ludwika dręczyła niepewność, a ich żalсна rywalizacja uśmierzała zazdrość Marii Teresy.

Ścieżka doprowadziła nas do amfiteatru, o wiele mniejszego od tego, który przygotowano w willi Spada z okazji wesela, ale bardzo wdzięcznego i zarazem nieco tajemniczego. Wokół amfiteatru wznosił się niewielki portyk ozdobiony antycznymi płaskorzeźbami. Między łukami budowli stały donice z kwiatami. Pośrodku znajdowała się fontanna. Ciszę mącił jedynie łagodny szmer wytryskującej wody.

- Serce króla stało się zimne jak lód - ciągnął Atto, całkowicie porażony we wspomnieniach i niemal zupełnie obojętny na otaczające piękno. - Tylko wielkie cierpienie było zdolne je poruszyć, na przykład śmierć dzieci. Z sześciorga dzieci z prawego łóża dziś żyje tylko jedno - delfin. Kiedy trzydzieści lat temu zmarł najmłodszy syn króla, mały księżę Andegawenii, Ludwik całkowicie się załamał. Sądził, że to znak gniewu bożego. Z kolei na wieść o tym, że Luiza de La Valliere postanowiła wstąpić do klasztoru, wpadł w złość.

- Do klasztoru? - powtórzyłem zdziwiony i napiłem się kilka łyków smacznej, zimnej wody z fontanny.

- Tak. Biedna kobieta! Nie pragnęła niczego więcej jak kochać króla i być kochaną. Była jedyną faworytą, która kochała Ludwika takiego, jaki był, co bardzo mu pochlebiało. Luiza bardzo poważnie traktowała tę miłość. Kiedy postanowiła zostać karmelitanką, przeprosiła królową przy świadkach: „Ponieważ popełniłam grzech publicznie, taka sama będzie też moja skrucha”. To powiedziawszy, uklękła przed Marią Teresą. Szczerze wzruszona królowa kazała Luizie wstać i ucałowała ją. Wokół było wiele osób. Brakowało tylko króla.

Wróciliśmy do pałacu. Szybko przeszukaliśmy pomieszczenia na parterze. Opat spojrział na nasze odbicia w lustrze. W zakurzonych ubraniach, z włosami pełnymi pajęczyn wyglądaliśmy jak handlarze starzyzną.

- Co dalej, panie Atto? Idziemy na pierwsze piętro?

- Tak, ale nie tylko po to, żeby szukać tacy.

Na pierwszym piętrze Atto poprowadził mnie do łazienki obok kaplicy.

- *Hic corpus!* - zawołał, czytając napis widniejący nad drzwiami, któ-

ry widzieliśmy przed trzema dniami. - Skorzystamy z dobrodziejstw hydraulicznych, o ile te urządzenia jeszcze działają.

Odkręcił kran z napisem *calida*, woda ciepła, ale nic nie popłynęło. Otworzył więc kran z *wodąfrigida* i tym razem mieliśmy więcej szczęścia.

- Otwórz te skrzynie, może są w nich ręczniki.

W skrzyni istotnie znajdowały się ręczniki, wprawdzie stare, ale czyste. Znalazłem też kawałek mydła. Mogliśmy się porządnie umyć, najpierw opat, później ja.

Podjęliśmy poszukiwania podarunków Capitor, głównie tacy. Na pierwszym piętrze, gdzie znajdowały się cztery pokoje oraz duża galeria, która dzięki wiszącym w niej lustrom wydawała się sięgać pałaców watykańskich, było mnóstwo miejsc wymagających sprawdzenia. Zajrzeliśmy do szuflad wielkich hebanowych komód, intarsjowanych kością słoniową i mosiądzem, oraz komód dębowych z intarsjami z drewna różanego, wypełnionych porcelanowymi filiżankami. Obejrzelśmy barwne okiennice, odsunęliśmy ciężkie ciemne szafy, rzeźbione w muszle i kwiaty, po bokach ozdobione jelenimi głowami. Ukrytych szuflad i zakurzonych kryształów strzegli satyrowie o groźnych twarzach.

Przesunęliśmy piękną konsolę, na której ustawione były figurki z cienkiej porcelany, między innymi wdzięczna pastereczka z koszyczkiem w rękę, mały kominiarczyk w kapeluszu i z drabiną przewieszoną przez ramię, chiński mandaryn z palcem uniesionym w geście przestrogi (ze śladami po sklejeniu).

W skrzyniach pod oknami znaleźliśmy szerniałe czajniki ze srebra, tasiemki do zasłon, a nawet talię kart sprowadzoną z Paryża. Opat Melani zajrzał także do pieców, brudząc się sadzą.

Krztusząc się, zwinęliśmy zakurzone dywany we francuskie wzory, unieśliśmy wielkie arrasze ze scenami mitologicznymi i pasterskimi, w nadziei, że za nimi znajdziemy ukryte przejście prowadzące do tajnego schowka (niełatwo ukryć globus!). Uparcie szukaliśmy jakiegoś znaku, który przybliżyłby nas do prezentów Capitor.

Po Luizie de La Valliere - podjął Melani z drwiącym uśmiechem - przyszła kolej na rządy pani de Montespan. Obdarzona niezwykłą urodą i zmysłowością, dowcipna, a przy tym wyrachowana, za wszelką cenę starała się zdobyć króla. Ludwik był tego świadomy i drwił sobie z niej: „Pani de Montespan ma na mnie ochotę, ale ja jej nie chcę”.

Po pewnym czasie król uległ. Karierze pani de Montespan towarzyszył zanik wszelkich uczuć, a nawet ich pozorów. Nie tylko Ludwik nie był już zdolny do miłości, również pani de Montespan go nie kochała.

- Arcychrześcijański Król dopiero po latach zrozumiał, że żadna z tych kobiet nie kochała go naprawdę - stwierdził Atto enigmatycznie.

Wraz z pojawieniem się Atenaidy zaczęła się dziesięcioletnia era zbytku i arogancji, zakończona aferą trucicielską. Właśnie wtedy król zorientował się, że to on padł ofiarą swoich kochanek, a nie odwrotnie. W tym czasie pokazał się z najgorszej strony. Przez jego łóżko przewinął się cały tłum przeróżnych panien dworskich o śmiałych ambicjach, gotowych na każde skinienie. Nie wszystkie zasługiwały na potępienie. Niektóre miały nadzieję, że uratują męża lub narzeczonego przed wysłaniem na wojnę, inne starały się odzyskać majątek rodzinny, bezprawnie skonfiskowany przez podstępne Colberta. Zwłaszcza te ostatnie Ludwik niszczył z największą rozkoszą.

- Tak, chłopcze - powiedział opat, widząc przerażenie na mojej twarzy. - Przed wielu laty Arcychrześcijański Król cierpiał jak nigdy, bardziej niż w czasach Frondy.

Jak okrutne dziecko, które z czystej ciekawości znęca się nad owadem, rozwiewał nadzieje nieszczęsnych kobiet, przyglądając się, czy cierpią tak, jak on niegdyś cierpiał. Pragnął zobaczyć ból podobny do tego, którego sam doświadczył.

- Wszystko to odbywało się, oczywiście, za zamkniętymi drzwiami królewskich komnat - oznajmił Atto.

W galerii niósł się pogłos naszych kroków.

Dworem rządziła Atenaida, nazywana królującą kochanką, co stanowiło parafrazę określenia „panująca królowa”, używanego dla odróżnienia żony króla od królowej matki. Określenie używane w odniesieniu do pani de Montespan nie było bezpodstawne. Jako kobieta obdarzona nieprzeciętną urodą i inteligencją, dodawała splendoru dworowi Francji.

- Bił od niej blask i doskonałość, niczym od *Jutrzenki* Pietra da Cortony - zauważył Atto, wskazując wspaniały plafon na suficie galerii.

Niespodziewanie zaciekawił opata fresk między *Jutrzenką* a *Nocą*. Malowidło, zatytułowane *Południe*, przedstawiało upadek Faetona, strąconego piorunem przez Zeusa za to, że powożąc rydwanem Słońca, wznosił się za wysoko.

- Za pierwszym razem nie zwróciłem uwagi, że pośrodku plafonu Be-

nedetti kazał namalować scenę z mitu o ukaranej dumie, a na ścianach umieścić napisy gloryfikujące króla Francji. Osobliwe.

- To prawda - przyznałem zaskoczony - zupełnie jakby upominał Króla Słońce.

- „Twoim przeznaczeniem, Faetonie, jest być śmiertelnym, ale to, czego pragniesz, nie jest pragnieniem śmiertelnika”. Owidiusz, *Metamorfozy* - wyjaśnił Atto.

Opat podjął swoją opowieść. Atenaida odgrywała rolę królowej, choć nią nie była. Przyjmowała wizyty, zabawiała gości rozmową, była czarująca dla ambasadorów. Król pokazywał się z nią z największą przyjemnością, szcząc się tym, że przysługuje się monarchii.

- De Montespan doskonale wiedziała, że król jej nie kocha - powiedział Atto z goryczą - ale potrzebował jej, by wszystkim pokazać, że jest kochany przez najpiękniejszą kobietę w królestwie”, jak sama o sobie mówiła. Odgrywała rolę ornamentu i godziła się na to.

Dotarliśmy do okna. Ulegając optycznemu złudzeniu, które tworzyły lustra, odniosłem wrażenie, że galeria sięga Bazyliki Świętego Piotra. To fascynujące, wyrafinowane złudzenie przypominało los pani de Montespan, której wydawało się, że jest królową Francji.

- Podobnie jak Maria, Atenaida miała odwagę stawić czoło królowi - dodał Atto. - Nie bała się wypowiadać własnego zdania i miała dobry gust, niczym prawdziwa królowa.

W ciągu dziesięciu lat jej „panowania” pałac w Wersalu stał się taki, jaki jest dzisiaj. Nietrwałe papierowe dekoracje, za czasów Luizy wznoszone tylko na czas uroczystości, zastąpiono skałą, trawertynem, brązami i marmurami, rozmieszczonymi zgodnie z zaskakującym, niełatwym do odgadnięcia porządkiem. Powstały też piękne ogrody, fontanny i trawniki. Po kanale pływała miniaturowa flota złożona z gondoli, feluk, brygantyn i galer. Podczas trudnych do zniesienia letnich upałów park zapępiał się biało-niebieskimi chińskimi pawilonami.

Atenaida zajmowała się głównie urządzaniem własnej rezydencji, usytuowanej w pobliżu Wersalu i dorównującej mu przepychem. Słynny Le Nôtre (genialny architekt, projektant ogrodu wersalskiego, a wcześniej założenia ogrodowego w Vaux-le-Vicomte, gdzie znajdował się pałac nieszczęsnego nadintendenta Fouqueta) przeszedł samego siebie, tworząc miniogrody tuberoz, narcyzów, jaśminów, lewkonii, zawilców, przedzielone sztucznymi stawami z pachnącymi roślinami...

- ...Trudno sobie wyobrazić te wszystkie cuda, jeśli się ich nie widziało. Niestety!

- Dlaczego pan tak mówi? - zapytałem, wyczuwając smutek w jego głosie.

- Ponieważ cały ten splendor podzielił los pałacu Fouqueta. Kiedy pani de Montespan popadła w niełaskę, jej rezydencja zamieniła się w ruinę, podobnie jak pałac w Vaux-le-Vicomte po aresztowaniu Fouqueta. Ale to nie wszystko.

- Co było dalej?

- Wybuchła afera trucicielska, chłopcze, najgłośniejszy proces stulecia, jak już wspominałem. Niemał wszyscy byli w nią zamieszani. Wśród oskarżonych znalazły się Olimpia Mancini, a przede wszystkim Atenaida. Zgłosili się świadkowie, którzy widzieli, jak brała udział w czarnych mszach z ofiarami składanymi z dzieci. Uczyniła to, żeby zapewnić sobie miłość króla. Później sprawa ucichła, ale dla Atenaidy to był koniec. A myśliwy zrozumiał, że stał się zwierzyną łowną.

Gdy Ludwik dowiedział się, do jakich podłości były zdolne jego kochanki, gdy usłyszał o satanistycznych rytuałach i czarach dokonywanych po to, żeby się z nim przespać, uświadomił sobie, że żadna z konkubin nie kochała go naprawdę. I nigdy już nie zmienił zdania. Do tej pory sądził, że jego rola była zupełnie inna niż w czasach Marii Mancini, kiedy rodzina złożyła go w ofierze na ołtarzu władzy. Tymczasem sytuacja powtórzyła się: znowu był tylko pionkiem na szachownicy w rozgrywkach tych, którzy ślubowali mu wierność. Został sam, bez żadnej nadziei na to, by ukochana kobieta stanęła u jego boku. Tak oto Ludwik znalazł się na progu starości.

Ukończyliśmy poszukiwania na pierwszym piętrze i głównymi schodami weszliśmy na trzecie piętro, gdzie niegdyś sypiała służba. W porównaniu z resztą pałacu był to inny świat: żadnych mebli, stiuków na ścianach czy plafonów na suficie - żadnych dekoracji. Były natomiast antresole dla służących, do przechowywania siodeł oraz kilka pokoi służbowych. W opuszczonych, smutnych pomieszczeniach panowały niepodzielnie pająki, muchy i myszy. Ponure pokoje na trzecim piętrze aluzjnie nawiązywały do starości Arcychrześcijańskiego Króla.

Opukiwaliśmy ściany w poszukiwaniu schowków. Uważnie obejrze-



my podłogi, sprawdzając, czy pod którąś z desek nie kryje się właz. Przyjrzelśmy się futrynom okien, czy nie ma pod nimi skrytki. Podeszliśmy do komody, ale nie mogliśmy jej otworzyć. W przeciwieństwie do wszystkich mebli w pałacu, które do tej pory przeszukaliśmy, komoda była zamknięta na klucz.

- To dobry znak! - zawołał opat, odzyskując dobry humor. - Zejdź na pierwsze piętro i poszukaj noża w szufladach ze sztućcami. Wydaje mi się, że widziałem je w tej wielkiej komodzie z Wielkim Generałem z Ko zimi Nogami - powiedział Melani ze śmiechem, mając zapewne na myśli podobiznę satyra wyrzeźbioną na meblu.

Zszedłem na pierwsze piętro, ale nie znalazłem noża. Znalazłem go w pokoju na parterze. Przypadkiem spojrzałem na jeden z portretów wiszących na ścianie, któremu wcześniej nie miałem okazji się przyjrzeć.

Obraz przedstawiał damę, już niemłodą, o krągłych kształtach i zaskakująco pospolitych rysach twarzy. Postać nie pasowała do dekoracyjnego stylu portretu, który pozwalał przypuszczać, że chodzi o osobę cieszącą się ogólnym poważaniem. Na ramie, u dołu, widniał napis:

#### Pani de Maintenon

Już po raz trzeci natrafiałem na to nazwisko. Czy to nie tę kobietę poślubił potajemnie Arcychrześcijański Król? Tak, to o niej opowiadał mi Atto Melani. Przyjrzałem się uważnie portretowi. Twarz kobiety z gminu różniła się od wizerunków królewskich faworyt, pełnych arystokratycznego wdzięku, których podobizny wisiały obok. Wróciłem do opata na trzecie piętro.

- Pani de Maintenon... - powiedziałem cicho. - Dlaczego król Francji ją poślubił, skoro mógł wybierać spośród tylu pięknych kobiet?

- Widziałeś jej portret? Nieprawdopodobne, co? - rzekł Atto. - Król poślubił ją potajemnie pewnej październikowej nocy siedemnaście lat temu, zaledwie dwa miesiące po śmierci królowej Marii Teresy.

- Potajemnie... - powtórzyłem. - Opowiadał mi pan o tym kilka dni temu, podczas naszej pierwszej wizyty w „Okręcie”. Obawiam się jednak, że czegoś nie rozumiałem: była żoną, ale nie królową, czy tak? Słyszałem o takich związkach. Żona nie rządzi u boku króla, a dzieci nie mają prawa do tronu...

- Nie, to, o czym mówisz, nazywa się małżeństwem morganatycz-

nym, ale to zupełnie co innego. Maintenon jest po prostu żoną nieuznaną, nieoficjalną. Dwór wie o tym małżeństwie, a królowi to odpowiada. Nie życzy sobie tylko, by o tym mówić. *Tamquam non esset*, jakby nie istniało.

- Kim była ta kobieta? - zapytałem, przypomniawszy sobie, że opat określił ją jako „niereprezentacyjną”.

- Guwernantką, a w dzieciństwie żebraczką - odparł Atto z uśmiechem, unosząc brwi.

Francoise d'Aubigne, której król nadał później nazwisko de Maintenon - opowiadał opat Melani - dziesięć lat była niańką do dzieci wydanych na świat przez panią de Montespan. Była trzy lata starsza od monarchy. W jej żyłach nie płynęła ani kropla szlacheckiej krwi. Urodziła się w stróżówce, gdzie z litości przygarnięto jej matkę, żonę hugenota. Francoise nigdy nie poznała swojego ojca, który stale przebywał w więzieniu. Wychowywała się z dwójką rodzeństwa. Ubrana w łachmany, żebrała o miskę zupy u bram klasztorów. W epoce Frondy zrządzeniem losu spotkała kalekę Scarrona, poetę satyrycznego, bardzo modnego w czasach barykad. Przykuty do wózka inwalida w podeszłym wieku nie tylko przerażał swoim wyglądem, ale również potrzebował stałej opieki. Gdy poprosił szesnastoletnią wówczas Francoise o rękę, zgodziła się bez namysłu.

Po wygaśnięciu Frondy Scarronom źle się wiodło. On pisał panegiryki na zamówienie, ona - młoda, świeża żoneczka - nęciła mężczyzn. Nie oddawała się im (tak się przynajmniej wydawało), jedynie dawała nadzieję.

Kiedy Scarron zmarł, Francoise miała zaledwie dwadzieścia pięć lat. Po mężu odziedziczyła jedynie długi. Jakiś czas młoda wdowa żyła z pieniędzy za sprzedane na licytacji meble, potem została bez środków do życia. Coś jednak zyskała: posiadała sztukę kokieterii i zdobyła ogładę. Postanowiła wykorzystać te atuty, by usidlić jakiegoś bogatego opiekuna, który wyrwałby ją z nędzy.

- Francoise zaprzyjaźniła się z Ninon de Lenclos, wpływową rajfurką o wysokiej pozycji społecznej - powiedział z uśmiechem Melani - po której odziedziczyła dwóch namiętnych kochanków. Przez nich poznała Atenaidę de Montespan.

Markiza de Montespan właśnie wydała na świat pierwsze dziecko króla - córeczkę. Ponieważ musiała ukrywać jej istnienie, zaproponowała Francoise, by zajęła się niemowlęciem jak matka, została niańką. Z cza-

sem dzieci przybyło, a po kilku latach zostały prawnie uznane. Z woli króla Montespan z dziećmi przeniosła się na dwór, razem z niańką, ma się rozumieć.

- Francoise była na tyle sprytna, że starała się uchodzić za kobietę religijną, a nawet bigotkę - zauważył Atto cierpkim tonem. - Była to zwykła bezczelność, jeśli pomyśleć, że kilka lat wcześniej, za namową markizy de Montespan, starała się odwieść Luizę de La Valliere od wstąpienia do klasztoru, strasząc ją życiem pełnym wyrzeczeń.

- Nie mogła chyba liczyć na to, że spodoba się królowi jako święta!

- Była przewidująca. Od wielu lat kler i bigoci na królewskim dworze szemrali na Montespan i niemoralne zachowanie króla. Francoise stała się ich rzeczniczką, ale działała w cieniu. Przez długi czas żyła obok Ate- naidy, niczym przysłowiowa żmija na jej łonie. Kiedy afera trucicielska osiągnęła apogeum, nadeszła wielka chwila: markiza Montespan była skompromitowana, król przejrzał na oczy.

- Chce pan powiedzieć, że zaczął zachowywać się przyzwoicie?

- Nie - zaprzeczył Atto po krótkim wahaniu. - Prawdę mówiąc, po aferze trucicielskiej Arcychrześcijański Król wiódł jeszcze bardziej roz- wiązłe życie niż dotychczas, jakby pragnął zagłuszyć strach. Szeptano, że zmieniał kochanki jak rękawiczki - każdej nocy miał inną i wszystkie bardzo młode. Wtedy też przeżył drugi bolesny cios: ówczesna faworyta króla, piękna Angelika de Fontanges, urodziła martwe dziecko i niedługo po porodzie zmarła na skutek krwotoku. Miała zaledwie dwadzieścia lat, mogła być jego córką.

Pod wpływem tych tragicznych przeżyć król podupadł na zdrowiu. Rana na plecach, powstała po upadku z konia, nie chciała się goić. Ropiejące miejsce cyrulik przyżegał rozpalonym żelazem. Ludwik nie mógł się poruszać o własnych siłach. Spacery po ogrodach Wersalu odbywał w fotelu na drewnianych kółkach. Czuł się osaczony. Zdrada, śmierć dziecka i faworyty, na koniec własna choroba pogłębiały uczucie całko- witej samotności.

- Otoczony trucicielkami i megierami, komu miał zaufać? Rozpaczli wie potrzebował towarzystwa życzliwej osoby. Dość miał pięknych fa woryt. Dla króla w średnim wieku okazały się niebezpieczną zabawką.

Otworzyliśmy wszystkie okna. Wraz ze świeżym powietrzem do środ- ka wpadły miłe odgłosy rzymskiego popołudnia. Usiedliśmy na parape- cie od strony zachodniej. Przed naszymi oczami rozpościerały się gęste,

giętkie korony drzew. Spojrzałem w stronę pomieszczeń dla służby. Pod wpływem opowieści opata nie wydawały mi się już takie ponure jak za pierwszym razem. Nadzwyczaj skromne, były, podobnie jak portret pani de Maintenon, świadkami czasów, które bezpowrotnie odeszły w przeszłość. Brak przepychu nie budził zachwytu, raczej wzruszenie. Dawał wewnętrzny spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Francoise de Maintenon - ciągnął Atto - opiekowała się królewskimi bękartami jak matka, co uspokajało króla. Była jedyną kobietą na dworze, której skromne pochodzenie nie pozwalało pretendować do roli oficjalnej faworyty, wybieranej zwykle spośród szlacheckich rodzin. Mimo że niezbyt zajmujące, rozmowy z nią sprawiały królowi przyjemność. Nie pociągała go fizycznie, nie czuł się też w żaden sposób przez nią zagrożony, i to mu bardzo odpowiadało. Coraz częściej przebywał w jej towarzystwie, beztrudno gawędząc o dzieciach i innych błahych sprawach. Przy niej odprężał się psychicznie. Traktował ją obojętnie. Nie była dla niego ani atrakcyjna, ani odpychająca.

- Innymi słowy, Francoise dawała Ludwikowi poczucie spokoju, nie zajmując jego uwagi. W tym czasie król był zmęczony, nieufny. Po śmierci Marii Teresy ze wszystkich stron wywierano na niego presję, by dał Francji nową królową. Już raz ożenił się pod przymusem. Gdyby po zostawiono mu wolność wyboru, jego żoną zostałaby Maria Mancini, a nie Maria Teresa. Uznał, że nadarza się okazja do zemsty: wyniesie byłą żebraczkę i prostytutkę do godności królowej. Wybuchł skandal. Minister Louvois rzucił się królowi do nóg, błagając go, żeby nie żenił się z Francoise.

Wstaliśmy z parapetu, na którym na chwilę usiedliśmy, i podjęliśmy poszukiwania.

- Ale i tym razem czekała króla niemiła niespodzianka. Nowa małżonka okazała się wilkiem w owczej skórze.

- W jaki sposób się o tym przekonał?

- Kilka lat temu król dowiedział się, że de Maintenon od dłuższego czasu przekazywała tajne informacje, przeznaczone tylko dla króla, swoim znajomym księżom, biskupom i różnym bigotom ocierającym się o herezję. Jej celem było „nawrócenie” Ludwika, a raczej - nazywając rzecz po imieniu - infiltracja kleru do rządu.

Zdumiałem się, słysząc te słowa. Król Francji - myślałem - najwyraźniej nie miał szczęścia do kobiet: najpierw pani de Montespan i czarne

msze, teraz Françoise Maintenon, jego druga małżonka, która zdradzała tajemnice państwowe duchownym, chcąc postawić ich u steru rządów we Francji.

Nagle pomieszczenie, w którym się znajdowaliśmy, ponownie wydało mi się przygnębiające i wrogie. Zapragnąłem wrócić do eleganckich pokoi na niższych piętrach. Podobnie król Francji zatęsknił zapewne za piękną panią de Montespan, gdy odkrył, że jego nieciekawa żona stała się groźna.

- Ludwik miał powyżej uszu kardynała Mazzariniego - mówił dalej Atto. - Burzył się na myśl, że ta prosta kobieta, którą dla kaprysu pojął za żonę, ośmiela się spiskować przeciw niemu i zdradzać świętoszkom tajemnice królestwa. Ona, której nigdy nie pozwolił jadać przy swoim stole! Ona, która do dziś zajmuje w Wersalu apartament przeznaczony dla kochanki! Kobieta dziś nazywana Jej Wysokością, niegdyś stała na najniższym szczeblu drabiny społecznej.

- Dlaczego król jej nie wyrzucił, tak jak markizę de Montespan?

- Mógł wytoczyć jej proces o spisek polityczny, ale wtedy wystawiłby się na pośmiewisko tych, którzy odwoływali się do jego zdrowego rozsądku i odradzali poślubienie Françoise.

Dwór z zapartym tchem oczekiwał reakcji Ludwika. Król wszystkich zaskoczył: zamiast zesłać zdrajczynię na wygnanie codzienne spotkania z ministrami odbywał w... jej komnacie!

Król i ministrowie siadywali naprzeciw siebie. Pani de Maintenon przysłuchiwała się obradom ze specjalnej kabiny obitej wata, którą jako znana hipochondryczka poleciła zbudować w obawie przed przeciągami. Niekiedy król pytał ją nawet o zdanie, lecz czynił to wyłącznie na pokaz. Dowodem na to było to, że Françoise mogła wypowiadać się wyłącznie w sprawach natury ogólnej. I biada, jeśli odezwała się nieproszona! Wtedy gniew króla spadał na nią z niebywałą gwałtownością.

- Jego Wysokość nie chciał się przyznać, że fałszywa świętoszka oszukała go, dlatego też z jeszcze większą zaciętością narzucał jej osobę dworowi. Ale między nim a Françoise wszystko było skończone - oświadczył opat Melani.

Za starym piecem natrafiliśmy na prowizoryczne posłanie, obok niego pudełeczko świeżych fig, płócienny worek z kilkoma kromkami chleba

i drugi, większy, wypełniony serem. Stała tam również butelka czerwonego wina, do połowy pusta, i piękny kieliszek z niebieskiego rżniętego szkła. Dostrześliśmy też dużą świecę wypaloną do połowy.

- Legowisko Latającego Holendra - zauważył Atto lekceważącym tonem. - Oto dlaczego wciąż się na niego natykamy. Zobacz, ile je sera! Objada się nim jak wszyscy Holendrzy. Nic dziwnego, że potem plecie bzdury.

Głód jednak zwyciężył. Opat schwycił, jakby od niechcienia, plasterk sera, położył go na kromce chleba, na nim połówkę figi (nie ma nic smaczniejszego od słonego sera w połączeniu ze słodkim owocem) i z rozkoszą wbił zęby w kanapkę. Ponieważ poczułem się głodny, uczyniłem to samo, dzieląc z opatem także wino. Podczas gdy ja po kilku minutach skończyłem skromny posiłek, Atto przeżuwał kanapkę z coraz większą niechęcią, na koniec odrzucił ser, zadowolając się chlebem z figą.

- Mam dość sera! We Francji też go do wszystkiego dodają. Przestał mi smakować.

Kiedy przełykałem ostatnie kęsy, Melani wsunął rękę pod siennik i wyciągnął spod niego grzebień, parę chodaków i słoiczek solonych sardynek.

- Rzeczy kupione od wędrownych sprzedawców - zauważył, nie kryjąc pogardy dla pospolitych gustów Albicastra.

Po chwili poszliśmy dalej, docierając do północnego krańca kondygnacji, gdzie stał duży stół z orzechowego drewna z szufladą.

- W środku na pewno coś jest - zauważył Atto.

Bezsukcesyjnie próbowaliśmy otworzyć szufladę. Była zablokowana.

- Te wszystkie trucizny, spiski i zdrady - powiedziałem - z pewnością nie przyniosły zaszczytu żonom i kochankom Arcychrześcijańskiego Króla.

- Mimo to jeszcze dziś mówi się źle o Marii - podjął z ożywieniem Atto, szarpiąc szufladę i posapując z wysiłku. - Zdaniem jednych jej smutny los dowodzi, że była zimną, ambitną, wyrachowaną intrygantką. Osoby bardziej pobłażliwe twierdzą, że Maria okazała się mniej inteligentna, niż można się było spodziewać. Mówili o niej: „Dowcipna, ale niemądra, impulsywna i gwałtowna”. Początkowo jej wybuchy złości podobaly się dworzanom, później budziły niesmak. Na własne uszy słyszałem złośliwe komentarze. Nienawiść do Marii nigdy nie wygasła, nawet teraz, po tylu latach. W tym czasie przez łóżko króla przewinęły się setki kochanek.

- Czym to można wytłumaczyć?  
- Tym, że Maria była cudzoziemką, na dodatek Włoszką, jak Mazzarini. Francuzi mieli już dość Włochów sprowadzanych tłumnie przez kardynała. Nie mogli darować królowi, że stracił głowę dla siostrzenicy Mazzariniego.

- Przecież król miał potem całe mnóstwo kochanek! Jak to możliwe, że dwór do dziś pamięta wdowę po konstablu? - nalegałem w nadziei, że wyciągnę od Atta jakieś informacje o obecnym związku króla i Marii Mancini.

- Jak można było ją zapomnieć? Przykład: Maria Teresa i markiza de Montespan sprzymierzyły się tylko raz, gdy przed trzydziestu laty wystąpiły przeciw Marii Mancini. Maria, uciekając od męża, pragnęła schronić się w Paryżu. Króla nie było, wyruszył na wojnę z Holandią, powierzając regencję Marii Teresie, zgodnie z tradycją. Prośba Marii dotarła więc do królowej. Za namową Atenaidy, która doskonale wiedziała, że Maria jest pierwszą i jedyną miłością króla, Jej Wysokość nie wyraziła zgody. Obawiała się, że uczucie to rozpali się na nowo.

Próbując wyważyć szufladę (co miało dość gwałtowny przebieg), zdarliśmy sobie naskórek z palców. Wewnątrz szuflady, jak się przekonaaliśmy, nic nie było.

- Gdy król dowiedział się o prośbie Marii - ciągnął opat, osuszając chusteczką zadrapania - było już za późno, by zaradzić odmowie Marii Teresy.

Nie chciał jednak oddać Marii mężowi, który domagał się jej powrotu. Polecił Colbertowi ukryć ją w klasztorze, z dala od Paryża, i przyznał jej rentę. Mancini, która nie wiedziała o machinacjach Marii Teresy i Atenaidy, zawołała: „Słyszałam, że pieniądze daje się kobietom, żeby się z nimi widzieć, a nie po to, by tracić je z oczu!”

- No tak, ale to działo się dawno temu, minęło trzydzieści lat - zauważyłem, prowokując opata do zwierzeń.

- Masz rację - odparł Atto, poirytowany moim sceptycznym stosunkiem do jego wynurzeń - ale od pewnego czasu de Maintenon namawia króla, by oficjalnie zaprosił Marię do Paryża. Jak sądzisz, dlaczego? Nie zapominaj, że jest bardzo zazdrosna.

- Nie mam pojęcia.

- Ponieważ Ludwik coraz częściej wspomina o Marii. Król ma już sześćdziesiąt dwa lata, jest zmęczony rozczarowaniami i dokonuje bilansu swojego życia. Maria jest w tym samym wieku. Maintenon ma na-

dzieję, że na widok postarzałej Marii król raz na zawsze straci jej wyidealizowany obraz. Nie bierze jednak pod uwagę, że uroda Mancini nie przemija - dodał Melani z emfazą, choć nie wiedział, jak teraz wygląda pani konstablowa, gdyż sam nie widział jej od trzydziestu lat.

- Pani de Maintenon nigdy nie poznała Marii?

- Przeciwnie. Znały się i były przyjaciółkami. Stały nawet na jednym balkonie podczas uroczystego wjazdu króla i Marii Teresy do Paryża, tuż po zaślubinach. Ale jedynie ten, kto żył u boku Marii, potrafi zrozumieć, że nawet perspektywa tysiąca lat i odległość tysiąca kilometrów nie zatrą wspomnienia o niej - powiedział opat z mocą.

- To prawdziwa ironia losu, że pierwsza i ostatnia kobieta Jego Wysokości znalazły się na tym samym balkonie - zauważyłem. - Nie chciałym pana zanudzać, ale czy to możliwe, żeby uczucia króla pozostały niezmienione przez trzydzieści lat? Tym bardziej że przez cały ten czas jej nie widział - nalegałem, mając nadzieję, że nakłonię opata do mówienia.

Atto milczał przez chwilę, zamyślony.

- Ja też nie widziałem jej od trzydziestu lat - wyszeptał. A zatem nadal ją kocha - pomyślałem.

- Niedługo przyjedzie - powiedziałem, by dodać mu otuchy.

- Wszystko na to wskazuje.

Zapadło długie milczenie. Atto rozmyślał.

- Pójdę zaczerpnąć powietrza - oświadczył nagle. - Muszę odpocząć od tego kurzu. Ty rób, co chcesz. Zobaczymy się za dwadzieścia minut.

Spojrzałem pytająco.

- Zapomniałem, że nie masz zegarka - powiedział i po namyśle do dał: - Chodź ze mną.

Zatrzymaliśmy się na drugim piętrze, gdzie Melani otworzył szufladę jednej z komód.

- Widziałem tu gdzieś podróży zegarek. Oto i on!

Położył go na blacie stojącego obok biurka i nakręcił sprężynę. Nastawił odpowiednio wskazówki i wręczył mi zegarek.

- Teraz będziesz wiedział, która jest godzina. Zobaczymy się później.



Atto był wyczerpany. Przeszukiwanie willi zajęło nam sporo czasu. Jednak do ogrodu chciał wyjść z zupełnie innego powodu. Pod wpływem wspomnień poczuł głęboki smutek i pragnął przez chwilę zostać sam.

Opat wyszedł na zewnątrz. Wokół panowała cisza. Stałem pośrodku pokoju z zegarkiem w ręku. Usiadłem na pokrytym zniszczoną skórą stołku i rozmyślałem nad słowami Melaniego. Opowiedział mi o trzech kobietach Króla Słońce, taka sama była liczba przeszukanych przez nas pięter. Być może zbyt poniosła mnie fantazja, ale miałem dziwne wrażenie, że trzy kondygnacje „Okreću” odpowiadają tym trzem kobietom: na parterze znajdowały się ogrody, w tym jeden ukryty, oraz grotta, jasne i pełne uroku, niczym La Valliere, na pierwszym piętrze zwodnicza, przepiękna galeria lustrzana i zapierająca dech w piersiach *Jutrzenka* Pietra da Cortony, podobne do markizy de Montespan, „najpiękniejszej kobiety w królestwie”, „królującej kochanki”. Obok *Jutrzenki* widniało *Południe* - fresk z przedstawieniem upadku Faetona z rydwanem Słońca, będący przestrożą dla dumnego Ludwika XIV, który w czasach Montespan stał u szczytu potęgi. Wreszcie piętro trzecie, zwykłe, bez wyrazu, jak twarz Françoise Maintenon, smutne jak życie króla u jej boku, puste jak jego starość.

Wiedziałem już prawie wszystko o przeżyciach Arcychrześcijańskiego Króla, ale wciąż niewiele na najbardziej zajmujący mnie temat - jego obecnych relacji z panią konstablową i celu miłosnej misji, którą król (jak odgadłem) powierzył Melanieniu. W chwili gdy snułem te rozważania, poczułem, że nie jestem sam.

W drzwiach stał Albicastro ze skrzypcami w dłoni i recytował:

Najpierw powstał dzień czy najpierw noc powstała?  
A jak osła ręka ludzka wyhodowała?  
Sokrates zrodził Platona czy na odwrót?  
Podobnych pytań jest w bród.  
Szaleńcem jest ten, kto głowę sobie łamie  
Nad rzeczami, których nikt zmienić nie jest w stanie.

- Teraz i mnie nazywa pan szaleńcem? - zapytałem, zaskoczony. - Czy w jakiś sposób pana obraziłem?

- Wręcz przeciwnie, chłopcze, wręcz przeciwnie! Tylko żartowałem. Chciałem ci raczej pogratulować. Czyż Chrystus nie dziękował Bogu za to, że ukrył przed mędrkami tajemnicę szczęścia, wyjawiając ją dzie-

ciom, czyli głupcom? Wiedz, że greckie słowo *nepiois* znaczy zarówno „głupiec”, jak i „dziecko” i stanowi przeciwieństwo *sofóis*, „mędrca”.

- Wprawdzie niski wzrost podobnia mnie do dziecka, ale pragnę zauważyć, że jesteśmy rówieśnikami - powiedziałem zakłopotany. - W każdym razie nie czuję się obrażony...

- Dziękuję ci, chłopcze - odparł Albicastro, siadając na porfirowej konsoli. - Miałem na myśli twoją duszę, czystą jak dusza dziecka. Albo głupca, jeśli wolisz - dodał z uśmiechem.

- A więc jestem w doskonałym towarzystwie. Czyż świętego Franciszka nie nazywano bożym wesołkiem? - odparłem, ostatecznie porzucając rozmyślenia.

- Jak powiedział Apostoł: „Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców”\* i „spodobało się Bogu przez głupstwo głoszenia słowa zbawić wierzących”\*\*.

- Powinniśmy zatem wszyscy oszaleć?

- Nie, nie oszaleć, udawać szalonych.

- Nie rozumiem.

- Po pierwsze, wszyscy zgadzają się co do znanego powiedzenia: „Tam, gdzie brakuje poczucia rzeczywistości, najlepszą rzeczą jest udawanie”. Dlatego też słusznie naucza się dzieci, że „udawanie szaleństwa w odpowiednim momencie jest największą mądrością”.

- Nie sądzę, żeby udawanie było cnotą.

- Właśnie że jest, o ile pomaga obronić się przed podstępными ludźmi. Symulowanie szaleństwa jest wyrazem najwyższej mądrości, o czym dobrze wiedział Telemach, syn Odyseusza. Przyczynił się do zwycięstwa ojca. Wiesz, w jaki sposób? W odpowiedniej chwili udał, że jest szalony.

Nie rozumiałem, o co mu chodzi, ale pragnąłem zadać Albicastrowi inne pytanie:

- Za pozwoleniem, dlaczego stale mówi pan o szaleństwie i głupocie?

Zamiast odpowiedzi muzyk chwycił skrzypce i grał follię.

- Jak napisał święty Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian - po wiedział, dobywając pierwsze dźwięki - „Jeśli ktoś spośród was mnie ma, że jest mądry na tym świecie, niech się stanie głupim, by posiadał mądrość”\*\*\*. Wiesz, dlaczego? Bo, jak powiedział Pan ustami proroka

\* Pierwszy list do Koryntian, 1-27 Biblia Tysiąclecia, Warszawa 1990 (przyp. tłum.).

\*\* Tamże, 1-21 (przyp. tłum.). \*\*\* Tamże, 3-18 (przyp. tłum.).

Izajasza: „Bieda tym, którzy uważają się za mądrych i we własnym mniemaniu za rozumnych”\*.

Zaciekawiła mnie i zarazem zaintrygowała ta dziwna wymiana zdań o szaleństwie, do której sprowokował mnie Holender, grając na skrzypcach wariacje na temat follii. Atto miał chyba rację: Albicastro jadał za dużo sera.

- Zatem, pańskim zdaniem, prawdziwa mądrość ukrywa się pod pozorami szaleństwa. Dlaczego pan tak sądzi? - zapytałem, podchodząc do muzyka.

- Jak dowodzi Sertoriusz, nie da się wyrwać końskiego ogona jednym ruchem, ale można tego dokonać, wrywając włos po włosie - odparł niewinnie Albicastro, dotykając smyczkiem strun w taki sposób, żeby dźwięki oddawały pisk osoby, której wrywa się włosy.

Roześmiałem się, rozbawiony.

- Gdyby ktoś podczas spektaklu zerwał aktorowi maskę, żeby pokazać widzom jego prawdziwe oblicze, czyż nie zepsułby przedstawienia? - mówił skrzypek. - Czyż taki widz nie zasługiwałby na to, by usunąć go z teatru? Odkrycie fałszu to koniec przedstawienia. Wszystko na tej ziemi jest tylko maskaradą, chłopcze, ale Bóg chciał, żebyśmy odgrywali tę komedię.

- Ale dlaczego? - nalegałem, czując nieodparte pragnienie poznania.

- Pomyśl: gdyby nagle pojawił się mędrzec i oznajmił, że ten, którego wszyscy wielbią jako pana i władcę, wcale nim nie jest? Jest zwykłym człowiekiem, ma ciało, ulega niskim żądom jak zwierzę, albo, co gorsza, jest tylko niewolnikiem i służy innym podłym panom i władcom, potężniejszym od niego, których my tutaj, na dole, nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Powiedz, czy taki mędrzec nie zasługiwałby na to, by wszystkie ludy go znenawidziły i przestały słuchać? Nie ma nic bardziej szkodliwego niż mądrość nie w porę.

To powiedziawszy, Albicastro podniósł się z porfirowej konsoli i, nie przerywając gry, udał się w stronę kręconych schodów.

Zgodnie ze smutnym prawem, jak u Terencjusza czytamy,  
Człowieka prawdomównego w nienawiści mamy.

Zacytowany dwuwiersz, jak się domyśliłem, pochodził z jego ulubionego poematu *Statek głupców* Sebastiana Branta.

Księga Izajasza, 5-21 (przyp. tłum.).

- Świat to jedna wielka uczta, chłopcze, a prawo biesiadników mówi: „Pij albo odejdz!” - powiedział Albicastro na pożegnanie.

Po chwili rozległy się kroki Holendra schodzącego na dół. Trwałem w bezruchu, wsłuchany w słowa Albicastro, jeszcze dźwięczące mi w uszach.

- Nie ma rady, musimy się z tym pogodzić.
- Uniosłem głowę i ujrzałem opata Melaniego.
- Podarunków Capitor nie ma w pałacu - oznajmił.
- Może niezbyt uważnie szukaliśmy, powinniśmy spróbować...
- Nie, to nic nie da. Chodzi o to, że nasze początkowe założenie było fałszywe.
- Nie rozumiem.
- Powiedziałaś, że pierwszym właścicielem papugi był Virgilio Spada, wuj kardynała, czy tak?
- Tak.
- Virgilio, jak zapewne wiesz, miał kolekcję osobliwości.
- To rzecz powszechnie znana. Virgilio Spada był człowiekiem pobożnym, ale też niezwykle mądrym, a jego *mirabilia*, osobliwe i rzadkie przedmioty, cieszyły się dużym zainteresowaniem...
- Otóż to! Z chwilą gdy Benedetti postanowił pozbyć się podarków i oddać je komuś na przechowanie, na pewno pomyślał, że idealnym kandydatem będzie Virgilio Spada.
- Chwileczkę! Dlaczego Benedetti miałby pozbywać się prezentów? Czyż Mazzarini nie polecił mu, żeby się nimi zaopiekował i umieścił w „Okręcie”?
- By się nimi zaopiekować, tak, ale... pozwól, że ci o czymś opowiem.

Tym razem Atto wyjawiał mi coś, co przemilczał cztery dni wcześniej, podczas naszej pierwszej wizyty w „Okręcie”, kiedy opowiadał o Elpidiu Benedettim, budowniczym i właścicielu willi, oraz o znajomości z nim.

- Trzeba ci wiedzieć, chłopcze, że każda wpływowa osoba prędzej czy później musi stawić czoło różnym niespodziewanym machinacjom - zaczął uroczystym tonem. - Dlatego potrzebuje wiernych, zaufanych ludzi, którzy pomagają jej w tysiącu codziennych spraw.

- Rozumiem - odparłem, nie kryjąc zniecierpliwienia zbyt rozwlekłym wstępem. Nie mogłem się doczekać bardziej konkretnych informacji.

- Otóż kardynał Mazzarini, oprócz sekretarzy i oficjalnych współpracowników, miał w swoim najbliższym otoczeniu grupę... powiedzmy, bardzo zaufanych ludzi. Miałem zaszczyt do nich należeć.

Osoby te - wyjaśnił Atto, używając eleganckich peryfraz - były po prostu szpiegami, figurantami i intrygantami, z których pomocy kardynał korzystał przy załatwianiu tajnych, poufnych spraw. Jedną z nich, a właściwie pierwszą z nich, była kwestia pieniędzy.

- Gdybym powiedział ci, że kardynał był bogaty, skłamałbym. Mazzarini był, jak by to powiedzieć - ciągnął Atto, spoglądając w górę - ucieleśnieniem bogactwa.

Długie lata spędzone u szczytu władzy pozwoliły mu zgromadzić ogromny, zawrotny, nieprzebrany, a przede wszystkim nielegalny majątek. Kardynał uszczknął sobie ze wszystkiego: z podatków, umów o pracę, koncesji, eksportu. Mieszał do woli dobra własne z dobrami Korony, a w chwili, gdy należało je rozdzielić, duże kwoty z kasy królestwa przykleiły mu się do rąk. Ten niewyobrażalnie wysoki majątek (po śmierci Mazzariniego mówiło się o dziesiątkach milionów *livres*) musiał, oczywiście, dyskretnie zainwestować.

- Mój biedny przyjaciel Fouquet został aresztowany i oskarżony o malwersacje, pozbawiony rodziny i miłości, a w końcu wtrącony do więzienia. Tymczasem kardynał Mazzarini, prawdziwy winowajca, nigdy nie zapłacił za, nazwijmy to, nadużycia, jakich się dopuścił - zauważył opat z goryczą w głosie. - Trzeba jednak przyznać, że potrafił unikać niebezpieczeństw.

Mazzarini ukrył swój nielegalny majątek. Tajne kapitały powierzył bankierom i figurantom, głównie za granicą, żeby uniemożliwić zastawienie na siebie siędeł. Pieniądze złożył nie tylko w bankach, zainwestował też w obrazy, kosztowne przedmioty i nieruchomości. Jego Eminencja miał jedynie kłopot z wyborem. Mógł bowiem pozwolić sobie na wszystko. Sieć jego tajnych popieczników oplatała całą Europę.

- Tu w Rzymie, na przykład, sześćdziesiąt lat temu Mazzarini kupił od rodziny Lante przepiękny pałac Bentivoglio przy Monte Cavallo. Od dwudziestu lat wynajmuje go ród Rospigliosich. Czasem gości mnie u siebie moja dobra znajoma Maria Camilla Pallavicini Rospigliosi.

- Zatem pałac Rospigliosich to w rzeczywistości własność Mazzariniego! - zawołałem z przejęciem, mając w pamięci wspaniałą budowlę

przy Monte Cavallo, którą miałem okazję zobaczyć, kiedy odprowadzałem Buvata idącego po buty.

- Otóż to! Zapłacił za niego siedemdziesiąt pięć skudów.

- Ładna sumka!

- To tylko niewielka próbka możliwości kardynała. Wiesz, kto go namówił do zakupu pałacu?

- Elpidio Benedetti?

- Właśnie! W imieniu kardynała kupował książki, obrazy i kosztowności. Pamiętam, że były wśród nich rysunki Berniniego, za które zapłacił majątek. Nie mówiąc o pałacu Mancinich przy Corso, gdzie wychowała się Maria. Benedetti kazał go odrestaurować i powiększyć, co pochłonęło olbrzymie pieniądze. Z kieszeni Mazzariniego, ma się rozumieć.

- Kiedy Jego Eminencja przysłał do Rzymu pana de Chantelou w sprawie zakupu kilku cennych przedmiotów, Elpidio Benedetti wysłał go do Algardiego, Sacchiego, Poussina... Nie wiem, czy te nazwiska ci coś mówią.

- Są to znani artyści, jak sądzę.

- Zgadza się. De Chantelou w imieniu swojego pana zaangażował też kilku muzyków, którzy mieli wystąpić w Paryżu, między innymi zmanierowaną Leonorę Baroni.

Atto nie zapytał, czy znam to nazwisko, ale przypomniałem sobie, że przed laty opowiadał mi o tej kobiecie. Była utalentowaną śpiewaczką i rywalką Atta.

- Elpidio Benedetti był też tajnym figurantem Mazzariniego. Po śmierci kardynała pozostał z pieniędzmi, których prawdziwego właściciela znał tylko on. „Okręt” jest zbyt duży i okazały jak na kieszeń Benedettiego. Nieprzypadkowo budowę willi rozpoczęto tuż po śmierci Mazzariniego.

- Czyli „Okręt”...

- ...został wzniesiony za pieniądze Mazzariniego. Podobnie jak cały majątek Elpidia Benedettiego, włącznie z domem w mieście. Nieprzypadkowo, jak już mówiłem, Benedetti zostawił go w spadku księciu Nevers, siostrzeńcowi Mazzariniego i bratu Marii.

- Zwrócił więc bezprawnie zdobytą fortunę.

- Nie przesadzajmy! Czy można nazwać złodziejem tego, kto okrada innego złodzieja? - zaśmiał się Melani.

Kiedy kardynał poprosił Benedettiego o przechowanie podarunków od

Capitor, dodał jeden warunek: złowróżbne przedmioty nie mogą znajdować się w obrębie posiadłości Mazzariniego. Kardynał, którego dręczyły wyrzuty sumienia i wywołane przez nie koszmary, miał dziwne przeczucie, że nie tylko jego osoba, ale też wszystkie jego dobra powinny być umieszczone z dala od tych przeklętych podarunków.

Elpidio Benedetti, sam przesądny, skrupulatnie wykonał polecenie. Wybierając miejsce na przechowanie trzech przedmiotów, zrezygnował z pomysłu, by zatrzymać je w swoim domu w mieście, który w rzeczywistości należał do Mazzariniego. „Okręt” jeszcze wówczas nie istniał (jego budowę ukończono sześć lat po śmierci Jego Eminencji), więc Benedetti nie miał innego wyjścia jak przekazać prezenty komuś innemu, na przykład Virgiliowi Spadzie.

- Pamiętasz napis, który widzieliśmy na ścianie pałacu? „Wybudowałem go dla trzech przyjaciół, ale później nie mogłem ich odnaleźć”. Podejrzewaliśmy, że owi „trzej przyjaciele” to podarunki Capitor. Być może fragment: „nie mogłem ich odnaleźć” oznacza, że tutaj znajduje się jedynie obraz z namalowanymi przedmiotami, a same przedmioty gdzieś przepadły.

- Ponieważ trafiły do rąk Virgilia - podsumowałem.

- Tylko że nie zostały mu sprzedane, ale oddane na przechowanie - uściślił Melani. - Kardynał chciał mieć je zawsze do dyspozycji. Istnieje zatem możliwość, że podarunki Capitor nadal znajdują się w majątku Virgilia Spady.

- Ale gdzie?

- Willa Spada nie jest duża. Jeśli globus Capitor cały czas tam jest, na pewno byś go widział.

- To prawda - zgodziłem się. - Wiem, że Virgilio Spada miał jakiś flamandzki globus.

- Taki jak ten, którego szukamy.

- Otóż to! Teraz znajduje się w pałacu Spada. Nigdy nie byłem w pałacu, ale wiele o nim słyszałem. Ponoć ściągają doń turyści z całego świata, by podziwiać zgromadzone tam osobliwości. Jeśli jest wśród nich globus, to znajdziemy też tacę Capitor. Ale powinien pan o tym wiedzieć - dodałem. - O ile dobrze pamiętam, kiedy się poznaliśmy w gospodzie „Donzello”, pisał pan przewodnik po Rzymie...

- Niestety - odparł Atto z nutą żalu w głosie - przerwałem pisanie i nie ukończyłem dzieła. Zwiedziłem niemal wszystkie pałace Rzymu, ale pałacu rodu Spada nie widziałem. Czytałem o nim w opracowaniach

i przewodnikach, ale to wszystko. Musimy znaleźć sposób, żeby tam się dostać.

- Dobrą okazją byłaby wizyta w pałacu. W najbliższy czwartek, w ostatni dzień uroczystości, kardynał Spada zaprosił do siebie wszystkich gości.

- Od czwartku dzielą nas trzy dni. Nie mogę tak długo czekać. Poza tym nie będę przecież prowadził poszukiwań w pałacu pełnym gości! Jak to sobie wyobrazasz? Że będę krążył po komnatach, przeszukiwał szafy i otwierał szuflady, jak gdyby nigdy nic? - zapytał opat, unosząc ramiona i naśladując fruującego motyla.

- Pałac Spada, powiedział pan? Żaden problem! - Poznałem ten srebrzysty głos.

Opat Melani skrzywił się.

- Nareszcie ich znaleźliśmy, panie Buvat! Mówiłam, że tu są, mój ukochany mąż i pański szef, opat Melani.

Clordia i Buvat znaleźli nas po długich poszukiwaniach.

Clordia miała dla nas ciekawe informacje. Dowiedziała się od naszych córek (które pod nieobecność mamy nastawiały uszu i później o wszystkim szczegółowo jej opowiadały), dokąd poszliśmy, odnalazła Buvata i w jego towarzystwie przybyła do „Okreću”. Tym sposobem Clordia i Atto w końcu się spotkali. Melani rozchmurzył się na widok mojej żony, którą ujrzał po wielu latach.

- Witam panią! - powiedział uprzejmie, pochylając się w ukłonie.

Podstarzały kastrat pamiętał Cloridię jako dziewiętnastoletnią kurtyzanie, wyzywającą i beczelną, teraz miał przed sobą rozpromienioną, pełną wdzięku dojrzałą kobietę. Moja małżonka była piękna, o wiele piękniejsza niż dawniej, ale blask jej urody dostrzegłem dopiero dzięki urzeczonemu spojrzeniu opata, kiedy i ja patrzyłem na Cloridię jakby pierwszy raz. Loki już nie rozjaśniane i sztucznie kręcone, ale utrzymane w naturalnym czarnym kolorze, spływały łagodnie na ramiona i z wdziękiem okalały twarz Cloridii. Powieki pozbawione makijażu i blad różowe usta dodawały jej świeżości, której Atto przed laty nie mógł się dopatrzeć w młodej kurtyzanie.

- Proszę mi wybaczyć najście - powiedziała, kłaniając się Melanemu. - Zdobyłam ważną informację: pojutrze odbędzie się tu kolejne spotkanie interesujących pana trzech kardynałów - oznajmiła.



- Kiedy dokładnie? - zapytał Atto.
- W południe. Bądźcie ostrożni! - upomniała Cloridia, z nutą niepokoju w głosie.

Uśmiechnąłem się w głębi duszy. Wiadomość ta była zbyt istotna, żeby moja żona zachowała ją dla siebie. Potwierdziły się moje przypuszczenia co do Cloridii: jej entuzjazm do udzielania nam pomocy ostygł, ponieważ bała się o mnie.

- Niech pani będzie spokojna! Będę czuwał nad pani mężem - zapewnił opat słodkim głosem, z niewiarygodną wręcz zuchwałością.

- Dziękuję panu - odparła Cloridia z lekkim skinieniem głowy. - Pierwszy raz jestem w „Okręcie”. Jak tu pięknie! - dodała, rozglądając się dookoła.

Piękne wnętrza pałacu pozwoliły Cloridii zapomnieć o obawach.

- Nasz Buvat jest innego zdania, choć poprzednim razem chyba nie wiele widział - powiedział ze śmiechem opat, przypominając sobie, jak Buvat stał tu w zakrwawionej koszuli, którą poplamiał, wynosząc przez ścieradła z komnaty rodzącej księżnej Forano.

Sekretarz Atta nie usłyszał, pochłonięty czytaniem napisów na ścianach.

- Ten pałac jest w bardzo dobrym stanie, jak na budowlę od lat opuszczoną. Można by powiedzieć, że znajduje się na Wyspach Szczęścia, zwanych także Wyspami Szaleństwa, gdzie zboże rośnie samo, bez siewu i orki, nie istnieje trud, starość ani choroba. Tak przynajmniej wynika z dzieła uczonego Erazma, mojego rodaka - dodała Cloridia od niechcena.

Atto i ja oniemieliśmy z wrażenia. Uwaga Cloridii zdumiała mnie. Nie miałem jeszcze sposobności, by opowiedzieć mojej żonie o spotkaniu z ekscentrycznym holenderskim muzykiem ani o granym obsesyjnie motywie follii, opatrywanym sentencjami na temat szaleństwa. Tymczasem wydawało się, że Cloridia intuicyjnie, a przy tym z największą naturalnością wyczuła zarówno tajemnicę „Okrętu”, jak i follii. Ale na tym nie koniec: moja małżonka, wychowana w Amsterdamie, podobnie jak Albicastro często słyszała o pochwałach głupoty głoszonych przez ich rodaka z Rotterdamu. Z pewnością przyczyniło się do tego to - pomyślałem - że Cloridia znała się na wróżbiarstwie. Atto zdawał się mieć podobne zdanie.

- O ile dobrze pamiętam, była pani mistrzynią w czytaniu z ręki - powiedział, kryjąc zakłopotanie. - Czy mogę spytać, co pani zdaniem sprawiło, że ta niezamieszкана willa jest wiecznie młoda?

- To proste: dzięki temu, co starożytni Grecy nazywali dobrym nastawieniem ducha, a co my moglibyśmy nazwać szaleństwem.

- Posiadła pani jakąś tajemną sztukę, która pozwala pani sądzić, że to miejsce ma duszę?- rzekł Atto z powątpiewaniem.

- Każda prawdziwa kobieta ma tę umiejętność - odparła Cloridia z uśmiechem. - Ale zmienmy temat: słyszałam, że pragnie pan dostać się do pałacu Spada?

Opowiedziałem Cloridii o naszej skomplikowanej sytuacji (co przyjęła z okrzykami zdziwienia), a także o flamandzkim globusie i tacy, których zamierzaliśmy szukać w kolekcji osobliwości Virgilia Spady.

- Stoi przed panem osoba, która może wam pomóc. Za kilka dni żona zastępcy ochmistrza pałacu Spada będzie rodzić. Od miesiący regularnie ją odwiedzam. Poród będzie długi i ciężki, ponieważ kobieta jest bardzo tęga, i z pewnością będę potrzebować pomocy jej męża. Pałac nie będzie więc strzeżony.

- Ale będą tam przecież służący - zauważyłem.

- Nie zapominaj, że na czas uroczystości weselnych wszystkich przeniesiono do willi Spada, żeby pomagali tamtejszej służbie - przypomniała mi Cloridia z chytrym uśmieszkiem. - Co więcej, zastępca ochmistrza z żoną przenieśli się na pewien czas do pokoiku na parterze, skąd mogą lepiej pilnować opustoszałego pałacu. Oni też mieli się udać do willi, ale z powodu bliskiego rozwiązania pozostali na miejscu zamiast stróża. Okazja jest więc sprzyjająca - oznajmiła zdecydowanym tonem Cloridia.

Moja żonka jest bardzo pewna siebie - pomyślałem rozbawiony. Boi się o mnie tylko wtedy, gdy podejmuję się niebezpiecznych zadań bez niej. Ale kiedy może mi towarzyszyć lub być w pobliżu, tak jak teraz, nabiera śmiałości, staje się jakby potężną boginią, której obecność wystarcza, żebym stał się niezwyciężony.

- Na pewno nie ma nikogo w pałacu? - spytał Atto z wahaniem.

- Są strażnicy, ale robią tylko obchód dokoła pałacu i na tym koniec - wyjaśniła Cloridia.

- Musimy dostać się do pałacu jak najprędzej - zauważył Atto. - Nie możemy czekać, aż pani podopieczna zacznie rodzić.

- To żaden problem. Pójdę do pałacu, zbadam ją, podam odpowiedni napar z ziół i... gotowe.

- Chcesz powiedzieć, że przyspieszysz poród? - zdziwiłem się, gdyż

Clordia nigdy nie mówiła, że akuszerki mają swoje sposoby na wywołanie akcji porodowej. - Jak to możliwe?

- To proste: wywołam kichnięcie macicy.

Obaj zamilkliśmy, sądząc, że Clordia kpi sobie z nas.

- Powiada pani, że macica potrafi kichać? - rzekł opat podejrzliwie.

- Oczywiście! Podobnie jak nos. Biorę odrobinę majeranku, czarnuszki, goździków, białego pieprzu, gałki muskatołowej, białego ciemniaka i wydzielinę z gruczołów bobra, dokładnie wszystko mieszam i ucieram na proszek. Następnie wdmuchuję proszek do macicy za pomocą rurki z ptasiego pióra, żeby spowodować kichnięcie. Jeśli to nie wystarczy, podgrzewam na patelni proszek zmieszany z tłuszczem. Wywołane w ten sposób opary pomogą osiągnąć oczekiwany efekt. Przed przystąpieniem do zabiegu kobietę należy odpowiednio przygotować, przewiązując ją w pasie prześcieradłem, tak aby nastąpiło rozwarcie macicy.

- Czy zabieg ten nie jest niebezpieczny? - wtrącił Melani z przejęciem.

- Ależ nie! Co więcej, istnieją też inne środki, na przykład opary z piżma i bursztynu. Powodują one obniżenie macicy. Jestem pewna, że kiedy zastosuję te środki, zastępca ochmistrza szybko po mnie pośle, bo zaczniesz się poród.

- A jeśli to nie zadziała?

- Zadziała. W przeciwnym razie użyję innych sposobów, których skutkiem jest natychmiastowy: orli kamień przywiązany do uda czy kawałek skóry jelenia albo nasiona portulaki, które rodząca powinna wypić z białym winem, lub sproszkowane łożysko suki, wtarte w wargi sromowe, czy skóra zrzucona przez węża, którą należy przyłożyć do łona. Ale ten ostatni sposób nie jest zbyt bezpieczny.

Opat Melani zbladł, kiedy usłyszał, z jaką swobodą Clordia wymienia te zabiegi.

- Kiedy przystąpisz do... - wtrąciłem.

- Wziąwszy pod uwagę, że jest bardzo tęga, powinna dostać bólów porodowych jutro po południu. Za późno?

- Nie, może być. Ale jak dostaniemy się do pałacu i wyjdziemy stamtąd? - spytał opat.

- Dzisiaj pójde do pałacu i wybadam sytuację. Jutro rano dam wam znać. O jedno musicie zadbać sami: chodzi o klucze do pokoi.

- To żaden problem - odparł Atto z uśmiechem.

Wiedziałem, kogo miał na myśli.

# Wieczór szósty

*12 lipca 1700 roku*

Tego wieczoru wyznaczono mi zajęcie w ogrodzie. W przebraniu janczara miałem przygotować sztuczne oświetlenie do przedstawienia, stosując się do wskazówek zarządcy domu, don Paschatia Melchiorriego, który został dokładnie poinstruowany przez głównego scenografa. Człowiek ten wpadł na oryginalny pomysł, by pokazać gościom niezwykle interesujące, jego zdaniem, przygotowania do spektaklu.

Pośrodku sceny ustawiono stół, a na nim kocioł z wrzątkiem. Po chwili do stołu podeszła grupka zaciekawionych kardynałów.

- Sporządzimy teraz przezroczyste barwy do dzisiejszego żartu scenicznego. Na początek przepiękny kolor szafirowy, czyli niebieski - oznajmił uroczystym tonem don Paschatio, ubrany w liberię.

Stałem obok niego z miską i mosiężnym dzbanem w rękach, z torbą przewieszoną przez ramię.

- Mistrzu Ptaszniku, proszę wyjąć z torby kawałek salmiaku. Proszę potrząść nim dno i ścianki miski, aż cały się pokruszy, dodając od czasu do czasu odrobinę wody, ale nie za dużo, gdyż im więcej salmiaku, tym piękniejszy kolor.

Posłusznie wypełniłem polecenie. Następnie zarządca kazał mi przefiltrować wodę przez kawałek filcu i przelać ją do mosiężnego naczynia. Bardzo się zdziwiłem, widząc, że woda stała się szafirowa. Polecił mi wlać płyn do dwóch szklanych karafek.

- Teraz sporządzimy wodę szmaragdową - zapowiedział don Paschatio, wyciągając z torby ampulkę z żółtym proszkiem przypominającym szafran. Wsypał odrobinę do karafki z niebieską wodą, wymieszał i płyn w jednej chwili zmienił barwę na zieloną.

Następnie rozpuściliśmy nieco alunu w kotle z gorącą wodą, zebraliśmy pianę i przelaliśmy przez filc do pięciu szklanych karafek, z których ostatnia była wielkości kociołka.

- Oto kolor rubinowy - powiedział don Paschatio do zgromadzonych wokół stołu gości.

Do pierwszej karafki dołał kilka kropli czerwonego wina i zabarwił wodę na mocno czerwony kolor.

- Teraz inna odmiana rubinu! - zawołał.

Do drugiej karafki wlał trochę wina czerwonego zmieszanego z białym. Do dwóch kolejnych butelek wlał wino Frascati i szklanekę wina Marino.

- Na koniec kolor szary i kolor topazu - powiedział zadowolony don Paschatio, spoglądając na zdziwione twarze wielmożów i eminencji.

- A tu? - spytał kardynał Moriggia, wskazując na największą karafkę.

- Do tej karafki niczego nie dodam, a woda w niej zmieni barwę na diamentową, taką samą jaką ma słońce nad wyspami Grecji - oznajmił zarządca, który wprowadzie nigdy nie był w Grecji, ale jak papuga powtarzał instrukcje scenografa.

Kiedy zakończył się spektakl tworzenia kolorów, don Paschatio szepnął mi, byśmy ukryli się przed niedyskretnymi spojrzeciami.

- Jeśli odkryją sztuczkę, nie uda nam się ich zaskoczyć - dodał z przebiegłą miną.

Z pomocą służących przenieśliśmy karafki za namalowany horyzont, przedstawiający kampanię cypryjską. Znajdowała się tam drewniana ściana z otworami, do których wsunęliśmy butelki od strony wypukłej, stawiając je na trójnogach. Za karafkami ustawiliśmy lampy dające światło o jednakowym natężeniu.

- Ustaw tam największą karafkę - polecił mi zarządca domu, wskazując szczyt horyzontu - a zamiast lampy umieść za nią pochodnię. Za pochodnią postaw dobrze wypolerowaną miskę, w której będzie się odbijać światło płomienia.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy, wyszedłszy zza kulis, żeby zobaczyć efekt naszej pracy, ujrzałem olbrzymie diamentowe słońce, świecące na namalowanym cypryjskim niebie. W dole widniał wiejski pejzaż, mieniący się barwami szmaragdów, rubinów i topazów, w oddali połyskiwały szafirowe morskie fale z perłowymi grzywami piany.

Elementy dekoracji: drzewa, kamienie, pagórki, trawa, kwiaty, fontanny, a nawet wiejskie chaty zostały wykonane z delikatnego, różnokolorowego jedwabiu. Dzięki szczodrości kardynała Spady i pomysłowości sce-

nografa, dwóch wrogów skąpstwa, jedwabne kwiaty wyglądały jeszcze piękniej niż rośliny wyhodowane przez Mistrza Kwiaciarza. Sztuczne morze pełne było muszli, małży, gałązek wielobarwnych koralii, krabów i innych cudownych rzeczy, których opis zajęłoby zbyt dużo miejsca.

Przeźrenie teatru oświetlały wiszące lampiony, teraz zgaszone, gdyż widowisko miało się rozpocząć po południu, kiedy będzie jeszcze widno. Za radą Serlia nad świecznikami i pochodniami umieszczono naczynia z wodą z dodatkiem kamfory, z których dobywały się delikatne wonie, usposabiające do rozkoszowania się spektaklem.

Tymczasem przybywali szlachetni widzowie i zajmowali wygodne, miękkie fotele. Ja również oczekiwałem na rozpoczęcie przedstawienia. Usiadłem na ziemi, nieco z boku sceny, żeby słyszeć komentarze gości siedzących w pierwszych rzędach. Szczególnie rozmowni byli trzej mężczyźni, którzy wymieniali uwagi jeszcze w chwili, gdy na scenę wyszli aktorzy.

- Ostatnim razem byłem w teatrze w marcu. W Palazzo della Cancellaria grano wtedy oratorium Scarlattiego *La Santissima Annunziata* - powiedział jeden z trzech szlachciców.

- To, do którego tekst napisał kardynał Ottoboni?

- Tak.

- Czy to był dobry tekst?

- Raczej nie.

W tej samej chwili widzowie powitali aktorów brawami. Trzej mężczyźni, nie przerywając rozmowy, zaczęli klaskać.

- A propos słabych tekstów, co myślicie o komedii Giovan Domenico Bonmattei Piolego?

- Tej, która ukazała się w styczniu zeszłego roku?

- Straszna miernota. Patronował jej Ottoboni, który jest członkiem Akademii Arkadyjskiej. Utwory Piolego są bardzo słabe i nudne.

- Jego Świątobliwość znowu źle się poczuł - powiedział trzeci kawaler, zmieniając temat rozmowy. - Dzisiaj mija dziewięć lat jego pontyfikatu. W Kwirynale urządzono koncert na cześć papieża, ale nie przyszedł.

- Wiem, dlaczego źle się czuje: dał się przekonać ambasadorowi Hiszpanii i jego wspólnikom.

- Naprawdę? - spytali jednocześnie dwaj pozostali rozmówcy. - Czy to oznacza, że w końcu im się udało?

- Papież jest stary i schorowany, nie miał siły dłużej opierać się takim czterem szczywanym lisom jak oni.

- Biedaczek! Ich spotkanie trwało chyba aż do obiadu - wtrącił trzeci mężczyzna. - Jego Świątobliwość widziano dopiero po południu, kiedy wyszedł do miasta, gdzie powitano go brawami.

- Jak najbardziej zasłużonymi. Biedny papież, święty i męczennik.

- Miejmy nadzieję, że miłosierny Pan Bóg wezwie go niedługo do siebie i położy kres jego cierpieniom, tym bardziej że nikt się już z nim nie liczy.

- Cisz! O wilku mowa... - powiedział drugi rozmówca, wskazując na aleję, którą szedł kardynał Spada z młodą parą. Powitały ich gromkie brawa.

Pan domu dał znak, by zaczynać przedstawienie. Była to komedia pióra rzymskiego autora Epifania Gizziiego, zatytułowana *Amore premio della costanza*. Tematem utworu były szlachetne uczucia oraz zalety wierności i wytrwałości, których wymaga święty związek małżeński. Spektakl rozpoczął się kilkoma niezwykle efektownymi scenami bez słów. Scenograf polecił wyciąć z grubego kolorowego kartonu kilka szeregów postaci i przymocować je do drewnianej listwy leżącej na deskach sceny. Scenograf, ukryty za wzniesionym na scenie lukiem, przesuwiał listwę, przy akompaniamencie muzyki i śpiewu, a postacie sprawiały wrażenie, jakby przechodziły z jednej strony sceny na drugą. Jednocześnie u góry przesuwiał się po kartonowym niebie księżyc i inne planety, którymi poruszaliśmy się za pomocą cienkiego czarnego drutu.

Ta wdzięczna sztuczka bardzo spodobała się publiczności. Akcja utworu rozgrywa się na Cyprze. Głównymi postaciami są dwaj kawalerowie, Rosauero i Armillo, w towarzystwie prostackiego sługi Barafone, oraz dwie damy, Florinda i Celidalba. Po wielu perypetiach (pojedyńki, zatonięcie statku, pozorowane samobójstwo) wyszło na jaw, że Armillo tak naprawdę nazywa się Alcesti i jest bratem Celidalby, której prawdziwe imię brzmi Lindori. Florinda natomiast, która przez długi czas odrzucała zaloty Rosaura, na koniec ustąpiła i poślubiła młodzieńca, dowodząc tym samym, że miłość jest nagrodą za wytrwałość. Kawalerowie ubrani byli w eleganckie stroje, uszyte z jedwabiu przetykanego złotą nitką, a kurtka sługi podszyta była cennym futrem z dzikiego zwierzęcia. Sieci rybaków, którzy statystowali w scenach na plaży, wykonane były ze złota. Niezwykle okazałe były też suknie nimf i pastereczek.

Aktorzy swoją grą wywoływali salwy śmiechu i brawa. Ja, wraz z in-

nymi służącymi, znajdowałem się na tyłach sceny i pomagałem w wytworzeniu efektów scenicznych. Jednym z nich było zatonięcie statku, które zadziwiło widzów. Aby upozorować grzmot, przetoczyliśmy duży kamień po desce, a chcąc stworzyć złudzenie błyskawicy, przrzuciliśmy nad sceną lśniące złote nici. Błysk pioruna uzyskaliśmy w ten sposób, że wstawiliśmy płonącą świeczkę do podziurawionego czarnego pudełka. Dołożyliśmy starań, żeby grzmot, błyskawica i piorun wypadły jak najlepiej, i otrzymaliśmy wspaniały efekt.

Rozbitkowie ogrzali się przy ognisku na plaży na Cyprze. Rozpaliliśmy je, przykładając świeczkę do gałązek skropionych mocną wódką. Ogień płonął dłuższą chwilę, wprawiając widzów w osłupienie.

Uwijałem się na tyłach sceny jak w ukropie, ale myślami byłem gdzie indziej. O co chodziło trzem szlachcom z pierwszego rzędu, kiedy stwierdzili, że hiszpański ambasador, książę Uzeda, zdołał w końcu przekonać papieża? Z ich słów wynikało, że on i kilku innych dostojników wywarli presję na umierającego papieża, aby zgodził się uczynić coś, do czego nie był przekonany. O Uzedzie wiedziałem tylko tyle, ile przeczytałem w listach Atta i pani konstablowej - ambasador Hiszpanii przekazał Jego Świątobliwości prośbę Karola II o udzielenie mu pomocy.

O czym Uzeda musiał przekonać papieża? Kim były pozostałe „szczwane lisy”, które pomogły księciu? Trzej szlachcice, których rozmowę przed chwilą słyszałem, szczerze współczuli cierpiącemu, schorowanemu papieżowi, niemal zupełnie pozbawionemu władzy. Ich słowa przypominały mi fragment jednego z listów konstablowej, która napisała, że papież często powtarzał: „Odbiera się nam godność należną wikariuszowi Chrystusa i nie dba się o nas”. Kto ośmielił się tak postąpić wobec następcy Piotra?

„O wilku mowa” - powiedział któryś z kawalerów na widok kardynała Spady, natychmiast przerywając rozmowę. Czyżby to znaczyło, że mój łaskawy pan, kardynał Fabrizio, był jednym z trzech „szczwanych lisów”?

- Z radością stwierdzam, że prawdą jest to, co mówi uczonego ojciec Mabillon: rzymskie biblioteki są w znacznie lepszym stanie niż przed laty, podczas mojego poprzedniego pobytu we Włoszech - oświadczył z uniesieniem Buvat.



Po przedstawieniu udaliśmy się z opatem Melanim do jego pokoju, dokąd wezwał też swojego sekretarza, który miał przedstawić wyniki poszukiwań. Nareszcie dowiem się, czego szukał wierny sługa opata.

- Niech pan da sobie spokój z tym ojcem Mabilionem i przejdzie do rzeczy - ponaglił Atto.

Sekretarz przejrzał plik kartek wypełnionych drobnym pismem.

- Przede wszystkim skorzystałem z rady Benedetta Millina, byłego pracownika biblioteki królowej Szwecji Krystyny, który...

- Nie interesuje mnie, co panu doradził bibliotekarz.

Buvat nie dał się zbić z tropu. Wymienił wszystkie biblioteki, które odwiedził: Sapienza, Angelica, Barberina, przy Quattro Fontane, w Kolegium Penitencjarnym przy Bazylice Świętego Piotra, w Kolegium Ojców Franciszkanów Mniejszych w bazylice Świętego Jana na Lateranie, u penitencjariuszy w bazylice Santa Maria Maggiore. Poszedł też do Yalicerliany przy Chiesa Nuova, do biblioteki Kolegium Klemensa, do Colonnese, czyli Sirlety, do bibliotek SanfAndrea delia Valle dei Padri Teatini i Trinita dei Monti dei Padri Minimi di San Francesco di Paola, jak również do biblioteki przewielebnego kardynała Casanatego, odziedziczonej przez ojców dominikanów, i...

- Dobrze już, dobrze. Najważniejsze, że nie był pan w bibliotece jezuitów ani w Watykanie, gdzie roi się od szpiegów. Na pewno wszystko by sprawdzili i odnotowali.

- Uczyniłem, jak mi pan kazał.

- Mam nadzieję, że nie udał się pan do Chigiana i Pamphiliana - prywatnych bibliotek kardynałów?

- Oczywiście, że nie, panie opacie. To by się za bardzo rzucało w oczy, jak sam pan zauważył.

Zakaz odwiedzenia bibliotek w Watykanie, u jezuitów czy w pałacach kardynałów utrudnił Buvatowi pracę, ponieważ właśnie w tych miejscach z pewnością znalazłby książki i rękopisy, których szukał. Na szczęście, okazując akredytację kopisty przy Bibliotece Królewskiej w Paryżu, z łatwością mógł skorzystać z innych zbiorów. Miał okazję dotknąć, a nawet przejrzeć grecki kodeks sprzed ośmiu wieków, zawierający słynny *Commentario sul Sogno di Nabuccodonosor* autorstwa świętego Hipolita, biskupa Porto. Po raz pierwszy w życiu mógł zajrzeć do słynnych osiemnastotomowych *Antichita* Pirra Ligoria, jak również do zbioru kawalera Giacovacciego i kodeksu łacińskiego z aktami soboru chalcedońskiego. Buvat z drzeniem serca przekroczył próg prywatnej biblioteki świętego

Filipa Neri przy Vallicellianie, gdzie przechowywane jest dzieło *Vita di Sant 'Erasmus Martire* Jana z Gaety, mnicha na Monte Cassino, późniejszego papieża o imieniu Gelazy II (osiemnasty tom tego dzieła - podkreślił Buvat - zawiera słynną *Collazione* Cresconia), kodeks czcigodnego Bedy o księżycowym kręgu i sześciu erach świata, zbiory Achille Stazia Portogheseego, Giacoma Volponiego z Adrii i Vincenza Bandalochiego, jak również słynna kolekcja adwokata Ercole Ronconiego.

Najwięcej emocji dostarczyła Buvatowi wizyta w bibliotece kolegium Propaganda Fide, znanej z drukarni, gdzie z najwyższym oddaniem i starannością drukuje się książki w dwudziestu dwóch językach. Chlubą biblioteki - ciągnął sekretarz Atta - są niezwykle dokładne katalogi dzieł powstałych w innych krajach, sprowadzonych ze względu na odmienność języka, obyczajów i religii. Na słoniowej, świńskiej lub smoczej skórze, na rybim pęcherzu widnieją egzotyczne znaki, hieroglify i tajemnicze linie.

- Dość już, Buvat! Wystarczy! - zawołał opat, zaciskając pięści. - Nie obchodzą mnie książki wydrukowane na rybim pęcherzu. Nie chcę wysłuchiwać tych bzdur!

Zapadła cisza. Upokorzony Buvat zamilkł.

Byłem pod wrażeniem liczby bibliotek, które odwiedził francuski kopyta. W krótkim czasie przejrzał większość księgozbiorów w mieście, w których papież i kardynałowie od wieków gromadzili druki i manuskrypty. Zbiory były ogromne, a przy tym mieściły się w różnych miejscach Rzymu. Mimo to Buvat poradził sobie. Dla niego książki były prawdziwą pasją. Szkoda tylko, że nie potrafił zgrabnie przejść od analizy do syntezy.

- Poleciłem panu poszukać książek na temat, o którym w Rzymie dużo się mówi, ale nikt nic dokładnie nie wie. Proszę więc, żeby zreferował mi pan tylko to, o co prosiłem, czyli kwestię cerretan - uściślił opat. - Czego dowiedział się pan o ich języku?

- Jest bardzo trudny - odparł Buvat, z nieco mniejszym entuzjazmem. - Żandarmi znają jedynie kilka podstawowych zwrotów, ale to nie pozwala zrozumieć treści ich rozmów. To bardzo stary język, i ciągle modyfikowany. Zmiany, które cerretanie wprowadzają, są niewielkie, ale wystarczające do tego, by ich rozmowy były dla postronnych niezrozumiałe. Zgodnie z tradycją nowe zasady dyktuje król cerretan, czyli Major. Píše je własnoręcznie (dlatego też nie może być analfabeta), a jego zalecenia odczytywane są podczas zgromadzenia ogólnego, w którym uczest-

niczą przedstawiciele wszystkich sekt. Na nich spoczywa obowiązek rozpowszechnienia zmian. Od wieków porozumiewają się w swoim języku i nikt nie może ich zadenuncjować, nawet wtedy, gdy przechwytyją tajemnice wojskowe zamieszkiwanych przez siebie państw, a później przekazują je wrogowi.

- Szpiegostwo! - wykrzyknął Atto. - Wiedziałem! Przekłęty Lamberg!

- W jaki sposób dowiadują się tajemnic? - spytałem.

- Przede wszystkim nie rzucają się w oczy. Nikt nie zwraca uwagi na starego żebraka leżącego na ulicy - powiedział Buvat. - On jednak śpi na jedno oko, obserwuje, kiedy i z kim wychodzisz i wracasz do domu, podsłuchuje pod twoim oknem, a jeśli nadarzy się okazja, kradnie ci rzeczy sprzed nosa. Poza tym cerretan jest bardzo wielu i szybko przekazują sobie informacje. Kiedy któryś z nich coś zobaczy, natychmiast dowiaduje się o tym dziesięciu, stu innych. Nikt nie potrafi ich odróżnić, ponieważ są do siebie bardzo podobni, szpetni i brudni, a przede wszystkim trudno zrozumieć, co mówią. Ich sekty...

- Stop! Zajrzał pan do książki, o której mówiłem?

- Tak, panie opacie. Jeden z rozdziałów *Statku głupców* Sebastiana Branta poświęcony jest cerretanom niemieckim. Oni też posługują się tajemnym językiem i są w ścisłym kontakcie z cerretanami włoskimi. Wśród włoskich włóczęgów istnieją grupy zwane *lanzi* lub *lancknechci*, zapewne od niemieckiego *landreisig*, bezdomny włóczęga. Każda grupa...

- W ścisłym kontakcie? W porządku, mów dalej!

- *Statek głupców* jest doskonałym źródłem do studiów nad cerretanami i ich zwyczajami, być może pierwszym tego rodzaju. Został opublikowany w Bazylei podczas karnawału 1494 roku. Wprawdzie tak zwany *Liber yagatorum* jest uważany za najstarszy dokument w tej dziedzinie - krążył już u schyłku piętnastego wieku - ale drukiem ukazał się dopiero w roku 1510...

- Do sedna, Buvat!

Sekretarz wyjął pośpiesznie z kieszeni karteczkę i zaczął czytać:

W języku *złodziejskim* się porozumiewają,  
Dzięki jałmużnie dobrze jadają. *Ichflamy* dają  
im gościnę, ubierają, A kulejąc, krążą po  
mieście i udają, Ze są biedne i bardzo  
chore. Tym sposobem zbierają dla *kochasia*  
*kora*.

On tymczasem *zwiąja lont* i idzie prosto do tego,  
Kto wygląda na naiwnego  
I łatwo da się w grze *wykukać*.  
Kiedy wyszaleje się na wszystkie strony,  
*Strzela obcasami* i, zmęczony,  
*Przestrzeń* wybiera, gdzie bierze na muszkę  
*Długoszyje* i *krótkonóżkie*.  
Pierwsze *wykręcać*, drugie *skracać* lubi  
Na oczach *pionków* i *wróbli*.

- No, nareszcie! Przetłumacz ten żargon złodziejski, ich sekretny język! - polecił Melani.

- Flamy to kochanki, kora - pieniądze, kochaś - utrzymanek, *zwiąjać lont* - oszukiwać, *wykukać* - szachrować, *strzelać obcasami* - zmykać, *przestrzeń* to wieś, *długoszyje* to gęsi, *krótkonóżkie* - kaczki, *wykręcać* - dusić, *skracać* - ucinać głowę, wreszcie *pionki* to towarzysze, a *wróble* - hałastra.

Buvat czytał kartki, nie podnosząc oczu.

- Dość, wystarczy - powiedział Atto pośpiesznie. - Bardzo dobrze, gratuluję. A więc język złodziejski nie jest już dla nas tajemnicą.

- Prawdę mówiąc, panie opacie - wybełkotał sekretarz - wydanie, które miałem w rękę, zawierało adnotacje na marginesach. Spisałem je i właśnie...

- Co takiego? Chcesz powiedzieć, że to wszystko, co znalazłeś? A gdzie reszta złodziejskich terminów? - zapytał groźnie Melani.

- Nie ma żadnej książki czy podręcznika na ten temat - wyszeptał Buvat. - Właśnie dlatego język pozostaje niezrozumiały. Nie istnieje żaden słownik, w którym...

- Mam zatem rozumieć, że całymi dniami objąłeś się po mieście na mój koszt! - ryknął wytrącony z równowagi Atto. - Przeglądałeś jakieś papiery i gryzmoły i traciłeś cenny czas na czytanie greckich kodeksów, aktów z soborów i innych głupot, a teraz wracasz z niczym?

- Szczerze mówiąc...

- I pomyśleć, że wstawiłem się za tobą u tego sknery, twojego pryncypała, żeby dał ci podwyżkę!

- I tak mi nie dał... - zaprotestował nieśmiało Buvat. - Wracając do słownika, którego pan szuka, proszę mi wierzyć, panie opacie...

- Nie ma czasu do stracenia, musimy działać.

Ugonio dotrzymał słowa. Zgodnie z umową powiadomił Waligórę, gdzie się z nami spotka. Kurierem był obdarty chłopiec.

Wyznaczone miejsce znajdowało się za murami miasta, za Porta del Popolo. Pojechaliśmy tam konno. Trasa wydawała się bezpieczna, choć nieco uciążliwa. Podczas jazdy skorzystałem z okazji, by porozmawiać z Attem. Nie słyszał nas ani Waligóra, który trzymał się z dala od nas, ani Buvat, jadący wolno z tyłu.

- Wczoraj powiedział pan, że Buvat zbiera dowody przeciw Lambergowi. Muszę przyznać, że pańskie słowa są dla mnie niejasne.

- Jeśli nie pragnie się dojść prawdy, to nigdy się jej nie odkryje - odparł opat z zawadiacką miną. - To proste. Posłuchaj! Cerretanie urządzili zasadzkę na introligatora, który zmarł na skutek mocnych przeżyć wywołanych napaścią. Czego szukali u nieszczęsnego Havera? Mojego traktatu o tajemnicach konklawe. Była to kradzież na zlecenie. Ci łachmaniarze nie wiedzieliby, co zrobić z tym dziełem. Cerretanie ukradli Haverowi wszystko, co wpadło im w rękę, ale gdy dokładnie przejrzeni łupy, okazało się, że nie ma wśród nich mojego traktatu.

- Ponieważ w pańskim imieniu odebrał go wytwórca różańców.

- Otóż to!

- Jest pan pewien, że za całą sprawą kryje się hrabia Lamberg?

- Najzupełniej. Hrabia ma w Rzymie liczne kontakty i dużo pieniędzy, a poza tym zajmuje się dyplomacją. Dobrze wie, że opat Melani ma poparcie pewnych osób i zna fakty, które mogą odegrać decydującą rolę podczas konklawe. Jestem więc równie silny jak on.

Wysłuchany w odgłos końskich kopyt, rozmyślałem nad tym, co powiedział Atto. Przypomniała mi się groźna postać cesarskiego ambasadora, jego nieodgadnione spojrzenie, podejrzanе machinacje cesarstwa w stosunku do Hiszpanii, konspiracja, tajemnicze zgony, otrucia...

- Włamania do Havera dokonali cerretanie - ciągnął Atto. - Dziwnym zbiegiem okoliczności w krajach niemieckojęzycznych również istnieją sekty cerretan, w pewien sposób zbratane z sektami włoskimi. Lamberg zapewne zna tych zubrawców, zdolnych do wszystkiego. Weź pod uwagę, że nasz drogi łowca relikwii Ugonio *alias* Niemiec, wspólnik cerretan, pochodzi z Wiednia. A to naprowadza nas na kolejny trop: ponieważ włamanie do domu introligatora zakończyło się niepowodzeniem,

Ugonio zaczął szukać mojego traktatu w willi Spada. I tym razem go znalazł.

- Ale dlaczego na pana napadli? - spytałem, domyślając się odpowiedzi.

- To proste. Lamberg chciał mnie zastraszyć. Miał nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się mnie.

- Zatem nie chciał pana zabić. Nie rozumiem tylko, dlaczego spośród wszystkich dyplomatów i agentów Jego Arcychrześcijańskiej Wysokości, przebywających obecnie w Rzymie, wybrał właśnie pana?

- Ależ to oczywiste, mój chłopcze! Wie, że moje pisma czytują ważne osobistości i że mogą wywierać wpływ na członków Świętego Kolegium, którzy przygotowują... no, właśnie, przygotowują konklawe, a wybór papieża leży Lambergowi na sercu.

Sposób, w jaki Melani wyjaśnił mi, dlaczego Lamberg pragnął ukraść jego traktat, wydał mi się dość osobliwy. Miałem ku temu powody. Z listów Atta i Marii dowiedziałem się, że z osobą papieża wiązała się nie tylko sprawa konklawe, ale także hiszpańskiej sukcesji. Nie rozumiałem, dlaczego Atto nie wspomniał o tej kwestii, kiedy mówił o tym, co mu się przytrafiło (kradzież, zranione ramię). A przecież Lamberg, ambasador Habsburgów, musiał być zainteresowany sytuacją w Hiszpanii, skoro dynastia rządząca w Austrii pragnęła zająć tron w Madrycie!

Udałem jednak, że zadowolilo mnie wyjaśnienie opata, i zamilkłem. W milczeniu dotarliśmy do celu podróży.

Miejsce wyznaczonego spotkania okazało się niezwykle ponure. Ugonio czekał na nas na zaniedbanym cmentarzu. Dostrzegliśmy jego posępną, zakapturzoną sylwetkę między kamieniami nagrobnymi. Przestraszył mnie skrzek jakiegoś drapieżnego ptaka, a gorąca noc, jakby przesiąknięta oparami ludzkich szczątków, wydawała się jeszcze bardziej upalna, ciemna, złowieszcza. Ugonio dokonał właściwego wyboru: trudno było o lepsze miejsce na potajemne spotkanie niż cmentarz nierządnic.

Poszukiwacz relikwii ugiął się pod ciężarem jutowego worka.

- Co tam masz? - spytał Atto.

- Nic takiego. Takie tam drobiazgi.

Opat obszedł Ugonia i pomacał worek. Worek trzeszczał w szwach, jakby miał za chwilę pęknąć, wyładowany do granic możliwości.

- Widzę, że jubileusz sprzyja twoim interesom - zauważył Atto.

Ugonio przytaknął z fałszywą skromnością.

- To jest zapewne damskie lustro - wywnioskował Melani, macając róg worka - skradzione jakiejś biednej kobiecie w kościele. A to sakiewka z pieniędzmi na jałmużnę albo z zapłatą za przyprowadzenie grupy zmęczonych pątników do jakiejś speluny. A to chyba Najświętszy Sakrament, skradziony roztargnionemu proboszczowi. Tu wyczuwam krucyfiks. Przypuszczam, że zwinąłś go jakimś bractwu podczas wizyty w jednej z czterech bazylik.

Łowca relikwii wykrzywił twarz w uśmiechu, wyraźnie zawstydzony ujawnieniem jego niecznych postępów, a zarazem zadowolony z jubileuszu, dzięki któremu z łatwością mógł zaspokoić swoje niskie apetyty. Wyciągnął zza pazuchy niewielką książeczkę i podał opatowi. Tomik był zniszczony i bardzo niestarannie oprawiony. Mógł mieć najwyżej osiemdziesiąt stron.

Atto otworzył książeczkę i spojrzął na kartę tytułową. Zajrzałem mu przez ramię i przeczytałem:

Nowy sposób rozumienia  
żargonu, czyli alfabetyczny  
słownik  
gwary złodziejskiej  
Dzieło zarówno  
przyjemne, jak i praktyczne  
MDXLV  
Ferrara, Giovanmaria  
di Michieli et Antonio Maria  
di Sivieri. Rok MDXLV

- Cha, cha, cha! - zaśmiał się złośliwie Atto, wymachując książeczką Buvatowi pod nosem.

- Co to jest?-zapytałem.

- To, co powinien był znaleźć mój wspaniały sekretarz: słownik gwary złodziejskiej. Dzięki niemu będziemy wiedzieli, o czym mówią cerretanie. Na szczęście poprosiłem także Ugonia, żeby go poszukał - odparł Atto, wręczając łowcy relikwii dwie srebrne monety.

- Zwinąwszy go mojemu dobremu przyjacielowi - oznajmił Ugonio ze śmiechem.

- Widzę, że to stare wydanie i zapewne niezbyt wiarygodne... - zauważył sekretarz Atta, przyglądając się tomikowi.

- Niech pan zamilknie, Buvat, i pozwoli mi przeczytać! - przerwał mu opat.

Przystąpiliśmy do lektury.

Abrakadabra	<i>rozmowa</i>
Adres	<i>cela</i>
Adresować	<i>zapuszkować</i>
Adwokat	<i>kumpel, towarzysz</i>
Absolutnie	<i>z rozmachem, na całego</i>
Agent	<i>pomocnik stróża</i>
Akademia	<i>bałagan</i>
Amator	<i>lepiej uważać</i>
Ambasador	<i>antychryst</i>
Analizować	<i>przeżuwać, wiązać</i>
Anioł	<i>pierzasty koleś</i>
Apartament	<i>sposób na przeżycie</i>
Apel	<i>hasło</i>
Apelować	<i>podać hasło</i>
Aresztować	<i>przyskrzynieć</i>
Astrolog	<i>gość</i>
Atak	<i>ostatnia próba</i>

### **A odwrócone**

Agrest	<i>forsa</i>
Akcentować	<i>przypalić, gotować</i>
Albert	<i>jajka</i>
Antychryst	<i>ambasador, Bóg, Chrystus</i>
Argos	<i>niebiosa</i>
Aront	<i>chleb</i>
Astrologia	<i>mamy towarzystwo</i>
Asystować	<i>sprzedać</i>
Atakować	<i>zaczynać</i>



## B

Bałagan	<i>akademia</i>
Błąkać się	<i>wierzyć</i>
Brudas	<i>bocian...</i>

- Bardzo dziwny słownik - zauważył sceptycznie Buvat. - Zawiera zarówno pojedyncze wyrazy, jak i całe zwroty. Poza tym wprowadza zamieszanie, na przykład *Albert* znaczy Jajka". Antychryst to „Bóg”, „Chrystus”, ale też „ambasador”.

- Lepsze to niż nic - uciszył go Melani. - Sprawdźmy słowa, które wykrzyknął ten cerretanin, Zgniłek, kiedy szukaliśmy jego i Rudzielca.

- „Krokusy” i... „idź kupić fiołki” - przypomniałem.

Przekartkowaliśmy słowniczek i znaleźliśmy.

- Widzisz? Tak jak myślałem: „krokusy” to żandarmi, a „kupować fiołki” znaczy uciekać. Zgniłek uprzedził Rudzielca, że jesteśmy w pobliżu. Ta książeczka nie jest taka zła. Chciałbym, żebyś mi coś pożyczył. Jestem pewien, że masz kilka egzemplarzy - powiedział Atto do łowcy relikwii, czyniąc gest obracania klucza w zamku.

Ugonio w lot zrozumiał. Uśmiechając się porozumiewawczo, wyjął z zanadru dzwoniący pęk kluczy i wręczył go opatowi. Był to tajemny arsenał łowców relikwii, umożliwiający dostęp do wszystkich piwnic i podziemi Rzymu, gdzie poszukiwali relikwii, żeby je później z zyskiem sprzedać. Często używali kluczy po to, by dostać się do prywatnych mieszkań i je płądrować.

- Doskonale! - powiedział Melani, oglądając klucze. - Przydadzą się nam w pałacu Spada.

Kątem oka dostrzegłem, że Waligóra, jak każdy dobry żandarm, aż pali się do tego, by wyciągnąć z Ugonia jakieś informacje. Czuł się jeszcze trochę nieswojo w obecności istoty o wyglądzie zwierzęcia, ni to kreta, ni to łasicy. Przestępcy, których dotąd widział, wyglądali zupełnie inaczej. Przeszedł więc do konkretów:

- Czego się dowiedziałeś? - zapytał.

- Rozmówiwszy się z dwoma Majorami - odparł łowca relikwii. - W czwartek ktoś dostarczywszy traktat Wielkiemu Legatowi, który udawczy się do Albanum.

Zauważyłem, że usłyszawszy te słowa, Atto zbladł. Wiadomość była wyjątkowa i ważna. Cerretanie mieli dostarczyć jego traktat Wielkiemu Legatowi, a ów tajemniczy Legat przekazać dzieło osobie o imieniu Albanum. Kimże on był, jeśli nie kardynałem Albanim, wpływowym sekretarzem papieskich brewe, człowiekiem, z którym Atto odbył burzliwą wymianę zdań w willi Spada?

- Gdzie będą przechowywać mój traktat do czwartku?
- W świętej kuli.
- Świętej kuli?

Spojrzałem na Waligórę. Był równie zdziwiony jak Atto Melani.

- Tak mi powiedziawszy - odparł Ugonio, kuląc się ze strachu. - Później Wielki Legat przekazał traktat Albanum.

- Kim jest Wielki Legat?
- Nie wiedziawszy. Wyczuwszy, że oni nie chcieli mi powiedzieć.

Kilka monet (niemało) spadło z brzękiem z dłoni Atta na rękę Ugonia. Łowca relikwii przesyłał je do brudnej sakiewki i nasunął kaptur na czoło, szykując się do zniknięcia w ciemnościach.

- Pański traktat zawierał groźne i podejrzaną informacje - powiedział na pożegnanie.

- Doprawdy?
- Kiedy Majorowie go przeczytawszy, bardzo się zezłościwszy. Niech pan uważa, Wasza Ogromność! I proszę mnie nie pytać o nowe wieści, nie chcę się narazić.

W drodze powrotnej nie śmiałem odezwać się do Melaniego. Sprawa wyglądała poważnie. O ile dobrze zrozumiałem słowa Ugonia, cerretanom nie spodobało się to, co Atto napisał w traktacie, który chcieli pokazać w czwartek zagadkowemu Wielkiemu Legatowi. Ten z kolei miał się udać do Albanum, czyli kardynała Albaniego, i zaskarżyć Atta.

Kim mógł być ów Wielki Legat, jeśli nie hrabią Lambergiem? Imię osoby tak wysokiego pochodzenia należało wyrazić za pomocą omówienia, właśnie tak jak uczynili cerretanie. Zastanawiałem się, jak zachowa się Albani. Czy zadenukuje opata jako francuskiego szpiega? Po kłótni z Melanim w willi Spada sprytny purpurat mógł się zemścić i obrzucić błotem opata Melaniego, swojego zagorzałego przeciwnika politycznego

(za jakiego należało go uznać), a następnie zniszczyć go, ściągając na niego kłopoty, w rodzaju oskarżenia o szpiegostwo i konspirację.

Podobnych pytań było więcej. Co to jest i gdzie się znajduje święta kula, w której, zdaniem Ugonia, ukryty był traktat opata? Waligóra milczał. Widocznie nie potrafił pomóc w rozwikłaniu zagadki.

- Zapomniałem powiedzieć, że Lamberg zgodził się mnie przyjąć - oświadczył Melani. - Pamiętasz, gdy częstowano nas czekoladą, podałem mu bilecik?

- Tak, przypominam sobie, że powiedział: „Dobrze, dobrze”. A więc to w tym bileciku prosił pan o audiencję?

- Tak. Później rozmawiałem z jego sekretarzem, który wyznaczył mi spotkanie u Lamberga w czwartek.

Zauważyłem, że opatowi zadrzał głos, kiedy wymawiał to ostatnie, prorocze słowo - dzień, w którym miał poznać prawdę o napaści na swoją osobę. Domyślałem się, jak bardzo się boi, zdany na łaskę dwóch potężnych osobistości: hrabiego Lamberga, cesarskiego ambasadora, i kardynała Albaniego, sekretarza do spraw papieskich brewe. I pomyśleć, że przybył do Rzymu (tak przynajmniej mi powiedział), żeby sterować przygotowaniem do konklawe i przyczynić się do przyszłych losów papieżstwa!

Tymczasem ze sternika zmieniał się w rozbitka, a los, który Atto pragnął ujarzmić, miał go za chwilę zdruzgotać, podobnie jak okrutna Scylla postąpiła z okrętem Odyseusza.

# Dzień siódmy

*13 lipca 1700 roku*

- Cloridia! Szukam akuszerki Cloridii! Proszę otworzyć, szybko!

Ktoś dobijał się do drzwi. Otworzyłem oczy: wokół panowały ciemności. Moja małżonka ubrała się i poszła otworzyć. Ja również pośpiesznie włożyłem ubranie. Chłód panujący w domu wskazywał na to, że brakowało kilku godzin do świtu - temperatura powietrza jest wtedy najniższa. Dołączyłem do Cloridii. Na progu stał chłopiec, który przed chwilą zeskoczył z wozu, żeby przekazać nam wiadomość, iż żona zastępcy ochmistrza z pałacu Spada zaczęła rodzić.

- Prędko, pani Cloridio! - ponaglał chłopiec. - Strażnik w pałacu Spada zapłacił mi, żebym panią przywiózł. Kobieta jest sama z mężem, nie wie, co robić. Potrzebuje pani!

- I to w samym środku nocy - narzekała niezadowolona Cloridia, szykując w pośpiechu torbę z narzędziami. - Obudź dziewczynki - poleciała - i przyjdźcie zaraz do willi!

- Do pałacu - sprostowałem.

- Do willi, powiedziała. Zobaczymy się przed bramą na tyłach willi. Weź ze sobą ten duży płócienny płaszcz.

- Nie jest mi zimno.

- Zrób to, o co cię proszę. Nie mam czasu na rozmowy - powiedziała Cloridia, tracąc cierpliwość.

Moja powolność w nagłych wypadkach wytrącała ją z równowagi.

Zaspanymi oczami obserwowałem żonę, która biegła po pokoju, biorąc do ręki to ręcznik, to znów słoiczek z olejkami. Na chwilę zatrzymała się w zamyśleniu, po czym wyjęła z kufra koszulę i spódnicę, które nosiła w czasie ciąży, i zawięła je razem z parą chodaków. Po kilku minutach siedziała na wozie i pojechała do willi.

- Wełniane pończochy? Co to, to nie! Proszę wymyślić coś innego!
- Chce pan, żeby zastępca ochmistrza zapytał mnie, dlaczego moja pomocnica ma na nogach piękne czerwone pończochy opata?

Kiedy dotarłem na spotkanie z Cloridią, ujrzałem taki oto obrazek: Atto, z gładko wygolonymi policzkami, z twarzą do połowy zakrytą białym czepek, ubrany w obszerny, kobiecy strój, noszony niegdyś przez moją brzemienną żonę, przytrzymywał spódnicę będącą częścią jego przebrania, którą Cloridią usiłowała zadrzeć.

Cloridią przebrała Melaniego za akuszerką. Gdy odkryła, że nie zdjął czerwonych pończoch, kazała mu założyć parę grubych pończoch - takich jakie noszą wieśniaczki. Jej polecenie wywołało zdecydowany protest opata. Atto, który miał za sobą długą karierę śpiewaka kastrata i występował w teatrach niemal całej Europy, wcielając się w role kobiece, całkiem dobrze czuł się w damskiej sukni, ale nie znosił zwykłych, pospolitych pończoch.

- Woli pan założyć chodaki na bose stopy, jak jakaś żebraczka? - strofowała go Cloridią.

- Dobry pomysł! Byłby pan idealną cerretanką - wtrąciłem, ściągając "na siebie nienawistne spojrzanie Melaniego.

Kiedy szliśmy do wozu, który czekał na nas przed bramą, Cloridią podzieliła się z nami swoimi spostrzeżeniami. Ziola podane żonie zastępcy ochmistrza zadziałały szybciej, niż przypuszczała. Gdyby poród zaczął się po południu, tak jak zakładała, miałyby czas, żeby opowiedzieć nam o wszystkim, czego dowiedziała się na temat pałacu.

- Mam mało czasu - zmartwiła się Cloridią. - Powiedziano mi, że na pierwszym piętrze znajduje się galeria, zamknięta na klucz, wzniesiona na polecenie Virgilia Spady. Zgromadzono w niej różne przedmioty, między innymi flamandzki globus, o którym mi wczoraj opowiadaliście. Być może znajdziecie tam to, czego szukacie. Pokój zastępcy ochmistrza jest na parterze, po prawej stronie trójnawowego przedsionka. Zaraz za nim znajdują się schody. Resztę pokażę wam, gdy dojdziemy na miejsce.

Kiedy razem z naszymi córeczkami szliśmy w kierunku bramy, Cloridią wyjawiała mi swój plan:

- Powiem zastępcy ochmistrza, że ponieważ jego żona jest bardzo

tęga, oprócz córek musiałam wziąć do pomocy starą zaufaną akuszerkę - tu wskazała Atta - która podczas porodu będzie razem z moim mężem przytrzymywać rodzącą, a dziewczynki zajmą się ręcznikami i narzędziami.

- Da się nabrać? - spytał Atto, patrząc z powątpiewaniem na swój strój.

- Oczywiście - zapewniła Cloridia. - Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze.

To powiedziawszy, uśmiechnęła się. Była pewna, że Atto doskonale poradzi sobie z udawaniem głosu i ruchów kobiety. Tak więc opat Melani miał zagrać rolę pomocnicy akuszerki, co wydawało się całkiem proste, nie licząc niesmaku, jakim napawała Atta cała sprawa. Ale jakim cudem Cloridia zdołała go namówić do urządzenia tej maskarady? Żałowałem, że nie widziałem, jak udało jej się przekonać opata.

- Łatwo powiedzieć - odparł Melani - ale jeszcze mi pani nie wyjaśniła, w jaki sposób wymknę się z pokoju zastępcy ochmistrza. Nie uśmiecha mi się asystować przy porodzie i wrócić tu z pustymi rękami.

- Proszę mi zaufać - powiedziała Cloridia szeptem, bo dotarliśmy już do bramy. - Później panu wszystko wytłumaczę. W każdym razie dam panu znać, kiedy będzie pan mógł wyjść z pokoju.

- Ale... - próbował jeszcze coś powiedzieć Atto.

- Niech pan już nic nie mówi.

- A ja?

- Udasz, że się z nami żegnasz, a ja zagadam chłopaka, który ma nas zawieźć. Wtedy ty przykryjesz się płaszczem i usiądziesz z tyłu wozu.

Moja słodka żona uznała, że nie muszę się przebierać. No, cóż - pomyślałem ze smutkiem -jako człowiek obdarzony niewielkim wzrostem, bez trudu wślizgnę się do pałacu...

Kiedy wszyscy siedzieli już na wozie, szybko przycupnąłem z tyłu. Na szczęście - pomyślałem - dziewczynki, dobrze wychowane, ale bardzo ruchliwe, wprowadziły trochę zamieszania i młody woźnica nie zauważył mojej obecności.

Gdy wjechaliśmy na pałacowy dziedziniec, owinąłem się szczelniej płaszczem. Straże pozwoliły nam przejechać.

Tak jak powiedziała Cloridia, zastępca ochmistrza, który kilkanaście miesięcy temu przyjechał z Mediolanu, by wstąpić na służbę u kardynała Spady, zajmował wraz z małżonką pokój na parterze. Pozwalało im to

kontrolować wejście do pałacu w czasie, kiedy wszyscy służący zostali przeniesieni do willi Spada.

Ukryłem się w wozowni. Zgodnie z naszymi ustaleniami Cloridia oznajmiła, że musi wrócić po torbę, którą zostawiła w wozie, a kiedy zastępca ochmistrza z Melanim szli do pokoju rodzącej, pomogła mi dostać się do pałacu. Weszliśmy na pierwsze piętro. Sięgnąłem po klucze pożyczone od Ugonia. Jak przewidywałem, po kilku zaledwie próbach znalazłem odpowiednie klucze i po kolei otworzyłem wszystkie drzwi.

- Zaczekaj tutaj i nie ruszaj się! - nakazała mi żona i pocałowała mnie w czoło. - Za chwilę przyślę ci „akuszerkę” Melani. Spójrz! - po wiedziała, otwierając okno w korytarzu, które wychodziło na podwórze, pograżone jeszcze w mroku. - Wpadłam na to wczoraj, kiedy tu przyszedłam.

Cloridia wyjaśniła, że z tego okna widać wszystko, co dzieje się w pokoju położnicy. Podczas naszych poszukiwań mogliśmy zatem regularnie sprawdzać, czy zastępca ochmistrza jest przy żonie i czy możemy swobodnie działać. Popatrzyłem przez okno: Atto i zastępca ochmistrza byli już przy łóżku rodzącej. Na widok Melaniego w kobiecym stroju uśmiechnąłem się. Nie mógł się doczekać powrotu Cloridii. Aby pokryć zmieszanie, wyjmował z torby narzędzia położnicze. Zdegustowany, brał je ostrożnie w dwa palce, jakby to były zdechłe szczury.

Cloridia zeszła schodami na dół, zostawiając mnie w ciemnościach. Widziałem, jak w pokoju położnicy wzięła trzy poduszki i rozłożyła na podłodze. Następnie, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, poleciła rodzącej, żeby położyła się na wznak, i wsunęła jej poduszki pod lędźwie, tak że głowa zwieszała się do tyłu. Pozycja ta musiała być bardzo niewygodna, nieszczęsna kobieta zaczęła bowiem narzekać. Tymczasem Cloridia uczyniła ją jeszcze bardziej niewygodną, tak mi się przynajmniej wydawało, gdyż kazała położnicy zgiąć mocno nogi w kolanach i przyciągnąć do siebie.

- Jak tu gorąco! - wykrzyknęła Cloridia, otwierając szeroko okno, tak żebym mógł nie tylko widzieć, co dzieje się w pokoju, ale słyszeć wszystko.

- Czy to naprawdę konieczne, żeby moja żona rodziła w takiej pozycji? - spytał zatroskany zastępca ochmistrza.

- To nie moja wina, że pańska żona jest taka tęga. Gruba warstwa tłuszczu, którą ma na brzuchu, uciska macicę, utrudniając poród. Dzięki takiemu ułożeniu ciała łatwiej będzie jej rodzić.

- Jak to? - zapytał z niedowierzaniem małżonek, zwracając się także do Atta, który czym prędzej odwrócił wzrok.

- To rozumiałe. Tłuszcz rozkłada się na boki - wyjaśniała Cloridia pewnym głosem - i nie utrudnia dziecku wydostania się na zewnątrz, zupełnie inaczej niż na fotelu porodowym, kiedy brzuch i jelita naciskają na macicę i dziecko musi się nieźle natrudzić, by przyjść na świat.

Kiedy zatem z pomocą męża i opata Melaniego (który odwracał wzrok od wstydlwych części ciała położnicy) kobieta ułożona została na podłodze, Cloridia kazała przytrzymać ją za ramiona, a sama uklękła między jej nogami, podkładając sobie pod kolana poduszkę. Następnie przykryła łono rodzącej, poprosiła starszą z naszych córek, by podała jej słoiczek z olejkim z białych lili, posmarowała sobie nim ręce aż po łokcie, a następnie brzuch i srom kobiety. Po chwili włożyła prawą rękę do jej pochwy i obficie zwilżyła ją olejkim. Później poleciła obrócić położnicę na bok i natarła jej kość ogonową, mocno uciskaną podczas porodu. Miałem okazję się o tym przekonać, kiedy Cloridia rodziła nasze córeczki. Na koniec moja żona wykonała ruch, skutkiem którego położnica krzyknęła z bólu.

- Macica jest jeszcze nierozwarta - mruzczała pod nosem Cloridia. - Asystentko! - powiedziała do opata Melaniego. - Podaj mi buteleczkę z olejkim z żółtych fiołków!

To powiedziawszy, powtórzyła te same czynności, po czym udzieliła krótkiej lekcji położnictwa naszym córkom:

- Jeśli macica położnicy nie jest dostatecznie rozwarta, należy zasto sować olej z żółtych fiołków. Jeśli jedna czy nawet dziesięć uncji nie wystarczy, trzeba użyć dwadzieścia lub trzydzieści, aż do osiągnięcia rezultatu, jak nauczali Hipokrates i Awicenna. Awicenna radził też, aby zwilżyć olejkim także organy wewnętrzne, które dzięki temu zabiegowi stają się bardziej elastyczne.

Dziewczynki słuchały w skupieniu. Zastępca ochmistrza i jego żona, z czołem mokrym od potu, spojrzeli po sobie, zdumieni i pełni podziwu dla wiedzy akuszerki.

Zacząłem się niecierpliwic. Cloridia obiecała mi, że zwolni opata Melaniego, ale jeszcze tego nie uczyniła. Widziałem, że Atto również się denerwuje, rzucając mojej żonie porozumiewawcze spojrzenia.

- Potrzebuję więcej olejku - oznajmiła Cloridia. - Jest w naczyniu, które zostawiłam w torbie. Idź i przynieś mi je, moja droga - powiedziała do Melaniego.



Atto posłusznie spełnił polecenie. Kiedy wrócił, Cloridia spojrzała na niego z przejęciem.

- Moja droga, źle pani wygląda.

- No tak, prawdę mówiąc... - bełkotał Atto, który nie rozumiał, do czego Cloridia zmierza.

Moja żona przyjrzała się uważnie opatowi i zapytała:

- Czy coś pani dolega? Odczuwa pani zmęczenie, zawroty głowy?

Kiedy Melani patrzył pytająco na Cloridię, odpowiadając skinieniem głowy na pytania, którymi go zasypywała, moja małżonka nagle wstała, podeszła do opata i schwyciła go za szyję. Atto, kompletnie zaskoczony, otworzył szeroko oczy i odruchowo uniósł ramiona w obronnym geście. Tymczasem Cloridia rozchyliła koszulę pod szyją opata i udała, że ogląda jego piersi.

- Te czerwone plamy... - mruzczała w zamyśleniu, dotykając biustu, którym były w rzeczywistości grube warstwy szmat. Wokół panowała pełna napięcia cisza, ustały nawet krzyki rodzącej. - ...i te tutaj, fioletowe. Nieszczęsna przyjaciółko! Obawiam się, że masz wybroczyny krwotoczne!

- Co takiego?! - wykrzyknęli jednocześnie zastępca ochmistrza i jego żona.

- W Mediolanie nazywacie je znakami - uściśliła Cloridia, zwracając się do małżonków, którzy zadrżeli ze strachu.

Na te słowa Atto zrozumiał w końcu to, czego ja domyśliłem się już dawno. Zauważyłem, że się nieco rozchmurzył i uspokoił.

- Chorobę tę wywołują nadmierny upał i susza - ciągnęła Cloridia - a najłatwiej zapadają na nią cholerycy, tacy jak moja, obecna tutaj, asystentka. Biedaczko! Powinnaś jak najprędzej wrócić do domu, przede wszystkim zaś zachowaj spokój! Zjedz jakiś zimny posiłek, który pomoże ci się uspokoić. Nie denerwuj się! Wkrótce wszystko przejdzie, zobaczysz. Jakoś sobie tutaj sami poradzimy.

- Proszę wziąć mojego muła ze stajni dla służby - wtrącił zastępca ochmistrza, który przestraszył się, że choroba może być zakaźna. - Łatwo go znaleźć, bo został tylko jeden.

- A strażę? - zapytał Atto słabym głosem.

- Słuszna uwaga. Odprowadzę panią.

- To wykluczone! - zawołała Cloridia. - Jest mi pan potrzebny, a poza tym mógłby się pan zarazić. Z pewnością jest tu jakieś wyjście dla służby, do którego ma pan klucze...

Moja sprytna żona pomyślała o wszystkim. Zastępca ochmistrza otworzył szufladę i wyjął z niej klucz.

- Wprawdzie mam duplikat, ale proszę, żeby... - powiedział z wahaniem, zwracając się do Atta.

- Odzyska go pan niezwłocznie - wtrąciła Cloridia. Wzięła od niego klucz i podała opatowi.

Prawdę mówiąc, nie potrzebowaliśmy tego klucza, gdyż duplikat był z pewnością w pęku kluczy od Ugonia, o czym, ma się rozumieć, nie mogliśmy powiedzieć zastępcy ochmistrza.

Rzuciwszy Cloridii rozbawione spojrzenie, Melani czym prędzej wyszedł z pokoju, przyświecając sobie świeczką. Wyrząłem na schody, żeby sprawdzić, czy zapamiętał wskazówki Cloridii i nie pomylił drogi.

- Twoja żona lubi żartować - zauważył, ledwie mnie zobaczył. - Kompletnie mnie zaskoczyła tą historią o wybroczynach. Muszę jednak przyznać, że ma doskonałą pamięć.

Cloridia, opowiadając o wybroczynach, nawiązała do wypowiedzi me-dyka Cristofana ze Sieny, który przed siedemnastu laty został zamknięty razem z nami na czas kwarantanny w gospodzie, gdzie pracowałem i gdzie poznałem Atta. Słowa Cristofana wszystkim nam zapadły w pamięć, słuchaliśmy go bowiem z największą uwagą, sparaliżowani strachem przed epidemią.

Ponieważ Cloridia nie zdołała umówić się wcześniej z Attem, wymyśliła historię o wybroczynach, żeby dać mu sygnał. Była pewna, że Atto zrozumie.

Zaprowadziłem Melaniego pod okno w korytarzu, wyjaśniając, że z tego miejsca możemy obserwować, co dzieje się w pokoju, bez obawy, że nas ktoś zobaczy.

- A teraz - powiedziała Cloridia władcym tonem - położymy pańską żonę blisko okna, niech sobie pooddycha świeżym powietrzem poranka. Zamkniemy drzwi, żeby uniknąć przeciągu. Otworzymy je dopiero wtedy, gdy maleństwo przyjdzie na świat.

- Ależ ja co pół godziny muszę dokonać obchodu pałacu! - zaprotestował zastępca ochmistrza.

- Wykluczone.

- Ale...

- Jeśli chce pan uniknąć zakażenia, nie powinien się pan denerwować

ani wychodzić na zewnątrz. Choroba szybko wysusza naturalną wilgoć organizmu, co może prowadzić nawet do śmierci - oznajmiła doświadczona akuszerka Cloridia, cytując słowa medyka, zasłyszane przed siedemnastu laty w gospodzie „Donzello”.

Zastępca ochmistrza zbladł jak ściana. Podszedł do drzwi, odprowadzany łagodnym spojrzeniem mojej niestrudzonej małżonki, i zamknął je.

- Doskonale.

Tak opat Melani skomentował ciche skrzypnięcie drzwi, które udało się nam otworzyć. Zamknęliśmy je za sobą, gdy weszliśmy do ciemnego pomieszczenia. Nie wiedzieliśmy, ile mamy czasu do dyspozycji. Zależało to od przebiegu porodu, po którym zastępca ochmistrza miał odwiedzić Cloridię do domu. Do tej pory powinniśmy zakończyć poszukiwania i wyprowadzić osła ze stajni, w przeciwnym razie zastępca ochmistrza zacząłby *coś podejrzewać*.

Staliśmy bez ruchu, dopóki wzrok nie przyzwyczał się do ciemności. Przyświecaliśmy sobie świeczką, którą wodziłem na wszystkie strony, starając się dojrzeć jak najwięcej. W jej chybliwym blasku sala, w której się znajdowaliśmy, wydawała się olbrzymia.

- To chyba nie jest galeria, o której mówiła twoja żona - zauważył opat.

- W każdym razie nie ma tu żadnych globusów - stwierdziłem.

Przeszliśmy przez salę, a później przez dwie następne. Wszystkie ozdobione były bogato freskami i obrazami, które wywołały zachwyt Melaniego.

- Znam te obrazy! Namalował je flamandzki malarz van Laer. Wi działem je przed laty w galerii obrazów kardynała Casanatego, pokój jego duszy! - powiedział Atto, zatrzymując się przed czterema niewielki mi obrazami przedstawiającymi krowę, karcznię i dwie sceny zabójstwa w lesie. - Po czterech zaledwie miesiącach od śmierci kardynała domini kanie z kościoła Minerwy, którym wszystko zapisał - powiedział ze śmiechem opat - zaczęli wyprzedawać jego majątek,

Atto przyglądał się płótnom, a ja wróciłem do okna w korytarzu i obserwowałem Cloridię. Bóle porodowe położnicy były coraz częstsze

i biedaczka bardzo cierpiała, ale, jak przewidziała moja żona, do narodzin dziecka było jeszcze daleko.

Widząc, że poród przebiega bardzo powoli i mimo że małżonka prosiła go, by trzymał ją za rękę, zastępca ochmistrza nie zapomniał o swoich obowiązkach i postanowił obejść komnaty pałacu. Podczas jednego z moich kontrolnych wypadów na korytarz usłyszałem i zobaczyłem, jak Cloridia, starając się go zatrzymać, podjęła rozmowę na swój ulubiony temat karmienia piersią.

- Słyszałam, że chcecie oddać dziecko mamce? A zatem jest pan bogaty! Po co więc pańskiej żonie piersi?

- Ależ, pani Cloridio - bąkał zastępca ochmistrza - żona musi wracać do pracy...

- Oczywiście, żeby zarobić na mamkę! Czy nie byłoby lepiej, gdyby dziecko zostało w domu?

- Porozmawiamy o tym później, teraz muszę...

- Nie do wiary! - zawołała moja żona, podnosząc się z podłogi i tarasując zastępcy ochmistrza drogę do drzwi. - Teraz nawet żony rzemieślników powierzają własne dzieci mamkom, jak jakieś księżne, podczas gdy ich mężowie stale zajęci są interesami.

Zastępca ochmistrza nie wiedział, co powiedzieć.

- Wiadomo - ciągnęła Cloridia - że lepiej karmić dziecko piersią w domu niż oddawać je mamkom, i dotyczy to osób wszystkich stanów. Już Aulus Gelliusz o tym pisał!

Człowiek, który nie miał bladego pojęcia, kim był Aulus Gelliusz, sprawiał wrażenie speszzonego.

- Pod tym względem kobiety przewyższają tygrysy i inne dzikie zwierzęta - mówiła dalej moja żona. - Naprawdę nie wiem, jakie inne zwierzę, oprócz kobiety, nie chce karmić własnego potomstwa. Jak to możliwe, żeby kobieta, która przez tyle miesięcy nosiła dziecko pod sercem, nie wiedząc, czy to dziewczynka, czy chłopiec, a później usłyszała jego płacz i prośbę o pomoc, nagle je odrzucała, zadowolając się tym, że dała dziecku życie. Odmawia mu własnego pokarmu, jakby piersi dane jej były przez Boga jedynie dla ozdoby.

Dość już usłyszałem. Wiedziałem z doświadczenia, że Cloridia mogła mówić na ten temat całymi godzinami, bez trudu więc zdoła zatrzymać zastępcę ochmistrza. Wróciłem do Atta. Za oknem noc powoli ustępowała. Nad horyzontem pojawiły się pierwsze blaski świtu. Podjęliśmy poszukiwania. W krótkim czasie obejrzelśmy kilka sal ozdobionych

malowidłami o tematyce mitologicznej i historycznej: salę Amora i Psyche, salę Perseusza, galerię stiuków, sale Kaliksta, Eneasza i książąt lennych.

- Ani śladu globusa.

Wtem usłyszeliśmy przeraźliwy krzyk. Opat Melani omal nie zemdlął. Pobiegliśmy do okna: żona zastępcy ochmistrza wydała na świat dziecko. Ziola, które zastosowała Cloridia, aby przyspieszyć poród, zadziałały, zanim przeszukaliśmy wszystkie pokoje.

- Do licha z twoją żoną! Niepotrzebnie jej zaufaliśmy - narzekał nie zadowolony opat. - Teraz tkwimy tutaj z pustymi rękami.

Tymczasem Cloridia, trzymając na rękach nowo narodzoną dziewczynkę, zawiniętą w ręcznik, popatrzyła w stronę okna i wykonała gest, jakby chciała powiedzieć: „Szukajcie dalej, nie przejmujcie się!”

Z największą ostrożnością i uwagą oglądaliśmy kolejne sale. Przeszukaliśmy salę Achillesa, salon z malowidłami poświęconymi dziejom starożytnego Rzymu, salę Czterech Żywiołów i Czterech Pór Roku, Wielką Galerię, gabinet, a nawet kaplicę.

- Coś mi tu nie pasuje - stwierdził Atto. - Wróćmy do schodów.

- Dlaczego?

- Kiedy weszliśmy z parteru na piętro, skręciliśmy w prawo. Tym razem pójdziemy w lewo. Później ci wyjaśnię.

Opat, jak się później przekonałem, miał swoje powody. Kiedy ponownie weszliśmy po głównych schodach i skręciliśmy w lewo, natrafiliśmy na galerię, której wcześniej nie zauważyliśmy. Światło dnia z każdą chwilą stawało się jaśniejsze, co pozwalało nam dostrzec nie tylko ściany, drzwi i okna, ale też wysokie sufity, charakterystyczne dla pierwszych pięter książęcych pałaców.

Przekroczywszy próg galerii, na wprost wejścia ujrzelśmy duży, stojący kandelabr. Zapaliliśmy go od naszej świeczki i w sali zrobiło się jasno. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem obszerne wnętrze, ozdobione freskami, dziełami sztuki i eleganckimi meblami. Nawet niezbyt wytrawny zwiedzający mógł bez trudu odgadnąć, że była to jedna z najpiękniejszych i najbardziej reprezentacyjnych sal pałacu.

Galeria miała kształt prostokąta. Jedna z jej dłuższych ścian pokryta była freskami i obrazami, po stronie przeciwnej ciągnął się rząd dużych okien, przez które za dnia wpadało światło rozjaśniające całe wnętrze. Pomiędzy oknami stały marmurowe popiersia. Na sklepieniu galerii wid-

niał wspaniały fresk. Nie zrozumiałbym znaczenia okazałych malowideł bez wyjaśnień Melaniego.

Malowidła sklepienne - tłumaczył opat - stanowią alegorię Astronomii i Astrologii. Wdzięczne putta trzymają śnieżnobiałą zasłonę, z zaznaczonymi na niej liniami podziału Ziemi. W rogu widnieje postać Merkuriego z zegarem słonecznym w ręku, który podziwia grupa pogańskich bogów. Po stronie przeciwnej kobiece postaci trzymają w dłoniach przyrządy symbolizujące Optykę, Astronomię, Kosmografię i Geometrię. Na fresku przedstawiono też wiele innych antropomorficznych postaci, niezwykle pięknych i godnych uwagi.

W pewnej chwili z ogromnym zdziwieniem odkryliśmy, że ktoś na nas patrzy. Nie był to jednak człowiek. Ze sklepienia nad naszymi głowami spoglądał na nas groźnie białawy olbrzymi rak.

- Wielkie nieba, panie opacie! Proszę spojrzeć! Nigdy w życiu nie widziałem tak dużego raka wdrapującego się na sufit. W dodatku białego! - powiedziałem z przejęciem.

- Masz okazję czegoś się nauczyć, mój chłopcze. Oto znajdujemy się w słynnej galerii astrolabium w pałacu Spada.

- Astrolabium? - powtórzyłem, cały czas wpatrując się w białego raka, który, jak na razie, nie miał chyba ochoty rzucić się na nas.

- Lub zegara katoptrycznego, jak nazywał go uczony ojciec Kircher.

Zdumienie odjęło mi mowę.

- Powiedział pan: Kircher? - spytałem po chwili, przypomniawszy sobie, że zetknęliśmy się z tą postacią przed siedemnastu laty.

- Gdybyś czytał gazety, dowiedziałbyś się czegoś o zabytkach swojego miasta - zauważył Atto.

- Wiem, że pałac Spada pełen jest cudów architektury i że ludzie z całego świata przyjeżdżają do Rzymu, aby go podziwiać, ale...

- Mam nadzieję, że wiesz przynajmniej, co to jest zegar słoneczny.

- Oczywiście, że wiem, panie Atto! To zegar, w którym odczytuje się godzinę w zależności od kierunku i długości cienia rzucanego przez dowolny przedmiot, na przykład kamień czy żelazny pręt.

- Zgadza się. Ten zegar jest zupełnie inny. Działa w sposób katoptryczny, jak mówił Kircher, to znaczy nie dzięki promieniom słońca, ale odbiciu światła. Wiesz, co to jest? - zapytał, wskazując na coś w rodzaju małego okienka wychodzącego na położony poniżej dziedziniec.

- Nie mam pojęcia.

- Podpórka z lustrem odbijającym światło słoneczne lub księżycowe.

W pałacu Spada znajduje się dużo różnych luster, które odbijają światło i tworzą świetliste kształty w rodzaju białego raka. Jest on bowiem odbiciem rzuconym na sklepienie galerii, które w ten sposób pokazuje dokładną godzinę.

Spojrzałem w górę. Opat miał rację. Rak był biały, ponieważ jego kształt nakreślił na sklepieniu galerii promień słońca.

- I wskazuje dokładny czas?

- Oczywiście. Jeśli dobrze się przyjrzyysz, dostrzeżesz na sklepieniu linie, które przy odpowiednim oświetleniu pozwalają wprawnemu oku odczytać godzinę. Sklepienie galerii jest więc olbrzymim zegarem, tyle że odwróconym. Promień pada nie z góry do dołu, jak w zegarach słonecznych na zewnątrz, ale odwrotnie. Ten rak jest odbiciem światła księżycowego. Podejrzewam, że ma taki kształt, gdyż w tych dniach Księżyc znajduje się w znaku Raka i prawdopodobnie dlatego użyto lustra w tym kształcie.

Wyjaśnienia Atta były bardzo interesujące, ale w pewnej chwili aż krzyknąłem ze zdziwienia:

- Proszę spojrzeć, panie Atto! Flamandzki globus! A właściwie dwa globusy!

Podeszliśmy bliżej. W głębi galerii stały dwa drewniane globusy: jeden przedstawiał kulę ziemską, drugi - sferę niebieską. Przeczytaliśmy nazwisko wytwórcy: Blaeu z Amsterdamu.

- Jeśli to jest glob ziemski, o którym słyszałeś, to nie ma on nic wspólnego z podarunkiem Capitor - powiedział Melani zmęczonym, bezbarwnym głosem.

- To nie ten?

- Nie.

Istotnie, globus, który mieliśmy przed oczyma, nie był podobny do przedmiotu z obrazu. Pozbawiony był też złotej podstawy.

- I co teraz?

- Nic. Popelniliśmy pomyłkę. Kolejny raz - oznajmił Atto, siadając na skrzyni stojącej pod ścianą.

Po chwili podniósł wzrok, zaciekawiony czymś, co dostrzegł na przeciwległej ścianie. Wstał i podszedł do portretu przedstawiającego mężczyznę o poważnym wyrazie twarzy, pewnym, a zarazem łagodnym spojrzeniu, szerokim czole, ze szpakowatą brodą, w trójgraniastym kapełuszu, podobnym do tych, jakie noszą jezuici. Miał na sobie kamizelkę z wyhaftowanym pośrodku sercem i dwiema gałązkami.

- Otóż i on! Przedstawiam ci Virgilia Spadę. Jak już mówiłem, należał do stowarzyszenia oratorian, zwolenników świętego Filipa Neri. Na portrecie przedstawiony został z ich atrybutami. Był to człowiek mądry i bardzo pobożny. Pomagał swojemu stowarzyszeniu na różne sposoby, głównie materialnie.

Obok wisiały wizerunki innych przedstawicieli rodu, ale Atto nie rzączył nawet na nie spojrzeć. Przez chwilę trwał w zamyśleniu, po czym potrząsnął głową:

- Nie, coś mi tu nie pasuje.

- Co pan ma na myśli? - zapytałem zdezorientowany.

- Rozejrzyj się, chłopcze! Gdzie, do licha, jest ta kolekcja osobliwości? Nie widzę jej, ani kawałeczka. A przecież powinna tu być. Wszak ród Spada uwielbia przyjmować dostojnych gości i pokazywać swoje bogactwa.

- Jaki stąd wniosek?

- Ten portret wydaje się mieć jakieś znaczenie.

- Jakie?

- Nie wiem. Muszę się zastanowić, ale nie teraz. Jestem zmęczony. Chodźmy! Cloridia już pewnie na nas czeka.

To powiedziawszy, skierował się do wyjścia. Szedł zgarbiony pod ciężarem starości i rozczarowania, wywołanego niepomyślnym wynikiem poszukiwań. Podążyłem za nim, sycąc wzrok pięknymi, choć dla mnie niepojętymi dekoracjami na sklepieniu.

- Panie Atto, co oznaczają te wszystkie znaki i liczby namalowane tam, w górze?

- Liczby to domy Zodiaku z tablicami astrologicznymi do układania horoskopów. Liniami zaznaczone zostały godziny w różnych częściach świata - wyjaśnił Atto, zatrzymując się i zadzierając głowę.

- Virgilio Spada zajmował się tymi rzeczami? - spytałem zdziwiony, gdyż dobrze wiedziałem, co groziło duchownemu, który interesował się horoskopami, zwłaszcza pół wieku temu.

- Członkowie rodu Spada bardzo lubili nauki zajmujące się ciałami niebieskimi. Virgilio i jego brat Bernardino byli wielkimi miłośnikami astrologii, także tej zakazanej. Jak już ci opowiadałem, byłem w Rzymie w 1662 roku, kiedy zmarł Virgilio. Słyszałem, że gromadził w swojej bibliotece dzieła figurujące w indeksie ksiąg zakazanych przez Święte Oficjum.

Opat nagle zamilkł i spojrział mi w oczy.



- Chłopcze! Jesteś geniuszem! -wykrzyknął.

Popatrzyłem na niego, nie rozumiejąc.

- Wiem, gdzie znajdziemy tacę Capitor - oznajmił.

Melani powiedział ściszym głosem, że Virgilio był miłośnikiem astrologii sądowej, czyli takiej, która zajmowała się przepowiedniami i horoskopami. Ułożył horoskop dla siebie i dla swojego ojca, a także dla wielu innych osób. W 1631 roku naukę tę oficjalnie potępił papież Urban VIII Barberini.

- Tak, pamiętam, opowiadał mi pan o tym, kiedy poznaliśmy się w „Donzelli” - wtrąciłem.

- Przypominasz sobie też zapewne smutny los opata Morandiego, u którego znaleziono dzieła poświęcone astrologii.

Wstrząsnąłem się na myśl o tym nieszczęsnym człowieku.

- W tamtych latach wielu prałatów zajmowało się zakazaną dziedziną, między innymi Virgilio Spada i jego brat Bernardino. Po tym, co spotkało Morandiego, przerażeni się nie na żarty. Podobno Virgilio przeniósł niektóre książki z pałacu Spada do oratorium. Pozostały tam do dnia jego śmierci, zamknięte w dużej skrzyni na klucz.

- Krótko mówiąc, powinniśmy poszukać w siedzibie stowarzyszenia oratorian.

- Otóż to! Trudno będzie zmylić czujność ojców filipinów. Tym razem Cloridia nie będzie mogła nam pomóc.

Opuściwszy galerię, podeszliśmy do okna w korytarzu, żeby zobaczyć, jak sobie radzi moja kochana małżonka. Porządkując i czyszcząc narzędzia, w czym pomagały jej nasze córeczki, nadal pouczała coraz bardziej zmieszanego zastępcę ochmistrza. Nadrabiał miną, głaszcząc i pocieszając swoją wyczerpaną porodem żonę.

- Godna potępienia jest matka, która ze skapstwa odprawi mamkę lub z lenistwa sama nie karmi piersią i poda dziecku mleko krowie lub kozie. Może być pewna, że gdy niemowlę skosztuje tej trucizny, będzie miało trudności z trawieniem, a uczucie sytości sprawi, że nie zechce już ssać piersi matki.

Daliśmy Cloridii znak, że skończyliśmy poszukiwania i może być o nas spokojna. Tymczasem moja małżonka w ogóle nas nie zauważyła i nadal z ferworem przemawiała do zastępcy ochmistrza. Musieliśmy bardzo uważać, żeby nie dostrzegły nas dziewczynki, gdyż niechcący mogłyby zdradzić naszą obecność.

- Mleko kozie - perorowała Cloridia - zmienia niemowlę w kozę, a mleko krowie - w krowę. Czy pan jako ojciec chciałby mieć dziecko słabe niczym cielę lub rogate jak koza? Albo jedno i drugie? Duch zwierzęcia okręca się wokół pierwotnej materii tych małych istot i nie opuszcza jej aż do śmierci. Jeśli przyjrzymy się uważnie twarzom niemowląt karmionych mlekiem krowim, przekonamy się, że mają one mętne, cięłe spojrzenie, półprzymknięte powieki, dużą głowę, opuchłe członki, a skórę bladą i zwiotczałą. Nieszczęsne te istoty z usposobienia są milczące i ponure jak kozły lub łagodne i pokorne jak cielęta. Matki są zadowolone, bo mogą robić, co chcą, gdyż ich oglupiałe dzieci w niczym im nie przeszkadzają. Z obrzydzeniem patrzą na inne matki, które karmią dzieci piersią niestrudzenie się o nie troszczą.

W końcu Cloridia nas dostrzegła.

- Stanowczo odradzam podawanie mleka zwierzęcego istotom, które Bóg obdarzył duszą - oświadczyła Cloridia z emfazą, zbierając narzędzia. - Do trzeciego roku życia dziecko nie powinno go nawet próbować, w późniejszym wieku także nie jest wskazane. Jeśli zatem zarówno rodzice, jak i dzieci chcą żyć w zdrowiu, muszą wystrzegać się mleka zwierząt. *Deo gratias*, skończyliśmy. - Cloridia przeżegnała się, co czyniła po każdym odebranym porodzie, i udzieliła ostatnich wskazówek położnicy.

My tymczasem, zmęczeni i przygnębieni, przemknęliśmy do stajni. Dosiedliśmy osła i wróciliśmy do willi Spada.

Właśnie przejeżdżaliśmy przez dziedziniec wewnętrzny, spowity porannymi mgłami, kierując się ku stajni, kiedy niespodziewanie usłyszeliśmy przytłumiony, niepokojący dźwięk. Dochodził z lewej strony, od długiej, okazałej kolumnady, równoległej do alei wysadzonej żywopłotem, sięgającym ogrodu. Na krańcu żywopłotu dostrzegliśmy olbrzymą, czworonożną istotę wysokości dwóch ludzi, długości karety, czarną jak noc, okrytą gęstą brudną sierścią. Przez kilka niekończących się sekund (tak mi się przynajmniej wydawało) stałem sparalizowany strachem, jakby zahipnotyzowany. Potwór przeskoczył żywopłot i galopował w naszym kierunku, wydając przy tym ten dziwny odgłos.

Rzuciłem się do ucieczki, zapominając o opacie. W mgnieniu oka znalazłem się w stajni i zarygłowałem wrota. Atto już tam był. W przeciwieństwie do mnie nie zwlekał, tylko natychmiast oddalił się od alei.

- Potwór... olbrzym - wyszeptałem, ledwo dysząc, z twarzą wykrzywioną przerażeniem.

Spojrzałem na Melaniego. Uśmiechał się wesoło.

- Co w tym zabawnego? - zapytałem poirytowany.
- Za chwilę zrozumiesz. Chodź! Coś ci pokażę.

Atto poprowadził mnie na koniec kolumnady. Na podstawie jednej z kolumn siedział sympatyczny piesek. Rzekomy olbrzym spał sobie spokojnie w ogrodzie. Nagle obudzony naszymi krokami, przestraszył się i zaczął szczekać, a następnie pobiegł w moim kierunku. Groźny, olbrzymi potwór okazał się małym pieskiem, sięgającym mi kolan.

- Rozumiesz? - zapytał Melani.
- Myślę, że tak.

Ochłonawszy, mogłem logicznie pomyśleć. Kolumnada, z której wyskoczył na mnie piesek, była dziełem słynnego Borrominiego. Ród Spada często zatrudniał wybitnego architekta, który pracował nad tym, aby pałac stał się bardziej okazały. Przy budowie kolumnady, by zmylić wzrok widza, zastosował zręczną sztuczkę perspektywiczną. Tylko osoby, które o niej wiedziały, nie dały się zwieść. W miarę jak zwiedzający udawał się w głąb, odnosił wrażenie, że kolumnada maleje. Kolumny boczne stawały się coraz niższe, szachownica posadzki wznosiła się, zwężała i zmniejszała, zmierzając jakby w nieskończoność. Podobną iluzję tworzyli malarze, przedstawiając w swych obrazach ulice, miasta i świątynie.

Stiuki zdobące półokrągłe sklepienie umieszczone były na czworokątnym polu, które również zdawało się zmniejszać, podobnie jak cały sufit. Za kolumnadą, zamiast obszernego ogrodu ciągnącego się po horyzont, znajdował się niewielki dziedziniec, ograniczony sztucznym bukszpanowym żywopłotem, wyrzeźbionym w kamieniu pomalowanym na zielono. Kamienie miały kształt prostopadłościanów. Z tej odległości zdawały się sięgać nieba, które w rzeczywistości było namalowane na murze, znajdującym się na końcu iluzjonistycznej budowli.

Szedłem kolumnadą i przesuwałem nieśmiało dłońią po jednej kolumnie, następnie po drugiej i trzeciej... Kolumny stawały się stopniowo coraz niższe i węższe. Optyczna sztuczka Borrominiego miała wprawić mnie w przerażenie. Na tle sztucznego żywopłotu mały piesek wydał się olbrzymem, a skrócona perspektywa oszukańczo sprawiła, że prędkość, z jaką pędził w moją stronę domniemany potwór, była iluzją. Szczekanie psa, zniekształcone i nasilone echem, odebrałem jako ryk dzikiego zwierzęcia.

- Człowiek boi się tego, czego nie rozumie. Dotyczy to zarówno pałacu, jak i lustrzanej galerii w „Okręcie” - zauważył Melani tonem ojcowskiej przestrogi, kiedy jechaliśmy na grzbiecie osła w kierunku willi Spada.

- Słyszałem o iluzjonistycznej kolumnadzie w pałacu Spada. Podobno odwiedzają ją książęta i ambasadorowie z całego świata. Nie wiedziałem jednak, czemu zawdzięcza swoją sławę. Zupełnie mnie to zaskoczyło, przeraziłem się... Czuję się zmęczony - stwierdziłem zawstydzony, szukając usprawiedliwienia.

- Zobaczylesz olbrzymi portyk, który tak naprawdę jest niewielki. W małej przestrzeni dostrzegłeś długi korytarz. Małe przedmioty, umieszczone w odpowiedni sposób, mogą sprawiać wrażenie ogromnych - rozwoził się Atto. - Wielkość jest tylko iluzją, a sztuka stanowi obraz złudnego świata.

Domyśliłem się, że mówiąc te słowa, opat miał na myśli willę „Okręt”, nie lustrzaną galerię. Szukając racjonalnego wytłumaczenia, głośno zastanawiał się nad tym, czego byliśmy świadkami.

Zamilkłem. Wieczne Miasto powoli budziło się ze snu. Na ulicach pojawili się pierwsi przechodnie. W świetle dnia nocne przygody straciły aurę tajemniczości.

Po powrocie do willi zastaliśmy list do opata Melaniego. Adresat był ten sam co zwykle. Atto przeczytał list i zasępił się. Odprawił mnie pod pretekstem, że jest zmęczony i chce odpocząć. W rzeczywistości pragnął odpisać pani konstablowej, która powiadamiała o kolejnym przesunięciu terminu przyjazdu.

Od kilku godzin nie miałem ani chwili wytchnienia. Tego dnia odbywało się najważniejsze przyjęcie. Kardynał Spada zapowiedział don Paschatiowi, że robotnicy i służący, którzy nie wypełnią należycie swoich obowiązków, zostaną surowo ukarani. Don Paschatio zapewnił kardynała, że tym razem nikt nie ośmieli się porzucić pracy. Podobną obietnicę złożył także poprzednio, i niestety, nadzieja na jej dotrzymanie okazała się płonna. Dwóch lokajów już zdezerterowało, udając chorobę (w rzeczywistości pojechali na ryby na wyspę San Bartolomeo, co wywnioskowałem z rozmów, które prowadzili poprzedniego dnia).

Czekało nas dużo ciężkiej pracy. Ku rozrywce gości przewidziano bowiem polowanie na ptaki. Do udziału w łowach zaproszono nie tylko szlachciców i kawalerów, ale także damy, gdyż jest to bezpieczna i przyjemna rozrywka, połączona z wesołą zabawą, jak dzień wcześniej osobiście zapewnił kardynał Spada.

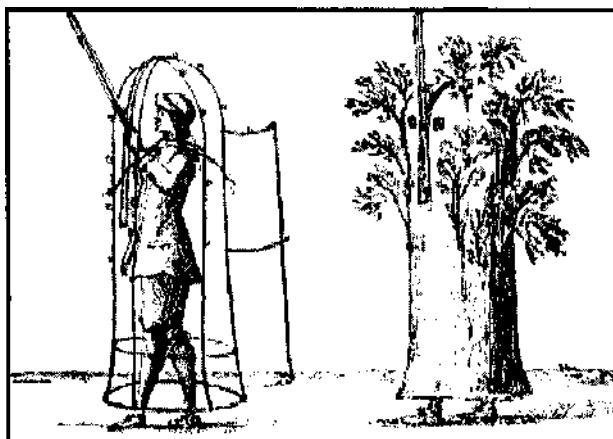
Obszar willi był za mały na to, żeby urządzić zasadzki na ptaki. Uzgodniono więc ze słynnym rodem Barberinich, że łowy zostaną zorganizowane na terenie graniczącym z ich majątkiem (gdzie dwa dni wcześniej sokolnik próbował schwycić Cezara Augusta).

Goście zostali podzieleni na dwie grupy, w zależności od środków, którymi dysponowali. Pierwsza, złożona z około dziesięciu osób, wyposażona była w specjalne pułapki na ptaki - sztuczne krzaki z umieszczonymi z tyłu kijkami w kształcie litery Y. Końce kijków zaopatrzone były w coś w rodzaju nożyc, które pociągnięte za przymocowany do nich mocny sznurek zatrząskiwały się na nogach ptaka.

Dla drugiej grupy myśliwych przewidziano inny sposób zapolowania na ptaka. Sztuczne drzewko ze spiczasto zakończonym pniem wbito w ziemię. Na koronie zamontowano drążek. Pierzastą istotą, która niebacznie na nim przysiadła, przeszywała wypuszczona w odpowiedniej chwili (za pomocą mocnego brązowego sznurka) strzała z ukrytej u dołu pnia kuszy, wycelowanej w górę.

Dla pozostałych gości przygotowano specjalne rusznice, z których można było celować do ptaków z dużej odległości. Gdy przysiadły na dobrze widocznych gałęziach, były trafiane nabojami wyrzucanymi z lufy pociągnięciem za sznurek.

Kawalerowie obdarzeni dobrym wzrokiem otrzymali kusze do strzelania do ptaków w locie. Co silniejsi szlachcice ukryli się wewnątrz przenośnego drzewa z kartonu, zmyślnie zamontowanego na żelaznym rusztowaniu. Pień pokryty był kawałkami kory, a sztuczne gałęzie z liśćmi wyglądały jak prawdziwe. Myśliwy zakładał na ramiona skórzane pasy, które pozwalały przemieszczać się z podobizną drzewa na ramionach, nie krępując ruchów. Patrząc przez dwa niewielkie otwory, mógł swobodnie zbliżyć się do ptaka i wystrzelić do niego z rusznicy, umieszczonej w odpowiedniej szparze. Powodzenie operacji było gwarantowane. Urządzenie, skonstruowane według wskazówek bolońskiego kawalera Gioseffa Marii Mitellego, syna malarza często zatrudnianego w pałacu Spada, wzbudziło tak duże zainteresowanie gości, że poniżej zamieszczam rysunek:



Inni, bardziej odważni goście mogli spróbować tak zwanego polowania z krową. Do tego celu użyto dużych płacht płótna rozpiętego na kijkach z namalowaną olejną farbą krową, do złudzenia przypominającą prawdziwe zwierzę. Ukryci za tą zasłoną myśliwi mogli podejść do ptaka, nie płosząc go, i ustrzelić z rusznicy. Parafrazując słynne określenie, można je było nazwać krowami trojańskimi. Poniżej przedstawiam rysunek.



Gdy na polanie ustawiono płócienną krowę, wystraszyły się zwierzęta w majątku Barberinich, jak również kilka dam. Stało się tak dlatego, że wizerunek krowy pomalowany był farbami olejnymi, a nie gwaszem, jak

należało, wskutek czego lśnił w promieniach słońca niczym lustro. W obawie, że wszystkie ptaki uciekną, czym prędzej usunięto niefortunną „krowę”.

Aby zwabić jak najwięcej ofiar, zakupiono szczygły i zięby w klatkach. Ponieważ tymczasowo pełniłem funkcję Mistrza Ptasznika, don Paschatio powierzył mi wielce odpowiedzialne zadanie rozstawienia klatek na terenie posiadłości Barberinich tak, by każda grupa myśliwych dysponowała taką samą liczbą przynęt. Dla wzmocnienia efektu część ptaków miałem przywiązać sznurkiem za nóżki do gałązek krzewów i drzew.

Szykowałem się właśnie do przeniesienia klatek na teren posiadłości Barberinich, gdy odwiedził mnie don Tibaldutio. Miał ochotę zamienić ze mną kilka słów. Jak już mówiłem, kapelan mieszkał daleko od willi, w pokoiku za kaplicą, i często czuł się samotny. Zaproponowałem mu, by towarzyszył mi przy rozstawianiu klatek z przynętą. Obecność don Tibaldutia, jego czysta, uczciwa osoba, niczym niewidoczny płomień rozpalila we mnie wspomnienie wydarzeń poprzedniej nocy.

Dziennik Atta - rozmyślałem - miał być dostarczony „ad Albanum”. W podejrzanym interesie zamieszany był więc kardynał! Jakaż to nieczysta siła popchnęła wpływowego purpurata, prawą rękę Jego Świątobliwości, do układania się z sektami podstępnych cerretan? Od kiedy utrzymywał z nimi kontakty? Przypomniały mi się słowa Waligóry, który powiedział, że cerretanie to niegdysiejsi kapłani. Jak to możliwe? Tylko duchowny mógł udzielić mi odpowiedzi na te pytania.

Jako dobry pasterz, don Tibaldutio wysłuchał mnie bez zmrużenia powiek. Napomknąłem mu, że słyszałem o religijnym rodowodzie żebraczych sekt.

- Początki tej plagi są odległe i otoczone tajemnicą- oznajmił karmelita poważnym tonem.

Wszystko zaczęło się podczas najazdów barbarzyńców, którzy położyli kres dziewięćsetletniemu panowaniu Rzymian. W tamtych odległych czasach ludzie byli na ogół biedni i żyli w małych wiejskich wspólnotach. Drogi były niebezpieczne z powodu bandytów i dezertów, niczym wilki i niedźwiedzie czyhających na zdobycz. Mnisi i zakonnicy kryli się w klasztorach, często usytuowanych na niedostępnych górskich szczy-

tach. Oprócz kupców zmuszonych do podróży w celach handlowych ludzie prowadzili osiadły tryb życia. Uprawiali pola i modlili się do Boga o bogate plony.

Osady regularnie nawiedzali osobnicy w brudnych, starych łachmanach i prosili o jałmużnę. Pochodzili z mrocznych, ponurych miejsc na obrzeżach wsi, z rozpadających się szpitali dla trędowatych - skupisk kilku chat, stanowiących jakby odrębną wspólnotę hołdującą niechlujstwu. Byli żebrakami, włóczęgami, obszarpańcami, wagantami. Nie byli biedni, ale za takich uchodzili. Potrafili wykorzystać słowa Ewangelisty *datę elemosynam et omnia munda sunt vobis*, nakazujące chrześcijaninowi dawanie jałmużny.

- Niektórzy z nich wcześniej byli kapłanami - wyjaśnił don Tibaldutio - ale, zamiast czcić Pana, sprzedali duszę diabłu.

Przychodzili do co naiwniejszych wieśniaków, nieświadomych czyhających na nich niebezpieczeństw, dziwacznie ubrani. Z błędnym wzrokiem na wpeł szaleńców, na wpeł mędrców twierdzili, że są uzdrowicielami, magami, prorokami, zbawicielami ciała i duszy. Sprzedawali talizmany, relikwie, cudowne modlitwy, magiczne zaklęcia, maści, leki, zapowiadali cuda lub kary boskie, tłumaczyli sny, odnajdywali ukryte skarby i bogactwa, odprowadzali egzorcyzmy, rzucali klątwy. Potępiali grzeszników i obiecywali raj sprawiedliwym. W zamian domagali się ofiary i zawsze ją otrzymywali.

Jak pisze uczoney Gnesio Basapopi, ludzie ci, prosząc o jałmużnę (która była zarazem ich celem i sposobem), prześcigali się w oszustwach i podstępach. Biczowali się na niby. Z „ran” na plecach nie płynęła ich własna krew, lecz krew kurczęcia lub kota. Zawsze udawało się wyłudzić od prostych, naiwnych wieśniaków wysokie darowizny. Nie należy zapominać, że sofiści także nosili miano szarlatanów i kuglarzy, podobnie jak Sokrates i Platon. Żaden z wieśniaków nie słyszał oczywiście o biskupie Hippony, który upominał, żeby dawać jałmużnę wyłącznie biedakom, a nie komediantom.

- Nikt ich nie zdemaskował? - zapytałem, wyjmując z klatki szczygła. Przewiązałem mu nóżkę sznurkiem, którego drugi koniec przymocowałem do gwoźdźcia wbitego w pień młodej akacji.

- Czasem ktoś reagował, ale rzadko. Nawet jeśli do tego dochodziło, oszuści zręcznie przedzierzgaliby się z powrotem w kuglarzy, grajków, wyrwizębów. Jak pisze Teokryt: *Paupertas sola est artes quae suscitatur omnes*. - Jedynie nędza pobudza umysł.



To powiedziawszy, don Tibaldutio zanucił:

Wśród kłamstw i blagierstwa Żyje  
się od stycznia do czerwca. Wśród  
oszustw i wyludzeń Żyje się od lipca  
po grudzień.

- Co to jest? - spytałem, idąc w kierunku miejsca, gdzie były złożone rusznice.

- Stara rymowanka fałszywych żebraków. Chciałem, byś zrozumiał, jacy są zepsuci.

Ale to nie wszystko. Jak wieść niesie, dawniej cerretanie skupieni byli w jednej sekcje. Później najwyższy kapłan stworzył podgrupy, ale nie po to, by podzielić ich według specjalności. Przyświecał mu szatański cel - organizacja na wzór zakonów Kościoła katolickiego.

Nie można było lekceważyć tego faktu, ponieważ już Bernardyn Sienneński pisał, że Lucyfer, wezwawszy do siebie wszystkie diabły, oznajmił, że pragnie założyć kościół, będący w opozycji do kościoła Chrystusa. Ten nowy *Ecclesia malignantium*, zbudowany na wzór Kościoła Bożego, miałby go zwalczyć lub przynajmniej ograniczyć jego wpływy. Agryppa z Nettesheim, który nie wierzył w czary, był tak przekonany o szatańskiej mocy cerretan, że oskarżał ich o uprawianie czarnej magii.

- *Et quaecumque Ule ordinavit in ecclesia sua in bonum, ego deordino in ecclesia mea in malum* - powiedział don Tibaldutio z poważnym wyrazem twarzy, cytując słowa Bernardyna.

Odtąd wydarzenia potoczyły się błyskawicznie - ciągnął kapelan, gdy sprawdzałem, czy wbita w ziemię rusznica jest dobrze wycelowana. W sprawę cerretan zamieszani byli także zakonnicy. Do klasztorów dotarła wieść o swobodach, jakimi cieszą się braciszczkowie na zewnątrz, i że chcąc z nich korzystać, wystarczy nabierać naiwnych. Wówczas to nad duchem górę wzięła materia, nad modlitwą - uciechy stołu, nad służbą Bogu - próżniactwo.

- Mnisi ubrani w czarne szaty, jak pisał Libaniusz w *Pro templis*, ja dali więcej niż słonie. Byli skromni, ale zachowywali się jak zwierzęta i dopuszczali rzeczy nikczemnych, godnych potępienia. Jak twierdził święty Augustyn, zakony klauzurowe stały się bagnem, siedliskiem grzechu - podsumował karmelita, patrząc ze współczuciem na martwego rudzika, który nie przeżył uwięzienia w klatce.

Mnisi i pseudomnisi, ekskomunikowani przez własnych biskupów,

wyroili się z klasztorów i włóczyli po wsiach i miasteczkach, deprawując uczciwych ludzi. Dołączyli do rzeszy prawdziwych i fałszywych żebraków, łachmaniarzy, oberwańców, próżniaków, trędowatych, cyganów, wagabundów, kalek i paralityków, zalegających pod bramami kościołów. Dzięki sprytowi osiągnęli każdy cel. W żaden sposób nie można było ich zwalczyć, ponieważ byli biedni, a przynajmniej za takich uchodzili, a jak nauczał Domingo de Soto w *Deliberatio in causa pauperum*, mimo wątpliwości należy ofiarować nędzarzowi obola: *in dubio pro paupere*.

- Dawanie jałmużny nie tylko zmazuje grzech, ale też, jak powiedział święty Jan Chryzostom, ci, którzy *pro foribus ecclesiae sedent, stipem a nobis mendicantes, medicos vulnerum nostrorum*, żebracy tłoczący się przed wejściem do kościoła są uzdrowicielami duszy. Co więcej, Piotr Chryzolog naucza, że *manus pauperis est gazophilacium Christi; quia quicquid pauper accipit, Christus acceptat*, kiedy biedak wyciąga dłoń, prosząc o jałmużnę, czyni to sam Chrystus.

- Jeśli to prawda, co ojciec mówi, to oszustwo rodzi się z litości, a pośrednio z samego Kościoła - stwierdziłem zdziwiony, sypiąc okruszki chleba do klatki.

- No, nie... tego nie powiedziałem - rzekł z wahaniem don Tibaldutio.

Zjawisko to było jednak - przyznał - bardzo niepokojące. Bracia szpitalni z Altopascio, żebrzący po zamkach i wsiach, stanowili grupę oficjalnie zatwierdzoną przez Kościół rzymski. W swoich kazaniach straszili ekskomuniką lub obiecywali odpust. Za pieniądze rozgrzeszali każdego.

Wątpliwemu urokowi przesądu i szarlatanerii ulegli sami papieże. Bonifacy VIII nosił przy sobie talizman przeciw kamieniom nerkowym, a Klemens V i Benedykt XII nie rozstawali się z *cornu serpentinum*, amuletem w kształcie węża, który Jan XXII trzymał na stole, wbity w chleb i obsypany wokół solą.

- Słyszałem też - dodał don Tibaldutio, ścisząc głos - że cerretanie mieli kiedyś oficjalne pozwolenie.

- Naprawdę? Jakiego typu?

- Opowiadał mi o tym mój brat zakonny, który pochodził z tamtych stron. Podobno, ale nie ma na to dowodów, u schyłku czternastego wieku cerretanie mieli pozwolenie na kwestowanie w Cerreto na rzecz szpitali Zakonu Błogosławionego Antoniego. Zezwolenie to musiały wydać władze kościelne.

- Byli więc oficjalnie uznawani! Być może jest tak do dziś.

- Jeśli takie pozwolenie istnieje - odparł kapelan - to powinno widnieć w statutach miasta Cerreto.

- Czy tak jest?

- Strony dotyczące kwestowania ktoś wyrwał - oznajmił don Tibaldutio obojętnym tonem.

Zresztą - dodał po chwili - gdyby wierzyć plotkom, można by sądzić, że mieli przyjaciół w samym Watykanie.

- W Watykanie?! - wykrzyknąłem z niedowierzaniem.

Wyczytałem z twarzy kapelana, że pożałował tego, co powiedział. Nie mogłem jednak cofnąć swoich słów.

- Podobno to ktoś z Marche. Ale może to tylko złośliwe plotki. Osoba ta zajmuje wysoką pozycję w Bazylice Świętego Piotra, więc rzucając na nią oszczerstwa.

Zdziwiłem się, słysząc, że ktoś w Bazylice Świętego Piotra (wiecznie restaurowanej i odnawianej) miał związki z cerretanami. Musiałem tę rzecz dokładniej zbadać, choć z pewnością nie mogłem liczyć na pomoc kapelana, który powiedział zbyt wiele i nie zechce podać mi więcej szczegółów.

Nadeszła pora, żeby się pożegnać. Rozstawiłem klatki z przynętą, sprawdziłem rusznice. Don Tibaldutio udzielił mi wielu cennych informacji na temat powiązań Kościoła z cerretanami.

W miarę upływu czasu - rozmyślałem - święte jubileusze zmieniły się na oczach wiernych w maszynkę do robienia pieniędzy. Czyż nie był to skutek błędów i występków Kościoła dokonanych w latach, kiedy zrodził się ruch cerretan, wykarmionych świętym mlekiem miłosierdzia i litości? Miał rację Waligóra, kiedy stwierdził, że byliśmy otoczeni. Siedziba papieżstwa była twierdzą, do której już dawno wprowadzono konia trojańskiego.

Na zakończenie don Tibaldutio wytarł sobie nos, zerkając na mnie w zamyśleniu. Wyczuwał, że myślę o czymś, czego nie chcę wyjawiać.

Podziękowałem mu i obiecałem, że jeśli będę potrzebował jego rad i wyjaśnień, na pewno go odwiedzę. Tuż przed pożegnaniem przypomniało mi się pytanie, które już dawno chciałem mu zadać:

- Przepraszam, don Tibaldutio - powiedziałem z udaną obojętnością - czy ojciec słyszał kiedyś o Towarzystwie Świętej Elżbiety?

- Ależ oczywiście! Wszyscy je znają - odparł, zaskoczony moją niewiedzą. - Daje pieniądze żandarmom. Dlaczego pytasz?

- Kilka dni temu widziałem procesję... To wszystko - powiedziałem obojętnym tonem.

Nabrałem dziwnych podejrzeń, choć nie uświadamiałem sobie jeszcze ich przyczyny.

Dzięki Bogu polowanie przebiegło pomyślnie. Po kilku godzinach przyczajania się i zastawiania pułapek damy i kawalerowie dali upust instynktom łowieckim. Jednak do pałacu przynieśli prawie puste koszyki z nędzną zdobyczą (kilka kuropatw, wróbli, wron i ropuch, dwa krety, jeden nietoperz), śmiejąc się do rozpuku. Więcej było ptaków w klatkach - stwierdziłem - niż upolowanych.

Wydarzyło się kilka drobnych wypadków (na szczęście natychmiast zaradzili im służący), które zakłóciły nieco zabawę i przerażyły nieszczęsnego don Paschatia. Księżę Vaini dla żartu wycelował z kuszy w Giovana Battistę Mariniego, komendanta straży miejskiej. Pech chciał, że kusza wystrzeliła. Strzała otarła się o czaszkę Mariniego, przeszła kapelusze i przyszpiliła go do drzewa za komendantem. Kardynał Spada, z pomocą zarządcy domu i lokajów, zadał sobie dużo trudu, żeby powstrzymać Vainiego i ofiarę jego żartu od rękoczynów. Dwaj kawalerowie wyzwali się na pojedynek, do którego szczęśliwie nie doszło.

Tymczasem monsinior Borghese i hrabia Vidaschi, z braku szlachetniejszych ptaków, strzelili z rusznicy do dużego kruka. Czarny ptak (którego mięso jest, jak wiadomo, ciężko strawne) spadł na ziemię i sprawiał wrażenie śmiertelnie rannego. Gdy panowie chcieli go podnieść, zerwał się do lotu, przefrunął obok pozostałych myśliwych i przysiadł na pięknych bujnych włosach markizy Crescenzi, która wydała okrzyk przerażenia. Kruk odfrunął, ale długo nie nacieszył się życiem. Wszyscy łowczy wycelowali do niego z rusznicy i kuszy. Nieszczęsne stworzenie, trafione w skrzydło, nie zdołało wzbic się na dużą wysokość. Po chwili wylądowało na ziemi, gdzie zakończyło niesławnie swe życie, dobite miotłą przez służącego.

Trzeci wypadek nie był wynikiem nadmiernej śmiałości, jak w przypadku księcia Vainiego, lecz wyjątkowej nieudolności. Otóż markizowi Scipione Lancellottiemu Ginnettiiemu, niegrzeszącemu inteligencją i obdarzonemu bardzo krótkim wzrokiem, wydało się w pewnej chwili, że na drzewie przysiadł ptak. Niewiele myśląc, wystrzelił z kuszy. Strzała

wbiła się w gałąź, wprawiając ją w drgania. Spod liści wypadła mała biaława kuleczka i rozbiła się o ziemię.

- Jajko! - wykrzyknął jeden z kawalerów.

- Nie wolno strzelać do gniazd, to barbarzyństwo - dodał drugi kawaler, zwracając się do markiza Lancellottiego Ginnettiego.

Pod drzewo zbiegli się pozostali myśliwi, czyniąc wymówki markizowi, który w tych dniach zabiegał o nominację na pułkownika ludu rzymskiego (stare, szlacheckie stanowisko w instytucjach miejskich), choć wiele osób miało nadzieję, że jej nie dostanie. Ginnetti postanowił więc odciągnąć uwagę zebranych od polowania, przybierającego coraz gorszy obrót. Bronił się, twierdząc, że celował do ptaka, co rozśmieszyło zebranych, gdyż powszechnie było wiadomo, że markiz ma bardzo słaby wzrok.

Goście, przybierając miny ekspertów od polowania, zadarli głowy i próbowali odgadnąć, jaki gatunek ptaków znosi takie jajko, które spadło na ziemię.

- Brzegówka.

- Według mnie bażant - rzucił monsinior Gozzadini, sekretarz pamiętników Jego Świątobliwości.

- Ależ, ekscelencjo, na drzewie...

- Ach tak, prawda.

- Kuropatwa albo przepiórka - powiedział ktoś inny.

- Za małe jak na przepiórkę.

- Wybaczcie, panowie, chodzi prawdopodobnie o turkawkę lub o gołębia, to jasne.

- Ale turkawka biała...

- Może to sroka? - wtrącił markiz Lancellotti Ginnetti, uznając za haniebne, że nie miał dotąd okazji wypowiedzieć swojego zdania o jajku, które sam strącił z drzewa.

- Ależ markizie! - zawołał tonem oburzenia książę Vaini. - Czy nie widzi pan, że jajko jest białe? Jajka sroki są cętkowane, wie o tym każde dziecko!

Również pozostali myśliwi zaatakowali markiza za popełniony przez niego błąd, popierając księcia słowami: „Właśnie!”, „Co on wygaduje?” albo „Nie do wiary!”, którym towarzyszyły znaczące pokasływania.

Nagle dał się słyszeć głośny wystrzał z rusznicy. Wszyscy, włącznie z Lancellottim Ginnettim, pochyliłi się odruchowo.

- Kto strzelił? - zapytał książę Vaini, rozglądając się dookoła.

Na szczęście nikt nie został ranny. Żaden ze stojących pod drzewem szlachciców nie miał rusznicy, a ci, którzy stali opodal z bronią w ręku, twierdzili, że w ciągu ostatnich kilku minut żaden z nich nie strzelał. Kilka osób dostało gęziej skórki, inni odeszli, podejmując polowanie.

Zdarzenie, które widziałem przez przypadek, przestawiając klatkę w bardziej dogodne miejsce, zaniepokoiło mnie. Wystrzał z rusznicy mógł przecież kogoś zabić.

Don Paschatio, gdy mu o tym opowiedziałem, zbladł ze strachu na myśl, że podczas przyjęcia, które nadzorował, ktoś mógł stracić życie, i to ktoś wysokiego urodzenia. Zarządca domu zaczął narzekać, twierdząc, że nie należało urządzać polowania właśnie teraz, kiedy zbliżało się konklawe i wszyscy się nienawidzili. Ktoś mógł wykorzystać sytuację, żeby uregulować stare porachunki.

Tymczasem ja powoli się uspokoiłem. Nabrałem pewnych podejrzeń, choć nie wiedziałem, na ile były one uzasadnione. Nie miałem jednak czasu, żeby roztrząsać domysły, gdyż musiałem powrócić do zajęć - zajęć szpiega, gwoli ścisłości.

# Wieczór siódmy

13 lipca 1700 roku

Udałem się do apartamentu Atta. Nie brał udziału w zabawie, gdyż, jak twierdził, wystarczyło mu polowanie na Cezara Augusta. W rzeczywistości był zajęty pisaniem odpowiedzi na list pani konstablowej. Spełniwszy powinność, szykował się, by w towarzystwie Buvata udać się na kolację w ogrodach willi. Opowiedziałem opatowi, czego dowiedziałem się od don Tibaldutia: cerretanie mieli przyjaciela w Bazylice Świętego Piotra, ale kapelan nie zdradził mi jego imienia.

- Doprawdy? - powiedział Melani. - Poproszę Waligórę, żeby się czegoś dowiedział.

Po półgodzinie, upewniwszy się, że opat z sekretarzem siedzą przy stole, wyciągnąłem z kosza na brudną bieliznę plik z tajną korespondencją, a z kieszeni - tomik *Pastora Fido*, który wyniosłem z biblioteki w „Okręcie”. Byłem gotów czytać listy Marii, porównując je z wersami Guariniego. Podobnie jak poprzednim razem w korespondencji brakowało ostatniego listu pani konstablowej i kopii odpowiedzi. Przeszukiwałem ubrania Buvata, mając nadzieję, że znajdę interesujące mnie kartki, lecz rozczarowałem się.

Szukałem wszędzie, ale na próżno. Zmartwiłem się, gdyż wszystko wskazywało na to, że Melani nabrał podejrzeń i prawdopodobnie zabrał listy ze sobą.

Nie pozostawało mi nic innego jak przeczytać trzecią i ostatnią relację Marii Mancini o dworze hiszpańskim, jedyną, której jeszcze nie znałem.

Być może - zastanawiałem się - teraz, kiedy odkryłem prawdę o Atcie i Marii, gdy pojąłem, że kierowała nimi nie polityka czy szpiegostwo, ale

miłość, uda mi się dostrzec cytaty i aluzje, które początkowo umknęły mojej uwadze. Spojrzałem przez okno i upewniwszy się, że Atto jest daleko, przystąpiłem do lektury.

Relacji towarzyszył list Marii, nadany w Madrycie dwa miesiące wcześniej. Pani konstablowa odpisywała na list Atta, zapewniając go, że przyjedzie do Rzymu na wesele.

*Drogi Przyjacielu, rozumiem punkt widzenia Pana i Lidiusza, ale potwarzam: wszystko jest nadaremne. Na dodatek to, co dziś wydaje się dobre, jutro może obrócić się w nieszczęście.*

*Przyjadę na wesele. Uslucham prośby Lidiusza. Zobaczymy się zatem w willi Spada. Przynrzekam.*

Oto kolejna aluzja do dzieła Herodota, a dokładniej do Lidiusza, czyli Krezusa, króla Lidii, którego imieniem, jak się wczoraj dowiedziałem, Atto i Maria nazywali Arcychrześcijańskiego Króla.

A więc to Lidiusz - Arcychrześcijański Król - osobiście poprosił Marię, by przyjęła zaproszenie kardynała Spady. Dlaczego?

Kilkakrotnie przeczytałem te zdania, aż w końcu pojąłem ich sens: Ludwik namawiał Marię do powrotu do Francji i z tą misją wysłał opata Melaniego. Jej spełnienie miało się dokonać w czasie zaślubin w willi Spada.

Ludwik tęsknił za Marią Mancini. Czyż Atto nie dał mi tego do zrozumienia podczas naszej pierwszej wizyty w „Okrećcie”? Powiedział nawet, że pani de Maintenon chciała, by król spotkał się z Marią po latach, miała bowiem nadzieję, że ujrzawszy ją postarzałą, na zawsze wymaże z pamięci jej wspomnienie z młodości.

Ludwik - rozmyślałem - za pośrednictwem Atta namawia Marię, żeby się z nim zobaczyła, przyjmując zaproszenie na dwór lub z dala od niedyskretnych spojrzeń.

Z listu, który miałem przed oczami, wynikało jednak, że pani konstablowa nie miała zamiaru przyjąć zaproszenia. Twierdziła nawet, że wszystko jest nadaremne, co więcej, to, co dziś wydaje się dobre, jutro może obrócić się w nieszczęście. Miała zapewne na myśli ewentualne spotkanie z Arcychrześcijańskim Królem, kiedy to padną sobie w ramiona, a po chwili będą musieli spojrzeć prawdzie w oczy i pogodzić się z tym, że oboje się zestarzelili.

To zrozumiałe - przyznałem w myśli - że Maria Mancini nie chciała,



by człowiek, który był miłością jej życia, zobaczył jej twarz pooraną zmarszczkami.

Ogarnięty smutkiem, czytałem dalej. Pani konstablowa zmieniała temat i pisała o sytuacji w Hiszpanii.

*Czy wie Pan, drogi Przyjacielu, co mówią mieszkańcy Madrytu? Karol V był cesarzem, Filip II królem, Filip IV tylko człowiekiem, a Karol II żadnym z nich.*

*Co doprowadziło do takiego upadku? Czerwi, które niszczą tron monarchii, są tysiące, a większość ich pochodzi zza Pirenejów. Któż sprowadził na zmęczoną Hiszpanię plagę szpiegów, intrygantów, strachu, dezinformacji, korupcji? Któż domaga się, by Hiszpania niszczała i gnęła od środka, jak żywy trup jej króla?*

*Jestem Włoszką wychowaną we Francji. Wybrałam Hiszpanię na moją nową ojczyznę. Potrafię dostrzec cienie Wielkich Szakali nad Madrytem.*

Przerwałem lekturę: kim byli Wielcy Szakale? Chodziło zapewne o inne królestwa Europy. Dalsza część relacji zawierała listę klęsk z drugiej połowy ubiegłego wieku, począwszy od bitwy pod Rocroy, gdzie wojska hiszpańskie, które miały początkowo przewagę, zostały rozgromione przez Francuzów. Dowódca oddziałów hiszpańskich, Francisco de Melo, zaprzepaścił szansę na zwycięstwo, lecz zamiast kary otrzymał nagrodę w wysokości dwunastu tysięcy dukatów. Czy można było wymyślić lepszy sposób - zastanawiała się Maria - żeby zatriumfowało zepsucie i upadek wszystkich wartości?

Klęska pod Rocroy zapoczątkowała lawinę kolejnych nieszczęść: uporzenia we Flandrii, porażkę pod Balaguer, Elvas i Estremoz, odwrót pod Lens i Castel Rodrigo, utratę Portugalii po dwudziestu czterech latach wojny, powstanie w Neapolu (w wyniku którego ustanowiono republikę), stłumione z dużym trudem. Czy można dziwić się militarnym klęskom, skoro oddziały hiszpańskie, chcąc zaradzić brakom w uzbrojeniu, musiały skorzystać (jak na przykład w wyprawie przeciw Fuentarrabii) ze starej broni z kolekcji księcia Albuquerque, do którego król zwrócił się w ostatniej chwili? Czy można się dziwić, skoro najbardziej zaufa-

nym doradcą ojca Karola, Filipa IV, była mniszka klauzurowa, nieświadoma tego, co dzieje się na świecie?

W jeszcze gorszym położeniu znajdowała się hiszpańska dyplomacja. Pokój w Westfalii upokorzył Hiszpanię, a pokój pirenejski ośmieszył ją w oczach całej Europy.

Tymczasem członkowie dynastii padali jak muchy. Izabela, pierwsza żona Filipa IV, zmarła, mając zaledwie czterdzieści jeden lat, dwa lata później odszedł jej pierworodny syn Baltazar Karol. Książę Felipe Prospera umarł jako niespełna pięcioletnie dziecko, a pierwsza żona Karola II odeszła w wieku lat trzydziestu, prawdopodobnie w wyniku otrucia.

*Teraz, po tylu cierpieniach, wszyscy w stolicy czują się zagubieni. Tajni agenci obydwu stron, przekupieni lub szantażowani, rozsyłają wieści o klęsce, podżegają do buntów, zrażają poddanych do władzy.*

*Drogi Przyjacielu, wszystko stało się dla mnie jasne. Rozkaz jest nieodwołalny: minister ma być przekupny, sędzia samowolny, a kapłan grzeszny.*

*Wysokie osobistości królestwa skłócono, aby uniemożliwić im wspólne działanie. Każdy kolejny rząd powinien panować krótko, żeby zwiększyć ogólne poczucie niepewności. Ministrowie, którzy kradną, mają zostać ukarani łagodnie albo wcale, co przekona uczciwych obywateli, że zło się opłaca. Rządzący powinni bawić się i świętować, nie dbając o Ojczyznę, która chyli się ku upadkowi. Należy pozbawić poddanych nadziei na lepsze jutro, wiary w sprawiedliwość i w człowieka.*

*Dopiero wówczas, w wyniku złych przykładów, spełni się zamysł Wielkich Szakali: żandarm zacznie kraść, kupiec oszukiwać, żołnierz zdezertuje, uczciwa matka stanie się dziwką. Dzieci będą wzrastały bez miłości i złudzeń, siejąc niezgodę wśród przyszłych pokoleń. Powrócą rządy Heroda, a każda iskierka miłości zostanie zgaszona. Zapamiętaj szaleństwo.*

*Należy zwalczyć wśród poddanych pragnienie praw, szacunku, godności. Niech każdy Hiszpan przekona się, że jego los nikogo nie obchodzi, niech więc nie oczekuje znikąd pomocy i nabierze pewności, że wszyscy go zdradzili. Stąd już krok do nienawiści.*

*Jego przerażeniu, osamotnieniu i pragnieniom przeciwstawi się przepych dworu, nadzwyczajne przywileje bogaczy. Dla poddanego każdy*

*nowy dzień będzie miał barwę rozczarowania, zapach zdrady, gorzki smak bezsilnej złości. Wreszcie któregoś ranka obudzi się, przeklinając rządzących, ale nie będzie się buntował. Wówczas spełni się to, co zamierzono.*

*Upadek lub rozkwit królestw odbija się nie tylko na finansach i armii, ale przede wszystkim na duszy ludu. Nawet najokrutniejszy tyran nie potrafi zaradzić wrogości i nieufności swoich poddanych. Jest ona bowiem potężniejsza od dział, szybsza od kawalerii, bardziej nieodzowna niż pieniądze, albowiem prawdziwa władza (każdy polityk o tym wie) wywodzi się z ducha, a nie z ciała.*

*Pogarda poddanego jest jak gorący wiatr, którego żaden mur nie powstrzyma, zdolna rozbić najtwardszy kamień, najmocniejszy bastion, złać najostrzejszą szpadę.*

*Dlatego też tyrani zawsze uciskali lud, najpierw zabiegając o jego zgodę. W tym celu posługują się kłamstwem, nieodzownym sprzymierzeńcem wszystkich despotów. Przestrzegają przed niebezpieczeństwami, które sami po kryjomu stworzyli, zapewniając, że znają na nie sposób. Aby wprowadzić swój zamysł w czyn, proszą o przyznanie im pełnej władzy, aby na koniec doprowadzić lud do rozpacz.*

*Co się wtedy stanie? Wielcy Szakale będą świętować. Głupcy! Nie rozumieją, że to koniec: rozpęta się wojna wszystkich ze wszystkimi, której celem będzie podział śmiertelnych szczątków Hiszpanii. Nastanie okrutna bratobójcza walka, nowa wojna peloponeska, po której nie nastąpi pokój, ale kolejne, niekończące się wojny.*

Ponieważ nie znałem historii Hiszpanii, nie rozumiałem aluzji zawartych w liście. Przystąpiłem więc do lektury relacji, dzięki której pojąłem powód rozgoryczenia jej autorki, skądinąd słusznego.

## UWAGI NA TEMAT SYTUACJI W HISZPANII

*Kiedy zmarł król Filip IV, Karol II był jeszcze dzieckiem. Regencja należała się więc jego matce, Marii Annie. Wdowa po Filipie IV nie potrafiła jednak sprostać obowiązkowi władczyni i postawiła na czele rządu jezuیتę, ojca Nidharda, swojego spowiednika. Wskutek spisku zawiązanego przez don Juana Bękartę jezuita został odsunięty od władzy. Po kilku la-*

tachjego miejsce zajął Valenzuela, człowiek pozbawiony skrupułów, którego kilkunastoletni wówczas król Karol mianował grandem Hiszpanii, aby wyjednać przebaczenie za wypadek podczas polowania (kiedy to zranił go w pośladek). Ale Bękart uknuł kolejny spisek, skazał na wygnanie królową i aresztował Yalenzuelę, a także jego żonę, która została wtrącona do więzienia i zgwałcona. Przez resztę życia nieszczęsna kobieta trudniła się żebranią, po czym straciła rozum i zmarła. Po pewnym czasie zmarł też Bękart, królowa wróciła do kraju i mianowała nowego pierwszego ministra, którym został hrabia Medinaceli.

Minister pracował całymi dniami, pozornie bardzo się trudził, ale tak naprawdę nie robił nic. Mimo to złożył dymisję z powodu natłoku obowiązków. Zanim wyznaczono następcę, minęły trzy lata. Na koniec ster rządów objął hrabia Oropesa. Był to człowiek słabego zdrowia, często zapadający na różę. Więcej czasu spędzał w łóżku niż w pracy. Po trzech latach, wskutek pałacowego spisku, został skazany na wygnanie. Król Karol mianował więc nowy gabinet bez pierwszego ministra, który wkrótce został nazwany rządem oszustów. Król mianował więc gabinet czteroosobowy, złożony z trzech szlachciców i jednego kardynała, którzy okazali się nieudolnymi. Potem na czele rządu stanął książę Montalto, ale sprawował władzę krótko, bo odszedł na emeryturę. Król ponownie mianował Oropesę, którego darzył dużą sympatią. Tym razem hrabia musiał odejść z powodu rozruchów. Wraz z rodziną cudem uszedł z życiem, uciekając przed powstańcami w przebraniu zakonnika.

Finanse publiczne są w opłakanym stanie. Panuje w nich taki bałagan, że nikt nie wie, ile pieniędzy jest w państwowym skarbcu. Urzędnicy bogacą się, okradając państwo ze środków wpłaconych tytułem podatków. Królewskie finanse są tak uszczuplone, że pracownicy Alkazaru nie otrzymują wypłaty. Ostatnio na trzy tygodnie podniesiono podatek od mięsa i oleju, żeby z uzyskanych pieniędzy zapłacić aktorom występującym na urodzinach króla.

Francuzi wtargnęli do Katalonii, zepchnęli oddziały hiszpańskie nad rzekę Ter i zajęli Palamós oraz Geronę.

El Rey boi się swoich ministrów jak diabeł święconej wody. Czas spędza w ogrodzie przy Buen Retiro, zbierając poziomki.

Na drogach pojawiły się całe zastępy żebraków, nędzarzy i złodziei. Lud znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Za żywność trzeba płacić złotem. Kradzieże, napady i zabójstwa są na porządku dziennym. Podniesiono podatki na pieczywo, piekarze zaczęli strajkować. Madryt, który już

*cierpiał głód, został bez chleba. Mąka jest nie do zdobycia. Ambasador angielski w Madrycie, który sprowadził trochę mąki, kazał eskortować służących uzbrojonym żołnierzom, w przeciwnym razie jego ludzie zostaliby napadnięci i ograbieni. Praca piekarzy stała się wyjątkowo niebezpieczna, gdyż codziennie ryzykują życie, narażeni na napaść.*

*Pociechą dla wyголоzonego ludu miało być ogłoszenie, że królowa jest w ciąży, Hiszpania będzie miała następcę tronu. Ale nikt już nie wierzy w kłamstwa królewskiego pałacu.*

*Najbardziej ponurym dniem był 28 kwietnia 1699 roku, rok temu, kiedy rozwścieżony tłum przybył do Alkazaru, pod pałacowe okna. Król wyszedł na balkon i jakimś cudem zdołał uciszyć zbuntowanych ludzi. Dworowi groziła katastrofa.*

*Król jest śmiertelnie przerażony, gotów uczynić wszystko. Nikt jednak nie chce ani nie może mu pomóc. Partie, na które podzieleni są członkowie dworu, przypominają gniazda os, gdzie wszyscy tylko czekają, aż komuś, nawet dobremu przyjacielowi, powinie się noga. Francja i Austria po kryjomu jętrzą, rozpalając ambicję i złość.*

Przerwałem lekturę, gdyż na korytarzu usłyszałem odgłos kroków, które zdawały się zbliżać. W mgnieniu oka odłożyłem kartki na miejsce i zamierzałem wymknąć się z pokoju, ale było już za późno - w drzwiach stanął Atto Melani, na szczęście sam.

Wślizgnąłem się do pokoiku Buvata, modląc się, żeby sekretarz nie wrócił zbyt szybko, i obserwowałem opata zza półprzymkniętych drzwi. Zdjął dużą żółtą perukę i odetchnął z ulgą (musiało mu w niej być gorąco), nasadził ją na specjalny manekin stojący na szafce obok łóżka, i zaczął się rozbierać. Dzień obfitujący w wydarzenia widocznie go zmęczył. Wrócił do siebie przed końcem kolacji i nawet nie wezwał służącego, żeby pomógł mu zdjąć buty.

Ukryty w pokoiku Buvata, musiałem ze zdziwieniem przyznać, że jak na swój wiek opat bardzo dobrze się trzyma. Skórę miał wprawdzie pomarszczoną, ale plecy proste, nogi bez żyłaków, wyglądał na dwadzieścia lat mniej, niż miał w rzeczywistości. Na ciele nie było widać żadnych niebieskawych plam, będących oznaką starości. Gdyby nie był w dobrej formie, nie zniósłby trudów ostatnich dni. Boi się, że umrze samotny i zapomniany, ale jeśli nadal będzie się tak dobrze trzymał, jeszcze długo pożyje. Zdaży przejść do historii - pomyślałem, śmiejąc się w duchu.

Atto zgasił świecę. Ku mojemu zdziwieniu nie zmył maści cynkowej

z twarzy ani czerwonej szminki z policzków i położył się na łóżku. Po chwili usłyszałem jego chrapanie.

Już miałem wyjść, kiedy przypomniałem sobie, że nie znalazłem najważniejszego: ostatnich listów Atta i Marii. Opat miał je zapewne przy sobie. Postanowiłem skorzystać ze sposobności i przeszukać jego ubranie. Zajrzałem nawet do butów, ale niczego nie znalazłem. Nauki opata, jak również doświadczenie, którego nabrałem u jego boku, wyczuliły moje zmysły i umysł. Rozejrzawszy się uważnie po pokoju, spostrzegłem, że Atto postawił manekin z peruką nie na toaletce, lecz na szafce przy łóżku, jakby chciał go mieć na oku...

Starając się nie hałasować, co kosztowało mnie dużo wysiłku i potu, dopiąłem swego i znalazłem listy ukryte w kieszonce po wewnętrznej stronie peruki. Wybór miejsca na skrytkę bez wątpienia świadczył o lęku opata, że ktoś przechwyci list. W świetle ostatnich przygód z cerretanami obawa była uzasadniona. Mogło też chodzić po prostu o to, że ze względu na treść listów opat musiał zachować szczególną ostrożność.

Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że listów było aż pięć, a nie dwa. Z powolnością zółwia oddaliłem się od łóżka, przeklinając w duchu skrzypiącą drewnianą podłogę.

Trzy listy sprawiały wrażenie bardzo starych. Z zaciekawieniem otworzyłem jeden z nich. Był to końcowy fragment listu w wersji hiszpańskiej, który napisała czyjaś niewprawna dłoń. Jakież było moje zdziwienie, kiedy odczytałem podpis:

*yo el Rey*

Był to list króla Hiszpanii, nieszczęsnego Karola II, datowany 1685, a więc piętnaście lat temu. Mimo podobieństwa języków włoskiego i hiszpańskiego niewyraźne, chwiejne pismo władcy utrudniało mi zrozumienie treści listu. W poszukiwaniu jego początkowej części rozłożyłem dwie pozostałe kartki, żeby dowiedzieć się, do kogo był adresowany. Okazało się jednak, że one również zawierały tylko końcowe fragmenty listów sprzed wielu lat, obydwa podpisane przez króla Hiszpanii. Także w tym wypadku nie było mi dane pojąć ich treści.

Co miały znaczyć te ostatnie strony? Dlaczego znalazły się w posiadaniu opata Melaniego? Widocznie były niezwykle ważne, skoro przechowywał je ukryte w peruce.

Nie miałem, niestety, zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Musiałem jak

najszybciej przeczytać listy napisane przez Atta i Marię i odłożyć je na miejsce przed powrotem Buvata.

Gdy mój wzrok padł na dwa pierwsze wersy, odczułem dreszczyk emocji.

*Najdroższy Przyjacielu!*

*Dowiedziałam się ostatnio rzeczy, która z pewnością Pana zadziwi i zaciekawi, podobnie jak mnie. Otóż Jego Świątobliwość Innocenty XII założył specjalną kongregację doradczą zajmującą się sprawą Hiszpanii. Wszystko wskazuje na to, że wczoraj, 12 lipca, po długim wahaniu, papież uległ w końcu namowom hiszpańskiego ambasadora Uzedy i polecił sekretarzowi stanu, naszemu łaskawemu kardynałowi Fabriziowi Spadzie, jak również sekretarzowi do spraw brewe, kardynałowi Albianemu, oraz szambelanowi kardynałowi Spinoli z San Cesareo, by dokładnie zbadał sytuację w celu przygotowania odpowiedzi papieża.*

Gdy przeczytałem te nazwiska, serce zabiło mi mocniej. Spada, Albani i Spinola - trzej kardynałowie, którzy od kilku dni spotykali się potajemnie w „Okręcie” i których razem z Attem śledziliśmy! Prawdziwym powodem ich spotkań była zatem sukcesja hiszpańska, a nie konklawe!

Podniosłem wzrok znad kartki, w zamyśleniu marszcząc brwi. Dlaczego Atto nie powiedział mi o tym zaraz po otrzymaniu listu od Marii?

Przebiegłem wzrokiem kilka dalszych zdań i czytałem dalej:

*Jego Świątobliwość uległ więc namowom pewnych stanowczych osób. Czy zdola jednak skutecznie przysłużyć się el Reyowi? Prawdę mówiąc, wątpię w to, drogi Przyjacielu. Co powie królowi Ojciec Święty, który zwykł powtarzać: „Odbiera się nam godność należną wikariuszowi Chrystusa i nie dba o nas”, o czym już Panu pisałam?*

W pośpiechu czytałem odpowiedź Atta, która dała mi jeszcze więcej do myślenia:

*Łaskawa Pani!*

*Już jakiś czas temu dowiedziałem się o kongregacji, o której mi Pani wspomniała, zajmującej się doradztwem w kwestii hiszpańskiej. Tu, w Rzymie, rzecz jest znana, zwłaszcza w dobrze poinformowanych kręgach. Gdyby Pani tu była i uczestniczyła w uroczystościach, przekonałaby się o tym osobiście...*

Wątpiłem w prawdomówność Atta. Może pragnął udowodnić Marii, że był o wszystkim poinformowany, żeby się przed nią nie skompromitować? Nieco dalej opat pisał:

*Początkowo Jego Świątobliwość wybrał kardynała Panciaticiego zamiast Spinoli, co byłoby lepszym rozwiązaniem dla Francji, jako że Spinola jest zwolennikiem cesarza. Panciatici musiał jednak wycofać się z powodów zdrowotnych, z tej samej przyczyny nie mógł wziąć udziału w uroczystościach weselnych w willi Spada.*

*W każdym razie została Pani poinformowana na czas. Jutro, 14 lipca, papież oficjalnie powierzy zadanie trzem kardynałom.*

Nie, Atto nie oszukiwał Marii, mówił prawdę. Okłamał natomiast mnie. Szczegóły, które tak dokładnie opisywał, świadczyły o tym, że już od dawna wiedział o dyplomatycznych posunięciach trzech eminencji, dotyczących prośby króla Hiszpanii, ale nie podzielił się ze mną tymi informacjami.

W pewnej chwili przypomniałem sobie o wczorajszej rozmowie trzech mężczyzn, czekających na rozpoczęcie spektaklu. Wynikało z niej, że ambasador Uzeda z pomocą kilku innych osób zdołał w końcu przekonać Innocentego XII. Nie powiedzieli jednak, do czego przekonać. Nie wymienili też nazwisk osób, które współpracowały w tym dziele z Uzeda - mówili tylko o „czterech szczwanym lisach”.

List pani konstablowej wszystko wyjaśniał: Innocenty XII nie chciał mieszać się w sprawy Hiszpanii, ale w końcu ustąpił pod presją hiszpańskiego ambasadora. Ale kim są „szczwane lisy”, jeśli nie naszymi trzema kardynałami? Oto dlaczego jeden z trzech gości, których rozmowę podśledzałem poprzedniego wieczoru, uciszył swoich znajomych, mówiąc na widok kardynała Spady: „o wilku mowa”.

Krótko mówiąc, trzej kardynałowie wywierali nacisk na umierającego papieża, aby powierzył im sprawę hiszpańskiej sukcesji. Najbardziej zastanawiające było jednak to, że kiedy 12 lipca papież Pignatelli dał się namówić do powołania kongregacji, oni już od tygodnia spotykali się potajemnie w „Okręcie”! Może opracowywali taktykę postępowania z Ojcem Świętym?

Najlepszym sposobem zatajenia ich wspólnej misji był udział w uroczystościach weselnych w willi Spada. Nikogo to nie dziwiło, że trzymają się razem: pan domu Spada oraz zaproszeni na wesele Albani



i Spinola. Nie mówiąc o tym, iż tak zrećnie organizowali wypadki do „Okreću”, że jak dotąd nie udało się nam przyłapać ich „na gorącym uczynku”.

Wszystko wskazywało na to, że biedny, stary papież już się nie liczył, jak stwierdzili trzej goście.

Poczułem rozgoryczenie. Okazało się bowiem, że Spada, jako sekretarz stanu, był z całym prawdopodobieństwem jedną z osób (podobnie jak sekretarz do spraw brewi Albani i szambelan Spinola z San Cesareo), które papież miał na myśli, mówiąc: „odbiera się nam godność należną wikariuszowi Chrystusa i nie dba o nas”.

Jaka była w tym wszystkim rola opata? To jasne: Melani śledził kardynałów, ale nie w związku z konklawe, lecz z sukcesją hiszpańską. Pragnął się dowiedzieć, czy podejmą decyzje korzystne dla Francji, a w razie konieczności miał podjąć działania na rzecz swojego króla. Gdybym nie przeczytał korespondencji Atta i Marii, o niczym bym nie wiedział.

Czując smutek i przygnębienie, czytałem dalej:

*...proszę jednak nie myśleć, że Jego Świątobliwość jest osamotniony. Jak mi doniesiono, są przy nim sekretarz stanu, sekretarz do spraw brewi i szambelan, którzy z najwyższym oddaniem zajmują się sprawami państwa. Nie oznacza to, że pozbawili Jego Świątobliwość pastorału, ale sumiennie i z pokorą wypełniają obowiązki powierzone im przez papieża. Proszę się nie obawiać!*

Ze zdenerwowania ścisnąłem mocno kartkę, ryzykując, że pozostaną na niej ślady mojej potajemnej lektury. Co za bezczelność! Atto nie tylko dobrze wiedział, co robili trzej kardynałowie podczas potajemnych spotkań w „Okreću” (mimo że nigdy ich tam nie widział), ale w dodatku mówił o tym przypoehlebnym, uniżonym tonem, choć jednym z trzech kardynałów był Albani, zaciekły wróg Atta. Ten sam, który działał w porozumieniu z Lambergiem, o czym dowiedzieliśmy się poprzedniego wieczoru od Ugonia.

Melani najwyraźniej coś przede mną ukrywał, ale co? Podjąłem lekturę listu. Opat nagle zmienił temat:

*Dość już tych błahych pogaduszek. Jak Pani wie, bardzo lubię zajmować się polityką, zwłaszcza jeśli mogę o niej porozmawiać (lub pisać)*

*z najbardziej czarującą, najszlachetniejszą z księżniczek. Z Panią mógłbym rozmawiać w nieskończoność, wszystko bowiem, co wychodzi z Pani ust lub spod Pani pióra, jest wspaniałe, czarujące, godne uwielbienia.*

*Przejdźmy do sprawy najważniejszej. Łaskawa Pani, jak długo jeszcze opierać się Pani będzie urokom willi Spada? Za dwa dni kończą się uroczystości weselne, a ja nie miałem dotąd sposobności, by uklęknąć u Pani stóp. Nie pisze też Pani, czy wróciła do zdrowia ani kiedy Pani przyjdzie. Czy pragnie Pani mojej śmierci?*

Jeśli przez litość nie zgasła w Tobie  
wrodzona cnota i wdzięk,  
nie odmawiaj mi, proszę,  
okrutna, ale piękna istoto,  
nie odmawiaj mi choć jednego oddechu,  
jednego westchnienia u mego boku.

*Jakiż to zazdrosny bóg kazał Ci odwrócić się od Lidiusza i zlekceważyć jego prośby? Jak Pani wie, jestem tu tylko dlatego, iż obiecała Pani Lidiuszowi, że przyjdzie.*

Oto cała prawda! Jak mogłem wątpić? Opat kochał Marię, a jego miłość mieszała się z miłością króla, którego był wysłannikiem. Za każdym razem, kiedy Atto poruszał temat swojego uczucia, twierdził, że wszystkie inne sprawy były tylko pretekstem do zamienienia kilku słów (na papierze) z ukochaną kobietą.

Nie było żadnej tajemnicy, tylko dawna miłość łącząca trzy osoby u schyłku życia. Wprawdzie opat zataił przede mną sprawę hiszpańskiej sukcesji, dając mi do zrozumienia, że spotkania trzech kardynałów wiązały się ze zbliżającym się konklawe, ale rzecz była niezwykle delikatna i Atto wołał, bym o niej nie wiedział. Przypomniałem sobie, że w czasach „Donzella” chętnie opowiadał mi o wydarzeniach sprzed lat, nic jednak nie mówił o swoich aktualnych planach. Jeśli się dobrze zastanowić, to czego innego mogłem się spodziewać po tak doświadczonego szpiegu? Musiałem przyznać, że jeśli opat Melani coś ukrywał, to kierowała nim wrodzona nieufność i zdolność przewidywania.

Zmieniłem więc podejście do przeczytanego przed chwilą listu, który nie wydawał mi się już tak podejrzany. Ugrzeczniiony ton, z jakim Atto wyrażał się o Albanim, można było tłumaczyć obawą opata, że ktoś

mógłby przypadkiem trafić na jego korespondencją i odkryć, iż śledził kardynałów na polecenie Arcychrześcijańskiego Króla.

Nadeszła pora, bym opuścił pokój opata. Włożyłem ostatni list tam, gdzie go znalazłem, czyli do kieszonki w peruce. Listy miłosne natomiast zabrałem ze sobą, aby porównać je z *Pastorem Fido* Guariniego. Po powrocie do domu położyłem się do łóżka, wyjąłem tomik i odnalazłem odpowiednie fragmenty. Kiedy wyobraziłem sobie Sylwiusza i Dorindę wypowiadających słowa zacytowane przez opata, uśmiechnąłem się w duchu. Byłem szczęśliwy, że kolejny raz moje przypuszczenia się potwierdziły. Ach, ten Atto,

okrutna, ale piękna istota

powtórzyłem w myśli. Po chwili pogrążyłem się we śnie, w tym tajemniczym stanie, w którym dusza karmi się cieniami i niewyraźnymi obrazami, odkrywając, że jest nieśmiertelna.

# Dzień ósmy

*14 lipca 1700 roku*

- Chce pan powiedzieć, że jestem głupcem?

Nieszczęsny Buvat zamilkł, speszony surowym tonem Atta. Tego rana opat dosłownie wychodził z siebie. Kiedy Buvat wrócił z wyprawy do miasta, my od godziny rozmawialiśmy o sposobie, który, gdyby udało nam się zmylić czujność ojców filipinów, pozwoliłby nam dostać się do stowarzyszenia oratonan. Gdy Buvat wtrącił się do dyskusji, Melani naskoczył na niego.

- Gdzieżbym śmiał! - bronił się sekretarz nieśmiało - tylko że...

- Tylko że co?

- Nie trzeba będzie mylić czujności ojców filipinów, jak pan powiedział, ponieważ oni niczego nie strzegą.

Spojrzeliśmy po sobie zdziwieni.

- Kolekcja Virgilia Spady, na przykład, przez niego samego umieszczona została w łatwo dostępnym miejscu. Jest rodzajem muzeum otwarte dla zwiedzających.

Buvat wyjaśnił nam, że Virgilio Spada, mimo że w młodości służył w armii hiszpańskiej, był człowiekiem bardzo religijnym i wykształconym, a także przyjaźnił się z architektem Borrominim, którego przed pięćdziesięciu laty wprowadził na dwór papieża Innocentego X. Papież zlecił Spadzie remont szpitala Santo Spirito in Saxia, a także mianował go swoim tajnym jałmużnikiem. Poza tym, ze względu na zalety duchowe, Spada został przyjęty do stowarzyszenia oratonan, które swą nazwę wzięło od oratorium kościoła San Girolamo in Carita, gdzie święty Filip Neri prowadził pierwsze spotkania religijne. Kolekcja Virgilia znajdowała się w siedzibie stowarzyszenia, w kościele Santa Maria in Vallicella.

- Skąd pan to wszystko wie, do licha? - zapytał Melani.

- Już mówiłem. Kilka dni temu, kiedy szukałem informacji o cerreta-

nach, udałem się między innymi do biblioteki Vallicelliana przy oratorium ojców filipinów, z którymi odbyłem długą, miłą rozmowę. Gdybym wiedział, że tak bardzo zależy panu na odnalezieniu tych trzech przedmiotów, rzuciłbym okiem na zbiory Virgilia Spady.

Melani spuścił wzrok, mruczając coś pod nosem.

- W porządku, Buvat. Proszę nas zaprowadzić do pańskich przyjaciół oratorian!

- Tu są chyba przedmioty, których szukacie - powiedział młody za konnik, przekręcając klucz w zamku wielkiej komody.

Sala, w której się znajdowaliśmy, była jasna i przestronna. Gablotki, skrzynie i półki wypełnione przeróżnymi przedmiotami nadawały jej surowy wygląd.

- Nikt nie wie, że kolekcja tu jest, może tylko ktoś z rodu Spada - dodał zakonnik, patrząc na nas z ciekawością, jakby pragnął się dowiedzieć, skąd my o tym wiemy.

- To prawda - odparł krótko Atto, nie udzielając wyjaśnień.

Byliśmy w oratorium filipinów, między placem Chiesa Nuova a wąską uliczką dei Filippini. Muzeum mieściło się w narożnej sali na drugim piętrze.

Obejrzelśmy całą kolekcję Virgilia Spady, na którą składały się rzymskie monety, medale z różnych epok, popiersia antyczne i współczesne, zegary słoneczne, wklęsłe lustro, wypukłe soczewki, gnomony, kawałki skały wulkanicznej, kryształy, błyszczące kamienie szlachetne, kły i pazury przedpotopowych bestii, zęby i kości zwierząt kopalnych, olbrzymie szczęki nieznanymi stworzeń, kręgi słoni, gigantyczne muszle i omulki, koniki morskie, wypchane ptaki i drapieżniki, rogi nosorożca, poroża jelenia, skorupy żółwi, jaja strusi, szczypce skorupiaków, lampy oliwne pierwszych chrześcijan odnalezione w katakumbach, tabernakula, wazy i amfory greckie, rzymskie i perskie, puchary, gliniane dzbany, łzawnice, kościane kielichy, chińskie monety, alabastrowe kule i tysiące innych osobliwości.

Po półgodzinnym zwiedzaniu z przewodnikiem (co było męczące, ale konieczne, ponieważ nie chcieliśmy wzbudzać podejrzeń, że interesują nas konkretne przedmioty) Atto zapytał wprost: czy w oratorium znajdują się trzy przedmioty - tu je wymienił - których Virgilio Spada nie włączył do kolekcji, choć miały one dla niego duże znaczenie.

Oratorianin zaprowadził nas do sali obok, gdzie naszym oczom ukazał się pękaty globus Capitor. Powstrzymując okrzyki zdziwienia, obejrzelismy go z uwagą, jak każdy inny eksponat.

- Nareszcie, chłopcze, nareszcie! - szepnął mi do ucha Melani, stając się nie okazywać radości.

Gdy przewodnik podprowadził nas ku kolejnemu przedmiotowi, którym był puchar z centaurem, także udaliśmy obojętność.

- Jest dokładnie taki jak na obrazie - zdążyłem szepnąć do Atta.

Najważniejsza dla nas chwila nastąpiła wtedy, gdy zakonnik przekręcił duży, czarny klucz, zwalniający mechanizm w zamku u drzwi, za którymi od niepamiętnych czasów zamknięty był trzeci podarunek. Oratorianin otworzył szafę i wyjął długi, ciężki przedmiot zawinięty w szare płótno.

- Oto i ona - powiedział. Położył przedmiot na stoliku i odwinął go. - Zamykamy ją na klucz, ponieważ jest bardzo cenna. Wprawdzie nikt nie wchodzi tu bez uprzedzenia, ale ostrożności nigdy za wiele.

Prawie nie słyszeliśmy tego, co mówił uprzejmy ojciec oratorianin. Czuliśmy, jak krew pulsuje nam w skroniach. Wbiliśmy wzrok w płótno, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy ujrzemy wreszcie przedmiot nasze-go pożądanego - Tetrachion.

W końcu spełniło się nasze pragnienie.

- Jest... przepiękna - wyrwało się Buvatowi.

- Wykonał ją holenderski mistrz, którego nazwisko pozostaje nieznanym - wyjaśnił kapłan.

Kiedy opadły pierwsze emocje, dostrzegłem niezwykle dekoracyjny brzeg tacy, ozdobiony rzeźbionymi egzotycznymi muszlami, a przede wszystkim cudowną kompozycję centralną, w której wóz zaprzężony w dwa trytony przecinał morskie fale. Na wozie siedziały obok siebie dwa bóstwa, których przyrodzenia zasłaniał płatek ze złota: Neptun i ne-reida Amfitryta, która trzymała lejce, tuląc się do małżonka. Wóz i bóstwa były ze srebra, natomiast cała taca była złota.

Kiedy oglądałem figurki bóstw, Atto pochylił się nad tacą, by przeczytać niewielki napis wyryty pod ich stopami. Poszedłem w ślady Atta i przeczytałem:

### MONSTRUM TETRACHION

- Chcecie obejrzeć inne eksponaty? - zapytał oratorianin, podczas gdy Atto, nie prosząc o pozwolenie, podniósł tacę i razem z Buvatem uważnie oglądał srebrne postaci bóstw.

- Nie, ojczcie, dziękujemy - odparł opat. - Musimy już iść. Chcieliśmy tylko zaspokoić naszą ciekawość.

- Słowo *monstrum* w tym kontekście znaczy „cudowny znak”. Ale jaki ma sens *monstrum Tetrachion*, „poczwórny cudowny znak”? - za stanawiał się Atto nad znaczeniem napisu na tacy.

Wyszliśmy z oratorium filipinów i idąc w stronę Tybru, zmierzaliśmy szybkim krokiem do „Okreću”. Dochodziło południe. Przed dwoma dniami Cloridia powiedziała nam, że o tej właśnie porze spotkają się tam trzej kardynałowie. Być może było to ich ostatnie spotkanie, nie mogliśmy więc stracić okazji, by ich podsłuchać, tym bardziej że dotychczasowe starania spełzły na niczym.

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytał Buvat, wyrywając Melaniego z zamyślenia.

- O co chodzi? - rzucił niecierpliwie Melani.

- Ośmielałem się zauważyć, że *monstrum Tetrachion* wcale nie znaczy „poczwórny cudowny znak”.

Opat, zaskoczony uwagą Buvata, otworzył szeroko oczy.

- Słowo *Tetrachion* pochodzi z greckiego, ale po grecku „poczwórny” brzmi *tetraplasios*, a nie *Tetrachion*. Nie należy mylić *Tetrachion* z *tetrachin*, przysłówkiem, który oznacza „czterokrotnie” - wyjaśnił sekretarz, wprawiając Atta w jeszcze większe zdumienie.

- Co więc znaczy *Tetrachion*! - zapytałem, widząc, że opat nie jest w stanie wypowiedzieć słowa.

- To przymiotnik, który należy tłumaczyć: „czterokolumnowy”.

- Czterokolumnowy? - powtórzyliśmy z niedowierzaniem obaj z Melaniam.

- Jestem pewien, ale można jeszcze sprawdzić w słowniku.

- Cztery kolumny... cztery kolumny... - powtarzał Atto. - Nie zauważyliście nic szczególnego w figurach morskich bóstw?

Buvat i ja milczeliśmy.

- Istotnie - odezwałem się po chwili. - Wyrzeźbione zostały w dość dziwnej pozycji. Siedzą na wozie obok siebie, Neptun trzyma lewą nogę między nogami Amfitryty, o ile się nie mylę.

- To nie tak - wtrącił Buvat. - Nie wiadomo, gdzie jest prawa noga Neptuna, a gdzie lewa noga nereidy, jakby postaci bóstw były ze sobą...

splecione. Mają wspólny bok czy nogę, nie wiem... Kiedy je ujrzałem, zdziwiłem się, że wyglądają jak jedna istota.

- Jedna istota? - powtórzył Atto w zamyśleniu. - Z czterema nogami - dodał po chwili.

- Cztery kolumny, cztery nogi - podsumowałem.

- Z językowego punktu widzenia to możliwe - zgodził się Buvat. Z natury nieśmiały, gdy miał okazję popisać się swoją erudycją, zmieniał się nie do poznania.

- A zatem, Buvat - powiedział opat - korzystając z pańskiej wiedzy, chciałbym zapytać, czy *monstrum Tetrachion* można przetłumaczyć jako „czworonożny potwór” albo „potwór z czterema łapami”?

Buvat zastanowił się, po czym oznajmił:

- Oczywiście. Po łacinie *monstrum* znaczy też „potwór”. Nie wiem tylko, dokąd nas to zaprowadzi...

- Dość już - przerwał mu Atto.

- Czymże więc jest *Tetrachion*? Czy chodzi o następcę hiszpańskiego tronu, czy o zwierzę? - zapytałem, zwracając się do Melaniego.

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, wiem jeszcze mniej niż przedtem. Czuję jednak, że niedługo znajdziemy odpowiedź. Zawsze tak jest: gdy próbuje się odkryć prawdę na temat jakiejś ważnej sprawy państwowej, wszystko wydaje się bardzo zagmatwane. Im bliżej rozwiązania, tym bardziej wszystko się zaciemnia. Później, zupełnie niespodziewanie, zaczynamy rozumieć.

Kiedy Atto mówił te słowa, przeszliśmy przez most na Tybrze i wspialiśmy się na wzgórze Janikulum.

- Brakuje tylko jednego elementu do ułożenia mozaiki - oświadczył Melani. - Musimy koniecznie dowiedzieć się, co oznacza to przekleństwo *Tetrachion*. Trzeba spytać o to pewną osobę. Mam nadzieję, że dotarła już do willi Spada. Mamy niewiele czasu. Musimy zdążyć przed spotkaniem Spady, Albaniego i Spinoli w „Okręcie”. Pośpieszmy się!

Poszukiwania w ogrodach willi zakończyły się niepowodzeniem. Jak powiedzieli nam służący, Romauli był w ogrodzie, ale nikt nie wiedział, gdzie go szukać. Tym bardziej że zawsze pracował pochylony, ukryty za żywopłotem.

- Już wiem - powiedział Atto. - Musimy sobie pomóc.

Zaprowadził nas do swojego pokoju. Ledwo weszliśmy do środka,



podbiegł do stołu i wziął do ręki znany nam przedmiot - lunetę. Wystawił ją przez okno i zaczął obserwować, ale bez skutku.

Wyszliśmy na zewnątrz i stanęliśmy po drugiej stronie pałacu. Tym razem, spojrzawszy przez lunetę, opat powiedział z satysfakcją:

- Mam cię, przekłety kwiaciarzu.

Wiedzieliśmy już, gdzie był Tranquillo Romauli.

Mistrz Kwiaciarz punktualny jak wschód księżycy i słońca, podlewał lilie świętego Antoniego. Kwiaty, zasadzone kilka dni temu, wymagały szczególnej troski. Kiedy stanęliśmy przed Tranauilem, uprzejmie się z nim witając, właśnie zraszał śnieżnobiałe kielichy lilii.

- Widzicie? Lilie należy podlewać obficie, ale nieprzesadnie - poinformował nas, nie odpowiadając na powitanie. - Właściwie powinny już przekwitać, ale ja wyhodowałem odmianę, która...

- Mistrzu Kwiaciarzu, pozwoli pan, że o coś spytamy - wtrąciłem uprzejmym tonem. - O coś na temat Tetrachiona.

- Tetrachiona? Mojego? - zdziwił się. Twarz rozjaśniła mu się na samą myśl o kwiecie.

- Tak, pańskiego. Chcielibyśmy wiedzieć, skąd zaczerpnął pan tę nazwę?

- To smutna historia - odparł w zamyśleniu, odstawiając konewkę.

Na szczęście wyjaśnienia nie trwały długo.

Świętej pamięci małżonka Mistrza Kwiaciarza była akuszerką (nauczyła tej sztuki moją Clorię, odebrała też jej obydwie porody). Gdy zmarła, poświęcił się ogrodnictwu, próbując zapomnieć o bólu. Po jakimś czasie krewni żony poprosili Tranquilla, żeby podarował im na pamiątkę kilka przedmiotów, które do niej należały.

- Dałem im klejnoty, dwa niewielkie obrazki, podobiznę świętego i fachowe książki.

- Podręczniki dla akuszerki? - spytał Atto.

- Tak. Opisane w nich były trudne porody, budowa anatomiczna kobiety i tym podobne - odparł Tranquillo.

- Z której książki zaczerpnął pan termin Tetrachion?

- Nie pamiętam, to było dawno. Wybrałem to słowo dlatego, że przypominało mi o mojej zmarłej żonie.

Dowiedzieliśmy się wystarczająco wiele.

- Bardzo panu dziękujemy i przepraszamy, że przeszkodziliśmy w pracy - powiedziałem.

Atto zmierzał już w kierunku bramy. Romauli patrzył na nas ze zdziwieniem.

Dogoniłem Melaniego, który szybkim krokiem zmierzał do bramy, nie racząc nawet spojrzeć na dwóch przechodzących obok kardynałów. Zgodnie z życzeniem opata Buvat wrócił do pałacu.

- Posłałem go po twoją żonę - oznajmił Melani. - Musimy znaleźć książkę, z której Mistrz Kwaciarczyk wziął tę nazwę. Chcę poznać tytuł, autora, numer strony, wszystko.

Szliśmy w kierunku „Okreću”.

- Do licha z Tranquille i jego paplaniną! Wiedziałem, że tak będzie. Znowu zniknęli!

Było południe. W willi Benedettiego po trzech kardynałach nie było śladu.

Znajdowaliśmy się na drugim piętrze pałacu i patrzyliśmy na oparty o ścianę obraz Pietera Boela.

- Wydaje się, że chodzi o błąd w sztuce - zauważył Atto.

Opat, pochylony nad płótnem, przyglądał się uważnie malarskiemu wizerunkowi tacy, którą widzieliśmy w oratorium.

- Jest tak, jak mówiłem: to, co na pierwszy rzut oka wydaje się prawą nogą Amfitryty, jest lewą nogą Posejdona - ciągnął Melani. - Z kolei lewa noga boga jest prawą nereidy.

- Miałem więc rację - wtrąciłem. - Po prostu założyli sobie wzajemnie nogę na nogę.

- Na początku też tak myślałem - odparł opat - ale przyjrzyj się palcom nóg.

Pochyliłem się nad obrazem.

- Rzeczywiście! Duże palce u nóg... - powiedziałem ze zdziwieniem. - Jak to możliwe?

- Układ palców przeczy twojej tezie, że Amfitryta i Posejdon nie mogą mieć założonych nóg, ponieważ prawa noga jest nogą nereidy, a lewa - Posejdona.

- Jakby złotnik źle przymocował nogi do postaci.

- Otóż to! Choć to bardzo dziwne w przypadku mistrza zdolnego wykonać takie arcydzieło, nie sądzisz?

- Musimy wrócić do oratorium ojców filipinów i ponownie przyjrzeć się tacy.

- To się na nic nie zda. Niestety, nie da się stwierdzić, do której postaci powinny być przymocowane obie nogi. Próbowałem to odkryć, oglądając oryginał, ale... Widzisz ten złoty płatek, który zasłania przyrodzenie bóstw?

- Tak, zauważyłem go.

- Złotnik przyspawał go na amen. Zastanawiam się, dlaczego...

Melani przerwał, krzywiąc się w grymasie niezadowolenia.

- To znowu on! Ten szalony Holender! Nie przestaje nas nachodzić.

Albicastro gdzieś w pobliżu grał na skrzypcach. Kolejny raz w salach „Okreću” dało się słyszeć dumny, niepokromiony motyw follii. Po chwili muzyk wszedł do sali, w której się znajdowaliśmy.

- Dziękuję za komplement, opacie Melani - powiedział spokojnie skrzypek, dając do zrozumienia, że słyszał komentarz Atta. - Telemach, syn Odyseusza, pokonał zalotników, udając obłąkanego.

Melani głęboko westchnął.

- Już mnie nie ma - oznajmił Albicastro, widząc, że Atto traci cierpliwość. - Pamiętajcie o Telemachu, przyda się wam!

Już drugi raz Holender mówił o Telemachu, ale ja nadal nie rozumiałem, o co mu chodzi. *Odyseję* Homera czytałem dawno temu. Pamiętałem, że Telemach udał szaleństwo, żeby pomóc Odyseuszowi rozprawić się z zalotnikami, którzy zamieszkali w jego pałacu, ale jaki z tego płynął wniosek?

- Panie Atto, co on chciał nam powiedzieć? - zapytałem, kiedy Albicastro wyszedł.

- Nic, to wariat - uciał Melani, zamykając z trzaskiem drzwi za Holendrem.

Wróciliśmy do obrazu. Po kilku sekundach znowu usłyszeliśmy dźwięki skrzypiec. Melani nie krył zniecierpliwienia.

- Na tacy z obrazu nie ma napisu - zauważyłem, by skierować uwagę opata na malowidło. - Widocznie artysta uznał, iż litery są za małe, żeby je odtworzyć.

- Słusznie - zgodził się Atto. - Możliwe, że Boel nie chciał ich namalować albo ktoś polecił mu, żeby tego nie robił.

- Dlaczego?

- Trudno powiedzieć. Być może to zamieszanie z nogami bóstw także jest zamierzone. Może ktoś sobie tego zażyczył?

- Ale dlaczego?

- Do stu diabłów, chłopcze! - zawołał Atto. - To są tylko przypuszczenia. Wysił od czasu do czasu mózgownicę i sam znajdź odpowiedź! A przede wszystkim powiedz temu szalonemu Holendrowi, żeby przestał wreszcie grać! Potrzebuję ciszy, żeby się skupić!

Zakrył uszy dłońmi.

Opat rzadko wpadał w złość. Szczerze powiedziawszy, Albicastro wcale nie grał głośno. Mnie to nie przeszkadzało. Odniosłem wrażenie, że prawdziwym powodem zdenerwowania Atta nie była głośna muzyka, ale motyw follii. A może - zastanawiałem się - irytował go sam Albicastro, osobliwy skrzypek i żołnierz, i jego filozofowanie. Nieczęsto Atto nazywał kogokolwiek wariatem. Uczynił to w stosunku do Albicastro, który, nawiasem mówiąc, nie był jego wrogiem. Opata drażnił najwidoczniej sposób bycia Holendra.

- Już do niego idę... - powiedziałem i zamilkłem, bo opat zniknął.

- Dajmy temu spokój! Poszukam sobie dogodniejszego miejsca - usłyszałem jego głos.

Myślałem, że znajdę go w głównym saloniku na drugim piętrze, pomiędzy czterema apartamentami, ale kiedy tam dotarłem, opata nie było. Zastanawiałem się, czy nie zszedł piętro niżej. Podeszedłem do głównych schodów, z dołu nie dochodził żaden szmer. Skierowałem się do schodów dla służby, gdzie usłyszałem odgłos kroków Atta.

- Mam tego dość... - narzekał głośno, wchodząc po schodach.

Kiedy zacząłem wspinać się na górę, zrozumiałem, dlaczego Atto się żalił. W dniu, w którym poznaliśmy Albicastro, na wąskich kręconych schodach dźwięki jego skrzypiec brzmiały wyjątkowo głośno, echo bowiem zmieniało je w nieznośny harmider. Wskutek pogłosu panującego w wąskiej klatce schodowej melodia grana na jednych skrzypcach brzmiała tak, jakby była grana na pięćdziesięciu, a nawet stu instrumentach. Prosty, linearny temat follii zmieniał się w głośny, przejmujący kanon, który dochodził ze wszystkich stron, całkowicie pochłaniając słuchacza, podobnie jak kręcone wąskie schody. Wchodząc na górę, czuliśmy się osaczeni przez muzykę: Atto, który przed nią uciekał, i ja, idący kilka kroków za nim.

- Dokąd pan idzie?! - zawołałem, starając się przekrzyczeć ogłuszającą orkiestrę tysiąca Albicastro, niespokojnych duchów, które opanowały klatkę schodową.

- Powietrza! Potrzebuję powietrza! - odpowiedział. - Duszę się.

Melani zakasłał raz i drugi, aż w końcu zaniósł się gwałtownym kaszlem, dobywającym się głęboko z gardła. W „Okręcie” było rzeczywiście pełno kurzu, ale ta szybka, nerwowa wspinaczka w górę świadczyła raczej o ponurym nastroju Atta. Najwidoczniej ogarnęło go głębokie przygnębienie, z którego pragnął się otrząsnąć, uciekając od dźwięków follii.

- Może otworzymy okno! - krzyknąłem.

Nie otrzymałem odpowiedzi, opat zapewne mnie nie usłyszał. Zauważyłem ze zdziwieniem, że w miarę wspinaczki muzyka stawała się coraz głośniejsza, mimo że początkowo sądziłem, iż dochodzi z dołu.

- Na gorze jest jeszcze jedno piętro, dla służby! - zawołałem, próbując dogonić Melaniego.

Kiedy dotarłem na najwyższą, trzecią kondygnację, Atta tam nie było.

Przed dwoma dniami byliśmy na tym piętrze, ale weszliśmy schodami głównymi, które tutaj się kończyły. Tymczasem okazało się, że schody dla służby biegną wyżej, na taras pałacu.

Pokonałem ostatnie wąskie stopnie. Jak dusza, która trafiła do nieba, uszedłem przed mrokiem schodów i nieopisanym harmidrem follii, wychodząc na jasno oświetlony zbawienny taras.

Wycieńczony Melani siedział na podłodze, pokaszując, jakby zakrztusił się dymem.

- Przeklęty Holender! - wymruczał pod nosem. - Niech szlag trafi jego i jego muzykę!

- Dostał pan ataku kaszlu - zauważyłem, pomagając mu się podnieść.

Opat nic nie odpowiedział. Rozejrzał się wokół i oniemiał z zachwytu nad urodą miejsca, w którym się znaleźliśmy. Taras otoczony był murem, na którym stały kamienne wazy ozdobione motywami roślinnymi. Przez owalne otwory w murze można było podziwiać rozległą panoramę i pobliskie wille. Naroże tarasu wieńczyły niewielkie charakterystyczne kopy, widoczne z daleka, pokryte wielobarwną majoliką. Czasze zdobiły wiatrowskazy zakończone krzyżem.

- Nie spodziewałem się, że z tarasu rozciąga się taki cudowny widok. Przepiękne miejsce, naprawdę, i takie spokojne!

Laska, którą trzymał w ręku, drżała. Atak kaszlu, choć trwał krótko, wyraźnie zmęczył opata. Znowu wydał mi się starym, zniszczonym człowiekiem, jak podczas naszego pierwszego spotkania po latach.

Podeszliśmy do krótszego boku tarasu, od strony południowej, wychodzącego na ulicę San Pancrazio, z której wchodziło się do „Okrętu”.

Oparliśmy się o żelazną balustradę rzeźbioną w motywy roślinne i przez kilka minut podziwialiśmy wspaniały widok - na pierwszym planie sosny i winnice wokół „Okrętu”, dalej majestatyczne mury Wiecznego Miasta z bramą San Pancrazio i na horyzoncie srebrzyste błyski promieni słonecznych na morskich falach.

Przeszliśmy na północną stronę tarasu, gdzie wznosiła się niewielka wdzięczna konstrukcja: mały domek z galeryjką, której narożniki zdobiły stylizowane potrójne lilie francuskie. Na galeryjkę wchodziło się po żelaznych drabinkach, przymocowanych do bocznych ścian domku.

Wspięliśmy się po drabince po lewej stronie. Roztaczający się przed nami widok zapierał dech w piersiach. Widzieliśmy niemal cały Rzym, triumf symboli wiary. Podziwialiśmy kopuły kościołów, las krzyży, strzeliste iglice, majestatyczne dzwonnice, różowe dachy budowli, a za nimi wzgórze, które od wieków strzegą kolebki chrześcijaństwa. Przypomniałem sobie, co opowiedział mi opat o Virgiliu Spadzie: otóż doradził on Benedettiemu, by wybudował willę - twierdzę mądrości, która miała nakłonić zwiedzających do refleksji nad wiarą i rozumem.

Spojrzałem na ogrody „Okrętu”, na dużą altanę z winorośli przy alei wejściowej. Jak zauważył opat, Benedetti przyjmował gości winogronami, chrześcijańskim symbolem odrodzenia.

- Znajdujemy się na dziobie okrętu - oznajmił Atto.

Zgodnie z symboliczną budową willi galeryjka była odpowiednikiem pokładu.

Niczym kapitan na mostku, spoglądaliśmy na wzgórze Watykanu, strzegącego wiecznotrwałych wartości. „Okręt” zwracał dziób w stronę pałaców apostolskich, jakby mówił: ja też strzegę wieczności. Słusznie - zastanawiałem się - przecież „Okręt” był miejscem, w którym nastąpiło odrodzenie, odnowienie więzów między przeszłością a teraźniejszością. Dowodem na to były zjawy młodego Ludwika i jego ukochanej Marii, które widzieliśmy w ogrodzie, jak również zjawa nadintendenta Fouqueta, pogodnego, beztroskiego, niedotkniętego oszczerstwami i nieszczęściem. Wizje, których byliśmy świadkami, stanowiły zadośćuczynienie za wyrządzone tym ludziom krzywdy, a „Okręt” był miejscem, w którym rozegrało się to, co tak naprawdę nigdy się nie wydarzyło.

Właśnie ze względu na tę wyjątkową rolę statek dopominał się o należne mu miejsce blisko Watykanu. Bazylika Świętego Piotra była ostoją wiary, „Okręt” natomiast - bastionem sprawiedliwości, której zadała gwałt historia.

Kiedy zachwyciałem się widokiem z tarasu, wystawiając się na podmuchy wiatru, przez krótką chwilę poczułem się jak na pokładzie cudownej arki, która ocali szczęście i przeniesie je w inny czas.

Kiedy tak unosiłem się na skrzydłach fantazji, Atto sprowadził mnie na ziemię:

- Mam nadzieję, że chociaż ty coś z tego pojąłeś.

Domyśliłem się, o co mu chodzi.

- Nie bardzo - odparłem. - Zrozumiałem tylko tyle, że jakiś czworo-  
nożny potwór ma objąć tron Hiszpanii. Ale to nie ma najmniejszego sensu.

- Wiem. Cały czas o tym myślę, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Obawiam się, że dopóki twoja żona nie zdobędzie dla nas książki, o której wspomniał Tranquillo Romauli, do niczego nie dojdziemy.

- Jestem pewien, że niedługo nam ją przyniesie.

- Chodźmy! - powiedział Melani. - Chcę jeszcze raz rzucić okiem na obraz.

W tej samej chwili dokonał odkrycia.

- Spójrz! - zawołał.

Można je było dostrzec tylko z tego miejsca, gdzie się teraz znajdowaliśmy. Żaden inny punkt na terenie całej willi nie był umieszczony wystarczająco wysoko, w dodatku w kierunku północno-zachodnim, jak drabinka, po której schodziliśmy. Tylko stąd widać było małe drzwiczki w murze otaczającym ogród, przez które można było wyjść na ulicę. Wyjście zasłaniały pnącza i krzaki jeżyn. Przejście znali tylko wtajemniczeni. Dokąd prowadziło? Mogliśmy się o tym przekonać, w tej samej bowiem chwili niewielka grupka osób, zapewne eskorta kogoś z trzech kardynałów, wchodziła przez podobne drzwiczki w murze otaczającym inną willę, po drugiej stronie ulicy, należąca do szlachcica z Genui o nazwisku Torre.

Kiedy wytrzymałem wzrok, zobaczyłem naszych trzech kardynałów, którzy najspokojniej w świecie spacerowali w ogrodzie.

- Oto dlaczego Spada, Spinola i Albani wyznaczają sobie spotkania w „Okręcie” - oświadczył Atto. - W ten sposób udaje im się zmylić tych, którzy ich śledzą, włącznie z nami. Wchodzą na teren „Okrętu” i nagle znikają. W rzeczywistości spotykają się w willi Torre. Dla twojego pana, kardynała Spady, jest to najlepsze rozwiązanie, bo kryjówka w sam raz na potajemne zebrania, czyli willa Torre, oraz „Okręt”, gdzie tropiciele gubią ślad, znajdują się niedaleko jego majątku.

Opat Melani ani na chwilę nie spuszczał z oczu trzech purpuratów. W pewnym momencie wyciągnął szyję i wyteżył wzrok, chcąc ich lepiej widzieć. Byli jednak zbyt daleko. Nasz wyjątkowo korzystny punkt obserwacyjny okazał się nie wystarczając. Melani puknął się w czoło:

- Ale ze mnie głupiec!

Po tych słowach sięgnął za pazuchę i wyjął długi, wąski przedmiot - lunetę. Przez cały czas miał ją przy sobie, od chwili gdy poszukiwaliśmy Romaulego w ogrodach Spady, skąd udaliśmy się prosto do „Okreću”.

Spojrzał przez lunetę, po czym podał ją mnie.

- Patrz i ucz się!

Zbliżyłem przyrząd optyczny do oka.

Spada i Albani jeden przez drugiego mówili coś do kardynała Spinoli, który kręcił głową, jakby się wahał. Po słowach Albaniego skinął głową, ale bez przekonania, tak mi się przynajmniej wydawało. Albani wziął go pod rękę, najwyraźniej bardzo z czegoś zadowolony, po czym cała trójka kontynuowała spacer. Atto zabrał mi lunetę i sam przez nią popatrzył.

Dzięki listom Melaniego i Marii, które przeczytałem poprzedniego dnia, epizod ten był dla mnie jasny. Trzej kardynałowie mieli udzielić Jego Świątobliwości Innocentemu XII rady w sprawie hiszpańskiej sukcesji, aby mógł w jak najwłaściwszy sposób odpowiedzieć na prośbę o pomoc, z którą zwrócił się do niego król Hiszpanii Karol II. Musieli zatem dojść do porozumienia, co miało duże znaczenie polityczne wobec zbliżającego się konklawe, które mogło przyczynić się do ich kariery albo klęski. Spinola najwyraźniej nie podzielał zdania pozostałych dwóch prałatów.

Spojrzałem na Atta, uważnie obserwującego kardynałów. Był zmartwiony i wiedziałem, dlaczego. Czy spotkania, podczas których niemal z całą pewnością rozstrzygał się wynik przyszłego konklawe, były bezstronne? Jak powiedział Ugonio, Albani działał w porozumieniu z ambasadorem cesarza, hrabią Lambergiem. Spada był sekretarzem stanu papieża z Neapolu, sprzyjał więc Hiszpanom. Z kolei Spinola, jak dowiedziałem się z ostatniego listu opata, popierał cesarza. Wyglądało na to, że nikt nie reprezentował interesów Francji. Melani nie miał więc powodów do radości. Jakby tego było mało, Lamberg i Albani weszli w posiadanie traktatu o tajemnicach konklawe i prawdopodobnie chcieli się nim posłużyć przeciw opatowi.

- Co teraz zrobimy? - zapytałem.

- Nie ma sensu tu węszyć, bo zauważą nas strażnicy willi Torre.



- Zatem?

- Poddaję się. Uroczystości w willi Spada dobiegają końca, jutro wszyscy goście wyjadą. Nigdy nie dowiemy się, co knują trzej kardynałowie.

Spokojny ton, z jakim Melani mówił o rezygnacji, potwierdził moje przypuszczenia. Wiedziałem, że za jego obecnością w willi kryje się nie kwestia konklawe czy sukcesji, lecz miłosa misja, którą powierzył mu Arcychrześcijański Król, by przekonał Marię Mancini, żeby zechciała się z nim zobaczyć.

- Przyjrzyjmy się jeszcze raz obrazowi - powiedział po chwili - choć nie sadzę, żeby coś nowego odkrył. Później dowiemy się, czy Buvat rozmawiał z Clorią.

Zeszliśmy po żelaznej drabince. W chwili, gdy stanęliśmy u szczytu schodów dla służby, którymi mieliśmy się dostać na drugie piętro, usłyszeliśmy następujące słowa:

Zwierciadłem głupoty przedmiot ten nazwałem,  
Bo każdy głupiec, jak się przekonałem,  
Dostrzega w nim siebie samego, Pewien, że  
wszyscy wokół podobni są do niego.

Był to znajomy, choć lekko przytłumiony głos Albicastra. Dochodził z domku z galeryjką.

- Znowu ten szalony Holender - jęknął Melani. - Nie wystarcza mu już granie na skrzypcach, dołożył jeszcze wiersze tego przekłętą Branta. - Ale co on tam robi, a przede wszystkim jak dostał się do środka? - irytował się opat.

- To dziwne. Gdyby wszedł na taras, zobaczylibyśmy go - zauważyłem.

- Do diabła! - powiedział Melani, otwierając drzwi prowadzące do domku, których wcześniej nie zauważyliśmy. Właśnie tam wszystko się wydarzyło.

W domku Albicastra nie było. Wewnątrz było mroczno. Światło wpadało przez dwa okna w ścianie frontalnej, od strony Bazyliki Świętego Piotra, ale szyby były częściowo zadymione. Ograniczony dostęp dziennego światła miał (jak podejrzewałem) utrudnić ruchy osobie, która znaj-

dowała się w środku. Pośrodku czworokątne wnętrza wznosiły się dwie kolumny, podtrzymujące niewielką galeryjkę. Staliśmy obok siebie, ramię przy ramieniu. Obecność Atta w tym dziwnym miejscu dodawała mi odwagi. Po kilku minutach ponownie usłyszeliśmy Albicastra:

Kto w lustro uważnie patrzeć umie, Po  
pewnym czasie zrozumie, Że błąd  
popelnia, uznając się za mądrego I od  
tego, kim naprawdę jest, lepszego.

Głos muzyka brzmiał bezbarwnie, bez wyrazu. Zacytowane wersy świadczyły o dziwactwie Albicastra. Odniosłem wrażenie, że dźwięki pochodzą z jakiegoś innego wymiaru, w którym zmieniają swoje właściwości, tak jakby wypowiadał je duch Albicastra (to porównanie najlepiej oddaje jego naturę). Głos dochodził z lewej strony.

Odwrociliśmy się więc w lewo i zobaczyliśmy go. Był tam, a właściwie obaj tam byli i patrzyli na nas. Jakże okrutne, a zarazem komiczne było to uściślenie - pomyślałem w przyływie czarnego humoru, wymieniając spojrzenie z podwójną istotą. Do fantasmagorycznego głosu Albicastra dołączył widok Tetrachionu - zwierzęca postać, fizyczna i materialna.

Patrzyliśmy na siebie w osłupieniu. Spoglądałem na charakterystyczny podbródek Habsburgów, szeroką szczękę mocno wysuniętą do przodu, oczy, z których jedno było zapadnięte, krzywą szyję, niekształtne ciała: jedno szczupłe, jak w przypadku wszystkich wybryków natury, drugie nabrzmiące, zrośnięte bokami, straszliwie wykrzywione, splecione ze sobą nogi, przypominające macki morskiego potwora.

Nie mogąc wymówić słowa, uniosłem rękę, jakbym chciał zasłonić oczy. W tej samej chwili biedne stworzenie (a właściwie jedno z dwojga, ale nie wiedziałem, które) dało mi znak, może pożegnania, może prośby, żebym zostawił je w spokoju. Jego członki zniekształciły się jeszcze bardziej, jakby były z rtęci: podbródek jednego osobnika cofnął się, podczas gdy czoło drugiego wysunęło się do przodu, klatka piersiowa wygięła się w straszliwym skurczu, a uniesiona dłoń drugiego osobnika zmieniła się w łapę, kopyto, kikut. Jakaż odrażająca, ohydna siła tak straszliwie zdeformowała te członki, te kości? Przyszły mi na myśl wypchane zwierzęta, których skórę jakiś okrutny człowiek napełnił trocinami, nadając im pożądany kształt.

Jakby drwiąc sobie ze smutnego widoku *monstrum Tetrachion* i nasze-

go przerażenia, Albicastro ponownie przemówił. Szyderczy ton jego głosu przywołał na myśl groteskowe malowidła, w których śmierć - szkielet z kosą w ręku - przechadza się spokojnie wśród dam i wystrojonych kawalerów, szykując się do żniwa:

Mając w pamięci głupców brednie, Stoję  
przed lustrem, a moja twarz blednie, Bo  
widzę w niej osła i mina mi rzednie.

W jednej chwili ogarnął nas strach, szaleństwo, rozpacz. Zacząłem krzyczeć z przerażenia. Rzuciliśmy się z Melanim do ucieczki, w dół, po schodach, po czym, nie bacząc na nic, wybiegliśmy na ulicę. Uświadomiliśmy sobie, że tajemniczy „Okręt” zamieszkiwały potwory, kalekie stworzenia, śmierć.

- Wiecie, kim jest Ulisse Aldrovandi?
- Nie - odparłem cichym, smutnym głosem.

Znajdowaliśmy się w pokojach Atta, w willi Spada, gdzie przed chwilą dołączyli do nas Buvat i Clordia. Nogi trzęsły mi się jeszcze ze strachu, ale byłem na tyle przytomny, że docierały do mnie głosy innych osób.

- Co ci jest, mój mężu?
- Nic, nic - powiedziałem, wskazując jej spojrzeniem zamyślnego Atta, a jednocześnie dając Clordii do zrozumienia, że opowiem jej o wszystkim później. - Mów!

Clordia nie znalazła wprawdzie książki, ale zdobyła informacje na temat Tetrachionu.

- Pański sekretarz, opacie Melani, poprosił mnie o pomoc w bardzo ciekawej sprawie - oświadczyła.

- Dlaczego ciekawej?
- Bo dotyczy dość osobliwej materii, na której zna się niewiele osób. Akuszerki, na przykład, nie mają obowiązku tego wiedzieć, mimo że znamy się po trosze na wszystkim: medycynie, anatomii, filozofii naturalnej... - powiedziała Clordia z mądrą miną.

- Cóż to za materia?
- Nauka o zdeformowanych płodach i wybrykach natury, krótko mówiąc, nauka o potworkach.

- Potworkach? - spytał Atto. Na jego twarzy przez chwilę pojawił się taki sam strach jak na widok tetrachionu.

Clordia wyjaśniła, że na ten temat napisano wiele naukowych dzieł. Najbardziej wyczerpująca była praca *Dewc liwes de chirurgie* Ambrogia Paré, pierwszego chirurga króla Francji, opublikowana ponad sto lat temu, oraz *Monstrorum historia* - najnowsze dzieło Ulisse Aldrovandiego, uczonego z Bolonii, zawierające wykaz najstraszniejszych wybryków natury.

- Jak na przykład słynny Etiopczyk z dwoma parami oczu lub czło wiek, który urodził się z szyją i głową żurawia, czy inny z głową psa... - powiedziała moja żona, ciekawa naszych reakcji.

Lista potworków była długa. Figurowały na niej owłosione dziewczynki, niemowlęta z końskimi nogami, noworodki z rybim ogonem zamiast nóg, istoty przypominające skorpiona, ze zniekształconymi uszami, dwiema dłońmi u jednego ramienia, oślimi uszami i wilczym pyskiem, albo dzieci z głową i nogami kozła, z łapami drapieżnika, więcej niż dwoma sutkami, ze skrzydłami diabła, szponami orła i tułowiem psa, syreny (płci męskiej) z głową diabła, rogami, kozłimi uszami, z wielką zwierzęcą paszczą, z rozszczepionym językiem jak u węża, dłońmi z jednym palcem, z płetwami na ramionach i grzbiecie, z foczym tułowiem, jak również istoty z rozdętym brzuchem, z jedną nóżką świńską, a drugą kurzą, z jedną ręką ludzką, a drugą zakończoną kopytem, z osłą lub kogucią głową i opierzonym ciałem. Wykaz obejmował też przerażające rybo-świnie z błoniastymi lub szponiastymi płetwami i ludzkimi oczami, sterczącymi pośród łusek na bokach, z długimi kłami. Na końcu listy znalazł się *monstrum cornutum & alatum* z niedźwiedzim pyskiem, z olbrzymim, spiczasto zakończonym penisem, z jedną nogą pokrytą piórami, z orlimi skrzydłami u ramion, jednym okiem na kolanie i lewą stopą w kształcie płetwy.

- Dość! Wystarczy! - zaprotestował Atto, któremu zrobiło się niedobrze od tej wyliczanki, podobnie jak mnie. - Przejdźmy do Tetrachiona, czym on właściwie jest?

- Tetrachion, opacie Melani - powiedziała moja małżonka nieco przemądrzałym tonem - jest równie odrażający jak istoty, o których przed chwilą mówiłam.

- Dlaczego?

- Bo Tetrachion to też wybryk natury. Określenie to pochodzi z 1546 roku. W Paryżu pewna kobieta wydała na świat, po sześciu miesiącach

cięży, istotę o dwóch głowach, czterech ramionach i czterech nogach. Doktor Parć, który opisał ten przypadek, zbadał noworodka i stwierdził, że ma on tylko jedno serce. Powołując się na Arystotelesa, francuski lekarz oświadczył, że w istocie dziecko jest jedno, a nie dwoje. Wadę rozwojową spowodował prawdopodobnie brak białka w organizmie matki lub wadliwa budowa jej macicy, która była za mała. Natura stworzyła dwoje dzieci, ale ściśnięte płody zrosły się.

- Płody, a właściwie jeden płód... miał... cztery nogi? - spytał Atto.
- Dwie głowy, cztery ramiona i tyleż nóg.

Atto spuścił wzrok i zmarszczył brwi, przypominając sobie potwora, którego widzieliśmy w „Okręcie”.

- Istnieją też inne przykłady Tetrachiona, nieco mniej drastyczne - oznajmiła Cloridia.

- Jakie?

- Takie jak bliźnięta o zrosniętych tułowiu albo połączone jedną kończyną, ramieniem czy nogą. Po urodzeniu nie można ich jednak rozdzielić, gdyż mogłyby umrzeć. Muszą zatem tak żyć. Bezpiecznie można je zoperować dopiero wtedy, gdy są dorosłe. W najgorszym razie będą kulawe.

Nie potrafiłem z całkowitą pewnością stwierdzić, czy istota (lub istoty), na którą natknęliśmy się w domku na tarasie „Okrętu”, odpowiadała opisowi mojej mądrej małżonki, gdyż ze strachu prawie nic nie widziałem. Zgadzał się jednak pewien szczegół: liczba cztery. Tetrachion był stworzeniem o czterech kończynach dolnych, w przeciwieństwie do rzeźbiarskiej wersji (oczywiście stylizowanej i upiększonej) pary morskich bóstw z tacy Capitor.

- Bywają gorsze rzeczy - zauważyła Cloridia.

- Gorsze? ... - powtórzył zaskoczony opat. - Co pani ma na myśli?

Cloridia wyjaśniła, że ma na myśli przerażające stworzenia; *monstrum triceps capite Vulpis, Draconis & Aquilae*, które swego czasu krążyły nad brzegami Nilu. Miały jedno ludzkie ramię, orlą łapę, koński ogon, opierzone nogi zakończone stopami, zamiast nóg płetwę i psią nogę oraz trzy głowy. Albo *monstrum bifrons*, którego pewna Francuzka urodziła w Genui w 1555 roku: miał dwie twarze jak bóg Janus, po dwie pary ramion i nóg. Albo *monstrum biceps caudatum*, urodzony 26 października 1598 roku w miasteczku pomiędzy Augerią i Tortoną. Na świat przyszli dwaj chłopcy zrosnięci bokami. Każdy z nich miał po jednym ramieniu, nodze i głowie, pośrodku zaś, w miejscu pozostałych dwóch nóg, olbrzymią obrzydliwą narośl.

- Proszę mi powiedzieć, pani Cloridio - przerwał Melani - dlaczego rodzą się podobne potwory.

Moja małżonka wyjaśniła, że aby nastąpił prawidłowy poród, musi być spełnionych pięć warunków: dziecko rodzi się zdrowe, w odpowiednim czasie, bez powikłań, z zachowaniem czystości. Jeśli choć jeden z tych warunków nie zostanie spełniony, poród uznaje się za nieprawidłowy. Częściowo zdeformowanego noworodka określa się mianem potworka, a jeśli jest mocno zniekształcony - wybrykiem natury.

Najistotniejsze znaczenie ma jednak wyobraźnia matki. Ciężarne kobiety niekiedy tak bardzo pragną dziecka, że nadają mu w wyobraźni upragniony kształt. Jakaż matka mogłaby pragnąć potworka? A jednak się rodzą, ponieważ w tym przypadku pragnienie matki się nie liczy - jeśli bardzo się czegoś przestraszy, wyda na świat potworka.

- Podobne zjawisko spotykamy na co dzień. Kiedy zobaczymy, że ktoś ziewa, zaczynamy ziewać i my, na widok wina lejącego się z beczki przychodzi nam ochota oddać moc. Jeśli przez przypadek wzrok padnie na czerwoną tkaninę, zacznie nam lecieć krew z nosa, a kiedy zobaczymy, że ktoś pije medykament albo go sporządza, puszczaemy wiatry. Kiedy obok ciała zamordowanego człowieka pojawi się jego zabójca, rany nieboszczyka zaczną krwawić.

Atto nie zaprzeczył słowom Cloridii. On również wierzył w pewną teorię (lotnych cząsteczek), tłumacząc nią pojawienie się w ogrodach „Okrętu” postaci Fouqueta, Marii i Ludwika. Być może zgadzał się też z tezą, że wyobraźnia matki może nadać dziecku noszonemu pod sercem taką, a nie inną formę.

- Akuszerka musi jak najszybciej udzielić chrztu potworkowi - ciągnęła Cloridia - ponieważ na ogół żyje on krótko. Ścisłej mówiąc, musi dwukrotnie ochrzcić stwora o dwóch głowach i tułowiach, a tylko raz, gdy ma on cztery ramiona lub nogi.

Jeśli jedna część istoty podobna jest do człowieka - tłumaczyła moja małżonka - należy ochrzcić ją w pierwszej kolejności, dopiero później tę drugą, ale *sub condicione*, to znaczy, że chrzest będzie ważny tylko wówczas, gdy Bóg obdarzył duszą także drugą część monstrum.

- Jak pan widzi, kwestia wybryków natury jest niezwykle ciekawa - zauważyła Cloridia. - Zwłaszcza jeśli opowiada się o nich kobiecie, która dopiero co wydała na świat zdrowe, śliczne dziecko. Kiedy odpoczywa po trudach porodu, w oczekiwaniu, aż akuszerka przetnie pępowinę i umyje je noworodka, historie o wybrykach natury podnoszą ją na duchu.

- Podnoszą na duchu? - zdziwił się pozieleniały na twarzy Atto, jakby miał zaraz zwymiotować.

- Oczywiście - zapewniła moja małżonka. - Położnicy przytacza się przykłady zabawnych potworków, na przykład z głową psa, cielaka, słonia, jelenia, owcy lub barana, z kozłimi nogami lub innymi zwierzęcymi częściami ciała, albo takich, które mają więcej członków niż normalny człowiek, jak wasz Tetrachion, oraz osobliwości będących połączeniem dwóch różnych gatunków, jak centaury o postaci konia z torsem człowieka czy minotaury o ludzkim ciele z głową byka, czy wreszcie onacentaury, do połowy osły. Istnieje też legenda o Gereonie, królu Hiszpanii z trzema głowami, który...

- Co takiego? - wtrącił Melani. - Trójgłowy król Hiszpanii?

- Tak - przyznała moja żona, widząc ożywienie Atta. - Podobno były to zrosnięte ze sobą trojaczki, które panowały bardzo zgodnie.

- Proszę powiedzieć coś więcej o Gereonie - poprosił Atto, przecierając chusteczką zroszone potem czoło.

- Nie było to znów takie dziwne - stwierdziła Cloridia - jeśli weźmie się pod uwagę, że herb królów Hiszpanii przedstawia dwugłowego orła, który nawiązuje do zdeformowanych bliźniąt z domu Habsburgów, urodzonych bardzo dawno temu.

Wstrzymałem oddech. Nadeszła chwila, w której należało opowiedzieć Cloridii o tym, co widzieliśmy. Atto jednak milczał. Wyczułem, że po prostu wstydzi się mówić o tym niewiarygodnym zdarzeniu. Poza tym musiałby nadmienić o naszej haniebnej ucieczce. Ja również milczałem, nie chcąc zdradzić naszej wspólnej tajemnicy.

Hiszpania - ciągnęła Cloridia - była krajem, gdzie uważnie badano zdeformowane płody. Antonio Torquemada w dziele *Ogrody ciekawych kwiatów* pisał między innymi o tym, że z kobiet zapłodnionych przez niedźwiedzia lub pawiana rodzą się ludzie doskonali i rozważni. Przytoczył przykład Szwedki, która uległa niedźwiedziowi, oraz Portugalki skazanej na śmierć na pustyni, gdy zaszła w ciążę z pawianem. Obydwie kobiety urodziły zdrowych synów. Podobnie było w przypadku kobiety i psa, którzy jako jedyni uratowali się z tonącego statku płynącego do Indii Wschodnich. Dotarli na bezludzie o nazwie Tartaria, gdzie pies ratował kobietę przed atakami dzikich zwierząt. Ze związku kobiety i psa urodził się chłopczyk. Gdy dorósł do wieku męskiego, współżył z matką, płodząc mądre, doskonałe dzieci. Z czasem potomkowie psa zapełnili całe królestwo. Na pamiątkę swojego cesarza nazywają Wielkim Psem.

- Od razu nasuwa się porównanie z rodem Scaligerich, władców Werony - ciągnęła Cloridia, coraz bardziej rozbawiona naszym zdziwieniem - którzy najwidoczniej pochodzą od psa, skoro w nazwiskach członków tej rodziny występuje słowo *cane* - pies, lub *cangrande* - duży pies.

Wkrótce opat pożegnał się z nami. Przyjrzałem się mu: był wyczerpany. Straszliwe przeżycie, jakiego doświadczyliśmy w „Okręcie”, bardzo go osłabiło. Potrzebował odpoczynku. Poza tym był to ostatni wieczór uroczystości, na którym z pewnością pojawi się Albani.

Gdy zostaliśmy sami, opowiedziałem Cloridii o ostatnich wydarzeniach. Po wysłuchaniu moich słów zamyśliła się. Zapytałem, co o tym wszystkim sądzi.

- Pewne sprawy - powiedziała - należy pozostawić własnemu biegowi. Zajmij się raczej posagiem dla naszych córek, który obiecał ci Melani.

W oczekiwaniu na ostatnie przedstawienie, które miało się rozpocząć tuż po zmierzchu, goście oddawali się różnym zabawnym rozrywkom.

Urządzono boisko do gry w lotkę. U Horacja przy placu del Fico, mistrza w tej dyscyplinie, kupiono najlepsze rakiety i lotki (zwane też latającymi piłeczkami). W pobliżu przygotowano również pole do gry w kule.

Chętnych do gry było jednak niewiele. Większość gości wolała zachować siły na wieczór, który zapowiadał się wyjątkowo atrakcyjnie. Kardynał Spada polecił rozstawić w ogrodach pawilony z delikatnego jedwabiu, lekkie i opalizujące, sprowadzone podobno specjalnie z Armenii (po raz pierwszy w Rzymie). Kolorowe i bogato zdobione, były przyjemne dla oka. Kto chciał, mógł przez otwór w górze popatrzeć w rozgwieżdżone niebo i wdychać powietrze pachnące dymem unoszącym się z kadzielnic. Goście, którym nie chciało się spać, mogli usiąść na wygodnych otomanach, rozkoszując się widokiem egzotycznego wystroju wnętrza, do świtu raczyć się smakołykami, które podsuwali im lokaje przebrani za Saracenów.

Ponieważ gra w lotkę i w kule nie cieszyła się zbytnim zainteresowaniem, don Paschatio zwolnił mnie z obowiązku donoszenia zawodnikom



odrzuconych za wyznaczone linie „latających piłek” i skierował do pracy przy urządzeniu pawilonów. Rozwijałem dywany i tapiserie, rozstawiałem kadzielnice, polerowałem mosiężne miski i napełniałem je pachnącą wodą do mycia rąk, zadbałem, by w pawilonach nie zabrakło serwetek i ręczników *et cetera, et cetera*.

Wypełniałem te zadania i rozmyślałem o opacie Melanim. Jak dowiedzieliśmy się od Ugonia, nazajutrz o świcie, czyli w czwartek, cerretanie mieli przekazać traktat o sekretach konklawe kardynałowi Albaniemu. Co sekretarz do spraw brewe uczyni z dziełem Atta? Może jeszcze tego wieczoru zaproponuje opatowi jakąś wymianę, żeby go jeszcze bardziej skompromitować? Zaszantażuje: nie zniszczę cię, jeśli wyświadczysz mi pewną przysługę?...

A może nazajutrz, na przykład podczas odwiedzin gości w pałacu Spada, Albani wykorzysta sytuację i wywoła skandal, rzucając rękopis Melaniego do stóp ministrom papieża, w tym kardynałowi Spadzie? Wówczas wszyscy będą mogli przeczytać tajne informacje na temat konklawe i porozumień z Francją, jak również prawdziwą opinię opata o dziesiątkach kardynałów, których grzeszki ujawnił, przekonany, że jego dzieło trafi wyłącznie do rąk Arcychrześcijańskiego Króla.

Przez całe życie opat Melani wymykał się z zasadzek, spiskował, wynosił głowę z niebezpiecznych sytuacji. Teraz jego ziemską wędrówka dobiegała końca. Talent do politycznych akrobacji, szpiegostwa i dyplomacji miał doprowadzić go do klęski. Za kilka godzin, najpóźniej nazajutrz, roztropność, z jaką działał przez tyle lat, ostrożność, pozory... No, cóż, wszystko to miało załamać się pod ciężarem hańby i donosu, i to nie po cichu, ale w obecności najwyższych urzędników Kościoła rzymskiego - tych samych, o których sądził, że zna ich jak własną kieszeń. Czy można sobie wyobrazić gorszy epilog?

# Wieczór ósmy

*14 lipca 1700 roku*

Uroczystości weselne dobiegały końca. Nadszedł ostatni wieczór rozrywek, podczas którego, zgodnie z zamierzeniem kardynała Spady, wesoła atmosfera zabawy miała sięgnąć zenitu. Aby godnie pożegnać gości, gospodarz polecił urządzić widowisko pirotechniczne czy też, jak niektórzy mówią, pokaz sztucznych ogni. Przeróżne urządzenia, race i ogniste młynki miały rozjaśnić noc nad Rzymem, wprawić w zachwyt i zadziwienie mieszkańców Wiecznego Miasta. Gdyby Ojciec Święty nie zapadł na zdrowiu, on również podziwiałby ze swojego okna spektakl przygotowywany w ogrodach willi przez pirotechników zatrudnionych przez don Paschatia (który miał szczerą nadzieję, że pracownicy w ostatniej chwili nie zdezerterują). Szlachetnie urodzeni goście zajęli już miejsca na polanie, gdzie ustawiono krzesła, fotele i otomany. Były jeszcze wolne miejsca dla tych osób, które przyjdą w ostatniej chwili. Zapobiegliwy zarządca domu pomyślał o wszystkim.

Mimo wielu przeżyć, doświadczanych codziennie u boku Atta, pytań pozostawionych bez odpowiedzi, zagadek do rozwiązania i dręczących mnie wątpliwości poczułem się spokojny i rozluźniony. Czulem zmęczenie we wszystkich członkach i popadłem w lekką melancholię.

Nazajutrz po południu goście spakują bagaże - rozmyślałem - i wrócą do swoich domów i zajęć. Jedni pojedą na drugi koniec Rzymu, inni za miasto, jeszcze inni poza granice Państwa Kościelnego. Wielkie wydarzenie, jakim były zaślubiny Clemente Spady z Marią Pulcherią Rocci, było już za nami. Dwoje ludzi zakończyło beztrioski etap młodości i rozpoczęło nowe życie. Taki był bieg rzeczy na tym świecie, zarówno chwalebnych jak i marnych, które zostawiały po sobie jedynie ulotne wspomnienie. Kiedy zgasną weselne światła, moje skromne życie wieśniaka i służi potoczy się zwykłą koleiną.

- *Tenebrae factae sunt...* - szepnąłem cicho na powitanie nocy, kiedy nagle moim ciałem wstrząsnął głośny wybuch.

Pirotechnicy rozpoczęli ogłuszający pokaz fajerwerków. Na znak dany przez kardynała Spadę rozległy się salwy armatnie, które tak przeraziły gości, że aż podskoczyli. Choć ich reakcja bardzo rozbawiła pana domu, starał się tego nie okazywać.

Po kanonadach przystąpiono do pierwszego z zaplanowanych pokazów. W tych dniach sprowadzono z Orientu ogromne, przerażające stworzenie, którego nikt dotąd w Rzymie nie widział. Opiekunowie przeprowadzili słonia głównymi ulicami miasta, wzbudzając zachwyty dzieci, zaciekawienie uczonych i trwogę staruszek.

Gapie odwrócili się zdumieni, kiedy bramę willi Spada mijął prowadzony przez czterech janczarów identyczny kolos, inny egzemplarz tej samej rasy. Zwierzę sunęło w stronę widzów, ciężko dysząc.

- Jego Wielmożność słoń! - oznajmił dumnie zarządca domu.

Z piersi dam wyrwał się okrzyk przerażenia, niektóre wstały z krzesel, szykując się do ucieczki. Zanim goście wpadli w panikę, wydarzyło się coś niepojętego. Na grzbiecie olbrzyma zapalił się białoczerwono-żółty płomień, a na końcach kłów - małe płomyki. Z trąby słonia, jak z moździerza, dobyła się seria krótkich wystrzałów. Stało się jasne, że był to sztuczny słoń, wykonany z drewna i masy papierowej, który do złudzenia przypominał prawdziwe zwierzę. Kolos przesuwiał się na wózku, za którym ukryci byli pirotechnicy. Gapie odetchnęły z ulgą. Olbrzym coraz bardziej się przybliżał, sunąc główną aleją. Uspokojeni goście powrócili na swoje miejsca. Dyszenie zwierzęcia natomiast (jak się wyjaśniło) pochodziło z miecha, który wprawiał w ruch chłopiec siedzący z tyłu wózka. Tłoczone przez niego powietrze przechodziło przez rurkę, której wylot umieszczony był w pysku sztucznego słonia. Kobieca część widowni nadal była bardziej wystraszona niż rozbawiona.

- Biedne damy! Są naprawdę przerażone. Pokazy pirotechniczne, jak mawiał kawaler Bernini, organizuje się po to, by wywołać zdumienie, a nie śmiech.

Słowa te wypowiedział opat Melani. Podszedł do mnie dyskretnie, gdy pomagałem wstać jednemu z monsiniorów. Nieszczęsny kardynał przewrócił się podczas próby ucieczki. Atto był wyraźnie podenerwowany i spięty, zupełnie jak wierzchowiec przed gonitwą.

- Pytałem, Albaniego nie ma. Może przyjdzie później - szepnął mi do ucha.

Kiedy płonący słoń znalazł się blisko widowni, nagle zgasł niczym wypalona pochodnia. Rozpoczął się pokaz świetlistych rac. Na początek wystrzelono zieloną kometa, po niej trzy spadające gwiazdy barwy żółtej, następnie trzy gwiazdy czerwone, jedną zieloną i wiele innych fajerwerków, które rozsypywały się na ciemnym niebie, tworząc snopy iskier, świetliste strumienie, tysiące rozżarzonych meteorytów.

- Podoba się eminencji pokaz? - spytał między wystrzałami książę Cesarini kardynała Ottoboniego, który tego wieczoru po raz pierwszy wziął udział w uroczystościach.

- Raczej tak, ale nie lubię huku. O wiele bardziej podobało mi się ciche oświetlenie kopuły Bazyliki Świętego Piotra, na której dziesięć lat temu zatknięto zapalone pochodnie, aby uczcić kanonizację świętego Jana Bożego - odparł kardynał z nutą melancholii w głosie, zapewne dlatego, że papieżem Aleksandrem VIII był jego wuj.

Rozmowę gości przerwało pojawienie się drugiego wozu, na którym siedział sam Lucyfer. Widzowie wybuchnęli śmiechem. Dobrze wiedzieli, że każdy pokaz, nawet jeśli budził strach, urządzony był po to, by ich rozweselić. Ruchoma kukła diabła z rogami i złośliwym uśmiechem na osmalonej twarzy, widoczna do połowy, trzymała węża z opowieści biblijnej. Nagle z pyska gada wysunął się język ognia, który wydawał się prawdziwy. Po chwili głowa szatana eksplodowała z hukiem, a jego ciało zaczęło płonąć, co wywołało aplauz całej widowni, włącznie z najbardziej bojaźliwymi damami. Gdy opadł dym, w miejscu, gdzie przedtem siedział Lucyfer, oczom zdumionych gości ukazał się szlachetny anioł ze śnieżnobiałymi skrzydłami. W czterech rogach wozu płonęły wesołe, jasne płomyki, symbolizujące zwycięstwo światła nad mrokiem i dobra nad złem. Widzowie nagrodzili pokaz rześzystymi oklaskami.

Po chwili w wielu punktach ogrodu, nawet tych najbardziej ukrytych, zapaliły się ogniste młynki. Spirale różnobarwnych fajerwerków - żółtych, różowych, fioletowych i pomarańczowych - przymocowane do drzew, żywopłotów, murów wokół willi, rozsypywały wokół snopy iskier. Ogród (z wyjątkiem miejsc zarezerwowanych dla gości) zmienił się w ognisty las przeszywany strzałami Hefajstosa. Głośne wystrzały z moździerzy ogłuszały całe towarzystwo, wokół unosiły się kłęby gęstego dymu, który drażnił oczy i wyciskał łzy. Kolejne race wypełniły niebo wielobarwnymi błyskami. Wszystko wokół przypominało krąg piekielny, z którego ognistych szponów Atto i ja, niczym Dante i Wergiliusz, wyrwaliśmy się tylko z woli autora *Boskiej komedii*.

Choć strumienie ognia i huk wystrzałów zachwyciły widzów, miały pewne niezamierzone skutki. Iskra z płonącego młynka trafiła w perukę hrabiego Antonia Marii Fedego, który wydał okrzyk przerażenia, a następnie, bardzo zdenerwowany, udał się na skargę do don Paschatia. Zarządca domu kazał odnaleźć głównego pirotechnika, który zniknął, ponieważ musiał udać się do innej pracy (tak przynajmniej twierdzili jego koledzy).

- Hrabia Lizus o mało nie spłonął żywcem - zauważył ze złośliwym uśmiechem Atto, poirytowany czekaniem na Albaniego.

- Słucham?

- To przezwisko hrabiego. Podobno Fede zrobił karierę, nadskakując najpierw wielkiemu księciu Toskanii, a później samemu papieżowi. Nie podszedł do mnie, żeby się przywitać, ponieważ wie, że w kwietniu Najjaśniejsza Republika Wenecji przyznała mi godność patrycjusza, więc teraz obaj jesteśmy szlachciami. Z tą różnicą, że on urodził się jako prostak, a ja nie, cha, cha, cha!

To wcale nie było śmieszne - stwierdziłem w duchu. Atto również miał skromne pochodzenie. Był synem zwykłego dzwonnika z Pistoii, o czym dowiedziałem się przed wielu laty, podczas naszego pierwszego spotkania. Nie bez powodu czterech z siedmiu synów ojciec poddał kastracji, w nadziei, że dzięki ich śpiewowi wzbogaci się cała rodzina.

- Jaka miła niespodzianka! - wykrzyknął opat.

W kierunku Atta szedł elegancko wystrojony szlachcic w towarzystwie pięknej małżonki i służącego.

- To Niccoló Erizzo, ambasador Republiki Wenecji - szepnął mi do ucha opat, zanim wyszedł na spotkanie szlachcicowi.

- Podobno ktoś widział księcia Yainiego, jak w te pędy uciekał do lasu - powiedział Erizzo, mrugając porozumiewawczo. - Zaszył się tam z pewną piękną damą, żoną markiza, którego imię pozostaje nieznanne.

- Cóż oni mogą tam robić?

- To już pozostawiam pańskiej wyobraźni. Vaini ze strachu omal nie zemdlął, gdy nagle zapalił się olbrzymi ognisty młynek.

- Raczej: „nie wyzionął ducha” - uściślił Atto ze śmiechem. - Przepraszam, ale właśnie dostrzegłem starego znajomego...

Zrozumiałem, do czego zmierza opat. Pod pretekstem, że zobaczył jakąś ważną osobistość, pożegnał się z ambasadorem i jego małżonką, którzy już witali się z innymi gośćmi. W rzeczywistości przywołał go Waligóra, machając do niego zza krzaków. Zamienili kilka słów i Atto zawrócił w moim kierunku.

- Oto wiadomość, którą otrzymał Waligóra - powiedział, wręczając mi kartkę.

Rozłożyłem ją i przeczytałem, co następuje:

*Nicola Zabaglia  
Fabryka Świętego Piotra  
Przywódca szkoły*

- Nie ma mowy, panie Atto. Powtarzam to panu po raz ostatni.

Opat Melani milczał.

- Zna pan bazylikę? Był pan tam?

- Oczywiście, że byłem, ale...

- Rozumie pan zatem, że ten plan jest szalony! - zawołałem ze złością.

Spotkaliśmy się w pokoju Atta o późnej porze, kiedy opadł dym sztucznych ogni, a goście spędzali miło czas w pawilonach.

- Albani jeszcze się nie pokazał - oświadczył opat z nieco weselszą miną, kiedy skończyliśmy rozmawiać o informacji od Waligóry.

- Nie dam się namówić, to wykluczone!

Długo się opierałem, ale w pewnej chwili opat użył argumentu, którego się obawiałem.

- Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to dla swoich córek.

- Dla córek? - spytałem, udając, że nie rozumiem, o czym mówi.

- W trosce o ich przyszłość. Jeśli chcesz, żeby inni dobrze wykonywali swoje obowiązki, musisz dać im przykład.

- Zgodnie z naszą umową nie powinienem robić niczego, co wiązałoby się z narażeniem życia.

- Ale powinienesz uczynić wszystko, co możliwe, by dopomóc moim interesom.

- A propos interesów - wtrąciłem. - Kiedy zamierza pan wywiązać się ze swojej obietnicy? Uroczystości już się skończyły, a ja jakoś nie widzę posagu dla moich córek. Co pan na to?

- Porozumiałem się z notariuszem - odparł opat Melani rzeczowym tonem. - Przygotowuje już dokumenty. Pójdziemy do niego pojutrze.

Poczułem ulgę, a zarazem zakłopotanie.

- O ile dotrzymasz umowy - dodał oschle.

Poczułem się przyparty do muru. Opat dał mi do zrozumienia, że nie da posagu moim córkom, jeśli nie spełnię jego prośby.

- Nie pojmuję - powiedziałem niepocieszony - co pozwala panu przy puszczać, że tam jest. Tylko to, że przyjaciel cerretan, niejaki Zabaglia, pracuje przy budowie bazyliki?

Atto wszystko mi wyjaśnił. Musiałem przyznać, że miał rację. Nie zaprzeczyłem, co oznaczało, że ustąpiłem jego namowom.

- Niestety, nie będę mógł pójść z tobą - rzekł Atto.

- Dlaczego? Traktat o sekretach konklawe jest pańskim dziełem, a więc to pan...

- Tu potrzeba zwinnych nóg, szybkiego refleksu, umiejętności ukrycia się w ostatniej chwili - powiedział zachrypłym głosem.

Melani zdawał sobie sprawę, że jest za stary na przedsięwzięcie, które proponował.

- Pójdę zatem z Waligórą - oznajmiłem, godząc się na jego plan.

Atto pomyślał chwilę, po czym rzekł:

- Weź też Buvata, a przede wszystkim nie zapomnij o tym!

- Myślałem o nich, panie Atto - odparłem, biorąc z rąk Atta ciężki pęk kluczy Ugonia.

Wyruszyliśmy krótko przed świtem, aby nie narażać się na spotkanie ze strażnikami i żandarmami. Opat powiedział Waligórze i Buvatowi, że mamy dostać się wysoko, ale nie sprecyzował, jak wysoko.

Święta kula: kiedy oddalaliśmy się od willi Spada, śmiałem się w duchu z tej śmiesznej nazwy, stosowanej przez łowców relikwii i cerretan. Z chwilą jednak, gdy dowiedziałem się, o jaki przedmiot chodzi, nazwa ta wydała się uzasadniona. Po Rzymie krążyło wiele opowieści o kuli, ja też je słyszałem. Była sławna dlatego, że trudno było się na nią dostać, a kto tego dokonał, uchodził za śmiałka.

Plan Melaniego był absurdalny, ale właśnie dlatego - pomyślałem - powinienem go zrealizować. Nie chodziło o to, by dorównać odwagą opatowi, ale przynajmniej poczuć, że mnie na nią stać. Oto stanąłem oko w oko ze smokiem, jak święty Jerzy. Strach, który mógł mi przeszkodzić w wykonaniu zadania, dusiłem w sobie. Nasz najgroźniejszy przeciwnik tkwi w naszym umyśle.

Wyobrażałem sobie, jak zareaguje Cloridia, kiedy opowiem jej o moim

wyczynie. Zacznie o wszystko wypytywać, przygwoździ mnie swoją żelazną logiką i doprowadzi do tego, że opowiem jej o wszystkich szalonych przedsięwzięciach wymyślonych przez Atta, ale zrealizowanych przeze mnie.

Na początku Cloridia będzie mi współczuć, obejmie mnie i ucałuje za to, że narażałem życie. Ale już po chwili weźmie górę jej trzeźwy umysł, więc będzie słuchać mojej opowieści z szeroko otwartymi oczami, z włosami wzburzonymi jak u nowej Gorgony, wtrącając słowa komentara. Na koniec, tłumiąc złość, nazwie mnie człowiekiem nieodpowiedzialnym, wyrodnym ojcem i mężem, megalomanem i głupcem, a nawet idiotą. W grę wchodziła przyszłość naszych córek, zgoda, miałem też otrzymać wysoką zapłatę za swoje usługi, ale za śmierć nie ma rekompensaty.

Kiedy Cloridia będzie mi czynić wymówki, nasze dziewczynki będą się przysłuchiwać z poważnymi twarzyczkami, śmiejąc się z nas za plecami. Być może moja małżonka wyrzuci mnie na kilka dni z rodzinnego gniazda, żeby uniknąć pokusy uderzenia mnie wałkiem albo dźgnięcia którymś z ostrych narzędzi położniczych.

Nie można zaprzeczyć, że przedsięwzięcie było ryzykowne. Jeśli jednak udałoby mi się je zrealizować, mógłbym zażądać od Atta podwyżki, i to wysokiej. Za wcześniej, by o tym myśleć. Teraz musiałem zdać się na mocne bary Waligóry i miłosierdzie Zbawiciela, którego błagałem, by nade mną czuwał.

Ze słów łowcy relikwii Ugonia wynikało, że traktat pozostanie w świętej kuli do czwartku. Don Tibaldutio dodał, że cerretanie mają w bazylice przyjaciela. Waligóra dopełnił obrazu, podając nazwisko tego człowieka.

Nicola Zabaglia był członkiem szacownej Fabryki Świętego Piotra, wielowiekowej instytucji, która zajmowała się budową, utrzymaniem i konserwacją bazyliki wzniesionej na grobie pierwszego papieża. Zabaglia cieszył się powszechnym szacunkiem, uznawany był za geniusza w dziedzinie konstrukcji urządzeń do przenoszenia dużych przedmiotów (kamieni, kolumn). Został dyrektorem szkoły kształcącej członków Fabryki Świętego Piotra. Tylko oni mieli dostęp do najskrytszych miejsc bazyliki - od tajemniczych podziemi (gdzie znajduje się grób świętego Piotra) po wysokie pinakle kopuły.

Atto domyślał się, gdzie należy szukać jego traktatu. Nie wiedział tylko, w jaki sposób tam dotrzeć, w dodatku o tej porze.



Opuściliśmy willę Spada i północnym stokiem Janikulum bez trudu zeszliliśmy w dół do bazyliki. Wąskimi uliczkami dotarliśmy do placu Świętego Piotra. Kolumnada ozdobiona stu czterdziestoma posągami świętych obejmuje plac niczym dwa miłosierne ramiona Kościoła wszystkich swoich wiernych.

Placu pilnują strażę, mieliśmy jednak nadzieję, że zdołamy je ominąć. Dotarliśmy do łuku po prawej stronie fasady, następnie przeszliśmy przez portyk i Bramę Śmierci. Dostaliśmy się na niewielkie podwórze, skąd wąskie przejście zaprowadziło nas do małego dziedzińca przy północnej ścianie bazyliki, graniczącego z ogrodami watykańskimi.

Przeszliśmy przez kolejną bramę i znaleźliśmy się we wnętrzu bazyliki. Zatrzymaliśmy się w małym ciemnym przedsionku. Po prawej stronie dostrzegliśmy szerokie kręcone schody. Wejścia na nie bronił strażnik. Waligóra, na szczęście, wiedział, co robić. Zmylił wartownika, mówiąc, że szukamy jednego z członków Fabryki Świętego Piotra, co było zresztą prawdą (wszak sprowadziła nas tam osoba Nicoli Zabagli). Po krótkiej rozmowie ze strażnikiem zaczęliśmy wchodzić po schodach.

Zaokrąglone sklepienie klatki schodowej rozjaśniały płonące pochodnie i światło wpadające przez duże, zakratowane okna. Wchodziliśmy ostrożnie, przytrzymując się wąskiej poręczy. Co kilka stopni w ścianie, przy której biegły schody, dostrzegaliśmy małe drzwiczki z tajemniczymi napisami: Pierwszy korytarz, Drugi korytarz, Ósemki św. Bazylego i Św. Hieronima. Drzwi te prowadziły zapewne do tajnych przejść, którymi członkowie Fabryki dostawali się do niedostępnych dla zwykłych ludzi zakamarków olbrzymiej budowli.

Po kilku minutach spotkaliśmy jakiegoś człowieka. Spytał nas, co robimy w tym miejscu. Tym razem Waligóra odparł, że jest żandarmem, uznając najwyraźniej, że nie musi się tłumaczyć. Nieznajomy skinął głową i pozwolił nam iść dalej. Odetchnęliśmy z ulgą.

Po pewnym czasie, dysząc ze zmęczenia i napięcia, dotarliśmy do korytarza, a następnie do krótkiej drabinki. Zaczęliśmy się po niej wspinać.

Na jej końcu czekała nas niespodzianka. Drabinka zawiodła nas na jedyne taras w Bazylice Świętego Piotra, czyli rozległą otwartą przestrzeń za posągami Zbawiciela i dwunastu apostołów, które wieńczyły i zarazem zdobiły fasadę. Przed nami wznosił się olbrzymi bęben i czasa kopuły.

Spojrzałem za siebie. Na taras dostaliśmy się z niewielkiej kopuły o ośmiokątnej podstawie. W porównaniu z kopułą główną wydawała się

miniaturowa. Ponieważ bazylika została wzniesiona na planie krzyża, taras zajmował powierzchnię jego dłuższego ramienia, aż po skrzyżowanie z krótszym ramieniem. Na tarasie znajdowały się liczne mniejsze kopuły, stanowiące zakończenia świetlików, przez które wpadało światło do bocznych kaplic bazyliki. Pośrodku tarasu wznosiła się podłużna konstrukcja ze spadzistym dachem.

Nad naszymi głowami noc rozpostarła swoją czarną zasłonę. Wąski sierp księżycy dawał niewiele światła, ale wystarczająco dużo, byśmy mogli dostrzec olbrzymią sylwetę bazyliki i poczuć bojaźń bożą, dzięki czemu nasza wizyta w tym miejscu zyskiwała sens. Kiedy snułem podobne rozważania, sprawy niespodziewanie przyjęły zły obrót.

- Tam są! - powiedział ktoś w ciemności.

Domyśliłem się, że drugi strażnik, którego spotkaliśmy po drodze, podejrzewając coś, wysłał po nas kilka osób. Doliczyłem się dwóch, najwyżej czterech ludzi, którzy nadchodzili z drugiego końca tarasu, wychodzącego na plac, gdzie każdego ranka posąg Naszego Pana zwracał swoje Święte Oblicze do rzeszy wiernych.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Buvat.

- Może spróbuję ich przekupić - zaproponował Waligóra - choć nie sądzę, żeby...

Już go nie słuchałem. Oceeniłem sytuację i stwierdziłem, że nie ma czasu do stracenia.

- Hej, chłopcze, co robisz?! - krzyknął Waligóra, gdy zobaczył, że biegnę co sił w nogach w kierunku schodów prowadzących na bęben kopuły i wyżej, do wyjścia.

Razem z Buvatem natychmiast poszli w moje ślady. Za nimi ruszyli zaskoczeni, rozwścieczeni strażnicy.

- Najdroższa Cloridio - szepnąłem, ciężko dysząc - mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Ucieczkę utrudniała nam całkowita nieznajomość miejsca. Na naszą korzyść natomiast przemawiało zaskoczenie i duża odległość, jaka dzieliła nas od ścigających. Niewielki wzrost, który zawsze wydawał się moim słabym punktem, teraz okazał się bardzo pomocny.

Biegłem co tchu. Nie miałem zamiaru zbyt szybko się narażać. Najgorsze, co mogło mi się przytrafić, to być zatrzymanym przez strażników bazyliki. Gdyby nas złapali, mógłbym się usprawiedliwić młodzieńczą zuchwałością, niczego przecież nie ukradłem ani nie zniszczyłem. Waligóra na-

tomiast uniknąłby nieprzyjemnych konsekwencji, wykorzystując swoje liczne znajomości. Buvat poprosiłby zapewne o pomoc Atta, który z kolei uczyniłby wszystko, żeby i mnie wyciągnąć z kłopotów. W ten oto sposób, zastanawiając się nad różnymi możliwościami, starałem się dodać sobie odwagi.

Kiedy znalazłem się we wnętrzu bębna, dostrzegłem kolejne kręcone schody. Za sobą słyszałem ciężkie kroki Waligóry, który był coraz bliżej, i Buvata. Za nimi biegli strażnicy. Nikt się nie odzywał: my trzej musieliśmy oszczędzać płuca na ucieczkę, oni - na pościg.

Schody zawiodły mnie do miejsca, w którym wąski korytarz rozwidłał się. Instynktownie skręciłem w lewo, po czym przekroczyłem próg bez drzwi i nagle zawisłem nad Nieskończonością.

Byłem we wnętrzu kopuły. Przede mną roztaczała się głęboka przepaść. Po lewej i prawej stronie ciągnął się korytarz, obiegający podstawę ogromnego bębna kopuły. Stojąc w wąskim przejściu w kształcie pierścienia, miałem wrażenie, że wnętrze bazyliki jest otchłanią bez dna. Poda mną znajdowała się nawa główna, a dokładniej miejsce, w którym krzyżowała się ona z transeptem. Na dole, w odległości bardzo wielu metrów, wznosił się olbrzymi baldachim, zaprojektowany przez kawalera Berniniego, chluba bazyliki i całego chrześcijaństwa. W górze widziałem potężną czaszę kopuły, otchłań nad otchłanią, wobec której zdawałem się jedynie drobnym pyłkiem w gwiazdnych przestworzach.

Na ścianach bębna, na mojej wysokości, widniały dużych rozmiarów mozaiki, ukazujące delikatne aniołki wysokości pięciu ludzi, które siedziały na rogach obfitości wielkości dwóch karet.

Wszystko to widziałem właściwie oczami wyobraźni, gdyż wnętrze oświetlało kilka zaledwie pochodni. Odniosłem wrażenie, że oto znalazłem się w niezmierzonej jaskini, w której pobrzmiwa echo moich szybkich kroków. Wejście, którym dostałem się do tego olbrzymiego obserwatorium, było jednym z czterech przejść w korytarzu obiegającym bęben, usytuowanych symetrycznie względem siebie, niczym cztery kierunki świata.

Przez chwilę zastanawiałem się, w którą stronę skręcić. Ponownie skręciłem w lewo. Tym razem natrafiłem na drzwi. Były otwarte. Kroki za mną zbliżały się. Pobiegłem w lewo. Kolejne drzwi były zamknięte. Wokół panowały ciemności, brakowało tu bowiem pochodni, a noc była bezksiężycowa. Ponownie pobiegłem w lewo. Natrafiłem na schody, początkowo proste, później kręcone i szerokie. Z lewej strony docierała

odrobina słabego światła, które wpadało przez okno wychodzące na zewnątrz. Dostrzegłem przez nie dachy bazyliki, spokojne i nieświadome mojego niepokoju i podniecenia. Schody wiodły wyżej i ponownie biegly prosto. Uderzyłem o coś głową. Okazało się, że były to wąziutkie, kręcone schodki, wspinające się pionowo w górę. Zacząłem po nich wchodzić. W tyle usłyszałem czyjś krzyk. Moi towarzysze mieli chyba trudności. Byłem daleko od nich, odgłosy za mną stały się cichsze. Zastanawiałem się, gdzie trafiłem. Modliłem się, żeby moje założenie okazało się słuszne, gdyż nie wystarczyło dotrzeć na miejsce, trzeba było jeszcze się z niego wydostać. Trudne zadanie, Atto przedstawił mi je w najdrobniejszych szczegółach. W bibliotece kardynała Spady opat znalazł na szczęście potrzebną nam książkę, którą przejrzelśmy w nocy, zanim wyruszyłem do bazyliki. Było to bogato ilustrowane dzieło uczonego Carla Fontany, pod tytułem *Świątynia Watykańska i jej początki*, które opublikowano w Rzymie w 1694 roku. Praca zawierała plany, przekroje i widoki bazyliki, głównie kopuły. Po dwóch godzinach wpatrywania się w nie zdołałem zapamiętać rozkład korytarzy w górnych partiach bazyliki, co pomogło mi odnaleźć drogę.

Wspinałem się po kręconych schodach na górę. Ściany po obu ich stronach były niebezpiecznie pochylone, utrudniając przejście. Zastanawiałem się, czy Waligóra zdoła się tędy przecisnąć. Powietrze zrobiło się gęste, ciężkie, niemal nie miałem czym oddychać. Od czasu do czasu wpadało nieco powietrza przez jakieś okno, ale nie miałem czasu, by się zatrzymać i głębiej odetchnąć.

Po chwili zrozumiałem, że znalazłem się w wąskiej przestrzeni pomiędzy dwiema warstwami kopuły, zewnętrzną i wewnętrzną, widoczną ze środka bazyliki. Tam też mieściły się kręcone schody. Nieoczekiwanie odniosłem wrażenie, że już nie wspinam się w górę, wewnątrz wiszącej konstrukcji. Pod stopami wyczułem płaską, równą powierzchnię. Z dołu dochodziły jakieś krzyki.

- Waligóra, Buvat! Gdzie jesteście?! -zawołałem.

W odpowiedzi usłyszałem niewyraźnie głosy i hałasy. Ze zmęczenia drżały mi nogi. Chciałem przyśpieszyć, ale poślizgnąłem się, stoczyłem po kilku stopniach, poobijałem sobie boleśnie kolana i uda, po czym wspiąłem się z powrotem w górę. Wróciłem na korytarz. Rozejrzałem się na wszystkie strony. Nie dostrzegłem żadnych schodów, żadnych drzwi.

Po chwili zorientowałem się, że w odległości dwóch-trzech kroków przede mną brakuje posadzki. Straciłem równowagę, ale odzyskałem ją,

przytrzymując się prawą ręką ściany. Wymacałem ogromny kamienny stopień, bez mała mojego wzrostu. Wdrapałem się na ten stopień, po nim na następny i jeszcze jeden. Tak jak sobie wyobrażałem, był to jeden z czterech rzędów schodów, odpowiadających czterem stronom świata. Usytuowane pomiędzy dwiema ścianami kopuły, wewnętrzną i zewnętrzną, prowadziły na jej szczyt. Podjąłem wspinaczkę, ciesząc się, że jestem niski, niewiele ważyć i wszędzie się zmieścić.

Początkowo kamienne stopnie były bardzo wysokie. W miarę jak zbliżałem się do szczytu kopuły, stawały się niższe. Gdy wreszcie stanąłem na równej powierzchni, byłem bardzo zmęczony. Z góry dochodziło trochę słabego światła, a właściwie mniej gęstego mroku. Sięgając po omacku w lewo, potem w prawo, natrafiłem na mur, a później na jakiś otwór. Zawadziłem o coś nogą, chyba o stopień, pod prawą dłoń wyczułem poręcz. Nie wiedziałem, dokąd idę. W końcu poczułem świeże powietrze, powiew wiatru, w górze zobaczyłem niebo. Byłem na zewnątrz.

Znalazłem się w wąskim korytarzu na szczycie kopuły, biegnącym wokół niej. Po jego wewnętrznej stronie wznosił się podwójny rząd kolumn, między którymi można było przejść. Kamienna nawierzchnia była lekko spadzista, żeby ułatwić odprowadzanie wody deszczowej. Każdy, kto znalazł się w przejściu, miał wrażenie, że za chwilę zsunie się po stromiźnie i runie w dół. Na szczęście po zewnętrznej stronie korytarza znajdowała się balustrada, za którą roztaczał się cudowny widok na uśpioiny, bezbronny Rzym. Opanowałem pokusę, by skoczyć w ciemną otchłań.

- Moja słodka Cloridio, nie opowiem ci o tym - szepnąłem, zdrętwiały ze strachu i emocji.

Usłyszałem głosy strażników. Doganiali mnie. Miałem niewiele czasu. Zacząłem jej szukać. Dzięki opracowaniu Fontany, które przejrzałem razem z opatem, wiedziałem, że tam jest. W połowie okrążenia natrafiłem na ciemną niszę, żelazną kratę, za nią małe drzwiczki, niewidoczne wobec ogromu kopuły. Koszulę miałem mokrą od potu. Z kieszeni spodni wyjąłem pobrzękujące klucze Ugonia. Pierwszy klucz był za duży, drugi za mały, trzeci wydawał się pasować. Mijały cenne sekundy, traciłem przewagę nad strażnikami. Wsunąłem klucz do dziurki, nie, to nie ten. Nacisnąłem klamkę. Drzwiczki nie były zamknięte! Nie miałem nawet czasu, żeby zakląć. Wszedłem przez wąskie przejście do środka.

Znalazłem się w korytarzu podobnym do poprzedniego, ale węższym, wyposażonym w poręcz z kamiennymi wspornikami w kształcie grzyba.

Ten korytarz był jeszcze bardziej spadzisty. Gdybym miał więcej czasu, zatrzymałbym się na chwilę, żeby rozkoszować się widokiem gwiazd rozjaśniających swym światłem ciemne sklepienie nieba, i wyciągnąłbym ramiona, żeby ich dotknąć.

Pośrodku kolistego tarasu wznosiła się niewielka okrągła budka. Obeszłem ją dookoła, ale nie znalazłem żadnych drzwi. Byłem bliski załamania. Musiałem wejść do budki! Po chwili na wysokości mojego brzucha dostrzegłem coś w rodzaju małego okna. Przecisnąłem się przez nie do środka.

Ku mojemu zaskoczeniu we wnętrzu budki było dość jasno. Światło docierało przez okienko, z którego skorzystałem, i z góry. Gdy podniosłem głowę, dostrzegłem drabinkę wiodącą do celu mojej wspinaczki - brązowej kuli na szczycie Bazyliki Świętego Piotra, tuż pod olbrzymim krzyżem wieńczącym budowlę.

Podskoczyłem, złapałem się najniższego szczebelka drabinki, nogami zaczępiłem o następny i podciągając się na rękach, dotarłem do szczytu. Wokół robiło się coraz jaśniej.

Słyszałem, że wnętrze kuli może pomieścić nawet szesnaście osób, pod warunkiem że odpowiednio się ustawią. Nie miałem jednak okazji, by sprawdzić, czy to prawda. Wsunąłem głowę do kuli, następnie tułów, na koniec nogi. Kiedy znalazłem się w środku, przytrzymując się łokciami ściany, odkryłem, że nie jestem sam.

We wnętrzu kuli ujrzałem Waligórę, opartego swym olbrzymim siedzeniem o ścianę z brązu. Był mokry od potu i straszliwie zziąjany. Przybył przede mną, wchodząc zapewne po innych schodach, biegnących między ścianami kopuły. W jednej ręce trzymał książeczkę - traktat o sekretach konklawe - w drugiej pistolet.

W samym środku kuli, obok otworu, przez który weszliśmy, stał stół. Książka leżała zapewne na nim, żandarm ubiegł mnie i chwycił ją pierwszy.

- Schowaj to! Zaraz tu będą! - powiedział, szybko podając mi traktat. W dole dał się słyszeć hałas. Waligóra położył palec na spuście. Wszystko wskazywało na to, że nie mamy dokąd uciec.

- Nie możemy strzelać, jesteśmy w kościele... Mogliby nas zaaresztować - zauważyłem, dysząc ze strachu.

- Prawdę powiedziawszy, jesteśmy nad kościołem - zaśmiał się zandarm.

Nie mogliśmy wyjść z kuli, bo ktoś był już w budce i wchodził na górę. Spojrzeliśmy po sobie, nie wiedząc, co zrobić.

W tej samej chwili nasze źrenice poraziło oślepiające światło, wprawiając nas w najwyższe zdumienie. Nagle zrozumiałem, dlaczego wcześniej, kiedy wchodziłem do budki, a następnie do wnętrza kuli, odniosłem wrażenie, że wokół zrobiło się jaśniej. Kilka lat temu poznałem starego rzeźnika, którego syn pracował przy budowie bazyliki. Powiedział mi, że w ścianach kuli, w której się znajdowaliśmy, wykonano podłużne wąskie otwory, odpowiadające czterem stronom świata. Przez jedną z nich wpadł promień wschodzącego słońca, zalewając wnętrze kuli jasnym światłem świtu.

# Dzień dziewiąty

*15 lipca 1700 roku*

Jakby na znak przeznaczenia promień słońca padł na traktat Atta, odbijając się na wszystkie strony. Waligóra obojętnie przyjął to ciekawe zjawisko, wymierzył z pistoletu w dół.

- Stój albo strzelam! Jestem żandarmem gubernatora! - krzyknął.

To powiedziawszy, zawadził o stółek (tak mi się przynajmniej wydawało), który wypadł przez otwór w kuli i runął z trzaskiem na kamienną posadzkę. Za nim wypadł żandarm, pociągając mnie za sobą. W ułamku sekundy światło zastąpił mrok, świat wokół nas i brązowa kula zawirowały. Straciłem przytomność.

Ktoś niósł mnie na plecach jak zwiotczały worek. Po raz ostatni spojrzałem na święte iglice i orle gniazdo poświęcone Bogu. W krótkim przeblysku świadomości, który pozwala niektórym ludziom czytać od prawej do lewej albo rozwiązać anagram, zanim znowu straciłem przytomność, ujrzałem go. Tajemniczy „Okręt” wznosił się dumnie na Janikulum i zdawał się nas obserwować.

- Za każdą podejrzaną lub dziwną śmiercią kryje się państwo, czyli spisek tajnych służb - zawyrokował opat Melani.

Bolała mnie głowa, szyja, właściwie całe ciało.

- Podobnie rzecz się ma w przypadku osób zaginionych, które nagle pojawiają się całe i zdrowe. Nikt nie uratuje się przed śmiercią, o ile nie pomoże mu ktoś, kto z nią obcuje na co dzień.

Głos Atta brzmiał jasno i wyraźnie. Oczy miałem zamknięte i nie chciało mi się ich otwierać.



Przypomniałem sobie, że ktoś położył moje bezwładne ciało na wózku. Było mi zimno, dopóki nie znalazłem się w ciepłym, przytulnym pomieszczeniu.

Minęło kilka godzin (a może minut?). Obudził mnie odgłos otwieranych i zamykanych drzwi i kroki w korytarzu. Uniosłem powieki.

Leżałem na łóżku opata w pałacu willi Spada. Byłem ubrany. Atto siedział w fotelu obok, z zamyślnym wyrazem twarzy. Nie zauważył, że się obudziłem. Dopiero po kilku minutach oderwał wzrok od jakiegoś nieokreślonego punktu przed sobą i spojrzał na mnie.

- Witaj wśród żywych! - powiedział z uśmiechem, nie kryjąc zadowolenia. - Twoja żona bardzo się o ciebie martwiła, czuwała całą noc. O świcie powiadomiłem ją, że czujesz się lepiej.

- Gdzie jest Waligóra? - zapytałem zmartwiony.

- Poszedł spać.

- A Buvat?

- W swoim pokoiku. On też smacznie sobie chrapie.

- Nie rozumiem, dlaczego nas nie aresztowali - powiedziałem, siadając na łóżku.

- Z tego, co mówił Waligóra, wynika, że mieliście dużo szczęścia. Nasz przyjaciel, spadając, pociągnął za sobą ciebie. Obaj zwaliliście się na jednego z pracowników Fabryki, który wchodził za wami do kuli. Żandarm rozbroił go, dał mu parę kopniaków i nieco poturbował. Później wziął cię na plecy i zniósł na dół, bez większego trudu, zważywszy na jego posturę. Wyszedł z bazyliki przez nikogo niewidziany. Świtało i wokół nie było żywego ducha. Wszystkie straże pobiegły chyba za Buvatem.

- ZaBuvatem?

- Tak. Kiedy zaczęli was gonić tam, na tarasie, rzucił się do ucieczki.

- Co? A ja myślałem, że wszedł za nami na górę...

- Swoją drogą było to genialne posunięcie. Zamiast pobiec za tobą, kiedy uciekałeś po schodach w górę, w stronę kopuły, Buvat zawrócił i skierował się tam, skąd przyszliście. Wtedy zaczął gonić go jeden z pracowników bazyliki, taki mały człowieczek, och, *pardon* - stropił się opat, przeprasząc za uwagę o wroście. - Buvat ma drugie nogi i zdołał uciec. Z szybkością błyskawicy opuścił bazylikę i nikt nie zdążył mu się przyjrzeć. Ale za placem Świętego Piotra zgubił się, co było do przewidzenia, i wrócił do willi krótko przed wami.

Poczułem się zawiedziony. Byłem przekonany, że w niebezpiecznej wyprawie do kuli miałem dwóch sojuszników, tymczasem jeden z nich stchórzył, a drugi w najważniejszym momencie ściągnął mnie na dół.

- Byłeś bardzo dzielny.

- A co z pańskim traktatem? - zapytałem. - Waligóra dał go panu? Na twarzy Atta malowało się zatroskanie.

- Niestety nie. Kiedy znosił cię z kopuły, tomik wysunął ci się z kieszeni i spadł na dół. O ile dobrze rozumiałem, wylądował gdzieś na tarasie, zbyt daleko, żeby można było po niego wrócić. Waligóra musiał wybierać między traktatem a ratowaniem skóry. Nic nie dało się zrobić.

- Nie pojmuję... Wszystko dobrze szło i nagle... - powiedziałem ze smutkiem. - Dlaczego Waligóra przyniósł mnie tutaj, a nie do mojego domu?

- To proste, nie wie, gdzie mieszkasz.

Czułem się oszołomiony, a zarazem rozczarowany niepomyślnym obrotem sprawy. Narażanie życia, przebyte trudy, strach - wszystko okazało się daremne. Zgubiliśmy traktat Atta. Nagle coś mi się przypomniało.

- Panie Atto, słyszałem przez sen pańskie słowa.

- Pewnie myślałem na głos.

- Mówił pan o niewyjaśnionych zgonach, spiskach czy coś w tym rodzaju...

- Naprawdę? Nie przypominam sobie. Odpocznij teraz, chłopcze - powiedział. Podniósł się z fotela i podszedł do drzwi.

- Idzie pan zwiedzić pałac Spada?

- Nie.

- Naprawdę pan tam nie pójdzie? - zapytałem. Przypuszczałem, że Atto obawia się spotkania z Albanim. Do tej pory któryś z pracowników bazyliki na rozkaz Zabagli odnalazł już chyba traktat Melaniego i oddał go cerretanom. Ci z kolei przekazali go Wielkiemu Legatowi, czyli Lambergowi, a on sekretarzowi do spraw brewe.

- To nie jest odpowiednia pora - odparł Atto. - Chętnie obejrzałbym wspaniałe wnętrza pałacu w świetle dnia, ale są pilniejsze sprawy.

Niebo lekko się zachmurzyło. Gdy weszliśmy po kręconych schodach i stanęliśmy na tarasie „Okrętu”, poczuliśmy na twarzach ciepły powiew wiatru.

Przygotowania do wyprawy nie trwały długo. Po rozważeniu różnych możliwości postanowiliśmy zabrać ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy: pistolet opata, długi sztylet, który ukryłem w spodniach, oraz siatkę używaną przed trzema dniami podczas polowania na ptaki. Dzięki tym przedmiotom będziemy mogli trzymać stworzenie na odległość, podając z nim (straszną) walkę wręcz albo jak gladiator zręcznym ruchem zarzucić siatkę i obezwładnić je.

Stanęliśmy na wprost niewielkiego domku, niemal sparaliżowani strachem. Wymieniliśmy z Attem spojrzenia, dodając sobie nawzajem otuchy. Melani ruszył pierwszy, chwycił klamkę i otworzył drzwi domku. Wewnątrz panowała cisza i półmrok. Oczekaliśmy minutę bez ruchu, nie mówiąc słowa.

- Pójdę pierwszy - oznajmił Melani. Wyjął pistolet i upewnił się, czy jest naładowany.

Idąc w jego ślady, wyjąłem sztylet, przez lewe ramię przerzuciłem siatkę. Byłem gotowy do zmierzenia się z potworem. Atto wszedł do środka.

Zaledwie przekroczył próg domku, przywarł plecami do ściany przy drzwiach, żeby ograniczyć możliwość ataku. Dał mi znak, żebym się zbliżył.

Tym sposobem ponownie znalazłem się w jaskini potwora, idąc ramię w ramię z Melanim, który nie bacząc na podeszły wiek, mniejszą sprawność fizyczną i słaby wzrok, szedł odważnie do przodu, niczym pierwszy muszkieter Arcychrześcijańskiego Króla.

Z powodu chmur, które przesłoniły słońce, światło wpadające przez zaciemnione szyby było jeszcze słabsze niż poprzednim razem. Pośrodku pomieszczenia, o ile dobrze pamiętałem, wznosiły się dwie kolumny.

Jeśli tam był, dobrze się ukrył. W pewnej chwili poczułem lekkie uderzenie w bok. Atto, chcąc przywołać moją uwagę, dał mi kuksańca.

W tej samej chwili go ujrzałem. Po drugiej stronie pomieszczenia, za dwiema kolumnami, pod oknem po prawej stronie coś się poruszyło. Nieforemne, wykręcone ramię, pokryte czymś w rodzaju łusek, wysunęło się ze ściany w odpowiedzi na stąpanie Atta. Zatem bestia tam była.

Ponieważ kolumny zasłaniały nam widok, podeszliśmy bliżej, żeby dokładniej sprawdzić, która część potwora się poruszyła, a przede wszystkim zrozumieć, dlaczego tak dziwnie tkwił on w ścianie.

- Stój! Nie ruszaj się! - szepnął opat Melani.

Minęła minuta, może dwie. Ramię Tetrachiona trwało w bezruchu, podobnie jak jego przeraźliwa dłoń. Drzwi były otwarte. Zarówno my, jak i potwór mogliśmy rzucić się do ucieczki. Ale żadna ze stron, ze strachu czy w przypływie odwagi, nie skorzystała z tej możliwości. W dusznym, wilgotnym wnętrzu, w którym odłożyły się warstwy saletry, coraz trudniej było nam oddychać. Wokół panowała grobowa cisza, napawająca nas coraz większym przerażeniem.

Kiedy się to wszystko działo (choć właściwie nic się nie wydarzyło, dało się tylko słyszeć coraz głośniejsze bicie naszych serc), toczyłem walkę z samym sobą.

Starałem się ze wszystkich sił. Mimo powagi chwili byłem świadomy tego, że prędzej czy później będę musiał ustąpić. Musiałem, a jednocześnie nie mogłem tego uczynić. Na koniec skapitulowałem. Bezwzględnie musiałem podrapać się w nos, żeby uniknąć czegoś zdecydowanie gorszego (kichnięcia). Uczyniłem to.

Żadne ludzkie słowo nie potrafi wyrazić zdziwienia, jakiego doświadczyłem, widząc, że potwór naśladuje mój ruch: unosi dłoń do straszliwej twarzy, ukrytej za kolumnami. Zacząłem coś podejrzewać.

- Widział pan? - zapytałem.

- Poruszył się - odparł wystraszony Melani.

Postanowiłem przeprowadzić kolejną próbę. Rozprostowałem palce tej samej dłoni i energicznie nią pomachałem. Następnie powoli poruszyłem nogą, najpierw w przód, potem w tył. Na koniec, ku najwyższemu zdumieniu Melaniego, podszedłem do kolumn, żeby wreszcie rzucić okiem na ów sekret, który niemal dosłownie przykuł nas do ziemi.

- Zabraniam ci o tym mówić komukolwiek - powiedział Atto, wpa trując się w lustro. - Naturalnie do momentu, kiedy wszystko wyjaśnimy - sprostował ostrożnie, ukrywając prawdziwą przyczynę (wstyd) swojej decyzji.

To powiedziawszy, dotknął wypukłej powierzchni krzywego zwierciadła, przyglądając się, jak pogrubia, wygina, prostuje i zniekształca mu palce, kłykcie, całą dłoń i nadgarstek.

- Widziałem podobne lustro we Frankfurcie, bardzo dawno temu, kiedy kardynał Mazzarini zaprosił mnie na tajne negocjacje. Nie tworzyło jednak tak... straszliwego obrazu jak to.

Wszystko wskazywało na to, że nie udało nam się zobaczyć Tetrachiona. Żartowniś Benedetti, genialny architekt „Okreću”, chcąc zabawić gości, pokrył ściany domku na tarasie krzywymi zwierciadłami, które przeglądającym się w nich osobom nadawały wygląd potworów. Przerazający efekt potęgował coraz bardziej zniekształcający obraz odbity w kolejnych lustrach. Nie bez znaczenia była też ponura atmosfera panująca w ciemnym, ciasnym wnętrzu.

Kiedy drapałem się w nos, zauważyłem, że domniemany Tetrachion z niebywałą dokładnością naśladuje mój gest. Również moje kolejne ruchy potwór odtworzył bardzo wiernie. Domyśliłem się więc, że to mój własny wizerunek odbity w deformującym lustrze.

Podczas naszej pierwszej wyprawy do domku byliśmy pod wrażeniem rzeźb z tacy Capitor, głosu Albicastra dobiegającego do nas w jakiś tajemniczy sposób, jak również opowieści Atta o tej szalonej kobiecie. Widok dziwnego stworzenia z czterema nogami i dwiema głowami (w rzeczywistości to ja z Attem staliśmy obok siebie) kazał nam myśleć, że widzimy Tetrachiona. Tymczasem byliśmy otoczeni krzywymi zwierciadłami.

Zwierciadłem głupoty przedmiot ten nazwałem,  
Bo każdy głupiec, jak się przekonałem,  
Dostrzega w nim siebie samego, Pewien, że  
wszyscy wokół podobni są do niego.

- To słowa Albicastra - stwierdziłem, wysłuchawszy recytacji Atta.
- Otóż to! Dobrze wiedział o tych lustrach i zakpił sobie z nas - powiedział Melani i zacytował kolejną zwrotkę:

Kto w lustro uważnie patrzeć umie, Po  
pewnym czasie zrozumie, Że błąd  
popelnia, uznając się za mądrego I od tego,  
kim naprawdę jest, lepszego.

- Nie rozumiem, skąd dochodził jego głos - powiedziałem.
- Nie odpowiadając na moje pytanie, Atto zaczął macać ściany w miejscach, gdzie nie zainstalowano luster.
- Czego pan szuka?
  - Powinna być tutaj... albo trochę niżej... Otóż i ona!
- Wyraźnie zadowolony z odkrycia, wskazał mi mosiężną rurkę bie-

nącą pionowo wzdłuż ściany. Koniec rurki miał kształt trąbki i skierowany był w naszą stronę.

- Ale z nas głupcy! Że też nie wpadliśmy na to wcześniej! - wykrzyknął, klepiąc się w czoło. - Głos Albicastro, który słyszeliśmy po przednim razem i sądziliśmy, że to głos ducha, dochodził właśnie stąd, ze starej, poczciwej rurki, służącej do wydawania poleceń służbie. Podobne urządzenie znajduje się na pozostałych piętrach, widzieliśmy je też na parterze. Szalony Holender stanął przy wlocie rurki, domyślił się, że we szliśmy do domku z krzywymi zwierciadłami, i zaczął wyśpiewywać fragmenty *Statku głupców* tego przeklętego Sebastiana Branta, co zmroziło nam krew w żyłach - podsumował Atto, przyznając się, że czuł wówczas strach. Zdołał go jednak ukryć.

Wnioski Melaniego były słuszne. „Zwierciadło głupoty”, wspomniane przez dziwaka Albicastro, idealnie pasowało do przewrotnej gry, dzięki której postać Tetrachiona z opowieści Capitor odżywała w lustrach „Okrętu”. Poza tym słowa piosenki Holendra dawały nam do zrozumienia, że nierzadko obraz, który widzimy w lustrze, odpowiada prawdzie.

Atto wyrecytował:

Mając w pamięci głupców brednie, Stoję  
przed lustrem, a moja twarz blednie, Bo  
widzę w niej osła i mina mi rzednie.

- Rozumiesz teraz? - spytał. - Albicastro zrobił z nas durniów w bardzo wyszukany sposób. Mam ochotę spojrzeć w oczy temu pyszałkowi i zażądać przeprosin - dodał z wojowniczą miną, po czym dał mi znak, żebym zszedł z nim piętro niżej.

Mimo że byliśmy uzbrojeni po zęby, pokonało nas lustro i własna wyobraźnia. Opat Melani chciał wyładować swoją złość na jedynym mieszkańcu „Okrętu”, jedynym z krwi i kości.

Oczywiście nie znaleźliśmy go. Albicastro należał do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy pojawiają się znienacka („żeby przynudzać” - stwierdził opat), ale nigdy wtedy, kiedy się ich szuka.

Atto uparł się, żeby szukać skrzypka w łazienkach, schowkach i pokojach z osobnym wejściem, lecz wkrótce stało się jasne, że w całym pałacu nie było ani śladu Holendra.

- Zwykle boimy się tego, czego nie rozumiemy - stwierdziłem, przypominając opatowi jego własne słowa sprzed dwóch dni, kiedy w iluzjonistycznej kolumnadzie Berniniego wziąłem małego pieska za olbrzyma.

- Bądź cicho! Wracajmy lepiej do willi Spada - wymruczał pod nosem ze złością.

Kiedy tak szliśmy w milczeniu, oddałem się rozmyślaniom. Wszystkie dotychczasowe tajemnicze zdarzenia, które przeraziły opata lub mnie (albo nas obu), wyjaśniły się: w rzeczywistości Holender chodził po ukrytym gzymsie, kwiaty z mitycznych ogrodów Adonisa okazały się zwykłym czosnkiem czy ziołem na odciski, galeria w „Okręcie”, która wydawała się sięgać Watykanu, była jedynie zręczną grą luster; piekielne płomyki i twarze duchów, które widzieliśmy w kryjówce Ugonia i w termach Agrypiny, powstały z oparów kamfory; ryczący olbrzym, który chciał mnie rozszarpać w pałacu Spada, tak naprawdę był małym pieskiem; wreszcie straszliwy Tetrachion okazał się naszym odbiciem w deformujących zwierciadłach. Tylko jednego nie zdołaliśmy jeszcze wytłumaczyć, mianowicie zjaw Marii, Ludwika i Fouquetta w ogrodach „Okreću”. Opat, powołując się na teorię cząsteczek, wysunął hipotezę halucynogennych wyziewów, której jak dotąd nie udało się nam potwierdzić, w przeciwieństwie do innych przypadków.

Ja snułem rozważania, opat nadal milczał. Być może on także stawiał sobie podobne pytania - pomyślałem, spoglądając na niego ukradkiem.

Z zamyślenia wyrwała mnie nagła przemiana w jego twarzy. Opat zrobił się błądy jak ściana. Wpatrywał się w jakiś odległy punkt przed bramą willi Spada.

W alei wjazdowej, flankowanej pachnącymi kwietnikami, panowało zamieszanie. Lokaje i służący ładowali na karety kufrы, nieśli kosze z żywnością, emincje i kawalerowie żegnali się uprzejmie z panem domu i innymi gośćmi, umawiali na spotkanie z okazji magisterium na uniwersytecie La Sapienza, konsystorza lub mszy w intencji.

Kiedy zastanawiałem się, dlaczego opat tak nagle zbladł, zauważyłem, że strażnik przy bramie pokazuje nas jakiemuś nieznanemu. Poczulem ukłucie w sercu. Wyobraziłem sobie bowiem, że proboszcz Bazyliki Świętego Piotra oskarżył mnie o nielegalne wtargnięcie do kościoła, że rozpoznali mnie żandarmi, grozi mi proces i dwadzieścia lat więzienia. Spojrzałem przerażony na Atta. Nie próbowałem uciekać, bo w willi Spa-

da i tak wszyscy wiedzieli, gdzie mieszkam. Tymczasem podszedł do nas nieznajomy, który o nas pytał. Miał zmęczoną, skupioną twarz.

- Pilna wiadomość dla opata Melaniego.

- Stoi przed panem, niech pan mówi - powiedziałem cicho, widząc, że opat milczy, wpatrując się w nieznajomego, jakby przeczuwał, co za chwilę usłyszy.

- Pani konstablowa Colonna będzie tu za godzinę i prosi, by pan na nią zaczekał.

Czułem, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Ciekaw byłem reakcji Atta, miałem nadzieję, że się uśmiechnie, zażartuje. Ale stary opat nie odezwał się ani słowem, nie przyspieszył kroku, przeciwnie, zwolnił, jakby zabrakło mu pewności siebie.

Bez słowa weszliśmy do pokoju Atta. Opat zdjął perukę, przesunął dłonią po czole i usiadł przed lustrem. Wydawał się bardzo zmęczony. Po chwili zaczął gwizdać jakąś nieznaną mi arię, ale często przerywał, jakby brakowało mu tchu. Jednocześnie patrzył ze smutkiem na swoje odbicie w lustrze, postarzała twarz i siwe, mocno przeredzone włosy.

- To motyw z *Ballet des Plaisirs* mistrza Lullego - powiedział, przyglądając się swojemu odbiciu. Wstał i włożył szlafrok.

Stałem jak oszupiały. Przed sekundą posłaniec powiadomił nas o przyjeździe pani konstablowej, a Atto nie szykuje się, by ją powitać? Może nie uwierzył w słowa posłańca. Byłoby to nawet uzasadnione, zważywszy, że wielokrotnie czekał na próżno. Tym razem jednak nie było wątpliwości - Maria była blisko. Nie rozumiałem jednego: dlaczego przyjeżdżała właśnie teraz, po zakończeniu uroczystości? Może pragnęła złożyć uszanowanie kardynałowi Spadzie i przeprosić za spóźnienie?

- Kilka miesięcy temu dworzanie bardzo się zdziwili, gdy Jego Wysokość zaczął nagle śpiewać z pamięci tę arię. Jest to ta sama aria, którą czterdzieści lat temu nucił z Marią podczas romantycznych spacerów. Dziwili się wszyscy, z wyjątkiem mnie.

Zrozumiałem, dlaczego Maria Mancini zdecydowała się w końcu przyjechać: spełniała życzenie Arcychrześcijańskiego Króla, jak sama napisała w liście do Atta. Melani miał jej przekazać słowa króla, który błagał Marię, by wróciła do Francji. Chcąc, by go wysłuchała i dała się przekonać, opat musiał przypomnieć sobie słowa wypowiedziane przez króla, a następnie powtórzyć je Marii. Jednocześnie musiał przekazać jej uczucia Ludwika, opowiedzieć o jego spojrzeniach, gestach, w nadziei, że poruszy jej serce.



- Od czasów afery trucicielskiej, kiedy Jego Wysokość sądził, że za walił się cały jego świat, coraz częściej zlecał mi różne zadania za pośrednictwem swoich ministrów - opowiadał Melani. - Coraz częściej wspominał też w swoich listach, pozornie formalnych, o konstablowej Colonne. Pytał, jak się czuje, co robi i tak dalej.

Maria - ciągnął rozgoryczony Atto - wyjechała do Hiszpanii, żeby uciec przed prześladowaniami męża, konstabla Colonne (biedaczka nieustannie przebywała w klasztorach i więzieniach).

- Przez te wszystkie lata informowałem króla o tym, co się dzieje z Marią.

Wstrzymałem oddech. Melani przyznał się do tego, że był pośrednikiem między Arcychrześcijańskim Królem a konstablową. Miałem nadzieję, że wkrótce wyzna mi całą prawdę.

- Aż pewnego dnia - ciągnął Atto - kiedy przygnębiony, rozczarowany król musiał w końcu ukręcić kark aferze trucicielskiej, zauważyłem, że nazwisko Colonna robi na nim duże wrażenie.

Znacznie większe - mówił opat - niż proste imię Maria, które Ludwik XIV dobrze znał. W zestawieniu z nazwiskiem po mężu zdawało się ranić króla, zwiększać dzielącą ich przepaść, albowiem oznaczało, że Maria należy do innego mężczyzny, księcia Lorenza Onofria Colonne, któremu urodziła troje dzieci.

- Najgorsza była jednak dla Ludwika świadomość, że Maria nigdy go nie zapomniała, do tego stopnia, że postanowiła uciec od męża, z którym łączyła ją przecież silna namiętność, o czym nie omieszkalem wspomnieć królowi - podsumował Atto smutnym tonem człowieka zmuszonego przeżywać podobne namiętności jako widz, który stoi z nosem rozplaszczonym na szybie, dzielącej kastrata od normalnych mężczyzn i kobiet.

- Nigdy nie opowiadał mi pan o księciu Colonne, mężu Marii.

- Bo też niewiele jest do powiedzenia - uciął poirytowany opat.

Atto również - pomyślałem - nie lubił mówić o człowieku, który wprawdzie nie zdobył serca Marii, ale posiadał jej piękne ciało. Dość dużo słyszałem o burzliwym, nieudanym małżeństwie konstabla Colonne i jego niezłomnej małżonki.

- Nie bał się pan gniewu króla, kiedy przekazywał mu pan informacje, które mogły go zranić?

- Opowiadałem ci już, jak zachowywał się Ludwik przez dwadzieścia lat małżeństwa z Marią Teresą: jego serce zdawało się uśpione, nieczułe.

Przez cały ten czas starałem się je ożywić, rzucając mu lśniące kamyki, kawałki czystego kryształu, jakimi były wieści o Marii. Kiedy mówiłem mu o niej, czuł ukłucia zazdrości, budził się z odrętwienia, w jego pamięci odżywały wspomnienia, piękniejsze niż najcenniejsze klejnoty, którymi obsypywał swoje kochanki, niż najwymyślniejsze urządzenia do oświetniania dworskich uroczystości, komedii i baletów, niż wszystkie orkiestry, którymi się ogłaszał. Te marzenia, ulotne chwile ginęły w zgiełku dworu. Trwały zbyt krótko, by Ludwik zdążył je zauważyć. Mimo to zapadały mu głęboko w duszę, by którejs bezsennej nocy szepnąć mu, że Maria istnieje.

Wzruszyłem się na myśl o pokorze, z jaką opat przez dwadzieścia lat znosił swoją niespełnioną miłość do Marii. Przez cały ten czas dbał o to, by nie zerwała się delikatna srebrzysta nić łącząca te dwa nieszczęsne serca. Czynił to tak dyskretnie, że Maria i Ludwik nawet tego nie zauważyli. Pomyślałem, że opat zapewne opowie mi kiedyś o swojej roli posłańca. Teraz jednak milczał, pogrążony we wspomnieniach.

Ktoś zapukał do drzwi. Lokaj przyszedł spytać, czy opat czegoś nie potrzebuje.

- Tak, dziękuję. Przynies mi coś do zjedzenia. Ty też coś zjesz, chłopcze?

Chętnie skorzystałem z propozycji, ponieważ z głodu burczało mi w brzuchu. Od obiadu minęło już kilka ładnych godzin.

- Pomyśl, jak wyglądałaby dzisiaj Francja i cała Europa - mówił dalej Atto - gdyby u boku Ludwika panowała szczęśliwie Maria Mancini. Nie doszłoby do ataku na Flandrię i na księstwa niemieckie, do barbarzyńskiego zniszczenia Palatynatu, do głodu i nędzy, które były następstwem finansowania tych wszystkich wojen i wielu innych przedsięwzięć.

- Gdyby u boku Ludwika panowała szczęśliwie Maria Mancini, Francja nie mogłaby skorzystać z hiszpańskiej sukcesji - zauważyłem złośliwie.

Opat poczuł się dotknięty do żywego.

- Przeszłość jest przeszłością, nie da się odwrócić biegu rzeczy - odparł gniewnym tonem. - Jest to możliwe jedynie w naszej wyobraźni, o czym przekonał się w „Okręcie”. Należy się jednak postarać, by wydarzenia sprzed lat nie poszły na marne.

- Co pan ma na myśli?

- Gdyby przez rozdzielenie Ludwika i Marii Mancini tron hiszpański

dostał się Burbonom - oznajmił uroczyście Atto, podnosząc palec wskazujący w górę - ich tragedię sprzed czterdziestu lat należałoby dziś uznać za wyraz najwyższego poświęcenia dla dobra domu królewskiego Francji i działanie na chwałę Boga, od którego pochodzi władza każdego monarchy.

Niezbyt dobrze rozumiałem sens tego popisu krasomówstwa, ale jedno było dla mnie jasne: po raz pierwszy od przyjazdu do willi Spada Atto rozmawiał ze mną na temat sukcesji hiszpańskiej.

- Tylko pod tym warunkiem ich rozłąka nie byłaby daremna - dodał.

Wojnę we Flandrii na przykład - ciągnął Melani - Arcychrześcijański Król mógł przeprowadzić jedynie jako małżonek Marii Teresy, która wniosła mu wysoki posąg.

- Arcychrześcijański Król, zarówno dawniej jak i dziś, zdobywa wszystko, czego zapragnie, często uciekając się do siły. Pragnie zapomnieć o własnym cierpieniu, zadając je innym. Mówiłem ci już o tym, pamiętasz? - przypomniał mi opat.

- Tak. O ile mnie pamięć nie myli, w odwecie król łamie kobietom serca i wszczyna wojny - stwierdziłem.

- Królowe i racja stanu - oto co doprowadziło do ostatecznej rozłąki z Marią Mancini.

Z tego powodu - ciągnął Atto cierpkim tonem - Ludwik XIV chętnie zadawał ból kobietom, zwłaszcza jeśli w grę wchodziła polityka, jak w wypadku księżniczki palatyńskiej i wielkiej delfiny.

- Król szczerze podziwiał te dwie kobiety. Nie były one tak sentymentalne i delikatne jak Luiza de La Valliere ani tak ambitne jak Atenaida de Montespan. Gorzej - były niezależne i walczyły w obronie własnych ideałów, podobnie jak kiedyś czynił to Ludwik, sprzeciwiając się woli matki i ojca chrzestnego.

Ludwik dostrzegał wiele podobieństw między sobą a tymi dwiema idealistkami o męskim charakterze. Ponieważ jednak kiedyś poniósł porażkę, nie mógł dopuścić, by były górą. Król był nieszczęśliwy, więc żaden z członków dworu nie mógł otwarcie okazywać własnego szczęścia czy radości. Król jest niski, zatem nikt nie miał prawa nosić butów na obcasach ani wysokich peruk.

- Król jest niski? Ale przecież opowiadał mi pan, że jest wysoki i piękny...

- Czy to ważne? Powtórzyłem ci to, co mówią wszyscy i co przedstawiają portrety. W słynnych czerwonych butach na obcasach i w olbrzy-

miej peruce Ludwik uchodzi za najwyższego monarchę w Europie. Nawiasem mówiąc, nosi tak wysokie obcasy, że chyba żaden malarz nie odważyłby się wiernie ich odtworzyć. Powiem ci w zaufaniu, mój chłopcze, że kiedy wieczorem Arcychrześcijański Król zdejmuje buty i perukę, nie jest wcale wyższy od ciebie.

W tej samej chwili przyniesiono nam cztery pieczone frankoliny z fasolką szparagową, karczochami i kwaśnymi winogronami, wino oraz placki z ziarnem sezamowym. Atto zaczął od jarzyn, ja natomiast zatopiłem zęby w pierś frankolina.

Biada każdemu, kto zbyt długo zachowuje spokój, nawet jeśli jest on skutkiem pogodzenia się z losem. A taka właśnie była księżniczka palatyńska (nazywano ją tak, ponieważ pochodziła z Palatynatu). Niemiecka kuzynka króla, młoda, ale brzydka, w przeciwieństwie do swojej poprzedniczki, niespokojnej, nieszczęśliwej Henrietty Angielskiej, znalazła pokojowy *modus vivendi* w stosunku do swojego dziwnego małżonka, zwanego Monsieurem. Filip, młodszy brat Ludwika, nie lubił kobiet, mimo to księżniczka nie czuła do niego odrazy. Opowiadano nawet, że z pomocą świętego obrazka, który potarła w odpowiednim miejscu i czasie, zaszła w ciążę i dała mężowi męskiego potomka, którego nie zdołała zapewnić mu świętej pamięci Henrietta. Po narodzinach dziecka, za obojętną zgodą i ku wzajemnemu zadowoleniu, małżonkowie rozdzielili łoża. Łączyła ich jedynie miłość do syna. Spokój księżniczki palatyńskiej nie trwał jednak długo.

- Mniej więcej dziesięć lat temu wyrządzono jej wielką krzywdę, która była jedną z największych zbrodni w dziejach armii francuskiej - oznajmił z emfazą Atto, pogrążony we wspomnieniach. - Oddziały francuskie zaczęły systematycznie plądrować jej ziemie, Palatynat, jak również jej rodzinny zamek. Było to prawdziwe arcydzieło perfidii, realizowane w imieniu księżniczki, lecz bez jej zgody.

Podobnie jak w przypadku Marii Teresy i hiszpańskiej Flandrii Ludwik w imieniu szwagierki, lecz wbrew jej woli, rościł sobie prawo do Palatynatu. Księżniczka poprosiła o audiencję, ale król nie chciał z nią rozmawiać. Z jego rozkazu żołnierze, wbrew wojennemu obyczajowi, puścili z dymem wiele miast, oszczędzając wsie. Ocalały nędzne zagrody wieśniaków, a zrównano z ziemią między innymi Mannheim i Heidelberg, gdzie wspaniały pałac z czerwonego piaskowca został zburzony, a następnie zatopiony w wodach rzeki Neckar.

- Od tamtych wydarzeń minęło wiele lat, ale oficerowie francuscy, którzy brali udział w inwazji, jeszcze dziś odczuwają wstyd. Jedynie dzięki marszałkowi Tesse zdołano uratować kolekcję portretów rodzinnych, którą żołnierze wynieśli z płonących pomieszczeń. Aby złagodzić smutek i rozpacz księżniczki, obrazy złożono jej w darze.

Na próżno spowiednik Ludwika szeptał mu do ucha wyrażenia w rodzaju „miłość bliźniego”. Poirytowany król przerywał spowiedź, wykrzykując: „Bzdury!”, wzruszał ramionami i wychodził, nie pożegnawszy się z księdzem.

Monarcha trwał niewzruszenie przy swoim zdaniu, zadając podobne cierpienia innej niemieckiej kuzynce, którą była wielka delfina, jego synowa.

- Była wprost stworzona na królową, której od lat brakuje Francji. Miała odpowiednie cechy i zalety. Dobrze pamiętam podziw malujący się na twarzy króla, kiedy z nim rozmawiała.

Niespodziewanie Ludwik XIV powiadomił delfinę, że zabrania jej dowiadywać się o sprawy państwa, a po pewnym czasie wydał wojnę Bawarii, rodzinnej ziemi synowej, odrzucając wszelkie próby mediacji z jej strony. Dla delfiny był to cios. Ogarnęła ją tak głęboka melancholia, że spuchła od pasa w dół i zmarła w konwulsjach.

- Jej śmierć była dla królestwa czymś w rodzaju nemezis - powiedział ze smutkiem Melani. - Francja pozostała bez władczyni. Nie ma ani królowej matki, ani rządzącej monarchini, ani delfiny - kobiet łączących przeszłość, teraźniejszość i przyszłość rodziny królewskiej. W dużej mierze z winy króla. Nie wydaje się jednak, żeby Ludwik tego żałował. Poślubiając panią de Maintenon, nie tylko pozbawił Francję wszelkiej nadziei na nową królową, ale namówił też swojego syna, delfina, który owdowiał, by poślubił swoją dawną kochankę, aktorkę - oznajmił Atto, sięgając po karczocho.

- Funkcja królowej została więc... zniesiona! - zawołałem, po czym odłożyłem na talerz starannie ogryziony szkielet frankolina i sięgnąłem po kolejnego pieczonego ptaka.

- Tylko człowiek tak stary jak ja wie, że przyczyn postępowania Ludwika należy szukać w wydarzeniach sprzed czterdziestu lat. Przełomowy był zwłaszcza poranek w Brouage, kiedy ból po stracie Marii zmienił serce Ludwika w twardy głaz. Na wiele długich lat Arcychrześcijański Król przywdział maskę oschłości. Dopiero niedawno, gdy się zestarzał, cierpienie odżyło na nowo i jest tak dojmujące, że nie potrafi go ukryć. Wie

coś o tym spowiednik pani de Maintenon, który codziennie wysłuchuje jej skarg.

- A pan skąd o tym wie?

- Od spowiednika, który z kolei skarży się mnie - powiedział opat z uśmiechem. - Powszechnie wiadomo, że król widuje się z Maintenon trzy razy dziennie: przed mszą, po obiedzie i wieczorem, po powrocie z polowania. Niewiele osób wie natomiast, że król co wieczór płacze. Przytrafia mu się to w chwili, gdy udaje się do komnaty żony, by życzyć jej dobrej nocy. Nagle smutnieje, robi się czerwony na twarzy i wybucha szlochem. Obydwoje wówczas milczą. Niekiedy szlocha tak mocno, że aż słabnie.

- Pani de Maintenon odgadła, co dręczy króla?

- Przeciwnie, zastanawia się, dlaczego nie może go nakłonić do rozmowy. Dla Maintenon Arcychrześcijański Król pozostaje zagadką.

Z tego powodu - ciągnął opat Melani - kiedy Ludwik odwiedza wieczorami panią de Maintenon, ona wpada w złość, a nawet czuje do króla odrazę. Król bowiem zwykł ronić łzy, dając upust żądzy, co w jego żonie, zważywszy na wiek króla, budzi obrzydzenie. „Godne pożalowania chwile!” - tak powiedziała de Maintenon swojemu spowiednikowi. Po zaspokojeniu chuci Ludwik wychodzi, z policzkami jeszcze mokrymi od łez, oczywiście bez słowa.

- Nazajutrz ponownie przeobraża się w tyrana. Z wiekiem stał się jeszcze bardziej apodyktyczny. Dla kobiet z jego rodziny przebywanie w Wersalu stało się prawdziwą torturą. Kiedy Jego Wysokość udaje się w podróż, na przykład do Fontainebleau, domaga się, by w jednej karcie jechały wszystkie córki i ich dzieci, tak jak niegdyś kochanki. Traktuje je niezwykle surowo, pozostaje nieczuły na narzekania i zmęczenie. Każe im jeść, rozmawiać i cieszyć się na zawołanie. Cięża nie zwalnia żadnej z córek z podróży w świetle króla, nawet jeśli jest ona zagrożona. Nikt nie potrafi zliczyć poronień spowodowanych jazdą karetą po wybojach.

Ogarnęło mnie przerażenie.

- Nie mówiąc już o cierpieniach - ciągnął opat z drwiącym uśmiechem - na jakie narażał panią de Maintenon. Zmuszał ją do podróży w warunkach, których należałoby oszczędzić nawet zwykłemu służącemu. Kiedyś podczas jazdy do Fontainebleau obawialiśmy się nawet o jej życie. Albo inny przykład: de Maintenon ma gorączkę lub migrenę, król za prosi ją niewinnie do teatru, gdzie jej dolegliwości pogłębiają się wsku-

tek przeciągów i żaru z tysiąca świec. A kiedy małżonka leży chora w łóżku, Ludwik każe otworzyć wszystkie okna w komnacie, nawet jeśli na zewnątrz panuje mróz.

- W świetle tego, co pan mówi, trudno nazwać Ludwika najwspanialszym królem na świecie - podsumowałem po chwili milczenia.

- Arcychrześcijański Król nadal odgrywa się za dawną porażkę, której doznał od matki, królowej Anny. Zamęczając wszystkie kobiety w swojej rodzinie, bierze na niej odwet. Ale walka króla jest z góry przegrana, zmarli bowiem, mój chłopcze, nie odpowiadają na zaczepki.

Melani skończył swoją opowieść, długą jak rzeka. Podjął ją, żeby przygotować się do przekazania Marii słów miłości od Ludwika XIV. W pewnej chwili zaczął wspominać nawet błędy i złe uczynki Ludwika, choć nie zaważyło to na istocie wypowiedzi. Żony, kochanki i zemsta Arcychrześcijańskiego Króla, wszystko krążyło wokół jednego tematu - Marii. W imieniu tym streszczało się czterdzieści lat historii Europy. Dla tej kobiety, którą teraz nadaremnie i zbyt późno wzywał, *le plus grand Roi du monde* spustoszył całą Europę, zadając jej dotkliwe ciosy i nie bacząc na cierpienia niewinnych ludzi. Zranione serce walczyło z całym narodem, a nawet z własnymi krewnymi. A teraz Maria, niczego nieświadoma przyczyna wszystkich nieszczęść, miała zawitać w willi Spada.

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Buvat powiadomił nas, że pani konstablowa właśnie przyjechała.

- Spaceruje po ogrodzie - powiedział sekretarz opata, nie kryjąc złośliwości.

- Ach, tak... - odparł Atto i odprawił Buvata, nie pytając go o szczegóły, jakby chodziło o przyjazd zwykłego gościa.

Udawanie opatowi nie wychodziło. Głos mu się łamał ze wzruszenia, choć starał się to ukryć.

- Bardzo dzisiaj duszno - stwierdził, kiedy za Buvatem zamknęły się drzwi. - Latem w Rzymie zawsze jest gorąco. Poza tym powietrze jest bardzo wilgotne. Pamiętam, że dawniej też źle znosiłem tutejszy klimat. Nie jest ci gorąco?

- Tak... bardzo - odparłem bezmyślnie.

Atto wyjrzał przez okno, patrząc w dal, jakby się nad czymś zastanawiał.

Ostupałem ze zdumienia. Maria była w ogrodzie, w każdej chwili mógł do niej pójść, nawet powinien to uczynić, ale nie ruszył się. Po tylu opowieściach o miłości Marii i Ludwika, o własnej nieszczęśliwej miłości do tej samej kobiety, po trzydziestoletniej rozłące i tylu płomienych listach Atto nie wykonał żadnego gestu. Ubrany w szlafrok, wyglądał przez okno i milczał. Spojrzałem na jego talerz. Zjadł trochę jarzyn, ale nie tknął smacznych frankolinów. Najwyraźniej nie miał apetytu.

Podniosłem się i podszedłem do opata. Było tak, jak myślałem. Nie mogłem pomylić osoby, ponieważ wszyscy goście już wyjechali. W towarzystwie panny dworskiej i lokaja Maria przechadzała się z wdziękiem po ogrodzie, podziwiając kwietniki Tranquilla Romaulego. Od czasu do czasu muskała dłonią jakąś roślinę, patrzyła z zachwytem na malownicze, wyszukane otoczenie, mimo że w ogrodzie panował jeszcze nieład po weselnym uroczystościach. Najwyraźniej zupełnie nie przeszkadzali jej służący i lokaje, którzy biegali we wszystkie strony, rozmontowywali podesty, wynosili worki pełne śmieci. Musiała być zmęczona podróżą, ale nie dawała tego po sobie poznać.

- Sądząc z liczby osób pracujących teraz w ogrodzie, można się domyślić, że przyjęcie bardzo dużo kosztowało - oznajmił Atto cynicznie.

- Może powinniśmy, a raczej powinien pan... - wybąkałem.

Opat Melani nie podjął rozmowy. Podszedł powoli do szafy, otworzył ją i zaczął przeglądać swoje kosztowne ubrania. Po chwili uchylił wieczko szkatułki z medykamentami i ze sceptycznym wyrazem twarzy, który dobrze znałem, przyglądał się balsamom, maściom i pudełeczkom ze sztucznymi pieprzykami. Ponownie podszedł do szafy, pochylił się i z jej ciemnego wnętrza wyjął kilka par butów, ozdobionych kokardkami i sprzączkami. Obojętnym gestem rzucił je na podłogę, jakby nie spełniały jego oczekiwań. Następnie zaczął wyciągać z szafy ubrania.

- Nie ma sensu mówić umarłym: nie mieliście racji - powiedział nie oczekiwanie.

Oglądając cenne tkaniny, Melani wrócił pamięcią do przeszłości. W ogrodzie oczekiwała go Maria, tymczasem on trwał z uporem przy wspomnieniach, niczym maź uczepony skały (sam kiedyś wymyślił to porównanie).

- Królowa matka pomyliła się w swoich przewidywaniach, lecz największy błąd popełnił Mazzarini - powiedział w zamyśleniu, głaszcząc



jedwab koszuli. - Gdyby nie kardynał, Ludwik zdołałby przekonać matkę i poślubiłby Marię, a naszyjnik królowej Anglii byłby podarunkiem zaręczynowym, a nie pożegnalnym.

- Powiedział pan: największy błąd?

- Tak. Błąd, za który kardynał zapłacił życiem.

- Co pan ma na myśli?

- Pamiętasz moją opowieść o Capitor i zagadkowych słowach, które skierowała do kardynała? - spytał Atto, oglądając żabot z weneckiej koronki.

- O ile sobie dobrze przypominam, Capitor powiedziała: „Panna, która poślubi Koronę, przyniesie śmierć”.

- To nie wszystko, powiedziała jeszcze, że śmierć nastąpi wtedy, gdy Księżyc zbliży się do Słońca weselnych - oznajmił, dotykając materiału spodni, mankietów, kołnierzyków i kaftanów.

- Pamiętam to zdanie, choć nigdy mi pan nie wyjaśnił jego znaczenia.

- Wtedy też nikt nie zrozumiał tych słów, więc o nich zapomniano.

Uwaga wszystkich skupiła się na „pannie” Marii i „Koronie” Ludwika, którzy mieli zapewne przynieść śmierć adresatowi przepowiedni Capitor, czyli Mazzarinemu. Zastanawialiśmy się, jak kardynał zareaguje na tę wróżbę.

- Właśnie dlatego Mazzarini rozdzielił Marię i Arcychrześcijańskiego Króla - wtrąciłem.

- Otóż to! Ludwik poślubił infantkę Hiszpanii, Marię Teresę, dziewiątego czerwca, a dziewięć miesięcy później, dziewiątego marca, zmarł Mazzarini. Przepowiednia się spełniła.

- Nie rozumiem.

- Im jesteś starszy, tym wolniej myślisz, mój chłopcze - powiedział tonem wymówki opat, który dzięki cennym arcydziełom krawiectwa odzyskiwał dobry humor. - Dziewięć, dziewięć i dziewięć.

Spojrzałem na opata ze zdziwieniem.

- Nadal nie pojmujesz? - niecierpliwił się Melani. - Liczba Księżyców, czyli miesięcy, była taka jak liczba Słońca, czyli dni. Zaślubiny Jego Wysokości i Marii Teresy odbyły się dziewiątego czerwca. Po dziewięciu Księżycach, czyli miesiącach, kardynał zmarł, dokładnie dziewiątego marca, w dniu, na który przypadał dziewiąty Księżyc.

Ogarnęło mnie jeszcze większe zdumienie, tymczasem opat przymierał perłową szarfę do pary bordowych pończoch.

- Proroctwo Capitor nie spełniło się jednak - zauważyłem. - Wariatka

powiedziała, że Mazzarini umrze, jeśli „panna” poślubi „Koronę”, a to nie nastąpiło.

- Przeciwnie - zaprzeczył Atto. - Tyle że „panną” nie była Maria, ale sam król. Wiesz, dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Kiedy urodził się Jego Wysokość? - spytał Melani.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, we wrześniu. Mówił pan, że król kazał aresztować Fouqueta w dniu swoich urodzin... czyli piątego września.

- Jaki jest wtedy znak zodiaku?

- Panna.

- Widzisz? Doszedłeś do tego. Król jest spod znaku Panny. „Korona” natomiast to Korona hiszpańska, którą wniosła w posagu infantka Maria Teresa i która daje Francji prawo do ubiegania się o tron Hiszpanii.

- W jaki sposób pan to rozwił?

- Nie tylko ja to pojąłem - odparł Melani, przymierzając czarny kaptan, a następnie pelerynę *gris castor*, które jednak szybko zdjął, gdyż zrobiło mu się gorąco, jako że tego dnia panował wyjątkowy upał. - Również Mazzarini zrozumiał, że zabierając Ludwikowi Marię i zmuszając go do ślubu z infantką, wydał wyrok na samego siebie. Było jednak za późno, bo leżał już na łożu śmierci. Resztkami sił krzyczał, wił się z bólu. Miał wrażenie, że się dusi, próbował zedrzeć z siebie przepocone szaty, jakby tym sposobem mógł zapobiec zaślubinom, do których sam doprowadził. Na własne oczy widziałem rozpacz Mazzariniego. Pamiętam, jak w pewnej chwili spojrział na mnie, a ja wyczytałem w jego przerażonych oczach wspomnienie dni spędzonych na Wyspie Bażanciej, kiedy obaj prowadziliśmy rokowania, żeby nie dopuścić do ślubu Marii Teresy z cesarzem Leopoldem. W tym ostatnim przeblysku świadomości kardynał Juliusz Mazzarini, Włoch z pochodzenia, w którego żyłach płynęła sycylijska krew, nagle gwałtownie drgnął, jakby rażony piorunem, i oddał duszę Bogu.

- Widzę, że dał pan wiarę słowom Capitor - zauważyłem sarkastycznym tonem, kiedy otrząsnąłem się po ponurej opowieści o Mazzarinim. Jednocześnie czułem litość do opata, który sceptycznie odniósł się do wizji w „Okręcie”, ale był całkowicie przekonany o proroczych umiejętnościach hiszpańskiej wariatki.

- Chwileczkę! - zaprotestował Atto, próbując wcisnąć spuchnięte stopy w buty na wysokim obcasie. - Nigdy nie powiedziałem, że uwierzyłem w przepowiednie Capitor.

- Ale przecież przed chwilą...  
- Nie! - przerwał mi stanowczym tonem. - Posłuchaj mnie uważnie! Wiesz, dlaczego Mazzarini zmarł dokładnie dziewiątego marca? Ponieważ uświadomił sobie, że na ten dzień przypadał dziewiąty Księżyc po dziewiątym czerwca, dniu ślubu Arcychrześcijańskiego Króla.

- Nie rozumiem.  
- Był już bardzo chory, a odkrycie dokonane owego pechowego dnia spowodowało kolkę nerkową, wskutek której zmarł. Krótko mówiąc, prorocstwo Capitor było przyczyną śmierci kardynała, ale tylko dlatego, że był on przesądny. Jej magiczne zdolności nie miały tu nic do rzeczy - oświadczył opat Melani, nie mogąc się zdecydować, czy wybrać olbrzymią blond perukę, którą krzywo włożył na głowę, czy drugą, kasztanową, którą trzymał w ręku. - Ponosimy dobre lub złe konsekwencje tego, w co wierzymy, chłopcze.

Atto zamilkł, sądząc, że udzielił mi wystarczających wyjaśnień. Za wszelką cenę pragnął uniknąć rozmowy o tajemniczych, niezrozumiałych zjawiskach, które widzieliśmy podczas wypraw do „Okrętu”. Zdziwiła mnie ta niechęć, przypomniałem sobie bowiem, że podczas pierwszej opowieści o Capitor Melani z dużym przejęciem opisywał mi magiczne zdolności szalonej Hiszpanki, przebywającej z wizytą na dworze francuskim ze świtą don Juana Bękartą.

- Muszę jednak przyznać - powiedział po chwili, przymierzając ko lejne peruki z wdziękiem osoby tańczącej menueta - że niektóre słowa Capitor były bardzo zbliżone do prorocstwa.

Chodziło o sonet wypisany na globusie i na ścianie „Okrętu”. Atto wyrecytował dwie ostatnie zwrotki:

Patrz, ktoś został wielkim panem, *Et*  
*alter est expositus ruinae*; Trzeci  
stracił bogactwa niesłychane.

*Chiartus ascendet iam, nec quisquam sine*  
Powodu innego jak rzeczy wykonane,  
*Secundum legis ordinem divinae.*

- Wydarzyło się to po śmierci Mazzariniego - powiedział Atto. Wziął do ręki buteleczkę perfum, odłożył i zaczął oglądać pasek i dwa zegarki. - Colbert robił karierę, a nad nadintendentem Fouquetem za wisły czarne chmury, jakby na potwierdzenie słów *et alter est expositus*

*ruinae*, „innemu grozi klęska”. Czwarty wers zapowiadał nadejście Arcychrześcijańskiego Króla, który *ascendet iam*, „już wznosi się w górę”. Istotnie, po śmierci kardynała młody król zakasał rękawy i przejął ster rządów. Jak mówi sonet, *nec quisquam sine* powodu innego jak rzeczy wykonane, czyli dzięki własnej pracy, ale też *secundum legis ordinem divinae*, to znaczy „zgodnie z prawem bożym”, które daje królowi władzę.

- W pańskiej interpretacji sonetu brakuje trzeciej postaci, czyli tego, „kto stracił bogactwa niesłychane”.

- Wyrazy uznania! Widzę, że jesteś uważnym słuchaczem. Trzecią osobą jest Mazzarini.

- Umarł w nędzy? - spytałem zdumiony. - Kiedy się poznaliśmy, opowiadał mi pan, że kardynał zgromadził ogromną fortunę.

- To prawda, ale źle wybrał spadkobiercę. Armand de La Meilleraye, mąż Hortensji Mancini, był nienormalny - oznajmił Atto, przymierzając kolejno pelerynki z kolorowego jedwabiu, płótna i lśniącej satyny, obszyte frędzlami i lamówkami. Kiedy tak stał przed lustrem, sam sprawiał wrażenie człowieka niespełna rozumu.

Armand de La Meilleraye - powtórzyłem w myśli, niemal nie zwracając uwagi na półnagiego strojącego się opata. Buvat opowiadał mi, że po wyjeździe Marii Atto składał częste wizyty Hortensji, czym rozsierdził jej szalonego męża, który kazał swoim ludziom pobić Melaniego, a później wyrzucił z Francji. Atto skorzystał z okazji i udał się do Rzymu, gdzie z finansową pomocą i ku zadowoleniu króla Ludwika odnalazł Marię Mancini, od niedawna żonę konstabla Colonna.

- Mazzarini - ciągnął opat, pochłonięty przymierzaniem strojów; nie przypominało to już spokojnego menueta, lecz chaotyczną sarabandę - długo szukał odpowiedniej partii dla najpiękniejszej, najbardziej pożądaney ze swoich siostrzenic, którą postanowił uczynić jedyną spadkobierczynią. Jego wybór padł na kuzyna kardynała Richelieu, księcia de La Meilleraye. W ten sposób książę wszedł w posiadanie ogromnej, nie uczciwie zdobytej fortuny kardynała. Młodzi pobrali się na dziesięć dni przed śmiercią Mazzariniego, który odszedł z tego świata, nie mając pojęcia, komu tak naprawdę zostawił swój majątek.

Armand de La Meilleraye - mówił Atto z sarkazmem, przypominając sobie swojego dawnego wroga - był naprawdę szalony. Wstydził się, że odziedziczył fortunę Mazzariniego, którego uważał za złodzieja zasługującego na piekło. Postanowił rozdać odziedziczony majątek. Odszukał

ofiary nieuczciwości kardynała i namówił do wytoczenia procesu jego spadkobiercy, czyli samemu sobie. Odbyło się ponad trzysta procesów. Szalony Armand usilnie starał się je przegrać i w ten sposób odpowiedzieć za bezprawie, którego dopuścił się kardynał. Zwracał się o poradę do najszlachetniejszych adwokatów, aby później postąpić dokładnie odwrotnie, niż mu sugerowali. Pewnego dnia kazał służącym zabrać farby i młotki, po czym zaprowadził ich do galerii, w której Jego Eminencja zgromadził cenne arcydzieła. De La Meilleraie porozbijał greckie i rzymskie posągi, ponieważ były nagie, a służącym, pogrążonym w rozpacz na widok tej masakry, kazał zamalować czarną farbą nagie postacie z obrazów Tycjana, Correggia i wielu innych artystów.

Kiedy minister Colbert przybiegł ratować obrazy, szaleniec, wyczerpany, ale spokojny, właśnie kończył dzieło zniszczenia. Wybiła północ, zaczęła się niedziela, dzień przeznaczony na wypoczynek. Destrukcja została wstrzymana, ale niemal nic się nie uratowało.

- Słyszałem, że w ostatnich dniach życia Mazzarini chodził po galerii, głaskał posągi i obrazy, powtarzając wśród łez: „I pomyśleć, że będę musiał rozstać się z tym wszystkim! I pomyśleć, że będę musiał rozstać się z tym wszystkim!”

- Zupełnie jakby ciążyło na nim przekleństwo - zauważyłem.

- Wielcy ludzie bywają śmieszni, kiedy starają się uczynić wszystko, by po śmierci wspomniano ich jako lepszych, niż byli naprawdę - podsumował Atto.

To powiedziawszy, zamilkł, jakby zastanawiał się nad sensem wypowiedzianych przed chwilą słów.

- Śmieszni... - powtórzył mechanicznie, wykrzywiając usta.

Stary śpiewak kastrat spuścił wzrok. Popatrzył na spodnie, kaftan, karonkowy wenecki żabot i inne rzeczy, które na siebie założył, upodabniając się do krawieckiego manekina. Podszedł powoli do okna i spojrzał na ogród, gdzie, jak się domyślałem, nadal czekała pani konstablowa.

W tej samej chwili ujrzałem, jak spadają na podłogę peleryny, pelerynki, kaftany, żaboty, mankiety, pończochy. Kosztowny jedwab, lśniąca satyna, marszczone płótno, tafty i inne cenne tkaniny z Mediolanu i Genui fruwały w powietrzu, niczym wzdęte żagle. Ujrzałem przed sobą prawdziwą feerię barw, na którą składały się szarości, różne odcienie bieli, czerwienie, szkarłaty, czernie, brązy, kolor złoty i srebrny.

Oslupiałem, widząc, z jaką energią Melani rozrzuca owe arcydzieła sztuki krawieckiej, on, który przed laty rzucał przekleństwa za każdym

razem, kiedy w podziemnych korytarzach Rzymu dostrzegł ślady błota na swoich koronkach lub ukochanych czerwonych pończochach.

Kiedy niezwykła armia strojów legła bez życia na podłodze i cała garderoba Atta porozrzucana była po całym pokoju, stary, zmęczony opat, podobny do półnagięgo satyra, usiadł ciężko na sofie koło łóżka i podparł głowę rękami.

Ochłonawszy z wrażenia, podszedłem do opata, ale on nagle wstał, odalił się o kilka kroków i założył szlafrok.

- Rozumiesz już wers z sonetu Capitor? - zapytał jak gdyby nigdy nic.

Nalał do dwóch kieliszków słodkiego czerwonego wina i podał mi jeden z nich.

- „Trzeci stracił bogactwa niesłychane” - powtórzył, nie doczekawszy się mojej odpowiedzi. - Po śmierci Mazzarini stracił wszystko.

- Istotnie - bąknąłem.

Wypiłem wino jednym haustem. Drżały mi dłonie. Atto ponownie napemnił kieliszek, unikając mojego wzroku. Alkohol pomógł mi się opamiętać, odzyskałem równowagę ducha.

- Prorocze słowa! - wykrzyknąłem, gdy dotarło do mnie wyjaśnienie opata.

- Albo zbieg okoliczności - stwierdził.

Uśmiechnąłem się. Atto uparcie trwał przy swoim: nie chciał przyznać, że niektórych zjawisk nie da się wytłumaczyć. Postanowiłem dać mu tę małą satysfakcję.

- Tak zwana przepowiednia Capitor nie spełniła się - upierał się opat, obstając przy swoim. - Mam na myśli przepowiednię, którą wariatka wypowiedziała przed tacą z Tetrachionem: „Kto pozbawi Koronę hiszpańską jej dzieci, temu Korona hiszpańska odpłaci tym samym”. Co to znaczy? Kto odebrał Hiszpanii następców tronu? Król Karol II nie miał dzieci, nikt mu ich nie zabrał. Prawda jest taka, że Capitor paplała bez sensu.

- O ile dobrze pamiętam - zauważyłem - gdy Capitor prezentowała tacę, powiedziała: „Dwoje w jednym”, wskazując Neptuna i Amfitrytę, a później berło w formie trójzębu. Zgadza się?

- Co z tego? - westchnął Atto z miną człowieka, który pragnie raz na zawsze zakończyć ten temat.

- Nie sądzi pan, że słowa te można powiązać z potworem Tetrachionem, o którym opowiadała nam Cloridia?

- Nie rozumiem, w jaki sposób - odparł Atto oschle.
- Może Tetrachion to bliźnięta zrośnięte bokiem, jak dwa morskie bóstwa z tacy i odbicie, które widzieliśmy w lustrze - wyjaśniłem, zaskoczony hipotezą, która nieoczekiwanie przyszła mi do głowy. - Capitor powiedziała przecież: „Dwoje w jednym”.
- Słusznie, ale miała na myśli postaci z tacy. To jedyny Tetrachion w całej historii, mój chłopcze, ponieważ obraz z „Okreću” był złudzeniem optycznym. Czyżbyś o tym zapomniał?
- To powiedziawszy, odwrócił się ode mnie na znak, że rozmowę uznaje za zakończoną, i podszedł do okna.
- Nadal tam jest? - zapytałem.
- Tak. Zawsze lubiła ogrody, które dzięki staraniom człowieka prześcigają swym pięknem naturę - powiedział drżącym głosem.
- Czas najwyższy, żeby pan do niej zszedł...
- Nie, nie teraz - odparł po chwili, odkrywając przede mną swoje najskrytsze myśli. - Zobaczą się z nią jutro.
- Ale może...
- Już postanowiłem. A teraz, wybaczone, chciałbym zostać sam. Muszę trochę popracować.

# Wieczór dziewiąty

*15 lipca 1700 roku*

- Chwileczkę, proszę o uwagę! Niech na chwilę zastygną w bezruchu nasze szczęki! Nie skupiamy się wyłącznie na podwieczorku. Bóg w swej szczodrości daje nam tyle, iż nie musimy się martwić o jutro. Pozwólcie zatem, że wzniosę toast za zdrowie pana domu, przewielebnego, wspaniałomyślnego kardynała Spady, życząc mu wszystkiego, co najlepsze!

Nastąpiły rześiste brawa, okrzyki radości i pobrzękiwanie kieliszków, a ten, kto wypowiedział te słowa, czyli sekretarz domu Spada, Carl Antonio Filippi, rozsiadł się wygodnie na otomanie w ogrodzie, podwinął rękawy i zaczął zajadać smażone pstrągi nadziewane brzoskwiniami w syropie, kandyzowanymi owocami i cynamonem, przybrane kwiatami lilii i plasterkami cytryny.

Odstawiłem schłodzone wino i przyłgnałem wargami do ust mojej Cloridii. Opodał bawiły się córeczki, owoc naszego związku. Objąłem żonę, szepcząc jej do ucha czułe słowa, wyznania miłości i inne sekretne rzeczy.

Właśnie trwało przyjęcie dla służby. Kardynał Spada pozwolił nam biesiadować i bawić się w ciasnych ogrodach willi, a nawet nocować w tureckich pawilonach z armeńskiego jedwabiu, w których do niedawna gościły wysoko urodzone osoby, przybyłe na uroczystości weselne. Dzięki szlachetnej decyzji kardynała sekretarz Filippi, autor przemówień wygłaszanych w domu Spada przy ważnych okazjach, miał sposobność popisać się swoim talentem krasomówczym, a my choć raz mogliśmy pocilić się potrawami przygotowanymi dla naszych chlebobawców.

Nie opowiedziałem jeszcze mojej bystrej żoneczce o szalonej wyprawie do Bazyliki Świętego Piotra. Pomijając szczegóły dotyczące niebezpieczeństw, na które byłem narażony, uraczyłem Cloridię nieprawdopo-



dobną, pełną luk opowieścią. Ona zaś, przychylnie nastawiona dzięki atmosferze ogólnej wesołości, udawała, że wierzy. Co pewien czas zadawała mi jakieś podstępne pytanie, demaskujące moje kłamstwa. Nie miała jednak ochoty zgłębiać tematu, gdyż cieszyła się, że nareszcie jesteśmy razem. Tego wieczoru zamiast wymówek wybrała pieszczoty.

Sekretarz literacki rodu Spada, opat Giuliano Borghi, siedział przy suto zastawionym stole w towarzystwie don Tibaldutia, don Paschatia, czcigodnego dziekana Giovanniego Grifiego, podczaszego Germana Hondadei, audytora Giovanniego Gamby i adiutanta kamery Ottavia Valletiego, zajętych spożywaniem ozorków smażonych na maśle, nadziewanych pastą rybną utartą z marcepanem, małżami, kwaśnymi winogronami i sproszkowanymi ciasteczkami. Były to resztki, ma się rozumieć, ale tak podane, że bardzo zyskały na smaku.

Stajenni, lokaje, woźnice, pomocnicy woźniców i masztalerze, siedzący przy skromniejszym stole, pałaszowali zupę z raków, truflii i śliwek, z dodatkiem soku cytrynowego, muszkatelu i przypraw, przegryzając kromkami opiekanego chleba i korpusami raków nadziewanymi gęsimi wątróbkami lub pistacjowymi ciasteczkami *alla Mazzarini*.

Jeszcze skromniejszy stół przygotowano dla tragarzy, garderobianych, ogrodników, posługaczy i pomocników. Spożywali oni pasztet *alla francese* z okoni, linów i węgorki, z dodatkiem słoniny, kaparów, szparagów, śliwek, gotowanych żółtek i plasterków cytryny.

Cała służba, włącznie z kucharzami i ich pomocnikami, siedziała pod rozgwieżdżonym niebem lub w tureckich pawilonach, rozmawiając o zakończonych niedawno uroczystościach.

Wydawało się, że świat stanął do góry nogami, słudzy zmienili się w panów, a panowie zostali pozbawieni wygód. Szlachetni goście wyjechali lub szykowali się do wyjazdu, nie interesując się tym, co działo się w willi. Kardynał Spada powrócił do swoich obowiązków sekretarza stanu.

Po tygodniu ciężkiej pracy prości biesiadnicy wiedli rozmowy, komentując ważne lub błahe wydarzenia, które tego dnia miały miejsce w mieście. I tak w Pałacu Apostolskim na Kwirynale odbył się koncert, na którym śpiewał kardynał Moriggia (w willi Spada wszyscy go dobrze znali, zwłaszcza Cezar August, który zwymyślał go jak należy). Podczas niezsporów w kościele Madonna di Monte Santo spadła belka i zabiła chórzystę. Z okazji dziewięciolecia pontyfikatu Jego Świątobliwość przyjął Święte Kolegium - kardynałowie i ambasadorzy życzyli mu (dobrze wiedząc, że to się nie spełni) długich lat panowania.

Te mało istotne rozmowy były zapowiedzią powrotu do normalnego, codziennego życia. Miałem wrażenie, że wszystko, nie tylko przyjęcie, dobiegło końca. Przyjechała Maria, choć wskutek nieuzasadnionych obaw Melaniego widzieliśmy ją tylko z daleka. Czy coś by się zmieniło, gdyby nie przyjechała? Traktat Atta o tajemnicach konklawe pozostał w rękach cerretan, a może został już doręczony Lambergowi albo nawet Albanemu. Opatowi groziło więc, że będzie szantażowany. Trzej kardynałowie, których tak pilnie śledziliśmy, zawsze nam się wymykali. Dopiero za ostatnim razem zrozumieliśmy, dlaczego tak się dzieje, ale było już za późno.

Sądziliśmy też, że udało się nam odgadnąć, czym był Tetrachion, ale tajemnicza atmosfera „Okrętu” oraz zjawy, które tam widzieliśmy, zmyliły nas. Zamiast potwora z przepowiedni i dziwacznej tacy Capitor, ujrzeliśmy nasze własne odbicia w krzywym zwierciadle. Próbowaliśmy wszystkich tropów, ale zostaliśmy z niczym. Pokonały nas przeciwności losu, brak szczęścia, własna nieudolność i słabość.

Najgorsze jednak było to, że opat ukrył przede mną prawdę o trzech kardynałach i o tym, co robili, kiedy ich śledziliśmy. Prawda zaś była taka: umierający król Hiszpanii zwrócił się do papieża z prośbą o pomoc w rozwiązaniu kwestii sukcesji, a papież zaangażował trzech kardynałów, aby przygotowali odpowiedź dla hiszpańskiego monarchy. Udałem się na polowanie, nie wiedząc, na kogo poluję.

Było dla mnie jasne, że Atto, kierując się ostrożnością i wrodzonym brakiem zaufania, nie zawsze opowiadał mi o wszystkich swoich poczynaniach. Świadczyło o tym chociażby to, że prawdziwym powodem jego przyjazdu do willi Spada była tajna korespondencja między panią konstablową a Arcychrześcijańskim Królem.

Jego uparte milczenie w kwestii hiszpańskiej sprawiło, że poczułem się jak dziecko niezdolne dotrzymać tajemnicy. Nie mogłem jednak czynić mu wymówek, ponieważ po kryjomu czytałem jego listy, co z kolei mnie zmuszało do milczenia.

Biesiada przy pańskim stole skończyła się, wszyscy byliśmy syci. Cloridia na chwilę odeszła, żeby położyć dziewczynki spać w pokoju dla służby, razem z dziećmi innych pracowników willi. Kiedy wróciła, wzięła mnie za rękę i poprowadziła w stronę pawilonów. Wokół, zamiast głośnych rozmów, dały się słyszeć ciche szepty i kokieterijne chichoty, czemu sprzyjała późna pora i miłe zapachy dobywające się z kadzielnic.

Trzymając się za ręce, torowaliśmy sobie drogę wśród porzuconych na trawie butów i pończoch, a im bliżej pawilonów z czystego jedwabiu, tym częściej przestępowaliśmy leżące w progu nogi kochających się par. Usiedliśmy z dala od tego dziwnego cichego miasteczka pod namiotem z delikatnej armeńskiej tkaniny, ułożonej w misterne fałdy, w barwie jasnego amarantu. Opuściłem tapiserię zawieszoną nad wejściem i odgradziłem nas od niedyskretnych spojrzeń. Miękkie poduszki zapraszały, by na nich spocząć. Zapomniałem o całym świecie, bez reszty pochłonięty ciepłymi krągłościami mojej małżonki, odurzony zapachem kadzideł zmieszanych z miłą wonią jej ciała.

- Witamy - powiedziała Cloridia, uśmiechając się do kogoś za moimi plecami.

Zerwałem się zmieszany i szybko odwróciłem, gdy poczułem czyjaś dłoń na ramieniu.

- Zdobyłem pewne informacje - oświadczył bez najmniejszego skrępowania opat Melani. - Ubierz się! Zaczekam na ciebie przy bramie. Proszę przyjąć wyrazy uszanowania i moje najszczerze przeprosiny, pani Cloridio - dodał. Opuszczając za sobą tapiserię, mruknął: - Jak również słowa uznania...

- Jak pan śmiał?! - wykrzyknąłem, kiedy dołączyłem do opata.

- Uspokój się! Wołałem cię sprzed namiotu, ale byłeś zbyt zajęty, żeby usłyszeć...

- Czego pan chce? - zapytałem, czerwony ze złości.

- Rozmawiałem z Lambergiem.

Przypomniałem sobie, że kiedy podawano gorącą czekoladę, ambasador cesarza zgodził się przyjąć Atta.

- No i co? - rzuciłem niecierpliwie, w nadziei, że dowiem się czegoś o napaści na Atta.

Po długim oczekiwaniu opat stanął wreszcie twarzą w twarz z wpływowym hrabią Lambergiem, potomkiem jednego z najszlachetniejszych rodów cesarstwa.

Kierując się ostrożnością, poszedł na spotkanie z Buvatem, ale ten szczywany lis Lamberg nie pozwolił mu wejść. Oznajmił, że pragnie rozmawiać ze swoim gościem w cztery oczy. Buvat został w przedpokoju.

- Wiele o panu słyszałem, opacie Melani - powiedział Lamberg.

Atto zaniepokoił się: czy to aluzja do traktatu o sekretach konklawe? Być może Lamberg zna już jego dzieło? Może dostał je od Albaniego albo od innej tajemniczej osoby?

- Kiedy cesarz przysłał mnie tu z Ratyzbony - ciągnął ambasador - sądziłem, że Wieczne Miasto podczas jubileuszu wyrzeze na mnie korzystne wrażenie. Tymczasem przypomina ono Babilonię.

- Babilonię? - zdziwił się Atto.

- Panuje tu nieopisany bałagan, bezwzględna walka, rywalizacja - mówił Lamberg, marszcząc groźnie brwi.

- Istotnie... trudna sytuacja międzynarodowa... - wtrącił Atto, starając się zachować spokój.

- Przeklęty! - wykrzyknął nagle ambasador, uderzając pięścią w stół.

W pokoju zapadła cisza. Na skroniach opata pojawiły się kropelki potu. Gwałtowne zachowanie Lamberga stawało się niebezpieczne. Atto ostrożnie rozejrzał się dookoła, w obawie, czy nie dostrzeże siepaczy Lamberga, gotowych go zabić. Do licha - zaklął w duchu - dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Dawno nie udawał się z misją do cesarstwa i zapomniał, jak bardzo Niemcy różnią się od Francuzów. Przekłęci Habsburgowie! - myślał. Szaleni i okrutni! Od czasów Joanny Szalonej wszyscy są tacy sami, od Hiszpanii po Austrię. Przed wizytą u Lamberga obiecał sobie, że nic od niego nie przyjmie, nawet szklanki wody, ale napaści nie brał pod uwagę.

- Nikt poza tobą nie wiedział, że mam spotkanie z Lambergiem. Nikt też nie dałby wiary twoim słowom - oświadczył opat.

Popełniłem niewybaczalny błąd, zabierając ze sobą Buvata - wypominał sobie Atto w duchu. Jego też mogli zabić, a wtedy obaj przepadlibyśmy bez wieści.

Lamberg nadal milczał, patrząc opatowi prosto w oczy. Melani również nie spuszczał wzroku z ambasadora, zastanawiając się, czy jeszcze coś powie, czy przystąpi do działania.

Pocieszała go myśl, że wiele osób widziało, jak wchodził do pałacu Medici, należącego do wielkiego księcia Toskanii, jego protektora. Atto był postacią znaną i gdyby go zasztyletowano, trudno by było utrzymać to w tajemnicy.

Lamberg ciągle milczał. Atto nie śmiał wykonać najmniejszego ruchu. Kiedy tak siedział na wprost ambasadora, przypominał sobie pewną starą historię, nie wiedział tylko, czy była prawdziwa. Otóż jeden z ministrów

cesarza, który oficjalnie zmarł na atak serca, w rzeczywistości zginął od niewidocznego ukłucia za uchem. Trucizn, które symulowały śmierć naturalną, było co niemiara. Stosowano je na wiele sposobów: kropiło się nimi ubrania, włosy, rozpraszało opary w powietrzu, wlewało do ucha, rozpuszczało w wodzie do kąpeli lub do mycia nóg. Atto doskonale o tym wiedział. Ogarnął go strach.

- Przeklęty... - syknął Lamberg, wpadając we wściekłość.

Strach strachem, ale Melani nie mógł pozwolić, żeby go obrażano. Zdobywając się na największą odwagę, na jaką go było w tej chwili stać, gotów bronić swojego honoru, rzekł:

- Słucham?

Lamberg, który przez moment spoglądał w inną stronę, ponownie wbił wzrok w Melaniego. Podniósł się z fotela. Także Atto czym prędzej wstał, obawiając się najgorszego. Ścisnął mocno laskę, zamierzając jej użyć. Tymczasem Lamberg podszedł do uchylonego okna i otworzył je na oścież.

- Dobrze się pan czuje w Rzymie, opacie Melani? - zapytał, zmieniając temat rozmowy.

Znana taktyka - pomyślał opat. Chce uspić moją czujność. Muszę się mieć na baczności.

Lamberg wyjrzał przez okno, odwracając się tyłem do gościa. Atto poczuł się nieco zakłopotany, gdy ambasador wypiął na niego siedzenie. Protokół dyplomatyczny nie przewidywał takiej sytuacji. Opat odczekał chwilę, a ponieważ Lamberg nadal trwał w tej samej pozycji, postanowił nieco się przesunąć, żeby lepiej widzieć i słyszeć. Zaledwie jednak zrobił krok, Austriak zaczął drzeć na całym ciele. Atto nie uwierzył własnym oczom, ale nie było wątpliwości: Lamberg płakał.

- Przeklęty - powtórzył po raz trzeci. - Nie zostawił mi nawet ka wałka kartki. Cesarz każe mu drogo za to zapłacić! Za wszystko zapła ci! - powiedział i odwrócił się, wskazując palcem na Melaniego. - Prze kłety łajdak Martinitz - wyszeptał z ponurą miną.

Hrabia Martinitz - wyjaśnił Atto - był poprzednikiem Lamberga. Przed kilkoma miesiącami został usunięty z urzędu ambasadora. Postarali się o to jego wrogowie, których miał wielu w Rzymie. W mieście wszyscy o tym wiedzieli.

Nikt natomiast nie wiedział o zemście hrabiego, o której Lamberg opowiedział teraz Melanieniu z chmurną twarzą. Po przyjeździe do Rzymu Lamberg, jak sam wyznał, stwierdził, że archiwum ambasady jest

puste. Jego poprzednik zabrał ze sobą całą korespondencję dyplomatyczną.

Nowy ambasador (który nie znał miasta ani dworu papieża) został pozbawiony niezbędnych do sprawowania urzędu kontaktów, nazwisk konfidentów i kardynałów, zarówno tych zaprzyjaźnionych, jak i tych, których należało się wystrzegać, szczegółów dotyczących charakteru papieża, jego preferencji, ceremoniału papieskiego i tak dalej. Wprawdzie w chwili nominacji Lamberg otrzymał od cesarza wszelkie potrzebne instrukcje, ale o aktualnej sytuacji ambasady w Rzymie mógł dowiedzieć się wyłącznie od Martinitza, który zgotował mu taką niemiłą niespodziankę.

- Rozumiem, ekscelencjo, to poważna sprawa - oznajmił Melani wyrozumiałym tonem.

Atto doskonale wiedział, że cesarscy urzędnicy są bardzo zasadniczy, drażliwi, a ponadto całkowicie pozbawieni wyobraźni. Bez ich pomocy i życzliwości nie zbuduje w Rzymie sieci informatorów i nie zawrze przydatnych znajomości.

Złość Lamberga przypominała wezbraną rzekę. Zaledwie przybył do Wiecznego Miasta - opowiadał - natychmiast uświadomił sobie (choć nikt mu o tym nie powiedział), że rzymska partia procesarska jest bardzo słaba, podczas gdy Francuzi mają mocne poparcie papieża i otrzymują od niego wszystko, czego zażądatają.

- Naprawdę? - zdziwiłem się.

- Lamberg powiedział mi też, że papież nie chce go przyjąć, gdy tymczasem Uzeda i inni ambasadorowie bywają w Watykanie codziennie.

Od dawna oczekiwane spotkanie z domniemanym zleceniodawcą napaści na Atta, jak również kradzieży jego traktatu, a być może także włamania do domu introligatora Havera, zakończyło się zatem narzekaniami ambasadora. Na koniec Lamberg przestrzegł opata przed złymi ludźmi krążącymi po mieście, zwłaszcza przed Świętym Kolegium kardynałów, siedliskiem podłości i zepsucia.

- Sądziłem, że zastanę tu rząd sprawiedliwych, ale szybko zmieniłem zdanie - powiedział ponuro. - W Rzymie liczy się przede wszystkim racja stanu. Na dworze papieskim interesy traktuje się bez żadnego poszanowania dla prawa, a wiara w ogóle się nie liczy!

- Miałem wrażenie, jakbym słuchał muzyki tego ich rodaka, jak on się nazywa...? Aha, Muffat! Słowa Lamberga przypominały powolną, smutną symfonię - oświadczył opat z przejęciem.

Wysłuchawszy skarg cesarskiego ambasadora, Atto odzyskał pewność siebie i odparł: „A czego się pan spodziewał? Rzym jest miastem fałszu, obłudy, zwodzenia, niespełnionych obietnic. Ministrowie papieża są mistrzami udawania, pustej mowy, intrygi, pozorów”.

Kiedy opat wyliczał przeróżne podłości papieskiego dworu, Lamberg potakiwał z zatroskanym wyrazem twarzy. W końcu, z powodu kolejnej wizyty, pożegnał się uprzejmie z Melanim, zaszczycając go serdecznym uściskiem ręki.

Czy istotnie był on serdeczny? Kiedy Atto był już na ulicy z Buvatem, pożałował, że tak szybko wyszedł od Lamberga. Zdał sobie sprawę, że ambasador nie zachowywał się naturalnie. Czyżby przed nim udawał? Jeśli to on (co do tej pory wydawało się pewne) zlecił napaść na Atta i kradzież jego traktatu o sekretach konklawe, to był człowiekiem wyjątkowo przewrotnym i fałszywym. A skoro tak, to czyż nie był zdolny udawać głupiego? Uczynił to tak przekonująco, że każdy dałby się nabrać.

- Wróciliśmy zatem do punktu wyjścia - stwierdziłem.  
- Niestety tak. Lamberg jest albo człowiekiem wyjątkowo pobożnym, któremu leży na sercu spokój austriackich klasztorów, albo wytrawnym aktorem.

- O ile dobrze zrozumiałem, wysłuchał pańskich komentarzy o rzymskim dworze, ale sam niewiele panu powiedział.

- Nie usłyszał ode mnie niczego, o czym sam by nie wiedział. Nic ważnego. Nie jestem nowicjuszem! - odparł urażony Melani.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, panie Atto. Jeśli jednak Lamberg przed panem udawał, a pan nie...

- To co?

- Przejrzał pana, a pan jego - nie.

- Nie sądzę jednak, żeby... Co się dzieje, Buvat?

Zdyszany sekretarz wpadł do pokoju. Najwyraźniej chodziło o jakąś pilną sprawę.

- Waligóra złapał drugiego cerretanina, przyjaciela Rudzielca.

- Zgniłka? Tego, którego ścigaliśmy w termach Dioklecjana, ale nam uciekł?

- Tak. Waligóra miał szczęście, cerretanin zrobił błąd: zebrał w Bazylice Świętego Piotra. Zważywszy na szczególne względy, jakimi cieszą się tam cerretanie, czuł się bezpieczny. Tymczasem Waligóra był w po-

blizu i go capnął. Przesłuchał go już, stosując sprawdzoną metodę prawdziwego więźnia i fałszywego notariusza. Pomogli mu koledzy.

- Ci ludzie nie robią niczego w imię przyjaźni - zauważył Atto. - Obawiam się, że będę musiał im zapłacić. Co powiedział cerretanin?

- Waligóra sam chce nam o tym powiedzieć.
- Chodźmy więc do niego! - powiedział opat.

Pogodziłem się z myślą, że nie spędzę tego wieczoru z Cloridią.

Żandarm czekał na nas za szopą z narzędziami ogrodniczymi. Był zdenerwowany, co było uzasadnione. W ciągu kilku zaledwie dni schwytał i przesłuchał drugiego już cerretanina. Jeśli sekta miała rzeczywiście duże wpływy, mogło mu grozić niebezpieczeństwo. Kiedy Waligóra zdał nam relację z tego, co się stało, dyszał jak po długim biegu.

- Zrobią to dzisiejszej nocy, do kroćset kartaczy!
- Co takiego?
- Wybiorą nowego Majora, przywódcę tych oszustów. Poprzedni zmarł. Zbierają się wszyscy, nawet ci, którzy mieszkają daleko.
- Gdzie?
- W Albano.
- Możesz powtórzyć?
- W Albano.

Opat przymknął powieki, jakby obwieszczono mu czyjąś śmierć albo powiedziano, że Arcychrześcijański Król zakazał mu powrotu do Francji.

- To niemożliwe... Albano, dwa kroki od Rzymu... Jak mogłem na to nie wpaść - wyszeptał.

Albano, a nie Albani. Kiedy Ugonio powiedział, że cerretanie planują dostarczyć traktat Atta *ad Albanum*, myśleliśmy, że chodzi o kardynała Albaniego. Tymczasem łowca relikwii miał na myśli Albano nad jeziorem o tej samej nazwie, słynną miejscowość wypoczynkową, znaną od czasów Cycerona.

Po chwili Atto nieco się rozchmurzył. Uświadomił sobie, że kardynał Albani nie zamierzał go zniesławić, czego najbardziej się obawiał.

Pozostawała tajemnica Lamberga, Wielkiego Legata. Dlaczego cerretanie mieliby przekazać mu traktat o konklawe w Albano?

- Co się stanie w Albano z moim rękopisem?
- Ten szubrawiec nie wie.
- Co jeszcze powiedział?



- Oprócz wyboru nowego Majora cerretanie mają zmienić swój język. Ale jest pewien problem: podobno nowa wersja słownika została skradziona.

- Przez kogo?

- Ten nędznik nie wie. Jeśli pan chce, pokażę panu protokół przesłuchania. Podobnie jak w wypadku Rudzielca przez ostrożność zmieniłem kilka dat i nazwisk. Ale cała reszta odpowiada prawdzie.

- Nie teraz. Po drodze.

- Po drodze? - spytałem, nie rozumiejąc.

Geronimo - takie było prawdziwe imię Zgniłka, cerretanina schwytanego przez Waligórę. Miałem przed oczyma jego słowa, oświetlone drżącym płomieniem lampy, zapisane niedbałym, drobnym pismem przyzwyczajonego do kłamstw żandarma, który często fałszował protokoły, przeinaczał je i skracał.

Zgodnie z tym, co powiedział Waligóra, data przesłuchania została zmieniona. W protokole rozmowy z Rudzielcem żandarm cofnął datę o ponad wiek, aby złożyć dokument w archiwum gubernatora, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Również drugi protokół nosił fałszywą datę 18 marca 1595 roku i sporządzony został w więzieniu Ponte Sisto.

Niełatwo było czytać dokument. Droga do Albano była pełna dziur, na których nasza karetka (mimo że dobrej jakości i naprawiona w ostatniej chwili za zawrotną sumę pieniędzy) nieustannie podskakiwała, skrzypiąc niemiłosiernie. Od czasu do czasu przechylała się niebezpiecznie to na jeden bok, to na drugi, ale jechała dalej. Atto, który siedział po mojej lewej stronie, zapoznał się już z protokołem Geronima. Teraz milczał, zapatrzony w światła mijanych domów. W rzeczywistości był myślami daleko, pochłonięty własnymi problemami.

U mojego prawego boku siedział wierny Buvat, sztywno wyprostowany, mimo że ogarniała go senność. Zanim wsiadł go karety, zamienił kilka słów z don Paschatiem. Z ich rozmowy usłyszeliśmy tylko ostatnie zdanie. Zarządca domu nakazał Buvatowi: „Unikać wilgoci, nie wstrząsać, trzymać w pozycji pionowej!”. Nie miałem pojęcia, o co chodzi, ale Atto milczał, więc ja też powstrzymałem się od zadawania pytań.

Naprzeciw mnie spoczywała, wciśnięta w wąskie wnętrze kabiny, po-

teżna postać Waligóry, który również pogрузzył się w głębokim milczeniu. Na krótko przed wyjazdem dość długo rozmawiał z Attem, zapewne na temat zapłaty za usługi. Nocna podróż do Albano nie była żartem, jeszcze mniej zachęcające było miejsce, do którego zmierzaliśmy, cena musiała więc być wysoka. Obok żandarma siedział pasażer, który wzbudził zastrzeżenia woźnicy.

Gdy nadjechała karetka, Atto kazał woźnicy jechać do Term Agrypiny po Ugonia. Trudno byłoby nam wślizgnąć się na zebranie cerretan bez przewodnika. Kiedy dotarliśmy pod drzwi jego kryjówki, zaczęliśmy głośno krzyknąć jego imię. Nie chcąc wzbudzać zainteresowania sąsiadów, Ugonio (któremu zależało na tym, żeby nikt nie dowiedział się, gdzie mieszka) czym prędzej wybiegł na zewnątrz i zgodził się z nami porozmawiać.

Początkowo Atto odniósł się do Ugonia bardzo nieuprzejmie. Czuł do niego urazę, w chwili bowiem, gdy Ugonio powiedział nam, że traktat ma być dostarczony *ad Albanum*, doskonale wiedział, że chodzi o miejscowość, do której teraz zmierzaliśmy. Nie powiedział jednak tego otwarcie, najwidoczniej uznając ten fakt za oczywisty. Nie miał pojęcia, że w sprawie opata Melaniego zamieszany był niejaki kardynał Albani, co mogło nas zmylić. Przeoczenie Ugonia było niezamierzone, ale zmarnowaliśmy przez niego dużo cennego czasu.

Gdy łowca relikwii dowiedział się, że przyjechaliśmy po niego, by wprowadził nas na zebranie cerretan, nie chciał o niczym słyszeć, czym jeszcze bardziej rozsierdził Atta. Ustąpił dopiero pod wpływem gróźb połączonych z obietnicą dobrego zarobku. Wziąwszy wszystkie potrzebne rzeczy, przyłączył do naszej grupki. Zanim wsiadł do karetki, odbyły się ostatnie negocjacje. Atto odwołał nowego pasażera na stronę i zżywieniem o czymś z nim rozmawiał. Po chwili wrzucił do sakiewki Ugonia garść złotych monet - tak mi się przynajmniej zdawało w ciemnościach, które nas otaczały. Na koniec podał mu jakąś książkę. Kiedy spytałem Atta, o czym tak długo rozmawiał z Ugoniem, nie udzielił mi odpowiedzi.

Zacząłem rozmyślać o zagadkowym spotkaniu Atta z Lambergiem. Przez cały czas byliśmy przekonani, że to ambasador cesarza był odpowiedzialny za napaść i kradzież, których ofiarą padł Atto. Teraz jednak niczego już nie byłem pewien. Lamberg był albo wytrawnym oszustem, albo pobożnym katolikiem, którego niesłusznie oskarżaliśmy o zlecenie napadu na Melaniego i śmierć introligatora połączoną z kradzieżą manu-

skryptu. Jeśli prawdą była ta druga możliwość, wynik naszej wyprawy do Albano budził jeszcze więcej wątpliwości. Zmierzaaliśmy na spotkanie z wrogiem o nieznaną twarz.

Przerwałem rozmyślania, będące krótkim podsumowaniem ostatnich wydarzeń, i powróciłem do lektury protokołu. Dokument ten, który niemal w całości przytoczyłem w moim dzienniku, otwierały stosowne formuły notarialne, po nich następowały zeznania cerretanina.

### *DIE 18. MARTIJ*

*Examinatusfuit in carceribus Pontis Sixti coram Magnifico et Excell.ti Dno N... per me notarium infra scriptum Hieronymus quondam Antonij Furnarij Romani annorum 22 in circa, cui delato iuramento etc.*

*Interrogatus de nomine, patria, aetate et causa suae carcerationis, respondit:*

„Urodziłem się w Rzymie w dzielnicy Colonna, w pobliżu fontanny di Trevi, jako syn nieżyjącego już Antonia Fornara. Nazywam się Geronimo, mam dwadzieścia dwa lata, bez zawodu. Przez cztery miesiące w roku pracuję w warzelnicy soli, potem wracam do Rzymu i zajmuję się żebraniną. Jak widzicie, jestem biedny i chory, od dziesięciu lat nie mam ojca ani matki, jestem sierotą, staram się żyć jak najlepiej. Aresztowano mnie w Bazylice Świętego Piotra w marcu w zeszły piątek, bo żebrałem w kościele.

Następnie spytano Geronima, co wie o tajemnych sektach żebraczych. W tym miejscu zatrzymany wymienił wszystkie osiemnaście sekt, które wyliczył jego poprzednik, dodając kilka innych: Włóki, Handlarze, Straganiarze, Krzywulce, Mandragory, Sknery, Pijawki, Eleganci, Popaprańce, Kancery, Niemoty, Poprzeczni, Naciągacze, Alpejczycy, Odmieńcy, Bryganci.

„Włóki w nocy *kimia*, czyli śpią, a w dzień żebrzą. Handlarze sprzedają naiwnym wieśniakom ziemię, której nie mają. Straganiarze to najgorsi oszuści. Chodzą zawsze w towarzystwie trutki lub jedwabników, młodych pomocników. Na targu zaczepiają ludzi i odwracają ich uwagę, a wtedy trutki i jedwabniki kradną torby. Wieczorem dzielą się łupami. U boku mają zawsze obojnaków, chłopców, bo wszyscy są sodomitami.

Krzywulce mają kalekie ręce i nogi albo nie mają dłoni i stóp. Mandragory to kaleki na wózkach. Oni też żebrzą. Sknery są ślepi. Pijawki chodzą po mieście i sprzedają legendy o świętych, modlitwy, czasem śpiewają, proszą o jałmużnę. Eleganci mają porządne ubrania, mówią, że byli szlachcicami albo rzemieślnikami, żebrzą, ale robią to dyskretnie.

Popaprańce mają świerzb, parchy, trąd i temu podobne, żebrzą. Kancery kaleczą sobie dłonie lub stopy, udają kaleki, ale nimi nie są, przyczepiają sobie też sztuczne rany z kawałka zakrwawionego mięsa, żebrzą. Niemoty udają, że są niemowami albo że nie mają języka, oni też żebrzą. Poprzeczni żebrzą w góralskich kozuchach. Naciągacze łążą po karczmach i gospodach, grają znaczonymi kartami lub kośćmi, są bardzo przebiegli. Alpejczycy żebrzą w strojach pielgrzymów z innych krajów. Odmieńcy mówią, że są Żydami, ale przeszli na chrześcijaństwo, dlatego dostają duże jałmużny. Co do tancerek i mamusiek, czyli żebrzących kobiet, warto dodać, że tancerka to dobra kumpelka i jest *mała*, czyli młoda, a mamuśka jest *zdarta*, czyli stara".

Przeskoczyłem wzrokiem kilka fragmentów i zatrzymałem się na istotnej informacji o Albano.

„Słyszałem, że w maju do grot w Albano przybędzie cała masa żebraków, bo mają wybrać nowego Majora i ogłosić nowy język, ale ponieważ ktoś rąbnął im słownik, chcą zrobić porządek. Zabronili o tym mówić, a kto się wygada, oberwie nożem. Dowiedzieli się, że Pompeo wszystko wyśpiewał, więc sprawili mu łomot i pewnie by go zatłukli, gdyby nie uciekł do kościoła”.

Zatem cerretanie mieli się zebrać w Albano, o czym powiedział nam Waligóra (dla bezpieczeństwa w protokole napisane było „w maju” zamiast „w lipcu”). Twierdzili, że ktoś ukradł im słownik i chcą „zrobić porządek”, czyli jakoś temu zaradzić (Geronimo nie powiedział, w jaki sposób). Poza tym omal nie zlinczowali Pompea, alias Rudzielca, gdy dowiedzieli się, że wszystko wyśpiewał. Ale od kogo?

Na koniec notariusz spytał żebraka, który wszystko szczerze wyznał, dlaczego nie zerwie z tym podejrzanym towarzystwem i haniebnym zajęciem i nie poszuka sobie jakiejś pracy, jak wszyscy uczciwi ludzie w Rzymie.

„Powiem panu prawdę: za bardzo podoba nam się takie swobodne życie, to tu, to tam, bez wysiłku, za cudze pieniądze. A kto raz zasmakuje w oszustwie, nie chce z niego rezygnować, dotyczy to zarówno mężczyzn, jak i kobiet, bez różnicy. Mam nadzieję, że jeśli z bożą pomocą uda mi się wyjść z więzienia, zmienię życie. Dołączę do braci z klasztoru S. Bartolomeo in Isola i będę się opiekował osiołkami”.

- Wypuściliśmy go, ma się rozumieć - powiedział ze śmiechem Waligóra. Nie miał prawa wsadzić go do więzienia i przesłuchiwać, podobnie jak w wypadku Rudzielca. - Zajmie się osiołkami, pod warunkiem że wcześniej nie dorwą go jego kumple i nie rozprawią się z nim - zaśmiewał się żandarm.

- W jaki sposób dowiedzieli się, że Zgniłek był przesłuchiwany? - spytałem, zaniepokojony myślą o możliwości kolejnego przecieku.

Waligóra spochmurniał.

- Tak samo jak dowiedzieli się o przesłuchaniu Rudzielca.

- Czyli?

- Nie wiem.

- Nie wie pan?

- Cerretanie są bardzo przebiegli. Gdy jeden z nich zacznie sypać, wiedzą o tym wszyscy.

- To prawda - zgodził się Atto po chwili milczenia. - Są niezwykle przebiegli.

- Tym razem nie było Buvata. Kto odegrał rolę notariusza? - spytałem.

- Prawdziwy notariusz - odparł żandarm.

- Co takiego?

- Najdoskonalszym falsyfikatem jest autentyczny przedmiot - wtrącił Atto.

- Nie pojmuję - oznajmiłem.

- To dobry znak. Należy rozumieć, że stare prawo nadal działa i będzie działać jeszcze ze dwieście lat - powiedział opat.

- Teraz sobie przypominam. Kiedy się poznaliśmy, opowiadał mi pan o sfalszowanych dokumentach, w których była mowa o prawdziwych faktach.

- Tym razem sytuacja jest dokładnie odwrotna. Nie mówię tylko o dokumentach, ale o czymś więcej. Dam ci przykład. Kto bije państwową monetę? - zapytał Melani.

- Władca.
- Zgadza się. Zatem monety, które wychodzą z jego mennicy, czyli z mennicy państwowej, są siłą rzeczy prawdziwe.
- Tak.
- Właśnie że nie, a przynajmniej nie zawsze. Jeśli monarcha zechce, może kazać bić fałszywe monety, żeby sfinansować, na przykład, jakąś wojnę. Wystarczy, żeby kazał wybić monety z zawartością złota mniejszą od wartości nominalnej, krótko mówiąc: monety zawierające mniej złota, niż powinny. Czy monety te będą prawdziwe, czy fałszywe?
  - Fałszywe! - wykrzyknąłem, zaprzeczając samemu sobie.
  - Ale przecież wybił je król, są zatem prawdziwe, a zarazem fałszywe. Ściślej mówiąc, są autentyczne, ale niedokładne. Sztuczka stara jak świat. Już czterysta lat temu król Francji Filip Piękny, chcąc sfinansować wojnę z Flamandami, zmniejszył o połowę wartość oficjalnej monety, która do tej pory równa była jedenastu i pół uncji. Podobnie postąpił ze złotem, obniżając je z dwudziestu trzech do około dwudziestu karatów. Tym sposobem król zgromadził ponad sześć tysięcy funtów, zarobionych „na czarno”, przez co wpędził kraj w nędzę.
    - Dzisiaj także to się zdarza?
    - Częściej niż dawniej. Na przykład Wilhelm Orański już kilkakrotnie wybił fałszywe weneckie cekiny, odpowiednio odciążone.
    - Ale zamieszanie! Rzeczy fałszywe uchodzą za prawdziwe i odwrotnie - westchnąłem.
    - Zamieszanie spowodowane przez ludzi, mój chłopcze. Ten marudny Albicastro powiedział jedno sensownie: „Rzeczy ludzkie, podobnie jak sylenowie Alkibiadesa, mają zawsze dwa aspekty, z których jeden jest przeciwieństwem drugiego”. Zasada świata jest zawsze taka sama: kiedy otwierasz sylena, znajdujesz w nim rzecz zmienioną na swoje przeciwieństwo - podsumował Atto, niespodziewanie cytując Holendra, którego nie znoślił.
- Opat przypomniał mi sylenów, o których mówił skrzypek, czyli groteskowe posąжки z podobiznami bóstw w środku.
  - Wracając do nas - dodał Melani - nasz przyjaciel Waligóra kazał przesłuchać Geronima prawdziwemu notariuszowi, który spisał sześć gólowy protokół. Buvat nie zrobiłby tego lepiej. Dokument nie jest fałszywy, zawiera kilka... niedokładnych danych, na przykład daty, ale zo stał zredagowany przez autentycznego notariusza. Czyż nie? - spytał Atto, zwracając się do Waligóry.

Żandarm milczał, niezadowolony, że opat tak otwarcie mówi o jego krętaństwach, ale nie mógł zaprzeczyć. Nic nie odpowiedział, tylko odwrócił od nas spojrzenie, na znak zgody.

- Pamiętaj, chłopcze! - powiedział Atto. - Wielkie oszustwa wymagają wielkich pieniędzy, a tylko państwo je ma.

Idąc za wskazówkami Ugonia, kazaliśmy woźnicy, przyzwyczajonemu do wszelkiego rodzaju zadań (nocne ucieczki, zdrady małżeńskie, tajne zebrania), żeby zawiózł nas w pewne spokojne miejsce. Zatrzymaliśmy się w ciemnym zaułku, za dużą stodołą. Okolica pogrążona była w ciemnościach, tylko w kilku domach paliły się lampy. Uliczkami przemykały nieufne koty i ich odwieczne ofiary.

Woźnica pokazał nam, dokąd mamy iść, i poradził, abyśmy zachowali ostrożność. Był na tyle dyskretny, że nie spytał, co robimy o tej porze w miejscu zapomnianym przez Boga.

Ulice świeciły pustkami. Zdziwiło nas to, zważywszy, że panowała ciepła letnia noc, wprost wymarzona dla osób cierpiących na bezsenność, ukrywających się kochanków i żądnych przygód młodzieniaszków. Sądząc z otaczającej nas ciszy, można by przypuszczać, że znaleźliśmy się w samym środku śnieżnej zawiści na mrocznych ziemiach Północy, które tak pięknie opisał Olaus Magnus.

Poszukiwacz relikwii miał ze sobą dużą płócienną torbę, pokrytą tłustymi plamami. Skręciliśmy w dróżkę, która biegła pośród pól, następnie rozwidlała się i znikwała w krzakach jeżyn. Droga była dość długa i kręta. Minęliśmy kilka ogródków warzywnych i leżące odłogiem pole. Rytmicznym odgłosem naszych kroków towarzyszyło jedynie cykanie świerszczy i nieznośne brzęczenie komarów. Szliśmy bardzo ostrożnie, żeby nie wpaść w jakieś bajoro.

- Daleko jeszcze? - spytał nieco zniecierpliwiony Atto.

- To bardzo szczególna kryjówka - usprawiedliwiał się Ugonio. - Trudno dostępna.

W końcu dotarliśmy na miejsce. Ugonio wyjął z torby trzy brudne, cuchnące płaszcze.

- Tylko trzy? - zdziwiłem się.

Łowca relikwii oznajmił, że żandarm nie może z nami iść.

- Nie zmieściwszy się - powiedział, wskazując płaszcz. - Lepiej, żeby na nas zaczekawszy, zmniejszając ryzyko, żeby nie powiększać obawy.

Waligóra bąknął coś na znak niezadowolenia, ale nie sprzeciwił się. Los zakpił sobie z niego - pomyślałem. Od dawna śledził cerretan, narażając się na złośliwe komentarze kolegów i przełożonych, zgodził się pracować dla Melaniego, za pieniądze oczywiście, a teraz, po męczącym nocnym marszu do Albano, nie może nam towarzyszyć.

Założyłem najmniejszy płaszcz. Uczyniłem to ze wstrętem, gdyż był brudny, zniszczony, noszony całymi latami przez jakiegoś łowcę relikwii, któremu obce było pojęcie higieny, wydawał przykrą woń moczu, zjełczalego tłuszczu, potu. Usłyszałem, jak Atto mruczy pod nosem przekleństwa pod adresem towarzyszy Ugonia. Buvat ubrał się, wstrzymując oddech, bez słowa protestu, jak przystało sumiennemu sekretarzowi.

Niezaprzeczną zaletą płaszczy były ich kaptury, zakrywające niemal całą twarz, obszerne rękawy i rodzaj trenu, który zakrywał nogi włącznie z butami. Powstrzymując odruch wymiotny, wsunąłem ramiona w rękawy. W płaszczu przypominałem duży śmieszny kokon. Opat Melani i Buvat byli znacznie wyżsi ode mnie i wyglądali trochę lepiej.

- Co takiegoooo? Bez lampy? - zaprotestował opat, kiedy Ugonio oznajmił, że będziemy szli po ciemku.

Łowca relikwii był niewzruszony. Powiedział, że nie możemy ryzykować, by zauważyli nas cerretanie. Przypomniałem sobie, że poszukiwacze relikwii zawsze poruszali się w ciemnościach, przyzwyczajeni zarówno do rzymskich nocy, jak i mroku podziemi.

Buvat, Atto i ja, niczym trzy duchy bez twarzy, poszliśmy za Ugoniem, który poprowadził nas tylko jemu znaną ścieżką. Waligóra wyszeptał słowa pożegnania, życząc nam szczęścia.

Kiedy tak szedłem przed siebie, smród płaszcza nie dopuszczał do moich nozdrzy miłej woni pól. Przeżegnałem się w myśli i poprosiłem Boga, żeby nie osądzał nas zbyt surowo za brak rozważli. Jedyne chęć zdobycia pieniędzy na wiano dla córek mogła usprawiedliwić moją zuchwałość.

Przez dłuższy czas droga prowadziła prosto, po czym skręcała i opadała w dół, do wilgotnego wąwozu. Na niebie od czasu do czasu pojawiały się dziwne złowrogie błyski.

Nagle ujrzeliśmy kilku ludzi, którzy w jakiś magiczny sposób wynu-



rzyli się z mroku. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że był to kulawy starzec prowadzony przez dwóch towarzyszy. Za nimi dostrześliśmy jeszcze kilka podobnie ubranych osób.

Przed nami wznosiły się wysokie kamienne mury, które zdawały się otaczać jakąś olbrzymią budowlę. Wąskim tunelem doszliśmy do murów, na których gdzieś tam zatknięto pochodnie. W końcu daliśmy wypocząć zmęczonym oczom, wstąpiła w nas otucha. Nieoczekiwanie jednak skały, mech i goła ziemia zacisnęły się wokół nas, tworząc nieprzenikniony bastion. Tunel skończył się. Ugonio odwrócił się, pokazując w uśmiechu czarne, połamane zęby, najwyraźniej zadowolony z naszego zaniepokojenia.

Wymieniłem z Buvatem przerażone spojrzenia. Czyżbyśmy wpadli w zasadzkę? Łowca relikwii dał nam znak, żebyśmy nakryli głowy kapтурami, w przeciwnym razie ktoś mógłby nas rozpoznać. Następnie oparł się o ścianę po lewej stronie. Skała wchłonęła go, jak gąbka wodę. Po chwili, zupełnie jakby wychodził z innego wymiaru, cofnął się o krok, dając nam znak, żebyśmy do niego dołączyli.

Ugonio, ma się rozumieć, nie przeniknął przez ścianę. Przeoczyłem suchy odgłos otwieranych drewnianych drzwiczek w murze. Były doskonale zamaskowane, zakrywały tajne przejście, znane łowcy relikwii.

Kiedy weszliśmy do środka, minęło kilka chwil, zanim nasze oczy przywykły do ciemności. Rozejrzeliśmy się dookoła. Przed nami rozciągał się olbrzymi, od wieków nieużywany, a teraz zapelniony cerretanami rzymski amfiteatr w Albano.

- Użyliśmy tajnego przejścia - szepnąłem do ucha Ugoniowi.
- Zgadza się - odparł. - Normalne wejścia zostawisz zamknięte przed ciekawskimi.
- Nikt nas jednak nie zatrzymał.
- To nie bywszy konieczne. Jest tu dużo straży, które sprawdzasz każdego podejrzanego.

Amfiteatru strzegły specjalne patrole. Ich zadaniem było wytropić intruzów i unieszkodliwić ich. W płaszczach od Ugonia nie wzbudzaliśmy podejrzeń.

Wokół amfiteatru umieszczono zapalone pochodnie, które oświetlały scenę. Poczułem się zagubiony, uwięziony w tej olbrzymiej półokrągłej przestrzeni. Nad naszymi głowami rozpościerało się czarne rozgwieżdzone niebo. Ze środka amfiteatru dochodziły głośne szepty, które pobu-

dzwały zmysły i wyobraźnię. Powietrze było wilgotne, duszne, jakby ciężkie od grzechu.

- Ależ oczywiście, amfiteatr - powiedział półgłosem Atto. - Nie można sobie wyobrazić lepszego miejsca...

- Znajepan?-spytałem.

- Tak - odparł. - Już w czasach Cycerona...

Ugonio dał nam znak, żebyśmy się uciszyli. W niewielkiej odległości za nami stał kulawy starzec z dwoma przyjaciółmi, których widzieliśmy wcześniej. Łowca relikwii przyprowadził nas tu z zachowaniem najwyższej, niemal namacalnej ostrożności, a teraz zaczęła nas z wolna otaczać ponura atmosfera tajnego zebrania złodziei.

Pośrodku areny pochodnie oświetlały większą grupę osób, na co wskazywały ożywione głosy. Ponieważ ich nie widzieliśmy ani nie słyszeli, podeszliśmy bliżej, postępując za Ugoniem. Minęliśmy stos suchych gałęzi i spojrzeliśmy przed siebie.

Naszym oczom ukazał się wysoki piecyk, w którym palił się duży płomień, buchając iskrami. Wokół zgromadzili się cerretanie. Pożywiali się, pili wino prosto z butelek, grali w karty lub witali się z nowo przybyłymi, machając do nich. Wszyscy byli niechlujni, brudni i cuchnący.

- Przybywszy w odpowiednim momencie - wyszeptał Ugonio, dając nam znak, byśmy się zatrzymali.

W tej samej chwili w drugim końcu amfiteatru pojawiło się coś w rodzaju procesji, na widok której biwakujący przy piecyku pośpiesznie wstali.

- Właśnie skończywszy się elekcja i nadchodzący Majorzy z Wielkim Legatem - oznajmił Ugonio, wskazując pochod, po czym zaproponował, byśmy dołączyli do procesji. - Pierwszy idzie przywódca Elegantów, za nim wszystkie dodatki i załączniki innych kompanii: Eksjeńców, Baronów, Nędzarzy, Golców, Pistoletów, Epileptyków...

- A więc to są przywódcy sekt cerretan? - spytał Atto, otwierając szeroko oczy, gdy w pośpiechu dołączyliśmy do procesji.

Z ciekawością przyglądałem się temu orszakowi niechlujów i brudasów. Mając w pamięci opowieść Rudzielca, rozpoznałem Majora Eksjeńców, który miał na szyi gruby żelazny łańcuch i w kółko powtarzał: „bran bran”. Przypomniałem sobie, że grupa specjalizowała się w oszustwach.

Eksjeńcy podawali się za byłych jeńców tureckich i udawali, że mówią po turecku. Wprawdzie tego wieczoru nie mieli kogo oszukać, ale, podobnie jak inni cerretanie, przybyli na zgromadzenie generalne w - jeśli tak można powiedzieć - mundurach swojego ugrupowania.

- Gdzie jest Wielki Legat? - dodał Melani, szukając wzrokiem twarzy Lamberga (mimo że wydało mu się nieprawdopodobne, by tam był).

Nie udzieliwszy odpowiedzi, Ugonio udał się na początek orszaku Majorów. Dołączył do przywódcy Elegantów, osobnika z długą szarą brodą i długimi włosami, które wystawały spod jaskrawego kapelusza z piórami. Zgodnie z zasadą swojej sekty miał na sobie strój szlachcica, tyle że straszliwie brudny i poplamiony. Jak zeznał Geronimo, Eleganci żebrali, podając się za upadłych szlachciców lub rzemieślników. Ugonio ukląkł przed Majorem na znak szacunku, w wyniku czego mały orszak zwolnił. Natychmiast mocniej naciągnęliśmy kaptury, w obawie, by ktoś nie zobaczył naszych twarzy. Na szczęście sprzyjało nam migotliwe światło pochodni, w którym amfiteatr był słabo widoczny. Rozejrzałem się dookoła.

Wszędzie roilo się od kulawych, półnagich, wychudzonych postaci, trędowatych, kalek i ślepców, z wykrzywionymi członkami, bliznami po biczowaniu na plecach, po łańcuchach i torturach. Stanowili jakby próbkę umiejętności cerretan. Te pozorne rany, wrzody, utykanie przy chodzeniu były ich narzędziami pracy, nie cierpieniem, ale rzemiosłem, którego symbole zachowywali również wtedy, gdy nie parali się żebraniem. Kiedy przyjrzałem się uważniej cerretanom, zauważyłem, że najspokojniej w świecie popijają wino, śmieją się i żartują. Byłem przerażony i zdziwiony zarazem, ale nie zdążyłem podzielić się moimi refleksjami z Attem, bo Ugonio zakończył rozmowę z Majorem i wrócił do nas. Orszak ruszył dalej.

- Przyjrzyjcie się Elegantowi za Majorem - szepnął.

Wskazany przez Ugonia człowiek był łysym, przygarbionym starszakiem, ubranym w podarty kaftan i dziurawe pończochy. Zgodnie z regułami swojej sekty żebrał, udając uczciwego, zubożałego rzemieślnika. Z torby przewieszanej przez jego ramię wystawała jakaś książka.

- To Wielki Legat - oświadczył Ugonio.

- Co takiego? - syknął Atto, wytrzeszczając ze zdziwienia oczy.

- To nasz holenderski brat. Nazywawszy się Drehmannius. Trochę zdzieciniawszy, ale jest doskonałym introligatorem. Dlatego wstąpiwszy do Elegantów. To on bywszy w posiadaniu traktatu - powiedział Ugonio, pokazując lekkim ruchem głowy na torbę.

Atto ze złości zacisnął zęby. Wszystko stało się jasne: nie było żadnego Lamberga, żadnego cesarskiego spisku. Nie chodziło o Wielkiego Legata, od łacińskiego *legat*, ambasador, ale o zwykłego introligatora od *legator*. Cerretanie, nieznający łaciny, użyli nieodpowiedniego słowa. Traktat o sekretach konklawe, od którego miał zależeć los Arta, był w rękach obdartego holenderskiego staruszka.

- Co ten introligator, Drehmannius, czy jak tam on się nazywa, ma zamiar zrobić z moim dziełem? - spytał zniecierpliwiony Melani.

- Musi odkleiwszy oprawę. Powiedziawszy mi o tym Major.

- Odkleić oprawę? - powtórzył Melani. - Co to ma znaczyć?

Nie otrzymał jednak odpowiedzi, podszedł do nas bowiem wysoki, potężny cerretanin z olbrzymimi brudnymi łapskami i czarną opaską na prawym oku. Odwołał na stronę Ugonia i razem gdzieś poszli.

Tym sposobem zostaliśmy bez przewodnika, w samym środku obłąkańczego, agresywnego tłumu, idąc w orszaku, który zmierzał w jakimś nieznanym nam kierunku. W procesji obdartych starców wywiązała się bójka o butelkę wina. Jeden z nich, wyraźnie pijany, znalazł się przez chwilę twarzą w twarz z Artem i przeciągle beknął. Melani odwrócił się ze wstrętem, szukając w kieszeni płaszcza koronkowej chustki. Nie znalazł jej jednak, uznał więc, że dobrze się stało, bo nie powinien tak otwarcie okazywać niechęci.

Orszak podnieconych cerretan nieoczekiwanie zaintonował dziwną przyspiewkę:

Najlepsze rzemiosło To,  
bracie, szelmostwo. Zimą w  
słońcu przebywać, Latem  
cienia zażywać, Od wina nie  
stronić, Czasem muchę  
przegonić, Jadać mięso tłuste,  
Ani spojrzeć na kapustę.

Jeden z łachmaniarzy, z widocznymi siniakami na nagim ciele, z kijem w rękę i paznokciami czarnymi od brudu, wyraźnie rozochocony zaczął głośno śpiewać, zagłuszając chórek:

Wśród kłamstw i blagierstwa Żyje  
się od stycznia do czerwca.

Wśród oszustw i wyłudzeń  
Żyje się od lipca po grudzień.

Bez trudu rozpoznałem słowa przyśpiewki cerretan, o której opowiadał mi don Tibaldutio.

Nagle poczułem, jak coś wilgotnego i zimnego musnęło mnie w kark. Kiedy odruchowo odwróciłem się do tyłu, o mało nie zemdlałem. Ujrzałem przed sobą oślizgłego węża, którego trzymał w ręku odrażający nędzarcz o nalanej, zarosniętej twarzy. Widząc moją reakcję, cerretanin wybuchnął gromkim śmiechem, po czym tak mocno klepnął mnie po plecach, że się zachwiałem. Zadowolony z żartu, wepchnął węża do słomianego koszyka przewieszzonego przez ramię i z kilkoma kompanami zaintonował piosenkę:

Oszuści z nas i kpiarze,  
Niepoprawni kobieciarze,  
Od paolianów się wywodzim,  
Po wsiach i miastach chodzim.  
Ze znamieniem przychodzimy na świat,  
Im większe, tym więcej jesteś wart...

Był to zatem jeden z paolianów, uzdrowiacz i zaklinacz węży, podobnie jak ten, którego widziałem przed kilkoma dniami. Dla podkreślenia ostatnich słów złapał się za przyrodzenie i rytmicznie poruszał biodrami. On i jego towarzysze byli upojeni nie tyle winem, ile nastrojem ogólnej wesołości. Tymczasem inny żebrak w średnim wieku chwycił skrzypce i mocno przeciągając smyczkiem po strunach, przeraźliwie na nich rzępolił.

Szliśmy dalej, podczas gdy do amfiteatru napływali nieprzerwanym potokiem cerretanie, wypełniając arenę. Mnożyły się chóry śpiewających, zewsząd dochodziły krzyki i śmiechy. Odnosiliśmy wrażenie, że znaleźliśmy się nie na zlocie cerretan, lecz w piekle. Pochód rósł w oczach - liczył setki żebraków i niemal każdy z nich dzierżył pochodnię. Tłum przybrał formę koła, uwięziony w amfiteatrze jak kret, dla którego nora robi się za ciasna. Kilku cerretan uważnie się nam przyglądało. Mimo że mieliśmy na sobie płaszcze od Ugonia, w ruchach nie przypominaliśmy zwinnych cerretan, nie braliśmy też udziału w hulankach. Nie było jednak czasu, by o tym myśleć, naszą uwagę wzbudziło bowiem pewne

zdarzenie. Wokół niewielkiego orszaku Majorów zebrali się cerretanie, wypełniając po brzegi tę część amfiteatru, gdzie staliśmy. Wszędzie widziałem plecy, łokcie i nogi żebraków, którzy poruszali się niczym gladiatorzy podczas igrzysk. Musiałem uważać, żeby tłum mnie nie porwał, starałem się więc trzymać blisko Atta i Buvata.

Wskutek nieopisanego chaosu nikt, na szczęście, nie zwracał na nas uwagi. Do piskliwych dźwięków skrzypiec dołączyły przeciągłe odgłosy dud i fujarek.

- Popatrz tam, na tamtego chłopaka! - powiedział Atto, wskazując na wymizerowanego młodzieńca z zaniedbaną brodą i zapadniętymi oczami.

Stanąłem na palcach, patrząc we wskazanym kierunku.

- Czy ta twarz nie wydaje ci się znajoma?

- Istotnie, już ją widziałem, ale nie pamiętam, gdzie.

Obok młodzieńca niespodziewanie pojawili się trzej Majorzy. Weszli na jakiś podest czy podwyższenie, urządzone na oczekaniu przez grupkę brudnych, półnagich chłopców. Major stojący pośrodku był przywódcą Elegantów. Ten z prawej podniósł jego ramię, na co tłum zareagował głośnym okrzykiem. Nie potrzebowaliśmy tłumacza, żeby zrozumieć, że był to nowo wybrany Major Generalny.

Po chwili do trójki Majorów podszedł Wielki Legat z książką w ręku. Bez trudu rozpoznaliśmy traktat Atta o sekretach konklawe.

- Kolejny Holender, co za dziwny zbieg okoliczności!

- Nie rozumiem.

- Jeden Holender przyciąga drugiego - wyjaśnił opat z chytrym uśmiechem.

Kiedy zastanawiałem się nad słowami Atta, na podwyższeniu stanął piąty osobnik - Ugonio.

- Nie daj się odepchnąć, musimy stać blisko sceny - przestrzegł Melani.

W amfiteatrze zapanowała cisza.

- Dziady, łajzy, padalce i łachmyty! Zamknijcie wreszcie dzioby i na stawcie małżowiny! - zagrział Major Elegantów.

Nowo wybrany Major Generalny zaczynał, tak nam się zdawało, uroczystą przemowę. Wszystko wskazywało na to, że użyje języka złodziei, z którego mogliśmy nic nie zrozumieć.

Buvat owinał się szczelniej płaszczem i przysiadł na ziemi, nerwowo przewracając kartki złodziejskiego słownika. Razem z Attem staraliśmy się zasłonić go przed spojrzemiami ciekawskich.

Major Generalny wziął tomik Atta z rąk Wielkiego Legata.

- Mam tu wypociny obcego kołka - ciągnął Major, wymachując książką. - Pitak ten razem ze swoim murzynem chcieli wyciąć numer i odbla-gować karty.

Na te słowa dał się słyszeć wrogi szmer.

- Sądzę, że powiedział, iż trzyma w ręku książkę napisaną przez cudzoziemca, który chciał dokonać oszustwa i odkryć jakiś język - szepnął Buvat do Melaniego, po czym ponownie zaczął kartkować słownik.

- Odkryć jakiś język? - powtórzył Atto. - Do licha! Teraz wszystko rozumiem! Idioci, osły, brudasy! Żeby ich szlag trafił!

W tej samej chwili zauważyłem, że jakiś wychudzony, boso cerretanin, prawie zupełnie łysy, z nagim tarsem poznaczonym bliznami, owinięty w stary koc, uważnie obserwuje Buvata. Atto również go spostrzegł, więc czym prędzej zamilkł.

- Kropnąć kołka! Kropnąć kołka! - zaskrzeczał szpetny starzec z twarzą pokrytą krostami.

- Okiewokie! Okiewokie! - odpowiedział mu rozentuzjasmowany tłum, bijąc brawo. Kilku cerretan, na znak radości, podrzuciło w górę puste butelki po winie.

- Kropnąć kołka znaczy... Mówią, że trzeba ukarać tego cudzoziemca, krótko mówiąc, zabić go - wyszeptał Buvat zatroskanym głosem, nie przestając kartkować słownika. - „Okiewokie” znaczy „tak”.

- Doskonale - rzekł opat z wisielczym humorem, poprawiając brudny kaptur.

Pólnagi cerretanin przywołał kompana. Szczęśliwym trafem rozko-łysany tłum zasłonił nas przed nimi. Zastanawiałem się, czy podeszli bliżej.

Tymczasem Major Elegantów czekał, aż zgiełk ucichnie. Odruchowo spojrziałem w kierunku wejścia, które było zarazem wyjściem z amfi-teatru.

- A teraz, moi oberwańcy - oznajmił mówca - zważywszy, że My, Najjaśniejsza Wysokość, zostaliśmy wybrani na cesarza, króla, przywód-cę, kondotiera, księcia, przełożonego i przewodnika wszystkich oszustów i że nie tylko Najjaśniejsza Wysokość cieszy się autorytetem, ale każdy, nawet najlichszy przedstawiciel naszej kompanii, chciałbym wam nieco przybliżyć dzieje i zalety łgarstwa.

Na te słowa w amfiteatrze rozległa się żywiołowa owacja.

Buvat odłożył słownik, ponieważ Major używał teraz normalnego ję-

zyka. Krótki wstęp w języku złodziejskim miał służyć jedynie wzbudzeniu ogólnego entuzjazmu. Nikt obcy, ma się rozumieć, nie mógł słuchać przemówienia (z wyjątkiem nas trzech, którzy w przebraniu wmieszaliśmy się w tłum). Któryś z cerretan podał Majorowi Generalnemu butelkę z winem, którą wychylił prawie do dna i odrzucił za siebie.

- Na początek - ciągnął przywódca - chcę powiedzieć, że Łgarstwo jest starsze od bohaterów Boccaccia, a nawet od wieży Babel. Ponieważ istnieje od niepamiętnych czasów, jest doskonale, podobnie jak doskonały jest każdy oszust. Również władca Łgarzy powinien być arcydoskonale, a nawet nieśmiertelny!

Apologię, którą zadowolony Major Generalny wygłosił pod swoim adresem, skwitowano rzeszystymi brawami. Wymieniliśmy z Attem zaniepokojone spojrzenia: oto znaleźliśmy się pośród armii szaleńców.

- Zacznijmy więc od początków tego bezkresnego świata - ciągnął Major - czyli od złotego wieku, kiedy panował bóg Kronos. Jakże wspa niale było wówczas życie oszustów! Wszyscy żyli w zgodzie, władcę traktowali jak dobrego ojca, a on tak samo traktował poddanych. Wszyscy byli wolni, bezpieczni, oddawali się najróżniejszym przyjemnościom, jedli, pili i ubierali się jak chcieli, nie wiedzieli, czym jest bogactwo i po siadanie. Właśnie dlatego wiek ten nazwano złotym. Wszyscy ludzie byli dobrzy, a złodzieje poczciwi. Każda rzecz była wspólna, nie istniał po dział dóbr, przedmiotów, winnic czy domów. Ludzie nie stosowali prze mocy, nie kłócili się, nie kradli kur, nie spierali się o plony. Każdy mógł uprawiać ziemię, jaką chciał, siać i zakładać winnice na swój sposób. Ko biety miały wspólnych mężów, a mężczyźni - wspólne żony. Co zdol niejsi oszuści trudnili się paskarstwem. Jak dobrze by się wtedy żyło na szemu ogierowi Biello!

Ostatnie słowa Major Generalny skierował do cerretanina stojącego tuż przy scenie. Tłum zareagował na nie głośnymi, długimi brawami.

- Później jednak nastał ten erotoman Zeus, który zapomniał, że jest oszustem, gdyż wychowywany jak zwierzę, był żywiony kozim mle kiem. Żądny władzy Zeus, nie mając żadnego poszanowania dla Święte go Łgarstwa, przepędził starego Kronosa, swojego ojca. W następstwie tego czynu wszystko się zmieniło. Ludzie utracili wolność, zaczęły się waśnie, podpalenia i napady, zrodziła się złość i okrucieństwo. Rozpo częło się dzielenie dóbr. Wokół winnic, ogrodów, domów wzniesiono mury. Mężczyźni zaczęli być zazdrośni o kobiety, sprzeczali się ze sobą, walczyli i zabijali. Krótko mówiąc, pojawiło się zło.



W tej samej chwili cerretanin stojący niedaleko nas puścił głośno bąka, budząc ogólną wesołość.

- Nieźle narozrabiał ten Zeus - mruknął pod nosem zdegustowany Atto.

- Zeus nie miał jednak tak silnej władzy, by zlikwidować boskie i nieśmiertelne łgarstwo - ciągnął Major Generalny. - W krótkim czasie ten pyszałek zrozumiał, że nie da się żyć bez oszustwa. Podobnie jego krew<sup>1</sup> ni (a było ich wielu) często uciekali się do łgarstwa, zapewniając sobie spokojne życie.

- Okiewokie! Okiewokie! - zawołał zgodnie chór cerretan.

Atto dał mi znak, bym za nim poszedł. Przeszliśmy na lewą stronę, starając się unikać pytającego spojrzenia półnagięgo żebraka. Kiedy się odwróciłem, nadal się w nas wpatrywał.

- Dzięki oszukańczym sztuczkom i fortelom bogowie zapewnili sobie wszystkie największe przyjemności. Przyjmując inne postacie, oszukiwali cały świat. Począwszy od Zeusa, który zapragnął uwieść Europę, córkę króla Agenora. Aby ją osiąść, przybrał postać byka i tym samym uciekł się do oszustwa. Gdyby nie użył podstępny, nie osiągnąłby swojego celu. Kiedy z kolei zapalił się do Ledy, zmienił się w sztukę drobiu. Jego uko chana zniosła potem dwa jaja, cha, cha, cha!

Słyszając żart Majora, cerretanie parsknęli śmiechem.

- Żeby ulżyć sobie z Antiope, Zeus przybrał postać satyra, a chcąc osiąść Alkmenę, zmienił się w jej męża Amfitriona. Do Danae wybrał się natomiast pod postacią murarza. Zrobił kielnią dziurę w dachu, wszedł do jej domu i uprzejmie się pokłoniwszy, zaliczył dziewczynę. Nimfę Egerię przeleciał w stroju kominiarza. Chcąc zdeflorować nimfę Kallisto, przebrał się za praczkę, co przyszło mu o tyle łatwo, że nie miał jeszcze wtedy zarostu, jak nasz drogi nicpoń Biagio, siedzący tu przede mną.

Tym przydomkiem Major nazwał łysego grubasa, który zareagował na jego słowa głośnym, skrzekliwym śmiechem. Zawtórowały mu dzikie, rozbawione okrzyki cerretan.

- Wszyscy krewni i synowie Zeusa posługiwali się podstępem i oszustwem. Mieli do tego prawo, powiecie, bo byli bogami? Wiadomo przecież, że Hefajstos był zwykłym kowalem, podobnie jak nasz Bratti.

Bezzębny starzec o tym imieniu stał niedaleko nas. Śmiał się głośno, zadowolony i dumny, że Major o nim wspominał.

Przywódca cerretan mówił w sposób bardzo przekonujący. Dostosow-

wując przykłady zaczerpnięte z mitologii do poszczególnych cerretan, elektryzował wszystkich. Ponownie obejrzałem się za siebie: półnagi cerretanin zniknął.

- Straciłem go z oczu - powiedziałem.

- To zły znak. Miejmy nadzieję, że nie doniósł na nas - rzekł opat.

- A Apollo? Był taki wścibski, że wiecznie wtykał nos w nie swoje sprawy, gorzej niż nasz arcyłgarz Olgiato - ciągnął mówca, puszczając oko do cerretanina w tłumie. - Ares za młodu był niezłym hultajem, lubił widok rzezi i krwi. Hermes był posłańcem, wychowawcą, zarządcą dóbr i naciągaczem, jego głównym zajęciem były wymuszenia. Hades był piekarzem, a żaru dostarczała mu jego Persefona. Posejdon sprzedawał ryby, Dionizos handlował winem, Eros był zwykłym rajfurem. Jeśli chodzi o kobiety, to Hera hodowała gęsi, a Diana była praczką. Wenus natomiast to zwykła dziwka, która oddawała się każdemu.

Odrażający tłum cerretan śmiał się grubiańsko, podniecony nieprzyzwyczajonymi komentarzami nowego przywódcy.

- Platon, ojciec filozofów, oszukiwał do samej śmierci. Arystoteles był synem zwykłego medyka i łgał przez całe życie. Pitagorasa spłodził zubożały kupiec, a Diogenes sypiał w beczce. Ale zostawmy królestwa greckie i barbarzyńskie, przyjrzyjmy się Rzymianom. Romulus, słynny założyciel Rzymu, był synem nędznego żołnierza, który okradał bogaczy. Jego matka, jak powszechnie wiadomo, była mniszką wyrzuconą z zakonu, a on sam był lichym murarzem od łatania murów w Rzymie. Dopóki łgał, budził powszechny szacunek, a kiedy przestał, źle skończył. Wiele lat później lud rzymski i jego armia zawojowali świat. Ale co to znaczy lud? Oszuści, plebs, łotry. Kim byli dowódcy rzymskiej armii?

- Oszustami! - zagrział tłum.

- Kto zatem podbił świat?

- Oszuści!

Po ostatnim okrzyku nastąpiła żywiołowa owacja. Dopiero po dłuższej chwili tłum cerretan ucichł. Major wybrał odpowiedni moment i podjął przemowę.

- Wergiliusz, naśladowca Homera, urodził się w biednej chacie niedaleko Mantui. Jego rodzice byli wytrawnymi łgarzami. Kiedy przybył do Rzymu, podjął pracę w stajniach cesarskich, z których wyrwał go sam cesarz August, ponieważ bardzo sobie cenił jego oszustwa. Cynceron był wielkim łgarzem, kochał łgarstwo, nienawidził przesadnej uprzejmości i zarozumiałstwa. Mucjusz Scewoła był piekarzem i nie spalił sobie pra-

wej ręki, aby dowieść, że nie boi się tortur, jak się powszechnie sądzi. Stracił rękę z wyroku sądu, bo podczas oblężenia miasta mieszał pszenną mąkę z mączką z bobu, żeby chleb, który sprzedawał, ważył więcej. Marek Marcellus był nędznym rzeźnikiem, a ten, który odebrał mu życie i władzę, czyli Scypion - sprzedawcą drobiu.

- Cóż za uczone przemówienie! - zakpił Atto. - Godne zubożalego szlachcica. Nie bez powodu mówca należy do sekty Elegantów.

Słowa Majora Generalnego rzeczywiście świadczyły o tym, że kiedyś lepiej mu się wiodło.

- A znakomite rody? - mówił przywódca. - Fabi sprzedawali bób, Lenruli soczewicę, Pisoni zielony groszek, Papini handlowali knotami świec. Również Cezar, dopóki posługiwał się oszustwem, wzbudzał szacunek i lęk. Porzucił jednak ten styl życia, został tyranem i zabito go jak psa. August, syn piekarza z Velletri, łgarz nad łgarze, był człowiekiem pokornym, dobrym kompanem i zaszedł daleko. Jego pasierb Tyberiusz wzorował się na ojczymie i dobrze mu się wiodło, ponieważ każdy, kto pozostaje wierny oszustwu, żyje w dostatku. Ten zaś, kto brzydzi się łgarstwem, staje się zepsuty, niedobry, dziwaczeje i zraża do siebie innych, a po śmierci czeka go piekło!

Na te słowa rozległy się brawa, gwizdy, beknięcia i inne nieprzyzwoite odgłosy. Atto wyciągnął szyję i spojrzał ponad głowami rozochoconych cerretan.

- Teraz - powiedział do Buvata, kiedy burza oklasków przybrała na sile. - Uważaj, żeby nikt cię nie zobaczył, bo będzie po nas.

Sekretarz udał się na środek amfiteatru, gdzie leżała sterta starych desek i innych śmieci. W pobliżu nikogo nie było, ponieważ wszyscy uczestnicy zebrania zgromadzili się wokół Majora Generalnego i słuchali jego przemówienia. Zauważyłem, że płaszcz Buvata był nieco wybrzuszony. Przypomniałem sobie, że kiedy jechaliśmy karetą, podobną wypukłość dostrzegłem w jego kaftanie.

- Kaligula nie był oszustem, lecz łotrem i dlatego źle skończył - ciągnął niestrudzenie Major. - Neron był łgarzem, ale przede wszystkim obzartuchem, więc nas nie interesuje. Również wszyscy sławni imperatorzy - Tytus, Wespazjan, Otton, Trajan - urodzili się oszustami i oszukiwali przez całe życie. Im bardziej łgali, tym znakomitszymi byli cesarzami. Ten, kto nie był, nie jest i nie będzie oszustem, nigdy nie zdobędzie bogactwa, szacunku ani władzy. Tylko dzięki łgarstwu można osiągnąć mistrzostwo w jakiejś dziedzinie. Łgarstwo jest święte, ponieważ w nim

zawiera się wiara i miłość. Jest też boskie, bo czyni ludzi nieśmiertelnymi, i błogosławione, bo zapewnia bogactwo i władzę. Jest źródłem wszelkich rozkoszy, niesie pociechę i rozrywkę, jak na przykład gra w karty. Pamiętajcie! Prawdziwy łgarz jest kochany, szanowany, wszyscy zabiegają o jego względy, choć tego nie okazują. Każdy człowiek powinien zatem parać się oszustwem, zawierzyć mu i ciągnąć z niego zyski. Każdy powinien się też w nim doskonalić, jak siedzący tu obok Lucazzo, który oszukuje, kradnie i żebrze z takim samym mistrzostwem, z jakim rzeźbił kawaler Bernini. Dzięki oszustwu możemy według własnej woli zmienić się w poetów, mówców, filozofów, książąt, panów, królów i cesarzy. Niech żyje łgarstwo! Przekonacie się, że los wkrótce się do was uśmiechnie!

- Zapewniam cię, że nie będziesz musiał długo czekać - powiedział Atto, kiedy rozległy się rześiste oklaski, krzyki i gwizdy słuchaczy.

- Co robi Buvat? - spytałem szeptem.

- To, co Telemach.

Zbyt późno zrozumiałem, co się dzieje. Tym lepiej, gdyż nie zniósłbym oczekiwania.

Wszystko stało się bardzo szybko. Najpierw dał się słyszeć ogłuszający huk, jak podczas trzęsienia ziemi. Spojrzałem na Ugonia siedzącego przy scenie. Cerretanie, którzy byli jeszcze pod wrażeniem przemówienia, oniemieli ze strachu. Po chwili nastąpił kolejny, jeszcze głośniejszy wybuch.

Brudny, cuchnący tłum żebraków rozbiegł się na wszystkie strony. Jedni podskakiwali ze strachu, inni rzucali się na ziemię, jeszcze inni biegli na oślep przed siebie.

Po trzecim wybuchu cerretanie byli całkowicie zdezorientowani. Tym razem jednak nad naszymi głowami ukazał się cudowny purpurowy kwiat, który rozświetlił karminowoszkarałatnym blaskiem hordy żebraków, niegodnych całego tego piękna. Czerwone kule jaśniejące na tle nieba rozsypały się na dziesiątki świetlistych kwiatów i opadły łagodnie na ziemię.

Fachowa nazwa dwóch pierwszych fajerwerków mówiła wszystko - „trzęsienie ziemi”. Przed wyjazdem Atto wysłał Buvata do don Paschatia z pytaniem, czy w piwnicach willi Spada nie zostało przypadkiem kilka skrzynek sztucznych ogni. Okazało się, że tak. Buvat poprosił zarządcę

domu, by dokładnie wytłumaczył mu, jak zapala się fajerwerki (na zgromadzeniu cerretan, na szczęście, nie brakowało zapalonych pochodni) i w jaki sposób należy je przechowywać. Przypomniałem sobie, że kiedy wyruszyliśmy, don Paschatio powiedział do Buvata: „Unikać wilgoci, nie wstrząsać, trzymać w pozycji pionowej”. „Trzęsienie ziemi” stosowano na ogół na zakończenie pokazu sztucznych ogni, kiedy uszy widzów były już przyzwyczajone do wybuchów. Tymczasem Buvat zaatakował bębni cerretan zniemacka, bez uprzedzenia, a lejkwaty kształt amfiteatru dodatkowo spotęgował huk. Po dwóch „trzęsieniach ziemi” Buvat odpalił wielobarwny fajerwerk.

W swoim przedsięwzięciu Atto wzorował się, jak sam powiedział, na Telemachu. Zgodnie z tym, o czym dzień wcześniej przypomniał nam Albicastro, syn Odyseusza udał przed zalotnikami szaleństwo, aby pomóc ojcu ich zabić.

Przewidywania Atta okazały się słuszne. Cerretanie zachowali się dokładnie tak jak homeryccy zalotnicy. Pomimo ogólnego zamieszania nikt nie zszedł ze sceny: ani Major, ani jego dwaj koledzy, ani Drehmannius, holenderski introligator. Kiedy wybuchły fajerwerki, poczuli się zdezorientowani. Nie wiedzieli, czy to był żart, miła niespodzianka czy realne zagrożenie. Ugonio, który stał obok nich, działał szybko i sprawnie. Kiedy czerwona raca wystrzeliła w górę i wszyscy cerretanie zadarli głowy, łowca relikwii zanurzył swe szponiaste dłonie w torbie introligatora, wyjął traktat o konklawe i na jego miejsce podłożył książkę, którą dał mu Melani w powozie. Tomiki były identyczne. Buvat z łatwością znalazł książkę o takich samych wymiarach, z pergaminową okładką bez napisu, podobną do traktatu opracowanego na zlecenie Atta przez nieszczęsnego Havera.

„Holender przyciąga Holendra” - powiedział niedawno opat. Teraz rozumiałem, o co mu chodziło. Dzięki słowom Albicastro odzyskał traktat o sekretach konklawe, który przyniósł w torbie Drehmannius.

Kiedy opadły emocje, wszyscy cerretanie zaczęli się zastanawiać, kto wpadł na idiotyczny pomysł z fajerwerkami.

- Chodźmy już, panie Atto.
- Jeszcze chwilę. Musimy poczekać, aż... Buvat! Nareszcie! Zmiatajmy stąd!

- A Ugonio?

Spojrzałem w stronę sceny. Poszukiwacz relikwii odwrócił się do nas tyłem, dając do zrozumienia, że on wymknie się z amfiteatru później. Skierowaliśmy się do ukrytych drzwi.

- Nie w ten sposób! - szepnął Atto. - Popatrzcie na mnie!

Zamiast iść pod prąd, zdradzając w ten sposób kierunek ucieczki, opat poruszał się tyłem, z twarzą zwróconą w kierunku sceny. Ale było za późno. Półnagi cerretanin, który wcześniej nam się przyglądał, dostrzegł mnie i Buvata, a teraz pokazywał nas palcem dwóm osiłkom. Wszyscy trzej, nie spuszczać z nas wzroku, zaczęli torować sobie drogę wśród tłumu.

- Panie Atto, gonią nas! - wyszeptałem, kiedy z trudem przeciskaliś my się wśród cerretan, udając, że się nam nie spieszy.

Odległość, jaka dzieliła nas od osiłków, szybko malała. Czterdzieści kroków, piętnaście... Drzwi do tajnego przejścia były coraz bliżej. Dzie sięć kroków, osiem.

Nagle zauważyłem jakieś poruszenie za plecami ścigających nas cerretan. Dostrzegłem sylwetkę Ugonia, który przepychał się do przodu, ale nieoczekiwanie ktoś go przytrzymał. Łowca relikwii odwrócił się, żeby się uwolnić, a wtedy czyjaś ręka zabrała mu traktat Atta, on go odzyskał, podjął ucieczkę, a wtedy kolejne ręce sięgnęły po manuskrypt, oprawa rozerwała się...

- Buvat! - powiedział stanowczym tonem Atto, nawiązując najwyraź niej do wcześniejszych ustaleń.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Osilki były kilka metrów od nas. Mogłem im się przyjrzeć. Byli brudni jak wszyscy cerretanie, ale dobrze umięśnieni. Odniosłem wrażenie, że znajdują się na torturach.

- Ale gdzie?... Otóż i ona! - zawołał Buvat, rzucając się na cerretani- na z pochodnią w rękę.

Nagle pojawił się duży płomień, najpierw czerwono-biało-żółty, później niebieski, po czym ognisty młynek, syjąc iskrami, poszybował w stronę Ugonia i jego prześladowców. Buvat dobrze wycelował, w odpowiednim momencie podpalił lont i rzucił fajerwerk. Tłum żebraków rozstał się, niczym Morze Czerwone przed ludem Izraela.

Tymczasem, po wyborach i przemówieniu nowo wybranego Majora Generalnego, przyszła pora na kult Bachusa i zaspokojenie pragnienia. W tłumie pojawiło się kilku silnych cerretan, którzy nieśli na ramionach olbrzymią beczkę wina, ważącą tyle co wół. Idąc w stronę sceny, gdzie

mieli postawić beczką, przecięli drogą goniącym nas osiłkom. Byliśmy uratowani!

Zanim zniknęliśmy w sekretnym przejściu, zauważyłem, że twarz jednego z osiłków wykrzywiła się z bólu, gdy gigantyczna beczka przygmiotła mu nogę, a drugi olbrzym wykrzykiwał coś do podtrzymujących ich ludzi, przerażonych naszym fajerwerkiem, tłumacząc im zapewne, żeby ją unieśli i uwolnili kompana. Dym z ognistego młynka, który poleciał w nieznanym kierunku, szczypał wszystkich w oczy. Zapanowało wielkie zamieszanie, cerretanie wpadli w panikę.

To wszystko, co widziałem. Kiedy zamykały się za nami ukryte drzwi, moją twarz po raz ostatni owiał przykry odór brudnych ciał. Później, w drodze powrotnej, czułem już tylko woń świeżego powietrza. Szliśmy przez pola i łąki, żeby uniknąć nieprzyjemnych spotkań. Bezustannie wytężaliśmy wzrok i słuch, w nadziei, że zobaczymy sylwetkę doganiającego nas Ugonia i usłyszymy jego kroki. Nadzieja nasza była jednak płonna - łowca relikwii został zapewne zdemaskowany.

Atto złorzeczył. Traktat o konklawe, który prawdopodobnie przyczynił się do śmierci Havera, pozostał w rękach Ugonia, zatrzymanego przez cerretan. Łowca relikwii zdradził ich, dał się przekupić Melaniem. Opat chętnie by mu odebrał pieniądze albo rozszarpał Ugonia na kawałki.

Kiedy zbliżaliśmy się do karety, byliśmy u kresu sił, roztrzęsieni po chwilach pełnych napięcia, załamani porażką. Przez ostatnie minuty marszu Atto pozostał w tyle, wysupłując coś spod kamizelki. Musieliśmy go poprosić, żeby się pośpieszył, bo traciliśmy cenny czas.

W końcu dotarliśmy na miejsce za stodołą, gdzie czekała kareta. Waligóra wyszedł nam na spotkanie.

- Musimy się spieszyć, zaczyna świtać - ponaglał nas.
- Spójrz! Tam, z tyłu! - krzyknął Atto.

Waligóra czym prędzej odwrócił się, pewny, że zaraz ktoś go zaatakuje. Melani zbliżył się do niego, wyciągając coś spod kamizelki. Nocną ciszą zmaćcił suchy odgłos strzału z pistoletu. Żandarm upadł na ziemię, twarzą w dół, krzycząc z bólu.

- Czas na nas - powiedział krótko opat, wsiadając do karety.

Woźnica, przerażony tym, co przed chwilą zobaczył, popędził konie. Nie miałem odwagi wyjrzeć przez okno karety. Wolałem nie patrzeć, jak znika w oddali zakrwawione ciało Waligóry.

Wyruszyło nas pięciu, wracało trzech. Ugonia zapewne zlinczowano, a ranny Waligóra szukał pomocy w nadziei, że uda mu się ocaleć. Podobnie jak przed siedemnastu laty przyglądałem się ukradkiem opatowi Atcie Melanemu, eksśpiewakowi, kastratowi, zaufanemu człowiekowi Medyceuszy, Mazzariniego, tysiąca ksiąząt z całej Europy, przyjacielowi kardynałów, papieży i monarchów, tajnemu agentowi Arcychrześcijańskiego Króla, zastanawiając się, czy nie był on zwykłym łajdakiem lub, co gorsza, płatnym mordercą.

Strzelił do Waligóry z całkowitą obojętnością. Wobec takiej determinacji ani ja, ani Buvat nie odważyliśmy się odezwać. Gdybyśmy zaprotestowali, skończylibyśmy zapewne tak jak Waligóra.

Siedząc w karecie naprzeciw opata, czułem dreszcze na całym ciele. Wyczerpany Buvat wkrótce zasnął, unikając w ten sposób wszelkich rozmów.

Po chwili Atto przerwał kłopotliwe milczenie, zupełnie jakby odgadł moje myśli.

- To ty dostarczyłeś mi wszystkie potrzebne elementy układanki - oznajmił niespodziewanie. - Po pierwsze, łatwość, z jaką złodziej wszedł do mojego apartamentu. Zwróciłeś na to uwagę, kiedy zaraz po kradzieży przeszukaliśmy wszystkie pokoje. Powiedziałeś, że willa Spada jest dobrze strzeżona. Postanowiłem to sprawdzić.

- W jaki sposób? - spytałem, nie rozumiejąc, do czego Atto zmierza.

- Rozmawiałem o tym ze złodziejem, czyli Ugoniem. Powiedział, iż cerretanie uprzedzili go, że pomoże mu ktoś z obsługi willi.

- Zatem Waligóra nas zdradził... - szepnąłem.

Nie mogłem uwierzyć w to, że Ugonio i jego wspólnicy okradli Atta w porozumieniu z Waligórą.

- Ugonio mógł wymienić imię Waligóry, żeby go oczernić - zauważyłem. - Żandarmi są wrogami łowców relikwii.

- To prawda, ale ja powiedziałem, że podejrzewam don Paschatia, do którego poszukiwacze relikwii nic nie mają. W ten sposób unikałem nieszczerzej odpowiedzi.

- Co dalej?

- Dostarczyłeś mi jeszcze jeden ciekawy element - podczas wesela podsłuchałeś, że szykuje się reforma żandarmerii. Jeśli rzeczywiście zo-



stanie przeprowadzona, wielu żandarmów straci pracę, między innymi Waligóra. Nasz żandarm bał się tego, potrzebował pieniędzy, nie miał widoków na przyszłość. No, i jeszcze ta niesamowita historia z kulą.

- Na Bazylice Świętego Piotra?

- Tak. To Waligóra przeszkodził ci odzyskać traktat, który Zabaglia, przyjaciel cerretan, albo któryś z żebraków ukrył w tym dość oryginalnym, trzeba przyznać, miejscu. Udałem, że wierzę w bajeczkę Waligóry, kiedy opowiedział mi, że przeniósł cię nieprzytomnego z bazyliki do willi Spada i dziwnym trafem zgubił traktat.

- A jak było naprawdę?

- Postanowił dotrzeć do kuli przed tobą, żeby traktat nie dostał się w twoje ręce. Nie wypadł z kuli przypadkiem, jak sądziłeś, ale wyskoczył i pociągnął za sobą ciebie. Potem dał ci w głowę, żebyś przeniósł się w krainę snów. Na koniec wyniósł cię z bazyliki, oczywiście w porozumieniu z Zabaglia.

Przypomniałem sobie, że Atto, czuwając przy mnie po nieudanej wyprawie do Bazyliki Świętego Piotra, wypowiedział słowa, których znaczenia wówczas nie rozumiałem.

- O ile dobrze pamiętam, powiedział pan: „Nikt nie uratuje się przed śmiercią, o ile nie pomoże mu ktoś, kto z nią obcuje na co dzień”. Według pana osoba, która pomogła mi się uratować, był Waligóra.

- Tak.

- Powiedział pan też: „Za każdą podejrzaną lub dziwną śmiercią kryje się państwo, czyli spisek tajnych służb”.

- Dotyczy to nie tylko zabójstw, ale także kradzieży i nieprawości wobec całego narodu, od wieków uciskanego i dręczonego. Państwo może wszystko, bez względu na to, czy rządzi król, papież czy cesarz. Najlepszym tego przykładem są cerretanie, którym tu, w Rzymie, łatwo się żyje. Jest to możliwe tylko dlatego, że poszczególni żandarmi, lub ich przełożeni, są skorumpowani, a także dlatego, że państwo umiejętnie wykorzystuje cerretan do swoich celów. Poza tym chce mieć pewność, że w razie potrzeby może na nich liczyć. Pamiętaj, chłopcze: szczęśliwy jest przestępca, który sieje strach w imię państwa, bo z pewnością uniknie więzienia. Ale tylko do momentu, kiedy odkryje jakieś haniebne tajemnice. Wtedy i on źle kończy.

- Niedawno słyszałem, iż ślepcy i kaleki z Towarzystwa Świętej Elżbiety dają łapówki żandarmom, żeby pozwolili im żebrać bez przeszkód.

- Wiem o tym. Dlaczego zatem dziwisz się, że cerretanie płacą Wali górze?

Słowa opata potwierdziły podejrzenie, które dręczyło mnie od dnia, kiedy usłyszałem o Towarzystwie Świętej Elżbiety, Dopiero teraz pozbyłem się wątpliwości.

- Ale dlaczego Waligóra pomógł nam wpaść na trop Zabagli i domyślić się, że pański traktat ukryto w kuli?

- Dlatego, że kiedy poprosiłem go, by dowiedział się, kim jest człowiek, o którym słyszałeś od don Tibaldutia, nie powiedziałem mu, po co nam ta informacja. I to go zaciekawiło.

Zamilkłem, myśląc o poczynaniach Waligóry.

- Nasz żandarm nie jest głupi - ciągnął opat. - Tak jak pozostali stróże prawa dla pieniędzy działał na granicy prawa. Szukał dodatkowych źródeł zarobku. Tropił ukrywających się morderców, dziwki wynajmujące mieszkanie bez pozwolenia, nieuczciwych poborców podatkowych i wymuszał od nich haracz. Gdy wpadł na ślad potencjalnej ofiary, robił poważną minę i twierdził, że za chwilę ją przesłucha, zaaresztuje, wsadzi do więzienia. Mówił to tylko po to, by przypodobać się przełożonym. W rzeczywistości zatrzymywał się zawsze o krok od celu. Aby kogoś aresztować, przybywał dwie minuty za późno; gdy przesłuchiwał, nie zadawał najważniejszego pytania; gdy przeszukiwał mieszkanie, omijał pokój, w którym został ukryty łup. Niedoszła ofiara odwdzięczała mu się niezłą sumką. Złodzieje zawsze odkładają trochę grosza na ten cel.

- Ale cerretan jest tyłu, że chyba nie muszą się bać...

- ...takiego prostaka jak Waligóra? Dla ludzi zajmujących się brudnymi interesami żandarmi są jak komary -jeśli nie uda się ich odgonić, nie wpuszczają ich do domu. Można tego dokonać za pieniądze. Nic się nie ryzykuje, przeciwnie - zjednuje ich sobie na całe życie. Z chwilą gdy żandarm przyjął łapówkę, ma interes w tym, żeby zostawić cię w spokoju. Zgodnie z powiedzeniem: lepiej nie ruszać łajna, bo zaczniesz śmierdzieć.

Zamilkłem, rozczarowany. Waligóra, którego uważałem za nieokrzesanego, ale uczciwego człowieka, okazał się sprytnym, przekupnym łajdakiem.

- Waligóra od dawna już deptał cerretanom po piętach - ciągnął Atto. - Kiedy zbytnio zbliżał się do celu, grożąc, że przysporzy im kłopotów, da wali mu jakąś sumkę. Wtedy robił się potulny. Podobnie było z przesłuchaniami Rudzielca i Geronima. Sfałszował daty, żeby nikt nie mógł

odnaleźć protokołów. Po co sędziemu informacje sprzed wieku? A dla cerretan, którzy chcą utrzymać swoje sekty w tajemnicy, to być albo nie być. Płacą, żeby ich sekrety nie wyszły na jaw. Waligóra nadal więc szantażuje, a oni płacą. Zarobki żandarmów są niskie. Doskonale o tym wiesz, bo słyszałeś rozmowę dwóch kardynałów, którzy mówili o przyczynach korupcji wśród rzymskich żandarmów.

- Waligóra nie boi się, że cerretanom kiedyś się to znudzi i go wy- , kończą?

- Zabiją go? Nie ma mowy. Martwy żandarm oznacza kłopoty. Dopóki mu płacą, mają spokój i pewność, że będzie milczał. Zabiją jednego, na jego miejsce przyjdzie drugi, jeszcze gorszy. Może jakiś nieprzekupny twardziel, sumiennie wykonujący swoje obowiązki?

- Kiedy zorientował się pan, że Waligóra jest zdrajcą?

- Po waszej wspinaczce na kulę bazyliki, a dzisiejszego wieczoru ostatecznie się utwierdziłem, od kogo cerretanie dowiedzieli się, że Rudzielec zaczął sypać.

- Od Waligóry - sam sobie odpowiedziałem ze smutkiem.

Żandarm pomagał nam w poszukiwaniach - myślałem rozgoryczony - tylko dlatego, żeby nas śledzić i kontrolować.

- Najzabawniejsze jest to, że ja również zapłaciłem mu za pomoc. Bezcelnie zainkasował pieniądze z dwóch źródeł: od opata Melaniego i od cerretan - podsumował Atto z drwiącym uśmiechem.

- Skąd wziął się pomysł z fajerwerkami?

- Planowałem użyć ich tylko w ostateczności, żeby wprowadzić zamieszanie. Sztuczne ognie, którymi kardynał Spada postanowił zakończyć uroczystości, przydały się i nam. Dzięki nim wyszliśmy z tego cała. Jak zapewne zauważyłeś, o fajerwerkach w amfiteatrze dowiedziałeś się w ostatniej chwili. Nie mogłem ryzykować, że się wygadasz Waligórze.

Poczułem, że czerwienię się ze wstydu. Mimo że Atto zapewniał mnie o swym szacunku i przyjaźni, w decydującym momencie potraktował jak osobę niegodną zaufania, której nie należy powierzać sekretów. No, cóż - pomyślałem - szpieg jest szpiegiem, nikomu nie ufa.

- Dlaczego postanowił pan, żeby Waligóra wyruszył z nami?

- Chciałem go mieć na oku. Tymczasem on myślał, że jest odwrotnie i że to on nas obserwuje. Kazałem Ugoniowi wymyślić jakiś pretekst, żeby Waligóra nie poszedł z nami do amfiteatru, gdzie mógłby nam utrudniać działania. Żandarm musiał się zgodzić, w przeciwnym razie wzbudziłby podejrzenia, bo zapłaciłem mu, żeby wykonywał moje pole-

cenią. Być może próbował dostać się do amfiteatru na własną rękę, ale nie znał tajnego przejścia.

Patrzyłem na opata błędnym wzrokiem. Czy to możliwe - zastanawiałem się - że tak bardzo myliłem się co do osób, z którymi miałem do czynienia? Czy Waligóra naprawdę był taki fałszywy i zepsuty? Przypomniałem sobie moje pierwsze spotkanie z odważnym, choć niezdarnym żandarmem. Powiedział wtedy, że chce namówić gubernatora, aby wsadził za kratki tajemniczych cerretan... a zaraz po pracy idzie odwiedzić matkę...

- Zapomniałem ci powiedzieć - ciągnął Atto - iż zleciłem Buvatowi, żeby'chodząc po bibliotekach, wpadł do parafii Waligóry i pogadał z proboszczem. I wiesz, co się okazało?

- Co?

- Matka Waligóry zmarła szesnaście lat temu.

Zamilkłem, zasmucony własną naiwnością. Atto domyślił się, że Waligóra nas okłamuje. Wynioskował to z obserwacji i informacji zebranych w dużej mierze przeze mnie, a ja nie potrafiłem pouklądać ich w logiczną całość.

- Jednego nie rozumiem - powiedziałem. - Dlaczego nie zdemaskował go pan wcześniej?

- To jedno z najgłupszych pytań, jakie od ciebie usłyszałem. Pomyśl o Telemachu.

- Znowu?! - wykrzyknąłem zniecierpliwiony. - Wiem już, że dzięki tej legendzie wpadł pan na pomysł z fajerwerkami. Nie rozumiem jednak...

- Homer - przerwał mi Melani - nazywa Telemacha „mędrcom”, ■ „równym bogom”, człowiekiem obdarzonym „świętą mocą”. Wychwala jego zalety w każdym niemal wersie. A co mówi o Telemachu dobry Eumajos, świniopas, który bardzo kochał syna Odysuseusza? Że „któryś z bogów pomieszał mu rozum”. A jego matka, wierna Penelopa? Woła do niego: „Telemachu, straciłeś rozum!”. Im bardziej ktoś go kochał, tym ostrzej krytykował jego postępowanie. Wszystkie te osoby nie dostrzegały mądrości w pozornie szalonych czynach Telemacha. Wiesz, dlaczego?

- Udawał szaleństwo, żeby nie wzbudzić podejrzeń zalotników zajmujących pałac Odysuseusza - odparłem. - Nie rozumiem jednak, co to ma wspólnego...

- Zaczekaj! Pozwól mi skończyć! Sprytny Telemach udawał szalonego po to, by sprowokować zalotników do zawodów w strzelaniu z łuku. Pragnąc ich zachęcić, pierwszy stanął do rywalizacji i sięgnął po łuk, o którym mówiono, że potrafi napiąć go jedynie Odyseusz. Telemach do końca się nie zdradził. Uczynił to dopiero wtedy, gdy za łuk chwycił sam Odyseusz i rozpoczął rzeź zalotników.

- Już rozumiem - powiedziałem. - Udawał pan, że wierzy Waligórze, dopóki był nam potrzebny.

- Otóż to! Gdybym zdemaskował go wcześniej, nie dowiedzielibyśmy się niczego od Rudzielca ani nie dotarli do Niemca, czyli Ugonia, i tak dalej.

- Gratuluję panu sprytu i odwagi - powiedziałem, pełen podziwu dla opata, zapominając o tym, że wystawił mnie na niebezpieczeństwo u boku zdrajcy.

- Nie mówiąc o tym - powiedział Atto z uśmiechem - że wcześniej trudno byłoby pozbyć się Waligóry. Nie mogłem przecież strzelić do niego w samym środku uroczystości w willi Spada!

Zaczynało świtać. Ze zmęczenia kleiły mi się powieki, ale zbyt dużo pytań pozostało bez odpowiedzi.

- Panie Atto - odezwałem się. - Dlaczego zaklął pan, kiedy Ugonio powiedział, że holenderski introligator musi odkleić oprawę pańskiego traktatu?

- Nareszcie o to pytasz. W tym cała rzecz.

- Jak to?

Chodziło o mierzenie do niewłaściwego celu. Kiedy celuje się nie tam, gdzie powinno - powiedział Atto - zaczynają się kłopoty.

Pierwszym błędnym celem był kardynał Albani. Okazało się, że nie miał on nic wspólnego z traktatem Atta o sekretach konklawe.

Drugim złym celem był Lamberg. Sądziliśmy, że cesarski ambasador kazał ukraść traktat, gdyż pragnął poznać poufne wiadomości, które Melani spisał z myślą o Arcychrześcijańskim Królu. Ten trop również okazał się fałszywy.

- Lamberg jest bardzo pobożnym człowiekiem, ale nie powinien zostać ambasadorem, lecz żyć na dworze w Wiedniu i zajmować się dziczyzną

i strudlami, jak wszyscy Austriacy, oraz zarządzać swoimi spokojnymi włościami.

- Jest pan tego pewien?

- Jestem pewien, ponieważ nikt nie zlecił cerretanom kradzieży.

Uczynili to z własnej inicjatywy.

- Sami? Dlaczego?

- Pamiętasz, co powiedział Ugonio, kiedy przyszliśmy do jego kryjówki w Termach Agrypiny? Powiedział, że cerretanie złością się, bo ktoś ukradł ich nowy język. Potwierdził to Geronimo, cerretanin, którego przesłuchiwał dziś Waligóra. Odpowiedź Ugonia wydawała się pozbawiona sensu, ale cały czas dźwięczała mi w uszach. Nowy język? Ale przecież cerretanie posługują się językiem złodziejskim, a on jest czymś o wiele poważniejszym niż to śmieszne narzecze, które słyszałeś, kiedy zrzucili cię z tarasu na Campo di Fiore.

- Ma pan na myśli... treklatremiesz?

- Tak. Do tej pory tajemny język cerretan był żargonem, który potrafilismy rozszyfrować dzięki słownikowi od Ugonia. Ponieważ jednak coraz więcej ludzi go rozumiało, cerretanie postanowili go zmienić. Pamiętasz, co powiedział Buvat? Język złodziejski istnieje od wieków, a kiedy staje się coraz powszechniej znany, cerretanie modyfikują go, ponownie czyniąc go niezrozumiałym dla osób postronnych. Ale ktoś ukradł klucz do nowego języka, zasadę jego funkcjonowania, czy coś w tym rodzaju, dokładnie tak jak powiedział Geronimo. Mogło chodzić o zwykłą kartkę z zasadami wymowy i rozumienia nowej wersji języka.

- Tak, tak - powiedziałem podniecony, bo zaczynałem rozumieć.

- Kiedy zatem cerretan okradziono, gotowi byli uczynić wszystko, by odzyskać magiczną kartkę.

- To zrozumiałe.

- No właśnie. A co starali się za wszelką cenę mi wykraść i zatrzymać do dzisiejszego wieczoru?

- Pański traktat! Chce pan powiedzieć, że sekretny język cerretan zawarty jest...?

- Nie, nie w tym, co napisałem. Nie znam języka cerretan. Kartka mogła być dołączona do mojej pracy.

- Wjaki sposób?

- Wiesz, jak wykonuje się oprawę z pergaminu, podobną do tej, jaką zamówiłem u Havera?

- Sklejając... używane kartki! Już wiem: instrukcja do nowego języka

była przyklejona do okładki! Ugonio powiedział, że ten śmieszny cerretanin, holenderski introligator, musiał odkleić jedną stronę.

- Właśnie. Musiał odkleić od okładki kartkę z zasadami sekretnego języka. Kartki, których używa się do oprawy, przykleja się zazwyczaj zapisaną stroną.

- Dlatego sprowadzili eksperta aż z Holandii. Nie rozumiem jeszcze jednego: jak ta kartka tam trafiła?

- Przy kleił ją Haver, oczywiście zupełnie nieświadomie.

- To dlatego cerretanie włamali się do jego mieszkania i wszystko z niego wynieśli! Szukali pańskiego traktatu.

- A ten biedaczek tak się przeraził, że zmarł - dodał Atto ze smutkiem. - Kiedy jednak przyszli do Havera, traktatu już u niego nie było. Przekonali się o tym później, gdy obejrzeliby łupy, czyli stosy papieru.

- Wtedy zatrudnili Ugonia.

- Tak. Poszukiwacz relikwii doskonale wiedział, że nie ma u mnie innych świeżo oprawionych książek. W przeciwnym razie trudno by mu było znaleźć tę właściwą, tym bardziej że ani on, ani cerretanie nie znali jej zawartości.

- Zgoda. Jakim cudem jednak kartka trafiła do pracowni Havera? I w jaki sposób wpadli na jej trop?

- Musisz wysilić nieco pamięć. Przypominasz sobie tego młodzieńca, który stał przy podwyższeniu dla Majorów? Odnieśliśmy wrażenie, że już go gdzieś widzieliśmy.

- Tak, ale nadal nie wiem, skąd go znamy. Może widzieliśmy go, jak zebrał gdzieś w mieście albo był wśród żebraków w Termine tamtego wieczoru, kiedy szukaliśmy Rudzielca i Geronima.

- Niestety, mylisz się. Ale to zrozumiałe, widzieliśmy go tylko przez parę sekund. W każdym razie ja widziałem go lepiej niż ty, ponieważ zranił mnie w ramię.

- Już rozumiem! Chodzi panu o cerretanina, którego ścigał Waligóra w willi Spada!

- Tak, o niego. Nie bez powodu tego wieczoru stał obok Majorów, Ugonia i tego tam... jak on się nazywa? Aha, Drehmannius! Chłopak niósł gdzieś kartkę z kluczem do tajnego języka cerretan. W pewnej chwili na nas wpadł, upuścił kartkę, a ona poleciała z wiatrem, mieszając się z papierami introligatora. Później trafiła do oprawy mojego traktatu. Z pomocą Waligóry cerretanie bez trudu znaleźli pracownię Havera.

- Ale dlaczego ten chłopak pana zaatakował?

- Nie zaatakował mnie, to był przypadek. Waligóra dostrzegł go w pobliżu willi i domyślił się, że coś kombinuje. Chciał go zatrzymać, ale chłopak zaczął uciekać. Pobiegł więc za nim. Żandarm miał nosa, ponieważ cerretanin miał przy sobie nową wersję języka złodziejskiego. Był zapewne kurierem. Wiemy już, że cerretanie przygotowywali się wtedy do walnego zgromadzenia. Podczas ucieczki chłopak chwycił za nóż, żeby się bronić, gdyby Waligóra go dopadł. W pewnej chwili wpadł na mnie, kalecząc mi rękę. Nóż, który upuścił, zabrał Waligóra. Chciał mieć pewność, że nikt nie odbierze mu śledztwa.

- Zamiast komplikować sobie życie, kradnąc pański traktat, cerretanie powinni byli posłużyć się kopią nowego kodu.

- Chyba jej nie mają.

- Skąd pan wie?

- Wystarczy logicznie pomyśleć. Buvat powiedział nam, że zgodnie z tradycją nowe reguły języka dyktuje Major Generalny. Sam je wymyśla i zapisuje. Następnie przedstawia nowy kod podczas walnego zgromadzenia, w obecności przywódców wszystkich sekt, którzy przekazują reguły dalej. Jak się dowiedzieliśmy od Ugonia, niedawno zmarł główny przywódca cerretan, czyli jedyny człowiek, który znał treść kartki, ponieważ sam ją napisał.

- A ponieważ zwołano już walne zgromadzenie - ciągnąłem - na które ściągali tłumy cerretan z całych Włoch, nowo wybrany Major Generalny nie mógł opracować kolejnego klucza, bo miał za mało czasu.

- Zgadza się. Tydzień to za mało, żeby ci łachmaniarze cokolwiek wymyślili.

- Nieprawdopodobne! - powiedziałem po krótkiej chwili milczenia. - Nigdy bym się nie domyślił, że Waligóra zaczął się układać z kimś, kogo sam ścigał.

- Tak właśnie było. Skorumpowani żandarmi pierwsi przybywają na miejsce przestępstwa, bo czują, że mogą zarobić.

Po tych słowach Melani zamilkł i wytarł pot z czoła koronkową chusteczką.

- Wyjdzie z tego?

- Oczywiście. Zanim do niego strzeliłem, kazałem mu się odwrócić. Z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że jest zdrajcą, a zdrajcom strzela się w plecy, a po drugie, celowałem w pośladki, jedyną część ciała, gdzie nic nie można złamać, a groźba infekcji jest właściwie żadna.



Melani znał się na ranach postrzałowych, w przeszłości często posługiwał się bronią palną. Jak każdy prawdziwy szpieg.

Gdy dotarliśmy na miejsce, było już zupełnie widno. Kazaliśmy wóźnicy zatrzymać karetę w pewnej odległości od willi, żeby nie dostrzegł nas nikt z personelu.

Atto był wyczerpany. Zaprowadziliśmy go z Buvatem do pokoju, podtrzymując pod ręce. Służący, przyzwyczajeni do naszych częstych wypraw, nie zwracali na nas uwagi.

Opat Melani położył się na łóżku i zamknął oczy, starając się zasnąć. Już miałem wychodzić, kiedy zauważyłem, że zmarszczył nos, jak zawsze, gdy poczuł nieprzyjemny zapach. Jednocześnie dostrzegłem, że zasłona przy oknie poruszyła się. Spod niej wystawały buty.

To się nigdy nie skończy - pomyślałem z lękiem. Intruz nie poruszył się, oczekując naszej reakcji. Wszyscy trzej zdrętwieliśmy ze strachu, zastanawiając się, co uczyni.

- Pokaż się, kimkolwiek jesteś! - powiedział opat, wyciągając pi stolet.

Cisza.

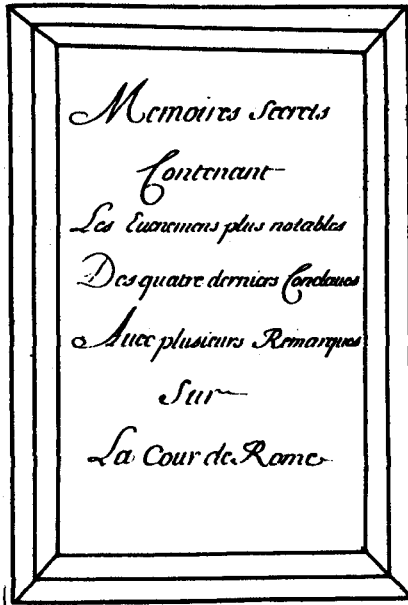
- Pragnę przekazawszy waszej stanowczości ten skromny dowodzik mojego najszczerzego oddania - usłyszeliśmy bełkotliwy głos.

Zza zasłony wysunęła się ręka z mocno sfatygowaną książką, jakby przejechały po niej koła stu karet.

- Mój traktat! - zawołał Atto, chwytając za fałdy zasłony.

Ugonio wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle. Nie tracąc czasu na zbędne grzeczności, wyjaśnił nam, że w zamieszaniu po wybuchu petardy zwanej ognistym młynkiem, którą Buvat zapalił tuż przed opuszczeniem amfiteatru, zdołał wymknąć się cerretanom. Gdy znalazł się na zewnątrz, unikał głównej drogi i dlatego go nie spotkaliśmy. Aby jak najszybciej wrócić do Rzymu, ukraść konia ze stajni, ryzykując, że zastrzeli go właściciel, który puścił się za nim w pogoń na grzbiecie młodej klaczy, uzbrojony po zęby. Po tych wszystkich perypetiach Ugonio przyszedł oddać traktat i odebrać zasłużoną zapłatę.

Opat Melani nie zwracał uwagi na łowcę relikwii, obracając w dłoniach odzyskane dzieło. Był wyraźnie wzruszony. Otworzył książkę, więc mogłem w końcu przeczytać kartę tytułową traktatu, dla którego narażałem życie:



Atto z dumą odczytał tytuł swojej pracy:

- Tajny pamiętnik zawierający opis najważniejszych wydarzeń z okresu czterech ostatnich konklawe oraz uwagi na temat dworu rzymskiego.

- Przybywszy tu czym prędzej po ostatnią część zapłaty - powtórzył Ugonio, masując sobie ramię. Miał zabandażowaną dłoń i ślady zakrzepłej krwi na twarzy.

- Co ci się stało? - zapytał Atto, odrywając wzrok od swego ukochanego dzieła. Nie mógł uwierzyć, że zręczny Ugonio o mało nie dał się złapać w chwili, gdy wykradał cerretanom traktat.

- Nic takiego, to drobiazg.

Wymijająca odpowiedź Ugonia wytrąciła opata z równowagi.

- Co to ma znaczyć? Dałem ci tyle pieniędzy, a ty o mały włos nie straciłeś mojego dzieła. I ty to nazywasz drobiazgiem?! - zawołał.

Poszukiwacz relikwii zamilkł zakłopotany. Jego rany były najlepszym dowodem, że coś poszło nie tak. Musiał więc udzielić opatowi wyjaśnień, ale uczynił to na swój sposób, używając barwnych, dziwacznych wyrażań.

Wielki Legat Drehmannius miał na szyi łańcuszek z bardzo ciekawą

relikwią - drewniany krzyżyk zawierający ząb, w którym Ugonio bez cienia wątpliwości rozpoznał siekacz holenderskiego świętego Leobina.

- Kogo to obchodzi! Nie byłeś tam po to, żeby... - przerwał mu Atto, ale natychmiast zamilkł. W jego oczach pojawiły się złe błyski. - Mów dalej!

Stosując niedopowiedzenia i półsłówka, Ugonio wszystko wyznał. Mimo że z narażeniem życia wykrał traktat Atta z torby Wielkiego Legata, nie mógł oprzeć się pokusie. Z kocią zwinnością przysunął się do intrologatora i szepnął mu do ucha kilka banałów. Wokół panowało jeszcze zamieszanie wywołane wybuchami fajerwerków, skutkiem których w amfiteatrze huczało jak w ulu. Ugonio jedną ręką zręcznie odwiązał łańcuszek z szyi Holendra, a jednocześnie udał, że traci równowagę i oparł się o niego całym ciałem („niezwykle skuteczny, wart polecenia sposób” - zauważył Ugonio z wyraźnym zadowoleniem), żeby ofiara nie poczuła, iż jest okradana. Kiedy krzyżyk zsunął się po brzuchu Wielkiego Legata, Ugonio schwycił go i wsunął do kieszeni.

- Spodziewałem się tego - mruknął Atto, z trudem hamując złość.

Obaj z Melanim dobrze wiedzieliśmy, że łowcy relikwii kradli i sprzedawali wszystko, ale ich główną namiętnością było poszukiwanie świętych szczątków, prawdziwych lub fałszywych, bez różnicy (o tej niezdrowej pasji mieliśmy okazję się przekonać siedemnaście lat temu). Niestety, zachłanność łowców relikwii często dawała o sobie znać w najmniej odpowiednim momencie, kiedy gra szła o wyższą stawkę, co źle się dla nich kończyło. Ugonio został szybko ukarany za swoją chciwość, jak sam wyznał, ze wstydu zniżając głos.

Po kilku minutach Wielki Legat, drapiąc się w brudną pierś, zauważył, że skradziono mu ząb świętego Leobina. Zorientował się też, że z torby zniknął traktat o konklawe. Właśnie dlatego Ugonio musiał czym prędzej czmychać, co udało mu się tylko dzięki własnej desperacji i petardzie wystrzelonej przez Buvata.

- Drehmannius to tępak i naiwniak - podsumował Ugonio, wybuchając skrzekliwym śmiechem.

- Głupcze! - wrzasnął Atto. - Zapłaciłem ci, żebyś odzyskał traktat, a nie uganiał się za tymi swoimi śmieciami!

Oskarżony zamilkł, robiąc niewinną minę, pod którą kryła się (byłem tego pewien) nieodparta, niepohamowana żądza posiadania, typowa dla ludzi prymitywnych.

- Chciałbym zadać ci tylko jedno pytanie: co zrobiłeś ze skradzioną

relikwią? - wtrąciłem, przerażony, a zarazem rozbawiony chciwością Ugonia.

Łowca relikwii, niczym wieśniak, który wyciąga z klatki najlepszego królika, żeby pokazać go kupującemu, błyskawicznie wyjął spod płaszcza małe pudełeczko z siekaczem świętego Leobina.

- Cerretanie na pewno szukawszy mnie teraz - powiedział z nutą niepokoju w głosie. - Muszę w te pędy zmykać. Chyba wyjadę do Wiednia.

- Wracasz do Wiednia? - zdziwił się Atto, wsuwając do zdrowej dłoni Ugonia sakiewkę z pieniędzmi.

Łowca relikwii obejrzał jej zawartość, chrząkając z zadowolenia.

Wiedzieliśmy, że Ugonio urodził się w stolicy cesarstwa, dlatego mówił tak dziwnie po włosku. Nigdy jednak nie przypuszczalibyśmy, że z obawy przed cerretanami skłonny był wrócić do ojczyzny.

- Mam nadzieję, że po tegorocznym jubileuszu nie zabraknie ci środków do życia - zauważył Atto.

Ugonio uśmiechnął się zadowolony, mówiąc:

- Dochody jubileuszowe by wystarczyły. Zaszję się w jakimś spokojnym miejscu, tam wszystkiego nie przepuściwszy.

Opat Melani sprawiał wrażenie zadowolonego.

- A może zatrzymasz się na jakiś czas w Królestwie Neapolu, niedaleko stąd, a kiedy sprawa ucichnie, wrócisz do Rzymu?

- Cerretanie są bezlitośni, mściwi i pamiętliwi - odparł Ugonio, szykując się do wyjścia przez okno, którym zapewne wszedł. - Na szczęście zdobywszy to, co ich interesowało. - To mówiąc, wskazał palcem traktat, który Atto trzymał w dłoni.

Kiedy łowca relikwii zniknął nam z oczu (czy jeszcze kiedyś go zobaczę?), zauważyłem, że książka nie ma okładki. Przypomniało mi się, że kiedy Ugonio wyrывał się z rąk cerretan, traktat uległ poważnym uszkodzeniom.

Cerretanie dopięli swego i odzyskali klucz do nowej wersji swojego języka.

# Dzień dziesiąty

*16 lipca 1700 roku*

Nazajutrz Melani przysłał po mnie Buvata. W nocy przespałem się kilka godzin. Śnił mi się pobyt w Albano, przyjazd pani konstablowej, Atto, stary Arcychrześcijański Król, który nigdy nie zapomniał swojej Marii, przede wszystkim zaś tertrachion, o którym zacząłem rozmyślać po przebudzeniu.

Sekretarz Melaniego przyniósł mi piękne nowe ubranie i parę wyglansowanych butów. Pod koniec pobytu w willi Spada opat chciał zrealizować swoje pragnienie i ujrzeć mnie w eleganckim stroju. Domyślałem się, dlaczego.

Umyłem się, ubrałem i starannie się uczesałem, przewiązując włosy niebieską wstążką dołączoną do przesyłki.

- Proszę, proszę! - powiedziała Clordia, uważnie mi się przyglądając. - Co za elegancja! Twój opat jest bardzo szczodry. Miejmy nadzieję, że da naszym córkom obiecane posagi.

- Dzisiaj po południu idziemy do notariusza - powiedziałem.

- Nareszcie! Zasłużyłeś sobie na te pieniądze.

Kiedy dotarłem do Atta, nie wydawał się ani trochę zmęczony nocną wyprawą. Pograżył się w takiej samej apatii, jaka ogarnęła go poprzedniego popołudnia. Z jedną różnicą - tym razem był ubrany. Miał na sobie jasnofioletową sutannę i czerwony kaptur kardynała, podobnie jak siedemnaście lat temu oraz w dniu naszego ponownego spotkania w willi Spada. Strój opata, choć czysty i uprasowany, był niemodny i staroświecki.

Ale to nie miało znaczenia - pomyślałem - bo czyż opat nie szykował się na spotkanie z przeszłością? Byłem wdzięczny Melanieniu, że na spo-

tkanie z Marią założył to samo ubranie, które miał na sobie, kiedy odnalazł mnie w ogrodzie kardynała Spady. Jedyнным przejawem próżności opata były francuskie perfumy, wypełniające swym zapachem cały pokój.

Atto siedział przy biurku. Przystawiał lakową pieczęć do czerwonej wstążki owiniętej wokół zrolowanego listu. Drżały mu stare ręce, z wyraźnym trudem zapieczętował korespondencję.

Na zewnątrz panował upał, powietrze było duszne. Przez okno docierał śpiew ludzi idących w procesji. Ulicami Zatybrza przechodził pochód arcybiskupów, zmierzający do kościoła Madonna del Carmine.

Na mój widok Melani westchnął. Poczul się zmęczony na samą myśl o opuszczeniu pokoju, jak to czasem bywa, kiedy nie czujemy się na siłach, by spełnić powierzone nam zadanie lub oczekiwania innych osób. Nie przywitał się ze mną.

- Zapowiedziałem się na dzisiejsze przedpołudnie. Mamy się tam stawić za pół godziny - oznajmił krótko.

- Tam, to znaczy gdzie?

- W klasztorze przy Campo Marzio.

- Dlaczego nie nocowała tutaj, w willi?

- Jak mi doniesiono, uznała, że nie wypada. Uroczystości weselne skończyły się, kardynał Spada zajęty jest teraz czym innym.

Przed pałacem czekała na nas karetka. Kiedy ruszyliśmy, opat patrzył na oddalającą się willę. Zastanawiałem się, o czym myśli. Przyjęcie dobiegło końca, cerretanie należeli już do przeszłości, powracaliśmy do normalnego życia. Po spotkaniu z panią konstablową powróci zapewne do swojej samotnej walki, będzie się starał wpłynąć na przebieg nadchodzącego konklawe. Jednocześnie opat zdawał sobie sprawę, że czas nieubłaganie przemija, siedzenie w karecie stało się jakby twardsze, o wiele mniej wygodne niż przed laty, kiedy młody, utalentowany kastrat, protegowany wielkiego księcia Toskanii, przybył do Rzymu, by wziąć udział w wielkiej uczcie muzyki, polityki, intryg, a może też przyszłej sławy.

Za kilka miesięcy, podczas konklawe, przekona się, czy marzenia jego życia się spełnią. Za kilka minut natomiast miał się przekonać, czy wygasła miłość jego życia.

Kiedy karetka przejeżdżała obok „Okreću”, Atto odruchowo wychylił się przez okno. Spojrzał w górę. Byłem pewien, że pomyślał o Tetrachionie.

- Dlaczego Capitor, mówiąc „dwoje w jednym”, wskazała palcem berło Neptuna, czyli trójżab? - zapytałem, budząc opata z zamyślenia.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- O co ci chodzi? - powiedział, marszcząc brwi.

- Może miała na myśli, że postacie dwóch bóstw wiązały się z tym samym berłem?

- Jaki to ma sens? - rzekł oschle Atto, denerwując się, że po raz pierwszy nie nadaża za biegiem moich myśli. Nie wiedział, że pytanie to zadawałem sobie setki razy.

- Pamięta pan, co powiedziała Cloridii pokojówka z ambasady Hiszpanii? Że Tetrachion jest dziedzicem hiszpańskiej Korony. A co symbolizuje trójżab Neptuna? Koronę Hiszpanii, panią oceanu i dwóch kontynentów. Być może to właśnie chciała powiedzieć Capitor.

- Nadal nie rozumiem.

- Według mnie - ciągnąłem, z trudem formułując myśli, które mąciły mi się w głowie - wariacie chodziło o to, że bliźniaki podobne do Tetrachiona były prawowitymi następcami tronu hiszpańskiego. Tym samym udzieliła przestrogi Mazzariniemu.

- Mazzariniemu?! - wykrzyknął Melani, tracąc cierpliwość. - Co ci jest, chłopcze? Chyba oszalałeś?

Mówiłem dalej, nie bacząc na słowa opata.

- Capitor powiedziała, że ten, kto odbierze Koronie hiszpańskiej jej dzieci, zostanie ukarany. Może więc... - zawahałem się - dzieci to Tetrachion, którego na rozkaz kardynała porwano i wywieziono z Hiszpanii. Być może właśnie jego widzieliśmy w „Okręcie”.

Opat wybuchnął śmiechem.

- Jego Eminencja kazał porwać monstrum i umieścić w wieży „Okrętu”... Niezły pomysł, nadaje się na temat powieści łotrzykowskiej. Zwariowałaś? Dlaczego miałby to, do licha, uczynić? Żeby je ugotować i podać z marchewką i oliwkami? Może też posypać oregano, jako że Mazzarini był Sycylijczykiem?

- Uczynił to, bo Tetrachion jest następcą tronu Hiszpanii.

- Dostałeś udaru słonecznego? Zaszkodziła ci wyprawa do Albano? - spytał opat, poważniejąc.

- Wszystko starannie przemyślałem. Sam mi pan powiedział, że Mazzarini, zanim wysłuchał przepowiedni Capitor, chciał nakłonić Filipa IV do zawarcia pokoju na warunkach korzystnych dla Francji. Czym pan to tłumaczy? Powiedział pan też, że kardynał nie miał zamiaru żenić Arcy-

chrześcijańskiego Króla z infantką, przeciwnie, zgadzał się na jego romans z Marią.

Atto słuchał mnie z kamienną twarzą.

- Być może Mazzarini miał atut, straszliwy sekret w postaci Tetrachiona, zrodzonego z zepsutej krwi hiszpańskich Habsburgów. Wszystkie dzieci z prawego łóża Filipa IV umarły, z wyjątkiem bliźniaków.

- Chcesz powiedzieć, że Tetrachion urodził się Filipowi IV wcześniej niż Karol II? - spytał Melani obojętnym głosem.

- Był to chyba mniej poważny przypadek, jak powiedziała Cloridia, bliźniąt zrośniętych nogą - ciągnąłem. - Nie można ich było rozdzielić w wieku dziecięcym, ale zapewne było to możliwe później. Krótko mówiąc, następca, a raczej następcy tronu istnieli. Mazzarini kazał ich porwać, żeby mieć argument w negocjacjach pokojowych. Ale wtedy pojawiła się Capitor ze swoją przepowiednią o Pannie i Koronie, kardynał zląkł się i za wszelką cenę starał się rozdzielić młodego Ludwika i Marię. Tetrachion nie był mu już potrzebny, więc wysłał go do Elpidia Benedettogo...

- Stop! Popełniłeś poważny błąd logiczny - przerwał mi opat. - Jeśli, jak twierdzisz, Capitor chciała powiedzieć Mazzariniemu, że zostanie ukarany za porwanie Tetrachiona, przerażony kardynał powinien był czym prędzej zwrócić bliźnięta Filipowi IV. Tymczasem wysłał je do Rzymu. Dlaczego?

- Bo nie zrozumiał.

- Czego?

- Sam pan mówił, że Mazzariniemu bardzo spodobała się taca ze statuetkami Neptuna i Amfitryty, w których dopatrywał się siebie i królowej Anny. Trójząb uznał za symbol Korony francuskiej albo hiszpańskiej, władczyni oceanu i dwóch kontynentów, wycieńczonej wojną, teraz w rękach kardynała. Ta druga interpretacja bardziej odpowiadała Mazzariniemu. Kiedy Capitor groziła osobie, która „pobawiła Hiszpanię jej dzieci”, kardynał sądził, że chodzi jej o Filipa IV. Nie domyślił się, że szalona wieszczka zwracała się do niego.

- Gratuluję ci wyobraźni. Chyba jednak ździebko przesadziłeś - kpił Melani.

- Gdyby Mazzarini nie kazał porwać bliźniąt - ciągnąłem, nie zważając na drwiny opata - dzisiaj Francja nie mogłaby niczego oczekiwać po hiszpańskiej sukcesji. Bliźnięta, choć zrośnięte, w przeciwieństwie do Karola II, mogły wydać potomka. Czyż legenda o trójgłowym królu Ge-



reonie nie powstała właśnie w Hiszpanii? Jak powiedziała Cloridia, nawiązuje ona zapewne do potworkowatych trojaczek spłodzonych przez któregoś z przodków Karola II. Wszystko wskazuje na to, że tetrachion nie jest w Hiszpanii przypadkiem odosobnionym.

- Twoim zdaniem Elpidio Benedetti najpierw ukrył nieszczęsne dzieci w nieznanym miejscu, a potem umieścił w „Okręcie”, gdy go wybudował - podsumował opat.

- Nie bez powodu Mazzarini dał mu na przechowanie trzy podarunki oraz obraz z przedstawieniem tych przedmiotów - powiedziałem poważnym tonem.

- Zatem w „Okręcie”, oprócz zjaw Marii, króla i Fouqueta, obrazu ukazującego trzy podarki i papugę, jak jej tam? - Cezar August - widzieliśmy również Tetrachiona. Niezły kram, „Okreł”, powinien się nazywać „Groch z Kapustą”, cha, cha, cha! - zaśmiał się Melani.

Opat zanosił się od śmiechu przez dłuższą chwilę. Nie żywiłem do niego urazy. Dobrze wiedział, że moje słowa nie były niedorzeczne. Cieszyłem się, że choć raz mogę uchodzić za mistrza, a opat za mojego ucznia.

- Zapominasz o jednym - oznajmił po chwili. - Tetrachion, którego widzieliśmy tam, na górze, był naszym odbiciem w krzywym lustrze.

- Tym razem tak. Nawiasem mówiąc, sami sprawialiśmy wrażenie potworów - odparłem spokojnie.

Moje słowa zaniepokoiły Melaniego.

- Chcesz powiedzieć, że poprzednio widzieliśmy zniekształcone odbicie bliźniąt?

- Sądzi pan, że to niemożliwe? - odparowałem z przekąsem. - Jak mieliśmy okazję się przekonać, lustra odbijają się jedno od drugiego. Mogliśmy zatem zobaczyć odbicie bliźniąt stojących niedaleko nas, które zlało się z obrazem naszych postaci w lustrze. Okropny widok tak nas przestraszył, że czym prędzej stamtąd czmychnęliśmy.

Opat Melani nerwowo bębnił palcami po gałce u swojej laski.

- Dlaczego nie chce pan przyznać mi racji? Nie ma w tym żadnej magii, tylko kombinacja zasad optyki i wiedzy o potworkach zawartej w podręcznikach położnictwa. Poza tym bliźnięta, które widzieliśmy, miały charakterystyczny podbródek Habsburgów.

- Co się z nimi mogło stać? W „Okręcie” nie ma po nich śladu.

- Kiedy odkryliśmy tajemnicę krzywych lusterek, przestaliśmy szukać bliźniąt. I popełniliśmy błąd. Siedemnaście lat temu sam mnie pan uczył,

że jeśli jakiś szczegół wydaje się nieuzasadniony, nie należy przekreślać całej hipotezy. Podobnie fałszywy dokument może stwierdzać prawdę. Trzeba więc uważać, aby -jak to się mówi - nie wylać dziecka z kąpielą. A my tak właśnie postąpiliśmy.

- Posłuchaj zatem - powiedział opat urażony. - Wróćmy na chwilę do tego, o czym napomknąłem ci wczoraj. Capitor powiedziała: „Kto pozbawi Koronę hiszpańską jej dzieci, temu Korona hiszpańska odplaci tym samym”. Według mnie to nie ma sensu. Mazzarini nigdy nie miał dzieci, a jego siostrzeńcy zapewni mu tylu potomków, że imię kardynała przetrwa wieki. Wiesz, co myślę? Że to wszystko jest zbyt skomplikowane, by mogło być prawdziwe. Cieszę się, że wpoilem ci zasadę: nie ufaj pozorom i nie stawiaj hipotez, gdy brakuje danych. Istnieją pewne granice, mój chłopcze. Szalona Capitor plotła coś bez sensu, a teraz i my tracimy rozum.

- Proszę się jednak zastanowić...

- Dość już tych bzdur! Jestem zmęczony.

Atto wyglądał przez okno karety. Patrzył na Janikulum, wille w zielonych ogrodach, gęste korony drzew, na kopułę Bazyliki Świętego Piotra i wieże kościołów - symbole chrześcijaństwa i wiecznotrwałej władzy Kościoła.

Żałowałem, że Atto nie podzielał mojego zdania. Przeciwnie, odniósł się do niego sceptycznie, po czym mnie wyśmiał i zakończył rozmowę, zaprzeczając swoim własnym naukom sprzed lat. Nie rozumiałem, czy kierowała nim zawiść, czy naprawdę myślał, że moje spostrzeżenia to kompletne bzdury. Może miał rację? Tylko jedna osoba mogła to wiedzieć.

Dotarliśmy na miejsce, woźnica zatrzymał konie. Wskoczyłem z karety, podszedłem do niej z drugiej strony i pomogłem wysiąść opatowi.

Ostatni odcinek drogi pokonaliśmy pieszo. Stanąwszy przed klasztorem, przyjrzelśmy się jego fasadzie. Zastaniając oczy od słońca, Atto spojrział w stronę okien pokoi na najwyższym piętrze, które zajmują zazwyczaj goście pragnący zachować incognito. Może za jednym z nich była ona?

Melani stał nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w okno, jakby przybył do klasztoru tylko po to, żeby mu się przyjrzeć.

- Będzie pan musiał wejść po schodach - powiedziałem, pragnąc przerwać milczenie.

Melani nie odpowiedział. Odruchowo wyciągnąłem do niego ramię, ofiarując pomoc, jakbym chciał przynaglić go do zapukania w bramę. Opat zawahał się, po czym podał mi zrolowany, zapieczętowany list.

- Zanieś jej to.

- Ja? Ona czeka na pana, macie sobie tyle do powiedzenia...

Atto odwrócił głowę.

- Odpocznę chwilę - powiedział, siadając na drewnianej ławce.

- Dlaczego...? Źle się pan czuje?! - zawołałem.

- Ależ nie, wszystko w porządku. Wolałbym, żebyś sam do niej poszedł.

Zmieszałem się.

- Nie wejdzie pan na górę?

- Nie wiem - odparł Atto.

- Ona nie zrozumie.

- Idź już, chłopcze! Może przyjdę trochę później.

- Co ja jej powiem? Że jest pan staroświecki?

Opat uśmiechnął się.

- Powiedz, że jestem staroświecki.

Nie potrafiłem ukryć zdumienia. Opat zamknął moje palce wokół listu.

- Popęlnia pan błąd - zaprotestowałem nieśmiało. - W dodatku...

Umilkłem, bo Melani mnie nie słuchał. W tej samej chwili uchyliła się klasztorna brama (nie wiadomo, czy był to zbieg okoliczności, czy zakonnice nas obserwowały). Mniszka wychyliła głowę i spojrzała na mnie pytająco. Czekala, aż do niej podejść.

Popatrzyłem na Atta. Pomachał mi z ławki na pożegnanie. Wszedłem do środka. Siostrzyczka zamknęła za mną bramę.

Znalazłem się w korytarzu wypełnionym charakterystyczną atmosferą żeńskich klasztorów i modlitwami nowicjuszek. Szedłem za moją przewodniczką po schodach, schodkach i korytarzach. Zatrzymaliśmy się pod drzwiami jednego z pokoi. Zakonnica zapukała, nacisnęła klamkę i zajrzała do środka. Odpowiedział jej kobiecy głos.

- Proszę chwilę zaczekać - powiedziała mniszka. - Proszę tu usiąść

i za chwilę ponownie zapukać. Ja, niestety, muszę biec do siostry przełożonej.

Jaka była treść listu, który trzymałem w dłoni? Zawierał wiadomość od Atta czy od Ludwika, króla Francji?...

Kilka dni temu Melani napisał Marii, że gdy się spotkają, przekaże jej coś, co sprawi, że zmieni zdanie o szczęściu króla. O co dokładnie chodziło? Odpowiedź była w tym liście.

Miałem niewiele czasu, ale już podjąłem decyzję. Pieczęć Atta była źle przystawiona, odstawała od kartki. Za chwilę nastąpi ostatnia odsłona dramatu i wyjaśni się tajemnica trojga starych osób.

Rozwinąłem rulon. Zacząłem czytać, nie wierząc własnym oczom.

Po kilku chwilach zapukałem do drzwi. Byłem w pogodnym nastroju, myślałem trzeźwo jak nigdy.

- Proszę wejść - powiedział uprzejmie kobiecy głos, dojrzały, łagodny i zycielwy. Taki jak sobie wyobrażałem. Wszedłem do pokoju.

Przedstawiłem się, doręczyłem list, wytłumaczyłem nieobecność Atta. Pani konstablowa udawa, że mi wierzy. W jej słowach nie wyczułem wymówki, raczej żal, że nie doszło do spotkania. Ukłoniłem się, zamierzając wyjść, ale zreflektowałem się. Pomyślałem, że nie mam nic do stracenia. Chciałem ją o coś spytać, co nie miało związku z treścią listu, która w moim odczuciu nie potrzebowała wyjaśnień.

Tetrachion. Może będzie zaskoczona, ale na pewno nie wyrzuci mnie za drzwi. Pomyśli, że działałam, mówię i słucham w imieniu Atta.

Sformułowałem więc pytanie - konkretnie, bez zbędnych ozdóbek, ponieważ miałem niewiele czasu. Zależało mi na uzyskaniu odpowiedzi, bo tylko pani konstablowa znała prawdę.

Słuchając mnie, Maria nawet nie mrugnęła okiem. Siedziała w fotelu i patrzyła w okno. Nie wtrąciła żadnego słowa komentarza, nie uczyniła żadnego gestu. Milczała, ale ta cisza mówiła więcej niż tysiąc słów. Była potwierdzeniem, że się nie myliłem. Być może wyraziłem się nieco

niezgrabnie, ale mówiłem prawdę, której nikt nie znał lepiej od Marii. Gdyby w grę wchodziły czyste fantazje lub gdyby ona o niczym nie wiedziała, poprosiłaby mnie, co najwyżej, żebym wyszedł. Tymczasem wysłuchała wszystkiego w ciszy, trwając w bezruchu. Maria doskonale wiedziała, że mówię o zatajonym epizodzie, który unicestwił jej marzenie o szczęściu i skazał na tułaczkę. Jej milczenie stanowiło najlepszy, a zarazem najostrożniejszy sposób wyrażenia zgody, zachęcało mnie do mówienia.

Zamilkłem. Maria nie odezwała się, nadal patrzyła w okno, jakby była w pokoju sama. Nie miałem nic do dodania. Ukloniłem się na pożegnanie, nie mówiąc słowa. Rozstaliśmy się w ciszy, jak osoby, które doskonale wiedzą, że już nigdy się nie spotkają.

Zgodnie z moimi przewidywaniami przed klasztorem nikt na mnie nie czekał - ani opat, ani woźnica z karetą. Nie zdziwiłem się, bo wiedziałem już, na czym polega ta gra.

Idąc do willi Spada, rozmyślałem o spotkaniu z Marią Mancini i o liście, który jej doręczyłem. Była to jedna biała kartka. Pośrodku widniały trzy słowa, napisane pochyłym, swobodnym pismem:

*yo el Rey*

Ponieważ Katolickiego Króla Hiszpanii nie było w Rzymie, nawet głupiec domyśliłby się, że był to fałszywy podpis, złożony na białej kartce *in blanco*, pod nieistniejącym dokumentem. A skoro Karol II umierał, chodziło zapewne o jego testament.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym lepszy miałem humor. Atto wpłatał mnie w niezłą aferę, nie ma co! W dodatku bez uprzedzenia. Poczułem się jak skończony idiota, bo niczego się nie domyśliłem...

W swoim testamencie Karol II miał wskazać następcę tronu największego królestwa na świecie, na którego czekała cała Europa.

Pod pretekstem ślubu siostrzeńca Spada ściągnął do Rzymu Atta i Marię. Melani przywiózł ze sobą wytrawnego fałszerza wyspecjalizowanego w podrabianiu podpisów. Jakich słów użył opat, kiedy przedstawił mi *Buvata*? „Najlepiej radzi sobie z pisaniem. Nie tak jak ty, ty bowiem two-

rżysz, on kopiuje. I czyni to wyśmienicie. Pod tym względem nikt mu nie dorówna". Pomyślałem wówczas, że Melani chwalił swojego sekretarza za umiejętność przepisywania listów. Tymczasem chodziło o coś innego. W przebłysku pamięci przypomniałem sobie, że przed siedemnastu laty opat wspomniał o swoim sekretarzu, mówiąc: „To niezwykle utalentowany kopista, potrafi podrobić mój podpis. Zawsze mogę na niego liczyć. Kiedy wyjeżdżam potajemnie z Paryża, prowadzi za mnie korespondencję”.

Teraz rozumiałem, co zawierały dobrze ukryte kartki sekretarza Atta. Te dziwne litery *e, l, R, o, y*, które w pierwszej chwili uznałem za ćwiczenia kaligraficzne, były próbami fałszerstwa. Buvat wprawiał się w podrabianiu podpisu Karola II, pisząc pięć razy podpis *yo el Rey*. Zachował te próbki, ponieważ chciał je porównać z autentycznymi autografami Katolickiego Króla i wybrać najlepszą wersję.

Doszedłbym prawdy, gdybym umieścił litery w odpowiedniej kolejności. Stało się dla mnie jasne, że Atto ukrywał fragmenty trzech listów króla Hiszpanii w swojej peruce, aby posłużyły za wzór Buvatowi. Wiedziony ostrożnością, nie powierzył ich sekretarzowi.

Snułem dalej rozważania. Zadaniem Marii było przewiezienie fałszywego podpisu do Hiszpanii, gdzie posłużono by się nim w odpowiednim momencie - gdy umierający Karol II będzie dyktował swój testament, użyje się pustej kartki z podpisem króla podrobionym przez Buvata. Niezapisaną część kartki miała zająć końcowa część dokumentu, w której wymienione zostanie imię następcy tronu - Francuza.

Oto dlaczego Atto nigdy nie rozmawiał ze mną o hiszpańskiej sukcesji, mydląc mi oczy kwestią konklawe! Tylko taki ciężki idiota jak ja nie wpadłby na to, z jakiego powodu opat zadawał sobie tyle trudu.

Zatem oczekiwanie Marii było tylko komedią? Przesłodzone liściki, w których pisał, że nie może się na nią doczekać, były jedynie sprytną inscenizacją.

Wszystko zostało doskonale zaplanowane, wzorem najwytrawniejszych szpiegów. Pani konstablowa miała dotrzeć na uroczystości możliwie jak najpóźniej i odebrać od Atta sfalszowany podpis. Nie mogła wziąć udziału w weselu, gdyż obecność słynnej Marii Mancini, siostrzenicy Mazzariniego przybyłej z Madrytu, wzbudziłaby podejrzenia o antyhiszpański spisek.

W celu przekazania Marii kartki z podrobionym podpisem króla Karola II posłużono się niżej podpisanym. Jakaż to wygoda! Atto nie musiał

nawet brudzić sobie rąk. Od początku wiedział, że nie spotka się z panią konstablową. Oszukiwał do ostatniej chwili, wmawiając mi, że po trzydziestu latach rozłąki nie czuje się na siłach z nią zobaczyć.

Kradzież traktatu Melaniego stanowiła jedynie komplikację, która wystraszyła opata i pokrzyżowała nieco jego plany. Po wyjaśnieniu nieporozumienia i odebraniu dzieła z rąk cerretan (dzięki mojej pomocy!) Atto mógł spokojnie zakończyć swoją misję.

Byłem taki wściekły, że szedłem szybko, jakby mnie ktoś gonił. Gdy dotarłem do willi Spada, domyślałem się, co mnie czeka.

Poszedłem do pokoju Arta. Drzwi były otwarte, więc wszedłem do środka. Na łóżku leżały jakieś ubrania, a na otomanie kilka zapisanych kartek i wyschnięty kałamarz. Wygląd pokoju doskonale oddawał mój nastrój.

Atto i Buvat wyjechali.

Starając się ukryć złość i rozczarowanie, przeprowadziłem małe śledztwo wśród służących. Dowiedziałem się, że opat i jego sekretarz opuścili willę w pośpiechu. Cel podróży - Paryż. Zabrali ze sobą prowiant. Atto zostawił list z podziękowaniami, który don Paschatio miał przekazać kardynałowi Spadzie.

Teraz zrozumiałem, dlaczego Melani ubrał się tego ranka w sutannę z kapturem - był to jego strój podróżny! Wyjechali jakiś czas temu. Spakowali się bardzo szybko, jak ogarnięci paniką uchodźcy. To nie był wyjazd - to była ucieczka.

Ale przed czym? Na pewno nie przed cerretanami. Atto nie bał się rzeczy, które znał i doświadczył na własnej skórze. Nie uciekali też przed domniemanymi zagrożeniami natury politycznej. Nie było innego wytłumaczenia - czmychnęli przede mną. Oczywiście nie dlatego, że się mnie bali. Z chwilą gdy wykonałem wszystko, na czym im zależało, pragnęli uniknąć spotkania ze mną. Obawiali się, że odkryłem prawdę, i nie chcieli tłumaczyć się ze swoich kłamstw i podstępów.

Atto odnalazł mnie po siedemnastu latach, proponując, bym dla niego pracował jako kronikarz wydarzeń związanych ze zbliżającym się konklawe. Później jednak nie udzielił mi żadnych wskazówek, nie przejawiał też zainteresowania tematem.

Relacjonowanie wydarzeń w willi Spada było tylko zwykłym pretekstem. Melanieniu chodziło o to, bym obserwował, słuchał i opowiadał

o wszystkim, co mogło mu się przydać. Nieważne, czy później zapisywałem te relacje, czy nie. Co powiedział na początku? „Napiszesz dla mnie kronikę, w której uczciwie zrelacjonujesz wszystko, co zobaczysz i usłyszysz w najbliższych dniach, dodając to, co uznam za stosowne. Następnie przekażesz mi manuskrypt”. Uwierzyłem, że zostałem prawdziwym kronikarzem, tymczasem byłem tylko szpiegiem. Wyjechał, nie wyznaczwszy mi terminu dostarczenia dziennika.

Konklawe, o którym Melani na początku tyle mówił, zupełnie go nie interesowało. Byliśmy świadkami i uczestnikami przeróżnych zdarzeń, od perypetii z Cezarem Augustem po szaloną wspinaczkę na kopułę Bazyliki Świętego Piotra, od wypraw do „Okreću” po koszmar z cerretanami, którzy o mało nie rozszarpali nas na kawałki. Ale o konklawe prawie w ogóle nie rozmawialiśmy.

Wyszedłem na kompletnego durnia! - pomyślałem. Byłem na każde zawołanie opata, który manipulował mną bez żenady, dokładnie jak przed siedemnastu laty. Wskazał mi drogę, a sam poszedł inną.

Teraz jednak było inaczej. Teraz w grę wchodziła przyszłość moich córek. Kiedy chciałem wycofać się z jego niebezpiecznych gier, Atto zwiódł mnie obietnicą posagu, a ja dałem się nabrać i narażałem dla niego życie. Właśnie tego popołudnia mieliśmy iść do notariusza w sprawie darowizny. Ale chwileczkę! Miałem przecież kartkę z jego obietnicą.

Pobiegłem do domu tak szybko, jakby gonilo mnie tysiąc skorpionów. Chwyliłem kartkę, dosiadłem muła i popędziłem do miasta.

Obszedłem niemal wszystkich adwokatów i notariuszy, szukając pomocy. Na próżno! Wszyscy zadawali mi to samo pytanie: „Wie pan przynajmniej, czy ten opat ma jakiś majątek na terenie Państwa Kościelnego?” Kiedy zaprzeczałem, zgodnie odpowiadali: „Nawet jeśli wytoczyłby mu pan proces i wygrał, nie ma majątku, na którego hipotekę można by wpisać pański kredyt. Należałoby zatem uzyskać zgodę na wytoczenie procesu we Francji. To skomplikowana i kosztowna sprawa, mój panie, a przede wszystkim bardzo niepewna”.

Innymi słowy, nie miałem szans. Teraz, kiedy Atto był w drodze do Francji, jego pisemne zobowiązanie było bezużyteczne.

Kiedy wracałem do willi Spada, miałem ochotę obić się batem. Powiniennem był od razu pójść z opatem do notariusza albo przynajmniej nie czekać do ostatniej chwili. Tymczasem całą uwagę skupiłem na sprawach opata, byłem na każde jego zawołanie, zapominając o własnej rodzinie.



Co by było, gdybym zginął lub został kaleką? Cloridia nie zdołałaby sama utrzymać domu i dzieci. Nie mogłaby uczyć ich położnictwa. Skończyłyby się wieczory, kiedy uczyłem córki czytać i pisać, pokazywałem przepiękne książki, które zostawił mi w spadku mój świętej pamięci teść. Dziewczynki musiałyby zakasać rękawy i pracować jako pomywaczki w jakiejś brudnej karczmie, o ile oczywiście wspomniałomyślny don Paschatio nie znalazłby im pracy w willi Spada.

Byłem wściekły. Opat Melani oszukał mnie, uciekł, nie dotrzymał słowa. Ja również miałem ochotę uciekać, porzucić to miejsce, a nawet ten okrutny, kłamliwy kraj. Gdyby nie spoczywały na mnie obowiązki męża i ojca, pofrunąłbym w górę jak Dedal, a potem jeszcze wyżej, jak Ikar, z tą różnicą, że nie spadłbym na ziemię, tylko poszybował wysoko i zniknął w przestworzach.

Kiedy tak przeklinałem samego siebie, usłyszałem znajomy głos:

- Mistrzu Ptaszniku! Widział pan, jak podobało się wszystkim przyjęcie? Słyszał pan entuzjastyczne komentarze naszego pana, kardynała Spady?

Don Paschatio stał przy wejściu do pałacu. Pragnął podzielić się wrażeniami z przyjęcia, a także uświadomić mi, że gdyby opat Melani tak bardzo nie absorbował mnie swoimi sprawami, miałbym więcej czasu na pracę w willi i uroczystości wypadłyby jeszcze lepiej.

Nie miałem najmniejszej ochoty wysłuchiwać wymówek don Paschatia. Pragnąłem jak najszybciej uwolnić się od jego gadulstwa.

- Panie zarządczo! - odparłem stanowczym tonem. - Ponieważ ostatnio często byłem nieobecny, jestem pewien, że nie weźmie mi pan za złe, że panu przerwę i poproszę o wyznaczenie mi jakiegoś zadania, które bezzwłocznie wykonam.

Don Paschatio milczał przez chwilę, zaskoczony moją szybkością, zdecydowaną odpowiedzią.

- Hm, no tak... - wahał się - ...właśnie miałem pana prosić, żeby wyczyścił pan woliery i nakarmił ptaki.

- Doskonale! - powiedziałem i ruszyłem w stronę klatek. - Do usług, panie zarządczo!

Don Paschatio spojrział na mnie, w zamyśleniu drapiąc się w czoło, podczas gdy ja szybkim krokiem szedłem do kuchni po karmę dla ptaków i przybory do czyszczenia woliery.

Okazało się, że los zgotował mi kolejną niespodziankę. Gdy wszedłem do większej woliery, usłyszałem dziwny szelest. Spojrzałem w górę, na klatkę Cezara Augusta, która od dnia jego ucieczki była pusta. W jednej chwili dziwne wydarzenia ostatnich dni związane z papugą stały się dla mnie jasne.

Jak już mówiłem, zanim Cezar August zniknął z bilecikiem adresowanym do kardynała Albaniego, był bardzo rozdrażniony i smutny. Poza tym, z niewiadomych powodów, prznosił w szponach gałązki, czego nigdy wcześniej nie czynił. Podenerwowanie ptaka sięgnęło zenitu, kiedy ukraść bilecik i gdzieś zniknął. Po kilku dniach, podczas polowania, strzała wystrzelona z kuszy trafiła w gniazdo na sośnie, z którego wypadło jajko jakiegoś niezidentyfikowanego ptaka. Kiedy tak stałem ze wzrokiem utkwionym w klatkę, przypomniałem sobie, że w pobliskiej posiadłości Barberinich pojawiła się niedawno druga papuga, tego samego gatunku co Cezar August. Zaskakujący (ale słuszny) wniosek nasuwał się sam.

- Zwolnić go! Zwoolnić! - zaskrzeczał Cezar August, siedząc wygodnie w gnieździe z piór i gałązek.

- Ależ ty... jesteś... masz... - wyjąkałem.

Z wrażenia plątał mi się język. Ze zdumieniem stwierdziłem, że Cezar August był samicą. W dodatku z licznym potomstwem.

Stałem jak zahipnotyzowany, przyglądając się nowemu wcieleniu zaskakującej istoty, która w przeszłości należała do szalonej Capitor. Papuga przeżyła wiele lat, stając się niemym świadkiem ważnych wydarzeń. Widziała śmierć Mazzariniego, rządy Króla Słońce, sukcesję pięciu papieży. Teraz wkraczała triumfalnie w kolejne stulecie w nowej, wdzięcznej roli matki, wypełniając klatkę tym samym nieznośnym skrzekiem.

W pewnej chwili papuga podniosła się, troskliwie poprawiając dziobem jajka. Myśliwi, którzy oglądali jajko leżące pod sosną, byli na fałszywym tropie. Nie chodziło bowiem o jajko jaskółki, bażanta, gołębia czy kuropatwy, ale papugi.

- Diiiiing - zaskrzeczał Cezar August, naśladując odgłos strzały, która wbija się w gałąź.

Strzałę wypuścił markiz Lancellotti Ginnetti, skutkiem czego jajko Cezara Augusta wypadło z gniazda. Incydent zmusił papugę do powrotu do woliery w willi Spada.

- Wiem, wiem, to było dla ciebie straszne przeżycie - odparłem.
- Nie wolno strzelać do gniazd, to barbarzyństwo - powiedziała papuga, powtarzając słowo w słowo zdanie kawalera, którego oburzył czyn Ginnetiego.
- Markiz Lancellotti nie chciał cię skrzywdzić - tłumaczyłem. - Trudno było ci zapewne zbudować nowe gniazdo i przenieść jajka. Zapewniam cię, że to był wypadek, nie musiałaś naśladować wystrzału z rusznicy, który wszystkich wystraszył...
- Zwolnić go! - odparła krótko papuga, odwracając się ode mnie, po czym delikatnie przykryła skrzydłami białe kulki.

Don Paschatio i pracownicy willi nie uwierzyliby własnym oczom. Już sobie wyobrażałem, jak prześcigają się w wymyślaniu szlachetnego, antycznego imienia dla samicy: Liwia, Lukrecja, Poppea, a może Messalina? Od dawna znałem tego ptaka i zawsze traktowałem go jak samca. Teraz jednak miałem do czynienia z kłótniwą, krnąbrną, nieznośną damą ubraną w pióra. Czuję się winny, że wziąłem ją za samca. Usprawiedliwiało mnie jedynie to, że wykrycie płci u papugi to nie taka łatwa sprawa. Dopiero gdy zniesie jajka w gnieździe - wiadomo, że to samica.

Kiedy nieco ochłonąłem, powiedziałem:

- Założę się, że oprócz jajek przeniosłeś do gniazda coś innego, co powinieneś mi zwrócić.

Papuga nadal odwrócona była tyłem do mnie i udawała, że nie słyszy.

- Doskonale wiesz, o czym mówię - oznajmiłem stanowczym tonem.

Papuga szybko chwyciła coś w łapkę i wyrzuciła z gniazda, spełniając moją prośbę.

Bilecik kardynała Albaniego sfrunął w dół jak zwiędły liść, wykonał wdzięczny piruet i spoczął na mojej dłoni.

Był brudny, podarty i cuchnął ptasimi odchodami. Nie mogło być inaczej, skoro papuga najpierw go starannie przeżuła, a później wyścieliła nim gniazdo. Wracając do woliery, zabrała bilecik ze sobą.

Nerwowym ruchem rozłożyłem poźólką karteczkę. Zawierała trzy krótkie zdania, które jeszcze bardziej pogorszyły mi humor:

*Opinia gotowa.*

*Czwartek 15 w willi T., godzina do ustalenia.*

*Kopista i kurier powiadomieni.*

Opuściłem ramiona. To, co dla osób niewtajemniczonych mogło brzmieć zagadkowo, dla mnie było jasne jak słońce.

„Willa T.” to oczywiście willa del Torre, gdzie w czwartek 15 lipca dostrzegliśmy z tarasu „Okrętu” trzech kardynałów. Określenie „opinia gotowa” oznaczało dokument (który kopista miał przepisać na czysto, a kurier dostarczyć królowi Hiszpanii) zawierający imię następcy tronu, wskazane przez papieża.

Jak się dowiedziałem z podsłuchanych rozmów, w poniedziałek 12 lipca ambasador Hiszpanii Uzeda wraz z trzema kardynałami („cztery szczerwane lisy”) namówili papieża do powołania kongregacji złożonej z Albaniego, Spady i Spinoli. Papież powołał ją oficjalnie dwa dni później, 14 lipca. Tymczasem kardynałowie mieli gotową opinię w dniu, w którym papuga wykradła bilecik, czyli w sobotę 10 lipca!

Kardynałowie doskonale odegrali komedię. Król Hiszpanii był chodzącym trupem, a papież w ogóle się nie liczył. Między filiżanką czekolady a polowaniem na ptaki w willi Spada Albani, Spada i Spinola przesądzi o losach świata. Kongregacja powołana przez papieża była tylko przykrywką. Atto, szpieg króla Francji, śledził ich poczynania, a ja, niczego nieświadomy, pomagałem mu.

Przypomniałem sobie słowa Albicastra: „Świat to jedna wielka uczta, chłopcze, a zasada biesiadników brzmi: pij albo odejdz od stołu!”.

Czyżbym nie miał wyboru? Czy władza dana od Boga nie liczy się?

## *Jesień 1700 roku*

Od ucieczki Melaniego i jego sekretarza minęło półtora miesiąca. Przez cały ten czas odczuwałem nienawiść, wściekłość, niemoc. Każdej nocy dręczyło mnie uczucie poniżenia, obrażonej godności, frustracji. Co więcej, dostałem trzeciacki, na którą nie chorowałem od lat. Niewielką pociechą był przyjazd do willi Spada notariusza. Twierdził, że Atto zlecił mu sporządzenie aktu darowizny, ale później nie stawiał się na spotkanie w sprawie podpisu. Potwierdziło się moje przypuszczenie - Atto nie chciał złamać danego mi słowa, w ostatniej chwili górę wzięła chęć ucieczki.

Clordia szczerze mi współczuła. Mimo że postępek Atta sprawił jej głęboki zawód, wkrótce otrząsnęła się, a nawet żartowała na temat niedoszętego posagu dla naszych córek. Twierdziła, że Melani uczynił po prostu to, co przystoi prawdziwemu szpiegowi i zdrajcy.

Nigdy więcej nie wziąłem do ręki dziennika, za który zapłacił mi Atto. Prawdę mówiąc, opat również zupełnie się nim nie interesował. Postanowiłem, że te pieniądze przeznaczę na posag dla córek. Ale 27 września 1700 roku sięgnąłem po pióro z powodu wydarzenia o wiele poważniejszego od moich osobistych cierpień, pisząc krótki pamiętnik, który zamieszczam poniżej.

*27 września*

Nadeszła smutna chwila - Innocenty XII odszedł z tego świata.

Ostatniej sierpniowej nocy stan papieża pogorszył się na tyle, że odwołano konsystorz planowany na następny dzień. Czwartego września (jak dowiedziałem się z ulotek, które don Paschatio przeczytał na głos

całemu personelowi willi) nastąpiło polepszenie. Wstąpiła w nas nadzieja, że papież wyzdrowieje. Trzy dni później Innocenty XII znowu poczuł się gorzej, miał jednak na tyle silny organizm, że nie poddawał się chorobie. W nocy z 22 na 23 września przyjął komunię świętą, a 25 polecił, by przeniesiono go do komnaty, w której wydał ostatnie tchnienie wielbiony przez niego papież Innocenty XI.

Lekarz Luca Corsi, w niczym nieustępujący swojemu poprzednikowi Malpighiemu, uczynił wszystko, co w jego mocy, ale pomoc człowieka okazała się daremna. Duchowego wsparcia udzielił papieżowi brat kapucyn, który wysłuchał jego ostatniej spowiedzi.

*Ingredimur via universae carnis*, „Dzielimy los wszystkich śmiertelników” - powiedział Innocenty XII, a wszystkie zgromadzone wokół niego osoby wzruszyły się do łez.

Poprzedniej nocy papież poczuł silny ból w boku. Ból ustąpił, kiedy podano mu kilka łyków rosółu. Około czwartej nad ranem oddał duszę Bogu.

Ciało zmarłego papieża przewiezione zostanie z Kwirynału do Bazyliki Świętego Piotra i umieszczone w sarkofagu, który Innocenty XII wybrał osobiście. Pozostawi po sobie pamięć opiekuna biednych, bezinteresownego zarządcy Kościoła, pobożnego i sprawiedliwego kapłana.

Rozpoczęły się rozgrywki o wybór nowego papieża. Można już głośno wymieniać nazwiska kandydatów, bez obawy, że obrazi się honor Ojca Świętego i jego nieszcześnie schorowane ciało.

Przyszła odpowiednia pora dla opata Melaniego, który mógłby w końcu wykorzystać swoje znajomości, zaprzyjaźnić się z organizatorami konklawe, zdobyć informacje, przyjąć odpowiednią strategię, rozgłaszać plotki i siać zamęt wśród przeciwników...

Nic z tego. U mojego boku nie stanie żaden wytrawny znawca polityki i watykańskich machinacji, który pomógłby mi je zrozumieć. Będę obserwował przebieg konklawe z zewnątrz, oczami zwykłego człowieka z ludu.

### *8 października*

Jutro kardynałowie zbiorą się na konklawe. Różne frakcje szykują się do walki, cały Rzym wstrzymał oddech. W mieście pojawiły się gazety i ulotki ze składem rywalizujących partii. Powstają satyry, komedie i sonety, które rozwiesza się w głównych punktach miasta.

Niektóre komedie są wyjątkowo odważne. Ich autorzy ośmieszają Święte Kolegium, szczególnie kardynała Ottoboniego i jego oryginalne gusty. W *Babilonii* powierzono mu rolę pokojówki Niny, w *Gospodzie - Petriny*, w *Babilonii kwitnącej* - pani Fulvii, w *Babilonii odmienionej* - weneckianki Angeletty. Wszyscy śmieją się do rozpuku.

Przedwczoraj wpadł mi w ręce sonet, w którym papież Innocenty XII stał się Innocentym Dwunastnicą. Przyzwoitość nakazuje przemilczeć jego treść.

Oprócz głupstw krążą także poważne informacje. Kardynałów cesarskich i hiszpańskich jest dziewięciu, przynajmniej na papierze. Tytuł samo jest Francuzów. Partia kardynałów Gorliwych jest najliczniejsza, liczy dziewiętnastu członków. Niektórych z nich (jak Moriggię, Carla Barberiniego, Colloreda) widziałem z bliska w willi Spada. Grupa Mężnych skupia dziesięciu purpuratów (między innymi kamerlinga Spinolę z San Cesareo), podobnie jak partia Wagantów. Ottobonianów i Altieristów (nazwanych tak od nazwisk papieży, którzy mianowali ich na kardynałów) jest dwunastu. Wśród nich jest też mój pan, kardynał Spada, oraz Albani, Marescotti i, oczywiście, Ottoboni. Są też przeróżne „podroby”, jak mówią w Rzymie, czyli zwolennicy Odescalchiego, Pignatellogo, Barberiniego...

Jak wynika z gazet, podziały przekraczają liczbę partii. Ich liczba jest właściwie nieskończona. Niektórzy kronikarze dostrzegają różnice lub podobieństwa pod względem wieku, zalet, aspiracji, kaprysów, a nawet smaku. Są więc kardynałowie kwaśni, czyli humorzaści (Panciatici, Buonvisi, Acciaioli, Marescotti), słodcy i łagodni (Moriggia, Radolovich, Barberini, Spinola z Santa Cecilia), pół na pół (Carpegna, Noris, Durazzo, Dal Verme), na koniec cierpcy, ponieważ mają poniżej siedemdziesięciu lat, są więc za młodzi, żeby ich wybrać (Spada, Albani, Orsini, Spinola z San Cesareo, Mellini i Rubini).

Negroni ma siedemdziesiąt jeden lat, ale powiedział, że nie chce zostać papieżem. Będzie głosował na osobę, która na to zasługuje, przeciw kandydatom niegodnym tego urzędu. Tych ostatnich jest najwięcej.

Również uczciwym kandydatom trudno będzie zwyciężyć. Dla nikogo nie ma taryfy ulgowej, nawet dla osób, którym nic nie można zarzucić. Carlo Barberini na przykład, który jest w odpowiednim wieku, musi się liczyć z nienawiścią ludu rzymskiego do swoich krewnych (trwającą od osiemdziesięciu lat), wrogością Spinoli z San Cesareo, przede wszystkim zaś z własną głupotą. Acciaioli ma przeciw sobie Toskanię i Francję. Ma-

rescotti znenawidzony jest we Francji, a w Rzymie przez Bichiego (którego darzy takim samym uczuciem). Durazza nienawidzą za pokrewieństwo z królową Hiszpanii. Moriggia jest zbyt blisko Toskanii, Radołowich - Hiszpanii. Carpegny nie lubią właściwie wszystkie europejskie Korony, Colloredem gardzą Francuzi i Ottoboni. Costaguti uchodzi za miernotę, Noris nikomu się nie podoba, bo jest zakonnikiem. Panciatichi nie podoba się i już.

Nie przyjedzie wielu zagranicznych kardynałów (Austriak Kollonitz, Francuzi Sousa i Bonsi, Hiszpan Portocarrero), zajętych pilnymi sprawami. Znosi się na bezwzględną walkę, do tego stopnia, że kardynałowie będą ją chcieli jak najszybciej zakończyć, aby uniknąć przelewu krwi. Niektórzy twierdzą, że biały dym pojawi się za dwa tygodnie, a może wcześniej.

### *18 listopada*

Minęło półtora miesiąca od rozpoczęcia konklawe i nic. Święte Kolegium kardynałów nie wydaje się zainteresowane wyborem Ojca Świętego. Elekcję blokują Francja, Hiszpania i cesarstwo, które wykorzystują prawo weta, żeby pozbyć się niewygodnych kandydatów. Kościół stracił suwerenność i prestiż, lecz kardynałowie gwizdzą sobie na to. Przez cały październik toczyli spory, rzucając nazwiska kolejnych kandydatów: Noris, Moriggia, Spinola z Santa Cecilia, Barbarigo, Durazzo, Medici... Wszystkich odrzucono.

Jedynym poważnym kandydatem na papieża byłby Marescotti, który wystartował do wyborów z dwudziestoma głosami poparcia. Francja jest mu przeciwna, więc nie może być wybrany. Zaproponowano Colloreda, ale jego również Francja nie darzy sympatią. Wszyscy byli niemal pewni, że Colloredo zwycięży, masowo na niego głosowali i o mały włos byłby został wybrany, skutkiem czego pół tuzina kardynałów dostało zawału serca.

Mimo braku rezultatów podczas świętego konklawe naprawdę dużo się dzieje. Wśród eminencji wybuchają kłótnie, panuje zazdrość i nienawiść. Mistrzowie ceremonii musieli uciszać purpuratów, nakazując *Ad cellas, domini!* - czyli powrót do cel. Wśród sekretarzy podsłuchujących pod drzwiami nie swoich kardynałów nierzadko dochodziło do rękoczynów. Zaprószone nawet ogień, chyba specjalnie. Aby naprawić straty, sprowadzono architekta i czterech murarzy.

Kardynałowie nie prowadzą otwartej walki, lecz uciekają się do pod-



stepu. Nie kieruje nimi żądza zwycięstwa, ale zawiść. Nie rywalizują - niszczą przeciwnika. Nie pojawił się jeszcze potencjalny zwycięzca. Odnosi się wrażenie, że wszyscy na coś czekają.

Z upływem czasu wśród eminenacji panuje coraz większe zniechęcenie, znużenie. Pewnego ranka Marescotti, jeden z najpoważniejszych kandydatów, przewrócił się podczas zakładania kalessonów i tak niefortunnie upadł, że rozbił sobie głowę. Gdy kardynałowie dowiedzieli się o tym, śmiali się do rozpuku, tak ich to rozbawiło.

W niedzielę 31 października przybył z Hiszpanii kurier nuncjusza z listem do Innocentego XII. Nuncjusz nie wiedział, że papież nie żyje, co eminenacje przyjęli salwami śmiechu.

Monsinior Paolo Borghese, który jako przewodniczący konklawe powinien dbać o porządek i przyzwoitość w Świętym Kolegium, brak inteligencji nadrabia w ten sposób, że za własne pieniądze organizuje przyjęcia dla kardynałów. Każde ozdabiać stoły kosztami świeżych kwiatów i owoców, zmienianych co trzy dni.

Tymczasem w Rzymie brakuje chleba, który z każdym dniem staje się droższy. Sprzedawcy spekulują, a lud jest głodny i zdemoralizowany. O spekulowanie żywnością podejrzewa się kardynała kamerlinga Spinolę z San Cesareo. Odkąd przekonałem się, że spiskuje ze Spada i Albanim, skłonny jestem wierzyć w tę plotkę.

Książę Vaini szerzy panikę w mieście, podpisując czeki bez pokrycia. Wywołuje bójki i kpi w żywe oczy z kardynałów biorących udział w konklawe, którzy do chwili wybrania nowego papieża wspólnie rządzą miastem. Mimo to nie mają odwagi aresztować zbuntowanego księcia. Nic sobie nie robią z tego, że w mieście brakuje żywności i chwieje się porządek publiczny. Widziałem, jak zachowywał się Vaini w domu sekretarza stanu, w willi Spada, i nic mnie już nie zdziwi.

W Rzymie szerzy się zamęt, dochodzi do napadów i zabójstw, jak zawsze, gdy urząd papieża jest nieobsadzony. Mieszkańców ogarnia pesymizm, stają się kłótlivi i źli.

Jakby tego było mało, docierają niepokojące wieści o stanie zdrowia króla Hiszpanii. W niedzielę 24 października miał przyjechać z Hiszpanii kardynał Borgia, przywódca frakcji hiszpańskiej. Przygotowano dla niego celę. Tymczasem powiadomił, że nie przyjedzie, co wskazuje na to, że choroba Katolickiego Króla zaostrzyła się. Podobno 27 października otrzymał sakramenty, a lekarze uznali, że to koniec.

*20 listopada*

Wczoraj dotarła wieść o śmierci króla Hiszpanii. Zmarł pierwszego listopada.

Wiadomość natychmiast dotarła do wszystkich uczestników konklawe. W nocy do Rzymu przybył kurier wysłany przez Francuzów, goniec od wielkiego księcia Toskanii, brata kardynała Mediciego, oraz pismo od ambasadora Francji do kardynała d'Estrees.

Zdaje się, że eminencje nareszcie się ocknęli. Kwestia sukcesji tronu hiszpańskiego jest otwarta. Cały świat oczekuje, że nowy papież podejmie się mediacji między skłóconymi królestwami i zażegna niebezpieczeństwo wojny.

Podobno jutro kardynałowie wybiorą papieża. Frakcje obudziły się i zaczęły szukać wspólnego kandydata. Po mieście krążą plotki. Najczęściej powtarzają się nazwiska Marescotti i Barberini.

Wszystko zrozumiałem. Wiem już, dlaczego konklawe zwleką, proponowało z góry przegranych kandydatów, wiem już, skąd ta strata czasu, przyjęcia, żarty i śmiechy...

Święte Kolegium czekało na śmierć króla Hiszpanii, a w konsekwencji na zaostrenie sytuacji (jakby wybór papieża nie był wystarczająco poważną sprawą). Kardynałowie potrzebowali więc stanu wyjątkowego. Atto miał rację - poważne decyzje należy podejmować w sytuacji krytycznej. A jeśli taka się nie nadarzy, należy ją stworzyć albo na nią zacząć.

Zastanawiam się, jak zachowają się eminencje i co uczynią państwa, które wywierają nacisk na Święte Kolegium. Przypomina mi się, co opat Melani powiedział podczas wyprawy do podziemi Rzymu siedemnaście lat temu: w sprawach państwa nie jest ważne, co myślisz, ale jak. Nikt nie wie wszystkiego, nawet królowie. A kiedy nie wiesz, musisz nauczyć się zakładać nawet to, co na pierwszy rzut oka wydaje się absurdalne. Przekonasz się, że wszystko jest tragicznie prawdziwe, nawet największy absurd.

Rozumiem teraz, że chcą wybrać człowieka, który w normalnych warunkach nie zostałby papieżem, na przykład kogoś zaniedbanego (jak Spinola z Santa Cecilia) lub znenawidzonego przez to czy inne królestwo (takich jest bardzo wielu). Ale kogo?

23 listopada

Wydarzyło się coś nieprawdopodobnego - wybrano Albaniego. Czterdzieści głosów na pięćdziesiąt osiem.

Wszyscy twierdzili, że nie jest odpowiednim kandydatem na papieża, bo za młody - ma zaledwie pięćdziesiąt jeden lat. Nawet kardynał Spada, o cztery lata starszy, nie znalazł się na liście pewnych kandydatów do tego urzędu. Poza tym Albani ma bardzo wielu krewnych. Mimo to został wybrany.

Do niedawna Albani nie był kapłanem. Przyjął święcenia w pośpiechu, 6 października odprawił pierwszą mszę, a 9 wszedł do konklawe. Nie będąc księdzem, nie mógł być biskupem, ale papież jest również biskupem Rzymu. Po elekcji Albani odbierze godność biskupa z rąk któregoś z kardynałów. Podobna rzecz nie wydarzyła się od 108 lat.

Jak twierdzą osoby dobrze poinformowane, Albani doskonale wiedział, że ma duże szanse i nieprzypadkowo po pierwszym głosowaniu 10 października otrzymał sześć głosów, ale wówczas nie zwrócono na niego uwagi.

Gdy do Rzymu dotarła wieść o śmierci Katolickiego Króla, zwolennicy Altieriego, Ottoboniego, Odescalchiego, Pignatellogo i Barberiniego jednogłośnie zaproponowali kandydaturę Albaniego. Francuzi zażądali odłożenia obrad konklawe, ale było jasne, że myślą o tym samym kandydacie.

Jestem pewien, że wszystko zostało ukartowane. Albani był papieżem *in pectore*, przymierzył tiarę - pontyfikalne nakrycie głowy papieża - zanim otrzymał tę godność, w oczekiwaniu na śmierć króla Hiszpanii. Francuzi kazali swoim przyjaciółom w innych frakcjach (które Ludwik XIV od dawna przekupuje górami złota) poprzeć jego kandydaturę. Tymczasem Albani, wywołując kłótnię z Attem w willi Spada, zyskał opinię przeciwnika Francuzów. Kardynałowie sądzili więc, że wybierają papieża niezależnego. W rzeczywistości wybrali wiernego sojusznika Arcychrześcijańskiego Króla. Gra wyjaśniła się, gdy francuscy kardynałowie masowo na niego zagłosowali.

To nie były wybory, to była komedia. Nieszczere wydają się też słowa, które wypowiedział Albani, gdy został papieżem. Wyznał, że dręcą go wątpliwości, czy powinien się zgodzić, bo nie czuje się na siłach sprawo-

wać tak wysoki urząd. Przedwczoraj nagle zasłabł, położył się do łóżka, podobno wymiotował żólcia. Wczoraj wstał i ze łzami w oczach stwierdził, że nie może przyjąć urzędu. Na kilometr widać, że udaje, wszyscy to mówią. Albani to stary wyga, chce, żeby wszyscy go błagali, by został papieżem, bo wówczas wyjdzie na człowieka skromnego i uciszy krytyków. Doskonale wie, że powstają już jego portrety w stroju papieża, a na fasadach kościołów i urzędów mocowany jest herb jego rodu. W Bazylisce Świętego Piotra trwają przygotowania do uroczystości nadania beneficjum. Jego herb wyryto już w krześle, na którym nowy papież zostanie wniesiony do bazyliki.

Albani odegrał więc ostatnią komedię, prosząc o radę czterech teologów. Oni cierpliwie wyłożyli mu *ratio praecipua*, dla której powinien przyjąć tiarę. Dzisiaj ogłoszono wynik wyborów.

### 25 listopada

O szóstej rano przybył kurier z ambasady Hiszpanii z drugą ważną wiadomością.

Kilka godzin po śmierci Katolickiego Króla Hiszpanii otworzono i przeczytano jego testament. Na następcę tronu hiszpańskiego wyznaczony został Filip Andegaweński, drugi syn delfina francuskiego i wnuk Ludwika XIV. Wiadomość ukrywano do 10 listopada, kiedy to w Wersalu Arcychrześcijański Król oficjalnie uznał testament. Podobno zadowolony Ludwik wykrzyknął: *Il n'y a plus de Pyrenees!* To prawda, Pireneje nie przeszkodzą mu w drodze do Madrytu, cała monarchia hiszpańska przejdzie w ręce Francuzów.

Ambasador hiszpański, książe Uzeda, bezzwłocznie powiadomił papieża. Papież był tak zadowolony, że w jednej chwili nadał Uzedzie godność kanonikata Valladolid.

Sprawy się komplikują. Mówi się, że cesarstwo nie zgadza się z wynikiem wyborów i grozi, że sprowadzi swoje wojska do Włoch, żeby zająć hiszpańskie posiadłości na półwyspie. Francja na pewno na to zareaguje. Szykuje się wojna.

Jestem chyba jedynym człowiekiem w Rzymie, który wszystkiego się domyśla. Wymiana była jasna - Ludwik XIV obiecał Albaniemu godność papieża w zamian za tron hiszpański dla swojego wnuka.

Atto, Buvat i Maria wystarali się o fałszywy podpis na testamencie

Katolickiego Króla. Przed kilkoma miesiącami Karol II poprosił Innocentego XII o mediację, z czego wynikało, że nie miał zamiaru powierzyć tronu Francuzowi. Należało wysłać królowi odpowiedź. W tym momencie wkroczyli Spada, Spinola i Albani. Przygotowali odpowiedź, w której doradzano Karolowi II, by na dziedzica tronu hiszpańskiego wyznaczył wnuka Arcychrześcijańskiego Króla. Kiedy więc w Hiszpanii odczytano by sfalszowany testament, nikt nie zdziwiłby się, że Karol II wybrał Francuza. Obydwa sfalszowane dokumenty, odpowiedź i testament, musiały się nawzajem potwierdzać.

Sfalszowanie listu Ojca Świętego było dziecinnie proste, ponieważ nigdy nie pisywał listów do królów i książąt osobiście, lecz dyktował je sekretarzowi. Następnie listy były lakowane przez jednego z kardynałów. Nie bez powodu Albani, odkąd został papieżem, zerwał z tym obyczajem. Tłumacząc się skromnością i pokorą, ogłosił, że sam będzie pisał i sygnował wszystkie ważne dokumenty...

A ja? Pomagając Melaniemu, stałem się pionkiem w grze. Mimo że nie byłem kardynałem, przyczyniłem się do wyboru nowego papieża. Przede wszystkim jednak była to zasługa Atta. Wszczynając kłótnie z Albanim w willi Spada, oczyścił go z zarzutu sprzyjania Francuzom. Właśnie dlatego, kiedy spytałem Atta, dlaczego prowokuje Albaniego, nic nie odpowiedział. Atakując kardynała, Melani zyskał sobie opinię fanatycznego zwolennika Francuzów, jego przeciwnik natomiast - człowieka bezstronnego. Cała ta komedia została odegrana w jednym celu: miała wynieść Albaniego do godności papieża.

Atto doprowadził swój plan do końca. Tak jak zapowiadał, wpłynął na losy papieżstwa. I uczynił to, zanim rozpoczęło się konklawe.

Zapewne nie bez powodu Albani przybrał imię Klemensa XI. Atto chwalił się, że trzydzieści lat temu pomógł wybrać Klemensa IX.

Opat Melani nie oszukał mnie więc, twierdząc, że przyjechał do Rzymu także z powodu elekcji papieża. To, co wydało się kłamstwem, okazało się prawdą. Nikt jednak lepiej od niego nie potrafiłby działać jednocześnie w sprawie hiszpańskiej sukcesji i konklawe, lawirując między królem Francji, Marią Mancini i tysiącem niebezpieczeństw, którym wspólnie stawiliśmy czoło. Tymczasem jemu, temu wychudłemu staruszkowi, udało się.

## *Marzec 1702 roku*

Maria Mancini miała rację - daremny trud!

Gdy piszę te słowa, we Włoszech od roku toczy się wojna, która wkrótce rozprzestrzeni się na inne kraje. Jak twierdzą astrologowie, koniunkcja Marsa i Jowisza w tym miesiącu zapowiada wiele walk i nie-szczęść.

Wiosną wojska cesarskie wkroczyły do północno-wschodniej Italii, zmierzając do księstwa Mediolanu. W lipcu francuskie oddziały Catinata, miernego kondotiera, zostały pokonane pod Carpi i musiały opuścić pozycje między Adygą a Mincio. Wówczas Austriacy przekroczyli Pad i zajęli twierdzę w Mirandoli. Nie powstrzymały ich nawet wojska Piemontu, który przyłączył się do wojny, ani francuskie oddziały marszałka Villeroya, uwięzionego w Weronie. Sytuacja zmieniła się dopiero po przybyciu Vendôme'a. Francuski dowódca przybył na czele osiemdziesięciu tysięcy wypoczętych, dobrze uzbrojonych żołnierzy, odzyskał Modenę, uratował Mantuę i Mediolan. Tymczasem wojska cesarskie osłabły i straciły odwody. Wykorzystały to francuskie oddziały, przeszły wąwozami Tyrolu do Bawarii i dołączyły do armii nad Renem. Połączone siły wyruszyły prosto na Wiedeń i zadały ostateczny cios cesarstwu.

Jednak wojna szybko się nie skończy. Anglia i Holandia szykują się do ataku na Francję. Pragną odegrać się na Arcychrześcijańskim Królu za to, że je oszukał. Ludwik XIV podpisał z obydwoma państwami traktat o podziale monarchii hiszpańskiej, ale później wykorzystał testament Karola II i zgarnął wszystko, gwiżdżąc sobie na paki. Tak więc konflikt w krótkim czasie rozszerzy się na całą Europę.

Dziwnym zrządzeniem losu w żyłach bohatera pierwszego roku wojny płynie włoska krew. Jest nim Eugeniusz Sabaudzki, syn księcia sabaudz-

kiego i siostry Marii, Olimpii Mancini, którą dobrze znam z opowieści Atta. Książę Eugeniusz mógłby zostać Francuzem, ale kiedy był młody, Ludwik XIV go zaniedbywał i poniżał, a w końcu kazał mu opuścić Francję. Eugeniusz udał się więc na służbę do cesarza, stając się najsłynniejszym generałem wszech czasów. Na koszt Francji. Ach, Sylwiuszu, Sylwiuszu...

Okazało się, że wdowa po konstablu przyniosła Francji pecha -jej siostrzeniec Eugeniusz odnosi zwycięstwa w wojnie, która zadecyduje o losach świata. Okrutna Olimpia ma powód do radości, gdyż jej syn, geniusz militarny, sieje spustoszenie.

Jak w każdym decydującym momencie historii przepowiednie się sprawdzają. Ojciec Marii Mancini wyczytał w horoskopie córki, że stanie się ona przyczyną zamieszek, buntów, a nawet wojny. Miał rację, twierdząc, że gdyby młody Arcychrześcijański Król zamiast hiszpańskiej infantki poślubił Marię, nie mógłby liczyć na sukcesję po Karolu II. Nie wybuchiłaby też wojna.

Przez dwa lata zadręczałem się myślą o spisku, do którego nieświadomie się przyczyniłem. Rok temu postanowiłem opisać tamte wydarzenia. Kazałem nawet wydrukować ozdobną kartę tytułową, którą poprzedziłem te strony. Całość wysłać opatowi Melanemu, bo mi zapłacił. Jednocześnie upomnę się o posag dla moich córek. Teraz mają dwanaście i osiem lat, mam jeszcze trochę czasu na znalezienie im odpowiednich mężów.

Czy Atto mi odpisze? Czasami odczuwam żal do opata - mistrza intrygi i kłamcy. Kiedy jednak biorę do ręki szkaplerz Madonny od karmelitów z trzema perełkami, które przechowywał przez siedemnaście lat i które zwrócił mi w kryjówce Ugonia, zastanawiam się, czy nie powinienem zachować w pamięci tylko tego gestu.

Obawiam się, że nie ma już czasu na urazy i pretensje. Atto Melani, doradca Arcychrześcijańskiego Króla, opat Beaubec, ma (miałby) dziś siedemdziesiąt sześć lat. Kiedy rozglądam się wokół, widzę, że niewiele osób w jego wieku jest sprawnych, w pełni sił. Ciągłe narażanie się na niebezpieczeństwa musiało w jakiś sposób odbić się na jego zdrowiu. Pozostać mi tylko mieć nadzieję.

Teraźniejszość pochłania mnie jednak bardziej niż przyszłość. Maria Mancini miała rację, uprzedzając Ludwika, że fałszywy testament nie na

wiele się zda. Teraz, kiedy strzelają działa, ja również rozumiałem, że wysiłki zmierzające do rozwiązania hiszpańskiej sukcesji za pomocą oszustwa, byleby uniknąć wojny, okazały się daremne. Zgodnie z wolą Króla Słońce na tronie hiszpańskim zasiadł Filip Andegaweński, lecz Francja została wciągnięta w konflikt z innymi mocarstwami, z którego świat może się już nie podźwignąć. „Wielka bratobójcza walka, nowa wojna peloponeska”, jak przepowiadała pani konstablowa.

W tamte lipcowe dni w willi Spada sądziłem, że czynię coś dla dobra córek, a tymczasem pomagałem w spisku, który doprowadzi do zniszczenia Europy. I to miała być nagroda za narażanie życia (omal nie zginąłem, spadając z kopuły Bazyliki Świętego Piotra).

Szukając odpowiedzi na to pytanie, dwa dni temu udałem się do miejsca, które niegdyś rozwiąło wiele moich wątpliwości, czyli do „Okreću”. Odczuwałem potrzebę samotności, a zarazem znalezienia godnego słuchacza. Cloridia pojechała odebrać poród, Melani i Buvat byli w Paryżu albo diabli wiedzą gdzie.

Zastanawiałem się, czy ów dziwny człowiek jeszcze tam jest. Minęły dwa lata, lecz wszystko było możliwe.

- Jak twierdził król Salomon, im więcej człowiek wie, tym bardziej cierpi.

Zaledwie dotarłem na miejsce, od razu go zobaczyłem, zupełnie jakby to było wczoraj. Stał na gzymsie „Okreću” i grał na skrzypcach. Albicastro przywitał mnie cytatem z Biblii, jakby wyczytał w moim spojrzeniu, że czegoś potrzebuję. To było zrozumiałe, do willi przychodziło się bowiem tylko w razie konieczności.

- Powiedział też, że mądrość prowadzi do gniewu - dodał Holender.

To prawda, bo gdy pojąłem, że byłem marionetką w rękach opata, poczułem gniew. Podobnie postąpił ze mną przed siedemnastu laty, kiedy się poznaliśmy. W zetknięciu z brutalną rzeczywistością runęły moje młodzieńcze złudzenia.

- Właśnie dlatego istnieje szaleństwo - powiedział skrzypek głośno, żebym lepiej słyszał, kiedy przeciągał smyczkiem po strunach. - Szaleństwo uspokaja i, jak mówiła Hildegarda z Bingen, zmienia *tristitia saeculi* w *coeleste gaudium*, czyli ziemskie cierpienie w niebiańską radość.



Po dwóch latach wróciłem do „Okrętu” i ponownie słuchałem znanej mi melodii. Dźwięki follii towarzyszyły słowom i gestom Albicastra, stanowiąc swoisty komentarz. Po chwili skrzypek zamilkł, całkowicie pochłonięty grą. Skorzystałem z okazji, żeby wyjść do ogrodu. Kiedy przechadzałem się alejkami, w głowie kłębiły mi się różne myśli.

Pod wpływem czystych dźwięków muzyki w pamięci powracały dawne przeżycia, które raz odczuwałem mocniej, to znów słabiej. Kiedy pragnąłem je zatrzymać, umykały, ginąc gdzieś poza świadomością, jakby sugerowały mi inne drogi poznania.

Poza mną istniały tysiące światów follii, we mnie, w moich myślach - tylko dwa. W pierwszym świecie Atto i Maria byli szpiegami w służbie króla Francji. Dla zmylenia niepowołanych osób prowadzili miłą korespondencję. W drugim świecie opat Melani był wiernym, dyskretnym kurierem między wdową po konstablu a Arcychrześcijańskim Królem, którzy wykorzystywali politykę jako pretekst do zalotów, jak przed czterdziestu laty. W tym celu używali pseudonimów Sylwiusz i Dorinda, zaczerpniętych z ulubionej lektury w czasach młodości.

Który z tych dwóch światów był prawdziwy? Miałem do czynienia z maskami czy z ludźmi z krwi i kości?

Podczas gdy zewsząd dochodziły mnie dźwięki muzyki, snułem rozważania. Co powiedział Atto na dzień przed ucieczką? „Gdyby dzięki rozdzieleniu Ludwika i Marii Mancini tron hiszpański dostał się Burbonom, ich rozłąka nie byłaby daremna”.

Nagle wszystko zrozumiałem. Świat szpiegów i świat kochanków nie wykluczały się wzajemnie, lecz współistniały, co więcej - uzupełniały się. Maria i Ludwik zostali rozdzieleni z powodu Hiszpanii, po czterdziestu latach nadal pisywali do siebie, również z powodu Hiszpanii. Ich miłość ustąpiła racji stanu, ale była z nią nierozzerwalnie związana. Maria szpiegowała na rzecz Ludwika, czyniła to z miłości. Ich tajnym kodem był dramat pasterski *Pastor Fido* - ulubiona lektura w czasach młodości. Atto był pośrednikiem, wtedy i teraz.

Gdyby Maria nie kochała Ludwika, zapewne nie wypełniałaby jego rozkazów. Wynikało to z jej listów: „Rozumiem punkt widzenia Lidiusza, ale powtarzam: wszystko jest nadaremne”. Nie chciała zawozić do Madrytu sfalszowanego podpisu Karola II, uważała bowiem, że podstęp mógłby się obrócić przeciw pomysłodawcy.

Wzorem króla Lidii Krezusa, który pragnął, by Solon uznał go za najszcześliwszego z ludzi, Arcychrześcijański Król chciał udowodnić Marii,

że dzięki fałszywemu podpisowi zostanie najpotężniejszym władcą, a zarazem najszcześliwszym człowiekiem. Atto pisał o tym Marii: „To, co Pani otrzyma, kiedy się spotkamy, przekona Panią. Dobrze Pani wie, jak cieszy się on Pani radością”.

Maria, podobnie jak Solon, potrząsnęła głową. Czyż nie napisała wyraźnie, że „to, co dziś wydaje się dobre, jutro zmienia się w nieszczęście. Bóg dał szczęście wielu ludziom, a później pognębił ich i zniszczył”. Wątpiła, by fałszywy testament, zaspokajający ambicje Arcychrześcijańskiego Króla, mógł go uszczęśliwić, ale w imię dawnej miłości ustąpiła. „Przyjadę. Spełnię pragnienie Lidiusza. Zobaczymy się zatem w willi Spada. Obiecuję”. Ludwik oczekiwał od Marii podwójnego posłuszeństwa - w imię miłości i racji stanu.

Kartka z trzema słowami: *yo el Rey*, którą opat miał dostarczyć Marii i która wpłynęła na losy świata, była zatem czymś innym niż dowodem miłości.

Mimo to Atto nie przekazał kartki osobiście, ale poprosił, bym uczynił to ja, skromny wieśniak i służący w willi Spada. Dlaczego?

Żeby nie pobrudzić sobie rąk, fałszowanie podpisu było bowiem łamaniem prawa - pomyślałem dwa lata temu w przyprawie złości. Opat odprowadził mnie wtedy pod sam klasztor, co było dużą nieostrożnością dla człowieka, który wszystko zaplanował.

Prawo dwóch współistniejących światów - uczuć i polityki - odnosiło się także do Atta. W ostatniej chwili dało o sobie znać serce - opatowi zabrakło odwagi, by stanąć przed ukochaną kobietą, której nie widział od trzydziestu lat. Nie ośmielił się pokazać jej ze zmarszczkami na twarzy. Być może bał się przekonać, że i Maria się postarzała. Czyż Atto nie patrzył oczami Arcychrześcijańskiego Króla? Skoro Maria nie chciała spotkać się z królem, może i Melani nie powinien jej widzieć? Nie chciał jej zawieść, ale jednocześnie nie chciał oszukać Ludwika. Pewnego dnia król mógłby przecież zapytać: „Czy nadal jest piękna?”

Widziałem Marię, mógłbym zatem powiedzieć opatowi, że moim zdaniem jest bardzo piękna, że na zawsze zachowam w pamięci biel jej twarzy, zgrabne dłonie, ciemne, duże oczy, gdy jej spojrzenie skrzyżowało się z moim, szkarłatne wstążki wpięte w gęste, kręcone włosy. Nie mogłem jednak tego uczynić, gdyż Atto wyjechał.

Wysłuchany w dźwięki follii, nadal snułem rozważania. Atto źle zapieczętował list z podrobionym podpisem, ale przeoczenie to było na tyle poważne (co zrozumiałem, gdy złość opadła), że nie mogło być przypadkowe. Nie chciał mnie dalej okłamywać i wszystko mi wyznał, choć na swój sposób. Później uciekł, gdyż sam nie potrafił znieść prawdy.

A listy Marii? Chyba nieprzypadkowo znalazłem je w pokoju Arta i poznałem ich treść. Na pewno nie, w postępowaniu Atta przypadek nie wchodził w grę. Podpis *yo el Rey* nic by mi nie powiedział, gdybym wcześniej nie przeczytał korespondencji Atta i Marii. Początkowo niewiele wiedziałem o hiszpańskiej sukcesji i testamencie Karola II.

A to znaczyło jedno - opat wiedział, że czytałem jego listy, co więcej - chciał, żebym przeczytał jego korespondencję z panią konstablową, a ja wpadłem w pułapkę.

Jakież byłem naiwny! I pomyśleć, że znalazłszy listy opata w koszu z brudną bielizną, byłem pełen podziwu dla własnego sprytu! Atto zostawił je tam specjalnie! Był pewien, że pamiętam, jak siedemnaście lat temu znaleźliśmy ważny dokument wsunięty w pasek kalesonów Dulcibeniego. Skoro miałem go o wszystkim informować, musiał mnie wtajemniczyć w sprawę hiszpańskiej sukcesji. Gdybym nie poznał tej kwestii, wiele rzeczy uszłoby mojej uwadze. Musiałem dużo wiedzieć, żeby wszystko dostrzec i później mu zreferować. Atto nie mógł jednak rozmawiać ze mną otwarcie, gdyż obawiał się niewygodnych pytań. Wymyślił więc podstęp i włożył listy do kosza z bielizną do prania. A kiedy nie chciał już, bym czytał listy (zwłaszcza te ostatnie, bardzo poufne), ukrył je w innym miejscu - w swojej peruce.

Opat nie przewidział, że pokonam i tę przeszkodę. Dzięki tym listom omal nie odkryłem całej prawdy. Przekonałem się, że Atto oszukał mnie w sprawie trzech kardynałów, ale później zmyliły mnie patetyczne słowa skierowane do Marii opóźniającej swój przyjazd.

Pisząc miłosne wersy, opat wiedział, że Maria nie weźmie udziału w uroczystościach w willi Spada. Napisał je więc nie dlatego, że czuł się rozczarowany jej spóźnieniem, ale dlatego, że cierpiał, wiedząc, że Maria jest blisko, a on nie może się z nią spotkać z powodu misji, która zawiadła ich do willi Spada. Dwa światy nadal współistniały.

Wolałbym o niczym nie wiedzieć - pomyślałem. Tymczasem zaczęło zmierzchać. Gdyby opat nie poczuł wyrzutów sumienia (z powodu wystawienia mnie na niebezpieczeństwo), nie musiałby uciekać i zgodnie z obietnicą zaprowadził do notariusza w sprawie posagu.

Miałem ochotę zaraz jechać do Paryża i odnaleźć tego drania. Machinalnie wykonałem gest, jakbym dawał komuś pięścią w szczękę.

- Chciałbyś się zemścić, prawda? - rzekł Albicastro, pojawiając się nagle przede mną.

- Pragnę żyć w spokoju.

- A kto ci broni? Weź przykład z Telemacha.

- Znowu ten Telemach! - westchnąłem. - Pan i opat Melani...

- Jeśli będziesz postępować jak Telemach, którego imię znaczy „ten, który walczy na odległość”, odnajdziesz spokój - oznajmił Holender, przygrywając sobie na skrzypcach.

- Kto cię zrozumie?... - szepnąłem w odpowiedzi na wywody dziwaka.

- Kiedy Telamach napiął łuk, jego ojciec Odyszeusz dał mu znak - ciągnął Albicastro, przechodząc do kolejnej wariacji na temat folii. - Wtedy Telemach powiedział do zalotników: „Jestem za młody, wy macie więcej siły, naciągnijcie łuk i zakończmy zawody!”. Wiesz, co to znaczy? Młody Telemach na pewno zdołałby napiąć łuk, ale to nie on miał się zemścić. Uczyn tak i ty! Uzbrój się w cierpliwość i pozwól działać Panu Bogu! Bo, widzisz, chłopcze - powiedział łagodniejszym tonem - nasz świat *i* który trwa od czasów Homera albo i dłużej, jest światem szaleństwa, „walki na odległość”. Nie nadszedł jeszcze Dzień Ostateczny, w którym wśród śmiechów i hulanki zostanie naciągnięty fatalny łuk Odysusza. Ale lepiej nie zastanawiać się, kiedy to nastąpi - stwierdził Albicastro, po czym wyrecytował:

Jerozolima w gruzach legła,  
Gdy Bogu  
cierpliwości nie stało.  
Kiedy Niniwę  
zniszczenie czekało,  
Nawrócił się jej  
lud,  
Ale daremny był to trud,  
Bo  
ponownie grzechem się splamił,  
Słowa  
Jonasza biorąc za nic.  
Każda rzecz  
doczeka kresu swego  
Zgodnie z wolą  
Najwyższego.

Znowu ten *Statek głupców*, zupełnie jakby jego fragmenty stanowiły komentarz do moich wspomnień - od wypraw do „Okreću” po spotkanie z cerretanami.

- Prędeż czy później będę musiał przeczytać poemat tego pańskiego Branta - powiedziałem.

- Zanim nadejdzie koniec - ciągnął niewzruszony Albicastro - żyjmy i kochajmy! Wróć do domu, chłopcze, do swojej rodziny, i nie myśl już o tym. Najpiękniejsze jest szaleństwo zakochanego człowieka, jak twierdził Platon.

Zastanawiałem się, czy Albicastro, który mówił te wszystkie dziwne rzeczy, nie należy do jakiejś heretyckiej sekty. Musiałem jednak przyznać mu rację w jednym - należy pogrzebać przeszłość i powrócić do domu. W milczeniu skinąłem mu na pożegnanie głową.

- Żegnaj, chłopcze! Nie zobaczymy się więcej - odparł, po raz pierwszy grając coś innego niż folię.

Zaskoczyło mnie to, więc zatrzymałem się. Była to niespokojna melodia, jakby groźba. Przeciągając energicznie smyczkiem po czterech strunach, Albicastro wydobywał z niewielkiego drewnianego instrumentu całą serię niepokojących, smutnych dźwięków.

- Pan też wraca do domu? - spytałem.

- Wyruszą na wojnę. Jadę zaciągnąć się do armii holenderskiej - odparł, podchodząc do mnie, a grany przez niego motyw przywodził na myśl wystrzały z dział, warkot bębnow, kroki maszerujących żołnierzy.

- A co z pańską „walką na odległość”? - spytałem po chwili milczenia.

- Mianuję cię swoim zastępcą - oświadczył uroczyście i położył mi smyczek na ramieniu, w geście pasowania na rycerza.

- Jako żołnierz armii holenderskiej - powiedział z uśmiechem, kierując się w stronę bramy - zarobię dużo pieniędzy!

Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy żartuje. Albicastro oddalił się, grając kolejny motyw - melancholijne adagio. Latający Holender dobywał ze swoich skrzypiec wdzięczne tremola, gruppetti, appoggiatury, mordenty i inne delikatne ozdobniki, które lepiej niż słowa (muzyka jest czymś więcej) wyrażały pożegnanie ze mną, z „Okrętem”, z pokojem i przeszłością.

Mogłem odejść i ja. Po raz ostatni przeszedłem się po ogrodach wokół tajemniczej willi. Jeszcze raz zerwał się wiatr, przeganając chmury, które zakrywały gorące słońce. Odniosłem wrażenie, że nastąpi wiosna, a wskazówki zegara cofnęły się o dwie godziny. Szedłem do wyjścia, kiedy nagle usłyszałem szelest sukni i śmiechy.

W tej samej chwili dostrzegłem ich, za gęstym żywopłotem, tak jak za pierwszym razem, za delikatną zasłoną, która pozwalała widzieć, nie będąc widzianym, i słyszeć, nie będąc słyszonym.

Tym razem byli starzy, nie dojrżeli, ale właśnie starzy. Mieli pomarszczone twarze, opadłe powieki, zachrypnięte głosy. Mimo to wyglądali na szczęśliwych, jak wtedy, kiedy mieli dwadzieścia lat, a opat i ja patrzyliśmy na nich przez okno na pierwszym piętrze. Szli obok siebie, pod rękę, przytuleni, uśmiechnięci, komentując jakąś błahostkę.

Wstrzymałem oddech. Postanowiłem się przybliżyć, żeby przekonać się, czy nie śnię. Szukałem jakiejś szczeliny w żywopłocie, obszedłem go dookoła, ale nie znalazłem. Zawróciłem więc. Gdy ponownie spojrzałem w stronę ścieżki - była pusta.

Za późno, odeszli. Nie czekałem na ich powrót. Z doświadczenia wiedziałem, że nie warto. Pomyślałem o Albicastrze. Rozstał się z tą opuszczoną, a zarazem pełną tajemnic willą, żeby wyjść na spotkanie ze światem, na którym szerzyły się wojna i zniszczenie. Przypomniały mi się jego słowa sprzed dwóch lat. Mówił wówczas o otwieranych posążkach sylenów z podobiznami bogów wewnątrz; i o tym, że rzeczy z pozoru martwe okazują się żywe i na odwrót.

Kiedy mijalem bramę „Okrętu”, niebo znów zasnulo się chmurami i zrobiło się ciemno. Przeszedł mnie dreszcz strachu, ale wiedziałem, że w tym miejscu czas rządzi się swoimi prawami. Nie dziwiło mnie już to, że wiatr, liście, chmury i słońce poruszają się tu jakby w rytmie tańca.

- Gdzie się podziewałeś? Szukam cię od kilku godzin!

Byłem błąd jak ściana. Cloridia spojrzała na mnie z niepokojem, obejmując mnie ramionami.

Kiedy wszystko jej opowiedziałem, uśmiechnęła się.

- Twój opat mówiłby zapewne o przywidzeniach, halucynogennych wyziewach, a nawet o podstępie i powołałby się na jeden z tych modnych dziś traktatów o fizyce.

- A ty co o tym sądzisz? - spytałem, przypominając sobie sztuczkę z kamforą, która sprawiła, że wyglądałem jak trup.

- Ja myślę, że widziałeś lub wyobraziłeś sobie to, co zdarzyłoby się, gdyby król Francji i Maria Mancini nie zostali rozdzieleni - zestarzeliby się razem.

- Czyli znowu zobaczyłem to, co powinno się wydarzyć, a co nigdy nie miało miejsca - powiedziałem. - Dlaczego jednak nie widziałem żadnych niepomysłnych rozwiązań?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że w „Okręcie” widzi się tylko słuszne rzeczy, do których nie doszło wyłącznie z powodu, powiedzmy, zakrętu historii, czyli odstępstwa od naturalnego porządku rzeczy.

- A po drugie? - spytałem, kiedy Cloridia zamilkła.

- Wyjaśniłabym to w następujący sposób: istnieje Dobro, czyli to, co dobre i sprawiedliwe. Stworzył je Bóg, więc istnieje nawet wtedy, gdy na ziemi szerzy się Zło. Dobro jest potwierdzeniem, czystym i niezniszczalnym, nie może nie istnieć, nie ulega unicestwieniu. Można mieć zatem pewność, że odrodzi się w innych czasach i w innym kształcie.

- A Zło?

- Wiesz, że nie lubię filozofii, ale pozwól, że zacytuję świętego Augustyna z Hippony: Zło jest negacją. W przeciwieństwie do Dobra nie istnieje samo z siebie. Powstaje w wyniku zniszczenia tego, co słuszne i dobre. Dlatego też kiedy Dobro zwycięża, Zło znika, znika też jego fałszywy pozór, pusta powłoka, która przesłaniała ludziom spojrzenie. Z tego właśnie powodu „Okręt” nie przyciąga do siebie złych intencji, ludzkich złośliwości.

Patrzyłem na Cloridę z niedowierzaniem. Mówiła, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz na świecie. Przez resztę drogi szliśmy w milczeniu.

- Wy, kobiety, na wszystko znajdziecie wytłumaczenie - powiedziałem z westchnieniem, kiedy stanęliśmy przed domem. Zdjąłem eleganckie buty od Atta i założyłem chodaki. - Nie zdziwiłybyście się nawet na widok latającego osła.

- Może dlatego, że jak twierdzicie wy, mężczyźni, mamy mniej rozumu - powiedziała moja żona, pomagając mi zdjąć frak i niebieską wstążkę z włosów.

- Przeciwnie, twierdzą, że jesteście od nas o wiele mądrzejsze.

- Przyjmuję wyjaśnienie, ale...

- Ale?

- Twierdzą, że miałeś przywidzenie. To był wytwór wyobraźni... godny powieści.

## List pożegnalny

Drogo Alessio!

Teraz, kiedy skończyłeś czytać dzieło dwojga moich przyjaciół, pozwól, że się z Tobą pożegnám.

Tym razem, aby sprawdzić autentyczność opowiedzianych zdarzeń, nie musiałem przeprowadzać badań źródłowych. Do pracy dołączona była bowiem płyta z cytowanymi fragmentami muzycznymi oraz suplement zawierający kopie dokumentów. Bardzo się ucieszyłem, ponieważ tam, gdzie obecnie przebywam, nie mam dostępu do archiwum ani fonoteki, aby posłuchać nagrania *Follii Albicastra* czy arii z *Pastora Fido*.

Tobie pozostawiam zatem przyjemność zbadania, czy informacje zawarte w pracy są prawdziwe. Nie jest to takie trudne, jak by się mogło wydawać. Dotrzymają Ci towarzystwa utwory w nieznanym wykonaniu z płyty, którą Ci przesyłam.

Z kolejnych stron dowiesz się, że Rita i Francesco zlecili dwóm grafologom zbadanie podpisu pod testamentem króla Hiszpanii Karola II. Stwierdzili, że podpis jest fałszywy.

Dość już! Nie będę zdradzał treści suplementu. Wyjaśnię raczej, dlaczego wysłałem Ci to dzieło. To proste - w Rzymie, blisko Ojca Świętego, na pewno wzbudzi większe zainteresowanie niż tu, w dalekim Tomi, w rękach biskupa zdegradowanego do roli zwykłego księdza. Radzę Ci jednak, żebyś nie starał się dotrzeć z tą pracą do najtajniejszych zakątków Watykanu, bo na nic się to nie zda.

Pozwól więc, że na koniec przypomnę cytat z Owidiusza, mojego ulubionego poety rzymskiego, przytoczony przez Atta Melaniego: „Twoim przeznaczeniem, Faetonie, jest być śmiertelnym, ale to, czego pragniesz, nie jest pragnieniem śmiertelnika”.

Wierzę, że przyniesiesz szczęście parze moich przyjaciół. Zastanawiasz się zapewne, w jaki sposób?

Odpowiedzi udzieli Ci Bóg, *quem nullum latet secretum*.



## Materiały źródłowe

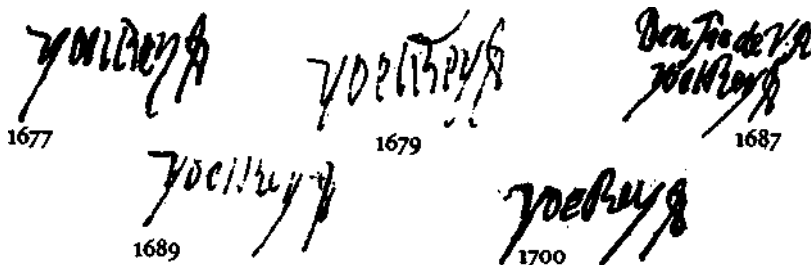
### *Podpis króla Hiszpanii Karola II*

Jeśli to prawda, że testament Karola II został sfalszowany, należy zastanowić się, co by się stało, gdyby nie doszło do oszustwa.

Być może nie wybuchłaby wojna o hiszpańską sukcesję albo zawarto by inne sojusze, inny byłby zatem wynik konfliktu. Być może, zgodnie z traktatem rozbiorowym, Korona hiszpańska zostałaby pokojowo podzielona między mocarstwa. Francja nie poniosłaby strat w wojnie i zachowała dominującą pozycję na kontynencie. Rewolucja 1789 roku przyjęłaby inny obrót albo wybuchła nieco później. Po zakończeniu konfliktu rozkład sił w Europie wyglądałby zupełnie inaczej, inne byłyby też losy państw europejskich w późniejszych wiekach.

Jak stwierdzić, że podpis jest fałszywy? To oczywiście, należy zwrócić się do grafologa, a nawet dwóch.

Autentyczny podpis Karola II znajduje się w archiwach dużych miast europejskich, gdzie przechowuje się dyplomatyczną korespondencję królów Hiszpanii z ich ambasadorami lub innymi monarchami. Poniżej zamieszczam pięć podpisów Karola II z różnych okresów jego krótkiego życia:



A oto podpis widniejący na testamencie, przechowywany w Simancas w Hiszpanii:



Nawet laik zauważył, że ten energiczny podpis nie mógł wyjść spod ręki schorowanego człowieka, który ostatnie miesiące życia spędził w łóżku (testament podpisał rzekomo na miesiąc przed śmiercią). Wcześniejsze podpisy są niepewne, nieregularne, niekiedy chwiejne. Im bliżej śmierci, tym pismo jest bardziej rozchwiane. Nieoczekiwanie ostatni podpis, z testamentu, złożony przez umierającego króla, sprawia wrażenie, jakby wyszedł spod ręki młdzieńca.

Laik może się mylić. Zwróciliśmy się zatem do dwóch doświadczonych grafologów przeprowadzających ekspertyzy sądowe - jednego z okolic Weroni, drugiego z Neapolu, a dokładniej, do grafologa kobiety z północnych Włoch i grafologa mężczyzny z południowych. Oczywiście nie znali się i swoje opinie napisali niezależnie.

Najpierw nadeszła odpowiedź z Północy. Oto ekspertyza Mariny Tonini:

*.. porównanie podpisu datowanego 3 października 1770 z podpisem z kwietnia 1770 roku rodzi wątpliwości co do podpisu na testamencie. Poza tym w podpisie z kwietnia 1770 roku brakuje litery „l” w „el”, w całości „yo el Rey”. Podobne zastrzeżenie mam co do podpisu A5. Wątpię, czy podmiot był w stanie podpisać się tak zamasyżycie na testamencie.*

*Na podstawie przeprowadzonej analizy - zaznaczam, że dysponowałam jedynie zdjęciami i fotokopiami sygnatur - stwierdzam, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż podpis widniejący na testamencie nie wyszedł spod tej samej ręki co pięć pozostałych.*

Wyrażenie „duże prawdopodobieństwo” znaczy, że - zgodnie ze zwyczajem przyjętym wśród grafologów - Marina Tonini pozostawiła sobie pewien margines niepewności, nie miała bowiem do dyspozycji oryginałów, jedynie fotokopie podpisów, ponieważ listy, z których one pochodzą, znajdują się w archiwach Hiszpanii i Austrii.

Po pewnym czasie nadeszła druga ekspertyza, wykonana przez adwokata i grafologa sądowego z Neapolu, Andree Faiella. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności podczas studiów uniwersyteckich badał on kwestię hiszpańskiej sukcesji i dobrze znał materiały, którymi dysponują archiwa w Neapolu. W porównaniu z analizą Mariny Tonini ekspertyza Faiella rzuca jaśniejsze światło na całą sprawę. Adwokat osobiście zbadał inne podpisy Karola II, widniejące

na oryginalnych dokumentach, znajdujących się w Państwowym Archiwum w Neapolu. Jego ekspertyza jest więc bardziej szczegółowa.

*W podpisie na testamencie litery **nie są pochylone**, co świadczyłoby o drżeniu, niepewności i zmęczeniu piszącego [...] (byłoby to zrozumiałe, zważywszy na stan zdrowia Karola II w okresie, z którego pochodzi domniemany podpis).*

*Pismo ma charakter **płynny** (znaki są lekko pochylone w prawo i niezależnie od tego, czy podpis składany był w pośpiechu, czy ze spokojem, świadczą o energii i zdecydowaniu osoby piszącej).*

*W podpisie występują także znaki **szybkie**, litery lub fragmenty liter nie dochodzą do dolnej linii, rzeczywistej lub wyobrażonej, albo ją przekraczają [...]. Porównanie z oryginalnymi podpisami pozwala dostrzec różnice w parafce na końcu sygnatury [...]. Parafka w testamencie ma inny kąt nachylenia, inaczej przebiegają linie i kreski.*

*Podpis pozbawiony jest poprawek, pogrubień, wykończeń. Litery wykonane są płynnie, dokładnie, co wskazuje na zupełnie inny stan fizyczny osoby piszącej niż ten, w którym znajdował się król.*

#### Wnioski

*Niżej podpisany stwierdza, co następuje:*

- *podpis na końcu testamentu datowanego 3 października 1700 nie ma żadnych cech własnoręcznego pisma Karola II Habsburga*
- *badany podpis należy uznać za NIE A UTENTYCZNY.*

Zatem to prawda. Testament króla Hiszpanii, w którym na następcę tronu wyznacza się Filipa Andegaweńskiego, wnuka Ludwika XIV, nie został podpisany przez Karola II. Być może król podpisał inny testament, później zniszczony, w którym pozostawiał dziedzictwo któremuś z Habsburgów austriackich. Ale to tylko przypuszczenia. Jedno jest pewne - dynastia Burbonów przejęła tron Hiszpanii nielegalnie, a jej przedstawiciel otrzymał berło na podstawie fałszywego testamentu. Można by zarzucić Franciscowi Franco, że po drugiej wojnie światowej nie doprowadził do powrotu na tron Juana Carlo-sa I Burbona, ale wybrał następcę Filipa V, także Burbona.

Obie ekspertyzy zostały złożone z biurze notarialnym:

Dr. Stefan Prayer  
Notariat Dr. Wiedermann und Dr. Prayer  
Vivenotgasse 1/7  
A- 1120 Wiedeń (Austria)  
Tel.+43-1-813 13 56  
Fax+43-1-813 13 56 23

Zainteresowane osoby mogą zapoznać się z ekspertyzami, udając się osobiście do wiedeńskiego biura notarialnego, lub poprosić o przesłanie uwierzytelnionej fotokopii, a tym samym na własne oczy przekonać się o jednym z wielu oszustw w historii ludzkości.

Autentyczne podpisy zbadane przez dwoje grafologów pochodzą z:

1677, Wiedeń, Haus- Hof- und Staatsarchiv, Spanien, Hofkorrespondenz 7 [Fasc. 10], s. 1.

1679, *ibidem*, s. 12.

1687, opublikowany przez L. Pfandla, *Karl II - Das Ende der spanischen Machtstellung in Europa*, Monachium 1940, s. 176.

1689, Wiedeń, Haus- Hof- und Staatsarchiv, Spanien, Diplomatische Korrespondenz 59, s. 503.

1700, opublikowany przez Pfandla, *ib.*, s. 448.

Ekspert Andrea Faiello zapoznał się z oryginalnymi podpisami Karola II, przechowywanymi w Archiwum Historycznym w Neapolu:

- Archiwum Giudice Caracciolo di Villa, dział Pergaminów, koperta nr 134;

- Archiwum Sanseverino di Bisognano, dział Pergaminów, koperta nr 29;

- Archiwum Giudice di Cellamare, dział Pergaminów, koperta nr 94, dok. nr 15.

Testament Karola II znajduje się w Hiszpanii, w Archivo general de Simancas, Estado K, koperta 1684, nr 12.

### ***Opinia czy mediacja?***

Jedynie dokładna rekonstrukcja wydarzeń pozwala rzucić światło na spisek, w wyniku którego Albani, Spinola i Spada zdyskredytowali Innocentego XII i poradzili królowi Hiszpanii, aby na następcę tronu wyznaczył Francuza. Była to wystarczająca przesłanka, by sfalszować testament Karola II, który pragnął oddać tron Hiszpanii Habsburgom. Obydwa fałszyfikaty, czyli sfalszowana opinia papieża i sfalszowany testament, miały się nawzajem potwierdzać. Przestępstwo doskonałe, w które wszyscy uwierzyli. Do dziś.

Wszystko zaczęło się wiosną 1700 roku, kiedy rozeszła się wieść, że Karol II sporządził testament, w którym na następcę tronu wyznaczył Habsburga, arcyksięcia Austrii, piętnastoletniego syna cesarza wiedeńskiego Leopolda I.

27 marca nuncjusz papieski w Madrycie napisał do Rzymu: „Jest prawdo-

podobne, że król wybierze na swojego następcę księcia tej samej krwi, z domu austriackiego, a nie Francuza". Karol zamierzał więc oddać tron Habsburgom z Austrii (M. Landau, *Wien, Rom und Neapel. Zur Geschichte des Kampfes zwischen Papsttum und Kaisertum*, Lipsk 1884, s. 455, nr 1).

Jak wynika z listu Marii do Atta (por. O. Klopp, *Der Fall des Hauses Stuart*, VIII, Wiedeń 1879, s. 496), Karol II poprosił kuzyna Leopolda I, żeby wysłał z Wiednia do Madrytu swojego młodszego syna, piętnastoletniego arcyksięcia Austrii. Kazał nawet wyszykować flotę w porcie w Kadyksie, która miała wyruszyć po księcia. Było więc jasne, że Karol II uczyni arcyksięcia swoim spadkobiercą. Ale wówczas wtrącił się Arcychrześcijański Król. Kiedy tylko dowiedział się o całej sprawie, wysłał do Karola II swojego ambasadora, informując, że jego decyzję uznaje za formalne zerwanie pokoju. Natychmiast kazał przygotować flotę w Tulonie, o wiele silniejszą od floty hiszpańskiej, gotową do zaatakowania statku wiozącego arcyksięcia Austrii do Hiszpanii. Ponieważ Leopold I nie chciał narażać syna, Karol II zaproponował, by wysłał arcyksięcia do posiadłości hiszpańskich we Włoszech. Leopold I wahał się, ponieważ po wojnie z Turkami nie chciał narażać poddanych na kolejne wydatki w celach obronnych. Król Francji dobrze o tym wiedział. Rozumiał, że nadeszła odpowiednia chwila, by zadać decydujący cios. Chcąc wystraszyć Hiszpanów, ujawnił tajny pakt rozbiorowy dotyczący ich królestwa, który podpisał dwa lata wcześniej z Holandią i Anglią. Karol II, wystraszony, czym prędzej wrócił z Eskurialu do Madrytu. Na dworze zapanowało poruszenie. Rada Państwa bała się Francji, a chcąc uniknąć francuskiej inwazji, gotowa była zgodzić się, by następcą tronu został wnuk Arcychrześcijańskiego Króla.

W niedzielę 6 czerwca Rada Państwa rządu hiszpańskiego poprosiła Ludwika XIV, by podał imię wnuka, który zasiądzie na tronie Hiszpanii (Landau, *ibidem*).

13 czerwca Karol II zwrócił się o pomoc do papieża (por. Galland, *Die Papstwahl des Jahres 1700 in Zusammenhang mit den damaligen kirchlichen und politischen Verhältnissen*, w: *Historisches Jahrbuch der Görres-Gesellschaft*, III, 1882, s. 226, oraz L. Pfandl, *Karl II...*, *op. cit.*, s. 442). Jednocześnie Karol II napisał do kuzyna, cesarza Leopolda w Wiedniu, informując go, że poprosił papieża o mediację. Do pisma dołączył kopię listu wysłanego do Ojca Świętego.

Na konferencji ministrów, którzy zebrali się w Wiedniu, żeby przedyskutować posunięcie króla, stwierdzono: „Co się tyczy listu króla Hiszpanii, pisze on, że zwrócił się do papieża z prośbą o mediację” (w oryginale: *remissio ad mediationem*, por. protokół konferencji Rady Cesarskiej z 6 lipca 1700 roku, Wiedeń, Haus-, Hof- u. Staatsarchiv, *Geheime Conferenzprotokolle*, Conferentia vom 6 Juli 1700. Por. także A. Gaedeke, *Die Politik Österreichs in der spanischen Erbfolgefrage*, Lipsk 1877, II, s. 188-189).

List został przeczytany na konferencji Rady Cesarskiej 6 lipca i dołączony

do akt. U schyłku XIX wieku zniknął. Klopp na próżno go poszukiwał w Archiwum Państwowym w Wiedniu, czyli tam, gdzie powinien się znajdować (O. Klopp, *Der Fali...*, *op. cit.*, VIII, s. 504, nota 1).

To nie wszystko. 24 lipca w Rzymie po długim oczekiwaniu Lamberg uzyskał audiencję u papieża. Jak wynika z relacji Lamberga, Ojciec Święty, zapytany o sukcesję hiszpańską, powiedział: „Ponieważ nie mogę negocjować z księciem Orańskim [czyli królem angielskim Wilhelmem III, protestantem], nie mogę przeprowadzić mediacji” (por. L. v. Lamberg, *Relazione istorica umiliata alla maesta deWaugustissimo imperatore Leopoldo I*, Wiedeń, Nationalbibliothek, s. 30). Lamberg przypomniał papieżowi, że Anglicy i Holendrzy związani są z całą sprawą tylko pośrednio. Głównym problemem była Francja. Papież odparł: „To fatalnie, ale cóż możemy uczynić? *Odbiera się nam godność należną wikariuszowi Chrystusa i nie dba o nas*”.

Kogo miał na myśli? Prawdopodobnie osoby ze swojego otoczenia - sekretarza stanu Spadę, sekretarza do spraw brewe Albaniego oraz kamerlinga Spinolę z San Cesareo, którzy bardziej niż ktokolwiek inny mogli pozbawić go autorytetu i działać na własną rękę. W tym czasie sfalszowana opinia papieża została już wysłana do Hiszpanii.

Gdy dotarła do Madrytu, Karol II nie zmienił zdania. Jak wynika z protokołów konferencji ministrów, które odbyły się w Wiedniu 23 i 24 sierpnia 1700 roku (Wiedeń, Haus-, Hof- und Staatsarchiv, *Geheime Conferenzprotokolle* z 23 i 24 sierpnia. Por. Także O. Redlich, *Geschichte Osterreichs*, Gotha 1921, VI, s. 503), Karol II, za pośrednictwem wysłannika cesarskiego w Madrycie Ludwiga Harracha, miał powiadomić cesarza o swoim niezłomnym postanowieniu zachowania monarchii hiszpańskiej w rękach Habsburgów. 10 września Karol miał kolejny raz wyrazić niezadowolenie z powodu nacisków wywieranych na niego przez Radę Państwa, aby na następcę tronu wyznaczył Francuza. Karol II był ciężko chory, lecz nie zapomniał o tym, co wpajano mu od dzieciństwa - królestwo należy przekazać Habsburgowi, bo, jak sam powiedział, „tylko Habsburg jest godny Habsburga”.

Karol II napisał też do swojego ambasadora w Wiedniu, księcia Molesa (F.M. Ottieri, *Istoria delle guerre avvenute in Europa per la successione alla Monarchia delle Spagne*, Rzym 1728, I, s. 391), nakazując mu, by zapewnił cesarza, że hiszpańskim sukcesorem zostanie Habsburg.

Było zatem jasne, że król Hiszpanii, choć schorowany i słaby, nie podpisałby testamentu na rzecz Francji. Jedyłą możliwością było sfalszowanie dokumentu.

### *Rekord szybkości*

Na uwagę zasługuje sposób, w jaki sfalszowano opinię papieża.

3 lipca ambasador hiszpański książę Uzeda został przyjęty na audiencji u Innocentego XII, co wszystkim zaskoczyło, Uzeda był bowiem u papieża także dzień wcześniej. Książę przekazał papieżowi list podpisany przez króla Hiszpanii, z datą 13 czerwca, który dopiero co nadszedł z prośbą króla o mediację.

Przebieg spotkania Uzedy z papieżem zrelacjonował później marszałek Tesse (R. de Fralay, *Memoires*, Paryż 1806, I, s. 178), któremu książę o wszystkim opowiedział. Na początku papież czynił trudności i nie chciał wypowiadać się w tak delikatnej sprawie. Ustąpił dopiero po usilnych naleganiach Uzedy, który przedstawił Innocentemu XII ekspertyzy prawników i teologów (Landau, s. 452 i następne). Książę przeszedł już wtedy na stronę Francuzów, ale udawał przyjaciela cesarstwa i Lamberga, który dowiedział się o tym zbyt późno (por. *Relazione...*, s. 8). Chcąc namówić papieża do napisania odpowiedzi na list króla Hiszpanii, Uzeda poprosił o pomoc trzech kardynałów: sekretarza stanu Spadę, sekretarza do spraw brewe Albaniego oraz ka-merlinga Spinolę z San Cesareo (Landau, s. 453, który cytuje Tessego).

12 lipca stary papież ustąpił. Jak pisze Lamberg (*Relazione, ibidem*), tego dnia „zawiódł zaufanie, które *sanctissimum humani pectoris bonum es* 14 lipca Ojciec Święty oficjalnie nominował trzech kardynałów na członków kongregacji, która miała zredagować odpowiedź dla Karola II (*ibidem*, s. 23).

16 lipca wysłano odpowiedź papieża do Karola II (Voltaire, *Le siecle de Louis XIV*, Lyon 1791, II, s. 180).

Kardynałom wystarczyły dwa dni, od 14 do 16 lipca, by podjąć decyzję w sprawie hiszpańskiej sukcesji. Kwestia ta była na tyle ważna, że purpuraci powinni byli ją dokładnie przedyskutować albo przynajmniej wysłuchać opinii prawników, historyków, ekspertów prawa dynastycznego i tak dalej, co powinno zająć tydzień lub dwa tygodnie. Tymczasem Albani, Spada i Spinola rozwiązali problem w czterdzieści osiem godzin. „Opinia, będąca owocem długiej, poważnej narady [sic!], została przyjęta przez papieża, po czym kardynał Albani podyktował jego odpowiedź zaufanemu kopiście. Pismo wysłano pilnie do Madrytu (Galland, s. 226, który powołuje się na: Ottieri i P. Polidori, *Vita Clementis XI*, Urbino 1727, s. 40).

Opinia papieża, która przesądziła o losach świata, zredagowana została w mgnieniu oka. Stary, chory papież i jedna z najmniej wydajnych biurokracji w Europie pobili rekord szybkości. Choć wydaje się to dziwne, historycy po dziś dzień wierzą w prawdziwość listu papieża.

Zaledwie kilka osób wysunęło przypuszczenie, że został on sfalszowany. Do nielicznych wyjątków należy hiszpański historyk Dominguez Ortiz, który stwierdził: „Ponieważ nie znamy oryginału odpowiedzi papieża, rodzi się

przypuszczenie, że opinia trzech kardynałów (korzystna dla Francji) została sfalszowana" (A. Dominguez Ortiz, *Regalismo y relaciones Iglesia-Estado en siglo XVII*, w: *Historia de la Iglesia en la España de los siglos XVII y XVIII*, t. IV *Historia de la Iglesia en España*, Madryt 1979, s. 88-89, op. cit. w: R. Menendez Pidal, *Historia de España*, Madryt 1994, XVIII, s. 155).

Sfalszowanie odpowiedzi papieża nie było trudne, gdyż Innocenty **XII** nie podpisywał osobiście dokumentów. Na uwagę zasługuje to, że jego następca Albani, z chwilą gdy został papieżem o imieniu Klemens XI, zmienił ten obyczaj: „Liczba dokumentów osobiście napisanych lub poprawionych przez Klemensa XI [...] jest zaskakująco duża. Nieliczni papieże pisali równie dużo, ale dokumentów sporządzonych własnoręcznie przez nich nie zachowało się zbyt wiele" (L. v. Pastor, *Geschichte der Papste*, Fryburg 1930, XV, s. 10). Czyżby Albani obawiał się, że któryś z kardynałów sfalszuje jego pisma, podobnie jak on uczynił w stosunku do swojego poprzednika?

### *Zaginione dowody*

Gdyby prośba Karola II i odpowiedź papieża zachowały się do naszych czasów, bez trudu można by dowieść, że król Hiszpanii prosił Innocentego XII o mediację. Mimo że pisma te były niezwykle ważne, nie pozostał po nich żaden ślad. Również trzy kopie prośby Karola II i dwie kopie odpowiedzi papieża przepadły bez wieści. Na skutek tego dziwnego zbiegu okoliczności rodzą się poważne podejrzenia co do całej sprawy. Poniżej zamieszczamy wykaz dokumentów, które zniknęły.

Z tajnego archiwum Watykanu zniknął oryginał prośby Karola II oraz kopia odpowiedzi udzielonej przez Innocentego XII. Zdaniem pracowników archiwum obydwie pisma powinny znajdować się na swoim miejscu (zniknięcie dokumentów zauważono już w XIX wieku. Por. Galland, s. 228, nota 5).

W hiszpańskim Archiwum General w Simancas brakuje zarówno oryginału listu Karola II, jak i kopii odpowiedzi Innocentego XII (już w 1882 roku dyrektor hiszpańskiego archiwum stwierdził ich zniknięcie. Por. Galland, *ibidem*).

W Państwowym Archiwum w Wiedniu brakuje kopii listu Karola II do papieża, którą król wysłał osobiście do cesarza Leopolda I (zaginięcie dokumentu zauważono w połowie XIX wieku, por. Galland, *ibidem*. Klopp również nie znalazł śladu listu, por. *Der Fali...*, op. cit., s. 504, nota 1).

Na koniec w Paryżu, w archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, brakuje dwóch oryginalnych wersji listów, odnalezionych i opublikowanych przez C. Hippeau (*Avenement des Bourbons au trone d'Espagne*, Paryż 1875, II, s. 229-230 i 233-234). Oprócz Hippeau żaden inny historyk nie widział ich więc na oczy.



Jak się okazuje, praktycznie we wszystkich największych stolicach europejskich stwierdzono brak jakiegos dokumentu.

Krótką wzmianką o oryginalnych listach opublikowanych przez Hippeau. W 1702 roku po Włoszech krążyła kopia domniemanego listu Karola II i odpowiedzi Innocentego XII, który radził królowi Hiszpanii, by na następcę tronu wyznaczył Francuza. Ponieważ Albani był niegdyś członkiem kongregacji zajmującej się sprawą sukcesji, Lamberg (Klopp, *ibidem*) udał się do niego, wówczas już papieża Klemensa XI, z prośbą o wyjaśnienia.

Albani odparł, że w tych listach „była odrobina prawdy, choć w większości zawierały one kłamstwa, co upoważnia go do stwierdzenia, że ani pismo Karola II, ani odpowiedź Innocentego XII nie są prawdziwe”. Papież poprosił Lamberga, by opublikował jego słowa (Klopp, *ibidem*; Galland, s. 229, nota 5).

Mimo publicznego zdementowania ich treści przez niektórych historyków XVIII wieku listy (zapewne z braku innych dokumentów) uznane zostały za prawdziwe. Nie przeszkodziło im to, że opinia papieża nosi datę 6 zamiast 16 lipca. W następnych stuleciach powstało z tego powodu wiele błędów w chronologicznej rekonstrukcji faktów. Do dziś niektóre podręczniki historii zawierają błędy.

### ***Oczywiście, to też jest prawda***

#### ***Maria i Ludwik***

Nie ma wątpliwości, że w Hiszpanii Maria szpiegowała na rzecz Francji i że do końca utrzymywała tajne kontakty z Ludwikiem XIV. Ich pośrednikiem był Atto Melani. Potwierdzają to wspomniane poniżej dokumenty, odnalezione przez autorów książki.

Atto Melani naprawdę przyjaźnił się z Marią Mancini i był pełen podziwu dla jej słynnych siostr. Jedną z nich, Hortensję, wspomina w swoim dzienniku (*Memoires d'Hortense et de Marie Mancini*, wyd. Descot, Mercure de France, Paryż 1965, s. 33): „...un eunuque italien, musicien de M. le Cardinal, homme de beaucoup d'esprit" interesował się „egalement pour mes soeurs et pour moi". Dodaje też: „l'eunuque, son confident [tzn. Marii Mancini] qui demeurait sans credit par son absence, et par la mort de M. le Cardinal, entreprit de se rendre necessaire aupres de moi; [...] Cet homme avait conserve un acces assez libre aupres du Roi depuis le temps qu'il etait confident de ma soeur [tzn. Marii Mancini]" (cytat za: R.L. Weaver, *Materiali per le biografie dei fratelli Melani*, w: *Rivista italiana di Musicologia*, XII (1977), s. 252 i następane).

Listy Marii do Atta, za którego pośrednictwem wdowa po konstablu zwraca się do Króla Słońce, nazywając go „Sylwiuszem” lub „Lidiuszem”, istnieją naprawdę. Autorzy książki odnaleźli je w Paryżu, razem ze sprawozdaniami, które Maria wysyłała z Hiszpanii do Atta, na krótko przed wybuchem wojny o hiszpańską sukcesję. Sprawozdania te są dowodem szpiegowskiej działalności Marii. Jej agentem we Francji był Atto, który przekazywał ministrom Ludwika informacje zawarte w listach przyjaciółki (listy Marii i Atta zamieszczone zostały w: C.P. Romę Suppl. 10 - *Lettres de l'abbe Melani*, s.s. 120, 185, 187, 206, 222, 259, 281, 282, 285).

Mimo że Maria żyła z dala od Francji, miała zawsze przed oczyma postać Ludwika. W liście do Atta, napisanym w Toledo 9 sierpnia 1701 (s. 285), wyznała, co czuje, patrząc na Filipa V: „Je suis attendrie quand je le vois, me souvenant de son grand Pere quand ii etoit de son age”.

Do dziś nikt nie wiedział o tej trwającej czterdzieści lat korespondencji między Attem Melanim a Marią Mancini ani o zaszyfrowanych informacjach dla Ludwika XIV. Choć powstało szereg obszernych biografii Marii Mancini (między innymi L. Perey [L. Herpin], *Une princesse romaine au XVII siecle*, Paryż 1896; C. Dulong, *Marie Mancini*, Paryż 1980), w żadnej z nich nie ma mowy o jej prawdziwej roli w życiu monarchy.

Wiele faktów wskazuje na to, że w ostatnich latach życia Król Słońce nadal myślał o swojej pierwszej miłości. Oto kilka przykładów. Pewnego dnia Ludwik XIV polecił Philidorowi, jednemu z nadwornych muzyków, by sporządził wykaz wszystkich sztuk wystawionych za jego panowania. Król i muzyk często dyskutowali o tej sprawie. Philidor wyznał królowi, że nie pamięta roli Pana w *Ballet de Plaisirs*. Wtedy Ludwik XIV zaśpiewał z pamięci fragment utworu. „Pamiętał więc arie, do której tańczył w Luwrze przed sześćdziesięciu laty i którą zapewne nucił, jak to miał w zwyczaju, podczas spacerów ze swoją kochaną Marią na tarasie w Tuileries, albo dalej, w stronę ogrodów Renarda” (Combescot, *Lespetites Mazarines*, Paryż 1999, s. 402).

W 1702 roku aresztowano i uwięziono w Bastylii rzekomego ojca kapucyna, podejrzanego o szpiegostwo. Strażnik, porucznik d'Argenson, znalazł przy więźniu listy i kosmyki włosów licznych kochanek, wśród których były też damy dworu. Odkrył też imię Marii, która - urzeczona urokiem domniemanego zakonnika - miała z nim romans, a nawet przedstawiła go nowemu królowi Hiszpanii Filipowi V.

Wiść dotarła do Króla Słońce. Z chwilą gdy Ludwik dowiedział się, że jego dawna ukochana była jedną z licznych kochanek kapucyna, kazał przeprowadzić dokładne śledztwo (skutkiem czego fałszywy kapucyn spędził wiele lat w więzieniu). Maria, która przebywała wówczas w Awinionie, bardzo się zaniepokoiła, ponieważ obawiała się, że wyjdzie na jaw jej szpiegowska

działalność na niekorzyść Francji. Przede wszystkim jednak chciała sprawdzić, czy król wiedział o jej romansie z kapucynem. Sprawa podejrzenia o szpiegostwo zesłała więc na dalszy plan, jako że Ludwik pragnął poznać prawdę o miłosnej przygodzie Marii, ona zaś wystraszyła się, że on się o wszystkim dowie.

W 1705 roku, po ponad czterdziestu latach rozłąki, Maria wróciła do Paryża. Za pośrednictwem księcia d'Harcourt nadeszło zaproszenie króla do Wersalu i propozycja pomocy finansowej. Maria odrzuciła jedno i drugie. Nie chciała pokazać swojemu dawnemu ukochanemu, jak bardzo się zestarzała. Maria i Ludwik nie spotkali się więc ani wtedy, ani nigdy więcej.

Mancini chciała być pochowana w miejscu, w którym umrze. Tak też się stało. Zmarła nagle, w Pizie, 8 maja 1715 roku. Zgodnie z jej wolą na płycie nagrobnej wyryto dwa słowa - *puhis et cinis*, proch i popiół. Płytę można dziś zobaczyć w kościele Santo Sepolcro.

Dokładnie miesiąc później wiadomość o śmierci Marii dotarła do Rzymu, gdzie mieszkały jej dzieci, a stamtąd obiegła całą Europę. Być może był to przypadek, ale kiedy Ludwik XIV dowiedział się prawdy, zaniemógł. Kilka dni później opuścił Wersal i przeniósł się do rezydencji w Marly. W Zielone Świątki chirurg Mareschal powiadomił panią de Maintenon, że król jest bliski śmierci. Małżonka Ludwika zdenerwowała się i kazała lekarzowi milczeć. Stan monarchy pogarszał się jednak z każdym dniem, w sierpniu nie było już wątpliwości - gangrena. Pierwszego września nastąpiła śmierć.

Gdyby żył wtedy opat Melani, zmarły rok wcześniej, powiedziałby zapewne: „Ludwik i Maria nie mogli razem żyć, ale razem odeszli z tego świata”.

*Pastor Fido* Giambattisty Guariniego, dramat, który wspólnie czytawali i skąd czerpali cytaty do swoich listów, w ubiegłych stuleciach cieszył się dużym powodzeniem. Po inscenizacji na dworze w Ferrarze (1598) wystawiany był w całej Europie aż do schyłku XVIII wieku.

Na dworze francuskim znajdowały się arrasy ze scenami z poematu, wykonane między innymi przez Francois de la Planche'a, *alias* van der Plancken, o którym wspomniał powieściowy Atto, oraz jego syna Raphaela (por. „L'ob-jet d'art” z maja 2001 roku, z recenzją z wystawy arrasów *Delices et Tour-ments* w paryskiej galerii Blondeel-Deroyan).

Również słowa podziękowania, złożone przez Marię Fouquetowi w ogrodach „Okrętu”, były autentyczne. List z tymi słowami, o którym mówi Atto Melani, przechowywany jest w Paryżu (Bibliothèque Nationale, Ms. Baluze 150, s. 237; por. także C. Dulong, *op. cit.*, s. 101).

Wygląd Marii Mancini podczas pierwszej wizji w „Okręcie” odpowiada prawdzie (por. opis jej postaci, dokonany przez anonimowego autora w bro-

szurze *La lettera conclusiva*, zawartej w: *Memorie della S. P. M. M. Colonna, connestabilessa del regno di Napoli*, Kolonia 1678). Prawdziwe są też wszystkie anegdoty i opowieści o kochankach Króla Słońce (por. liczni autorzy pamiętników z epoki, jak również starannie udokumentowana praca Simone Bertiere, *Lesfemmes du Roi soleil*, Paryż 1998).

Wszystkie opowieści Marii o Karolu II i dworze hiszpańskim są historycznie udokumentowane (por. Ludwig Pfandl, *Karl II - Das Ende der spanischen Machtstellung*, Monachium 1940).

Również osobiste relacje Elpidia Benedettiego z opatem Melanim odpowiadają prawdzie. Benedetti rzeczywiście udał się do Francji, żeby zobaczyć pałac Nicolasa Fouqueta w Vaux-le-Vicomte (por. D. Di Castro Moscati, *L'abate Elpidio Benedetti*, w: „Antologia de Belle Arti”, nowa seria, nr 33-34, 1988, s. 78-95), jak powiedział w powieści Atto. W swoim testamencie Benedetti naprawdę zapisał opatowi cztery duże mariny, dwa tonda (jedno z przedstawieniem Galatei, drugie - Europy), niewielki obraz z przedstawieniem koronacji małego Ludwika i szkatułkę wysadzaną drogocennymi kamieniami (Archiwum Państwowe w Rzymie, Trzydziestu Notariuszy Kapholińskich, biuro 30, notariusz Thomas Octavianus, tom 305, s. 479).

Benedetti związany był z całą rodziną Melanigo; w testamencie wymienił też dwóch jego braci. Filipowi zapisał dwa obrazy Salvucciego, a Alessandrovi cztery główki Angeliniego, kieliszki do wina oraz filiżanki i dzbanki do czekolady.

Przepowiednia Solona, którą cytuje Maria Mancini w liście do Atta („Bóg wielu ludziom pokazał szczęście, a później pognębił ich i zniszczył”), spełniła się. Na przełomie 1711 i 1712 roku Arcychrześcijański Król stracił wszystkich potomków. Wielki delfin, ojciec delfina i syn Jego Wysokości, zmarł w roku 1711. Rok później umarła Maria Adelajda Burgundzka, żona delfina Francji, wnuka Jego Wysokości i matka dwóch synów, ostatnich dziedziców tronu. Maria Adelajda zmarła na odrę 12 lutego 1712 roku wieczorem, w wieku zaledwie dwudziestu sześciu lat. Sześć dni później zmarł jej mąż, delfin, także na odrę. Następnie 8 marca odszedł pierwszy syn, pięcioletni Ludwik, książę Bretanii. Również młodszy syn zachorował na odrę, ale przeżył. Miał wówczas dwa lata i zaczynał mówić.

Arcychrześcijański Król przestraszył się nie na żarty. Był już stary i nie mógł pogodzić się z myślą, że umrze bezpotomnie. Zwrócił się więc do swojego wnuka, księcia Andegaweńskiego, który dzięki niemu został królem Hiszpanii Filipem V. Ale Filip nie chciał dziedziczyć po dziadku, wolał zostać w Madrycie.

Dziwnym zrządzeniem losu Arcychrześcijański Król znalazł się więc w ta-

kim samym położeniu jak Karol II, król Hiszpanii, dwanaście lat wcześniej. Stał na czele potężnego państwa, ale nie miał potomków. Nie mógł przecież brać pod uwagę dwuletniego prawnuka, delikatnego i narażonego na choroby.

Szczęście dopisało Ludwikowi dopiero *post mortem*. Prawnuk przeżył i zasiadł na tronie Francji jako Ludwik XV. Dzisiaj jednak jego dynastia - francuscy Burbonowie - wygasła (aktualnie prawa dynastyczne przysługują linii orleańskiej). Natomiast dynastia Burbonów hiszpańskich, wywodzących się od Filipa V, jest bardzo liczna i płodna (Juan Carlos ma wielu braci i synów).

Spełniła się więc ostatnia przepowiednia Capitor - Ludwik XIV za pomocą sfałszowanego testamentu pozbawił Koronę hiszpańską prawowitego dziedzica. Nie przewidział jednak, że mocą tego samego testamentu Korona hiszpańska pozbawi dziedziców Francję.

29 lipca 1714 roku spełniła się obawa opata Melaniego - Ludwik XIV wydał edykt, na mocy którego otworzył drogę do sukcesji nieślubnym synom. Od tej chwili, jak stwierdził Atto, nie tylko syn królowej, ale ktokolwiek mógł zostać królem. Każdy człowiek z ludu mógł więc zapytać: dlaczego nie ja? Kwestię tę pomogła później rozwiązać gilotyna.

### *Capitor, portret z papugą, Virgilio Spada*

Juan Bękart odwiedził dwór paryski w marcu 1659 roku w towarzystwie obłąkanej Capitor. To prawda, że po ich wizycie zmieniło się nastawienie Mazzariniego do Ludwika i Marii. Kardynał starał się za wszelką cenę ich rozdzielić, choć nikt nie rozumiał, dlaczego.

Pieśń, którą Atto z Capitor śpiewali Mazzarinemu, to *Passacaglia della vita* anonimowego autora, opublikowana w: *Canzonette spirituali e morali*, Mediolan 1677.

Obraz *Martwa natura z globusem i papugą*, pędzla flamandzkiego malarza Pietera Boela, przedstawiający trzy podarunki Capitor, należy do zbiorów Gemaldegalerie der Akademie der Bildende Künste w Wiedniu (nr inwent. 757). Boel przeniósł się do Paryża na krótko przed przybyciem Capitor, mógł zatem namalować *cadeaux* dla Mazzariniego. Powieściowy opis statuetek morskich bóstw zdobiących tacę i ich dziwnie ułożonych nóg, które wydają się nie należeć do żadnego z nich, jest wierny (można je zobaczyć w Internecie, pod adresem [www.kgi.ruhr-uni-bochum.de/stilleben/data/html/c/3/1.htm](http://www.kgi.ruhr-uni-bochum.de/stilleben/data/html/c/3/1.htm) lub [idw-online.de/public/zeige\\_bild.html?imgid=5144](http://idw-online.de/public/zeige_bild.html?imgid=5144)).

Drugi obraz ukazujący podarunki Capitor (który według Atta Bękart zamówił przed rozstaniem się z cennymi przedmiotami) namalował Jan Davids-

zoon de Heem. Dzieło, należące niegdyś do kolekcji Koetsera, znajduje się obecnie w Kunsthau w Zurychu. Warto podkreślić, że autor obrazu przedstawił globus niebieski (odpowiednik globusa ziemskiego, podarowany Mazzari-niemu) oraz puchar z nóżką w kształcie centaura. Brakuje natomiast naj-ważniejszego tematu - Neptuna z Amfitrytą. Złota taca z obrazu przykryta jest do połowy draperią, widoczne są jedynie morskie konie ciągnące wóz z bóstwami. Czyżby artysta pragnął ukryć przed oczami ciekawskich tajemnicę Tetrachiona?

### *Postacie*

Atta i Buvat rzeczywiście byli przyjaciółmi i współpracownikami. W swoich dziennikach Buvat wspomina, że Melani próbował namówić jego przełożonych do podniesienia mu pensji. Próba ta zakończyła się niepowodzeniem, o czym świadczą zapiski Buvata (*Memoire-Journal de Jean Buvat*, w: *Revue des bibliothèques*, październik-grudzień 1900, s. 235-236).

W paryskiej Bibliothéque Nationale znajduje się (Mss. Fr. n.a. 11220—11222) zbiór zatytułowany *Nouvelles a la main*, z lat 1700-1721. Zawiera on informacje na temat polityki wewnętrznej i zagranicznej Francji, zebrane przez Atta (oraz inne osoby, jako że opat Melani zmarł w 1714 roku), spisane w większości przez Jeana Buvata.

Jean Buvat figuruje też wśród postaci z powieści Alexandre'a Dumasa ojca *Rycerz d'Armental*.

Waligóra (Sfasciamonti) jest postacią rzeczywistą. Rzymski kronikarz z XVIII wieku Francesco Valesio (*Diario di Roma*, Mediolan 1977, II (1702-1703), s. 272-273) wspomina o żandarmie o tym nazwisku 6 września 1702 roku, kiedy Sfasciamonti zajęty był godną siebie czynnością - razem z innym żandarmem mieli dokonać zajęcia ubrań pewnej prostytutki. Nie wykonali jednak zadania, gdyż musieli uciekać przed strażnikiem, uzurpującym sobie prawo do franszyzy na tym terenie. Kula wystrzelona z pistoletu Atta trafiła Sfasciamontiego w siedzenie i uszkodziła jakiś nerw, z relacji Valesia wynika bowiem, że żandarm później utykał.

Reforma papieskiej policji, zaproponowana przez monsiniora Rettiego, o której szeptali dwaj prałaci przed podaniem czekolady, a później podczas zabawy w ciuciubabkę, była rzeczywiście rozważana już w czasach Innocentego XI (por. G. Pisano, / „birri" a Roma nel '600 ed un progetto di riforma del loro ordinamento sotto Upontificato d'Innocenzo XI, w: *Roma - Rivista di studi e di vita romana*, X (1932), s. 543-556).

Podobnie jak wiele innych mądrych reform nigdy nie została wprowadzona w życie.

Ślusarz Giuseppe Perti także istniał naprawdę (por. Valesio, I, 434). Swoje krótkie, burzliwe życie zakończył 8 lipca 1701 roku o godzinie 14. Oskarżony o kradzież i zabójstwa, został powieszony na moście San'Angelo. Tuż przed śmiercią wyraził skruchę, a kiedy stanął pod szubienicą, poprosił gapiów, by odmówili w jego intencji *Salve Regina*. Miał dwadzieścia dwa lata.

Prawdziwe (pod względem wyglądu i charakteru) są też postacie takie jak Corelli, Nicola Zabaglia i Lamberg (o żywym temperamencie Lamberga świadczy jego *Sprawozdanie*, jak również własnoręczne notatki na temat kurii rzymskiej, przechowywane w Wiedniu, w Haus-, Hof- und Staatsarchiv, Botschaft Rom-Vatikan I, Nachlass Gallas; por. też G. Rill, *Die Staatsrdson der Kurie im Urteil eines Neustoizisten (1706)*, w: *Mitteilungen des Österreichischen Staatsarchivs*, XIV (1961), s. 317 i następane).

Arcangelo Corelli opublikował folię w *Opera Fw* roku 1700.

Latający Holender z „Okreću”, Giovanni Henrico Albicastro, bardzo kochał Włochy, dlatego przybrał włoski pseudonim (w rzeczywistości nazywał się Johann Heinrich von Weissenburg). Choć profesor Rudolf Rasch z Uniwersytetu w Utrechcie (któremu autorzy dziękują za cenne informacje) uważnie studiował dziwną postać skrzypka, kompozytora i żołnierza, do dziś pozostaje ona owiana tajemnicą. Albicastro żył najpewniej w latach 1660-1730, pochodził z Bawarii (co wyjaśnia doskonałą znajomość dzieła Sebastiana Branta). Wiadomo, że w młodym wieku przybył do Holandii, do Lejdy, i walczył w wojnie o sukcesję hiszpańską, o czym sam mówi w powieści. Skomponował wiele utworów (między innymi tercety smyczkowe, sonaty na skrzypce, koncerty i kantaty), które dopiero w ostatnich latach wzbudziły zainteresowanie krytyki. Follia Albicastro została nagrana przez Ensemble 415 pod dyktando Chiary Banchini (CD Harmonia Mundi HMA 1905208).

*Statek głupców* Sebastiana Branta to jeden z najsłynniejszych poematów niemieckich XV wieku, opublikowany z okazji karnawału 1494 roku w Bazyli, opatrzony rycinami Albrechta Dürera.

Nazwiska osób należących do personelu domu Spada (don Paschatio, don Tibaldutio, stolnicy, służący itd.) widnieją w księgach rodowych, przechowywanych w dziale Spada-Veralli Państwowego Archiwum w Rzymie.

Atto opowiada, że kardynał Spada bardzo przejmował się tym, żeby nie mieć wrogów. Ta cecha osobowości kardynała nie została zmyślona, czego dowodzą jego listy do krewnych (obecnie przechowywane w dziale Spada-Veralli Państwowego Archiwum w Rzymie).

### *Ramię Atta, kobiety z Auxerre i sekrety konklawe*

Atto powiedział prawdą, kiedy opowiadał, że zranił się w ramię przed jedenastu laty, w 1689 roku w Paryżu. W Państwowym Archiwum we Florencji (dział Mediceo del Principato, rząd 4802) znajdują się listy Atta, między innymi list do Gondiego, sekretarza księcia Cosima III de' Medici, napisany 12 września 1689 roku:

*Za sześć dni kończy się kwarantanna, zranione ramię dokucza mi coraz mniej. Bez codziennych odwiedzin [przyjaciół] umarłbym zapewne ze smutku i rozpacz, ponieważ gdyby nie doszło do tego wypadku, pojechałbym do Rzymu z księciem Chaulnes. Niech się dzieje wola Nieba i oby w tym niebezpiecznym dla mnie roku nie spotkały mnie inne nieszczęścia!*

O tym, że również i tym razem chodziło o prawe ramię, świadczy to, że poprzednich listów Melani nie napisał własnoręcznie, ponieważ wskutek wypadku nie mógł utrzymać pióra (opat Melani był praworęczny) i musiał dyktować listy kopiście.

Epizod na dworze w Auxerre, który Atto opowiada szóstego dnia, również wydarzył się naprawdę. Melani pisał o nim w liście do Gondiego, datowanym 5 lipca 1683 (obecnie w Państwowym Archiwum we Florencji, dział Mediceo del Principato, rząd 4802):

*Po wyczerpującej podróży dwór nie może się doczekać powrotu do Wersalu. Pan de Louvois cierpiał na silny ból brzucha, ale po trzykrotnym upuszczeniu krwi wszystko przeszło. Podobno król schudł, a wszystkie damy dworu są spalone słońcem. Wieść niesie, że kiedy przejeżdżali przez Auxerre, którego mieszkanki słyną z urody, ludzie wyszli na ulice, żeby przyrzeć się orszakowi, a zwłaszcza damom jadącym w karecie z królową. Z kolei damy dworu wystawiły głowy, żeby przyrzeć się gapiom na ulicach i w oknach domów. Wtedy mieszkańcy Awcerre zaczęli wykrzykiwać, że są strasznie brzydkie (sic!), co bardzo rozbawiło króla. Monarcha śmiał się głośno i opowiadał o tym przez resztę dnia.*

Traktat, który Atto napisał dla Króla Słońce (skradziony później przez ceretan), naprawdę istnieje. Autorzy książki odnaleźli rękopis w paryskim archiwum i wkrótce zamierzają go opublikować. Pełny tytuł traktatu brzmi: *Memoires secrets contenant les evenements plus notables des quatre derniers conclaves, avec plusieurs remarques sur la cour de Romę*. Jest to bardzo ciekawa książka, pełna anegdot oraz uwag na temat rzymskiego dworu i sposobów (bardziej lub mniej dozwolonych) wywierania wpływu na przebieg elek-



cji tak, aby doprowadzić do wyboru kandydata, który najbardziej odpowiada Francji i Arcychrześcijańskiemu Królowi.

Prawdzie odpowiadają też spotkania Albaniego, Spady i Spinoli w willi Torre, obecnie Abamelek, rezydencji ambasadora Rosji (por. dziennik rzymski *Yalesia*, I, 26).

### *Cerretanie, pielgrzymi, akuszerki*

Prawdziwe są protokoły przesłuchania dwóch cerretan, które w powieści przeprowadza Waligóra (Sfasciamonti). Dokumenty zostały opublikowane niezależnie przez dwóch uczonych, którzy zdołali do nich dotrzeć (jeśli chodzi o protokół Rudzielca, por. A. Massoni, *Gli accattoni in Londra nel secolo XIXe in Roma nel secolo XVI*, w: *La Rassegna italiana*, Rzym 1882, s. 20 i następane; jeśli chodzi o obydwu protokoły, Rudzielca i Geronima, por. M. Lópelmann, *77 dilettvole esamine de' Guidoni, Furfanti o Calchi, altramente detti Guitli, nelle carceri di Ponte Sisto di Roma nel 1598. Con la cognitione della lingua furbesca o zerga comune a tutti loro. Ein Beitrag zur Kenntnis der italienischen Gaunersprache im 16. Jahrhundert*, w. *Romanische Forschungen*, XXXIV (1913), s. 653-664).

Według Massoniego pierwszy protokół znajdował się w tajnym archiwum watykańskim, gdzie jednak nie mógł go odnaleźć, gdyż nie znał archiwalnej sygnatury. Kopia obydwu protokołów, zdaniem Lópelmanna, przechowywana była w Królewskiej Bibliotece w Berlinie, opatrzona sygnaturą *ital. fol. 17fo. 646r-659v* (przynajmniej do 1945 roku, kiedy miasto zostało zbombardowane przez aliantów).

Żargon złodziejski nie tylko istniał, ale ma długą tradycję we wszystkich językach europejskich. Nawet podstawowe „treese” (idiom, który otrzymuje się, dodając po każdej sylabie „tre”) stosuje się w Rzymie do dziś, na targu przy Porta Portese. Używają go sprzedawcy, kiedy nie chcą być rozumiani przez klientów. Anonimowy słownik, do którego zaglądał Buvat, to *Modo nuovo d'intendere la lingua zerga*, Ferrara 1545.

Kończowa przemowa Majora Generalnego cerretan została spisana i obecnie jest przechowywana w mediolańskiej bibliotece Ambrosiana (rękopis A13, przypisywany Jacopowi Bonfadiowi).

Postacie cerretan i ich stosunki z władzami kościelnymi owiane są tajemnicą. Jak wynika ze słów don Tibaldutia, u schyłku XIV wieku cerretanie mieli oficjalne pozwolenie na zbieranie datków w miejscowości Cerreto, na rzecz

szpitali Zakonu Błogosławionego Antoniego. Pozwolenie wydane przez władze kościelne świadczy o tolerancji wobec cerretan.

Prawdziwość tego dokumentu potwierdzały zapewne stosowne zapiski w statucie miasta Cerreto, spisany w 1380 roku, który niestety zaginął. Wprawdzie istnieje kopia statutu, sporządzona w XVI wieku, ale - zgodnie z tym, co powiedział don Tibaldutio - strony dotyczące zbierania jałmużny zostały wyrwane. Można się o tym przekonać w miejskim archiwum w Cerreto.

Obyczaje, tradycje i przywary cerretan i innych grup żebraczych przedstawione w powieści odpowiadają prawdzie w najdrobniejszych szczegółach (por. P. Camporesi, // *libro dei vagabondi*, Turyn 1973). Jeśli chodzi o Towarzystwo Świętej Elżbiety, por. C.J. Ribton-Turner, *A history of vagrants and vagrancy and beggars and begging*, [przedruk] Montclair, New Jersey 1972.

O sztuczkach z kamforą, zastosowanych przez Ugonia i poszukiwaczy relikwii, żeby wystraszyć nieproszonych gości, oraz o teorii cząsteczek, którą Atto wyjaśnia zjawiska w „Okręcie”, można przeczytać w: M.L.L. De Vallemont, *Laphisique occulte*, Paryż 1693. Autorzy przyznają jednak, że nie mieli odwagi przeprowadzić tych eksperymentów.

Wszystkie anegdoty na temat jubileuszu są autentyczne, włącznie z opowieściami o pielgrzymach, których porwano i zmuszono do pracy w polu. Prawdzie odpowiadają też opowieści don Tibaldutia o jubileuszowych odpuściach (por. F.A. Zaccaria, *Dell'Anno Santo. Trattato storico, cerimoniale epolemico*, Rzym 1824).

Wywody Cloridii na temat położnictwa nawiązują do słynnego traktatu *La commare* Scipione Mercuriego (Wenecja 1676), który przypomina też legendę o Gereonie, trójgłowym królu Hiszpanii. Przypadki takie jak Tetrachion i inne wybryki natury są prawdziwe, można o nich przeczytać w: U. Aldrovandi, *Monstrorum historia cum paralipomenis historiae omnium animalium*, Bolo-  
nia 1642 oraz A. Paré, *Deux livres de chirurgie* (księga II, *Des monstres tant terrestres que marins avec leur portraits*), Paryż 1573.

### **Tajemnica „Okrętu”**

Ruiny willi Benedetta (jak nazwał ją jej założyciel), której budowę rozpoczęto w 1663 roku na polecenie Elpidia Benedettiego, przetrwały do dziś. Można je zobaczyć na wzgórzu Janikulum, w pobliżu bramy San Pancrazio. Opis willi i ogrodu, włącznie z krzywymi zwierciadłami w domku na tarasie, gdzie Atto i jego przyjaciel zobaczyli (albo tak im się tylko zdawało) tetra-

chiona, został zaczerpnięty ze źródeł historycznych, między innymi, książeczka z opisem „Okrętu”, którą pod pseudonimem opublikował sam Benedetti (M. Mayer, *Villa Benedetta...*, op. cit.; drugie wydanie uzupełnione przez P. Erica, Augsburg 1694). Wszelkie szczegóły dotyczące willi i Benedettiego można sprawdzić w starannie udokumentowanej pracy Carli Benocci, *Villa II Vascello*, Rzym 2003.

Benedetti rzeczywiście zostawił willę w spadku Filippo Giuliano Manciniemu, księciu Nevers, bratu Marii i wnukowi Mazzariniego, ale spadkobierca nigdy w niej nie mieszkał, a nawet jej nie widział, ponieważ nie wrócił do Rzymu. Trudno stwierdzić, czy w 1700 roku willa była zamieszкана, zaginęły bowiem akta parafii, do której należał „Okręt” (parafia S. Angelo alle Fornaci).

Od początku istnienia willi dostrzegano w niej pewne „nieprawidłowości” i „niepokojące osobliwości” (por. wywiad A. Chiarle z Carla Benocci, „Villa del Vascello”, „Hiram” 3/2002), począwszy od kształtu okrętu - nawiązującego do symboliki chrześcijańskiej - który zgodnie z wolą Benedettiego miał dziób zwrócony w stronę Watykanu. Poza tym nadmiar symbolicznych aluzji do dworu francuskiego wydaje się „kryć nowatorską, a zarazem głęboko etyczną wizję świata”. Lustra w domku na tarasie są elementem „niepokojącym, ich zadaniem jest zadziwić widza, ale też uświadomić mu, że namacalna, realna rzeczywistość jest tylko złudzeniem kryjącym inne treści”.

Powiedzenia i sentencje wypisane na ścianach pałacu pochodzą z różnych źródeł, przede wszystkim z // *Principe Buono, overo le obbligazioni del Principato* (Rzym 1661), włoskiej wersji pracy Armanda de Bourbon, księcia Conty, przetłumaczonej i wydanej w Rzymie przez Elpidia Benedettiego. W dziele tym jest mowa o religijnych pobudkach, które powinny charakteryzować każdy czyn dobrego księcia, jak również o tym, że nie może on zapominać o podstawowych cnotach chrześcijańskich.

Dla osób zwiedzających „Okręt” w XVIII wieku był on miejscem niezwykle oryginalnym, kryjącym głębokie treści moralne. Willa stanowiła obowiązkowy etap podróży do Rzymu, w ówczesnych przewodnikach określana jako obiekt wart szczególnej uwagi.

W czerwcu 1849 roku, podczas walk o Republikę Rzymską, w willi zakwaterował się Giuseppe Garibaldi ze swoimi oddziałami, a naprzeciwko, w Casino Corsini, znajdowała się baza oddziałów francuskich, które miały zwrócić Rzym papieżowi. W willi Benedettiego zatrzymali się najwybitniejsi przedstawiciele włoskiego Risorgimento, między innymi Bixio, Mazzini, Saffi, Armellini. Wielu z nich tu zmarło, opatrzonych sakramentami przez zakonniką Uga Bassiego. Wśród nich wymienić należy dwudziestotrzyletniego Goffreda Mamelego, autora hymnu zjednoczonych Włoch, który zmarł w ramionach

wielkiej patriotki, księżniczki Belgioioso. Kanonady trwały dwadzieścia sześć dni. Największe szkody poniosły wybrane na siedziby kwater głównych wille Torre i Spada. „Okręt” został niemal doszczętnie zniszczony.

W późniejszych latach niektóre rzymskie wille odbudowano, inne zostały wyburzone, „Okręt” natomiast pozostawiono własnemu losowi.

Do dziś przetrwał parter pałacu oraz okazała elewacja wschodnia, zachowana aż do drugiego piętra. Na wzgórzu Janikulum, gdzie niegdyś wznosiła się dostojna willa Benedettiego, znajduje się dziś widoczna z daleka strzelista, wysmukła ruina. W słońcu połyskują barwne fragmenty fresków i dekoracji ściennych. Ruiny „Okreću” były jednym z ulubionych tematów dziewiętnastowiecznych twórców wedut.

Po wypędzeniu włoskich oddziałów wyzwoleńczych i przywróceniu Rzymu papieżowi Francuzi oszacowali straty i przyznali, że wskutek rabunków dokonywanych przez żołnierzy uległo zniszczeniu to, co ocalało po kanonadach. Kosztorys odbudowy zniszczeń opiewał na dwadzieścia tysięcy skudów, z czego dwie trzecie zobowiązali się pokryć Francuzi. Później jednak, z nieznanых powodów, niczego nie uczyniono. Choć zmieniali się właściciele willi, przez cały czas pełniła ona funkcję zwykłej winnicy.

Po przyłączeniu Rzymu do zjednoczonych Włoch w 1870 roku „Okręt” uznano za „miejsce heroiczne”. W 1876 roku król Wiktor Emanuel II nadał generałowi Giacomo Mediciemu (swojemu adiutantowi z pola walki w 1849 roku) tytuł markiza. Rok później generał kupił willę, ale jej nie odbudował, raczej nosił się z zamiarem wyburzenia resztek pierwszego i drugiego piętra.

W roku 1897 do „Okreću” przybyli z wizytą król Humbert I i królowa Małgorzata. Uznali willę za obiekt historyczny, na pamiątkę Risorgimento. Nie padło jednak ani słowo na temat odbudowy.

Było to dość zastanawiające, zważywszy, że -jak pisze Benocci - od pewnego czasu trwała dyskusja nad rekonstrukcją willi. Zyskała ona nawet międzynarodowy zasięg i w tej sprawie wypowiedziało się wiele znanych osób, między innymi angielski poeta John Ruskin oraz architekci Eugene Viollet-Le-Duc i Camillo Boito.

Co więcej, w latach 1857-1859 odrestaurowano obiekt tuż obok, w którym niegdyś mieściła się kwatera główna oddziałów francuskich - Casino Corsini. Była to piękna willa, ale pod względem oryginalności i zalet estetycznych nie dorównywała budowli Benedettiego.

W 1897 roku Medici powiększył park „Okreću” o majątek graniczący z willą; kazał też wybudować zabudowania służbowe. Miał zatem pieniądze, lecz nie chciał wydawać ich na siedemnastowieczną budowlę, którą stopniowo wyburzano. Czyż nie było to „heroiczne miejsce”, które miało zaszczyt gościć Garibaldiego i Mazziniego? Żołnierz i patriota Giacomo Medici nie wydawał się tym przejmować (mimo że umieścił ruiny „Okreću” w swoim herbie).

Ze wspaniałej budowli do dziś przetrwał tylko parter, w którym urządzono apartament do wynajęcia. Jego właścicielami są markizowie Pallavicini Medici del Vascello, spadkobiercy Giacomina Mediciego.

Zastanawiające, że willa „Okręt” nie została odbudowana (mimo że pałacowe wnętrza zdobyły cenne malowidła, m.in. *Aurora Pietra da Cortony*), ale przeciwnie, stopniowo wyburzana. Zdaniem Carli Benocci budowla została skazana na zapomnienie (*damnatio memoriae*). Ale dlaczego? Może dlatego, że „Okręt” w XVII wieku zdobył sobie sławę „miejsca heterodoksji”, a w wieku XIX „kryjówki garybaldczyków” i nawet „po upływie dwóch wieków napawał obawą”?

Czy „Okręt” jest miejscem tajemniczym? Czy rzeczywiście jest siedliskiem duchów z przeszłości i magicznym miejscem, gdzie dzieje się to, co mogło się wydarzyć, a co nigdy się nie wydarzyło?

Odpowiedzi na to pytanie mogliby udzielić mieszkańcy apartamentu na parterze willi, ale od jakiegoś czasu nikt tam nie mieszka. Ostatni lokator, znany menedżer, zmarł. Wszystko wskazuje na to, że przeznaczeniem „Okrętu” jest, by pozostał niezamieszkały.

Ogród został podzielony na dwie części. W jednej znajdują się ruiny budowli, w drugiej - obejmującej oryginalną bramę wjazdową- generał Medici, po wyburzeniu willi, polecił wznieść niewielki pałacyk. Obecnie jest on siedzibą znanej organizacji o dość skomplikowanej nazwie - Obbedienza Massonica del Grande Oriente d'Italia di Palazzo Giustiniani (via Porta S. Pancrazio nr 8), której autorzy dziękują za oprowadzenie po willi i możliwość rozkoszowania się przepięknym widokiem na Watykan.

### *Willa Spada*

Willa Spada przetrwała do dziś. Podczas walk w 1849 roku uległa zniszczeniu, ale później została odbudowana. Dzisiaj jest siedzibą ambasady Irlandii przy Stolicy Apostolskiej (via Medici 1). Pani ambasador Fiamma Davenport osobiście oprowadziła autorów książki po pałacu i ogrodzie willi. Ogród został, niestety, okrojony w wyniku bezprawnych parcelacji terenów w latach 60., 70. i 80. niemal we wszystkich krajach Europy. Zniszczeniu uległo to, co cudem ocalało w latach drugiej wojny światowej.

Opis pałacu Spada przy Piazza Capodiferro i jego wnętrz (zwłaszcza słynnej galerii iluzjonistycznej Borrominiego i sali z zegarem) odpowiada rzeczywistości. Kardynał Fabrizio Spada kazał odnowić pałac z okazji wesela. Obecnie pałac jest siedzibą Rady Państwa, niektóre sale udostępnione są zwiedzającym.

Kolekcja osobliwości Virgilia Spady mieści się dziś w bibliotece Yallicelliana w Rzymie, przy Oratorium Ojców Filipinów. Niestety w XIX wieku

żołnierze Napoleona zagrabili większość eksponatów, uratowała się niewielka część zbiorów małej wartości. Nie wiadomo też, jakie eksponaty należały pierwotnie do kolekcji, wykradziono bowiem także rejestry.

Ślub Clemente Spady z Marią Pulcherią Rocci rzeczywiście odbył się 9 lipca 1706 roku. Opis scenografii i kwiatnych ozdób w willi Spada, menu uczyty, scena zaślubin, uroczyste kazanie don Tibaldutia, postać Tranquilla Romaulego (dziadka i wnuka o tym samym nazwisku) zaczerpnięte zostały z ówczesnych traktatów i dzienników, m.in. F. Posterla, *Memorie istoriche del presente anno di Giubileo MDCC*, Rzym 1700-1701.

Przytoczone w powieści plotki, anegdoty i rozmowy prowadzone podczas posiłków w willi Spada znajdują potwierdzenie w dokumentach z epoki. Autentyczne są też postacie (z ich sympatiami i antypatiami) kardynałów, arystokratów, ambasadorów, ich wygląd, nawyki itd. Atto nie kłamie, kiedy przechwala się, że przyjaźni się z kardynałami Delfinem i Buonvisim oraz z ambasadorem weneckim Erizzem.

Delfino często pisywał do Atta, był jego informatorem. W jednej z prywatnych kolekcji w Rzymie znajduje się zbiór listów, które Delfino przez wiele lat wysyłał do opata Melaniego. W Paryżu zachował się ślad ich korespondencji w Archive des Affaires etrangeres, Correspondence politique, Rzym, suppl. 10 - Lettres de l'abbe Melani, s. 70 i następne (list Delfina, wysłany z Rzymu 3 kwietnia 1700 roku, w którym kardynał opisuje swoje działania na rzecz Francji z okazji zbliżającego się konklawe).

Atto przez czterdzieści lat utrzymywał korespondencję także z kardynałami Gerolamo Buonvisim i jego siostrzeńcem Franceskiem, a przysługi, które na prośbę Erizza Atto wyświadczył Republice Weneckiej we Francji, przyniosły opatowi tytuł patrycjusza weneckiego, o czym sam wspomina.

Zabawy i rozrywki zorganizowane w willi Spada - polowanie na ptaki, polowanie z sokołem - opisane zostały w wielu książkach z epoki, między innymi przez Giuseppe Marię Mitellego (*La caccia giocosa*, Bolonia 1684).

Żart sceniczny Epifania Gizziego *Amore premio della costanza (Miłość nagrodą za stałość)* opublikowany został w Rzymie w 1699 roku.

### *Święta kula*

Dzisiaj wspinaczka na kopułę Bazyliki Świętego Piotra nie byłaby możliwa. W latach 50. ubiegłego wieku zamknięto wejście do kuli, mogą się tam dostać jedynie osoby odpowiedzialne za utrzymanie obiektu.

Każdy może jednak dotrzeć (rezygnując z windy, naprawdę warto!) na taras, skąd roztacza się przepiękny widok na Rzym. Kto natomiast chciałby dostać się do kuli w wyobraźni, powinien przeczytać artykuł Rodolfa de Mattei (*Ascesa alla „palla”*, w: „Ecclesia”, nr 3, marzec 1957, s. 130-135), który prezentuje wybitnych turystów z przeszłości (Goethe, Chateaubriand), jak również niektóre szczegóły budowy.

Konserwatorzy bazyliki wspinają się na kulę - a właściwie jeszcze wyżej - po dziś dzień. Wyposażeni w liny i haki, narażając życie, wdrapują się najpierw na kulę, a stamtąd na olbrzymi krzyż, by od czasu do czasu wymienić niewielki żelazny drążek, właściwy szczyt bazyliki - piorunochron.

## Objaśnienia fragmentów łacińskich

s. 8

*Imprimatur* - niech będzie odbite.

s. 27

*Dona nobis hodie panem cotidianum* - daj nam dzisiaj chleba powszedniego, parafraza fragmentu modlitwy „Ojcze nasz”: *panem nostrum cotidianum da nobis hodie* - chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.

s. 50

*Nemo propheta in patria* - nikt nie jest prorokiem w ojczyźnie.

s. 109

*Basso continuo* - rodzaj akompaniamentu.

s. 126

*Si te, ut saepe solet, species haec decipit alta; Nec me, nec Caros decipit arcta Domus* - Jeśli Cię, jak to często bywa, oszukuje ta wysoka postać; Ani mnie, ani Drogich nie oszukuje ciasny Dom.

s. 141

*In secula seculorum* - na wieki wieków.

s. 156

*Et remitte nobis debita nostra* - i odpuść nam nasze winy; parafraza prośby z modlitwy „Ojcze nasz”: *et dimitte nobis debita nostra* - i odpuść nam nasze winy.

*Pater Noster* - Ojcze nasz.

s. 207

*Et in arcano mentis reponatur, Ut magnus indefructus extrahatur* - i w tajemnicy umysłu niech się odłoży, jak wielką stąd korzyść się wydobywa.

*Quae in eodem statu nonfirmatur, Sed in casibus diversis variatur* - które nie zatrzymuje się w tym samym stanie, lecz kręci się w różnych kierunkach.

s. 208

*Et alter est expositus ruinae* - drugi jest wystawiony na klęskę.

*Quartus ascendet iam, nec quisquam sine* - czwarty już się wznosi.



s.223

*Hic anima* - tu dusza.

*Hic corpus* - tu ciało.

*Calida* - ciepła.

*Frigida* - zimna.

*Ieiunium arma contra diabolum* - post broń przeciw diabłu.

*Litera* - literatura.

*Et Arma* - i broń.

s. 233

*Pulchra* - piękna.

s. 237

*Romanum decet Pontificem* - kapłanowi (papieżowi) rzymskiemu przystoi.

s. 239

*Acta Sanctorum* - akta świętych.

*Cum alias* - gdy inaczej.

s. 241

*Nodus praedestinationis* - węzeł przeznaczenia.

s. 254

*Examinatus fuit in carceribus Pontis Sixtis* - przesłuchany został w więzieniu przy moście Sisto.

*Examinatus (...) coram et per me Notarium infrascriptum* - przesłuchany (...) w mojej obecności i przeze mnie, niżej podpisanego pisarza.

s. 255

*Pompeius de Trivio...* - Pompeo z Trevi, diecezja Spoleto, w wieku lat.

*Sexdecim incirca (...) respondit* - około szesnastu, po tym, jak zaprzysiął mówić prawdę, zapytany o nazwisko, miejsce urodzenia, wykonywaną pracę i powód swojego zatrzymania, odpowiedział.

*Interrogatus an sciat (...)*- zapytany, czy wie i zna innych żebrzących ubogich w mieście i czy wszyscy są w jednej tylko czy w różnych sektach [i z nakazem], by rozdzielił wszystkich dokładnie, odpowiedział.

s. 258

*Interrogatus an pecuniae (...)* - zapytany, czy zdobyte pieniądze są własnością samego żebrzącego, czy też ten, kto je trzyma, przekazuje je swojemu zwierzchnikowi zgodnie z regułami sekty, do której należy, odpowiedział.

s. 262

*De minimis non curat Papa* - papież nie troszczy się o drobiazgi.

s.267

*De arte bene moriendi - O sztuce dobrego umierania.*

*De amore pauperum - O miłości do ubogich.*

s. 272

*O tempora! - o czasy!*

s. 275

*Non datur omnibus adire Corinthum* - wszystkim nie jest dane przybyć do Koryntu; parafraza wiersza Horacego.

s. 305

*Stultifera navis* - statek (niosący) głupców.

s. 320

*Deflorum coltura* - O uprawie kwiatów.

s. 329

*Grues viam sequuntur ordine literato* - żurawie podążają drogą w uczonym szyku.

s. 358

*Et libera nos a malo* - i zbaw nas ode złego.

Parafraza jednej z prośb modlitwy „Ojcze nasz”: *sed libera nos a malo* ~ ale nas zbaw ode złego.

s. 363

*Opus reticulatum* - wątek murarski z bloków ciętych w kształt czworoboków.

s. 382

*Foedus* - przymierze, związek.

s. 465

*Datę elemosynam et (...)* - dajcie [...] jałmużnę, a [...] wszystko będzie dla was czyste (Ewangelia wg Św. Łukasza 11, 41).

*Paupertas sola est (...)* -jedynie bieda pobudza wszystkie sztuki.

s. 466

*Ecclesia malignantium* - kościół zbrodniarzy.

*Et quaecumque Ule (...)*- Cokolwiek ów zarządził w swoim kościele ku dobru, ja zarządę powtórnie w moim kościele ku złu.

s.467

*In dubio pro paupere* - w razie wątpliwości (należy opowiedzieć się) za ubogim.

*Pro foribus ecclesiae (...)* - siedzą przed bramami kościoła, zebrząc u nas o jałmużnę, są lekarzami naszych ran.

*Manus pauperis est (...)* - ręka ubogiego jest skarbcem Chrystusa, ponieważ cokolwiek dostaje ubogi, przyjmuje to Chrystus.

s. 502

*Monstrum triceps capite (...)* - potwór trój głowy z głową lisa, węża (smoka) i orła.

*Monstrum biceps caudatum* - potwór dwugłowy z ogonem.

s. 503

*Sub condicione* - pod warunkiem.

s. 508

*Tenebrae factae sunt* - nastąpiły ciemności.

s. 556

*Examinatus fuit in carceribus (...)* - przesłuchany w więzieniu przy moście Sisto w obecności Wielmożnego i Najszlachetniejszego Pana N... przeze mnie niżej podpisanego pisarza, Hieronim (Geronimo), syn nieżyjącego Antonia Fornaro, rzymianina, w wieku około 22 lat, po tym, jak zaprzysiągł itp. itd. Zapytany o nazwisko, miejsce urodzenia, wiek i powód swojego zatrzymania odpowiedział.

s. 607

*Ingredimur via universae carnis* - kroczymy drogą wszelkiego (śmiertelnego) ciała.

s. 612

*Inpectore* - (dosłownie) w piersi; w tajemnicy.

s. 613

*Ratio praecipua* - szczególne uzasadnienie.

s. 625

*Quem nullum latet secretum* - przed którym nie jest ukryta żadna tajemnica (fragment „Oratio antę Missam”, modlitwy przed Mszą świętą).

s. 632

*Sanctissimum humani pectoris bonum est* - jest najświętszym dobrem ludzkiego serca.

s. 638

*Post mortem* - po śmierci.

# Lista utworów muzycznych na CD

Szanowny Czytelniku,

czytaj, słuchaj i zanurz się w tę magiczną atmosferę!

W czasie czytania *Secretum* słuchaj utworów muzycznych, które ilustrują fragmenty powieści oznaczone

1. Arcangelo Corelli - *Concerti grossi op. 6*, Concerto n. 7, 1° movimento (s. 20)
2. Sigismondo d'India - Madrygał z *II pastor fido* (s. 65)
3. Marin Marais - *Couplet defolies* (s. 116)
4. Georg Friedrich Haendel - *II pastor fido* (s. 147)
5. Antonio Martin y Coli - *Diferencias sobre las Folias* (s. 148-150; 346-349; 400-401; 476-478)
6. Francesco Geminiani - *Concerto grosso da La Follia di Corelli* (s. 191-192)
7. Anonim - *Passacalli delia vita* (s. 210)
8. Arcangelo Corelli - *Concerti grossi op. 6*, Concerto n. 8, 3° movimento (s. 234)
9. Arcangelo Corelli - *Concerti grossi op. 6*, Concerto n. 10, 2° movimento (s. 336)
10. Giovanni Battista Lulli - *Ballet des Plaisirs: Bourree pour les Courtisans* (s. 529)
11. Georg Muffat - *Armonico tributo*, Sonata n° 1, 1° movimento (s. 551)
12. Henrico Albicastro - *12 Concerti a quattro op. 7*, Concerto III, 3° movimento (s. 622)
13. Henrico Albicastro - *12 Concerti a quattro op. 7*, Concerto IV, 3° movimento (s. 622)

# Spis treści

List do Sekretarza Kongregacji do Spraw Świątych .....	6
Prawdziwy opis wydarzeń.....	11
List - dedykacja.....	12
Dzień pierwszy, 7 lipca 1700 roku.....	13
Wieczór pierwszy, 7 lipca 1700 roku.....	53
Dzień drugi, 8 lipca 1700 roku .....	89
Wieczór drugi, 8 lipca 1700 roku.....	132
Dzień trzeci, 9 lipca 1700 roku .....	173
Wieczór trzeci, 9 lipca 1700 roku .....	226
Dzień czwarty, 10 lipca 1700 roku .....	261
Wieczór czwarty, 10 lipca 1700 roku .....	286
Dzień piąty, 11 lipca 1700 roku.....	316
Wieczór piąty, 11 lipca 1700 roku.....	346
Dzień szósty, 12 lipca 1700 roku .....	373
Wieczór szósty, 12 lipca 1700 roku.....	429
Dzień siódmy, 13 lipca 1700 roku .....	445
Wieczór siódmy, 13 lipca 1700 roku.....	472
Dzień ósmy, 14 lipca 1700 roku .....	485
Wieczór ósmy, 14 lipca 1700 roku .....	507
Dzień dziewiąty, 15 lipca 1700 roku .....	521
Wieczór dziewiąty, 15 lipca 1700 roku .....	545
Dzień dziesiąty, 16 lipca 1700 roku .....	590
Jesień 1700 roku.....	606
Marzec 1702 roku.....	615
List pożegnalny .....	625
Materiały źródłowe.....	626
Objaśnienia fragmentów łacińskich .....	649
Lista utworów muzycznych na CD .....	653